

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

RECEIVED

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 216.

---

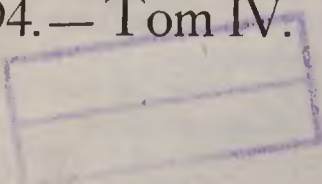
BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

---

Rok 1894. — Tom IV.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Jasna Nr 6.

1894.

4620. 1894. 4

II



30.000,-

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 11 Октября 1894 года.

X-14317  
4620 / II 4.  
1894

---

# RODZINA POŁANIECKICH.<sup>1)</sup>

---

## XXXIX.

Połaniecki, pod wrażeniem katastrofy, zapominał zupełnie o obietnicy uczynionej Osnowskiemu, że napisze mu, jak Zawilowski przeniósł zerwanie małżeństwa i odjazd panny Castelli. Osnowski jednak, dowiedziawszy się o wypadku z gazet, począł codziennie wypytywać depezbami o stan chorego — i niepokoił się nim ogromnie. W prasie i publiczności krążyły najsprzeczniesze wieści. Niektóre pisma donosiły, iż stan ów jest bez nadziei, inne przepowiadały rychłe wyzdrowienie. Połaniecki przez długi czas nie mógł też donieść nic pewnego, i dopiero po dwóch tygodniach przesłał depezę, że chory przestał się wahać między życiem a śmiercią — i że lekarze rączą już stanowczo za jego ocalenie.

Osnowski odpowiedział obszernym listem, w którym donosił zarazem rozmaite nowiny z Ostendy.

— „Bóg panu zapłać za dobrą wiadomość. Więc to już stanowczo wszelkie niebezpieczeństwo minęło? Nie umiem panu wypowiedzieć, jaki ciężar spadł z serca nam obojgu. Powiedz pan Ignasiowi, że nie tylko ja, ale i moja żona przyjęła ze łzami nowinę o jego ocaleniu. Ona o nikim innym teraz nie mówi i nie myśli, tylko o nim. Ach panie, co

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt wrześniowy „Biblioteki.“

to są kobiety! — można-by tomy o tem pisać! Anetka, to przecie wyjątek, a da pan wiarę, że, pomimo całego przerażenia, żalu i współczucia, Ignas urosł jeszcze w jej oczach przez ten nieszczęsny postępek. One szukają zawsze strony romantycznej, tak dalece, że nawet i w Kopowskim, Anetka, która zna całą jego głupotę, widzi teraz, jako w sprawie nieszczęścia, coś demonicznego. Ale przedewszystkiem, chwala Bogu za ocalenie Ignasia! Niechże żyje na chwałę naszego społeczeństwa i niech znajdzie godną siebie istotę. Z depezy pańskiej wnoszę, że jest pod opieką panny Heleny. Niech i jej da Bóg wszystko dobre za takie poczciwe serce. Ona istotnie nie ma nikogo bliższego na świecie — i wyobrażam sobie, że Ignas przez wspomnienie Płoszowskiego jest jej jeszcze droższy.

„Teraz, gdyś mnie pan już uspokoił o jego życie, mogę wam przesłać kilka wiadomości o ciotce Broniczowej i o Linecie. Może pan już słyszał, że one tu są, wraz z Kopowskim. Pojechały naprzód do Scheveningen, ale dowiedziały się, że tam ospa, więc uciekły do Ostendy, nie przypuszczając, że i my tu jesteśmy. Spotkaliśmy się kilkakrotnie w Kursalu — i udawaliśmy, że się nie znamy. Kopowski zostawił nawet u nas bilety, ale go nie rewizytowałem, pomimo, iż, jak słusznie mówi moja żona, on w tem wszystkiem daleko mniej winien od nich. Dopiero po otrzymaniu tej depezy, w której mi pan donosisz, że Ignas stanowczo uratowany, zdawało mi się, że sama ludzkość nakazuje im ją posłać — i tak zrobiłem. Im się i tak tu źle dzieje, bo znajomi odsuwają się od nich — chciałem więc, by przynajmniej to wiedziały, iż nie mają życia ludzkiego na sunieniu, tem bardziej, że Lineta jakoby jednak odczuła postępek Ignasia. Jakoż tego samego dnia były u nas z wizytą, i żona moja je przyjęła. Ona słusznie mówi, że zło jest chorobą moralną, a w chorobie nie godzi się krewnych opuszczać. Wogóle to pierwsze zetknięcie się było i ciężkie, i kłopotliwe dla obu stron. O Ignasiu nie mówiliśmy ani słowa. Kopowski występuje tu jako narzeczony Linety, ale nie wydają się zbyt uszczęśliwieni, choć, co prawda, to ona stosowniejsza dla niego, niż dla Ignasia, i pod tym przynajmniej względem, wszystko, co zaszło, można uważać za zrządzenie boże. Wiem też od osób postronnych, że tak przedstawia rzecz i ciotka Broniczowa. Nie potrzebuję panu mówić, jak mnie złości to nadużywanie imienia boskiego. Wiem, że niektórym z bawiących tu znajomych próbowała wmówić, iż zerwały z Ignasiem z powodu jego braku uczuć religijnych; innym opowiadała historye o jego despotyzmie i niezgodności usposobień z Linetą. Wszystko to jest oszukiwanie, nietylko świata, ale i siebie. Ciotka, przez ciągle wmawianie sobie i innym, sama w końcu uwierzyła w podniosły charakter Linety — i pod tym względem doznała ogromnego zawodu. Poczująca się wprawdzie do obowiązku osłania

jej, wymyśla Bóg wie co na jej obronę i miota się, jak szalona, ale poczucie zawodu w niej tkwi i myślę, że się tem gryzie, bo zmizerniała mocno. Chodzi też im widocznie o stosunki z nami; myślą, że je to niejako zwiąże napowrót ze światem, ale chociaż żona moja je przyjęła, oczywiście, stosunki nasze nie mogą powrócić do dawnej normy. Ja pierwszy nie mógłbym na to pozwolić, ze względu na mój obowiązek dobierania dla żony odpowiedniego towarzystwa. Ślub Linety z Kopowskim ma się odbyć podobno za dwa miesiące w Paryżu. Naturalnie, że nie będziemy. Żona moja zresztą patrzy na to bardzo sceptycznie. Rozpisałem się tak obszernie w nadziei, że w ten sposób zobowiązę pana do równie obszernej odpowiedzi ze wszelkimi szczegółami o Ignasiu. Gdy stan zdrowia jego na to pozwoli, niech go pan uściska ode mnie i niech mu pan powie, że ma i zawsze będzie miał we mnie najserdeczniejszego, duszą i sercem oddanego mu, przyjaciela."

Pani Marynia, mimo spóźnionej pory, mieszkała jeszcze w Buczynku, więc Połaniecki, odebrawszy ten list w biurze, pokazał go najpierwej Bigielom, u których był na obiedzie.

— Z jednej rzeczy się cieszę, — rzekła, przeczytawszy list, pani Bigielowa, — oto, że ona wychodzi sobie zaraz za tego Kopowskiego. Inaczej bałabym się, że w Ignasiu znów się coś odezwie i że, wyzdrowiawszy, gotów-by do niej powrócić.

— Nie. Zawilowski ma dużo charakteru i myślę, że nie wrócił-by w żadnym razie — rzekł Bigiel. — Jak myślisz, Stachu?

Bigiel tak był przyzwyczajony pytać w każdym wypadku o zdanie współnika, że i w tym nie umiał się bez niego obejść.

— Ja myślę, że one, gdy się rozpatrzą, co zrobiły, prędzej-by gotowo były wrócić, a co do niego — żyłem już tyle lat i widziałem tyle nieprawdopodobnych rzeczy, że za nikogo nie ręczę.

W tej chwili Połanieckiemu znów przypomniały się słowa: „ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę od niej duszy oddeżyć.”

— A tybyś wrócił na jego miejscu? — spytał Bigiel.

— Myślę, że nie, ale nie zaręczam i za siebie. — Przedewszystkiem nie byłbym sobie w łeb strzelał. — Zresztą, nic nie wiem!

I mówił to z wielkim zniechęceniem, pomyślał bowiem, że jeśli kto, to on, nie miał prawa za siebie ręczyć.

Lecz pani Bigielowa poczęła mówić:

— Dała-bym nie wiem co, żeby Ignasia zobaczyć, ale doprawdy, że łatwiej fortecę zdobyć, niż się do niego dostać. I nie rozumiem, dlaczego panna Helena tak go broni przed ludźmi, nawet tak życzliwymi, jak my.

— Ona go broni przed ludźmi, bo mu doktor nakazał bezwzględny spokój. Zresztą jemu, od czasu jak odzyskał pamięć, widok ludzi,

choćby najżyczliwszych, jest ogromnie przykry. I to się rozumie. Nie może przecie z nimi mówić o swoim postępku, a widzi, że każdy, kto się do niego zbliża, myśli nie o czem innym, tylko o tem.

— A pan bywa u niego codzień!

— Mnie dopuszczają, bo ja należałem poniekąd do sprawy od początku. Pierwszy przecie doniosłem mu o zerwaniu małżeństwa — i ni by to go pilnowałem.

— Czy on tę dziewczynę jeszcze wspomina?

— Pytałem o to panny Heleny i panny Ratkowskiej: powiedziały mi, że nigdy. Sam przesiaduję także przy nim godzinami i nie słyszałem nigdy nic. To jest dziwna rzecz: on jest przytomny, wie że jest ranny, wie że chory, — ale zdaje się przytem nic nie pamiętać rzeczy przeszłych, tak jakby przeszłość wcale nie istniała. Lekarze mówią, że rany w głowę powodują różne takie najszczególniejsze objawy. Zresztą poznaje każdego, kto się do niego zbliży; okazuje ogromną wdzięczność pannie Helenie i pannie Ratkowskiej. Szczególniej lubi pannę Ratkowską i widocznie tęskni za nią, gdy na chwilę od niego odejdzie. Ale też one obie — dalibóg! — słów na to niema — jakie pocziwie!

— Mnie szczególniej wzrusza panna Ratkowska — rzekła pani Bigielowa.

Bigiel zaś wtrącił:

— Ja, zastanowiwszy się dobrze nad wszystkim, doszedłem do wniosku, że ona musiała się w nim kochać.

— Niepotrzebnieś tracił czas na namysł, — odpowiedział Połaniecki — bo to jasna rzecz, jak słońce. Biedactwo chowało w sobie uczucie, póki nie przyszło nieszczęście. Dlatego odrzuciła taką partyę, jak Swirski. Nie robię z tego tajemnicy, bo sam Swirski rozpowiada to na wszystkie strony. Jemu się zdaje, że winien jej zadośćuczynienie za to, iż posądzal ją o miłość do Kopowskiego. Gdy Zawilowski strzelił do siebie, ona była po odjeździe Osnowskich u swojej krewnej, pani Mielnickiej, ale dowiedziawszy się, że panna Helena zabrała Ignasia, przyszła do niej i uprosiła ją, by jej pozwoliła zostać. Wszyscy doskonale wiedzą, jak to rozumieć, ale ona się z takimi względami nie liczy, również jak i panna Helena.

Tu Połaniecki zwrócił się do pani Bigielowej:

— Ach pan! panią najbardziej wzrusza panna Ratkowska, ale niech pani pomyśli, co to za, dalibóg, tragiczna postać taka panna Helena. Zawilowski przynajmniej żyje, a Płoszowski lepiej wymierzył. I wedle jej pojęć niema dla niego miłosierdzia nawet na taimym świecie. A ona go kocha. Oto położenie! Wreszcie po takim jednym samobójstwie przychodzi to drugie, rozdziera wszystkie rany, odświeża wszystkie wspomnienia. Panna Ratkowska może być sobie wzrusza-



jąca, ale tamta ma życie złamane raz na zawsze — i żadnej nadziei, tylko rozpacz.

— Prawda, prawda! Ale ona musiała przywiązać się do Ignasia, skoro nim się tak opiekuje.

— Ja rozumiem, dlaczego ona to robi. Oto za ratunek Zawilowskiego chce wyprosić u Pana Boga miłosierdzie dla tamtego.

— To być może — rzekł Bigiel. — A Zawilowski, kto wie, czy nie ożeni się z panną Ratkowską, jak wyzdrowieje.

— Jeśli zapomni o tamtej, jeśli się nie złamie i jeśli wyzdrowieje.

— Jakto, jeśli wyzdrowieje? Sam przecie mówiłeś, że to już niewątpliwe.

— Niewątpliwe, że będzie żył, ale pytanie, czy będzie dawnym Zawilowskim. Choćby sobie był w głowę nie strzelał, to i wówczas trudno-by było orzec, czyby takie przejście nie złamało człowieka, tak egzaltowanego. A dodaj jeszcze rozbitą głowę! Za to się przecie płaci. Kto tam wie, co będzie dalej, ale teraz, na przykład, niby to przytomny, niby mówi z sensem, a czasem utnie i nie może sobie przypomnieć najprostszego wyrazu. Dawniej się nigdy nie zaciął: I to dziwne, że nazwy rzeczy pamięta dobrze, ale jak chodzi o jaką czynność, najczęściej staje—i albo sobie przypomni z wysileniem, albo wcale.

— A cóż doktor?

— W Bogu nadzieja, że to przejdzie — i doktor też jej nie traci. Jednak wczoraj jeszcze, jakem tylko wszedł, powiedział: „Pani...” i uciął. Widocznie chodziło mu o Marynię, którą sobie nagle przypomniał — ale nie umiał o nią spytać. Z każdym dniem więcej mówi — to prawda, tylko, nim przyjdzie do siebie, może jeszcze dużo czasu upłynąć, a jakieś ślady mogą na zawsze pozostać.

— A Marynia wie już o wszystkim?

— Póki nie było pewności, że będzie żył, trzymałem wszystko w tajemnicy, ale potem wolałem jej powiedzieć. Oczywiście zachowałem wszelkie ostrożności. Całkowitego sekretu trudno było dłużej utrzymać. Zanadto ludzie o tem mówią i bałem się, żeby nie dowiedziała się z boku. Powiedziałem jej zresztą, że jest lekko ranny i że nic mu nie grozi, ale że lekarze zakazują go odwiedzać. — I tak martwiła się ogromnie.

— Kiedy ją pan zabierze do miasta?

— Póki pogoda, wolę, żeby siedziała na wsi.

Dalszą rozmowę przerwał list, który Połanieckiemu oddał służący. List był od Maszki i zawierał następujące słowa:

— „W twoim własnym interesie chcę się z tobą widzieć. Będę cię czekał u siebie do piątej.”

— Ciekawym, czego ten chce? — rzekł Połaniecki.

— Kto taki?

— Maszko. Chce się ze mną widzieć.

— Interesa i interesa — rzekł Bigiel. — Ten ma ich wyżej uszu. Czasem doprawdy dziwię się, skąd mu starczy sił i głowy na to wszystko. — Czy wiesz, że pani Krasławska przyjechała i że całkiem straciła oczy. Nic już nie widzi—ale to co się zowie—nie! Byliśmy u tych pań przed wyjazdem ze wsi. Gdzie się obrócić — bieda ludzka, aż litość bierze patrzeć.

— Ale też w nieszczęściu, każdy się pokazuje tem, czem jest — odrzekła pani Bigielowa. — Pamięta pan, żeśmy uważali panią Maszkową za charakter trochę oschły, a tymczasem nie uwierzy pan, jaka ona jest dobra dla matki. Nie pozwala się służącej do niej zbliżyć, sama ją wszędzie oprowadza, posługuje jej, czyta. Prawdziwie, że mi sprawiła miłą niespodziankę, a raczej obie, bo i pani Krasławska straciła całkiem dawną fanaberyę. Przyjemnie patrzeć, jak się te kobiety kochają. Pokazuje się, że w pani Maszkowej było jednak coś, na czem nie umieliśmy się poznać.

— Obie też ogromnie oburzały się postępkiem panny Castelli — dodał Bigiel.— Pani Krasławska powiedziała nam: „gdyby moja Terka tak postąpiła, to, jak jestem ślepa i potrzebująca opieki, takbym się jej wyparła.” Ale pani Maszkowa jaka jest, taka jest, a takby nie postąpiła, bo to inny gatunek kobiety.

Połaniecki wypił swoją filiżankę czarnej kawy i począł się żegnać. Wszelka rozmowa o pani Maszkowej stała mu się od pewnego czasu nieznośną, a oprócz tego wydało mu się, że znów słyszy jakiś ustęp z tej dziwnej komedii ludzkiej, która rozgrywała się koło niego i w której on odgrywał także swą marną rolę. Nie przyszło mu na myśl, że natura ludzka jest tak złożona, iż nawet w najlichszej mogą się jeszcze znaleźć jakieś pierwiastki dobre, i że pani Maszkowa, mimo wszystkiego, może być jednak kochającą córką. Wogóle wolał o tem nie myśleć, a natomiast począł się zastanawiać nad pytaniem, czego może od niego chcieć Maszko. Zapomniawszy, iż Maszko napisał w liście, iż chce go widzieć, nie w swoim, ale w jego własnym interesie, przypuszczał z pewnym niepokojem, że znowu zechce od niego pieniędzy.

— A ja (pomyślał) — teraz mu ich nie odmówię.

I przyszło mu do głowy, że życie jest podobne do maszyneryi zegarka. Gdy w jednym kółku coś się zwicnie, wszystkie poczynają działać nieprawidłowo. Co za związek mógł istnieć między jego zajęciem z panią Maszkową, a jego interesami, jego kasą i jego kupiec-

twem? A jednak poczuł, że nawet jako kupiec nie ma — przynajmniej względem Maszki, — takiej swobody, jaką miał dawniej.

Jednakże przypuszczenia jego okazały się mylne. Maszko nie przyszedł żądać pieniędzy.

— Szukałem cię w biurze i w domu — rzekł — wreszcie domyśliłem się, że musisz być u Bigielów i posłałem tam kartkę. Chcę z tobą pomówić w twojej własnej sprawie.

— Czem ci mogę służyć? — spytał Połaniecki.

— Przedewszystkiem, proszę cię, by to, co powiem, zostało między nami.

— Dobrze. Słucham cię.

Maszko patrzył przez chwilę w milczeniu na Połanieckiego, jakby chcąc go przygotować tem milczeniem do jakiejś ważnej wiadomości, wreszcie rzekł z dziwnym spokojem, odmierzając każdy wyraz:

— Chciałem ci powiedzieć, że jestem zgubiony bez ratunku.

— Przegrałeś sprawę?

— Nie. Sprawa przyjdzie dopiero za parę tygodni, ale wiem, że ją przegram.

— Skąd masz tę pewność?

— Pamiętasz, com ci kiedyś mówił, że sprawy o zwalenie testamentów prawie zawsze się wygrywa dlatego, że atak jest zwykle energiczniejszy, niż obrona, że na zwaleniu zwykle osobiście komuś zależy, a na utrzymaniu nie. Na świecie do wszystkiego można się przyczepić, bo choć co jest zgodne z duchem prawa, zawsze niemal, w mniejszym lub większym stopniu, nie czyni zadość jego literze, a sądy muszą trzymać się litery.

— Tak. To wszystko mówiłeś.

— Otóż tak jest i z tą sprawą, której ja się podjąłem. Nie była ona tak awanturniczą, jak się zdaje. Mnie wszystko zależało na tem, żeby zwalić testament — i byłbym może potrafił wykazać pewne jego niezgodności z literą prawa, gdyby nie to, że ktoś, równie namiętnie, usiłuje wykazać, że ich niema. Długo ci o tem nie będę rozpowiadał, dość żebyś wiedział, iż mam do czynienia nie tylko z przeciwnikiem adwokatem — i to z kutym na cztery nogi, ale z osobistym nieprzyjacielem, któremu chodzi nie tylko o sprawę, ale o to, by mnie zgubić. Niegdyś sponiewierałem go — i teraz się mści.

— Ja wogóle nie rozumiem, jakim sposobem nie masz do czynienia wyłącznie z prokuratorem?

— Bo są i zapisy prywatne, w których obronie strona przeciwna udała się do tego... Śledzia. — Zresztą mniejsza z tem. Sprawę muszę przegrać, bo jest w tych warunkach do przegrania, i gdybym był Śle-

dziem, tobym ją wygrał, tak jak ją wygra on. Z góry to wiem — i nie hudzę się. Dość już tego wszystkiego.

— To pójdziesz dalej; będziesz apellował.

— Nie, mój kochany. Ja już nie mogę iść dalej.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ja mam długów więcej niż włosów na głowie, że po pierwszej przegranej, wierzyciele rzucają się na mnie — i że (tu Maszko zniżył głos) ja muszę uciekać...

Nastało milczenie. Maszko wsparł łokieć na kolanie, głowę na dłoni i czas jakiś siedział pochylony — po chwili zaś, nie podnosząc głowy, począł znów mówić, jakby sam do siebie:

— Urwało się. Wiązałem rozpaczliwie, póki mi ręce nie ustały; każdemu zbrakło-by sił, a ja jeszcze wiązałem. Ale już nie mogę! Bóg widzi, już nie mam sił. Każda rzecz musi mieć swój koniec — i niech się to raz skończy.

Tu odetchnął, jak człowiek ogromnie zmęczony. Poczem podniósł głowę i rzekł:

— To jednak tylko moja sprawa, a ja przyszedłem, by mówić o twoich. Słuchaj! według kontraktu zawartego przy sprzedaży Krzemienia, miałem po rozparcelowaniu Magierówki spłacić twoją żonę; ty masz prywatnie u mnie kilka tysięcy rubli. Twojemu teściowi mam wypłacać dożywotnią rentę. Otóż przychodzę ci powiedzieć, że nie za tydzień, to za dwa, uciekam za granicę, jako bankrut — i że grosza z tego nie będziecie widzieli.

I Maszko, powiedziawszy to wszystko z całą dobitnością i zuchwalstwem człowieka, który nie ma już nic do stracenia, począł patrzeć w oczy Połanieckiego, jakby szukając burzy.

Lecz zawiódł się najzupełniej. Połanieckiego twarz pociemniała wprawdzie na jedno mgnienie oka, jakby z tłumionego gniewu, ale po chwili uspokoił się i rzekł:

— Ja się zawsze spodziewałem, że się to tak skończy.

Maszko, który, wiedząc z kim ma do czynienia, przypuszczał raczej, że Połaniecki chwyci go za kark, popatrzył na niego ze zdziwieniem, jak gdyby chciał go spytać, co mu się stało?

A Połaniecki w tejże chwili pomyślał:

— Gdyby chciał jeszcze ode mnie na drogę — tobym mu nie mógł odmówić. §

Głośno zaś powtórzył:

— Tak! to było do przewidzenia.

— Nie! — odrzekł Maszko, z namiętnością człowieka, który nie chce rozstać się z myślą, że wszystkiemu winien tylko zbieg wyjątko-

wych okoliczności — tego nie masz prawa mówić. Ja na godziwą przed śmiercią, gotowem powtórzyć, że mogło pójść inaczej.

A Połaniecki spytał, jakby z odcieniem niecierpliwości:

— Mój kochany, czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Maszko ochłonął i odrzekł:

— Ja od ciebie niczego nie chcę. Przyszedłem tylko jako do człowieka, który mi zawsze okazywał życzliwość i u którego, prócz długów pieniężnych, zaciągnąłem jeszcze dług wdzięczności — żeby ci wyznać otwarcie jak rzeczy stoją i zarazem powiedzieć: ratuj co można i ile można.

Połaniecki zacisnął zęby. Sądził, że nawet w tej ironii życia, której zgrzyt słyszał ciągle od pewnego czasu wokół siebie, powinna być pewna miara. Tymczasem słowa Maszki o przyjaźni i długu wdzięczności wydały mu się czemś prosto przechodzącym tę miarę: „Niech dyabli wezmą pieniądze i ciebie — byleś raz sobie poszedł!” — pomyślał w duchu.

Lecz, potłumiwszy w sobie chęć wypowiedzenia tego głośno, rzekł:

— Nie widzę sposobu.

— Jest tylko jeden — odpowiedział Maszko. — Póki jeszcze ludziom niewiadomo, że muszę się załamać, póki ze sprawą testamentu wiążą się nadzieje, póki moje nazwisko i mój podpis coś znaczą — możesz sprzedać sumę swojej żony. Powiesz nabywcy, że chcesz skapitalizować cały majątek, lub coś podobnego. O pozór łatwo. — Nabywca znajdzie się zawsze, zwłaszcza, gdy zdecydujesz się sprzedać ze znacznym ustępstwem. W widokach zysku, kupi ją byle żyd. Wolę, żeby kto inny stracił, niż ty; a tobie wolno było nie słyszeć tego, com ci powiedział o mojem przyszłym bankructwie i wolno ci mieć nadzieję, że sprawę wygram. Możesz być przytem pewny, że ten, kto od ciebie tę sumę kupi, sprzedał-by ci ją bez żadnego skrupułu, choćby wiedział, że jutro nie będzie warta złamanego szeląga. Świat jest giełdą, a na giełdzie większość interesów robi się wedle tej normy. To się nazywa zręczność.

Na to Połaniecki odpowiedział:

— Nie. To się nazywa inaczej. Wspomniałeś żydów: otóż istnieją pewne interesa, które oni określają jednym wyrazem: „schmuzig!” — Sumę mojej żony będę ratował w inny sposób.

— Jak wola twoja. Ja mój kochany wiem także, co wart mój sposób, tylko widzisz, mimo wszystkiego, powiedziałem sobie, że ci go powinienem podać. Jest to może uczciwość przyszłego bankruta — ale ja już nie mogę mieć innej. Łatwo się domyślisz, jak mi lekko to mówić. Wiedziałem zresztą z góry, że się na to nie zgodzisz, więc cho-

dziło mi tylko o to, by zrobić swoje. A teraz daj mi filiżankę herbaty i kieliszek koniaku, bo ledwie żyję.

Połaniecki zadzwonił o herbatę i koniak, Maszko zaś mówił dalej:

— Pewną ilość ludzi muszę zarwać — na to niema rady — więc wolę zarwać obojętnych, niż tych, którzy mi oddali jakąś usługę. Są położenia, w których trzeba być oportunistą względem własnego sumienia.

Tu Maszko uśmiechnął się z goryczą:

— Ja sam o tem nie wiedziałem — mówił dalej — ale teraz otworzyły się przedemną nowe horyzonty. Człowiek uczy się do śmierci. My, bankruci, mamy także pewien punkt honoru. Co do mnie, mniej mi chodzi o takich, którzy-by mnie także w danym razie zarwali, niż o blizkich, którym winienem wdzięczność. Jest to może moralność Rynaldiniego, ale swego rodzaju moralność...

Tymczasem służący wniósł herbatę. Maszko, potrzebując się widocznie pokrzepić, dolał do swej filiżanki przez pół koniaku i ostudziwszy w ten sposób wrzątek, wypił jednym tchem.

Połaniecki zaś rzekł:

— Mój kochany, położenie znasz lepiej ode mnie. Wszystko co mógłbym ci powiedzieć przeciw ucieczce, a za pozostaniem i za układem z wierzycielami, zapewne powiedziałeś sobie sam — więc wolę się spytać o co innego: masz ty o co ręce zaczepić? masz ty choć na wyjazd?

— Mam. Czy się bankrutuje na sto tysięcy, czy na sto dziesięć — to wszystko jedno, ale dziękuję ci za pytanie.

Tu Maszko dolał znów koniaku, do drugiej filiżanki herbaty — i rzekł:

— Nie myśl, że zaczynam pić z rozpacy, ale od rana dziś nie usiadłem — i jestem ogromnie zmęczony. Ach, jak mi to dobrze zrobiło. Powiem ci teraz otwarcie, że ja nie dałem za wygraną. Widzisz, że nie strzeliłem sobie w łeb. To melodramat! to się już zużyło. Wiem wprawdzie, że tu wszystko dla mnie skończone, ale na tym gruncie i tak nie mógłbym wypłynąć. Tu są po prostu za małe interesa — i niema pola. Weź taki zachód, taki Paryż! Ot, tam ludzie robią fortuny, tam przewracają się i podnoszą. Co tu gadać, kiedy to tak jest. Czy ty wiesz, że taki Hirsch nie miał może trzystu franków, wychodząc z kraju. Wiem! wiem! ze stanowiska tutejszej stęchlizny i tutejszego safandulstwa to się wyda marzeniem, gorączką bankruta... A jednak, tam gorsi ode mnie robią miliony — gorsi!

Przegram, albo wygram, ale jeśli tu kiedyś wrócę...

I widocznie herbata z koniakiem poczęła go podniecać, bo zaciśnięwszy dłonie dodał:

— Obaczysz!

Lecz Połaniecki ozwał się z większą jeszcze niż poprzednio niecierpliwością:

— Jeśli to nie są marzenia, to jest przyszłość. A teraz co?

— Teraz — rzekł po chwili Maszko — będę mnie mieli za szuję — nikt zaś nie pomyśli, że są upadki i upadki. — Tobie powiem na przykład, że nie wziął od mojej żony ani jednego podpisu, ani jednego zaręczenia i że ona będzie miała to wszystko, co miała, nim za mnie wyszła. — Wyjeżdżam teraz sam i póki się nie ustalę, ona zostanie tu z matką. Nie wiem, czyś słyszał, że pani Krasławska straciła wzrok. Nie mogę ich teraz zabierać, bo nie jestem nawet pewny, gdzie będę mieszkał... może w Paryżu, może w Antwerpii. . Ale mam nadzieję, że nasze rozłączenie nie potrwa... One jeszcze nie wiedzą o niczem... Ot, w czym dramat! ot co mnie męczy...

I Maszko położył dłoń na wierzchu głowy, zmrużywszy przytem jakby z bólu oczy.

— Kiedy ty wyjeżdżasz? — spytał Połaniecki.

— Nie wiem, dam ci znać. Tyś mi widocznie chciał ofiarować pomoc — i możesz mi ją dać, chociaż nie pieniężną. Od mojej żony będą się ludzie z początku odsuwali. Przygarnijcie ją trochę — weź ty ją w opiekę. Zgoda? — Tyś był prawdziwie dla mnie życzliwy, a wiem, że i dla niej jesteś życzliwy.

— Dalibóg, można zwaryować! — pomyślał Połaniecki.

Lecz głośno rzekł:

— Zgoda.

— Dziękuję ci z duszy serca. I jeszcze jedna prośba. Ty masz na obie te panie dużo wpływu. One wierzą wszystkiemu, co powiesz. Broń że mnie trochę w pierwszych czasach wobec mojej żony. Wytłomacz jej, że co innego jest nieuczciwość, a co innego nieszczęście. Ja, dalibóg, nie jestem taki lotr, za jakiego mnie ludzie będą mieli. Ot widzisz — mogłem i żonę moją pociągnąć do ruiny, a jednak tego nie uczyniłem; mogłem z ciebie wydobyć jeszcze z jakie parę tysięcy rubli — a jednak wolę tego nie zrobić. Ty jej to wszystko potrafiś przedstawić — i ona ci uwierzy. — Zgoda?

— Zgoda — powtórzył Połaniecki.

A Maszko raz jeszcze objął dłońmi głowę i jął powtarzać, ze ściągniętą, jakby od fizycznego bólu, twarzą:

— Oto w czym prawdziwa ruina! ot, co najwięcej boli.

I po chwili począł się żegnać, a przytem ponownie dziękować za życzliwość dla żony i przysług nad nią opiekę.

Połaniecki wyszedł z nim razem, wsiadł do powozu i ruszył do Buczynka.

Po drodze myślał o Maszce, o jego losach, ale zarazem powtarzał sobie: „Ja także jestem bankrut!” — I była to prawda. Prócz tego, od pewnego czasu dręczył go jakiś ogólny, niewyrozumowany niepokój, z którym nie mógł sobie dać rady. Naokół widział zawody, klęski, ruiny — i nie mógł się oprzeć poczuciu, że to wszystko jest i dla niego jakby jakąś zapowiedzią i groźbą na przyszłość. Dowodził sobie wprawdzie, że podobne obawy nie dadzą się logicznie usprawiedliwić, nie mniej jednak obawy nie przestawały mu tkwić gdzieś na dnie duszy. I kiedyindziej mówił znów sobie: „dlaczego ja jedynie miałbym stanowić wyjątek?” Wówczas serce ścisnęło mu się przecuciem nieszczęścia. Było to jeszcze gorsze od tych szpilek, które mimowoli wbijali w niego, byle słowem, ludzie nawet najżyczliwsi. Wogóle nerwy jego ucierpiały w ostatnich czasach, tak, że stał się prawie przesądny. Codziennie wracał do Buczynka z niepokojem, czy podczas jego niebytności nie stało się w domu coś złego.

Tym razem powrócił z powodu Maszki później niż zwykle i zjechał o zupełnym już mroku. Wsiadłszy przed gankiem na piaszczystej drodze, która tłumiała turkot powozu, ujrzał przez okno Marynię, panią Emilię i profesora siedzących przy stole w pośrodku saloniku. Marynia układała pasyans i widocznie tłumaczyła go pani Emilii, miała bowiem zwróconą ku niej głowę i palec na karcie. Połaniecki na widok jej pomyślał to, co od niejakiego czasu ciągle sobie powtarzał i co napętniało go zarazem i uczuciem szczęścia, i jeszcze większej dla siebie gorczy: „To jest najczystsza dusza, jaką w życiu spotkałem!” — I z tą myślą wszedł do pokoju.

— Spóźniłeś się dzisiaj — rzekła Marynia, gdy przy powitaniu podnosił jej rękę do ust — ale czekamy cię z kolacją.

— Maszko mnie zatrzymał — odpowiedział Połaniecki. — Co tu słychać?

— Jak zawsze. Wszystko dobrze.

— A ty jak się czujesz?

— Jak ryba! — odpowiedziała wesoło, podając mu czoło do pocałunku.

Następnie poczęła wypytywać o Zawilowskiego. Połaniecki, po przykrej rozmowie z Maszką, po raz pierwszy odetchnął swobodniej. „Zdrowa jest i wszystko dobrze!” — pomyślał, jakby w żdziwieniu. I rzeczywiście było mu dobrze w tym jasnym saloniku, w tym ogromnym spokoju, wśród życzliwych dusz i obok tej najbliższej istoty, tak dobrej i pewnej. Czuł, że tu było wszystko, czego potrzeba do szczęścia, ale jednocześnie czuł, że on to szczęście dobrowolnie popsuł, że



wniósł do czystej atmosfery domowej pierwiastki zepsucia i złego — i że pod takim dachem mieszka bezprawnie.

## XL.

W połowie września dni nastaly tak zimne, że państwo Połanieccy przenieśli się z Buczynka do swego miejskiego mieszkania. Połaniecki na przybycie żony odświeżył je i przyozdobił kwiatami. Zdawało mu się wprawdzie, że stracił prawo do kochania jej, ale on stracił tylko dawną swoją względem niej swobodę; natomiast, może właśnie wskutek tego, stał się z nią daleko bardziej uważnym i uprzedzającym. Prawa do kochania nikt nie daje i nic nie może go odebrać. Inna rzecz, że człowiek w upadku i wobec duszy nierównie szlachetniejszej może nie czuć się jej godnym. Wówczas kocha z pokorą i swego uczucia nie śmie nazwać właściwem mianem. Co Połaniecki stracił rzeczywiście, to swoją pewność siebie, swoją zamaszystość i swoją dawną bezceremonialność w stosunku z żoną. Teraz były czasem w jego obejściu się z nią takie odcienie, jakby ona była jeszcze panną Pławicką, a on niepewnym swego losu pretendentem.

Jednakże ta jego niepewność wyglądała niekiedy na chłód. Ostatecznie stosunek ich — mimo większej uwagi i staranności ze strony Połanieckiego, stał się dalszym, niż był przedtem. „Nie mam prawa!” — oto co powtarzał sobie Połaniecki przy każdym żywszem poruszeniu serca. I Marynia w końcu spostrzegła, że oni żyją teraz ze sobą jakoś inaczej, ale tłumaczyła sobie to rozmaitemi powodami.

Naprzód, w domu byli goście — przy których, bądź co bądź, swoboda pożycia musiała się zmniejszyć. Powtóre, przyszło owo nieszczęście z Zawilowskim, które Połanieckim mogło wstrząsnąć i oderwać jego myśl w inną stronę, — a wreszcie Marynia przywykła już do rozmaitych zmian w usposobieniu „Stacha” i przestała przywiązywać do nich tyle znaczenia, ile przywiązywała poprzednio.

Przeszedłszy przez długie godziny smutku i rozmyślań, doszła nakoniec do przekonania, że w pierwszych czasach, póki się pewne nierówności i zagięcia charakterów nie ułożą do jednej wspólnej linii, takie różne zmiany i odcienie w pożyciu są rzeczą konieczną, ale przejściową. Dopomógł jej także do wykrycia tej prawdy zdrowy rozsądek pani Bigielowej, która, gdy raz Marynia poczęła podnosić jej doskołały stosunek z mężem, — rzekła:

— Ej, nie od razu do tego przyszło. Z początku kochaliśmy się niby to zapalczywiej, ale byliśmy daleko mniej dopasowani, czasem jedno ciągnęło w jedną, a drugie w drugą stronę. Tylko, że oboje mie-

liśmy uczciwość i dobrą wolę. — Pan Bóg to widział i pobłogosławił. Po pierwszym dziecku wszystko poszło odrazu jak najlepiej — i dziś nie oddała-bym mojego starego kociska za wszystkie skarby świata, chociaż mi tyje, a jak namawiam na Karlsbad, to nie chce słuchać.

— Po pierwszym dziecku? — spytała z wielkiem zajęciem Marynia. — Aha! zaraz-byłoby była zgadła, że to przyszło po pierwszym dziecku.

Pani Bigielowa poczęła się śmiać:

— A jaki on był zabawny, jak nam się pierwszy chłopak urodził! Bo przez pierwsze dni nie mówił nic a nic, tylko podnosił na czoło okulary, przypatrywał mu się, jak jakimś zamorskiemu dziwu, a potem szedł do mnie i całował mnie po rękach.

Nadzieja dziecka była także powodem, dla którego Marynia nie brała zbyt do serca tej nowej zmiany w Stachu. Naprzód obiecywała sobie oczarować go z kretešem — i dzieckiem, (o którym była z góry przekonana, że będzie czemś poprostu fenomenalnym) — i swoją po słabości urodą, a powtóre sądziła, że teraz nie wolno jej myśleć ani o sobie, ani nawet wyłącznie o Stachu. Teraz była zajęta przygotowaniem miejsca dla przyszłego gościa, zarówno w domu, jak w duszy. Czowała, że trzeba obwinąć taką figurę nietylko w pieluszki, ale i w miłość. Więc gromadziła odpowiednie zapasy. Mówiła sobie zarazem, że życie we dwoje może być zmienne, ale we troje nie może być czem innym, jak szczęściem i wypełnieniem się owego oczekiwanego miłosierdzia i łaski bożej.

Wogóle patrzyła w przyszłość nadzwyczaj raźnie. Jeśli wreszcie Połaniecki był dla niej jakiś inny, jakby bardziej etykietalny i jakby dalszy, miał natomiast takie delikatności, jakich nie okazywał dawniej. Troskę i zmęczenie, które widywała na jego twarzy, przypisywała przywiązaniu do Zawiłowskiego, o którego zdrowie nie było już wprawdzie obawy, ale którego nieszczęście sama odczuwała kobiecym sercem, rozumiejąc, że może ono trwać póty, póki i życie. Rozumienie tego dało niejedną chwilę smutku i jej, i Bigielom, i wszystkim, którym Zawiłowski stał się blizkim.

Przytem, wkrótce po przybyciu Połanieckich do miasta, nadeszły nagle z Ostendy wiadomości, grożące nowemi na przyszłość powikłaniami. Pewnego poranku Swirski wpadł jak bomba do biura i, wzięwszy Bigiela i Połanieckiego do osobnego pokoju, rzekł im z tajemniczą miną:

— Wiecie co się stało? Był u mnie Kresowski, który wczoraj wrócił z Ostendy. Osnowski rozstał się z żoną i połamał kości Kopowskiemu. Skandal bajeczny! Cała Ostenda nie mówi o niczem innym.

Oni obaj umilkli pod wrażeniem wieści — wreszcie Połaniecki rzekł:

— To prędzej czy później musiało przyjść. Osnowski był ślepy.

— A ja nic nie rozumiem — dodał Bigiel.

— Niesłychana historia! — rzekł Swirski. — Ktoby coś podobnego przypuścił!

— Cóż mówi Kresowski?

— Kresowski opowiada, że Osnowski umówił się kiedyś z jakimś Anglikami, że pojedzie z nimi do Blanckenberga na strzelanie delphinów. Tymczasem spóźnił się na kolej, czy też na tramway. Mając przed sobą godzinę czasu, wrócił do domu i zastał u siebie Kopowskiego. Wyobraźcie sobie, co musiał zobaczyć, skoro człowiek tak łagodny uniósł się i stracił głowę do tego stopnia, że, bez pamięci na skandal, wygrzmocił Kopowskiego tak, że Kopowski leży.

— On tak był w żonie zakochany, że mógł nawet oszaleć, lub ją zabić — rzekł Bigiel. — Co za nieszczęście dla człowieka!

— Oto, co są kobiety! — zawołał Swirski.

Połaniecki milczał. Bigiel, któremu ogromnie żal było Osnowskiego, począł chodzić po pokoju. Nakoniec stanął przed Swirskim i, wsadziwszy ręce w kieszeń, rzekł:

— A jednak, ja nic nie rozumiem.

Swirski zaś, nie odpowiadając wprost, rzekł, zwróciwszy się do Połanieckiego:

— A pamiętasz pan, co ja o niej w Rzymie mówiłem — wtedy, gdy malowałem portret pańskiej żony? Stary Zawilowski nazywał Osnowską dzierlatką. Teraz rozumiem, jak to było słusznie; bo dzierlatka ma jeszcze drugą nazwę: „śmieciucha!” — Co za kobieta! Wiedziałem, że niewiele warta, ale nie przypuszczałem, żeby mogła pójść tak daleko... I to z takim Kopowskim!... Teraz widzę jaśniej rozmaite rzeczy! Kopowski tam przecie ciągle przesiadywał, niby to starał się o pannę Castelli, potem, niby o pannę Ratkowską, a widocznie porozumieli się z panią i wynajdywali na wspólną pozory. Co za wesoly chłopcy! Castelka na obiad, a Osnowska na deser! Takiemu dobrzel!... Między temi obiema musiała też być rywalizacya. Jedna przez drugą czyniły ustępstwa, żeby go do siebie pociągnąć. Myślicie, że tam miłość własna kobieta mało znaczyła?

— Masz pan zupełną słuszność — rzekł Połaniecki. — Osnowska była zawsze najprzeciwniejsza małżeństwu Kopowskiego z Castelli i dlatego prawdopodobnie tak gorliwie swatała ją Ignasiowi. Gdy tamci — mimo wszystkiego — potrafili się porozumieć, posunęła się do ostateczności, by Kopowskiego przy sobie zatrzymać. Stosunek ich, to stara historia.

— Trochę zaczynam rozumieć — rzekł Bigiel — ale jakie to smutne.

— Smutne? — spytał Swirski. — Przeciwnie! Kopowskiemu było wesoło!... Chociaż — nie! — „Miłe złego początki, lecz koniec żaloszny!” Niema mu czego zazdrościć. Wiecie wy, że Osnowski mało co słabszy ode mnie, bo on się bał utyć przez kokieterę dla żony i od rana do wieczora uprawiał wszelkie możliwe sporty. Ach jak on ją kochał! jaki to dobry człowiek — i jak mi go żal! Wszystko ta kobieta w nim miała: serce, majątek, psie przywiązanie — i wszystko podeptała. Taka Castelli nie była przynajmniej jeszcze żoną.

— I oni się naprawdę rozstali?

— Tak dalece naprawdę, że ona już wyjechała. Co tam musiało być, skoro taki Osnowski ją opuścił — dalibóg, ciężko myśleć.

Lecz Bigiel, który lubił brać rzeczy ze strony praktycznej, rzekł:

— I ciekawym, co ona zrobi? Bo cały majątek jego.

— Jeśli jej od razu nie zabił, to pewno nie da jej z głodu umrzeć. To nie tego rodzaju człowiek. — Kresowski mówił mi, że on został w Ostendzie, i że chce Kopowskiego jeszcze wyzwać. Ale Kopowski z tydzień podobno musi poleżeć. Będzie i pojedynek. — Pani Broniczowa z panną Castelli wyjechały także do Paryża.

— A małżeństwo z Kopowskim?

— Jakże pan chcesz? Samo się przez się rozumie, że wobec tak jawnej zdrady oblubieńca — zerwane. Zło nie płuży. Osiadły i one na koszu. Ha! Niechże szukają za granicą jakiego księcia Crapulescu — bo po tem, co zrobiły z Ignasem, tu mógłby taką Castelkę wziąć chyba szuja, albo dureń. Zawilowski przecie do niej nie wróci.

— Ja to samo mówiłem Połanieckiemu — rzekł Bigiel — a on mi na to odpowiedział: „kto wie!”

— E? — rzekł Swirski — czy pan naprawdę przypuszczasz?...

— Nie wiem! nic nie wiem! — odpowiedział jakby z wybuchem Połaniecki — za nic nie ręczę! za nikogo nie ręczę i za siebie nie ręczę! Swirski spojrział na niego z pewnym zdziwieniem.

— Ha, może to i racya — rzekł po chwili. — Gdyby mi kto był wczoraj powiedział, że Osnowscy kiedykolwiek rozstaną się ze sobą, miałbym go za bzik.

I pocałował się żegnać, bo mu pilno było do roboty, a przytem, chcąc raz jeszcze usłyszeć o katastrofie Osnowskich ze wszelkimi szczegółami, umówił się z Kresowskim na obiad. Bigiel i Połaniecki zostali sami.

— Zło trzeba zawsze przyplacić — rzekł po namyśle Bigiel. — Ale wiesz, co mnie zastanawia? oto jak jednak u nas poziom moralny się obniża. Weź taką Broniczową, taką Castelli, taką Osnowską...

Jakie to nieuczciwe, jakie popsute i jakie w dodatku głupie! — Jakaś mieszanina, licho wie czego — jakieś pretensye bez granic — a zarazem natury pokojówek! Aż ckliwo myśleć — prawda? I tacy ludzie, jak Ignas, lub Osnowski, płacą za to.

— I tej logiki się nie rozumie — odpowiedział posepnie Połaniecki.

Bigiel począł znów chodzić po pokoju, cmokać i kręcić głową — nagle stanął przed Połanieckim z rozjaśnioną twarzą i, klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— No, mój stary! ty i ja możemy sobie jednak powiedzieć, żeśmy na loteryi życia wyciągnęli wielkie losy. Nie byliśmy także święci, ale może Pan Bóg dlatego nam poszczęścił, żeśmy się nie podkopywali po złodziejsku pod cudze domy.

Połaniecki nie odrzekł nic, tylko począł zbierać się do wyjścia.

Tak się już złożyły warunki, że wszystko, co się naokół działo, i wszystko co naokół słyssał, tworzyło jakby piłę, która szarpała jego nerwy. W dodatku miał poczucie, że to nietylko jest okrutnie męczące i bolesne, ale poczyna być i śmieszne. Chwilami przychodziło mu do głowy zabrać Marynię i zakopać się z nią gdzieś na jakiej zapadłej wsi, byle daleko od tej nieznośnej komedyi życia, która zarazem stawała się coraz więcej plugawą. Wiedział jednak, że tego nie zrobi, choćby z tej przyczyny, że stoi temu na przeszkodzie stan Maryni. Zerwał wszelako skończone już prawie układy o Buczynek, dlatego, by sobie upatrzeć jakąś dalszą i mniej przystępną letnią siedzibę. Wogóle stosunki z ludźmi poczęły mu ogromnie ciężać, czuł zaś, że jest w wirze i że się z niego nie wydobędzie. Chwilami budził się w nim dawny, pełen energii i trzeźwości, człowiek, który pytał sam siebie ze zdziwieniem: „Co u dyabła! czemu mi taka wina, jakich ludzie dopuszczają się codzień tysiące, tak narasta bez żadnej miary?” Ale zmysł prawdy odpowiadał mu wówczas, że jak w medycynie nie masz chorób, tylko są chorzy, tak w świecie moralnym nie masz win, tylko są winni. Co jeden łatwo znosi, to drugi przyplaca życiem. I próżno usiłował się osłonić. Wina jego, jako człowieka zasad, jako człowieka, który poślubił zaledwie przed pół rokiem taką kobietę, jak Marynia, jako człowieka, którego wkrótce czekało ojcowstwo, była bez miary — i tak niczem nieusprawiedliwiona, tak niesłychana, że czasem aż zdumiewał się, jak ją mógł spełnić. Teraz, wracając do domu, pod wrażeniem nieszczęścia Osnowskiego, i obracając je w głowie na wszystkie strony, miał znów poczucie, jakby pewna część odpowiedzialności za to, co się stało, ciężyla i na nim. „Bo ja — mówił sobie — jestem akcyonaryuszem w tej fabryce, która wytwarza takie stosunki i takie kobiety, jak Castelli lub Osnowska.” — Po czem przyszło

mu do głowy, że Bigiel miał słuszość, mówiąc, iż poziom moralny się obniża — i że nastrój ogólny, który nie wyłącza możliwości podobnych postępów, jest wprost niebezpieczny. Rozumiał bowiem, że to wszystko nie płynęło ani z wyjątkowych nieszczęść, ani z nadzwyczajnych namiętności, ani ze zbytnej wybujałości natur, ale ze społecznej swawoli, i że imię podobnych zbrodni jest: legion. „Ot — pomyślał — tylko w kółku moich znajomych, jest Maszkowa, jest Osnowska, jest panna Castelli — a przeciw nim, kogo postawię? — jedną moją Marynię!” — I w tej chwili nie przyszło mu na myśl, że obok Maryni jest w jego kółku jeszcze i pani Emilia, i pani Bigielowa, i panna Helena Zawilowska, i panna Ratkowska. Natomiast Marynia przedstawiła mu się na tem tle zepsucia i lekkomyślności tak do tamtych niepodobna, tak czysta i tak pewna, że wzruszył się do głębi duszy na samo jej wspomnienie. „To inny świat, to inny gatunek!” — pomyślał. — Na chwilę przypomniał sobie, że i Osnowski nazywał swoją żonę wyjątkiem, ale wnet odrzucił precz od siebie tę złą myśl: — To Osnowski się mylił, a ja się nie mylę. — I uczuł, że sceptycyzm, który-by się nie cofnął przed Marynią, byłby nietylko głupim, ale i nędznym. W niej nie było wprost miejsca na zło. Na błocie siadać może tylko ptactwo błotne. — Sam on mówił jej niegdyś, żartując, że gdyby nosiła korki, toby ze zgryzoty, że oszukuje świat, dostała zapalenia sumienia. I w tym żarcie była prawda. Widział ją teraz oto przed sobą tak wyraźnie, jak się zawsze widzi osobę, o której się rozmyśla ze skupionem uczuciem, widział jej zmienioną postać i zmienioną twarz, w której pozostały jednak zawsze te same śliczne, nieco za szerokie usta, i te same przeczyste oczy — i wzruszał się coraz bardziej. „Ja naprawdę wygrałem wielki los na loteryi życia (myślał), alem nie umiał tego szczęścia ocenić.” — „Zło trzeba zawsze przyplacić” — mówił Bigiel. — I Połaniecki, któremu nieraz już przychodziła podobna myśl, uczuł teraz przed nią zabobonny strach. Jest (myślał) jakaś logika, z mocy której zło, jak fala odbita od brzegu, wraca się, musi więc wrócić i moje. I nagle wydało mu się zupełnem niepodobieństwem, żeby on mógł posiadać spokojnie taką kobietę i takie szczęście. Nie było-by w tem właśnie tej logiki, która nakazuje wracać się fali złego. A zatem co? Zatem Marynia może naprzykład umrzeć przy słabości. Pani Maszkowa może przez zemstę nad nim powiedzieć jakieś słowo, które utkwi w Maryni — a wobec jej stanu — wyjdzie potem pod postacią gorączki. Nie potrzeba nawet na to całej prawdy. Owszem, pani Maszkowa może się przytem nawet pochwalić, że oparła się jego zamachom — a kto wie — mówił sobie Połaniecki — czy w tej chwili Maszkowa nie jest z wizytą u Maryni — a w takim razie, pierwsza lepsza rozmowa o mężczyznach — i kilka żartobliwych słów — wystarczy...

Tak rozmyślając, czuł, że mu czapka gore na głowie i przyszedł do domu z uczuciem trwogi. Ale w domu nie zastał pani Maszkowej, natomiast Marynia oddała mu kartkę od panny Heleny Zawilowskiej, proszącą, by po obiedzie przyszedł do niej.

— Boję się, czy panu Ignasiowi nie jest gorzej — rzekła Marynia.

— Nie. Ja tam wpadłem na minutę rano. Panna Helena była na jakiejś konferencji z prawnikiem Kononowiczem, ale widziałem i pannę Ratkowską, i Zawilowskiego. Miał się zupełnie dobrze i rozmawiał ze mną prawie wesoło.

Przy obiedzie Połaniecki postanowił powiedzieć Maryni o nowinach, które słyszał, wiedział bowiem, że i tak nie ukryją się przed nią, a nie chciał by doniesiono jej o nich zbyt nagle i nieostrożnie.

Więc gdy spytała go, co słychać w biurze i na mieście — odrzekł:

— W biurze nic nowego, a na mieście mówią o jakichś nieporozumieniach między Osnowskimi.

— Między Osnowskimi?

— Tak. Coś tam zaszło w Ostendzie. Podobno powodem wszystkiego jest Kopowski.

Marynia zaczerwieniła się z ciekawości i rzekła:

— Co też ty Stachu mówisz?

— Mówię, com słyszał. Pamiętasz moje uwagi na wieczorze zaręczynowym Zawilowskiego? Pokazuje się, że miałem słusność! — Krótko ci powiem, że była jakaś awantura — i że wogóle jest źle.

— Ale przecie mówiłeś, że Kopowski jest narzeczonym panny Castelli?

— Jest, albo przestał nim być. Tam się mogło wszystko pozrywać.

Na Maryni wiadomość sprawiła wielkie wrażenie. Chciała jeszcze dopytywać, ale gdy Połaniecki powiedział jej, że nic więcej nie wie i że prawdopodobnie dopiero za kilka dni nadejdą dokładniejsze wieści — poczęła biadać nad dolą Osnowskiego, którego zawsze bardzo lubiła, i oburzać się na panią Anetę.

— Ja myślałam, — mówiła — że on ją przejedna i pociągnie swoim przywiązaniem, ale ona jego nie warta, i pan Swirski ma słusność w tem, co o kobietach mówi.

Lecz dalszą rozmowę przerwał pan Pławicki, który po wczesnym restauracyjnym obiedzie przyszedł, by opowiedzieć „wielką nowinę”, o której także już słyszał, bo mówiło o niej całe miasto. Połaniecki pomyślał teraz, że dobrze zrobił, przygotowawszy do niej żonę, albowiem już w opowiadaniu pana Pławickiego rzecz przybrała barwy nader jaskrawe. Pan Pławicki wspominał wprawdzie w ciągu opowia-

dania o zasadach i o „dawnych matronach”, widocznie był jednak zadowolony, że zdarzyło się coś tak budzącego zajęcie — i widocznie brał także rzecz ze strony komicznej, bo w końcu rzekł:

— No! ale to rezolutna kobietka! to figlarka! Co na placu, to nieprzyjacieli! Nikomu nie przepuściła, nikomu, nikomu!... Biedny Osnosio, ale ona nikomu nie przepuściła!

Tu podniósł do góry brwi, a potem spojrzął na Marynię i Połanieckiego, jakby chcąc sprawdzić, czy pojęli, co miało znaczyć „nikomu.” Ale na twarzy Maryni odbił się niesmak.

— Fel! Stachu — rzekła — jakie to wszystko nietylko niegodziwe, ale brzydkie.

## XLI.

Po obiedzie Połaniecki udał się do panny Heleny. Zawilowski nosił jeszcze na czole czarną przepaskę, z szerszym wpośrodku plasterem, zakrywającym ranę, zacinał się i, patrząc, nieco zezował, ale wogóle przychodził coraz bardziej do siebie i uważał się już za zdrowego, lekarz zaś zapewniał, że i te objawy, jakie jeszcze pozostały wskutek rany, miną bez śladu. W chwili, gdy Połaniecki wszedł, młody człowiek siedział przy stole, w głębokim fotelu, w którym niegdyś siedywał stary pan Zawilowski, i słuchał z przymkniętymi oczyma wierszy, które mu czytała panna Ratkowska.

Lecz ona na widok gościa złożyła książkę.

— Dobry wieczór pań! — rzekł Połaniecki. — Jak się masz Ignasiu? Widzę że przerwał czytanie. W czym państwo się tak zaczytujecie?

Panna Ratkowska zwróciła ku książce swą krótko ostrzyżoną głowę (miała dawniej przepyszne włosy, ale ostrzygła je, by jej nie zabierały czasu potrzebnego przy chorym) i odrzekła:

— To są wiersze pana Zawilowskiego.

— Swoich własnych wierszy słuchasz? — rzekł, śmiejąc się, Połaniecki — no, i jak ci się podobają?

A Zawilowski odrzekł:

— Słucham, jak nie swoich.

Po chwili zaś dodał, mówiąc zwolna i trochę się zacinając:

— Ale ja znów będę pisał, tylko całkiem przyjdę do siebie...

I widać było, że ta myśl bardzo go zajmuje i że nieraz musiał już o tem mówić, bo panna Ratkowska rzekła, jakby mu chcąc dodać otuchy:

— I takie same śliczne, i już niezadługo.



A on uśmiechnął się do niej z wdzięcznością — i umilkł.

Lecz w tej chwili weszła do pokoju panna Helena i, uściśnawszy rękę Połanieckiego, rzekła:

— Jak to dobrze, że pan przyszedł: chciałam się pana poradzić...

— Służę pani.

— Nie. Proszę pana do siebie.

I przeprowadziwszy go do drugiego pokoju, wskazała mu krzesło, poczem, siadłszy naprzeciw, milczała, jakby zbierając myśli.

Połaniecki, patrząc na nią pod światło, pierwszy raz dostrzegł kilka srebrnych nitok w jej jasnych włosach — i pomyślał, że ta kobieta nie ma jeszcze trzydziestu lat.

Ona zaś poczęła mówić swoim głosem zimnym i stanowczym:

— To właściwie nie jest prośba o radę, tylko o pomoc dla mego krewnego. Wiem, że pan jest jego prawdziwym przyjacielem, a przytem i mnie okazał pan tyle serca przy śmierci ojca, że na resztę życia zachowam wdzięczność, a teraz będę z panem mówiła otwarciej, niż-bym mówiła z kim innym... Z powodów osobistych, których nie chcę dotykać, a o których mogę panu tylko powiedzieć, że są bardzo bolesne, postanowiłam stworzyć sobie inne warunki życia, dla mnie znośniejsze. Była-bym to zrobiła dawniej, ale póki ojciec żył — nie mogłam. Potem przyszło to nieszczęście! — Zdawało mi się, że moim obowiązkiem jest nie opuszczać ostatniego krewnego, noszącego nasze nazwisko, dla którego przytem miałam szczerą i serdeczną przyjaźń. Ale teraz on, Bogu dzięki, uratowany. Lekarze odpowiadają za jego życie i jeśli Bóg dał mu wyjątkowe zdolności i przeznaczył go do wielkich rzeczy, nic nie staje na przeszkodzie jego przeznaczeniu.

Tu przerwała, jakby zamyśliwszy się nagle nad czemś przyszłym, po czem, zbudziwszy się, mówiła dalej:

— Ale tem samem moje ostatnie zadanie skończone i wolno mi wrócić do poprzednich zamiarów. Pozostaje tylko majątek, który mój ojciec pozostawił znaczny, a który mi jest do mego przyszłego życia zupełnie niepotrzebny. Gdybym mogła uważać go za moją osobistą własność, rozporządziła-bym nim może inaczej; ponieważ jednak jest to majątek rodzinny, uważam, że nie mam prawa przekazywać go na inne cele, póki żyje ktoś z rodziny, noszący toż samo nazwisko. Nie ukrywam panu, że powoduje mną i przywiązanie do mego kuzyna; sądzę jednak, że przedewszystkiem robię to, co mi sumienie nakazuje, a przytem spełniam wolę ojca, który jej spisać nie zdążył, ale który, (wiem z wszelką pewnością) część majątku chciał Ignasiowi zostawić. Ja wyposażam siebie sama, nie w tym stopniu, jak ojciec myślał, ale biorę jeduak więcej, niż mi potrzeba. Resztę niech dziedziczy Ignas. Akt darowizny spisał już według wszelkich przepisów prawnych pan

Kononowicz. Obejmuje on ten dom, Jaśmię, majątek w Kutnowskim, majątki poznańskie i kapitały, z wyjątkiem tej części, którą sama siebie wyposażam, i małej cząstki, którą przeznaczam dla panny Ratkowskiej. Chodzi tylko o to, by ów akt Ignasiowi wręczyć. Pytałam dwóch lekarzy, czy to nie jest zawcześnie i czy wstrząśnienie nie mogło-by mu zaszkodzić. Zaręczają mi, że nie i że wszelka pomyślna nowina może tylko korzystnie wpłynąć na jego zdrowie, co jeśli tak jest, chcę to zaraz uczynić, bo mi pilno.

Tu uśmiechnęła się blade. — Połaniecki zaś, uściskawszy jej rękę, spytał z niekłamanem wzruszeniem:

— Droga pani, ja nie przez ciekawość pytam: Co pani zamierza?

Ona zaś, nie chcąc widocznie odpowiedzieć wprost, rzekła:

— Człowiek ma zawsze prawo schronić się pod opiekę boską. Co do Ignasia — on ma poczciwe serce i szlachetny charakter, który się nie popsuje majątkiem; ale to majątek jest bardzo znaczny, a on jest młody, niedoświadczony, zacznie życie w zupełnie zmienionych warunkach, więc chciałam pana, jako zacnego człowieka i jako jego przyjaciela, prosić o opiekę nad nim. Niech go pan strzeże, niech go pan ochrania przed złymi ludźmi, ale przedewszystkiem niech mu pan przypomina, że obowiązkiem jego jest pisać i pracować dalej. Mnie chodziło nie tylko o uratowanie jego życia, ale i o uratowanie jego zdolności. Niech pisze, niech się wypłaci społeczeństwu nie tylko za siebie, ale i za tych, których Bóg stworzył na chwałę i pomoc ludziom, a którzy zgubili i siebie, i swoje zdolności.

Tu nagle wargi jej pobladły, ręce zacisnęły się i głos uwiązł w gardle. Zdawać się mogło, że nagromadzona w tej duszy rozpacz zerwie na raz wszystkie tamy; po chwili opanowała się jednak i tylko zaciśnięte ręce świadczyły, z jakim jej to przyszło wysileniem.

Połaniecki, widząc jej mękę, sądził, że w tym razie najlepiej będzie zwrócić jej myśl w inną stronę, do rzeczy praktycznych i bieżących, dlatego też rzekł:

— Oczywiście, będzie to niesłychana zmiana w życiu Ignasia; spodziewam się jednak i ja, że mu wyjdzie tylko na dobre... Znając go, trudno przypuścić inaczej. Czy-by jednak pani nie mogła odłożyć tej darowizny na rok, lub przynajmniej pół roku?

— Dlaczego?

— Dla przyczyn, które nie leżą w samym Ignasiu, ale które mogą mieć z nim związek. Nie wiem, czy doszła panią wiadomość, że małżeństwo panny Castelli z Kopowskim jest zerwane i że położenie tych pań jest wskutek tego ogromnie przykre. Przez zerwanie z Ignasem oburzyły na siebie opinie, a teraz znów nazwiska ich są na językach ludzkich. Było-by dla nich doskonałem wyjściem wrócić do Igna-

sia—i można przypuścić, że, dowiedziawszy się o darowiznie pani, będą z pewnością usiłowały to uczynić, a Ignas, zwłaszcza po tak krótkim czasie i tak osłabiony, jak jeszcze jest,—nie wiadomo, czy nie da się pociągnąć...

Panna Helena patrzyła na Połanieckiego ze ściągniętymi z napięcia uwagi brwiami, poczem, zastanowiwszy się nad tem, co powiedział, odrzekła:

— Nie. Ja sędzę, że Ignas wybierze inaczej.

— Odgaduję pani myśl, ale niech pani pomyśli, że on do tamtej był przywiązany nad wszelką miarę, tak, że nie chciał przeżyć jej straty.

I tu stało się coś, czego Połaniecki nie spodziewał się, albowiem panna Helena, tak zawsze władnąca sobą i niemal surowa, rozłożyła bezradnie swoje wychudłe ręce i rzekła:

— Ha! gdyby tak było... gdyby dla niego nie było innego szczęścia, tylko w niej... Och, panie, ja przecie wiem, że on nie powinien tego uczynić, ale są rzeczy, od człowieka mocniejsze, i są takie, których koniecznie potrzeba do życia—a przytem...

Połaniecki spoglądał na nią ze zdziwieniem, ona zaś po chwili dodała:

— Przytem człowiek zawsze może wstąpić na lepszą drogę—póki żyje.

„Nie przypuszczałem, że coś podobnego od niej usłyszę”—pomyślał Połaniecki.

I głośno rzekł:

— W takim razie pójdźmy do Ignasia.

Zawiłowski przyjął wiadomość naprzód ze zdumieniem, a potem z radością, ale była to radość, jakby tylko zewnętrzna. Można było przypuścić, że za pomocą mózgu rozumie, że spotyka go coś ogromnie pomyślnego, i mówi sobie, że trzeba się z tego cieszyć, ale tego sercem nie odczuwa. Serce to objawiło się tylko w trosce i zajęciu, z jakimi począł się wypytywać panny Heleny, co ona zamierza i co się z nią stanie. Panna Helena nie chciała mu odpowiedzieć i, wspomniawszy ogólnikowo, że zamierza usunąć się od życia i że postanowienie jej jest niezachwiane, zaklinała go o to, o co widocznie najwięcej jej chodziło, to jest, żeby nie zgubił swych zdolności i nie zawiódł przywiązanych do siebie ludzi.—Mówiła do niego, jak matka, on zaś, powtarzając: „będę znów pisał, tylko całkiem przyjdę do siebie”—całował jej ręce i miał łzy w oczach. Nie wiadomo jednak było, czy były to łzy współczucia dla niej, czy żal dziecka, którego opuszcza dobra i słodka opiekunka; albowiem panna Helena powiedziała mu, że od tej chwili uważa się za jego gościa w tym domu i że za dwa dni zamysła się usunąć.

Zawiłowski nie chciał się jednak na to zgodzić i wymógł na niej, że zostanie jeszcze przez tydzień, na co wreszcie przystała z obawy, by go nie drażnić i nie zaszkodzić jego zdrowiu. Wówczas, uspokoiwszy się, wpadł w wesołość małego chłopca, którego prośbie uczyniono zadość. W końcu wieczora zamyslił się jednak, jakby coś sobie przypominając, po czem, powiódłszy zdziwionemi oczyma po obecnych, rzekł:

— Dziwna rzecz, ale tak mi się zdaje, jakby to wszystko już niegdyś raz się zdarzyło.

Połaniecki zaś, chcąc wprowadzić weselszy ton do rozmowy, spytał, śmiejąc się:

— Za poprzednich istnień, na innych planetach?—prawda?

— Tak, to już wszystko niegdyś było—powtórzył Zawiłowski:

— I te same wiersze już pisałeś—na księżycu?.

On zaś podniósł leżącą na stole książkę, popatrzył na nią, zamyslił się—i w końcu rzekł:

— Ja znów będę pisał—tylko całkiem przyjdę do siebie.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł. Tegoż jeszcze wieczora panna Ratkowska przeniosła się do swojego pokoiku u pani Mielnickiej.

## XLII.

Rozejście się Osnowskich, którzy w życiu towarzyskiem zajmowali dość wybitne stanowisko, i wielka fortuna, która nagle spadła na Zawiłowskiego, były to najważniejsze nowiny, któremi zajmowało się całe miasto. Ludzie, którzy przypuszczali, że panna Helena wzięta do siebie młodego krewnego dlatego, by się za niego wydać, osłupieli z podziwu. Powstały nowe plotki i przypuszczenia: poczęto szeptać sobie do uszu, iż Zawiłowski był synem starego bogacza i że zagroził siostrze procesem o ukrycie testamentu, która też wołała rzec się wszystkiego i wyjechać za granicę, niż narazić się na skandaliczny proces. Inni wszelako twierdzili, że powodem jej wyjazdu była panna Ratkowska i że między temi paniami miały miejsce niesłychane i oburzające rzeczy, wskutek których szanujące się domy nie puszczają przez próg panny Ratkowskiej. Byli wreszcie i tacy, którzy, występując w imię publicznego dobra, odmawiali wprost panie Helenie prawa do rozporządzania w ten sposób majątkiem, dając przytem do zrozumienia, że sami w danym razie rozporządziliby nim inaczej i zgodniej z pożytkiem powszechności.

Słowem, mówiono wszystko, na co się może zdobyć plotkarstwo, wścibstwo, lekkomyślność i niecna złośliwość. Wkrótce atoli cieka-

wości ogólnej przybył nowy pokarm pod postacią wieści o pojedynku Osnowskiego z Kopowskim, w którym Osnowski został ranny.—Kopowski wrócił też niebawem do miasta ze sławą bohatera nadzwyczajnych przygód miłosnych i orężnych,—głupszy niż kiedykolwiek, ale zarazem piękniejszy niż kiedykolwiek i wogóle tak uroczy, że na sam jego widok młodsze i starsze serca poczynały bić przyspieszonym tętnem.

Osnowski, raniony dość lekko, leczył się w Brukselli. Swirski otrzymał od niego krótką wiadomość wkrótce po pojedynku, że się ma dobrze, że w połowie zimy wybiera się do Egiptu, ale, że przedtem wróci do Przytułowa. Z wiadomością tą przyszedł do Połanieckiego, wyrażając przytem obawę, czy Osnowski nie powróci tylko dlatego, by znów poszukiwać swej krzywdy na Kopowskim.

— Bo tego jestem pewny,—rzekł,—że jeśli on został ranny, to dlatego, że na to pozwolił. Według mnie, on chciał poprostu zginąć. Ja się z nim nastrzelałem niemało u Brufniego i wiem, jak on strzela. Widziałem go, jak zbijał zapalki—i jestem przekonany, że gdyby był chciał Kopusia zdmuchnąć, to tylebyśmy go dziś widzieli.

— Być może,—odpowiedział Połaniecki, — ale skoro mówi o podróży do Egiptu, to widocznie nie ma zamiaru dać się zabić. Owszem, niech jedzie i niech zabierze ze sobą Zawilowskiego.

— Prawda, że i Zawilowski powinien trochę świata zobaczyć. Chciałbym stąd do niego zajrzeć. Jak on się ma?

— Pójdę razem z panem, bom go dziś nie widział. On się dobrze ma, ale jest jakiś dziwny. Pamiętasz pan, jaka to była harda i zamknięta w sobie dusza? Otóż teraz niby zdrów, ale zrobiło się z niego małe dziecko: przy najmniejszej przykrości łyzy ma w oczach.

Po chwili wyszli razem. Po drodze Swirski spytał:

— Panna Helena jest jeszcze przy Zawilowskim?..

— Jest. On tak do serca bierze jej odjazd, że jej go żal. Miała wyjechać za tydzień, a teraz, jak pan widzisz, minął już i drugi.

— Co ona właściwie chce ze sobą zrobić?

— Nikomu wyraźnie nie mówi. Prawdopodobnie wstąpi do jakiego zakonu i będzie się całe życie modliła za Płoszowskiego.

— A panna Ratkowska?

— Panna Ratkowska jest u pani Mielnickiej.

— Czy bardzo Zawilek po niej tęsknił?

— Przez pierwsze dni. Potem jakby zapomniał.

— Jeśli w ciągu roku nie ożeni się z nią, to ja powtarzam swoje oświadczenie. Jak Boga kocham, tak to zrobię. Taka kobieta, jak raz zostanie żoną, to się do człowieka przywiąże.

— Wiem, że panna Helena w duszy-by sobie tego życzyła, żeby on się z Ratkowską ożenił. Ale kto wie, jak się to obróci.

— E! jestem pewny, że się ożeni, a to, co ja mówię, to są marzenia głowy ściętej. Ja się już nie ożenię.

— Żona mi wspominała, że jej to pan wczoraj mówił; ale ona się śmiała z tej groźby.

— To nie groźba, tylko, że nie mam szczęścia.

Dalszą rozmowę przerwał im widok powozu, w którym siedziała pani Krasławska z panią Maszkową. Jechały w kierunku alei, chcąc widocznie zażyć powietrza. Dzień był jasny, ale chłodny—i pani Maszkowa tak była zajęta naciąganiem na matkę ciepłego płaszczyka, że nie spostrzegła ich i nie oddała im ukłonu.

— Byłem u nich onegdaj,—rzekł Swirski: to dobra kobiecina!

— Słyszę, że jest bardzo dobrą córką—odpowiedział Połaniecki.

— To to i ja spostrzegłem, będąc u nich, ale —jak to zwykle staremu sceptykowi—zaraz mi przyszło do głowy, że ona znajduje zarazem upodobanie w roli troskliwej córki. Czyś pan nie zauważył, że kobiety częstokroć robią coś dobrego dlatego, że myślą, iż im z tem ładnie.

I Swirski nie mylił się. Pani Maszkowa znalazła istotnie upodobanie w roli poświęcającej się córki, ale było to już bardzo wiele, bo takie upodobanie wypłynęło jednak z rzeczywistego jej przywiązania do matki i z tego, że na widok jej nieszczęścia coś w niej zbudziło się i zadrgało. Przytem Swirski nie chciał, czy nie umiał uczynić ze swej myśli tego dalszego wyводу, że jak w zakresie tualety kobieta do nowego kapelusza potrzebuje nowego okrycia, nowej sukni i nowych rękawiczek, tak i w zakresie dobra, raz coś posiadłszy, lubi być także od stóp do głów nanowo odziana. W ten sposób odrodzenie się kobiety nie jest nigdy zupełnie niemożliwym.

Ale tymczasem doszli do Zawilowskiego, który przyjął ich z radością, albowiem od niejakiego czasu, jak zwykle powracającym do życia chorym, widok ludzi czynił mu przyjemność. Dowiedziawszy się od Swirskiego, że ten jedzie wkrótce do Włoch, począł się napierać, by go ze sobą zabrał.

— Aha, pomyślał Swirski: więc ci jakoś panna Ratkowska nie w głowie?

Zawilowski począł dowodzić, że oddawna marzył o Włoszech i że czuje, iż nigdzie-by mu się tak nie pisało, jak tam pod temi wrażeniami sztuki i tych wieków, rozsypanych się w ruiny, obwinięte w bluszcz. Śmiał się do tej myśli i unosił, więc pocziwy Swirski zgodził się bez trudności.

— Ale—rzekł,—ja teraz tam długo nie zabawię, bo mam tu do roboty kilka portretów, a przytem obiecałem panu Połanieckiemu wrócić na chrzciny.

Poczem zwrócił się do Połanieckiego:

— No, cóż nareszcie: na chrzciny syna, czy córki?

A Połaniecki odrzekł:

— Niech już będzie co chce, byle Bóg dał szczęśliwie.

I gdy tamci poczęli układać plan podróży, pożegnał się i poszedł do biura. Miał do przejrzenia całą pocztę z dnia zeszłego, więc, zamknąwszy się w swym gabinecie, począł czytać listy i zapisywać do skorowidza te, które dotyczyły spraw, wymagających natychmiastowego załatwienia. Po niejakiem jednak czasie, przerwał mu robotę świeżo przyjęty do biura woźny, który, wszedłszy, oświadczył, że jakaś pani chce się z nim widzieć.

Połaniecki zaniepokoił się. Przyszło mu niewiadomo dlaczego na myśl, że to nie może być kto inny, jak pani Maszkowa. I w przewidywaniu jakichś wyjaśnień i scen, serce poczęło mu bić niespokojnie.

Tymczasem we drzwiach ukazała mu się najniespodziewaniej, uśmiechnięta wesola, twarz, Maryni.

— A co? zrobiłam ci niespodziankę?—rzekła.

Połaniecki zerwał się na jej widok z uczuciem nagłej i ogromnej radości i, chwyciwszy jej rękę, począł je kolejno całować.

— A moja droga! To rzeczywiście niespodzianka!—rzekł.—Skąd-że ci przyszło do głowy tu zajrzeć?

I tak mówiąc, począł przysuwać jej fotel i usadzać ją, jak miłego, a zarazem znakomitego gościa. Z rozpromienionej jego twarzy widać było, jaką jej obecność czyni mu przyjemność.

— Mam ci coś ciekawego do pokazania,—rzekła Marynia,—a że trzeba mi i tak dużo chodzić, więc tu zaszłam. A ty co myślałeś? że to kto? przyznaj mi się zaraz!

To rzekłszy, poczęła mu przegrażać, śmiejąc się, on zaś odrzekł:

— Tu się tyle interesów załatwia. W każdym razie nie myślałem, że to ty. Co masz mi do pokazania?

— Patrz, jaki list odebrałam.

„Droga i kochana pani! Zdziwi to może panią, że się do niej udaję, ale pani, która masz zostać wkrótce matką, jedna na świecie zrozumiesz, co musi się dziać w sercu matki (choćby była tylko ciotką), która widzi nieszczęście swego dziecka. Niech mi pani wierzy, że nie chodzi mi o nic innego, jak o przyniesienie chwilowej chociaż ulgi nieszczęśliwemu dziecku, a chodzi mi o to tem bardziej, że w tem wszystkim, co się stało, ja sama głównie zawiniłam. Może i te słowa panią

zdziwią, ale tak jest! Ja zawiniłam, bo że zły i zepsuty człowiek, w chwili, gdy Niteczce zrobiło się źle i gdy straciła przytomność, ośmielił się dotknąć jej swojemi niegodnymi ustami, to nie powinnam była z tego powodu głowy tracić i z dziecka czynić ofiary. Winien wprawdzie i Józio Osnowski, który kwestyę małżeństwa postawił na ostrzu noża—i, jeśli, podejrzewając już coś, chciał w ten sposób pozbyć się z domu Kopowskiego, to niech mu to Bóg przebaczy, bo nie godzi się bronić siebie kosztem cudzego szczęścia i życia. Ach, panil mnie w pierwszej chwili także się zdawało, że jedynem wyjściem jest małżeństwo z tym niegodziwcem i że Niteczka nie ma już prawa zostać żoną Ignasia. Pisałam nawet unyślnie do niego, że ona poszła za popędem serca i że oddaje tamtemu rękę z przywiązania, i myślałam, że w ten sposób Ignas przeniesie łatwiej jej stratę i chciałam zmniejszyć jego boleść... Niteczka dla Kopowskiego! Bóg miłościwy tego nie dopuścił, a gdy i ja także spostrzegłam, że było-by to śmiercią dla Niteczki, obie myślałyśmy już tylko o tem, jak się uwolnić z tych więzów. Dziś nie chodzi mi też już o powrót do dawnych stosunków, bo i Niteczka tak straciła wiarę w ludzi i życie, że prawdopodobnie nigdy-by się na to nie chciała zgodzić. Ona nawet nie wie, że piszę ten list. Gdyby kochana pani widziała, jak ona przyplącała to wszystko zdrowiem i jak okropnie odczuła postępek pana Zawilowskiego, miała-by pani nad nią litość. On nie powinien był tego robić, choćby ze względu na nią; niestety!—mężczyźni w takich razach liczą się tylko z własną wolą. Ona tyle w tem wszystkim winna, ile nowonarodzone dziecko; ale ja patrzę na to, jak mi niknie w oczach i jak od rana do wieczona gryzie się tem, że stała się mimowolną przyczyną jego nieszczęścia i że mu mogła złamać życie. Wczoraj ze łzami w oczach prosiła mnie, bym, w razie jej śmierci, była matką dla Ignasia i opiekowała się nim, jak własnym synem. Co dzień mówi o tem, że on musi ją przeklinać, a mnie serce pęka, bo doktor powiedział, że za nic nie ręczy, jeśli taki stan potrwa. Bóg miłosierny! ale niech i pani przyjdzie z pomocą rozpaczy matki: niech pani choć od czasu do czasu doniesie mi coś o Ignasiu, a raczej niech pani napisze mi, że jest zdrow, spokojny, że o niej zapomniał i że jej nie przeklina—żebym mogła pokazać jej ten list i przynieść choć trochę ulgi w cierpieniu. Ja czuję, że piszę nawpół przytomnie, ale pani zrozumie, co się we mnie dzieje, jak patrzę na tę nieszczęśliwą ofiarę. Bóg to pani wynagrodzi, a ja będę się codziennie modliła, aby córka pani, jeśli Bóg da wam córkę, była szczęśliwsza od mojej biednej Niteczki.”

— Cóż ty o tem myślisz?—spytała Marynia.

— Ja myślę,—rzekł Połaniecki,—że wieść o zmianach w losie Zawilowskiego rozeszła się dostatecznie szeroko, a powtóre, myślę, iż ten



list, przesłany pod twoim adresem, przeznaczony jest rzeczywiście dla Ignasia.

— To być może. To nie jest szczyry list. Ale one jednak mogą być bardzo nieszczęśliwe.

— Pewno, że nie musi im być wesoło. Osnowski miał słuszność, pisząc, że w tem wszystkim jest jeszcze i dla Broniczowej ogromny zawód, i że ona napróżno chce samą siebie oszukać. A co do panny Castelli, wiesz, co mi powiedział Swirski? Nie powtórzę ci jego dosadnych słów, ale powiedział, że teraz może ją wziąć chyba albo głupiec, albo człowiek bez moralnej wartości. One same to rozumieją i pewno, że im nie wesoło. Być może, że i sumienie się odzywa, ale patrz jednak, ile w tym liście wykretów. Nie pokazuj go Ignasiowi.

— Nie. Nie pokażę,—odpowiedziała Marynia, której najgorętsze życzenia były po stronie panny Ratkowskiej.

A Połaniecki, idąc za myślą, która go nurtowała oddawna, powtórzył jej niemal dosłownie to, co powtarzał sobie samemu:

— Jest jakaś logika, która karze, i one zbierają to, co posiały. Zło, jak fala, odbija się od brzegu i wraca.

Na to Marynia poczęła kreślić parasolką figury po podłodze, jakby się nad czemś namyślając; potem zaś, podniosłszy na męża swoje jasne oczy, rzekła:

— Prawda, mój Stachu, że zło wraca, ale może także wrócić jako zgryzota i jako żal, a wówczas Pan Bóg poprzestaje na takiej pokucie i więcej nie karze.

Gdyby Marynia, wiedząc nawet, co mu dolega, chciała złagodzić jego udręczenia i dodać mu otuchy, nie potrafiła-by wynaleźć nic lepszego nad tych kilka prostych słów. Połaniecki żył od niejakiego czasu pod przeczuciem, że musi go spotkać jakieś nieszczęście, i pod ustawicznym przed niem strachem. Dopiero od niej dowiedział się, że ową powracającą falą może być sama jego zgryzota i żal.—Tak! nagryzł się nie mało i żalu w nim nie brakło, a czuł również, że gdyby to mogło być zadośćuczynieniem, byłby gotów przycierpieć jeszcze dwakroć mocniej.—Tymczasem brała go ochota porwać w ramiona tę pełną prostoty i prawości kobietę, od której płynęło na niego tylko dobro—i jeśli tego nie uczynił, to jedynie z obawy wzruszeń dla niej, ze względu na jej stan i ową nieśmiałość, która go w stosunku do niej krępowała. Natomiast podniósł do ust jej rękę i rzekł:

— Ty masz słuszność—i jesteś bardzo dobra.

A ona, rada z pochwały, uśmiechnęła się do niego i poczęła zbierać się do domu.

Gdy wyszła, Połaniecki zbliżył się do okna i odprowadzał ją oczyma. Zdaleka widział jej przegiętą postać, posuwającą się ocię-

żałym krokiem, oraz ciemne włosy, wyglądające z pod kapelusza—i w tej chwili odczuł z nową, większą niż kiedykolwiek, siłą, że to jest jego najdroższa w świecie istota—i że ją jedną kocha i będzie kochał do śmierci.

## XLIII.

W dwa dni później Połaniecki odebrał od Maszki kartkę, zawierającą parę słów pożegnania. „Wyjeżdżam dziś (pisał Maszko). Będę się starał koniecznie jeszcze wpaść do ciebie, ale na wszelki wypadek żegnam cię i dziękuję ci za wszystkie dowody przyjaźni, jakie mi okazałaś. Niech ci Pan Bóg szczęści lepiej, niż mnie dotąd szczęścił. Bardzo-bym chciał zobaczyć się z tobą choć na minutę—i jeśli będę mógł, wpadnę do ciebie koło czwartej do biura. Tymczasem powtarzam prośbę, byście pamiętali o mojej żonie i przygarnęli ją trochę, gdy ludzie ją opuszczają. Ciebie proszę również, byś mnie przed nią bronił przeciw ludzkim językom. Wyjeżdżam do Berlina—o dziewiątej wieczór—i zupełnie otwarcie. Do widzenia, a w każdym razie bądź zdrów—i raz jeszcze, dzięki za wszystko!”—Maszko.

Połaniecki poszedł koło czwartej do biura, ale przeszło godzinę czekał na próżno.—„Nie przyjdzie,—pomyślał wreszcie—tem lepiej!” I poszedł do domu z poczuciem pewnego zadowolenia, że udało mu się uniknąć kłopotliwego spotkania. Wieczorem jednak poczęło się w nim budzić pewne politowanie dla Maszki. Pomyślał, że to jest człowiek, który wprawdzie szedł złą i gorączkową drogą, ale się namęczył i naszarpał, a w końcu ciężko przyplącił,—że to wszystko, co się stało, było dawno do przewidzenia, jeżeli zatem ci, którzy to przewidywali, żyli z nim i przyjmowali go u siebie, nie powinni teraz okazywać mu pogardy w chwili upadku.—Rozumiał też, ile Maszce sprawi przyjemności swoim przybyciem na kolej—i po chwili wahania—poszedł.

Po drodze przypomniał sobie, że prawdopodobnie znajdzie na dworcu i panią Maszkową, lecz wiedział, że i tak musi ją spotykać, a sądził, że cofnąć się z tego powodu było-by jakimś marnem tchórzostwem.

Z temi myślami wszedł na dworzec. W niewielkiej salce pierwszej klasy było już kilka osób i na stołach leżały całe stosy ręcznych tobołków, lecz nigdzie nie mógł dostrzedz Maszki, i dopiero rozejrzawszy się dokładnie, rozpoznał w młodej zakwiefionej damie, siedzącej w kącie sali, panią Maszkową.

— Dobry wieczór,—rzekł, zbliżywszy się ku niej.—Przychodzę pożegnać pani męża. Co się z nim dzieje?

Ona, skinąwszy mu lekko głową, odrzekła zwykłym sobie chłodnym głosem:

- Mój mąż kupuje bilety. Zaraz przyjdzie.
- Jak to bilety? Czyby i pani miała z nim jechać?
- Nie; mój mąż kupuje bilet.

Dalsza rozmowa w tych warunkach przedstawiała się dość trudno; po chwili jednak wszedł Maszko, w towarzystwie kolejowego służącego, któremu oddawał bilet i pieniądze z poleceniem wyeksperymentowania rzeczy. Przybrany w długi płaszcz z peleryną i w miękki filcowy kapelusz, wyglądał razem ze swemi długimi faworytami i ze złotymi binoklami na jakiegoś podróżującego dyplomatę. Połaniecki też łudził się, że Maszko okaże nadzwyczajną radość z jego przybycia. Maszko, ujrawszy go, rzekł wprawdzie: „Ach, jakżem ci wdzięczny, żeś przyszedł!”—ale jakby z pewną niedbałością i z pośpiechem zwykłym u ludzi, którzy wyjeżdżają.

— No, ozwał się, rozglądając się po sali: wszystko załatwione! ale gdzie to są moje ręczne pakunki!—A są!—Dobrze!

Poczem zwrócił się do Połanieckiego i powtórzył:

— Dziękuję ci, żeś przyszedł. Zrób-że mi w takim razie jeszcze jedną łaskę i odwieź żonę do domu, albo przynajmniej wyjdź z nią razem i pomóż jej odnaleźć powóz. Tereniu, pan Połaniecki odwiezie cię do domu. Mój drogi, chodź na chwilę, mam ci jeszcze coś powiedzieć.

I wzięwszy Połanieckiego na bok, począł mówić gorączkowo:

— Odwieź ją koniecznie. Ja swój wyjazd upozorowałem, ale ty, tak, mimochodem, powiedz jej, że dziwisz się, iż na tak krótko przed terminem sprawy wyjeżdżam, bo, gdyby mnie jaki wypadek zatrzymał, sprawa musiała-by być przegrana. Chciałem u ciebie być, żeby cię właśnie o to prosić, ale, jak to wiesz... w dniu wyjazdu.. Termin za tydzień!. Ja zachoruję; stanie za mnie mój dependent, który jest poczynającym adwokatem—i oczywiście przegra. Ale rzecz będzie upozorowana przez wypadek. Żonę zabezpieczyłem. Wszystko jest na jej imię i nie zabiorą jej jednej szklanki.—Sam też mam jeden pomysł, z którym udam się do Towarzystwa budowy okrętów w Antwerpii. Jeśli zrobię układ, lasy zadrżą w całym kraju, ale kto wie, czy w takim razie nie wrócę, bo cała sprawa o Płoszów jest wobec tego drobnotką. Nie mogę mówić obszerniej!—Gdyby nie te ciężkie chwile, które przejść musi moja żona, bronił-bym się zgryzocie, ale to mnie dusi tak!

Tu pokazał ręką na gardło, a potem mówił jeszcze śpieszniej:

— Niestety na mnie spadło, ale niestety może spaść na każdego. Zresztą za późno o tem mówić. Jak było, tak było, alem robił, co mógł, i jeszcze zrobię, co będę mógł. I to dla mnie ulga, że ty

także swoje wydobędziesz—choćby z Krzemienia! Żebym miał czas powiedzieć ci, co mam za pomysł, sam-byś przyznał, że lada komu-by nie przyszedł do głowy. Być może, że będę miał interesa i z waszą spółką. Widzisz, że się nie daje... I żonę zabezpieczyłem zupełnie.—Ha! stało się! stało! Inny na moim miejscu gorzej-by skończył. Czy nie prawda? Ale wracajmy teraz do żony.

Połaniecki słuchał z pewną przykrością słów Maszki. Podziwiał wprawdzie jego duchową niepożytość, ale jednocześnie czuł, że brak w nim jakiejś równowagi, która różni przedsiębiorczego człowieka od przedsiębiorczego awanturnika. I zdawało mu się, że w Maszce jest już coś z przyszłego wytartego wygi, który będzie się jeszcze długo rzucał, ale razem ze swemi pomysłami będzie spadał coraz niżej, aż skończy na wykrzywionych bótach i drugorzędnej kawiarni i opowiadaniach wśród tak samo „załamanych” o swojej dawnej wielkości.—Pomyślał także, że powód tego wszystkiego, to życie, oparte od początku na nieprawdzie, i że Maszko, przy całej swej inteligencji, nigdy nie potrafi się z pęt nieprawdy wydobyć.

Oto udawał jeszcze i teraz przy żonie. Poniekąd musiał to czynić,—ale, gdy sala poczęła się napełniać ludźmi, a między nimi niektórzy znajomi przychodzili ich witać i zamienić parę takich prędkich słów, jakie zamienia się na kolejach; Maszko odzywał się do nich z takim jakimś odcieniem wyższości i łaski, że Połanieckiego brała złość. „I pomyśleć, mówił sobie, że on ucieka przed wierzycielami; co-by było, gdyby ten człowiek doszedł kiedykolwiek do fortuny!”

Ale tymczasem ozwał się dzwonek, a z za okien dał się słyszyć pośpieszny oddech lokomotywy. Ludzie poczęli się ruszać i śpieszyć: —„Ciekawym, co się w nim teraz dzieje?” pomyślał Połaniecki. Lecz on i w takiej chwili nie mógł wydobyć się z więzów kłamstwa. Być może, że serce ścisnęło mu się złem przeczuciem, że miał błysk jasnowidzenia, iż tej żony, którą kochał, więcej nie zobaczy, że jedzie na nędzę, na poniewierkę, na upadek, ale nie wolno mu było ni okazać tego, co czuł, ani nawet pożegnać żony tak, jakby chciał.

Ozwał się drugi dzwonek. Wyszli na peron i Maszko zatrzymał się jeszcze chwilę przed sleepingiem. Blask latarni padał prosto na jego twarz, na której pojawiły się około ust dwie zmarszczki. Lecz mówił spokojnie, tonem człowieka, którego interesa zmuszają do kilkunastu wyjazdu i który jest pewien, że wróci.

— No, do widzenia, Teresiu. Ucałuj odemnie ręce mamy i bądź mi zdrowa. Do widzenia! do widzenia!

To mówiąc, podniósł jej rękę, którą jednak długo trzymał przy ustach.

A Połaniecki, usunąwszy się umyślnie nieco na bok, myślał:

— Oni się widzą ostatni raz. Za jakie pół roku nastąpi urzędowa separacya.

I uderzył go szczególny los tych obydwóch kobiet, jednaki dla matki i córki. Obie wyszły za mąż z wszelkimi pozorami świetności—i obydwóch mężowie musieli odbić od domowego ogniska, pozostawiając żonom tylko wstyd.

Lecz tymczasem zadzwoniono po raz trzeci. Maszko wsiadł do wagonu. Przez chwilę w szerokiej szybie sleepingu widać było jeszcze jego faworyty i złote binokle, po czem pociąg zasunął się w ciemność.

— Służę pani,—rzekł Połaniecki.

I był prawie pewien, że pani Maszkowa podziękuje mu sucho za towarzystwo. Był nawet z tego powodu zły, albowiem postanowił powiedzieć jej coś nietylko o mężu, ale i od siebie.—Lecz ona skłoniła głowę na znak zgody. Miała także swój plan. W sercu jej zebrało się oddawna tyle gorzkiej niechęci i urazy dla Połanieckiego, iż, w przypuszczeniu, że on może znowu zechce skorzystać z chwili, którą mieli spędzić samowtór, postanowiła dać mu odprawę, którą-by długo popamiętał.

Lecz myliła się najzupełniej. Naprzód, on przez nią rozbił się, jak łódź o skałę, i z tego powodu przez jakiś czas czuł dla niej nietylko niechęć, ale i nienawiść. Powtóre, jeśli później, przez coraz wyraźniejsze poczucie, że wina jest wyłącznie po jego stronie, nienawiść ta przeszła, to zmienił się tak dalece, że był już niemal zupełnie innym człowiekiem. Kupiecki obrachunek ze samym sobą nauczył go, że za podobne wybryki za drogo się płaci; był w fazie ogromnej tęsknoty za życiem bez oszustwa, a wreszcie zgryzota i żal tak przeżarły w nim żądzę, jak rdza przeżera żelazo. Pomagając jej teraz wsiadać do pociągu i dotknąwszy jej ramienia, pozostał spokojny—i wsiadłszy, począł jej zaraz mówić o Maszce, sądził bowiem, że przez samo uczucie ludzkości należy przygotować ją na przyszłą katastrofę i złagodzić jej znaczenie.

— Podziwiam odwagę męża pani,—rzekł.—Niech w czasie jego pobytu w Berlinie runie jeden most na kolei, to nie będzie mógł wrócić na sprawę, od której,—jak pani zapewne wiadomo,—cały jego los zależy. Musiał wyjechać dla ważnych powodów, ale to zawsze hazard.

— Mosty są mocne—odpowiedziała pani Maszkowa.

Lecz on, niezrażony tą, niezbyt zachęcającą, odpowiedzią, mówił dalej, odchylając przed nią stopniowo zasłonę przyszłości, i mówił tak długo, że tymczasem przybyli przed mieszkanie Maszków. Wówczas ona, nie rozumiejąc widocznie znaczenia jego słów, a może zła, że nie

miała sposobności dania mu zamierzonej odprawy, rzekła, wysiadłszy już z karety:

— Czy pan ma jaki osobisty cel w tem, żeby mnie niepokoić?

— Nie, pani,—odrzekł Połaniecki, który uznał, że nadszedł czas powiedzenia jej tego, co jej postanowił powiedzieć od siebie.—W stosunku do pani mam tylko jeden cel, oto oświadczyć, że względem pani niegodnie zawinił—i że panią z całej duszy przepraszam.

Lecz młoda kobieta, nie odpowiedziałwszy ani słowa, weszła do sieni. Połaniecki do końca życia nie dowiedział się, czy było to milczenie nienawiści, czy przebaczenia.

Jednakże wracał do domu z pewną ulgą, albowiem zdawało mu się, że powinien był tak postąpić. Był to w jego oczach mały akt pokuty—było mu zaś wszystko jedno, jak pani Maszkowa go zrozumiała. Może sądzi, mówił sobie, że ją przepraszal za moje późniejsze postępowanie, w każdym razie będę jej teraz śmieiej w oczy patrzył.

I w tej jego myśli było niezawodnie trochę egoizmu, ale była i wola wyjścia z manowców.

#### XLIV.

Panna Helena odebrała również przed wyjazdem od pani Broniczowej list, w rodzaju tego, który odebrała Marynia, i również, jak Marynia, nie pokazała go Zawilowskiemu. Zresztą i Zawilowski wyjechał razem ze Swirskim w tydzień później, nie odwiedzwszy nikogo ze znajomych, z wyjątkiem panny Ratkowskiej. Sam Swirski odwiódł go od wszelkich odwiedzin i Połaniecki, w rozmowach z żoną, przyznawał mu zupełną słuszność.—„Teraz (mówił) było-by to przykre i dla Ignasia, i dla nas. Co innego ci, którzy go codzień odwiedzali—bo ci do niego przywykli, ale nikt z innych nie mógł-by się powstrzymać, by mimowoli nie spoglądać na ślad, jaki mu na czole pozostał. Zresztą Ignasz zmienił się bardzo. Przez podróż przyjdzie zupełnie do siebie i gdy wróci, my przyjmijemy go, jakby nic nie zaszło, a obcy będą w nim przedewszystkiem widzieli bogatego panicza.”

I tak mogło być rzeczywiście. Ale tymczasem przez ów wyjazd wokół Połanieckich uczyniło się pusto. Kółko ich znajomych rozproszyło się na wszystkie strony. Osnowski bawił ciągle w Brukselli; o niej nikt dobrze nie wiedział, gdzie jest. Pani Broniczowa z panną Castelli siedziały w Paryżu; zbrakło również domu Zawilowskich; pani Krasławska z córką zamknęły się i żyły tylko jedna dla drugiej, a na koniec choroba przykuła biedną panią Emilię raz na zawsze do łóżka.

Pozostali tylko Bigielowie i profesor. Ale on był również chory, a przytem, zdziwaczał tak bardzo, że dalsi mieli go wprost za waryata. Inni mówili z pewną irqnią, iż człowiek, który spodziewa się, że duch chrześcijański przeniknie tak samo w dzieje, jak przeniknął w stosunki prywatne, nie może być chyba przy zdrowych zmysłach. On sam począł też myśleć o śmierci i czynić do niej przygotowania. Często powtarzał Połanieckiemu, że chciał-by umrzeć w „sieni do innego świata”—i wybierał się w tym celu do Rzymu. Ale, kochając bardzo Marynię, pragnął doczekać się przedtem jej słabości.

W ten sposób czas płynął Połanieckim w wielkiem osamotnieniu. Było ono zresztą potrzebne i dla Maryni, która w ostatnich dniach czuła się mocno niezdrowa, i dla jego usposobienia. Połaniecki pracował w biurze,—i nad sobą; wyrabiał w sobie nowego człowieka i czuwał nad żoną, ona zaś również przygotowywała się do nowej w życiu epoki—i przygotowywała się wesoło, albowiem zdawało jej się, że sama jej zapowiedź wpływa doskonale na ich oboje. Połaniecki stawał się z każdym dniem jakiś mniej bezwzględny, wyrozumialszy w sądach o ludziach i łagodniejszy, nietylko w stosunku do niej, ale w stosunku do wszystkich, z którymi go stykało życie. Ją otaczał wyjątkową, uprzedzającą troskliwością, a jakkolwiek przypuszczała, że troskliwość owa ma na celu nietylko jej osobę, ile dziecko—uznała to za słusne i była mu wdzięczna. Dziwiła ją czasem pewna nieśmiałość i jakby pewne wahanie się w jego obejściu, ale, nie mogąc odgadnąć, że to jest tylko powstrzymywanie uczucia dla niej, przypisywała podobne objawy obawie Stacha o to, czy wszystko odbędzie się szczęśliwie.

I w tych warunkach poczęły uchodzić całe tygodnie. Jednostajność ich przerywały czasem listy Swirskiego, który, gdy mógł złapać wolną chwilę, donosił co mógł, o Zawilowskim i o sobie. W jednym z tych listów pytał w imieniu Zawilowskiego, czy pani Połaniecka pozwoli, by ten opisy swych wrażeń posyłał pod formą listów do niej — „Mówiliśmy z nim o tem obszernie (pisał Swirski). On utrzymuje na-przód, że i pani może będzie przyjemnie mieć echa z kraju, który pani pozostawił tyle miłych wspomnień, a powtóre, że to bardzo ułatwia robotę, gdy się pisze jakby prywatnie.—Jest zdrow, chodzi, jada i sypia doskonale. Co wieczór widuję go też, jak siada do biurka i zabiera się do pisania. Uważałem, że próbuje i wierszy. Jakoś to nie idzie, bo dotąd, o ile wiem, nic nie napisał—przypuszczam jednak, że powoli i wszystko się odnajdzie, a tymczasem może forma listów istotnie ułatwić mu pracę. Dodaję na ostatek, że pannę Helenę wspomina z ogromną wdzięcznością, a na każde wspomnienie o paninie Ratkowskiej rozpromienia się w oczach. Ja zaś często mu o niej wspominam, bo cóż mam biedny robić. Jak co nie przeznaczone, to i niema rady, a jak

komu pisane, że musi zostać kołkiem w płocie—to nie puści liści i na wiosnę.”

W połowie listopada przyszedł jednak z Rzymu list, który obojgu Połanieckim dał dużo do myślenia. Swirski pisał, co następuje:

— „Wyobraźcie sobie państwo, że jest tu pani Broniczowa i panna Castelli—i ztem się z niemi widział. Ja w Rzymie, jak w domu, więc o ich przyjeździe dowiedziałem się zaraz na drugi dzień. I wiecie, com na razie zrobił? Oto namówilem Ignasia do Sycylii, w czem zresztą nie miałem wiele trudności. Pomyślałem, że będzie siedział w Syrakuzach i w Taorminie, a gdyby wypadkiem wpadł w ręce „maffii”, mniej drogo zapłaci za wykup, niż już zapłacił za prawo noszenia przez pewien czas pierścionka panny „Niteczki.”—Mówilem sobie, że jeśli się mają spotkać gdziekolwiek na świecie i godzić, niech-że się sobie spotykają i godzą, ale nie chciałem brać tego na własne sumienie, zwłaszcza po tem wszystkim, co zaszło.—Ignas jest niby zdrow, ale umysłowo nie przyszedł jeszcze do siebie i w tym stanie mógł-by łatwo być doprowadzony do czegoś, czego-by potem całe życie żałował. Co do tych pań, domyśliłem się odrazu, dlaczego one tu przyjechały, i cieszyłem się w duszy, ztem im pomieszał szyki,—że zaś domysł mój był trafny, to dowód, że w kilka dni później przyszedł do Ignasia list, na którym rozpoznałem charakter szanownej wdowy po nieboszczyku Teodorze.—Napisałem na kopercie, że Zawilowski wyjechał, nie wiadomo dokąd, i list odesłałem retro.”

„To jednak dopiero początek historii. Nazajutrz odbieram list ja, z wezwaniem na rozmowę. Odpisuję, że z żalem muszę odmówić, ale moje zajęcia nie pozwalają mi na zrobienie sobie tej przyjemności. Na to odbieram drugą kartkę, już z odwołaniem się do mego charakteru, talentu, pochodzenia, serca, współczucia dla nieszczęśliwej kobiety —i z prośbą, bym, albo sam przyszedł, albo wyznaczył godzinę w pracowni. Nie było rady—poszedłem. Przyjęła mnie sama pani Broniczowa, ze łzami i z całym potokiem opowiadań, których nie będę powtarzał, ale w których „Niteczka” ukazuje się, jak Św. Agnieszka-męczennica. Pytałem, czem mogę służyć. Powiedziała mi, że tu nie chodzi o nic innego, jak o dobre słowo ze strony Zawilowskiego, że „dziecko jest chore, kasle i prawdopodobnie roku nie przeżyje, ale chce umrzeć ze słowem przebaczenia.” Na to, wyznaję, ztem trochę zmiękł, alem się trzymał. Nie mogłem zresztą dać adresu Zawilowskiego, bom nie wiedział rzeczywiście, w którym hotelu się zatrzyma. Pociłem się, jak w łaźni, i w końcu przyrzekłem tam coś ogólnikowo, że, jeśli Ignas zacznie kiedy pierwszy ze mną mówić o panie Castelli, to go będę namawiał, by postąpił zgodnie z chęcią pani Broniczowej.”



„Ale to wszystko jeszcze nic. W chwili, gdym myślał o odwrocie, weszła nagle sama panna Lineta i zwróciła się do ciotki z prośbą, by mogła ze mną sam na sam pomówić. Nawiasem powiem państwu, że wychudła i że wydała mi się jeszcze wyższa, niż zwykle, prawdziwie jak „topolka”, którą lada wiatr może złamać. Ledwośmy zostali sami, zwróciła się ku mnie i powiedziała mi tak: „Ciocia próbuje mnie uniewinnić i robi to wszystko z miłości dla mnie, więc jestem jej wdzięczna, ale ja nie mogę tego przenieść i oświadczam panu, że jestem winna, że jestem zła, że jestem nic nie warta, i że, jeśli jestem nieszczęśliwa, to stokrotnie na to zasłużyłam.”—Usłyszawszy to—zdumiałem, ale widziałem, że mówi szczerze, bo jej się usta trzęsły i oczy zaćmiły. Mówcie sobie państwo, że mam maślane serce, ale wyznaję, że się grubo wzruszył i spytałem, co mogę dla niej uczynić. Na to odpowiedziała mi, że nic, ale prosiła, żebym wierzył przynajmniej w to, że ona w tych usiłowaniach cioci do nawiązania na nowo stosunku nie bierze żadnego udziału, że jej się po postępku Zawilowskiego otworzyły oczy na to, jaka ona jest, co zrobiła, i że tego nigdy w życiu nie zapomni. W końcu powtórzyła raz jeszcze, że ona jedna wszystkiemu winna i prosiła, żebym tę naszą rozmowę powtórzył Zawilowskiemu, ale nie teraz, tylko kiedyś, gdy jej już nie będzie mógł posądzać, że go chce wzruszyć.”

„No i co? Dalibyście czemuś podobnemu wiare? Ja widzę jasno dwie rzeczy: Naprzód, że ją zamach Zawilowskiego na siebie musiał, bądź co bądź, okropnie wstrząsnąć, a powtóre, że jest bajecznie nieszczęśliwa i kto wie, czy rzeczywiście nie chora. Przychodzi mi też na myśl to zdanie pauny Heleny Zawilowskiej, któreś mi pan powtórzył, że o człowieku niewolno wątpić, póki żyje. W każdym razie jest to rzecz nadzwyczajna. Wierzę też, że gdyby nawet Zawilowski chciał teraz do niej wrócić, ona nie zgodziłaby się na to, tylko dla tego, że się go nie czuje godna. Co do mnie, myślę, że na świecie jest wiele lepszych i szlachetniejszych od niej natur kobiecych, ale niech mnie licho porwie, jeśli będę działał przeciw niej.”

W dalszym ciągu następowały zapytania o zdrowie i ukłony dla państwa Bigielów.

List ten uczynił wielkie na wszystkich wrażenie i dał powód do licznych rozpraw między Połanieckimi i Bigielami. Pokazało się też zarazem, jak dalece zmienionym człowiekiem jest Połaniecki. Dawniej nie znalazł-by był dość słów potępienia dla panny Castelli i nie był-by nigdy uwierzył, że w tego rodzaju kobiecie może się odezwać jakaś struna uczciwsza; obecnie zaś, gdy pani Bigielowa, (która, jak i inne panie, ciałem i duszą należała do stronnictwa panny Ratkowskiej) wy-

raziła wątpliwość, czy nie jest to tylko odmienna taktyka ze strony panny Castelli,—rzekł:

— Nie, ona na to zbyt młoda i wydaje mi się w tem szczerą. To już jest wielka rzecz, jeśli tak bezwzględnie uznaje swoją winę, bo to dowodzi, że jej zbrzydła życiowa nieprawda.

Po chwili zaś zastanowienia dodał:

— Ja pamiętam, jak naprzykład taki Maszko—nieraz niby uznawał, że idzie błędną i fałszywą drogą, ale natychmiast szukał po-za sobą przyczyn, które-by go mogły usprawiedliwić: „U nas tak trzeba”; „to wina naszego społeczeństwa”; „płacę takimi pieniędzmi, jakie mają kurs!”—Com się tego nasłuchał! I to była również nieprawda.— Tymczasem jest pewna odwaga w powiedzeniu: moja bezwzględna wina!—i kto tę odwagę ma, temu jeszcze coś zostało.

— Więc pan sądzi, że Zawilowski dobrze-by zrobił, wróciwszy do niej?

— Ani tak sądzę, ani przypuszczam, by się to stać mogło.

Lecz żywe zajęcie, rozbudzone wiadomościami z Rzymu, oraz troska o Zawilowskiego i pannę Castelli, przeszły wkrótce pod naciskiem poważniejszej troski, jaka zawisła nad domem Polanieckich. Pod koniec listopada zdrowie Maryni poczęło się psuć widocznie. Psuło się zresztą już oddawna, ale ona ukrywała to, póki mogła. Przychodziły na nią teraz ciężkie bicia serca i osłabienie tak wielkie, iż bywały dnie, w których nie mogła poruszyć się z fotelu. Następnie dołączyły się do tego bóle krzyża i zawroty głowy. W ciągu tygodnia zmieniła się w oczach i wychudła do tego stopnia, że nawet lekarze, którzy aż dotąd uważali te objawy za zwykłą zapowiedź zbliżającej się słabości, poczęli się niemi niepokoić. Przezroczysta jej twarz przybierała teraz czasem odcień błękitnawy i, zwłaszcza w chwilach, gdy chora trzymała oczy zamknięte, stawała się podobną do twarzy umarłej. Nawet pani Bigielowa, największa optymistka w otoczeniu, nie mogła w końcu oprzeć się obawom, lekarz zaś oświadczył wprost Polanieckiemu, że w takich warunkach oczekiwane przejście może być niebezpieczne, i samo w sobie, i w następstwach. Naprawdę, jedna tylko Marynia, lubo codzien ślabsza i więcej wyczerpana, nie traciła otuchy.

Polaniecki zaś ją tracił. Przyszedł na niego czas tak ciężki, że wszystkie bóle i zmartwienia, jakie trafiło mu się w życiu przechodzić, wydały mu się niczem w porównaniu z tym straszliwym niepokojem, przechodzącym częstokroć w zupełną utratę nadziei.—Niegdyś, po ożenieniu się z Marynią, w jego pojęciach o małżeństwie i nadziejach na przyszłość, dziecko było czemś głównem; teraz dopiero uczuł, że od-

dał-by nie jedno, ale wszystkie dzieci, jakie kiedykolwiek mógł mieć, byle uratować tę jedyną, kochaną głowę. I serce krajało mu się, gdy czasem Marynia powtarzała swym osłabionym głosem pytanie, które i przedtem nieraz mu zadawała: „Stachu, a jeśli będzie chłopiec?”—Radby był upaść jej do nóg i objąwszy je, powiedzieć: „niech licho porwie chłopca, czy dziewczynę, byleś została mi ty!”—musiał zaś uśmiechać się do niej i zapewniać ją spokojnie, że mu to wszystko jedno. Opadły go znów dawniejsze strachy—i owa nadzieja, którą w nim wzbudziły słowa Maryni, że fala złego wraca przy łasce bożej tylko jako żal, rozwiała się bez śladu. Teraz chwilami miewał znowu poczucie, że choroba Maryni może być właśnie taką powracającą falą. Jakim sposobem tak mogło być, na to nie miał odpowiedzi, ale próżno rozum mówił mu, że naprzykład, między występkiem pani Osnowskiej, lub panny Castelli, a karą, jaka je spotkała, istnieje bezpośredni związek. którego tu niemasz. Strach odpowiadał mu na to, że zło może się filtrować przez życie tak tajemniczymi drogami, iż rozum ludzki nigdy ich nie wysledzi. I na tę myśl ogarniała go jakaś wprost mistyczna bojaźń. Człowiek w nieszczęściu traci zdolność do ścisłych rozumowań i żyje pod uciskiem groźby—i pod takim uciskiem żył Połaniecki. Widział tylko przepaść i własną bezsilność. Nieraz, patrząc na wynędzniałą twarz Maryni, mówił sobie: „Trzeba być szalonym, żeby przypuścić, iż ona może nie umrzeć!”—a jednocześnie szukał rozpaczliwie na twarzach otaczających choć cienia nadziei, i każdą kroplą krwi, każdą cząstką mózgu, całą duszą i sercem buntował się przeciw jej śmierci. Wydawało mu się to niepojętą krzywdą, żeby ona miała zamknąć nazawsze oczy, zanim on nie okaże jej, jak ją bez miary kocha, zanim jej nie wynagrodzi tych wszystkich chwil nieuwagi, szorstkiego obejścia, egoizmu i niewiary, zanim nie powie jej, że stała się duszą jego duszy, czemś nietylko nad wszystko w życiu umiłowaniem, ale i uczczonem. Powtarzał sobie, że jeśli Bóg tego dla niego nie uczyni—to powinien uczynić dla niej,—żeby przynajmniej odeszła z uczuciem takiego szczęścia, na jakie zasłużyła. Od tych zuchwałych narzucañ Bogu, jak powinien postąpić, przechodził znów do skruchy, pokory i prośby. Ale tymczasem Marynia była z każdym dniem bardziej i niebezpieczniej chora, on zaś, wśród dwóch rozpaczy, z których jedna krzyczała: „to nie może być!”—a druga: „to musi być!”—wił się istotnie, jak w kleszczach.

Na domiar,—z konieczności, z obawy, by żonie nie odebrać otuchy, musiał wobec niej udawać, że z jej choroby niewiele sobie robi. I lekarz, i pani Bigielowa przestrzegali go codzień, by jej nie przestraszał; wskazywał mu to również własny rozum, a jednocześnie było to

dla niego nowem udręczeniem, przychodziło mu bowiem na myśl, że ona może to wziąć za brak uczucia i umrzeć z myślą, że on jej nigdy nie kochał. Zmieniało się też w nim wszystko do dna. Bezsensowność, zmęczenie i trwoga wprowadziły go w stan jakiejś chorobliwej egzaltacji, w której samo nawet niebezpieczeństwo, i tak aż nadto rzeczywiste, widział w spotęgowanym stopniu. Zdawało mu się, że niema żadnej nadziei i chwilami myślał o Maryni, jakby już umarła. Po całych dniach rozpamiętywał wszystkie dodatnie strony jej charakteru, jej słowa, dobroć, spokój, przypominał sobie, jak wszyscy ją kochali—i jednocześnie czynił sobie rozpaczliwe wyrzuty, że jej nigdy nie był wart, że ją nie dość kochał, nie dość cenił, że w końcu złamał jej wiarę, a zatem musi ją stracić—i traci słusznie.

I w tem poczuciu, że rzecz tak straszna jest zarazem zasłużoną i że na wszelką poprawę jest za późno, było poprostu coś rozdzierającego. Ci nawet, którzy za życia byli zawsze bardzo kochani, odchodząc, pozostawiają za sobą żal, że jeszcze nie dość byli kochani—ze wszystkich najcięższy.

Na początku grudnia wrócili po dwumiesięcznym pobycie we Włoszech Swirski i Zawilowski.—Połaniecki tak wysechł i zmizerniał przez ten czas, że go ledwie poznali, ale i on, cały pogrążony w swem nieszczęściu, prawie nie zwrócił na nich uwagi i słuchał, jak przez sen, słów pociechy i otuchy ze strony obydwóch, również jak i opowiadań, któremi zacny malarz próbował rozerwać jego strapioną myśl. Co go teraz mógł obchodzić Zawilowski, pani Broniczowa lub panna Castelli, wobec tego, że jego Marynia mogła lada dzień skończyć. Swirski, który miał dla niej ogromną przyjaźń, chcąc zaczerpnąć skądkolwiek trochę nadziei, udał się do pani Bigielowej, lecz i ta nie miała jej wiele. Lekarze sami nie wiedzieli dobrze, co chorej jest, bo do jej stanu przyłączyły się jeszcze rozmaite inne powikłania, nie dające się nawet określić. Wiadomo im było tylko, że serce chorej działa nieprawidłowo, obawiano się zaś przedewszystkiem, by, wskutek złego krążenia krwi, nie potworzyły się w żyłach skrzepy, grożące natychmiastową śmiercią. Lecz prócz tego, nawet w razie szczęśliwego rozwiązania, obawiano się mnóstwa rzeczy: i wycieńczenia, i upadku sił, i wszelkiego rodzaju następstw, które dopiero później mogły się ukazać.—Swirski przekonał się, że pani Bigielowa nie łudzi się już także, gdyż w końcu rozmowy rozplakała się i rzekła:

— Biedna Marynia, ale biedny i on. Żeby mu chociaż dziecko zostało, może-by znalazł siłę do zniesienia tego ciosu.

I wyplakawszy się, dodała:

— I tak, ja nie rozumiem, jak on może to wszystko wytrzymać.

Była to prawda. Połaniecki nie jadł i nie spał. W biurze nie pokazywał się oddawna, z domu zaś wypadał tylko chwilami po kwiaty, które Marynia zawsze lubiła i których widok ją rozweselał. Ale była już tak chora, że on za każdym razem, niosąc pęki chryzantem, wracał ze straszną myślą, że może niesie je na trumnę. Maryni samej otworzyły się oczy, że to może zbliżyć się śmierć. Mężowi nie chciało nic o tem mówić, ale przed panią Bigielową płakała któregoś dnia z żalu za życiem i za „Stachem.”—Martwiła się też myślą, jak on to przeniesie, bo chciało jej się, żeby jej bardzo żałował, a jednocześnie, żeby nie bardzo cierpiał. Przez długi czas udawała jednak przed nim, że jest pewna, iż wszystko skończy się szczęśliwie.

Ale później, gdy poczęły przychodzić na nią omdlenia, zebrała się na odwagę, by i z nim mówić trochę otwarciej. Wydało jej się to obowiązkiem, więc któreś nocy, gdy pani Bigielowa, zwyciężona bezsennością, poszła spać, a on czuwał, jak zawsze, przy niej, przyciągnęła do siebie jego rękę i rzekła:

— Stachu, ja chciała-bym z tobą pomówić i o jedną rzecz cię poprosić.

— Co chcesz, kochanie!—spytał Połaniecki.

Ona czas jakiś namyślała się widocznie, jakby wyrazić swoją prośbę, a potem poczęła mówić:

— Obiecuj mi... Ja wiem, że pewno wyzdrowieję... ale przyrzecz mi, że... choćby to był chłopiec, ty go będziesz kochał i będziesz dla niego dobry.

Połaniecki nadludzkim wysiłkiem pohamował łkanie, które chwyciło go za piersi, i odrzekł spokojnie:

— Moje drogie kochanie! i ciebie będę zawsze kochał, i jego Bądź pewna...

Na to Marynia spróbowała podnieść jego rękę do ust, ale z osłabienia nie mogła tego uczynić, więc poczęła się tylko uśmiechać do niego z wdzięcznością, a po chwili znów rzekła:

— I jeszcze jedno... Nie myśl, żebym przypuszczała zaraz jakie straszne rzeczy—wcale nie!—ale ja... chciała-bym się wypowiedzieć...

Połanieckiego dreszcz przebiegł od stóp do głów.

— Dobrze, moje dziecko,—odpowiedział zająkliwym i jakby nie swoim głosem.

Ona zaś, przypomniawszy sobie, że niegdyś podobało mu się jej wyrażenie „służba boża”, i chcąc mu dać poznać, że tu nie chodzi o nic

innego, jak tylko o wypełnienie zwykłych religijnych obowiązków, potwórzyła z uśmiechem, niemal wesołym:

— Służba boża!

I spowiedź odbyła się nazajutrz. Połaniecki tak już był pewien, że to jest koniec wszystkiego, iż niemal dziwiło go, że Marynia żyje jeszcze, a nawet, że wieczorem uczyniło się jej nieco lepiej.

Nie śmiał już wpuścić nadziei do duszy. Ona jednak stała się rzeświejsza i mówiła, że jej lżej oddychać. Około północy poczęła z nim zwykłą wojnę o to, by poszedł odpocząć. Jakoż on, ze zmartwienia i trudu wyglądał już nie wiele lepiej od niej.—Bronił się i teraz z początku, utrzymując, że spał w dzień, co była nieprawda—i że jest wypoczęty, ale gdy nalegała koniecznie—ustąpił, tem bardziej, że była przy niej umyślna kobieta i pani Bigielowa, a lekarz, który od tygodnia sypiał w ich mieszkaniu, upewnił go, że na dziś nie należy się niczego gorszego spodziewać.

Wyszedłszy jednak, uczynił to, co czynił zwykle, to jest siadł na fotelu przy drzwiach i począł nasłuchiwać, co dzieje się w jej pokoju. W ten sposób poczęły mu upływać godziny nocy.

Za najmniejszym szmerem zrywał się, lecz, gdy szmer ustawał, siadał znowu i począł rozmyślać, prędko, a chaotycznie, jak czynią ludzie, nad którymi wisi niebezpieczeństwo. Chwilami jednak myśli zachodziły mu ze znużenia jedna na drugą, tworząc jakąś zbitą gęstwinę, w której się plątał, nie mogąc nic rozemnieć. Morzył go też i sen. Siły miał niepospolite, ale od dziesięciu dni przebierał się tylko, nie rozbiierał—i na nogach podtrzymywała go jedynie czarna kawa i gorączka. Nie poddawał się i teraz, choć głowa ciężła mu ołowiem, a gęstwiną myśli zmieniła się jakby w czarną chmurę, bez jednego jaśniejszego promyka. Mechanicznie tylko powtarzał sobie jeszcze, że Marynia chora i że on nie powinien usnąć, ale słowa te nie miały już dla niego najmniejszego znaczenia.

Wreszcie trud, wyczerpanie i bezsenne noce przemogły. Chwycił go nieprzeparaty, kamienny sen, w którym nic się nie śni, w którym ginie rzeczywistość, ginie cały świat i same życie zdaje się drętwieć.

Nad ranem zbudziło go dopiero pukanie do drzwi.

— Panie Stanisławie!—ozwał się przytłumiony głos pani Bigielowej.

Połaniecki zerwał się na równe nogi i, oprzytomniawszy w tej-że chwili, wybiegł z pokoju. Jednym spojrzeniem objął łóżko Maryni i na widok zapuszczonych firanek nogi zachwiały się pod nim.

— Co się stało?— wyszeptał zbielełymi wargami.

A pani Bigielowa odpowiedziała równie eicho, głosem nieco zdyszczanym:

— Macie syna...

I położyła palec na ustach.

HENRYK SIENKIEWICZ..

(Dokończenie nastąpi).

---

# Poetka neo-chryścijaństwa w Anglii

Marya Corelli.

---

(„Thelma“ (1886), „Vendetta“ (1888), „Ardath“ czyli dzieje umarłego dla siebie“ (1887), „Romans dwóch światów“ (1887), „Piołun: dramat paryski“ (1889), „Dusza Lilithy“ (1892), „Barabas: opowieść o Ukrzyżowaniu“ (1894). Ostatnia powieść wyszła u Methuen'a w Londynie, wszystkie inne u wydawców królewskich Bentley'a i Synów).

Z tych siedmiu powieści głośniejszej autorki, cztery są przedmiotem pracy niniejszej: „Dusza Lilithy“, „Romans dwóch światów“, „Ardath“ i „Barabas“ — bo te właśnie, obok pierwszorzędnych zalet literackich i artystycznych, zawierają pogląd autorki na stosunek stworzenia do Stworzyciela; usiłują streścić wszystkie dotychczasowe systemy religijne i filozoficzne w jednym niezmiernie prostym i zarazem podniosłym systemie. Jakim on jest, lub być ma, dowiadujemy się z „Romansu dwóch światów“ — powieści, dającej klucz do zrozumienia „Ardatha“ i „Barabasa.“ „Dusza Lilithy“ nie zdaje się stanowić części nierozłącznej z poprzednimi; lecz, jako im pokrewna i jako dzieło wielkiej wartości artystycznej, zajmie bezwątpienia uwagę czytelnika.

O autorce samej wie się bardzo mało. Matka jej, Włoszka, wywodziła się od słynnego kompozytora florenckiego, Archaniola Corelli, zmarłego w pierwszych latach XVIII-go wieku. Ojcem jej był Eric Mackay, zmarły przed paru laty, brat Karola, autora, a raczej kompilatora antologii angielskiej, wyszłej p. t. „Tysiąc i jeden klejnot z poe-



tów brytańskich“ — a, niestety, sam prawie wcale nieznanym szerszym kołom swojego własnego społeczeństwa, jako poeta natchniony, wyższy bezwątpienia „o całe niebo“ od tylu innych, którzy po Alfredzie Tennysonie tak skandalicznie wrywają sobie palmy laureatu. „Marie Corelli“ jest przeto pseudonimem, za którym się ukrywa Miss Marion Mackay. Liczy lat wieku blisko 35; podróżuje bezustannie i jest namiętnie rozkochaną w muzyce. Dzieła jej, zwłaszcza te, które tu nas obchodzą, sprawiły podobno największe wrażenie na cesarzu Wilhelmie — lat temu cztery — i z tego powodu panna Corelli bywa częstym gościem niemieckiego dworu. Zaszczycają ją przyjaźnią dwory szwedzki, duński i włoski. Tyle mamy o niej „wiadomości osobistych.“ Dodać należy, iż jest wyznania katolickiego — a z dzieł jej domyślamy się, że, mimo swoich zapatrywań, autorka uznaje się za katolicką gorliwą.

Styl w jej powieściach jest zawsze piękny; z pod pióra poetki płyną zdania i okresy jasne i jędrne; autorka unika, jak i gdzie tylko może, wyrażeń mało przystępnych ogółowi — myśl ma widocznie jasną: wie, co chce napisać, ma dużo do powiedzenia, dużo przeczeń chce uprzedzić, na wiele odpowiedzię pytań, a jednakże pisze spokojnie, nie odstępując nigdy od naczelnego toku powieści. Właściwie mówiąc, żadna z czterech prac nie jest powieścią, w znaczeniu ogólnie przyjętem: są to raczej sprawozdania z doświadczeń *osobistych* („Romans dwóch światów“), lub wywody teorii, oparte na owych doświadczeniach osobistych, a wprowadzone w życie za pomocą fikcyjnych postaci. Lecz dzieła czytają się z nieustającym, z rosnącym zajęciem — już to z powodu zalet stylu, już też dlatego, iż czytelnik chce dojść do końca wywodów, mających go przekonać o filozoficznej wartości tylu i tak śmiałych teorii. Znajduje się nakoniec niemało i tej prostej ciekawości, — co się ostatecznie z głównymi figurami stanie. Po przeczytaniu pism panny Corelli nie odrzuca się ich między rupiecie biblioteki — kładzie się je na te półki, do których umysł często się zwraca, ręka sięga z ożywioną ciekawością lepiej wyrobionego sądu.

Gdyby przyszło podać genezę przemyślań autorki, których plodem są te cztery książki, powiedziałbym, że kształciła ona umysł swój temi samemi badaniami, które z Anny Besant, żarliwej za młodą Anglikanki, uczyniły najprzód zacieklą ateistkę, później rozgoryczoną i apatyczną nieprzyjaciółkę wszelkiego twierdzenia pozytywnego — a w końcu apostołkę neo-buddaizmu, w formie tak nazwanej „teozofii.“ Tylko — Marya Corelli inne bezwątpienia miała lata młodości wczesnej, inne wychowanie w rodzicielskim domu, w innem się obracała towarzystwie. Anna Besant, nie mając jeszcze lat 18, już w domu i w otoczeniu swem zmuszona była zapoznać się z całą ohydą współczesnego

w Anglii cynizmu mężczyzn i kobiet. Nie miała lat 25, a już w narzucnym sobie mężu — duchownym Kościoła państwowego — rozpoznała typ faryzejskiego obłudnika, jakich anglikanizm płodzi tylu! Kobiecie, dziwnie wysoko uzdolnionej umysłowo, wpierano gwałtem konieczność poddania się bezmyślnego najgrubszemu materyalizmowi, pokrytemu brytańską konwencyonalnością. Gdy się temu całą siłą oparła — zelżono jej godność małżonki i matki: duchowny mąż zaszedł w obłudzie tak daleko, iż postarał się o rozwód — z odpadłą od Kościoła; trybunał przyznał słusność mężowi — dlatego też odsądził żonę od praw macierzyńskich, odebrał dzieci z pod jej opieki, — zabronił jej nawet wszelkich z niemi stosunków! Takie przejścia i doświadczenia musiały rozjątrzyć i goryczą zatruć umysł taki — na długie lata. Niespodziewanym przez nikogo był rozgłośny zwrot pani Besant do neo-buddaizmu: wielu zaś przepowiada dziś, że sama szczerłość i gorliwość, z jaką uczennica Heleny Blavatsky broni swych wierzeń, daje rękojmię, iż skołatany duch znajdzie w tem jeszcze życiu przystań spokojniejszą i bezpieczniejszą <sup>1)</sup>.

Z dzieł Maryi Corelli przebija się do świadomości czytelnika niczem niezamącona pogoda umysłu autorki, wielka prostota duszy i wielka miłość bliźniego — to, co Thackeray nazywał „mlekiem ludzkiej dobroci“ (*the milk of human kindness*), przymiot, powiedziałbym: wrodzona *cnota* tych przedewszystkiem osób, które w dojrzałym dopiero wieku zetknęły się z przewrotnością i fałszem — a lata młodzieńcze miały szczęście spędzić wśród ludzi czystych, szczerych i dobrych. Świadczą te dzieła o umyśle — z jednej strony najwdzięczniej, religijnie poetycznym — z drugiej, o umyśle żądnym wiedzy, który usiłował dociec tajników przyrody i ducha. Więc umysł również szczerzy. Ale nadewszystko — poetyczny!

„Mich hält kein Band, mich fesseln keine Schränke!“

Wiemy już, iż ma się za gorliwą katoliczkę. Jednakże chce być nią dlatego tylko, ponieważ w dogmatach katolickich i w instytucji Kościoła rzymsko-katolickiego uznaje *najbezpieczniejsze przewodnictwo na drodze* do coraz głębszego i prawdziwszego pojmovania stosunku stworzenia do Stworzyciela. Lecz Marya Corelli jest równie gorliwą przeciwniczką wszelkich tak zwanych przez nią „form drobnostkowych“ w Kościele katolickim, jak w innych Kościołach chrześcijańskich; to zaś, co w jej mniemaniu jest „formą drobnostkową“, bywa

<sup>1)</sup> Zaznaczyłem to dobitnie w artykule moim „Teozofia buddaistyczna w Europie.“ „Biblioteka Warszawska“ Tom I, zeszyt styczniowy z r. 1892.

w nauce Kościołów warunkiem absolutnym, którego niespełnianie rozmyślne i systematyczne *ipso facto* stawia człowieka *extra Ecclesiam*. Zapatrywania autorki uwydatnią się czytelnikowi w treści jej dzieł, którą, według możności, niebawem podam. Na samem naszkicowaniu treści poprzestać nie mógłbym: naprzód z tego powodu, iż było-by ono całkiem niezrozumiałe; a powtóre i dlatego, ponieważ bardzo a bardzo wątpię, iżby przekład tych powieści miał się, lub mógł się u nas ukazać — przed upływem lat długich.

Profesor Alfred Russel Wallace, pisząc o „Wnioskach naukowych i filozoficznych ze spirytualizmu“ — i potępiwszy z góry nazwę „spirytyzmu“, jako dotykającą pewnych zewnętrznych i tylko nielicznych objawów w bezgranicznej dziedzinie człowieczej duchowości — kończy temi zdaniem:

„Nauką, powszechnie wywnioskowaną z nowożytnego spirytualizmu, jest: że świat i cały materyalny wszechświat istnieją w jedynym celu—rozwijania istot duchowych; że śmierć jest tylko przejściem z bytu materyalnego na pierwszy stopień życia duchowego (*spirit-life*); i że nasze szczęście, oraz stopień naszego postępu zależeć będą całkowicie od tego, jaki użytek zrobiliśmy w tem życiu z naszych uzdolnień. Twierdzi się z naciskiem, iż życie obecne nabierze nowej wartości, gdy ludzkość będzie wychowywaną — nie w chwiejnej i niepewnej *wierze*, lecz w ustalonym, niewątpliwem *przekonaniu* tem, że byt nasz na tym świecie jest rzeczywiście tylko jednym z przestanków w pochodzie bez końca (*in an endless career*) i że myśli, które tu nam przychodzą, że czyny, które tu spełniamy, będą miały niezawodnie, niewątpliwie wpływ na stan nasz w przyszłości i nawet na samą postać naszą i wyraz organiczny naszej jaźni osobistej“ <sup>1)</sup>.

Jedna z najwyższych i najznakomitszych powag na tem polu, kryjąca swoje nazwisko pod pseudonymem „M. A., Oxon“ (*magister artium*, Oxford) <sup>2)</sup>, streszcza daleko wyraźniej i dosadniej naukę spirytualizmu, w czterech ustępach, które tu pozwolę sobie przytoczyć, bo nie wątpię, iż pomogą do zrozumienia założeń „elektrycznego wyznania“ panny Corelli:

„Jak dusza żyje w życiu ziemskim, tak przechodzi do życia duchowego (*spirit-life*). Jej skłonności, zamiłowania, jej nawyknięcia

<sup>1)</sup> *The Teaching and Philosophy of Spiritualism*. By Alfred Russel Wallace. London, 1890.

<sup>2)</sup> *The Spirit-Life*. By M. A., Oxon. London and Edinburgh, 1889.

ant ypatye—pozostają z nią. Ona sama pozostaje niezmienną—tylko uwolniła się od ciała. Dusza, która na ziemi miała skłonności niskie, była w nawyknieniach nieczystą, natury swej nie zmienia dlatego, że opuściła sferę ziemską — zupełnie tak samo, jak dusza, która była czystą, zamiłowaną w prawdzie i postępującą, nie staje się niską i przewrotną skutkiem śmierci ciała.“

„...Charakter duszy dojrzewał codzien, każdej godziny. Nie było to nakładanie na duszę tego, co mogło być zrzucone; było to raczej wprzędzanie do natury duszy tego, co się staje jej częścią, utożsamioną z nią i od niej nierozłączalną. Charakter duszy po śmierci ciała nie może być przemieniony, jak przedza przecięta nożem nie może utracić swoich nici. Więcej nawet: dusza ma uprawione nawyknienia, które tak ją całą przeszły, że się stały składnikami jej indywidualności. Duch, który się poddawał żądom zmysłowego ciała, staje się w końcu ich niewolnikiem: nie byłby już szczęśliwym wśród czystości i uszlachetnienia (*refinement*). Żałował-by swoich dawnych otoczeń i obyczajów. Są one częścią jego natury (*they are of its essence*).“ (Str. 13).

„Rezultatami czynów rządzą prawa niezienne. Spełnione dobro posuwa ducha naprzód, spełnione zło odsuwa ducha wstecz i poniża go. Szczęście jest do znalezienia w pochodzie naprzód i w stopniowej assimilacji z tem, co jest Boskie i doskonale (*to the Godlike and perfect*). Duch boskiej (*divine*) miłości ożywia czyny, we wzajemnem błogosławieństwie duchy znajdują swoją szczęśliwość. Dla nich niema obrzydliwego lenistwa, nie ustają pragnienia dalszego postępu w wiedzy. Ludzkie namiętności, potrzeby i pragnienia zamarły razem z ciałem, duch żyje życiem czystości, postępu i miłości. *Takie i to jest jego niebo*. Piekła innego nie znamy po-za tem jednym, które jest w samej duszy: piekło, sycone płomieniem nieoczyszczonej i nieujarzmionej chuci i namiętności, rozpalone zgryzotami sumienia i męczarnią żalu, niewysłowioną boleścią wspomnień, wypurzających się, naprzekór woli, z rezultatów minionych złych czynów. Z piekła tego innej ucieczki niema, prócz — cofania się wstecz z drogi złej i uprawiania przymiotów, rodzących owoce miłości i poznania Boga.“ (Str. 77).

„Możemy zsumować najwyższe obowiązki człowieka, jako istoty duchowej, w jednym słowie — *Postępu*: postępu w znajomości samego siebie i wszystkiego tego, co wiedzie do duchowego rozwoju. Obowiązek człowieka, jako istoty rozumnej, obdarzonej umysłem i rozsądkiem, wyraża się słowem *Uprawy*: kultury we wszystkich, nieskończonych rozgałęzieniach, nietylko w jednym kierunku, lecz we wszystkich; nie w samych tylko celach ziemskich, lecz w celu wzniosłym: rozwijania przymiotów (*faculties*) tych, jakie mają być uwiecznione w rozwoju bez

końca. Obowiązkiem człowieka względem samego siebie, jako ducha zamkniętego w powłoce cielesnej, jest — uprawiać *czystość* myśli, słowa i czynu. W tych trzech słowach: postęp, kultura, czystość, tkwi cały obowiązek człowieka względem samego siebie, jako istoty duchowej, umysłowej i cielesnej.“ (Str. 154) <sup>1)</sup>.

Tę naukę spirytualizmu, która najdobitniej i najotwarciej potępia naukę teozofii buddaistycznej, Marya Corelli usiłuje oprzeć o Księgi biblijne i Nowego Testamentu (wyłączając listy... św. Pawła), zarazem o wyniki sprawdzone, przewidywane, lub w jej własnej powstałe wyobraźni, z najnowszych i z najdalej sięgających odkryć wiedzy współczesnej. Przechodzę wprost do treści jej utworów.

### „Ardat: the Story of a Dead Self.“

Wysoko ku niebiosom sterczy szczyt jakiś w górach Kaukaskich. W kotlinach pod nim dalekich ciągnie się wąwóz, zwany wąwozem Dariela. Na stoku, między szczytem i wąwozem, stoi klasztor, w którym znajduje gościnne przed burzą schronienie włączający się po świecie Anglik, Anglik urodzony z Greczynki, młody, bogaty, chluba Oxfordu, ulubieniec londyńskich salonów i klubów, wreszcie poeta, którego wytworne elegie i sonety wrywał sobie do niedawna cały świat anglosaski. Nazywa się Alwyn — a matka dała mu imię: Theos.

Theos Alwyn spożywa wykwintną, choć klasztorną, wieczerzę, i przysłuchuje się dochodzącym do refektarza dźwiękom organów i śpiewom, które mi nusi w kaplicy dzień kończą. Jedząc i słuchając, takie ma Anglik myśli: „Cóż to za ludzie, ci mnisi? idyoci—czy nędznicy? Jednym z dwojga być muszą, inaczej nie pieli-by przecież na cześć jakiegoś Bóstwa, którego istnienia dowodów niema i być w żaden sposób nie może. Więc—szczerza ciemnota, lub nikczemna obluda! a może jedno z drugim. Przebaczyłbym ciemnocie—lecz nigdy obludzie. Bo choć jałowe są rezultaty prawdy, przecież prawda sama jedna ostatecznie zwycięża: obraca ona w perzynę piękność wszechświata złudną—ale cóż? czyż nie lepiej tak, niż żeby wszechświat i nadal *wyglądał tylko* pięknie—po przez przyzmaty kłamstwa? „

Theos Alwyn jest pozytywistą. Nienawidzi zwłaszcza tego, co jest nauką Chrystusa, „którego nauki, piękne w teorii, w życiu pra-

<sup>1)</sup> Porównaj także: *The Proof palpable of Immortality*, by Epes Sargent. London, 1888; *Primitive Christianity and Modern Spiritualism*, by E. Crowell. London, 1891. Oraz Zöllnera „Fizykę transcendentalną.“ To ostatnie przeglądałem w przekładzie angielskim C. C. Massey'a.

ktycznem nie są wcale do zastosowania.“ Alwyn jest nieubłaganym przeciwnikiem *wszelkiej* formy religijnej, już jako formy, a tem więcej formy opartej na księgach Testamentu, ujętej w karby dogmatów kościelnych. Więc też w głowie się mu pomieścić nie może, jak ludzie światli mogą *udawać* wyznawców chrystyanizmu! Nie wierzy, „iżby człowiek wykształcony, męskiego pelen hartu, mógł być w naszych jeszcze czasach do tyła lęklwym (*coward*), lub ordynaryjnie zabobonnym, by nie odrzucić chrystyanizmu z pogardą!“

Anglik ten włóczy się po świecie nie bez celu. Bowiem on, poeta, dostrzegł był w sobie dziwną i zastraszającą zmianę: żyjący tylko dla rozkoszy, jaką mu dawała jego poetycka twórczość, lecz zarazem łaknący sławy, spragniony świata pokłonów i oklasków, długo do nich nawykły, on, Theos Alwyn, czuje się od niejakiego czasu „wyschłym, przeżyтым, niezdolnym do zajęcia się żywo czemkolwiek.“ Odbiegły go natchnienia: przestał czuć, jak czuł przed niedawnemi laty; chciwy rozgłosu, pożerany gorączkową ambicyą zatrzymania przy sobie poetyckiej aureoli, przestał tworzyć i śpiewać, bo, choćby jak najmocniej wyteęzał myśli i pragnienia, nie widzi zgoła, z czego-by miał tworzyć, o czem śpiewać. Życie mu zbrzydło niewysłowienie, z tą zaturą bodźca i celu, z tą zwłaszcza świadomością ogromnego bankructwa ducha, zatruwającą jemu, samolubowi, każdą chwilę, rozrywającą mu nerwy i czyniącą życie tak czczem, bezbarwnem, nieznośnem, że dałby wszystko choćby za czasowe i bardzo krótkie ustanie życia. Samobójstwa nie spełni, bo jeszcze się czasem spodziewa doznać choć raz jeden takiego wrażenia, któreby mu dać mogło, jeśli nie pół-boskie, to pół szatańskie natchnienie—i dlatego, by świat wobec trupa nie żałował, iż niegdyś był uwieczniony sławą „waryata.“

Widział on w paryskim Salonie portret jakiegoś mężczyzny jeszcze młodego, z wyrazem twarzy tak potężnie intelektualnym, że, im dłużej się mu przypatrywał, tem silniejsze ogarniało go wrażenie, iż gdzieś i kiedyś znał oryginał portretu i że tylko spotkać się obaj potrzebują, by się sobie wzajemnie przypomnieć. Dowiedział się, że był to portret szczególnie znakomitego człowieka, o którym jednak tyle tylko wiadomo, iż się nazywał Heliobas i miał posiadać w nadzwyczajnej mierze znajomość tajników przyrody i wiedzy; miał być mistrzem w doświadczeniach psychicznych; umiał nawet na czas pewien, dłuższy lub krótszy, odłączyć zupełnie „pierwiastek życiowy“ od ciała! Nazwisko było Alwynowi całkiem nieznanem. Wiedzę i rzekome zdolności Heliobasa przyjął do wiadomości, domyślając się w nim zdolniejszego szarlatana od Cagliostro, może pół-obłąkanego entuzyastę, lub jednego z owych trzydziestu kilku Różokrzyżowców, którzy jeszcze dzisiaj usiłują przechować na Zachodzie Europy i wydosko-

naląc tajemnice filozofii hermetycznej <sup>1)</sup>. Jednakże pomyślał, iż było-by nieźle, gdyby ów Heliobas spróbował na nim, Theosie Alwynie, sztuk swoich i zaklęć, zwłaszcza onego zawieszenia „pierwiastku życiowego.“ Niech-by choć tak był zręcznym, jak niektórzy z fakirów indyjskich, toż wyborna może nastreczyć się sposobność do odczucia wrażeń oryginalnych i, któż wie? takich wrażeń, jakie-by wstrząsły umysł, umysł wykształcony w Oxfordzie i w Paryżu, i coś mu nowego odkryły!

Marya Corelli usiłuje stawić przed nami otwartego i bezwzględ- nego ateusza—przedewszystkiem; lecz w tym jej Angliku-poezie roz- poznajemy typ, spotykany w Anglii dość często w ostatnich latach, spotykany dziś i we Francyi nawet—typ, do którego i Płoszowski tak bardzo jest podobien, człowieka fizycznie i umysłowo rozleniwiałego, przesyconego zbytowością i wykwinem życia materyalnego, z wy- braźnią chorobliwą, marzącą o ideałach śmiertelnikom niedostępnych, wrażliwych jedynie na subtelne rozkosze umysłowe, najniebezpie- czniejsze dla charakteru, gdy im towarzyszy samolubstwo, pycha i po- garda względem całej prawie ludzkości. Osią filozofii Płoszowskiego było: „nie wiem“; panna Corelli chce nam dać do zrozumienia, że osią filozofii Alwyna jest: „niema nic do wiedzenia“, gdy tymczasem, zbła- zowany ten cynik chciałby dużo wiedzieć rzeczy, byle się ich mógł dowiedzieć z naukowej analizy. Całkiem więc bezwiednie, lecz logi- cznie, przedstawia nam autorka samoluba-marzyciela, który nie jest całkowicie adeptem Schopenhauera, bo przyjmuje apriorystyczną za- sadę Kanta (nie mogąc Kantowi wybaczyć zaciekawienia się Humem i Swedenborgiem) <sup>2)</sup>, a zresztą wołał-by dla tłumów... przykazanie Marxa: *Wer Unterricht nicht hat, der habe Religion!* Ciekawość Alwyna względem zagadnień pośmiertnych jest, że się tak wyrażę: chemiczna. Co to jest, pyta, ten zapęd, czy napęd składników organizmu, zwany „pierwiastkiem życiowym?“ Co się z nim dzieje po śmierci, i nie tylko z nim, ale z tem wszystkiem, co w nim składało indywidualność czło- wieka? Więc cóż się dzieje po śmierci z umysłowością? Warto-by poszukać Heliobasa — powiedział sobie Alwyn — bo, gdyby doprawdy można „umrzeć“ na godzin kilka, to dowiedziało-by się może w sta- nie zawieszzonego „pierwiastku życiowego“, jakie są tego pierwiastku

<sup>1)</sup> Wznowiona w r. 1857 przez Roberta Wentworth Little, istnieje do tej pory *Societas Rosicruciana in Anglia*. Cf. *The Real History of the Rosicrucians*, by A. E. Waite. Londyn, 1887.

<sup>2)</sup> Kant napisał dwa dzieła pod wpływem „Tajemnic Niebios“ Swedenborga: „Śny marzyciela“, w r. 1766, i *Dissertatio de Mundi sensibilis atque intelligibilis Forma et Principiis*, w r. 1770, a wiadomo, że „Krytyka“ jego ukazała się dopiero w r. 1781.

sensacye, jaka samoświadomość, i czy to, co było w życiu poezją, zachowuje również po śmierci ciała jakową samoświadomość?

Raz wstąpiwszy na tę drogę, bohater idzie dalej: A któż wie? może się nie mylił filozof starożytny w swej teorii, *βίος ἐν πάντι* — „wszystko żyje.“ Może jest coś słuszności w naukach ewolucjonistów buddajskich, teozofów i ezoteryków europejskich, z których jedni skazują „pierwiastek życiowy“ na nieskończone cykle ożywiania nieskończonych form bytu, a drudzy na zupełnie bierną rolę iskierki, dobywanej i rządzonej przez to coś jeszcze wyższego w jaźni człowieczej, czem ma być „częstka Ducha wszechświatów.“ Chciałby już Alwyn dowiedzieć się czegoś „absolutnie pewnego“, mniejsza o to, jakim kosztem. Bo, jak wtedy w Paryżu, tak teraz nad wąwozem Dariela, czuje przekonanie, że to właśnie niepodobieństwo zdania sobie sprawy z bytu, którego (mniema on) niematerialną w nim istotą jest bezgraniczna i niczem się nie dająca uzasadnić żądza sławy i wielkości, że to właśnie niepodobieństwo porwało mu w końcu wszystkie struny natchnienia poetycznego! Odebrała mu ta niemoc pogodę umysłu i pozbawiła życie celu. Taki człowiek słuchał śpiewania mnichów.

Ciekawość zawiodła go do kaplicy.

Stanąwszy u drzwi, patrzył na rześcicie oświetlony ołtarz, nad którym złotemi blaskami płonął znak Krzyża, a nad krzyżem olbrzymia gwiazda gorącej barwy rubinowej rozlewała czerwone światło po zgromadzonych mnichach. Ci, w szatach białych, powłóczystych, „nie noszący tonsury“, o twarzach i ruchach, odznaczających się szczególną dystynkcyą rasową, „wyglądali, jak królowie w kwiecie męskiego wieku.“ Każdy miał zawieszony na piersiach złoty krucyfiks, z połyskującą nad nim gwiazdą rubinową. Nieszpory śpiewali po łacinie.

Alwyn wzdrygnął się. „I tacy więc ludzie, na idyotów niewyglądający, z taką na czołach dumą szlachetną, takie wyprawiają komedye, tak się poniżają! *Cui bono?*“

Mnichów było 15-tu. Pod koniec modlitw, gdy uciekły organy, do ołtarza przystąpił jeden z zakonników i odwrócił się twarzą do zgromadzenia. Alwyn poznał w nim od razu oryginał portretu paryskiego; przypadek, burza w górach sprowadziła niedowiarka do schronienia tajemniczego Heliobasa. Ten zaintonował „błogosławieństwa“, mnisi je za nim powtarzali chórem, a ostatniem było: „Chwała przedwiecznemu Panu i Chrystusowi za krótkość życia, za radość śmierci, za przyobiecana przyszłość nieśmiertelną!“ Potem się mnisi rozeszli. We drzwiach przybysz poprosił Heliobasa o chwilę rozmowy; przeszli obaj do klasztornej biblioteki.

Anglik oświadcza natychmiast, o co mu chodzi: prosi grzecznie, lecz stanowczo i namiętnie, by go mnich wyprawił natychmiast z ciele-



snej skorupy „choćby na jedną godzinę”, i prośbę swą motywuje w sposób już nam znany. Heliobas, tak zaskoczony, nie okazuje gniewu, pyta tylko, czy on, Alwyn, jest przygotowany na możliwe następstwa podobnej rozłąki, „która bywa nierzadko fatalną, nieodwołalną?” Wywiązuje się stąd dyskusja o duszy, jej nieśmiertelności, o Bogu. Poeta, już nie tylko lituje się nad tem, co uważa za udaną albo rzeczywistą ciemnotę mnicha, nie tylko wyszydza wszystkie teologie i kościelne instytucje, lecz woła bluźnierczo i sarkastycznie: „Gdyby nawet był taki Bóg, to, ponieważ nie uzbroił nas *niemożliwością niewierzenia*, a jednak grozi za niewiarę wiekuistemi karami, musi być o tyle nielogicznym, o ile mściwym!” Przymioty tak niskie nie godzą się z pojęciem ostatecznej doskonałości. Teologie — woła Alwyn — uczą o Bogu specjalnie gwoli wielkiego motłochu, któremu grozi się piekłem, by poskramiać jego ciemne i dzikie popędy; mówi się mu o niebie, ażeby, w to niebo wpatrzony, nie uprzytomniał sobie zbyt często i dosadnie swojej nędzy aktualnej i o nią dbał niewiele.

Heliobas słucha cierpliwie, a kiedy poeta o swoich mu rozpowiada udręczeniach, gdy nań naciera z historyczną nieomal zapalczywością, by „zaczął czem prędzej swoje zakłęcia“ i kunsztem swym dał mu choć uludę czasowej śmierci, mnich mu odpowiada: „To... zażyj pan opium! zaryzykuj następstwa. Możesz sobie zacząć mózg częściowo, napełnić go sennemi suggestyami. Będą to oczywiście tylko *suggestye*, i to bardzo mgliste, niedokładne, lecz mogą wystarczyć, by dać ci jakąś przyjemność i zapomnienie udręczeń. Co do mnie, to ta odrobina umiejętności, jaką posiadam, na niewiele-by ci się przydała, bo nie mógłbym ci obiecać ani zapomnienia, ani radosnych widzeń. *Posiadam pewną siłę wewnętrzną* <sup>1)</sup>, to prawda; siłę duchową, która, potężnie użyta, pokonywa i ujarzmia siłę materyalną i odporność. Posługując się nią, mógłbym, gdybym to uważał za dobre, uwolnić twoją duszę, twego ducha, który jest tobą — mógłbym go oswobodzić z więzów ciała — i dać ci pewien czas samoświadomej od ciała niezawisłości. Ale... jakiego rodzaju były-by doświadczenia twoje wtedy, czy przyjemne, czy straszne, tego przewidzieć nie potrafię.“

— Czy więc — pyta Alwyn — pan doprawdy wierzysz w istnienie duszy?

— Najabsolutniej — odpowiada Heliobas.

— W duszę, jako rozdzielnego osobnika, żyjącego, istniejącego po śmierci ciała?

— Bez wątpienia.

<sup>1)</sup> Szczegółowo o niej dowiemy się z następnej powieści M. Corelli.

— I twierdzisz — ciągnie Alwyn szyderczo dalej — że na czas pewien możesz tę duszę odłączyć od ciała?

Mnich zaręcza najuroczyściej, że władzę tę posiada. Anglik zapytuje jeszcze: Lecz przepowiedzieć nie możesz, czy ten wyzwolony pierwiastek znajdzie się w piekielnych kaźniach, czy też w siódmem niebie rozkoszy — czy tak?

Heliobas przytakuje.

— A więc — woła Alwyn — zaczynaj! rób, co chcesz! nie zwlekaj! Dowiedz mi... dowiedz, że... że dusza istnieje! A jeśli ona zdoła trafić do głównej spreżyny tego wirującego wszechświata, to do jej kół przeklętych przyczepi się... i zatrzyma je, by raz już nakoniec przestały miażdżyć życie bezustanną męczarnią!

Heliobas długo się opiera namiętnym żądaniom człowieka, tak usposobionego. Mówi doń:

— Ty, poeta, oniemiały pod obuchem materyalizmu, któremu oprzeć się nie miałaś siły, ty pragniesz odzyskać mowę wieszczą, i istotnie dlatego tylko przyszedłeś do mnie. Sądzisz, że gdybyś mógł przejść przez dziwne doświadczenie, przez jakie inni pod moim wpływem przeszli, to może-byś odzyskał stracone natchnienie, choć nie wiesz, *dłaczego* tak sądzisz, ani ja nie wiem, tylko się domyślam.

— Domyślasz się.. czego? — zapytał Alwyn z udaną obojętnością.

— Że wyższe wpływy pracują nad twojem zbawieniem i bezpieczeństwem — odparł Heliobas. — Jakie one są, nie śmiem przesądzać, ale — strzegą nas zawsze aniołowie stróże.

— Aniołowie! — Alwyn parsknął śmiechem. — Ileż jeszcze baśni dobędziesz dla mnie ze swej płodnej wyobraźni wschodniej? Aniołowie! Słuchaj-no, pocziwy mój Heliobasie, chętnie przyznaję, że możesz być bardzo zdolnym człowiekiem... z dziwaczem uprzedzeniem na korzyść chrześcijaństwa, lecz proszę cię, nie mów mi, jakby dziecku, o jakichś tam aniołach, duchach, strachach, bo przecież jestem mężczyzną dorosłym!

— Z tak dorosłym umysłem, iż przerósł samego Boga! — rzekł mnich. — A jednakże [i odtąd zapoznawamy się bliżej z teologią Heliobasa] aniołowie są to tylko nieśmiertelne dusze, takie, jak twoja i moja, lecz już wyzwolone z ziemskiego więzienia. Naprzykład, kiedy na ciebie patrzę w ten sposób (i zwrócił wzrok błyszczący i przenikliwy na Alwyna), widzę pysznego, potężnego i zbuntowanego anioła w tobie daleko wyraźniej, *aniżeli twą zewnętrzną postać* człowieka. A ty, gdy we mnie się wpatrujesz...

Niedokończył, bo Alwyn zerwał się z krzesła i, utopiwszy w nim oczy, zawołał nagle, nadzwyczajnie wzburzony:

— Ah! teraz cię poznaję!... znam cię doskonale! Spotkaliśmy się już dawniej! Czemuż po tem wszystkim, co zaszło... czemuż znów się schodzimy?

Gdyby i tak już znaczna obszerność tej pracy pozwalała na dłuższą dygresyę, można-by wziąć w obronę koncept autorki — z dwojkiego stanowiska: uwzględniając albo nadmierną egzaltacyę tak mnicha, jak i poety, albo te siły psychiczne, tak mało *nam* znane, tak dużo lepiej znane starożytnym mędrcom „tajemnic“ egipskich, greckich i buddajskich, znane dziś i pudytom niektórym w Indyach, i niektórym bardzo rzadkim fakirom, te siły psychiczne, których poznanie jest celem tylu w Europie uczonych, a których niezaprzeczalny tu i owdzie objaw tylu zajmuje... powołanych i niepowołanych. Którekolwiek z dwóch obralibyśmy stanowisko (a obadwa zasadzać się mogą na jednym tylko założeniu), musielibyśmy przyznać, iż w powstałej sytuacji niema istotnie żywiołu fantastycznego. *Następstwa*, z tej sytuacji wynikłe, mogą lub nie mogą zdawać się fantastycznymi, stosownie do tego, jak przyjmiemy system „filozofii elektrycznej“, rozwiniętej przez autorkę i... osobistem jej doświadczeniem sprawdzony w „Romansie dwóch światów.“

Alwyna twarz zmieniła się do niepoznania: oczy jego zapłonęły jakąś dziką dumą, „stał przez chwilę, majestatycznie ponury, jak jakiś wyniosły monarcha pobity wobec swojego zwycięzcy.“

— Pokój tobie! — przemówił Heliobas. — Przypomnieliśmy się sobie; lecz na ziemi takie przypomnienia trwają krótko i zapominają się szybko.—Poczekał chwilę, potem znów się odezwał: Przypatrz się mi teraz! cóż widzisz?

Alwyn, pomieszany i osłupiały, widział przed sobą tylko mnicha, nigdy przed tym wieczorem niewidzianego: „a jednakże, zdawało się mu, że Heliobas wyglądał przed chwilą całkiem inaczej, że poznawał w nim kogoś, którego znał najpoufniej... kiedyś...“ Więc też, nie bez gniewu, przyznał Heliobasowi talent wywoływania optycznej złudy. Kiedy następnie mnich coraz wymowniej wzbrania się użyć na Alwynie najpotężniejszej swej siły tajemniczej, ten zawołał: „Więc nie chcesz? nie możesz? Otóż—*musisz!*“ Zaledwie wymówił te słowa, oładnęły nim jakieś nieopisane czucia: zdawał się posiadać jakąś niezłomną, najwyższą siłę, być „więcej niż podwójnie człowiekiem, więcej niż pół-bogiem“ i, nie zdając sobie sprawy z niczego, ruszył naprzeciw mnicha. Heliobas cofnął się szybko i, pół prosząc, pół grożąc swoją postawą, wznosił ku niemu obie ręce i zawołał: „Stój! stój! jeżeli choć calem zbliżysz się do mnie, nie odpowiem za następstwa! stój!

Alwyn uczynił krok jeszcze jeden, potem zatrzymał się: wszystkie nerwy zadrżały w nim, krew mu zawrzała, uczył ucisk w gardle,

a w oczach zabłysnęły mu płomienie; widział jakieś rozpalone, złociste koła, wirujące w powietrzu. Otworzył usta, roztworzył ramiona, jak człowiek ślepy, szukający drogi, i z cicho wyszeptanem „O Boże!“ runął na posadzkę bez czucia. Stopniowo członki zeszytniały, twarz się powlokła trupią białością. Heliobas przekonał się wkrótce, iż „życie uszło z tego ciała.“ Z pomocą przywołanego towarzysza złożył ciało na kanapie i, drżąc między obawą i nadzieją, opuścił bibliotekę.

Rankiem nazajutrz, gdy słońce wstawało i przez otwarte okna biblioteki rzucać zaczęło pierwsze promyki, życie zaczęło wracać do ciała... Alwym wstał. Czy jednak śnił jeszcze, nie wiedział. Siadł przy stole, wziął papier i pióro i zaczął pisać z nadzwyczajną szybkością. Czasem przerywał, zamyslał się, wymawiając słowo „Ardati.“ Szeptał: „Nie zapomnę! o nie! Spotkamy się w *Ardati!*“ I znów pisał. Kiedy nadeszło południe, ozwały się dzwony klasztorne: *Angelus Domini nuntiavit Mariae.* Wtedy Alwyn odzyskał samoświadomość: „Heliobasie! — zawołał — gdzie jest pole *Ardati?*“ Po chwili przyszedł mnich. Alwyn mu opowiedział swoje „widzenie“, a opowiedział z żarliwą wiarą w istnienie Boga. „Bo... sen to był, czy nie sen, czuję, iż nie mogę zupełnie odrzucić idei istniejącego Bóstwa. Krótko mówiąc: wierzę w Boga! Logicznych racyi dać żadnych nie potrafię. Aniby żadne logiczne wywody wpłynąć na mnie nie mogły w kwestyi, która, według mnie, więcej zawiera przekonania w sobie, niż jaka bądź logika. Wierzę — bo... wierzę!“

— Kiedyś — opowiada Alwyn — zbliżając się do ciebie, domyślał się w sobie jakiejś ogromnej przemiany, nagle — opanowała mnie bezsilność, czułem się wciągniętym w ciemność. Ciemność gęstą, okropną, straszną! w ciemność, bezustannie drżącą spracowanym ruchem niewidzialnych rzeczy! — w ciemność, która czepiała się mnie i zamykała dokoła mnie, w którą czułem się zawinięty! Wchłonęła mnie i spychała głębiej, głębiej, głębiej ku jakiejś skrytej a wszechpotężnej agonii, której bliskość czułem, której przecież nazwać nie umiałem. „O Boże!“ zawołałem, oddając się dzikiej rozpaczycy — „o Boże! gdzie jesteś?“ A wtedy usłyszałem niby łoskot lecący, niby wichrów zbliżające się szumy... i głos potężny odpowiedział: *Tutaj!* — *i wszędzie!*

Poeta opisuje, jak nagle znów porwany został wyżej, ku światłości, jak ktoś zawołał nań po imieniu: „Theosiel mój ukochany! wyżej! wyżej!“ Jak wreszcie, niesiony po przez roziskrzony ciągłymi błyskawicami przestrzenie, ujrzał nakoniec postać jakąś i ta go przywitała. „Twarz jej — opowiada — przestodkiej piękności, nie była mi całkiem nieznaną. Czułem, iż kiedyś, dawne temu wieki, musiałem ją być kochać, kochałem — lecz utraciłem!“

Chciało-by się, gdyby to było możliwem, dać już teraz do zrozumienia czytelnikowi, kim jest, lub ma być ta istota, tak poetycznie przez autorkę stworzona dla Alwyna. Miss Corelli nie odpowiada jasno. Lecz z następnego wątku domyślą się ci, którzy zechcą zrozumieć metafizykę, a ściślej mówiąc, ontologią Heliobasa, że może tą istotą być człowiecza *psyche*, podług rozróżnienia Platona, nie Arystotelesa, który przez *psyche* rozumie pierwiastek życiowy. Heliobas zdaje się przyznawać człowiekowi za życia — intelligencyę, (*nous*), i pierwiastek Bóstwa (*pneuma*); *psyche* pozostaje w nadświatach, lecz w zawieszeniu razem... między życiem w Bogu, a życiem Boga pozbawionem, w zawieszeniu między ostatecznem szczęściem i ostatecznem nieszczęściem. *Psyche* świadomą jest życia człowieka, którego jest częścią dopełniającą, świadomą tego przedewszystkiem, iż właśnie dopełnienie, czyli jej połączenie się (po śmierci ciała) z intelligentną jaźnią człowieka, stanowić będzie tegoż człowieka, a więc i jej własny powrót do Boga. *Psyche* przeto—zawsze według Heliobasa—raduje się z każdego duchownego postępu człowieka; boleje nad każdym jego aktem wstecznym. *Psyche* nakoniec, nie może podzielić ostatecznego upadku człowieka, ani kar jego pozagrobowych, jego „piekła“; kiedy dla człowieka nastąpi nowy czas cielesnej próby, *psyche* ta sama znów wyczekuje dopełnienia; gdy zaś człowiek, po próbach (kilku, lub niezliczonych) zasłużył na unicestwienie, czyli na karę ostateczną, *psyche* przechodzi w stan trzeciego rzędu: nie wraca (jak promień słoneczny do słońca) do Boga, nie pozostaje w tej dziedzinie nadziemskiej między wszechświatami, gdzie istniała wyczekująco, ale łączy się z podobnemi sobie i, raz byt posiadłszy, istnieje — zawsze na chwałę Boga. Posądzam Heliobasa o wiarę w płciowość powszechną, fizyczną i metafizyczną: dlatego *psyche* Alwyna jest dziewczą. Podejrzewam też, iż Heliobas panny Corelli dostrzega w poetach, a mówiąc ściślej: w genialnych marzycielach, idealistach — ludzi, którzy przechodzą, jeśli nie ostatnią, to jedną z ostatnich prób w ciele i na ziemi. Stąd w nich (poetach, muzykach, malarzach i t. p.) bezustanne, nigdy nienasycone pragnienia i dążności wyższe—*excelsius!* Stąd ich czasem tak rażąca różność od innych ludzi, iż się ich bierze za „oryginałów“, a nierzadko... zamyka w domu obłąkanych; stąd ich „chorobliwa“ kapryśność. Nie było poety, nie było muzyka — ateuszów, choć byli wątpiący i nieraz z tego właśnie powodu bezmiernie nieszczęśliwi: Shelley w najczystszej natchnieniu był głęboko religijnym <sup>1)</sup>).

<sup>1)</sup> Cf. ostatnie wiersze poematu *Adonais*, napisanego w r. 1821.

Nie mogę się oprzeć zacytowaniu tu ostatnich wierszy z doskonale znanej prośby Krasińskiego. Wyśpiewał on ją z głębi duszy do Delfiny Potockiej, którą wtedy utożsamiał ze swym „ideałem“; Helio-bas powiedziałby ze swoją *psyche*:

„Módl Ty się za mnie, ja Ciebie się trzymam,  
Bo na tej ziemi prócz Ciebie, nic nie mam.  
*I nic prócz Ciebie, nie marzę za światem,  
Tylko to marzę, by z mną duszą białą  
Twoja spłynęła w nieśmiertelność jedną;  
Więc módl się za mną, bo ja twoim bratem!*“

Uwieńczona białymi kwiatami i odziana szatą, która wyglądała „jak gdyby z promieni letniego księżyca utkana“, stanęła nagle przed Alwynem dziewczica i rzekła: „Przypomnę ci wszystko, czegoś zapomniał. Jeszcze nie za późno!“ A potem z pewnym wyrzutem: „Straciłeś dużo i dużo cierpiełeś, ślepo błądziłeś, lecz pomimo wszystkiego jesteś moim ukochanym, jesteś nim już wiele tysięcy lat!“ Zawiodła go następnie na jakąś polanę wśród gajów, usianą kwieciami, tu z nim spoczęła na murawie; objęła go ramionami i „gorące w nim, przezyste utopiła źrenice.“ — „Pisz! — rzekła nagle — pisz i głos nadzieję Smutnej Gwiazdzie (ziemi)! Pisz, a słowa twoje niech będą prawdziwym echem odwiecznej muzyki, której pełne są te sfery! pisz zgodnie z rytmicznym tętnem harmonii, które są w tobie samym — bo, oh! raz jeszcze, jeszcze raz, jak niegdyś, niezmierna miłość moja odnawia w tobie potęgę prawdziwej pieśni!“

Lecz nadszedł czas rozstania: dziewczica zawiodła go po przez lazurowe przestrzenie do miejsca, z którego dwie się rozchodziły drogi. „Theosie — zawołała — znowu, znowu rozstać się musimy! O mój ukochany! Jak długo będziesz mnie rozłączał od swojego ducha? jak długo jeszcze mam pozostawać samą i smutną wpośród wesela Niebios?“ Theos chciał ją błagać o przebaczenie, lecz głosu dobyć nie zdołał. Wtedy ciszę rozdarł huk piorunów, zmieszany z tryumfalną muzyką; dziewczica odczepiła swą szatę świetlaną z dłoni Theosa, złożyła pocałunek na jego czole i wskazała mu drogę, wiodącą ze stoku: „Tędy droga twoja — rzekła — moja tam. Śpiesz! czas tobie odejść! wracaj do swojej gwiazdy, byś nie zastał bram jej na wieki dla ciebie zamkniętych i nie był pogłębiony w głębsze ciemności! Udaj się *na pole Ardathu*, a jako Chrystus żyje, tam ciebie spotkam!“ I odeszła, wstępując kwiecistą drogą wyżej i wyżej. Theos schodził w coraz ciemniejsze przestrzenie, choć od czasu do czasu pobłyskiwały dokoła niego promienie jakieś, w formie Krzyża. „Po długiej pielgrzymce — opowiada,

kończąc sprawozdanie — zobaczyłem jakieś drzwi otwarte; wszedłem niemi, siadłem i jeszcze dosłuchiwałem się dźwięczących tam w górze melodyi. Melodyom towarzyszyły słowa: chwyciłem pióro i słowa te pośpiesznie zlewałem na papier z niewysłowioną rozkoszą... gdy, nagle, gruba ciemność otoczyła mnie, muzyka ustała — i tu, tu się przebudziłem. Ale to nie był sen!“

Heliobas zapewnił, że pole Ardathu istnieje w samej rzeczy do dziś dnia. Wzmiankuje o niem Ezdrasz, którego mnich kaukaski uważa za równie wiarogodnego z innymi prorokami. Czytamy zaś w Ezdraszu: „Anioł Uryel przyszedł do mnie i rzekł: „Idź na pole kwiecica, gdzie domu nie zbudowano, i jedz tylko kwiecie pola, nie kosztuj mięsa, nie pij wina, jeno jedz samo kwiecie. A módl się do Najwyższego, nie ustając, a wtedy przyjdę i mówić do ciebie będę! Więc poszedłem drogą na pole, zowiące się polem Ardathu.“

Teraz także dowiadujemy się szczegółów o zgromadzeniu, do którego należy Heliobas. Mnich dobył ze sbarbca klasztornego niewielką księgę. „Jest ona w posiadaniu naszego zakonu — rzekł — od wieków i stanowi nasz skarb największy, niepokazywany nikomu; tobie pokazuję, bo masz posłannictwo szczególne. Księga zawiera *tekst oryginalny* pewnej części widzeń Ezdrasza, a napisana była w r. 30-tym po upadku handlowej wielkości Babilonu.“ Sam Ezdrasz złożył ją w ręce najwyższego zwierzchuika zakonu, który... istniał od wieków, od samego prawie początku życia ziemi. Bo już w zaraniu ludzkości istnieli mężowie, szczególnie uduchowieni, posiadający „wiedzę rzeczy Bożych“, nieznaną, lub mało znaną światu, tworzący między sobą bractwo i porozumiewający się, choć w odległych żyjący krajach i pustelniach. Byli — i są do dziś dnia — między nimi Egipcyanie i Chaldejczycy, Żydzi, Grecy i Persowie, Germanie i Maurowie. Jedni z nich uchodzili w swych krajach za „Proroków“, drudzy za „Mędrców i Magów.“ Królowie, którzy przybyli z hołdem do Betleemu, byli z owego zakonu. Bracia dzisiejsi na Kaukazie są duchowymi potomkami częścią chaldejskich, częścią egipskich mędrców; Heliobas z niewielu innymi pochodzi ze szczepu i rodu, dziś już nieznanych dziejopisarzom... A od początku, który był, do końca, który będzie, członkowie zakonu przechowują pisane kroniki świata... I tak dalej, i t. d.

Dziwne rzeczy opowiada miss Corelli o starożytności tego zakonu, o psychicznej doskonałości jego członków: chciało-by się powiedzieć, gdyby można, iż jakieś pojęcia niepochwytne snuły się w gorącej jej wyobraźni, i że je w taki skryzalizowała sposób fantastyczny, pomagający powieści, *qua* powieści. Ale czytelnicy, jako tako obezuanie z literaturą mistyczną i okkultystyczną, rozpoznać muszą od razu w Heliobasie i jego poprzednikach nowe wydanie... tybetańskich „mahat-

mów“, wielkich duchów, właściwiej mówiąc: wielkich intelligencji. Tylko miss Corelli, broniąc się wszelkimi siłami przed posądzeniem o teozofizm buddajski, wyklucza stanowczo z grona mędrców zakonu takich ludzi, jak Pitagoras i Platon, lub takich innych, jak Paracelsus i Ammonius Saccas, a tem więcej... żyjącego Edisona, którego Helena Blavatsky do niewątpliwych zaliczyła duchów doskonałych na tej ziemi! Teozofiści, umieszczając Chrystusa na czele duchów najdoskonalszych, nazwali Go językiem poematu indyjskiego (Bhagavat Dżita w eposie Mahabharata) <sup>1)</sup>, „Nirmanakaya“, duchem litości, zrzekającym się Nirwany, by pozostać sługą ludzkości aż do jej ostatecznego wyzwolenia <sup>2)</sup>. Neo-chryścjanizm angielski — przeciwnie: w Jezusie Nazareńskim uznaje i czci Syna Bożego; Marya Corelli, jak się przekonamy, *kładzie wiarę w Bóstwo Chrystusa, jako najpierwszy warunek udoskonalenia duchowości człowieka*. Po-za tym warunkiem, w neochryścjanizmie dzisiejszym, obok wielu pojęć i zapatrywań moralnych, wziętych eklektycznie z gnostyków chrześcijańskich i ze szkoły aleksandryjskiej—dwie przedewszystkiem głoszone są nauki: Pierwsza, że to, co wiedza dzisiejsza, w braku ściśle określającego wyrazu, zowie „elektrycznością“, nie mogąc jednakże zdać sobie sprawy z tego, czem „elektryczność“ jest *ex ente*, jest — ogniem Bożej obecności, jest *causa causans* wszech systemów planetarnych. Miss Corelli usiłuje to wytłómaczyć w słynnym rozdziale „Wyznanie elektryczności“, następnej powieści. Drugą nauką przewodnią neo-chryścjanizmu jest prawo przyczynowości etycznej i idąca z niem w parze teoria pre-egzystencji naszej na ziemi i ponownego istnienia w przyszłości. Nasze *ego* w życiu niniejszem jest skutkiem etycznej niedoskonałości naszego *ego* z poprzedniej egzystencji, jest zarazem przyczyną bytu naszego na ziemi w przyszłym okresie. Jakimiśmy byli umarli w ciele za życia poprzedniego, takimi znaleźliśmy wcielenie: jeżeli dziś szukamy doskonałości, to każdy krok naprzód uczyniony uszlachetnia i wywyższa charakter następnej naszej próby. Końcem naszym będzie: albo zlanie się z ogniem Bożej obecności, albo unicestwienie. Im człowiek staje się doskonalszym, tem wyraźniej ujawnia się w nim płomień Boży: i to ma tłómaczyć istnienie pewnych przymiotów psychicznych takich Heliobasów. Wróćmy do Alwyna.

Idąc za wskazówkami Heliobasa, Alwyn znalazł pole Ardathu. Lecz, zanim opuścił klasztor kaukaski, wyprawił na ręce przyjaciela do Londynu rękopis dziwnego poematu, napisanego w ekstazie. Polecił

<sup>1)</sup> Częściowo w przekładzie prof. Monier Williamsa, w *Indian Epic Poetry*, 1863

<sup>2)</sup> Cf. *The Esoteric Basis of Christianity*. By Wm. Kingsland. Londyn i Nowy-York, 1891.



ogłosić poemat drukiem i dać mu tytuł „Nourhalma“ — od imienia bohaterki, której dzieje opiewał.

Pole Ardathu leży obok ruin starożytnego Babilonu. Alwyn stanął na niem podczas nocy księżycowej. Żałuję nieskończenie, iż pracy tej rozszerzyć nie mogę opowiedzeniem, choć pokrótce, dziwnych tam doświadczeń poety! Panna Corelli przedstawia go nam z kolei: wątpiącego o swych zdrowych zmysłach, podejrzewającego Heliobasa o czar-ną magię, namysławiającego się nad swoim stanem, szczególnie oplakują-cego, iż „człowiek jest absolutnie niezdolnym posiadać wiedzę pozytywną“ i że „nawet, gdy posiada prawdę, to jeszcze pewnym jej być nie może nigdy!“ Wśród tych rozmyślań ujrzął na niebie zciemniałem zwięk-szającą się światłość a z niej zabłysł w jednej chwili czerwony znak Krzyża... Prawie jednocześnie stanęła przed nim ta sama dziewica, którą widział był i z którą mówił, kiedy ciało jego było trupem. Au-torka nie chce widocznie, byśmy wynosili jej natchnienie poetyczne, abyśmy rozkoszowali się w obrazie dziwnie wdzięcznym, rzuconym z jej podniosłej wyobraźni, bo każe Alwynowi bronić się przed zjawie-niem wszystką bronią sceptyka i cynika: Chytry Heliobas sztukami swemi wytworzył mu w celkach mózgowych sugestję tej dziewczyny, a teraz... samą dziewczynę przysłał na to pole! cel wyraźny: odurzyć i zdurzyć umysł niebezpieczny,—niechby świat zamknął jednego wa-ryata więcej do domu obłąkanych, raczej, aniżeli-by fałsz miał prze-stać panować! To też próbuje Alwyn wszelkich przeciw dziewicy spo-sobów: szydzi i bluźni, schlebia jej i urąga, nawet posuwa się do naj-niższej ostateczności... zamierza zbliżyć się do niej... gdy niewidzialna odpycha go od niej siłą, „podobna do niezmiernie potężnego wstrzą-śnienia elektrycznego.“

— O wielki, wielki Królu, Chrystusie! — woła dziewica. — Ty jeden przemódz możesz. Daj memu ukochanemu zrozumienie: z niebez-piecznictw przeszłych niech pozna przyszłe!

„Wtedy dźwięki muzyki jakiejs odpowiedziały jej modlitwie — z pola, jak gdyby z pod ziemi, rozległy się pienia: Kyrie eleison! Chri-ste eleison! Kyrie eleison!“

Theos widział dziewicę unoszącą się wśród błękitnawych płomie-ni: „Przebacz! przebacz!“ — wołał, lecz ona zdawała się wstępować w rubinową światłość Krzyża... potem — potem Theos Alwyn padł bez czucia.

Drugą część powieści poprzedza autorka zdaniem z Ekklezyasty: „To, co było — jest teraz; a to, co być ma — już było; a Bóg żąda tego, co już było.“ I wprowadza nas do *Al-Kyris*, do miasta, na którego zgli-szczach stanął Babilon, a więc do jednego z owych miast udzielnych, jakie istniały nad Eufratem, sześć tysięcy lat przed Chrystusem. Au-

torka wprowadza nas tam razem z młodzieńcem, którego straż królewska znalazła śpiącego przed bramami. Młodzieniec, zbudzony, nie wie, gdzie się znajduje, kim jest, skąd przybył. Wie tylko, że... spał na polu Ardathu.

Tu nas autorka zatrzymuje najdłużej, przez 260 stronic, i daje nam obraz ostatnich pięciu dni istnienia miasta i państwa z kulturą, nie mówię z cywilizacją, bodaj czy nie równą naszej, czy od naszej nie wyższą, w roku około 7900-nym przed erą chrześcijańską. Ze stanowiska artystycznego, obraz to wspaniały: mało jest kobiet piszących, niewielu zapewne mężczyzn, które i którzy zdołali-by tak rzucić na karty książkowe, tak na nich żywo i gorąco odtworzyć stan moralny i materalny jednego z owych przed-assyryjskich społeczeństw! Szkoda, iż obraz ten nie powinien nas tu zajmować, szkoda, iż nie możemy przypatrzeć się owemu życiu, któremu przoduje Lew i Wąż: monarcha i arcykapłanka; życiu przepalonemu namiętnościami tytanów, pogrążonemu w rozwiązłości niewysłowionej, w zepsuciu ostatecznym najszaļeniej rozkieļznanej wyobraźni, w zbytkowności, wykształconej daleko sięgającymi zdobyczami wiedzy fizycznej i psychicznej... Obraz to ze wszech miar wspaniały, a co więcej, odtworzony nie pod samej tylko wyobraźni zwierciadłem, ale z głębokich studyów nad ową ugro-finnicką przeszłością, której pomniki odczytali nam Layard i Sayce i Oppert. Nakoniec, jest to obraz brutalnie realistyczny, nie wszęǳie do odsłonięcia *virginibus puerisque*.

Miss Corelli stawia swojego bohatera w Al-Kyris w tym celu, ażeby ten pseudo-filozof z końca XIX-go wieku, chwiejący się między ateizmem i agnostycyzmem Huxleya, poznał samego siebie, jakim był, kiedy na ziemi tej pierwsze wiódl życie. Ma on sąǳić samego siebie, ówczesnego, tem samem kryterjum, jakiego przywykl używać w osąǳaniu innych, w świetle tych pojęć etycznych, jakiemi umysł się jego wzbogacił od owej zamierzchłej epoki swojego istnienia. A więc Theos Alwyn, pozbawiony teraz władzy pamięciowej, nie mogący zdać sobie sprawy z życia przed Ardathem, spotyka w Al-Kyris młodzieńca, do którego lgnie instynktowo, który wzajemnie przywiązuje się do przybyśsza... „z innej planety.“ Młodzieniec ten jest piewcą, lutnistą, wieszczem króļa i narodu, ulubieńcem ludu i, po króļu i arcykapłance Węża, pierwszym dostojnikiem, kapłanem pieśni i słowa. Lecz po-za swoim zawodem, jak po-za swem natchnieniem, młodzian ten, nazwany Sahlûma, jest przede wszystkim króļem cyników, nawet w owem skończeniu cynicznym społeczeństwie; jest zblazowanym liberynym, rozkosznikiem, używającym niewyczerpanych skarbow na zgotowanie sobie niebywałych wrażeń; przed monarchą i ludem, jak przed arcykapłanką i jej dziewicami, publicznie — jest poetą bogów, króļa przyjacielem.

niewolnikiem kapłanki; w pałacu swoim za to—śmieje się i szydzi z bogów, gardzi i pomiata królem, a z arcykapłanką westalek Węża przeszedł wszystkie doświadczenia...

Przecież Sah-lūma ma chwile okropnej goryczy, niewysłowionej boleści, niedoścignionych pragnień. I wtedy tylko słucha najchętniej Theosa, wtedy też Theos czuje bezmierną litość nad nim i do niego sympatyę. Z poznania Sah-lūmy wynosi Theos (tak chce autorka) ową naukę, jakiej mu brakło: o etycznej szkaradzie samolubstwa.

Otóż jest to bezwątpienia moment ważny: tak dalece rozumiemy ewolucyę Alwyna i filozofię autorki. Lecz, czytając książkę do końca, nie pojmujemy, w jaki sposób altruizm prowadzi dotykalnie i namacalnie do—choćby tylko neo-chryścjanizmu! Nie przeczy się, iż altruizm Comte'a lepszym jest usposobieniem do przyjęcia nauki Chrystusa od epikureizmu Sah-lūmy, lub od neo-demokrytyzmu <sup>1)</sup> współczesnego, nieuznającego niematerialnej przyczyny pierwszej. Ale—zarówno krytykując ciąg powieści i ciąg wywodów autorki filozoficznych, brak nam namacalnego mostu, wiodącego z Al-Kyris do Betleemu, na Golgotę i do... neo-chryścjanizmu. Bo autorka wiedzie nas z Alwynem z Al-Kyris znów do Ardatu: tam znów ukazuje się *obudzonemu* poecie owa nadziemka dziewica i opowiada mu o Chrystusie, Synu Boga żywego i Synu człowieczym. Prawda, że mówi z najgorętszą miłością i czcią, że porywa i przekonywa poetę: łatwo to jej przychodzi, bo Alwyn widział w Al-Kyris takie same znaki na niebie, jakie tu widział nad Ardatem... i takich samych proroków chaldejskich, o jakich opowiedział mu Heliobas... i ten sam płomienny Krzyż widział nad zgliszczami onego miasta, jaki tu zapłonął nad dziewicą... Gdyby panna Corelli tu była zakończyła swoją pracę, zostawiła-by nam tylko powieść, tylko piękną, natchnioną *romanse*. Ale autorka wprowadza Alwyna, jako ucznia Chrystusowego i gotowego męczennika, do Londynu, i tam widzimy go... naprzód walczącego ze sceptycyzmem wieku, potem ustępującego z pola walki, z Europy nawet, niknącego gdzieś--nad Tygrysem i Eufratem! Czyż można dziwić się Londynowi, iż wziął poetę za obłąkanego? Jego właśnie, Alwyna?

Ostatnie słowo: najobszerniejsza część powieści — owe pięć dni w Al-Kyris i prze-okropny koniec miasta, ludu, świątyni i monarchii — ta część, wydana osobno, bez zmiany, tak jak jest, może stanowić powieść sama przez się, a jest, powtarzam, mistrzowskim małowidłem.

Przejdźmy do „Romansu dwóch światów.“

<sup>1)</sup> Używam wyrazu dziś przyjętego, choć Democritus (460 przed Chr.) był istotnie uczniem i zwolennikiem Leucyppa, który w końcu VI-go wieku przed Chr. głosił t. zw. „system atomów“, nie wyłączając z niego samych bogów Olimpu.

### A Romance of Two Worlds.

„Nie spodziewam się znaleźć wiary u czytelników w tej opowieści, którą nazwałam umyślnie „romanza“, ile że mogę w niej zdać tylko sprawę z tego, czego sama doświadczyłam...“ „Niewiara w dzisiejszym świecie panuje prawie wyłącznie. Gdyby anioł jaki zstąpił z niebios na środek jednego z wielkich placów stołecznych, tłum pomyślał-by, iż przybysz dostał się był do znacznej wysokości za pomocą windy i lin i spadł z niewidzialnym spadochronem. Tłum żąda pozytywnego dowodu, znaku... A gdybym teraz oświadczyła, że taki dowód i znak został mi dany, spotkałabym się z najupartszą opozycją ze strony wszystkich moich czytelników...“

Zdania te, wyjęte z przedmowy autorki, uprzedzają nas z góry, iż powieść zawiera sprawozdanie z czegoś, czego panna Corelli doświadczyła, o czem się przekonała swojemi władzami umysłowemi i, jak obaczymy, swojemi zmysłami. Ostatnie zaś karty książki przynoszą nam dziesięć listów, które autorka otrzymała od osób całkiem sobie nieznanym, których oryginały pokazała swojemu wydawcy, p. Jerzemu Bentley, osobistości zaszczytnie znanej w świecie naukowym i literackim Anglii i Ameryki. Są to listy od czytelników (między nimi od wysokich dygnitarzy anglikańskich), wyrażających autorce głęboką wdzięczność za ogłoszenie tej powieści, zapewniających, nieraz bardzo patetycznie, iż powieść ta zachowała im rozum i życie, z któremi zaczęli czuć stanowczą rozłąkę, wśród gorzkiego i powszechnego zwątpienia...

Nakonec, ta właśnie powieść miała wyrzeć niezmiernie wrażenie na pewnych, żyjących monarchów europejskich, na umysły wielu znakomitych uczonych <sup>1)</sup>. Wytworzyła ona w neo-chryścianizmie Zachodu „Corellizm“, innemi słowy: Marya Corelli przywiodła przez tę powieść neo-chrześcian angielskich, francuskich i amerykańskich... przywiodła spekulację ich rozumu i wyobraźni do absolutnie kresowych granic możliwości intelektualnej. Czy po tej *ultima Thule* rozjaśni się samej autorce, lub komu innemu po niej, dalsze jeszcze widnokreśli — zadczydował już dawno rabbi ben Akiba!

Powieść, w formie sprawozdania, pisana jest w pierwszej osobie; dodała jej autorka żywioł nowellistyczny, wplatając i splatając dzieje

---

<sup>1)</sup> Tygodnik *The Literary World* wymienił kilkakrotnie tych monarchów (w maju i czerwcu 1893). Do szczególnych zaś adeptów Maryi Corelli należy, między innymi, prof. Henry Drummond, autor tak dziś głośnego dzieła: *The Ascent of Man* 1894.

siostry Heliobasa i pewnego księcia, swoją drogą bardzo ciekawe, te jednakże musimy pominąć. Że panna Corelli jest namiętnie rozmiłowana w muzyce, to wiemy. Nie wiedzieliśmy, iż przed kilku laty była prawie umierającą z wycieńczonych sił. Lekarze wysłali ją do Nicei, i w Nicei spotkała artystę-malarza, Celliniego, młodzieńca o niezwykłym ze wszech miar usposobieniu. Od niego-to, raz pierwszy w życiu, posłyszała o Heliobasie... jako o mężu nadzwyczajnym, według światowych pojęć i doświadczeń. Cellini jest uczniem Heliobasa, dość głęboko wtajemniczonym w arkana wiedzy. Zupełnie przypadkowo, czekając na artystę w jego pracowni, wypita Marya coś, co wzięła za źródlaną wodę: był to... eliksir. W jej zdrowiu zaszła chwilowo przedziwna zmiana, korzystna, a miał ów napój również niepojęty, choć chwilowy, wpływ na bieg jej myśli. W rozmowach z Cellinim dowiedziała się niektórych szczegółów o Heliobasie: „Elektryczność — mówił jej artysta — jest, jak wiadomo, dziwem naszego wieku, a nikt nie jest w stanie przewidzieć, jakich ona jeszcze cudów dopełni. Lecz większość ludzi nieświadomych szydzi sobie jeszcze z jednej z najważniejszych gałęzi tej wielkiej wiedzy, mianowicie z użytku elektryczności człowieczej, tej siły, która jest w każdym z nas, w tobie, pani, we mnie, a do bardzo wysokiego stopnia w Heliobasie.“

Heliobas miał być uprawić (*cultivate*) elektryczność w sobie, w swoim ciele (*in his system*) do takich rozmiarów, że jego dotknięcie, jego spojrzenie „mają lek w sobie, lub przeciwnie... według tego, jak chce użyć swej siły.“ Rzadko jej używa na szkodę, bo: „pełnym jest dobroci, sympatyj i litości nad człowieczeństwem.“ Żał mi, iż muszę tu przypomnieć naukę teozofistów<sup>1)</sup>; tylko, zamiast „człowieczej elektryczności“, teozofiści „uprawiają“ i adeptom swym uprawiać każą „samoświadomość“, *self-consciousness*. „Droga do wiedzy leży w rozszerzaniu świadomości, a raczej samoświadomości, której, jak twierdzą ci, którzy szli tą drogą, towarzyszy nabieranie władz, zwanych przez świat „cudownemi.“ Niema nic cudownego, nic nadprzyrodzonego, ani w rozwijaniu własnej samoświadomości, ani w nabieraniu tych władz. I to, i tanto wypływa z ewolucyj człowieka, a ta przecież polega na prawach ściśle naukowych. Dalej jeszcze, nic nie zmusza człowieka do płynięcia z głównym prądem ewolucyj; każdy osobnik, jeżeli zechce próbować, może wypłynąć naprzód i dojść od razu do tego stopnia rozwoju, do jakiego człowiek zwykły dojdzie dopiero w ciągu wielu tysięcy lat...“ Ale w Heliobasie — ba! w sobie samych — mamy do czynienia z elektrycznością... Przypomnę także, iż w hierarchii teo-

<sup>1)</sup> G. R. S. Mead w artykule: *The Great Renunciation*, w miesięczniku *Lucifer* z września 1891, str. 22.

zofistów, człowiek „doskonały“, czyli człowiek z najdoskonalej rozwiniętą samoświadomością, nazywa się „Buddą litości“ (*Nirmanakaya*), bo Heliobas, „pełen litości nad człowieczeństwem“, ma z tego względu punkt styczny z tym systemem neo-buddaistycznej teozofii, która sobie przypisuje macierzyństwo wszystkich zgoła filozofii i teologii.

Heliobas, według Celliniego, posiada wpływ tak ogromny, że może, ust nie otwierając, samą swoją obecnością podsunąć innym ludziom swoje własne myśli. Ale autorce dość-by na tem było, gdyby ją Heliobas chciał i mógł przywrócić do zdrowia. Otrzymaawszy adres jego w Paryżu, wyjeżdża z Nicei.

Trochę to razi, że ten Heliobas prowadzi życie, powiedzmy: zewnętrzne, na bardzo zbyt kowną skalę. Zamieszkuje z siostrą pałac, który sobie urządził tak, jak mógł urządzić chyba ów Sah-luma z Al-Kyris. Nazywają go „hrabią“, ma być w prostej linii potomkiem „królów Chaldei.“ Zasiada do nader wykwintnych obiadów, przyznaje, iż lubi wina niesłychanej rzadkości. Bywa wesołym, jest najczęściej tajemniczym. W jego pałacu zamieszkała miss Corelli, zaprzyjaźniła się i pokochała z jego siostrą, Zarą. Zara nosi na piersiach gwiazdę rubinową, osobiwie zmieniającą swe połyski; Zara ma posiadać władze donioślejsze od Heliobasowych, jest więcej tajemniczą od brata, jest rzeźbiarką z zamiłowania i czuje wstręt do jakiegoś księcia. Jakiś książę, ze wschodu Europy, kocha się w Zarze dziko i poetycznie. Panna Corelli kąpie się co rano i co wieczór w wodzie, do której, z polecenia Heliobasa, wlewa jakiś tajemniczy eliksir. Pomaga ta kąpiel jej zdrowiu fizycznemu, więc gra na organach w kaplicy z podwojonym zapalem, miewa coraz poważniejsze dyskusyje z Heliobasem, miewa nawet widzenia za białego dnia... i t. d., i t. d.

Przystąpmy do jądra utworu: jest niem ów rozdział przesławny, pod nagłówkiem: *The Electric Creed*, dosłownie: „elektryczne wierzenie“, a po prostu: wiara w elektryczność. Wiare tę poznać musimy, więc idźmy do *ultima Thule*. Oto, w streszczeniu, „elektryczne zasady chrześcijaństwa“ <sup>1)</sup>:

Istniał od wieków i na wieki istnieć będzie Bóg, czyli „Najwyższy Duch Światła.“ Mówi o tem wyraźnie Nowy Testament: „Bóg jest Duchem, a ci co Go czczą, czcić Go mają w duchu i prawdzie.“ Jak poeta tworzy pieśni, a muzyk melodye, tak Bóg sformował jedną myślą — sferę centralną, niezmierną, w której mieszka; sferę tę zaludnił czystymi stworzeniami Swej myśli. W jakim celu? Bo, będąc czystym Światłem, jest zarazem czystą Miłością; będąc Miłością, musi kochać;

<sup>1)</sup> Rozdział XIV; str. 307—331.

potrzeba kochania wymaga bytu istot do kochania — w tem jest tajemnica tworzenia. „Z bezustannie czynnej inteligencji boskiej Miłości powstał Elektryczny Krąg wszechświatów, a z niego narodziły się wszystkie światy.“ Starożytni poeci biblijni przejrżeli prawdę natchnieniem, gdy pisali, że: „Ciemność była nad głębiami, i Duch Boży unosił się nad wodami. I rzekł Bóg: Niech się stanie światło. I stało się światło.“ Słowa te odnoszą się *włącznie* do naszej ziemi, do stworzenia jej, i przez nie rozumiemy poprostu „manifestację elektryczności“, polegającą na tem, że „ogrzewające promienie z Centralnego Kręgu skupiły się na planecie z Niego wyszłej i zapłodniły ją dziwami zwierzęcego, roślinnego i mineralnego królestwa, które nazywamy Przyrodą.“ Wtedy, jak opiewają dawni poeci-prorocy: „Rzekł Bóg: Uczyńmy człowieka na obraz nasz.“ Wyraz *nasz* wskazuje, iż Bóg nie był nigdy samotny. Miłość nie może istnieć w chaosie, a Bóg, *eo ipso*, iż jest, był zawsze otoczony nieśmiertelnymi Duchami, wychodzącymi z Jego własnej twórczej chwały — istotami, niewysłowienie czystymi i pięknymi. A przeto na obraz i *podobieństwo* tych dzieci Światła i samego Siebie stworzył człowieka, t. j. „sprawił, iż ziemia zaludniła się i oddana została pod panowanie istot, złożonych z części składowych ziemi, zwierzęcych, roślinnych i mineralnych.“ Istotom tym dał Bóg Swoje podobieństwo, składając w nich Swoją „obraz“ — „w formie elektrycznego płomienia, czyli zarodka (*germ*) egzystencji duchowej, przydawszy niezbędną jego, t. j. płomienia, towarzyszkę, siłę działającą i pracującą: *siłę woli*.“

Czytelnik zechce sobie przypomnieć, że buddaizm indyjski, a za nim teozofia, daje również człowiekowi „płomień z płomienia Najwyższego Ducha“, czyli duszę wieczną, *Atma*, w odróżnieniu od duszy zwierzęcej, śmiertelnej, *Kama Rupa*, będącej w człowieku i w każdym żyjątku siedliskiem żądz i namiętności. Poznajmy teraz przeznaczenie tego „elektrycznego płomienia, czyli zarodka“: wiąże się z niem ściśle działalność wolnej woli człowieka:

„Jak każdy płomyk — pisze panna Corelli — tak i ta iskra elektryczna może być albo roznieconą w ogień, albo, niepodniecana, może ujsć w powietrze — zniszczoną nie może być nigdy.“ Czyli: iskra ta może być hodowaną i kształconą, aż „stanie się żyjącym kształtem duchowym (*till it becomes a living Spiritual Form*) absolutnej piękności, nieśmiertelne stworzenie, myślące, posiadające pamięć, zdolne do wzruszeń i wrażeń, obdarzone czynną inteligencją.“ Jeżeli, przeciwnie, iskra zostanie zaniedbaną, lub zapomnianą, a towarzysząca jej Wola skłania się swoim ciężarem ku Ziemi (Ziemi z wielkiem Z... zawsze), by tam działać w widokach tylko ziemskich, natenczas iskra ulata i szuka sobie innych sposobności do rozwoju — „*w innych formach*, na

*innych planetach...*“ a ciało pozostaje, ożywione tylko fizycznie, z żywiołów, czerpanych z Ziemi. Ciało staje się kupą gliny, ożywionem tylko życiem zwierzęcem, pełnem wewnątrz ciemnoty i zepsucia, a zewnątrz nieudolnem. I twierdzi autorka, że: „większość ludzi jest złożoną z takiego materiału, *skutkiem swojej własnej wolnej woli, z własnego wyboru,* ponieważ zagłuszają systematycznie głos sumienia i opierają się wierze w egzystencję żywiołu duchowego w samych sobie i dokoła.“ „Ziemia jest jedną z najmniejszych planet; i nie tylko to, bo nadto, skutkiem swego położenia we wszechświecie, otrzymuje ona mniejszą ilość... bezpośredniego wpływu Elektrycznego Kręgu, aniżeli inne światy, szczęśliwiej położone.“ Mielizbyśmy więc być przekonani, że Bóstwo panny Corelli traci na swej istocie w miarę odległości?! Autorka ciągnie poważnie jeszcze dalej: „Gdyby ludzie mieli dość rozsądku i fakt ten uznali, wtedy-by uprawiali wszelkimi siłami zarodek elektrycznej sympatii w sobie, by za jego pomocą otworzyć komunikację bezpośrednią, cały system przyciągania, między tą planetą... a Kręgiem, bezustannie się rozszerzającym.“ Lecz, w miarę ubiegających wieków, zmniejszają się szanse ludzkości: „Czas zbliża się szybko, kiedy nieubłagane prawo wchłonięcia (*absorption*) zgasi Ziemię, tak łatwo, jak gasimy świecę.“ Ziemia wprawdzie może znów będzie stworzoną i znów rzuconą w przestrzeń — ale... „kształt jej wtenczas będzie inny, cudowniejszy, a mieszkańcy jej będą niewątpliwie doskonalsi.“

Autorka używa wielu wyrażzeń, nie wyjaśniając ich znaczenia: nie wiemy, co się ma rozumieć przez owo prawo jakiejś wielkiej Absorbeyi... więc znów staje nam w pamięci indyjski posąg „najwyższego Ducha“, wyobrażający Brahmę oddychającego i wdychającego: ilekroć dech wypuści, stwarza wszechświaty; następna funkcya — wchłania, absorbuje. Autorka usiłuje także popierać swoje wywody cytując z Ewangelii.

Teoryami płomieni i planet, tak doskonale materialistycznymi, p. Corelli chce dowieść, opierając się na Nowym Testamencie, iż „Chrystus był wcielonym duchem elektrycznym“ (*was an Embodied Electric Spirit*), strumieniem, łączącym dusze ziemskie z Bogiem. Na cisnące się zarzuty krytyki autorka jedną chyba może mieć tylko odpowiedź, że gdziekolwiek w Piśmie św. wspomniane są żywioły naszej planety, tam wyobraźnia znajduje nieskończone pole do wysnuwania wniosków, które dadzą się, lub nie dadzą pogodzić z pewnikami ścisłej wiedzy naszej, które atoli wolno wyzyskiwać poetom... *denn nichts beschränkt die freie Dichterkraft*. Cóż zaś powiedzieć o wyobraźni mistyków!... Osobną też można-by napisać rozprawę, by wykazać, jak zbliżone są pojęcia Maryi Corelli o Stwórcy i składnikach jestestwa stwo-



zrzonego do pojęć starożytnych Esseńczyków, talmudystów, a zwłaszcza kabalistów, zbliżone bardzo i tylko przesiane przez przetak buddaizmu pani Anny Besant. Że p. Corelli, katoliczka z urodzenia, wierzy silnie w „wiarę elektryczną“, o tem wątpić prawie niepodobna. Że znów i ta droga... elektryczna wiedzie ją do Rzymu, przeczyć nie myślę, bo (i to rys ważny w jej sposobie myślenia) z pism jej przebija najwyraźniej przekonanie, iż ogół ludzkości w katolicyzmie jedynie może znaleźć zbawienie. Czy zaś zbawienie to doprowadzi do niższego, lub wyższego stopnia w wieczności — autorka nie decyduje, zastawiając się słowami Zbawiciela: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele.“

Pauna Corelli powiedziała nam u wstępu, że we własnej osobie doświadczyła elektrycznej potęgi Zary i Heliobasa; że, nadto, wypitwszy jakiś eliksir, przeniesioną została po-za życie—do sfery, za którą jest Sfera Centralna, i że to, co tam widziała i słyszała, przekonało ją „o śmieszności pojęcia Boga antropomorficznego“ i o prawdziwej elektrycznej teorii Heliobasa. Pomijając, iż ani chrześcijaństwo, ani żadne z istniejących dziś po-za niem społeczeństw nie daje Najwyższemu istnienia w formie, że, przeciwnie, „Kształt elektryczny“ Heliobasowej wiary zdaje się być wyraźnem zaprzeczeniem pojęcia amorficznego, zapytać musimy, czem sobie zasłużyła autorka na wyszczególnienie z pomiędzy tylu tysięcy śmiertelników, którzy przecież goręcej pragną ostatecznej wiedzy, aniżeli ona pragnęła, kiedy, chora, znużona, poznała Celliniego w Nicei? Innemi słowy: Jeżeli autorka przejrzała skutkiem przypadkowego wypicia eliksiru w pracowni Celliniego i następnej kuracji, również eliksirowej, w pałacu hrabiego Heliobasa, to, skoro książka jej ma być ostatniem słowem neo-chrześcian i znaleźć u nas wiarę, pragnęlibyśmy dowiedzieć się najprzód adresu Heliobasa, a zaraz potem wydobyć od niego receptę jego eliksiru. Tem zaś więcej o to nam chodzić musi, iż autorka zastrzega się przed posądzeniem o napisanie *powieści*, a oświadcza z naciskiem, iż nam dała *sprawozdanie*.

### The Soul of Lilith.

Według teologii rabinistycznej i mahometańskiej <sup>1)</sup>, pierwszą niewiastą przy Adamie była Lilith. To imię dała autorka bohaterce, a raczej środkowej postaci, która, „nie mając ani kropli krwi człowieczej, była, jako słodka i wdzięczna kobieta“ <sup>2)</sup>. I znowu dowiadujemy

<sup>1)</sup> Bandissin: *Studien zur Semitischen Religionsgeschichte*. (Berlin, 1876—78).

<sup>2)</sup> „Not a drop of her blood was human,

But she was made like a soft, sweet woman.“

(Dante G. Rossetti).

się z przedmowy, że powieść została napisana pod wrażeniem szczególnego eksperymentu. Czy się udał i komu, niewiadomo; w książce za to udał się.

Indo-chaldejczyk, El-Rami-Zaranos, spędził lata chłopięce i pierwszej młodości między uczonymi pundytami, na podróżach po Egipcie, Persyi, Arabii i Chaldei, posiadał dużo wiedzy okkultystów azjatyckich, odbył rozległe studia we wszech naukach dawnych i nowożytnych. Miał brata, znacznie młodszego, Feraza. Będąc obaj w Arabii, napotkali rodzinę Beduinów, ginącą z głodu i choroby. W końcu umarła 7-letnia dziewczynka, a pozostała przy życiu tylko stara jej krewna, Zaroba. El-Rami, skoro się przekonał o niewątpliwie zaszłej śmierci dziecka, wpuścił mu przez usteczka kilka kropli tajemniczego płynu. Potem odesłał brata do jednego z chaldejskich klasztorów na dłuższy pobyt, a sam zabrał zwłoki dziecka i starą Zarobę do Londynu, bo tam tylko mógł żyć, nie zwracając niczyjej na siebie uwagi. Sława jego głębokiej nauki i tajemniczych przyniotów poprzedziła go jednakże nad Tamizą: po przybyciu więc i osiedleniu się w ustronnej dzielnicy, El-Rami znalazł się zestosunkowanym z osobami wszelkich sfer towarzyskich; a choć on traktował ludzi z cyniczną pogardą, spieszono doń pod najrozmaitszymi pozorami: uczeni szukali z nim dyskusyi, duchowni żądali od niego uspokojenia swoich wątpliwości, kobiety miały go za jasnowidza, cierpiący znajdowali często u niego zupełne uzdrowienie. Szczególny człowiek ten nie miał atoli żadnej wiary religijnej, a był pozerany przez rozpacz niepewności co do życia pozagrobowego. Oceniając go w świetle teoryi Heliobasa, widzimy w nim wysoko uduchowionego człowieka, obdarzonego niezwykłym zasobem... elektryczności, ale—niezdetkniętego jeszcze ze Sferą Centralną.

On jeden z Zarobą zamieszkuje całą kamieniczkę. Na pierwszym piętrze, w obszernym pokoju, ozdobionym z przepychem wschodnim, wśród mnóstwa kwiatów, na wywyższeniu, usłanem białym jedwabiem, spoczywa Lilita, owo dziecię, zmarłe przed 10-ciu laty w puszczy arabskiej. Oczy ma zamknięte, ale... lekki rumieniec krasi białe lica dziewczynki. Lilita „śpi“ i oddycha. Czytelnik „Romansu dwóch światów“ ma się domyślać (bo autorka objaśnień nie daje), że, skoro tylko pierwiastek życiowy, czyli dusza, żywioł czysto ziemski, opuścił ciało dziecka, El-Rami, siłą swej woli i swej elektryczności, i wreszcie owego płynu (na co ten nieszczęsny eliksir?) zdołał zatrzymać w ciele iskrę elektryczną, tę cząsteczkę Elektrycznego Kręgu, która, gdyby nie El-Rami-Zaranos, była-by się ulotniła i szukała sobie sposobności do rozwoju w innych ciałach, lub formach bytu. Fizycznie — Lilita nie żyje; potrzeb fizycznych nie ma żadnych, lecz obecność elektryczności w niej, oraz dawane jej od czasu do czasu krople eliksiru... rozwinęły jej orga-

nizm fizyczny do kresu kompletnego rozwoju, po którym nie może być stopniowego i powolnego rozkładu, gdyż rozkład jest funkcją czynników fizycznych. Elektryczność Lility, nie mając więzów materialnych, utrzymuje świadomość jej w sferze niematerialnej: Lilita ma świadomość bytu w jednym z Kręgów, otaczających Sferę Centralną, lecz ta świadomość ulega w pewnych razach wpływowi elektrycznemu El-Ramiemu, może uleść wpływowi innych osób, posiadających zasób odpowiedny.

Sądził El-Rami, że od Lility dowie się tego, czego odkryć nie zdoła żadna wiedza śmiertelników.

To dzieło panny Corelli uznano słusznie za arcydzieło jej poetycznego talentu. El-Rami nie dowiaduje się rzeczy, których usta ludzkie opowiedzieć, wymienić, nazwać nie potrafią. Natomiast, kiedy Feraz, przywołany do Londynu, odkrył tajemnicę pierwszego piętra, i kiedy młodzieniec ten, w Boga wierzący, czysty jak archanioł, żyje tylko płomiennem ukochaniem Lility... wtedy zaczyna się w umyśle i sercu El-Ramiiego okropna walka: walka mędrca z człowiekiem. Jak w nim zazdrość, strzegąca duszy Lility dla wiedzy, staje się, mimo jego świadomości, zazdrością innego rzędu, jak, w miarę rozwoju w nim tego uczucia niższego, poczyna El-Rami tracić siłę wewnętrzną, jak znów siła ta wyrasta w jego bracie: jak się to wszystko zdradza i objawia, wśród okoliczności życia domowego i towarzyskiego między ludźmi, autorka wypracowała bardzo prawdziwie i, dodać należy, bardzo zajmująco. Więc, jako *romanza*, powieść ta zalicza się najsluszniej do klejnotów piśmiennictwa. Wspomnieć muszę, że, jak w „Ardath“, tak i w tej książce mamy kilka rozdziałów, wplatających charakterystyczne obrazy z życia sfer wyższych i średnich w Anglii, a te rozdziały współzawodniczą prawdą, trafnością spostrzeżeń, z satyrami Thakeraya.

Przytoczę pokrótce jedną rozmowę El-Ramiiego z duszą Lility:

— Gdzież jesteś? — pyta mędrzec.

— Jestem tu — odpowiada „śpiąca.“

— Czy dobrze ci?

— Dobrze.

— Lilito, cóż ty widzisz?

— Dużo rzeczy pięknych, cudownych. Ale ciebie tu niema. Głos twój słyszę i jestem mu posłuszną, ale widzieć cię nie mogę. Ja ciebie nie widziałam nigdy.

— Gdzież byłaś?

— Gdzie mnie wiodło upodobanie — i twoja wola. (Tu opisuje Lilita ekstatycznymi słowami przedziwne światy i słońca).

— Ale — przerywa jej mędrzec — przecież i tam jest śmierć!

— Śmierć? śmierci niema nigdzie: ani tam, ani tu. Jest tylko zmiana. Tu ludzie śpią, a śpiąc, zmieniają się. Zmiana — to jest życie.

El-Rami pyta dalej:

— Rozwiąż mi tajemnicę cierpienia na ziemi, niesprawiedliwości, śmierci niewinnego dziecięcia, ruiny uczciwego człowieka, rozpaczy, samobójstwa!... Słuchaj, my tu mamy podanie, że Bóg żyje, Bóg, Mądrość i Miłość, i że ten Bóg stworzył Piekło dla wiecznego dręczenia w niem swoich stworzeń. Piekło! Znajdź mi to Piekło, Lilito! dowiedz, że istnieje, opowiedz mi o niem... a wtedy chyba poznam wartość Nieba!

Czekał długo na odpowiedź. Otrzymał taką:

— Kazałeś mi szukać Piekła; szukałam, ale go nie znalazłam. Mowiłeś o dziwnych rzeczach: o miejscu kary, męczarni, ciemności, okrucieństw i rozpaczy. Niema takiego miejsca smutnego we wszystkim cudnem stworzeniu Boga. Tutaj niema. Jeżeli jest gdziekolwiek, to może być tylko na twoim świecie i dziełem być musi człowieka.

— A czemuż jest człowiek?

— Bożym Aniołem. Z Bożym też przymiotem: wolną wolą. Człowiek, jak sam Bóg, stwarza i niszczy. A co on obiera, to obiera bez przeszkody ze strony Boga. Więc, jeżeli człowiek robi zło, to zło musi istnieć, póki go sam człowiek nie zniszczy. Tu, gdzie jestem, zła niema.

— Ale zło na ziemi?... czyż nie znajduje kary?

— Zło karze się samo, niszczy się samo. Takie jest Prawo. Dobro zdaje się cierpieć, ale nie cierpi. Zło zdaje się znajdować szczęście, ale go nie znajduje.

— I Bóg istnieje?

— Bóg jest.

— A Niebo?...

— Które? Nieb są miliony milionów.

Swego czasu, kiedy El-Rami dał się opanować samolubnej namiętności, skończył się byt duszy Lility na ziemi: z ciała jej pozostała garstka prochu... Mędrzec, pozbawiony władz umysłowych, kończy życie na Cyprze, w klasztorze, którego zakonnikiem jest i Feraz.

### Barabbas: A Dream of the World's Tragedy.

Najnowszą powieścią Maryi Corelli jest ten „Sen o wielkiej tragedji Świata.“ Trzymając się ściśle tekstu Ewangelistów, pozostając wierną swojemu „wyznaniu elektrycznemu“, autorka daje nam obraz Męki i Zmartwychwstania Chrystusowego od chwili, w której schwytany został zbój Barabasz, aż do dnia, w którym ten ulaskawiony

przestępca zachodzi do domostwa kołodzieja Józefa w Nazarecie i jest świadkiem błogosławionej jego śmierci. Barabasz jest o tyle centralną postacią w opowiadaniu, że, tknięty skruchą, podziwem dla Jezusa, a nadewszystko — przywiązany dawnem uczuciem do bezwstydnego siostry Judasza Iskaryoty, jest świadkiem „wielkiej tragedii“ i człowiekiem, którego historia rzucać ma nowe światło na wiekopomny czyn Judasza. Autorka chce, byśmy w Judaszu widzieli... nie zdrajcę Mistrza, lecz męża ambitnego, wierzącego w Boskość Chrystusa i zwiędzionego przez faryzeuszów. Siostra jego, Judyta, zaręczona niegdyś Barabaszowi, ale płocha, chciała blasku i nierządna, jest awanturnicą i faworytą Kaifasza. Przez nią-to uzyskali kapłani pomoc Judasza do ujęcia Chrystusa, bo wierzący uczeń sądził, iż Mistrz niewątpliwie okaże swoją potęgę Bożą i swój królewski majestat, że przeto wydanie Go nie będzie zdradą, tylko przyspieszeniem wyswobodzenia Judei z pod jarzma rzymskiego i z pod przewagi obłudnego Sanhedrynu. Gdy Judasz zrozumiał nakoniec tajemnicę samowolnej Ofiary Chrystusowej, zwrócił się przeciw kapłanom otwarcie, wyznał im swoją wiarę w Boskość Nazareńczyka, włókł się u nóg ich, błagając o wstrzymanie wykonania wyroku nad Skazanym, a kiedy się przekonał o daremności swoich usiłowań, odepchnięty przez kapłanów i siostrę, wzgardzony, targany rozpaczą, „poszedł i obwiesił się.“ Takie pojmowanie głównych okoliczności pozwoliło autorce oprzeć na tekście ewangelicznym opowieść nad wyraz dramatyczną i realistyczną.

To samo pióro, które skreśliło ostatnie dui Al-Kyrisu z bezwzględnością Zoli i nieraz z większą siłą i w barwach gorętszych od tych, jakich użyć mógł pisarz francuski, to samo pióro wypisało „tragedyę świata“ z szczegółowością i realizmą genialną, zarazem ze czcią religijną najgłębszą. Mając zaś opisać Zmartwychwstanie, autorka ulega poetycznemu natchnieniu, któremu zawdzięcza czytelnik obraz następujący: W nocy, oddział żołnierzy strzeże grobu; lecz Galbus tylko i Maximus czuwają, reszta ludzi śpi w namiotach. Galbus opiera się senności z największą trudnością. Zasypia już, gdy budzi go głos towarzysza:

— „Galbus! Galbus! słuchaj!... I zanim setnik ocknął się zupełnie, do uszu jego dopłynęła srebrna kaskada muzyki, strumień drżących tonów, pełnych, czystych — tonów, jakich nie śpiewał żaden słowik w gajach, zalanych światłem księżycowem. Zdumienie na twarzy setnika przeszło w widoczne zachwycenie; chwyciwszy oszczep, oparł się na nim i słuchał. Ptaszę wciąż śpiewało z ukrycia, i zdawało się, jak gdyby jakieś dziwne było znaczenie w jego śpiewie, bo słuchający żołnierze czuli niezwykłą chęć podjęcia swemi głosami bogatego rytmu tych tonów... Nagle ptak ucichł; ale inne ptaszę, skryte tuż w mirto-

wych krzewach przy grobie, schwyliło echo ostatniej nuty i głośniej jeszcze i niecierpliwiej śpiewało melodyę tę samą...”

Budzenie się Ziemi odkupionej! Autorka nie śpieszy się: opisuje z drobiazgową, niemniej jednak zajmującą szczegółowością — jak, stopniowo, z pagórków, z gajów, z nizin wzrastał chór śpiewających ptasząt niezwykłych; jak znikły trawy dokoła wszędzie pod niezmiernym kobiercem drobniotkich, białych kwiatów; jak rajskim jakimś przeszło powietrze zapachem... jak wreszcie zaróżowiło się niebo pierwszym dnia brzaskiem.

— „Galbus! czuwanie skończone! Patrz—dnieje!”

Ale Galbus zachwiał się tej chwili, stojąc, oszczep wypadł mu z rąk, wznosił ku niebu oba ramiona, drzeń począł z trwogi niewysłowionej. „Bo teraz, z gorejącego nad nieboskłonem brzasku podniosła się jakaś białość, niby rozwijająca skrzydła olbrzymie, zwrócone na południe, a równocześnie takie samo zjawisko wstało na krańcu nieba przeciwległym. Ziemia wtedy zakołysała się i zadrżała, wicher gwałtowny przeleciał i spędził z nieba resztę nocnej pomroki, a tajemnicze białości zsunęły się tu... tu do grobu, z szybkością dwóch błyskawic.”

Żołnierze, porażeni, leżeli bezprzytomni. Potem głaz odpadł od jamy grobowej. „Anielskie postacie pochyliły się przed trzecią Białością, stojącą przed grobem rozwartym.” Czytelnik pojmie łatwo, jak autorka, posługując się swoją wiarą w elektryczną Sferę Centralną, potęguje całą tę scenę obrazami, które nas olśniewają. Ale tu — już książkę zamknąć musimy, z nią zamknąć muszę tę pracę.

Wielkiemu talentowi panny Corelli oddają wszędzie najszczerze uznanie. Atoli obrała sobie rodzaj i kierunek w piśmiennictwie, szczególnie obszarzone niebezpieczeństwem, tem może groźniejszem, iż osobliwych teorii swoich jest i apostołką, i zapaloną zwolenniczką. Dobrze jest, iż umysły, karmiące się tylko muzyką i poezją, rzadko kiedy czują potrzebę odtwarzania swych marzeń i dusznych swoich wrażeń... piórem literackim; niebezpiecznie jest ulegać takiej potrzebie!

I jeszcze pozwolę sobie zaznaczyć tu—co niejednego uderzyło już zapewne — wielkie podobieństwo, jakie mają poetyczne wyobrażenia i marzenia Maryi Corelli z mnóstwem obrazów Zygmunta Krasińskiego, z jego pojęciami Boga, wszechświata i człowieka...

EDMUND S. NAGANOWSKI.

# KRONIKA GALICYJSKA,

*Lwów we wrześniu 1894 r.*

Jeszcze trzy tygodnie trwać ma wystawa krajowa we Lwowie, przedłużona do 16 października. Niezwykle chłodna w tym roku pora jesienna, od początku września zbyt często dżdżysta, obecnie znów pogodna, zmieniła cechy życia wystawowego, do czego przyczyniły się też krótsze dni. Publiczność, zwiedzająca wystawę, tak miejscowa, jak zamiejscowa, a tej ostatniej obecnie więcej na wystawie, niż miejscowej, daleko więcej czasu spędza w budynkach wystawowych, w których zasłonią jest przed zimnym wiatrem, i stara się skorzystać z pory dziennej, aby oglądać jeszcze dokładnie wszystko przed zamknięciem wystawy. Ze zmrokiem, kiedy pawilony zostaną zamknięte, co obecnie następuje o godzinie 6-ej, publiczność w małej części zatrzymuje się w restauracjach i kawiarniach, te bowiem urządzone są dla ngaszczania klientów swych przeważnie pod gołym niebem, albo na werendach, odsłonionych z jednej strony, a lokale zamknięte mają dość szczupłe. Ruch tedy wieczorem, pominąwszy nadzwyczajne okoliczności, przenosi się do miasta, gdzie teatr i koncerta cieszą się udziałem publiczności, zwłaszcza przyjezdnej. Liczba przyjezdnych ciągle jeszcze jest znaczna, chociaż minęły już dni największego natłoku, jaki panował w czasie bytności cesarza Franciszka Józefa we Lwowie, kiedy jednego dnia przybyło na główny dworzec lwowski 25,000 osób. Spo-

kojnieszka obecnie pora sprzyja wędrowce po pawilonach wystawy i do takiej wędrowki pozwalam sobie zaprosić szanownych czytelników, chcąc im tym razem dać naprzód wyobrażenie o gospodarstwie leśnem w Galicyi, na podstawie tego głównie, co w tej mierze wykazuje wystawa.

Żaden dział wystawy nie jest w tym stopniu rozproszony po całym jej obszarze, co dział gospodarstwa leśnego. Tłómaczy się to tem, że znaczna część, i to najlepiej zagospodarowanych, lasów, należy do wielkich majątków, z których każdy niemal całość swego gospodarstwa chciał przedstawić łącznie w osobnym pawilonie. Wskutek tego spotykamy okazy z dziedziny gospodarstwa lasowego nietylko w budynku leśnictwa i łowiectwa, tudzież w tak zwanem rondzie leśnem pod gołym niebem, lecz nadto najpierw w pawilonie ministerjum rolnictwa, które zarządza lasami rządowemi, a następnie w pawilonach: arcyksięcia Albrechta, właściciela dóbr Żywieckich i Makowskich, hr. Andrzeja Potockiego, hr. Romana Potockiego, księcia Eustachego Sanguszki, a następnie jeszcze w pawilonach: dóbr Skolskich (Groedl i spółka), dóbr Wełdzirskich br. Papperów, dóbr Brodzkich—p. Lakarsa i spółki, i w pawilonie miasta Lwowa, a wreszcie w otoczeniu wielu z tych pawilonów pod gołym niebem. Połączywszy obfity bardzo materiał, który w dziale gospodarstwa leśnego podaje wystawa, z wiadomościami po-za wystawą czerpanemi, tudzież z wynikami dwóch zjazdów, które zajmowały się sprawą gospodarstwa leśnego, to jest zjazdu leśników i zjazdu ekonomistów, możemy dość dokładnie zdać sobie sprawę z dzisiejszego stanu gospodarstwa leśnego w Galicyi, jego dodatnich i ujemnych stron i jego nadziei na przyszłość.

Lasy zajmują w Galicyi, według sprostowanego w r. 1882 katastru gruntowego, obszar 2,021,828 hektarów, czyli 25.76% całego obszaru kraju. Galicya należy tedy dorzędu krajów, średnio zalesionych, i życzyłoby należało w interesie ekonomicznej przyszłości kraju, aby obszar, zajęty przez lasy w stosunku do całej powierzchni, nie zmniejszył się już więcej, lub przynajmniej nie zmniejszył się znacznie. Dążność do zmniejszania obszaru lasów ze strony ich właścicieli, jak wszędzie, tak i u nas, istnieje, a cyfra 4655 hektarów, o które obszar lasów miał się zmniejszyć w Galicyi od r. 1886 do 1892 włącznie, obejmuje tylko przyzwolone przez władzę stałe zmiany w kulturze, nie zaś zmiany czasowe, z których znaczna część z biegiem czasu ustala się i dochodzi do wiadomości władz dopiero znacznie później. Z owego obszaru lasów przypada 1,693,000 hektarów, czyli blisko 84%, na lasy większej własności, a 328,000 hektarów, czyli przeszło 16%, na lasy gmin wiejskich i włościan. Te ostatnie przestrzenie, pominąwszy bardzo nieliczne wy-



jątki, w których gospodarstwo jest niezłe, nie zasługują właściwie na nazwę lasów, gdyż, zostając najczęściej we wspólnem używaniu członków gminy, w krótszym lub dłuższym czasie uległy zniszczeniu, każdy bowiem z uczestników użytku starał się ubiedz innych w zaspokojeniu swej potrzeby w drzewie ze wspólnego lasu. Pozostają tedy, jako właściwy obszar gospodarstwa leśnego, lasy własności większej, w których liczbie mieszczą się także lasy gmin, posiadających dobra tabularne, z tych zaś gmin miasto Lwów posiada największy obszar lasów, okalający wieńcem miasto stołeczne.

Zalesienie Galicyi, którego ogólny wyraz stanowi powyższa cyfra 25.76% całego obszaru, jest bardzo nierówne. Bogactwo lasów skupia się głównie w powiatach południowych, górskich, gdzie ponad 30% przestrzeni jest lasu, a powiaty Dubiński i Nadwórniański mają: pierwszy 69%, drugi 46% całego obszaru zajętych przez lasy. Drugie wielkie pasmo lasów ciągnie się wzdłuż północnej granicy kraju, począwszy od ujścia Sanu do Wisły, aż po-za miejsce, w którym Styr opuszcza granice Galicyi. Nadto i w środku kraju rozrzucone są nie tak już wielkie, ale zawsze znaczne przestrzenie leśne. Najmniej zalesione są powiaty Podola galicyjskiego i tak zwanego Pokucia (Horođenka, Sniatyn) oraz powiaty Krakowski i Dąbrowski, mające z małemi wyjątkami niżej 10% lasów.

Pod względem rodzaju drzewa, to według mapy rozsiedlenia drzew, ułożonej przez krajowego inspektora leśnego, oraz drugiej mapy, ułożonej przez towarzystwo leśne, a wreszcie broszurki dyrektora Strzeleckiego, w górach panują świerk i jodła, mieszając się na Podgórzu z bukiem i grabem. W lasach wzdłuż północnej granicy kraju przeważa stanowczo sosna, która na granicy Podola ustępuje dębowi i bukowi. Lasy podolskie są przeważnie dębowe, występują wśród nich jednak nierzadko drzewostany mieszane: klony, jesiony, czereśnie i t. p. W środku kraju przeważają lasy bukowe, mieszając się tu i ówdzie z dębem i jaworem.

Galicya produkuje dziś rocznie około 10 milionów metrów sześciennych drzewa i znaczną część tej produkcji wywozi po-za granice kraju, przedewszystkiem do Szląska pruskiego, do innych wschodnich prowincyi pruskich, do Saksonii, a w części i do północno-wschodnich Niemiec, następnie do Morawii i Szląska, a nawet przez Wiedeń do Tryestu i stamtąd za morze, wreszcie na południowy wschód do Rumunii i nad Czarne morze. Znaczna część tego wywozu odbywa się drogą wodną, a mianowicie: na Wiśle i jej dopływach, na Bugu, na Dniestrze i Prucie. Drzewo galicyjskie jest towarem, w ogólności poszukiwanym i cenionym, mianowicie wobec tego, że dla pewnych rodzajów drzewa Galicya jest najbliższym i najkorzystniejszym dostawcą. Do-

tyczy to w szczególności dębiny, a także i pewnych sortymentów innych drzew, których środkowa Europa dziś już dostarczyć nie może. Wywóz drzewa z Galicyi rozwinął się na wielkie rozmiary w r. 1884 z otwarciem rucłu na kolei Transwersalnej, idącej przez południową część kraju wzdłuż największego pasma lasów górskich i podgórskich, a wzmagał się jeszcze więcej w miarę wykończenia sieci dróg, wiodących do stacyi tej kolei. Wyobrażenie niejake o tym wywozie daje fakt, że w r. 1893 przewieziono przez stację w Suchej, skąd rozchodzą się linie kolejowe ku zachodowi, do 16,000 wagonów drzewa rąbanego i ciosanego, a przeszło 6,000 wagonów materiałów tartych wszelkiego rodzaju w łącznej wartości do trzech milionów zhr. Statystyka wywozu z Galicyi do Niemiec wykazuje za rok 1890 wywóz kolejną 1,824,025 cetnarów metrycznych drzewa, a drogą wodną 1,105,000 cetn. metr.

Pomimo tak znacznego rozwoju handlu wywozowego drzewem, wszyscy znawcy stosunków w tym dziale gospodarstwa krajowego zgadzają się na to, że Galicya ze swej produkcji drzewnej nie odnosi tych korzyści, jakie snadno mogła-by osiągnąć, i że zbyt często przez nadmierną a niezbędną eksploatacyę lasow uszczupla swój kapitał leśny w sposób, wywołujący obawy o przyszłość. W majątkach średnich i mniejszych nie są wcale rzadkimi, chociaż rzadszemi, niż dawniej, wypadki, w których las spełnia funkcję rezerwowego zasobu, do którego się sięga, aby pokryć deficyt, spowodowany nieurodzajem, lub nadzwyczajnemi, nie zawsze produkcyjnemi, wydatkami. Jeszcze częściej dzisiaj zdarza się, wobec trwającej dotąd, lecz już zwalnającej w postępie, zwyczajki cen ziemi, że nabywcy dóbr, kupiwszy majątek znacznie większy, niż-by mogli na podstawie własnego kapitału, i wyczerpawszy kredyt hipoteczny, szukają pokrycia reszty reszty ceny kupna w sprzedaży lasu, t. j. drzewa na pniu. I w tych, i w tamtych wypadkach nie tylko regularny przychód, jakiego las może dostarczać według zasad racjonalnej gospodarki, zostaje wyczerpanym, ale i mniejsza lub większa część kapitału leśnego. Nierównie powszechniejszem jest, że właściciel lasu, czy to należycie gospodarujący, czy też użytkujący z niego ze szkodą dla kapitału leśnego, nie osiąga przy sprzedaży drzewa cen, odpowiadających choćby w przybliżeniu cenie, stosownej do wartości handlowej drzewa w danej chwili. Pominąwszy rzadkie wyjątki, właściciele lasów nie zdają sobie dokładnie sprawy ani z ilości materiału, jaki mają w lesie, który chcą sprzedać, ani z tego, do jakiej przeróbki ów materiał jest przydatnym i w miarę stosunków targowych najkorzystniej może być użytym. Ich służba leśna nie posiada wyższego technicznego wykształcenia, a już wcale nie ma wiadomości z dziedziny handlu drzewnego i jego każdorocznych stosunków, nie może im tedy być pomocą w tym względzie, a ludzi, których facho-

wej porady można-by w tej mierze zasięgnąć, niema dotąd w naszym kraju po-za kołem handlarzy zawodowych i przemysłowców leśnych, chyba w kilku zarządach największych majątków leśnych. Właściciel tedy, mający las, t. j. drzewo w lesie na pniu na sprzedaż, zdau jest na łaskę lub nie łaskę handlarzy, a to tem bardziej, im prędzej potrzebuje sprzedać i im więcej jest równocześnie takich, którzy, tak jak on, potrzebują sprzedać, ile możliwości rychło. Środek, jaki właścicielowi pozostaje, to jest wywołanie konkurencyi pomiędzy handlarzami, okazuje się po największej części niedostatecznym, ponieważ w każdej części kraju operuje nie wielka ilość handlarzy, którzy zwykle skłonni są do porozumienia pomiędzy sobą. Właściciel sprzedaje tedy las, nie zdawszy sobie należycie sprawy z tego, co on może być wart w danych stosunkach i do jakiej ceny handlarz byłby gotów dojsć, a sprzedaje go bądź na morgi, bądź podług ilości pni, czasem z wielce niekorzystnym, a dla gospodarstwa leśnego szkodliwym warunkiem, że handlarz może tę ilość pni wybrać sobie na znaczniejszej przestrzeni.

Właściciele lasów tracą nietylko przez to, że nie znają wartości swego drzewa, lecz także przez to, że na targach obcych, zwłaszcza na targu północno-niemieckim, występuje, bez względu na konjunkturę targowe ze strony popytu, zbyt wielka podaż drzewa galicyjskiego, która zniża cenę. Ci, którzy muszą sprzedać, sprzedają bez względu na cenę i przesycenie targu i sprowadzają dalsze zniżenie ceny. Tem się tłumaczy, że w swoim czasie podwyższenie cen wchodowych od drzewa w Niemczech, które byli-by ponieśli nabywcy niemieccy naszego drzewa, którzy go koniecznie potrzebują, wskutek złej organizacji handlu drzewnego i przymusowych sprzedaży ze strony właścicieli lasów, obciążyło przeważnie galicyjskich sprzedawców, a pośrednio właścicieli lasów, którzy o tyle mniej, lub prawie o tyle mniej dostali za drzewo, ile wynosiła podwyżka cła. Inny jeszcze powód czyni produkcję drzewa u nas znacznie mniej korzystną, niżby to być mogło. Bardzo mała część właścicieli lasów zajmuje się przerabianiem drzewa, lecz, jak nadmienilem powyżej, sprzedaje drzewo materiałowe, a nieraz i opałowe, na pniu. Nic w tem dziwnego, bo właścicielowi gospodarstwa rolnego, który posiada las niezbyt rozległy, nie opłaci się dla przerobienia niezbyt wielkiej ilości drzewa założyć i utrzymywać zakład przemysłowy. Powinny w tym celu powstawać osobne przedsiębiorstwa, tymczasem znaczną część naszego wywozu drzewa po-za granice kraju i państwa stanowi drzewo w stanie surówym, pnie ociosane tylko, lub przerżnięte wzdłuż. Tym sposobem tracimy cały zarobek przy dalszem obrobieciu, który części ludności naszej mógł-by dopomagać do utrzymania, a kapitałom dawał-by korzystne zajęcie. Prawda, że do tego stanu rzeczy przyczyniają się nie mało cła niemiec-

kie, które w miarę dalszego obrobienia są coraz wyższe. Atoli dla wywozu do innych krajów austriackich cła nie istnieją i ten wywóz obrobionego drzewa, więc desek, skrzynek, drutów drzewnych i t. p. musi być korzystniejszy; a nadto co do rozmaitych wyrobów z drzewa zachodzi pytanie, czy wywóz tych wyrobów do Niemiec, pomimo wyższego cła, nie byłby korzystniejszym, niż wywóz surowego materiału za opłatą cła niższego. Powinniśmy starać się o to koniecznie, aby jak największa część naszej produkcji drzewnej wychodziła za granicę kraju w stanie jak najbardziej przerobionym. Przykładem w tej mierze mogą nam być Szwecya i Norwegia, które, podług wskazówek, danych ze strony popytu, przerabiają najznacznieszczą część swojej produkcji drzewnej i wywożą ją w tym stanie tak dalece, iż nawet całe domy drewniane, rozłożone na części, wysyłają.

Wystawione okazy przemysłu drzewnego z pewnej liczby wielkich majątków, przedewszystkiem zaś z dóbr Skońskich i Węldziskich, dowodzą, że takie przerabianie materiału leśnego jest korzystnem, i wskazują, w jakich kierunkach głównie przeróbka mogła-by być prowadzoną. Spotykamy tu mianowicie deski heblowane rozmaitej długości i grubości, deski rezonansowe, deszczulki do wyrobu klawiszów fortepianowych, materiał przygotowany do wyrobu giętych mebli, skrzynki i puszki na jaja, na cukier i inne towary, szczapy osikowe na pudełka, druty drzewne i walki do storów, druty i gotowe drewnianka do zapalek, gonty dachowe, gonty łuskowe do pokrycia ścian drewnianych zewnętrznych, materiał na koła, posadzki, formiry, wełna drzewna i t. p. Gdyby obok przedsiębiorstw dla przemysłu leśnego, służących własnej potrzebie wielkich majątków, powstały u nas liczniejsze samoistne przedsiębiorstwa tego rodzaju, obliczone na pobieranie materiału od tych właścicieli lasów, którym nie opłaci się utrzymywać własne zakłady przemysłowe, natenczas uregulował-by się popyt za drzewem, ceny ustaliły-by się i podniosły, a liczna ludność znalazła-by zarobek przy przemyśle leśnym, który-by ją zatrzymał w miejscu. Na podstawie przemysłu leśnego, więcej rozwiniętego, mogłyby rozwijać się dalsze przedsiębiorstwa wyrobów drzewnych o wiele korzystniej, niż to może mieć miejsce dzisiaj. Ze stanowiska właścicieli lasów najpilniejszą potrzebą bieżącej chwili jest wytworzenie biura techniczno-leśnego, dającego rękojmiej ucziwości, wiedzy i znajomości stosunków handlowych, które-by właścicielowi, mającemu drzewo w lesie na sprzedaż, udzieliło za odpowiednem wynagrodzeniem fachowej rady, na jakie produkta było-by najkorzystniejszym w danej chwili to drzewo przerobić i jaką ono z tego względu może uzyskać cenę. Natenczas zyskał-by właściciel pewną podstawę do ocenienia ofert kupców i nie występowały-by już olbrzymie różnice między ceną

zapłaconą właścicielowi, a ceną, uzyskaną przy wywozie lub sprzedaży zakładom przemysłowym, również ze szkodą właścicielei bardzo dziś częste. Nadto, na podstawie badania i orzeczenia biura techniczno-leśnego, mogła-by jedna z instytucyi finansowych zająć się udzielaniem zaliczek i wogóle ułatwienia finansowej strony interesu, co i właścicielom, i kupcom lub przemysłowcom, przyniosło-by znaczne korzyści. Wspaniałe okazy drzewa najróżniejszych gatunków, które w tak wielkiej liczbie wystawiono z większych i średnich majątków, zachęcają do usilnej pracy około podniesienia tej ważnej gałęzi gospodarstwa krajowego.

Z kolei chciałbym teraz dać krótki pogląd na stan górnictwa i hutnictwa w Galicyi, włączając w ten obraz produkcję soli, która jest monopolem rządowym, i produkcję nafty i wosku ziemnego, które są szczególną właściwością naszego kraju.

Na wystawie okazy górnictwa przedstawione zostały przez ministerium skarbu, do którego zarządu należy produkcya soli, przez ministerium rolnictwa, w którego zakres wchodzi opieka nad górnictwem wogóle i zarząd kopalni rządowych, z wyjątkiem kopalń soli, dalej przez prywatnych wystawców, między którymi najznaczniesze miejsce zajmują: krajowe towarzystwo naftowe i producenci nafty i wosku ziemnego, hr. Andrzej Potocki, Stanisław Szczepanowski, ks. Eustachy Sanguszko, arcyksiążę Albrecht i hr. Roman Potocki. I ten dział wystawy rozrzucony jest w rozmaitych miejscach, chociaż nie tak rozproszony, jak dział leśny.

Ogólna wartość płodów górniczych, wydobywanych w ostatnich latach corocznie w Galicyi, wynosi według obliczeń szczegółowych profesora Szajnochy 23 miliony złr. Z tej sumy przypada na naftę, wosk ziemny i oleje mineralne smarowe około 13 milionów, uwzględniając w obliczeniu tej cyfry także przeróbkę nafty w dystylarniach, o ile ona się odbywa w kraju. Wartość produkcji solnej, według cen monopolowych, po jakich dostaje się ona do handlu, wynosi 7½ miliona, reszta zaś przypada na węgiel kamienny i brunatny, cynk i żelazo, t. j. razem około 2½ miliona złr. Cyfry te wskazują jasno, w których gałęziach przemysłu górniczego leży punkt ciężkości. Przejdźmy do szczegółów.

Produkcya żelaza w Galicyi, niegdyś rozpowszechniona na całym niemal Podgórzu, obecnie zupełnie upadła, tak, iż dzisiaj istnieje tylko w Węgierskiej Górze pod Żywcem jedna huta żelazna arcyksięcia Albrechta. W czasach dawniejszych, kiedy nie było kolei żelaznych, kiedy w górach drzewo opałowe nie miało prawie wartości, a robotnik był nader tani, oplacało się z ubogich rud galicyjskich, lub rud, sprowadzanych z Węgier, wytapiać żelazo. Obecnie produkcya ta nie mogła się oplacać, zwłaszcza, iż, jak doświadczenie innych krajów

uczy, a rachunek potwierdza, warunkiem rozwoju przemysłu hutniczego jest w wyższym jeszcze stopniu tani opał na miejscu, zatem bezpośrednio bliskość kopalni węgla, niż bliskość rudy; Galicya zaś dotąd jest nader ubogą w węgiel kamienny. Jedyne dodatni objawy w produkcji kruszcowej w Galicyi przedstawia cynk i galman, wydobywany w okręgu krakowskim, który wraz z południowo-zachodnią częścią Królestwa Polskiego i z Górnym Szląskiem pruskim stanowi pod względem geologicznym wspólny obszar, wykazujący znaczną różnorodność płodów górniczych. Cynk i galman wywożone bywają za granicę kraju, prócz tego istniejąca w dobrach hr. Andrzeja Potockiego huta cynkowa w Krzu dostarcza do wywozu znaczną ilość bieli cynkowej. Mamy też jedną kopalnię rudy ołowianej w Kętach (produkcya 35,000 cetn. metr).

Produkcya węgla kamiennego i brunatnego, owej nieodzownej podstawy przemysłu fabrycznego w Galicyi, w porównaniu z innymi krajami nader skromne zajmuje stanowisko. Pomimo poszukiwań, na które jeden z przemysłowców lwowskich znaczne wyłożył sumy, mamy dotąd węgiel kamienny jedynie na lewym brzegu Wisły, we wspomnianym już okręgu krakowskim, w pokładach, łączących się z pokładami Śląska pruskiego i Królestwa. Istnieje tam 10 przedsiębiorstw kopalniarskich, z których 4 tylko są w ruchu. Z tych największe gwarectwo Jaworzniańskie, złożone z Niemców wiedeńskich, mimo zachęty ze strony dyrekcji wystawy, wcale nie jest reprezentowane na wystawie. Wydobywa ono blisko 4½ miliona cetnarów metrycznych, podczas gdy drugie z rzędu przedsiębiorstwo, hr. Potockiego w Sierszy, produkuje do 1,800,000 cetnarów metr. Ogół galicyjskiej produkcji węgla kamiennego wynosił w 1892 r. 6,324,795 cetnarów metr. wartości na miejscu 1,117,053 złr., podczas gdy przed 20 laty, w r. 1872, produkcya wynosiła 2,698,271 cetn. metr. wartości 835,661 złr. Produkcya węgla kamiennego wzrosła tedy wcale znacznie i żalować tylko wypada, że jedynym okręgiem produkcji tego węgla jest zachodni kraniec kraju, skąd do środkowych części i dalej na bezleśne Podole węgiel odbywać musi długą drogę koleją, która cenę jego znacznie podnosi. Krajowa produkcya węgla kamiennego nie wystarcza na potrzeby kraju, w tym kierunku ciągle rosnące, i sprowadzać musimy corocznie przeszło 3 miliony cetnarów metr. z pruskiego Śląska, a 1½ miliona przeszło ze Śląska austriackiego i Morawii.

Węgiel brunatny znajduje się w Galicyi w dwóch pasmach: jedno ciągnie się wzdłuż podgórze karpaccy, występując najwybitniej dotąd w okolicach Kołomyi, gdzie w Myszynie i Nowosielicy znajdują się kopalnie p. Szczebanowskiego, drugie od Rawy ruskiej nad północną granicą sięga ze znacznymi przerwami przez okolice Żółkwi do

Złoczowa i dalej na południu do Czortkowa na Podolu. Wspomniane dopiero kopalnie Kołomyjskie i pas węglowy koło Żółkwi, mianowicie pod Gliniskiem, oto dwa główne dzisiaj ogniska produkcji. Istnieje obecnie 12 przedsiębiorstw, z których 6 jest czynnych. Produkcya w ostatnich dwóch latach znacznie się rozwinęła i wynosi obecnie 232,609 cetnarów metr. wartości 123,479 zhr. Węgiel brunatny galicyjski jest bardzo różnej jakości, a grubość pokładów, dostatecznie dotąd niezbadana, w wielu miejscach nie wystarcza, aby zachęcić do znaczniejszych wkładów kapitałowych. Wszakże wątpić nie można, że znajdujemy się dopiero u wstępu do coraz rozleglejszej eksploatacyi, która będzie się rozwijać w miarę wskazówek, dostarczanych przez dalsze badania pokładów.

Produkcya soli jest w Austrii monopolem rządowym, stąd też cała wystawa tego działu mieści się w pawilonie ministryum skarbu, który zawiera nadzwyczaj interesujące plany kopalń bądź na kartach, bądź plastycznie przedstawione, dalej dokładne wykazy produkcji tak w kopalniach, jak w warzelniach, wreszcie modele przyrządów w kopalniach i warzelniach. Galicyjskie pokłady solne ciągną się wielkiem pasmem od prawego brzegu Wisły w pobliżu Krakowa przez całą południową część kraju wzdłuż Karpat, aż do granicy Bukowiny, a grubość tych pokładów dochodzi miejscami do kilkuset metrów. Sól wydobywaną bywa bądź sposobem górniczym w kopalniach sławnych w Wieliczce i Bochni, bądź występuje w źródłach solnych, których mamy w kraju blisko 600, bądź wreszcie okazuje się zmieszana z ilami, z których ją wylugowują wodą, w tym celu napuszczaną. Ze źródeł naturalnych i ze sztucznej solanki, t. j. wody, nasyconej solą w pokładach ilu, wywarza się sól w warzelniach, których jest w Galicyi 9. Produkcya soli w Galicyi zmniejszyła się, głównie wskutek ustania wywozu za granicę, mianowicie do Królestwa Polskiego, które, od czasu, gdy w r. 1884 ustał obowiązek rządu austriackiego dostarczania soli po cenie niższej, zaopatruje się w sól gdzieindziej, niż w Galicyi, z powodu wysokich cen soli galicyjskiej. Rząd austriacki ma w Galicyi przeszło 8 milionów zhr. rocznie dochodu z monopolu solnego, wskutek tego ceny soli muszą być wysokie, przewyższające kilkakrotnie koszta produkcji: cetnar metryczny soli kamiennej kosztuje 10 zhr., soli warzonki 9 zhr. W r. 1875 wyprodukowano soli kamiennej i warzonki razem 1,091,000 cetn. metrycznych, w r. 1892 tylko 825,000 cetnarów metr., pomimo, że z wzrostem ludności potrzeba soli wzrosła, i że ilość soli, wypadająca na jednego mieszkańca, nie odpowiada potrzebie fizyologicznej, która większą być musi w ludności, tak przeważnie żywiącej się pokarmami roślinnymi. Wzrosła tylko produkcya soli na potrzeby fabryczne z 89,811 cetnarów do 401,088 cetn. metr.

Galicja prowadzi od lat wielu ciągłą walkę o sól w sejmie i w radzie państwa, w petycyach towarzystw rolniczych i innych z biurokrycją wiedeńską, która nie może wyjść po-za utarty szablon krótkowidzącej przestarzałej administracji fiskalnej, ze szkodą dla ludności, dla rozwoju produkcji rolniczej, a tem samem i dla interesów samego państwa. Walka ta toczy się w trojakim kierunku: najpierw o зниżenie ceny soli dla konsumpcji ludzkiej, za czem poszedł-by wzrost tej konsumpcji z korzyścią dla zdrowia, wzrost, który z biegiem czasu wyrównał-by początkowy ubytek w dochodach państwa. Następnie toczy się walka o dostarczenie taniej soli dla bydła, czemu się rząd sprzeciwiał, zasłaniając się niemożnością zaprawienia soli taką przymieszką, która by czyniła sól nieprzydatną dla konsumpcji ludzkiej, a była dla bydła zdrową i przez nie chętnie spożywaną. Jedyne ustępstwem, jakie w tym względzie aż do ostatnich czasów uzyskano, jest to, że gminom wiejskim w górach pozwolono korzystać z pobliskich źródeł solnych dla swego bydła. Dopiero z końcem zeszłego roku udało się posłom naszym przeprowadzić w radzie państwa ustawę o fabrykacji soli bydłowej. Sól tę zaprawiają zwykle piolunem, aby była nieprzydatną dla konsumpcji ludzkiej. Pobór jednak tej soli z warzelnii otoczony został, z obawy o uszczerbek dla monopolu solnego, tytu i tak uciążliwymi formalnościami, że rolnicy bardzo mało z niej korzystają, co znowu stanowi argument za zaniechaniem produkcji soli bydłowej. Trzeba będzie tedy podjąć dalszą walkę o to, aby sól bydłową uczynić istotnie dostępną rolnikom. Wreszcie w trzecim kierunku prowadzimy walkę o wyrób soli potasowych na nawóz, t. zw. kainitu i sylwinu. W r. 1861 odkryto w pokładach solnych w Kałuszu sole potasowe, znane dotąd tylko w Stassfurcie pod Magdeburgiem i stamtąd w dalekie strony rozsyłane. W r. 1869 utworzyło się przedsiębiorstwo prywatne, które na podstawie układu z rządem rozpoczęło w Kałuszu wyrób soli nawozowej, a nadto w Simmeringu pod Wiedniem wyrabiało saletrę potasową. „Krach” wiedeński w r. 1873 sprowadził ruinę towarzystwa i zaprzestanie wyrobu, i dopiero w r. 1887, wskutek uchwał sejmu i starań posłów galicyjskich w radzie państwa, podjął rząd, który uważa sole potasowe, jako wchodzące w zakres monopolu solnego, wyrób soli potasowych; prowadzi go jednak dotąd w rozmiarach niedostatecznych i, zamiast popierać używanie tych nawozów przez ułatwienie dostawy, gwarancję zawartości i należyte przygotowanie produktu do użytku, tak jak to się dzieje w Stassfurcie, lęka się włożyć w to przedsiębiorstwo potrzebne koniecznie sumy i utrudnia nadto pobór formalnościami. Mamy jednak nadzieję, że wytrwałym usiłowaniami, popartym przez przedstawienia władz miejscowych, uda się przelamać zawady biurokratyczne i przesadne obawy o całość monopolu solnego i skłonić



rząd do tego, aby urządził wydobywanie soli potasowych na wielki rozmiar, założył fabrykę chemiczną, która-by przerabiała produkt, odpowiednio do wymagań gospodarstwa rolniczego, i gwarantowała minimalną zawartość soli potasowych, a wreszcie wybudował linię kolejową, łączącą kopalnię i fabrykę z dworcem w Kałuszu.

Produkcya nafty i wosku ziemnego stanowi najważniejszą i pod względem finansowym najdonioślejszą część galicyjskiej produkcji górniczej, a zarazem szczególniejszą jej właściwość, gdyż wosk ziemny na całej kuli ziemskiej tylko w Boryslawiu, Dzwiniaczu i Staruni jest wydobywany, a w produkcji nafty Galicya zajmuje dzisiaj trzecie miejsce po Kaukazie i Ameryce, lecz jest właściwą kolebką kopalnictwa i przemysłu naftowego. W r. 1852, za inicjatywą ś. p. Ignacego Łukasiewicza, wynalazcy lampy naftowej i twórcy dystylacji ropy naftowej, użyto po raz pierwszy w szpitalu powszechnym we Lwowie nafty do oświetlenia. Od tego czasu produkcya nafty, utrudniona brakiem przedsiębiorczości w naszym kraju i nieuregulowanemi stosunkami prawnymi, rozwijała się zrazu zwolna, potem, pomimo wysokiego podatku konsumpcyjnego (6 zł. 50 c. od cetnaru metrycznego) i konkurencji zagranicznej, coraz silniej, zwłaszcza od czasu, kiedy przyswojono sobie z Ameryki i tutaj wydoskonalamo nowy system szybkiego wiercenia. Według obliczeń prof. Szajnochy, w ostatnich trzydziestu latach wydobyto w Galicyi wosku ziemnego za 60 milionów zlr., a nafty za 65 milionów zlr. W r. 1892 produkcya wosku ziemnego wynosiła 56,376 cetn. metr. wartości 1,508,778 zlr., produkcya surowej ropy naftowej 898,713 cetn. metr. wartości 2,742,724 zlr. Znaczna część tej ropy przerabia się w 39 rafineryach krajowych, które wyprodukowały 404,934 cetn. metr. nafty. Podatek od nafty, płacony przy wywozie z rafinerji, wynosił w Galicyi w 1893 r. 2,704,000 zlr. Oprócz nafty, wyrabiają dystylarnie benzynę, a nadto oleje smarowe. Pokłady naftowe ciągną się w Galicyi na Podgórzu karpackiem od brzegów Dunajca, aż prawie do południowej granicy kraju, podobnie, jak pokłady solne. W tem długim pasmie występowały z biegiem czasu coraz to nowe ogniska produkcji i zyskiwały przewagę nad dawniejszemi. Najdawniejszem ogniskiem był Boryslaw, gdzie kopano studnie i czerpano z nich ropę, wsiąkającą ze ścian i z dna studni. Później rozwinęła się najsilniej produkcya na zachodnim krańcu pasma w Gorlickiem; następnie na wschodnim krańcu pasma w Kołomyjskiem, gdzie pierwszy raz zastosowane zostały wszelkie postępy techniki wiertniczej z wielkimi wkładami kapitałowemi, w ostatnich zaś czasach przez szereg lat najbardziej ożywioną jest produkcya z Krośnieńskiem i Jasielskiem. Przemysł naftowy, zatrudniający obecnie 300 przedsiębiorstw, po największej części spółek udziałowych, pomimo strat indywidual-

nych, które są nieuniknione w przedsiębiorstwach ryzykownych, podniósł pod względem ekonomicznym znaczną część Podgórze karpackiego, dostarczył stałego zarobku ludności, zajętej w kopalniach i rafineriach, a nadto jeszcze wywołał cały szereg zarobków i przemysłów ubocznych, które znowu utrzymują znaczną ilość ludzi. Ktokolwiek znał przed dwudziestu laty powiaty: Krośnieński, Jasielski i Gorlicki, a obecnie znowu je zwiedza, tego musi uderzyć ogromna różnica w sposobie życia, w rozwoju umysłowym i ekonomicznym ludności wiejskiej. Niewątpliwie przyłożyły się do tego inne także przyczyny, jak wybudowanie kolei Transwersalnej, postępy oświaty ludowej, a niemniej i czasowe wędrówki za zarobkiem do Ameryki; a jednakże te inne przyczyny działały tak samo i w sąsiednich powiatach, od których trzy powiaty, poprzednio wymienione, bardzo wybitnie a korzystnie się odróżniają. Obok tego, widać i w miastach i miasteczkach tamtejszych znaczniejszy ruch handlowy, a i dworskie majątki, powszechnie nie dochodzące do miary średnich fortun, wykazują wpływ wyraźny przemysłu w okolicy. Mniej znacznym jest wpływ przemysłu naftowego na byt ludności w Kołomyjskiem, gdzie miejsca produkcji są bardziej skoncentrowane, a jeszcze mniejszym w okolicach Borysławia i Drohobycza, gdzie przemysł naftowy zostaje wyłącznie w rękach ludności żydowskiej.

Ilość robotników, zajętych przy górnictwie i hutnictwie w Galicyi, wynosiła w r. 1892, z włączeniem robotników salinarnych i naftowych, ogółem 14,254, czyli 0.22% całej ludności kraju. Z tej cyfry robotników przypada na kopalnie ropy i wosku ziemnego 8,212, na kopalnie węgla kamiennego i brunatnego 2,555.

Bilans przywozu i wywozu płodów górniczych Galicyi, według obliczeń prof. Szajnachy, przedstawia się następująco: wywozimy poza granice kraju ropy, wosku ziemnego, cynku i soli razem za 8 do 9 milionów złr. rocznie, a natomiast przywozimy węgle kamienne, żelazo, i ołów, w wartości 4 do 5 milionów złr. rocznie. Dzięki nafcie zatem płody górnicze stanowią, podobnie jak drzewo, znaczną pozycję wywozową w naszym bilansie towarowym, co tem więcej podnieść należy, że nasz wywóz zboża, w miarę wzrostu ludności krajowej, a jeszcze bardziej w miarę konkurencyi zagranicznej i niskich cen na targu światowym, stopniowo się zmniejsza.

Po-za obrębem produkcji górniczej, której stosunki określają specjalne ustawy, jak ogólna ustawa górnicza i osobne ustawy dla przemysłu naftowego, a tem samem po-za nadzorem władz górniczych i po-za ewidencją przedsiębiorstw, jaką te władze utrzymują, pozostaje wydobywanie i przerabianie kamieni wszelkiego rodzaju, wapna, gipsu i gliniek. Wiadomości o tym dziale produkcji krajowej są, niestety,

stosunkowo bardzo skąpe i ograniczają się raz do wiadomości, dość ogólnikowych, o pokładach, istniejących w kraju, a następnie do wiadomości o pewnej liczbie miejsc eksploatacyi, zwiększonej obecnie przez wystąpienie kilku nieznanych dotąd producentów na wystawie krajowej. Dwa powiaty galicyjskie, na lewym brzegu Wisły położone, t. j. Krakowski i Chrzanowski, jak wogóle odznaczają się bogactwem górnictwem, tak też posiadają najcenniejsze łomy kamieni i kopalnie gliniek. Mianowicie w dobrach hr. Andrzeja Potockiego znajdują się łomy marmuru, którego nader piękne okazy wystawione są w pawilonie dóbr Krzeszowickich. Powiaty te mają również łomy porfiru i kopalnie glinki ogniotrwalej. Granity i trachyty znajdują się w Tatrach, i stamtąd nadesłali okazy właścianie powiatu Nowotarskiego. Okolica naddniestrzańska, począwszy od Jezupola, w dół aż do granicy, obfituje w pokłady alabastru, zdala widoczne na stokach pagórków, i w pokłady zwykłego kamienia wapiennego. Piękne okazy alabastrów nadesłano z tamtych stron na wystawę, jednakże wydobywanie i obrabianie alabastru nie odbywa się w żadnym miejscu regularnie i na choć cokolwiek większy rozmiar, tak, żeby można każdego czasu nabyć wyroby tego rodzaju, lub przynajmniej liczyć na przyjęcie i wykonanie zamówień. Jest tu tedy otwarte i nieużytkowane pole dla przedsiębiorstw, które mogły-by łatwo wznówić produkcję, dawniej u nas istniejącą, skoro w kościołach tej części kraju spotykamy się nierzadko z pomnikami, słupami z alabastru, ze ścianami, wykładanemi alabastrem, a kamień ten, jakkolwiek nie wytrzymuje wpływów klimatu, wewnątrz budynków nadaje się wybornie, jako materiał dekoracyjny, tańszy od marmuru, a szlachetniejszy i piękniejszy od wszelkich stiuków i innych naśladowań. Pasma karpackie i reszta kraju zawierają pokłady kamienia ciosowego i różnych rodzajów piaskowca, między któremi wyróżnia się kamień różowy i zielonawy, tak zwany trembowelski, wydobywany w okolicach Trembowli, a stanowiący niemal wyłączny materiał do chodników na ulicach Lwowa, nadto zaś używany na schody, słupy, studnie i t. p. Cały ten dział kamieni, gliniek i wapna liczy na wystawie krajowej 53 wystawców, co wskazuje, że jest przecie jakiś ruch na tem polu o tyle, iż właściciele pokładów starają się zaprezentować publiczności, co posiadają, w nadziei, że wywołają popyt za materiałem swoim, a następnie, iż tu i owdzie dzwigną się przedsiębiorstwa dla regularnej produkcji w tym dziale, głównie fabryki gipsu i wapna.

Właściwa produkcya przemysłowa Galicyi występuje, pominiwszy niektóre luki, w sposób dość dobrze przedstawiający jej stan obecny w kraju, a porównanie pod tym względem wystawy obecnej z wystawą krajową r. 1877 wykazuje w ogólności trafnie postęp niezaprze-

czony, jaki kraj zrobił w ciągu lat siedmnastu na polu rozwoju przemysłowego. O tym postępie świadczą już cyfry ludności, zajętej przemysłem i żyjącej z przemysłu, jakie podają spisy ludności z r. 1880 i z r. 1890. Ludności, zajętej przemysłem (samoistnie lub w cudzych przedsiębiorstwach), było w 1880 r. 164,676, w r. 1890 zaś 226,662, zatem w r. 1890 więcej o 61,986, czyli o przeszło 37% ludności, żyjącej z przemysłu; zajętych więc przemysłem wraz z rodzinami, domownikami i służbą, było w 1880 r. 459,315, w 1890 r. 580,420, przeto w r. 1890 więcej o 121,105, czyli o przeszło 27% <sup>1)</sup>). Ludność, żyjąca z przemysłu, stanowi obecnie jedenastą część całej ludności w Galicji, podczas gdy w r. 1880 stanowiła tylko część trzynastą.

W obrębie przemysłu galicyjskiego należy wyróżnić cztery grupy, których stosunki oddzielnie trzeba rozpatrywać: przemysł rolniczy, obejmujący gorzelnie, browary, młyny i cukrownie, przemysł fabryczny, przemysł rękodzielniczy (rzemiosła) i przemysł domowy, a raczej, ściślej się wyrażając, przemysłowe zajęcia ludności wiejskiej i małomiejskiej. Granice tych wszystkich kategorii nie są zupełnie ścisłe, gdyż, jak przemysł rękodzielniczy nieraz rozmiarami swemi i użyciem motorów przeradza się w przedsiębiorstwo fabryczne, tak znowu przemysł domowy nieraz zamienia się w wyłączne zajęcie rękodzielnicze, a wreszcie i między przemysłem rolniczym a przemysłem fabrycznym istnieje blizkie powinowactwo w niejednym względzie. Wszakże dla omówienia stosunków krajowego przemysłu koniecznem jest ugrupowanie podług owych głównych zakresów produkcji przemysłowej, z których każdy ma swoje charakterystyczne cechy i odrębne poniekąd znaczenie.

W zakresie przemysłu rolniczego spotykamy u nas, podobnie jak w wielu innych krajach, w jednym i tym samym dziale przedsiębiorstwa, ściśle związane z gospodarstwem rolniczym tak osobą właściciela, jak i przeznaczeniem swoim dopomagania gospodarstwu rolnemu przez przeróbkę płodów, a dostarczanie mu karmy dla bydła i nawozu, następnie zaś przedsiębiorstwa mniej lub więcej wyzwolone z bezpośredniego związku z rolnictwem. Wszelako ze względu na wspólny przedmiot produkcji należy i jedne i drugie przedsiębiorstwa omawiać razem, wyróżniając tylko przedsiębiorstwa z samoistną przeważnie fabryczną cechą od ściśle związanych z gospodarstwem rolniczym, przeważnie mniejszych.

<sup>1)</sup> Cyfry powyższe, czerpane wprost ze źródeł urzędowych, różnią się od cyfr, podanych przez d-ra Lewickiego we wstępie do drugiego wydania katalogu wystawy, ponieważ dr Lewicki włączył ludność, zajęłą przy górnictwie i hutnictwie i żyjącą z tych gałęzi produkcji.

Młynów było w Galicyi, według obliczenia przemysłowego z r. 1890, ogółem 3,206. Największą część z nich stanowią mniejsze młyny wodne, nieraz bardzo pierwotnej konstrukcyi, wiatraki należą obecnie w Galicyi do rzadkości. Wielkich młynów, częścią parowych, częścią wodnych walcowych z turbinami, jest 128, z ogólną produkcją roczną około 2 milionów cetnarów metr. mąki. Z wielkich młynów wzięły udział w tegorocznej wystawie wyłącznie tylko młyny ze środkowej i wschodniej części kraju, w liczbie 13, zatem ledwie dziesiąta część młynów galicyjskich. Wielkie młyny galicyjskie w urzędzeniach swoich podążają za postępami w młynarstwie, w którym całemu dziś światu przodują Węgrzy, jednakże nie zdołały dotychczas osiągnąć tego, co leżało-by niewątpliwie nietylko w ich własnym, ale i w ogólnym interesie gospodarstwa krajowego, t. j., aby zaopatrywały cały targ krajowy i aby część produkcyi zbożowej, przeznaczona do wywozu z kraju, wyłącznie w formie mąki wychodziła za granicę, pozostawiając w kraju otręby dla żywienia zwierząt domowych. W ostatnich latach kilkakrotnie zdarzało się, że znaczne ilości mąki węgierskiej pojawiały się nietylko w miasteczkach podgórskich, ale i na środkowych targach w siedzibach młynów parowych. Przyczyna tego niepomyślnego zjawiska leży głównie w bardzo znacznych ulgach taryfowych, za pomocą których koleje państwowe węgierskie popierają wywóz tamtejszej mąki, a w mniejszym stopniu w wadach organizacyi naszego handlu. Niepomyślnem jest też, że nasze młyny w bardzo znacznej ilości wywożą za granicę otręby, zamiast, żeby rolnictwo tutejsze zużyło je na paszę. Wina ta leży jednak nie po stronie młynów, lecz w niedostatecznym rozwoju rolnictwa.

Gorzelnia, które w ostatniej kampanii 1893/4 były w ruchu, jest 560. Wyrobiły one w tym czasie 395,727 hektolitrow spirytusu i zapłaciły przeszło 13 milionów zlr. podatku. Między temi gorzelniami jest jedna, czysto fabryczna, Goldfelda i Regenstreifa w Tyśmienicy, reszta są to gorzelnie rolnicze. Wywóz spirytusu za granicę Galicyi wynosił, według wykazań kolejowych w 1891 r., 930 wagonów, w r. 1892 772 wagony, w 1893 r.—1101 wagonów. Wagony cysternowe zawierają przeważnie po 100 hektolitrow.

Spirytus, wyrabiany w gorzelniach, w części wychodzi za granicę w stanie surowym, w części już w kraju bywa rektyfikowanym dla szerszego handlu. Było-by oczywiście pożądanem, aby produkcya nasza tylko w krajowych rafineryach była rektyfikowaną, tymczasem rafinerye nasze przerabiają dotąd tylko małą część krajowej produkcyi. Rafineryi tych jest w kraju obecnie 14, z których 12 wystawiło swoje produkta. Na wystawie tegorocznej wystąpiły po raz pierwszy trzy fabryki drożdży prasowanych, artykułu, który dotąd pobieraliśmy wy-

łącznie z Wiednia. Temi fabrykami są zakłady pp.: Wincentego Orłowskiego w Lisowcach, Adama Tabaczyńskiego z Wróblewic i Goldfelda i Regenstreifa w Tyśmienicy, które pierwsze zaczęły pracować na tem bardzo wdzięcznem dla przemysłu krajowego polu.

Browarnictwo ma wielką przyszłość w naszym kraju, z powodu, że chmiel galicyjski jest bardzo dobry i ceniony nawet za granicą, i że uprawa jego, już dziś prowadzona na znaczny rozmiar, ciągle się rozszerza. Także i jęczmień galicyjski jest bardzo dobry, a jeśli w handlu nie używa tej reputacji, jaką się cieszy jęczmień czeski i morawski, tak bardzo poszukiwany do Niemiec, to przyczyna tego leży częścią w mniej starannej uprawie, a jeszcze więcej w niedostatecznem przygotowaniu do handlu przez oczyszczenie. Zdarza się nieraz dzisiaj, że chmiel galicyjski sprzedawanym bywa jako czeski i pod firmą czeską wraca do Galicyi, a tak samo i jęczmień galicyjski, odpowiednio przygotowany do handlu, idzie w świat, jako morawski. Galicya ma obecnie 153 browary, z których 17 wyrabia przeszło 10,000 hektolitrów rocznie. Przed 10 laty było browarów 192, a między niemi tylko 10 wyrabiających po nad 10,000 hektolitrów, zatem dziś jest mniej browarów wogóle, ale więcej browarów większych. Małe wiejskie browary o przestarzałych urządzeniach upadają, a natomiast rozwijają się browary, mogące urządzeniami swemi i wyrobami współzawodniczyć z zagranicą, przedewszystkiem zaś z browarami innych krajów austriackich, które nadsyłają jeszcze znaczne ilości piwa do Galicyi. Według obliczeń, dokonanych dla wystawy przez galicyjskie akcyjne towarzystwo handlowe, wynosiła produkcya chmielu w Galicyi w cetnarach cłowych po 50 kilogramów (bo dla handlu chmielem jest to przyjęta jednostka wagi): w r. 1891—11,547 cetn., w r. 1892—11,269 cetn., w r. 1893—10,893 cetn. Z produkcyi krajowej wywieziono za granicę w roku 1891—9,094 cetn., w r. 1892—7,940 cetn., w r. 1893—8,984 cetn., a natomiast dowieziono obcego chmielu w r. 1891—1,440 cetn., w r. 1892—1,440 cetn., w r. 1893—1,204 cetnary. Cyfry produkcyi, powyżej podane, są znacznie mniejsze od rzeczywistości, jak wskazuje karta chmielników, wystawiona przez galicyjskie towarzystwo gospodarskie, na podstawie tej bowiem karty obejmują chmielniki 1,800 hektarów, a produkcya wynosiłaby 12,785 cetnarów, natomiast cyfry wywozu i dowozu, uzyskane z ksiąg kolejowych, są dokładne i one już wskazują, jak znaczną podstawę do rozrostu ma u nas browarnictwo.

Cukrownictwo, mające w niektórych okolicach Galicyi najpomyślniejsze warunki rozwoju, tak ze względu na glebę, jak ze względu na łatwość robotnika, jest dopiero w początkach, choć ma już długo-

letnią historię prób i niepowodzeń. Losy wielkiej cukrowni w Tłumaczu, założonej jeszcze w r. 1835, na której poniósł straty najpierw założyciel, hr. Dzieduszycki, po nim zaś towarzystwo akcyjne niemieckie, później równie niepomysłne, choć krótsze, dzieje cukrowni w Germakówce hr. Blüchera, odstraszały u nas przez długie lata od zakładania podobnych przedsiębiorstw. Dopiero w r. 1869, założył hr. Adam Potocki cukrownię w Sędziszowie, która wyrabia cukier surowy i rafinuje go, a w r. 1890 wznowioną została cukrownia w Tłumaczu przez nowego nabywcę tych dóbr w spółce z Czechami. Cukrownia w Tłumaczu wyrabia jedynie surowy cukier. Obie cukrownie reprezentowane są na wystawie, Tłumacka ma nawet osobny pawilon. W bieżącym roku przyszło do skutku założenie towarzystwa akcyjnego dla cukrowni w Przeworsku. Główną zasługą w utworzeniu tego przedsiębiorstwa, tak ważnego dla rolnictwa bliższej i dalszej okolicy, ma ordynat Przeworski, książę Andrzej Lubomirski, który zdołał zachęcić liczniejsze grono właścicieli ziemskich i kółko kapitalistów do zawiązania spółki akcyjnej. Uprawa buraków cukrowych w Galicyi przedstawiona jest na wystawie na wielkiej karcie, ułożonej w biurze galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego, na której zaznaczoną jest każda miejscowość, gdzie taka uprawa istnieje, znakami, oznaczającymi zarazem rozległość uprawy, według przyjętej skali. Karta ta okazuje, że uprawa buraków cukrowych skupia się około obu cukrowni, rozciągając się w dalsze strony, wzdłuż kolei, która ułatwia dostawę. Nadto jednak zachodni kraniec Galicyi, od Bochni na zachód, uprawia buraki cukrowe dla cukrowni w Chybi, na Szląsku austriackim. Według tej taryfy, cały obszar, uprawiany pod buraki cukrowe, wynosi w Galicyi tylko 2,909 hektarów.

W zakresie przemysłu fabrycznego, po-za obrębem przedsiębiorstw, omówionych przy przemyśle rolniczym, ma Galicya do wykazania bardzo niewiele w stosunku do rozległości kraju i do potrzeb jej ludności. Przyczyny tego, nieraz już podnosze, leżą w połączeniu Galicyi z krajami, mającemi oddawna rozwinięty przemysł, w polityce dawniejszej rządu austriackiego, który utrudniał rozwój przemysłu w Galicyi, aby zachować w niej pole odbytu dla wyrobów przemysłowych, dalej w ubóstwie naszym pod względem węgla kamiennego, o czem była już mowa, a wreszcie w braku ludzi technicznie i ekonomicznie wykształconych dla zawodów fabrycznych. Sąsiednie Węgry, znajdujące się do niedawna w podobnym jak my położeniu, dźwigają obecnie u siebie przemysł fabryczny subwencyami bezzwrotnemi, lub pożyczkami bezprocentowemi ze skarbu państwa, uwolnieniem od wszelkich podatków rządowych i gminnych na długi szereg lat, pomocą

techniczną ze strony rządowych znawców i—last not least—daleko idącymi koncesjami pod względem taryf kolejowych. W Galicyi rząd austriacki tego wszystkiego nie robi, bo, pomijając inne względy, wywołał-by burzę reklamacyi ze strony innych krajów, którym hodował-by konkurencyjne przedsiębiorstwa. Galicya znowu sama, jako prowincya z ograniczonym samorządem, rozporządza tylko bardzo skromnymi środkami popierania przemysłu fabrycznego. W swym szczupłym zakresie starał się jednak sejm zrobić, co można, dla rozwoju tego przemysłu. Ustawami krajowemi z r. 1886 i 1893 uwolniono od wszelkich podatków krajowych, powiatowych, gminnych i szkolnych, nowo-powstające przedsiębiorstwa fabryczne na lat 10, zaś przedsiębiorstwa rozszerzone uwolniono od nadwyżki wspomnianych podatków, które, wskutek rozszerzenia fabryki, miała-by być nałożoną. Następnie, oprócz założenia w r. 1884 banku krajowego, którego zadaniem jest między innymi dopomagać kredytem przedsiębiorstwom krajowym, a nawet pośredniczyć w zakładaniu i prowadzeniu takich przedsiębiorstw, utworzono w późniejszym czasie fundusz przemysłowy, z którego wydział krajowy, na wniosek krajowej komisyi przemysłowej, udziela zasługującym na poparcie przedsiębiorstwom bezprocentowych pożyczek. Wreszcie corocznie udziela wydział krajowy zasiłków osobom, chcącym się wykształcić w zawodzie przemysłowym za granicą. Skutek tych usiłowań może być tylko powolny wobec konkurencyi przemysłowych krajów austriackich, nie krępowanej ciżmą wchodowemi do Galicyi, wobec drogości węgla kamiennego, który przeważnie z daleka trzeba sprowadzać, a wreszcie wobec tego, że nasze siły wodne, które mogły-by zastąpić parę, są bardzo niejednostajne, z powodu nieregulowanego biegu rzek i potoków, tudzież z powodów klimatycznych. Mimo to wszystko, postęp jest, i to niewątpliwy. Występuje on nie tylko przy porównaniu przedsiębiorstw fabrycznych, które brały udział w wystawie w roku 1877, z takimiż przedsiębiorstwami na wystawie r. 1894, ale wynika on też z porównania dat statystyki przemysłowej r. 1885 a r. 1890. Statystyka ta, jakkolwiek pod wielu względami bardzo niedostateczna i nie oddzielająca należycie przemysłu fabrycznego od rzemiosł, podaje dla każdego z głównych działów przemysłu dokładnie ilość sił koni, jaką mają zajęte w nim motory. Wzrost liczby sił koni musi być przyjęty za wskazówkę rozwoju przemysłu, posługującego się motorami mechanicznemi. Porównanie dat z r. 1885 z datami r. 1890 daje wynik następujący:



	użytych sił koni	
	w r. 1885	w r. 1890
przemysł metalowy	399	771
wyrób maszyn, narzędzi i wozów	123	294
przemysł ceramiczny (wyroby z gliny, fajansu, szkła	482	917
przemysł drzewny (wraz z tartakami)	3631	3967
wyroby ze skóry (garbarstwo,	23	181
przemysł tkacki	1171	1042
„ papierowy	814	2538
„ przedmiotów spożycia z wyłączeniem gorzelnii, browarów,		
cukrowni i młynów	90	151
przemysł chemiczny	134	819
razem	6,867	10,630

Ubytek jest tedy tylko w przemyśle tkackim, którego główną siedzibą Biała, zresztą wszędzie widać przybytek, i to przeważnie bardzo znaczny. Ruch w zakresie przedsiębiorstw fabrycznych nie ustaje, gdyż na wystawie widzimy okazy z przedsiębiorstw już po r. 1890 powstałych. Nizkość stopy procentowej z papierów publicznych (obecnie 4%) powinna-by być pobudką do lokowania kapitałów w przemyśle, mającym warunki rozwoju w kraju, oczywiście, o ile znajdzie się fachowe kierownictwo pod względem nie tylko technicznym, ale i handlowym.

O przemyśle rzemieślniczym należy przedewszystkiem powiedzieć, że jego reprezentacya na wystawie jest dosyć nierówna. Niema okazów z wielu znanych i najlepszej reputacyi używających warsztatów, które śmiać nie uważały za potrzebne wstąpić w szranki współzawodnictwa i ponieść w tym celu dość znaczne wydatki, a natomiast spotykamy wiele firm, mało znanych, lub wcale nieznanych, które spodziewały się dojść reputacyi przez wystawę. W ogólności można powiedzieć, że największe postępy pod względem wykonania, rysunku i smaku okazują u nas stolarstwo i ślusarstwo, na których znać wpływ lepszych wzorów i usiłowań około rozpowszechnienia w kołach zawodowych nauki rysunków, lepszego gustu i upodobań artystycznych. Natomiast w innych rzemiosłach mniej znać tego postępu, a wszczęgólności nie widać go w rzemiosłach, najbardziej rozpowszechnionych, jakimi są szewstwo i krawiectwo. Stąd też, podczas gdy nikt u nas

nie sprowadza do kraju i nie zamawia za granicą robót ślusarskich i stolarskich, nawet najwykwitniejszych, to z wyrobami szewckimi i krawieckimi mają się rzeczy inaczej, nieraz nawet w tych kołach, które nie dają się uwieść taniością gotowych, ale lichych wyrobów wiedeńskich. Jest to wskazówką, że usiłowania w kierunku wykształcenia przemysłowego należy ze szczególną starannością zwrócić w tę stronę.

O tych usiłowaniach, a w związku z niemi o przemyśle domowym, napiszę w następnej kronice.

U.

---

# ŚWIATŁO I ŻYCIE.

---

W umyśle ludzkim wiąże się zawsze pojęcie światła i ciemności z pojęciem życia i śmierci. Czarna noc, której nie rozświeca ani księżyc, ani niebo gwiazdziste, jest dla nas zawsze przykrą, ponurą, nastroja nas posepnie, nasuwa nam myśl o martwocie. Jasna noc letnia, rozjaśniona kobiercem gwiazd lub bladą tarczą miesiąca, z kontrastami jaśniejszych i ciemniejszych smug na ziemi, z balsamiczną wonią jaśminów, mieszającą się ze słodkim powiewem lip kwitnących, lub też bielejąca od śniegu, mroźna noc zimowa, rozpostarta pod rzęsiście oświetlonym sklepieniem, usposabia nas do przyjemniejszych rozmyślań. Ale rozweselić nas może tylko jasny i ożywczy promień słońca, gra niezliczonej ilości barw i odcieni, widniejących na kwiecistej łące, mieniących się na falach płynącego ruczaju lub na muskanej wiatrem powierzchni jeziora. Z pierwszym słońca brzaskiem budzić się zaczyna cała przyroda, wszystko rwie się do życia, a ze zniknięciem ostatniego promienia nastaje znów spokój w naturze, kwiaty zamykają swe jasne korony, liście w omdleniu pochylają się ku ziemi, a świat zwierzęcy zapada w sen nocny. Są wprawdzie wyjątki z tego ogólnego porządku rzeczy, istnieją zwierzęta, które razi światło dzienne i które dopiero o zmroku i w nocy rozwijają energię bytu; ale te wyjątkowe, jakkolwiek dosyć liczne istoty, zawdzięczają sposób swego życia pewnym specjalnym już przystosowaniom, uwarunkowanym przez cały szereg swoistych własności biologicznych.

Słowem, wogóle rzecz biorąc, światło i życie, to nierozdzielalne jakby siostrzyce na naszej ziemi, bo gdzie drgają promienie pierwszego, tam uderza tętno drugiego.

Ruch, to symbol życia; a oto nietylko wszelkie życie zależnem jest od słońca, ale po większej części i ruch ciał martwych, motory naszych fabryk, koleje i lokomobile poruszają się dzięki energii, dostarczanej przez promienie słońca. Pozornie brzmi to jak paradoks, a jednak tak jest w rzeczywistości. Dzięki promieniom słońca, roślinność epoki węglowej gromadziła w swych ciałach węgiel, przyswajając go sobie z dwutlenku węgla atmosfery. Energia promieni słońca zostaje zużywana; rośliny pochłaniają ją i obracają na wykonywanie pracy chemicznej, t. j. przyswajanie sobie węgla z powietrza, odrywanie go od tlenu, z którym łączy go silne powinowactwo. Prócz tego rośliny wykonywają pracę; masy wody wznoszą się z korzeni ku najwyższym częściom rośliny, kwiaty, liście i inne części odbywają pewne ruchy i t. p. Otóż na to wszystko roślina czerpie energię ze źródła, znajdującego się zewnątrz niej, a mianowicie dostarczanego jej przez promienie słońca. W ciele roślinnem ukryta jest ta energia promieni słonecznych, pod postacią utajonej energii chemicznej. Węgiel kamienny, zawarty w łonie ziemi, to masy zwęglonych ciał roślinnych, szczątki potężnej roślinności epoki węglowej, a te zapasy węgla zawierają przeto w sobie w utajeniu energię promieni słonecznych, która niegdyś została zaczerpnięta i zużyta. Węgiel ów, spalając się w machinach parowych, uwalnia te olbrzymie zapasy utajonej energii, która pod postacią ciepła, a następnie pracy mechanicznej, wprawia w ruch motory naszych fabryk, posuwa lotem błyskawicy ciężkie pociągi kolei żelaznych! W promieniach tedy słońca istnieje zewnętrzne i ostateczne źródło energii, poruszającej wielkie motory sztuczne. Ale i liczne inne zapasy energii na naszej ziemi, wykonywające potężną pracę, zawdzięczają swe pochodzenie słońcu. Wichry i huragany, których potęgą bywa niekiedy tak straszna w skutkach dla człowieka, rozszalałe żywioły morza, piętrzące się bałwany i liczne inne tym podobne ruchy mas wielkich—to wszystko wynik energii, dostarczanej przez promienie słońca, to następstwo różnic temperatury i wilgoci, wywoływanych przez promienie słoneczne!

Wreszcie i źródło wszelkich sił organizmu zwierzęcego i ludzkiego jest zupełnie to samo. Siła naszych mięśni, ciepło naszego ciała—to tylko przekształcona energia słońca. Ciało zwierzęce podlega niestannie t. zw. przemianie materii, nieustannemu rozkładowi złożonych związków organicznych, wchodzących w skład tkanek, na prostsze, wydalone z ciała jako dwutlenek węgla, woda i mocznik; z tego właśnie powodu zwierzę, nie przyjmujące pokarmu, który ma wynagra-

dząc ponoszone straty, chudnie i traci na wadze. Otóż, przy tem rozpadaniu się bardziej złożonych związków chemicznych na prostsze, uwalnia się znaczny zapas energii chemicznej, która przekształca się w ciepło, w pracę mechaniczną, dokonywaną przez mięśnie i t. p. Ale skądże bierze ustrój zwierzęcy te złożone związki organiczne, np. tłuszcz, cukier, białko i t. d., rozkładające się właśnie przy przemianie materji na związki prostsze? Otóż pobiera je w ostatniej instancji ze świata roślinnego, w którym wytwarzają się one dzięki energii promieni słonecznych, przekształcanych w ukrytą energię chemiczną związków zawartych w roślinach.

Rozpatrzmy nieco bliżej zależność jestestw organicznych od światła, wpływ tego potężnego czynnika na różnorodne procesy życiowe roślin i zwierząt, uwzględniając przytem nowsze zdobycze nauki, w tym zakresie dokonane.

Wpływ światła na czynności odżywiania się i wzrostu roślin został dosyć szczegółowo poznany. Jeżeli gałązkę zdrowej rośliny, od której jej nie odrywamy, umieścimy w ciemnej skrzynce o ścianach nieprzezroczystych, to gałązka ta produkować będzie pąki, liście, kwiaty a nawet owoce z nasionami, zdolnymi do kiełkowania. Lecz całość tego pędu różnić się będzie znacznie od gałęzi, rosnących w świetle <sup>1)</sup>. Gałązki i liście będą białawe lub żółtawe, zamiast mieć zwykłą, zieloną barwę, powierzchnia blaszek liściowych będzie mniejsza. Cała substancja tych t. zw. etiolizowanych (wyblakłych) części jest bogatsza w wodę, delikatniejsza, mniej odporna na szkodliwe wpływy zewnętrzne, aniżeli normalne części rośliny, wystawione na działanie światła. Kwiaty atoli roślin, pogrążonych w ciemności, osiągną normalną wspaniałość ubarwienia i wielkość. Jeżeli część tego pędu etiolizowanego wysuniemy przez otwór w skrzynce na zewnątrz, na światło, to znów powstaną na niej normalne liście zielone, powróci krzepkość i t. d. Doświadczenie to poucza nas, że w ciemności odbywać się może wzrost, że jednak roślina traci wtedy barwę zieloną, jakkolwiek kwiaty jej zachowywać mogą jaskrawe ubarwienie. Brak zielonej barwy u roślin w ciemności rosnących pochodzi stąd, że tylko przy obecności promieni słońca wytwarzać się mogą w komórkach gałązki zieleni czyli chlorofilu, od których właśnie pochodzi zielony kolor liści, młodych gałązek i t. p.

Wszelako wzrost danego pędu w ciemności może się odbywać tylko wówczas, gdy inne części tejże rośliny znajdują się w świetle. Wtedy bowiem w liściach oświetlonych, jako zawierających chlorofil,

<sup>1)</sup> J. Sachs. Vorlesungen über Pflanzen-Physiologie. Str. 235.

odbywa się pod wpływem promieni światła przyswajanie węgla z powietrza przez rozkład dwutlenku węgla; tym sposobem w częściach oświetlonych wytwarzać się mogą zapasy pokarmowe, które wędrują także do części zacienionych i dostarczają im materiału do wzrostu. Gdy natomiast cała roślina znajduje się przez dłuższy czas w ciemności, nie tylko ulega etiolizacji, ale przestaje także rosnąć zupełnie, lub też wzrost jej staje się wysoce nienormalnym, albowiem odbywa się tylko kosztem substancji organicznych, nagromadzonych już uprzednio w roślinie (np. w bulwach, korzeniakach), które to substancje prędzej czy później całkowicie zużywają się i wyczerpują. Odżywianie się rośliny jest czynnością chlorofilu; sam zaś chlorofil wytwarza się tylko pod wpływem promieni słońca i tylko przy ich obecności jest zdolny przyswajać czyli assimilować węgiel z otaczającej atmosfery. „Im większe są zielone powierzchnie, zwłaszcza liści — powiada Sachs — tem większą jest ilość promieni światła, które roślinę pobudzają do czynności odżywiania się; staranne badania wykazały, że jeden metr kwadratowy zielonej powierzchni liściowej w ciągu dziesięciu słonecznych godzin dnia u roślin energicznie wzrastających wytwarza 3—8 gramów suchej substancji roślinnej przez rozkład dwutlenku węgla. Jeśli zważymy, jak wiele kwadratowych metrów powierzchni liściowej posiada wielkie drzewo i że działalność odżywcza w okresie wegetacji trwa u nas około 150 dni, jasnym będzie, iż w ciągu lata drzewo produkuje wiele kilogramów substancji organicznej, która zwykle dopiero najbliższej wiosny daje materiał dla pąków i kwiatów. Ta substancja roślinna, wytwarzana w zielonych organach, powstaje z dwutlenku węgla i wody przy wydzielaniu bardzo znacznej ilości tlenu, jest to więc substancja uboga w tlen. Wiadomo, iż rośliny są palne, t. j. uboga w tlen substancja przeobraża się przy spalaniu w obecności powietrza w połączenia znów bogate w tlen, w dwutlenek węgla i wody, z których powstała ona pierwotnie w komórkach zawierających zielen.” Akurat tyle ciepła, ile uwalnia się przy spalaniu drzewa, musiało być związane przy wytwarzaniu substancji organicznej, albo innymi słowy: siły, powstające przy spalaniu się drzewa, istniały pierwotnie w postaci świetlnych drgań eteru, których energia zużyta została w komórkach, zawierających zielen, celem oddzielenia tlenu od dwutlenku węgla i wody.

Jak wiadomo, białe światło słoneczne nie jest proste, lecz stanowi mieszaninę siedmiu barw, siedmiu rodzaj światła o różnych współczynnikach łamliwości, na które to składniki rozpada się promień światła słonecznego po przejściu przez pryzmat, w t. zw. widmie. Otóż zachodzi pytanie, które promienie widma odgrywają właściwą rolę w procesie assimilacji. Doświadczenia mogą być wykonane w ten

sposób, że wodną roślinę umieszczamy w naczyniu napełnionem wodą, zawierającą dwutlenek węgla, i wystawiamy na działanie światła to żółto-czerwonej części widma, to znów niebiesko-fioletowej; assymilująca roślina wydziela pęcherzykami tlen, oddzielając go od dwutlenku węgla, z którego pochłania węgiel; z ilości tedy pęcherzyków tlenu można sądzić o energii, z jaką odbywa się proces assymilacji; można też naturalnie inaczej urządzić jeszcze doświadczenie, dokładniej określać ilość wydzielanego tlenu i ściślej mierzyć energią procesu przyswajania. Doświadczenia tego rodzaju pokazały, że w świetle niebiesko-fioletowem tylko bardzo mała ilość dwutlenku węgla ulega rozkładowi, gdy tymczasem w świetle żółto-czerwonym działanie jest prawie równie silne, jak przy pełnem świetle słonecznem. Widzimy z tego, że żółto-czerwone promienie odgrywają główną rolę w procesie assymilacji.

Już a priori należy przypuszczać, że skoro w państwie roślinnem światło ma tak olbrzymią doniosłość w sprawie odżywiania się i przemiany materii, to i w świecie zwierzęcym wpływ jego na te procesa musi mieć pewne znaczenie. Zwierzęta, podobnie jak rośliny bezchlorofilowe (np. grzyby), jako nie posiadające zieleni, nie są zdolne do assymilowania węgla z powietrza, do wytwarzania skomplikowanej materii organicznej z pierwiastków chemicznych. Zwierzę pobiera w pokarmach gotowe już związki organiczne ze świata roślinnego. Rzecz zatem naturalna, że światło nawet w przybliżeniu nie może mieć tak ogromnej doniosłości dla przemiany materii u zwierząt, jaką okazuje względem świata roślinnego, czerpiącego pod jego wpływem najważniejsze składniki z otaczającej atmosfery. Nie mniej jednak przekonano się, że wywiera ono pewien określony wpływ na procesa przemiany materii u zwierząt.

Jeszcze w r. 1855 i 56 wykazał Moleschott, że proces oddychania u zwierząt odbywa się w ciemności wolniej niż w świetle; im więcej światła, tem więcej wydziela zwierzę dwutlenku węgla, produktu łączenia się tlenu z węglem ciała. Ponieważ cała przemiana materii jest jak najściślej związana z oddychaniem, to światło słoneczne działa tedy przyspieszająco na przemianę materii w ustroju zwierzęcym. Moleschott dowiódł doświadczalnie <sup>1)</sup>, że „żaby, pozostające w mniej więcej jednakowej temperaturze, na jednostkę ciężaru ciała i w jednakowym przeciągu czasu wydzielają w świetle  $\frac{1}{12}$  do  $\frac{1}{4}$  dwutlenku węgla więcej aniżeli w ciemności, i że ilość wydzielanego przez

<sup>1)</sup> Dr Friedrich Hammer. „Ueber den Einfluss des Lichtes auf die Haut.“ 1891. Oraz „Wszechświat“: „Światło i skóra“ r. 1892.

nie dwutlenku węgla wzrasta w miarę jak światło zyskuje na natężeniu."

Inne doświadczenia, wykonane przez Moleschotta, a następnie powtórzone przez Martina, Béclarda i innych, wykazały dowodnie, że to działanie światła, objawiające się w energiczniejszej przemianie materii ustroju zwierzęcego, odbywa się za pośrednictwem narządów wzroku i skóry, albowiem zwierzęta oślepienie sztucznie i pokryte osłoną nie przepuszczającą do skóry promieni świetlnych, nie reagowały wcale na światło, przemiana materii odbywała się u nich zupełnie jednakowo bez względu na to, czy znajdowały się w świetle, czy też w ciemności; jeśli atoli były oślepienie, lecz jeśli skórę miały przytem obnażoną, zachowywały się inaczej w świetle i w ciemności, a mianowicie w pierwszym wypadku wydzielaly większą ilość dwutlenku węgla, niż w drugim. Fakt, iż przemiana materii odbywa się w świetle energiczniej niż w ciemności, tłumaczy nam bezwiednie zapewne stosowany zwyczaj trzymania zwierząt przeznaczonych do utuczenia w ciemnych miejscach. Postępowi rolnicy wiedzą także o tem, jak szkodliwym jest trzymanie bydła lub koni w ciemnych i ciasnych oborach lub stajniach, do których niemożliwiony jest należyty dostęp światła. Hygiena zaś miast wykazała również szkodliwość ciemnych lokali, zamieszkiwanych przez biedną ludność; blada cera mieszkańców takich lokali, mała odporność na choroby zakaźne, uwarunkowana osłabioną przemianą materii, pochodzi zapewne między innymi w bardzo znacznym stopniu z braku dostatecznego światła.

Pożądane znaczenie światła jako czynnika biologicznego, wynika dalej z faktu wrażliwości jestestw organicznych na bodźce świetlne. Tu spotykamy się z kategorią licznych bardzo i niezmiernie interesujących zjawisk, dotyczących tak świata roślinnego, jak i zwierzęcego.

Na gnijących pniach w wilgotnych lasach napotkać można pelzające masy śluzowe, są to t. zw. plasmodia grzybów śluzowych, masy żywej protoplazmy, będące pewnem stadyum rozwojowem tych ostatnich. Otóż plasmodia te są wielce wrażliwe na światło; albowiem w ciemności wylazą na powierzchnię pni, w świetle zaś kurczą się i uchodzą wgłąb do szczelin.

Wielką również wrażliwością odznaczają się zarodniki wielu wodorostów, zdolne do samodzielnego pływania i dlatego zwane także pływkami (zoospory). Według badań Stahla i Strassburgera, światło wywiera wpływ kierujący na ciała pływki, a to w ten sposób, że długa oś pływki układa się w przybliżeniu w kierunku promienia świetlnego, przyczem bezbarwny koniec pływki, opatrzoney biczykowatemi wyrostkami, zwraca się albo do światła, albo też od światła. Tak tedy pływka porusza się w kierunku promienia świetlnego, czy jednak



jednym końcem swego ciała zwraca się ku źródłu światła, czy też drugim, to jest to zależnem od natężenia światła. W świetle o większem natężeniu pływki zwracają biegun opatrzony biczykami w kierunku od światła, oddalają się zatem od niego; przeciwnie zaś, w słabszem świetle poruszają się w kierunku do światła <sup>1)</sup>).

Wogóle wrażliwość na światło bywa bardzo rozmaita, tak ze względu na różne gatunki istot jednokomórkowych, jako też ze względu na pojedyncze osobniki tego samego gatunku, zmienia się ona wreszcie u tego samego osobnika wskutek modyfikacyi warunków zewnętrznych.

Nadzwyczaj interesującą grupę zjawisk, dowodzących głębokiego oddziaływania światła na ustroje zwierzęce, przedstawia t. zw. dermatopia. Przekonano się mianowicie, że nietylko organa wzroku są wrażliwe na bodźce świetlne, że nietylko za pomocą oczu zwierzęta odbierają wrażenia światła, ale że w znacznym stopniu cała powierzchnia ciała zwierzęcia odznacza się wrażliwością na bodźce te, a mianowicie skóra.

Przekonano się tedy, że liczne zwierzęta bezkręgowce, pomimo zupełnego braku oczu, mogą odróżniać światło od ciemności. Pouchet, słynny biolog francuski, był zdaje się pierwszym, który zwrócił uwagę na owe interesujące zjawiska dermatoptyczne. Przekonał się on, że ślepe larwy much są wrażliwe na wpływ promieni świetlnych; zanotował mianowicie, że gdy pewna ilość larw tych zostaje umieszczona na stole przed oknem, wszystkie osobniki wędrują ku najbardziej odległej od okna krawędzi stołu, innymi słowy, dążą do najbardziej zacienionej okolicy, z czego wynika, że odczuwają różnice w natężeniu światła.

Później rozmaici inni uczeni, jak Paweł Bert, Vitus Graber i Plateau, badali w dalszym ciągu dermatoptyczne własności zwierząt. Stwierdzili oni spostrzeżenie Trembleya, że polip wód słodkich, t. zw. stulbia (Hydra), ustroj nie posiadający wcale organów wzrokowych, poszukuje stale miejsc oświetlonych. Jeśli pewną ilość osobników umieścimy w wodzie w cylindrze szklanym, powleczonym czarną nieprzezroczystą masą, która tylko w jednym miejscu jest przerwana, możemy się przekonać, że po pewnym czasie wszystkie stulbie zbiorą się w tem właśnie miejscu. Przeprowadzając to doświadczenie z różnymi ostrożnościami, można się jak najściślej przekonać, że ani ciepło, ani sąsiedztwo powietrza, lecz jedynie tylko światło zmusza te istoty do wędrowania ku danej okolicy cylindra. To samo tyczy się także wielu gatunków polipów morskich.

<sup>1)</sup> O. Hertwig. „Die Zelle”, 1893.

Każdy z czytelników zna t. zw. dżdżownice (*Lumbricidae*), czerwone, długie robaki ziemne, których tak wielką ilość znaleźć możemy w ogrodach po ciepłym deszczu letnim. Robaki te nie mają wcale oczu, a jednak odczuwają doskonale światło, a mianowicie, jak wykazał doświadczalnie Graber, cała ich skóra jest wrażliwa na bodźce świetlne.

Ale nietylko liczne zwierzęta z natury ślepe odznaczają się własnościami dermatoptycznymi, lecz także istoty posiadające doskonale rozwinięte oczy. Graber i Plateau wykazali np., że jeśli u karaczana (wielkie czarniawe owady domowe, kryjące się niekiedy po kuchniach), zniszczymy oczy, nie mniej mimo to owad ten rozpoznawać będzie światło od ciemności i poszukiwać najbardziej zacienionego zakątka.

Zachodzi teraz pytanie, czy zwierzęta obdarzone zdolnością dermatoptyczną są świadome wrażeń świetlnych, otrzymywanych za pośrednictwem skóry? Niektórzy, jak Loeb, przypuszczają, że niema tu żadnej świadomości, że ruchy, wykonywane np. przez osłepione karaczany w kierunku od światła ku miejscom ciemnym, odbywają się nieświadomie na drodze jakby odruchowej. Można-by przypuścić, że światło, działając w sposób swoisty na pewne zakończenia nerwów czuciowych w skórze, wywołuje pobudzenia, przenoszące się po nerwach czuciowych ku ośrodkom nerwowym i przechodzące za ich pośrednictwem na pewne nerwy ruchowe, które wprawiają w ruch pewne określone grupy mięśni. Przypuszczenie to jest jednak, przynajmniej o ile dotyczy ustrojów wyższej organizacyi, mało prawdopodobne. Jakkolwiek wrażenia dermatoptyczne są bardzo słabe, musimy jednak przypuścić, że do pewnego stopnia dochodzą one do świadomości zwierzęcia, podobnie jak wrażenia otrzymywane za pośrednictwem oczu. Jakiego rodzaju są te wrażenia, trudno sobie wyobrazić. Jourdan przypuszcza, i zdaje się bardzo trafnie, że są one podobne do wrażeń, jakie otrzymuje człowiek, gdy zamyka szczelnie oczy i spogląda to w stronę światła, to w stronę ciemności; odczuwa on wtedy doskonale, gdzie jest widno, a gdzie ciemno, pomimo iż właściwie nie widzi: nie odróżnia barw ani postaci w otaczającym go świecie.

Człowiek i zwierzęta kręgowie nie posiadają, zdaje się, zdolności świadomego odczuwania za pomocą skóry wpływu bodźców świetlnych. Wprawdzie jeszcze w r. 1823 Colhoun <sup>1)</sup> utrzymywał na podstawie swych doświadczeń, że u osób z dobrze obwiązanemi oczyma można stwierdzić wrażenie światła na powierzchni czoła, że w dolnej części

<sup>1)</sup> Dr F. Hamner, l. c. oraz streszczenie we „Wszechświecie”, 1892, przez M. Flauma.

twarży wrażliwość ta ma być bardzo mała, brak zaś jej zupełnie na karku i tułowiu, wszelakoż późniejsze spostrzeżenia nie stwierdziły tych poglądów, tak, iż nie mamy prawa stanowczo przyjmować dla człowieka zdolności dermatoptycznych, jakkolwiek, być może, osobniki wyjątkowo wrażliwe nie są zupełnie pozbawione tej zdolności.

W bardzo wielu wypadkach, w których zwierzęta nie odbierają za pośrednictwem skóry swojej żadnych wrażeń świetlnych, nie mniej przeto skóra ich wrażliwa jest na działanie światła, co przejawia się w zmianie ubarwienia, lub w innych modyfikacjach. Wiadomo np., że u kameleonów zmienia się barwa skóry pod wpływem słońca; jeśli część ciała kameleona pozostawimy odsłonioną, część zaś ukryjemy przed promieniami słońca, zauważymy po pewnym czasie, że część ciała odsłoniąca będzie ciemniejsza (P. Bert). W niektórych wypadkach zwierzę zmienia pod wpływem promieni światła barwę skóry tylko wtedy, gdy jednocześnie odbiera wrażenia świetlne za pomocą wzroku. Wykazał to np. Pouchet dla t. zw. fląder, płaskich ryb morskich, które zależnie od oświetlenia przybierają to ciemniejszą, to jaśniejszą barwę otoczenia. Ta zmiana barwy skóry pochodzi stąd, że w skórze znajdują się komórki, zawierające ziarenka barwnikowe, t. zw. chromatoblasty. Otóż komórki, zależnie od natężenia światła, mogą się w różnym stopniu kurczyć; zajmują więc albo większą przestrzeń, ale są wtedy jaśniejsze, albo też, ściągawszy się, są mniejsze, ale ciemniej zabarwione, albowiem barwnik jest w nich wtedy gęściej skupiony. Wpływa to naturalnie na zmianę ogólnego ubarwienia skóry.

Wpływ słońca na skórę ludzką jest powszechnie znany; t. zw. zjawiska „opalenia się”, występowania „piegów” i t. p., są wynikiem działania słońca na barwnik skóry naszej. Ale zasługuje na uwagę, że pod wpływem promieni światła mogą nawet występować pewne anomalie skóry. „Rozmaite wysypki skóry <sup>1)</sup> w wielu razach bezpośrednio zapewne zawdzięczają swe powstanie nie tyle cieplnym, ile świetlnym i chemicznym promieniom widma słonecznego. Pod tym względem w dziełach niektórych znakomitych lekarzy znajdujemy twierdzenia zupełnie niedwuznaczne. Są spostrzeżenia (dr Vogel), z których widać, że nawet dłuższe wędrowki w opale 36—38 stopniowym mogą pozostać zupełnie bez wpływu, gdy tymczasem jasne światło lodników (głeczerów) wywołuje na skórze t. zw. wysypkę słoneczną (Erythema solare). Zarówno te, jak i inne podobne spostrzeżenia wyraźnie przemawiają za tem, że wysypka słoneczna ma swą przyczynę przede-

<sup>1)</sup> l. c.

wszystkiem w świetlnych promieniach słońca, udział zaś ciepłikowych jest przytem niewielki." Zasluguje też na uwagę, że i światło elektryczne, dostatecznie energiczne, może również wywoływać podobną wysypkę skórą. A mianowicie, w niektórych wielkich zakładach przemysłowych wytwarza się łuk światła elektrycznego, dosięgający pięciu centymetrów długości i tak silny, iż robotnicy spoglądają nań przez czarne okulary. Od tego światła potężnego odczuwać się daje z początku tylko palenie skóry, a w dalszym ciągu działanie przenosi się na błony śluzowe oczu, nosa i gardła. Maklakoff twierdzi, że przyczyną owych zjawisk zapalnych jest światło elektryczne, a mianowicie promienie chemiczne. „Gdyby przyczyną było tu ciepło, to robotnicy wydymający szkło, palacze i t. p., powinni-by ulegać tym samym chorobom, a skóra ich powinna-by posiadać tę samą barwę ogorzałą, co skóra myśliwych, wieśniaków i t. d.”

Nader interesującą grupę zjawisk przedstawiają ruchy organizmu, wykonywane pod wpływem bodźców świetlnych. O ruchach takich była już wyżej wzmianka, gdyśmy mówili o wrażliwości plazmy komórek na światło. Ruchy wykonywane skutkiem wpływu bodźców świetlnych noszą ogólną nazwę ruchów heliotropowych, a samo zjawisko nosi nazwę heliotropizmu. Przez długi czas sądzono, że objawy te są właściwe tylko roślinom i tylko też botanicy badali je i opisywali. W ostatnich atoli latach zwrócono bliższą uwagę na analogiczne zjawiska w świecie zwierzęcym. Prace Grooma, Loeba i innych wykazały istnienie heliotropizmu u zwierząt. O tych-to zjawiskach powiemy jeszcze słów kilka <sup>1)</sup>.

Jeżeli roślina jest jedną stroną wystawiona na działanie światła, a drugą zwróconą ku ciemności, lub też gdy z jednej strony jest nieco silniej oświetlona, niż z drugiej, wówczas pędy jej zakrzywiają się, czyli wyginają najczęściej w ten sposób, że od ostrony silniejszego bodźca świetlnego stają się wklęsłe, od strony słabszego—wypukłe, czyli zaginają się w stronę większego natężenia światła: jest to t. zw. heliotropizm dodatni. W rzadszych wypadkach bywa t. zw. heliotropizm ujemny, a mianowicie: gdy się pędy zaginają w stronę ciemności, lub mniejszego natężenia światła. Sachs wykazał, że pędy lub korzenie odbywają ruchy heliotropowe dlatego, iż promienie światła działają w pewnym określonym kierunku na ich tkanki, że „będąc oświetlane

<sup>1)</sup> Loeb J. „Der Heliotropismus der Thiere und seine Uebereinstimmung mit dem Heliotropismus der Pflanzen.” Würzburg, 1890. Tenze „Weitere Untersuchungen über den Heliotropismus der Thiere i t. d.” w Pflügera „Archiv f. die gesammte Physiologie.” 1890. Por. też J. Nusbauera „Zestawienie najnowszych badań nad heliotropizmem i geotropizmem zwierząt”, „Wszelchświat”, 1892.

z jednej strony silniej, niż z drugiej, zakrzywiają się tak długo, dopóki same nie przyjmą kierunku, w jakim pada na nie światło." „Kierunek zatem promieni świetlnych, działających na tkanki roślinne, określa i warunkuje ruchy roślin, zależne od światła."

Nie wszystkie promienie widma słonecznego wywołują heliotropizm u roślin, lecz wyłącznie lub przeważnie powodują go promienie bardziej łamliwe, a mianowicie, niebiesko-fioletowe. Przeciwnie zaś promienie mniej łamliwe, żółto-czerwone, które, jak widzieliśmy, wywołują głównie przyswajanie (assimilację), nie wywierają wpływu na heliotropizm.

Otóż w ostatnich latach wykazano, że i niektóre zwierzęta, przytwierdzone do podłoża, czyli zachowujące się pod tym względem, jak rośliny, podlegają przy jednostronnem oświetleniu, lub też przy różnicach w natężeniu oświetlenia, skrzywieniom heliotropowym. Uczony niemiecki, Loeb, wykazał to na wielkim robaku morskim z grupy pierścienic, *Spirographis Spallanzani*. „Robak ten zamieszkuje rurkę, będącą wydzieliną jego skóry; rurka ta jest dosyć giętka, ale przytem dostatecznie mocna, by utrzymać zwierzę przez dłuższy czas w określonym położeniu, pochylem lub pionowem. Koniec podstawowy tej rurki przytwierdzony jest dosyć silnie do skał lub innych stałych przedmiotów podwodnych. Wierzchołkowy koniec rurki jest otwarty i zwykle wystają z niego tylko skrzele zwierzęcia, ułożone na wierzchołku głowy w kilku skrętach spiralnych. Ponieważ rurka jest prawie zupełnie nieprzezroczysta, światło działa więc głównie tylko na wieniec skrzeł zwierzęcia; o ile dotąd wiadomo, robak ten oczu nie ma. Zwierzę może się swobodnie poruszać wewnątrz rurki, której powierzchnia wewnętrzna jest zupełnie gładka, a po rozcięciu rurki może być bez uszkodzenia z niej wyjęte. Człowiek, mało obeznany z zoologią, a przypatrujący się robakowi, siedzącemu w rurce i mającemu wyciągnięte skrzele, może przypuścić, że ma przed sobą roślinę, która składa się z nagiego słupca, jak u palm (rurka), oraz z korony, przypominającej wieniec liści u palm (skrzele). Wszelako przy najlżejszem już dotknięciu przekonywa się, że ma przed sobą zwierzę, albowiem wieniec skrzeł wciąga się natychmiast w głąb do wnętrza rurki.

Gdy robaka, świeżo złowionego w morzu, umieścimy w akwaryum, będzie się on z początku zachowywał obojętnie na działanie światła; gdy tylko jednak przytwierdzi się rurka do dna, natychmiast zaczyna podlegać kierującemu wpływowi światła. A mianowicie, gdy światło pada tylko z jednej strony na zwierzę, wkrótce występują heliotropowe skrzywienia rurki wraz z zawartym w niej robakiem. Zwierzę zwraca swój biegun ustny, na którym umieszczone są skrzele, dostępne dla promieni świetlnych, ku źródłu światła, i rurka dopóty się wykrzy-

wia, aż wreszcie oś wieńca skrzelowego przypada w kierunku, w jakim padają promienie światła. W tem położeniu zwierzę pozostaje tak długo, dopóki kierunek promieni świetlnych nie ulegnie zmianie."

Loeb stwierdził objawy heliotropizmu nie tylko u robaków, ale także u wielu jamochłonów, np. u *Eudendrium*, *Sertaralaria* i innych należących do gromady stułbiopławów i również przytwierdzonych nasadą ciała do podłoża. Zasługuje na szczególną uwagę, iż u niektórych jamochłonów jedne części ciała osobnika podlegają heliotropizmowi dodatniemu, inne ujemnemu, co znów wskazuje na wielką analogię pomiędzy heliotropowemi objawami u zwierząt i roślin.

Widzieliśmy, że heliotropizm u istot, przytwierdzonych do podłoża, polega na zakrzywianiu się części ciała w kierunku padania promieni słonecznych, innemi słowy: na dążeniu ich do zajęcia kierunku tych promieni. Już z góry tedy można przypuścić, że istoty nie przytwierdzone, lecz mające zupełną swobodę ruchów, jeszcze łatwiej i prędzej powinny-by ulegać działaniu heliotropowemu, t. j. zwracać się w kierunku padania promieni świetlnych. Jakoż badania Strassburgera, Stahla i innych wykazały rzeczywiście, że rośliny, swobodnie się poruszające, np. pływki wodorostów, odznaczają się w wysokim stopniu heliotropizmem; o badaniach tych mieliśmy już sposobność wyżej powiedzieć słów kilka. Otóż Loeb i Groom wykazują, że w sposób zupełnie analogiczny zachowują się liczne z wolno pływających zwierząt niższych, np. larwy pewnych skorupiaków morskich z rodzaju pękli (*Balanus*). Jeśli larwy te—mówi Loeb—umieścimy w naczyniu z wodą morską na noc obok okna, to już nad ranem znajdziemy, że osobniki rozmieściły się w pewien swoisty sposób, a mianowicie: pewna liczba osobników mieścić się będzie na stronie naczynia, zwróconej ku oknu, pozostała zaś—na stronie przeciwległej, zwróconej do pokoju; w całej pozostałej części naczynia nie znajdziemy w ciągu całego dnia ani jednego prawie osobnika, wyjąwszy chyba gdzieś indywidua, przepływające w kierunku prostolinijnym od strony, zwróconej ku oknu do zacienionej, lub naodwrot; prócz tego, uderzy nas jeszcze jedna różnica, a mianowicie: osobniki, zwrócone ku światłu, czyli dodatnio heliotropowe, mieścić się będą tuż pod powierzchnią wody, te zaś, które zwrócone są ku pokojowi, czyli ujemnie heliotropowe, mieścić się będą na samem dnie naczynia. Jeśli teraz ostrożnie obrócimy naczynie o 180° dokoła osi pionowej, tak, iż zwierzęta, zwrócone dotąd ku oknu, znajdą się po stronie pokoju i vice versa, natenczas, gdy tylko woda uspokoi się w naczyniu, obie grupy larw przemieszczą się nawzajem i każda z nich zajmie wkrótce pierwotne położenie, przepływając w kierunku prostolinijnym, przyczem ewentualność zmieszania się ich przy tem „*changement des places*” jest wyłączona dlatego, iż osobniki

dodatnio heliotropowe pozostają zawsze przy powierzchni wody, ujemnie zaś—na dnie. Na podstawie tych i tym podobnych doświadczeń, przeprowadzonych z różnemi ostrożnościami i tyczących się nie tylko larw skorupiaków, ale i innych zwierząt niższych, Loeb dochodzi do ciekawego rezultatu, iż ruchy heliotropowe zwierząt, swobodnie się poruszających, uwarunkowane są przez dążenie do zajęcia kierunku, w jakim padają promienie światła i do posuwania się w tymże kierunku, albo ku źródłu światła, albo też w stronę przeciwną. Loeb twierdzi, że te ruchy zwierzęce, wykonywane niejako przymusowo, odbywają się przez działanie, zupełnie mechaniczne, tak u roślin, jak i u zwierząt, że u tych ostatnich nie są one wynikiem tego, iż zwierzę „lubi” światło lub ciemność i że wskutek pewnych wrażeń psychicznych obiera sobie dany kierunek drogi, jak to utrzymywali inni uczeni, np. Paweł Bert lub Graber. Bert robił doświadczenia z drobnymi rączkami wód słodkich z rodzaju rozwiłtki (*Daphnia*). Umieściwszy te istoty w akwaryum, wystawił je na działanie promieni, rozszczepionych na widmo, i policzył po pewnym czasie, ile się zebrało osobników w różnych częściach akwaryum, oświetlonych różnemi promieniami widma, t. j. promieniami różnej łamliwości. Okazało się, że najwięcej rozwiłtek usadowiło się w promieniach barwy żółtej, zielonej, pomarańczowej, coraz mniej zaś w promieniach coraz większej łamliwości, t. j. w niebieskich i fioletowych. Bert wyciągnął stąd wniosek, że rozwiłtki najbardziej „lubią” żółte promienie widma. Doświadczenia te powtórzył później J. Lubbock, udoskonaliwszy metodę swego poprzednika, i stwierdził je w zupełności, a nadto wykonał jeszcze doświadczenia na mrówkach, umieszczonych w zbiorniku, pokrytym różnobarwnemi osłonami. Badacz angielski przekonał się, że największa ilość mrówek skupiła się w czerwonej części zbiornika, następnie w zielonej i żółtej, najmniej zaś osobników zebrało się w niebieskiej i fioletowej. I Lubbock więc doszedł do wniosku, że zwierzęta „mają szczególny pociąg do promieni słabiej łamliwych, nie lubią zaś promieni o większej łamliwości.” W tymże kierunku czynił też poszukiwania niedawno zmarły, znakomity zoolog czerniowiecki, Vitus Graber, który wciągnął do doświadczeń swych aż pięćdziesiąt blisko gatunków różnych zwierząt niższych. „Pokrywał szklane naczynie do połowy osłoną nieprzezroczystą, lub mniej przezroczystą, a po pewnym czasie liczył, jak się osobniki rozmieściły. Jeśli większość zwierząt zebrała się pod nieprzezroczystą osłoną, Graber uważał te zwierzęta za *lubiące ciemność*, lub *unikające jasności*, w razie przeciwnym uważał je za *lubiące światło*, lub *unikające ciemności*. Pokrywając dalej różne części naczynia osłonami różnobarwnemi i stosując również metodę rachowania osobników, rozmieszczonych w różnych okolicach naczynia, Graber doszedł

do wniosku, że jedne zwierzęta lubią światło niebieskie, inne — czerwone. Widzimy więc, że wszyscy ci auturowie przypisywali ruchy, wykonywane przez zwierzęta pod wpływem światła różnego stopnia natężenia lub rozmaitej lamliwości, pobudkom psychicznej jakby natury, różnicom we wrażeniach, otrzymywanych przez zwierzęta, i predylekcji ich dla światła różnego rodzaju. Loeb natomiast upatruje wszędzie czynniki czysto mechaniczne. „Ruchów zwierząt, wykonywanych pod wpływem światła, nie sprowadzam, mówi Loeb, do hipotetycznych wrażeń i uczuć, podobnych do ludzkich, lecz do okoliczności, które i w pozostałej przyrodzie warunkują przebieg zjawisk.” Pojęcie owych przyczyn mechanicznych Loeba jest bardzo niejasne. Podobnie, jak ustrój jednokomórkowy, np. ameba, jest wrażliwy na bodźce świetlne, tak też i plazma roślin i zwierząt wielokomórkowych odznaczać się może taką samą wrażliwością, i podobnie, jak u roślin, tak też i u wielu zwierząt niższych owe bodźce świetlne, wywołujące ruchy heliotropowe, nie dochodzą niewątpliwie do świadomości. Ale z drugiej strony bardzo jest prawdopodobnem, że ustroje zwierzęce, posiadające dobrze rozwinięte organa wzrokowe i złożone ośrodki nerwowe, np. owady, obierają sobie dany kierunek drogi pod wpływem bodźców świetlnych w znacznej części dzięki temu, że rzeczywiście doznają wrażeń przyjemnych lub nieprzyjemnych, że znoszą lub nie znoszą światła, oraz rozmaitych barw, podobnie jak zwierzęta wyższe. Pogląd Loeba, szukającego wszędzie czynników „czysto mechanicznych”, jest więc w wielu wypadkach jednostronny.

Światło jest nie tylko pierwszorzędnej wagi czynnikiem w procesach przemiany materii, nie tylko jest bodźcem ruchowym, działającym na ustroje roślinne i zwierzęce, lecz podobnie, jak wszystkie inne potężne czynniki martwej przyrody, wywiera też pewne specyficzne, kształtujące działanie na organizację jestestw żyjących.

Przedewszystkiem bowiem obecności światła zawdzięczają swe powstanie organa wzrokowe u zwierząt, dosięgające tak nadzwyczajnie wysokiego stopnia rozwoju i komplikacji. Wszechświat cały wypełniony jest substancją w nadzwyczajnym stopniu rozrzedzoną i w granicach dotychczasowych naszych środków nieważką — eterem. Drgania cząsteczek tego ostatniego wytwarzają fale, rozbiegające się we wszelkich kierunkach od źródła światła, jako t. z. promienie świetlne. Promienie te, wpadając do organów wzroku, działają tam na zakończenia nerwowe i wywołują specyficzne wrażenia — światła. Subiektywne wrażenia świetlne, otrzymywane za pośrednictwem narządów wzrokowych, są, podobnie jak wszelkie zresztą wrażenia zmysłowe, zupełnie czemś różnem od przyczyn je wywołujących, a znajdujących się w świecie zewnętrznym. Cóż jest za podobieństwo pomiędzy ru-



chem falistym cząsteczek eteru, a wrażeniem światła, pomiędzy różnej długości falami eteru, a wrażeniami barw różnorodnych? W przyrodzie niema ni światła, ni ciemności, niema skali barw świetlnych, w niej istnieje eter, w niej cząsteczki jego drgają, a pewne rodzaje tych drgań odczuwają zwierzęta, jako najrozmaitsze wrażenia świetlne, za pośrednictwem narządów wzrokowych. Jeśli jednak te narządy wykształciły się i udoskonalily w genealogicznym rozwoju świata zwierzęcego, to przede wszystkim dzięki pewnym określonym warunkom zewnętrznym, dzięki obecności w przyrodzie przyczyny, która wywoływać może w ustrojach wrażenia świetlne. Rozpatrując też istotnie szereg jestestw od najprostszycy, do mających kolejno coraz wyższą organizację, łatwo się przekonać, że narządy wzrokowe coraz bardziej są udoskonalone i coraz lepiej przystosowane do czynności, jaką mają spełniać, aż wreszcie osiągają ów niezmiernie wysoki stopień rozwoju, jakim odznaczają się u najwyższych kręgowców.

Zwierzęta, które posiadały dobrze rozwinięte oczy, a które przez długi szereg pokoleń prowadziły życie w podziemiach lub jaskiniach, dokąd nie przenika promień światła, utraciły po większej części wzrok zupełnie, lub przynajmniej zaniewidziały w znacznym stopniu.

Kret np. ma oko małe, ukryte w futerku, wskutek czego na pierwszy rzut oka wydaje się, że jest ślepy; badania naszego rodaka, prof. Kady'ego, wykazały, że jest on silnym krótkowidzem, a poszukiwania Gausera nad mózgiem i nerwami głowowemi kreta stwierdziły interesujący fakt, że nerwy wzrokowe u tego jestestwa są nadzwyczajnie cienkimi niemi, zaledwie dostrzegalnymi okiem nieuzbrojonym, czyli są w znacznej mierze zdegenerowane; nerwy dla muskulatury gałek ocznych zupełnie nie istnieją, a t. zw. wzgórcy wzrokowe mózgu, a mianowicie przednie ich oddziały, pozostająco w ścisłym związku z funkcją widzenia, są w pewnym stopniu zwyrodniałe, co wszystko najwymowniej dowodzi, iż widzenie u kreta jest dosyć silnie zredukowane (Marshall); przyczyną tego jest podziemny sposób życia tej istoty. U pewnych podziemnych gadów z okolic zwrotnikowych oczy są zupełnie zrosłe, to samo widzimy u proteusza, płaza ogoniastego, zamieszkującego ciemne groty Krainy; w jaskiniach mamutowych w Kentucky żyje ryba (*Amblyopsis spelaeus*) zupełnie ślepa i t. d. Wszystkie te istoty nie są pozbawione oczu, lecz posiadają je tylko w zanikłym stanie, w stanie mniej lub więcej niezdolnym do widzenia, co dowodzi, że istoty te pochodzą od przodków, obdarzonych zupełnie wykształconymi narządami wzroku i że te ostatnie uległy redukcji i uwstecznieniu pod wpływem warunków otoczenia, a mianowicie: wskutek braku światła. Znakomity dowód, przemawiający na korzyść tego poglądu, znajdujemy także w następującem odkryciu, doko-

nanem przez Wyville Thomsona, genialnego przewodnika naukowej wyprawy Challengeera. Im bardziej posuwamy się w głąb wody, tem warunki oświetlenia znajdujemy gorsze, a w wielkich otchłaniach morskich panuje, jak wiadomo, zmrok lub nawet ciemność zupełna; promienie światła nie mogą się bowiem przedrzeć przez olbrzymiej grubości warstwę wody. Otóż Thomson znalazł, że osobniki kraba morskiego (*Ethusa granulata*), żyjące w płytkich miejscach, posiadają oczy dobrze rozwinięte, osadzone na ruchomych słupkach. W głębokości od dwustu do sześciuset siedmdziesięciu metrów skorupiaki te posiadają jeszcze słupki ruchome, ale zamiast oczu znajdują się na nich zwapnialne nabrzmienia, — można-by je porównać do lunety polowej, z której szkła zostały wyjęte. Wreszcie egzemplarze, zamieszkujące głębie od dziewięciuset do tysiąca i trzystu metrów, mają słupki pozbawione nie tylko oczu, ale nawet zdolności do ruchu, a wolne końce słupków są u nich zakończone ostrym kolcem. Widzimy więc, jak w tym wypadku organa wzrokowe stopniowo ulegały zanikowi, w miarę, jak osobniki zapuszczały się do coraz większych głębi i obierały sobie za miejsce pobytu coraz ciemniejsze okolice morza. Zasluguje wreszcie na uwagę, że pewne ryby morskie, przebywające w bardzo wielkich głębokościach, posiadają oczy nieproporcjonalnie wielkie.

Naturaliści tłómaczą ten fakt również, jako przystosowanie do warunków; w wielkich tych głębiach, do których nie przedziera się promień słońca, nie jest absolutnie ciemno. Ryby i liczne inne istoty głębinowe posiadają bowiem specjalne narządy, służące do produkowania światła fosforycznego, które roświecają im drogę śród czarnej nocy. Otóż niektóre zwierzęta głębinowe przystosowały się do tego słabego światła, zachowały oczy i nawet te ostatnie musiały się bardzo powiększyć, by jak największy pęczek matowych promieni świetlnych mógł przenikać do ich wnętrza. Te wielkie oczy, zbyt duże dla jasnych promieni słońca, korzystne są wtedy, gdy jedynie słabe światelka fosforyczne roświecają czarne cienie głębin morskich. Toć i ptaki nocne, np. sowa, lub ze ssaków lemury, posiadają wielkie oczy i obszerne w nich źrenice; w nocy jest bardzo mało światła, a stąd przez obszerniejszy otwór winno ono przenikać do oka, by możliwie jak najwięcej promieni padło na siatkówkę.

Ale oko nie tylko odbiera wrażenia natężenia światła, lecz odróżnia także barwy <sup>1)</sup>; u wyższych zwierząt istnieją w oku specjalne przystosowania, służące do tego celu. Ponieważ zaś w ciemności lub w zmroku wszystko jest prawie bezbarwne, rzecz więc naturalna, że

<sup>1)</sup> por. Williama Marschalla. Szkic p. t. „Kinder der Nacht.“ 1890.

w oczach zwierząt zmierzchnych lub nocnych, albo też zwierząt zamieszkujących ciemne miejsca, musiały ulegć znacznemu uwstecznieniu przystosowania anatomiczne, służące do powyższego celu.

Dla wielu zwierząt nocnych stwierdzono rzeczywiście w narządach wzroku zanik tych części, które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, służą głównie do rozpoznawania barw; a mianowicie u nocnych ssaków i sów jest znacznie mniejszą (niż u zwierząt dziennych) ilość t. zw. czopków w siatkówce, przyczem czopki te są bezbarwne lub słabo żółtawe, gdy tymczasem w oczach zwierząt dziennych liczba czopków jest znacznie większa, niż ilość t. zw. pręcików siatkówki, przyczem czopki ich zawierają szczególne krople różnobarwne, służące zapewne do przepuszczania promieni pewnej tylko barwy.

Wreszcie światło wyciska swe piętno na ogólnem ubarwieniu zwierząt. W krajach gorących, gdzie piekące promienie słońca prostopadle prawie na ziemię padają, pobudzając do życia niezwykle bujną wegetację, świat zwierzęcy, kąpiący się, że tak powiemy, w jaskrawych promieniach słonecznych, błyszczy też jaskrawszymi barwy. Czyż można porównać przecudny, bogaty, różnobarwny koloryt ptactwa okolic zwrotnikowych ze skromnem ubarwieniem ptaków w krajinach strefy umiarkowanej lub zimnej; to samo tyczy się kolorytu motyli i chrząszczy zwrotnikowych, których bogate suknie, kąpiące od szmaragdów, złota i srebra, tak nadzwyczajnie zdumiewają oko mieszkańca krain chłodniejszych. Ten wpływ światła na koloryt pokrycia ciała występuje także wyraźnie wówczas, gdy porównujemy nocne i dzienne zwierzęta w jednej i tej samej okolicy. Porównajmy np. jaskrawe kolory naszych motyli dziennych z szarą lub brumatną suknią ciem nocnych: czarna suknia kreta, szara barwa nietoperzy, lub ponury koloryt sowy, to wszystko wpływ cieniów nocy.

Tak tedy ów potężny czynnik fizyczny, jakim jest światło, w najrozmaitszy sposób wyciska swe piętno na całej przyrodzie ożywionej

DR J. NUSBAUM.

---

# W STEPIE PSZENNYM.

(Luźne wrażenia z podróży po Dakocie i Minnesocie).

---

Podczas wystawy powszechnej w Chicago, rząd stanu Dakoty, wraz z kompaniami dróg żelaznych, idących od grodu nad Michiganem do obszarów rz. Czerwonej, urządziły wycieczkę do tego „spichlerza międzynarodowego.” W liczbie osób, uczestniczących w wyprawie, znalazł się też piszący te słowa. Niżej podane opisy powstały z notatek, robionych ołówkiem na miejscu, pod wrażeniem natychmiastowym. Może nie zawsze są one dostatecznie ścisłe, ale za to lepiej oddają wrażenie, jakie na Europejczyków wywarł widok stepu pszennego.

---

*27 sierpnia, w wagonie kolejowym.*

Jest około pierwszej po południu. Przerzynamy okolicę niestających jezior. Nie jestem geologiem, chętnie jednak porozmawiał-bym teraz ze znawcą, który-by zdołał mi wytłumaczyć rodowód formacji, jaka ściele się przed wzrokiem. Obok mnie siedzi Urugwajczyk, profesor antropologii w Montevideo. Niestety, mówi po hiszpańsku, więc tylko za pomocą mimiki udzielamy sobie swoich wrażeń. Powierzchnia wygląda, jak zbiór olbrzymich niecek i dzieżek, jedne są zwrócone ku górze swoją wypukłością, inne—wklęsły w ziemię i dały schronienie

zywiolowi wodnemu. Z wagonu ogarniam nadzwyczaj wązki widnokrąg, nie mogę zatem powiedzieć, czy te nierówności wiążą się w jakiś łańcuch, lub są bezładnie rzucone w przestrzeni, niby pasmo koralu, które pękło, nawieszane zaś paciorki rozsypały się we wszystkie strony. Jeziora i stawy posiadają najrozmaitszą wielkość, ale wszystkie są niezmiennie okrągłe, niekiedy zaś mocno prawidłowe. Krajobraz nader urozmaicony,—pozornie, bo co chwila powtarza się w tej samej podobiznie. Sporo gajów, osłaniających swoim cieniem pochyłości wzgórz, mnóstwo łąk, tu i owdzie pokrytych żółtym kwieciami. Gdzieś tam gdzie inne oczko polysnie: świeże ściernisko. W różnej odległości od toru kolejowego, ale rzadziej, niż na wschodzie, usadowiły się fermy, przeważnie drobne. Dom mieszkalny przypomina swojską willę, ale jest lepszy i przedewszystkiem wygodniejszy, aniżeli dziury, w jakich gnieźdzą się nasi letnicy w Otwocku, posiada stale szarą lub białawą barwę. Obok niego ciągną się budynki, niezmiennie brudno ceglaste-go koloru, z szeroką, białą obwódką wzdłuż węglów. Po-nad zabudowaniami majaczy spore skrzydło, w kształcie koła, i obraca się z wolna. Jak nasz zóraw studzienny panuje nad podwórzem folwarku, tak samo ów powietrzny wachlarz wysunął się tutaj po-nad dachy. Przeznaczenie obu jednakie, ale sposób inny wywiązywania się ze swoich powinności. Sprytny Amerykanin zaprzął drgania powietrza do pompowania wody, która z rury spada na dół do olbrzymiej kadzi. Wachlarz pracuje bezustannie, kadź zaś położona jest tak wysoko, że, korzystając z ciśnienia w niej wody i używszy stosownych przyrządów, można zrosić, jak deszczem, dość daleką przestrzeń. Jest to jeden z obrazków, malujących wiejskie życie w Ameryce—automaty wyręczają wszędzie człowieka i oszczędzają mu wysiłku. Jak odmiennym duchem, o ile innymi potrzebami i widnokręgami, jak odrębnym wreszcie trybem gospodarowania przemawiają te skrzydlate automaty-zórawie. A pamiętajmy, że jesteśmy wśród okolicy, jak powiedziauo-by w Europie, — włościańskiej. Na stacyach oglądamy niewielkie zagrody, z których prowadzi pochyły pomost, urywający się na pewnej wysokości. To ssawki tego organizmu, którego serce oglądamy w „*stock-yard*” Chicago, Omali lub Kansas-City. Codziennie idą pociągi, zbierające bydło z takich zagród, niby pasażerów, i wiozą je do ognisk zakładu rzeźnickiego. Pomosty świadczą, że w tej pagórkowatej przestrzeni usadowiło się mleczarstwo z opasem bydła.

\*

\*

\*

Godzina trzecia po południu. Pagórki z siecią wodnych ócz i oczek pozostały het daleko za nami. Powierzchnia gruntu staje się gładką,

jakby stołu. Ze wzgórzami zniknęły też lasy, które tak malowniczo spuszczały się ku toniom wód i przegłądały się w naturalnem zwierciadle. Nawet drzewa są teraz rzadkością. Spotykamy je tylko przy fermie, wzrost zaś niski wymownie świadczy, że niedawny prowadzą żywot w tej okolicy, przybierającej wszystkie pozory stepu. Tak, wjechaliśmy w granice preryi,—wyraźmy się ściślej i rzeknijmy: dawnej preryi, gdyż wszędzie spostrzegamy, iż człowiek zgwałcił dawną dziewiczość tego ustronia, zorał glebę, która, od chwili wynurzenia się tych obszarów z otchłani morskiej, spoczywała nietknięta, i zmusił ją do porzucenia dawnego dzikiego stroju, uwitego z traw i burzanów stepowych, a przydział w szaty cywilizowane, utkane z niw zbożowych.

Kiedy niekiedy niewielki gajk wynurza się z pośród szarej powłoki ściernisk. Dosyć rzucić okiem na ten zbiór drzewek, ażeby zrozumieć, że wyrosł on na tem miejscu nie z łaski dzikich sił kapryśnicy-przyrody, ale że powołała go na świat zapobiegliwa ręka ludzka. Zadrzewianie nagiego kiedyś stepu stanowi na północo-zachodzie jeden z przedmiotów skrętniej pieczy. Wisconsin, który niedawno przerznęliśmy, Minesota, przez której błonia niesie nas obecnie pojazd parowy, troskliwie chodzą około tego obowiązku, ba! podniosły go nawet do poziomu powinności społecznej. W oznaczonym dniu, w końcu kwietnia, ludność obchodzi uroczystość sadzenia drzewek, a nikt nie wymawia się od tego obowiązku. Macierz-ziemia, która nie zaznała niegdyś cienia nawet podczas największej spiekoty, musi słuchać wtedy długich popisów krasomówczych ku chwale gęstwin leśnych, wysadzonych dróg, gajów przed domem. Wszerz i wdłuż stepu ciągną procesyje, obywatele zaś niosą drzewka wśród dźwięków hymnu narodowego i sadzają w pustkowiach. Właśnie wiozę z sobą broszurki, poświęcone tej wielkiej uroczystości, słynącej w Ameryce pod utartą nazwą „*Arbor-day*”; wzięłem je na drogę, nie domyślając się, że tak mi się przydadzą. Są to sprawozdania inspektorów szkolnych z obchodu „święta drzewnego” przez dziatwę. Ci Amerykanie, zaprawdę, umieją połączyć nadobne z pożytecznem, zabawę z nauką! Już na miesiąc wcześniej o mury szkolne obijają się odgłosy namiętnej dyskusyi. Malcy i dziewczęta, zorganizowani na wzór prawodawczego ciała swojej wielkiej ojczyzny, roztrząsają poważnie, jakie drzewka szkółka na swoim podwórzu posadzi w bieżącym roku. Tworzą się partye „polityczne”—grabu, świerku, wiązu. Podczas obrad „drzewnego” parlamentu, każda partya wyzyskuje możliwe argumenta: które drzewo jest piękniejsze, użyteczniejsze, praktyczniejsze. Walczący sięgają do ksiązek, nauczyciel zaś podsuwa zręcznie materyał, nagromadzony zresztą w odpowiednich podręcznikach; wchodzą we wzajemne kompromisy, wybierają *speaker'ów*. Ćwiczenia stylistyczne obracają się około tego wątku

dziatwa szpera w pisarzach, opiewających wdzięki lasów i gajów i roz-  
wodzących się nad powabami przyrody. Wreszcie zbliża się uroczy-  
stość. Szkółka głośnie nad drzewkami, władze zaś stanu dostarczają  
wybrańców, na których padły głosy większości. A kiedy zawita *Arbor-*  
*day*, uciechom niema końca. Muzyka, śpiewy, mowy, deklamacje, zabawy  
— niczego nie braknie w tym dniu uroczystym, w ciągu którego sły-  
chać wciąż hymny na cześć zieleni, cienia, drzew, przyrody. Dzieciak  
wyrabia w sobie emocjonalny patryotyzm względem wdzięków macie-  
rzy-natury, wdraża się do zrzeszonego współ-działania, ozdabia swoją  
główkę pożytecznymi wiadomościami o królestwie roślinnem.

Mysł ślizga się po stronicach sprawozdań i zapomina o tem, że  
ujarzmiony step uśmiecha się do zmysłów bogactwem swoich błoni.  
Dotarła do końca broszurki, a zwolniona od czytania, biegnie dalej, ku  
amerykańskiemu szkolnictwu. Przede mną siedzi Niemiec, który do  
naszej wycieczki przyłączył się w Milwaukee. Naturalnie, rozpoczy-  
nam gawędę o zwyczajach szkolnych. Mój towarzysz uzupełnia to,  
o czem dowiedziałem się z urzędowych wydawnictw. W każdym hrab-  
stwie znajduje się towarzystwo ogrodnicze. Nietylko zgromadza ono  
siły dorosłe, lecz nadto zakłada filie pomiędzy młodzieżą szkolną. Za  
wpisowem dziesięciu kopiejek na rok rozdaje malcom jednej wiosny  
krzaki porzeczek, innej—malin, dziatwa zaś je sadza przy domu rodzi-  
ców i pielęgnuje. Rozumie się, rozprawy filii szkolnej obracają się  
w ciągu roku nad hodowlą otrzymanego krzaku.

\*

Pociąg, nie zwalniając biegu do końca, zatrzymuje się przed ja-  
kąś stacją. Czytam: Barnesville. Kolejowy *time-table* poucza, że je-  
steśmy o 200 z górą mil od Saint-Paulu. Odfotografował-bym tę miejsc-  
ność, tak oryginalną wydaje się memu oku, nieprzyzwyczajonemu do wi-  
doków, jakie stworzyła kultura amerykańska przy swoim najeździe na  
stepy dziewicze. Osada ta niewielka, kilkaset głów ludności. Rozpo-  
stała się w gołym polu, dokładniej: wśród preryi, bez drzew i krza-  
ków, jedynie wśród morza burzanów stepowych. Główna, omal że je-  
dyna ulica, biegnie równolegle do toru kolejowego, bez bruku, opatrzo-  
na pojedynczym chodnikiem z desek. Domy to proste drewniane le-  
pianki i baraki, jakie chwilowo oglądamy na polu mokotowskiem pod-  
czas zabaw wielkanocnych. A zatem miasteczko *in statu nascenti*. Lu-  
dność wyległa na stację, wita nas okrzykami, jakaś Amerykanka do-  
pomina się, aby jej pokazano kapitana Andersena—sądzę nawet, że  
gdyby Norwegia tolerowała wielożęństwo, odważny żeglarz przywiózł-

by do swojej ojczyzny kilka dziesiątków żon z posagami. Przepłynął Atlantyk w wątlm czółenku!

Ale nie żartujmy z amerykańskich Pacanowów. Jak za czasów Napoleona I każdy szeregowiec nosił w tornistrze dyplom na generała, a nawet marszałka, podobnie drobna, rzucona w pustkowiu stepowem, osada, marzy o wspaniałej przyszłości. Niechaj znajdzie się w niem kilka głów przedsiębiorczych i rzutkich, a kto wie, jak daleko Pacanów dzisiejszy zajdzie! Przysłuchajmy się uważniej martwej mowie, z jaką ku nam zwracają się domostwa. Są one lepiankami, ale oto na jednej rozsiadł się napis *State-bank*. Przy torze kolejowym parę brudno-ceglastych elewatorów wznosi swoje cudackie kształty; jeden z nich, jak dowiadujemy się z napisu, należy do związku okolicznych fermerów. Z po-za chwastów wygląda świeży transport wiążących zniwiarek i wabi ku sobie nasze oko jaskrawą żółtością swojej szaty, a tam daleko czerwienieje jedna, druga, piąta młóckarnia parowa! Pacanów kipi działalnością przemysłową i może posiada większe obroty handlowe, niż niejedno nasze miasteczko powiatowe...

Ołówek jeszcze kreśli wrażenie, jakie wywarł na mnie Barnesville, chociaż osada zniknęła już w przestrzeni, po niej tym samym śladem poszły fermy, które dość tłumnie tulą się do stacyi. Mieścina utonęła gdzieś w oddaleniu i my znowu jesteśmy w stepie. Łąka bez końca! Trawa rośnie do pasa; obecnie, kiedy żółkła od posuchy, wziął-bys ją może za niwę jakiegoś zboża. Gdzieś tam pasie się bydło, jesteśmy zatem jeszcze wśród obszarów, trudniących się przeważnie mleczarstwem i opasem.

\*

\*

\*

Dochodzi godzina piąta. Stepu coraz mniej—naturalnego, porośłego dziką trawą, natomiast więcej i więcej łąnów zboża, właściwie pszenicy. Aż wreszcie prorye stanowczo przeszły w nieskończone pole orne, równiuchne, jak stół, bez pagórków i drzew. Już od godziny przed okiem ciągnie się podobnego rodzaju krajobraz. A na tej gładkiej powierzchni, we wszystkich kierunkach, gdziekolwiek rzucę wzrokiem, leżą, niby trupy, powalone snopy pszenicy. Osobliwe wrażenie czyni ten widok na oko, które przywykło oglądać przed sobą szachownicę drobnych pól, mieniących się odmiennymi barwami: to posiane czerwieniejącą koniczyną, tamto bielejące od kwitnącej gryki, owo żółte, a poprzedzielanych nawzajem zagrodami i parkanami. Z lornetką przy oku poszukuję, czy gdzieś na widnokręgu nie dostrzegę końca tego ogromnego pobojowiska. Nadaremne mozoły! Ciągnie się ono bez



granic i nie zna przerwy. Step pszenny w całym znaczeniu, bez drzew, miedzy, oraz innego zboża—to samo bezustannie ściernisko z prawidłowo oddalonymi kopcami snopów pszenicy! I nic nie widać, prócz trupów! Często w ciągu kwadransa jedziemy wśród takiego pobojuwiska, które zaledwie na chwilę ustępuje miejsca czystemu ściernisku, a potem znowu kilkanaście minut ściela się przestrzeń, pokryta snopami. Jedyną różnicą do tego morza ściernistego wnoszą fermy, sterczące w dość znacznych odległościach od siebie, a jaskrawo odbijające od złotego tła swojemi brudno-ceglastemi budynkami. Zasadzony ręką ludzką gaj niekiedy osłania siedzibę taką swoim cieniem, ale rzadziej i rzadziej oko ogląda coś podobnego. Człowiek nie zdążył jeszcze przyozdobić stepu sztuczną zielonością drzew. Zwykle bez drzew i nawet bez ogródka, osada ludzka rozsiała się na łanie pszenicy i żaden parkan nie stawia granic pomiędzy przestrzenią folwarczną, a morzem zboża. Stepowe burzany oświadczyły podwórzem. Wyrwane z preryi przez plug, naznaczyły sobie schadzkę pod osłoną zabudowań. I struktura osady nosi na sobie jakieś szczególne piętno, rdzennie amerykańskie. Nie mogę znaleźć w niej dowodów owego przywiązania do macierzy-ziemni, jakim ma się odznaczać wyidealizowany przez drobno-mieszczkańskie teorie chłopów Europy. Krajobraz do mego ucha szepce zgoła odmiennej treści opowieść. Każda ferma, lubo nie jest namiotem, wywiera na mnie wrażenie, jak gdybym oglądał ruchomy namiot koczownika, który, ot! lada chwila, posadzi willę swoją na koła—bywają tutaj takie wypadki!—i pojedzie sobie dalej w sposób rabunkowy wyzyskiwać soki innej gleby, porzucając splądrowany i wyjałowiony przez siebie dawny posterunek. A wyobraźnia działa tak silnie, iż przeżywam obraz takiej wędrowki. Osady ludzkie wędrują na kołach, za niemi idą gospodarze, prowadząc olbrzymie żniwiarko-wiązalki, przywiązane do parowej lokomobili, która zastępuje konia. Ale polot imaginacyi został okielzany, bo nie wiem, co mam począć z owemi szarymi chatkami, które sterczą na polach. Bez okien i bez drzwi—zdaje się, iż nie myślę się, bo drzwi jakoś nie wyglądają na nasze drzwi. Po co te domki stoją w morzu pszenicy, niby pustelnie, zdala od osady? Zagadka to dla mnie nierozwiązalna. To coś nieodcyfrowanego psuje mi obraz koczowniczej wędrowki rolników, wyobraźnia nie umie bowiem wskazać miejsca tym szarym chatkom w pochodzie...

Przerzynamy względnie ludną okolicę. Oko nie może oderwać się od widoku schludnych domków, bielejących wśród tłumu ceglastych zabudowań. Gdzieś tam zebrała się liczniejsza gromadka tych brudasów przy sobie—to folwark! Jeszcze rzadziej oglądamy miasteczko. Są to stacje, mimo których nasz pociąg pogardliwie przejeżdża, nie zatrzymując się ani chwili. Drewniane lepianki, zamiast ulicy poje-

dyńczy chodnik z desek, tonący w chwastach, parkanów ani śladu, do-koła zaś ściele się ten sam step pszenny. Obok toru kolejowego cią- gnie się rząd jednakiej struktury i niezmiennie czerwonej barwy ele- watorów; w burzanach i zielsku, olśnione promieniami sierpniowego słońca rumienia się parowe młockarnie i żółtością swoją pyszną się żniwiarko-wiązałki oraz kilka innych narzędzi, świadczących, że wiek żelazny w całej mocy zapanował na roli w okolicy, jaką przerzynamy.

\*

\*

\*

Pozostawiliśmy za sobą błonia „północnej gwiazdy” i „spichlerza wszechświatowego”, pod jakimi-to przezwiskami słynie Minnesota. Niesłusznie! Została już bowiem zdetronizowana przez sąsiadkę, Da- kotę. Jedziemy właśnie na pograniczu obu tych stanów równolegle do prądu sławnej rz. Czerwonej, Imię tego wodnego nurtu, przed dwu- dziesiątu laty znane zaledwie nielicznej garstce specjalistów-geografów, dzisiaj słynie na cały świat cywilizowany. Wszak to siedziba jednej z najpotężniejszych baterii zamorskiej konkurencji zbożowej i zara- zem ojczyzna owych olbrzymich *bonanza-farms*, które zwiastują nową epokę w rolnictwie! Wydajność gleby jest bajeczną: zdaniem miejscow- ych teoretyków-agronomów grunt będzie dawał jednakie plony ziar- na pszennego w ciągu setki lat, chociaż nie zasilany żadną mierzwą. To też potok głów ludzkich rozlewa się po dawnej preryi, niby wezbrany strumień górski, kiedy zerwie tamy w dolinie. Step, który przed kil- kunastu laty stały najzupełniejszą pustką i dawały schronienie jedynie bawołom, dzisiaj falują złocistą powierzchnią bez końca. Po bawołach pozostały jedynie zbieleiałe kości,—taki spróchniały szczątek znalazłem na ziemi, kiedy pociąg zatrzymał się w czystym polu, a my ze strzelba- mi na ramieniu zrobiliśmy wycieczkę na „kurczęta stepowe.” Biały człowiek wtargnął z baterią żelaznych potworów, pług zorał nigdy nie tknięte łono macierzy-ziemi, siewca rzucił w nie ziarno. I dzikie pre- rye wydawać poczęły plon sowity. A z kulturą ziemi zjawiał się do- brobyt i wysoki poziom umysłowo-moralny. Doprawdy, wątpię, azali w dziejach globu ziemskiego można było wskazać drugą chwilę podob- ną, żeby w tak krótkim przeciągu czasu równie olbrzymie pustkowia zamieniły się na siedlisko o takiej zamożności i takiej cywilizacji.

Dziewicza gleba czekała na tę pieczęć pługa; do zalotników uśmiechnęła się najbujniejszymi urodzajami i wynagrodziła hojnie za- biegi rolnika. Ktoś przybywał goły, jak święty turecki. Często pracow- ać musiał, jako najemnik u tych, którzy zjawili się byli do stepu z trzo- sem grosza, i dorabiał się funduszków na wniesienie pierwszej raty

za maszyny. Po dziesiątku zaś lat opływał już w dostatku. Zaiste, porzeczce rz. Czerwonej jest dziwnym zakątkiem. Chudo-pacholek, lubo nie wyzyskiwał niczyjej pracy i trudził się w pocie jedynie własnego czola, robił szybko fortunę na uprawie pszenicy! Reklama nie omieszkła wyciągnąć korzyści z takiej dobrej okazji. Kolej, która nas wiezie, posiada jeszcze mnóstwo gruntów na sprzedaż; następnie dawni osadnicy mile witają nowego przychodnia, wszak każdy atom ludzki, który obierze sobie tutaj siedlisko, swoją obecnością, bez żadnego za to równoznacznika, podnosi cenę istniejącego majątku ziemskiego. Reklama podchwytuje powodzenia i trąbi o nich het daleko po świecie, zachęcając wychodźców do porzucenia ojczyznej chaty i szukania szczęścia w dalekiej obczyźnie. Mam przed sobą mnóstwo zadrukowanej temi hymnami bibuły, zarząd podejmującej nas kolei jest w tej mierze nader szczodry i lokajom każe rozsypywać po fotelach i stolikach wciąż nowe stopy świstków. Dowiaduję się, że ktoś przyszedł przed dziesięciu laty z 300 dolarami w kieszeni, dzisiaj zaś mienie jego wynosi około 20 tysięcy. Ów opowiada, że znalazł się na błoniach Dakoty przed sześciu laty bez szeląga w kieszeni, mając w ręku jedynie fach rymarski, który pomógł mu do kupna gruntów. Dzisiaj posiada 420 akrów, 12 koni, sporą gromadkę rogacizny i tysiąc z górą dolarów rocznego dochodu z ziemi. Jeszcze ktoś inny przybył przed jedenastu laty z dziesięciu dolarami, obecnie ma półtrzecia tysiąca akrów i zbiera po 16 tysięcy buszli pszenicy. A tamten znowu, zwabiony pogłoskami, przyszedł piechotą i w ciągu pierwszego półrocza pracował jako najemnik; po ośmiu latach dorobił się tysiąca akrów, a co to znaczy, dosyć powiedzieć, że w r. 1891 półtorasta akrów dało mu 2 tysiące dolarów czystego zysku...

Zaprzestaśmy tej litanii! Wprawdzie reklama wybrała z dziejów osadnictwa to, co uważała za najkorzystniejsze dla swoich celów, zamilezała zaś o wszystkich niefortunnych, z którymi los obszedł się po macoszemu; z pośród zaś szczęśliwców, o których rozповіда blaga robigroszów, my wzięliśmy znowu prawdopodobnie jeżeli nie najwymowniejsze, tedy w każdym razie wymowniejsze przykłady. Ale z plewami reklamy nie odrzucajmy czystego ziarna! Wyłuszczone wypadki są tylko wygórowanem przedstawieniem ogólnej, a rzeczywiście istniejącej dążności. Któż bowiem w „starym kraju”, w ciągu lat kilku, na zagonie pszennym, z proletaryusza bez kapitału wyszedł-by na człowieka, opływającego w dobrobycie? Któż pot własnego czola i znużenie własnych mięśni przekuć tam zdołał-by na parę tysięcy dolarów rocznego dochodu? O tem nie słyhać w starej Europie. A tutaj w porzeczcu rz. Czerwonej jest to zasadą! nie każdy staje się bogaczem, ale żadnemu przecież nie urąga widmo nędzy, jeżeli ma na karku głowę nie

od parady, ręce zaś jego nie lękają się mogołu. Rozumie się, dzisiaj te czasy mijają. Linie kolejowe przerznięły porzecze w najrozmaitszych kierunkach, ziemi zabrakło, nawet puste grunta, które jeszcze nie straciły swojej dzikiej, dziewiczej osłony z chwastów i burzanów, nabrały już wartości. Nastal okres spekulantów, handlujących ziemią...

\*

\*

\*

Siódma wieczorem. Już od godzin pięciu ten sam widok ściele się niezmiennie przed nami. Pszenne ściernisko bez końca, z regularnie rozrzuconymi po niem kopcami snopów. Prawdliwość ta jest czynnem automatycznej żniwiarki, która wyrzuca z siebie snopy w jednostajnych odstępach. A wśród tego niezmiernego pobojuwiska trupów-snopów nie dostrzegłem jeszcze człowieka—w polu! Widziałem mieszkańców dawnej preryi jedynie na stacyach kolei.

Jak istota ludzka czuje w tym stepie pszennym? Naturalnie, mam na myśli nie wielkich kapitalistów, lecz zwykłego fermera, odpowiadającego swojemu stanowiskiem włościństwu naszemu. Że nie posiada on duszy Europejczyka i przy sprzedaży zagonu nie będzie biadał, iż opuszcza cmentarz, na którym spoczywają pradziadowie, iż żegna na zawsze szmery wioskowego strumienia i blaski rodzimego księżyca, rzecz to pewna. Nie rozmawiałem z rolnikami, do których należą te nieskończone łąny, nie oglądałem nawet żadnego w polu; ale struktura fermy i jej otoczenie rzucają światło na ich jaźń wewnętrzną, na wzruszenia duszy i cele umysłu. W pamięci wypływają Konopnickiej *Odgłosy z pól i niw*. Rozdźwiękiem brzmią one w tym krajobrazie, od którego oka nie mogę oderwać. Napewno żadna dziewczyna z tych stepów nie będzie narzekała, że ojciec nie chce dać jej z chaty, ani matka nad kołyską lipową wróżyła dziecku szarej doli. Owa willa—nie ośmielam się tych wdzięcznych domków ochrzcić nazwą chaty!—wygląda niby tymczasowy przystanek. Może nieobecność drzew przyczynia się do tego i brak parkanów razi moje oko, może ta okoliczność, że każda ferma sterczy samotnie, każe widzieć tam próżnię uczuciową względem ziemi. Niel nie myślę się. I świstki reklamny mówią, że w stepie rozsiadł się rój szarańczy ludzkiej, zmierzający do okolic, gdzie żer jest najobfitszym. Ten bez żalu porzucił fermę w Wisconsinie na wieść o urodzajności obszarów rz. Czerwonej, tamten rozstał się z zagonem ojczystym w Indyannie—słowem, zawsze i wszędzie ktoś coś porzucił, zwabiony pogłoską o tem, jaki *business* oczekuje go tutaj. Niechaj wieść rozniesie się o czemś jeszcze zyskowniejszem, a ludzie ci opuszczą dzisiejsze sadyby i pociągną dalej

rozpiąć swoje namioty koczownicze. Chęć zysku wzała się w istotę rolnika. Przychodzą mi na myśl czyjeś słowa: „Drobni fermerzy dalekiego Zachodu są chłopami, ale nie posiadają żadnego z rysów duchowych włościanina europejskiego, krom jego chciwości. Są przybyszami z odległych krajów i po-za sobą zostawili wszystkie nawyki, przesady, zwyczaje, bezwładność, które w Starym świecie stoją na przeszkodzie rozwojowi. Nie są, na wzór włościan europejskich, opętani owem piekielnem łaknieniem gruntu, upoetyzowanym przez Michelet'a, Proudhon'a i innych wielkich świeczników pospolitego demokracji. W preryach Zachodu zbywa na wysnionej uczuciowości. Nie wkrzeszają one w pamięci dni dzieciństwa, kolebka fermera nie kołysała się na tej ziemi, on zaś nie stąpa po mogiłach swoich dziadów. Fermer tutejszy jest rolnikiem nie po to, ażeby zlać się w jedno z matczyną ziemią, lecz celem wyczerpania, porzucenia jej; kiedy odkryto gdzieś dziewicze obszary, podąża ku nim. Po raz pierwszy, odkiedy ludzkość przeżyła okres pasterstwa, rolnik stargał mistyczny związek z głębą i jej płodami i odzyskał dumną niezależność koczownika.”

Na którejś stacy ujrzałem zastęp tych nomadów-rolników. Dzielne miny, wzrok śmiały i pewny siebie, twarze ogorzałe, inteligentna głowa na karku, zgarbionym od mokołów pracy, słowem, materiał na istoty—że użyję amerykanizmu—samoistnie „robiące swój los“ i gotowe poszukiwać szczęścia wszędzie, choćby za dziewięciu górami i stu rzekami. „Niechaj piekło będzie na drodze, przejdziemy je, ażeby dostać się do dziewiczej gleby Zachodu”,—mówiły tłumy, ciągnące do okolic, przez które przejeżdżamy...

A rolnik nie tylko stargał nawyki osiedleńca. Przesiąka on duchem miasta—miejskimi upodobaniami i miejskimi widnokragami. Orze on pługiem, na którym siedzi, zbiera plony przy pomocy samowiązującej żniwiarki, parowa młocarnia, wynajęta na dnie, młóci mu plony. Już to jedno wprowadza do osady włościańskiej szczególnie pierwiastki duchowe. Zamiast trzymania ziarna na fermie, odstawia je do elewatorów, ubiera się w odzież, zrobioną w mieście, nawet w piecu pali węglem, na kuchni zaś gazoliną, przywiezionymi stamtąd, obecnie zaś przebąkuje o drobnych motorach elektrycznych do obracania siewczarni. Na każdym kroku zależy od miasta! Przestał być stworzeniem, pracującym na te obce mu duchem zbiorowiska domów, a wzamian za swoje plody otrzymującym z niego bardzo niewiele. I samo rozproszenie osad, jedna daleko od drugiej, pcha go w kierunku miasta. My, którzy posiadamy wioski, t. j. gromady leżących przy sobie osad włościańskich, ani przeczuwamy, ile takie skupienie chat w przestrzeni sprzyja wyrobieniu samodzielnego ducha wiejskiego, po-

wiedźmy szczerzej: kultury włościańskiej. Inaczej dzieje się tam, gdzie ferma znajduje się od fermy w odległości wiorsty i więcej, jak to oglądamy na tym nieskończonym łanie, któremu przypatrujemy się z taką ciekawością. Wiosną, kiedy niwy zazielenią się na niezmiernym przestrzeni, podczas lata, które złocistym połyskiem ubierze step pszeny, w takie pory roku człowiekowi musi być przyjemnie na łonie przyrody. Ale co za pustka musi rozpościerać swoje skrzydła nad dawną preryą, kiedy zima śnieżnym całunem przyodzieje równinę i zamiecie poczną płaść swobodnie po tych przestworach. Kobieta nie ma kumoszki pod bokiem, ani gospodarz nie znajdzie współbiedaka. Pobliskie miasteczko jest jedyną ucieczką. Tam kluby „farmazońskie”, do których tłumnie należą rolnicy, odbywają swoje sessye, tam miejscowa *Grange* posiada swoją rezydencję, tam dziatwa uczęszcza do szkółki, kluby oddają swoją salę na tańce dla młodzieży. Ta i owa rodzina włościańska z inwentarzem przenosi się wtedy do miasta, wielkie zaś folwarki wysyłają bydło do stepów o paręset mil angielskich. Miasto panuje nad wsią, chociaż gleba jest jeszcze porzniętą na drobne kawałki prywatne. Uczynimy krok dalej, wyobraźmy sobie akcyjny spółki włościańskie, korzystające z centralizacji gospodarczej, a zatem niezależniejsze, niż obecny fermer, od ziemi. Cóż naówczas stanie się ze „wsią?” Rolnik przybierze cechy nawskroś koczownicze, chata jego letnia będzie namiotem, jedynie miasto zachowało piętno osiadłego trybu życia.

\*

\*

\*

O północy. Ujechaliśmy z górą 400 mil. ang. od Minneapolis, w tej liczbie 200, może więcej, wśród stepu pszennego. Zachód słońca zaskoczył nas na łonie tego widoku ściernisk bez końca, pokrytych w prawidłowej odległości snopami. Teraz odpoczywamy na drobnej stacyi pogranicznej, jutro przejedziemy granicę i nieco pobujamy po Kanadzie, później wrócimy inną, równoległą linią, ażeby gdzieś skrócić pod prostym kątem i puścić się prostopadle do nurtu rz. Czerwonej.

Zmęczeni całodzienną podróżą, hurmem wyruszamy na odwiedzi-ny osady. Miasteczko śpi, tylko nieliczne pary młodzieży wracają z zabawy. Zamiast ulicy—drewniane chodnik, idący równolegle do toru kolejowego. Wzdłuż tego pomostu sterczą parterowe domki w znacznej od siebie odległości. Bliżej stacyi kilka baraków usadowiło się przy sobie, to sklepy. Na rzekomej ulicy chwasty rosną do pasa i stoją kałuże wody.

28 sierpnia, w kolei.

Jedziemy z Kanady. Daleka północ zrobiła swoje: zamiast pobojuwiska snopów, mamy przed sobą nieskończone żółtawo-złociste morze, falujące, jak zwierciadło wodne, kiedy silniejszy podmuch wiatru powonie. A z pośród żółtego kobierca wynurzają się białe schludne domki i brudne ceglaste zręby budynków, częściej zaś jeszcze owe szare domki bez okien i drzwi—zagadkowego przeznaczenia.

Żółte łany urwały się. Wjeżdżamy na stację Hamilton. Cztery elewatory, kilka sklepów, parę czerwonych młockarni, iskrzących się w promieniach słońca, mnóstwo samowiązających żniwiarek w trawie. Minuta jeszcze i znowu poruszamy się wśród złocistych obszarów dojrzałego zboża. Ziemia czeka, ażeby olbrzymie brzytwy uwolniły ją od tej czupryny. Niekiedy oglądamy te brzytwy w polu: to żniwiarko-wiązałki. Jeszcze liczniej widzimy je na stacjach przy torze, tylko co sprowadzone, zwykle w towarzystwie paru lokomobil. Przystanki kolejowe wyglądają niby arsenały i posterunki olbrzymiej armii: wnoszą swą cudacką kibić elewatory, sterczą pod gołym niebem składy narzędzi, tutaj wreszcie agenci firm zbożowych mają swoje kantory. Minneapolis jest główną warownią, te stacje—fortami rolniczej działalności. „Mączne miasto” rocznie sprzedaje maszyn rolniczych na 70 mil. rubli.

\*

\*

\*

Książka nigdy nie zastąpi życia. O amerykańskiej konkurencji zbożowej miałem jakie takie pojęcie—teoretyczne. Ale kiedy myśl moja zaprzątnęła się tą kwestyą, zamorskie współzawodnictwo występowało zawsze, jako bezcielesna gromada wielocyfrowych liczb, przenoszących się z zachodu na wschód, przechowywanych w elewatorach, przepływających Atlantyk,—ale tylko suchych liczb bez krwi, bez życia. Dzień wczorajszy i w dalszym ciągu dzisiejszy przyodziały ów skielet statystyczny w żywe kształty. Teraz, kiedy od doby oglądam łany pszenicy lub pobojuwiska snopów, kiedy wzdłuż toru kolejowego widzę rzędy elewatorów, niby kłęczących potwornej wielkości mnichów w brunatnym habicie, kiedy przy tych porwanych przez społeczny podział pracy spichlerzach spostrzegam po kilkadziesiąt zielonych wozów, a nadto w pobliżu olbrzymie młockarnie, dopiero teraz zamorska konkurencja przemawia do mojej wyobraźni, jako coś żywego. Suche daty statystyczne zatarły się, każda cyfra rośnie, wędruje

w przestrzeni, zmienia swoją postać, jako obraz realny—niezmierzonych łąków, z setkami stojących elewatorów, jadących pociągów. A zmysłowe wrażenia, wywołane widokiem żółtawego kobierca i wykarmione sylwetkami elewatorów i posterunkami maszyn, domagają się gwałtownie swego uzupełniającego rysu. Gdzież jest ów czarodziej, który prerye zamienił w ocean zbożowy, zorał pole, posiadające do 300 mil. ang. długości, a zwarcie zasiane pszenicą, zrewolucjonizował staroczesny tryb gospodarowania? Pusto, głucho o nim. Bez przerwy widać dzieło rąk jego—olbrzymie, ale jego samego nie dostrzegam! Potęga ręki ludzkiej święci tutaj w rolnictwie nową erę. Nieznacznym wysiłkiem wydał plony, o jakie w naszej części świata kilkanaście razy większy zastęp rąk ludzkich musi toczyć bój z przyrodą, i uprawia przestrzenie, na jakich u nas żyje i pracuje o wiele potężniejsza ciżba.

\*

\*

\*

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej na stacji S. Thomas. Już zdawała, rzekł-byś przednie czaty, powitał nas rząd elewatorów. Z drugiej strony toru kolejowego, wśród zielska, widać parę młockarni parowych, pomalowanych nieziemnie na jaskrawo czerwony kolor. Miasteczko, wątpię, czy posiada więcej nad dwieście mieszkańców. Każdy szczegół świadczy, że jest ono posterunkiem handlowo-zbożowym—niczem więcej. Wśród marnych bud, w drewnianej dziurze, mieści się bank. Nieprzebrane szeregi żółtych żniwiarek i zielonych wozów. Korzystając z tego, że pociąg zatrzymał się dłużej, w liczniejszym gronie czynimy wycieczkę do jednego z elewatorów. Ale czy dużo można obejrzeć w ciągu pięciu, może dziesięciu minut? Wyniosłem tylko parę dorywczych wrażeń. Wyobraźmy sobie budynek na budynku: z dachu jednego wystrzela ku górze inny tej samej długości, lecz mniejszej szerokości. Niby głowa, z boków obcięta, na krępych tulowiu. Taka dziwaczka architektura znajduje się w jak najdoskonalszej harmonii z urządzeniem organów wewnętrznych. Wóz wjeżdża do budynku, zboże zsuwa się do piwnicy, tam je porywają łopaty, ustawione na windzie bez końca i zanoszą na wierzchołek gmachu. Po drodze, skutkiem wywołanego prądu powietrza, kurz zostaje odrzucony i zbiera się w głowie elewatora, a czyste zboże, kiedy winda pod sklepieniem dachu czyni zwrot na dół, spada do rur, później zaś do olbrzymich pudeł-żołądków. Pudeła te wypełniają kadłub elewatorów i ziarno z nich wędruje już wprost do wagonów. Motor parowy porusza całą maszynę. A Amerykanin gospodaruje wewnątrz po amerykańsku, t. j. niedba o blichtry, lecz o zyski. Pół-schody, pół-drabina, trzęsą się po-



de mną, kiedy wdrapuję się do „głowy” elewatora, są one zaś tak wężkie, że tylko na jednego starczą—z wążką poręczą z jednej strony, z prędko poruszającym się pasem transmissyjnym z drugiej. Mrok panuje taki, że nic nie widać. Przez grzeczność administracja kazała komuś z latarką w rękę nam przyświecać w tej karkołomnej wycieczce na szczyt budynku.

\*

\*

\*

Na stacyi Minto czekała nas niespodzianka. Okoliczni fermerzy zebrali się, ażeby uroczyście powitać cudzoziemców, zwiedzających łany dakockie. Czerstwe, krzepkie postacie w olbrzymich czarnych kapeluszach, takich, jakie przed kilku laty były u nas widzialną oznaką, że w mózgu pod niemi kryją się idee radykalne. Ale dla mnie osobiście niespodzianka była jeszcze większą. W zgromadzonym orszaku znalazłem bowiem około dziesiątka rodaków. Najmniejszego śladu owej niepewności i pokornej ślamazarności, do której przywykłem na piaskach Powiśla. Na bujnej niwie Dakoty wszystko wygląda inaczej. Mina butna—nie przystępuj; ruchy pewne siebie, pewniejsze może, aniżeli u dawnego zagrodowego szaraczka, który na sejmiku gardłował, że szlachcic równy jest wojewodzie, ale pokornie kłaniał się do nóg jasnie wielmożnych i brał bizuny na kobiercu. Ubiór codzienny, robotczy, ale bez brudu; te same ogromne kapelusze, jakie u reszty rolników. Na rękę jednego z nich dwuletnie maleństwo, w różowej sukieneczce, tryska zdrowiem, jak u nas dziecko dworskie. Ciekawie przypatruję się dziecinie, na pożegnanie podaje rączkę, lecz chociaż ojciec podszeptuje jej do uszka „do widzenia”, woli nam rzucić amerykańskie *good-bye*. Wogóle stepy tutejsze sprzyjają naszym wychodźcom. Nawet pod znojnem niebem Texasu młode pokolenie wyrasta, jako dąb-czaki, zdrowe i inteligentne; patrząc na butnego parobczaka, trudno było-by się domyślić, że jego stryjecznym bratem jest lękliwy wyrostek mazowiecki.

Ale przyjęcie trwa krótko. Pociąg rusza przy dźwiękach marsza narodowego. Mknijemy do Grand-Forks, gdzie spędzimy resztę dnia. Miasteczko to posiada zaledwie 7 tysięcy mieszkańców, ale, położone w pośrodku obszarów rz. Czerwonej, jest nader ważnym postunkiem handlowym. Samych desek dostarcza okolicznym fermerom rocznie do 15 mil. stop kw. Przed laty dwudziestu były tam jeszcze zupełne pustki. Dzisiaj istnieją w mieście cztery banki, wychodzi kilka pism codziennych, mieści się uniwersytet, są 5-piętrowe hotele z parowemi windami; gaz, wodociąg i elektryczne oświetlenie udogo-

dniają życie, telefon liczy do stu połączeń. O tem wszystkim dowiadujemy się z olbrzymich arkuszy, pono specjalnie dla nas wydrukowanych, a opiewających cuda tej zamożnej mieściny, do której dojeżdżamy.

\*

\*

\*

28 sierpnia, Grand-Forks, N. Da.

Kabryolecikami jedziemy przez miasto. Wszędzie niebrukowane ulice, przynajmniej innych nie widzimy, Wzdłuż nich idą drewniane chodniki. Sterczą one wysoko po nad poziomem ulicy, niekiedy aż na 2—3 stóp, na rozdrożu zaś przy spotkaniu jeszcze wyżej się podnoszą. Biada przechodniowi, który wśród mroków nocy stąpnie po za chodnikiem. Przepaść czyha na niego, w której wprawdzie życia nie straci, ale może złamać nogę. Nawet na najgłówniejszych ulicach, tam, gdzie stoją paropiętrowe domy, po większej części drewniane, błoto leży w pośrodku, mimo, że pogoda jest piękną, boczne zaś i drugorzędne zaułki bujnie porosły zielskiem. Kolej przerzyna miasto. Szyny przecinają w poprzek najpryncypalniejszą, t. j. najruchliwszą ulicę. *Look out*, wypisane na tablicach, jest jedyną przestrogą dla przechodniów, bo szlabanów ani dozorców nie poświęci, którzy-by opiekowali się przeciągającym tłumem. Pamiętaj sam o sobie!

Grand-Forks jest zbudowane według ogólnego modelu, właściwego wszystkim miastom amerykańskim. Dzielnica handlowa posiada zwarte rzędy murowanych kamienic, później idą rozrzucone wille i domki, przeważnie z drzewa. Ulica plutokratyczna już istnieje i wyodrębnia się od innych swoją ciszą, zielonością murawy i obfitością drzew.

\*

\*

\*

Wyjeżdżamy w pole. Gościniec przypomina naszą wiejską drogę. Szosy ani śladu—nie istnieje ona niemal w Stanach-Zjednoczonych, które znają tylko albo tor kolejowy, albo zwykły gościniec, ale nie tolerują naszej szosy, jako mało produkcyjnego wydatku. Na drodze, pod prostym kątem przerzynającej tę, po której jedziemy, parska maszyna parowa i mozoli się nad wyrównaniem i udeptaniem toru. W polu pracują żniwiarko-wiązalki, chociaż dokoła rozsiadły się drobne fermy. Jak oko zasięgnie, leżą snopy pszenicy, tylko gdzieś stoją sterty już wymłoconej słomy. Towarzyszący farmer,

opowiada, że jeszcze dzisiaj rano—obecnie ma się ku południowi—nie było ani jednej. Zjawiła się parowa młockarnia, po godzinie lub dwóch załatwiła się ze zbiorami fermi, później udala się na drugą, trzecią. Tak gospodaruje włościanin zamorski! Naturalnie, nie ma on funduszków na kupno takiej kosztownej maszyny. Wyręczają go w tem specyalni przedsiębiorcy, którzy młocą zboże za pewną taksą od buszla. Parę godzin pobytu na fermie, a młocka, która zabiera u naszego gospodarza sporo czasu, zostaje skończoną. Niekiedy sąsiadujący z sobą farmerzy kupują do spółki młockarnię, zbierają się wszyscy u jednego, wymłocą ziarno, jadą do następnego, aż póki nie obejdą wszystkich.

Droga, po której jedziemy, prowadzi do sporych rozmiarów gmachu, ogrodzonego dość niedbale. Na parkanie ulokowały się sążniste napisy i reklamy o proszku do pieczywa, o oleju rycynowym i innych specyfikach, napisane łokciowej wysokości literami. Budynek ów stoi samotnie w polu, może o milę naszą od najbliższej siedziby ludzkiej. A jest on przecież ogniskiem wiedzy dla stanu północnej Dakoty. To miejscowy uniwersytet! Rektor—doprawdy nie wiem, jak mam tytułować kierownika tej świeżo upieczonej wszechniczy, liczącej zaledwie kilka lat wieku—wita nas w ganku krótką mową, której zasadniczym tonem jest obietnica: „poczekajcie nieco, a zobaczycie, czem będzie nasz uniwersytet!” i po takim przyjęciu prosi do wnętrza i oprowadza po gmachu. Budynek dwupiętrowy, drewniany, bardzo skromnych, jak na uniwersytet, rozmiarów. Z każdego szczegółu wionie na nas duch nie taki, do jakiegośmy przywykli w murach starodawnych wszechnic naszej Europy. Nawet siedzenia w audytorjach świadczą o tem, że znajdujemy się na ziemi, łamiącej wszelką rutynę. W salach, w których toczą się dyskusye i wogóle w których student nie czyni notatek, tylne siedzenie każdego fotelu jest ruchome i słuchacz może rozpięrać się wysmienicie. Siedzenia są podnoszone, jak u nas w teatrach, i na dolnej swojej powierzchni posiadają „maszynkę”: przyrząd do trzymania kapelusza. Gdzie zaś odbywają się wykłady, tam pulpity urządzone w niezwykle prosty a wygodny sposób. Prawa poręcz fotelów jest płaską i ku końcowi swemu bardzo szeroką. Ręka prawa spoczywa na niej od zgięcia i czyni notatki. A biblioteka? Jak na uniwersytet, jest ona nad wyraz ubożuchna. Obfituje za to we wszystkie doborowe rzeczy treści ogólnofilozoficznej, jakie wydała wiedza w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci. Śladów żyłki erudycyjnej niepodobna w niej dostrzedz, antyków niema, dzieł historycznych bardzo niewiele. Wygląda tak, jak gdyby ją układał wojujący „pozytywista”: Haeckel, Huxley, lub Letourneau.

Na drzwiach napisy: dla dam! Sekretarz zakładu objaśnia, że są to miejsca odpoczynku dla studentek, które w ogólnej liczbie dwustu słuchaczy stanowią niemal połowę. Pomiędzy profesorami równie znajduje się płeć nadobna: kobieta wyklada literaturę angielską, inna jest asystantką przy katedrze chemii. Słuchaczki są obowiązane do ćwiczeń fizycznych, prowadzonych naturalnie przez kobietę: szkoła dostarcza ubiorów, które przypominają nieco krojem swoim suknię wschodnią. Zarząd wypowiedział nieubłaganą wojnę gorsetom, których nie wolno nosić. Na początku roku szkolnego każde dziewczę bywa badane przez lekarza, który, prócz ćwiczeń ogólnych, przepisuje jeszcze indywidualne, mające wzmocnić słabe organa i mięśnie słuchaczki. Przy uniwersytecie znajduje się coś w rodzaju internatu; jak dotychczas, mieszka ją w nim jedynie studentki. Tygodniowa opłata za mieszkanie z opalem wynosi 75 centów! Za te pieniądze panienka posiada jeszcze prawo użytkowania—nie wiem doprawdy, czy jakaś kandydatka do uniwersytetu z Warszawy nie weźmie tego za żart z mojej strony. Ale jeżeli rumieniec wstydu wystąpi na twarz Europejki z powodu zajęć jej siostry zamorskiej, za to niechaj pada wina na rzeczywistość amerykańską, która zresztą bardzo mi się podoba. Otóż studentka w północnej Dakocie do tego stopnia nie ma „poczucia” swojej godności, że własnoręcznie pierze bieliznę w pralni uniwersyteckiej!.. Jeszcze inny szczegół, wymownie świadczący o zmyśle praktycznym Amerykanina. W gronie pedagogicznym znajdujemy „matronę”, kobietę w starszym wieku, do której dziewczęta, oderwane od rodziny, zwracają się o rady w potrzebie. Wychowawcy zakładu są dziećmi okolicznych fermatorów, t. j. włościan, i niejeden po ukończeniu będzie pracował na roli. Wszyscy jedzą obiad w kuchni uniwersyteckiej—nie z przymusu, ale ponieważ taniej a lepiej nie dostaną nigdzie w mieście. Wykłady bezpłatne. Organizacya uniwersytecka jest jednocześnie oddziałem milicyi narodowej.

Ruszamy dalej. Oglądam się, czy nie zobaczę tutejszej studentki, której nie wolno nosić gorsetów, a która własnymi rękami pierze bieliznę. Nadaremnie. Jest to czas wakacyjny i słuchaczki może akurat doją teraz krowy na fermie.

\*

\*

\*

*Grand-Forks city.*

W hotelu zjedliśmy obiad, przy którym nie obeszło się bez mów, rozwodzących się nad tem, czem kiedyś w przyszłości będzie miasto.

Hotel tej samej struktury, jak inne, dotychczas przez nas widziane. Gmach to pięciopiętrowy, windy spełniają obowiązki schodów, telefon do rozporządzenia gości, olbrzymia jadalnia. W Grand-Forks jest jeszcze drugi takich rozmiarów hotel, może nawet trzeci. Mieścina liczy 7 tysięcy mieszkańców, a posiada hotele, które-by były ozdobą Warszawy! Ta okoliczność świadczy o ruchliwości Amerykanina, który wogóle nie lubi zagrzewać miejsca i drwi z mądrości przysłowiowej, że na jednym miejscu nawet kamień porasta.

Spacerujemy po miasteczku. Po drodze zawadziliśmy o „operę.“ Gmach jednopiętrowy, dość miłej powierzchowności. Wchodzimy do wnętrza. Na dole krzesła i dwie łóża, na górze krzesła i nic więcej. A zatem zupełny brak łóż, tego wyrazu solidarności rodzinnej. Rozmiary niewielkie, może na trzysta osób. Uwzględniono wygody publiczności, Warszawa mogła-by niejednego poduczyć się w amerykańskim pułkowniu. Każdy następny rząd krzeseł wznosi się o stopę wyżej, na dole pod siedzeniami sprężyny do kapeluszy, na tylnej poręczy znajdującego się fotelu przedemną przyrząd do laski, względnie zarzutki damskiej. Korytarze oraz przejścia pomiędzy krzesłami wysłane dywanami, tłumiącemi szelest kroków.

A wszędzie panuje jawność! Weszliśmy bez pytania do pustej sali, zapaliliśmy światło elektryczne i rozsiedliśmy się w krzesłach. Jeden z naszych kolegów, dziennikarz francuski, na pianinie wygrywa Marsylianke, inni śpiewają. Za nami włóczy się tłum gapiów, który otoczył Japończyka i kompletnie skubie go. Dobroduszny przedstawiciel rasy żółtej uśmiecha się, rad z tych owacy. Nikt nie zastępuje nam drogi i nie wypędza nieproszonych gości, którzy wtargnęli do świątyni sztuki.

\*

\*

\*

Wieczorem. Uroczyste przyjęcie w klubie obywatelskim, który mieści się na trzecim piętrze jednego z hoteli. Rozumie się, wjeżdżamy na windzie. W pierwszym pokoju spotykam znajome twarze naszych żydów. Zaczepiam, okazuje się, że odgadł. Do sali nie chcą wejść, bo, nie wiedząc o uroczystości, przybyli w codziennym stroju (później uwijali się w salonach, zmuszeni przez prezesa klubu). Jeden pochodzi ze Lwowa, drugi z Brodów, obaj siedzą na roli i gospodarują. Dowiaduję się, że żydzi licznie trudnią się fermerstwem w stanie północnej Dakoty: w okolicy Dyablego jeziora jest ich około 40, w innym zakątku do 50, jeszcze gdzieindziej—kilkudziesięciu. W całym stanie, posiadającym 200 tysięcy mieszkańców, znajduje się żydowskich osad rolnych do kilkuset. Niektórzy gospodarują już od lat dwudziestu. Osadnicy

mają się dobrze; jeden z obecnych pokazywał mi papiery, świadczące o znacznym kredycie w banku. Dzieci uczęszczają do szkół publicznych. Starszy, w zwykłym ubiorze żyda-rzemieślnika, miał taką dziarską minę, że raczej przypominał dobrodusznego lreczkosieja, siedzącego na kilku włókach na Mazowszu—ziemia na twarzy każdego, kto ukończył jej uprawę, rzeźbi znamię szczeroci i prostoty. Mój towarzysz, inż. Rycerski, tak zachwycony jest naszym fermerem starozakonnego wyznania, że prosi go o fotografię, którą obiecuje umieścić w pismach warszawskich. A we Lwowie żydek był faktorem, służalczo-pokornym i gotowym może do wszystkich usług!

Opowiadają mi oni o Polakach. Sądzą, że trudno mi było-by znaleźć lepszą informację. Nasi ziomkowie obsiedli okolice miasteczka Minto, w liczbie pięciuset osadników z górą. Należą w stanie do najzamożniejszych, bo pracują, dodaje fermer-żyd, nie po miejscowemu. Fermer Amerykanin o godz. 5½ po południu składa robotę, Polak siedzi nad nią do zachodu słońca. Pola jego są lepiej uprawne, bo więcej wkłada do nich swojej krwawicy i nie porzuca osady, kiedy gdzieś błysnie perspektywa lepszego zarobku. Wogóle, gdyby nie włościanin europejski, wytrzymały i na małym poprzestający, Dakota dzisiaj nie była-by Dakota. Niegdyś, w pierwszych czasach gorączki, pracę tłumy na daleki Zachód, usadowiły się w niej olbrzymie gospodarstwa rolne, t. zw. *Bonanza-farms*. Ale kiedy ceny na pszenicę spadły, większość wielkich kapitalistów rzuciła wtedy ziemię i powędrowała dalej na Zachód, gdzie zyskowniejsze procedery stały otworem. Niemcy i Skandynawczycy objęli rozdrobniony na małe fermi posterunek rolny. Pracowitość ich, wytresowana w jarzmie stosunków europejskich, nagrodzona została sownicą, bo uwieńczona dostatkiem. Fermi duże kuleją jeszcze z innej przyczyny; potrzebują bowiem sprężystej ręki, która-by zdołała utrzymać w porządku gospodarkę; kiedy jej braknie, naówczas maszyny rdzewieją na słocie i praca najemników jest mniej wydajną. Takie folwarki mają w drobnym sąsiedzie niebezpiecznego współzawodnika: robotnik na fermie pracuje 8 godzin, Niemiec lub Skandynawczyk 14, i to przy pomocy takich samych zniwiarek.

\*

\*

\*

Niepodobna nie spostrzedz jednostajności, spoczywającej na życiu miejskiem w Ameryce. Nietylko taki sam ubiór oglądam zarówno w Chicago, jak w Grand-Forks, i jednakiemu fasonu kapelusze, ale struktura domów jest taką samą, forma dzienników podobna, maniere mieszkańców—jednake. W „starym kraju” pomiędzy osobą z wiel-

kiego miasta, a mieszkańcem prowincjonalnego ustronia istnieją olbrzymie różnice w obejściu, widoczne od razu. Parafaluszczyzna przemawia z każdego ruchu. Chyba że w Ameryce dzieje się tak samo, ale różnica musi nie być tak napiętą, bo jakoś nie mogę jej odkryć. Widocznem jest, że wymiana towarów i idei jest szybką a potężną. Pod kapeluszem jednostajnego fasonu, w domku niezmiennie tej samej struktury, ukrywają się jednakie upodobania i pojęcia. Najdrobniejsza miescina ma jeszcze tyle stosunków na zewnątrz i w swoich murach widzi tylu gości z daleka, że z jej mieszkańców ścierają się rysy odrębności, oni zaś nabywają pewności siebie w obejściu z przybyszami. Czyż mieszkaniec jakiegoś powiatowej miesciny u nas zachował-by się tak prosto, jak obywatel z Grand-Forks, gdyby znalazł się oko w oko z gronem gości-cudzoziemców?.. Zwłaszcza zadziwia mnie brak różnicy intelektualnej. Podczas wycieczki za miasto stykałem się z miejscowym żywiołem, słyszałem mowy obiadowe, spędziłem parę godzin wieczorem w klubie, którego wszystkie sale były przepelnione, rozprawiałem ze starszem pokoleniem i z młodemi Amerykanami i zawsze musiałem podziwiać wysoki stopień wykształcenia i niezachwianą pewność.

#### *W wagonie kolejowym.*

Jedziemy dalej. Kolej niesie nas w poprzek terytoriów pszennych, prostopadle więc do nurtu rz. Czerwonej. Wiozą nas do folwarku Larimore, jednego z większych, chociaż nie największego w tej okolicy. Mamy się przyjrzeć Bonanza-fermom. Kiedy sąsiednie upadały, larimorska ostała się, dzięki sprężystości kierowników. Jak inne wielkie majątki ziemskie w Stanach-Zjednoczonych, jest ona własnością spółki akcyjnej, wniesionej do aktów pod nazwą: *Elk Valley farm Co.* Ta forma mocno przyczynia się do rozwoju techniki rolnej i nadaje przedsiębiorstwom pszennym i hodowlanym niezwykłą elastyczność. Przed czem napewno cofnął-by się indywidualny kapitał, na to waży się związkowy—każdy z uczestników ryzykuje bowiem jedynie część swojego mienia i może się wycofać, kiedy interes nie oplaca się. Zwykle łączą się w spółkę obrotni kapitaliści miejscy, przyzwyczajeni do śmiałego spoglądania bankructwu w oczy i nie cofający się przed wyprobowaniem nowych wzorów, kiedy one świecą obietnicą sowitych zysków. Larimorską fermę założyli spekulanci z S. Louis w r. 1881 i oddali jej kierownictwo w ręce doświadczonego agronoma i zarazem obrotnego geszefciarza, p. Larimore'a. Folwark posiada 16 tysięcy akrów przestrzeni, z pośród których dziesięć znajduje się pod pszeni-

cą. Zbiory w ubiegłym roku wynosiły: 175 tysięcy buszli pszenicy, 40 owsa i 10 jęczmienia. Innych zbóż nie siano. Inwentarz cały składa się z 200 mułów, innego bydła niema. Naturalnie, *businessman* miejski wniósł do rolnictwa właściwą sobie rachunkowość i ziemię traktuje, jako fabrykę. „Wielkie fermy Dakoty—spowiada się jeden z takich przedsiębiorców, gospodarujący na zwartem stuwłókowym polu pszenicem—są prowadzone ściśle według zasad *businessu*. Wszystko zostało tam systematycznie urządzone. Wiemy dokładnie, ile każdy drobiazg kosztuje i ile wart jest dla właściciela. Z fermy dostajemy codzienne sprawozdania, które pokazują nam, co w ciągu dnia zrobiono i czego dokonał pojedynczy robotnik, koń lub maszyna. Oceniamy zużycie maszyny w stosunku do jej działalności, doliczamy koszty reparacji i dokładnie znamy jej żywot. Nasze fermy posiadają buchalterów, administratorów, urzędników. Wiemy dokładnie, ile akr pola, t. j. jego uprawa, nas kosztuje, i zyski, jakie z niego osiągamy. Aż do centa wyliczyć możemy odsetki, jakie pobieramy od kapitału.” A kiedy taka skrupulatna rachunkowość wykaże, że *business* rolny nie daje należytych odsetek, wówczas kapitał zbiorowy bez żalu porzuca ziemię, za pomocą reklamy ściągając wychodźców z włościańskiej Europy i rozparcelowując pomiędzy nimi obszary.

\*

\*

\*

„Opera” w Grand-Forks nie wychodzi mi z głowy. A raczej kołaczę się tam inny obraz, wywołany w wyobraźni przez *assocyację* idei. Pewnego wieczoru przechodziłem w Chicago ulicą Halsted. Obok jednego z podrzędnych teatrów, jakaś *miss* wetknęła mi do ręki świstek reklamowy. Czytam przy świetle latarni: ktoś będzie popisywał się śpiewem w salach teatrzyku, wejście bezpłatne. Na razie sądziłem, iż początkujący śpiewak w ten sposób ugania się za popularnością swojego imienia. Ponieważ znajdowałem się o kilka kroków od przybytku popisu, a nadto zbliżała się oznaczona godzina—ósma, przeto wstąpiłem, aby przejrzeć otwierającą się przede mną nową kartkę życia amerykańskiego.

Teatr sporych rozmiarów, elegancko i wygodnie urządzonej. Zamiast krzeseł—pół-fotele, sala przedstawia rodzaj amfiteatru, w którym każdy następny rząd krzeseł wznosi się wyżej od poprzedniego. Dokola stołu na estradzie siedzi kilka osób: parę skromnie ubranych dam, jakaś młoda Amerykanka kręci się przy pianinie, wysoki mężczyzna w zaniebanym ubiorze stoi z rękami na krzyż złożonemi i bacznie przygląda się napływającej publiczności. Coraz więcej osób gro-



madzi się w sali. Przy mnie siedzi matka z dwoma podlotkami, strój ich świadczy, że rodzina posiadać musi spore dochody. W poprzedzającym rzędzie zajęło miejsce paru starsuszków, pomiędzy których wkręcił się *loufer*—ulicznik—i wyróżnia się arcy-poważną miną. Na twarzy jego znać zadowolenie, że rozpiera się w tak wygodnem siedzeniu. Dalej spostrzegam młodą przekupkę z koszykiem w ręku. Niepodobna więc się uskarżać na monotonność! Ktoś wchodzi z dużym koszem w ręku, zbliża się do każdego z obecnych i podaje mocno zużytą książkę, z podartemi, zabrudzonymi stronicami i pozaginanemi rogami. I ja nie zostaję pominięty. Biorę do ręki upominek. To zbiór śpiewów religijnych. Psalm idzie po psalmie, hymn po hymnie, a każdy oznaczony kolejną cyfrą. Przy słowach znajduje się melodia. Teatr—bezpłatne wejście—śpiwnik religijny, cóż to będzie? Niedługo czekam na rozwiązanie zagadki. Ów jegomość w zaniedbanym ubiorze wstępuje na mównicę, bierze do ręki podobną, ale porządniej utrzymaną książkę, i głośno komenderuje: taki to a taki numer. Zapatrzony—nie zdołałem dosłyszeć komendy. Publiczność wyszukuje hymn w spiewniku; *miss*, znajdująca się przy pianinie, grać poczyna, a ów ktoś intonuje śpiew, powtarzany chórem przez obecnych. Brzmi melodia śmiała, wojownicza, raczej stworzona do marsza. Dźwięczą w niej znane mi tony. Ach! to melodia z paryskiego bruku, śpiewana na Montmartre w dniu 18 marca. Kto u kogo ją pożyczył? Niema wątpliwości! Purytanie musieli z tą melodią religijną iść do boju, czasy nowożytnie podłożyły w Europie treść inną, ale po tamtej stronie Atlantyku szata religijna jeszcze nie opadła. A kiedy hymn skończono, rozpoczęto na komendę drugi, trzeci... Publiczność wciąż napływa, w chwilach, kiedy drzwi się otwierają, słyhać okrzyki rozdających świstki reklamowe.

Upływa kwadrans jeden, drugi. Zmęczony bieganiem po mieście, z przyjemnością odpoczywam w wygodnym fotelu, w sali, pełnej światła i powietrza. A melodie dobrze wybrano: nie chybiają one celu, bo niecą jakiś stan błogości. Zaczynam rozmyślać na duchową fizyognomią zebranego tłumu i własne wewnętrzne wrażenia przekładać na język obcej duszy. Wszystko to są ludzie spracowani: jedni siedzieli nad pracą w kantorze, inni, jako subjecci, krzatali się po sklepach, jeszcze inni—biegali po mieście. Taki odpoczynek w wygodnem siedzeniu, przy dźwiękach stosownej muzyki i tonach chóralnego śpiewu, w oświetleniu niebieskawem lamp elektrycznych, poczyna wywierać na mnie swoje wpływy. Czuję, iż przestaję być odrębną indywidualnością i zlewam się w jednym współdrganiu nerwowem z nieznanymi współtowarzyszami w ową mistyczną, a jednak istotną, jaźń duchową, którą psychologia, badająca objawy zbiorowego życia, ochrzciła odpowiedną

nazwą: duszy społecznej. Poczynam tonąć w ekstazie zbiorowej duchowości. Rozglądam się dokoła i spostrzegam, że inni rozplývają się także w ogólnym zachwycie. Można to wyczytać z twarzy, a im która jest bardziej zbrózdzona przedwczesnymi zmarszczkami i silniejsze nosi znamię spracowania, tem większą oddycha błogością. Religia tutaj działa na masy, uderzając o struny emocjonalne. Na razie milczy o dogmatach. Wprzódy zdobywa ona uczucia, dopiero później zwraca się do rozumu. Bo ów śpiew chóralny jest tylko wstępem. Kiedy ekstaza nerwowa uczyniła już swoje, natenczas ów jegomość zaczyna mówić. Już z pierwszych słów widać dzielnego wirtuoza, który umie wygrywać na przygotowanej duszy zbiorowej i brać odpowiednie akordy. Bacznie spogląda na tłum i korzysta z wrażenia, jakie wywołał śpiew chóralny. „Śpiewajmy po pracy, bo śpiew wzmacnia ducha, uczy nas kochać bliźniego, każe zapominać o złych myślach. Śpiewajmy więc dużo, a razem!” Później potrąca inne struny—natury moralnej, jeszcze później—dogmatycznej. Wzruszenie ogarnia publiczność, dogmat przez serce trafia do umysłu, przybrany w zachwyt emocjonalny. W oczach ukazują się łzy, ten i ów podnosi się z miejsca i porusza rękami w powietrzu. Narkotyk ekstazy zbiorowej działa. A cóż dopiero dzieć się musi na owych wielkich zborach-obozach, gdzie tysiące osób nawzajem się podniecają wśród woni łąk i lasów, upojenia słońcem i czystem powietrzem, muzyką i śpiewem?

Wrażenia te teraz ożywają, w turkocie pojazdu słyszę dźwięki hymnów, tylko, że zamiast teatru chicagoskiego mam wciąż przed sobą *Opera-house* w mieście, które przed godziną opuściliśmy.

\*

\*

30 sierpnia. Stacja Larimore.

Szósta rano. Część naszej wyprawy odjechała na polowanie, inna śpi jeszcze. Co do mnie, udaję się na zwiady. Zamyślam obejrzeć miasteczko, które nie wiem, czy posiada nawet kilkuset mieszkańców. Ze stacyi dostaję się na boczną uliczkę—z niejakim zakłopotaniem dają jej to miano, może lepiej było-by powiedzieć: chodnik. Dokoła bowiem, a więc też na ulicze, zielsko porosło bujnie i niekiedy sięga do pasa, z pod niego nie widać toru. Drewniany chodnik jest jedynym dowodem, że istnieje ulica; gdyby go nie było, sądzili-byśmy, że stoimy w polu. Chodnik doprowadza nas do innego, idącego prostopadle. Ten sam widok. Wreszcie, jeszcze po jednym zakręcie, wydostaję się na

pryncypalniejszą ulicę; mniej tutaj burzanów i ciągną się aż dwie kładki. Jeden i drugi okazał się, bo piętrowe, budynki z drzewa, to municypalność i szkoła. Ta ostatnia otoczona pustym placem, w którym sterczą tu i owdzie kolki z młodemi drzewkami, innych drzew nie ma w mieście, ani nie widać na widnokręgu. W końcu znalazłem się na głównej ulicy, szerokiej, jak zresztą zawsze bywa na ziemi amerykańskiej. Lepianka przy lepiance. Słowem, stąpamy dopiero po rodzącym się mieście. Wciąż widzimy szczegóły, świadczące, że rola jest głównym źródłem utrzymania mieszkańców. Wśród trawy stoją kultywatory, z pod zielska wyglądają żniwiarko-wiązalki. Amerykanin jakoś niezbyt dbale chodzi dokoła narzędzi: nie chowa ich do szopy, lecz rzuca na słońcu i słońcie.

O dziewiątej rano. Bryczka za bryczką wiezie nas na fermę larymorską, która wraz z poblizkiem miasteczkiem i stacją wzięła nazwisko od swego dyrektora. W jednym zwartym pasie ma około 10 wiorst długości i 7 szerokości. Opodal leży inna, posiadająca o połowę mniejszą rozległość, oraz kilka jeszcze skromniejszych. Towarzyszący mi członek komitetu recepcyjnego gestykuluje żywo i usiłuje przejąć mnie podziwem dla rodzimego zakątka: oracz na polu larymorskim idzie parę mil angielskich, nie zbaczając z prostej linii i odwala w ciągu dnia tylko dwie bruzdy—w tamtą stronę i z powrotem.

Przejeżdżamy tuż obok folwarku. Kierownicy wyprawy uznali za rzecz niepotrzebną pokazać nam jej urządzenie. Bo i cóż może być tam ciekawego, powiada do mnie mój przewodnik. A jednak dla wielu z nas było by tam może sporo interesującego. Więc chociaż zdaleka wpatruję się w to cudaetwo, rozpościerające się na 40 akrach przestrzeni. Ferma wygląda na miasteczko, dachy jej barwnie czerwienieją, obrzucone promieniami słońca. Willa dyrektora stanęła opodal w świeżo zasadzonym parku. Parę piętrowych domów. Trzy olbrzymie wachlarze studzienne zlekka obracają się w powietrzu i pompują wodę. Mnóstwo długich brudno-czerwonych budynków, to stajnie dla mułów i paru koni cugowych. Obok—inne podobnie długie zabudowania, to letnie baraki dla parobków, którzy przybywają podczas robót w polu z miast, odległych o tysiące wiorst, pozostają, póki zajęcia gospodarskie nie zostaną skończone, i ku schyłkowi lata powracają na bruk miejski. Ale na tej olbrzymiej fermie nie widać spichlerzy, rów-

nie nie poświęci stodoł. Zabudowania, uchodzące u nas za niezbędne, są nieznane folwarkowi larimorskiemu!

Droga prowadzi przez krańce fermy. Pod studziennymi wachlarzami, na wysokiem rusztowaniu, stoją olbrzymie okrągłe kadzie, jakie u nas można oglądać w browarach, tuż nad ziemią długie koryta, przez które przelewa się woda—wiatru nie zatrzymasz w pracy! Pomiędzy chwastami czerwienieje jedna, druga, trzecia parowa młockarnia, około którejś kręcą się ludzie. Jak oko zasięgnie, stoją rzędem pługi, zwykle paroskibowe. Obraz przemawia do nas w sposób osobliwy. Ale wrażenie jest trudne do oddania, takie, jak gdybyśmy stali w obliczu czegoś obcego, niezrozumiałego, co trzeba dopiero sobie przyswoić i przetrawić. Najmniejszego podobieństwa do swojskich wzorów, do jakich oko przywiązało się na równinie mazowieckiej. Ferma oddycha fabryką!

\*

\*

\*

Minęliśmy fermę i znowu jesteśmy w czystym polu pomiędzy ciągnącymi się bez końca ścierniskami. Tylko na dalekim widnokręgu zwolna porusza się, na pierwszy rzut oka zdawało-by się, iż nieruchomie stoi,—pasma czarnych plamek, niemal zlewających się z sobą. To bateria żniwiarko-wiązałek, czekająca naszego przybycia, aby wgodznie uprzątnąć pole kilkułukowej rozległości.

Wreszcie jesteśmy na miejscu. Olbrzymi łan pszenicy faluje przed nami, wzdłuż jego krawędzi poruszają się żniwiarko-wiązałki jedna za drugą, każda zaprzęzona w trójkę mułów. Furman rozparł się na fotelu w górze nad nią. Urzędnicy folwarczni i członkowie komitetu recepcyjnego udzielają objaśnień. Aż 45 automatów tnie stojący przed nami mur pszenicy, pracuje zaś w polu z górą półtorysetki mężczyzn, to jako furmani, to znowu jako piechurzy, chodzący około snopów i spełniający inne czynności. Taka bateria żniwiarek została wystawiona wyjątkowo, tylko na nasze przyjęcie. W codziennym zaś biegu bywa rozdzielona na parę mniejszych partyi, po 10, najwyżej 15 maszyn, a to dlatego, ażeby, kiedy jedna ulegnie chwilowemu zniedołężnieniu, inne nie potrzebowały się zatrzymywać i oczekiwać w bezczynności, zanim nadwreżony automat będzie wydalony z szeregu. Pomiędzy piechurami uwija się konno kilku oficerów tej armii rolnej,—to mechanicy z narzędziami. Skoro któryś z taranów, uderzających w zwarty mur pszenicy, zapotrzebuje naprawy, wycofują go wtedy i mechanik pośpiesza obejrzeć źle funkcjonujący organ. Wóz jeden i drugi. Na każdym beczka z wodą dla orzeźwienia pracujących i mnóstwo olbrzymich mot-

ków grubego szpagatu, które, wstawiane do żniwiarki, dostarczają wiązadła do snopów.

Stojąc z bliska, o kilkanaście kroków od działającej baterii, doznajemy osobliwego wrażenia. Te, które znajdują się wprost przed okiem, odróżniam przewybornie. Dalej—w jednym i drugim kierunku—perspektywa zmniejszyła rozmiary automatów i zwężyła odległości pomiędzy nimi. Jeszcze dalej wolne miejsca zupełnie znikają i widzimy ciągle a zwarte pasmo, malejące w swojej grubości. Jedynie prążki białe i czerwone, przeplatając się systematycznie, pozwalają odróżnić, gdzie kończy się jedno, a poczyna następne ogniwo tego rzędu. Później białe zostają przysłonięte, jeszcze dalej dzieje się to samo z czerwonymi, górne grabie zlewają się nawzajem, ludzic zostają przykryci. Pozostaje się pas czarny, nad którym niekiedy, niby stal, błysną na słońcu któreś z obracających się grabi. Od czasu do czasu, tuż nad samą ziemią, coś żółtego się zgromadzi, aż wreszcie zostaje wyrzucone i pozostawione na polu—w jednym, drugim i dziesiątem miejscu. To żniwiarka wyrzuca z siebie kilka związanych snopów, kiedy jadący na niej furman zakręci korbę, a każda pozostawia snopy na tej samej linii, idącej prostopadle do łańca pszennego. Przypomina mi się opowieść ukraińska o bajecznym smoku, który stępy zorał; bo jakby olbrzymi wąż opasał niwę i zwolna czołga się dokoła obrusa pszennego. Składa się on z ogniwi, powtarzających na sobie te same barwne prążki. Na jego karku, nad każdym pierścieniem, usadowili się śmiałkowie i popędzają leniwe zwierzę. Smok złości się i wypłwca żółte snopy, posuwa się zwolna dalej i dalej, zagina się na skręcie i wywija w powietrzu ssawkami-grabiami. Osobliwy nastrój ogarnia widza, który stanął po raz pierwszy w obliczu takiej baterii! Ów smok pełzający, powtarzające się pierścienie i prążki, te trupy snopów, w prawidłowej odległości wyrzucone całym kopcem, tłumy robotników, krzątających się w polu, dziwnie przemawiają do wyobraźni.

\*

\*

\*

Wspominaliśmy, że wystawienie na jednym polu takiej olbrzymiej baterii zdarza się wyjątkowo. Skutki tego oglądamy obecnie. Co kilka minut któraś ze żniwiarek ulega chwilowemu zepsuciu i cały szereg idących za nią automatów musi się zatrzymywać. Krnąbrnemi się zawsze okazują organa, wiążące maszyny, to też na wystawie spostrzegłem, że fermer przedewszystkiem bada tę część żniwiarki. Sznur się zamotał, a już staje ona i przez parę minut wstrzymuje w działalności swoje towarzyszki, zanim zostanie wycofana. Z góry niepodobna

przewidzieć, ani w jakiej odległości żniwiarki winny iść po sobie, ani w jakiej liczbie najkorzystniej będzie je wysłać na pole. Fermer pozna je zasady tej strategiki z doświadczenia.

\*

\*

Nasz wąż przybiera kształty rozmaite. Teraz przegnaliśmy go i patrzemy z tego boku, który grabiami zamiata zboże do licznych jego gardzieli. Wyciągnął się przed nami w jednym kierunku. Jedyne poeta ujął-by odbierane wrażenie we właściwe wyrazy i udzielił-by ich w całej pełni czytelnikowi. Ale jeżeli zgięty kark kobiety, idącej z sierpem, lub pot, spływający rzęsicie z czoła kosiarza, znalazły swoich piewców, to natomiast nowoczesne żniwa, dokonywane przy pomocy żelaznych brzytw, uprzątających zboże, żelaznych rąk, wiążących je, i wreszcie żelaznych potworów, co wymłócają ziarno, oczekuje swoich poetów, którzy-by oddali urok, tkwiący w krajobrazie niezmiernych przestrzeni złotego morza, smoków je opasujących, mrowiska ludzkiego, poruszającego się na polu. Niepodobna oczu oderwać od zagarniaczy-grabi, obracających się jednocześnie w kilkudziesięciu miejscach młynkowato. Upstrzony z tej strony białymi centkami, smok płynie, machając skrzydłami, jeszcze dalej perspektywa płące z sobą i zlewa te loty, słońce zaś obsypuje je iskrami. A posuwa się on z lekka przekrzywiony, bo każda następna maszyna ima się, swemi zębami zboża o parę kroków głębiej w morzu pszennem.

Pole ma milę kwadratową (miary angielskiej) i dźwiga na sobie, jak wszędzie w północnej Dakocie, pokrycie z jarej pszenicy. Zmniejsza się ono dotykalnie w naszych oczach. Smok pożera je i przerabia na snopy. Obecnie połać pszenna do tego stopnia zmalała, że czółga się on już zgięty raz jeden i drugi, niemal, że obwinął się cały dokoła pola. Otrzymywane wrażenie staje się coraz różnobarwniejszem. Tuż przy mnie uwija się z górą setka żniwiarzy, mechanicy pędzą konno to w jedną, to w drugą stronę i głośnie dają rozkazy, bateryc maszyn iskrzą się na słońcu i uderzają o zboże swojemi ramionami bez liku. Po-bojowisko rośnie. Oko biegnie po-nad stojącą pszenicę i, jak daleko zasięgnie, nie nie spostrzega, prócz ścierniska z trupami. Lekki błękitnawy całun rozpościera się nad niemi, i im głębiej zapuszczamy wzrok swój w przestrzeni, tem mocniejszej nabiera barwy. Tam, na widnokregu, ściele się czarnym słupem dym. To pracnje parowa młockarnia. Wpatruję się uważniej i spostrzegam kilka takich ciemnych obłoczków, tuż bujących nad ziemią. Wiek pary i wiek żelaza rozpostarł się w rolnictwie! Przyroda pokazuje swoje siły w innem świetle, aniżeli

na swojskiej niwie, na której oko ma przed sobą szachownicę pstrokatą drobnych, a różnem zbożem zasianych pól i niewielkie gromadki robotników, poruszających się na każdym takim kawałku i pracujących przy pomocy pradziadowskiej kosy i sierpa. I nawet psychologia duszy ludzkiej w takim otoczeniu układać się chyba musi w mozaikę odmiennych stanów i wykwitać innemi ideami.

Nie znam nic rozpaczliwszego nad ponurą melodyę hymnu *Dies illa, dies irae*. Co za wstrząsająca bojaźń i niezmierna bezsilność dźwięczą w każdym tonie tego posępnego śpiewu! Hymn ów stanowi, mojem zdaniem, i stanowić będzie najwybitniejszy płód artystyczny duszy pierwotnego rolnika, zależnego od zmienności przyrody, wystawionego na jej wybryki, a bez środków zapobieżenia klęskom głodu. Przyroda jest tak wszechmocną, a siły człowieka tak nikłe! Potęgi przyrodzone wyrastają na coś potwornie wszechwładnego. Nieustający jęk i rozpaczliwa niemoc bez miary stanowi zasadniczą melodyę świętej uroczystości węzów, której przeznaczeniem u Zuniów jest wybłagać łaskę niebios i dobry urodzaj! Z takiego też źródła wytrysnął śpiew „dnia onego, dnia strasznego.” Tymczasem tutaj, na niwach Dakoty, w obliczu tego smoka, na którego karkach usadowili się ludzie, na widok tych niezliczonych snopów, które z siebie wyrzuca pojedyncze ogniwo skrętu węzowego, i elewatorów, które każą się domyślać ukrywającej się za niemi sieci kolejowej, obawa taka pierzcha. Człowiek jest świadom swojej siły i strząsnął z siebie troskę głodu. Nie lęka się kaprysów przyrody. Wyzuł się z dawnej cierpliwości barbarzyńskiego rolnika, nieodłącznej od kopania ziemi motyką lub brózdzenia jej prostą sochą. Ów dojeżdżacz, który rozsiadł się na fotelu żniwiarki i porze łono ziemi cudackimi plugami parowemi, wydobydzie z swojej duszy różne hymny religijne, lecz w nich nie będzie łkania i rozpaczy „dnia strasznego.”

\*

\*

\*

I wogóle usposobienie człowieka, jego odpoczynek i zabawy, poczynają już dzisiaj wyglądać w stepie pszenным odmiennie. Pracuje on tam innemi organami, i inne wrażenia mięśniowe wstępują do świata jego emocyi. A to nie może pozostać bez skutków. Śpieszna praca naszych żniwiarzy, którzy od wschodu do zachodu zgięci nad sierpem posuwają się zwolna wśród skwarów, wywołuje w całym organizmie szczególne zmęczenie. Wieśniak rzucił-by się na ziemię, leżał-by tam godzinami bezwładny, rad, że nie porusza spracowanemi mięśniami. Kiedy więc po wysiłku tygodniowym nadejdzie chwila odpoczynku, daje folgę temu instynktowi. Jego towarzysz dakocki nie schyla karku,

ani nie napina swoich mięśni. Siedzi na koźle i pracuje natomiast zmysłami wzroku, przede wszystkim zaś słuchu. Ma przed sobą jedynie muły, za sobą zaś cały mechanizm żniwiarki, a zatem jej zęby, ścinające zboże, jej ramiona, wiążące słomę, jej narzędzia, wyrzucające snopy. Tylko uchem chwyta zgrzyt paszczęki i szmer wiązadła i z ich prawidłowości sądzi, czy automat działa normalnie. Każde zepsucie daje znać o sobie w ten sposób, że targa tak lub owak, gamę zwykłych dźwięków. Po dniu pracy schodzi z fotelu z przytępionym słuchem i zmordowanym wzrokiem, ale z mięśniami, domagającymi się wysiłku po wielogodzinnej bezczynności. Dodajmy, że inaczej się karmi, mięso stanowi bowiem podstawę jego odżywiania. Emocje jego muszą wyglądać nie tak, jak u naszego wieśniaka, i posiadać inne łaknienia. Jak on reaguje na wrażenia świata zewnętrznego, jakie żądze w nim górują, jak się bawi i nawet w jaki sposób zaleca się dziewczynie, o tem nic a nic nie umiem powiedzieć, ale przeczuwam, że we wszystkim różni się od swojskiego parobka! Są to przedstawiciele dwóch odmiennych formacji rozwoju społecznego.

K. R. ŻYWICKI.

(Dokończenie nastąpi.)



---

# NA OSTRZU PIÓRA.

---

## I.

### Pracownia.

Jak poetę w jego ojczyźnie, tak malarza w jego pracowni poznać trzeba. Bystre oko znajdzie tu mnóstwo wskazówek, silniej nieraz znamionujących indywidualność artysty, niż ją znamionują same nawet jego obrazy. Stopień intelligencji, temperament, aspiracye, kaprysy, znajdują tu swój wyraz mniej więcej dobitny, niekiedy nader silny, czasem zgoła ulotny, który wszakże da się pochwycić i zadokumentować. Pracownia malarska to czasem salon, czasem cela mnisza, czasem bazar, a czasem fabryka. Artysta ani wie, jak się to stało. On wchodzi w te progi, żyje tu, przebywa, myśli, czuje, tworzy, a dokoła niego staje się coś, co jest jakby odbiciem tego życia, tej twórczości, tych myśli, tych uczuć, słowem—tego zjawiska, jakim jest indywidualność ludzka. Zjawisko to tworzy niekiedy doskonałą jedność. Artysta i człowiek stapiają się z sobą tak zupełnie i w tak silnej występują spójni, iż jedność ta odciska się jako taka na całym otoczeniu, tworząc rys otoczenia tego naczelny, nadając mu charakter doskonałego zharmonizowania, typ wysoce szlachetny i pociągający.

W tym wypadku zadanie obserwatora jest ułatwione niezmiernie. Jedność punktu widzenia pozwala mu operować linią prostą, otwierającą przed nim perspektywę głęboką, powietrzną, w której tak postać

samego artysty, jak i otoczenie jego występuje w całej czystości kształtów i barw swoich.

Nic prostszego, nic bardziej naturalnego, jak taki doskonale zrównoważony artysta-człowiek, przyjmujący cię w swojej pracowni. Ze spokojem pokazuje ci on obrazy swoje; o zaletach ich i brakach mówi pogodnie i beznamiętnie; ma w sobie naiwność szczerego artyzmu, prostoduszność wiary w sztukę i naturalny, samorozgrzewający się zapał. Nie czyni on z momentów twórczości swojej i ze swojej pracowni—tajemnicy: jest on jeszcze Grekiem z czasów Peryklesa. Nadewszystko jest, czem jest, a innym wydać się, niż jest, nie przychodzi mu poprostu do głowy.

Zjawisko to, tak szlachetne i pociągające, rzadkiem wszakże bywa. Artysta i człowiek w dziewięćdziesięciu dziewięciu na sto wypadków jedności takiej nie stanowią. Jeden drugiego zasłania, jeden drugiemu w drodze staje, jeden drugiego fałszuje, świadomie, lub nieświadomie. Niekiedy jest to walka, a niekiedy współka. W młodych latach, w początkach artystycznego zawodu, częstszem zjawiskiem jest walka; po niej dopiero następują kompromisy i ustępstwa, będące podstawą współki. W pierwszym stadyum oba żywioły miewają chwile przewagi; zapewnia im je już ta sama okoliczność, że mogą stanąć do walki, że są jakąś mierzącą się z czemś odrębnem od nich siłą. W drugim stadyum na powierzchni utrzymuje się przeważnie człowiek razem ze swoją praktycznością, swoją próżnością i tem wszystkim, co jest negacją szczerego artyzmu. Utrzymuje się, ale okazać tego nie chce; owszem, chodzi mu o pozory przegranej. Wysuwa tedy artystę naprzód, pcha gwałtem, za włosy niemal ciągnie na pierwszy plan i na widne miejsce. Ale korzyść z tego nowego, a tak forsownie wytworzonego stosunku, jest pozorna tylko. Często żadna. To bowiem, co w walce uległo, co na kompromis przystało, co paktowało i we współkę weszło, już przez sam fakt paktowania tego i tej abdykacji z dobrych praw swoich, zubożone być musi i upadłe w sobie. Abdykujący artyzm, jeśli nie przechodzi na oko do wielkiej rzemieślniczej armii, to dlatego tylko, że przezorny współnik nie zdiera mu z grzbietu jego apolliniskiej szaty, wiedząc, iż mu w niej lepiej służyć będzie; kładzie mu tylko na szyję postronek. Ten charakter, a raczej ten brak charakteru w twórczości samej, odbija się i w pracowni także. Cokolwiek czyni *człowiek*, aby nam w niej *artystę* pokazać, pierwsze miejsce zajmuje — tapicer. Stąd ta cała zbanalizowana do ostatniej nitki dekoracyjność pracowni; stąd te melancholiczne, nieodpowiadające żadnej istotnej potrzebie półzmkroki; stąd te omdlewające pozy sprzętów, ta gonitwa za efektem, te nieuniknione kotary, te obowiązkowe niemal dzbany i misy, stąd to podobieństwo bliźniacze pracowni takich: w Warszawie,

w Rzymie, w Monachium, w Paryżu, czy w Wiedniu. Stąd także podobieństwo ich do salonów lub do buduarów; stąd taka ich pospolitość, że można-by do nich, zamiast stalug i obrazów, wstawić natychmiast oszklone szafy z damskimi kapeluszami, a wszystko było-by w porządku. Malarz, który cię w pracowni takiej przyjmuje, chce być uprzedzony o twojem przybyciu. I on bowiem, i pracownia jego mają chwile duchowego negliżu, w których widzialni nie są. Tapicer był, lub tapicer nie był: oto co decyduje o tem, czy masz wejść, czy czekać. Wszedłszy, spostrzegasz natychmiast, że całe staranie zwrócone jest na stronę dekoracyjną, mającą olśnić profana. Pełno tam niespodzianek, rzeczy zawadzających w ruchu, niepotrzebnych; pełno fraszek, cacek, stroików. Jak w zbyt tłusto przyrządzonej potrawie, jest za zwyczaj tej okraszy pseudo-artystycznej więcej, niżeli dobry smak znieść może. Dziwna rzecz przecież! Malarz zaczyna niemal rozmowę od zwrócenia uwagi twojej na to, że pracownia jego jest nie dość ozdobna, nie dość udekorowana, albo też wprost mówi, że urządzenie jej jeszcze jest niewykończone. Patrzysz, słuchasz, i przypominasz sobie, że już to wszystko widziałeś gdzieś i słyszałeś. Nie mylisz się! W jednej, dwóch, trzech, w dziesięciu pracowniach zawadziłeś nogą o taki sam stolik z japońszczyzną, potknąłeś się o takiż makartowski bukiet, zahaczyłeś o takiż sam parasol chiński i zaplątałeś się w tak samo zwieszoną draperyę. Co gorsza, w jednej, dwóch, dziesięciu pracowniach słyszałeś punkt w punkt to samo, pełne udanego zakłopotania, zdanie o niewykończonem urządzeniu tego muzeum osobliwości, wśród którego artysta odgrywa rolę... Barnuma.

Widziałam cztery gołe niemal ściany, wśród których stał mistrz, jak gdyby w świątyni; widziałam też bombonierkowo strojne, tysiącem fraszek zapchane pracownie, w których brak jeszcze jednej kokardki, jeszcze jednej fałdki, jeszcze jednego gwoździka, wprawiał malarza w takie zaambarasowanie, w taki niehumor poprostu, w jaki zaledwie podżyła elegantkę niewykończona toaleta wprawić może.

Więcej powiem: w pracowniach takich same nawet obrazy traktowane są jako część dekoracyjna całości. Pełno przy nich festonów, kotar, dyskretnie i półdyskretnie uchylonych zasłon. Sam też artysta nie umie się utrzymać w roli twórcy, ale co chwila zapada w rolę impresaryja. Do płócien swoich przyczepia daty, imiona, fakta osobliwe, zręczne anegdoty, co wszystko jest reflektorem, zręcznie zwróconym tak, aby pełne światło padało na wielkość malarza. To, że reflektor taki wskazuje przedewszystkiem małość jego, to mu nawet nie przychodzi do głowy. Ale ty widzisz ją, tę małość, i jest ci smutno. Pierwszą niemal cechą, jaka się rzuca w oczy zwiedzającego pracownię malarską, jest stopa dobrej wiary i szczerości samego malarza. Nie

poradzi na to żadna hypokryzja i żadne udanie. Prawda i fałsz wypowiadają się z całą bezwzględnością rzeczy istotnych i nieznoszących maski.

Artysta równie dobrze wie, jak my to wiemy, że w miarę, jak w pracowni swojej przebywa, żyje w niej i tworzy, coś się dokola niego staje, co jest życia tego skryształizowaniem. Rzadki ten, ktoby na takim biernym, a przecież istotnym i bezpośrednim wpływie indywidualności swojej na otaczający go środek poprzestał.

Większość chce, a co gorsza, próbuje nawet, w tem stawaniu się zaprowadzić z góry obmyślany ład i porządek. Chce jedno zaakcentować, drugie zostawić w cieniu, a jeszcze trzecie, którego tam wcale niema, udać, lub z zewnątrz wprowadzić, już to jako motyw naczelny, już to dodatkowy.

Ale zamiast skutków tych usiłowań, występują na jaw usiłowania same. A wtedy między pracownią i artystą powstaje rozstęp, który po wręby wypełnia się sztucznością.

Tam, gdzie artysta szczerem jest sam z sobą i z otaczającym go światem, wszystko jest żywe, mówiące, bezpośrednie, przejęte nawskróś jakąś pierwotną siłą, która się na nas wywiera nieprzeparcie, koniecznie i w niezapomniany sposób. Może być tej siły mniej, może być jej więcej, wystąpi ona wszędzie, gdzie jest, jako pierwiastek samoistny, dający się ująć i odczuć w swej żywej prawdzie; gdzie wszakże szczerości tej niema, tam z każdego kąta wygląda szablon i maniera.

Niekiedy przecież pozostaje artyście ten stopień szczerości z samym sobą, który mu pozwala nieszczerześć względem otoczenia dostrzegać i sądzić. Wybitną cechą natur takich jest próżność, a często ślepe hołdowanie modzie jakiejś, czy doktrynie w sztuce, oraz względy na jej utylitaryzm i praktyczne kwestye życia. Bywa to czasem komiczne, ale bywa i tragiczne także. Tragiczność polega na świadomem fałszowaniu własnej indywidualności artystycznej, własnych ideałów. Komiczność leży w ciągłej oscylacji między przeświadczeniem, że patrzący nie poznaje się na sztuczności zjawiska i że mu ono imponuje, a bezustanną obawą, aby się coś w tej sztuczności nie popsulo, nie zdradziło sprężyn. Że sporo musi być przytem — u najlepszych przynajmniej — „plucia we własną duszę“, jak mówią u nas wielbiciele i naśladowcy Strindberga, tego się domyslić łatwo. Na szczęście okazya do tego dosyć rzadką bywa. Była-by częstszą, gdyby nie fakt, że artysta, już to skutkiem doświadczenia, już instynktem wiedzion szczęśliwym, pracownię swoją dla zwiedzających o ile może zamyka, co równie dobrze służy i tragicznej, i komicznej stronie całej kwestyi.

Zdarza się, że pomiędzy pracownią a malarzem jest związek jakby przygodny. Malarz przychodzi do pracowni, jak się przychodzi

do biura, do klubu, do warsztatu, przebywa w niej tyle a tyle godzin dziennie, ale w niej nie żyje. Nic też z ciepłych technień życia w murach tych nie zostaje. Umyślnie mówię tu: *malarz*. Wprost nie chcę powiedzieć: *artysta*. Z prawdziwym bowiem artystą, czy to mniejszej, czy większej miary, wypadek podobny nigdy się nie zdarza. Taki, choćby na godzinę tylko, choćby na kwadrans jeden do pracowni wpadł, już w niej żyje. Żyje w niej, to znaczy myśli w niej o pięknie, miłuje piękno, pragnie i pożąda piękna i, choćby nie tworzył, jest twórcą. Jego pracownia, zwiedzana pod niebytność jego nawet, zachowuje w wysokim stopniu temperaturę żywej ludzkiej duszy. Czujesz, że człowiek wyszedł, ale ukochanie swoje, dech piersi swoich, tu zostawił. Czujesz, że tu mieszka duch, że człowiek tu z nim narady swoje ma, głosów jego słucha, piórom jego unosić się daje.

Jest to zjawisko zupełnie od tego niezależne, czy artysta pracownię swoją upiększa, czy ją zaniedbuje. Do gołych murów przylega to równie mocno, jak do gobelinów; ale gobeliny nie zastąpią gołym murem — ducha. Tu najbliżej, bezpośrednio niemal stawia się kwestya różnic między pracownią, w której obrazy powstają z samorzutnego pędu artystycznej twórczości, a pracownią, w której są malowane na tak zwane „zamówienie.“

Stopień inspiracyi jest oraz stopniem duchowej temperatury danej pracowni. Są pracownie głośniejsze mówiące o nabywcy obrazów, o interesach i upodobaniach jego, niżeli o samym malarzu. Mimo wszelkie pozory artystyczne, robią one wrażenie doskonale urządzonych fabryk, w których specjalizacya i wyrobienie przymiotów techniki są bez zarzutu, ale gdzie dusza ludzka, Psyche, zepchniętą jest na plan ostatni: czasem zgoła wypchniętą za drzwi. A co tam po niej, proszę? Pracownie takie należą zwykle do „firm“ ustalonych. Nie odbieram im tej nazwy, trącającej kantorem i podwójną buchhalterya kupiecką. Podwójną, tak jest, niestety!

Mają te „firmy“ zawiłe rachunki tak z aspiracyami swemi, jak i z „artystyczną karyerą“ swoją. Kto wie, czy to wyrażenie, „artystyczna karyera“, nie od nich wzięło początek. Ścisłe bowiem rzeczy biorąc, dwa te słowa nie powinny w dobrym porządku stać nigdy obok siebie. Artystycznej karyery zgoła być nie może. Artyzm jest artystem, karyera karyerą. Łączenie ich jest jednym z tych konwencyonalnych kłamstw, na gruncie dualizmu zrodzonych, które stąd urosły, że człowiek chciałby i miskę soczewicy zjeść, i prawo starszeństwa zatrzymać. Ale te rzeczy wręcz przeciw sobie postawione są i nigdy pogodzić się nie dadzą.

Czuje to sam gospodarz pracowni i mówi o swoich obrazach tak właśnie, jak kupiec o swoim towarze. Ten obstalowany przez tego

tanten przez owego, ten trzeci jeszcze przez kogoś innego, zamówiony czy obstalowany. To płótno ma być wysłane tam a tam, to znów powróciło stamtąd a stamtąd, to trzecie wykończy się na taki a taki termin. Wszystko to się mówi z powagą, z impozycją nawet. „Firma“ wprost sama sobie imponuje powodzeniem własnym, a cóż dopiero profanowi!

Istotnie, słuchając takich objaśnień kupieckich pierwszej albo drugiej gildyi, czujesz się upokorzonym, pobitym, unicestwionym. Przyszedłeś do artysty, szukałeś tajemnic twórczości w jej przybytku, a trafiłeś na targowisko tego obojga: artyzmu i twórczości.

Niekiedy w takiej firmowej pracowni spostrzegasz w kącie gdzieś zapomniane, zapyłone płótno, na które patrzysz chciwie, mimo że sam artysta wzrok od niego odwraca.

Co to jest?

To kawałek młodości jego, cząstka duszy z owych czasów, kiedy mu się jeszcze nie kłaniali skontraktowani nabywcy obrazów, kiedy tworzył pod tchnieniem własnego porywu temperamentu i niczem niekrępowanej swobody, kiedy nie był jeszcze mistrzem tego lub owego szablonu.

Zdarza się wszakże, iż po takie leżące w kącie płótno artysta sięga sam z pobłażliwym uśmiechem. On ci je pokazał, jako punkt zgubiony het precz w dalekiej przestrzeni, od którego, patrz, do jakiej dobiegł mety!

Ale raz wzięwszy je w ręce, zapomina o tobie i sam się w nie wpatruje. O czem myśli? Oblicza on może, ile kosztował go patent na firmę pierwszej, albo drugiej gildyi.

Powiedział ktoś, że do świątyni sławy każdy wejść może, tylko razem z kaloszami i parasolem zostawić należy u drzwi, jako „entrée“, — drobnostkę — życie. Ale i do świątyni wziętości otwarta wszystkim droga; zostawia się tylko u drzwi — niezależność.

Jeżeli spojrzenie, na obraz ów zwrócone, zamgli się tęskną rzewnością, jeśli chłodny uśmiech ust przybierze wyraz oczarowania, „firma“ nie jest dość solidną, a w pracowni dziś, jutro, przyjsć może do takiego skandalu, że artysta do dyabła odesła koncesyonowanego nabywcę swego stu pięćdziesiątego, na jeden temat malowanego i po wszystkich wystawach świata aż do obrzydzenia spopularyzowanego, obrazu, a namaluje coś, o czem nawet wiedzieć nie będzie, czy to kto kupi, czy nie kupi, namaluje coś z duszy.

Taki gotów się zgubić dla cienia dawnej swobody.

Dla cienia tylko. Ona bowiem sama, z boską siłą swych wzlotów, z czarodziejską mocą swych natchnień, raz porzucona, nigdy już nie wraca. Jeszcze ów obraz malowany „z duszy“ nie wyschnie, a już ar-

tysta będzie rozcierać farby do takiej-to a takiej wielkiej kompozycji, dla takiego-to a takiego wielkiego kunsthändlera.

Ale prawdziwie ustalona i renomowana firma nigdy się na podobne dygressye nie puszcza. Ona często nie czuje nawet zależności własnej i dochodzi do takiego punktu filozofii życiowej, na którym pewną jest, że sama chce tego, czego chce skonstruktowany nabywca obrazów. Tego samego, jako temat, jako rodzaj, jako format nawet.

I to jest ten błogi stan artystycznego kwietyzmu, w którym żyje się długo i dostatnio, coraz więcej zacieśniając zakres potrzeb ducha, a coraz więcej rozszerzając zakres popularności i tresury swojego talentu.

Mówiliśmy o pracowni zamkniętej. Dwojaka bywa przyczyna zamknięcia takiego. Albo krańcowa obojętność na to, co powiedzą ludzie, albo krańcowa drażliwość na tenże wzgląd właśnie.

W pierwszym wypadku śmiało twierdzić można, że artysta przerósł człowieka. Przerósł go albo na całą wysokość aspiracji swoich, twórczego pędu i górnego celu, albo też na całą szerokość niepohamowanej fantazyi oraz wybujałego indywidualizmu, który wszelkie względy potocznego życia pomija, odrzuca, wyklucza, i w olimpijskiem nie-dbania o nie znajduje wyraz dla lotności i rozprężliwości swojej.

Świadomie, czy nie, główną rolę odgrywa tu arystokratyzm ducha, przeciwstawienie siebie temu, co się nazywa tłumem, subiektywizm, wypaczony nieraz w chorobliwe dziwactwo, to prawda, ale, bądź co bądź, oparty o tę siłę, jaką daje wyzucie się z zależności od ludzkiego sądu.

Dwóch rzeczy trzeba — mówi filozof — aby przejść świat cały: nie lękać się śmierci i nie dbać o to, co powiedzą ludzie. I to jest wielka prawda.

Zjawisko duchowej, szczerze artystycznej niezależności imponuje zawsze, wtedy nawet, kiedy miara talentu nie jest najwyższa. Ono nam imponuje przez wygraną, jaką artysta odniósł nad człowiekiem, przez oddanie się — bez zastrzeżeń — sztuce i jej prawom, przez te rycerskie śluby, które, choćby przypominały czasem Don Quichota, dalekie są od powszedniości.

Jakiegokolwiek byłyby dziwactwa i nietakty, jakie popelni tak ujarzmiony i za wozem tryumfalnym artysty idący człowiek, zjawisko będzie zawsze niezmiernie ciekawem, a często podziwu i zazdrości godnem.

Gdy się do takiej zamkniętej pracowni dostaniesz, poznasz natchmianem, czy artysta przerósł człowieka na wysokości aspiracji swoich, czy na szerokości fantazyi.

W pierwszym wypadku będzie pracownia albo całą mniszą, albo świątynią, wzniesioną znanemu, czy nieznanemu, Bogu; w drugim — świątynią wzniesioną samemu sobie.

W pierwszej artysta zaciera się i ginie; w drugiej wypełnia i roz-piera niemal ściany wybujałą indywidualnością własną.

W pierwszej jest artysta ofiarnikiem tylko, często nawet ofiarą; w drugiej — bóstwem samem.

W pierwszej panuje mistycyzm, w drugiej — panteizm. W pierwszej czuć myrrę, w drugiej — haszysz.

Mistrz, przyjmujący cię w pierwszej, mówi o dziele swem z cicha, tajemniczo niemal, jakby o czemś, co się przez niego wprowadzie, ale siłą czegoś po-nad nim bytującego staje. Objektywizm jego jest zupełny. Podziwiasz go? Nie spostrzega tego. Chwalisz? Nie rozumie ciebie.

Gdy mówi, spojrzenie jego spoczywa na tobie ulotnie, jakby wywołane z innego świata; niekiedy nawet wzrok jego pomija cię i zagłębia się w przestrzeni, która zdaje się rozszerzać do nieskończoności przed tą źrenicą lekko drżącą, przejrzystą, skłoną zarówno do przenikliwych rzutów, jak i nagłych osłupień.

Dzieła swego nie tłumaczy ci jak profanowi, ale jak wtajemniczonemu. Nie przypuszcza nawet, żeby ktoś mógł być obcy tym rzeczom, które dla niego mają prostotę zjawisk wprost życiowych; nie mówi też obficie, obrazowo, kwiecisto, i nie rozporządza żadnym plastycznym, podkreślającym pewne intonacje, gestem.

Prosty, cichy, sztywny nieco, rozmawia napomknieniami niemal; uśmiecha się jeszcze niekiedy, ale znaczenia uśmiechu dawno już w samotności swej zapomniał. Nie jest ci nie rad; ale czujesz, że wołał-by być sam, i po prostu zły na siebie jesteś, wstyd cię, żeś go tu podpatrywać przyszedł w jego pustelni.

Niezręczny zarówno w ruchu, jak w mowie, niezupełnie wie, czy ma stać, czy siedzieć, często też zabrnie w jakieś zdanie, którego dokończyć nie umie. Ma w sobie rozbrajającą naiwność prawdziwej wielkości, która dziwi się, że jest przedmiotem czyjegoś podziwu. Rzeczy głębokie i górne tak mu są poufałami, że do określenia ich używa najprostszych i leżących pod ręką wyrażeń. Jest to opętany aniołem Auhelli: duch więcej niż człowiek.

Mistrz, który cię przyjmuje w pracowni drugiego rodzaju, zaznacza przedewszystkiem, że czyni to wyjątkowo tylko. O obrazach swoich mówi także mało; za wytworny jest na to, żeby odegrywać rolę Cicerona. Mówi natomiast o kierunkach sztuki, a jeszcze chętniej o kierunkach filozofii, w której sferach obraca się poufałe. Jest dyletantem życia, trochę epikurejczykiem, trochę stoikiem, w tem, co stoi-



cyzm ma arystokratycznego w sobie. Pracownia jego nie jest świątynią piękna, a jej zadaniem jest wytwarzać atmosferę piękna, która jest przyrodzoną atmosferą mistrza. Otacza się on nią i sam jest jedną z jej składowych części.

Ma dużo książek, gdyż chociaż lubi myśleć, myśl jego, roślina dość wątła, potrzebuje podpórek i pobudzeń z zewnątrz. Jest to umysł kombinujący, lecz nie konstruktywny.

Skoro ci raz drzwi swoje otworzył, jest ci rad szczerze; właściwie jemu samemu tęskno trochę do ludzi, lecz się boi otrzeć o pospoliczność jaką i przeto ich unikać woli. Jak w umyśle jego, tak w urzędzeniu pracowni panuje eklektyzm; wszelka jednolitość i bezwzględna stylowość zbyt była-by krępującą dla niego. Pracownia jego nie przybiera przecież nigdy cech bazaru: co najmniej jest to muzeum. Różną wartość mają tam przedmioty: ale nie są z pośród nich wyłączone i takie, które mają tylko wartość pamiątek. Czy pamiątek osób? Bynajmniej: pamiątek stanów psychicznych, nastrojów samego mistrza. Jego własna psycha jest bóstwem tego kościoła.

W rozmowie, naprzemian naiwny i paradoksalny, przeskakuje z przedmiotu na przedmiot z tą ujmującą i pełną wdzięku łatwością, jaką mu daje elastyczność, właściwa jego rozprężliwej i lotnej fantazyi. O realne fakta rzadko w rozmowie takiej zawadza: operuje abstrakcjami i w nich dopiero obraca się z całą swobodą. Nie jest fanatykiem żadnego kierunku w sztuce: czasem wynika to z powierzchowności pojęć, z braku głębi przekonań, częściej z obojętności jego dla ludzkich walk i usiłowań.

W samotności swojej nie po to się zamyka, żeby być sam na sam ze sztuką, lecz po to, żeby być sam na sam z sobą. Czasem także z ulubionym poetą, albo myślicielem. Do ludzi nie ma wstrętu; tylko, że się nie czuje pociągniętym do nich. Drażliwy na harmonię głosu, na dźwięczność słów i wytworność ruchów, lęka się wszelkiego jarmarczego zgiełku, wszelkiego przepychania się przez świat łokciami, wszelkiej hałaśliwej reklamy, która jest zawsze pospolitą. Mógłby nie malować nawet, a był-by i tak artystą. Często też, obok malarstwa, uprawia muzykę.

Kiedy mówi o obrazach swoich, nie tyle kładzie nacisku na dzieło samo, ile na psychiczny nastrój, w jakim je tworzył. Nastroje—to jego dziedzina.

Jeśli tworzenie dało mu artystyczną rozkosz, mniejsza, jak wypadło dzieło. Zawsze uważny na subtelną, nieustannie wibrującą wrażliwość duszy własnej, lubi sobie uświadamiać jej każdo-chwilowe stany i w tem właśnie może leży tajemnica twórczości jego, krytycyzm jego,

jego analiza, nie sięga przecież nigdy aż do dna tej duszy, do tych rudymentów, które-by musiał znaleźć wspólnemi z instynktami i popędami tłumu. Zniósł-by raczej pełnięcie nożem, niż owo Diderotowskie „moralne klepanie po ramieniu”, to poufalenie się natur pospolitych, szorstkich, codziennych. Mówiąc o sztuce, miewa dreszcze kobiety nerwowej; mówiąc o życiu—uśmiechy sfinksa; mówiąc o ludzkich sprawach—wzgardę bożka.

Ze znajomości z tobą nie mu nie przyjdzie, ale chciał-by cię oczarować, przykuć, urzec, wyrzec na ciebie coś z tej siły, która jest poezją jego. Na co mu to? On sam nie wie. Potrzebuje czarować i oczarowaniom ulegać—oto cała tajemnica tej istoty kapryśnej, wykwintej, w dyssonansach nawet zharmonizowanej, którą pospolitość ludzi i stonków ludzkich na samotność niejako skazuje.

Inaczej wszakże się dzieje, jeśli zamknięcie pracowni pochodzi ze zbytnej drażliwości na to, co powiedzą ludzie.

Artysta, nawiedzony plagą tej małostkowej obawy, sam nie wie, jak się mu i co mu czynić należy.

Chce ktoś widzieć pracownię jego. Chce napisać o niej. Hm!.. Było-by to dobrze. Było-by to nawet bardzo dobrze. Ale nuż oko patrzącego nie dowidzi czegoś, albo zobaczy za wiele? Albo też dostrzeże to właśnie, czego dostrzedz nie powinno? Nie lepiej się wyrzec możliwej korzyści, niżeli się narażać na możliwe szwanki?

A potem ci profani w sztuce? Ci literaci, piszący o malarzu, jak o zwyczajnym człowieku! Brrr... Alboż to potrafi zachować należyłą miarę? owszem, alboż potrafi przystąpić do tego z należną powagą? Przyjdzie taki, popatrzy, a potem napisze, co mu do głowy przyjdzie. A to jak wyglądam, a to jak siadam, a to jakie pantofle noszę.

Wszak z Darwina małpę w opisach zrobili! Miła rzecz, niema co mówić! Jeśli taki ciekawski jest zwykłym skrobipiórkiem, na licha mi stawać przed nim, jak żak do egzaminu! Jeśli całą gębą literat, gorzej jeszcze! Gotów cię także wyżyłować aż do siódmej skóry! Kto nie ma nic do stracenia, niech go tam opisują sobie; ale kto się już dorobił siakiego takiego rozgłosu, na licha mu zdrową głowę kłaść pod ewangelię? Jedno z dwojga przypuszczać trzeba: albo się taki jego-ność na sztuce zna, albo się nie zna. Jeśli się nie zna, sprofanuje mi tylko płótno swemi opisami: ja tu maluję dynię, a on zrozumie, że to jest ogórek! Ale gorzej jeszcze wypaść może, jeśli się taki na sztuce zna. Takiemu niedowierzać najlepsza zasada. A potem urok jest urokiem, a znaczna część jego leży w tajemnicy. Po kiego kaduka mam się komu pokazywać darmo i w całej postaci?

Żeby to przewidzieć mógł, co mi i jak napisze, no, to rzecz inna; ale tak, na niewiadome,—kłaniam uniżenie. Przypuszczasz, że to

fantazy? Nie. To prawda. Pan takiej zamkniętej pracowni nietylko to sobie pomyśli, ale posunie swoją naiwność, czy też swoją arrogancję, aż do powiedzenia ci tego mniej więcej wyraźnie; co mówię? aż do proszenia cię, żebyś mu dał święty spokój ze swemi opisami, bo nuż sfuszerujesz, to kto zapłaci nawiązki? Wiadoma rzecz. Z Darwina małpę zrobili... Nie lepiej-że zamknąć pracownię na dwa, na trzy spusty?

W przeciwieństwie do tych dwu rodzajów pracowni, zamkniętych na zamek wyższości ducha, lub małości jego,—(ten ostatni bywa zwykle zardzewiały i źle się otwiera, lub nie otwiera zgoła);—w przeciwieństwie, pozornem zresztą, które da się wywieść z pewnych analogii, dość blizkich, dość krewnych sobie, stoi pracownia „publiczna”, której przeznaczeniem jest widzów olśniewać przepychem, artyście zaś albo ułatwiać stosunki z szerokimi kołami, wśród których się obraca, albo mu wprost robić reklamę. Reklamę, w dobrym guście.

Pracownia taka, to czarodziejska panorama, którą się od czasu do czasu otwiera publiczności „en bloc”,—to także rozkoszna ustrój, poświęcona sztuce, do której się daje przystęp znajomym i przyjaciółom, a nawet obojętnym i ciekawym, z tą uprzejmością wielkiego pana i rozrzutnością bogacza, który wie, że, olśniewając ludzi skarbami swemi, sam się nie uboży. Jest to także rodzaj wystawy „in partibus”, na której artysta pozwala podziwiać obrazy swoje w takich warunkach, jakie uważa dla nich za najkorzystniejsze.

Dla nich, to znaczy: dla siebie. Sztukę swoją czei mistrz także szczerze; lecz nie mniej szczerze czei siebie. Ideał swój stawia wysoko; lecz siebie uznaje być wcieleniem tego ideału. A jeśli piękno jest mu bóstwem, to nie takim, do którego się woła: „przyjdź królestwo twoje!”, lecz takim, od którego się żąda „chleba powszedniego”, ba, nawet słodkiego kołacza.

Wybitny talent, ogromna zdolność praktycznego oceniania stosunków i zjawisk życiowych, ściśle zespolenie się z duchem czasu, z powiewem chwili obecnej, i ta mądrość, w której ręku wszystko się staje krytycznym środkiem do osiągnięcia jasno postawionych celów—oto czynniki, które typ takich pracowni stworzyły.

Taką jest np, otwarta każdej niedzieli w przedpołudniowych godzinach, monachijska pracownia Lenbacha.

Publiczność tłoczy się do niej, jak na widowisko, i ma co oglądać. Klomby egzotycznych roślin, szmery fontanny, stare marmury, pompejańskie dekoracye, makaty, arkady, zasłony, pół zmrok i pół światło, a potem obrazy, obrazy, obrazy... Jest to zarazem bogata galerya starych malarzy i samego Lenbacha. A potem jest to także muzeum przeumiejętnie złożone, z całą perspektywiczną maestryą. I tu chodzi

o nastrój, ale o nastrój publiczności, nie o mistrza. Mistrz ten nie potrzebuje nastrojów: on panuje nad niemi i szafuje niemi. Dawno minęła ta chwila, kiedy się sam nastrajał na Rubensach, a bardziej jeszcze na Tycyanach swoich. Teraz idzie z nimi „al pari”, —przynajmniej w tej pracowni.

Wchodzi tedy publiczność, patrzy, wyciąga szyje, tchnie ledwie. Ludzie, jak po kościele, na palcach stąpają, chłonąc w siebie wszystkimi porami te kunsztownie wywołane wizye, tę woń estetyczną, że tak powiem, a choć się tam kto i nie bardzo na obrazach rozumie, czuje przecież, że jakiś bardzo miły dreszcz po grzbiecie mu chodzi. Ale, że w takiej masie niedzielnej długiego skupienia wrażeń nigdy być nie może, przychodzi tedy moment, w którym się to wszystko rozrusza, spoufali, ośmieli. Wtedy robi się tu tłumno, gwarno, hałaśliwie niemal; ludzie przestali już brać w siebie dech piękna, są niem nasyceni, trawia je, reagują, a na te subtelne i światła, i zmroki rzucają coś z własnej powszedniej dusz szarzyzny. Mistrza to nie razi. Ten jest nieobecny. Wszak nie z nim się poufała, tylko z obrazami jego, z czemś, co stoi po-za nim, poniżej niego może.

Aż tu godzina oznaczona wybija, szmery fontanny cichną, zasuwają się makaty, ludzki tłum odpływa, a stary jakiś marmur ukazuje twarz mądrą, zimną i rozczarowaną.

Mistrzu! Czy nie dusza to twoja wyjrzała z marmuru tego?

Ale Carolus Duran, ten ma dwie pracownie w Paryżu: jedną od gości, a drugą dla siebie.

W jednej zjawia się, jak Apollo, w drugiej, jak Syzyf. W jednej przyjmuje hołdy, w drugiej pracuje na nie.

Pracownia Carolusa Durana „od gości”, urządzona z wykwintem i elegancją odpowiednią wziętości wielkiego kolorysty, otwiera się tylko dla wytwornego, wybranego świata. Tylko dla „elity.” Piękne Paryżanki wbiegają tam strojne, lekkie, czarujące. ‘One same są najpiękniejszą ozdobą tej pracowni. Jakiś świeżo ukończony portret, jakieś pyszne kobiece ciało, złożone lub posadzone na podnoszących miękkość i słoneczność jego draperyach, przyciąga tu te motyle wielkiego świata, jak ewenement, jak premiera, dawana w teatrze. Olśnione są, oczarowane, upojone pięknem. Upojone tak samo mistrzem, jego wspaniałą głową, jego aksamitną kurtką, jego wywiniętym kołnierzem, jak i dziełem jego, jak nadewszystko tem, że w tym przybytku natchnień, w sanctuarium twórczości wielkiego malarza, jak to wyobrażają sobie, fruwać i wszystkiego dotykać się mogą.

A wielki malarz, jeśli tam kiedy weźmie pędzle i paletę w rękę, to chyba dla sztafażu. Istotnie; zawsze się tam dla sztafażu znajduje

jakieś płótno na sztaludze, któremu „trzeba coś dodać”; niewiele, kressek parę, punkt jakiś, ale trzeba...

Dodaje go tedy mistrz, coram populo, z przepysznym ruchem pięknej ręki, z wspaniałemi wygięciami głowy i odkrytej szyi, z Jowiszowem ściągnięciem brwi, co przy niedbałym uśmiechu ust, z których padają dowcipne, pełne wdzięku słowa, tworzy po prostu czarującą całość. Po prostu—czarującą!

Od pracy wszakże, od tej prawdziwej, usilnej, z zawiniętymi rękawami pracy, ma mistrz w całkiem innej części miasta swoją wielką „kuźnię”, o której istnieniu piękne Paryżanki nic a nic nie wiedzą, a w której właśnie kuje się ta sława, co je tak olśniewa.

Kiedy się artysta dobrze tam zapoci, zrzuca zaplamioną bluzę, rozmarszcza zbiegnięte natężeniem czoło, myje ręce i idzie do swojej eleganckiej, wielkoświatowej pracowni, od dam i od panów zbierać uśmiechy i oklaski, tak jak się idzie na łąkę zbierać świeże kwiaty. Że się przytem jaka i jagoda znajdzie, nie psuje to sprawy.

Może nie przypadkowe są tylko, może owszem, z samej treści germańskiego i gallijskiego ducha wypłynęły cechy, różniące między sobą tę monachijską i tę paryską pracownię, które mi się typowemi wydały.

Czy u nas się typy takie przyswoją i pospolitemi staną—nie wiem. Ale wiem, że pospolitemi i swojskimi nie są. U nas, po za wyjątkami, o których albo już mówiłam, lub też mówić nie chcę, nie czyni się z pracowni ani celu pielgrzymek świątecznej publiczności, ani medycejskich ogrodów dla pięknych róż żywych.

U nas się jeszcze po staremu otwiera progi przybytku duchowej pracy razem z sercem: małej drużynie blizkich i przyjaciół. Obcy i obojętni rzadko pukają do drzwi artystów naszych: niema u nas ani wielkich gromad ludzkich, żadnych estetycznych wrażeń, ani rojów motyli z zęconych kwiatami piękna. Pierwsze należało-by może na „debet” nam zapisać, lecz drugie—na „credit” z pewnością.

U nas umięją się ludzie wzruszać sztuką: oto, co nas broni od *gapienia* się na nią, lub od *strojenia* się w nią. Jest to może trochę pierwotne jeszcze, ale bardzo żywe, bardzo o przyszłości mówiące.

MARYA KONOPNICKA.

---

# MATERYAŁY I NOTATKI.

---

## Sprawa Tarły.

---

Co byłby zrobił Tarło, gdyby nie był przedwcześnie zginął? Mniemamy, że nic ważnego. Wyrażano niejednokroć domysł, że pośrodku dwóch magnackich obozów, Czartoryskich i Potockich, on mógł zostać głową trzeciego wielkiego stronnictwa równej szlachty, i silny popularnością u niej a nawet u mieszczan, wydzwignąć z anarchii magnackiej Rzpltą. Jeśli myśl podobna majaczyła w jego głowie, nie był przecie człowiekiem, aby ją wykonać; a raczej czasy nie były takie, aby ją urzeczywistnić mógł jeden człowiek. Bądź co bądź, śmierć Tarły pozostaje epizodem niezwykłym. Do tego epizodu, więcej zapewne efektownego, niż jest doniosłym, a który już parokrotnie był oświetlany na tych samych szpaltach <sup>1)</sup>, dorzucamy poniżej parę nowych szczegółów.

Znane są romansowe akcesorya tej sprawy. Adam Tarło, wda lubelski, żonaty z dużo starszą od siebie kobietą, kochał Annę Lubo-

---

<sup>1)</sup> Bibl. Warsz. 1859, 1864. Ogłoszona tutaj przez Wóycickiego relacya nie jest „współczesnym pamfletem, rozrzuconym przez Tarłów”, jak chce Kantecki, Stanisław Poniąkowski, II, 45, lecz pisaną jest znacznie później, jak świadczy uczyniona w niej wzmianka o Esterhazym.

mirską, urodzoną z mieszczy krakowskiej na dwa lata przed ślubem. Kiedy razu jednego na balu pierwszej z nią tańczył, potem prosił Michałową Czartoryską<sup>1)</sup>, ta mu odmówiła. Tarło na głos się ozwał, że wzbrania innym prosić podkanclerzynę; na to obecna wdziwa mazowiecka kazała synowi, Kazimierzowi Poniatowskiemu, prowadzić ciotkę do tańca. Wyzwał go zaraz Tarło; nazajutrz (18 stycz. 1743) potykali się pod Piasecznem, lecz obaj wyszli cało. Podobno w tej okazji podkomorzy mało okazał serca i okrył się śmiesznością<sup>2)</sup>. Z obu stron pojawiły się jadowite pamflety. Tarło się wygrażał, lecz nie wiele mu zależało na powtórnem starciu z młokosem: jego ojca i wujów chciał osiągnąć. Ci wymówili się od burdy; Tarło z podkomorzym po raz drugi mieli się zmierzyć pod Lublinem (20 listop.), lecz powstrzymani zostali na samym placu przez areшт królewski, — użyskany napewno nie bez udziału wdy mazowieckiego. Istotnie, stary Poniatowski zawczasu był pośpieszył do Drezna; u dworu, wtedy sprzymierzonego z Familią, łatwo wywołał jak najgorsze usposobienie dla Tarły: tak dalece, że wda lubelski, który z kolei chciał jechać do Drezna, miał sobie surowo zapowiedziane w imieniu króla, aby przyjazdu zaniechał. Po-za pospolitą zwadą, ukazywała się walka polityczna nieobliczonych następstw. Postanowili w zaczęciu stłumić ją Czartoryscy. Tarło zimę spędził w Warszawie; w marcu 1744 zjechał tu jego przeciwnik i posłał mu wyzwanie. Jedno z pism, poniżej ogłoszonych, czyni oczywistem, jak dalece Familia życzyła sobie wtedy rozprawy i jak pewną była rezultatu. Spotkanie odbyło się 16 marca pod Marymontem; Poniatowski lekko ranny, Tarło został na miejscu. Czy był zabity nieuczciwie, bądź od przeciwnika, bądź nawet od jego świadków? Taką była opinia współczesnych. Że rzecz nie odbyła się prawidłowo, nie może ulegać wątpliwości; szczegóły ostatecznie sprawdzić się nie dadzą.

1) Kitowicz, Pam., III, mylnie mówi tu o wdziance mazowieckiej; Hubert, Pam. hist. II, i inni mylnie przenieśli całe zajście wstecz do lipca.

2) Kantecki, II, 84 sq., chce oczyścić charakter podkomorzego; świadectwo Broglie'go, na jakie się powołuje, a którego źródło znaleźliśmy w liście wdy mazowieckiego do żony, 1 czerw. 1742, nie jest zgoła miarodajne, a natomiast dla charakterystyki syna niechaj posłużą słowa własnego ojca w tym samym czasie: Stanisław Poniatowski do Ogrodzkiego, 8 listop. 1742: *Je vous avoue... le chagrin de le (Kazimierza) voir en vrai dissipateur, sans la moindre réflexion ni égard pour mes volontés... J'apprehende... de la part de mes amis et des siens que sa suffisance ou l'inattention pour les autres le fera généralement mépriser et abandonner à son mauvais sort.*

## I.

Karaś do Ogrodzkiego <sup>1)</sup>.

13 Febr. 1743.

...Xże wda krakowski <sup>2)</sup> zapisał w grodzie JMPannie Annie Kryście, tem imieniem w zapisie mianowanej, trzykroć stotysięcy, klejnoty wszystkie co już ma, które mają być waloru stotysięcy, a stotysięcy w wyprawie, na wszystkich swoich dobrach dziedzicznych. W tydzień po tym zapisie meliorował znowu w grodzie, nietylko zapisując, ale i adoptując pomienioną córkę żony swojej <sup>3)</sup>, za własną córkę ją przyjmując i godnościami imienia swego ją udarowawszy, tak, iż pod błogosławieństwem synowi swemu <sup>4)</sup> w tem od niego danem diploma i oblatowanem zaleca, aby ją jako siostrę swoją czeił, szanował i Anną Lubomirską tytułował. Prywatnie zaś rozgłasza, żeby miał za wielką lezyę honoru swego, żeby kto przeciwko tej tranzakcyi miał co mówić, jakoteż żeby ją wszędzie Anną Lubomirską tytułowano i honor imieniowi temu w posiedzeniach świadczone. Fertur tu także, że JMPan wda lubelski pisał do x-cia kardynała <sup>5)</sup>, upraszając go, aby mu dopomógł do rozvodu <sup>6)</sup>. Ex promissis łatwo inferre konkluzyę. Sroży się tu jeszcze nieuspokojony junak, i verendum, aby co się nie stało, bo koniecznie usiłuje wet za wet oddać, mówiąc: parbleu, j'ai dansé avec les princesses du sang, les duchesses ect., et m-me Czartoryska m'a refusé une danse, ça n'est pas permis, nous nous sommes lavés avec le staroste <sup>7)</sup>, il faut que je me lave avec les autres. Jednem słowem, cale nie do rzeczy dzieje się. Żeby dwór przyjechał prędko, to by się to musiało uspokoić..

---

<sup>1)</sup> Kazimierz Karaś, czołnik buski; z Warszawy. Jacek Ogrodzki, regent kancelaryi królewskiej; bawił wtedy z dworem w Lipsku i Dreźnie. Obadwaj kreatury Stanisława Poniatowskiego. Pisownia listów polskich zmodernizowana; francuskiel—monstrualna—poprawiona.

<sup>2)</sup> Teodor Lubomirski.

<sup>3)</sup> Krysty Kominżauki.

<sup>4)</sup> Kacprowi L.

<sup>5)</sup> Jana Lipskiego.

<sup>6)</sup> z Dorotą, urodzoną Tarłówną, 1-o voto Chomentowską.

<sup>7)</sup> lubelskim, t. j. Kazimierzem Poniatowskim, który od niedawna dopiero (21 maja 1742) mianowany był podkomorzym k.



## II.

## Tenże do tegoż.

*2 Martij 1743.*

... Powiem Ci też, mój kochany przyjacielu, co w Niedzielę przeszłą na naszych stało się redutach. Rozumiem, że WPan wiesz o tem, iż nasi przestali bywać na redutach, a wda krakowski, lubelski ect. poczeli bywać. Tandem przyszła maska, po holendersku jak chłop ubrana szpetnie, nieczysto i bez rękawiczek, prosiła JMPannę adoptowaną Lubomirską w taniec. Odpowiedziała mu, spojrzawszy pierwej na wojewodów, że nie tańcuje z tymi, co się nie demaskują; tandem superseadowała maska od tej pretensyi. Alić wda krakowski, wstawszy, idzie do tej maski i weźmie łajac ją, że tak szpetnie się ubrała, niemożna wiedzieć, czyś godzien jest w naszej być kompanii i z moją tańcować córką, demaskuj się, albo powiedz, ktoś jest. On odpowiedział, zem jest tak dobry, jak WPan. Można było łatwo widzieć, że się u nich to w głowie ułożyło, iż nasza Familia jakiego masztalera ubrała na affront Anusi, aby z nią tańcował; ale się omylili, bo tak letko nigdy nie myślą. Tandem koniecznie chcieli wiedzieć, ktoby to był. Idzie też sama maska do wdzianki pomorskiej Czapskiej, bierze ją w taniec i tańcuje. Wda lubelski przyszedł był z perswazyą do wdzianki, aby z nim nie tańcowała, ale go nie słuchała. Tandem po tym tańcu idzie też maska do Anusi i prosi powtórnie ją w taniec; wda lubelski skoczy do niego i zdarł mu maskę z gęby z furją wielką; gdy tedy obaczył, że to był l'abbé Czapski <sup>1)</sup>, brat starosty knyszyńskiego <sup>2)</sup>, tak złąkł się wojewoda i przeproszał go; zaraz tedy l'abbé rejterował się, a maski dużo na to poczeli sarkać. Alić wdzina pomorska wdowa <sup>3)</sup> przychodzi; jak weźmie łajac wdę lubelskiego, tak on, widząc, że zgrzeszył, nic nie mówił, tylko się kłaniał...

---

<sup>1)</sup> Antoni Cz.

<sup>2)</sup> Tomasza Cz.

<sup>3)</sup> Konstancya z Szydłowskich.

## III.

## Tarło do Stanisława Poniatowskiego.

2 novembre 1743.

La lettre, mr, aussi fausse que plate qui se trouve la neuvième dans le livre intitulé L'Espion civil et politique ou les livres d'un voyageur sur toute sorte de matières <sup>1)</sup>, a fait naître ce billet-ci. Je vous crois son compilateur direct ou indirect; c'est pourquoi que vous m'en donnerez raison; il faut que je désabuse le public, qui est l'apparent prévenu de ces faussetés et impertinences; il faut que je montre que non seulement moi, mais personne au monde ne puisse avoir peur de vous ni de votre nom. L'affaire que j'eus, il y a 8 mois <sup>2)</sup>, avec votre fils, y est décrite aussi sottement à mon désavantage qu'elle est remplie de fades et fausses louanges pour lui, dont l'aïeul, et par conséquent votre père, n'étoit jamais à portée à se mesurer avec un homme de ma volée. Sur quoi je vous fais mon compliment à tous les deux, mais ayant eu sur l'autre tout l'avantage possible, le tour vient à vous, je vous présente donc les armes: l'épée, lance, pique, esparton, pistolet, fusil, arquebuse, canon, jusqu'aux barils de poudre, — optez, je vous y repondrai à tout. Je suis mr i t. d. <sup>3)</sup>.

## IV.

## Stanisław Poniatowski do Tarły.

7 novembre 1743.

Comme l'auteur du livre qui fait le sujet de votre billet ne m'est point connu ni son ouvrage que par ouï-dire, je ne m'intéresse ni à l'un ni à l'autre, et les abandonne de bon coeur à votre ressentiment. Quant à mon père, mr, je ne comprends ce qu'il a à faire dans toute cette histoire. Il étoit un gentilhomme du palatinat de Cracovie et par conséquent égal à tous les autres du Royaume. Quant à mon fils, mr, je crois que vous avez lieu d'être content de la satisfaction qu'il vous a donnée.

---

<sup>1)</sup> ten ustęp z pamfletu po polsku u Huberta, II, 262 sq.

<sup>2)</sup> dawniej, bo w styczniu.

<sup>3)</sup> na to pismo najbliższą datą odpowiedź Kazimierza Poniatowskiego do Tarły, 5 listop., ogł. u Huberta, 264.

Je vous dirois d'ailleurs, que j'ai eu le sang bouillant dans ma jeunesse tout comme un autre, mais je vous avoue qu'à présent je n'aurois pas envie de me battre ni à coup de lance, d'esponton, ni d'épée, encore moins canons ni tonneaux de poudre, d'autant plus que je ne vois point de sujet à cela. Je crois de m'expliquer d'une manière à vous satisfaire. Je suis i t. d.

## V.

## Tarło do Stanisława Poniatowskiego.

8 novembre 1743.

Je vois plus que jamais, mr, que votre sang n'est plus bouillant. Il seroit à souhaiter qu'il fût moins vif et votre esprit moins fertile en calomnies sur tous les honnêtes gens. Mais dès que vous niez celle dont il s'agit à l'heure qu'il est, je rendrai notre correspondance publique autant que je le pourrai, et cela me suffit de votre part. J'aurois la même satisfaction de tous vos autres, dont chaque honnête homme doit sentir comme un devoir d'être ennemi déclaré. Quant à votre fils, ce petit monsieur et très nouveau seigneur, car second de son nom, vous n'avez qu'à le faire venir et l'assurer d'avance que je viseroi du pistolet d'un doigt plus haut, et quant à l'épée, nos seconds seront à 4 pas et, si l'on veut, encore l'on mettra deux barrières derrière nous. Je crois dire assez pour que je puisse attendre l'avertissement de son arrivée...

## VI.

Kazimierz Poniatowski do Tarły <sup>1)</sup>.

Puławy, 12 novembre 1743.

Je vois bien que vous n'avez plus le sang bouillant, ce changement rapide m'étonne, après tant de redomontades votre flegme est incompréhensible. Ayant été empêché de venir vous voir, je croyois que

<sup>1)</sup> ten-to kartel zapewne, podług relacji Wóycickiego, 485, dyktowany był przez wdę mazowieckiego, i przez Karasia przesłany podkomorzemu; wiadomość u Syrokomi, Przyczynki do hist. dom., 36, niewiarogodna; por. też Konarski do Jana Tarły, 13 list., w Przew. nauk. i lit., XI, 1149.

mon premier billet <sup>1)</sup> vous convaincroit que vous êtes dans la nécessité de venir me trouver, et puisque je vois, qu'il n'a pas fait son effet, je vous écris celui-ci que j'espère étant plus énergique vous fera sentir le parti que vous avez à prendre. Etant revenu ici et relisant vos impertinences que vous avez écrites, je suis obligé d'y répondre plus au long.. On voit bien, mr, que vous n'êtes guère instruit des annales de notre pays; si vous les aviez lues, vous verriez que notre famille est pour le moins aussi bonne et ancienne que la votre, et que vous étiez bien plus petit seigneur que mon grand père avant d'avoir épousé votre femme dont le bien vous a servi à pousser dans le monde, et que pour récompense vous la méprisez. Il est surprenant d'ailleurs qu'ayant demeuré si longtems dans un pays <sup>2)</sup> où le point d'honneur est si bien connu, vous ne sachiez pas qu'il est indigne à un jeune homme comme vous d'insulter un homme d'âge, qui d'ailleurs est dispensé pour sa réputation à se prêter aux folies d'un étourdi. Il vous auroit été plus avantageux de vous informer de tout cela que d'appréhendre à exécuter un pas de rigandon. Je n'aurois pas été obligé d'y revenir à deux fois, si je n'avois pas été abusé par l'offre d'amitié que vous m'avez faite et qui a terminé notre première querelle. J'espère être plus heureux cette fois et que vous n'appellerez pas en vain votre chirurgien à votre secours, comme vous avez fait cidevant. Le reste de ma réponse, vous la trouverez au bout de mon pistolet, je prétends me battre à pied, à 10 pas, ou plus près si vous voulez. Je consens, mr, que vous publiiez ce billet comme vous avez fait les vôtres. Par votre procédé indigne vous ne méritez pas que je mette au bas de ma lettre que je suis votre serviteur.

## VII.

## Karaś do Ogrodzkiego.

13 Novembr. 1743.

...Po ostatnim liście, com miał honor pisać do W Pana, nie było tu nic osobliwego. W. L. <sup>3)</sup> nie odpisał nic JMPanu podkomorzemu na list z Góry pisany <sup>4)</sup>, posyłał tylko do x-cia podkanclerzego <sup>5)</sup> to pro-

<sup>1)</sup> ob. wyżej, str. 105, przyp. 3.

<sup>2)</sup> Tarło przebywał we Francyi 1738—1741; (por. Mém. du duc de Luynes (1860), I, 161, 350.

<sup>3)</sup> wda lubelski.

<sup>4)</sup> jest to list z 5 listop., ob. wyżej przyp. 1.

<sup>5)</sup> Michała Czartoryskiego; por. u Matuszewicza, Pam., I, 149.

sząc, aby pisał do podkomorzego, oznajmując, że go tu czeka, to wyzywając xięcia na pojedynek, ot jak niespokojna głowa. Ale gdy mu xże JM. odpowiedział, że jako minister jest custos legum, per consequens takim zabiegać powinien imprezom, nie zaś żeby miał tak letkie przyjmować propozycje a sam rezolwować się violare prawa ojczyste i Boskie, niech mnie JMP. wda zaniecha, bo więcej takich nie przypuszczę do siebie posłańców, przysłał dnia wczorajszego oznajmując, że jedzie do Lublina jutro; ale że prawo zakazuje tam pod Trybunałem pojedynkować, więc o trzy mile od Lublina będzie czekał na JMPana podkomorzego, nie dołożywszy, na jakim miejscu. Xże podkanclerzy dał znać o tem do Puław. Sciendum, że wda sandomierski <sup>1)</sup> przysłał kuchmistrza k. <sup>2)</sup> po wdę lubelskiego na sprawę z x-ciem Radziwiłłem <sup>3)</sup>, więc dziś zaprosił do siebie na obiad hetmana p. <sup>4)</sup> Branickiego, który tu wczoraj w wieczór stanął, a jutro ma do Lublina jechać. Nie wiem tylko, jeżeli nie uczyni jakiej reflexyi nad tą swoją podróżą, ponieważ powiadają, że się dużo miesza w swoich rezolucjach, i niektórzy mówią, że poczyna żalować tego co uczynił, osobiwie, że dziś przez pocztę odebrał od JMPana podkomorzego list <sup>5)</sup>, który go pewnie do tej drogi do Lublina pobudzi, albo też do jakiej nowej będzie mu okazyą historyi. Kopii tego listu nie posyłam WPanu, bo wiem, że sobie będziesz miał komunikowany od JMPana Dobrodzieja <sup>6)</sup>, ale jest mocno napisany, i słuszenie, bo tego godzien. Panie zmiłuj się, daj tylko niewinności dobry sukces. Dziwne są sądy Boże, ale uważając wszystko, trafił swój naswego, jak pospolicie mówią kosa na kamień, tak też wojewoda na naszego kochanego podkomorzego...

<sup>1)</sup> Jan Tarło.

<sup>2)</sup> Bernarda Gozdzkiego.

<sup>3)</sup> Michałem-Kazimierzem R., hetmanem p. l.

<sup>4)</sup> k., Jana-Klemensa B.

<sup>5)</sup> jest to list poprzedni, pod VI.

<sup>6)</sup> Stanisława Poniatowskiego. Zresztą, podkomorzy pisał sam do Ogrodzkiego z Puław, 11 listop.: *je vous envoie des copias de mes lettres que je vous prie de publier autant qu'il est possible; ce procédé seroit indigne, si mr le palatin (Tarło) n'y avoit donné lieu... c'est le Don Quichote de notre siècle... Mettez moi aux pieds de mon père, il peut être fort tranquille sur son voyage de Dresde, tout le monde l'approuve.* O przybyciu wdy mazowieckiego do dworu donosi Kuryer Polski, 1743, Nr 353, już pod datą 11 listop. z Drezna.

## VIII.

## Tarło do \*\*\* 1).

20 listop. 1743.

Z wielkiej chmury mały deszcz, tak dalece, że mnie wstyd za moich nieprzyjaciół wszystkie wyrażać cyrkumstancje. Już tedy wiesz WPan, żem posyłał do wdy ruskiego 2) z Gniewoszowa, jakie tam były kwestye i odpowiedzi... Posłałem drugi raz do wdy ruskiego, pod przeciwnością go wyzywając pod Markuszów na ranniejszą trochę godzinę, nim ja był wyzwany od Poniatowskiego, ale odpowiedział, że nietylko wyjedzie, ale sam będzie szukał ode mnie satysfakcyi. Kiedy tedy trudno było już z tym, trzeba się było i młodzika trzymać tego. Stanąwszy tedy w Markuszowie..., minęliśmy tedy tych rycerzów w polu uszykowanych i za nimi szwadron dragonii. Stanąwszy tedy w mieście gdzie kasztelan czerski 3) i bełzki 4) wraz z strażnikiem k. Sierakowskim 5) przyjechali, ekzuczując tę dragonię, ale to bardziej, żeby z x. kanclerzem 6) widzieć się mogli, który z aresztem od króla wyjechał, i deputatów pięciu 7), ci tedy imieniem trybunału a trybunał od króla JMci areszt nam dawali, na który odpowiedziałem, żem po niego do Drezna nie jeździł ani pisał, anim się o niego directe i indirecte starał, i jeżeli go będę musiał przyjąć, pojedę zaraz do Drezna prosząc o relaxacyą; nie mogę go postaremu przyjąć, aż tamten co na to odpowie. Jeździł tedy pan kuchmistrz k., mój sekundant, do tej tam kupy, żem ja tu przyjechał dać satysfakcyę Poniatowskiemu, ale że nowa niespodziana rzecz to jest areszt królewski, który respektować muszę, ale się

---

1) Nie znamy adresata; list oczywiście przeznaczony był do rozpowszechnienia. Por. zupełnie zgodną relacyę d. d. 28 listop., u Huberta, 267 sq. Z ogł. tamże pisma prymasa do podkomorzego, 8 listop., widać, że ten ostatni zawczasu był uprzedzony o areszcie; zaś, że areszt z góry chętnie akceptował, świadczy następująca odpowiedź Kazimierza Poniatowskiego do prymasa, 16 listop.: *perswazye i rozkazy WXMci Da Prymacyalne z uszanowaniem przyjmować słuszność sama i moja zwykła każe morderstwu... przymuszony i w swoim czasie prosić będę o sąd rzpltej. Wcześniej oddławam się dobroczynnej WXMci protekcyi, i Prymacyalnej Jego na wsparcie niewinności i krzywdy mojej wzywam powagi.*

2) Augusta Czartoryskiego.

3) Kazimierz Rudziński.

4) Józef Lipski.

5) Józefem S., stą żytomirskim.

6) Andrzejem Załuskim.

7) od trybunału lubelskiego.

go jednak pytam, co on na to mówi? Nadrobił tedy niby junakieryą, że o nim nie wie..., i że jeżeli ja pierwszy jestem, że go akceptuję, to i on go przyjmuje. Na tem tedy już nie żołnierskie, ale szalbierskie wykrety były i konferencye; w tem kasztelan czerski i bełzki znów przyjechali i coś poczęli wdzie naszemu <sup>1)</sup> szeptać, co gdy mi się uprzykrzyło, mówiłem, że tu głośno gadać trzeba i do mnie się adresować; wypadli tedy oba kasztelanowie ci o jakieś między nami skrypta, że byśmy we wszystkim chcieli trzymać areszt. Na to odpowiedziawszy, że w żadne skrypta nie wchodzę, tylko koniec szpady mam tu do prezentowania, a w tem Błędowski <sup>2)</sup> pułkownik powiedział, że nie z tem stamtąd przyjechali, i że tamten na mnie czeka; na co effervuit wda sandomierski, że to szelmowska sztuka, żeby potem powiedziano, żeśmy nie chcieli wyjechać, czyli jakieś w tem misterium. Niech tedy każdy widzi co to za ludzie, i jak im już Bóg i serce i rozum odejmuje tak dalece, że mi ich teraz żal, i powiadam, że najbardziej tego żałuję, że z Polakiem takie mam afery. Więcej ręka mnie boli pisać i te wszystkie nedorzeczne opisywać cyrkumstancye.

## IX.

## Karaś do Ogrodzkiego.

27 Novembr. 1743.

Już też niby się uspokoiło... Co na junakieryach, to nie zbywa, grozi się, że na pojedynkę areszt, na spotkanie zaś żadnego nie masz, i głosi, że na siostrzeńców mam i ja siostrzeńców, że starszymi zaś sam, byłem się gdziekolwiek spotkał, spróbuję się, choćby jeden po drugim. Jednem słowem, burdy nie przestają; jeżeli temu Königstein nie poradzi, to może i dalsze w ojczyźnie zamieszanie usiłować zechce; a pod tym pretekstem, że zamieszania i domowej wojny szuka, można by go tam wsadzić na rekollekeye; satius, aby jeden tak szalony cierpiał, aniżeli wszyscy w Królestwie, do czego — daj Boże, abym nie zgadł, — z czasem przyjdzie. Mówią tu niektórzy, że się in supposito omylił; rozumiał, że ci, którzy przedtem nieprzyjaźni byli Familii, jednak nie takim impetem, jak obaczą, że tą drogą pójde z nimi i oczy-

<sup>1)</sup> Janowi Tarle.

<sup>2)</sup> jeżeli to ta sama figura, co projektowicz z 1746 r., były to jeszcze jeden powód, żeby go nie brać na seryo.

wistym się ich <sup>1)</sup> deklarować będą nieprzyjacielem, przywiążą się do mnie; ale, jakem mówił, omylił się, bo nikt mu tego nie approbuje, nawet wda kijowski <sup>2)</sup> przeciwny jest temu. Co, słyszę, temu junakowi bardzo nie w smak.

## X.

Jan Małachowski <sup>3)</sup> do Tarły.

*Drezno, 3 grud. 1743.*

...Tu w domu... zastał mnie Rozkaz Pański, abym do WMPana nieodwłocznie napisał, że JK.M. P. N. Mił., dowiedziawszy się, że WMPan wybierasz się w drogę do Drezna, kazał mi oznajmić Wolę Swoją, że żąda po WMPanu, abyś się został w Polsce i tam oczekiwał przybycia Pańskiego, tak, żeby list WMPana zastał i w drodze, żebyś się chciał nazad wrócić. Toż samo piszę z Rozkazu Pańskiego i do JMPana Podkomorzego k. Jako tedy JK.M. P. N. Mił. widzia-WMPana promptitudinem ad exequenda mandata Sua, tak i w tem nie wątpi, że WMPan nie uczynisz passum przeciwko Woli Pańskiej. Don kióśszy to z Rozkazu Pańskiego, particulariter i ja życzę, abyś się chciał zatrzymać w Polsce, żeby interpretacya u Dworu podróży Jego przeciwko Woli JK.Mci nie dała tryumfu nieżyczliwym Jemu.

## XI.

Tarło do Małachowskiego.

*11 grud. 1743.*

...Uczynię tedy tak i do Drezna nie pojedę, szczęśliwego a potrzebnego Pańskiego życząc powrotu. Jeżeli zaś miał intencję jechania do Saxonii, to dla emundowania się z fałszywych i niegodziwych nieprzyjaciół moich delacyi, i im prędzej chciałem się explikować JK.Mci, delikatność honoru i reputacyi mojej do tego mnie przymuszała. Kiedy jednak zawiesić to trzeba, będą przynajmniej tę miał satysfakcyę, że publicum wiedzieć i sądzić będzie moje i nieprzyjaciół

<sup>1)</sup> Czartoryskich.

<sup>2)</sup> Józef Potocki.

<sup>3)</sup> podkanclerzy k.



moich akcye, którzy teraz, zapomniawszy drogi honoru, czyli jej utrzymać nie umiejąc, manifest <sup>1)</sup> ad acta publica wnieśli, zadając mi crimina status. Odpowiem ja i na to in facie całej rzpltej we trzech stanach zgromadzonej a zadawać crimina będę status. Dziękuję zaś najniższej WMPanu za życzenie partykularne, żebym do Dworu nie jechał... <sup>2)</sup>).

## XII.

## Karaś do Ogrodzkiego.

11 Martij 1744.

P. Bóg nas pocieszył przybyciem JMPana podkomorzego k., stanął w poniedziałek <sup>3)</sup> w wieczór..., nazajutrz wszędzie u swoich był w miście znajomości, z p. Korffem, sekundantem swoim. Przejeżdżał dwa razy mimo Puław W. L., ale i żywego ducha od niego nie widzieli. Rzecz dziwna, że po tak wielu fanfaronadach co robił, od przyjazdu tu graffa Flemminga <sup>4)</sup> tak ucichł, jakby go w Warszawie nie było; wielu tu jest tego zdania, że jak się dowie o bytności JMPana podkomorzego k., będzie się do fortecy ujazdowskiej rejterował, i nie mógłby lepiej uczynić, bo by go pod rogówką Jaśnie Oświeconą <sup>5)</sup> siedzącego nikt nie śmiał ani atakować, ani afrontować; inaczej to podobno tego nie uniknie, jeżeliby najmniejszą, choćby spojrzeniem niedorzecznem, dał do tego okazyę. Tak to pięknie naszemu podkomorzemu z laską chodzić, co nie uwierzysz, mój kochany Dobrodzieju; drogo ją prawda zapłacił, bo 24 dukaty, ale by ją już odzalaował, żeby tylko o głowę rycerza

<sup>1)</sup> wniesiony przez Michała Czartoryskiego, nieprzyjęty w grodzie warszawskim, oblatowany w liwskim, Hubert, 243.

<sup>2)</sup> to wyraźne wystąpienie króla mocno zgnębiło Tarłę. Adam Grabowski, biskup warmiński, do Ogrodzkiego 2 stycz. 1744: *le palatin de Lublin est infiniment mortifié de ce que le voyage qu'il vouloit faire à Dresde lui a été déconseillé; l'on dit qu'il s'occupe présentement à faire un manifeste contre la Famille; comme son coeur et l'encre sont bien noirs, cette pièce ne manquera pas d'être farcie de bien de fadaïses.* Kardynał Lipski do biskupa warmińskiego, 2 stycz: [soli soli] mam wiadomość z Lwowa od godnych ludzi o tej rezolucyi JMPana wdzy lubelskiego, iż jeżeliby miał być przyciśniony procesem, tedy gotów jest szukać za granicą auxilia et subsidia. Por. Konarski do Jana Tarły, 20 lut., Przew., 1155: JMPan wdza lubelski jest plus caeteris consternatissimus.

<sup>3)</sup> 4 marca.

<sup>4)</sup> Jerzego Detloffa F., gen. artyl. lit., który w październiku 1743 był się zaręczył z córką ks. Michała.

<sup>5)</sup> pałac ujazdowski należał do wdzy krakowskiego.

wielkiego, albo też ministrów jego, wielkich filutów i infamisów, za dniem okazji mógł potrzaskać... Dziś pojechał nasz podkomorzy do koszar gwardyi z wizytą do przyjaciół... <sup>1)</sup>).

## XIII.

Tenże do tegoż <sup>2)</sup>).

Już się cała, mój kochany Dobrodzieju, zakończyła historia. W. L. zginął. Wyjechali dziś z sobą pod Marymont; dwa razy piechotą o 5 kroków strzelali do siebie, chybili się, lecz od szpady zginął <sup>3)</sup>, na miejscu padł i nieżywego do domu zawieźli. Nasz podkomorzy raniony szpadą w prawą pierś, leży w kazernach gwardyi, ale mówią cyrulicy, że mu nic nie będzie, tylko musi jaki czas w izbie siedzieć. Dajże P. Boże, aby z tego wyszedł. Więcej nie piszę, bom srodze rozewrany. Adieu.

SZYMON ASKENAZY.

---

<sup>1)</sup> stwierdza się więc ten szczegół, zachowany przez tradycję, a podany w wątpliwość przez Kanteckiego, 105.

<sup>2)</sup> 16 marca; kartka bez daty i podpisu, kreślona widocznie w pośpiechu. Należy zauważyć, że testament Tarły w formie listu, podany u Huberta bez daty, nosi datę 14 marca.

<sup>3)</sup> bardzo lakonicznie.

---

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

*Tatistcheff.* Alexandre et Napoleon, d'après leur correspondance inédite 1801—1812.  
(Paryż 1891. str. 600).

Minał już przeszło wiek cały od czasu jak wielka rewolucya francuska wytworzyła nowożytny kodeks zasad społeczno-politycznych, którym geniusz Napoleona I urabiać musiał odpowiedny państwowy ustrój. Przeszło więc od wieku życie polityczne Europy stanowiło nieprzebrane źródło do epoki, noszącej na sobie wybitne piętno wielkiego Korsykanina, a od r. 1821, t. j. od daty jego śmierci, rozpoczęła się era rozpamiętywania i dziejowej refleksyi, będącej zazwyczaj zwiaśtunem poważnej historycznej pracy.

Jak wszechstronna i potężnie wpływową była jednak działalność Napoleona I, przekonać się można choćby z tego, że, mimo tylu lat minionych od jego śmierci, skarbiec historycznych świadectw i źródeł nie został jeszcze należycie spożytkowany i dla tego też dziejowe wyroki, wygłaszane przez historyków pierwszorzędgo talentu, jak np. Taine'a, nie mogły nosić znamion nieodwołalnej ostateczności.

Ze jednak społeczeństwa europejskie nie darzyły epoki Napoleońskiej obojętnością, o tem mogą świadczyć całe biblioteki, złożone z pamiętników lub listów wybitnych albo mniej wybitnych osobistości; z prac źródłowych, powierzchowniejszych i głębszych, a wreszcie, ze studyów historyczoficznych, które, nie czekając na pełny materiał dzie-

jowy, pragnęły odtworzyć ową dobę wielkich wypadków, więcej publicystycznymi, niż dziejowymi barwami.

Pokazało się wszakże, że wiek czasu ledwie wystarczy na opublikowanie pełnego materiału, rozproszonego po wszystkich archiwach europejskich. Dość przypomnieć, że tak ważne i doniosłe pamiętniki, jak ks. Metternicha i Talleyranda, niedawno zostały ogłoszonymi, a korespondencją Napoleona I, nie całkowitą, ale przynajmniej ze świadomością skracaną, wydał dopiero Napoleon III. W ciągu też każdego roku ogłaszana bywa spora ilość pamiętników, spisanych przez dygnitarzy cywilnych lub militaryjnych pierwszego cesarstwa. Nie potrzeba jednak przekonywać ani dowodzić, że nie wszystkie posiadają równą wartość i nie wszystkie na przyszłość stanowią będą rzetelną dla historyka wartość.

Ukazują się również nieustannie źródłowe prace, które ze starannością i talentem pragną krytycznie odtworzyć całą dobę lub jeden epizod, pełne życie państwowo-społeczne, lub tylko jeden jego kierunek z czasów Napoleona I. Z dzieł wszakże, które się kusiły o skreślenie całkowitego obrazu, zawierającego wszystkie prądy reformacyjne, żadne nie zdołało zaspokoić całkowicie wymagań, pomimo, że o zadanie powyższe ubiegały się niepoślednie talenta. Thiers'a historia konsultatu i cesarstwa, dająca dziejopisowi zaszczytne świadectwo niezwyklej pracowitości i talentu, kładła główny nacisk na bojową legendę Napoleona, a wewnętrzne reformy i socyalne prądy owej doby traktowała nieco pobieżnie. — Taine'a znakomite, kilkotomowe dzieło, poświęcone Francji nowożytnej, przedstawiło z gruntownością niezwykłą i niepospolitym talentem przeistoczenie anarchii rewolucyjnej w rząd polityczny i w ład społeczny, których-to obu zadań dokonał Napoleon. Działalność militaryjna, zwłaszcza geniusz strategiczny (nie administracyjno-wojenny), wielkiego wodza zeszedł za to w pracy Taine'a na plan drugi, a to samo miało miejsce i z jego zdolnością dyplomatyczną. Z monografii, które zadowolniły się opisem jednego epizodu z owej olbrzymiej epopei, albo poprzestały na jednym z licznych społeczno-politycznych prądów, znajdują się niektóre, zasługujące na miano klasycznych i wyczerpujących źródłowo dany zakres stosunków. Do rzędu prac powyższych zaliczyć można dzieło Haussonville'a p. t. „L'eglise romaine et le premier empire”, zaznaczając wszakże, iż ilość podobnej wartości studyów nie jest jeszcze znaczną.

Zwłaszcza talent dyplomatyczny Napoleona, przyćmiony jego sławą wojenną, nie doznał dotychczas należytej oceny, pomimo że historycy wszystkich narodowości przyznawali mu niezwykłą zdolność czarowania zawodowych dyplomatów, będących uosobieniem prac biegłości i kryjącej się po-za dwuznacznymi wyrażeniami obłudy. Zaró-

wno u niemieckich jak u francuskich historyków naczytać się można dowoli o scenach gwałtownych, jak np. z Metternichem, w których wybuchła potężnie samowiedza geniuszu militarnego i przełamywała, jak wzembrany potok, całą rutynistyczną przędzę formułek dyplomatycznych. Codzienna jednak praca, polegająca na szczegółowych instrukcyach, przesyłanych całemu personelowi dyplomatycznemu, i owo zdumiewające obmyślenie każdego planu politycznego, aż do najmniejszych szczegółów, owo subtelne przewidzenie wszelkich możliwych przeszkód i trudności, wraz z odkryciem słabych stron przeciwnika — wszystkie te objawy nadzwyczajnej pracy i zdolności dyplomatycznej Napoleona nie zostały dotąd należycie uwzględnionemi, i nawet sumienna praca Lanfréy'a, życiu jego poświęcona, nie scharakteryzowała należycie jego stanowiska w powyższej dziedzinie.

Można się było spodziewać, że pamiętniki ks. Metternicha lub i Talleyrand'a przyczynią się znacznie do wykazania natury rezultatów działalności dyplomatycznej Napoleona. Obaj ci wybitni mężowie mieli sposobność poznać go bliżej i obaj w służbie dyplomatycznej mieli sposobność nie tylko osiwieć, ale i zdobyć sobie niepoślednią sławę. Właśnie jednak dla tego, że byli wyrutynowanymi dyplomatami i że prąd dziejowy wpoił w nich nienawiść do Napoleona, pamiętniki ich nie mogły się pozbyć namiętnego uprzedzenia co do osoby cesarza, a z drugiej strony i chęci reklamowania swej własnej wielkości.

Tymczasem błędy dyplomatyczne Napoleona, choćby ich liczba okazała się znaczną, nie mogą bynajmniej służyć za ostateczne kryterium, upoważniające do lekceważącego oceniania talentu jego dyplomatycznego. Będąc piastunem i zwiastunem zasad rewolucyjnych, Napoleon stanął od razu do walki z całym stałym porządkiem Europy, który, wystąpiwszy solidarnie do boju, byłby go nieodwołalnie przygnębił przewagą olbrzymią sił swoich. Dyplomacy więc Napoleońskiej przypadło ciężkie zadanie zapobiegania koalicjom nieprzyjaznym i tym sposobem podanie możliwości zgnębienia odosobnionego przeciwnika. Nietylko jednak tym jednym rezultatem pochlubić się mogła dyplomacya Napoleońska; potrafiła ona bowiem jeszcze zwyciężonego przeciwnika przeistoczyć w sprzymierzeńca, i to w szczerego, jakim był przez czas pewien Cesarz Aleksander I, a nie w pozornego i z konieczności, jakim pozostał Fryderyk Wilhelm III pruski. Armia więc dyplomatyczna Napoleońska zdobyła sobie sławę nie o wiele mniejszą od bojowej; chodzi jedynie o to, czy istotnie kierował nią cesarz tak wyłącznie, jak swymi żołnierzami, czy też istniała obok niego inna osobistość, która mu podsuwała zrezygnie swoje plany i skrycie przewodniczyła pracy dyplomatycznej.

Właśnie powyższe wątpliwości rozjaśnia w znacznym stopniu p. Tatistscheff, w pracy, której tytuł zamieściłem na wstępie. Znany

i ceniony w literaturze russkiej pisarz, p. Tatistcheff, był tym razem w tem korzystnem położeniu, że występował z nowym materiałem źródłowym, który dla historii Napoleońskiej dyplomacyi nie był bez znaczenia. W przedmowie podaje nam autor ciekawą wiadomość, że ani Thiers, ani Bignon i Lefebre nie spożytkowali korespondencyi poufnej między Cesarzem Aleksandrem i Napoleonem, dla tego powodu, że minuty listów cesarza Napoleona i oryginały listów Cesarza Aleksandra zniknęły z archiwów francuskich, zdaje się w roku 1815, i dotychczas odnalezionemi nie zostały.

Wprawdzie gdy cesarz Napoleon III począł wydawać korespondencyę po swym wielkim stryju, rząd russki przesłał mu kopie listów, pisanych przez Napoleona do swego sprzymierzeńca, z doby Tylży i Erfurtu, i listów tych wydrukowano we francuskiej korespondencyi sztuk sześćdziesiąt pięć. Z brzmienia jednak powyższych listów łatwo się było domyślić, że istnieć musiały listy Cesarza Aleksandra, których minuty znajdować się były powinny w archiwach russkich. Poszukiwania p. Tatistscheffa zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Nietylko bowiem, że udało mu się w archiwach ministeryum wojny i spraw zagranicznych odszukać minuty listów, o które przedewszystkiem chodziło, ale prócz tego znalazł trzydzieści trzy listy, przeważnie oryginalne, pisane przez Cesarza Aleksandra do Napoleona, jako do konsula i cesarza, które później dość dziwnemi drogami powróciły do archiwów russkich.

Dla wypełnienia i wykończenia obrazu stosunków dyplomatycznych p. Tatistscheff posiłkował się również materiałem dotąd nieznanym i przeważnie rękopiśmiennym, jaki znalazł w archiwach russkich i francuskich. Ponieważ zaś porównywano często historię do najwyższego trybunału (die Weltgeschichte ist ein Weltgericht), przeto autor oświadcza z całą otwartością i dobrze zrozumianą skromnością, że pracą swą nie chce bynajmniej uzurpować prawa do zasiadania w powyższym trybunale. Daleki od wszelkich refleksyi, dających się z trudnością pogodzić z bezstronną obiektywnością, autor ma do tego jedynie pretensye, że wydobył z zapomnienia wiązkę ważnych dokumentów i że był swego rodzaju pisarzem sądowym (gréffier), spisującym protokół bez żadnych osobistych komentarzy lub dyskusyi.

Pracę swą rozpoczyna p. Tatistscheff od wstąpienia na tron Cesarza Aleksandra I, które dla pierwszego konsula francuskiego było wydarzeniem politycznem pierwszorzędnej wagi. Niezwłocznie też wysłał Napoleon pierwszego swego adjutanta, Duroc'a, do Petersburga, aby się przekonał na miejscu, czy młody samowładca Wszechrossyi będzie tak życzliwie usposobionym dla Francyi, jak jego poprzednik. Duroc zastał wysokie sfery urzędowe zinnemi i odstręczającemi, lecz

za to Cesarz Aleksander okazał się uprzedzającym i oświadczył między innymi Durocowi, że zawsze pragnął widzieć Rossyę zbliżoną i połączoną z Francją. Przyjazne usposobienie dla Rzeczypospolitej francuskiej ożywiało jednak wyłącznie samego Cesarza Aleksandra, zresztą bowiem nietylko Panin, przewodniczący gabinetowi, ale i najbliższe otoczenie cesarskie, składające się z Koczubeja, Nowosilcowa, Strogonowa i Czartoryskiego, dalekiem było od podobnych uczuć. W lipcu roku 1801 zawiązała się pierwsza korespondencya między Cesarzem Aleksandrem a pierwszym konsulem, i autor podaje nam listy wszelkie w pełnem brzmieniu, przez co nadaje więcej źródłowej doniołości swemu jasnemu i ciekawemu opowiadaniu.

Z treści owej korespondencyi przekonać się można, że usposobienie życzliwe Cesarza Aleksandra dla Francji wzrastało z każdą chwilą, pomimo, że nowy reprezentant Rossyi w Paryżu należał do zdecydowanych nieprzyjaciół Rzeczypospolitej.—Bonaparte odgadnął prędko ową sprzeczność usposobień, jaka zachodziła między Cesarzem Aleksandrem a organami jego rządowemi i dyplomatycznemi. Przez pewien czas starał się też uprzejmością zdobyć sympatye hr. Morkowa, ambasadora cesarskiego w Paryżu. Wszelkie zabiegi chybiały celu i powiększały tylko nieufność. Gdy też konsul zwrócił uwagę hr. Morkowa na prawdopodobnie blizki upadek Turcyi, zapytując przytem, czy Rossya ma przygotowanego dziedzica tronu w Konstantynopolu, wiadomość o tej rozmowie zrobiła w gabinecie petersburskim jak najgorsze wrażenie, uważano ją za manewr, budzący umyślnie nieufność Anglii, i kanclerz Woronców polecił hr. Morkowowi zawiadomić konsula, że Cesarz Aleksander nie będzie skłonny do przyjęcia jakiegokolwiek planu nieprzyjaznego dla Turcyi, gdyż jest zdecydowanym utrzymać stosunki dobrego sąsiedztwa z tem mocarstwem.

W r. 1803, gdy wojna między Francją i Anglią znowu wybuchnęła, konsul nie mógł ścierpieć zachowania się hr. Morkowa, napiętnowanego otwartą przyjaźnią dla Anglii, oraz jawnem protegowaniem wrogów Francji. Napoleon domagał się natarczywie odwołania powyższego dyplomaty, a gdy motywa wyraźne nie przekonywały, zrobił mu na przyjęciu ciała dyplomatycznego gwałtowną scenę, która uniemożliwiła dłuższe jego pozostanie na zajmowanym stanowisku. Cesarz Aleksander dał konsulowi uczuć w prawdziwie rycerski sposób, że niegrzeczność wyrządzona jego ministrowi żywo go obeszła. Gdy bowiem na niedzielnej paradzie Cesarz dostrzegł, że poseł francuski, Hédouville, z pewnem zakłopotaniem trzymał się na uboczu, rzekł doń z uprzejmością: „Dlaczego nie przybliżysz się, panie Hédouville? Nie urządzę ci sceny, jaką pierwszy konsul sprawił memu ministrowi w Paryżu”. Z tem wszystkim hr. Morkow został odwołany, a nim się Cesarz Ale-

ksader zdecydował zamianować następcę, doszła do Petersburga prze-  
rażająca wieść o egzekucyi księcia d'Enghien, która na dłuższy czas  
przerwała normalne stosunki dyplomatyczne między Francją a Rosyją.

Od tej chwili Cesarz Aleksander stał się duszą koalicji przeciw-  
ko Napoleonowi i pozostał obojętnym na wszelkie grzeczności, okazy-  
wane mu przez świeżo proklamowanego cesarza Napoleona. W przed-  
dzień bitwy austerlickiej Napoleon wysłał Savarego do Cesarza Alek-  
sandra z listem bardzo uprzejmym; w zamian za to otrzymał list  
własnoręczny Cesarza Aleksandra, ale bez intytulacyi cesarskiej, tyl-  
ko „do szefa rządu francuskiego”, i odebrał go z rąk adjutanta cesar-  
skiego, ks. Dołgorukiego. Bitwa austerlicka nie zmieniła bynajmniej  
usposobienia Napoleona względem Cesarza Aleksandra i starał się on  
pozyskać względy mocarza Wschodu, ale i tym razem nadaremnie. Po-  
kój zawarty między Francją i Rosyją d. 20 lipca 1806 nie został raty-  
fikowany przez Cesarza Aleksandra; pomimo też klęsk, jakie Prusy  
poniosły w r. 1806, nazywał on zawsze sprawę tego państwa „najpię-  
kniejszą i najsprawiedliwszą” i podążał na nowo ze swemi wojskami  
w celu ochronienia domu Hohenzollernów od ostatecznej zagłady.

Dopiero bitwa pod Friedlandem skłoniła Cesarza Aleksandra do  
porozumienia się z Napoleonem, co okazało się tem łatwiejszem do urze-  
czywistnienia, że Napoleon, uznając lojalną rycerskość Cesarza Alek-  
sandra, z jaką bronił swego niefortunnego sprzymierzeńca, całą mści-  
wość, do której się otwarcie przyznawał, postanowił wyrzucić na Pru-  
siech. Pominię przebieg wypadków w Tyłży, ponieważ mu poświęcali  
historycy pruscy, francuscy i russcy szczegółowo uwagę. Pozwolę so-  
bie zaznaczyć tylko kilka szczegółów, które specjalnie dla historii dy-  
plomacyi mogą mieć pewną wartość. Zanim się jeszcze Napoleon  
spotkał osobiście z Cesarzem Aleksandrem, już Łabanowowi Rostow-  
skiemu na mapie wskazał palcem koryto Wisły, jako granicę, dzielącą  
Europę na dwa mocarstwa. Następnie Napoleon ofiarowywał na razie  
prowincye z polską ludnością, odłączone od Prus, Cesarzowi Aleksan-  
drowi, i to samo czynił z ujściem rzeki Niemna, ale w obu razach spo-  
tkał się z kategoryczną odmową, gdyż Cesarz Aleksander nie chciał  
korzystać z upadku swego dawnego sprzymierzeńca. Z prowincyi więc  
pruskich, z wyjątkiem okręgu Białostockiego, przyłączonego do Rosyi,  
utworzono Księstwo Warszawskie, nie wykluczając możliwości, że póź-  
niej kraik ten przejdzie pod rządy Cesarza Aleksandra.

W rozmowie z Cesarzem Aleksandrem Napoleon starał się swego  
świeżego allianta zdobyć nie tylko wyszukaną uprzejmością dla jego  
osoby, ale i troskliwością o powiększenie i powodzenie państwa russkie-  
go. On-to pierwszy zwrócił uwagę Cesarza Aleksandra na fakt, że  
Finlandya może się stać w danym razie niebezpieczną dla jego stolicy,



a więc zdobycie jej było-by już tem samem usprawiedliwionem, ażeby piękności petersburskie nie potrzebowały się trwożyć wystrzałami armat szwedzkich. Co się zaś tycze Turcyi, to od czasu śmierci sultana Selima, która nastąpiła w czasie negocyacji Tylżyckich, Napoleon utrzymywał, że państwo to barbarzyńskie nadal istnieć nie jest w stanie. Unikając też formalnych zobowiązań lub kategorycznych wyrażeń, potrafił on w rozmowie ukazać szerokie widnokreśli, jakie się odkrywały dla tradycyjnej polityki ruskiej, i dawał do zrozumienia, że z tureckiego dziedzictwa znaczna część spadku winna przypaść Rosyji—naturalnie jako owoc, dojrzały w przymierzu z Francją.

Jeżeli nowe źródła, jakimi rozporządzał p. Tatistscheff w opisie wypadków, aż do chwili ukończenia pertraktacji Tylżyckich, przyczyniły się do rozjaśnienia stosunków dyplomatycznych zaledwie w średniej mierze, to inaczej zupełnie mają się rzeczy — w następnych rozdziałach dzieła, traktujących o dobie potylżyckiej, gdy Cesarz Aleksander i Napoleon powrócili do swych stolic. Opowieść, poczynawszy od tej chwili, staje się niezmiernie interesująca, a nowego światła, odtwarzającego nam w pełni kunsztowne i rozległe przedziwo dyplomatycznych zabiegów i trudów, jest dużo, a nawet, rzec można, w imponującej obfitości. Wszystko, co tylko monarchowie wypowiedzieli sobie w korespondencyi oficjalnej lub poufnej, wszystkie rozmowy z ambasadorami i wszystkie instrukcye przesyłane swym ambasadorom, nie mówiąc już o stosunkach ministrów spraw zagranicznych i ich pracy, współrzędnej monarchicznym osobistym interwencyom, zostały przez p. Tatistscheffa odszukane i spożytkowane z sumiennnością i pracowitością, godnymi uznania.

Jak tylko cesarz Napoleon powrócił do Paryża, uważał za stosowne, jak autor utrzymuje, odebrać tękę ministeryum spraw zagranicznych Talleyrandowi, a powierzył ją Champanyemu. Myślą przewodnią tej nominacyi było przypodobanie się potężnemu północnemu aliantowi, którego sprzymierzeniem się z Francją Talleyrand nie bardzo się zachwycał. W Petersburgu odpowiedziano na powyższą uprzejmość usunięciem Budberga i nominacją Rumiancowa, która to samo miała mieć znaczenie, co mianowanie Champanyego. Do Petersburga wysłał Napoleon niezwłocznie generała Savary, który tymczasem, aż do przysłania ambasadora, miał torować wśród społeczeństwa ruskiego drogę dla sympatyj francuskich i utwierdzać Cesarza Aleksandra w tem przekonaniu, że przymierze z Francją a wojna z Anglią będą dla jego rozległego państwa najpożyteczniejszemi.

Savarego zastąpił wkrótce Caulaincourt, i obaj ci orędownicy Napoleońskiej missyi dyplomatycznej działali nietylko konsekwentnie, z niezaprzeczoną talentem i przenikliwością, ale i ze zdumiewającą

prawie zgodnością z wolą i duchem planów swego kapryśnego a nieraz gwałtownego władcy; czynili oni wszystko, co było w ich mocy, aby pozyskać w Cesarzu Aleksandrze życzliwego sprzymierzeńca, przestrzegali w porę Napoleona, gdy przeciągał zbyt mocno strunę, i istotnie udało się im aż do 1809 roku utrzymać stosunki dyplomatyczne na tej stopie, że Cesarz Aleksander, wbrew nieufności, jaką żywiła do Napoleona i Francji cesarzowa matka, najbliżsi jego doradcy oraz część poważna arystokracji ruskiej, uważał się za szczerze oddanego Napoleonowi i zwalczał opozycję nawet w łonie swojej rodziny.

Jeżeli jednak Rumiancow działał zgodnie z polityką Cesarza Aleksandra i starał się lojalnie rozwiać uprzedzenia, panujące wśród społeczeństwa ruskiego względem rewolucyjnej Francji, strzegąc przytem pilnie dobra swego monarchy i państwa, to inaczej się rzeczy miały z hr. Tołstojem, ambasadorem ruskim w Paryżu. Zawiadamiając o jego nominacji Napoleona, Cesarz Aleksander uprzedzał, że Tołstoj nie jest doświadczonym dyplomatą, ale lojalnym i dzielnym żołnierzem. W każdym razie, kimkolwiek był, zawsze z nieprzełamaną uporczywością okazywał się nieufnym i mało życzliwym dla Francji, a niezmiernie troskliwym o powodzenie jej nieprzyjaciół. Wszelki czar i urok, jakimi Napoleon umiał zdobywać potrzebnych mu ludzi, nie zdołały przeniknąć zimnej i odpychającej osobistości ambasadora, który potrafił w otoczeniu Napoleona być nawet nieco szorstkim i objawiał stale talent drażnienia potężnego zwycięzcy. W ciągu też dwóch lat (1807 do 1809), gdy stosunki między dwoma cesarzami stawały się niemal z każdym dniem serdeczniejszymi, i gdy przymierze zapowiadało się trwałem i rokującym zobopólne korzyści, hr. Tołstoj zajęty był wytrwale posiewem podejrzeń i nieufności; podsycał on nieustannie niechęć cesarzowej-matki oraz arystokracji ruskiej i zapobiegł, przynajmniej do pewnego stopnia, rozwinięciu się zbyt serdecznych stosunków między monarchami, a przyczynił się do rozluźnienia przymierza, które w 1812 r. przestoczyło się w zerwanie i otwartą nieprzyjaźń.

Pomnę drugorzędne sprawy, któremi się dyplomacya obu cesarstw zajmowała w dobie od 1807—1809 roku, pozwolę sobie zwrócić uwagę jedynie na najważniejsze kwestye, jakie, podług wyrażenia Napoleona, stanowiły: Prusy, Turcyja i Anglia.

Temi trzema kapitalnemi sprawami zajmowali się nietylko ministrowie spraw zagranicznych wraz z ambasadorami, ale obaj monarchowie pilnie poświęcali im swą uwagę, i czy to w osobistej korespondencji, czy w poufnych rozmowach z ambasadorami, starali się nadać pomyslny obrót swym ulubionym planom politycznym. Dzieło p. Tatistscheffa pozwala nam się dokładnie przyjrzeć tej całej, niezmiernie mi-

sternej, robocie dyplomatycznej, a to właśnie dzięki temu, iż autor, przyjmawszy na się skromne zadanie sprawozdawcze, dał nam w całym brzmieniu najważniejsze i najcharakterystyczniejsze, a przeważnie poufne pertraktacje.

Kwestya pruska, podług dokumentów przytoczonych przez autora, przedstawia się w tonie jak najbardziej ognistym i palącym. Cesarz Aleksander czynił wszelkie wysilenia, aby oszczędzić swemu dawnemu aliantowi pruskiemu upokorzeń i upadku; Napoleon zaś, z przenikliwością wielkiego umysłu, w Prusach upatrywał ukrytego wroga, a w charakterze Fryderyka Wilhelma III nie dostrzegał żadnych uspakajających Francję rękojmi. Że postępowanie Napoleona względem Prus było bezwzględne i że słusznie oburzyło naród cały, temu prawdopodobnie dziś nikt zaprzeczać nie zechce; ale z drugiej strony przyznać trzeba, że Napoleon ze swym usposobieniem dla Prus nie ukrywał się wcale i otwarcie wyznawał, że jedynie ze względu na przyjaźń dla Cesarza Aleksandra nie wykreślił Prus z rzędu państw europejskich. Pokój Tyłżycki pozwolił Fryderykowi Wilhelmowi mieć nadzieję, że prowincye, jego państwu pozostawione, będą w niedalekiej przyszłości opuszczone przez wojska francuskie. Sprawa ewakuacyi była jednak tak dowcipnie zadzierzgniętą przez niewyrozumiałego zwycięzcę, iż urzeczywistnienie się jej mogło być odwiekanem nieustannie. Kontrybucya wojenna bowiem, obciążająca skarb pruski, była tak przygniatająca, iż o uwolnieniu się prędkiem od powyższego ciężaru mowy na razie być nie mogło, a od tego uwolnienia właśnie zależała ewakuacya.

Nie mogąc przyjść finansowo z pomocą Prusom, Cesarz Aleksander wraz z Rumiancowem oględniej, a Tołstoj natarczywiej, przypominali Napoleonowi przyrzeczenie ewakuacyi prowincyi pruskich. Zniecierpliwiony Cezar wyraził raz nawet Tołstojowi zdziwienie, że się tak królem pruskim interesuje, i ostrzegał go, że jeszcze prędzej czy później wypłata on Rossyi za tę troskliwość swą niewdzięcznością figla, a co się tycze opuszczenia prowincyi pruskich, to drażliwą tę sprawę wymijał względami strategicznemi, dając do zrozumienia, że musiał-by w takim razie zażądać opuszczenia Mołdawii i Wołoszczyzny przez wojska russkie.

Napoleon, pomimo znanego mu współczucia i przyjaźni Cesarza Aleksandra do króla pruskiego, nie dał za wygraną planom dyplomacyi russkiej i powracał uporczywie do swej ulubionej myśli, która o wiele przekraczała granicę ustępstw, wymaganych przez Rossyę. Napoleon nie tylko że pragnął przewlec sprawę ewakuacyi prowincyi pruskich, ale chciał anektować Szląsk w zamian za kontrybucyę wojenną, upoważniając przytem Rossyę do uczynienia tego samego z Mołdawią i Wołoszczyzną. Z jakim naciskiem działał Napoleon w tej kwestyi

na Fryderyka Wilhelma, to już dostatecznie wyjaśnili historycy niemieccy, z dzieła jednak p. Tatistscheffa pokazuje się, że Prusy musiały-by niewątpliwie uleść niepohamowanej pożądlivości zwycięzcy, gdy-by nie rycerska lojalność Cesarza Aleksandra, który niejednokrotnie oświadczył, że największych korzyści dla swego mocarstwa wyrzeka się chętnie i stanowczo, jeżeli one mają mu przypaść w udziale kosztem dawnego jego sprzymierzeńca. Sprawa Prus zatem w epoce wzrastającego i kwitnącego przymierza franko-russkiego nie przestała nigdy należeć do palących; w niej tkwił nieustanny pierwiastek jątrzący, który nawet w pogodnych i jasnych dniach, dzięki szorstkości Tołstoja, psuł ogólną harmonię i jedynie skutkiem przyjaznych okoliczności nie mógł przez lat kilka wytworzyć żadnego poważniejszego nieporozumienia.

Przyjazną okolicznością była tym razem potrzeba wciągnięcia Rosyi do wojny przeciw Anglii. Nie chcąc ustąpić ani franka z kontrybucyi pruskiej i ani piędzi z zajętej ziemi, Napoleon musiał w zamian za zerwanie z Anglią ofiarować Rosyi namacalne i to poważne korzyści. Społeczeństwo russkie ciągnęło bowiem ze stosunków handlowych z Wielką Brytanią obfite zyski, przyzwyczaiło się widzieć w Anglii tradycyjnego sprzymierzeńca i nagle przejście do nieprzyjaźni z tem mocarstwem musiało się mu wydać czemś chimerycznem, niesprawiedliwionem bynajmniej najistotniejszymi potrzebami narodu i państwa russkiego.

Dzieło p. Tatistscheffa składa niezbite dowody na to, z jakim mistrzostwem potrafiła inspirowana przez Napoleona dyplomacya francuska usunąć wątpliwości, nastroczające się Cesarzowi Aleksandrowi, i złagodzić opozycyę, żywioną otwarciem pośród arystokracji russkiej. Niedomówione w Tylży frazesy, wskazujące na Rossyę, jako na głównego dziedzica w spuściźnie tureckiej, były w epoce 1807—1809 r. wielokrotnie na nowo podejmowane i zajęły monarchom, zarówno jak i dyplomacyi, dużo czasu. Napoleon wiedział dobrze o tem, że Rumiancowa pragnienia i myśli dążyły do półwyspu Bałkańskiego i że ofiarowaniem Konstantynopola można go było skłonić do niezwykłych ustępstw; za przypuszczenie jednak Rossyi do udziału w spadku, pragnął sam równoważnego wynagrodzenia i wszelkie plany rozbijały się o aneksyę Szląska.

Pozostawiwszy zatem kwestyę podziału Turcyi w rozmyślnem zamieszeniu, postanowił Napoleon zdobyć sobie polityków oficjalnych i nieoficjalnych Rossyi zapewnieniem temu mocarstwu rzetelnych korzyści. Znowu więc wskazał dyplomacyi russkiej na Szwecyę, dotąd wierną alliantkę Anglii, jako na geograficznego wroga Rossyi, a na Finlandyę jako na przyszlą prowincyę russką. W myśl Napoleona postą-

pił Cesarz Aleksander i w roku 1808 Szwecya uległa w nierównej walce. Pozyskanie Finlandyi stanowiło zatem ów materialny pożytek, który, jakkolwiek wplątał Rosyję w kilka wojen, był jednak naleyście wyzyskany przez dyplomacyę francuską.

Przedewszystkiem pożytkiem tym pozyskany był sam Cesarz Aleksander dla swego sprzymierzeńca, i zgadzając się też na wszelkie jego wiwisekcy polityczne we Włoszech i w Hiszpanii, a nawet z pewnemi zastrzeżeniami i w Niemczech, począł wierzyć, że wiwisekcy w Turcyi, w której miała i Austria wziąć udział, zostanie nareszcie przez dyplomacyę doprowadzoną do skutku. Tem bardziej mógł się pomysłnego rozwiązania tego, dotąd gordyjskiego, węzła, spodziewać, że Napoleon roztoczył przed nim prawie fantastyczne plany zaatakowania wspólnego z Rosyją i Austryą Indyi Wschodnich, i to drogą lądową, aby tym sposobem złamać ostatecznie upór Anglii. Gdy wyznaczenie tureckich łupów natrafiało na coraz to nowe trudności, Cesarz Aleksander przypisywał opóźnienie rozwiązania uprzedzeniom dyplomacyi i, pamiętny przyjaznych dni w Tylży, pragnął nowego spotkania się z Napoleonem, będąc pewnym, że kilka dni osobistego porozumienia się starczą za lata dyplomatycznej targowicy,

Napoleonowi spotkanie było również na rękę. Uwikłany na dobre w Hiszpanii, dostrzegł on wcześniej uzbrojenia niezwykle Austryi, które mogły być jedynie przeciwko niemu zwróconemi. Pragnął zatem zdobyć sobie sprzymierzeńca w Cesarzu Aleksandrze przeciwko Austryi i ufał, że wpływ osobisty posłuży mu ku temu celowi lepiej niż najsprawniejsza dyplomacya. Zjazd w Erfurcie (1808) potwierdził jego oczekiwania. Wprawdzie Cesarz Aleksander doszedł do tego przekonania, że wyrachowanie polityczne panuje u Napoleona wszechwładnie nad wszelkimi innymi uczuciami; wprawdzie postradał wszelkie illuzye i rozwiały się jego nadzieje, jakie w osobistem spotkaniu pokładał: ale z tem wszystkiem nie cofnął się od przymierza przeciw Austryi, i to nie otrzymawszy wzamian żadnego określonego wyrażnie przyrzeczenia.

Nietylko do epoki kwitnącego franko-russkiego przymierza, które w 1809 r. rozchwiewać się poczyna, zawiera dzieło p. Tatistscheffa wiele nowego światła. Te same zalety można mu przyznać i w skreśleniu doby od 1809 do 1812 roku.

Najkardynalnieszym powodem oziębienia stosunków między obu cesarzami było, jak to źródła podane przez p. Tatistscheffa najwyborniej stwierdzają, Księstwo Warszawskie. Już w Tylży Cesarz Aleksander domagał się zapewnień, że z zaboru pruskiego powstałe księstwo nie będzie nosiło cech narodowościowych, a tem samem nie stanie się widmem przeszłości, zagrażającym prowincjom Cesarstwa. Nie-

tylko, że dano wówczas Cesarzowi Aleksandrowi należyte gwarancje, o czem wstęp do samej konstytucyi Księstwa przekonywa, ale nawet w przyszłości pozwolono się spodziewać, że Księstwo przejdzie pod berło monarchy rosskiego. W przeddzień wybuchu wojny z Austryą dyplomacya russka, zarówno jak i sam Cesarz Aleksander, przypominali Napoleonowi, że powiększenie Księstwa kosztem zaboru austriackiego sprzeciwiało-by się najistotniejszym interesom Rossyi i było-by urągówiskiem a nie wynagrodzeniem za wierne dotrwanie w przymierzu.

Jakkolwiek też wojska russkie nie kwapiły się ze zbytnią pomocą w zwyciężaniu Austrii, nie mniej wszakże sam fakt, że Rossya dotrzymała w krytycznej chwili przymierza Francyi, nakazywał oczekiwać po Napoleonie większego oszczędzania drażliwości Cesarza Aleksandra. Tymczasem, najprzód odnawiano dawne przyrzeczenia niepowiększenia Księstwa, następnie obiecywano rozdzielić Galicyę i część wschodnią ze Lwowem wcielić do Rossyi, a w końcu przyłączono prawie całą Galicyę do Księstwa, oddzieliwszy mały tylko jej skrawek do Rossyi. Jeżeli jeszcze dodamy i ten wzgląd, że podczas całej kampanii 1809 r. wytworzył się drażniący stosunek między wojskami Księstwa a korpusem russkim, to ukaże się nam w całej pełni najważniejszy powód rozczarowań Cesarza Aleksandra do przymierza z Francją.

Do tego dołączyła się jeszcze druga przyczyna, więcej osobistej natury, lecz która w połączeniu z pierwszą odegrała dość wielką rolę w dziejach rozchwiania się przymierza. Już w Erfurcie postanowił Napoleon rozwieść się z Józefiną i starać się o rękę którejś z Wielkich Księżniczek dworu rosskiego. Na razie trudności się nagromadziło zbyt dużo, pomimo, że Cesarz Aleksander nie okazywał się stanowczo nieprzychylnym powyższemu związkowi. Po zawarciu pokoju w roku 1809, Napoleon wystąpił już oficjalnie z prośbą o rękę Wielkiej Księżniczki Anny, lecz opór cesarzowej-matki udaremnił wszelkie starania. Zaraz po odmowie, Napoleon wystąpił z prośbą o rękę arcyksiężniczki austriackiej i otrzymał ją tak szybko, że Cesarz Aleksander nie mógł się na razie uwolnić od tego przykrego wrażenia, że Napoleon odbywał swe zaloty jednocześnie na obu dworach.

Od tej pory za dużo było powodów do nieufności i za dużo obrażonej miłości własnej z obu stron, aby dawne potylżyckie stosunki utrzymać się były w stanie. Wprawdzie jeszcze w r. 1810 Caulaincourt z Rumiancowem podpisali konwencyę, która Księstwu starała się ściśle zachować charakter prowincyi saskiej; ale gdy powyższa konwencya nie zyskała podpisu Napoleona, stosunki poczęły się rozluźniać i w miejsce Caulaincourt'a posłano do Petersburga Lauristona. Od tej pory praca dyplomatyczna zdradza coraz to większą impetyczność Napoleona, z którą poczucie niepojętej wszechmocy szło w parze. Listy

zaś Cesarza Aleksandra, zarówno jak i pertraktacye jego ministrów, cechuje zimna krew, oszczędzająca miłość własną nienasyconego Cezara i nie pozwalająca sobie na żadną przedwczesną prowokacyę.

Pozwolę sobie jeszcze zwrócić uwagę czytelnika na missyę Bałaszowa, który z listem Cesarza Aleksandra, ostatnim, jaki do Napoleona został napisanym, udał się do głównej kwatery francuskiej w chwili, gdy już wielka armia przeszła Niemen, a wiec w momencie, gdy Napoleon przedstawiał się Cesarzowi Aleksandrowi, zarówno jak i całemu narodowi russkiemu, jako najeźdźca. List Cesarza Aleksandra, przywieziony przez generała Bałaszowa, był pełen godności w tonie spokojnym a umiarkowanej stanowczości w wyrażeniach. Cesarz Aleksander zwraca uwagę Napoleona na tę okoliczność, że nie dał żadnego istotnego powodu do najazdu swych państw. Jeżeli więc Napoleon nie chce istotnie rozlewu krwi, upozorowanego jedynie nieporozumieniem dyplomatycznym, wówczas Cesarz Aleksander gotów jest niemiłe wypadki ostatnich tygodni uważać za niebyłe, i w razie cofnięcia się wojsk francuskich za Niemen, rozpocząć rokowania, do zgody prowadzące. W przeciwnym zaś wypadku musi uważać Napoleona za nieprzyjaciela, którego nie prowokował żadnym czynem.

Zanim generał Bałaszow otrzymał odpowiedź na list powyższy, miał z nim Napoleon dłuższą rozmowę, którą w całości przytoczył p. Tattischeff. Rozmowa jest niezmiernie charakterystyczną i uplastyczniającą wybornie dwie potęgi odmiennej natury, lecz olbrzymich rozmiarów. W przemówieniach Napoleona czuć świadomość geniuszu militarnego, spowitego nieśmiertelnym wawrzynem, który prócz tego wstąpił na ziemię cesarską z armią, jakiej świat cywilizowany dotąd nie oglądał. Zdawało mu się zatem, i nie bez pewnej słuszności, że słowa jego przerażać będą swą marsową grozą i że Cesarz Aleksander nie zechce wystawiać swego państwa na ciosy tak potężne, jakie dla niego umiejętnie przygotował.

Generał Bałaszow ze swej strony objawił wysokie poczucie siły, jaką w danej chwili nosował. Wiedział on dobrze, że wobec lekceważącego Rossyę Napoleona reprezentuje swego monarchę, honor armii i przywiązanie narodu do swej ojczyzny. To przeświadczenie dawało niezmierną trafność i ciętość jego odpowiedziom, a czasem znajdowała się w nich i przymieszka wyrafinowanej ironii. Gdy Napoleon wyraził zdziwienie, że Moskwa posiada tyle cerkwi i dołączył do tego wątpliwość, czy istotnie są uczęszczanemi, zapewnił Bałaszow, że tak jest w istocie, gdyż lud russki jest z gruntu pobożnym; na zarzut zaś, że w czasie obecnym pobożność w tym stopniu jest prawie niemożliwą, otrzymał Napoleon nowe objaśnienie, które nieco zasepiło wielkiego wodza. Istotnie, rzecze Bałaszow, we Włoszech i w Niemczech, być

może, że lud nie jest pobożnym, ale pozostał on nim w Hiszpanii i w Rosyi. Nieszczęśliwiej powiodło się również Napoleonowi z zapytaniem: „jaka jest najlepsza droga do Moskwy?” Bałaszow bowiem odpowiedział mu szybko: „jestem nieco zakłopotany tą kwestyą; Rosyianie mówią tak samo, jak i Francuzi, iż wszystkie drogi prowadzą do Rzymu; otóż i drogę do Moskwy obiera się stosownie do woli, a Karol XII dążył do niej na Połtawę”:

Odsyłając czytelnika do bogatej treści, zawartej w dziele p. Tatistscheffa, pozwolę sobie w końcu nadmienić, że autor najzupełniej dotrzymał przyrzeczenia, wyrażonego we wstępie do swej pracy; przedstawiając dokładnie źródła, wcale nie lub mało znane, zachował wszędzie wzorową przedmiotowość i nie przybierał nigdy tonu lekceważącego lub namiętnego, jaki cechuje szowinistycznych historyzofów niemieckich doby obecnej. Czy p. Tatistscheff spożytkował w całej rozciągłości materiały rękopiśmienny, archiwalny? o tem będzie mógł sądzić tylko ten, kto tenże sam materiał dokładnie przestuduje. Z listów jednak i rozmów, przytoczonych przez p. Tatistscheffa, w pełnem brzmieniu, można się przekonać, że opowieść uzupełniająca źródła starał się dostroić do tego samego tonu, i unikając jaskrawych barw, oraz efektownej frazeologii, ubiegał się przedewszystkiem o jasność i ścisłość w opowieści historycznej. Z powyższych wyrażonych przyczyn, sądzę, że dzieło p. Tatistscheffa do dzieł franko-ruskiej dyplomacji będzie ważnym przyczynkiem i zachowa w literaturze historyczno-politycznej trwałą wartość.

---

*Kraushar.* Zatarę IMCI Pana Łukasza Konopki z miastem Toruniem. Kartka archiwalna (1742—1753). Kraków, 1895. (str. 82).

Słusznie autor uczynił, nie włączając powyższego studjum archiwalnego do zbioru drobiazgów historycznych; doniosłość bowiem sporu jurysdykcyjnego, zachodzącego między sądami zadwornymi, asesorskimi a trybunałem koronnym, jaki został w powyższej pracy opisanym, nadaje jej znaczniejszą od wszelkich drobiazgów wartość historyczno-prawną.

Do studjum powyższego zachęcił autora p. Estrejcher, powodując się tem, że p. Kraushar lubi obrabiać sprawy awanturnicze. Na awanturach zaś w sprawie zatargu IMCI Pana Konopki nie brakło; był tam bowiem, między innymi, najazd na Toruń, z armatą, granatami, z postrzelaniem szlachty i istną batalią z żołnierzami miejskimi. Mając



zwróconą uwagę na ciekawy i charakterystyczny fakt, autor, ze zwykłą sobie starannością, za pomocą studyów archiwalnych, przeistoczył go w miniaturowy obrazek historyczno-prawny, rzucający jaskrawe światło na epokę rozpasania i anarchii za panowania drugiego Sasa w dawnej Polsce.

Powód do zatargu powstał w następujący sposób: niejaki Szymon Behm, mieszczanin i kupiec toruński, w charakterze dostawcy rekwizytów wojennych, wystawił był jeszcze w roku 1670 dokument pieniężny na 1000 węg. florenów na rzecz Kowalkowskiego, i oblig ten w aktach grodzkich gostyńskich oblatował. Po śmierci Kowalkowskiego, Łukasz Konopka, kapitan artylerji królewskiej, wywodząc swoje prawa spadkowe, pomimo poprzedniej tranzakcy i przedawnienia, zapozwał synów dłużnika Behma przed Trybunał Piotrkowski, jakoteż i cały magistrat Toruński, w którego radzie Behmowie zasiadali, jako rajcy, domagając się zasądzenia od pozwanych powyższej kwoty z procentami i kosztami.

Pozew Konopki, przybity na drzwiach magistratu Toruńskiego, nie sprawił na pozwanych żadnego wrażenia. Ufny w swe przywileje, magistrat Toruński uważał wystąpienie Konopki za czczą pogroźkę i na termin sprawy prokuratora swego do Piotrkowa nie posłał, będąc przekonanym, że Trybunał z urzędu niekompetencyę swoją w wywołanej sprawie wyrzeczy. W dniu jednak 2 kwietnia 1740 r. Trybunał, uznawszy zaoczność pozwanych, skazał ich na zapłatę sumy z procentami i kosztami, pod groźbą banicy wieczystej, a jednocześnie wydanym został wojewodom i starostom Ziem Pruskich mandat do wykonania dekretu na miejscu. Dekret trybunalski przedstawiony został do wykonania wojewodzie malborskiemu, Przebendowskiemu, który wydelegował burgrabiego do czynności, lecz gdy magistrat toruński sprzeciwił się ufundowaniu jurysdykcyi w mieście, burgrabia, w assystencyi brata powoda, Jana Konopki, i kilku świadków, ze szlachty okolicznej wybranych, zeszedł w d. 4 października 1740 r. na grunta wsi Grębocina i postanowił majątek ten zająć.

Na miejscu jednak sekretarz magistratu podniósł protekst przeciw zajęciu, a magistrat prócz tego odwołał się w drodze skargi do sądu asesorskiego z żądaniem kasacyi wyroku trybunalskiego i ostrzegł wojewodę Przebendowskiego o wszczętym sporze jurysdykcyjnym, aby go aż do jego rozstrzygnięcia od egzekucyi dekretu trybunalskiego powstrzymać. Trybunał, nie uwzględniając postępowania prawnego magistratu, nakazał dekretem z 9 marca 1741 r. wojewodzie sumę przysądzoną egzekwować i, dla osłonięcia go przed następstwami wdania się władz krajowych, wydał dlań oddzielny mandat wykonawczy.

Gdy w lipcu 1741 r. zjawiła się przed wrotami Grębocina delegacya, zastała na miejscu zastęp żołnierzy miejskich, gotowych do walki, cofnęła się więc z reprotestacyą, a Trybunał dnia 6 marca 1742 r. uznał całe miasto Toruń za buntownicze (rebellum), polecił chwycić, gdzie się tylko zdarzy, towary mieszczan, aresztować kupców i egzekucyę na miejscu wykonać. Ze swej strony miasto pozyskało od króla inhibicyę, to jest zakaz prowadzenia egzekucyi, z uwagi na wiszący i dotąd nie rozstrzygnięty w sądzie zadwornym spór o właściwość sądu.

Wojewoda malborski wołał się narazić na niełaskę króla, niż okazać nieposłuszeństwo dekretowi Trybunału; rozesłał też do szlachty uniwersały, aby się w dniu oznaczonym zgromadziła i wymusiła poszanowanie dla władzcy sądowej. August III uważał za stosowne wystąpić z kontr-uniwersałem, w którym aż do decyzji królewskiej, w sądach asesorskich, zakazuje miasto Toruń w jakikolwiek sposób obciążać. W miesiąc niespełna po wydaniu uniwersału królewskiego, przypadł w sądzie zadwornym termin sprawy. Konopka zażądał zwłoki w celu zebrania dowodów, a gdy sąd zadworny przychylił się do tego żądania, wstrzymując postępowanie egzekucyjne z mocy trybunalskich dekretów, Konopka zwrócił się do wojewody z naleganiem o egzekucyę, sam zaś, zebrawszy kupy niesfornej szlachty, zaczął napadać na mieszczan, łupić ich towary, a wojewoda wydał nowy uniwersał do szlachty, oznaczając w nim dzień orężnego zajazdu.

Na ten dzień Toruń przygotował się należycie: rozstawiono waraty na walach miejskich, zgromadzono żołnierzy w cekauzie, opatrzone ich w granaty, proch i kule. Ponieważ siła wojskowa Torunia była stosunkowo niewielką, wydał magistrat odezwę do cechów, by rzemieślnicy toruńscy uzbrojeni skierowali się ku Grębocinowi. Taką odezwę wydał magistrat i do chłopów po wsiach okolicznych. Owa zaimprovizowana armia udała się do Grębocina i, spędziwszy przedewszystkiem inwentarz z pól, ukryła go po przedmiejskich budynkach. Widząc, że Toruńczanie na serwo biorą się do obrony Grębocina, Konopka ze swemi hufcami cofnął się w okolice Rychnowa i wieś tę, do Torunia należącą, zajął. Na tę wiadomość magistrat toruński wydał rozkaz, by chłopci pozostali w Grębocinie a reszta siły zbrojnej podążyła do Rychnowa i wypędziła stamtąd Konopkę. Zamiar powiódł się miastu najzupełniej i swawolna kupa Konopki została rozpedzoną na cztery wiatry, po dość obfitym krwi rozlewie.

Po tej oryginalnej batalii, w której brat Konopki poległ a żona wraz dziećmi dostały się do niewoli, rozpoczęły się skargi Konopki na pogwałcenie dekretów trybunalskich, za które szły śladem repliki magistratu toruńskiego. Konopka znowu przeniósł sprawę swoją do trybunału, lecz tym razem trybunał uznał pretensye powoda za niepo-

dlegające forum trybunalskiemu i takowe do sądu zadwornego odesłał. Zdawało-by się więc, że sprawa nareszcie zakończoną zostanie. Tymczasem, gdy sąd zadworny rozpoczął swe czynności, Konopka w roku 1744 występuje na nowo przed Trybunałem piotrkowskim o gwałty, przez magistrat na osobach ich przy tradycyi Rychnowa i ekspulsiyi spełnione, i zyskuje dekret, nakładający na magistrat toruński karę banicyi wieczystej.

W r. 1756 sprawa zatargu Konopki odżyła w pierwotnej swej postaci. Trybunał przysądził poszkodowanemu wynagrodzenie szkód, dawną sumę tysiąca florenów i nakazał Konopków wprowadzić w posiadanie dóbr miejskich Rychnowa. Milczą źródła, w jaki-to sposób wykonany został wyrok banicyi miasta Torunia, to tylko pewna, że miasto ostatecznie sprawę przegrało i całkowitą dochodzoną sumę z procentami i kosztami rodzinie Konopków zapłacić musiało.

Z pobieżnej opowieści zatargu przekonać się można, jak ciekawą i ważną jest treść archiwalnego studyum, napisanego przez p. Kraushara. Dla ustroju sądowego w dawnej Rzeczypospolitej zawiera praca powyższa wiele cennych szczegółów; również możemy się z niej przekonać, jak szlachta w XVIII wieku traktowała miasta królewskie, i to miasta świadome swej siły, do jakich niewątpliwie należał Toruń. Co się tycze wyroku banicyi wieczystej przeciw całemu miastu, to ten wymierzony mógł być tylko przeciw magistratowi, jako reprezentującemu osobę prawną municypium; ale z drugiej strony widzimy, że Trybunał, upoważniając do łupienia kupców i do napadania na nich wszędzie gdzie się dało, zaprowadzał monstualny pogląd na prawa miejskie i na pojęcie wieczystej banicyi. Historykom więc prawa polskiego praca p. Kraushara daje powód do głębszego zastanowienia się; jest ona też interesującą i pouczającą w całym znaczeniu tego słowa i na nazwę drobiazgu historycznego nie zasługuje w żadnym razie.

A. REMBOWSKI.

---

„Z dogmatem.” Powieść *Michała Wołowskiego*. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1894. — „Przemysłowcy.” Powieść *Maryi Milkuszye*. Nakład Księgarni G. Cennerszvera. Warszawa, 1894.

Gdyby t. zw. „pocziwe intencye“ starczyły do napisania powieści, a raczej gdyby ją zastąpić mogły, nie trudno było-by o arcydzieła, do których i „Z dogmatem“ Michała Wołowskiego zaliczyć-by wypadało. W utworze tym autor przenosi czytelnika w wyższe sfery ideału,

oderwać go od poziomych ścieżek życia pragnie, wskazując mu cele, dla zwyczajnych zjadaczy chleba niedostępne. „Dogmatu“ trzymać się każe oburącz, żyć sercem i poświęceniem—aż do fanatyzmu.

I nicbyśmy przeciw temu nie mieli; nawet przeciw onemu mglistemu tonowi symbolistyki jakiejś Ibsenoskiej, w jakim utrzymana jest książka, gdyby, na wzór Ibsena, Wołowski, dążąc do ideału, w motywach swoich i argumentacji trzymał się ziemi, gdyby dążenia swoje wcielał w ludzi, bodaj najekscentryczniejszych, ale na podobieństwo czytelnika stworzonych, a obracać im się kazał na tym naszym zwyczajnym świecie po ludzku — zrozumiale. Boć wolno jest autorom mieć jakiegobądź-by chcieli przekonania i oprawiać je w ramy powieści, ale nie wolno przykładami, czerpanymi, dajmy na to, z Marsa, popierać je w umysłach mieszkańców ziemi, tej naszej *globosa et rotunda*, okrągłość jeno i kulistość mającej wspólne z pierwszym.

Że autor, ojca, któryby umierając, młodzieńką córkę, dziecko prawie, panią czynił życia i śmierci trzech starszych od niej braci, nakazując jej, aby strzegła w rodzinie „dogmatu“, a w razie potrzeby nie wahała się *zabić* (sic) zapominającego o nim, że autor, powtarzamy, ojca takiego nie spotykał za byle węglem ulicy, o to się chyba sprzeczać nie będziemy; ale, że autor figurami takimi, choćby symbolicznymi, rzuca nam w oczy, nie starając się ich zgoła uprawdopodobnić, jak gdybyśmy się z nimi z dawien dawna znali, jak gdyby je nasza *rotunda et globosa* na kamieniach rodziła—o to posprzeczać się musimy.

Ojca, Marka Trzaskę, jeszcze nam jako tako umiłowanie „dogmatu“ tłumaczy; ale jakimże cudem, a jeżeli autor woli, jaką drogą, jakim prawem, z pod rąk mu się takie wydostały dziwołagi, jak trzej synowie jego: Kazimierz, Józef i Ryszard, skoro jednocześnie te same ręce wyhodowały Zuzię, tego najwyższego sędziego braci, ten czystością swoją aż niezrozumiął brylant?

Ba! znamy wypadki, gdzie siostry słabą wrzekomo dłonią niewieścią ratowały przed zagładą braci i dogmata, ale je ku temu krok za krokiem prowadziło życie, one zaś zgodnie z prawami jego krok za krokiem dochodziły do celu; nie słyszeliśmy jednak nigdy o kapłanach takich „z bożej łaski“, podejmujących się, a co więcej, dorastających kapłaństwa „na komendę.“

A ci trzej bracia? Wszakci z pewnością z dogmatem w sercach opuszczali dom takiego ojca, Marka, gdy ich po Amsterdamach, Londynach i Paryżach szukać nauki i doświadczenia wysyłano; skądże więc już w porze, w której ani pierwszej, ani drugiego, zdobyć czasu nie mieli jeszcze, tacy nam się wyzuci z ideałów przedstawiają? Ideały! Opadają one tam, gdzie były, listek po listku, a czasem gwałtowna zrywa je do razu burza, i to nie z wiosną, boć, wiadomo, w porze tej

zieleni upoczywie się pnia trzyma, ale nie giną na zawołanie najzdolniejszego nawet powieściopisarza.

No, a przytem raz zatracone, jakże trudno, jeżeli to wogóle możliwe, powracają. Nie wierzymy też zgoła w pobratanie się z dogmatem takiego Józefa Trzaski, najpospolitszego maklera giełdowego, i to w najgorszym gatunku, którego Zuzia bez pardonu *zabić* powinna była (na co autorowi zabrakło odwagi), ani nie trafia nam do przekonania łatwość, „cudowność“ niemal środków, któremi chwiejne lub uspięne ideały budzi do życia i utwierdza w sercach Kazimierza i Ryszarda owa siostra, narzeczona i przyjaciółka-bohater; bo do nawróconych przez Zuzię należą także: „po drodze“ od niechcienia zdobyty narzeczony w osobie niemrawego, dopóki jej nie poznał, księcia Tarczy, i zepsuta, dopóki się z nią nie zaprzyjaźniła, córka bankiera wiedeńskiego, Emma, bankiera, w którego mętnych spekulacjach wszystkie tu niemal wymienione osoby utonąć miały wraz z „dogmatem“, gdyby nie kapłanka—Zuzia.

Ale nietylko osoby działające w powieści podane nam są jedynie na zasadzie autorskiego *bon plaisir*, akcja jej równie dowolnem płynie korytem. Ileż w niej sytuacji na pewno „nie obserwowanych“, a które, party chęcią wywoływania efektów przerastających siłę pióra, śrubuje autor na szczydła, wszelką w końcu tracąc miarę. *Exempli gratia*: scena śmierci Marka Trzaski, okraszona przedrukami całych stronic z „Glossy św. Teresy“, a wypiętrzona aż do kapitalnego: *zabij*, przed którym błędnie nawet osławione *tue-la* Dumasowskie, w utworze bowiem Wołowskiego mordować ma młoda dziewczyna własnych braci; opis przyjęcia u bankiera, na którym z paryskimi salonami obyty Kazimierz zachowuje się niby parobek i, zawsze *dla większego efektu*, wobec liczego, kobiecego w części, towarzystwa, częstuje jedną z osób nie tylko obelgami, ale i kartą, jak trafia objasnia autor, z bocznej kieszki fraka dobytą, poczem „wsadza przeciwnikowi koniec szpady ponad obojczyk, sam z tego pojedynku najłżejszej nawet nie odniósłszy ranki.“ A te *familijne* obiady, wyprawiane w Wiedniu przez zamieszkałą chwilowo nad Dunajem dla ratowania braci Zuzię, obiady, w czasie których tak ona, jak i oni, postępowaniem swoim wykazują jeno próżne szamotanie się pióra z czemś, czego pochwyć nie umie; a te konne przejażdżki panny Trzaski i szalone skoki; te strzały jej, dwa-naście kul jedna za drugą lokujące w murzę; to laboratorium jej chemiczne; ta wytrawna gra na giełdzie; to mazgajstwo Ryszarda i tego jego runy, a wreszcie te Karpaty w Chranowskiem z dojazdem z Tar-nowa!

Pewna dziennikarska łatwość władania piórem, parę niezłych scen szantażu giełdowego, pomysłowość w ogólnym zarysie fabuły i po-

prawna dość kompozycya, oto, prócz wspomnianych wyżej „pocziwych intencji“, dodatnie strony utworu, któremu zresztą już samym tytułem utrudnił autor życie. Z konieczności przywodzi on na pamięć jedno z arcydzieł literatury naszej bieżącej, co, jakkolwiek obyło się „bez dogmatu“, więcej jednak na rzecz dogmatu przyniosło. A nie dobrze jest ze zwyczajną świeczką stawać obok słońca.

Zbyt szablonowo, zwłaszcza w zakończeniu powieści, dobywając się na wierzch „pocziwe intencje“ Maryi Milkuszyce, oto wszystko, co w „Przemysłowcach“ jej przypomina „Z dogmatem.“ Cechuje pierwszych jakaś szczerłość i *laisser-aller* natchnienia i roboty, sympatycznie bardzo oddziaływające na czytelnika. Drobnemi tu jeno szparkami, nie siląc się na obejmowanie rozległych horyzontów, spogląda autorka w świat boży i z pewną pogodną pół-ironią, bezpretensjonalnie opowiada, co dostrzegła. W niewielkiej, niecałe 200 stronic obejmującej książce, „przegalopowała“, że się tak wyrażę, treść dwóch aż powiastek, a raczej dzieje dwojga tak nic nie mających z sobą wspólnego, że bodaj czy nawet z widzenia znających się, bohaterów: Loli Szpakowskiej i Władysława Czarkowskiego.

Zasługą powieści jest przedewszystkiem wprowadzenie do niej i wcale niezłe przedstawienie nowego typu w osobie Loli, córki naturalnej prezesa Sokolnickiego. Wychowywana pomiędzy matką, gospodynią tego ostatniego, kobietą prostą, w dziecku swem zaślepioną, a ojcem, który, jakkolwiek nie przyznawał się do łączących go z nią stosunków, szczerze był do niej przywiązany i wszelkim jej kaprysom ulegał. Świadoma dwójznanego położenia swego, od dzieciństwa przywykła je wyzyskiwać, a przytem na schwał piękna, wyrosła na okaz wspaniałej egoistki, zimnej jak gład; dbającej jedynie o zapewnienie sobie jak najwygodniejszego bytu. Wierna naturze swej, po śmierci prezesa, na chłodno oddaje rękę człowiekowi, który, wedle jej obliczeń, skutecznie pomagać jej miał w zbieraniu grosza, a gdy się na nim zawiodła, kupuje od niego rozwód i wychodzi powtórnie za zdeklarowanego szubrawca, ale patentowanego geszeftsmana — a tego jej przedewszystkiem potrzeba było. Skrupułu jakowegoś ani się w niej dopatrzeć, wszakże gdy, w początkach jeszcze pożycia z pierwszym mężem, zabrakło jej gotówki na poprowadzenie magazynu wielkim założonego kosztem, bez najmniejszego wyrzutu sumienia znalazła radę w kasie pewnego bankiera, oddawna umizgającego się do niej. Lolę naszkicowała autorka z zacięciem, z wielką prawdą i konsekwencyą, choć pobieżnie, a smak, który ją ustrzegł od przeciągnięcia struny

w charakterystyce, tak łatwo dającej ku temu sposobność, figury, stanowczym jest dowodem talentu.

Mniej za to dowodów jego wykazują szablonowe postacie Władysława i żony jego, uosabiające prześladowaną przez złych i słabych ludzi, ale wynagrodzoną ostatecznie przez bogatego stryjaszka cnotę. Szkoda, iż na zakończenie pod wielu względami udatnej powiastki opiesem wzorowej na wsi gospodarki Czarkowskiego dosięgła autorka szczytu banalności. Na zarzut również zasługują ustępy początkowe, zbyt przewlekłej biografii Sokolnickiego poświęcone, figury, akcją swoją w dalszym ciągu nie usprawiedliwiającej tego drobiazgowego zajmowania się nią od pieluszki; należało raczej pogłębić charakterystykę czynniejszej znacznie i ciekawszej postaci drugiego męża Loli, Raszowskiego. Jak Marki po piekle, że użyjemy dosadnego określenia, spacerują po powiastce samopas, na nic jej nie przydatni: Rudzki i Tański, a nawet szkodliwi, bo oni-to właśnie, nie mając nic lepszego do roboty, tak nam długo, przy śniadanku u Stępka, w niezłym zresztą dialogu, życiorys prezesa wykładają.

Z prawdą a sympatycznie nakreśliła za to autorka sylwetki bogatego stryjaszka i Katarzyny, matki Loli.

W. KARCZEWSKI.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Po pierwszych zwycięstwach Japończyków nad Chińczykami na na lądzie i na morzu, nastąpiła chwilowa przerwa w działaniach wojennych. Wyparowawszy zupełnie z Korei wojska chińskie, Japończycy zaczęli się przygotowywać do wtargnięcia na terytorium Chin właściwych. Do chwili, w której to piszemy, przygotowania owe jeszcze trwają. Słychać o coraz nowych wysyłkach wojsk japońskich, podczas gdy Chiny starają się także koncentrować wojska nad granicą Korei. Chiny jednak nie poprzestały na tem, lecz rozwinęły również akcyę dyplomatyczną dla zainteresowania Europy swemi losami. Udało im się mianowicie skłonić Anglię do zaproponowania innym państwom europejskim, aby wystąpiły z interwencją na korzyść Chin i powstrzymały zwycięski pochód wojsk japońskich, podobnie jak w swoim czasie Austria powstrzymała pochód zwycięskiej armii bułgarskiej w głąb Serbii. Państwa europejskie, przedewszystkiem zaś Niemcy, odpowiedziały odmownie, skutkiem czego wypadki wojenne będą się mogły rozwijać w dalszym ciągu z całą swobodą. Jedynym skutkiem wystąpienia Anglii jest na razie to, że lord Rosebery ściągnął na siebie gorzkie wymówki swoich współziomków, którzy mu zarzucają w prasie, że lekkomyślnie naraził na szwank powagę Anglii. Zarzuty te były-by słuszne, gdyby lord Rosebery naprawdę przypuszczał, że propozycya Anglii zostanie przez Europę przyjęta. Możliwe jest wszakże, iż nie liczył on na to, lecz opierał kombinacyę na innych motywach. Może



interweniował na rzecz Chin w zamian za jakieś korzystne dla Anglii zobowiązania z ich strony, nie przyrzekając zresztą, że interwencya ta odniesie pożądany skutek. Chiny czują się w tej chwili bardzo upokorzone i bardzo nieszczęśliwe — mówimy naturalnie przedewszystkiem o rządzie, który też skłonny jest do wszelkiego rodzaju obietnic i ustępstw.

Podrażnienie ambicyi chińskiej skutkiem doznanych porażek jest tym razem tak wielkie, że można się po niem spodziewać doniosłych następstw. Już teraz cesarz chiński—po raz pierwszy się to zdarzyło—przyjął osobiście na audyencyi posła angielskiego w tej części pałacu, do której aż dotąd posłowie zagraniczni nie mieli dostępu. Wydaje się to nam, Europejczykom, błahostką; w oczach Chińczyka jest rzeczą ważną tak dalece, że o tę właśnie sprawę audyencyi ambasadorskich toczyły się niedawno jeszcze długie rokowania z Anglią i Francją, rokowania tak poważne, niekiedy groźne, jakby chodziło o coś naprawdę wielce doniosłego. Skoro teraz, pod naciskiem niepowodzeń, cesarz chiński zrobił własnowolnie krok, do którego dawniej Europa nadaremnie usiłowała go przymusić, świadczy to o zmianie nastroju. Tej zmiany wpływ rozciągnąć się może na rzeczy inne także, oprócz etykiety. Dlaczego mała i pogardzana przez Chińczyków Japonia pobiła wielkie i dumne Chiny? Pytanie to stawia się teraz samo przed chińską zaśniedziałością, która nie będzie mogła odpowiedzieć na nie inaczej, jak w duchu reform. Japonia pobiła Chiny wyższością urządzeń wojskowych, przejętych od Europy. Niemcy nazywają wojnę obecną „Kulturkrieg.” Jest to o tyle słuszne, że wyższa cywilizacya odnosi w tej wojnie podwójne zwycięstwo nad niższą: na polach bitew i w umysłach mandarynów chińskich. Jeśli Chiny skorzystają z danej sobie przez Japonię lekcyi pogładowej o korzyściach europejskiej techniki i jeśli zaczną się uczyć i organizować, będzie to może najdonioślejsze następstwo tej wojny. Czego nie chciała zrobić naiwnie zadowolona z siebie duma chińska, to wymoże duma obrażona i upokorzona. Bo zawsze mniejsze to złe — uczyć się od Europy i na niej się w niektórych urządzeniach wzorować, niż być bitym i maltretowanym przez Japonię.

Sessya delegacyi austro-węgierskich, która się odbyła w Budapeszcie, przeszła spokojnie i bez głębszego wrażenia. Otworzył ją cesarz Franciszek-Józef mową tronową, która miała charakter bardzo pokojowy; tak samo późniejsze wynurzenia hr. Kalnokego o polityce zagranicznej. Deputowany młodoczeski, Paczak, usiłował zabarwić obrady, ale nie można powiedzieć, żeby mu się to udało. Szczęśliwszy był pod tym względem biskup Samossy, który, nawiązując do kampanii, jaką rząd węgierski prowadzi o śluby cywilne, wzywał gabinet do

energicznej obrony praw państwa przeciwko uroszczeniom władz kościelnych. Dziwne te w ustach biskupa słowa sprawiły wielką radość peszteńskim i wiedeńskim liberalom, nie przyczyniły się jednak ani do uświetnienia tegorocznej sessyi, ani do uczynienia jej dla szerszych kół europejskich bardziej interesującą.

W Belgii odbyły się wybory do parlamentu—pierwsze po reformie wyborczej. O reformie tej pisaliśmy w swoim czasie, kiedy się przygotowywała. Uchwalono ją w końcu. Zasadą jej główną jest niejednakowa wartość głosu trzech kategorii wyborców. Wszyscy Belgowie, mający 25 lat skończonych i osiadłość w gminie, mają prawo głosowania i posiadają jeden głos. Wyborca, posiadający oprócz tych danych, jeszcze rodzinę, albo wykształcenie, albo płacący wyższą stopę podatku bezpośredniego, posiada dwa głosy. Nareszcie ludzie z wyższym ukształceniem, wyżsi urzędnicy, księża, posiadają po trzy głosy. Do senatu może być obrany ten tylko, kto płaci 5,000 franków bezpośredniego podatku. Głosowanie przytem jest dla każdego wyborcy obowiązkowe, pod surowemi karami,—innowacya dotąd przy wyborach politycznych niepraktykowana.

Rezultat wyborów był taki, że pod względem technicznym odbyły się zupełnie gładko; co się tyczy wyniku, wypadły niekorzystnie dla stronnictwa liberalnego, lepiej dla socyalistów, najlepiej dla katolików. Czy ustawa wyborcza w tej formie zaaklimatyzuje się w Belgii na czas dłuższy, ręczyć niepodobna. Przeciwnicy jej nie wyrzekli się hasła o wyborach powszechnych i jednolitych, jak francuskie, i grożą podtrzymywaniem walki w dalszym ciągu.

Kwestya reformy wyborczej stanęła także na porządku dziennym w Przedlitawii po zebraniu się parlamentu na sessyę jesienną. Deputowany Pernerstorfer wystąpił z wnioskiem nagłości, którego gabinet nie przyjmuje i który też większość parlamentu odrzuciła. Ale gabinet, odrzucając wniosek nagłości, obiecał sam zająć się sprawą reformy i popierać ją. Choć więc pewno bez pośpiechu, będzie musiał poświęcać jej część swojego czasu i swej uwagi.

Zresztą w większości państw parlamenty jeszcze nie skończyły wakacyi. Dopiero, gdy to nastąpi, ożywi się polityka, której bieg do tej chwili ma charakter powolny, jak zwykle, podczas wakacyi.

Zdarzyło mi się w ciągu lata ubiegłego w dwukrotnej podróży przebyć cztery razy prowincye czarnoziemne. W czerwcu podziwiałem niezmierzone łany bujnej pszenicy i badałem ze zdziwieniem smutek ziemian, którzy nie mieli nawet ochoty zbierać plonów ze względu na bajecznie niskie ceny zboża i wysokie robotnika. Twierdzili, że obfity

urodzaj koszt tylko pomnaża i kłopot sprawia. Tak więc dotknęła ich „kłęska urodzaju.” W drugiej połowie września, znowu przejeżdżając przez te same strony, dowiedziałem się o innej kłęsce: na gruntach podolskich pojawiła się taka obfitość myszy polnych, jakich najstarsi ludzie nie pamiętają. Sterty zboża, stojące po lat parę, pozapały się; w wielu miejscach przy młóceniu pszenicy słoma zabarwiła się krwią szkodników; zniszczyły one także koniczynę, i to tam, gdzie ten produkt stanowi ważną dźwignię gospodarstwa. Dotknięci kłęską, patrzą na to wszystko z rękami założonemi, bezsilni i niezaradni. Nie dość tego. W tych samych stronach spustoszyła ogrody gąsienica, która pojawiła się również w niesłychanej masie. Wobec tak dotkliwych plag, nie znaleziono i nie użyto dotąd żadnych środków przeciwdziałania. A jednak pół roku temu p. Chełchowski w warszawskiej sekcji rolnej odczytał bardzo ciekawy referat, w którym podał praktykowane za granicą sposoby niszczenia szkodników, wynalezione przez naukę. Głównie mówił właśnie o myszach i o szczepieniu tyfusu mysiego. Referenta wysłuchano z wielkim zajęciem i okłaskiwano go. Niektórzy wszakże z obecnych powiedzieli, że to nas wcale nie dotyczy, więc można tylko ciekawe szczegóły przyjąć do wiadomości. Wynioskowaliśmy stąd, że ziemianie uważają, iż dla tępienia myszy najskuteczniejszym środkiem są pułapki i koty, że zdaniem ich, w obrębie całego państwa nie grożą one nigdy kłęską. I oto teraz, w kilka miesięcy po tem lekceważącym traktowaniu zdobywcy naukowych, fakta dowiodły, że te środki mogły-by właśnie teraz przydać się bardzo. Na nieszczęście, dwie delegacye entomologiczne (sekcji rolnej i Towarzystwa ogrodniczego), które natychmiast po referacie p. Chełchowskiego miały się połączyć z sobą i stworzyć poniekąd osobną instytucję, pozostającą w związku z zagranicą,—dotąd nie dają znaku życia. Po otwarciu sezonu, poruszono na posiedzeniach garść spraw, mniej lub więcej błahych, ale o tem, co się miało zrobić przez lato, nie było nawet wzmianki. A przecież pół roku chyba mogło-by wystarczyć na stworzenie nie tylko Towarzystwa entomologicznego, ale nawet na zaopatrzenie go w środki walki ze szkodnikami. Dziś właśnie mogło-by ono pośpieszyć z pomocą dotkniętym kłęską.

Używając wyrażenia dziennikarskiego, możemy powiedzieć, że „karnawał jesienny” jest już w całej pełni: wyścigi, totalizator, „wieczornice”, koncerty, cykliści, „rekordy”, wszystko, jak na początku lata. Wyścigi bez totalizatora nie miały-by uroku i środków przynęty; namiętni gracze topią tam grosz własny, pożyczony, lub nawet powierzony na inny użytek. „Spłókani” odchodzą w milczeniu, nie skarżąc się na ślepy los i nie żądają zniesienia totalizatora.

Innego rodzaju gracze wydali okrzyk oburzenia i podniecili opinię publiczną, skutkiem bankructwa firmy bankierskiej „de la Farre“ w Petersburgu. Działała ona także w Warszawie i między licznymi operacjami sprzedawała premiówki na raty. Jest to w ciągu ostatnich paru lat, zdaje się, już trzeci wypadek taki. Tym poszukiwaczy szczęścia niesie jednak z zupełnem zaufaniem do tego rodzaju rabusiów grosz, zaoszczędzony na niezbędnych potrzebach życia, składa po pięć rubli miesięcznie i cieszy się nadzieją, że z czasem będzie w posiadaniu papieru, który może przynieść 200 tysięcy. Znam biedaków, którzy z wielkim wysiłkiem spłacili już po 150 rs., gdy naraz bankructwo firmy zabrało im oszczędności i nadzieję naprawy bytu. Upadłość powyższej wzmiankowanej firmy pokrzywdziła przeważnie ludzi ubogich, ale jednocześnie rozgłos tego wypadku może będzie na przyszłość dla innych przestrogą, a dla sfer właściwych bodźcem do szybszego wprowadzenia w czyn projektu sprzedawania premiówek na raty w kantorach i oddziałach Banku państwa. Pomijając prawdopodobieństwo wygrania, papiery powyższe stanowią istotnie formę oszczędności, są bowiem banknotem w innej postaci, a co ważniejsza, wartość ich z rokiem każdym wzrasta. Chęci więc nabywania premiówek nie należy przyganiać, ale raczej—lekkomyślności, pociągającej wielu pobudzonych reklamą do tych bud korsarskich, które pierwiej czy później mogą zniknąć wraz z cudzym mieniem.

W powszechnem mniemaniu ogółu oszczędnością jest to, co można schować do kasy ogniotrwałej, bankowej, albo co się daje zamienić na listy zastawne. Spotykamy czasem w prasie tak żarliwych szerzycieli tej cnoty, że nawet zachęcają tych do oszczędzania, których nie stać na kawałek chleba suchego. Oczywiście zapominają, a może nie wiedzą oni, że tego rodzaju oszczędność była-by raczej rozrzutnością; bo kto, przypuśćmy, obarczony liczną rodziną i zarabiający dziennie 60 kop., zechce złożyć w kasie 10—15 kop. od tej sumy, ten naraża siebie i swoje otoczenie na głód, skazuje na życie, wysoce niehygieniczne, wyczerpujące, a więc trwoni zdolność do pracy i w końcu naraża siebie i innych na koszt leczenia. Oszczędności zaś pod inną postacią, mające charakter społeczny, lekceważymy albo też przypisujemy im wręcz odmienne znaczenie. Powiedzmy przeciętnemu filistrowi, że higiena—to wielka oszczędność, a rozśmienie się nam w oczy.

Z takim pojęciem rzadko się zgodzi również właściciel domu lub fabryki, którym każą dbać o czystość podwórza mieszkań, lokali fabrycznych, o wentylacye, światło i t. d. Na potwierdzenie tych słów naszych niech czytelnik przypomni sobie, jak dalece znaczna część obywateli m. Warszawy przyjęła niechętnie, a nawet wrogo, kanalizacyę,

ile było kłopotu z nałamaniem ich do nowości, ile środków nacisku prawnego i czasu zużyto na zmuszenie niechętnych do wprowadzenia tych urządzeń zdrowotnych. I w takiej walce wśród warunków nieprzyjanych wielkie przedsięwzięcie przetrwało z chlubą lat dziesięć. Kanalizacja Warszawy, dziś już jako stała instytucja, miała i ma licznych krytyków, zarówno wśród specjalistów, jak i ludzi, nie mających pojęcia o rzeczy. Zarzucano robotom to i owo, ganiono je srodze, a nawet wprost odmawiano im wszelkiej wartości. Jednakże fakta mówią wręcz co innego. Od czasu wprowadzenia kanalizacji i wodociągów zdrowotność ogólna znacznie się podniosła, co moglibyśmy stwierdzić cyframi, gdyby nie obawa przeładowania zbytnio niniejszej kroniki. I w takiej właśnie chwili, kiedy już owoce tej pracy są widoczne, przed ukończeniem czwartej seryi robót, gospodarze tego działu zawahali się przed potrzebą zaciągnięcia nowej pożyczki i rozpoczęciem seryi piątej. I tutaj więc ten lęk wobec ogromu wydatków kazał zapomnieć o wielkiej oszczędności społecznej, zamkniętej w obszernej i mocnej kasie: higienie. Cóż to jest ta serya piąta?—To jest plan skanalizowania najbardziej upośledzonych dzielnic miasta: Powiśla i Pragi. Kiedy śródmieście, ulice bogate, posiadają w wielu razach nie tylko wygodę niezbędną, ale i pewien komfort, mieszkańcy ubogich, ciasnych uliczek, obdartej, brudnych, cuchnących domów, częstokroć nie mają nawet wody filtrowanej; rynsztoki, bez prawidłowych odpływów, wiecznie przepelnione, cuchną, z wylotów starych kanałów wyziewy zatruwają powietrze, i tak niezbyt czyste i zdrowe. Dotychczas miasto wydało na roboty kanalizacyjne i wodociągowe dziesięć milionów rubli, urządzenia atoli wykończone przynoszą 680,000 rs. Oczywiście skromny to procent od tak olbrzymiej sumy, ale bądźmy cierpliwi i pocieszajmy się tem, że kiedyś kanały i wodociągi staną się pierwszorzędnym źródłem dochodu miejskiego, który wystarczy na prowadzenie nadal lepszych urządzeń i spłatę długu. Już dotąd umorzono milion. Ogromna jednak cyfra nowej pożyczki sześć lub ośmiomilionowej przeraziła przedstawicieli tego odłamu gospodarki miejskiej i zrodziła owo pytanie: Prowadzić nadal dzieło, czy zawiesić je lepiej? Trudno było przypuścić, ażeby ta kwestya nie została rozstrzygniętą pomyślnie. Dziesięć lat poważnej i kosztownej pracy, prowadzonej bez przerwy po to, ażeby jej nie dokończyć,—to myśl, która nie zgadza się ani z logiką, ani potrzebą. Nie przypuszczamy nawet, ażeby tu działała trudność zdobycia nowego kredytu, bo chyba tak długo trwające przedsiębiorstwo zdołało wyrobić zaufanie kapitalistów. Jakoż skończyło się tylko na chwilowej niepewności; roboty będą nadal prowadzone, ku pocieszeniu mieszkańców i licznej rzeszy robotników, która przy kanalizacji znalazła kawałek chleba.

Oddając wszakże sprawiedliwość tym niezmiernie ważnym urządzeniom, nie możemy się zgodzić na jednostronność gospodarki. Kanalizacja jest pierwszorzędną potrzebą, ale obok niej są inne nieodbite a zaniebane dotąd. Weźmy kilka danych porównawczych. Berlin wydał około 20 milionów na wodociągi, ale jednocześnie poświęca co rok znaczne sumy na dezynfekcyę mieszkań, szczepienie ospy, kąpiele ludowe, pół miliona na oczyszczanie ulic, wreszcie urządzenie targu i bydlóbójni pochłonęło *sześć milionów*. Peszt wydał 10 milionów na kanalizacyę i wodociągi, ale w rubryce oczyszczania ulic stoi pokaźna cyfra: 400 tysięcy rubli rocznie; bruki i regulacya ulic pochłaniają przeszło półtora miliona. (Miasto owo, dbając o porządek i zdrowie, do najważniejszych potrzeb zalicza także oświatę, bo szkoły również kosztują półtora miliona). Na urządzenie targu wydano *siedm milionów*. A Warszawa?—Oczyszczanie ulic i placów 70 tysięcy, targi około 4½ tysięcy, szczepienie ospy, dezynfekcy a i pracownia higieniczna ogółem około sześciu tysięcy („Zdrowie” nr 106). Obok potrzeb, w powyższych rubrykach zaznaczonych, miasto nasze szwankuje pod względem urządzeń zdrowotnych i pomocy lekarskiej dla ludności ubogiej, podczas gdy wielkie ogniska zagraniczne na leczenie ubogich w mieszkaniach wydają znaczne sumy, mają osobne szpitale dla chorób zakaźnych, świetnie urządzone zakłady dezynfekcyjne i t. d. My zaś o tem zaledwie marzyć możemy. Wobec tego, słuszną i na czasie jest rada „Zdrowia”, ażeby miasto zaciągnęło nową pożyczkę, nietylko na prowadzenie w dalszym ciągu kanalizacyi, ale także na inne niezbędne środki uzdrowotnienia. Na pierwszym planie postawić należy bydlóbójnię centralną i zakład dezynfekcyjny, odpowiadający wymaganiom dzisiejszym. Pierwsza, o ile z rokowań dotychczasowych wnosić możemy, prędko już przyjdzie do skutku i będzie miała znaczenie nietylko zdrowotne, lecz i ekonomiczne; ześrodkuje bowiem handel bydłem w Warszawie i uczyni z niej rynek pierwszorzędny dla kraju i zagranicy.

Czekajmy tymczasem i zazdrośemy innym młodszym miastom, które znacznie wyprzedziły starszkę Warszawę. Jest to zresztą zjawisko wybitne w rozwoju powszechnym. Wielkie środowiska ludzkie, które powstały najdalej przed stu laty, imponują swoją doskonałością, wygodą, urządzeniem zdrowotnem i komunikacyjnem. Starsze—wprowadzają ulepszenia powoli, bo chcąc wykonać reformy, trzeba zburzyć to, co przed laty zbudowano, czyli podwójny lub poczwórny koszt ponieść w stosunku do młodszych. Uliczki wąskie nie pozwalają na przeprowadzenie linii tramwajowych, ciasnota nie sprzyja urządzeniu skwerów, stare domy nie nadają się na szkoły higieniczne i wogóle wszelkie sale, przeznaczone na użytek publiczny. Takie właśnie warunki

niepożądane w znacznej części przedstawia Warszawa. Pomimo licznych projektów, doczeka się nieprędko oświetlenia elektrycznego, bo ma gazowe, którego usunięcie przedstawia wiele przeszkód materialnych i kontraktowych. Tymczasem tam, gdzie w nocie ciemne przyświecały latarki naftowe, a w okresie pełni—księżyc, dziś rozrzucają światło obficie lampy elektryczne. Pod tym właśnie względem poszedł nagle w górę Kijów. Jest on starem miastem, ale 1-mo: tylko w niewielkim środku, dokoła zaś, na znacznych obszarach powstał niedawno; 2-do: nie miał on jeszcze przed kilku laty najniezbędniejszych urządzeń. Wszelkie więc w nim udoskonalenia są z gruntu nowe, powstałe bez burzenia dawnych. Szybki rozwój tego miasta łatwo dostrzeże podróżny. W roku przeszłym widziałem tam jedną tylko linię próbną tramwajów elektrycznych, przed paru zaś tygodniami znalazłem już całe miasto w sieci szyn, po których (przebiegają wagony, poruszane elektrycznością. O takich udogodnieniach myślą już inne, mniejsze miasta, i zanim nasza kolej Willanowska zdobędzie się na drugą lokomotywę parową, a ogród Saski na lampy elektryczne, mieszkańcy np. Mińska, Smoleńska lub Łodzi będą już rozkoszować się użytkowaniem najpotężniejszej w bieżącym stuleciu siły, zużytkowanej jednocześnie dla wydobycia światła i ruchu.

Marzenia o elektryczności w Warszawie odłożymy na później, a kołaczymy o zwyczajne tramwaje, poruszane czworonożnymi wywłokami na Powiślu, z kąd dziś pracująca ludność uboga i młodzież szkolna musi chodzić pieszo po kilka wiorst dziennie, ze stratą zdrowia i czasu. Zatem dobra komunikacya tramwajowa, to także higiena, czyli oszczędność.

Od lat wielu prasa nawołuje do wprowadzenia jednego z działów higieny, który za granicą stał się niezbędnym warunkiem życia, a u nas leży w dziedzinie marzeń prawie niedoścignionych, mianowicie: kąpiele, przystępne dla ogółu ubogiego. Słusznie Prus nazywa niemniejszym czynem od wynalezienia prochu zrobienie tego, ażeby w naszym kraju było tyle łaźni, ile jest szynków, i tylu kąpiących się, ilu pijących. Temat dowcipny; ale jego wprowadzenie w czyn zasługiwałoby na większą nagrodę, niż chyżość najlepszego wyścigowca na polu Mokotowskim. Czekajmy i bądźmy cierpliwi, a przyszłość okaże, kto dłużej wytrwa: wołający, czy ci, w których mocy jest wykonanie owych urządzeń dla czystości ciała ludzkiego.

Ta wielka cnota, forsownie, za pośrednictwem przepisów prawnych, wdrażana ludziom, stała się w znacznej mierze pogromczynią cholery. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że, po trzech latach pobytu u nas, ten gość niepożądany pójdzie sobie na suche lasy. Wniosku-

jemy stąd, że już w październiku prawie zupełnie wygasła, gdy w dwóch latach poprzednich srożyła się o tej porze jeszcze dość silnie i nawet tu i owdzie przez całą zimę nie dawała spokoju, szczególnie mieszkańcom miast wielkich. Jeżeli teraz porachujemy to wszystko, co u nas zrobiono w walce z epidemią,-- przyjdziemy do przekonania, że, oprócz ożywienia ruchu księgarskiego niezliczoną masą broszur i książek, wzmocniono czujność zdrowotną: uprzątnięto od wieków leżące śmietniki, rozściagnięto ściślejszą kontrolę nad zakładami jadło i trunkodajnymi, zaopatrzone ubogich mieszkańców w wodę czystą, utworzono, jako instytucje stałe, herbaciarnie tanie i t. d. Być może, iż po przejściu grozy, wiele zarządzeń pożytecznych także zniknie i znowu niechlujstwo zapanuje; ale, bądź co bądź, machinerya sanitarno-prawna, raz w ruch puszczona, może swój bieg zwolnić, lecz nie stanie. Pod jej naciskiem zawsze pozostaną brudasy i spekulanci-fałszerze. Tym sposobem, pod przymusem, chociaż częstka obowiązków z dziedziny higienicznej wsiąknie w społeczeństwo, niedbałe o własne zdrowie i życie.

Kłęska, gnębiąca nas przez trzy lata, stanie się bodźcem do poprawy warunków, zgodnie z przysłowiem o złem, które na dobre wychodzi. Tak zresztą bywa. Jeżeli złodziej okradnie naszego sąsiada, możemy spać spokojnie, pewni, że zwiększy się czujność stróża. Jeżeli wczoraj pociąg się wykoleił na linii, którą mamy dziś jechać, nie trwóżmy się, gdyż po wypadku baczność i ostrożność służby podniosła się do kwadratu. Rozumując w ten sposób, jechałem, pełen otuchy, gałęzią odeską kolei Południowo-Zachodnich, w parę dni po zwaryowaniu maszynisty na stacyi węzłowej, Zmierzynka. W napadzie obłądu wsiadł on na parowóz i puścił się na spotkanie pociągu pocztowego. Katastrofa była-by nieunikniona, gdyby nie przytomność zwrotniczego, który, widząc niebezpieczeństwo, skierował lokomotywę na linię, zajętą przez puste wagony. Skończyło się więc tylko na stratach materialnych drogi żelaznej. Pod wpływem tego wypadku, wpadłem w zadumę, przypomniałem sobie tak często rzucane przez okna wagonów wesołe „do widzenia!” Jedziemy pełni nadziei i projektów w głowie, zupełnie zapominając o tem, że losy nasze złożone są w ręce dwóch ludzi śmiertelnych i skłonnych do wszelkich przypadłości. Jeden maszynista zwaryował, może z wysiłku i bezsenności. Zkąd zatem możemy być pewni, że gdy np. palacz zaśnie, maszynista nie straci chociaż-by chwilowo przytomności, że mu z długiego czuwania oczy mgłą nie zajądą w chwili niebezpieczeństwa? Zola podobną scenę odmalował w swojej powieści p. t. „Człowiek-zwierzę.” Tam żołnierze śpiewają, weseli, nie wiedząc, że maszynista i jego pomocnik w walce z sobą stoczyli się pod koła tego samego pociągu, który ich niesie na oślep w prze-



strzeń. Czyż taki fakt jest niemożliwy w życiu na każdym kroku? Bywały wypadki śmierci maszynistów od pioruna, rozbicia czaszki o słup przydrożny w chwili polewania osi smarowidłem. Tak samo może się zdarzyć paraliż, apopleksya, aneurizm, halucynacya maszynisty w chwili, gdy jego pomocnik jest nieprzytomny z bezsenności. Wypadki takie bywają rzadko, ale zdarzać się mogą, a tymczasem dotąd nie przewidziano żadnych środków zaradczych. Jedyną w znacznej mierze rękojmią bezpieczeństwa była-by ścisła i częsta rewizya lekarska maszynistów i ich pomocników, tudzież możliwie najmniejsze wyczerpywanie ich sił, co także zmniejszyło-by skłonność tego rodzaju pracowników od alkoholizmu, który, jak dla marynarzy, częstokroć staje się dla nich potrzebą, jako sztuczne podtrzymanie energii.

Przy wielu brakach, koleje w obrębie państwa ruskiego częstokroć posiadają większą sumę udogodnień, niż zagraniczne. Przypisać to należy temu, iż później powstały, a więc łatwiej mogły się zastosować do wszelkich wymagań techniki. Między innymi, widzimy także wyższość nad zagranicą we wzrastającej z każdym rokiem troskliwości o wygody i potrzeby podróżnych uboższych. Gdy na zachodzie np., chcąc przebyć szybko przestrzeń między naszą granicą a Paryżem, trzeba kupić bilet I-ej, w ostateczności II-ej klasy, — w Rosyi ujawnia się dążność do równouprawnienia wszystkich trzech klas w prostej i najszybszej komunikacyi. Jeszcze przed paru laty pasażer, w miarę niższego szczebla w podziale wagonów, był narażony na częstsze posiadanie. Dziś na wielu stacyach węzłowych wagony są rozdzielane i dołączane do innych pociągów, odpowiednio do rozmieszczenia przedróżnych, daleko jadących, bez względu na klasy. Innym doniosłym szczegółem, znanym dotąd tylko na paru liniach, jest trzecia klasa przy pociągach kuryerskich. Zasada bardzo słuszna; dla czego bowiem tylko pośpiech w interesach ludzi zamożnych ma być ważny? Gdy ci, rozporządzając znacznymi środkami, mogą wcale się nie liczyć z kosztami podróży, ubodzy, mając tylko na kupienie biletu i niezbędne wydatki w drodze, muszą czekać na pociąg, odpowiadający ich finansom, bez względu na to, że parę godzin nieraz może bardzo zaważyć na szali ich losów. To też pożądanę było-by wielce, iżby chwalebne udogodnienie mogło wejść w życie na całej sieci kolei żelaznych w państwie.

W ubiegłym miesiącu nauka poniosła stratę. W Niemczech zakończył życie wybitny myśliciel i uczony, Herman Helmholtz, przez długi szereg lat cieszący się uznaniem nie tylko swoich rodaków, ale i wogóle świata ukształconego. Przeszło pół wieku (od r. 1842) nazwisko jego świeciło na widowni nauki, t. j. od chwili ogłoszenia pracy

niepospolitej o budowie systemu nerwowego u bezkręgowców. Zrazu oddał się medycynie i dużo pracował w zakresie fizyologiczno-anatomicznym; owocem zaś tej pracy były cenne dzieła z dziedziny anatomii oka i fizjologii słuchu, rozprawy, dotyczące prędkości udzielania się wrażenia i reakcyi odruchowej i t. d. Z fizjologii przeszedł do fizyki i na tem polu rozwinął żarliwą i sumienną pracę. Szczególnie pochłaniały go badania teoryi mechanicznej ciepła, dalej zapuścił się w fizykę matematyczną i już zupełnie zaniedbał medycynę. Rozległa wiedza pozwoliła mu być wszechstronnym, wypowiadać poglądy szerokie. Oprócz więc prac z dziedziny anatomii, fizjologii i fizyki, dał się poznać także szerszemu ogółowi, jako filozof. W tej dziedzinie był uczniem Kanta, jakkolwiek w wielu rysach różnił się od swego mistrza. Od r. 1847 Helmholtz był profesorem nauk przyrodniczych w Królewcu, Heidelbergu i Berlinie. I na tem stanowisku umiał zjednać wielką sympatyę otoczenia: słuchaczy swoich. Do ostatnich chwil życia odznaczał się czynnością i trzeźwością umysłu.

W Warszawie zmarł człowiek, który pośrednio przyczynił się dużo do ruchu wydawniczego: Jan Karol Kowalewski, właściciel drukarni. W ciągu ostatnich lat kilkunastu z jego tłoczni, oprócz stale drukowanych pism peryodycznych, wyszło mnóstwo dzieł, przeważnie naukowych. Zmarły odznaczał się wykształceniem, wielką prawością charakteru i zacnością; szczerze się troszczył o los swych pracowników, których ubezpieczył w tutejszem towarzystwie „Przezorność.” Zawsze silny, kwitnący zdrowiem, niemal młody (liczył 49 lat), nie ugiął się pod uciążliwemi losami życia, które go opasały przed laty. Obecnie w pełni energii, padł, nagle przez śmierć zaskoczony, osierocił liczną rodzinę, i serdeczny, niezatarty żal pozostawił w sercach tych, którzy go bliżej znali.

Z. P.

---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

— „Przegląd sądowy i administracyjny.” Wrzesień, 1894.

Towarzystwo prawnicze lwowskie, ukończywszy w zeszłym roku 25 rok swego istnienia, postanowiło uczcić tę pamiętną chwilę w życiu swoim wydaniem jubileuszowego zeszytu „Przeglądu sądowego i administracyjnego”, który był zawsze organem rzeczonoego towarzystwa. Jubileuszowy zeszyt rozpoczyna się od historii ćwierćwiekowej Towarzystwa prawniczego, którą skreślił dr Piotr Stebelski; następnie spotykamy kilka rozpraw o interesującej treści i starannem opracowaniu. Dr Głębiński przedstawił Finanse w Galicyi w r. 1894; dr hr. Wł. Dzeduszycki podzielił się z czytelnikiem swym poglądem na ideę prawa ze stanowiska filozoficznego. Dr Roszkowski napisał rzecz o sankcyi wykonawczej dla konwencyi genewskiej, a p. Wł. Smoleński podał ciekawą wiadomość o przyczynach upadku projektu kodeksu Jędrzeja Zamoyskiego na sejmie w r. 1780. Przedewszystkiem jednak winniśmy wyrazić wdzięczność drowi Jaworskiemu, że z manuskryptu niemieckiego, pozostałego po przedwczesnie dla naszej nauki zmarłym ś. p. Lotarze Dargunie, przetłómaczył i wydał rozprawę p. t. „Wpływ wojny na prawo.” Praca powyższa, odznaczająca się, jak i inne studia ś. p. Darguna, niezwykłą erudycją, nie została w zeszycie jubileuszowym zakończoną; gdy się zaś ukaże w całości, nie omieszkamy na jej bogatą treść zwrócić uwagi czytelników „Biblioteki Warszawskiej.”

Nadto dla urozmaicenia jubileuszowego zeszytu, redakcja poświęciła kilka arkuszy druku na aforyzmy. Znajdujemy w tym dziale nazwiska europejskiej sławy i któremi się szczycą wszystkie ważniejsze narodowości. Aforyzmy wydrukowane są w tym języku, w jakim zostały nadesłane, a poniżej dołączone jest tłumaczenie polskie. Pomiedzy nazwiskami słynnymi w nowoczesnej nauce spotykamy również dwa aforyzmy w języku francuskim p. Kamarowskiego, prof. uniwersytetu w Moskwie, i p. Martinsa, prof. uniwersytetu w Petersburgu, oraz aforyzm w języku ruskim wysłużonego profesora z Moskwy, Leonida Władymirowa. Wogóle zeszyt jubileuszowy przedstawia się poważnie i świadczy bardzo dobrze o staranności i umiejętności redakcyjnej.

a. r.

— *A. S. Goldenweiser*. „Prądy i reformy społeczne w Anglii XIX wieku.” Referat odczytany na posiedzeniu Kijowskiego Towarzystwa prawniczego w d. 3 października 1891 r. Przekład z ruskiego. Warszawa, 1894 (8-ka, str. 143).

Autor rzecz swoją zaczyna od opisu strejku robotników dokonanego w Londynie w sierpniu r. 1889, ujawnia jego przyczyny, rozwój i zestawia wogóle z charakterem ruchu robotniczego w początkach bieżącego wieku. W rozdziale I-ym p. G. scharakteryzował: przejście Anglii od przewagi ustroju rolniczego do przemysłowego, średniowieczne warunki przemysłu, nowe warunki produkcji fabrycznej i wywołane przez nią zmiany w położeniu klasy robotniczej; zasady indywidualizmu w nauce Smitha, Ricarda, Benthama i Malthusa; praktyczne następstwa tej doktryny, doprowadzone do wyników ostatecznych. W rozdziale drugim znajdujemy sylwetkę Tomasza Carlyla, jego poglądy filozoficzne i historyczne; dalej: zasady altruistyczne, zastosowanie ich do dziedziny społecznej i ekonomicznej. W rozdziale III wychodzą na widownię: Robert Owen, socjaliści chrześcijańscy, stowarzyszenia współdzielcze i wytwórcze, dzieje ich i stan obecny. W rozdziale IV mamy tak zwany „puseizm” (od Edwarda Puseya), czyli pewien prąd teologiczny, tudzież wpływ jego w dziedzinie stosunków społecznych, dość obszernie traktowane etyczne i ekonomiczne poglądy Ruskina i Toynbee’go, w końcu charakterystykę ruchu uniwersyteckiego. W rozdziale piątym, scharakteryzowawszy pozytywistów angielskich i podawszy sylwetkę Herberta Spencera, autor rozważa doktryny socjalistyczne i ich podziały, pomysły agrarne Henryka George’a i podaje statystykę pauperyzmu w Londynie. W ostatnich dwu rozdziałach (VI i VII) poruszone są bardzo ważne sprawy społeczno-ekonomiczne. Między innymi znajdujemy tam instytucje filantropijne, historię walki o wolność organizacyi związkowej robotników,

doświadczenia, wyjaśniające praktyczne znaczenie wysokości płacy zarobkowej i ograniczonego dnia roboczego; dbałość robotników o interesa produkcji i przedsiębiorców w nowym układzie stosunków, sądy polubowne, przykład zupełnego urzeczywistnienia programu trade-unionistów angielskich w Australii, wzrost dobrobytu klasy robotniczej w Anglii, wreszcie powstanie i wzrost organizacji związkowej wśród niższej warstwy robotników.

— *J. Strzemeska i M. Weryho.* „Wychowanie przedszkolne.” Podręcznik dla wychowawców. Warszawa, T. Paprocki, 1895. (8-ka, str. 270).

Książkę poprzedza obszerny życiorys Froebła, dalej mieści się jego pogląd na wychowanie wczesnego dzieciństwa. Obok cennych wskazówek dla wychowawców, książka zawiera mnóstwo wzorów, opowiadań, bajeczek, zabawek z dokładnym ich opisem i rysunkami. Na końcu znajdujemy 29 tablic, dość starannie wykonanych i zawierających setki wzorów do robót dziecięcych. Wogóle dla literatury pedagogicznej podręcznik ten jest cennym nabytkiem, o jego zaś sumiennem opracowaniu świadczy firma: nazwisko doświadczonej, wytrawnej nauczycielki i kierowniczki zakładu.

— *Dr K. Müller.* „Poradnik domowy homeopatyczny.” Tłómaczył z ostatniego wydania niemieckiego oraz opatrzył wstępem i dopełnieniem Lucyan Kuczyński. Warszawa, Gebethner i Wolff. (8-ka, str. 522).

Książka ta, przy opisach objawów chorób, zawiera środki leczenia za pomocą homeopatii. Tłómacz rozszerzył i wyjaśnił niektóre działy, jako to: o chorobach głowy, o zaraźliwym zapaleniu oczu, ospie, tyfusie, gorączce połogowej, pielęgnowaniu matek i niemowląt, higienę, dyetę i t. d. Wreszcie dołączył szczegółowo opracowany spis alfabetyczny chorób, tudzież lekarstw, stosowanych przy leczeniu. W spisie tym znajdują się wzmianki o wszystkich pojedynczych rozdziałach, a nadto wyliczenie niektórych chorób, rzadziej zdarzających się. Wogóle dodatki tłómacza obejmują  $\frac{2}{3}$  książki.

— *A. Strzelecki.* „Kamienie jako nawóz.” Objasnienie teorii Hensla. Warszawa, 1894. (8-ka, str. 84).

Od lat pięciu — mówi autor — t. j. od chwili pojawienia się pierwszego wydania dzieła Joh. Hensla „Das Leben”, kwestya użycia skał pierwotnych (grauitów, porfirów, sienitów) jako nawozu nabrała bardzo żywego interesu. Rolnicy byli nią mocno zaciekawieni, lecz rozbieniu prób stała na przeszkodzie trudność subtelnego sproszkowania

kamieni, na który Hensel mocny robił nacisk. Niechętnie przyjęli tę nowość profesorowie dyrektorowie stacyi doświadczalnych i wogóle dzisiejsi zwolennicy nauki nawożenia gruntów, którzy zalecają jako jedyny środek dla podniesienia wydajności ziemi — superfosfaty, saletrę chilijską i sole stassfurckie. Pomimo to, pomimo wielkiej niechęci a nawet wrogiego wystąpienia przeciwników, teoria Hensla zdobywa coraz więcej wyznawców i zwolenników we wszystkich zakątkach Niemiec. Broszurka niniejsza zawiera dużo ciekawych wskazówek i faktów, tudzież w streszczeniu obejmuje wyniki badań Hensla.

— „Arcydzieł Szekspira” w przekładzie Paszkowskiego, Kozmiana i Kasprowicza, wydawanych nakładem księgarni polskiej we Lwowie, wyszło *ośm* dalszych zeszytów (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8 i 9), które zawierają: dokończenie „Romea i Julii”, „Hamleta”, „Otella” i większą część „Króla Leara.”

— *Zygmunt Kaczkowski*. „Kobieta w Polsce”, studjum historyczno-obyczajowe — 2 tomy (ze wstępem autora w tomie 1-szym oraz z przedmową i uwagami Piotra Chmielowskiego w tomie 2-m).

---

## Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej.”

---

— *S. Dickstein*. „Arytmetyka w zadaniach.” Część II. Ułamki. (Wydanie drugie znacznie powiększone. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1894.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa podjęła wydawnictwo dziełek popularnych. Dotąd wyszły:

*K. Petersa*: „Mineralogia.” Tłómaczył *J. Morozewicz* (str. 28).

*L. Gerardin*: „Botanika.” Tłóm. *W. M. Kozłowski* (str. 160).

*A. Geike*: „Geologia.” Tłóm. *K. Jurkiewicz* (str. 211).

*L. N. Lockyer*. „Pierwsze początki astronomii.” Tłómaczył *W. Skłodowski* (str. 209).

- „Encyklopedyi rolniczej“ wyszedł zeszyt 37. (Hodowla—Hydraulika).
- *Maryan Gawalewicz*. „Królowa Niebios“ z ilustracyami p. Stachewicza. Zeszyt 1, 2 i 3.
- Księgarnia Paprockiego wydała drugi zeszyt swej publikacji p. t. „Obraz literatury powszechnej w streszczeniach i przekładach.“
- *Stanisław Belza*. „Na Lagunach.“ Warszawa—Petersburg, 1895 — u Gebethnera i Wolffa oraz w Księgarni Polskiej.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

**Józef Weysenhoff.**





PETERSBURG, 1 listopada. (Tel. Ag. Półn.). Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan Aleksander III-ci o godz. 2-ej min. 15 po południu w dniu 20-ym października (st. st.) spoczął spokojnie w Bogu.

## MANIFEST NAJWYŻSZY.

Z BOŻEJ ŁASKI

# MY, MIKOŁAJ II,

CESARZ I SAMOWŁADCA WSZECHROSSYJSKI, KRÓL  
POLSKI, WIELKI KSIĄŻE FINLANDZKI

*etc., etc., etc.*

Wiadomo czynimy wszystkim wiernym Naszym poddanym:

Bogu Wszchemogącemu podobało się w niezbadanych wyrokach Swoich przerwać Drogocenne życie gorąco kochanego Rodzica Naszego, Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana Aleksandra Aleksandrowicza. Ciężka choroba nie ustąpiła ani przed leczeniem, ani przed dobroczynnym klimatem Krymu, i dnia 20 października Jego Cesarska Mość zakończył życie w Liwadyi, otoczony Najdostojniejszą Rodziną Swoją, na rękach Jej Cesarskiej Mości Najjaśniejszej Pani i Naszych.

Boleści Naszej niepodobna wyrazić słowami, ale zrozumie ją każde serce russkie i wierzymy, że nie będzie miejsca w rozległym Naszym Państwie, gdzieby się nie lały lzy gorące po Monarsze, który przedwcześnie przeniósł się do wieczności i opuścił ziemię ojczystą, ukochaną

przez Niego całą siłą Jego russkiej duszy i dla szczęścia której poświęcał wszystkie Swoje myśli, nie szczędząc ani zdrowia, ani życia. I nie w Rossyi tylko, ale daleko po-za jej granicami nigdy nie przestanie być czczoną pamięć Monarchy, uosabiającego niewzruszoną prawdę i pokój, ani razu niezakłócony przez całe Jego panowanie.

Lecz niechaj będzie świętą wola Najwyższego i niechaj krzepi Nas niezachwiana wiara w mądrość Opatrzności Boskiej i niech pocieszy Nas świadomość, że boleść Nasza jest boleścią całego ukochanego ludu Naszego i niech lud ten nie zapomina, że siła i moc świętej Rossyi leży w jej jedności z Nami i w bezgranicznej wierności dla Nas. My zaś w tej bolesnej, lecz uroczystej godzinie wstąpienia Naszego na praojcowski Tron Cesarstwa Rossyjskiego i nierozdzielnych z Niem Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Finlandzkiego, pomni na Spuszczoną zgasłego Rodzica Naszego i przejęci nią, czynimy święty ślub przed obliczem Najwyższego, że zawsze jedynym celem Naszym będzie rozwój pokojowy, potęga i chwała ukochanej Rossyi, tudzież zapewnienie szczęścia wszystkim Naszym wiernym poddanym. Niechaj wspomaga Nas Bóg Wszechmogący, któremu podobało się powołać Nas do tej wielkiej służby.

Zanosząc gorące modły do tronu Wszechmocnego o spokój czystej duszy Niezapomnianego Rodzica Naszego, rozkazujemy wszystkim Naszym poddanym złożyć przysięgę na wierność Nam i Następcy Naszemu, Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiemu Księciu Jerzemu Aleksandrowiczowi, który ma być i nosić tytuł Następcy Tronu Cesarzewicza, dopóki Bogu nie podoba się pobłogosławić urodzeniem syna przyszłego związku Naszego z Księżniczką Alicyą Hessko-Darmstadtzką.

Dan w Liwadyi roku od Narodzenia Chrystusa tysiąc ośmset dziewięćdziesiątego czwartego, panowania zaś Naszego pierwszego, dnia 20 października.

Na oryginale Własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:

**MIKOŁAJ.**

---

# Zatargi o starostów pogranicznych.

1618—1654.

Szkic historyczny, skreślony na podstawie russkich źródeł historycznych.

---

Rozejm z r. 1618, tak zwany Dywiliński, stanowi pierwszą dłuższą przerwę w działaniach wojennych Zygmunta III i cara Michała Fiodorowicza. Nie wyrównał on położenia, stworzonego przez politykę królewską od r. 1609, od czasu zjawienia się Samozwańców, owszem nawet, powiedzieć można, łagodząc je pozornie, pogorszał pod pewnym względem widoki zgody, bo dawał nieprzyjacielowi czas i swobodę przygotowania się do akcji w szerszych rozmiarach. Nie inny zresztą był cel tego rozejmu, jak tylko znalezienie sprzymierzeńców, przygotowanie lepszego wojska, upatrzenie stosownej chwili, zwłaszcza, że wyzwolenie ojca carskiego, metropolity Filareta, po ośmioletniej niewoli, miało wreszcie, po długoletnich pertraktacyach, przyjść wtedy do skutku. Obopólne stosunki o tyle tylko zostały złagodzone, że przez lat kilkanaście nie było starć wojennych, ale wojna wisiała zawsze na włosku, a podjazdowe utarczki, w drodze najrozmaitszych rekriminacji i wyrzutów nie ustawały, dzięki bardzo zaognionym stosunkom na samem pograniczu. Ta wojna na papierze trwa nawet dalej, po zawarciu t. zw. wiecznego pokoju nad Polanówką w r. 1634, po spisaniu ugody, która stanowi znowu drugą przerwę, przed wielkim atakiem ze sprzymierzeńcami w. r 1654.

Pod innym nawet względem zawarcie aktu zawieszenia broni wpłynęło na pogorszenie się stosunków. Póki trwał otwarty stan wojny, dyplomatyczne korespondencye, albo choćby listy, pisane w interesach potocznych z jednej granicy na drugą, jeśli były i jeśli zawierały drażliwe zwroty, a nawet grubiaństwa—mogły być wytlómaczonemi. Inaczej być nie mogło, bo tak od dawien dawna historyczne stosunki się ułożyły. Ale po spisaniu ugody rozejmowej, każde ostrzejsze słowo, omyłka, czy to przypadkowa, czy też umyślna w tytułowaniu, miała niejako usprawiedliwiać zerwanie układu pokojowego. Złe może leżało w tem, że rozejm Dywiliński nie rozstrzygnął sprawy tytułu carskiego królewicza Władysława, zostawił ją w zawieszeniu, dał nawet pewne koncessye w tej mierze na rzecz cara Michała Fiodorowicza, wprowadzie bardzo niewyraźne, ale też i więcej nie było potrzeba, bo przy wielce naciągniętej swadzie, druga strona, t. j. bojarowie, domagali się zaraz tytułowania Michała Fiodorowicza carem państwa moskiewskiego. Zrzeczenie się nastąpiło dopiero przy zawarciu Polanowskiego pokoju.

Rzeczywiście, Polska znalazła się wtedy w tem położeniu, że na dwie strony zaprzeczała, i to na pewnej prawnej podstawie, tytułów: Szwecyi—króla szwedzkiego, a Rossyi—carskiego, bo i ze Szwecyą były zatargi, kiedy polscy dyplomaci Gustawa Adolfa nie królem, ale „prostym Gustawem” nazywali. Kiedy, naprzykład, Krzysztof Radziwiłł, hetman polny litewski, zjeżdża się, w r. 1622, pod Rygą, na traktaty z Pontusem de la Gardie, naczelnym wodzem wojsk szwedzkich, powstaje niezwłocznie kłótnia o ten tytuł. Wprawdzie hr. Pontus, większe *spatium* od swego namiotu odszedł i wprzód czapkę zdjął, a nawet Radziwiłła bardzo grzecznie przywitał, ale za to wtrącił zaraz kilka słów drażliwych dla posła Zygmunta:

— Hochgeborner Fürst, Euere Fürstliche Herrlichkeit, Eur Fürstliche Gnaden, wissen ohne Zweifel, dass der Durchlauchtigste et geborene Fürst, und Herr, Herr, Gustaw Adolph von Gottesgnaden, Schweden, Wenden und Gothenkönig... <sup>1)</sup>

Radziwiłł, przerywając:

— Dicat Dominus Comes, eum esse ducem Sudermaniae... <sup>2)</sup>

Pontus się naturalnie obruszył o zaprzeczanie tytułu królewskiego, choć był przygotowanym. Zaczęli sobie przymawiać, potem nie chciał wejść do namiotu Radziwiłła, a tymczasem deszcz zaczął padać. Nareszcie wszedł, ale *interposita protestatione*, aby *de existimatione* kró-

<sup>1)</sup> Jasnie ośw. książę, książęca Ekscellencya, J. Wielm. książę, wie zapewne, że Najjaśniejszy i W. urodzony książę i Pan, Pan, Gustaw Adolf, z Bożej Łaski, Szwedów, Wendów i Gotów król...

<sup>2)</sup> Powiedz, Panie Hrabio, że jest księciem Sudermańskim...

ła i swojej, czego nie utracił... (J. Niemcewicz. „Zbiór pamiętników“, t. VI, str. 311).

Z państwem moskiewskiem zatarg miał charakter o wiele ostrzejszy; przyczyn i to głębszych, było więcej, bez względu na to, kto miał i czy Władysław miał jakie prawa do carskiego tronu. Oczywiście, odbijało się to przedewszystkiem na stosunkach pogranicznych, t. zw. *ukrainnych*, na całym długim pasie Smoleńszczyzny, Siewierszczyzny i Czernihowa. Przy najmniejszej sposobności, odzywają te wszystkie kwestye tytułu i przywiązanych do niego praw, jątrzy się sprawa o rozgraniczenie ziem, niewysychające przez tyle lat źródło skarg, niezgód, a w końcu i gróźb. Bo na dnie tych nieporozumień jest Smoleńsk i Siewierze, są wspomnienia pierwszej kampanii Zygmunta.

Już we wrześniu 1619 r., wojewodowie moskiewscy, pilnujący pogranicza w Wiaźmie, wymieniając listy z najbliższemi władzami wojskowemi, czy też starostami w Dorohobużu i Sierpejsku, uskarżają się, że, przy wypisywaniu tytułów, Michał Fiodorowicz nie jest tytułowany carem. W istocie, w ten sposób, jak akt Dywiliński kwestyę zostawił, stosunki musiały stać się niemożliwemi. Jeśli bojarowie się o niego dopominają, jeśli go Litwini odmawiają, jest wcale nie bezzasadnem, żadna zaś strona od swego odstąpić nie chce i nawet nie może. Kiedy np. w r. 1634, a więc znacznie później, a mianowicie przed samem zawarciem Polanowskiego pokoju, goniec Władysława IV, wysłany do Moskwy, przyznał, t. j. wypisał tytuł carski Michała Fiodorowicza na jednym ze swoich pism, dostał surową naganę, a potem na sejmie podniósł się na niego hałas i Woronicz, (bo to on się dopuścił takiej nieprawidłowości), zagrożonym był sądem i, co za tem idzie, karą za przestępstwo polityczne. W zgodzie z poleceniami, Litwini tak się w r. 1619 tłumaczyli, na stawiane im z Moskwy zarzuty: my z rozkazu i zgodnie z prawdą przyznajemy tytuł wielkiego cara Władysławowi, synowi Zygmunta, i nadal go tak tytułować będziemy, ponieważ Bóg Wszechmogący jemu to przeznaczył i potwierdził przez Wasze dusze i dusze całego narodu moskiewskiego! Zali sprawiedliwie czynicie, że nie jego, prawdziwego Cara Waszego, nazywacie Carem moskiewskim, ale Michała Fiodorowicza Romanowa? My jednakowoż z wami (t. j. bojarami) nie sprzeczamy się i kłótni nie wszczynamy, póki Bóg woli swojej nie spełni. Wiele o tej wielkiej sprawie mówili wielcy posłowie, kiedy obecną ugodę zawierali, lecz oni sprawy nie rozstrzygnęli, tytułu i praw królewicza nie odrzucili, przeciwnie—potwierdzili, gdyż sprawę tę oddali na sąd Boży (tak rzeczywiście w akcie wyrażono), aby Wszechmogący Bóg, który sam zaczął, sam i koniec zrobił. Jest to wszystko zapisane w pismach pokojowych, a zatem czekajmy sądu Bożego...”

W każdym razie nie ludzono się co do trwałości pokoju, ale była nadzieja—jak się potem okazało—optymistyczna, iż będzie dotrzymanym do r. 1634. Tymczasem ujadano się o granice, o drobne wypadki pograniczne. Jednej podobnej awantury pogranicznej są ślady we współczesnym dokumencie („Pisma russkich gosudarej, Moskwa, 1848, t. I, w przypiskach), gdzie znajdujemy relację ze zjazdu sędziów delimitacyjnych w r. 1619, zesłanych dla przeprowadzenia granic powiatów Toropeckiego i Wieliskiego. Jeden z bardzo zainteresowanych w tej sprawie, bo starosta wieliski, Aleksander Gąsiewski, przysłał wtedy ludzi swoich na rogatki, za rzeczkę Markowlę, i ci stróży pobili i przez Toropecki powiat w górę rzeczki poszli, granicę przemocą przeprowadzili, o co znowu długie były spory i korespondencye.

Trudno uwierzyć, że zawiła i drażliwa sprawa okopcowania pogranicza zadnieprzańskiego zakończyła się dopiero w r. 1645, i to dopiero po licznych komisyjach, poselstwach, komplacyach; bo kilkakrotne rozgraniczenia między Litwą a Moskwą w XVI wieku, a nawet jeszcze wcześniej, dawały powód do uroszczeń, powoływań się na te stare dokumenta, a wreszcie do kłótni i bójek.

Podczas Dywilińskiego rozejmu agitowała się jeszcze kwestya, mająca swe źródło w epoce Samozwańców, t. j. sprawa powrotu Iwana Szujskiego z Polski. Była jeszcze o wiele drażliwsza sprawa z emigrantami, albo, jak ich w Moskwie nazywano, zdrajcami, i wreszcie szerszenie się unii na zdobytym pograniczu.

Jak wiemy, po rozejmie został się jeszcze w Polsce kn. Iwan Iwanowicz Szujski, brat cara Wasyla. Książ Iwan przywiązał się do osoby królewicza, do Polski, być może; uważał złożoną w r. 1610 przysięgę, jako raz na zawsze obowiązującą, nie chciał tedy już wracać do kraju, choć podobno później wrócił. Stąd powtarzały się wyrzuty, jakoby był zatrzymywany, dla tego w r. 1619 pisali bojarowie z pewnym cierpkim cynizmem, przez gońca Kiriejewskiego, do senatu warszawskiego, mówiąc o prawach Władysława: „Wy, Panowie Rada, powinniście się nadal wystrzegać tej sprawy, która już przeszła i odrzuconą została, za którą krew chrześcijańska się lała. Nie powinniście żądać tego, czego Bóg synowi króla Waszego nie dał, z głowy to sobie wybić i królewicza Władysława, który nic spólnego z moskiewskiem gospodarstwem nie ma, carem nie nazywał! A to, coście w liście swym pisali o kn. Iwanie Iwanowiczu Szujskim i o Juryju Trubeckim, że oni silnie trzymają się prawdy (t. j. przysięgi), królewiczowi służą, to jest nam oddawna wiadomem: kn. Iwana Szujskiego i innych samowolnie wysłaliście do Polski i zrobiliście to wbrew zawartej przez słowa ugodzie (Dywilińskiej). Zaufanie królewicza i wynagrodzenie dla kn. Iwana i kn. Juryja my także znamy! Książ Iwan piechotą chodzi

i sam sobie usługuje, a czasem i pachołkiem u hajduków bywa. Kniaziowi Juryjowi jest trochę lepiej, większe ma wygody, ale i czasami pachołków waszych się obawia.”

Było zapewne dużo złej wiary w czynionych zarzutach, dlatego panowie koronni nie chcieli i nie mogli pisma zostawić bez odpowiedzi. Zgodnie z prawdą oznajmili, jako król Zygmunt, na ich prośby, pozwolił Szujskiemu wrócić do Moskwy, tylko, że Szujski się namyślał.

Kwestya wprowadzenia unii nie jest wprawdzie dotykaną (z rzadkiemi wyjątkami) w notach dyplomatycznych, jako będąca wewnętrzną sprawą Rzpltej, ale, że się musiała przyczyniać do rozgoryczenia, nie może ulegać wątpliwości, zwłaszcza, jeśli się powie, iż właściwym kierownikiem interesów państwowych na Kremlu był od r. 1619 patriarcha Filaret, ojciec cara Michała, świeżo wydobyty z niewoli. Ze Smoleńszczyzny wynosiło się greckie duchowieństwo, o ile nie przystąpiło do zjednoczenia z kościołem, za granicę, do Moskwy. Smoleński biskup unicki, Andrzej Zołotaj Kwaszun, jeden z tych, co w epoce Samozwańców przeszli na stronę Zygmunta III, złożył już za panowania Władysława przysięgę, jako w Smoleńsku, Dorohobużu, Czernihowie i Starodubie wszystkich prawosławnych przeprowadzi do unii. A cóż dopiero mówić o wychodźcach z Moskwy z r. 1610—1612, osiadłych teraz pod berłem Rzpltej, niedaleko granicy, drażniących się z dawnymi swymi spółobywatelami, być może także utrzymujących jakieś tajne stosunki w zamiarach widać bardzo podejrzanych, kiedy się taką nienawiść i gwałtowne skargi na nich u Moskwy napotyka. Kiedy bojarowie udawali się na zjazdy nad rzekę Polanówkę, nauczeni byli w instrukcyi: w miastach, które do Litwy odpadły, panowie utrzymują zdrajców moskiewskiego carstwa: w Dorohobużu siedzi Łarka Korsakow, w Sierpejsku Jusza Potemkin, w Newlu Iwaszko Mszczerynow. Pisują oni często listy do carskich wojewodów o wszystkim, lecz carskim wojewodom znosić się ze zdrajcami nie należy. Kiedy bojarowie zjadą się z panami, niech pomówią o tem, że w ustąpionych Litwie grodach mieszkają ci zdrajcy i dla całego państwa są szkodliwi. Jeżeli oni ich nadal w ukraińskich (t. j. pogranicznych) grodach trzymać będą, to przy załatwianiu spraw na granicy nie obejdzie się bez bójek i kłótni.” Wydawać rzeczonych adherentów Zygmunta, a zwłaszcza Władysława, czy też wypędzać ich, Polska nie miała powodu, owszem, przygarniała ich do siebie, jako tych, co chcieli królewicza wprowadzić na tron, zwłaszcza, gdy się garnęli do unii. Jeden z nich, Mszczerynow, odrzucił końcówkę *ow* i przeszedł do zjednoczonego kościoła. Ale były takie zdarzenia, iż tego rodzaju wychodźcie wrócił do ojczyzny sam, jak np. stało się z jednym z rozbitków z r. 1612, poddajacym Iwanowem, naočnym świadkiem „czasów burz-

liwych." Sam opowiada koleje swego życia. Był w Moskwie, jako poddajczy, lat dwadzieścia, i kiedy litewscy ludzie Moskwę zniszczyli, jego także litewscy schwycili na Kremlu. Skoro poszli na Litwę (w r. 1611) z Moskwy, książę Juryj Trubecki, Michał Glebowicz Sołtykow i Wasyl Janow, Wasyl Janow gwałtem go z sobą wziął i był on na Litwie w różnych miejscach, był u Wasyla Janowa, a umarł ten Janow lat temu dwanaście. I kiedy umarł Janow, wziął go do siebie Juszek Potemkin, trzymał u siebie niewolą w Smoleńskim powiecie ośm lat. Teraz wraca on (Iwanow) do Hósudara, a Szein odesłał go do Moskwy." (Akty mosk. gosud. N. A. Popowa, t. I, str. 412). Czy tak było rzeczywiście, jak zeznał były poddajczy, jest wielkie pytanie; tłumaczenie jego, jakoby był zatrzymany, wydaje się mocno podejrzanem. Daleko więcej zbliżonem do prawdy było-by domniemanie, iż, sprzykrzywszy sobie niewesoły los emigranta, postanowił wrócić do kraju, więc szukał sposobu uniknięcia kary. Ale nie wszyscy ci marnotrawni synowie byli tacy pokorni.

Jeden z nich, Meszczerynow, przysłał w r. 1620 list do wojewody w Wielkich Łukach, gdzie, solidaryzując się z nową ojczyzną, pisząc o Michale Fiodorowiczu, opuścił tytuł carski. Oczywiście, wojewoda zaraportował zaraz do Moskwy, skąd otrzymał odpowiedź, jaką miał „zdrajcy” zakomunikować, a jest ona chyba dosadną. „Piszesz w liście swoim nie tak, jak się należy, piszesz o Carze, nie kładąc carskich tytułów. Nie uchodzi to nietylko tobie, chamowi, złodziejowi, lecz i samym monarchom, i godności, jaką Bóg nadał Carowi, ty ujmować nie powinienes! Wojewoda dziwi się tobie, towarzyszowi swemu, że piszesz tak, jak nie wypada, i nie pilnujesz tego, co jest przez traktat pokojowy ustanowionem (?); przytem na ciebie, psie wściekły! gniewać się nie warto, kiedyś ty zapomniał o Bogu, o wierze prawosławnej i o ziemi ojczystej! Czegoż dobrego można się po tobie spodziewać? Ty na sądzie ostatecznym za swe występki nie ujdiesz kary i tu na ziemi zemsta cię nie minie. Niedługo u Was dojdzie do tego, że ciebie, krzywoprzysięcę, zdrajcę chrześcijaństwa, łada hajduk, lub chłop wiejski, jak psa w karczmie, albo na jakim złodziejstwie zabije!” Widzimy z tego ustępu, jak silnie rozdmuchane były na pograniczu namiętności religijne. Mimo tych przepowiedni, spotykamy później, na Białorusi, rodzinę Meszczerynowów, trzymającą się wytrwale Rzpltej, a nawet z powodu znajomości białoruskiego języka używaną np. przy układach Andruszowskich.

Wszystko to jednakowoż jest jeszcze niczem wobec korespondencji, jaką w swoim czasie Stefan Batory z Iwanem Groźnym prowadził. Czasy wprawdzie były wojenne, Batory stał w r. 1581 pod Połockiem, skąd posłał dworzanina swego, Stefana Dzierzka, z punktami



pokoju do Iwana. Pomimo toczących się umów, Groźny do ostatniej chwili nie objawiał szczerzej chęci zawarcia jakiej ugody, choćby rozjemmu.

Odpisując więc obszernie przez Dzierzka, Iwan zarzucał Stefanowi złamanie przysięgi, nieratyfikowanie umowy, zawartej przez posłów, wydanie wojny, posiłkowanie się zdrajcami, jak kn. Kurbskim, Zabołockim, Ciecierynem i t. d. Przybierając ton uroczysty i gwałtowny zarazem, robił takie np. zarzuty, że żołnierze litewscy na polu bitwy rozpruwali zabitym brzuchy, sadło i żółć wyjmowali, przypominał tępienie wiary greckiej dla rzymskiej, wyrzucał królowi szorstko pychę Amalikecha (?) i Sennacheryba! i t. d. Naturalnie, Stefan Batory nie pozostał dłużnym, odwzajemnił się za list, „pełny sprośności i wszeteczeństwa i omylności, w którym siła uszczypliwie przeciwko nam bez przyczyny naszej i nie przystojnie, nie oglądając się na swój stan”, Iwan Groźny napisał. Batory ciska mu w oczy zarzuty cięższe jeszcze, lecz uzasadnione, w tym samym tonie, oddaje piękne za nadobne, nawet moralizuje, posyła książki, zniesławiające przeciwnika. „Wedle nauki Zbawiciela naszego, Jezu Christa, jest to uczynek chrześcijański, gdy kto jaki niemy twór i od rozumu wszelkiego i baczania oddalony, czyj-by ktokolwiek był, osła, albo wołu, z błota wyciągnął. Jest tedy chrześcijański uczynek, że do ciebie, leżącego w błocie sprośności i niebaczania twego, schylimy się, a tobie rękę podamy, chcąc cię z niego wyciągnąć, obtarłszy naprzód błoto z oczu twoich, abyś mógł przejrzeć, a plugastwo i sprośność swoją zobaczyć!” Jednocześnie Stefan odpiera złamanie przysięgi, polemizuje o prawa do Inflant: „Zadajesz nam, że, z tobą walcząc, ziemię Polską i Litewską i twoją niszcząc, z obydwu stron słabiejemy, a zatem, że te państwa od pogan tem snadniej mogą być posiędzone. Pobożny chrześcijański człowiecze! prawie-bys tak zniszczył wszystką Polskę i Litwę, gdybyś coraz od niej co ujmowano i podawano, tedy-bys nie słabiał, ale-by te państwa słabiały i poganin-by nie miał co brać, bo-bys ty już wszystko pobral!”

„A pobożństwo twoje jakie jest? owoce same takie twoje sprawy okazują, uważanie sakramentu małżeńskiego, stanowienie wedle myśli swej o rzeczach kościelnych i to, żeście z przodkami swymi nauczyli ludzi swych wyznawać, żeście nad wszelki zakon! Poznaj się tedy sam, bo to jest największa mądrość samego siebie znać, a żebyś się lepiej poznał, posyłam ci księgi, które o tobie po wszystkim świecie, nietylko za przywilejem króla Augusta, przodka naszego, ale za przywilejem cesarza Maxymiliana, rozpisane, są i poślęć ich więcej potem, jeśli chcesz, żebyś się w nich, jako w zwierciadle, i ród swój obejrzał, a przypatrzysz się sam sobie, toż dopiero na drugich bystrze się

puszczają. A jako nam śmiesz przypominać tak często bisurmaństwo, ty, któryś krew swoją z nimi pomieszał, którego przodkowie za masztalerze, za podnóżki, wsiadającym na koń carom Perekopskim byli, którzy klacze mleko uronione na grzywie tatarskich szkap lizali!” „A więc ty nas, człowieku lichych obyczajów, będziesz porównywał do Sennacherybów, Amalechów, Maksencyuszów! sam Kainie! Phalarysie! Pharaonie, Neronie, Herodzie, Antyochu! A zaś będziesz kłamał Duchem Świętym, a pismo onego wyszpecając, nas hańbił i przeklinał, sam się wilk drapieżny za owcę udawał..” (Dniownik pośledni. pochodząca Stef. Batorya. Wyd. M. Kojalowicz. Petersb. 1867).

Wymiana obelżywych uwag i docinków przeciągnęła się nietylko aż do zawarcia pokoju Polanowskiego, ale i później korespondencye z natury rzeczy musiały mieć miejsce, były może nie bardzo częste, a jednak w końcu, t. j. przed wypowiedzeniem wojny w r. 1654, uzbierało się samych inkryminowanych zakwestyonowanych listów do czterystu arkuszy, stopy całe, „*volumina*”, jak je jeden z uniwersałów królewskich nazywa. Prawda, że później, a mianowicie między r. 1634 a 1654, najmniejszy błąd, przeoczenie piszącego poczytywanem było za obrazę, bo wtedy państwo moskiewskie przechodziło z roli odpornej do zaczepnej. Tymczasem jednak musiano z sobą korespondować. Opuśczone przez moskiewskich ziemie, puszcze, położone w odzyskanem niedawno pograniczu, przechodziły na własność Wazów, jako dobra koronne. Bojarowie, nie chcąc przysięgać na wierność Zygmuntovi III, do czego byli zmuszeni, jako trzymający ziemie prawem lennem, wynosili się do Moskwy, zostawiając Litwie na pastwę, a właściwie królowi, dobra swoje, które król obejmował, jako bezpańskie, i rozdawał następnie, jako starostwa, t. j. dzierżawy, najrozmaitszym, z warunkiem opłaty jednej czwartej dochodu (t. zw. kwarty) na utrzymanie żołnierza. Ci tedy starostowie królewscy, naczelnicy wojsk, służących małemi załogami w miejscowościach pogranicznych, zmuszeni byli nieraz, jako sędziowie w sprawie np. uciekających chłopów, „hultajów i luźnych ludzi”, za jakimi wiecznie się uganiało, lub też w sprawie rozboju, napadu w lesie, w sporach granicznych i kupieckich, przy wzajemnem ekspedowaniu gońców, znosić się z sąsiadami z za kordonu.

Oto naprzykład, w r. 1632 ucieka do Siewska szlachcic z korony, z dalekich stron, bo aż z Kamieńca Mazowieckiego, po krwawej jakiejś awanturze p. Jan Zabłocki. Ten opowiada, że w majątku ojcowskim, pod Warszawą, został starszy brat, a on, zwyczajem szlacheckim, poszedł wysługiwać się na dworach panów, był u Radziwiłła dwa lata, potem u p. Korsaka sześć lat, wreszcie u p. Piotra Udzielskiego około Połocka 3½ lat, a w końcu służył w wojsku, w konnicy w Nowogród-

ku Siewierskim, u kapitana Mikołaja Kunickiego. Tam zabił w pojedynku towarzysza swego, Staśisława Orłowskiego. Uciekając przed karą śmierci, zrzucił—jak sam się przyznał—na przedmieściu z siodła pana Wołka i na jego koniu uciekł w kierunku granicy. Gonili go wprawdzie przez 20 wiorst Litwini, ale skoro już się dostał na moskiewską stronę, pogoń ustała, więc puścił się aż do Siewska, gdzie też i pozostał. (N. A. Popow. „Akty mosk. gosud.”, t. I, str. t. I, str. 348. Petersb. 1800). Dlatego potem ścigano go listownie, chociaż, pomimo upominań się i odezw, wojewodowie carscy zbiegów nie wydawali, do czego nie byli obowiązani, bo i Rzplta zbiegów nie wydawała, gdyż musiała-by była przedewszystkiem wydać emigrantów, o jakich już tu mówiliśmy.

Z tem wszystkim, listowne uchybienia, czy to od władz pogranicznych, czy też (co się już bardzo rzadko przytrafiło) z warszawskiej kancelaryi, bardzo zwykle wydęte, nie były-by nabrały tego znaczenia i przeszły-by niepostrzeżenie, gdyby nie miały posłużyć za powód, czy pozór, do zerwania ugody. Boć o to jedynie chodziło, aby mieć usprawiedliwienie; dlatego drobne, mało-znaczące wypadki, nabierają odrazu wielkiej wagi, przerastają zwykłą miarę, stają się politycznemi wykroczeniami. Do zerwania umowy, korzystania z chwili, zachęca nadewszystko wojownicza postawa Turcyi, szukającej sprzymierzeńca. Turcyja jest drugim głównym czynnikiem w grze dyplomatycznej, popycha do złamania rozejmu, nawiązuje z Kremlem ścisłejsze stosunki i grozi teraz Polsce. Dlatego spotkamy się z wielorakimi pretensjami o nieformalności w listach, a później nawet o obrazy—w księgach drukowanych.

\*

\*

\*

Obok Turcyi i także w pewnej z nią styczności są sprawy kozackie, już od XVI wieku sprawiające kłopot Rzpltej, otoczonej na wysuniętem na kresy Europy stanowisku ludnością dyzunicką. Katolicka wewnętrzna polityka Zygmunta III, połączona z polską kolonizacją, znajduje opór w kozaczyźnie, w duchowieństwie prawosławnem, opierającym się o Moskwę, a ta o patryarchę konstantynopolitańskiego. Nie ulega wątpliwości, że węzły religijne zdecydowały o postawie kozaczyzny. W r. 1615 i 1618 mamy krwawe bunty na Ukrainie, gdzie wprowadzana jest unia. Zaraz po rozejmie Dywilińskim zjeżdża do Moskwy pełnomocnik patryarchy konstantynopolitańskiego, duchowny prawosławny, mieniący się patryarchą jerozolimskim, Teofanes; tam na Kremle wyświęca Filareta na patryarchę, a w rok

później zjawia się w Kijowie. Że był agentem politycznym—niezależnie od swej godności duchownej—widocznem jest z jego działalności. Wiemy, jak w epoce Samozwańców kozactwo zniszczyło część Moskwy; potem, w czasie wyprawy Władysława, ataman, Konaszewicz Sahajdaczny, daje słabą już wprawdzie kopię wypraw obu fałszywych Dymitrów. Kiedy Teofan przyjeżdża do Kijowa, Konaszewicz i starszyzna udają skruchę, a przekonani o błędach, jakie popełnili, walcząc w szeregach Rzpltej przeciw Moskwie, odjeżdżają nawróceni. Obok więc politycznych zamachów mamy jeszcze tajne knowania na tle religijnem. Kozacy niebawem posyłać będą cichaczem poselstwa do Moskwy.

Na tem więc tle: z jednej strony obawy przed Turcyą, wojen z nią, niebezpieczeństwa od Szwecyi, a z drugiej, buntów kozackich, rozwijają się stosunki Moskwy do Polski. Że kozacy uciekają z grodów ukraińskich na Zaporozże, a stamtąd wypływają na morze, aby łupić tureckie i tatarskie pobrzeża, to pogarsza tylko położenie. Dla tego przybywają Polsce ciągle kłopoty, a jednocześnie wzrasta potęga sąsiada. Nie mogło pomódz ani wystawienie twierdzy Kudaku, ani wygrane bitwy na Ukrainie, jak i nie odniosła później skutku pojednawcza missya Adama Kisielea do Moskwy. Buntujący się kozacy znajdują zawsze ucieczkę i przytułek za granicą moskiewską, jak np. Ostranica i Hunia, na co wiele jeszcze skarg usłyszymy. Wobec tylu powstających jednocześnie niebezpieczeństw, nie będzie miał rzeczywiście Władysław IV innej drogi, jak tylko starać się o uspokojenie nieprzyjaźni, jako tako załatwić sprawy pograniczne, zażegnać z jednej przynajmniej strony ewentualności wojny i zabezpieczyć sobie tyły. Nie będzie więc żałował kroków pojednawczych, aby doprowadzić do jakiego takiego *modus vivendi*, a jeżeli mu się nie uda, to dlatego, że nie ma sprzymierzeńców i z trzech stron jest zagrożonym.

I oto niezadługo po rozejmie Dywilińskim niejaki pan Uhlik, kapitan w Sierpejsku, pisząc do któregoś z wojewodów-bojarów, używa drażniących wyrażen. Z drugiej strony nadchodzi podobny list od niejakiego Staszewskiego, zdaje się, starosty poczepskiego, w Siewierszczyźnie. Donoszą o tem wojewodowie brjańscy. Bojarowie zażądali teraz ukarania winnych, bo i w liście Uhlika znalazło się, nieznanie nam bliżej, jakieś obelżywe wyrażenie; oświadczyli, iż dłużej podobnego stanu rzeczy nie ścierpią. Warszawscy senatorowie przyznali wprawdzie słuszność reklamacyi, wielkiej nieprawidłowości listów, doręczanych w kopii; ale zarazem usiłowali załatwić spór w sposób łagodzący drażliwość, nie chcieli zrażać, czy też kompromitować, czy wreszcie karać oskarżonych, bo tam, gdzie prowokacyi pewno nie brakowało, właściwie obie strony były winne. Zresztą, w całym sze-

regu wypadków, a tem więcej wrzeczonej pretensyi bojarów, mogli upatrywać raczej wyrachowaną zaczepkę, niż prawidłowy krok dyplomatyczny. Przecież uznać cara Michała nie chcieli, bo nie był uznanym, a ukaranie winnego było-by znowu posłużyło za jawny dowód. Odpowiedź wypadła wymijająco: „My ten wyjątek (z listu) czytamy—piszą do Moskwy—i widzieliśmy, że oni, jako żołnierze, służyli, nie znając form, jak się do obcych państw pisze, pisali sobie tak—po prostu.” Bodaj czy to nie była pierwsza pretensya o obelgi i urazy. Nie wiemy zresztą, jaki był jej dalszy przebieg, ale p. Uhlik bodaj czy pozostał już więcej w Sierpejsku, bo go później w Smoleńsku spotkamy. Wzgląd na zbliżającą się od Turcyi groźną wyprawę nakazywał pewną oględność w stronę północnej rubieży. Taktyka za to drugiej strony polegała na upatrzaniu stosownej chwili osłabienia Polski, aby uderzyć na Smoleńsk, odebrać go wraz z całą Siewierszczyzną.

W chwili, kiedy hetman, St. Żółkiewski, wyruszył przeciw Turkom nad Prut, pod Cecorę, zjechało do Moskwy poselstwo polskie: Aleksander Slizień, stolnik oszmiański, i Mikołaj Amforowicz, sekretarz królewski. Jechali do bojarów, nie do cara i od pp. senatorów, bo Michał Fiodorowicz zawsze jeszcze nie był uznanym przez Polskę, jak i do niedawna przez Szwecyę.

Czy poselstwu chodziło o zbadanie położenia? Jest to prawdopodobnem; obawiano się i wiedziano już coś o konszachtach tureckich. (Amb. Grabowski. „Ojczyście spominki.” Kraków, 1845, t. I). Wielkich illuzyi chyba w Warszawie nie można było żywić; o zawarcie pokoju stałego w owej właśnie chwili było trudniej, niż kiedykolwiek. To też poselstwo zostało przyjęte jak najgorzej; na audyencyi u bojarów odżyły wszystkie zarzuty i klótnie; rada carska żądała zwłaszcza wypisania tytułu carskiego Michała Fiodorowicza; nawet listu, pisanego przez senatorów, nie przyjął kn. Mściśławski, głowa *dumy*. Musiało nawet przyjść do bardzo ostrych starć; widać rzeczy doprowadzone były do ostateczności, kiedy pp. posłowie zaczęli straszyć, czy też odgrażać się nowym Samozwańcem, jakoby tylko powstrzymanym przez króla, w chwili, kiedy gotował wyprawę na państwo moskiewskie. „Wtenczas, kiedy komisarze w Orszy wypłacali żołd wojsku, rozpuszczali chorągwie (po zawarciu rozejmu), a wojsko się rozjeżdżało, zdarzło następujące zdarzenie: rozrzucali pomiędzy wojskiem, w imieniu Iwana Dmitrowicza, carewicza moskiewskiego, listy, pisane po moskiewsku, z moskiewską pieczęcią, gdzie było napisane, że carewicz żyje i prosi wojsko, ażeby, pamiętając na dobroć jego ojca, wkroczyło w moskiewską ziemię i pomogło mu odebrać ojcowiznę, a on obiecuje dobrze ich wynagrodzić. Było pomiędzy wojskiem wielu takich, co uwie-

rzyli i chcieli iść do niego na służbę, lecz komisarze przekonywali rycerstwo, że to są wymysły i w imieniu królewskim zabronili, aby nikt w podobnej lotrowskiej sprawie udziału nie przyjmował. Wszyscy zgodzili się na to, usłuchali i rozjechali się do domów, kozacy zaś i kilku pachotków pojechali do kozaków zaporoskich, aby z nimi wprowadzić tego Iwana w granice państwa moskiewskiego. Naówczas król kazał natychmiast rozesłać uniwersały po całej Ukrainie i kozakom zaporoskim rozjechać się z granic.

Nie sądzimy, aby wysłannicy ułożyli podobną dykteryjkę *ad usum* chwili. Przecież jest to epoka, kiedy rozpoczyna się na nowo formalna epidemia Samozwańców; ten Iwan Dmitrowicz, podający się za syna drugiego fałszywego Dymitra i Maryny, był-by może tym samym *Carowiczem*, który wkrótce potem nabrał pewnego rozgłosu, Janem Faustynem Łubą z podlaskiego. Lubo ani on, ani inny sobowtór pretendenta (jako syn Wasyla Szujskiego)—Tymoszka Abemdinow—nie odegrali w samej rzeczy żadnej ważniejszej roli za Władysława IV, nie wykluczonem jednakowoż było-by przypuszczenie, iż jeden z polskich, czy też litewskich panów, przysposabiał cichaczem pretendenta, aby w danym razie, w potrzebie, do jakiej się musiano przygotować, rzucić go razem z kozactwem na sąsiada. Bądź, co bądź, jak okazało doświadczenie, była to jedna z najstraszniejszych i zarazem najskuteczniejszych broni, jaką się można było posłużyć; bo nie tylko ubezwładniała wroga, ale rzucała jabłko nienawiści między nim a kozaczyzną. Zresztą o tych Samozwańcach posłyszymy jeszcze, kiedy się naprawdę o nich lękać i upominać będą.

Slizień i Amforowicz musieli ponownie przekonać się, jak silnemi były w Moskwie pokusy, aby złamać szesnastoletnią ugodę, wystąpić razem z Turcyą do boju. Pokusy te musiały być jeszcze silniejsze po klęsce cecorskiej, gdzie zginął, jak wiemy, znany w Moskwie hetman Żółkiewski, właściwy autor elekcyi Władysława na cara. Przytem upływał termin rozejmu między Polską a Szwecyą. I dziwić się, że w tych warunkach stosunki ukraińne, t. j. pograniczne, pozostawiały wiele do życzenia!

Tak stała sprawa—nowa wyprawa turecka wkroczyła z Wołoszczyzny nad Dniestr—kiedy w sierpniu 1621 roku zjechał na Kreml poseł turecki, i to prawosławny,—Tomasz Kantakuzen. Jeśli wierzyć relacyom francuskiego rezydenta w Konstantynopolu, de Lezy <sup>1)</sup>, o wysłanie tego posła starali się: patriarcha konstantynopolitański, Cyryl, hollenderski poseł, rezydent i kilku tureckich paszów. Ukazanie się

<sup>1)</sup> S. Solowiew. „Ist. Rossii.”

prawosławnego posła od Dywanu, i to jeszcze z rekomendacyi patriarchy, jest wielce charakterystycznym i znaczącym symptomem, bo wskazywało-by na współdziałanie prawosławia na całej linii, na sprężyny, jakie w Stambule poruszały się przeciw Rzpltej, przeciwko unii. Wtedy, kiedy się schodzą interesa Caratu i Turcyi, naturalnym i gorliwym pośrednikiem staje się patriarcha. Wszakże na Kremlu rezyduje w całym tego słowa znaczeniu Filaret: jego-to może zabiegiem zawdzięczyć trzeba pewną solidarność sułtanów z polityką Rossyi, w jego rękę zbiegają się zapewne nici, które mają opłacać Zygmunta, czy też Władysława. Do niego-to przyjeżdża z Witebska arcybiskup, Józefat Kuncewicz,—w sierpniu 1625 roku—w niewiadomym nam celu. („Dworcowyje rozrjady.” Petersb. 1850, t. I, str. 488). Propagowaniem unii i wielkimi jej postępami od początku XVII wieku, chociaż bez użycia siły, stworzyła sobie polityka Zygmunta III nieprzejednanego wroga w związanem węzłami religijnymi z Moskwą duchowieństwie greckiem. Z góry Athos płynęły listy, gromiące odszczepieństwo od greckiej wiary. Zapewne pieniądze musiały odgrywać wielką rolę w radzie sułtana, u paszów, jak tego miejscowe tradycje wymagały. Przez Kantakuzena pisał młody sułtan, Osman, do Moskwy, że idzie z wojskiem przeciw królowi polskiemu, zatem, aby car skorzystał ze sposobności i zemścił się na Polakach, a z sułtanem zawarł silniejszą przyjaźń i wkroczył z wojskiem na Litwę. Nawet wielki wezyr, Hussejn, pisał również od siebie do „kochanego przyjaciela swego, króla moskiewskiego”, oddzielny list, gdzie tłumaczył, iż nadszedł czas, ażeby się „opasać męznym pasem wojennym” i nie opuszczać tak korzystnej chwili.

Z powodu zawartego niedawno rozejmu, krążyły widocznie w Radzie Sułtana dziwaczne i nawskroś fałszywe pogłoski, bo Kantakuzen oświadczył patriarsze, Filaretowi, noszącemu także tytuł cara: „Doszło do uszu sułtana, że syn wasz królowi polskiemu posłał pieniądze i sam chce mu pomagać. Niechaj tego nie robi i niech z nami trzyma przeciw królowi polskiemu, a kiedy sułtan ziemią polską zawładnie i miasta zabierze, wtedy wasze miasta, Smoleńsk i inne, synowi twojemu darmo oddamy. Wiadomem jest wielkiemu carowi, synowi twemu, że teraz w ziemi niemieckiej panuje niezgoda między cesarzem a luteranami i skutkiem tego wiele ziem od cesarza odpadło. Na Węgrzech i w Siedmiogrodzie sułtan, Osman, osadził Bethlen-Gabora, na Wołoszczyźnie syna wojewody Michny, w ziemi moldawskiej teścia mojego. Wszystkim im kazał gotować się do wojny przeciw cesarzowi (niemieckiemu), aby cesarz nie miał możności pomagania królowi polskiemu. Cesarz ma teraz za swoje i sam się nie może obronić. Sułtan Osman umyślnie przysłał mnie tutaj, człowieka, wyznającego grecką

wiarę, abyście mi wszyscy uwierzyli i cesarzowi memu ufali. On jest rzeczywiście dla króla polskiego wrogo usposobionym, na czas najmniej 10 lat, i teraz wyruszył już z wojskiem w drogę, a mnie do was z drogi posłał. Patriarcha, Cyryl, kazał waszej świętobliwości powiedzieć, ażeby syn wasz szedł razem z sultaniem i nie posyłał pomocy królowi polskiemu. Za to ja, wam, carom, duszą swą ręczę, że sultan Osman z wielkim Carem waszym chce żyć w braterskiej przyjaźni i miłości i przeciw królowi polskiemu chce wspólnie z nim wojować! Filaret miał wtedy odpowiedzieć, powołując się na zawartą niedawno ugodę: „bojarowie z panami rady zawarli pokój, a niektóre grody zostały oddane Litwie. Pokój ten kazał mój syn zawrzeć li tylko z powodu mnie (t. j. wyzwolenia Filareta): pomiędzy synem moim i królem Polskim i synem jego o porozumieniu się i miłości mowy teraz być nie może; o krzywdach, poniesionych od nich, i o zniszczeniu państwa moskiewskiego my także zapomnieć nie możemy; my tylko na to zwracamy całą naszą uwagę: niech-by tylko król Polski teraz choćby w czem najmniejszym pokój naruszył, to syn mój, dla przyjaźni z sultaniem, pośle przeciw niemu wojsko i już jest wydany rozkaz, ażeby wojsko było gotowe, a pomocy przeciwko sultanowi syn mój królowi polskiemu nigdy nie dawał i nie da. Ażeby zaś sultan słowom tym moim uwierzył, powiedz świętobliwemu patriarsze, Cyrylowi, że słowa swego nigdy nie zmienię!”

Patriarcha zaznaczył w powyższych słowach w sposób otwarty taktykę, jakiej się na Kremlu trzymało—znać, że i wysoce ubliżające wyrażenie w. wezyra, tytułujące Michała Fiodorowicza „kochanym przyjacielem”, nie zostało uznanem za obelgę, lubo, jak wiemy, sprzeciwiało się, i to w bardzo jaskrawy sposób, przyjętym i tak surowo przestrzegany na Kremlu formom dyplomatycznym.

Przyjęta przez bojarów metoda mogła rzeczywiście o tyle liczyć na powodzenie, nie zawieść obliczeń, że surowa żelazna organizacja z jednej strony granicy dziwnie kontrastowała z wybujałą zapewne swobodą czyli wolnością z drugiej. Wiemy, jak pomimo pozornej zgody, stan obopólnego rozdrażnienia nie ustawał. W carstwie od strony Wiaźny ciągle się gotowano w nadziei uderzenia na Smoleńsk, a może także w obawie ponownej wyprawy od strony Litwy. Jednocześnie znowu, do wojewodów pogranicznych rozesłane były instrukcje, aby o wszelkich naruszeniach, jak się wyrażano, traktatów przez Litwinów donosili carowi. Mieli oni, dawnym zwyczajem, wysyłać szpiegów do Rzeczypospolitej z wyraźnem zastrzeżeniem, aby o moskiewskich sprawach nie złego nie mówili, tylko samo dobre, podarków nie brali, a zwłaszcza aby Litwinów zdradnie w granice carskie nie wprowadzali („Akty sobr. archeog. kom.“ 1841, t. III, N. 116). Mają się wywiadywać



wszelkimi sposobami o królu, królewiczu, senacie, hetmanach, o wojsku, gdzie się zbiera, ile go jest, na kogo idą, jaka gdzie bitwa była, wreszcie o kozakach i t. d. Chodziło tu zapewne także o Szwecyę, z którą car zawarł był pokój w Stolbowie. Szczegółowo zaś, wojewodowie pograniczni mieli teraz surowo nakazane, aby nikt z mieszkańców Wiaźmy z Litwinami i wogóle z zagranicą nie zadzierał i rozbojów nie prowadził. Gdyby kto zaczął Litwinów, trzeba było go odszukać, zagrabione rzeczy odebrać, za granicę właścicielowi odesłać, a winnych ukarać. Gdyby znowu Litwini napadli kogo z pobliskiej Wiaźmy, pisać o tem do litewskich urzędników, aby winnych odszukali i ukarali, a co odpiszą ze Smoleńska lub innych miast, odesłać carowi, zdjawszy kopię z pisma, aby można żądać zadosyćuczynienia. „Listy, w których *urjadnicy* litewscy będą tytułowali króla wbrew poprzedniemu zwyczajowi „wielu innych gospodarstw gospodarzem i władcą”, a królewicza carem i wielkim kniazem wszej Rusi, mają wojewodowie, po zdjęciu z nich odpisu dla przesłania go carowi, zwrócić natychmiast urzędnikom, nie zatrzymując ich u siebie ani godziny, napisawszy im od siebie, aby nie tytułowali ani króla, ani królewicza w ten sposób, bo ten ostatni nigdy carem nie był i nie będzie: z łaski Bożej, w moskiewskim państwie carem i wielkim kniazem jest Michał Fiodorowicz, samodzierca wszej Rusi, a królewiczowi litewskiemu nie do państwa moskiewskiego.“ (N. A. Popow. „Akty mosk. gosud.“, t. I. Petersb. 1890, str. 160).

Chwiali się więc zdania, czy nie skorzystać z nadarzonej a wycekiwanej chwili, zgwałcić zawieszenie broni i jednocześnie z Turcyą wkroczyć na Smoleńszczyznę i Siewierszczyszczę, zwłaszcza, że wtedy Gustaw Adolf wpadł był do Inflant.

Dwunastego października (v. s.) 1621, Michał Fiodorowicz i Filarzet zwołali sobór całej ziemi do wielkiej sali w t. zw. Granowitej Pałacie na Kremlu, z udziałem przedstawicieli wszystkich stanów, metropolitów, bojarów z ku. Fiodorem Iwanowiczem Mścisławskim na czele, ze szlachtą, kupiectwem, atamanami z nad Donu i t. d.

W chwili, kiedy się sobór zbierał, już był zawarty pokój w Chocimiu. Umarł wtedy w obozie J. K. Chodkiewicz, w rok po Stanisławie Żółkiewskim. Razem z nim zeszedł z pola drugi wielki bojownik za sprawę Wazów, pod Moskwą. Na tym soborze wylał się cały strumień zażaleń na króla i jego politykę, czego się zresztą spodziewać należało. „Hospodar i jego ojciec mówili o nieprawdach i o krzywoprzysięstwie (?) odwiecznego wroga moskiewskiego hospodara, króla Zygmunta, który pokój zaprzysiężony w r. 1618 naruszył, gdyż wojewodowie miast pogranicznych tytułują w listach swoich królewicza carem, a nadto dzieją się zaczepki ze strony litewskiej w powiatach

Putywlskim, Brjańskim, Łuckim (Wielkie-Łuki) i Toropeckim i w wielu innych miejscowościach; zajmują moskiewskie ziemie, słobody budują, sioła <sup>1)</sup>, wsie, wody i lasy przyswajają sobie. W Putywlskim powiecie w 70 miejscach saletrę warzą; budnicy popiół wypalają, ryby łowią i zwierzynę biją, a hospodarskich ludzi mordują. Również nie uwalniają wszystkich jeńców, królewicza zaś litewscy urzędnicy ciągle nazywają carem. Następnie w zeszłym roku panowie rad przysłali pismo, gdzie zapierają carowi Michałowi jego tytułu i pokrewieństwa z Iwanem Wasyljewiczem (Groźnym) i Fiodorem Iwanowiczem, a jednocześnie nazywają carem Władysława. A że obrazy te wciąż się powtarzają, przeto obaj gospodarowie chcą mieczem dochodzić na Zyguncie krzywd swoich. Obecnie przysłał do nich jego hospodarską mość, turecki sułtan, Osman, posłów swoich, Tomasza Kantakuzena, Greka, i czausów dwóch z upominkami i darami. Kantakuzen przedstawił, iż należy obu gospodarom działać zgodnie, wspólnie, przeciw wrogowi obudwu, gdyż sułtan Osman, za zniszczenie Moskwy, prowadził-by wojnę lat dziesięć z polskim królem, a teraz w miesiącu kwietniu ruszył nań i prosi, aby Ich Hospodarskie Moście poodbierały teraz ziemie, które Im (t. j. carowi i ojcu) król polski pozabierał, gdyż teraz nadeszła odpowiedna pora, a później nie będzie można ich dochodzić. Car krymski już wyruszył na Litwę, a król polski pisał do hana, pieniądze mu posłał i godzić się z nim chciał, byle-by han na moskiewskie gospodarstwo ruszył. Lecz han na to nie przystał, pieniądze nie przyjął i poszedł na Litwę razem z sułtanem tureckim.“

„Król szwedzki, Gustaw Adolf, przysyłał także do gospodarów niejednokrotnie, aby z nim wspólnie działali przeciw polskiemu królowi. Lecz gospodarowie, ponieważ nie pragną rozlewu krwi, chcą rozkazać bojarom, aby posłali do panów rad pismo z opisem tego wszystkiego, a jeśli oni, w odpowiedzi nie wymienią tytułu J. Carskiego Wieliczeństwa, królewicza nazwą carem, to gospodarowie dłużej tego cierpieć nie będą i mścić się będą, gdyż tylko teraz ukrócić można pychę króla, polskiego, skoro jest ściśniętym przez sułtana, hana i szwedzkiego króla.“

„Na to metropolici, bojarowie i cały ziemski sobór bili czołem obu gospodarom, aby wystąpili przeciwko królowi, a oni się do tego przyłożą, nie szczędząc głów swoich. I prosili gospodarów, aby rozkazali spisywać po miastach, kto jest zdolnym do służby i t. d.“ („Sobranie gosud. hramot i dogoworów“, t. III i „Knigi rozrjadnyje“, t. I., str. 773).

<sup>1)</sup> Sioło: wieś z cerkwią.

W trakcie przygotowań, musiało dotrzeć do Moskwy zawiadomienie o zawartym pokoju, ale tymczasem, na trzeci dzień, po rozejściu się soboru, wysłany był od bojarów do Warszawy goniec, Borniakow, z listem, gdzie wyłuszczone powyżej żądania—niejako ultimatum—były postawione. „Jeżeli nadal tytuł naszego wielkiego cara będziecie pisać nieodpowiednio do jego godności, lub też jeśli go będziecie pisać nieodpowiednio do jego godności, lub też jeśli go będziecie pisać nieodpowiednio do jego godności, lub też jeśli go będziecie pisać nieodpowiednio do jego godności, albo jeśli-by urzędnicy miast pogranicznych tytułowali go nieostojnie i nie według tego, co zostało postanowionem w aktach poselskich (a wasi posłowie przyjęli dokument od posłów moskiewskich <sup>1)</sup> i w swych aktach tytułowali naszego cara wielkim carem (?), a królewicza wszędzie (?) tytułowali królewiczem, a nie carem), jeśli więc teraz będą królewicza tytułować nie według tej umowy (?)—to my, carscy bojarowie, po raz ostatni wam oznajmiamy, że my i wszyscy ludzie państwa moskiewskiego na to nie pozwolimy, i prosząc Boga o pomoc, staniemy w obronie czci i za krzywdy od was poniesione mścić się będziemy.“

Argumentacyi bojarów można-by wiele zarzucić, bo tak, jak pisała, wcale nie było—owszem, senatorowie porobili w Dywilinie zastrzeżenia, Rzplta cara Michała dotąd nie uznała, czego najlepszym i bardzo wymownym dowodem było, że do niego wprost się nie zwracała, ale do bojarów, i ci, korespondując z senatorami, stan ten w zupełności tem samem uznawali.

Pierwszych dni lutego 1622 roku powrócił z Warszawy Borniakow, w towarzystwie królewskiego gońca, Krzysztofa Chwalimira, wioząc odpowiedź senatorską—do bojarów.

Borniakow nie przywiózł wprawdzie odpowiedzi, zredagowanej tak ostro, jak poprzednie, nie było nawet przy królewskim nazwisku dodatkowych tytułów, t. j. „i wielu innych gospodarstw gospodar i władca“, ale, co się tyczyło królewicza, pismo zawierało znowu ten sam prawny wywód, opierający się na przysiędze, złożonej przed Stan. Żółkiewskim w Moskwie. „I terazniejszy wasz, Michał Fiodorowicz, będąc stolnikiem, z wami i z innymi stolnikami, towarzyszymi swymi, przysięgał na wierność i poddaństwo królewiczowi; niepodobieństwem jest odebrać to jemu. Jeśli zaś bojarowie czego żądają, powinni sami być czołem i prosić o to królewicza.“ Michał Fiodorowicz nie był tytułowany carem, a o Iwanie Groźnym odzywali się uszczypliwie, że jego rodzicielką kniahini Głińska, której ojciec zdradził króla polskiego, chociaż teraz kniaziowie Głińscy wiernie królowi na Litwie służą. Ale o najważniejsze, o urzędnikach pogranicznych i o ich omyłkach, czy

<sup>1)</sup> W Dywilinie.

obrazach, nie było w liście mowy, była jedynie propozycja wysłania między Wiaźmę i Dorohobuż komisarzy dla rozpatrzenia sporów pogranicznych, ułożenia się o tytuły i tym podobne wątpliwości.

Missya Borniakowa miała pewną dobrą stronę, bo obudziła jeszcze więcej czujność pp. senatorów; dlatego też instrukcyja na sejmiki powiatowe w r. 1622 wskazuje na niebezpieczeństwo od Moskwy, na *longa volumina* krzywd, poniesionych jako-by od ludzi, mieszkających w Siewierszczyźnie, na listy *grubo et imperiose* przez posłanników pisane z Moskwy, machinacye, jakeimi do wojen tureckiej i inflanckiej się przyłożyła. Widocznie więc w Warszawie znali prawdziwy przebieg rzeczy.

Z powodu ułożenia się wojny z Turcyą akcyja zaczepna w stronę Smoleńska była odroczoną, zwłaszcza, gdy z Konstantynopola przyszły wiadomości o zamordowaniu sultana Osmana przez janczarów, a Rzplta uzyskała nawet od Szwecyi chwilowy spokój. Bez sprzymierzeńców państwo moskiewskie nie miało odwagi targnąć się na nieprzyjaciela, gdyż, jak powiada S. Sołowiew, ani dowódcy, ani żołnierze odwagę się nie odznaczeni.

Rzplta miała bardzo zwyczajny w owych czasach sposób odciążenia uwagi sąsiada od granicy smoleńskiej, dokuczenia mu przez podkupienie Tatarów, aby wpadli zagonami. Prawdopodobnie inkursya tatarska od strony Epifanii, Bielewa i Diediłowia, w owej właśnie chwili miała stanowić t. z. *dywersyę* na korzyść korony i Litwy. Nie przeszkadzało to jednak wcale, że po odłożeniu planów odwetu na inną, stosowniejszą chwilę, wysłanym został nad granicę dla załatwienia sporów, stosownie do propozycyi, przywiezionej przez p. Chwalimira, książę Wasyl Achamaszukowicz Czerkaski. Senatorowie wydelegowali kn. Samuela Sanguszkę. Obaj komisarze zjechali się tylko raz jeden, i to na próżno, bo zainteresowany o te obelgi i urazy, o winowajców, Sanguszko nic nie umiał powiedzieć, gdyż nie miał instrukcyi, dlatego spory graniczne pozostały raną, nie chcąc się wcale goić. Co prawda, niedochodzenie komissyi pogranicznych zdarzało się także w innych stronach państwa, jak np. od Węgier i Szląska. Dla rozstrzygnięcia wątpliwości, jak mogła biedz dawniej granica, przywoływano t. zw. *starożyłóv*, t. j. miejscowych ludzi, bardzo starych, pamiętających tradycyę; obowiązani byli przysięgać, ale, jak tu było rozstrzygnąć, kiedy każda strona świadków przywoływała, którzy, albo sprzecznie zeznawali, albo fałszywie przysięgali. I tak np., Putywnie mieli osobne swoje spory z kn. Jeremim Wiśniowieckim, który tam, na Zadnieprzu, od Zygmunta III otrzymał kolosalne obszary i miasta i wsie pozakładał.

\*

\*

\*

Jeszcze jeden przyszły sprzymierzeniec carstwa, i to najruchliwszy, zaczął wtedy podnosić czoło—kozacy. Razem z bardzo szybkim rozrostem kozaczyzny, cała Ukraina obu brzegów Dniepru powstaje przeciw napływowemu żywiołowi—przeciw Lachom. Że były „tajemne roboty“ z za pogranicza, nie ulega wątpliwości, duchowieństwo greckie musiało odegrać tu ważną rolę. Dość, że do kłopotów Rzpltej przybędzie jeszcze i ten wewnętrzny i okaże się wielkim i bardzo niebezpiecznym.

Wiemy o tajnych poselstwach do Moskwy, i to na dwadzieścia lat przed Chmielnickim, krążą nawet listy od moskiewskiego kniazia, o jakie komisarze polscy na komissyach z kozakami się upominają.

Oczywiście, rzecz ukryć się nie mogła, dlatego do rozdrażnienia sąsiedzkich stosunków przybyła sprawa kozacka, a zwłaszcza tych kozaków zbiegów, co, popełniwszy zbrodnię, czy to mającą cechę politycznego przestępstwa, czy zwykłego morderstwa, niekali za kordon, aby uniknąć kary. Z upływem lat sprawa tych zbiegów wzmoże się, zwłaszcza ze strony kozaków wyrośnie wtedy do rozmiarów wielkiego politycznego sporu, bo teraz jeszcze agitacya nie zapuściła silnych korzeni, tylko pojedyncze przebłyski zdają się zapowiadać nadciągającą burzę.

W r. 1625, w czerwcu, pisarz ziemski w Dorohobużu, p. Mikołaj Woroniec, czy też Woroniecz, bo go raz tak, drugi raz tak nazywano, zgłasza się listownie do wojewody wiaziemskiego, kn. Wołyńskiego, żądając nieprzyjmowania zbiegów i niedawania im opieki. Woroniecz naturalnie zatytułował królewicza Władysława „Carem Wszech Rusi.“ Przytaczanie osoby królewicza pochodziło zapewne stąd, że Władysław, jak wiemy, był mianowany administratorem Smoleńszczyzny i Siewierszczyzny, miał je poniekąd oddane pod specjalny swój nadzór i opiekę. Nie można się dziwić, że Wołyński zirytował się, bo Woroniecz nie po raz pierwszy z nim tak korespondował, a co do „perejeżczyków“ dał odpowiedź odmowną, skoro, jako urodzeni poddani państwa moskiewskiego, przechodzą na stronę cara, pod jego berło, więc ich nie można za to tracić, a ich rzeczy oddawać; „dziwię się, iż mi piszesz w sprawie, punktami ugody nie objętej, a zresztą nigdy tego mi bywało z żądanej strony, aby przechodzących pod inne berło—tracić, a ty tego żądasz, a wstyd wymagać tego, co nie jest zawarowaniem ugody. Nadal nie pisz nic i nie wymagaj wypełnienia podobnych żądań, jak my, co nie piszemy wam względem przechodzących na waszą stronę, choć wielu z nich przechodzi do was, nabrawszy i nakradłszy cudzej własności nie mało. Nie zadzieramy z wami, ugody przestrzegamy i wykonywamy święcie.“ („Akty sobr. i izd. archeogr. kom.“, t. III, str. 204—6.

Nie posiadamy dokładnych danych o tych listach, jakie, zdaniem bojarów, wystarczyły na usprawiedliwienie wojennych kroków, a szkoda, bo ich anegdotyczna strona była-by ciekawą. Uzbierało ich się z czasem, t. j. aż do pamiętnego roku 1654, mnóstwo, podobno gruby tom, którym w stronę Rzpltej coraz namiętniej się odgrażano.

Na tych małych udzierkach i szarpaninach, przy pozornym spokoju, schodzi dziesięciolecie od r. 1622 do r. 1632. Wojna z Tatarami, a następnie wyprawa Gustawa Adolfa na Inflanty, Kurlandję i Prusy Polskie, osłabiają Rzpltą, ale znowu nie dają sposobności wkroczenia w granice Litwy, pomimo, że w r. 1626, 1629 i 1630 Gustaw Adolf przysyłał posłów do cara, ofiarując mu przymierze, prosił nawet o przepuszczenie posłów swoich do kozaków, celem przeciągnięcia ich na swoją stronę, t. j. wywołania powstania. W końcu Zygmunt zawarł ze Szwecją sześcioltni rozejm.

Dopiero w ciągu 1630 r. zjeżdża znowu na Kreml—po raz trzeci—od sułtana Murada IV, znany nam już, Tomasz Kantakuzen, aby przygotować sojusz, jednoczesną kampanję na Polskę i Litwę. Wprawdzie zgoda obu mocarstw nie przyniosła na razie żadnych owoców, Aleksander Piaseczyński zawarł nawet chwilowy rozejm z Portą, ale niezadługo, bo w r. 1633 Polska będzie musiała bronić się jednocześnie na dwie strony: król Władysław z hetmanem Radziwillem od strony Smoleńska, a hetman Koniecpolski od granicy mołdawskiej. Wtedy także Turcyja opóźniła się z wyprawą, zrobiła zawód, na co w Moskwie będą się uskarżać, albowiem, kiedy wojska tureckie zbliżyły się do Kamieńca Podolskiego, Michał Szein był już osaczonym, musiał kapitulować.

Od r. 1630 rozpoczynają się przygotowania do wojny, w celach bardzo już dla sąsiadów widocznych, w szybszem tempie, jakoby z zamiarem ucieżenia, zaskoczenia Smoleńska; zaraz też na Litwie zaczynają niepokoić się naprawdę, trzymać się na baczności, prawdopodobnie biegną niezwłocznie *avisa* do Władysława, jako administratora ziem, bo łudzić się już dalej było niepodobna, chociaż to jeszcze daleko do upływu rozejmu. Na kilka tedy lat przed wybuchem wojny gotują się obustronnie.

W Moskwie zdobyli się znowu na ważny krok, jakiego Wasyl Szujski już próbował, lubo niefortunnie—to jest na zaciągnięcie cudzoziemców, nie tylko żołnierzy, ale i oficerów, bo dotychczasowa kozacko-tatarska taktyka wojenna urywania wroga, cofania się, mogła być bardzo skuteczną w wojnie obronnej, ale nie zaczepnej. Dlatego w styczniu 1631 r. wysłanym jest starszy pólkownik, jeden z bardzo znanych w Moskwie ludzi, Aleksander Uljanowicz Leslie, do Szwecyi, aby przeprowadził 500 piechoty. Pojechali także do Sztokholmu stolnik Ple-

miannikow i djak Aristow, dla zakupu dziesięciu tysięcy muszkietów, 500 szpad. Ochotnicy i puszkarze mieli być werbowani w Danii, Anglii, Hollandyi i w Niemczech.

Ze względu na ważność postanowień, car Michał i Filaret zwołali ponownie w czerwcu walny sobór, z powtórzeniem przytoczonej już przez nas sceny z r. 1621. A mianowicie zgromadzenie wysłuchało mowy usprawiedliwiającej projektowane zerwanie stosunków.

Królewicz używa ciągle tytułu carskiego, Aleksander Gąsiewski i inni starostowie grodów litewskich wyrażają się o wielkim gospodarze w sposób obraźliwy: bojarowie nie uzyskali dotychczas od senatorów zadosyćczynienia na wniesione zażalenia; pograniczni mieszkańcy krzywdzeni są przez Polaków, Polacy wybudowali zamki i ostrożki na moskiewskich ziemiach, zajmują wsie i wywożą chłopów za granicę („Czтения w imp. obszczest. ist. i drewn. pis. mosk. uniwerst.” Moskwa, 1862, t. IV. Bentysz Kamieński).

Sobór zgodził się na wszystko, zapewne nawet z entuzjazmem, postanowił wojnę i wysłanie jak najprędzej kn. Dymitra Mamstrukowicza Czerkaskiego i kn. Borysa Łykowa na Dorohobuż, Sierpejsk i Smoleńsk; ale, że się ci wojewodowie zaraz pokłócili, przeto musieli być zastąpieni przez znanego chlubnie z lat 1609—1611 Michała Borysowicza Szeina i Artemia Izmałowa.

Król Zygmunt, wobec wieści o ruchach wojsk moskiewskich, potwierdzonych przez wysłanych szpiegów, zezwolił na sejmie w kwietniu r. 1632, aby Władysław, mający, jak wiemy, oddane w opiekę te prowincye, bronił razem z hetmanami zagrożonych granic.

W czasie obustronnych przygotowań do wojny umarł Zygmunt III, skutkiem czego pp. senatorowie wysłali p. Marcina Koszczyca goncem do patriarchy Filareta, z zawiadomieniem o śmierci królewskiej i wezwaniem do powstrzymania kroków wojennych; goniec, wysłany może celem bliższego zbadania położenia na miejscu, nie został przepuszczonym przez Wiaźmę, pod pozorem, jakoby starosta dorohobuski, prosząc dłań o przejazd, nie zatytułował Michała Fiodorowicza carem. Z tego samego powodu, czy pozor, odmówiony miał wstęp posłannik cesarza niemieckiego, Ferdynanda II, biegnący w sprawie medyacji pokojowej, prawdopodobnie wskutek żądania Zygmunta, celem zażegnania grożącej wojny, a więc przedłużenia rozejmu. Zresztą, w orszaku Atanazego Georgiusa (?) znajdowali się Polacy, obawiano się więc szpiegostwa, a potem wstawiennictwo cesarskie było, jak obecnie, niepożądanem.

Owszem, śmierć Zygmunta przyspieszyła wybuch wojny, gdyż podczas bezkrólewia trudniej było o obronę kraju, łatwiej można było pokusić się o Sierpejsk, Dorohobuż, a nadewszystko o Smoleńsk. Jednym

ze środków posiłkowych, w podobnych razach używanych, było rozrzucanie odezw do ludności pogranicznej greckiej, aby pomagała wkraczającym wojskom, nie tylko przez uszkodzenie litewskim oddziałom, ale i przez dostawę żywności, dostarczanie wieści i t. d. Widzieliśmy, że i król Zygmunt, podczas swoich kampanii, także rozsyłał listy do ludności prawosławnej, objaśniając prawdziwy cel swego przybycia. Dlatego teraz przykazano, aby wojsko niczego darmo, siłą, nie zabierało nie rabowało i nie ciemiężyło mieszkańców.

ADAM DAROWSKI.

(Dokończenie nastąpi.)



---

# RODZINA POŁANIECKICH.<sup>1)</sup>

---

## XLV.

Były jeszcze dni ciężkie i bardzo ciężkie. Przyszło osłabienie tak wielkie, że życie Maryni poczęło się wahać, jak płomyk. Zgaśnie, czy rozetleje?—na to nie umiał nikt odpowiedzieć. Chwilami wszyscy byli przekonani, że już, już gaśnie. Jednakże młodość i ulga, jaką organizmowi przyniosło przyjście na świat dziecka, przeważyły szalę na stronę życia. Któregoś dnia chora po długim śnie obudziła się, jakby rzeźwiejsza. Stary lekarz, który był przy niej i który to stwierdził, chcąc upewnić się lepiej, że owo polepszenie nie jest złudzeniem, zażądał wezwania drugiego, z którym przedtem składał konsylia. Połaniecki sam po niego pojechał i prawie odchodził od zmysłów, szukając go po mieście przez pół dnia, nie śmiał bowiem jeszcze mieć nadziei, że to już zwrot stanowczy w jej chorobie i w jego niedoli. Gdy nareszcie odnalazł utrapionego medyka i gdy przywiózł go do domu, przyjęła ich w przedpokoju pani Bigielowa, z mokremi rzęsami, ale z twarzą rozpromienioną, i rzekła:

— Lepiej! stanowczy lepiej!

I nie mogła mówić więcej, bo łzy popłynęły z jej oczu. Połaniecki pobladł ze wzruszenia, ona zaś, opanowawszy po chwili swą radość, poczęła mówić, uśmiechając się przez łzy:

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt październikowy „Biblioteki.“

— Więc pani wojuje już o jedzenie! Przedtem kazała sobie przy-  
nieść małego. Dopytywała także, czemu pan nie wraca. A teraz wo-  
juje o jedzenie!—ale jak wojuje! A, chwała Bogu! chwała Bogu!

I w uniesieniu uściskała Połanieckiego, a on przez długi czas nie  
odejmował ust od jej rąk: drżał tylko cały z wysilenia, żeby potłumić  
radość, ale zarazem i jęki, które, nagromadziwszy się w nim przez ty-  
le dni trwogi i męczarni, chciały teraz koniecznie wybuchnąć.

Tymczasem lekarze poszli do Maryni i siedzieli przy niej dość  
długo! Gdy po skończonej naradzie ukazali się znowu, na twarzach  
ich widać było zadowolenie. Na gorączkowe zapytania Połanieckie-  
go, ten, który stale był przy Maryni, stary impetyk, ze złotemi okula-  
rami na nosie i złotem sercem w piersiach, sam uszczęśliwiony, ale  
utrudzon bardzo, rzekł oburkliwie:

— Jak się ma? Idź pan, podziękuj Bogu—ot col!

I Połaniecki poszedł. Gdyby był człowiekiem, zupełnie niewie-  
rzącym, był-by w tej chwili poszedł tak samo—i z sercem, wezbranem  
łzami i wdzięcznością, był-by dziękował tak samo Bogu, że się nad  
nim zlitował i że pozwolił wrócić fali złego, tylko pod postacią żalu,  
zgryzoty, męki—nie pod postacią śmierci.

Poczem, uspokoiwszy się, wszedł na palcach do pokoju żony, przy  
której była już pani Bigielowa. Marynia raźnie spoglądała przed się  
rozweselonemi oczyma i na pierwsze wejrzenie znać było, że istotnie  
ma się daleko lepiej. Ujrawszy go, rzekła:

— A widzisz, Stachu—dobrze!

— Dobrze, kochanie—odpowiedział cicho Połaniecki.

Nie pora była jeszcze na głośne wybuchy, więc siadł w milcze-  
niu przy jej łóżku. Lecz po chwili radość i ogromna miłość do niej  
zmogły go tak, iż, przechyliwszy się, objął rękoma jej okryte koldrą  
stopy, a następnie, przyłożywszy do nich twarz, pozostał w ten sposób  
bez ruchu.

Ona zaś, jakkolwiek bardzo jeszcze osłabiona, uśmiechała się  
z zadowolenia. Przez czas jakiś patrzyła na niego, poczem, zupełnie  
jak dziecko, uszczęśliwione, że je pieszczą, rzekła do pani Bigielowej,  
ukazując swoim przezroczystym paluszkim na tę ciemną czuprynę  
przytuloną do jej nóg:

— Kocha!

Nazajutrz Marynia czuła się jeszcze zdrowszą i od owej chwili  
każda niemal godzina przynosiła polepszenie. W końcu był to już nie  
powolny powrót do zdrowia, ale jakby rozkwit, jakby nagły powrót  
wiosny po zimie, który zdumiewał samego lekarza. Połanieckiemu  
chciało się teraz chwilami krzyczeć z radości, która dusiła go tak, jak  
dawniej—męka. Trzymano Marynię jeszcze w łóżku, przez zbytek

ostrożności, ale gdy wracały jej siły, rumieńce, ochota do życia, humor, poczęła sobie przykrzyć i codziennie wieczór zapowiadać, że nazajutrz wstanie. Pod jednym tylko względem długa choroba i bezsilność przyniosły zmianę w jej usposobieniu, która jednak wkrótce miała przejść razem z innymi śladami słabości. Oto, tak spokojna i rozsądna niegdyś kobietka, stała się na pewien czas jakby rozpieszczonym dzieckiem, które często napierało się rozmaitych rzeczy bardzo usilnie i odczuwało prawdziwe zmartwienie, jeśli mu ich odmawiano. Połaniecki, rozmawiając z nią, wchodził mimowoli w jej ton, skutkiem czego owe „grymasy” bywały i powodem do wesołości.

Raz poczęła się przed nim skarżyć, że pani Bigielowa nie chce jej dać czerwonego wina. Pani Bigielowa tłumaczyła się, że dała tyle, ile doktor pozwolił, ale musi czekać na jego pozwolenie, żeby dać więcej. Połaniecki ją zaraz Marynię pocieszać, mówiąc do niej tak zupełnie, jak niegdyś mawiał do Litki:

— Dadzą dziecku wina; zaraz dadzą!.. tylko doktor przyjdzie.

A Marynia na to:

— Czerwonego!..

— Ale jak czerwonego!—odpowiedział Połaniecki:—poczem oboje poczęli się śmiać, a z nimi razem i pani Bigielowa. Jak dawniej, w całym tym pokoju unosiła się trwoga śmierci i nieszczęścia, tak teraz często radość rozświecała go, jak słońce. Chwilami wpadali w doskonały humor, a do kompanii należał częstokroć i dziadzio Pławicki, który, od czasu przyjścia na świat wnuka, stał się pełen patryarchalnej, ale dobrotliwej powagi, nie wyłączającej wesołości. Bywało zresztą różnie; czasem bowiem brał w nim górę nastrój wysoki i uroczysty. Pewnego dnia przyniósł testament i zmusił wszystkich do wysłuchania jego paragrafów od początku do końca. We wstępie żegnał się we wruszających słowach z życiem, z córką, z Połanieckim i z wnukiem, nie szczędząc przytem wskazówek, dotyczących jego wychowania na dobrego wnuka, dobrego syna, ojca i obywatela; następnie czynił go spadkobiercą wszystkiego, co posiadał—i, pomimo, że od bankructwa Maszki posiadał tylko tyle, ile mu dawał Połaniecki—niemniej czuł się wruszony swoją hojnością i niemniej cały wieczór miał minę pelikana, który nakarmił własną krwią pisklęta.

Człowiek, który się odradza na świat po ciężkiej chorobie, przechodzi poniekąd znów przez wszystkie okresy dzieciństwa i pierwszej młodości, z tą jedynie różnicą, że to, co dawniej liczyło się na lata, liczy się w takich warunkach na tygodnie, lub nawet dni. Tak było z Marynią. Pani Bigielowa, która z początku nazywała ją „bébé”, mówiła, śmiejąc się, że stopniowo „bébé” zmienia się w małą dziewczynkę, a z dziewczynki w podlotka. Ale w podlotku poczęła się na-

stępnie odnajdować kobieca kokieterya. Teraz, gdy ją czesano, wymagała już koniecznie, by jej stawiano na kolanach niewielkie zwierciadło, które miała po matce, i pilnie badała w niem, czy też zapowiedź pani Bigielowej, że „potem jest się jeszcze ładniejszą”, sprawdza się na niej. W pierwszych czasach oględziny niezbyt ją zadawalniały, później jednak coraz więcej. Nakoniec, któregoś dnia, kazała sobie zaraz po uczesaniu podać raz jeszcze zwierciadło—i jeszcze raz odbyła dokładny przegląd cery, oczu, ust, włosów, wyrazu, słowem wszystkiego, co było do obejrzenia.

I *rewia* musiała wypaść dobrze, albowiem poczęła się uśmiechać, rozpromieniać, wreszcie zwróciła się w stronę pokoju Połanieckiego i, przegrażając wymizerowaną piąstką, z miną wielce zdobywczą, rzekła:

— A, poczekaj no teraz, panie Stachul!

Rzeczywiście zaś nigdy nie była równie śliczna. Płeć jej, zawsze bardzo czysta, stała się jeszcze więcej przezrocza i jeszcze więcej liliowa, niż wówczas, gdy Zawilowski tracił głowę i rymował z tego powodu od rana do wieczora. A obok tego, na policzkach jej świecił już pierwszy różowy brząsk zdrowia. Z oczu, z ust, ze zdrobniałej po chorobie twarzy biło jakby światło, jakby odrodzenie się do życia i jakby wiosna. Była to poprostu cudna głowa, pełna barw jasnych a leciuchnych, a zarazem subtelnego rysunku—prawdziwie wytworna i, jak się niegdyś wyraził Zawilowski: polna—tak cudna, że chwilami, gdy leżała na poduszkach i na podścieli ciemnych włosów, nie można się jej było dość napatrzeć. To też tak zwany „Pan Stach”, który to wszystko widział doskonale, i który, wedle określenia Bigiela, nie mógł już z miłości „ani ręką, ani nogą ruszyć”—nie potrzebował wcale „czekać.” Nietylko ją teraz kochał, jak kobietę i jak drogą głowę, ale czuł dla niej wdzięczność bez granic za to, że nie umarła—i okazywał swą wdzięczność w ten sposób, że starał się odgadywać jej myśli. Marynia ani przypuszczała kiedykolwiek, że stanie się do tego stopnia osią jego życia, żrenicą jego oka, duszą jego myśli i czynności. Nigdy nie było im ze sobą źle, ale teraz, wraz z powrotem do zdrowia Maryni, weszło do ich domu niebywałe szczęście i niebywała radość.

Przyczyniał się do niej dzielnie i młody Połaniecki. Marynia nie mogła sama karmić i mąż, przewidując to, sprowadził do syna żywicielkę.—Chcąc jednak sprawić chorej przyjemność, sprowadził dawną jej znajomą z Krzemienia. Służyła ona niegdyś u Pławickich, po ich wyjeździe zaś zgodziła się do Jałbrzykowa i tam zdarzyło się jej nie-szczęście. Nigdy nie wiedziano dobrze, kto był jego przyczyną: jeśli jednak któremu z większych właścicieli można było zarzucić brak miłości do ludu, to nie panu Gątowskiemu, albowiem w całym Jałbrzy-

kowie pełno było dowodów, jak dalece pan Gątowski lud kochał. Nawet i przy układach o serwituty, współobywatele z Jałbrzykowa, między innymi kwestyami podnosili i tę, że „pan dziedzic na białym koniu jeździ, z pistoletka se strzyla i dziewczkom w ślipia patrzy”—i jeśli z jednej strony nie łatwo było pojąć, jaki właściwie związek mają powyższe zwyczaje pana Gątowskiego z układami o serwituty, to natomiast z drugiej stawało się zupełnie jasnym, iż, dzięki tymże zwyczajom, Polaniecki znalazł z łatwością w Jałbrzykowie karmicielkę dla swego syna.

Ze zaś była to silna, młoda i hoża mazurka, przeto młody człowiek mógł tylko dobrze wyjść na jej opiece. Wogóle ów mały Polaniecki była to osoba, która od pierwszej chwili przyjścia na świat rozpanoszała się w domu codzien bardziej, nie licząc się z nikim i nie myśląc o niczem, tylko o własnych potrzebach i przyjemnościach. W myśl tej metody, w chwilach wolnych od uczt i snu, zajmował się ćwiczeniem i rozwojem swych małych płuc, za pomocą krzyku, tak doniosłego, na jaki tylko poranny jego wiek umiał się zdobyć. Przynoszono go wówczas najczęściej do Maryni, przyczem rozpoczynały się nieskończone sessye, na których rozpatrywano szczegółowo wszystkie jego fizyczne i umysłowe zalety, oraz uderzające podobieństwo do życiodawców. Stwierdzono w ten sposób, że ma nos matki, odrzuciwszy z rzadką w głosowaniu jednomyślnością uwagę manki, że ma nos, jak „kociak”; stwierdzono również, że będzie miał niezmiernie ujmujący uśmiech, że będzie brunetem, że będzie niezawodnie wysoki, że jest bardzo żywy i że będzie się odznaczał zadziwiającą pamięcią. Pani Bigielowa, póki Marynia leżała jeszcze w łóżku, robiła przytem na swoją rękę rozmaite odkrycia, które zwiastowała wszem wobec. Raz też, wpadłszy do Maryni, poczęła mówić z radością i godnym wszelkiego uznania pośpiechem:

— Wyobraź sobie, rozłożył paluszki u jednej rączki, a drugą— przysięgła-byś, że je liczy. Będzie z pewnością matematyk!

Marynia zaś odrzekła z zupełną powagą:

— To będzie miał po ojcu.

I ona jednak zrobiła odkrycie, wcześniejsze nawet pod względem daty od wszystkich pani Bigielowej, mianowicie, że to jest „bardzo kochane stworzonko.”—Co do Polanieckiego, ten w pierwszych chwilach patrzył na nowego znajomego ze zdziwieniem i pewną nieufnością. W swoim czasie bardzo sobie życzył mieć córkę, z tego głównie względu, iż, będąc z usposobienia i serca wielkim dzieciarzem, wyobraził sobie, że tę całą tkliwość, jaką się ma w sobie, można oddać tylko dziewczynce. Nie wiadomo dla czego, tkwiło w nim pojęcie, że syn, to będzie zaraz jakieś chłopisko, nieledwie z wąsami, mówiące basem, wierzga-

jące, jak żreback, do którego z tkliwością niewarto i przystępować, bo on ją ma—w pogardzie. Stopniowo dopiero, przypatrując się tej drobnej, śpiącej w poduszkach, figurze, począł dochodzić do przekonania, że to nie tylko nie jest żadne „chłopisko”, ale poprostu godna liłości bieda, tak mała, słaba, bezbronna, tak potrzebująca opieki i kochania, jak i wszystkie w świecie dziewczyny. Zresztą mówił sobie: „taki on tam jeszcze i chłopiec!”—i od tej chwili rozczulał się dla niego coraz więcej, a po kilku dniach próbował go nawet sam nosić do Maryni, co zresztą czynił z takim nakładem zgoła zbytecznych ostrożności, a zarazem tak niezgrabnie, że doprowadzał do śmiechu nie tylko Marynię i panią Bigielową, ale, z ujmą swej powagi—nawet i mamkę.

I śmiech rozlegał się teraz w mieszkaniu Połanieckich niemal od rana do wieczora. Oboje, budząc się rano, budzili się z tem błogiem poczuciem, że dzień przyniesie im nową radość. Bigiel, który od czasu, jak Marynia wstała, dopuszczany bywał wieczorem razem ze swoją wioloncellą—przypatrując się ich życiu,—rzekł kiedyś—po chwili odpowiedniej rozwagi:

— Na dobrych ludzi, jak i na każdego, może przyjść nieszczęście; ale za to, jak im dobrze, tak, dalibóg, nikomu nie jest lepiej.

A im było rzeczywiście dobrze. Marynia, wedle tego, co słyszała w swoim czasie od pani Bigielowej i co myślała sama, sądziła, że przyczyną tego ponownego rozkwitu miłości męża jest dziecko, które ich związało nowemi węzłami... Któregoś dnia poczęła nawet o tem mówić z Połanieckim, lecz on odrzekł jej z całą prostotą:

— Nie! słowo ci daję! Jego swoją drogą kocham, ale ciebie—kochałem już bajecznie, nim on na świat przyszedł—dla ciebie samej, dlatego, że jesteś taka, jak jesteś. Spójrzyj naokół, pomyśl, co się na świecie dzieje i z kim ja ciebie mam porównać?..

Tu, wzięwszy jej ręce, począł je całować nie tylko z ogromną miłością, ale zarazem z największą czcią—i dodał:

— Ty sama nigdy nie będziesz wiedzieć, czem ty dla mnie jesteś i jak ja ciebie kocham.

Ona zaś, przytuliwszy się do niego, pytała z twarzą jasną od szczęścia, jak słońce:

— Nie?—naprawdę Stachu?.. powiedzi!..

## XLVI.

Przyszły chrzciny. Młody człowiek był już ochrzczony z wody, albowiem uczyniła to zaraz po jego przyjściu na świat pani Bigielowa, której, pod wrażeniem choroby matki, wydawało się, że i mały umrze

lada minuta... Lecz on ani o tem myślał—i w najlepszym zdrowiu i apetycie czekał na termin uroczystości, w której miał odegrać główną rolę.—Połaniecki pospraszał wszystkich znajomych: była więc, prócz domowych i dziadzi Pławickiego, pani Emilia, która na ten dzień zebrała resztę sił, byli oboje państwo Bigielowie z małemi Bigielętami, i profesor Waskowski, i Swirski, i Zawilowski, i panna Ratkowska.—Pani Połaniecka, zdrowa już, wystrojona i szczęśliwa, wyglądała tak uroczco, że Swirski, ujrzawszy ją, wziął się obu rękoma za włosy i ze zwykłą sobie szczerością rzekł:

— To przecie przechodzi wszelkie pojęcie! Dalibóg, oczy można stracić!

— Co!—zawołał Połaniecki, sapiąc z zadowolenia i z taką zarozumiałością, jakby zawsze utrzymywał to, o czem inni teraz dopiero się przekonali.

A Swirski odrzekł:

— Klękajcie narody! Nie powiem nic więcej!

Ona słuchała tego z zakłopotaniem, ale płonąąc zarazem z radości w poczuciu, że Swirski ma słuszność. Musiała się jednak zająć gośćmi i ceremonią, a to tem bardziej, że z początku wkradło się pewne zamieszanie. W pierwszą parę miała trzymać małego Stasia pani Emilia i Bigiel, w drugą zaś malarz z panną Ratkowską. Tymczasem ten ostatni począł robić niespodzianie trudności, wynajdywać przeszkody i wykręcać się, niewiadomo dlaczego: „Radby bardzo,—po to umyślnie z Włoch przyjechał... jakże! to rzecz była ułożona; ale, że nigdy przedtem dziecka do chrztu nie trzymał, więc nie wie, czyby mu się chrześniak zdrowo chował, a zwłaszcza, czyby miał szczęście do kobiet.” Na to Połaniecki począł się śmiać i nazywać go przesadnym Włochem, lecz Marynia, która najprędzej domyśliła się, o co chodzi, korzystając z chwili, w której, chcąc się wymknąć, wycofywał się do okna, rzekła półgłosem:

— Kumostwo w drugą parę nie jest w danym razie przeszkodą.

Swirski powiódł za nią oczyma, następnie uśmiechnął się, ukazując swoje małe zdrowe zęby—i nagle rzekł,—zwracając się do panny Ratkowskiej.

— Prawda, że to tylko w drugą parę, więc... służę panil.

I wszyscy otoczyli teraz małego Stasia, który na rękę niani, przybrany w powłóczyście muśliny i koronki, wyglądał dzielnie razem ze swoją lysiną i wytrzeszczonemi okrągłemi oczkami, w których świat zewnętrzny odbijał się tak mechanicznie, jak w zwierciadle. Bigiel wziął go teraz na ręce i rozpoczął się obrzęd.

Obecni słuchali w należytem skupieniu poważnych sakramentalnych słów, lecz młody poganin okazał wyjątkową zatwardziałość. Na-

przód począł wierzgać tak, że wysunął się nawpół z rąk Bigiela, poczem, gdy Bigiel wyrzekał się w jego imieniu czarta i jego nieprawości, uczynił wszystko, co było w jego mocy, żeby go zagłuszyć. Dopiero, ujrawszy niespodzianie wśród krzyku okulary Bigiela, uciął nagle, jakby chcąc dać do zrozumienia, że, jeśli na świecie istnieją tak zdumiewające przedmioty, to w takim razie, co innego.

Zresztą obrzęd się skończył i zaraz potem oddano go w ręce niani, która po chwili ułożyła go w przepysznym łóżeczku, mającym kształt wózka, darze Swirskiego—i chciała go wytoczyć z pokoju. Lecz Swirski, który może dotąd nigdy w życiu nie widział z bliska tak małej osoby, a w którego piersiach biło stęsknione oddawna za ojcostwem serce, zatrzymał nianię i, pochyliwszy się do kolyski, wziął dziecko w ramiona.

— Ostrożnie! ostrożnie!—zawołał, zbliżając się żywo Połaniecki. A malarz odwrócił się do niego i rzekł:

— Panie, ja miewałem w ręku wyroby Luca della Robbia.

I rzeczywiście, podniósł małe stworzenie i począł je hustać z taką zręcznością, jakby całe życie dzieci nianczył. Następnie przystąpił z nim do profesora Waskowskiego i spytał:

— Cóż? Co kochany profesor myśli o tym młodym Aryjczyku?

— A cóż,—odpowiedział starsuszek, spoglądając z rozczuleniem na malca: naturalnie, że arya! najczystszej wody arya!

— I przyszły missyonarz?—dodał Połaniecki.

— Nie uchyli się od tego w przyszłości, nie uchyli, tak, jak i wy nie umiecie się uchylić!—odpowiedział profesor.

Jakoż przyszłości nie podobna było przesądzać, na razie jednak, młody Aryjczyk uchylił się od wszelkich missyi w sposób tak niedwuznaczny, a nawet wprost obelżywy, że trzeba go było oddać niani. Pannie jednak nie przestały się nim bawić, emokać na niego i zachwycać się nim, póki nie doszły do stanowczego wniosku, że to jest dziecko zupełnie wyjątkowe, że całe zachowanie się jego dowodnie o tem świadczy i że trzeba-by chyba nie mieć oczu, żeby nie poznać, iż to będzie najprzystojniejszy w kraju mężczyzna, a przytem geniusz.

Geniusz jednak usnął wreszcie, jak gdyby odurzony kadzidłami, a tymczasem podano śniadanie. Marynia, mimo całej przyjaźni dla malarza, posadziła jednak koło panny Ratkowskiej Zawilowskiego. Chciała, jak zresztą i wszyscy, nie wyjmując nawet Swirskiego, żeby się coś w ich stosunkach wyjaśniło. Zawilowskiego postępowanie było bowiem dziwne. Swirski utrzymywał, że on nie jest jeszcze zupełnie normalny. Był zdrow, sypiał i jadł dobrze, nawet nieco utył, mówił rozsądnie, choć powolniej, niż dawniej, ale pojawiała się w nim jakaś niemoc woli, jakiś brak inicjatywy, której przedtem było w nim



tak pełno. We Włoszech rozpromieniał się na wspomnienie panny Ratkowskiej i, gdy o niej mówił, oczy czasem zachodziły mu łzami. Po powrocie, gdy mu ktoś czasem napomknął, że wartoby pójść z wizytą do panny Ratkowskiej, a zwłaszcza, gdy ofiarował się iść z nim razem, mówił: „a prawda!”—i szedł z radością. Po-za tem jednak, zdawał się jakby nie pamiętać o jej istnieniu. Widocznem czasem było, że jakieś inne myśli nurtują go w głębi duszy i pochłaniają wszystkie jego duchowe władze. Swirski przypuszczał przez jakiś czas, że to może pamięć o panie Castelli,—przekonał się jednak z pewnem zdziwieniem, że tak nie jest i wreszcie zaczął mniemać, że Zawilowski dla tego nigdy jej nie wspominał, iż stracił poczucie jej rzeczywistości, albo też, że wydawała mu się już czemś tak odległym, jakimś wrażeniem tak rozwianem, że wspomnień o niej nie mógł związać w żywą, realną całość. Nie był jednak smutny. Owszem, chwilami znać w nim było zadowolenie i radość z życia, jakby się dopiero po powtórnyem odrodzeniu na niem poznał. Prawdziwie smutną, coraz bardziej zamkniętą w sobie i coraz cichszą była panna Ratkowska. Może, prócz braku wzajemności, niepokoiły ją w Zawilowskim i inne rzeczy, ale nie mówiła o swych niepokojach z nikim. Marynia i pani Bigielowa, sądząc, że wyłącznym powodem jej smutku jest zachowanie się Zawilowskiego w stosunku do niej, otaczały ją najserdeczniejszym współczuciem i gotowe były uczynić wszystko, by jej przyjść z pomocą. Marynia, od czasu powrotu Zawilowskiego z Włoch, widziała go po raz pierwszy, ale pani Bigielowa mówiła z nim codziennie o panie Ratkowskiej, unosząc się nad nią, wspominając, ile jej winien wdzięczności, i dając mu coraz wyraźniej do zrozumienia, że powinien się jej jakoś z takiego długu uiszczyć. Poczciwy Swirski, wbrew własnym nadziejom, powtarzał mu toż samo—i Zawilowski wszystko przyznawał, tylko, jakby nie chcąc, lub nie umiejąc wyprowadzić ostatecznego wniosku, mówił o rychłym swym powtórnyem wyjeździe, o planach jeszcze większych podróży na przyszłość,—słowem, o rzeczach, które z natury swej wyłączały udział panny Ratkowskiej.

I teraz, siedząc obok, niewiele do siebie mówili. Zawilowski jadł obficie—i z zajęciem, a nawet pewną niecierpliwością, przeprowadzał oczyma nowe dania, które podawano naprzód starszym; panna Ratkowska, zauważywszy to, spoglądała na niego chwilami, jakby z bolesnym współczuciem, a Marynię poczęło to wreszcie korcić, więc, chcąc związać między nimi rozmowę, rzekła, przechyliwszy się przez stół:

— Pan tak świeżo z podróży,—niech-że pan coś opowie minie i Stefci o Włoszech. Wszak ty, Stefciu, nie byłeś tam dotąd?

— Nie byłam,—odpowiedziała panna Ratkowska,—ale niedawno właśnie czytałam jakąś podróż... tylko, że czytać a widzieć, to co innego.

I zarumieniła się lekko, spostrzegła bowiem, iż się zdradziła, że czytywała o Włoszech, właśnie wówczas, gdy Zawilowski tam bawił.

On zaś rzekł:

— Mnie pan Swirski namówił aż do Sycylii, ale tam były jeszcze upały: tam-by trzeba teraz jechać!

— Al—rzekła Marynia: dobrze, że mi się przypomniało!—a moje listy? Pytał pan przecie przez pana Swirskiego, czy chcę, by mi pan pisywał swoje wrażenia, a potem nie odebrałam ani literki!

Zawilowski zaczerwienił się nagle, zmieszał, a potem rzekł jakimś dziwnym, niepewnym głosem:

— Bo... jeszcze nie mogłem... Ja będę ogromnie dużo pisał, ale później...

Swirski, posłyszawszy te słowa, zbliżył się po śniadaniu do Maryni i rzekł, ukazując na Zawilowskiego oczyma:

— Wie pani, jakie on mi czasem robi wrażenie?—że to jest kosztowne naczynie—rozbite.

## XLVII.

W parę dni po chrzcinach, Swirski odwiedził Połanieckiego w biurze, by się dowiedzieć o zdrowie Maryni, a zarazem pogadać o rozmaitych rzeczach, które mu leżały na sercu. Widząc jednak, że się spóźnił i że Połaniecki zabierał się już do wyjścia, rzekł:

— Niech pan dla mnie nie zostaje. Pogawędzimy na ulicy. Światło dziś takie ostre, że nie mogę nic robić, więc odprowadzę pana do domu.

— Musiał-bym pana w każdym razie przeprosić,—odpowiedział Połaniecki.—Moja Marynia dziś po raz pierwszy wychodzi i idziemy do Bigielów na obiad. W tej chwili musi być już ubrana, ale mam jeszcze ze dwadzieścia minut czasu.

— Skoro wychodzi, to widać, że zdrowa.

— Chwalić Boga—jak ptak!—odpowiedział z radością Połaniecki.

— A Aryjczyk?

— Aryjczyk także tego się trzyma.

— Ach, szczęśliwy człowieku,—rzekł Swirski: ja, żebym miał w domu taką żabę, nie mówiąc już o takiej żonie—to nie wiem... chyba-bym po dachach chodził.

— To też nie uwierzysz pan, jak mnie ten chłopak bierze za serce... Co dzień więcej, a wogóle tak, że anim się spodziewał! bo trzeba wiedzieć, że ja sobie życzyłem córki.

— Jeszcze nie wieczór! przyjdzie i córka!—odrzekł Swirski.—Ale pan się śpieszysz, więc chodźmy.

Połaniecki wdział futro i wyszli na ulicę. Dzień był mroźny, jasny. Wokół rozlegał się pośpieszny brzęk dzwonek od sanek. Ludzie mieli kohnierze na uszach, szron na wąsach—i z ust wyrzucali słupy pary.

— Wesoły jakiś dzień,—rzekł Połaniecki.—Cieszę się dla mojej Marylki, że pogoda.

— Panu wesoło, więc wszystko widzisz jasno,—odrzekł Swirski biorąc go pod rękę.

Lecz nagle puścił ramię Połanieckiego i, zastąpiwszy mu drogę rzekł z taką miną, jakby się chciał z nim kłócić:

— Czy pan wiesz, że pan masz za żonę najpiękniejszą kobietę w Warszawie?—To ja panu powiadam—ja!

I począł stukać się ręką w piersi, jakby chcąc powiększyć pewnością, że to mówi on, nie kto inny.

— Ba!—rzekł, śmiejąc się, Połaniecki—i zarazem najlepszą, najpoczeiwszą w świecie; ale chodźmy, bo mróz.

Gdy zaś Swirski wziął go znowu pod rękę, dodał z pewnem wzruszeniem:

— Com ja jednak przeszedł podczas jej choroby, to Pan Bóg jeden wie... Lepiej o tem nie wspominać... Zrobiła mi poprostu niespodziankę swoim powrotem do zdrowia, ale też jeśli Bóg da doczekać wiosny, zrobię i ja jej niespodziankę, z której będzie rada.

— Jej niema z kim porównać!—odpowiedział Swirski.

Tu, zatrzymawszy się znowu,—rzekł jakby z pewnem zdziwieniem:

— I, jak Boga kocham, ile w niej przytem prostoty!

Przez jakiś czas szli w milczeniu, następnie Połaniecki począł wypytywać Swirskiego o wyjazd.

— Zatrzymam się ze trzy tygodnie we Florencyi,—odrzekł malarz.—Mam tam jakąś robotę. Prócz tego, stęskniłem się do światła na San-Miniato, do Ginewry, w której się niegdyś kochałem, i do Cimabnego. Pamiętasz pan w Santa Maria Novella! w kaplicy Rucellai?.. Po trzech tygodniach pojedę do Rzymu. Właśnie chciałem o tem z panem pogadać, bo dziś rano był u mnie Zawitek z propozycją, żebyśmy znów jechali razem.

— A!—rzekł Połaniecki.—I zgodziłeś się pan?

— Nie miałem serca odmówić, choć—między nami—on bywa czasem ciężki. Pan przecie wiesz, jak go pokochałem i jak mu współczułem, więc samemu mi przykro to mówić, ale bywa bestya ciężka!.. Co tu gadać! zmienił się ogromnie! Na chrzcinach powiedziałem pani, że on chwilami wydaje mi się, jak kosztowne naczynie—rozbite. I to prawda! Albo to ja raz widziałem, jak on się męczył nad temi listami, w których chciał opisywać dla pani Włochy. Chodził całemi godzinami po pokoju, tarł swoje postrzelone czoło, siadał, wstawał, a papier, jak był czysty, tak i pozostał. Daj Boże, żeby odzyskał dawny lot.

Teraz jednak on wszystkim wokoło powtarza, że będzie pisał, ale sam już zaczyna o sobie wątpić—i gryzie się. Wiem, że się gryzie.

— Było-by to nieszczęście i dla niego, i dla panny Heleny,—odpowiedział Połaniecki.—Gdybyś pan wiedział, jak jej rozpaczliwie chodziło nietylko o jego życie, ale i o jego talent!

— Była-by szkoda ogólna,—odpowiedział Swirski.—Kogo mi jednak najbardziej żal, to panny Ratkowskiej. Ona też poczyna już wątpić, czy on będzie tem, czem był, i to ją dręczy, może więcej od innych smutków.

— To biedna dziewczyna—rzekł Połaniecki—i tem biedniejsza, iż z tych wszystkich jego zamiarów podróży jedno widać jasno: że on o niej ani myśli.—Szczęście, że panna Helena zapewniła jej byt niezależny.

— Ja rok czekam,—odpowiedział Swirski,—a po roku oświadczam się powtórnie. Wzięła mnie! niema co gadać! Uważałeś pan, jak jej ślicznie z temi krótkimi włosami. Powinna zawsze tak chodzić. Rok czekam i milczę, ale potem będę uważał, że mam rozwiązane ręce. Niepodobna też, żeby i w niej przez rok coś się nie zmieniło, zwłaszcza, jeśli tamten nie da znaku życia... Wszystko to jest ogromnie dziwne! Myślisz pan, że ja nie robię wszystkiego, co w mojej mocy, żeby w nim rozdmuchać jakąś iskrę dla niej?—Dalibóg, że człowiek nigdy chyba więcej nie robił przeciw własnemu sercu.—Pani Bigielowa robi także, co może. Ale trudno! Nikt znówu nie ma prawa powiedzieć mu wyraźnie: żeń się! skoro on jej nie kocha. I to jest jeszcze dziwniejsze, że on i o tamtej, zdaje się, nie myśli. Jedna panna Ratkowska więcej jest warta, niż cały zagajnik takich „*Topolek*”—ale to inna rzecz!—Mnie o to chodzi, żeby ona nie myślała, że ja umyślnie wywożę Zawilowskiego. Nie odmówiłem mu, bom nie mógł, ale, mój drogi panie, jeśli tam kiedy będzie mowa o naszym wyjeździe, wspomnijcie-że jej, że ja, dalibóg, nie namawiałem Zawilowskiego do podróży i że odał-bym więcej, niż ona przypuszcza, byle jej było dobrze, choćby kosztem takiego starego brysia, jak ja.

— Oczywiście, że tak zrobimy,—odpowiedział Połaniecki.

— To i dziękuję! Przed wyjazdem będę jeszcze u pani z pożegnaniem.

— Koniecznie—i to wieczorem, żebyśmy mogli dłużej posiedzieć. Myślę też, że jak pan latem wróci, to czas jakiś zabawicie u nas z Zawilowskim.

— W Buczynku?

— W Buczynku, albo i nie w Buczynku, to jeszcze nie wiadomo.

Dalszą rozmowę przerwał im widok Osnowskiego, który w tej chwili wychodził z owocarni, trzymając w ręku zwinięty w róg biały pakiet.

— Patrz pan— Osnowski,—rzekł Swirski.

— A jaki zmieniony—odrzekł Połaniecki.

I rzeczywiście. Osnowski był ogromnie zmieniony. Z pod futrzanej czapki wyglądała twarz chuda, pożółkła i jakby wiele starsza. Futro zdawało się na nim wisieć.—Ujrzawszy dwóch przyjaciół, stropił się; widocznem było przez chwilę, że się waha i namyśla, czy nie przejść koło nich, udając, że ich nie poznaje. Ale na chodniku były pustki i zeszli się nadto blisko; więc nagle zmienił zamiar—i zbliżywszy się, począł mówić z nienaturalnym pośpiechem, jakby w chęci zagadania tego, o czem wszyscy trzej wyłącznie myśleli:

— Dzieńdobry panom! O to wypadek, żeśmy się spotkali, bo ja siedzę w Przytułowie i w mieście rzadko bywam. Kupiłem sobie właśnie winogron, bo mi teraz każą jeść winogrona. Ale sprowadzają je w trocinach, więc wszystkie czuć trocinami; myślałem, że tu będą lepsze. Mróz dzisiaj—prawda?—Na wsi doskonała sanna.

I poczęli iść razem—wszyscy trzej zakłopotani. Połaniecki wreszcie spytał:

— Pan podobno wybiera się do Egiptu?

— To dawny zamiar, ale teraz może się wybiorę. Na wsi w zimie niema roboty, a samemu nudno.

Tu urwał nagle, spostrzegłszy, że wchodzi na śliską drogę.

I szli dalej, w milczeniu jeszcze cięższym, czując tę niezmierną przykrość, jaką czuje się zawsze, gdy, na mocy jakiegoś milczącego układu, mówi się o rzeczach błahych, skrywając główne i zarazem bolesne. Osnowski rad-by był ich pożegnać. Ale ludziom, przywykłym przez całe lata do zachowywania pewnych form, chodzi mimowiednie, choćby w największem nieszczęściu, o pozory, więc też i on pragnął znaleźć jakiś łatwy i naturalny sposób do rozstania się z nimi.—Tymczasem, nie mogąc nic znaleźć, przedłużał tylko trudne położenie. W końcu też począł ich żegnać tak niespodzianie i nienaturalnie, jak człowiek, który traci głowę.

Lecz w ostatniej chwili postanowił nagle inaczej. Ta jakaś komedia wydała mu się nieznośną. Miał jej dosyć! Przyszło mu do głowy, że właśnie nie powinien robić z niczego tajemnicy i że w tem unikaniu każdej wzmianki o nieszczęściu, jest coś nędznego. Na twarzy jego znać było przymus i mękę, lecz, zatrzymawszy się, począł mówić przerywanym głosem, tracąc co chwila oddech:

— Moi panowie... Przepraszam, że was jeszcze zatrzymuję... Ale panowie wiecie, zem się rozstał z żoną... Nie widzę powodu, dla którego nie miał-bym o tem mówić, zwłaszcza z ludźmi, tak uczciwymi i blizkimi... Oświadczam więc panom, że to było... że stało się tak... to jest... to jest, że to ja sobie życzyłem i że żonie mojej nie...

Lecz głos uwiązał mu w gardle i nie mógł mówić dalej. Widocznie chciał wziąć winę na siebie, ale nagle uczuł całe nieprawdopodobieństwo, cały bezmiar i całą rozpaczliwą czczość tego kłamstwa, które musiało-by być tak pustym dźwiękiem słów, że nawet, ni poczucie jakiegoś obowiązku, ni żadne względy światowe nie mogły go usprawiedliwić.

I straciwszy do reszty głowę, odszedł w mękę, razem ze swemi winogronami i ze swem nieszczęściem—bez dna!

A Swirski i Połaniecki szli przez jakiś czas pod wrażeniem tego nieszczęścia—w milezeniu.

— Dalibóg—rzekł wreszcie Połaniecki—serce się kraje.

A malarz odrzekł:

— Takiemu chyba śmierci życzyć.

— I przecie ten na podobny los nie zasłużył.

— On?—rzekł Swirski.—Daję panu słowo, ilekroć go sobie przypominam, tylekroć widzę go, całującego jej ręce. Czynił to tak ciągle, że inaczej nie umiem go sobie wyobrazić...

Po chwili zaś dodał:

— I, co mnie jeszcze zastanawia, to, że nieszczęście przecina stosunki ludzkie, podobnie, jak śmierć, a jeśli nie przecina zupełnie, to rozluźnia. Wy się niedawno znacie, ale ja, na przykład, żyłem z nim blisko, a teraz on mi jakiś dalszy i ja mu bardziej obcy. I niema rady, a to takie smutne!

— Smutne i dziwne...

Lecz Swirski stanął nagle i zawołał:

— Wie pan co?—niech-że tę panią Osnowską piorun zapali.—Panna Helena mówiła, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje, ale tę niech piorun trzaśnie.

A Połaniecki odrzekł:

— Nie było może w świecie kobiety, więcej ubóstwianej, niż ona.

— Ot, masz pau—rzekł zapalczywie Swirski.—Kobiety, panie, biorąc wogóle...

Lecz nagle uderzył się rękawiczką po ustach.

— Nie!—zawołał.—Do dyabła ze starym nałogiem! Dalem sobie słowo nie robić żadnych ogólnych wywodów o kobietach.

— Ja wspomniałem dlatego, iż on ją tak ubóstwiał—rzekł Połaniecki—że teraz po prostu nie rozumiem, jak on potrafi żyć bez niej.

— A musi!—zakończył Swirski.

Osnowski zaś rzeczywiście musiał, a nie umiał. W Przytułowie i w Warszawie, gdzie pełno było wspomnień o niej, życie stało mu się wkrótce niemożliwym, więc w miesiąc później wybrał się w podróż. Lecz, wyjechawszy niezdrów już z Warszawy, zaziębił się w zbytnio ogrzany wagonie—i w Wiedniu zapadł tak ciężko, iż musiał się położyć. Zaziębienie, które poczytano z początku za influencję, zmieniło się w gwałtowny tyfus. Po kilku dniach chory stracił przytomność i leżał w hotelu na łasce obcych lekarzy i obcych ludzi, daleko od domu i swoich. Lecz potem, w gorączce, która zwarzyła mu mózg i pomieszała zmysły, zdawało mu się, że widzi koło siebie jakąś twarz—najdroższą w życiu,—kochaną zawsze,—kochaną w osamotnieniu, kochaną w chorobie i wobec śmierci. Zdawało mu się to nawet i wówczas, gdy już odzyskał przytomność, lecz tak był osłabiony, że nie mógł jeszcze ni poruszyć się, ni mówić, ni nawet zładzić swych myśli.

Później widzenie znikło.

Ale on począł o nie wypytywać siostr miłosierdzia, które, niewiadomo kto przysłał, a które otaczały go teraz najtroskliwszą opieką—i począł tęsknić bez miary.

#### XLVIII.

Po uroczystości chrzcin i po wyjeździe Swirskiego i Zawilowskiego, Połanieccy zaczęli znowu żyć życiem zamkniętem i domowem, nie widując niemal nikogo, prócz Bigielów, pani Emilii i profesora Waskowskiego. Ale dobrze im było w tem ciasnem kółku blizkich przyjaciół, a najlepiej ze sobą. Połaniecki był w tych czasach mocno zajęty; przesiadywał w biurze i dużo za biurzem, załatwiając jakieś sprawy, o których nikomu nie wspominał. Lecz po ukończonej robocie przybiegał teraz do domu z większą jeszcze skwapliwością, niż wówczas, gdy, jako narzeczony, latał każdego dnia do mieszkania Pławickich. Wróciła mu dawna żywość, dawny humor i dawne zaufanie do życia. Niebawem też uczynił odkrycie, które jemu samemu wydało się dziwnem: oto, że nie tylko żonę kocha z całych sił, jak żonę i najbliższą gło-

wę, ale, że kocha się w niej, jako w kobiecie, wprawdzie bez niepokoju i targaniny, bez przeskoków od radości do rozpachy i zwątpień, ale ze wszelkimi wzruszeniami szczerego uczucia, z całym mrowiem pragnień, z wiecznie jednaką, świeżą wrażliwością na jej kobiece uroki i z nieustającym baczeniem, które czuwa, przewiduje, jedna, uprzedza chęci i ustawicznie zabiega, by szczęścia nie zrazić i nie utracić. „Zmieniam się w Osnowskiego,—mówił sobie wesolo: ale mnie jednemu wolno być Osnowskim, dlatego, że „moja mała” nigdy nie zostanie Osnowską!” Często też mówił teraz do niej: „moja mała”, ale było w tem tyle czci, ile pieszczoty. Rozumiał także, że nie był-by jej tak pokochał, gdy-by była inna, że to wszystko jest dzieło jej ogromnej dobrej woli i tej jakiejś dziwnej prawości, która biła od niej tak naturalnie, jak ciepło bije od ogniska. Połaniecki wiedział, że jego rozum był sprężystszy, myślenie rozleglejsze i wiedza głębsza, niż wiedza jej, a jednak czuł, że przez nią—i jedynie przez nią—wszystko to, co było w nim, stawało się jakoś bardziej wykończone i szlachetniejsze. Przez jej również wpływ, te wszystkie zdobyte przez niego zasady przechodziły z jego głowy, gdzie były martwą teorią, do jego serca, gdzie stawały się życiem. Pomiarkował, że nietylko szczęście, ale on sam jest poniekąd jej dziełem. Było w tem nawet trochę rozczarowania do siebie, widział bowiem teraz bez żadnej wątpliwości, że gdyby był dostał byle jaką kobietę, to i sam mógł-by być wyjść na byle kogo. Czasem dziwił się nawet, jak ona mogła go pokochać—przypominał sobie jednak wtedy jej wyrażenie: „służba boża”—i to tłómaczyło mu wszystko. Dla takiej kobiety małżeństwo było także „służbą bożą”, a zatem i miłość, nie jakąś dziką siłą, leżącą po-za wolą ludzką, ale właśnie—aktem dobrej woli, służbą przysiędze, służbą bożemu prawu, służbą obowiązkom.—Marynia kochała go dlatego, że był jej mężem. Taka była —i skończyło się! Połaniecki długi czas nie mógł pomiarkować, że to wszystko, co w niej tak uwielbiał, nakazuje poprostu pierwszy lepszy katechizm, a w niej wychowanie nie zabiło katechizmu. Być może, że nie chowano jej dość starannie—nauczono ją jednak, że ma służyć Bogu, nie posługiwać się Bogiem.

Lecz Połaniecki, nie rozumiejąc dobrze powodów, dlaczego ona taka jest, jak jest, coraz bardziej ją podziwiał, cenił i kochał. Co do niej, biorąc rzeczy bez przesady, nie wpadała w zbytne o sobie rozumienie; pojmowała jednak, że nie było zawsze tak dobrze, jak dziś, że przeszła przez pewne próby, że postępowała w czasie owych prób poczeiwie, że je przetrwała z cierpliwością, i że Pan Bóg ją za to wynagrodził. I poczucie to napelniało ją pogodą. Zdrowie jej wróciło zupełnie. Czowała się przytem bardzo ładną i bardzo kochaną. Ów „Stach”, którego się dawniej trochę bała, pochylał teraz często swoją ciemną



czuprynę do jej kolan, niemal z pokorą, a ona myślała z radością: że „ten pan wcale nie jest z natury pokorny, a jeśli tak robi, to dlatego, że *okropnie* kocha!” I aż rosła! Codzien zbierało się w niej więcej wdzięczności i płaciła mu za tę miłość całym sercem.

Młody „Aryjczyk” spełniał też przednio swoją rolę promyka w domu. Czasem wprawdzie bywał to promyk wrzaskliwy, natomiast gdy był w dobrym humorze i gdy, leżąc w ulubionej pozycji, z nogami podniesionymi pod kątem prostym, poczynał wydobywać z siebie okrzyki zadowolenia, cała męska i żeńska ludność w domu zgromadzała się koło jego łóżeczka. Marynia przykrywała mu nogi, nazywając go „brzydkim chłopcem”, on zaś skopywał co chwila kolderkę, uważając widocznie, że człowiek z charakterem, skoro raz postanowił wierzczać, powinien w przedsięwzięciu dzielnie wytrwać. Śmiał się też przytem, ukazując swoje małe bezzębne dziąsła, pokrzykując, ćwierkając jak wróbel, gruchając jak gołąb, miaucząc jak kot, lub piszcząc jak uistiti. Niania i matka rozmawiały z nim teraz po całych godzinach, profesor Waskowski zaś, który całkiem stracił dla niego głowę, utrzymywał z całą powagą, że to jest „mowa ezoteryczna”, która powinna być przez uczonych fonografowana, albowiem mogła-by albo zupełnie odsonić tajemnice bytu astralnego, albo przynajmniej dostarczyć co do niego ważnych wskazówek.

I w ten sposób splywały zimowe miesiące w domu Połanieckich. W lutym sam Połaniecki zaczął wyjeżdżać za jakimiś interesami, a po każdym powrocie odbywać długie narady z Bigielem. Ale od połowy lutego siedział stale w domu, nie wychodząc nigdzie, tylko do biura, albo wyjeżdżając czasem z Marynią i Stasiem na krótkie przejażdżki powozem. Jednostajność życia, a raczej jednostajność pogody i szczęścia przerywały tylko wiadomości z miasta o znajomych, które najczęściej przynosiła pani Bigielowa. W ten sposób Marynia dowiedziała się, że panna Ratkowska, która w ostatnich czasach nie pokazywała się nigdzie, założyła z dochodu zapewnionego jej przez pannę Helenę ochronkę dla dzieci, a następnie, że pan Osnowski wyjechał rzeczywiście do Egiptu, ale nie sam, tylko ze swoją „Anetką”, z którą po przyjeździe do zdrowia ostatecznie się połączył. Pan Kresowski, dawny sekundant Maszki, widział ich nawet w Tryeście, i opowiadał ironicznie Połanieckiemu, że „pani ma minę kornej pokutnicy.” Ale Połaniecki, wiedząc z doświadczenia, jak człowiek kruszeje w nieszczęściu i ile może być szczerości w pokucie, odpowiedział zupełnie poważnie, że skoro panią Osnowską mąż przyjął, to żaden porządny człowiek nie ma prawa być surowszym od niego.

Ale później przysła z Włoch wieść jeszcze dziwniejsza i tak niesłychana, że stała się przedmiotem rozmów nietylko Połanieckich i Bi-

gielów, lecz i całego miasta, mianowicie, że malarz Swirski oświadczył się w Rzymie o rękę panny Castelli i że ślub ich ma się odbyć zaraz po Wielkanocy. Marynia była tem tak poruszona, że namówiła męża, aby do Swirskiego napisał i zapytał się, czy to prawda. Odpowiedź przyszła po upływie dni dziesięciu i, gdy Połaniecki wszedł nareszcie do pokoju żony, trzymając za róg koperty i ze słowami: „list z Rzymu!” — poważna pani Połaniecka przybiegła z czerwonemi od ciekawości uszkami — poczem, z skronią przy skroni, czytali co następuje:

„Czy to prawda? — Nie, drodzy państwo — nieprawda! Ale żebyście zrozumieli dlaczego nie mogło się to stać i nie stanie się nigdy, muszę wam mówić o Zawilowskim. Przyjechał tu przed trzema dniami, poprzednio namówiłem go, by został we Florencyi, a potem zobaczył Sienę, Parmę a zwłaszcza Rawennę. Stąd wyprawiam go do Aten i jutro wyjeżdża via Brindisi. Tymczasem przesiadywał u mnie od rana do wieczora, ja zaś widziałem, że mu coś dolega, i chcąc naprowadzić rozmowę na rzeczy, które go najbliżej obchodzą, wczoraj spytałem niebacznie, czy czasem nie ma w tece z pół tuzina raweńskich sonetów. I wicie co się stało? Z początku pobladł i odpowiedział, że jeszcze nie, ale że wkrótce zacznie pisać — a potem rzucił nagle kapelusz na ziemię i począł szlochać, jak małe dziecko. Nigdy chyba nie widziałem wybuchu podobnej boleści. Poprostu wił mi się w rękach, powtarzając, że zabił swój talent, że już w nim nic niema, że nigdy już nie napisze i że wolał-by być sto razy, żeby panna Helena nie była go odratowała. — Oto co się z nim dzieje, podczas gdy ludzie powtarzają zapewne, że nie pisze, bo ma pieniądze. — I to tak już zostanie. Zabili tego biedaka, zamordowali w nim duszę i talent — zgasiłi duży ogień, przy którym mogło-by być ludziom widno i ciepło. I tego — widzicie — ja nie mógłbym zapomnieć. Bóg z panną Castelli! ale nie godziło się wyrywać takich piór, by sobie zrobić z nich wachlarz, który się potem wyrzuca przez okno. Tak! tego bym nie mógł zapomnieć! Mniejsza o to, co tam gadałem w Warszawie, że teraz pozostaje jej tylko szukać księcia Crapulescu, bo nikt inny jej nie weźmie. Na świecie nie brak także i zaślepieńców. Co do mnie jednak, nie jestem ani księciem Crapulescu, ani zaślepieńcem. Wolno odpuszczać tylko *swoje* własne krzywdy, ale nie cudze, albowiem było-by to zbyt łatwo. I oto wszystko, co w tej kwestyi mogę wam powiedzieć, gdyż resztę sami wicie. Czekań do roku, a potem powtarzam moją prośbę pannie Ratkowskiej-Zechee mnie, czy odrzuci, niech ją w każdym razie Bóg błogosławi — jest to jednak moje nieodmienne postanowienie.”

— Tak — przerwała Marynia — ale skąd-że się takie wiadomości wzięły?

Lecz w dalszym ciągu listu Swirski dawał właśnie na to odpowiedź.

„Te wszystkie plotki (pisał) mogły powstać z tego powodu, iż widywano mnie dość często z temi paniami. Pamiętacie, że za poprzedniej mej bytności w Rzymie, pani Broniczowa pierwsza do mnie pisała, a następnie, gdym był u nich, panna Castelli, zamiast szukać wykrętów, sama oskarżyła się przede mną. Wyznaję, że mnie to ujęło. Niech co chcą mówią, jest jednak w otwartem wyznaniu winy jakiś rozbudzenie się uczciwości, jakaś odwaga, jakiś zwrot, jakiś jęk żalu, który, jeśli nie odkupuje winy, to przynajmniej może odkupić duszę. I wiercie mi, że w tem, co mówię, tkwi coś więcej, niż moje maślane serce. Pomyślcie także, że im się naprawdę źle dzieje. Małoż-to razy widziałem, z jakim one wahaniami zbliżają się do ludzi i jak ich przyjmują ci, którzy mają odwagę swych zasad. Zebrało się w nich tyle gorczy, że, jak słusznie przepowiadał niegdyś Waskowski, same poczynają się na siebie rozgoryczać. To jest straszne położenie, w którym należy się jeszcze niby do świata, a dźwiga się już brzemię głośnej awantury. Bóg z nimi! Dużo-by o tem pisać, ale ja pamiętam teraz zawsze, co powiedziała panna Helena: że o człowieku nie wolno wątpić póki żyje. Ta biedna Lineta zmieniła się ze zgrzyoty, schudła i zbrzydła, a mnie tem bardziej jej żal. Żal mi nawet i pani Broniczowej, która wprawdzie wyklamuje ludziom dziury w uszach, czyni to jednak z przywiązania do tej dziewczyny. Sam przecie dopiero co powiedziałem, że tylko własne krzywdy wolno odpuszczać, ale byłby człowiek chyba jakimś gorylem, nie chrześcianinem, gdyby nie odczuł trochę litości nad ludzką biedą. Czy teraz, gdym świeżo zobaczył rozpacz Ignasia, będę miał jeszcze serce pójść do nich — nie wiem — nie żałuję jednak, żem bywał. Ludzie pogadają i przestaną, a za jaki rok, — jeśli Bóg da doczekać mnie i tamtej słodkiej dziewczynie — poznają, że gadali głupstwa.”

List kończył się wzmianką o Osnowskich, o których połączeniu Swirski już wiedział i słyszał nawet rozmaite szczegóły, niezauwane Polanieckim.

„Ja myślę (mówił), że Bóg jest mocniejszy, niż ludzka przewrotność a zarazem bajecznie miłosierny, i że czasem pozwala dlatego nieszczęściu bić w człowieka jak młotem, żeby z niego jakąś po-

czciwszą iskrę wykrzesać. Ja teraz wierzę nawet w odrodzenie się takiej Osnowskiej. Może to jest naiwne, ale chwilami przypuszczam, że całkiem złych ludzi niema na świecie. Patrzcie, że jednak coś zadrgało i w takiej pani Anecie i że go pilnowała w chorobie. Oj te kobiety! Tak mi już przewróciły w głowie, że wkrótce nie będę miał zdania, nietylko o nich, ale o niczem."

Dalej były zapytania o Stasia i serdeczne słowa dla jego życiodawców, a nakoniec obietnica powrotu w pierwszych dniach wiosny.

### XLIX.

A wiosna rzeczywiście szła i w dodatku czyniła się zarówno ciepła, jak wczesna. Połaniecki w końcu marca i na początku kwietnia począł znowu wyjeżdżać i spędzać czasem po kilka dni za domem. Obadwaj z Bigielem byli tak zajęci, że niekiedy do późnego wieczora siedzieli w biurze. Pani Bigielowa przypuszczała, że muszą coś przedsiębrać na wielką skalę, dziwiło ją to jednak, że mąż, który zawsze mówił z nią o wszystkich interesach i niemal myślał przy niej głośno, a nawet często się jej radził, tym razem milczał jak zakłęty. Marynia zauważyła również, że Stach ma zaprzątniętą głowę w niezwykle sposób. Tkliwszy był dla niej niż kiedykolwiek, ale jej się zdawało, że nawet w tej jego tkliwości, jak również w każdej rozmowie i w każdej pieszczocie, jest jakaś trzecia, inna myśl, która go zajmuje tak całkowicie, że ani na chwilę nie może się od niej oderwać. I ten stan jakowegoś roztargnienia powiększał się z każdym dniem, a z nadejściem maja przeszedł w coś gorączkowego. Marynia poczęła się teraz wahać, czy nie zapytać męża, co mu jest. Bała się trochę być natrętną, ale chodziło jej również i o to, by nie pomyślał, że ją jego sprawy zbyt mało obchodzą. W tej niepewności postanowiła czekać na sposobną chwilę, mając nadzieję, że on sam zacznie mówić o swoich zajęciach, choć zdaleka.

Jakoż, wkrótce potem, zdawało jej się pewnego dnia, że stosowna chwila nadeszła. Połaniecki wrócił tym razem wcześniej z biura i wrócił z twarzą tak jakoś dziwnie rozpromienioną, choć poważną, że, spojrzawszy mu w oczy, prawie mimowolnie spytała:

— Coś ci się musiało zdarzyć pomyślnego, Stachu?

On zaś siadł przy niej, i zamiast odpowiedzieć wprost, począł mówić jakimś trochę dziwnym głosem:

— Patrz, jaka pogoda i jak ciepło. Można-by już okna otwierać. Wiesz, o czem ja ciągle myślałem w ostatnich czasach? — że i dla twojego zdrowia, i dla Stasia, trzeba nam wcześniej z miasta wyjechać.

A Marynia rzekła:

— Jeśli Buczynek nie najęty?...

— Buczynek sprzedany — odpowiedział Polaniecki.

A następnie, wzięwszy jej obie ręce i patrząc jej w oczy z ogromną miłością, począł mówić:

— Słuchaj, moje drogie stworzenie: ja mam ci coś powiedzieć — i coś, co powinno cię ucieszyć — ale przyrzecz mi, że się nadto nie wzruszysz?

— Dobrze. Co, Stachu?

— Widzisz, dziecinko, — Maszko uciekł za granicę, bo miał więcej długów, niż majątku. Wierzyciele rzucili się na wszystko, co po nim zostało, by choć cośkolwiek odzyskać. Poszło to na licytację Towarzystwa. Magierówka została rozparcelowana i przepadła, ale Krzemień, Skoki i Suchocin były do uratowania — więc — tylko się nie wzruszaj, kochanie — więc — ja to dla ciebie kupilem.

Marynia patrzyła na niego czas jakiś, mrugając oczyma i jakby uszom nie wierząc. Ale nie! Sam był tak wzruszony, że nie mógł żartować. — Oczy zaćmiły się jej łzami, i nagle zarzuciła mu obie ręce na szyję.

— Stachull!

I w tej chwili nie mogła się zdobyć na inne słowa, ale w tym jednym okrzyku było i podziękowanie, i wielka miłość, i kobiece uwielbienie dla dzielności tego człowieka, który wszystkiego potrafił dokazać. Polaniecki zaś zrozumiał to i w poczuciu tak ogromnego szczęścia, jakiego nigdy dotąd nie doznał, począł mówić, trzymając ją ciągle przy piersiach:

— Ja wiedziałem, że cię to ucieszy, a Bóg jeden wie, że i dla mnie niema większej uciechy, jak twoja radość. Pamiętałem, żeś żalowała Krzemienia, i że to była krzywda dla ciebie — a że można ją było naprawić, więcem naprawił... Ale to nie! Gdybym ci dziesięć takich Krzemieni kupił, jeszcze-bym ci się nie wypłacił za to dobro, któreś mi wyrządziła, i jeszcze-bym ciebie nie był wart.

I mówił szczerze, lecz Marynia oderwała głowę od jego ramienia i, podnosząc na niego oczy, zarazem mokre i jasne, rzekła:!

— To ja ciebie nie jestem warta, Stachul! i nawet nie spodziewalam się, że będę taka szczęśliwa!

Poczęli się więc sprzeczać, kto więcej wart, ale były w tej sprzeczkę częste milczące przerwy, albowiem Marynia, co chwila obejmując go, podsuwała mu swoje śliczne, nieco za szerokie usta, a on wpijał się

w nie, a następnie całował naprzemian jej oczy i ręce. Przez długi jeszcze czas chciało jej się to śmiać, to płakać z radości, gdyż rzeczywistość szczęście jej przeszło wszystko, czego się kiedykolwiek spodziewała. Oto matka napisała jej niegdyś słabnącą już ręką: „nie dlatego powinno się wychodzić za męża, by być szczęśliwą, ale dlatego, by spełnić obowiązki, jakie Bóg wówczas nakłada, a szczęście, to tylko przydatek i podarek boży.”— Tymczasem tego przydatku było teraz więcej, niż się mogło w sercu pomieścić. Były próby, były chwile i smutku, i nawet zwątpienia, ale to wszystko przeszło — i wreszcie ten „Stach” nietylko ją pokochał, jak źrenicę własnego oka, ale spełnił więcej, niż kiedykolwiek przyrzekał.

I w tej chwili oto, chodząc wielkimi krokami po pokoju, wzruszony jeszcze, ale rad z siebie i z wyrazem pełnej chępliwości na swojej czarniawej, zawadyackiej twarzy — mówił:

— Cóż Maryś! Teraz się dopiero zaczniesz robotą! — co? Bo ja o gospodarstwie nie mam najmniejszego pojęcia, i to będzie twoja rzecz. Ale myślę, że administrator będzie ze mnie niezgorszy! Będziem oboje pracowali, bo to duża rzecz, ten Krzemień.

Ona zaś odrzekła, składając ręce:

— Mój Stachu złoty! ja wiem, że tyś to dla mnie zrobił. Ale czy aby to tobie nie zaszkodzi w interesach?

— W interesach? Myślisz może, że ja się dałem obedrzeć. — Ale gdzie tam! Tanió kupiłem! bardzo tanió! Bigiel, który się wszystkiego boi, przyznaje jednak, że to dobry interes. Zresztą zostaję dalej w spółce... Ty się tylko, Maryś, nie bój biedy na Krzemieniu, ani dawnych kłopotów. Będzie za co gospodarować — i powiem ci szczerze, że gdyby się dziś cały Krzemień w ziemię zapadł, jeszczebyśmy mieli z czego żyć, razem ze Stasiem.

— Ja — rzekła Marynia, patrząc na niego tak, jak mniej więcej patrzyła-by na Napoleona, lub innego, podobnej miary, zdobywcę — jestem pewna, że ty potrafisz wszystko, co zechcesz, ale wiem, że to tylko dla mnie kupiesz Krzemień.

— A spodziewam się! — odpowiedział Połaniecki. — Dlatego, że tam leży twoja matka, dlatego, że ciebie kocham, i dlatego, że ty kochałaś Krzemień. Ale swoją drogą, tyś mnie nawróciła do ziemi. Przypomniałem sobie, coś mówiła w Wenecyi, gdy Maszko chciał sprzedać Krzemień Bukackiemu. Nie masz pojęcia, jak ja jestem pod twoim wpływem. Czasem coś powiesz, a ja na razie nie! — ale to we mnie zostaje i później się niespodzianie odzywa. Tak było i w tej sprawie. Teraz samemu mi się dziwnem wydaje, żeby mieszkać na tej planecie, niby coś mieć, a nie mieć trzech łokci kwadratowych tej ziemi, o których można-by powiedzieć: „moje!” — To już była rzecz postanowiona,

to kupno. Możesz zauważyła, że od kilku miesięcy kręciłem się, jak mu-cha w ukropie. Nie chciałem ci tylko nie mówić, póki nie będzie-  
wszystko skończone; wolałem żebyś miała niespodziankę. I masz! To  
za to, żeś mi zdrowa i taka kochana!

Tu, chwyciwszy jej rękę, począł je znowu przyciskać do ust i do  
czoła; ona chciała również ucałować jego rękę, ale nie pozwolił na to  
i wreszcie poczęli biegać za sobą, jak dzieci, po pokoju, mówiąc przy-  
tem do siebie słowa dobre i jasne jak promienie. Maryni tak się chia-  
ło jechać zaraz do Krzemienia i tak nie mogła myśleć o czem innym  
że on w końcu zagroził jej, że stanie się zazdrosny o Krzemień i że go  
sprzeda.

— Oj! nie sprzedaś! — odrzekła, kręcąc głową.

— Bo co?

Ona zaś, wspiąwszy mu się do ucha, szepnęła:

— Bo kochasz.

A on począł kiwać głową na znak, że tak!

Umówili się jednak, ku wielkiej radości Maryni, że w końcu ty-  
godnia pojedą całym domem do Krzemienia, co było zresztą zupełnie  
możliwe, gdyż Połaniecki urządził dom tak, aby był całkiem gotowy  
na przyjęcie „dziedziczki.” Zapewnił też ją, że prawie nic nie zmienił  
— i że starał się tylko, by pokoje nie trąciły zbyt pustką.

Nagle począł się śmiać.

— Ale! — rzekł — ciekawym, co też papa na to powie?

Przypuszczalne żdziwienie „papy” było nowym powodem radości  
dla Maryni. Nie trzeba było zresztą długo na pana Pławickiego cze-  
kać, gdyż po upływie pół godziny przyszedł na obiad. — Ledwo się  
pokazał, Marynia, rzuciwszy mu się na ramiona, wypowiedziała jednym  
tchem szczęśliwą nowinę— a on istotnie i zdumiał się nadzwyczajnie,—  
i nawet wzruszył. Może odczuł szczęście córki, może ozwało się w nim  
znienacka przywiązanie do tego kąta, w którym tyle lat przeżył, dość,  
że oczy mu zwilgotniały; naprzód wspomniął o swoim pocie, którym ta  
ziemia była przesiąknięta, potem począł mówić coś o „starcu” i o  
„przytulku na folwarku”, a wreszcie, ścisnąwszy za głowę Połanieckie-  
go, rzekł:

— Daj ci Boże, przy większem szczęściu, tylko tak dawać sobie  
rady, jak ja dawałem — i bądź pewien, że ani pomocy, ani wskazówek  
nigdy ci nie odmówię.

Wieczorem zaś u Bigielów, Marynia, upojona jeszcze szczęściem,  
mówiła do pani Bigielowej.

— No i powiedz? Jak takiego człowieka nie kochać? powiedz  
sama!

## L.

Nazajutrz po przybyciu Połanieckich do Krzemienia, wypadła niedziela. Sam Połaniecki wstał późno, gdyż wczorajszego dnia przyjechali po pierwszej w nocy. W Krzemieniu czekała na nich służba z chlebem i solą; potem Marynia, śmiejąc się i płacząc naprzemiennie, oglądała wszystkie kąty w domu, a następnie nie mogła usnąć ze wzruszenia prawie do świtu. Z tych wszystkich przyczyn Połaniecki nie puścił jej z łóżka, ponieważ zaś chciała pojechać na sumę do Watorów nieco wcześniej, aby pomodlić się przy kościele za matkę, obiecał, że każe zaprządź i da jej znać, gdy będzie czas. Tymczasem, po śniadaniu, wyszedł trochę popatrzeć na swoje nowe dziedzictwo. Była druga połowa maja i dzień wyjątkowo piękny. W nocy padał deszcz, a teraz słońce przeglądało się w małych kałużach na dziedzińcu i przy zabudowaniach folwarcznych, łamało się w brylantowe połyski w kroplach zawieszonych na liściach i rozświecało mokre dachy stodół, obór i owczarni. W tych blaskach i w jasnej majowej zieleni drzew, Krzemień przedstawiał się wcale ponętnie. Wśród zabudowań folwarcznych nie było z powodu niedzieli prawie żadnego ruchu, tylko przy stajni kręciło się kilku fernali, którzy mieli jechać do kościoła. Połanieckiego dziwnie uderzyła ta cisza i to uspienie. Przed niedawnym czasem, zamierzwszy kupić Krzemień, był w nim kilkakrotnie i wiedział, że jest to majątek opuszczony. Maszko począł wprawdzie wznosić śpichlerz, kryty czerwoną dachówką, ale go nie skończył. Sam nie mieszkał tu nigdy, i w końcu nie mógł nic w majątek wkładać — więc opuszczenie widne było na każdym kroku. Ale nigdy nie przedstawiło się ono Połanieckiemu tak wyraźnie, jak teraz, gdy już mógł sobie powiedzieć: „to moje!”—Budynki były jakieś krzywe; ściany w nich niezbyt szczelne, płoty krzywe i rozgrodzone; pod ścianami wały się szczątki rozmaitych połamanych sprzętów gospodarskich; wszędy ziemia zdawała się chcieć wciągnąć w siebie to, co na niej stało, wszędy widoczne było jakieś bierne pozostawienie rzeczy samym sobie, wszędy widoczna niedbalszość. Połaniecki o gospodarstwie wiedział tylko tyle, że trzeba być ostrożnym z wkładami — zresztą, prócz jakichś ogólnych wiadomości, które mu się obily o uszy jeszcze za lat dziecinnych, nie miał o niem najmniejszego pojęcia. Jednakże, spoglądając na swoje królestwo, domyślił się, że i pola muszą być uprawne w prostym stosunku do tego niedbalstwa, które naokół widział; miał wyraźne poczucie, że jeśli tu się coś robiło, to raczej ze zwyczaju, z rutyny, jakby dlatego tylko, że coś się robiło lat temu dziesięć, dwadzieścia i sto. Tego natężenia, tej niustającej czujnej energii, która jest podstawą handlu, przemysłu



i wogóle spraw miejskich, nie było tu ani śladu. „Gdybym nic więcej nie przyniósł do tej martwoty—myślał Połaniecki—to już-by było bardzo wiele, bo tu tego bezwzględny brak. A ja mam prócz tego pieniądze i przynajmniej tyle rozumu, że naprzód wiem, że nic nie wiem, a powtóre wiem, że się trzeba uczyć i pytać.” Pamiętał jeszcze ze swoich czasów belgijskich, że nawet tam, w Belgii, dusza ludzka i napięcie woli więcej znaczyło od najpotężniejszych maszyn. A pod tym względem liczył na siebie—i mógł liczyć. — Czuł się człowiekiem uporczywym i sprężystym. Wszystko, co dotąd brał w ręce, musiało iść, czy chciało, czy nie chciało. Czuł prócz tego, że w interesach ma głowę nie fantastyczną, ale ściśle rachunkową, i dzięki temu poczuciu nie tylko nie stracił otuchy na widok opuszczenia, które przed sobą widział, ale znalazł w niem coś nakszttał bodźca. Ta martwota, to zaniebdanie, ta inercya i ta senność zdawały się go wyzywać, a on, wodząc naokół oczyma, mówił im niemal z uciechą: „to dobrze! to się spróbujemy!” I było mu nawet pilno do tej próby.

Te pierwsze oględziny i rozmyślenia nie popsły mu humoru, ale zabrały sporo czasu. Spojrzawszy na zegarek, spostrzegł, że jeśli chcą być przed sumą w Wątorach, to zaraz czas jechać; kazawszy więc zaprzęgać, wrócił śpiesznie do domu i zapukał do drzwi Maryni:

— Pani dziedziczko! — rzekł — „służba boża!”

— Można! można!—ozwał się przeze drzwi wesoly głos Maryni— jam już gotowa.

Połaniecki wszedł i ujrzał ją w jasnej wiosennej sukni, podobnej do tej, w jakiej ją widział za pierwszej bytności w Krzemieniu. Ubrała się tak umyślnie, on zaś, ku wielkiemu jej zadowoleniu, zrozumiał jej intencję, albowiem zawołał, wyciągnąwszy do niej ręce:

— Panna Pławicka!

A ona, zbliżywszy się, oparła, jakby zawstydzona, swój różowy nosek o jego policzek i ręką ukazała na łóžeczko, w którym spał Staś.

Poczem wraz z papą Pławickim pojechali do kościoła. Dzień był wiosenny, jasny, pełen ciepłych tchnień i radości. W zagajnikach odzywały się kukulki, a na łąkach widać było brodzące bociany. Wzdłuż drogi dudki i sroki przelatywały przed powozem z drzewa na drzewo. Od czasu do czasu zrywał się powiew i leciał po runi, jak po fali, pochylając żdźbła traw i tworząc chybkie cienie na zieleni pól. Naokół pachniało ziemią, trawą i wiosną. Oboje Połanieckich ogarnął rój wspomnień. W niej odzywała się, przytępiona już nieco życiem miejskiem, miłość do ziemi i do wsi, do lasów, do zielonych grudzi, do grusz na polach, do zwężających się w oddaleniu zagonów, do szerokich powietrznych przestworów i do tej, daleko rozleglejszej niż w mieście, przestrzeni nieba. Wszystko to napełniało ją nawpół uświadomioną,

ale graniczącą z upojeniem, rozkoszą. Połaniecki zaś wspominał, jak niegdyś jechał tak samo z panem Pławickim do kościoła i jak tak samo dudki i sroki przelatywały przed nimi z drzewa na drzewo. Tylko teraz czuł przy sobie to różowe stworzenie, które wówczas po raz pierwszy zobaczył, tę dawną pannę Marynię Pławicką. W jednej chwili uprzytomnił sobie w myśli wszystko, co między nimi było: i pierwszą znajomość, i ów czar, jakim go opętała, i dalsze nieporozumienia, i ten dziwny udział, jaki w ich życiu wzięła Litka, i ślub, i późniejsze pożyacie, i wahania się szczęścia, i zmiany, jakie pod wpływem tej jasnej duszy w nim zaszły, i dzisiejsze wypogodzenie się życia. Miał zarazem błogie poczucie, że zło przeszło, że znalazł więcej, niż marzył, i że obecnie mogą wprawdzie przyjść na niego wszelkiego rodzaju nieszczęścia, ale pod względem stosunku z nią życie stało się już raz na zawsze pogodne, ogromnie cne, jednoznaczne niemal ze „służbą bożą”, i o tyle słoneczniejsze, niż dawne, o ile ten widnokrąg, który ich otaczał, słoneczniejszy był od miejskiego. Na tę myśl serce zalewało mu szczęście i miłość dla niej. Przyjechawszy do Wątorów, odmawiał „wieczny odpoczynek” za duszę tej matki, której zawdzięczał taką żonę, z niemiejszą gorliwością, niż sama Marynia. Zdawało mu się, że kocha ten proch, pochowany pod kościołem, takim samym synowskim uczuciem, jak prochy własnej matki.

Lecz tymczasem zadzwoniono na sumę. W kościele znów dawne wspomnienia poczęły się Połanieckiemu cisnąć do myśli. Wszystko, co go otaczało, było takie jakies znane, iż chwilami miał złudzenie, że był tu wczoraj. W nawie tak samo pełno było szarych głów chłopskich i zapachu tataraku; ten sam ksiądz celebrował przy ołtarzu, te same gałęzie brzozy, poruszane wiatrem, były od zewnątrz w okno — i Połaniecki znów tak samo myślał, że wszystko mija, — mija życie, mijają bóle, nadzieje, porywy, mijają kierunki myśli i całe systemy filozofii — a msza po staremu się odprawia, jakby w niej jednej była wieczysta niepożytość. Nową postacią w starym obrazie była tylko Marynia. Połaniecki, spoglądając chwilami na jej spokojną twarz i podniesione ku ołtarzowi oczy, odgadywał, że się modli całą duszą za przyszłe ich życie na wsi, więc dostrajał się do niej i modlił się z nią razem.

Lecz po mszy, na dziedzińcu kościelnym otoczyli ich sąsiedzi, dawni znajomi pana Pławickiego i Maryni. Pan Pławicki jednak napróżno oglądał się za panią Jamiszową, albowiem od kilku dni bawiła w mieście. Natomiast radca Jamisz, wyleczony zupełnie z kataru żołądka, zatem zdrów i odmłodzony, wpadł na widok Maryni w prawdziwy zapach:

— Jest moja pupilka! — wołał, całując jej ręce — jest moja gospościa! jest „złota Marynia!” Aha! wróciły ptaki do starego gniazda. A ja-

kie to zawsze ładnel dąlibóg istna panienska, czysty podłotek, a przecię wiem, że jest chłopak na świeciel

Marynia czerwienila się z zadowolenia, lecz w tej chwili zbliżyli się państwo Zazimscy ze swoim sześciorgiem dzieci, a wraz z nimi i pan Gątowski, vulgo „Niedźwiadek”, dawny nieszczęśliwy konkurent Maryni i niedoszły zabójca Maszki. Pan Gątowski zbliżył się niezgrabnie i z pewnem zmieszaniem, jakby olśniony Marynią urodą i zdjęty żalem po szczęściu, które go ominęło. Jakoż i Marynia przywitała go z pewnem komicznem zakłopotaniem, natomiast Połaniecki wyciągnął do niego przyjaźnie rękę ze wspaniałomyślnością tryumfatora, i rzekł:

— Ot, i ja tu znajduję znajomych jeszcze z lat dziecinnych. Jak się pan ma?

— Po staremu — odpowiedział pan Gątowski.

A pan Jamisz, który był w wybornym humorze, rzekł, spoglądając przekornie na młodego człowieka.

— Ma kłopoty z uregulowaniem serwitutów.

Pan Gątowski zmieszał się jeszcze bardziej, gdyż cała okolica mówiła o tych kłopotach. Od lat kilku biedaczysko ledwie dyszał na swoim Jałbrzykowie. Uregulowanie serwitutów i sprzedaż lasu mogły go jeszcze wyprowadzić na równą drogę, cóż, kiedy w poprzek wszelkim, nieraz już blizkim zawarcia, układom, stawał wieczny jednaki zarzut ze strony jałbrzykowskich współsiadów: „ze pon dziedzic, na biołem koniu jeździ, z pistalców se strzyło i dziewczkom w ślepią patrzy.”

Pan Gątowski, jakkolwiek przywykły od młodych lat do rozmaitych wiejskich korowodów, tracił jednak czasami cierpliwość i wołał z prawdziwą rozpaczą:

— No, co to — psia krew! ma jedno do drugiego! A żeby was najjaśniejsze pioruny zatrzasyły!

Ale po tak przekonywajacem „dictum” rajcy jałbrzykowscy składali zwykle nową dojrzałą naradę i, po statecznem rozpatrzeniu wszystkich *za* i *przeciw*, oświadczali znów, drapiąc się w potylice, że wszystko było-by dobrze:

„ino se pon dziedzic, na biołem koniu jeździ, z pistalców se strzyło i dziewczkom... etc.”

Ale tymczasem Marynia, która do pana Jamisza miała takie przywiązanie, jak do człowieka z rodziny, dowiedziawszy się, że jest słomianym wdowcem, zaprosiła go na obiad. Niespodzianie jednak pan Pławicki, zły, że nie znalazł w Wątorach pani radezynie, a zarazem pomny dawnych niedzielnych partyjek z „Gątosiem”, zaprosił i „Gątosią” — wskutek czego Połaniecy wyruszyli naprzód i bardzo śpiesznie, aby Marynia miała czas wydać odpowiednie rozporządzenia. Za nimi

zabrał się pan Pławicki z radcą, Gątowski zaś pociągnął na ostatku na swojej bryczce, zaprzężonej w chudą jałbrzykowską fornalękę.

Po drodze pan Pławicki rzekł do radcy Jamisza:

— Nie mogę powiedzieć!.. Córka moja jest szczęśliwa. On jest dobry człowiek i energiczna sztuka, ale...

— Ale co? — zapytał pan Jamisz.

— Ale narwany! Pamiętasz sąsiad, że on mnie tak przycisnął o jakieś marne dwadzieścia tysięcy rubli, że musiałem sprzedać Krzemień. A potem co? Potem odkupił ten sam Krzemień... Gdyby zaś był mnie nie przyciskał, nie potrzebował-by kupować Krzemienia, bo wziął-by go darmo po mojej śmierci za Marynią. Dobry człowiek, ale tu... (i mówiąc to, pan Pławicki stuknął się palcem w czoło) szumi jeszcze! Co prawda, to nie grzech!

— Hm! — odpowiedział radca Jamisz, nie chcąc panu Pławickiemu czynić przykrości uwagą, że gdyby Krzemień pozostał dłużej w jego rękach, toby nic nie pozostało z Krzemienia.

Pan Pławicki zaś westchnął i rzekł:

— A dla mnie na starość nowy trud — bo i teraz wszystko tam musi pójść moją głową.

Pan Jamisz z trudnością powstrzymał okrzyk: „niech-że Bóg bronii”, znał jednak Połanieckiego o tyle, iż wiedział, że naprawdę nie ma niebezpieczeństwa. Pan Pławicki też sam niebardzo wierzył w to, co mówił, zięcia się trochę bał, i rozumiał dobrze, że teraz właśnie wszystko pójdzie inną głową.

Tak rozmawiając, zajechali przed ganek; Marynia, która już zarządziła, co było potrzeba do obiadu, przyjęła ich ze Stasiem na rękę.

— Chciałam panu przedstawić syna, nim siądziemy do stołu — rzekła — duży syn! ogromny syn! grzeczny syn!

I w takt do tych słów poczęła go hustać w stronę pana Jamisza, pan Jamisz zaś dotknął palcami Stasiowego policzka, na co „grzeczny syn” naprzód skrzywił się, potem uśmiechnął i wydał nagle okrzyk, który dla badaczy „ezoterycznej mowy” mógł mieć zapewne wyjątkowo doniosłe znaczenie, ale dla zwykłego ucha dziwnie przypominał skrzek sroki lub papugi.

Tymczasem nadjechał pan Gątowski i, powiesiwszy okrycie w sieni na kołku, szukał w niem właśnie chustki od nosa, gdy dziwnym wypadkiem Rozulka, niania Stasiowa, znalazła się także w sieni i, zbliżywszy się do pana Gątowskiego, naprzód podjęła go pod nogi, a potem pocałowała w rękę.

— Ano, jak się masz! jak się masz! a co powiesz? — spytał dziedzic Jałbrzykowa.

— Nic! chciałam się ino pokłonić — odrzekła pokornie Rozulka.

Pan Gątownski przechylił się nieco w bok i począł szukać czegoś palcami w kieszeni od kamizelki, lecz ona widocznie przysła się tylko pokłonić dawnemu dziedzicowi, bo, nie czekając na datek, pocałowała go znów w rękę i odeszła cicho do dziecinnego pokoju.

Pan Gątownski zaś ruszył z gęstą miną do reszty towarzystwa, podśpiewując sobie basem:

— Um-dry-dry! Um-dry-dry! Um-dramta-ta!

Poczem siedli wszyscy do stołu i rozpoczęła się rozmowa o powrocie państwa Połanieckich na wieś. Pan Jamisz, który sam przez się był człek intelligentny, a jako radca, musiał być z urzędu mądry i wymowny, zwrócił się do Połanieckiego i mówił co następuje:

— Pan przychodzisz na wieś bez znajomości gospodarstwa, ale z tem, czego ogółowi naszych ziemian głównie brak, bo ze znajomością administracyi i z kapitałem. Dlatego ufam i jestem pewien, że nie wyjdiesz źle na Krzemieniu. Powrót wasz, to wielka radość dla mnie, nietylko ze względu na was i na tę moją kochaną uczennicę, ale, że to zarazem dowód na to, co ja zawsze mówię i twierdzę, iż większość nas, starych, musi wyjść z ziemi; synowie jednak nasi, a jeśli nie synowie, to wnuki—wrócą. I wrócą tężsi, bardziej wyrobieni w życiowej walce, z rachunkiem w głowie, z tradycją pracy. Pamiętasz pan, com ci kiedyś mówił, że ziemia ciągnie i że ona jedna jest prawdziwym bogactwem. Pan wówczas mi zaprzeczałeś, a dziś — patrz — jesteś właścicielem Krzemienia.

— To przez nią i dla niej — odpowiedział, wskazując na żonę, Połaniecki.

— Przez nią i dla niej! — powtórzył radca — a myślisz pan, że w mojej teorii niema miejsca dla kobiet i że ja nie wiem, co one warte? One sercem i sumieniem zgadują, gdzie jest prawdziwy obowiązek, i sercem popychają do niego. A prawdziwy obowiązek, równie jak prawdziwe bogactwo — to ziemia.

Tu pan Jamisz, który, na obraz i podobieństwo wielu radców, miał tę słabość, że się sam lubił słuchać, przymknął oczy, żeby się słyszeć jeszcze lepiej, i mówił dalej:

— Tak wróciłeś przez żonę! Tak, to jej zasługa i bogdaj nam się takie kobiety na kamieniu rodziły; ale swoją drogą, wyście wyszli z ziemi i dlatego ziemia was przyciągnęła. My wszyscy powinniśmy się naprawdę pieczętować plugiem! I powiem wam jeszcze, że to nietylko wrócił pan Stanisław Połaniecki, nietylko pani Marya Połaniecka — to wróciła Rodzina Połanieckich, bo się w niej odezwał instynkt całych pokoleń, które z gleby wyrosły i których prochy tę glebę użyzniają.

To rzekłszy, pan Jamisz podniósł się — i wzięwszy kieliszek, zawołał:

— W ręce pani Połanieckiej, zdrowie Rodziny Połanieckich!..

— Zdrowie rodziny Połanieckich! — zakrzyknął pan Gątowski, który, mając serce czułe na wymowę, gotów był przebaczyć w tej chwili rodzinie Połanieckich wszystkie serdeczne męki, jakie z jej powodu przeszedł.

I wszyscy udali się z kieliszkami do pani Maryni, która dziękowała wzruszona, — Połanieckiemu zaś, gdy się do niej zbliżył, szepnęła:

— Aj, Stachu, jaka ja szczęśliwa.

Lecz gdy całe towarzystwo znalazło się znowu za stołem, papa Pławicki dodał ze swojej strony:

— Trzymać się ziemi do ostatka — oto, co całe życie głosiłem!

— Bo pewno! — potwierdził pan Gątowski.

Ale w duszy pomyślał:

— Żeby tylko nie te psie krwie, korowody!

A w tym-że czasie, w dziecinnym pokoju, Rozuła śpiewała do snu małemu Stasiowi smutną wiejską piosenkę:

„Nieszcśliwe te pokoje,  
Oj, Jasičku mój!..

Po obiedzie goście poczęli się zabierać, ale pan Pławicki zatrzymał ich na „partyjkę”, tak, że wyjechali dopiero pod zachód. Wówczas Połanieccy, nacieszywszy się naprzód ze Stasiem, wyszli na werendę i dalej do ogrodu, albowiem wieczór czynił się cichy i pogodny. Wszystko, co im przypominało ową pierwszą niedzielę, którą tu spędzili razem, wydawało się im, jak jakiś sen cudny i słodki, a tego rodzaju wspomnień było tu na każdym kroku bez liku. Słońce zniżało się tak samo wielkie i promienne, drzewa stały nieporuszone w wieczornej ciszy, czerwieniąc się na czubach od zorzy; z drugiej strony domu klekotały tak samo na gnieździe bociany, — ten sam był nastrój, kojący i nieszporny. Oni poczęli chodzić wszędzie, przebiegać wszystkie aleje, zbliżać się do sztachet, patrzeć na pola ginące w oddaleniu, na ciemne pasma lasów, zamykające widnokrąg, i mówić sobie rzeczy ciche, a zarazem tak spokojne, jak spokojny był ów wieczór. To wszystko, co ich otaczało — to miał być ich świat. Oboje czuli, że ta wieś bierze ich w siebie, że poczyna się zawiązywać jakiś stosunek między nią a nimi, i że odtąd życie musi im spłynąć tu, a nie gdzieindziej — pracowite, oddane „służbie bożej” na roli.

Gdy słońce zaszło, wrócili na werendę, lecz, jak niegdyś, tak i teraz, pozostali jeszcze na niej, by się zupełnego mroku doczekać. Tylko dawniej Marynia trzymała się daleko od Połanieckiego, a teraz przylutuliła się całkiem do jego boku i po chwili milczenia rzekła:

— Będzie nam tu ze sobą dobrze, Stachu, — prawda?

A on objął ją mocno, tak, aby ją czuć przy samem sercu, i począł powtarzać:

— Moja kochana! moja bardzo kochana!...

Tymczasem z po-nad spowitych w tumany olszyn podniósł się rumiany księżyc — i żaby w stawach, zwiedziawszy się już widocznie, że wróciła ta panienka, którą niegdyś tak często widywały nad brzegiem, ozwały się wśród wieczornej ciszy jednym wielkim chorem:

— Rade! rade! rade! rade!...

---

I odtąd poczęło się obojgu snuć życie, nie wolne od trosk, ale w którym było jednak więcej miodu, niż piołunu.

Autor zaś niniejszej książki pił ów miód — mocą wyobraźni.

KONIEC.

HENRYK SIENKIEWICZ.

---

# STULECIE CHEMII.

---

## I.

Cztery pierwiastki (elementy, żywioły) Arystotelesa mieściły w sobie nie tylko pojęcie o istotnej materii, lecz i tkwił w nich wyraz stanu fizycznego różnorodnej mnogości ciał widzialnego świata. Stałość (twardość) ziemi, płynność wody, lotność powietrza dostatecznie wyczerpywały poglądy na zewnętrzną postać materii, co tem więcej zasługuje na uwagę wobec faktu, że o gazach ówczesny przyrodnik bynajmniej jasnego nie miał pojęcia. Wiele wieków przetrwały nauki Arystotelesowe i zadawały w zupełności umysł, nie przeniknięte jeszcze koniecznością indukcyjnego na świat poglądu, nie pojmujące znaczenia eksperymentu, nie nawykłe do ścisłego ważenia rezultatów swych obserwacji. W odmiennej co prawda szacie, lecz zawsze o tych samych zasadniczych własnościach, powracają pierwiastki Arystotelesa w naukach alchemików, które opanowały średnie wieki, a których odbłyski nie zagasały jeszcze aż do połowy i końca przeszłego stulecia. „Metal“, „siarka“, „rtęć“, „sól“ alchemików również były ucieleśnieniem pewnych stanów fizycznych: połyску, palności, lotności, stałości; ich „ługi“ i „kwasy“ więcej wyobrażały jakości, niż określone materje, a „duchy“ (spiritus) i „essencje“ łączyły w sobie pojęcia o czemś pierwotniejszym, jeszcze mniej bodaj materyalnym, najsubtelniejszym, wchodzącym w skład ciał przyrody. Usilne prace alchemików, choć z błędnych wychodzące założeń i do fałszywych dążące celów, nie po-



zwały im jednak zamykać oczu na przemiany materjalne, którym ulegały ciała w ich tyglach i retortach, i oczywiście zjawiska najjaśniejsze, najefektowniejsze, najwięcej też przykuwały ich uwagę. Palenie się ciał, zjawisko ognia, stanowiło jedną z takich najponętniejszych zagadek. To też — podobnie jak starożytny myśliciel w ogniu upatrywał coś zgoła odrębnego od innych przejawów natury i uznał go za element osobny — i w rozumowaniach alchemików wciąż powraca pogląd na „pierwiastek“ ognia, w którym mieszają się chaotycznie pojęcia materjalności i fenomenu, ciała i zjawiska, substancyi i przemiany chemicznej.

Dopiero z początkiem ósmnastego stulecia wśród umysłów zajętych badaniem praw przyrody poczyna torować sobie drogę nauka nowa, która nietylko stara się objaśnić palenie się ciał, lecz i tę nad poprzedniami hipotezami ma wyższość, że skupia w sobie olbrzymie mnóstwo rozproszonych spostrzeżeń, które pozornie nie wiele mają ze sobą wspólnego. Według teoryi tej, głoszonej przez Stahla, ciała palne, jak np. siarka, węgiel, oleje, zawierają osobliwy pierwiastek, tak zw. flogiston, który przeobrazić się jest zdolny w materję ognia, gdy owe ciała zostają wystawione na wysokie temperatury, a powstająca w ten sposób materya ogniowa rozprasza się wraz z płomieniem, ciepłem i światłem. Ciała palne złożone są zatem z flogistonu i większej lub mniejszej ilości innego charakterystycznego składnika, który wydziela się, powstaje z nich wówczas, kiedy flogiston przez palenie uleci.

Wiadomo było oddawna, że i metale pod wpływem ogrzania zmieniają się na powietrzu. Metale zaś należały do ciał, z którymi chemicy średniowieczni stosunkowo najwięcej mieli do czynienia. Toż one przede wszystkim odznaczały się najwybitniejszymi, najznamienniejszymi własnościami, które tak łatwo w oko wpadały; toż przemiany ich, zachodzące pod wpływem rozmaitych czynników fizycznych i chemicznych, największe przedstawiały zaciekawienie, bo kazały mniemać, że łatwo jest jeden metal w drugi zamieniać; toż metal pospolity można było uszlachetniać, z ołowiu otrzymać można było srebro, ze srebra złoto; toż wreszcie tylko przez badanie metalów można było dojść do odszukania owej kwintessencyi wszelkich zabiegów, kamienia filozoficznego, którego małe ilości mogły dostarczać obfitych bogactw, złota, a kto wie, może i czegoś od bogactw cenniejszego, bo zdrowia, młodości, ba nawet długowieczności!

Na powietrzu pod wpływem ognia zamieniały się metale na t. zw. „ziemie“, gdyż traciły swój połysk metaliczny, a stawały się podobne do części składowych ziemi. Według Stahla zatem, metale są to ciała palne, złożone z „ziemi“ i flogistonu. Utlenianie się metali, czyli tak zwane podówczas „kalcynowanie“ (wapniowanie), w teoryi Stahla łączy

się ściśle ze zjawiskiem palenia się ciał, i to właśnie stanowi poważny krok naprzód w poznawaniu przemian chemicznych. Dojrzano istotną wspólność, zachodzącą pomiędzy paleniem się węgla a tworzeniem się rdzy na żelazie; a jakkolwiek nie zrozumiano jeszcze, jaka wspólna przyczyna obadwa te zjawiska wywołuje, a jakie tylko drobne pomiędzy nimi są różnice, niemniej wszakże poczęto na cały szereg niepowiązanych dotąd z sobą przemian chemicznych spoglądać z jednego wspólnego stanowiska, co było niezbędnym pierwszym krokiem na drodze do poznania istotnych przyczyn. Gdy zaś teoria flogistonu na razie objaśniała wszystko, czego żądać od niej było można, a nie obudziły się jeszcze wątpliwości co do realnych cech samego flogistonu, nie dziwnego, że ogarnęła wszystkich, nie natrafiając na zbyt duże przeszkody.

Fakta nie zdawały się zadawać kłamu teorii flogistonu. Metal ogrzany traci flogiston i zamienia się na „ziemię.“ Aby znów z ziemi pierwotny otrzymać metal, należy więc tylko dodać do niej flogistonu, co oczywiście najlepiej uczynić, ogrzewając „ziemię“ („wapno“) z ciałem we flogiston obfitującym, np. z węglem. Istotnie przez ogrzanie węgla z „wapnem“ odtwarzamy znów z tego ostatniego metal.

Najznakomitsi chemicy i fizycy połowy XVIII wieku przyjęli z zadowoleniem teorię Stahla. Jedno, tak proste przypuszczenie, mające zresztą za sobą wszelkie pozory najlepiej uzasadnionej prawdy, pozwalało objąć wspólnym węzłem tyle różnorodnych zjawisk, jak palenie się ciał, płomień, ciepło, zmiany metalów na powietrzu, ich regenerowanie z „ziemi“, a nawet oddychanie zwierząt, uważane w istocie za wydalanie przez płuca flogistonu zawartego w organizmie. Niczego więcej od hipotezy wymagać nie można. I zadawała ona też całkowicie dopóty, póki coraz więcej uznania nie poczęły sobie pozyskiwać badania nad gazami.

Fizycy końca siedemnastego stulecia, Boyle i Mariotte poznali najważniejsze cechy fizyczne gazów. Lecz bynajmniej nie zadawali sobie pytania dotyczącego własności materialnych tych nowo poznanych ciał. Powietrze bowiem uważane było za ciało niezłożone, inne zaś gazy ani z wejrzenia, ani pod względem wielu własności, które badać potrafiiono, nie różniły się znacznie od powietrza, poczytywano je przeto za szczególne tego ostatniego odmiany. W połowie dopiero wieku XVIII-go Anglik Black dowiódł w sposób niezbity istnienia gazu absolutnie różnego od powietrza, tworzącego się podczas gorzenia ciał, podczas fermentacji, przy zetknięciu octu z kredą, występującego w wielu wodach mineralnych, wydobywającego się w niektórych miejscach ze szczelin w ziemi. Był to t. zw. obecnie kwas węglany, a właściwiej dwutlenek węgla. Nazwano go wówczas „powietrzem

trwałem“, gdyż poznano takie procesy chemiczne, które pozwalały łączyć ten gaz z innymi ciałami, utrwać go niejako w stałej formie, i dowolnie znów z tej postaci wywiązywać. Black dowiódł, że owo trwałe powietrze znika w obecności ciał zasadowych, kaustycznych (np. gryzącego potażu, wapna), i że z powstałych w ten sposób połączeń znów może być wydzielone. I oto po raz pierwszy spotkano się ze zjawiskiem, w którym „wapno“ zmieniało swe własności chemiczne dzięki procesowi, w którym nie można było dojrzeć udziału owego tajemniczego „flogistonu“, lecz pod wpływem substancji gazowej dobrze określonej, którą można było zebrać, ważyć, którą dowolnie można było przenosić z jednego połączenia w inne. O flogistonie, który uchodził podczas palenia się metali, a powracał, gdy z „wapna“ znów metal odtwarzano, nie można było tego samego powiedzieć. Flogiston nie był powietrzem, ani gazem do powietrza podobnym, nie był też gazem od powietrza odmiennym, gdyż inaczej można-by i jego własności z taką dokładnością określić, jak to uczyniono dla „trwałego powietrza.“ Teorię flogistonu ugodził pierwszy strzał, który wszakże na razie nie był zbyt dotkliwy. Przeciwnie, sprzymierzeńcy panującej nauki Stahla tem gorliwiej jęli jej bronić, a nowo pozyskane fakta, które zagrażały całości tak misternie zbudowanego gmachu flogistonowego, starali się tłómaczyć w sposób, który na czas jakiś mógł im jeszcze zapewnić zwycięstwo.

Tymczasem na drodze odkrywania i poznawania gazów coraz nowe znaczone postępy. Cavendish (1767) wykazał dowodnie istnienie gazu palnego, zgoła nie mającego wspólnego z powietrzem, a który obecnie nazywamy wodorem. W przeciągu niespełna czterech lat (1771—1775) Priestley odkrył cały szereg gazów, których dzisiejsze nazwy są: tlen, azot, tlenek azotu, chlorowódor, amoniak, kwas siarkawy. Praca w tym kierunku nie ustawała, i w dalszym ciągu odkrywano wciąż nowe jeszcze ciała gazowe, których składu chemicznego zresztą dobrze nie poznawano; wiedzano tylko, że są to ciała wielce od powietrza i między sobą różne. Lecz, co ważniejsza, dla nowo odkrytych ciał nie było miejsca w ramach dotychczasowych teorii chemicznych. Nie wiedzano, gdzie je pomieścić, gdyż nie zdawano sobie dokładnie sprawy z ich natury chemicznej, nie potrafiło przystąpić do odkrycia ich własności materialnych, nie wiedzano, jakie pierwiastki w nich tkwią, co mają one wspólnego z powietrzem, a co jest w nich z innych związków chemicznych, stałych, ciekłych, lub lotnych. I oto skupiła się moc nowych faktów, których należycie ugrupować nie było można; zrozumiano, że po-za granicami panujących teorii istnieją zjawiska chemiczne, z teoryami owymi niezgodne, a nie dające się wprost wtłoczyć w przykrojone formy. Odczuto, że nadszedł czas sprawdzenia.

wszystkich doświadczeń i hipotez chemicznych, gdyż nauce o materialnych przemianach ciał ziemskich zagrażał niebezpieczny chaos.

## II.

Dnia 19 floréala roku II-go, czyli 8 maja r. 1794, spadła pod gilotyną głowa Antoniego Laurentego Lavoisier'a. Nie pomogły nieśmiało protekcyje jego przyjaciół do powstrzymania dekretu śmierci, wydanego przez ówczesny rząd Francyi, gdyż wówczas „Francyi nie potrzeba było uczonych.“ Nazajutrz po śmierci Lavoisier'a wielki Lagrange mówił do jednego z przyjaciół: „Dość im było chwili jednej dla ścięcia tej głowy, a stu lat zapewne zbyt będzie mało dla stworzenia drugiej takiej.“

Sto lat właśnie minęło, i sprawdziły się słowa Lagrange'a. W dziejach wiedzy niewiele jest imion, które obok Lavoisier'a postawić można, gdyż pracami swemi z gruntu odbudował on — rzec można — wszystkie umiejętności przyrodnicze. Jakkolwiek bowiem ściślejsem polem działalności Lavoisier'a była chemia, dotknął on tu jednakże pytań tak zasadniczych, tak mocno związanych z najbardziej podstawowymi sprawami w przyrodzie, że pozyskane przez niego rezultaty odbić się musiały wyraźnie we wszystkich odłamach nauki o przyrodzie. Dopiero dzięki geniuszowi Lavoisier'a pojęto znaczenie pierwiastku chemicznego, zrozumiano zjawisko ognia, palenia się ciał, utleniania, oddychania. Jemu zawdzięczamy jasne sformułowanie zasad, na których opierać się winny badania chemiczne, wskazanie doniosłości syntezy i analizy chemicznej. Jego jest dziełem ostateczne wprowadzenie liczby i wagi do pracowni chemika, najściślejse określenie zasady niezniszczalności materji. On-to pierwszy ujął w jasne myśli zależność zjawisk utleniania, oddychania zwierząt i wytwarzania się ciepła zwierzęcego od normalnego składu powietrza, pierwszy mierzył ciepło wytwarzane nie tylko przy zwykłych procesach chemicznych, lecz i podczas działalności życiowej zwierząt, i wskazał w ten sposób drogę do ścisłych badań nie tylko w chemii, lecz i w fizjologii. Lavoisier przekształcił całą wiedzę chemiczną, a przez nią i inne umiejętności przyrodnicze, i nie zadowolnił się temi istotnemi, wewnętrznemi przeobrażeniami, lecz jeszcze sprawił nowe szaty dla nowej nauki, gdyż stworzył nową nomenklaturę chemiczną. Podczas kiedy w łonie społeczeństw odbywał się wielki przewrót umysłowy, którego ogniskiem była Francya, z tejże Francyi dany był przez Lavoisier'a silny bodziec do rewolucyi w nauce, dzięki któremu obalono stare, ciasne pomysły,

zniszczono wątle teorye, natomiast dla nowo odkrytych prawd naukowych wzniesiono nowe budowle na nowych, mocnych fundamentach.

I stoją do dziś dnia, i po wszystkie czasy stać będą gmachy naukowe, zbudowane przez Lavoisier'a. Sto lat najmózolniejszej, najzarliwszej pracy umysłu ludzkiego nie tylko nie wstrząsnęły niemi, lecz złożyły niezliczone mnóstwo dowodów, że nauka chemiczna, idąc śladami, które jej wskazał Lavoisier, stąpa po gruncie tak pewnym, że zboczyć z tej drogi nigdy nie będzie zmuszona. Wszystko, co nowego odkrył Lavoisier, sprawdzano tysiące razy i ani razu nie zawiedziono się. W sposobie tłumaczenia zjawisk chemicznych przez Lavoisier'a nie dostrzeżono żadnego błędu. Pewne drobne niedokładności w niektórych jego doświadczeniach są zrozumiałym wynikiem niedostatecznie ścisłych przyrządów, jakimi się on posługiwał, lecz w istocie nie zmieniają one w niczem ogólnych wywodów jego prac, tych objaśnień, jakie w najnaturalniejszy sposób wynikały z jego badań. A pamiętajmy, że pokolenia badaczy, które nastąpiły po tym wielkim reformatorze wiedzy, odznaczały się i odznaczają niezmierną trzeźwością, nieubłaganą krytyką, niebywałą dotąd ścisłością w ważeniu rezultatów swych spostrzeżeń i doświadczeń.

W ciągu stulecia, jakie upłynęło od prac Lavoisier'a, chemia tak potężne przybrała rozmiary, tak rozszerzyła zakres swych badań i zarazem do takiej w badaniach tych doszła subtelności, że sięgnęła tam, dokąd sięgnąć nie mogła najlotniejsza fantazyja chemika wieków ubiegłych. Z jednakową niemal pewnością badamy dziś zmiany chemiczne, zachodzące w komórce zwierzęcej i roślinnej, jak i procesy chemiczne na najdalszych ciałach niebieskich. Poznaliśmy niezliczoną moc związków występujących w naturze, i nie mniejszą bodaj liczbę stworzyliśmy w naszych pracowniach. W tych i wszystkich innych pracach z zakresu chemii ścisłość postępowania może być porównana chyba tylko z godną podziwu śmiałością, z jaką coraz to nowe podejmujemy zadania i coraz nowe rozstrzygamy zagadnienia. A na każdym kroku spotykamy się z temi zasadniczymi procesami, które pierwszy wyjaśnił należycie Lavoisier. I na każdym też kroku mamy sposobność stwierdzić dokładność jego poszukiwań, ścisłość rezultatów, jakie otrzymał, prawdziwość jego poglądów teoretycznych. Toż nic dziwnego, że nazywają go ojcem, największym mistrzem chemii współczesnej.

Postarajmy się poznać najważniejsze zasługi naukowe Lavoisier'a, poczem krótko naszkicowany rys dalszych postępów chemii usprawiedliwi chyba nagłówek niniejszej rozprawki.

## III.

Obrońcom flogistonu wiadomo już było, że metale, przechodząc w „wapna“ (czyli utleniając się), zyskują na wadze. Ten wielokrotnie stwierdzany fakt należało pogodzić z teorią, według której proces ów zachodził przy utracie flogistonu. Metal stracił flogiston a zyskał na ciężarze. Jakież więc osobliwe własności posiadać musiał ów tajemniczy pierwiastek ognia! Istotnie sprzymierzeńcy Stahla utrzymywali, że ich flogiston nie ma wspólnego ze zwykłą materią. Nie posiada on ciężaru, przeciwnie — przyłączywszy się do jakiegokolwiek ciała, czyni je lżejszem, unosi w górę, wyzwała je do pewnego stopnia z dotychczasowego wpływu przyciągania ziemskiego. Ubytek flogistonu natomiast czyni ciało cięższem, bo zbrakło w niem owego pierwiastku o odjemnym ciężarze, owego subtelnego, niematerialnego elementu, wyposażonego w siły, działające przeciw przyciąganiu ziemskiemu.

Lavoisier, podobnie jak Cavendish i Priestley, poznał tlen zawarty w powietrzu, dowiódł, że zwiększanie się ciężaru metalów podczas ogrzewania i ich zamiana na „wapna“ pochodzi stąd, iż metale pobierają pewną ilość powietrza, że wreszcie ten przybytek na wadze jest dokładnie równy ciężarowi powietrza, które przy tej operacji znika. Lavoisier umiał ważyć gazy, a będąc przekonany, że reakcje chemiczne zachodzą według pewnych określonych stosunków ilościowych, intuicyjnie poszukiwał tych stosunków. W tym celu zjawiska chemiczne, w których gazy udział brały, wykonywał w przyrządach szczelnie zamkniętych i tak zbudowanych, ażeby można było dokładnie zdawać sobie sprawę z tego, czy w danym razie zaszły jakieś ilościowe zmiany z gazami.

Znając własności tlenu i prowadząc pomyślnie reakcję zamiany metalu na „wapno“, aż w danej objętości powietrza tlenu już zbrakło, przekonał się Lavoisier, że pozostała część powietrza nie jest już zdolna w dalszym ciągu procesu owego dokonywać. A zatem powietrze składa się z dwu gazów o różnych własnościach. Gazy te każdy oddzielnie można wyosobnić z powietrza, a zmieszawszy je w odpowiednim stosunku, znów otrzymać można powietrze. Oto pierwsze — rzecz można — pełne i najściślejsze skonstatowanie składu ciała — przez analizę i syntezę.

Ta sama część składowa powietrza — zwiemy ją tlenem, — która łączy się z metalami podczas ich zamiany na „wapna“, łączy się też z fosforem, siarką, węglem, gdy te ciała ulegają spaleni, a otrzymane stąd produkty: kwas fosforowy, kwas siarkawy, kwas węglany na ciężar dokładnie równe są sumie zużytego tlenu i owych palnych materii.

Palenie się ciał nie jest zatem wyswobodzeniem się z nich flogistonu, lecz zjawiskiem wprost odwrotnem: łączeniem się tych palnych substancji ze składową częścią powietrza, tlenem. A powietrze nie jest pierwiastkiem, elementem, ciałem niezłożonym, lecz zawiera w sobie dwa gazy: tlen, który podtrzymuje palenie i utlenianie się metalów, i azot, gaz obojętny, w którym ani utlenianie, ani palenie nie jest możliwe.

Nie poprzestał na tem Lavoisier, lecz, widząc, że nowo odkryte przez niego fakta stoją w zupełnej sprzeczności z teoretycznymi poglądami współczesnymi, gromadził ze wszystkich stron nowe dowody dla poparcia swych nowych idei. I wodór, gaz otrzymywany przez działanie wielu kwasów na metale, znany już był podówczas, a zwany był palnym powietrzem, gdyż nie uszło uwagi badaczy, że jest to ciało palne. Otóż z kolei Lavoisier przystąpił do zbadania produktu powstającego z palenia się wodoru, i produktem tym okazała się woda. Wodór, paląc się, łączy się z tlenem, a woda, poczytywana dotąd za pierwiastek, jest ciałem złożonym z wodoru i tlenu. Podobnie jak, łącząc tlen z wodorem, drogą syntezy dochodzimy do poznania składu wody, tak i drogą analizy, rozkładając wodę, przekonać się możemy, że złożona jest ona z dwu gazów — tlenu i wodoru. Oddychanie zwierząt w mniemaniu ówczesnych chemików było również w pewnym związku z flogistonem. I to więc zjawisko należało poddać zbadaniu. Istotnie i tutaj tlen rozstrzygające ma znaczenie: zwierzęta oddychają tylko w atmosferze zawierającej tlen, wdychają ten gaz, wciągają go do płuc, natomiast wydychają, wydalają z płuc ten sam kwas węglany (dwutlenek węgla), który tworzy się przy paleniu węgla.

Obrawszy za punkt wyjścia tak ważny proces chemiczny, jak palenie się ciał, i dojrawszy w nim wiele podobieństwa do zmian metalów na powietrzu i do oddychania zwierząt, flogistycy stworzyli teorię, która obejmowała wielki szereg reakcji chemicznych i zarazem wprowadziła do nauki pojęcie o osobliwych, niematerialnych pierwiastkach, przyjmujących tak ważny udział w materialnych przemianach ciał. Starali się oni zamykać oczy na sprzeczność istniejącą pomiędzy ich teorią a logicznym rozumowaniem, liczącem się z ciężarem ciał. Gdy przytem obcemi im były gazowe materye, oraz umiejętność ścisłego badania produktów, otrzymywanych w wielu reakcjach chemicznych, dziwić się trudno, że zbudowany przez nich system mógł im wystarczać. Lecz oto w zawody z nimi występuje niestrudzony i konsekwentny umysł Lavoisier'a, krok za krokiem śledzi te wszystkie zjawiska, na których opierała się nauka ówczesna, odkrywa nowe ciała, których materialność zaprzeczyć się nie da, — bo są one uposażone w określone własności, mają ciężar i sprawiają widoczne dla zmysłów

przemiany, — sprawdza dawniej znane fakta i огоłaca z narzuconej im tajemniczości, wprowadza metody ściśle, które pozwalają dowoli powtarzać dane doświadczenie, kontroluje skład ciał przez analizę i syntezę i burzy ostatecznie poglądy niedostateczne, niszczy teorye naciągane, dając wzamian nie domniemania, domysły, urojenia, lecz widoczne dla każdego oka, zrozumiałe dla każdego umysłu, fakta istotne, któremi żadna siła wstrząsnąć nie jest zdolna.

Lavoisier wykonywa swe doświadczenia w sposób tak niezmiernie prosty, a jednocześnie tak dokładny, że budzi podziw współczesnych i odbiera im wprost możność opponowania, a myśli swe wyklada językiem tak jasnym i ścisłym, że prace jego i dziś czytamy tak, jak gdyby stanowiły wyjątki z obecnych naszych ksiąg i rozpraw chemicznych. Nic w nich niema do dodania, wszystko zgodne jest najzupełniej z dzisiejszemi poglądami na zjawiska chemiczne. Z początku, w pierwszych rozprawach Lavoisier'a, widać wprawdzie tu i owdzie wpływ nauki ówczesnej, nietylko w nazwach, nadawanych ciałom, lecz i w poglądach na istotę zjawisk, ale zacierają się to w pracach późniejszych. Tam zaś, gdzie wyklada ostateczne swe poglądy i zbija teorye poprzednie, przemawia już językiem nowym, dzisiejszym, naszym, i wlewa weni tyle mocy przekonywującej, że nie wiele potrzeba mu czasu dla pozyskania stronników i adeptów nowych nauk. W badaniach Lavoisier'a widać z niezmierną przejrzystością, jak w pracy naukowej jedna myśl goni drugą, jak konsekwentnie jedna z drugiej wypływa, jak jedno odkrycie pociąga za sobą inne, a przed umysłem uczzonego stają coraz nowe pytania, otwierają się coraz dalsze i obszerniejsze widnokręgi. Sam on powiada w jednej ze swych rozpraw: „Łosem jest wszystkich zajmujących się badaniami fizycznymi i chemicznymi, że, zaledwie uczynili pierwszy krok, już dostrzegają nowy, który zrobić wypada..., droga, która się im ukazuje, zdaje się wydłużać, w miarę, jak kroczą po niej naprzód.“

#### IV.

Powszechnie uważany jest Lavoisier przedewszystkiem jako odkrywca prawa wieczności, niezniszczalności materyi. Lecz nie jest bynajmniej prawdą, ażeby on pierwszy miał wygłosić aksjomat: „nic w przyrodzie nie ginie i nic się nie stwarza.“ Już w starożytności doktryna ta wielce była rozpowszechniona. Epikur i szkoła atomistów, a za nimi Lukrecyusz, mawiali: *nilul posse creari de nihilo*; wiersz zaś *ex nihilo nihil, in nihilum nil posse reverti* ogólnie był znany uczonym i filozofom. I alchemicy nie twierdzili bynajmniej, że potrafią stwarzać



złoto z niczego, lecz tylko sądzili, że umieją zamieniać jedne metale w drugie, że uda im się wynaleźć taką „pierwotną“ materię, która z łatwością podobnych przemian dokonywa.

Również jest błędem często powtarzanym, że Lavoisier pierwszy posługiwał się wagami. Alchemicy grecko-egipscy, autorowie najstarszego znanego pomnika wiedzy chemicznej, papyrusu znalezionej w Lejdzie, ustawicznie używali wag. „Za pomocą metody, przez mierzenie i przez dokładne ważenie czterech elementów — oto słowa Zosimosa z III stulecia naszej ery — dokonywają się przemiany i rozkłady wszech rzeczy.“ Arabowie kilka mieli nazw dla oznaczenia chemii, a z tych jedna była: „nauka wag.“ Na słynnym obrazie „Melancholii“ Alberta Dürera, pomiędzy przyrządami i symbolami wiedzy, obok klepsydry, mierzącej czas, znajdują się wagi, mierzące ciężar ciał <sup>1)</sup>.

Pomimo to wszakże, że przyrząd do ważenia powszechnie był chemikom znany, pomimo iż zasada niezniszczalności materji ogólnie była rozumiana i przyjęta, nie umiano jednakże wyrazić jej w formie ścisłej i często wpadano w błędne określenia i sprzeczne twierdzenia. Już to widziano, że ciało, paląc się, ginie dla oka, już też, że leżąc na powietrzu lub będąc ogrzane, powiększa swój ciężar; lecz nie znając własności gazów, nie umiając ich badać, w pierwszym razie nie wiedziano, na co zamieniło się ciało palne, a w drugim, skąd wziął się przyrost na ciężarze. A jednakże te tak powszechne zjawiska należało objaśnić. I uciekano się przeto do hypotetycznych przypuszczeń, wprowadzano w grę niematerialne elementy, mieszano poglądy o istotnych pierwiastkach chemicznych z wyobrażeniami o wpływie sił fizycznych. Nie umiano ani jednego wykonać doświadczenia, które-by z całą ścisłością dowiodło prawdziwości tak podstawowego prawa przyrody, jakim jest prawo wieczności materji. I dopiero Lavoisier ujął to prawo w definicyę ścisłą i mnożył przykłady, by z przekonującą siłą dowieść jego słuszności.

„Nic — powiada on — nie tworzy się ani w reakcyach sztucznych, ani w procesach przyrody, i uważać można za zasadę, że w każdym zjawisku też sama jest ilość materji przed reakcyą, co i po niej; że i jakość, i ilość pierwiastków jest jednakowa, zaszły zaś tylko przemiany, modyfikacye. Na zasadzie tej opiera się cała sztuka wykonywania doświadczeń w chemii.“ A w innem miejscu: „Materjebrane do doświadczenia i otrzymane z nich produkta mogą uważać za równa-

<sup>1)</sup> Te szczegóły historyczne w zestawieniu z zasługami Lavoisier'a znajdzie czytelnik obszerniej rozwinięte w dziele Berthelot'a p. t. „La révolution chimique. Lavoisier.“ Paryż, 1890.

nie algebraiczne...“ I posługując się właśnie równaniami algebraicznymi, biorąc ten lub ów wyraz za wielkość niewiadomą i rozwiązując równanie, Lavoisier dowolnie sprawdzał ścisłość swego eksperymentu. Równanie pozwoliło mu przewidywać, jakie ilości danego produktu otrzyma w swem doświadczeniu, a rzeczywistość potwierdzała ten rachunek, oparty na zasadzie niezniszczalności materji. Największe, najogólniejsze prawo przyrody, intuicyjnie przewidywane od najdawniejszych czasów, zostało wyrażone w formie matematycznej; aksjomat, twierdzenie, samo przez się zrozumiałe, nabrało istotnego życia i zapuściło głębokie korzenie w całkowity pogląd na świat materialny.

Lecz dla ścisłego sformułowania tego naczelnego prawa natury nieodzownem było jasne zdawanie sobie sprawy z tego, co właściwie pierwiastkiem chemicznym nazywać należy. Lavoisier widział to lepiej, niż współcześni mu przyrodnicy, że w poglądach na pierwiastki panuje zamieszanie, stąd pochodzące, iż nie umiano rozgraniczyć materji dla zmysłów dostępnej od tych hypotetycznych substaucji, do których uciekano się po pomoc, gdy chodziło o objaśnienie niezrozumiałych zjawisk. Odzywały się już i przed nim głosy, domagające się ścisłego sformułowania pojęcia pierwiastku chemicznego; pomimo to jednak, wciąż powracano do owych nieszczęsnych abstrakcyjnych pojęć, które nie pozwoliły wyłonić się pierwiastkowi chemicznemu jako czemuś materialnie indywidualnemu, lecz mieszały go z oderwanemi własnościami czegoś „pierwotnego“, bez ciała i ciężaru. Fałszywe poglądy na istotę ciepła, dość ogólnie rozpowszechnione mniemanie, że w przemianach chemicznych ciepło również przyjmuje ilościowy udział na równi z materją, tak, iż wpływa na jej ilości w produktach chemicznych i stanowi niezbędną część składową równania chemicznego, to wszystko potężną było zaporą na drodze ku uświadomieniu sobie istoty pierwiastku chemicznego.

Swemi badaniami nad paleniem się ciał, nad znaczeniem gazów i udziałem ich w zjawiskach chemicznych zdobył wszakże Lavoisier również światlejszy pogląd na rolę ciepła w reakcjach chemicznych. „Cieplik“ jako materia nie bruździł mu w rozmyślaniach nad elementami i nie psuł mu ścisłości jego równań chemicznych i ich zupełnej harmonii z obserwacją i doświadczeniem. W umyśle też jego wyluszczył się pierwiastek chemiczny z obsłonek, które dotąd nie dawały doń dostępu. „Jeżeli nazwą pierwiastek (element) — powiada Lavoisier — chcemy oznaczyć proste i niepodzielne cząstki składające ciało, to prawdopodobnie pierwiastków nie znamy. Jeśli zaś, przeciwnie, z nazwą pierwiastku zwiążemy pojęcie ostatniego krawca, do którego sięga analiza, w takim razie wszystkie substancje, których żadnym sposobem nie mogliśmy rozłożyć, są dla nas pierwiastkami. Nie możemy ich

uważać za ciała złożone, dopóki doświadczenie lub obserwacya nie dostarczy nam na to dowodu.“

Gdyby te zdania nie były przytoczone wprost z pism Lavoisier'a, można-by przypuścić, że są wyjęte żywcem ze współczesnego podręcznika chemii, zaznajamiającego na wstępie z pojęciem pierwiastku chemicznego. Dla Lavoisier'a chemia była przedewszystkiem nauką zajmującą się rozbiorem, analizą ciał. Jakkolwiek bowiem w pracach jego i synteza poczesne zajmowała miejsce, lecz służyła głównie jako metoda kontrolująca, nie podniósłszy się jeszcze do tej wysokości, jaką zajęła następnie. Analizując wszakże ciała i podpatrując przytem ich własności, wyzwolewszy się z pod wpływu teoryi zaciemniających pogląd na materję, zdołał Lavoisier dojść do takiego sformułowania najważniejszego elementu w chemii — pierwiastku, że odrazu sprowadził zadania nauki z błędnych manowców na gościniec jasno i rozumnie wytknięty. Zniknęły więc obawy błędzenia i ustawicznego zbaczania, ujrzano najbliższe zadania chemii analizującej w odnalezieniu pierwiastków, gdyż na nich należało oprzeć wszystkie wiadomości o materji i z nich snuć dalej pomysły dla zbadania jej istoty.

Upadła ostatecznie wiara w inne pierwiastki niż te, jakie określił Lavoisier. Z czegoś niepochwytnego, nieokreślonego, zmiennego, pierwiastek chemiczny stał się pojęciem dla umysłu przystępnem, stał się materją, którą badać i pojąć można, stał się czemś ucieleśnionem, trwałem. Flogiston przeżył się i został wyparty z nauki. „Chemicy — powiada Lavoisier — uczynili z flogistonu pierwiastek bez treści, niedostatecznie określony, który przeto przystosowuje się do wszystkich objaśnień, do których bywa powoływany. Już to jest on pierwiastkiem obdarzonym ciężarem, już ciężaru nie ma; już jest swobodnym ogniem, to znów jest ogniem skombinowanym z elementem ziemnym; już przenika przez pory naczyń, to znów ścianki są dlań nieprzenikliwe. Objasnia on zarazem kaustyczność ciał i niekaustyczność, przezroczystość i nieprzezroczystość, barwy i brak barw. Jest to prawdziwy Proteusz, który co chwila kształty swe zmienia.“ Lavoisier wyklada teoryę flogistonu we wszystkich jej przeobrażeniach, jakich z biegiem czasu doznała; polemizuje z nią, i rozumowaniem tych, którzy naginali tę teoryę do coraz nowych faktów i nowych zdobyczy wiedzy, przeciwstawia swoje proste rozważania, popierane najwymowniejzemi faktami z olbrzymiego zapasu swych doświadczeń. „Jeśli wszystko w chemii — tak mówi — objaśnia się w zadawalający sposób bez pomocy flogistonu, niezmiernie jest przeto prawdopodobnem, że pierwiastek ten nie istnieje, że jest to czeze przypuszczenie.“

Oto w jaki sposób dokonał się najdonioślejszy może przewrót w nauce. Żywotność, siła nowych idei, tak były wielkie, że w przeciągu

stosunkowo bardzo krótkiego czasu nauki Lavoisier'a zapanowały niepodzielnie, przyjęte z uznaniem i zapalem. Wichur rewolucyjny, który przebiegł przez krainę wiedzy ludzkiej, wyrwał z korzeniami wątłe drzewa przestarzałych, niedostatecznych teorii, i pozostawił tylko mocne dęby prawdziwych faktów, których żadna siła zmiażdżyć nie jest zdolna. A gdy burza minęła i znów można było otaczający świat okiem ogarnąć, poczęto z niezmierną gorliwością budować na nowych filarach mocniej i okazaiej, zarówno nowym posługując się budulcem, jak i nie gardząc tym zdrowym materiałem, który pozostał po dawnych pokoleniach.

## V.

Chemik francuski, Adolf Wurtz, pisząc przed dwudziestu mniej więcej laty swe dziełko o historii poglądów w chemii od czasów Lavoisier'a, rozpoczął je zdaniem: „La chimie est une science française.“ Oczywiście wywołało to oburzenie uczonych niemieckich, którzy przecie poszczycić się mogli swoim Mitscherlichem, Liebigiem, Wöhlerem, Hofmannem.

Przed kilku zaledwie laty chemik niemiecki, Wiktor Meyer, w wykładzie o postępach i zagadnieniach chemii, kresząc wspaniałą rozwój tej nauki w naszym stuleciu, zatrzymywał się znów prawie wyłącznie na zasługach Niemców, czem wywołał obszerną rozprawę chemika francuskiego, Gautier'a, który w sposób napozór bardzo delikatny, lecz niemniej mocno krytyczny, pozwolił sobie przypomnieć prace swych ziomeków: Gay-Lussac'a, Berthollet'a, Dumas'a, Regnault'a, Thénard'a, Berthelot'a i innych.

Wurtz najniewątpliwiej miał słuszność, jeżeli chciał powiedzieć, że we Francyi, dzięki geniuszowi Lavoisier'a, poczęła się nowoczesna chemia, że we Francyi dokonane były pierwsze, zasadnicze prace, które wyznaczyły kierunek chemii prawdziwie naukowej, tej chemii, która, idąc torem przez Lavoisier'a wskazanym, zagarniała coraz większe dziedziny myśli ludzkiej i doprowadziła do największych zdobyczy. Lecz bodziec, dany przez Lavoisier'a, jakkolwiek z początku naturalnym porządkiem rzeczy udzielił się tylko najbliższemu otoczeniu, wkrótce wszakże przeniósł się i dalej i wpływem swym obejmował coraz obszerniejsze koła. Powiadają wprawdzie, że gdy po raz pierwszy nauki Lavoisier'a przedostały się do Berlina, spalono tam i dzieła tego wielkiego reformatora wiedzy, i jego samego in effigie. Może zrazu blask nowych myśli oślepiał tych, którzy nawykli byli do stąpania w mroku. Lecz powoli oczy godziły się z tem światłem; przestano je

zamykać, a kiedy odważono się już bez uprzedzeń i obaw spojrzeć w oblicze nowych prawd, ze zdumieniem i zadowoleniem dostrzeżono, że w ich promieniach widać i lepiej, i więcej. Zabrano się do badań z nowym zapasem sił i posypały się najpiękniejsze odkrycia w niezmiernej obfitości.

Było-by niesprawiedliwością szukać dalszych postępów chemii wyłącznie we Francji, albo wyłącznie w jednym, jakimkolwiek kraju. Uczeni mają ojczyznę, lecz nauka jej nie posiada; staje się ona wspólną własnością tych wszystkich, którzy z zaufaniem do niej się udają, i dary swe i łaski sypie wszędzie, gdzie po nie ręce się wyciągają.

Od czasu kiedy Lavoisier nauczył analizować najprostsze związki chemiczne i wydzielać z nich pierwiastki, ważyć składowe części i oznaczać stosunki ilościowe, w jakich proste ciała łączą się z sobą, prace tego rodzaju mogły być wykonywane z dostateczną ścisłością i doprowadziły też wkrótce do jasnego i związłego określenia związku chemicznego. Liczne rozbiory najrozmaitszych ciał wykazywały stałość składu związków chemicznych. Pierwiastki, składające się na dany związek, zawarte w nim są zawsze w jednym i tym samym ilościowym stosunku. To proste prawo (prawo stałości stosunków), ogłoszone przez Johna Daltona (1808) i obejmujące sobą wszystkie połączenia chemiczne, wkrótce przez tegoż badacza zostało rozszerzone, a raczej dopełnione inną zasadą, niemniej ważną i ogólną. Niektóre pierwiastki, kombinując się z sobą, tworzą nie jeden, lecz niekiedy dwa, a i więcej związków. I w tym wszakże razie istnieje prosty liczbowy stosunek. Na jedną mianowicie i tę samą ilość jednego pierwiastku, ilości innych, przypadające w różnych związkach, pozostają względem siebie w stosunku najprostszycch liczb. Tlen i wodór tworzą dwa związki: zwykłą wodę i t. zw. wodę utlenioną. Otóż w wodzie na jedną część (na wagę) wodoru jest ośm części tlenu, w wodzie zaś utlenionej na jedną część wodoru szesnaście części tlenu. Azot i tlen tworzą pięć rozmaitych związków. W pierwszym z nich na 14 części wagowych azotu przypada 8 części tlenu, w drugim na 14 azotu 16 tlenu, w trzecim na 14 azotu 24 tlenu, w czwartym na 14 azotu 32 tlenu, w piątym na 14 azotu 40 tlenu. To prawo wielokrotności stosunków wraz z prawem stałych stosunków odkryły w niezmiernej prostocie skład związków chemicznych, lecz nie wystarczały jeszcze do objęcia jedną ogólną ideą budowy materji, struktury ciał chemicznych, ich utkania w najdrobniejszych częściach.

Znane wszakże już były niektóre prawa rządzące gazami. Boyle i Mariotte dowiedli, że dla wszystkich gazów ciśnienie i objętość przy danej temperaturze zawsze są odwrotnie proporcjonalne względem siebie. Gdy ciśnienie wzrasta, objętość dokładnie tyleż razy się zmniejsza.

sza i odwrotnie. Gay-Lussac, najgorliwszy badacz gazów, wykrył więcej jeszcze prawidłowości, które w jednakowym stopniu dotyczą wszystkich bez wyjątku ciał gazowych. Kilka jest praw, znanych pod nazwą praw Gay-Lussac'a. Jedno z nich orzeka, że przy podnoszeniu temperatury gazów rozszerzają się one wszystkie bez wyjątku w jednakowej mierze. Każdy gaz — przy niezmienionem ciśnieniu — gdy zostanie ogrzany o jeden stopień Celsjusza, powiększa swą objętość o  $\frac{1}{273}$  pierwotnej objętości. Gay-Lussac mierzył też objętości tych gazów, które tworzą z sobą związki chemiczne, i doszedł do ogólnego wniosku, że wszelkie gazy łączą się z sobą albo w równych objętościach, albo w takich, które pozostają względem siebie w stosunku całkowitych, prostych liczb. Zarówno przytoczone tu prawidłowości, jak i inne własności gazów kazały się spodziewać, że istnieje jedna jakaś ogólna przyczyna tych prostych stosunków, obejmujących wszystkie gazy bez wyjątku. Przyczyny tej domyślił się i wygłosił ją w postaci hipotezy uczony włoski, Amadeusz Avogadro, w r. 1811. Według niego wszystkie gazy w jednakowych warunkach temperatury i ciśnienia zawierają w równych objętościach równe liczby cząsteczek. To prawo Avogadra przez długi czas podawane było w wątpliwość, lecz ostatecznie odniosło zwycięstwo i stało się punktem wyjścia dla następnych badań chemicznych, oraz jedną z podstaw, na których spoczywa zarówno cała nauka o gazach, jak i współczesne poglądy na budowę materji.

Dopiero w świetle tych nowych odkryć mogła rozwinąć się należycie hipoteza atomów, można było powrócić do naukowego i jasnego uzasadnienia poglądów wygłaszanych już przez niektórych filozofów greckich i zdawać sobie sprawę ze zgrupowania najdrobniejszych części składowych w ciałach chemicznych. Ciało, złożone z rozmaitych pierwiastków, zachowuje swe materialne, chemiczne własności w drobnych częściach, podobnie jak i w większych bryłach. Musimy wszakże, śledząc w myśli coraz dalszy podział takiego złożonego ciała, dojść do tej granicy, po-za którą rozpadnie się ono już na części niejednorodne, gdzie otrzymamy ze złożonego związku różnorodne pierwiastki. Ta najdrobniejsza ilość złożonego ciała, która jeszcze zachowała wszelkie własności chemicznego indywiduum, a która, dalej podzielona, dała-by już różne chemiczne pierwiastki, zwie się cząsteczką (molekułą, drobiną). Po-za nią istnieją pierwiastki, które również dzielone być mogą tylko do pewnej granicy, do t. zw. atomów (niedziałek). Cząsteczka wody składa się z dwóch atomów wodoru i jednego atomu tlenu. Materia tlenu i materia wodoru zawierają w sobie niezliczoną moc atomów, które grupują się w cząsteczki, a te znów w większe masy. Hipoteza atomowo-cząsteczkowa, po raz pierwszy przybrana w naukową

szatę przez Daltona, znalazła w jego prawach stałości i wielokrotności stosunków wagowych najdoskonalsze oparcie. Cząsteczka i atom—jakkolwiek dla zmysłów naszych niedostępne—stały się jednostkami chemicznymi o określonych, stałych własnościach, o niezmiennym ciężarze. Nie potrafimy ważyć atomów ni cząsteczek, lecz, badając skład związków chemicznych, porównujemy skupienia tych cząsteczek, a ważąc jednakowe objętości różnych gazów, otrzymujemy stosunki ciężarów równych—według Avogadra—ilości cząsteczek. Dochodzimy w ten sposób do poznania stosunkowych ciężarów cząsteczek, a poznawszy ich ilościowy skład z atomów, otrzymujemy również stosunkowe ciężary atomów.

Pierwiastki chemiczne otrzymały swe nazwy i oddzielne symbole dla ich oznaczenia. Lecz—co więcej—otrzymały swe wyrazy liczbowe. Każdy atom pierwiastku posiada określony ciężar, który potrafimy oznaczać w stosunku do dowolnie za jednostkę przyjętego ciężaru najlżejszego pierwiastku—wodoru. Materyalność pierwiastków i atomów stała się postulatem nieodzownym do rozumienia wszelkich przemian chemicznych. Idee starożytnych atomistów, wielkie myśli Lavoisier'a o naturze pierwiastków, znalazły uwieńczenie w teorii atomowej. Oderwane pojęcia przyoblokły się w ciało, ważką materję wyposażono we własności stałe, niezienne. Analizując olbrzymią mnogość ciał przyrody, poznawano coraz więcej pierwiastków do chwili, gdy liczba ich nie wyniosła około siedmdziesięciu. Lecz jednocześnie, przy pomocy nader pomysłowych metod i najwytrwalszej pracy, określano najistotniejszą cechę pierwiastków—ciężary ich atomów. Począwszy od pamiętnych na tem polu prac szwedzkiego chemika, Berzeliusa, aż po dziś dzień trwają jeszcze te badania, doskonaląc się wciąż i dochodząc do coraz lepszych, idealnej niemal ścisłości, rezultatów. Niedawno zmarły chemik belgijski, Stas, pozostawił najpiękniejsze świadectwa dokładności robót chemicznych w swych mozolnych oznaczeniach ciężarów atomów.

## VI.

W najrozmaitszych kierunkach przebiegają reakcye chemiczne. Już to dwa pierwiastki, dwa związki, znalazłszy się w odpowiednich warunkach, łączą się z sobą, już znów ciało złożone, pod wpływem rozmaitych czynników fizycznych (ciepła, światła, elektryczności), rozpada się na swe składniki. Jedno ciało, działając na inne, może temu ostatniemu odjąć część składających je pierwiastków, przyłączając je do swojej cząsteczki. Innym znów razem ciało, wypierające część czą-

stezki (molekuły) z innego, może samo zająć miejsce, które pozostało wolnem. Dwa związki, działające na się, mogą też wzajemnie wymieniać części składających je pierwiastków.

W olbrzymiej tej różnorodności metamorfoz chemicznych należy odszukać pewne ogólne zasady, według których one zachodzą, należy wykryć prawa, rządzące zjawiskami chemicznymi, poznać dynamikę procesów chemicznych. By wszakże dopiąć tego celu, niezbędnem jest hypotetyczne choćby zdawanie sobie sprawy z tego, w jaki sposób atomy ugrupowane są w cząsteczce, jaką jest budowa, struktura, utkanie molekuly. A znaczy to nie mniej, jak przeniknąć w zagadkę materji, na razie co prawda tylko w jej stanie złożonym z substancji niejednorodnych, z rozmaitych pierwiastków.

Związki stosunkowo najmniej skomplikowane, np. złożone z dwu tylko pierwiastków, jak woda, amoniak i t. p., poznane w swym ilościowym składzie cząsteczkowym, musiały oczywiście być punktem wyjścia dla rozumowań dążących do poznania budowy cząsteczek. Udało się też dojrzeć przedewszystkiem różnicę pomiędzy pierwiastkami, polegającą na tem, że w różnych pierwiastkach przejawia się trwała dążność do wzajemnego łączenia się rozmaitemi ilościami atomów. Atom chloru daje trwały związek z jednym atomem wodoru, atom tlenu z dwoma atomami wodoru, atom azotu z trzema atomami wodoru, atom węgla z czterema atomami wodoru. Te zasadnicze właściwości pierwiastków, występujące na jaw przy ich wzajemnem wiązaniu się z sobą, nie dają się przemódz w najusilniejszych nawet próbach, zmierzających ku ich łączeniu w inny sposób. W stosunku do jednostki chemicznej, z którą porównujemy wszystkie pierwiastki i związki, t. j. w stosunku jednego atomu wodoru, atom chloru jest jednowartościowy, atom tlenu dwuwartościowy, azotu—trzywartościowy, węgla zaś czterowartościowy. Znamy dobrze wartościowość wszystkich pierwiastków, a każdy trwały związek chemiczny potrafimy zrozumieć w takim wzajemnem ugrupowaniu poszczególnych jego pierwiastków, jak to odpowiada wartościowości tych ostatnich.

W każdej przeto budowie cząsteczkowej, w każdym miniaturowym gmachu, złożonym z pierwiastków chemicznych, dostrzedz można, iż niektóre cegielki bliżej, mocniej są z sobą spojone niż z innymi, znajdującymi się opodal. I częstokroć w wielu najrozmaitszych przemianach chemicznych te grupy bliżej z sobą połączonych atomów (t. zw. rodniki) całkowicie przechodzą z jednego związku w drugi, nie rozszczepiają się, nie rozpadają w swem wiązaniu. Łączy je pomiędzy sobą silniejsza nić powinowactwa chemicznego, niż z innymi atomami, w teje cząsteczce znajdującymi się. Gdy zaś pomyślimy, że na ostateczne własności związku wpływ rozstrzygający ma nie tylko rodzaj



wchodzących w skład jego pierwiastków, lecz i ich ugrupowanie, zrozumieemy, że istnieć mogą związki zupełnie identyczne co do jakościowego i ilościowego składu pierwiastków, a jednakże różne swemi własnościami, gdyż zawierające swe atomy w różnym ugrupowaniu. Zwykły rozbiór chemiczny nie wykazuje żadnej różnicy pomiędzy takimi ciałami, gdy tymczasem zachowują się one rozmaicie wobec odczynników chemicznych, różne mają własności fizyczne, niejednakowy często stan skupienia. Przy jednakowym zupełnie ciężarze cząsteczki, przy jednakowych i w jednakowej liczbie występujących atomach — dwa (a i więcej) związki dlatego tylko posiadają rozmaite własności, że w niejednakowy sposób ułożone są w nich atomy, że tkwią w nich różne grupy atomów, różne rodniki. Takie „izomeryczne“ połączenia chemiczne odkrywano w coraz większej liczbie, od czasu, kiedy zajęto się bliżej poznawaniem niezliczonej mocy związków węgla z wodorem, tlenem, azotem, siarką i t. d.

Teoretyczne rozważania najzupełniej godziły się na tem polu z codziennem doświadczeniem. Można było przewidywać istnienie tylu a tylu izomerycznych związków dla pewnej kombinacji atomów i fakta potwierdzały najzupełniej te przewidywania. Dla poglądów o budowie materji, o składzie cząsteczek, był to tryumf niemały, tem znamienniejszy, że w naszych, najnowszych czasach przybyło znakomite rozszerzenie pojęcia izomeryi. Znajdowano bowiem niekiedy więcej ciał izomerycznych, niż ich się spodziewano póty, póki wiązano grupy atomów, przedstawiając ich wzajemne połączenia na płaszczyźnie. Dopiero wówczas, kiedy uwzględniono wszelkie możliwe ugrupowania atomów w przestrzeni, kiedy i atomom, i cząsteczce przypisano trzy wymiary i poczęto spoglądać na nie, jak na istotne ciała bryłowate, zrozumiano istnienie i takich izomerycznych odmian, które nie dawały się przedtem należycie pojąć. Rozwinął się nowy, wielki dział wiedzy, stereochemia, która w krótkim stosunkowo przeciągu czasu odkryła nowe wyjaśnienia dla mnóstwa dotąd niezrozumiałych własności ciał. Badania stereochemiczne z większą jeszcze siłą dowiodły ścisłej zależności nie tylko własności chemicznych, lecz i cech fizycznych związków chemicznych od ich wewnętrznej budowy. Ugrupowanie atomów w cząsteczce objaśnia nam zarówno wszelkie przemiany chemiczne, jakim dane ciało ulega, jako też tak zasadnicze, charakterystyczne jego cechy, jak: trudniejszą lub łatwiejszą topliwość, własności optyczne, gęstość (ciężar właściwy) i t. d. Struktura cząsteczkowa ma wpływ rozstrzygający na cały charakter chemicznego ciała. Toż nawet pomiędzy pierwiastkami oddawna znane są takie, które w kilku rozmaitych występują odmianach, o różnych własnościach fizycznych. Znamy kilka odmian (t. zw. allotropowych) siarki, różniących się

formą krystaliczną i stopniem topliwości, kilka odmian fosforu (krystaliczny i bezkształtny), różniących się i barwą, i stopniem topliwości, i nawet działaniem na organizm (żółty fosfor jest silną trucizną, czerwony zaś nie jest jadowity); a dyament, grafit i węgiel również stanowią allotropowe odmiany jednego i tego samego pierwiastku. Na czem polegają te różnice w allotropowych odmianach pierwiastków, dobrze nie wiemy. Lecz teoria atomowa każe przypuszczać, że i tutaj atomy w różnej liczbie i w rozmaity sposób skupiają się w grupy cząsteczkowe. Gdy wszakże na punkcie allotropii poprzestać musimy na takim hypotetycznem przypuszczeniu, nie mając dotychczas możliwości przekonującego uzasadnienia, natomiast w zakresie zjawiska izomerii teoria atomo-cząsteczkowa najpiękniejsze składa dowody swej żywotności i najzupełniej zadostyc czyni wszelkim wymaganiom naukowym. Cała chemia związków węgla, która rozwinęła się w jeden z najwspanialszych kwiatów wiedzy, jest najwymowniejszem poparciem tego twierdzenia. W tym dziale nauki naszej synteza chemiczna osiągnęła najwyższy szczyt powodzenia, kierując się wyłącznie rozumowaniami, zaczerpniętymi z poglądów na budowę cząsteczek. I dzięki temu właśnie, synteza w chemii przestała być tem, czem była dla Lavoisier'a, straciła charakter próby, kontrolującej jedynie skład ciała, poznany przez analizę, a podniosła się do wyżyn odrębnej, nowej metody badania, stworzyła sobie obszerny zakres nowych zagadnień, nowych celów.

## VII.

Fizyka bada objawy i przemiany energii, chemia — własności i przemiany materii. Pełne wszakże zrozumienie zjawiska chemicznego wymaga niezbędnie uwzględnienia udziału, jaki przyjmują w niem czynniki fizyczne. Im więcej zagłębiamy się w istotę procesów chemicznych, tem snadniej dochodzimy do przeświadczenia, że pojąć je całkowicie można tylko przez współczesne badanie zachodzących tu przejawów sił, przemian energii. Dwa pierwiastki łączą się z sobą dzięki złożonej w nich energii powinowactwa chemicznego; połączwszy się, zużyły na to siłę przyciągania chemicznego, która wszakże zgiąć nie mogła, lecz przeobraziła się na ciepło, na elektryczność, światło i t. p.; chcąc rozłożyć związek chemiczny na jego części składowe, czyli, innymi słowy, chcąc tym częściom składowym powrócić ich pierwotne powinowactwo chemiczne, użyć musimy w tym celu pomocy jakiegokolwiek siły fizycznej: światła, ciepła, elektryczności. Każda reakcja chemiczna zachodzi ze współczesnem zjawiskiem fizycz-

nem. W każdym procesie chemicznym wytwarza się lub zużywa pewna ilość ciepła, elektryczności, światła, lub siły mechanicznej.

Tym zjawiskom fizycznym, biorącym tak ważny udział w metamorfozach chemicznych, poczęto poświęcać więcej uwagi wówczas dopiero, kiedy sama chemia osiągnęła już pewien stopień udoskonalenia, kiedy zaokrąglono zakres jej działań i poznano w pewnej mierze najważniejsze zasady, według których zachodzą zjawiska chemiczne. Gdy zaś jednocześnie postępy fizyki zapowiadały świetniejsze niż kiedykolwiek rezultaty na polu poznania istoty materji, oddziaływanie wzajemne tych dwóch gałęzi ścisłej wiedzy stawało się niezbędne i — jak się następnie okazało — pod wszelkimi względami pomyślne.

Mechaniczna teoria ciepła, zastosowana do stanu gazowego, wyłoniła taki pogląd na materję gazów, który z jednej strony pozwalał objaśnić wszystkie znane ich własności, a z drugiej utorował drogę dalszym badaniom i odkrył nowe cechy gazów, równie interesujące chemika, jak i fizyka. Cynetyczna teoria gazów pozwoliła dokładniejszego nabrać pojęcia o własnościach cząsteczek i atomów i we wszystkich szczegółach godziła się najzupełniej z teorią atomów. W najdalszem jej rozwinięciu nie natrafiono na żadne sprzeczności, które-by zniewalały do porzucenia jakiegokolwiek z zasadniczych postulatów teoryi cząsteczkowo-atomowej. A jednocześnie wnioski cynetycznej teoryi gazów dawały się sprawdzać doświadczalnie i przechodziły z wycięsko tę próbę.

Lecz nie dość tego. Nowe jeszcze przybyły odkrycia, które zniewalały do coraz głębszego przenikania tego stosunku, jaki zachodzi pomiędzy fizycznymi a chemicznymi własnościami materji. Poznanie natury widma słonecznego było w tym względzie bodźcem nader silnym. Badano spektroskopowo światło, wysyłane przez najrozmaitsze ciała w stanie żarzenia, i oto nową a stałą odkryto cechę fizyczną pierwiastków i związków chemicznych. Widmo każdego pierwiastku jest tak trwałą, niezmienną jego własnością, jak ciężar atomu, jak stan skupienia, jak punkt topliwości lub wrzenia, jak ciężar gatunkowy. Niezależnie od doniosłego znaczenia, jakie rozbiór widmowy (analiza spektralna) wywarł na całkowity pogląd o materji i jej rozpowszechnieniu we wszechświecie, stał się on jeszcze nową metodą, pozwalającą charakteryzować ciała chemiczne w minimalnych choćby ilościach. Toż tą drogą odkryto nawet kilka przedtem nieznanych pierwiastków. Rozbiór widmowy okazał się czulszym odczynnikiem chemicznym od wszelkich kwasów, ługów i soli. Nie zwlekano też ze zbadaniem tej własności optycznej dla wszelkich znanych pierwiastków i poznano tym sposobem nowy atrybut materji, który pozwolił w przyszłości dalsze jeszcze snuć rozumowania na temat istoty pierwiastków.

Badając tak ze wszech stron własności pierwiastków i zestawiając je z ciężarami atomów, dostrzegano coraz więcej prawidłowości, istniejących pomiędzy ciężarem atomu a jego właściwościami fizycznymi i chemicznymi. Już wcześniej niejednokrotnie zwracano uwagę na to, że w liczebnych wartościach ciężarów atomowych występują pewne prawidłowości, gdy chodzi o pierwiastki podobne do siebie. Tak np. niektóre podobne pierwiastki mają prawie jednakowe ciężary atomów. W niektórych zów grupach, złożonych z trzech np. pokrewnych pierwiastków, ciężar atomowy jednego z nich jest w przybliżeniu równy średniej arytmetycznej z ciężarów dwu innych. Wogóle w grupach podobnych do siebie pierwiastków spotykano różnice pomiędzy ciężarami ich atomów równoległe do różnic we własnościach fizycznych i chemicznych. Gdy następnie uszeregowano wszystkie znane pierwiastki w kolejnym porządku w miarę podnoszenia się ciężaru atomu, dostrzeżono, że własności ich powracają całymi szeregami, które znów doskonale przystają do siebie. A w wynikających stąd grupach pokrewnych pierwiastków cechy fizyczne i chemiczne ulegają zmianom powolnym, lecz ustawicznym, a równoległym ze zmianami w ciężarach atomów. Prawidłowości te, rozwinięte przeważnie przez L. Meyera i Mendelejewa, ujęto w zasadę, nazwaną peryodycznością pierwiastków. Własności pozostają w ścisłym związku z ciężarem atomowym pierwiastku, są one funkcjami — jak mówią matematycy — i to funkcjami peryodycznymi liczby, wyrażającej ciężar atomu.

Otrzymało więc w ten sposób system naukowy, układ pierwiastków, w którym te zasadnicze jednostki materii zajmowały miejsca nie dowolne, lecz wskazane przez ciężar atomu, a zarazem miejsca naturalne, gdyż jednostki, indywidualne pokrewne pomieszczone były tuż obok siebie, pomiędzy zaś dwoma dowolnymi pierwiastkami przejścia były powolne, stateczne, a zależne od ustawicznego wzrastania lub zmniejszania się ciężaru atomu. Pozyskano naturalną systematykę ciał chemicznych, nie tylko pierwiastków, lecz i związków, bo i związki, we własnościach swych od składających je pierwiastków najzupełniej zależne, okazywały się oczywiście zależnymi od wysokości ciężarów atomowych wchodzących w ich skład pierwiastków. W tej naturalnej systematyce tu i owdzie były luki. Lecz tem większym był tryumf peryodycznego układu pierwiastków, gdy z góry przewidywano, że luki te powinny być zajęte przez pierwiastki o ściśle określonych własnościach, i gdy następnie istotnie odkrywano te dotąd nieznanne pierwiastki i okazywało się, że w samej rzeczy ich własności zgadzały się zupełnie z tem, co przepowiadano. Nic dziwnego, że potężniał urok układu peryodycznego i że ta naturalna systematyka ciał chemicznych stała się nowem źródłem, z którego czerpano pomysły do badań nad

istotą materii. Do dnia dzisiejszego jeszcze trwają rozważania nad tem, do jakiego stopnia „naturalny układ pierwiastków“ może być przyjęty bez zastrzeżeń. A tymczasem — wobec szybkości rozwoju wiedzy — z tego płodnego ziarna świeży już wyrósł posiew, nowe wyłoniły się zadania, jeszcze szersze ukazały się widnokreśli.

### VIII.

Klasyczne badania Lavoisier'a nad wymianą gazów w płucach zapoczątkowały epokę ścisłych badań w chemii biologicznej. Gdy zaś w roku 1828 znakomitemu niemieckiemu chemikowi, Wöhlerowi, powiodła się pierwsza synteza ciała (mocznika), znanego przedtem tylko jako wytwór organizmu zwierzęcego, wnet obudził się entuzjazm tak wielki, jakiego dotąd nie znały dzieje nauk biologicznych. Porzucono myśl o niemożliwości sztucznego naśladowania tych przemian chemicznych, których areną jest ustrój zwierzęcy i roślinny. Starano się przeniknąć w głąb samej pracy najdrobniejszych elementów ciała roślin i zwierząt, boć i ta praca przecie ostatecznie jest niczem innym, tylko przemianą chemiczną, bezustannem przerabianiem związków z zewnątrz przez organizmy przyjmowanych na związki nowe, wydalaniem zużytych części i ciągłym odnawianiem ciała żywych osobników. Cóż dziwnego, że chemik czuł się powołanym do zajrzenia w tajniki procesu życiowego, skoro sam ten proces ujawniał się w postaci zawiłych wprowadzie, lecz na pozór zupełnie przystępnych, zjawisk chemicznych. Chemia stała się tym sposobem nie tylko służebnicą biologii, lecz po prostu zagarnęła dla siebie bardzo rozległą jej część; dostarczywszy nauce o zjawiskach życiowych wypróbowanego oręża, którym udało się jej przedtem tyle zdobyć tajemnic przyrody, wzamian podniesioną została do godności integralnej części fizjologii.

Do jakiegokolwiek funkcji życiowej się zwrócimy, wszędzie widzimy odpowiednie pole dla pracy chemika. W ujawniających się na zewnątrz czynnościach zwierząt i roślin widzimy przeobrażenia sił i przemiany materii. Roślina zużywa siłę światła słonecznego i zapomocą niej wykonywa chemiczną pracę rozszczepiania składników atmosfery i wydobywania z nich materiału na własne ciało. Zwierzę przyjmuje pokarmy i, skutkiem złożonej w nich siły napięcia chemicznego, wytwarza takie postaci energii, jak ruch, ciepło i zjawiska elektryczne. Energia powinowactwa chemicznego w nieustającej pozostaje wymianie z energią sił fizycznych, każdemu objawowi życiowemu towarzyszy pewna przemiana chemiczna. I dlatego zastosowanie metod

chemicznego badania obiecywało tyle korzyści w pracach biologicznych.

Gdy poznano z pewną dokładnością sam materiał, z którego złożone są organizmy, i z niemniejszą ścisłością zbadano skład zarówno tych substancji, które z zewnątrz żywy osobnik przyjmuje, jak i tych, które na zewnątrz wydała, z kolei postawiono sobie oczywiście pytanie, jakie materjalne zmiany zachodzą we wnętrzu organizmów. W nieprzebranej różnorodności zachodzących tu procesów chemicznych dojrzano, że nad wszystkimi innymi górują w ustroju zwierzęcym zjawiska utleniania, w roślinnym zaś zjawiska odtlania. Szukano bliższego umiejscowienia tych zjawisk, owych siedlisk, w których się one dokonywają. Badano soki i tkanki organów za życia i po śmierci. Naśladowano sztucznie przemiany, jakim ulegają pokarmy w przewodzie pokarmowym zwierzęcia. Materiał na soki trawienne znaleziono we krwi, a pracownice chemiczne, wyrabiające owe soki, wykryto w gruczolach. Z całym zapalem oddano się badaniu krwi, tego ożywczego strumienia, który zawiera w sobie wszystkie związki, niezbędne organom do życia, i który zarazem niesie w sobie do organów wydalających, do płuc, skóry i nerek, związki już nieprzydatne, szkodliwe dla organizmu. Poznano dokładnie proces chemiczny, skutkiem którego krew z jednej strony ciągłej ulega odnowie w płucach, z drugiej ustawicznie traci swe ożywcze własności w najdrobniejszych zakątkach organizmu, spalając tu, utleniając części składowe komórek. W tem ciągłym zużywaniu się tkanek poznano przyczynę potrzeby dostarczania pokarmów i poczęto z kolei stosować metody chemiczne do zrozumienia przemian, jakie zachodzą z częściami składowymi samych organów. Niezmordowana, nader pomysłowa praca wielkiego szeregu chemików-fizjologów dała poznać wartość oddzielnych składowych części pokarmów: białka, wodorów węgla, tłuszczu, soli mineralnych i wody; wykazała, jakich ilości tych środków spożywczych potrzeba człowiekowi w celu normalnego zachowania życia, w jakich granicach i w jakich stosunkach ilościowych te związki mogą się wzajem zastępować, jak ilości ich powinny wzrastać lub zmniejszać się zależnie od chwilowych potrzeb organizmu.

Od tych ogólniejszych zadań zwrócono się, do zbadania spraw chemicznych, zachodzących w poszczególnych organach. Dziesiątki kartek zapisać-by trzeba, chcąc choćby ogólnie tylko zdać sprawę z rezultatów, jakie zdobyła dotąd chemia fizjologiczna, a jeszcze więcej, gdyby chcieć wskazać najbliższe jej zadania i dążenia <sup>1)</sup>. Środki che-

<sup>1)</sup> Obszerniej o tym przedmiocie mówiłem w odczycie p. t. „O udziale chemii w badaniu zjawisk życia“, pomieszczonym we „Wszelchwicie“, z roku bieżącego, str. 83 i 103 (N. N. 6 i 7).

micznego badania przeniknęły do wszystkich niemal odłamów wiedzy biologicznej i wyparły z niej przewagę dawniejszych poglądów, potężnie zachwiały wiarę w istnienie specyficznych sił, rzekomo rządzących sprawami życiowymi. Synteza zaś chemiczna, która pierwszym, rzec można, była bodźcem do tak zwycięskiego wtargnięcia chemii w zakres biologii, nie utraciła dotychczas swego znaczenia na tem polu. Innemi co prawda sposobami, niż to czyni żywy organizm, potrafimy sztucznie wytwarzać olbrzymią moc tych ciał chemicznych, które dawniej uważane były za wyłączne produkta życiowe. Najnowszy tryumf w tej mierze, sztuczna synteza wodoru węgla (cukrów), dokonana przez niemieckiego chemika, Fischera, na nowo obudziła ufność w siłę zwycięstw chemicznych w dziedzinie biologii. Najzawilsze ze znanych ciał chemicznych, białko, będące zarazem najistotniejszym podścieliskiem dla wszelkich objawów życiowych, również tak już w szczegółach swych jest poznane, że niezadługo może i badania nad niem uwieńczone zostaną świetnem zakończeniem sztucznego wytworzenia. I niewątpliwie tą drogą krocząc, coraz śmielej i pewniej dochodzić będziemy do poznawania tych utajonych dla oka zjawisk, które kryją się w głębi najdrobniejszych jednostek, obdarzonych życiem, komórek.

Postępy chemii biologicznej najwymowniej przemawiają do nas w naukach lekarskich. Tutaj też mamy sposobność tysiące razy stawać wobec najniezawodniejszych probierzy płodności metod chemicznych, przeszczepionych na grunt biologii. W zakłóceniach spraw życiowych dostrzegamy współcześnie zakłócenia chemizmu życia, który łatwiej i pewniej daje się uchwycić od owych licznych tajemniczych czynników, jakie według medycyny dawnych wieków sprowadzać miały choroby. Stąd też i wskazówki do zwalczania przyczyn chorób stają się dla współczesnego lekarza jaśniejsze, a same leki czerpie on z bogatego skarbcza ciał chemicznych, które bądź znajduje gotowe w przyrodzie, bądź zapożycza z zapasu związków, sztucznie wytworzonych w pracowni chemika. A w pracy wynajdowania środków leczniczych nie rządzi bynajmniej sam tylko ślepy traf, lub surowa empirya, lecz dobrze uzasadnione rozważania teoretyczne, w których nauki chemiczne naczelnie zajmują miejsce. Postępy współczesnej medycyny najmocniejszymi węzłami zespolone są z rozwojem chemii. Gdy zaś rezultaty, otrzymywane w tej mierze, tak blisko obchodzą każdego człowieka, nie dziwnego, że i znaczenie, i powaga chemii rośnie właśnie z tej strony w oczach szerokiego ogółu.

## IX.

Nie na tem wszakże kończy się urok, wywierany przez chemię na wielkie masy. Silniej nawet jeszcze promienieje sława tych wszystkich gałęzi stosowanej chemii, które potężnie wdzierają się we wszystkie niemal przejawy życia społecznego. Przemysł chemiczny wyrósł w stuleciu naszym do rozmiarów tak wspaniałych i tak do gruntu przeistoczył najrozmaitsze warunki życia, że imponuje swemi niesłychanemi postępami tym nawet, którzy najłżejszego nie mają pojęcia o stanowisku chemii w szeregu umiejętności teoretycznych. Na tej drodze bowiem postępy chemii tak są dostępne dla każdego umysłu, tak namacalne, że musi je dostrzedz każdy, kto ma otwarte oczy na to, co się dokoła niego dzieje. Wielka wszakże szkoda, że nie wszyscy wiedzą, gdzie szukać pierwszych przyczyn tego zwycięskiego pochodzenia chemii, gdzie szukać tych wiernych wskazówek i najsilniejszych bodźców, które wyznaczają drogę owemu pochodowi i nie dają mu zbaczać na manowce. Większość ludzi, mówiąc o praktyce i teorii, przeciwstawia te dwa pojęcia i mniema, że w nauce są to dwie zgoła wykluczające się metody postępowania i badania. Niema wszelako ani jednej gałęzi przemysłu chemicznego, którego nie można by przytoczyć na dowód fałszywości takiego poglądu. Najwymowniejszym zaś przykładem będzie może postęp chemii barwników, w której na każdym kroku wykazać można, jak najzuamienniejsze zdobycze w ścisłej pozostają zależności od teoretycznych rozważań. Kto patrzy zdala, niewtajemniczony w szczegóły pracy chemicznej w wielkich fabrykach, nie dostrzega tych badań, które biorą początek w skromnych pracowniach naukowych i dopiero po nieskończonym szeregu prób przybierają ostateczne kształty, zrozumiałe dla profanów. Teoria i praktyka w naukowym znaczeniu nie wykluczają się wzajemnie. W dzisiejszych stadyach rozwoju wiedzy są one dwiema dźwigniami, poruszającemi całkowity postęp myśli ludzkiej i w postępie tym biorą udział jednakowy. Nie można nawet powiedzieć, że dopełniają się wzajemnie, bo ostatecznie teoria w rzeczywistości niczem nie jest innym, jak syntezą doświadczeń praktycznych, uogólnieniem, sumą wszystkich drobnych wiadomości, jest — rzec można — praktyką w najrozleglejszem, najobszerniejszem znaczeniu. Kto ma sposobność przyglądać się ustawicznemu wrzeniu na polu praktyki chemicznej, dostrzega też, że ogień, podsycający to wrzenie, zapala się u płomienia teorii chemicznych. I póki ten płomień nie wygasa, póty nie zbraknie pomysłów coraz śmielszych i tryumfów coraz donioślejszych. W ostatnich lat dziesiątkach chemia teoretyczna wyłobila nowe koryta, któremi płyną świeże strumienie wiedzy, prowadząc nas



do krain, dotąd nieznanych, gdzie czeka nas moc niespodzianek i rozkoszy. Dynamika chemiczna stworzyła w naszych czasach nowe zagadnienia i cele; badania siły powinowactwa chemicznego w jego najrozlicniejszych stosunkach do ciepła, światła i elektryczności, powołały do życia nowe działy wiedzy: termochemię, fotochemię, elektrochemię, które, poruszając się całkowicie na gruncie oderwanych, ściśle naukowych badań, niewątpliwie zrodzą także owoce ku bezpośrednio, materialnemu pożytkowi człowieka. Surowa empirya, doświadczanie, nie oparte na gruncie jasno wyrozumowanych teorii, mogą niekiedy prowadzić do wielkich odkryć; najcenniejsze wszakże skarby odszukać można jedynie przy blasku pochodni prawdziwej, wielkie widnokreśli obejmującej wiedzy.

## X.

Znamy obecnie siedmdziesiąt kilka pierwiastków, t. j. ciał takich, których przy pomocy środków, jakimi rozporządza dzisiejsza nauka, rozłożyć nie można na materye prostsze. Czy wszakże przy dalszych udoskonaleniach środków badania nie mogło-by się okazać, że ten lub ów z naszych pierwiastków nie jest istotnie ciałem tak pierwotnem, niezmiennem, stałem, za jakie my go poczytujemy? Czy wogóle pierwiastki nasze są tak zgoła od siebie odrębnymi ciałami, że nic materialnego ich z sobą nie łączy? Dlaczegoż właśnie siedmdziesiąt kilka takich odrębnych indywiduów materialnych? Co prawda, nie mamy prawa twierdzić, że znane nam są już wszystkie pierwiastki; zapewne więc z czasem przybędzie jeszcze kilka, może kilkanaście. Lecz przez to tylko liczba zmianie ulegnie, natomiast pytania powyższe wciąż jeszcze pozostaną uprawnione, bo żadna liczba nie może nas bezwzględnie zadowolnić.

Już w roku 1815 chemik angielski, Prout, wygłosił nader interesujący pogląd, twierdząc, że wodór, najlżejszy ze znanych pierwiastków, jest właściwie pierwotną materją, z której wszystkie inne pierwiastki są złożone. Jakoż pozorne poparcie tej idei znajdowano w tem, że ciężary atomów rozmaitych pierwiastków dawały się wyrażać za pomocą całkowitych liczb, i zdawać się przeto mogło, że są to wielokrotne tej zasadniczej jednostki chemicznej, za którą wodór był poczytywany. Pierwiastki chemiczne były-by zatem skupieniami, zagęszczeniami wodoru w rozmaitych stopniach. Ścisłejsze wszakże określenia ciężarów atomowych dawały liczbę bynajmniej nie całkowite, lecz z ułamkami, a to oczywiście sprzeciwiało się pogładowi, że owa niepo-

dzielna jednostka wodorowa może w rozmaitych z samą sobą kombinacjach liczebnych tworzyć rozmaite t. zw. pierwiastki.

Jednakże nie wyrugowało to bynajmniej z nauki domysłów i rozważań na temat złożoności pierwiastków. Z zarzutami, stawianemi teorii Prouta, nawet niezbyt trudno było-by sobie poradzić. Potrzeba-by tylko pozostać przy hipotezie o jednej pierwotnej materji, z której powstały wszystkie pierwiastki, nie upierając się jednak przy tem, że tą pramateryą jest wodór. Toż i sam wodór już mógł-by być złożony. Owa najelementarniejsza materya jest czemś jeszcze od wodoru lżejszem, subtelniejszym, może nawet przedstawia stan taki, który wogóle z naszymi gazami porównać się nie da, jest czemś jeszcze lotniejszym od najlżejszego ze znanych nam gazów. Należało-by przedewszystkiem szukać tego pierwiastka pierwiastków. Napróżno wszakże byłoby go szukać wśród tej zwykłej, przystępnej dla nas materji na powierzchni globu ziemskiego. Trzeba więc sięgnąć dalej, po-za granice naszej planety, badać skład chemiczny tej wielkiej mnogości dalekich od nas światów, które, śląc światło w przestworza niebieskie, promieniami swemi opowiadają nam o swem istnieniu i składzie chemicznym.

Analiza widmowa, zastosowana do ciał niebieskich, nie wykazała jednak innych ciał chemicznych, jak te, które znane nam są z zamieszkiwanej przez nas planety. Rozkładając światło, wysyłane przez najdalsze choćby gwiazdy, rozszczepiając promienie świetlne liczących słońce i planet w naszych spektroskopach, widzimy widma, które znane nam są z badania rozżarzonych do świecenia materji na naszej ziemi. Analiza widmowa więcej, niż jakikolwiek inny dowód, popiera silnie pogląd o wspólności pochodzenia wszystkich ciał niebieskich i o jedności materji we wszechświecie. Lecz jednocześnie spektroskop ukazuje nam takie własności materji, które pozwalają dalej snuć domysły o istocie pierwiastków chemicznych.

Nasze elementy chemiczne, rozżarzone do stanu bardzo jasnego świecenia, wysyłają światło złożone, które w zwykłym widmie słonecznym objawia się większą lub mniejszą dla każdego pierwiastka liczbą ciemnych prążków. Te prążki zachowują stałe swe położenie w widmie, tak, że według ich liczby i miejsca występowania doskonale można każdy pierwiastek rozpoznać. Charakter widma tak jest trwały, niezmienny dla każdego z naszych pierwiastków, jak niezmiennymi i charakterystycznymi są: ciężar atomu, stan skupienia, gęstość i tym podobne cechy fizyczne i chemiczne. Lecz oto, przy badaniu widma rozmaitych nader rzadkich metalów, znakomitemu chemikowi angielskiemu, Williamowi Crookesowi, udało się jeden z pierwiastków, mianowicie itr, rozszczepić na dwie części, których widma dopełniają się

wzajemnie i w sumie dają widmo uważanego dotychczas za element itru. W tem, na pozór prostem doświadczeniu, można-by dojrzeć nie więcej nad to, że, materya, którą dotychczas uważano za pierwiastek, okazała się złożoną z dwu pierwiastków. Pomijając wszakże okoliczność, że pomimo najskrzętniejszych poszukiwań, nie udało się czegoś podobnego dokonać z innymi pierwiastkami, a z drugiej strony, uwzględniając wogóle niezmierną złożoność widma przeważnej liczby naszych pierwiastków, przyznać musimy, że fakt, zdobyty przez Crookesa, dopuszcza myśl o złożoności pierwiastków. Nie zapominajmy bowiem, że dawny itr zupełnie odpowiadał wszelkim wymaganiom, jakie stawiamy elementowi chemicznemu. Miał określony ciężar atomu, tworzył związki z innymi pierwiastkami i ze związków tych, jako całość, mógł być znów wydzielany. I oto naraz przez szereg operacji chemicznych udaje się z tego pierwiastka otrzymać dwa ciała, których widma razem dają widmo itru. Widmo tego elementu nie wysyła więc promieni jednakowych ze wszystkich jego atomów; raczej pewne atomy itru dają jedną grupę prążków, inne atomy—inną grupę z całkowitego widma pierwiastka. Atomy te zatem różnią się prawdopodobnie pod względem ciężaru, a bezwątpienia co do swego stanu dynamicznego. Badania chemiczne nad rzadkimi metalami pozwalają przypuszczać, że nie jest to fakt odosobniony. A w takim razie bardzo być może, że gdy znajdą się odpowiednie środki, wówczas powiedzie się i inne pierwiastki w podobny sposób rozłożyć na prostsze, pierwotniejsze materye. Widma pierwiastków w chemii przyszłości nie będą już tak złożone, jak obecnie. Rozkładając coraz dalej nasze pierwiastki, kto wie, czy nie zdołamy od każdego z osobna dojść do owej pramateryi, która od dawien dawna zajmuje myślicieli, a dla której przypuszczalnego istnienia pierwszy dopiero mamy słaby dowód w poszukiwaniach Crookesa.

Warunki fizyczne, w których znajduje się nasza planeta, nie pozwalają na istnienie innych pierwiastków, jak te, które stanowią przedmiot naszego badania. A i na odległych od nas ciałach niebieskich również dawno już mogły minąć epoki, w których materya prostszą mniej zawiłą przedstawiała strukturę, niż obecnie. Lecz nauka nie zadawalnia się wyjaśnieniem obecnego stanu wszechświata i sięga także w najodleglejsze, zarówno minione, jak i przyszłe epoki, starając się odtworzyć obrazy przeszłości i przyszłości. Metoda takiego badania dała najpiękniejsze rezultaty nie tylko w astronomii, lecz i w znacznie mniej ścisłej biologii. Nadszedł czas, kiedy i chemia, zaprzątnięta zagadką materyi, wybiega w swych teoriach daleko poza sfery dzisiejszego świata. Nie mamy powodu przypuszczać, że po wszystkie czasy materya była dokładnie tem samem, czem jest dzisiaj. Teoria ewolucyi,

która tak jasno tłumaczy nam dzieje ciał niebieskich i która najwspanialsze święci tryumfy na polu nauk biologicznych, pozwalając pojąć stateczny, stopniowy rozwój tworów żywych z jednej prostej komórki, ta sama teoria poczyna ogarniać chemię, starając się wyjaśnić genezę i rozwój dzisiejszej materii.

W pierwotnym chaosie wszechświatowym istniał może jeden element („protyl” Crookesa) takiej subtelności, o której dzisiejsze pierwiastki nasze nie dają nam nawet przybliżonego pojęcia. W miarę ciągłego zagęszczania się materii i opadania temperatury, stopniowo powstawały coraz więcej zbite skupienia, coraz podobniejsze do naszych pierwiastków. Nasamprzód tworzyły się ciała o najmniejszych ciężarach atomowych: wodór, azot, tlen, węgiel. W ten sposób powoli zgromadziły się te elementy, które niezbędne były do utworzenia żywej materii. W miarę dalszego zagęszczania się „protylu”, przez najrozmaitsze jego kombinacje z już utworzonymi pierwiastkami, rozwijały się coraz nowe pierwiastki, aż do najcięższego ze znanych nam dotychczas. I obecna faza istnienia naszej planety jest może świadkiem powstawania nowych elementów, których liczba coraz bardziej wzrastać będzie.

Teoria ewolucji okazała się dla biologii płodną w najświetniejsze naukowe rezultaty. Tysiące spostrzeżeń, zbieranych przez wieki całe, tysiące faktów niepowiązanych zespolił geniusz Darwina w teorii rozwoju świata organicznego. Może i chemia wkrótce doczeka się swego Darwina, który na genezę materii nowe rzuci światło. Tymczasem wszakże napróżno gubilibyśmy się w domysłach, czem była owa pramateria, która tak wabi umysł przyrodnika. Czy może wszechświatowy eter, będący podścieliskiem zjawisk fizycznych, ma coś wspólnego z naszym prapierwiastkiem? W jaki sposób, dzięki jakim siłom, zachodził ów ustawiczny rozwój i „doskonalenie się” materii? Jakie okresy czasu były niezbędne do osiągnięcia przez materię stanu obecnego? Te i podobne pytania znajdują się tymczasem na tych wyżynach myśli ludzkiej, na których poruszamy się bardzo chwiejnie.

Doświadczony wędrowiec, wspinając się na szczyt górski, kroczy rozważnie, powolnie, lecz krokiem pewnym, i stopniowo przyzwyczajają płuca do oddychania coraz bardziej rozrzedzonym powietrzem; a znalazłszy się na wierzchołku, z dumą spogląda na przebytą drogę, gdyż poznał wszystkie jej szczegóły, i dowoli oddycha w tej czystej, lekkiej atmosferze, w której trudno dłużej pozostawać temu, kto szybko z nizin tu przybył. Doświadczony badacz i myśliciel również poważnie i ostrożnie kroczy coraz wyżej na szczyty myśli ludzkiej ścieżkami pe-

wnemi, i często rozgląda się dokoła, czy nie zboczył z właściwej drogi. I dopiero, gdy na szczycie, do którego dąży, stanie bezpiecznie, pewny, że z pod stóp ziemia mu się nie usunie, a płucom powietrza nie zbraknie, wówczas podnosi wzrok po-nad siebie i sięga jeszcze wyżej. Bo dla myśli ludzkiej niema granicy, jak niema jej w bezmiernym wszechświecie.

DR MAKSYMILIAN FLAUM.

---

# KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Znana autorka, która pod pseudonimem Lucyana Perey wydała zajmujące dzieło o Helenie z Massalskich księżnej de Ligne, później szej hrabinie Potockiej, zwróciła dziś powszechną uwagę nową pracą historyczną pod tytułem: „Romans wielkiego króla, Ludwika XIV, i Maryi Mancini.” Do nowego dzieła dostarczył autorce materiału zbiór listów w liczbie trzechset, zachowany w archiwach rodziny d’Havrincourt, pochodzącej od Filipa Manciniego, brata Maryi, a siostrzana Mazariniego. Oprócz tych dokumentów, pracowita erudytk odkryła zapomniany dzienniczek samej Maryi, ogłoszony niegdyś w Hiszpanii p. t. „Prawda wyjaśniona”, czyli prawdziwy pamiętnik Maryi Mancini, małżonki konstabla de Colonne.

Rzecz rozpoczyna się podczas wojny domowej, zwanej *Fronde*, za małoletności Ludwika XIV, przeciw Annie Austryaczce, królowej regentce, a głównie przeciw kardynałowi Mazariniemu, następcy Richelieugo w zarządzie państwa. Autorka opisuje te pięcioletnie zatargi, podniecane przez książąt Kondeuszów i księżniczki z tego świetnego domu. Pomijamy te czasy burzliwe, a chwytamy wątek od chwili, kiedy kardynał, podwakroć wygnany, wraca tryumfalnie do władzy po zawartym pokoju.

Marya Mancini opisuje w pamiętniczku przybycie swoje do Francji, gdzie dwie starsze jej siostry były już zaślubione. „Urodziłam się

w Rzymie, mówi, w domu świetnym, który nawet bez protekcji kardynała Mazariniego zająć mógł wysokie stanowisko w pierwszej stolicy świata. Miałam lat siedm, kiedy matka, zrażona moją niepozorną powierzchownością, umieściła mnie w klasztorze Benedyktynek, pod opieką ciotki przełożonej, z myślą, że ta skłoni mnie do życia zakonnego. Po dwóch latach jednak odebrała mnie, ze względu na zachwiane zdrowie."

"Dwa lata znów upłynęło: kardynał stanął tymczasem na szczycie władzy. Wówczas-to wezwał do siebie matkę moją ze starszą córką; mnie właśnie przypadło to prawo, ale matka pragnęła zabrać młodszą ode mnie i piękniejszą, Hortensyę. Nastąpiły nowe zabiegi, by mnie pozostawić w klasztorze. Oparłam się stanowczo. Matka, rada nie rada, zabrała nas obie do Paryża."

W tym czasie król skończył rok piętnasty. Wspaniała koronacja odbyła się w Reims, w r. 1654. Pani Mancini zamieszkała w Luwrze. O ile kochała dwie zameżne już córki i małą Hortensyę, o tyle cierpieć nie mogła Maryi. Kardynał podzielał uprzedzenie siostry. Dziewczynka, chuda, śniada, nie mogła zdaniem ich znaleźć powodzenia na dworze.

"Trudy podróży, pisze Marya, doprowadziły mnie do oplakanego stanu. Kardynał oddał mnie do klasztoru Wizytek, abym tam nabrała trochę ciała. Co gorsza, byłam w oczach jego nazbyt nieokrzesaną. Nie mówiłam po francusku, co, zdaniem kardynała, oddalało mnie od wytwornego dworu. Siostrze mojej, Hortensyi, więcej przebaczano dla jej niepospolitej urody. Umieszczono mnie więc w klasztorze r. 1654; wkrótce potem przysłano tam Hortensyę. Byłyśmy pod szczególną opieką przełożonej, Elżbiety Lamoignon, siostry prezesa parlamentu; uczyłyśmy się języka, nabierały oglady dworskiej."

Marya, niezwykłą obdarzona zdolnością, połykała chciwie naukę. Najtrudniejsze przedmioty wcale jej nie odstręczały. Wkrótce powtarzała z pamięci długie ustępy z tragedyi i ulubionych poematów. Spostrzegła od razu, że jeśli ma zająć ważne miejsce na dworze, musi brak urody zastąpić nauką i blaskiem umysłowym. W przełożonej znalazła dzielną pomoc.

Po dwóch latach pobytu w klasztorze, Marya powróciła do matki: tu nowe czekały ją próby i upokorzenia. Zamówiona w książkach, znalazła obfity pokarm w bibliotece kardynała: umysł jej rozwijał się z dniem każdym.

"Tak rzeczy stały, pisze Marya w dzienniczku, kiedy matka moja zachorowała. Król odwiedzał ją co wieczór. Wstęp do jej pokoju przy gościach był mi surowo wzbroniony, ale król, któremu podobała się

żywa rozmowa ze mną, zatrzymywał się przy każdym spotkaniu. Krótkie te chwile były mi pociechą w życiu osamotnionem."

Matka umarła. Na chwilę przed śmiercią, polecając rodzinę kardynałowi, błagała go, aby Maryę nakłonił do klasztoru. Wola matki rozbili się o stanowczy jej opór.

Słonność króla do Maryi coraz wyraźniejszy przybierała charakter; w niej też dziwną dostrzeżono przemianę. Czarne jej oko tryśkało żarem, wyraz pełnych życia rysów nagradzał niedoskonałość form klasycznych; zachwycała wszystkich niezrównanym urokiem. Kardynał pobłażliwie patrzył na wzajemną miłość króla i siostrzenicy, widział w tem igraszkę dziecięcą. Królowa Anna ze swej strony chętnie przygarniała Maryę; był to jedyny sposób przyciągnięcia do siebie syna. Wkrótce jednak otworzyły im się oczy, zadrżeli oboje na myśl, że młody król zechce zaślubić Maryę, jak to jej wielokrotnie przysięgał. Blask podobnego związku nie olśnił kardynała. Odkąd podjął na siebie sprawy państwa, jedynym celem jego było zagasić pożar wojny, buchający od Pirenejów na całą Europę. Jeszcze Ludwik był dzieckiem, kiedy postanowił złączyć go z małą infantką, a tem samem zapewnić stały pokój Francji. Królowa Anna, siostra króla hiszpańskiego, działała zgodnie z Mazarinim. Marya stanęła im w poprzek drogi.

Ta idylla zamieniła się w dramat. Marya Mancini, to nie wiotka trzcina, chwiejąca się za lada powiewem. Uczucia jej gwałtowne, umysł porywczy, wyobraźnia fantastyczna; lecz duszę miała wzniosłą, serce pełne szlachetnego zapалу, obok niezłomnej woli. Mimo tysiącznych ponęt, jakie ją otaczały, mimo gorszących przykładów, poczucie godności osobistej ustrzegło ją od skazy, według świadectwa samychże nieprzyjaciół.

Z taką jak Marya osobistością wypadało działać energicznie. Kardynał wyprawił ją z siostrami do Rochelli, pod strażą oddanej mu intrygantki, pani de Vencl. Marya cierpliwie znosiła to wygnanie; listy króla budziły w niej otuchę; ta jednak słabła, w miarę jak dochodziły wieści o rozpoczętych układach Mazariniego z Hiszpanią. Z Rochelli na rozkaz kardynała przeniesiono siostry do Brouse, pomurej fortecy nadmorskiej.

Autorka ubolewa nad losem biednej Maryi. W ciągu pół roku, mówi, okropna to przemiana. Przez lat trzy błyszczała jak gwiazda na świetnym dworze, panowała wyłącznie nad sercem królewskim, dwór cały uchyłał przed nią głowę. Król sam zapewniał ją, że podzieli z nim tron Francji, aż tu nagle znalazła się w warownem mieście nad brzegiem oceanu, w towarzystwie wstrętnej kobiety, szpiegnącej ją na każdym kroku, dręczona myślą o zmianie uczuć króla, o rychłym



jego małżeństwie z infantką. W tak rozpaczliwym położeniu, zapra-  
gnęła murem klasztornym ogrodzić się od świata. Nie przyszło jednak-  
że do tego. Podczas gdy królewski dwór przebywał w Prowancyi,  
kiedy kardynał prowadził układy z Hiszpanią, pozwolono pannom Man-  
cini powrócić do Paryża. Zamieszkały, jak dawniej, w Luwrze; tu ka-  
żdy przedmiot przypominał Maryi minione chwile. Niepodobna jej było  
żyć w zupełnem oderwaniu od ludzi, a przy każdym spotkaniu czuła się  
przedmiotem szyderstwa, lub, co gorsza, litości.

Paryż tymczasem obchodził radośnie wiadomość o zawartym tra-  
ktacie pirenejskim. Marya, z rozkazu kardynała, była obecną w kate-  
drze, podczas dziękczynnego „Te Deum.” Wieczorem zmuszono ją pa-  
trzeć na fajerwerk. Te ciągłe tortury znosiła z niepospolitym hartem  
ducha.

Król, mimo całej miłości dla Maryi, uległ nakoniec potężnej woli  
Mazariniego, zgodził się na związek z infantką. Po ratyfikacji pokoju,  
nastąpiło spotkanie młodej pary w Saint Jean de Luz, na granicy hi-  
szpańskiej. Opis tych godów odkryła autorka w liście księdza  
de Montrenil, naocznego ich świadka. Przytaczamy za nim tę relację,  
jako ciekawy obraz ówczesnych obyczajów.

„Na kilka dni przed obrzędem, pisze Montrenil, przypadała uro-  
czystość Bożego ciała. Król Filip IV przybył z infantką do miasta  
swego St Jean de Luz. Przed procesyą wysłuchał mszy św. w kate-  
drze: celebrował biskup Pampeluny. Infantka nie ukazała się wcale  
w kościele, widzieliśmy ją tylko na balkonie królewskiego pałacu.

„Wspaniała procesyę otwierało stu krzepkich rycerzy, ubranych  
biało, u kolan ich brzęczały dzwonki; każdy w prawej ręce trzymał  
szpadę, której koniec spoczywał w dłoni sąsiada. Za nimi sunęło w po-  
skokach pięćdziesiąt małych chłopiąt, uderzając do taktu w biskaj-  
skie tamburyna. Dalej wystąpiło siedm olbrzymich figur: trzech królo-  
wie maurytańscy, a za każdym z nich żona. Nad wszystkimi górował  
święty Krzysztof. Manekiny te, uplecione z trzciny, powleczone ma-  
lowaniem płótnem, sięgały głową najwyższych domów: wewnątrz nich  
mieściło się po trzech ludzi i poruszało je do taktu. Następnie ciągnęło  
dziesięć wozów, pełnych marynetek, i różne dziwolągi. Z tych uderzył  
mnie szczególniej smok, ogromny jak wieloryb: na grzbiecie jego ludzie  
wyprawiali dziwaczno skoki; nakoniec pojawił się celebrujący biskup  
z przenajświętszym Sakramentem. Czterej dostojnicy koronni trzynali  
baldachim, król postępował za nimi z majestatyczną powagą i nieru-  
chomemi oczyma. Wzrost króla okazały, ale rysy wychudłe i głowa  
całkiem łysa.

„W kilka dni potem, 3 czerwca, odbył się przez prokuracyę ślub  
w San Sebastian; dawał go biskup Pampeluny. Don Luiz de Horo, za-

stępujący króla Francyi, wyciągnął rękę do infantki: ona wysunęła też swoją, ale cofnęła ją i złożyła w dłoń ojcowską. W tymże dniu królowa Anna, matka Ludwika XIV, wyprawiła wielki bal w Saint Jean de Luz, po stronie miasta francuskiej. Infantka nie była na nim obecna. Małżonkowie, złączeni przez prokurecę, wcale się jeszcze nie widzieli.

Nastąpiło wreszcie urzędowe spotkanie dwóch królów, francuskiego i hiszpańskiego. Weszli razem do sali, otoczeni świątynym dworem. Obaj ukłękli u stołu, jeden naprzeciw drugiego: każdy z nich położył dłoń na księdze Ewangelii, przysięgli sobie trwałą pokój, poczem uścisnęli się, nie puściwszy z rąk krzyża. Na znak kardynała, dany z okna pałacu, uderzono potrzykroć z dział; niebawem po-za rzeką artylerya hiszpańska takąż odpowiedziała salwą.

Nazajutrz król hiszpański, pysznym otoczony orszakiem, przywiódł córkę do St Jean de Luz, francuskiej dzielnicy miasta. Małżonkowie po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy: po dwóch godzinach rozmowy, królowa Anna zabrała infantkę do siebie.

W owych czasach królowie nie mieli, jak dziś, zwyczaju wydalać się po-za granice swych posiadłości. Co więcej, długoletnia wojna dwóch państw, rozdzielonych granitowym wałem Pirenejów, nie pozwalała na utrzymywanie związków bratnich między królem hiszpańskim, a rodzoną siostrą jego, królową francuską, Anną. Po czterdziesto-pięcioletniem niewidzeniu spotkali się nakoniec. Król pochylił głowę do siostry, lecz nie złożył pocałunku na jej czole; surowa etykieta hiszpańska nie pozwalała na ten objaw miłości bratniej; świadczyły tylko o niej łzy, tryskające obficie z pod ich powiek.

Osobisty ślub młodej pary odbył się 9 czerwca w Fontarabii, w bliskości St Jean de Luz. Drogą wyslaną kobiercami postępował pieszo królewski orszak. Otwierał pochód książę Conti, wsparty na ramionach dwóch panów dworskich. Za nim kardynał Mazarini poprzedzał króla, strojnego w złotogłów i czarne koronki. Młoda infantka szła za małżonkiem, prowadził ją brat królewski. Miała na sobie szatę fiołkową aksamitną i takiż płaszcz, obłożony gronostajami, z powłokiem długim na dziesięć łokci. Ten powłók niosły trzy księżniczki orleańskie w żałobnych welonach, po świeżym skonie ojca. Za nimi szła królowa matka, także powłóczystym przysłoniona welonem.

Prawdziwym tryumfotorem był tu, złamany wiekiem i chorobą, kardynał Mazarini. Ułożony przez niego związek przywracał stały pokój tak Francyi, jak i chrześcijańskiemu światu. Od lat czterestu biegły minister prowadził wytrwale dzieło swoje, z okiem zwróconem w przyszłość. Torował on drogę Burbonom do tronu hiszpańskiego, w miejsce gasnącego domu Habsburgów.

Podczas uroczystych godów królewskich w Pirenejach, Marya, zawiedziona w uczuciach, upokorzona w miłości własnej, znosiła w Paryżu najsrozsze udręczenia. Zbyt dumna, aby wystawić się na litość, połykała w milczeniu gorzkie łzy; otoczona gronem zalotników, przyjmowała sypane jej hołdy. Wśród książąt, przebywających w Paryżu, odznaczał się rycerską postawą i niezrównanym blaskiem, Karol, księżę Lotaryngii, dzielny szermierz, który w lat dwadzieścia potem miał w odsieczy Wiednia wziąć udział w tryumfach Jana III. Marya Mancini gotowa była oddać mu rękę, ale stryj młodziana, panujący księżę lotaryński, oparł się stanowczo tym związkom. Nie pragnął ich również kardynał Mazarini; celem jego było oddalić Maryę od francuskiego dworu. Upatrzył wśród wielu innych księcia rzymskiego, Colonne; przyrzekł mu rękę siostrzenicy.

Podczas tych intryg, nowa, najcieńsza próba czekała opuszczoną. Królowa Marya Teresa w parę miesięcy po ślubie przybyła do Paryża. Marya Mancini, w orszaku królowej matki, zmuszoną była patrzeć na wjazd jej tryumfalny. Dziwnym zbiegiem wypadków, znalazła się w jednym z okien pałacu Beauvais, obok pani Scarron, przyszłej pani de Maintenon, która w wiele lat później została małżonką Ludwika XIV.

Wspaniały to był pochód: otwierał go król na dzielnym biegunie arabskim, cały błyszczący od pereł i dyamentów; wstęgi srebrne i szkarłatne sływały mu z ramion, pęk piór powiewał na kasku. Za królem ciągnęło rycerstwo, dostojnicy dworscy i paziowie. Dalej toczył się wóz tryumfalny, zaprzężony w sześć duńskich biegunów śnieżnej białości w złocistych rzędach. Na nim, pod baldachimem ze złoto-głównia, siedziała Marya Teresa, sztywna, nieruchoma jak posąg, wykuty z marmuru; skrzydlate amory, gołębie, wieńce allegoryczne, słowem wszelkie godła miłości i pokoju, otaczały królowę, strojną w bezcenne klejnoty. Tłumy witaly ją grzmiącym oklaskiem, widząc w niej rękomię pokoju.

Kto wypowie, co w tym dniu wycierpiała Marya. Gdybyż przynajmniej wolno jej było zapłakać, ale obecność królowej matki i kardynała nakazywała jej udawać spokój, kiedy rozpacz szarpała jej serce. Wytrwała przecież zwycięsko, z głową do góry podniesioną, zniosła pociski tysiąca oczu szyderczo w niej utkwionych; ale skoro przekroczyła próg swej komnaty, upadła na ziemię bez zmysłów. Po nocy spędzonej w łzach, pragnęła ujrzeć kardynała, oznajmiła mu zamiar poślubienia księcia Colonney.

Kardynał, uszczęśliwiony z pomyslnego skutku długoletnich zabiegów, wyprawil na cześć królewskiej pary przepyszną ucztę, o jakiej świat nie slyszal. Śpiewacy i muzycy, sprowadzeni z Rzymu, wykonali w jego pałacu operę, pod dyrekcją Lullego. Aktorowie z Madrytu

wystąpili z komedią w języku hiszpańskim. Marya, na domiar udręczenia, zmuszoną była czynić honory domu, sama u stołu posługiwać parze królewskiej. Ludwik XIV od powrotu do Paryża okazywał jej chłód, a nawet pogardę; myśl, że gotową była zaślubić młodego księcia Lotaryngii, doprowadzała go do szału.

Dodajmy tu nawiasem, że ów rycerski książę Karol, o ile na polach zapasów łatwo zdobywał wieńce z wawrzynu, o tyle w uczuciach gorzkie raz po raz napotykał zawody. W lat kilka potem, przebywając na dworze rakuskim, nkochał siostrę cesarską, Eleonorę, i pozyskał wzajemną jej miłość. Arcyksiężniczka tymczasem, ze względów politycznych, zmuszoną była do związku z Michałem Korybutem Wiśniowieckim, gdy ten otrzymał koronę polską. W lat kilka dopiero, po skonie Michała, oddała rękę wiernemu jej księciu Lotaryngii.

Ale powróćmy do Maryi. Kardynał, czując siły gasnące, w przewidywaniu rychłej śmierci, postanowił, bądź co bądź, połączyć siostrzenicę z księciem Colonną, aby oddalić ją z Paryża i postawić niezłomną zaporę pomiędzy nią a królem. Parę miesięcy ubiegło na układach: choroba kardynała tymczasem coraz groźniejszy przybierała charakter. Na kilka dni przed skonem, podpisał kontrakt ślubny Maryi z nieobecnym małżonkiem, poczem udał się do zamku Vincennes, gdzie dwór za nim pośpieszył. Królowa Anna bez ustanku odwiedzała chorego, lecz sam jej widok dziwnie był mu wstrętnym. Słyszając, że się zbliża, marszczył brwi, szeptał stłumionym głosem:

— Aa! ta kobieta dobija mnie!... nigdyż mi nie da spocząć!

Skon jego prawdziwie był chrześcijański. Z rana 6 marca posłał kartkę do proboszcza swej parafii w Paryżu, prosząc by przybył śpiesznie.

— „Nie rad jestem z siebie — rzekł do kapłana — pragnąłbym czuć głębszą skruchę za moje winy. Jestem wielkim przestępcą, w miłosierdziu Bożem cała moja nadzieja.”

Z wielką pobożnością przyjął ostatnie namaszczenie. Nazajutrz potem prosił, by odprawiono mszę w jego pokoju, dodając, że nigdy w życiu nie wysłuchał żadnej, zgodnie z intencją kościoła. Kapłan zapytał go, czy nie zechce dać publicznie zadosyćuczynienie za wszystkie zgorzenia i skandale, jakich się za życia dopuścił? „Chętnie” — odrzekł kardynał, a wzięwszy w rękę zapaloną gromnicę, z odkrytą głową uczynił akt skruchy, błagał Boga o odpuszczenie grzechów, przeproszał obecnych za wyrządzone im krzywdy. Patrzył on śmierci oko w oko. „Miejmy odwagę, powtarzał, trzeba cierpieć.” Po północy, gdy kapłan podał mu krucyfiks, ucałował go i skonał.

Marya na chwilę przedtem, z siostrą Hortensyą i bratem Filipem, przeszła do bocznego pokoju. Niebawem kamerdyner kardynała oznaj-

mił im, że wszystko skończone. Wrażenie z odebranej wiadomości tak zapisała Hortensya w pamiętniku:

„Brat mój i siostra spojrzeli na siebie i wyszeptali razem: „Chwała Bogu, zdechł przecie! (il est crevé).” Prawdę mówiąc, i mnie to nie obeszło. Rzecz dziwna, mówi dalej, człowiek, który takie położył zasługi, który tak podniósł i wzbogacił rodzinę, otrzymał tylko po śmierci dowody najwyższego wstrętu. Ależ on okrutnie się z nami obchodził. Wobec ludzi pełen słodyczy, w domu prawdziwym był tyranem.”

Sama tylko królowa Anna szczerze opłakiwała kardynała. Autorka przytacza na świadectwo listy i zapiski współczesnych, że królowa matka, wdowa po Ludwiku XIII-ym, zaślubiła potajemnie Mazariniego. Mimo tytułu kardynała, nie przyjął on nigdy święceń kapłańskich, wzbraniających małżeństwa. Wierna sługa i powiernica królowej, pani de Beauvais, sama jedna wiedziała o tych związkach, co było powodem wielkiego jej wpływu na dworze.

Po śmierci kardynała, król, uwolniony z ciężającej mu opieki, usiłował zbliżyć się znów do Maryi, ale ze strony jej stanowczy napotkał opór. W chwili ostatniego rozstania, przyrzekli sobie oboje dozągonną przyjaźń. Zaślubiona przez prokurację z księciem Colonną, Marya, z licznym dworem, pod silną strażą, pośpieszyła do Medyolanu, gdzie nieznanym małżonkiem przybył na jej spotkanie. Pod wpływem tylu gwałtownych wstrząśnień, siły ją opuściły. W dalszej podróży niebezpieczna choroba zatrzymała ją w Lorecie; nie prędko też przybyła z małżonkiem do Rzymu.

„Tak się skończył romans Wielkiego Króla, dodaje w końcu autorka. Wkrótce pamięć Maryi zatarły nowe ideały: La Valière, Montespan i tyle innych. Dla opuszczonej jedyną pociechą było przekonanie, że żadna kobieta nie obudziła w Ludwiku XIV tak czystych i tak rycerskich uczuć. Co do Maryi, miłość jej skończyła się dopiero z życiem: może kiedyś wrócimy jeszcze do niej.”

---

Pod firmą Didot'a wyszła jedna z najznakomitszych publikacji, jakimi współczesna literatura pochlubić się może. Mówimy o pracy p. Jusserand'a p. t. „Historya literacka ludu angielskiego, od pierwszych początków do czasów odrodzenia.” Imię p. Jusserand'a znane już dobrze w świecie naukowym. Przed laty dziesięciu wydał on ważne dzieło: „Anglicy w średnich wiekach. Życie koczownicze na drogach angielskich w XIV wieku.” Zdawaliśmy w swoim czasie sprawę z tej wielce zajmującej książki, uwieńczonej słusznie na konkursie akademickim.

Następnie opracował autor pełne erudycyi badania o teatrze angielskim, od podboju Normandów francuskich, do ostatnich poprzedni-

ków Szekspira (1060—1582). Wielki tom obecnie wydany jest rozszerzeniem dwóch poprzednich prac, a początkiem trzypięciotomowej publikacji, która obejmuje studia nad Szekspirem i cały bieg nowożytnej literatury aż do obecnych czasów.

P. Jusserand, dzięki erudycji połączonej z żywotną werwą, wyrobił sobie zaszczytne stanowisko w naukowym świecie angielskim. Rada uniwersytecka zapisała imię jego w liczbie autorów, zaleconych uczniom, sposobiącym się do baccalaureatu.

Ta literatura ludu angielskiego, to charakterystyczny obraz myśli angielskiej, zachowany w pomnikach piśmiennych i zabytkach różnego rodzaju. Autor zaznacza tu odrębne żywioły, szezepione w pamięć wieków jedne na drugich, z których wyrosła oryginalna całość. Wbrew krytykom, utrzymującym dziś, że jakoby szczep anglo-saksoński pochłonął w siebie imre, Jusserand podnosi znaczenie celtycko-bretonskiego, któremu Anglia zawdzięcza pierwszy posiew cywilizacyjny. „Wiadomo nam, mówi on, że w V wieku, po wielkiej bitwie w Kent, najezdźnicy saksonicy sprawili okropną rzeź pomiędzy tubylcami, że miasto ich, Chester, zrównali z ziemią i wycięli do nogi mieszkańców; wiadomo nam także, iż zbrojne zastępy Bretonów, przekładając wygnanie nad niewolę, schroniły się w niedostępne góry Gallijskie; wiadomo nakoniec, że język celtycki zaniechany został w południowej, środkowej i wschodniej stronie wyspy, gdy zapanowali tam Saksonowie. Z drugiej strony jednak pokazują nam fakta, że pokonany lud przetrwał obok zwycięzców. Bretonowie i Saksoni śpią obok siebie na cmentarzyskach tej epoki; łatwo stąd przypuścić, że musieli żyć obok siebie. Sakson. osiadły w Anglii, zachował umysł dziki, krył się w warownych zamczyskach, uciekał od miast jak od grobów, gardził uprawą ziemi. Któż więc orał ją i posiewał? kto w spustoszonych miastach uprawiał pierwotny przemysł? Bezwątpienia Celt, żyjący w pogardzie i poniżeniu.

Chryścjanizm, opowiadań przez celtyckich apostołów, przybyłych z Irlandyi, św. Patryka, Kolumbana i Kuthberta, złagodził obyczaje Saksonów i przyczynił się do pojednania dwóch wrogich ludów. Idąc za wywodami autora, widzimy tu jakoby małżeństwo, osiadłe we wspólnym domu. Sakson występuje tu jako wszechwładny pan i mąż, Celt jako cierpliwa małżonka. Klóćą się, nienawidzą w tym domu, ale obok rodziców wyrasta grono dzieci: z tych jedne idą za ojcem, drugie za matką; niektóre okazują dwoisty, częstokroć sprzeczny charakter. Z tych dzieci dojrzewają ludzie smutni i weseli zarazem, symboliści i przesiąkli nawskróś realizmem, poeci i handlarze, zamilowani w domowym ognisku, a mimo to gotowi uganiać się za przygodami po świecie. Ten dualizm zajmował uwagę myślicieli. Nakoniec oba żywioły

stopiły się harmonijnie w najsłynniejszym z tych dzieci—genialnym Szekspirze. Dla tego to on przedstawia całą duszę angielską. Celt wlał w tę duszę niezrównany wdzięk, woń kwiatów, formę artystyczną i literacką; Sakson dał jej potężny hart, swoją cechę rodową, krzepki instynkt moralny, niezłomną siłę woli.

Z kolei przechodzi Jusserand do najazdu Normandów francuskich; żywo przedstawia tę epokę dziejową. Pokazuje dalej pierwszy rozkwit latynizmu w Anglii, przy końcu średnich wieków.

Do prawdziwych arcydzieł krytyki musimy zaliczyć studjum nad Chaucerem, któremu Anglia zawdzięcza utworzenie literatury i ustalenie języka.

Życie Chaucera, mówi autor, jest niejako streszczonem życiem narodu angielskiego. Naród wzbogaca się przez handel. Chaucer, z rodziny zamożnych handlarzy, rośnie pomiędzy nimi. Król Edward III rozpoczyna wojnę przeciw Francyi; Chaucer chwytą za oręż, idzie z królem, ujęty w polu bitwy, przebywa we Francyi jako jeniec. Wypukniony przez króla, zostaje poufnym jego sługą. Edward, widząc zamiłowanie jego w sztukach pięknych, mianuje go konserwatorem swych pałaców i zbiorów artystycznych. Życie w Anglii nagle się przeistacza, smutna pamięć najazdów Hastingsa zaciera się pomalutką. Dobrobyt wzrasta, z nim wesołość ogarnia Anglików. Chaucer chwytą ową radosną nutę, staje się żywotnym wyrazem społeczeństwa epoki swojej.

Nadchodzi czas wędrówek. Od r. 1370, Chaucer spędził dziesięć lat na stałym lądzie. Wyprawiany w misjach dyplomatycznych, jako pełnomocnik Edwarda, a następnie Ryszarda II-go, spędził naprzód dwa lata we Francyi, udał się potem do Włoch, gdzie żył jeszcze Petrarka i Boccacyusz, gdzie pamięć Danta żywo przemawiała z pogrobu. Rzecz dziwna, najoryginalniejszy z poetów angielskich pochłania pełną piersią oba wzory. Od Francuzów przyswaja sobie „Romans Boży”, od Włochów komedię Boską Dantego i powieści Boccacyusza. Przerabia to wszystko na swój sposób, ożywia tchnieniem własnego gieniuszu; z tych i obcych wzorów tworzy prawdziwie oryginalne poemata. Za pierwszorzędną arcydzieło jego uważają powszechnie *powieści kantuaryjskie*; myśl do nich pochwycił ze słynnych powieści Boccacyusza. Jak włoski pisarz wziął za tło czasy morowego powietrza we Florencyi, kiedy, dla skrócenia czasu, przerażone grono przyjaciół opowiada sobie różne przygody z życia, tak Chaucer pokazuje tłum pobożnego ludu dążący do grobu św. Tomasza w Cantorbery. Podczas codziennych wypoczynków, pielgrzymi opowiadają niezliczone historie. Cały lud angielski rusza się i żyje w tych obrazach. Charaktery pochwycone żywotem z natury, oddane najwierniej. Obok wielkich panów

roją się tu mieszczanie, rzemieślnicy i ubodzy kmiecie z pod strzechy. Każdy przemawia po swojemu; wypadki silnie udramatyzowane, najrzowniejsze sceny ożywione humorystyczną werwą. Czytając ten szereg samoistnych opowieści, nikt nie pomyśli o Bokokacyszku, wszystko tu szczerze narodowe.

„Dom Sławy” Chaucera, zbudowany na Boskiej komedyi, ale całkiem odmienny. Złoty orzeł spływa z niebiosów, rozpościera skrzydła, unosi poetę po-nad obłoki, do świątyni wspartej na lodowej opoce; we wnętrzu świątyni, wśród całego rojowiska minstrelów, gęźbiarzy, czarodziejów, żyjących nieśmiertelnem życiem, wznoszą się posągi ubóstwionych wieszczów: Homera, Wergilego, Owidyusza, i najsłynniejszych bohaterów w dziejach świata. Na rozkaz *Sławy*, wiatr roznosi te imiona — na cztery strony kuli ziemskiej, przy dźwięku rycerskiej melodyi. W progi przybytku garną się nieprzeliczone tłumy, spragnione nieśmiertelnych wawrzynów, kreslą imiona swoje na zewnętrznej ścianie świątyni, lecz imiona wnet topnieją na słońcu — i nie z nich nie zostaje. Te różnolite grupy maluje poeta z werwą i niewyczerpanym humorem.

Oprócz owych utworów Chaucer pozostawił niezliczoną moc oryginalnych pieśni, wiele z nich osnuł na odwiecznych podaniach i legendach. Śpiewał do ostatniego tchnienia. Umarł w r. 1399, wraz z kończącym się wiekiem, nad którym imię jego zapanowało w Anglii. Pogrzebano go w Westminsterze, w bliskości grobowców Edwarda III i Ryszarda II, w miejscu zwanem odtąd zakątkiem poetów, gdzie niedawno spoczął Tennyson.

Sława Chaucera pozostała chwałą narodową. Spencer widzi w jego utworach najczystsze źródło języka angielskiego; Sydney podnosi go pod obłoki. W XV wieku Pope i Walpole głoszą jego nieśmiertelną chwałę. Utworzyło się wreszcie towarzystwo *Chaucer-Society*, zajmujące się wydawaniem i komentowaniem jego prac, oraz wyszukiwaniem źródeł biograficznych.

Jusserand przebiega dalej cały szereg następców Chaucera, zaznacza w nich stopniowy upadek poezyi angielskiej. Zakończył tom obrazem wschodzącej zorzy odrodzenia.

„W owej Italii, mówi autor, którą Chaucer zwiedził w XIV wieku, zamiłowanie starożytności wzrastało coraz bardziej w wieku XV. Nie wystarczali już Latyni, trzeba było sięgnąć do Greków. Petrarka szanował manuskrypta Homera, lecz mieni go niemym *fetyszem*. Tymczasem bożyszcze przemówiło i głosi wyroki zrozumiałe dla świata. Miasto cesarzów greckich trzyma się jeszcze, literatura rzuca blask ostatni. Podczas gdy nieprzyjaciel stoi u bram, uczeni poprawiają gramatykę, sięgają do źródeł, odrzucają naleciałe wyrazy, odnawiają sta-



rożytny język Demostenesa. Nigdy miasto Konstantyna nie było bardziej greckiem, jak w przeddzień swego upadku. Sława jego retorów rozchodzi się daleko. Uczeni przybywają z Włoch, aby karmić się wymową sławnego Chryzostoma i tylu innych.

„Ale godzina uderzyła: skończyła się era Krucyat. Odparty prąd muzułmański wzbiera z potężną siłą; chrześcijaństwo ustępuje. Nie potrzeba już iść do Jeruzolimy, aby toczyć walkę z niewiernymi; pole zapasów otwarte w Nikopolis i Bosforze. Słynne miasta świata greckiego upadają jedno po drugim; wygnani gramatycy szukają przytulku na dworach światłych książąt włoskich, przynoszą manuskrypta. Jedni, jak Teodor Gaza, wygnani z Tessaloniki, nauczają w Mantui i Sienie, inni przybywają z Trebizondy.

Na tronie Paleologów panuje Konstanty Dragasses. Turcy porzucili już stołeczną Brussę, zostawili za sobą „miasto zielonych meczetów”, olbrzymie platany, pnące się winograpy i grobowce Kalifów. Przeszli Bosfor, osiedlili się w Salonice, Sofii, Philippopoli, w Adrianopolu założyli tymczasową stolicę. Mohamed II-gi włada nimi. Naprzeciw zamku azyatyckiego zbudował nad Bosforem zamek europejski, Rumel-Hissar o różowych wieżycach. On już panem obu wybrzeży.

Zbliża się do stolicy, grupuje zastępy wzdłuż muru od strony europejskiej, ma stopięćdziesiąt armat, rozpoczyna kanonadę 11 kwietnia 1454 roku. Przystępuje do szturm 28 maja, podczas kiedy w Bizancjum rozwija się po raz ostatni procesya kapłanów i zakonników, z prawdziwym krzyżem Zbawiciela, z relikwiami świętych. Szturm zaczęty przed świtem, odłam bramy św. Romana pada w gruzy, brama Cercoporta zdobyta, walka toczy się w samym mieście. Cesarz ubity, Bazylika św. Zofii, przed chwilą pełna modlącego się tłumu, zavalona stosami trupów. Dym pożarny wzbija się pod obłoki.

Kto może, ucieka. Grecy tłoczą się do Włoch, ze zburzonych bibliotek unoszą manuskrypta. Mikołaj V-ty i kardynał Bessarion wzbogacili niemi Rzym i Wenecję. Następstwem tej klęski stał się dla Europy nowy popęd do nauk klasycznych.

Z łuną pożarną połyska nowa zorza. Promienie jej miały naprzód oświecić Włochy i Francję, a potem zwrócić się na północ i ogarnąć Anglię.

W następnym tomie Jusserand obejmuje epokę odrodzenia do czasów Popego, trzeci tom dociągnie do czasów dzisiejszych.

---

Właśnie kiedy wyprawialiśmy kronikę sierpniową, umarł tu znany poeta, Leconte de Lisle, członek akademii francuskiej. Mimo wyrafinowanej formy wiersza, połączonej z głęboką erudycją, nie zdobył on

przecież popularności: dla ogółu nie dosyć był zrozumiałym, innych znów raził buddyjskim nihilizmem, cechującym głównie jego poetyczne utwory.

Zanim obejmiemy całość prac zmarłego poety, kiedy obiór następcy w akademii zwróci nań uwagę świata literackiego, powiedzmy dziś o nim słów kilka. Urodzony w r. 1818 na drugiej półkuli świata w posiadłościach francuskich, wcześniej opuścił wyspę Bourbon (dziś Reunion). Zanim osiedlił się stale w Paryżu, odbył podróż do Indyi wschodnich. Tam w zetknięciu z wyznawcami Buddy przesiąkł do gruntu nihilizmem: on pierwszy wprowadził Nirwanę do poezyi francuskiej i stał się żarliwym jej apologetą. W długim szeregu poematów opiewa mytyczne bożyszcza panteonu wschodniego: Rhaganasta, Kunaceya, Siwę i setki innych. Później, nawet w utworach zaczerpniętych z greckich tradycyi, widzi tylko w mytach Homera i Hezyoda odbicie Nirwany buddyjskiej. W ubóstwionej przyrodzie porywa go szczególnie siła niszcząca. Z Biblii upodobał sobie przedewszystkiem Kaina: w obszernym i zawikłanym poemacie opiewa go jako Prometeusza, olbrzyma promienistego, w walce z wiecznym pomrokiem.

Wśród tych chaotycznych pomysłów, Leconte de Lille miał przecież chwilę wzniosłego natchnienia. W r. 1856 utworzył poemat p. t. „Droga Krzyżowa”, ogłoszony w ilustrowanem wydaniu; poświęcił go matce swojej.

Cudny dramat rozpoczyna poeta od modlitwy na górze Oliwnej. Apostołowie znużeni śpią pod cieniem drzew. Zbawiciel ogarnia myślą wszystkie wieki: przeszłość i przyszłość, zatopiona w oceanie krwi, staje mu przed oczyma; łzy tryskają mu z powiek, śmiertelny pot spływa po bladym czole. A gdy wyrzekł: „Panie bądź wola Twoja!” aniołowie otaczają go w milczeniu, wicher tylko jęczy przeraźliwie; rozdziera kłęby chmur na widnokręgu.

I ujrzano zdaleka czarne miasta mury,  
Pełzające w pomroku u stóp stromej góry,  
A na szeroką przestrzeń rzuca połysk błady  
Pochodnia nienawiści i piekielnej zdrady.

Poeta ukazuje pierwszą stację: Potępiono sprawiedliwego. Tłum z wrzaskiem otoczył pretoryum. Sędzia drży przerażony na widok Zbawiciela, stąpającego spokojnie pod gradem klątw i obelg, tak gorąco ukochanego ludu.

Leconte de Lisle przeklina Piłata, że obłudnik umywa ręce ze krwi, wydanej na pastwę wściekłej zgrai. „Nic nie zdoła obmyć tych rąk, ucerwienionych krwią Boga.”

Na widok Jezusa, obarczonego krzyżem, poeta woła ze zgrozą „Niegdyś w dniach tryumfu, kiedy anioł ugodził Assyryjczyka płomienistym mieczem, Jeruzolima wydała okrzyk swobody i dumy. Dziś tenże radosny okrzyk wydaje wobec Syna człowieczego, gdy nikczemnicy ciągną go na śmierć, gotowi ukrzyżować go pomiędzy łotrami.”

„Ależ słowo, które miało stać się ciałem, przejrzało to od wieków. Kiedy namiot z błękitu rozpościerał Stwórca nad światem, kiedy wtaczał wody oceanu w niezgłębione otchłanie, wówczas już odkupował świat nowo zrodzony i poświęcał się na ofiarę za człowieka!

„Jezus upada pod krzyżem. Co mówią duchy światłości i aniołowie niebiescy wobec tego obrazu? Drżą, pełni poszanowania, miłości i trwogi, na widok Zbawiciela, znoszącego z pokorą obelgi i potwarze!

„Kościół, który za chwilę opłakiwać będzie Oblubienca, nie traci przecież nadziei, bo wie, że Chrystus nieśmiertelny, że przekaze mu siłę i ducha swego. Kościół podźwignie się, podejmie w objęcia świat osierocony, i twardą drogą, po strumieniach krwi przeczyszczonej, przywiedzie wierną gromadkę do stóp Odkupiciela.”

Poeta, idąc w ślad za Chrystusem na sam szczyt Golgoty, opiewa każdą chwilę zgodnie z tekstem, zapisanym w Ewangelii. Przecudny ustęp poświęca Maryi, stojącej pod krzyżem z piersią przebitą, tej Matce Bożej, w której zbolale matki znajdują w pasmie wieków nieomylną otuchę.

Po drodze krzyżowej poeta wygłasza najszczytniejsze *Hosanna*; opiewa spełnione słowa proroków, ukazuje Zbawiciela świata, wieki istną otoczoną chwałą.

Ów poemat, słusznie nazwany arcydziełem przez miłośników prawdziwej poezji, poszedł dziś w zapomnienie. Leconte de Lisle, nieszczęśliwą wiedziony myślą, usunął go z kompletnego zbioru swoich utworów poetycznych. W duchu poety ciemność przemogła nad światłem. Apologista Nirwany nie chciał złowrogiej postaci Kaina przyćmić blaskiem najwyższego ideału miłości i ofiary.

W poematach *Barbarzyńskich* i *Starożytnych*, przy najwytworniejszej formie, panuje nuta dzika, powiewa z nich jakiś chłód lodowaty. A przecież Leconte de Lisle umiał wydobyć z piersi rzewne tony, gdy wspomina rodzinną wyspę swoją, gdzie pod słońcem zwrotnikowem, wśród cudów przyrody, przepląsał młode lata. Przytaczamy w słabem tłumaczeniu ten obrazek, tak odmienny od innych utworów przesiąkniętego pesymizmem poety.

U Krzyża, między góry skalistemi ściany,  
Do dumań cię samotna przynęca dolina;  
Ludzkimi do niej stopy szlak nie wydeptany

Nie odbrzmieją tu morza huczące bałwany,  
Ni szmer ludzki. O świecie człowiek zapomina.

Wiatr kołysze powoje zdobne w dzwonki świeże  
W ich kielichu śpi błogo szerszeń miodu syty,  
Wiał ostrych aloesów przystępu tu strzeże,  
I słodko tonie ucho w żywych wód poszmerze,  
Gdy zdrój przez rozpekane sączy się granity.

A gdy rzuci na góry świt rąbek różowy,  
Ona rajska dolinka, zieleń umajona,  
Spowija skał olbrzymich rosochate głowy  
Przed słonecznym promieniem w płat mgły fiołkowy,  
Co chłodnemi tumany bucha z pieczar łona.

Gdy południe z błękitu białą lawę toczy,  
Jej żar, wstrzyman w polocie konary ciemnymi,  
Deszczem dyamentowym pryska w drzew pomroczy,  
Po gałązkach zielonych drga promień uroczy,  
Zanim plamy ogniste rozsieję po ziemi.

Niekiedy koza dzika wesołym poskokiem,  
Z wyteżonemi słuchy, pomknie z wrzosów cieniu,  
Otrząśnie z grzbietu rosę, wkrąg zatoczy wzrokiem,  
Wodę, w skały korycie zebraną głębokiem,  
Pije chciwie, na drżącym oparta kamieniu.

I rój swawolnych ptasząt przelata w swobodzie  
Z gałązki na gałązkę, z murawy na kwiatki,  
Te piórka szmaragdowe trzepią w zimnej wodzie,  
I suszą pierś na słonku, gdy chłód ją przechodzie,  
Tam na gniazdach piskłeta tuli się do matki.

Uroczyste brzmią chóry po jasnym lazurze,  
Tu miłość wabi słodko, tam tęskno się żali,  
Śmiech, radość i wesele, pustota, serc burze  
Tak wdzięcznie się zlewają w harmonijnym chórze,  
Że spokoju powietrznej nie zamącą fali.

A dusza, upojona tą chwilą szczęśliwą,  
Czarodziejskich uroków złoty wątek plecie,  
Czuje się ptakiem, kwiatem, światłem, wodą żywą,  
Chwyta z matką przyrodą stargane ogniwo,  
I na ciebie jej łono powraca jak dziecię.

Leconte de Lisle okazywał stale najwyższą cześć dla geniuszu Wiktora Hugo, mieni go inicjatorem swoim. „Nie wspomnę nigdy bez głębokiej wdzięczności, mówi on, wrażenia, jakie w młodzieńczym wieku sprawiły na mnie pieśni wschodnie (*les Orientales*), w górach rodzinnej wyspy mojej. Świat nowy, pełen blasku, otworzył się nagle przed oczyma mojemu. Podziwiałem bogactwo obrazów. Porwał mnie ten liryzm pełen ruchu i życia, ten język jasny, tak dziwnie harmonijny.”

Cześć tę zachował do końca. W mniemaniu jego Francya współczesna dwóch tylko miała poetów: jednym był Hugo, drugim on. To też kiedy po raz pierwszy podał się na członka akademii francuskiej, a otrzymał jedyny głos uwielbionego mistrza, napisał do niego: „jestem akademikiem, bo ty mnie mianowałaś.”

Lat kilka upłynęło: Leconte de Lisle otrzymał krzesło po zmarłym Wiktorze Hugo w r. 1887. Wybór ten, dokonany większością głosów, nie zadowolił jednak całego grona. Aleksander Dumas, naówczas kanclerz akademii, w mowie powitalnej rzucił wbrew poecie gorzkie, lecz zasłużone, słowa prawdy. „Nauka ani forma, rzekł, nie utworzą dzieł nieśmiertelnych; bałwochwalcze ubóstwienie *piękna* nie mogło wystarczyć ludzkości, przez Ewangelię przyszła ona dopiero do miłości i poszanowania *dobra*. W pojęciu prawdziwego Boga czerpał Dante natchnienie do Boskiej komedyi, Klopstock do Messyady, Kornel do Polieukta, Raszyn do Athalii, Milton do Raju utraconego. Pamiętajmy, że Musset gorzko ubolewał nad tym poetą, który nie umie pomodlić się, ani zapłakać.”

W ostatnich latach życia, Leconte de Lisle żalosnem okiem patrzył na upadek poetycznej literatury. Rozmiłowany w pięknej formie, czuł wstręt do poetów naturalistycznych nowej szkoły. Gorzko utyskiwał na dekadentów, z żalem przepowiadał blizką śmierć literaturze. Powstawał z najwyższem oburzeniem na skażony smak publiczności, na pragnienie palących narkotyków i pokarmów zatrutych jadem. Nie rozumiał, jak można było chwalić Verlaina, wyrzucał krytykom, że podnosili niekiedy „tę zgniliznę szpitalną.” Każda zniewaga języka francuskiego sprawiała mu niewymowną boleść i budziła w nim wstręt do dekadentów. Często utyskiwał na epidemię, która, jak mówił, „pochłania dziś część literatury francuskiej i zaraża ostatnie lata wieku, tak świetnie rozpoczętego.”

W pierwszym rządzie *przestępców* literackich stawiał Emila Zolę. Kiedy naczelnik szkoły naturalistycznej odwiedził go, jako kandydat do Akademii, przyjął go najzimniej i oświadczył, że nie tylko sam odmówi mu głosu, ale będzie ile sił działał przeciwko niemu. Dotrzymał słowa: Zola nie znalazł groźniejszego przeciwnika. Cytował z pogardą

ustępy z *Ziemi*, *Assomuaru* i innych podobnych utworów, dowodząc, że autor takich bezceństw nie może zająć miejsca w gronie akademickim.

Gwałty anarchistów zraziły go do idei rewolucyjnych, którym niegdyś hołdował. Spostrzegł grożące Francji niebezpieczeństwo. W ostatnich też latach życia przemienił się widocznie. Dawne uprzedzenia przeciw religii chrześcijańskiej z wolna go opuszczały. Do zupełnego nawrócenia może tylko zabrakło czasu. Wdowa wyprawiała mu pogrzeb religijny w kościele św. Sulpicyusza.

Szkoła *dekadentów* w literaturze stała się dziś we Francji przedmiotem krytycznych badań. Jedni szydzą z niej, wykazują śmieszną stronę jej adeptów; inni tymczasem sięgają głębiej, wyjaśniają przyczyny nowego zwrotu, opierają się na tradycji. Według ich historycznych wywodów, najświetniejsze epoki literackie wydawały nasamprzód całe zastępy naśladowców, po tych zaś szli dekadenci i doprowadzali literaturę do zupełnego upadku; ostatnia jej iskierka tliła za ledwie pod popiołem. Wówczas-to następowała reakcja. Nowa idea zapanowała w świecie; objawiła się naprzód w odrodzonym życiu społeczeństw. Z olbrzymich czynów wykwitła nowa literatura. Tak było u starożytnych Hellenów i Rzymian; toż samo powtarzało się na mniejszą lub większą skalę i w świecie nowożytnym.

W chwilach każdego dziejowego przełomu, kiedy potężna idea pchnęła ludzkość na nowe tory, wobec wielkich czynów musiało zmilknąć słowo. Później dopiero społeczeństwo, nowym wykarmione ideałem, odzyskiwało pomалу swoje prawa. Ludzie potrzebowali oddziaływać wzajem na siebie, udzielać sobie nowych myśli. Rozpoczynano od wymowy; zapal objawiał się liryzmem. Później opowiadano spełnione fakta, przetrwane próby, stoczone walki, odniesione tryumfy. Tym sposobem powstała epepeja. Aby tem silniej porwać umysły, zamiast opowiadania, poczęto wyprowadzać na scenę bohaterów, ukazywać ich w chwili działania, drgających życiem, nieraz posuniętem do szalu. Tak powstał dramat. I nowa literatura zrodziła się z wielkiego wstrząśnienia umysłów, wykarmionych nowym ideałem.

Podobna reakcja wielokrotnie powtarzała się w sztuce i daje na przyszłość otuchę, że się jeszcze powtórzy. Stąd krytyka dzisiejsza zwróciła uwagę na owe chwile zmierzchu, po jakich następuje zawsze nowy przedświt. Erudyci oddali się pilnie tym badaniom. Uczony Lafaye wydał dzieło o szkole aleksandryjskiej, która zaznacza dekadentyzm u Hellenów. Monceaux rozebrał trzy tomy poetów afrykańskich między I a IV wiekiem ery naszej, na których kończy się szereg

pisarzy starożytnego Rzymu. Do tego działu krytycznych prac należy nowa książka słynnego Hellenisty, Henryka Puvre, p. t. *Meleagr z Gadary*. W tym słodkim poecie szkoły Aleksandryjskiej przedstawia autor *dekadenta* literatury greckiej. Nieodrodny Grek, kocha on przyrodę, ale ją pokazuje z drobnej strony. Zrodzony na granicach Syrii, nie wspomina gór, mimo że dzieckiem płaszał pod cieniem Libanu, nie opisuje morskich fał, mimo że młodość spędził w Tyrze. Zatrzymuje się chętnie nad gałązką wawrzynu, nad modrym bławatkiem, nad konikiem polnym, śpiewającym wśród trawy; na szersze obrazy brak mu twórczego tchnienia. On-to sprowadził bożka miłości do maleńkich rozmiarów. Już to nie ów krzepki młodzian, rzucający postrach w dramatach Eurypidesa i Sofoklesa; u Meleagra to maleńki swawolnik, ulubieniec Olimpu, płatający psoty swoją drobninuchną strzałką. Tego-to amorka podjęli klasycy nowożytni, ten panował w literaturze aż do czasu, kiedy ośmieszony przez romantyków musiał ustąpić z poezyi.

W postaci Meleagra z Gadary erudyta francuski skreślił wierny obraz dekadentów dzisiejszych. Pokazał on, że ów dekadentyzm, w którym niektórzy widzą przedświt, nie jest czem innym, jak zmierzchem, zwiastunem ciemnej nocy. Nie wątpi krytyk, że po tej nocy zabłyśnie jutrzienka, ale wówczas dopiero, kiedy wielki ideał objawi się w życiu ludów, pociągnie do wielkich czynów i ofiar — słowem, gdy „zerwie z posad bryłę świata i nowemi popchnie ją tory.”

---

Do chwały kończącego się wieku wielce się przyczyniły prace archeologów francuskich. Śladem Champolliona, który odczytał pierwszy napisy na pomnikach i papyrusach, odwieczną pokryte tajemnicą, poszedł Mariette Bey, założyciel słynnego muzeum Boulaq pod Kairem; po nim wystąpił Maspero. Z piasków pustyni odkopał olbrzymie sfinksy, a z wnętrza piramid wydobyl niezliczone szczątki odwiecznej cywilizacyi, zagrzebane w grobowcach Faraonów.

Obok tych wielkich pracowników, zdobył dziś imię uczony starożytnik Naville. Od lat dwunastu prowadzi on w Egipcie prace archeologiczne: bogato z nich nabytki opisał w sześciu tomach, zdobnych ilustracyą. Zdaniem uczonych, badania jego rzucają nowe światło na odwieczne dzieje Egiptu.

Naville odłożył na czas późniejszy Teby i Memfis, gdzie pozostało jeszcze mnóstwo przywalonych ziemią zabytków. Zwrócił naprzód uwagę na inne zapomniane miejscowości, które znalazł Herodot. Do takich należy Bubastis (Tel-Basta), słynny świątynią bogini *Kolki* i wyprawianemi na jej cześć igrzyskami. Z owej świątyni pozostały ledwie rozrzucone kamienie i odłamy potrzaskanych pila-

strów. Nie uląkł się pracy Naville, przez lat dwa zbierał cierpliwie te okruchy i utworzył z nich całość. Poświęcił na to dwa tomy, dopełnione planem i setką illustrowanych tablic.

Szczególną zwraca uwagę odtworzona w świątyni sala obrzędowa. Zbudował ją Oroskon II-gi w połowie IX wieku przed erą chrześcijańską, na obchód swej koronacji. Malowidło przedstawia monarchę i kapłanów ze wszystkich miast egipskich, dwór Faraona, i wojsko, i niewolników, i tłum prostego ludu. Oroskon wychodzi z pałacu, by odwiedzić ojca swego, Ammona. Wstępuje do świątyni, patrzy w oblicze bóstwa. Ammon wita go z miłością, wprowadza do grona nieśmiertelnych; Faraon staje się z kolei bóstwem, odbiera hołdy i modły ludu swego—procesya rozwija się przy radosnym poklasku tłumów; żołnierze wyprawiają płasy wojenne; karły i negry skaczą. Tam znów orszak powraca do pałacu, ubóstwiony Oroskon wyprawia ucztę dla dworzan, lud biesiaduje wesoło. Scena ta, pełna życia, nasuwa nowy pogląd uczonym. „Rzecz dziwna, mówi Maspero, ten Egipt, który, rozpatrywany według mumii, ma pozór tak ponury i żałobny, był jednym z najweselszych krajów w starożytności. Fellah, tak wówczas, jak i dziś, miał unysł bystry i sarkastyczny; skory do śmiechu, łatwo zapomniał trosk i trudów codziennego życia, z dziecięcą naiwnością oddawał się zabawie. Mimo całej pobożności, z jaką składa hołdy defilującym bożyszczom, śmieje się z rozpląsanych negrów; lada drobnostka budzi w nim wybuchy wesołości.” Napisy tłómaczą znaczenie każdego ruchu.

Od dwóch lat Naville rozkopuje piaszczyste zasy w Deir el Bakari. Przysłał niedawno do paryskiej akademii napisów fotografie prac dokonanych. Nie idzie tu już o zebranie w całość rozpięrzchłych szczątków, ale raczej o odkopanie całkowitego gmachu, spoczywającego od wieków pod piaskami pustyni. Królowie XVIII dynastyi obrali tę dolinę na grobowce dla siebie i potomków. Świątynia, przyparta do skały, należy do epoki najczystszej rozkwitu sztuki egipskiej. Płaskorzeźby na kolumnach odznaczają się wytwornym smakiem. Wydobyć na jaw tego pomnika nieumniej ważne, zdaniem specjalistów, jak niegdyś odkrycie Abydos i Luxoru.

Towarzystwo angielskie, *Egypt exploration Fund*, wsparło prace Naville'a. Archeologiczne jego dzieła wydane w języku angielskim.

---

Do niezliczonych dzieł o Ryszardzie Wagnerze przybyło w tych czasach jedno, więcej od innych zajmujące, gdyż pisane bez pretensyi, z pełną młodzieńczej naiwności prostotą. Są to wspomnienia malarza, Fryderyka Pechta, drukowane świeżo w Niemczech. Pochwyciły je przeglądy francuskie i ogłosiły ciekawe z nich ustępy.



Dwaj młodzi artyści spotkali się w Paryżu r. 1829. Fryderyk Pecht tylko co przybył z Lipska. Dnia jednego, kiedy z Henrykiem Laube wybierał się do muzeum w Luwrze, towarzysz oznajmił mu, że spotka tam zapewne młodego muzyka, tylko co przybyłego z Rygi, który pragnie wystawić tu operę własnej kompozycji p. t. *Rienzi*.

W Luwrze, mówi Pecht, ujrzałem młodziana wytwornej powierzchowności, pomimo nóg zbyt krótkich. Uderzyły mnie rysy jego, pełne wyrazu. Prowadził młodą żonę niepospolicie piękną. Obojętnie przechodził wśród obrazów, czasami jednak budził się z roztargnienia; wówczas słowa jego tryskały życiem. Takim był Ryszard Wagner w dwudziestym szóstym roku, kiedy Pecht ujrzał go po raz pierwszy.

Zwiedzwszy Luwr, poszli wszyscy do restauracyi na obiad. Wagner jął opowiadać im przygody z podróży swojej. Słowa sypały się z ust jego, mówi Pecht, jak nawałnica śnieżna. Opisywał straszliwą burzę, jaka spotkała go na morzu, gdy płynął małą łódką, i rzuciła na brzegi Norwegii. Naśladował przeraźliwy świst wichru, szalony ów poryk nasuwał mu ideę muzyki piekielnej. Nagle, jak mówił, jakiś żaglowiec wystąpił z pomroku i natychmiast utonął w ciemności. W rozkołysanej wyobraźni jego stanął wówczas ów holenderski okręt, wечно błędzący po falach. Odtąd nosił w głowie legendę i dostrajał do niej partycę.

Od pierwszego spotkania, dwaj młodzi artyści przystali do siebie, tem ściślej, że Pecht znał w Lipsku trzy siostry Wagnera. Widywali się często, razem żyli życiem paryskim. Malarz odwiedzał muzyka w małym lokalu przy ulicy Helder, który Wagner umeblował na kredyt.

Podczas tych odwiedzin, kompozytor grał ustępy z opery swojej, malarz pilnie się przysłuchiwał; ale, jak mówi, kompozytor zanadto był złym fortepianistą, a ja nazbyt słabym muzykiem, abym mógł odgadnąć, czy ma twórczy geniusz. Oceniałem stokroć lepiej jego czarodziejskie ponęty, niezaprzeczoną siłę ducha i wrodzoną szlachetność uczuć. Nigdy w chwilach najwyższej egzaltacyi z ust jego nie wybiegł wyraz prostaczy. W dwudziestym szóstym roku posiadał już wolę niezłomną i dziwną zręczność w wynajdowaniu środków prowadzących do celu. Zmuszony zrzec się przedstawienia opery swojej na scenie, począł pisywać do dzienników, kopiował muzykę Donizettego dla wydawcy Schlesingera; słowem, czepiał się wszystkiego, co mogło przedłużyć mu pobyt w Paryżu.

Wkrótce dom Wagnera stał się ogniskiem dla młodych artystów niemieckich. Prowadził tam rej między innymi biegły malarz, Ernest Kietz. Obaj z Wagnerem kaleczyli niemiłosiernie francuski język, wyrażając się zawsze w trybie bezkolicznym. Należał też do grona

młody kupiec Brix. Pecht przyprowadzał go, gdyż biegle grał na fleciku. Ten, zamożniejszy od towarzyszków, przychodził nieraz w pomoc Wagnerowi; Brix był krezusem w małym gronie artystów.

Podziwiałem, mówi Pecht, niezłomną energią Wagnera. Nic go nie mogło zrazić, ani odebrać mu wiary we własny geniusz, a przecież nie objawił go jeszcze żadnym znakomitym utworem. „Rienzi” nie doczekał się przedstawienia; nadzieje położone w Meyerbeerze zupełnie zawiodły młodego kompozytora. Sami nawet przyjaciele oceniali w nim głównie bogactwo wyobraźni i siłę rozumowania; za mało byli muzykalni, aby zrozumieć i uczyć ukrytą w nim iskrę geniuszu.

Po kilkoletnich a bezowocnych walkach, Wagner opuścił Paryż. Pecht powrócił także do Niemiec. W kilka lat później spotkali się znów w Carlsruhe, a następnie w Monachium. Pecht opowiada stosunki Wagnera z młodym królem bawarskim. Szczegóły te znane, podnoszę ich tu nie będziemy. Dodajmy tylko, że proste opowiadanie Pechta dorzuciło ciekawą kartę do niezliczonych życiorysów, w których zastęp wielbicieli, tak niemieckich, jak i francuskich, przedstawił postać mistrza w blasku apoteozy.

Paweł Bourget w połowie sierpnia popłynął do Stanów Zjednoczonych, gdzie zamierza pozostać do przyszłej wiosny. Przeprowa trwała zaledwie tydzień. Wrażenia z podróży p. t. „Outre mer”, ogłasza autor w dodatku do Nowoyorskiego „Heralda” w języku angielskim; druk rozpoczęto 23 września. Od tegoż dnia, za porozumieniem z amerykańskim wydawcą, wychodzi w Paryżu przekład nowej publikacji.

Wstęp do dzieła skreślił Bourget na oceanie, przy poryku bałwanów, szamocących się z kołami olbrzymiego parowca amerykańskiego, rozpędzonego jak uragan po falach Atlantyku. W tym wstępie wyjaśnia cel zamierzonej podróży.

— Po co mi — pyta — nowa ta wyprawa? Czego mam szukać za morzami, zdala od przyjaciół, zdala od książek moich, zdala od krajo-brazów mojej rodzinnej ziemi? Niestety! nie moja to już ziemia, owa irlandzka wysepka *Cape clear Island*, którą dostrzegam ledwie w kłębach mgły szarej, ależ to jeszcze Europa! Latarnia tylko co rozlona u jej brzegu oznajmia powrót innym podróżnikom, wracającym do gniazda. Kiedy za ośm lub dziesięć miesięcy, jeśli Bóg pozwoli, ujrzę to światółko na widnokręgu, azaliż przyniosę z po-za morza bogaty plon nowych idei i obrazów, azaliż powiem sobie, że warto było przedsiębrać tak długą i tak daleką podróż? Na pytanie, co będzie *potem*, odpo-

wiedzieć nie mogę, ale dziś wiem, *co jest*, dlaczego puszczać się w świat obcy i nieznan.

„Co mnie pociąga do Ameryki — mówi dalej — to nie Ameryka sama przez się, to Europa, to Francya, to niepewność o zagadkową przyszłość tej Europy i Francyi. Trzy potęgi, istnie bajeczne Parki, urabiają dziś ową przyszłość starego świata. Pierwszą z nich Demokracja, drugą nauka, trzecią najmniej określona idea plemiennosci. Gdziekolwiek obrócimy wzrok, te trzy siły działają, zakreślają nowe plany, rozwalają starożytny gmach, w którym ludzkość od wieków znajdowała ostoję.

„I cóż utworzyły — pyta Bourget — te trzy nowe potęgi? Demokracja, gdziekolwiek odniosła tryumf, wprowadziła głosowanie powszechne, to jest niedołączną i ślełą przewagą liczby. Rozbudziła w niższych warstwach szalone zachcianki, ogólne niezadowolenie i grożący bunt tego czwartego stanu nędzy i zawiści przeciw cywilizacji; przyrzekła bowiem równość i braterstwo, a nie mogła spełnić swych obietnic.

„Nauka dała lepiej poznać przyrodę, wydobyła z niej nieznane dotąd siły, oto jej dobrodziejstwo; lecz jakże drogo opłacone, jeśli to prawda, że nihilizm filozoficzny ma być ostatecznym kresem owych olbrzymich wysiłków. Nauka, dotykając krańców świata niewiadomego, musi dziś uznać, że metoda jej nie starczy nigdy na wywikłanie przyczyn z po-za fenomenów, ani istoty rzeczy z po-za wypadków. I jakież nowy pokarm ta nauka przynosi duszy ludzkiej, jeśli nie chleb zaprawny goryczą i napój śmiertelnym zatruty jadem? Rozwijając w człowieku zmysł eksperymentacji i krytyki, owa nauka uczyniła wiarę w nadprzyrodzone siły niepodobną całym legionom przeciętnych sumień, a te, złączone razem, tworzą sumienie narodowe. Stąd jakież-to brak ideału w owej Europie współczesnej, jakaż to chwiejność w przekonaniach, jakaż bezsilność woli, jakież upadek charakterów, ileż chorób moralnych, szerzących się coraz bardziej w ostatnich latach tego wieku, który tak pragnął dobra i tyle obiecywał.

„Idea plemiennosci nakoniec, tak zrazu szlachetna i tak logiczna przy blasku dział pod Solferino, jakże barbarzyński przybrała dziś kierunek, gdy cała Europa stała się szeregiem obozowisk, najeżonych działami, gdy zbrojne miliony ludu czekają, rychło uderzy godzina zapasów, nieznanych w dziejach świata.”

Wobec tych trzech tak groźnych potęg, Bourget nie rozpacza jednak o przyszłość, ale pragnie spojrzeć im oko w oko. „Za morzami — mówi on — istnieje kraj, gdzie owe trzy siły, tak mordercze dla starego świata, utworzyły świat nowy. Kraj ten od pierwszej chwili istnienia ukonstytuował się na prawach demokracji, i to demokracji naukowej,

bo dla ujarznienia dziewiczej ziemi musiał użyć nowożytnych maszyn i wszelkich środków przemysłowych. W kraju tym problemat plemienności narzucił się od razu sam przez się i ciągle się powtarza, ludność bowiem złożona tu ze wszystkich plemion Europy, Azji i Afryki. Muszą tu żyć nie tylko Irlandczycy obok Anglików, Niemcy obok Francuzów, ale czarne i żółte ludy obok białych. Dotąd szło to dosyć pomysłnie. Ludność kraju mnoży się z każdym rokiem, bogactwo kwitnie, miasta wyrastają z pod ziemi, z równą siłą, jak rośliny zwrotnikowe. Czemże były przed laty czterdziestu miasta Saint Louis, St Paul, Minneapolis i Chicago? Dziś liczą na krocie ich mieszkańców, a oto w tym roku najdawniejsze z nich otworzyło wystawę, wezwało świat, i świat przybył na gody.

„Dwadzieścia pięć tysięcy siły zbrojnej wystarcza ludowi, który dowiódł przecież lat temu trzydzieści, że energia wojskowa kipi w nim potężnie, gotowa zbudzić się w danej chwili, a który po zwycięstwie wraca spokojnie do pług i warsztatu. I jakże tu, wiedząc, że istnieje taki naród, znać go jedynie z książek, a nie poznać naocznie warunków jego bytu? Jak nie zbadać na miejscu wartości takiego społeczeństwa, które mieni się społeczeństwem przyszłości, a bądź co bądź, toruje sobie do niej możliwą drogę? Zgaduję naprzód, co mnie może razić w tych stronach, gdzie przeszłość tak pozbawiona poetycznego uroku, mnie, com tak ukochał Włochy, Grecję i Syryę, owe ziemie przerosłe prochem zmarłych pokoleń. Wiem, że nie idę tu za głosem serca, ale gdzieżbym nie poszedł, aby nabrać trochę wiary w przyszłość tej cywilizacji, tak bardzo u nas zagrożonej.”

Co przyniesie Bourget z tej podróży, trudno to dziś przewidzieć. Uwagi, kresłone z dnia na dzień, pod wpływem coraz to nowych wrażeń, wiele zabiorą czasu, nim ostatnie wybiegnie z nich słowo. Miejmy jednak nadzieję, że autor, uleczony z rozpaczliwego pesymizmu, czego dowiódł w ostatnich pracach literackich, znajdzie ożywczy promyk, który mu rozjaśni przyszłość zagrożonego w Europie społeczeństwa.

---

Ziomek nasz, Konstanty Chmieliński (Constant de Tours), do ośmiu ilustrowanych albumików, w których opisuje Bretańskie i Normandzkie wybrzeża, dodał obecnie nowy tomik p. t. „Dwadzieścia dni na brzegach gaskońskich, od Żyromy do Pirenejów.” Przy łatwości odbywania dziś podróży okólnych za bardzo niską cenę, wyborny to przewodnik, bo zaznacza wszystko, co godne widzenia, bez próżnej straty czasu; z Paryża, przez szereg wielkich miast: Orlean, Blois, Tours, Poitiers, zatrzymując się wszędzie chwilę, prowadzi nas do Bordeaux. Tu wypada dłużej pozostać. Wspaniałe to miasto, najpię-

kniejsze po Paryżu, pełne pomników, drgające życiem handlowem i umysłowym, zasługuje na szczegółowy pogląd. Stąd puszcza się między wzgórze Medoc'u, zasłane winogrodem, którego drogocenny płyn zasila obie półkule świata. Dalej zmienia się całkiem postać, zielone pagórki zniżają się stopniowo; następują po nich płaskie, bagniste Landy, pasterze na wysokich szczudłach wypasają trzody na tych trzęsawiskach, przesiąkniętych wodą morską. Przestrzeń ta, niegdyś ogromna, zmniejszyła się o połowę, dzięki plantacyom sosen i dębów korkowych; piękny ten las z osadą Solferino uwiecznił tu pamięć Napoleona III.

Przez Arcachon, z dzikiej pustyni zmienionego w śliczną stację nadmorską, a co więcej w zimową oazę wpośród ożywczej woni sosen, prowadzi nas biegły przewodnik do napół hiszpańskiej Bajonny, biskajskich przystani Biaritz i St Jean de Luz, wreszcie do całkiem hiszpańskiej Fontarabii, zabytku drogiego archeologom. Tu od epoki Sanszów z X wieku, do pierwszych Habsburgów XVI stulecia, pozostały jeszcze ślady zamczysk, rozsypujące się w gruzy, pod cieniem wiecznie żywych Pirenejów, przy szumie wiecznie drgającego życiem oceanu.

---

---

## W STEPIE PSZENNYM.<sup>1)</sup>

(Luźne wrażenia z podróży po Dakocie i Minnesocie).

---

Z kimś uciekam od baterii żniwiarek na terytorium sąsiedniej fermy. Jedziemy w poprzek pól; ściernisko, nie posiadające bródz i równe, jak podłoga, służy nam za gościniec. Później z pola zjeżdżamy na łąkę, która, niewielkiej będąc szerokości, ciągnie się za to bez końca w jedną i drugą stronę, i swoją zielonością odbija, niby rzeka, od żółtych przestrzeni. Jakiś domek drewniany stoi na tej strudze trawy niekoszonej, samotny, o kilka, a może więcej wiorst od najbliższej chaty. To wiejska szkółka elementarna, łąka zaś owa, ciągnąca się w obie strony, jest gruntem, jakim siedziba oświaty początkowej została uposażona. Co cztery mile angielskie na tej smudze łącznej znajduje się podobna szkółka. Najmniejszych drzewka w pobliżu, żadnej drogi i nawet ścieżyny! Dokoła porasta jedynie bujna trawa szlaku stepowego. Schodzimy z bryczki i pukamy do drzwi, chcemy bowiem obejrzeć wewnątrz wiejskiej szkółki. Nadaremnie! Nikogo niema, drzwi zaryglowane. Muszę poprzestać na szczegółach, których udziela towarzyszący mi obywatel dakocki. Szkółki te dają tylko początki oświaty i to najmłodszemu pokoleniu. Są otwarte jedynie podczas lata, bo zamiecie śnieżne zamykają do nich dostęp zimą. A nadto nauka odbywa się tylko w niedziele. Rodzice zwożą dźwiatwę wtedy, sami się bawią na łące,

---

<sup>1)</sup> Dokończenie. Patrz zeszyt październikowy „Biblioteki.”

a drobiazg siedzi w izbie. Najwyżej jakiś tuzin maleństwa uczęszcza do jednej szkoły, każdy inny ma swoją własną. A kiedy dziatwa podrośnie, wtedy ojcowie wysyłają ją na zimę do najbliższego miasteczka, dokąd często-gęsto sami uciekają przed pustkami i nudami wiejskimi.

„Szczycimy się dzisiaj swoją pszenicą, w przyszłości będziemy się chlubić szkołami!” — rzekł dumnie mój przewodnik, kiedyśmy, po niefortunnym pukaniu do drzwi, siadali na bryczkę. Zaprawdę, nie są to czece przechwałki. Osadnicy na dalekim Zachodzie umieją cenić dobrodziejstwa oświaty. Z ogólnego terytoryum stanu wydzielono aż trzy miliony akrów ziemi, t. j. 6% całej powierzchni, na uposażenie szkół, i aui jedna piędź tego obszaru nie może być sprzedaną poniżej 10 dolarów za akr. Oświata więc dostała na własność olbrzymi fundusz, z którego może czerpać pełną dłońią i do którego, prócz władzy szkolnej, nikomu nie wolno się wtrącać. W obecnej chwili wypada jedna szkołka publiczna na sto głów ludności, procent zaś nauczycieli jest jeszcze większy!

\*

\*

\*

Puszczamy się ścierniskiem dalej i po kwadransie jazdy jesteśmy przed parową maszyną, która młóci zboże. Ferma to niewielka, zaledwie 800 akrów rozległości. Małe jej rozmiary nie pozwalają posiadać własnej młockarni, drożyzna zaś rąk i cały skład gospodarstwa czynią jej pomoc nieodzowną. Ale Ameryka znalazła na to sposoby i stworzyła nowe przedsiębiorstwo — wynajmu. Ktoś, zwykle prosty mechanik, nabywa maszynę, najmuje robotników i objeżdża osady. Fermer płaci stałą taksę od buszla i jedynie dostarcza kogoś, dozorującego zsypania ziarna, resztę zaś bierze na siebie ów przedsiębiorca.

Znajduję klucz do rozwiązania zagadki, która mnie trapi od początku podróży. Z okna wagonu widziałem wciąż na polu niewielkie szare domki z zabitemi drzwiami, których celu nie mogłem odgadnąć. Taką chatkę mam właśnie przed sobą. Wyobraźmy sobie kwadrato-wy budynek, z futryną tam, gdzie mają być drzwi, a do której wsuwa się deskę po desce z góry. Domek jest jeszcze bez dachu. Czyste ziarno z młockarni spada przez drzwi do wnętrza, a w miarę tego, jak poziom podnosi się, nową deskę wsuwają do drzwi. Wreszcie, kiedy środek został zapelniony, — w domku może pomieścić się 1,800 buszli — budynek pokryją dachem do chwili, póki fermer nie uzna za stosowne odwieźć zboża do elewatora sąsiedniego. Na większych folwarkach istnieje parę takich domków. Zaoszczędzają one sporo czasu przy zwózce snopów. Amerykanin, z którym jestem na polu,

nie może ukryć swego podziwu, że przypatruję się tak prostej rzeczy. Jest to redaktor pisemka rolniczego, wychodzącego w Grand-Forks. Opowiadam mu o naszych stodołach i murowanych spichlerzach. I znowu Yankee poczyna się dziwić manii naszych obywateli, nieprodukcyni wkładających spore kapitały w takie budynki, zwłaszcza zaś, kiedy wnoszą je z kamienia i cegły. Objaśniam tę konieczność brakiem elewatorów i wogóle ukształtowaniem naszego handlu zbożowego.

„A dlaczego nie budujecie takich domków na polu?”—pyta nieubłagany towarzysz i notuje moje odpowiedzi, napisze pewnie w swoim pisemku artykuł o rutynie europejskiej.

Wzruszam ramionami i milczę. Ale Yankee nie daje za wygraną i powtarza pytanie.

„Rozkradziono-by zboże”,—odpowiadam i przerywam rozmowę, Amerykanin zaś na mnie patrzy, czy nie żartuję z niego. W Ameryce kradną miliony w bankach i bandy rzezimieszków wykoleją pociągi, kiedy zmiarkują, że mogą się obłowić. Ale kradzież zboża jest nieznaną, niema tam na wsi nędzy, która-by do tego zmuszała.

\*

\*

\*

Znowu jedziemy wśród pól całą kawalkadą, ale w powiększonym gronie. Mniejsi fermerzy przybyli z okolicy, córki ich towarzyszą nam konno. Jedna, dziewczę szesnastoletnie, popisuje się swoją umiejętnością dosiadanania konia i przegania nas, skacze przez kopce. Czarna, ale twarda droga, porośła trawą, w której widać tylko duże smugi, tory kołowe. Zielsko sięga koniom do brzucha. Bardzo rzadko muszą jeździć po tej drodze! Dokoła na ściernisku szarzeją domki do przechowywania zboża. Parę razy przejeżdżaliśmy przez fermy. Jak przykrę pozostawiają po sobie wrażenie! Ani poświeci tam drzewka, bo człowiek, niedawny przybysz w stepie, nie zdążył jeszcze osłonić cieniem swojej siedziby. A zatem mamy tylko dom mieszkalny, zwykle bardzo porządny, obok stajnię dla koni—nic więcej. Podwórza nie otoczono płotem, porasta ono zielskiem, tak, iż podobniejsze jest do preryi, pług z siedzeniem rdzewieje w chwastach. Więc fotografie z halli rolniczej nie kłamały, że nawet drobny rolnik nie chodzi piechotą za plugiem! Podobnie żniwiarko-wiązalka nie jest mitem na drobnej fermie, bo ją też spostrzegam pomiędzy zielskiem. Siedziba ta każdym swoim szczegółem świadczy, że rolnik nie żywi przywiązania do gleby, którą uprawia. Niema tutaj owego ciepła, jakim oddychamy w wiosce europejskiej. Raczej chłód przeraźliwy dolata z tej pustki bez parkanu i zabudowań, bez ogrodu i nawet pojedynczego drzewka i kwiatka. To kantor geszefciarza na drobną skalę, ściśle, rolnego kramikarza,



który osiadł na ziemi i z krędką w ręku robi corocznie obrachunek, czy warto dalej pokutować w takim pustkowiu. I nie dziw, noga jego nie stąpa po wspomnieniach dzieciństwa, ani w bliskości niema sąsiadów, z którymi w dzieciństwie szło się do lasu na orzechy i nogami robiło „masło“ z błota. Prócz dorobku, nic go nie wiąże z ziemią, w każdej chwili gotów szukać nowej ojczyzny i lepszych warunków *of money making*. A jeżeli tak chłodno tutaj i pusto podczas lata, cóż dzieje się w tej porze, kiedy dokoła rozłoży się całun śnieżny i zimowa zadynka utrudni komunikację, wiatry zaś poczną hasać po dawnej preryi? Na tych obszarach, w których zbywa na tradycyjnej gromadzie wioskowej, gdzie miasto posiada wszelkie powaby, w umyśle rolnika zwolna rozwija się ideał zastąpienia wsi miastem. Żyłby on chętnie w takim ognisku, jak S. Paul, i udawał-by się na fermę dopiero w tej porze, kiedy to czynią wędrowne tłumy najemników, z wiosną wyruszających na daleki zachód i powracających ku jesieni. Na pustej preryi sterczały-by bezludne wille i budynki dla maszyn, oraz na śniegu odbijały-by swoją barwą brudno-czerwone elewatory. Już dzisiaj niemal dzieje się coś podobnego. Wielkie folwarki wysyłają nawet swoje muły na leże zimowe o paręset wiorst dalej na południe, drobne zaś oddają na stajnię odpowiednim przedsiębiorcom, którzy ukazują się tu i owdzie. Jedziemy wciąż po tej samej gładkiej przestrzeni, posianej kopcami bez liku. Na dalekim widnokregu czerwienią się w promieniach słońca elewatory. Czemu są na naszej równinie wieżyczki kościołów wiejskich, tem te wyniosłe budynki na polach Dakoty: panują nad obszarem. A jest ich mnóstwo, w jednej stronie oko spostrzega trzy, w innej cztery, takich uspołecznionych spichlerzy.

\*

\*

\*

Bryczki zwożą nas na czyjąś fermę, na której przyjmuje nas gromno młodych dziewcząt, córek okolicznych rolników. Typ to nieco odmienny od Amerykanki z miasta, mniej ruchliwy i więcej naiwny. Może wieś robi swoje, „a może działają wpływy pochodzenia, ojcowie ich bowiem uciekli z Europy i niejedna popisuje się jeszcze nie tęgą niemczyzną. W podwórzu rozbito olbrzymi namiot, pod nim ustawiono długie stoły. Zanim jeść podadzą, idę obejrzeć fermę, lecz prócz stajni, oraz domu mieszkalnego, nic naturalnie nie znajduję. Poczynam więc gawędzić z fermerami, których zjechało się kilkunastu. Są ubrani odświętnie, to znaczy: wielu z nich posiada różne znaczki przy surducie — masonskie. Niemal każdy najdrobniejszy fermer należy do loży farmazońskiej i nosi jej order. A związków tych musi być mnóstwo, bo kiedym w Grand Forks rzucił okiem na ogłoszenia w jednym z miejscowych dzienników, spotka-

tem wiadomość o blizkiem posiedzeniu aż kilku łóż masońskich z okolicy. Związki te zwykle są organizacją bardzo niewinnej natury: są stowarzyszeniami wzajemnej pomocy w chorobie i kiedy rodzice odumrą dzieci; niekiedy rozwijają działalność w kierunku samouctwa, zawsze zaś zbiorowej zabawy. Tem nie mniej tajemnica osłania łoże, zdradzana na zewnątrz znaczkami przy surducie i mundurami.. Ale czasami coś poważniejszego wydobywa się z tych związków. Wielki kapitał, upostaciowany w kolejach żelaznych i elewatorach, oraz w ringach spekulantów na giełdzie, daje się dobrze we znaki drobnemu fermorowi, którego skubie niezgorzej. Łoże masońskie, z natury rzeczy, stają się organizacją rodzącego się protestu. Niektóre z nich zakładają korporacyjne elewatory, mające walczyć z akcyjnymi—utopia, która skończy się bankructwem, inne stwarzają rzecz praktyczniejszą — korporację pracy. Związani solidarnością fermerzy z sąsiedztwa, w liczbie kilkunastu, naprzód pracują na jednej fermie, potem przechodzą do sąsiedniej. Spędziwszy dzień na robocie, wieczorem się bawią. W ostatnich czasach łoże stały się kolebką „populistów“, partyi, która w ciągu paru lat z nicości wyrosła do potężnego stronnictwa. Żąda ona upaństwowienia kolei i elewatorów, wydawania przez państwo zaliczek na zboże, kokietuje z grupami robotniczymi, przeplatając zdrowe a praktyczne aspiracje mrzonkami filantropijnymi, rojenia *à la* Proudhon i wybrykami ciasnego widnokągu umysłowego osady fermerskiej. Złożyłbym się, iż wszyscy ci drobni fermerzy, którzy nas przyjmują, są populistami, wówczas kiedy wielcy matacze przemysłowi, którzy nas przywieźli i im pokazują, przyznają się do zasad republikańskich. Dwie odmienne grupy interesów, dwa różne typy ludzkie i dwa odmienne stronnictwa polityczne!

Uczujemy pod namiotami: przy obiedzie nietylko niezbrakło mów, ale też trunków, jakkolwiek jesteśmy w stanie, gdzie alkohol bywa sprzedawany jedynie w aptekach, za receptą doktora. Ale dla nas zrobiono wyjątek z reguł prohibicyjnych. Na świeżem powietrzu rozwiązały się języki, może dla tego, że w przemówieniach rej wodzą przedstawiciele Ameryki południowej, którzy tną prosto z mostu co myślą. Są to wszystko postacie urzędowe, a jednak z ust ich wychodzą takie zdania, że obywatel ziemski w Niemczech sądził-by, iż ma przed sobą niebezpiecznego warchola. Jeden z nich, Urugwajczyk, profesor antropologii, urąga wprost stosunkom europejskim i piętnuje je w najokropniejszy sposób! Ale też nie mniej są ciekawemi oświadczenia mowców dakockich. Wielu z nich bez ogródki przyznaje się do tego, iż przed laty 15—20 przyszli z paru dolarami w kieszeni, obecnie zaś posiadają farmy, po tysiąc akrów rozległości. Któryś opowia-

da historię jakiegoś Kanadyjczyka: w r. 1885, jako wyrostek piętnastoletni, przybył on bez złamanego szeląga i pracował jako parobek, obecnie zaś ma 80 akrów własnych i 125 zadzierżawionych. Plony jego przeszłoroczne wynosiły 4300 buszli pszenicy, 1000 owsa i 300 jęczmienia. Spodziewa się, że za lat kilka będzie zamożnym fermerem, Zabiera też głos p. Larimore. Naturalnie opowiada o swojej fermie. Dowiadujemy się, że dochód z akru nie tylko pokrywa wszystkie koszty uprawy, lecz daje czystego zysku akurat drugie tyle, niekiedy zaś więcej. Później poczyną on filozofować. Ów przewrót techniczny, któremu przyglądaliśmy się w dniu dzisiejszym, jego zdaniem, pociągnie za sobą skutki w zakresie pojęć idejowych—z mowy możemy wynioskować, iż p. Larimore ma na myśli deizm panteistyczny przyrody i że uważa go za przyszłą filozofię łanów Dakoty.

Jeszcze uderza rzecz jedna: inny stosunek niż u nas pomiędzy chudopachołkiem, a obywatelem zamożnym. U jednego nie spostrzegamy uniozonej czolobitności, u drugiego pyszałkowatej zarozumiałości. W naszym gronie znajdują się fermerzy, posiadający po 16,000 akrów gruntu i tacy, którzy mają zaledwie po kilkaset, a zatem wielcy ziemianie i włościanie. Jednak są za pan brat z sobą, drobny rolnik klepie po ramieniu bogatego sąsiada i nie sobie nie robi z jego olbrzymich obszarów gruntu.

Larimore jest ostatecznym kresem naszej podróży. Korzystając z kwadransu czasu, jaki jeszcze pozostaje do odejścia pociągu, z kimś udajemy się do najbliższego elewatora, obejrzeć niektóre szczegóły w jego urządzeniu. Właśnie wjechał wóz ze zbożem, pudło zielonej barwy z ruchomą tylną ścianą, pszenica w niem leży bez żadnego przykrycia. Pewna część podłogi jest szalą wag setnego systemu. Wóz zajężdża na to miejsce i dozorca notuje ciężar brutto. Szala obraca się około osi, wraz ze stojącym wozem, tylne jego koła idą na dół, przednie do góry, za wozem powstaje otwór, odsuwają tylną ściankę pudła i ziarno naturalnym swoim ciężarem zsuwa się i spada do przestworów dolnego piętra. Pusty wóz zostaje znowu zważony. Dozorca z kwitariusza wydiera poświadczenie, że otrzymał tyle a tyle pudłów pszenicy i rzecz skończona. Może jeszcze dzisiaj winda parowa poniesie ziarno do góry i oczyści je z kurzu i domieszek, później spłynie ono rynnami do kadzi, z których jutro zsunie się do wagonu i pojedzie w świat daleki. Fermer pozostanie z kwitem w ręku, świadczącym, że taka to a taka kompania posiada na składzie u siebie tyle

to a tyle jego zboża, takiej-to nomenklatury. Jest on właścicielem ziarna, ale nie swego własnego, które już może będzie spożyte, gdy jego producent będzie sprzedawał komuś swoje plony. Nie dba on jednak o losy dobytku własnej krwawicy, wie bowiem, że w każdej chwili otrzyma to z powrotem, co złożył, co większa, dostanie w dowolnem miejscu za potrąceniem kosztów przewozu. A spółki elewatorskie są połączone pomiędzy sobą podobnie, jak u nas banki. Teoretycznie przeto istnieje możliwość, że nawet drobny fermer, nie opuszczając swojej okolicy, będzie sprzedawał zboże w Nowym-Yorku. Trzeba mu wtedy udać się do elewatora, w którym złożył zboże, oddać kwit i opłacić koszta transportu i telegramu, jeśli idzie o pośpiech, a związkowa kompania w New-Yorku wyda ziarno. Fermer trzyma gazetę z kursami i obrachowywa, gdzie i kiedy najkorzystniej będzie sprzedać swój produkt. Dużo znaczy to, że ziarno amerykańskie, skutkiem warunków terytoryalnych, odznacza się niezwykłą jednostajnością, wówczas kiedy u nas wygląda inaczej niemal na każdym folwarku. Elewator pobiera pewną opłatę za przechowywanie zboża i oczyszczenie, nadto odtrąca coś na możliwe straty, z powodu iż ziarno wysycha. Zastąpił on sobą nasze spichlerze, które uciekły z folwarków i stały się w społecznym podziale fachów łupem odrębnego procederu. To samo w miastach rozwój ekonomiczny zrobił ze stajniami, które przybrały wielopiętrowe rozniary: konie są przy pomocy windy podnoszone na czwarte i piąte piętro i tam przy wynajętym żłobie czekają rozkazów swojego właściciela. Nawet na wsi zjawiają się takie przedsiębiorstwa: mły z północnej Dakoty są oddawane, w porze zimowej, na przechowanie do stepów. Wieś zostaje ogołoconą z oddzielnych swoich budynków i rozkłada się w wirze społecznego podziału pracy.

\*

\*

\*

*28 sierpnia, w pociągu kolejowym.*

Pociąg rusza z powrotem. Dojechaliśmy do krańców stepu pszennego, na widnokręgu bowiem oko nasze spostrzega pasma wzgórz—tam nie uprawiają już pszenicy, lecz zajmują się jedynie hodowlą bydła. Oko, znużone oglądaniem tego samego ścierniska, odwraca się od krajobrazów, jakie przesuwają się przed oknami wagonu. Przerzucam różne świstki, jakimi nas obdarowano, abyśmy wiedzieli, czem jest Dakota.

Osobliwy zakątek ziemi! Posiada w obecnej chwili wszystkiego 200,000 miesz. z której-to liczby przynajmniej 10% trzeba odciągnąć na ludność miejską. A ileż jeszcze odejdzie na dzieci i kobiety, które w gospodarstwie rolnem nie biorą udziału? Ta garstka wyprodukowała w ubiegłym roku aż tyle pszenicy, że na każdego mieszkańca—bez względu na wiek i płeć, pobyt w mieście lub na fermie—wypadło 200 dolarów brutto. Dodajmy teraz wartość innych plonów z ziemi i z obory, gdyż druga wzgórzysta połowa Dakoty wytwarza zgoła inne produkta. Wydajność pracy ludzkiej jest zatem bardzo znaczna! A pochodzi ona nie tylko z bogactwa i urodzajności gleby, niemniej zawdzięcza sporo tym żelaznym ramionom, które chwytają kłosy, owym brzytwom, które je ścinają, i innym potworom z żelaza, zawazanym przez rolnika do pomocy. Na równinach Dakoty wchodzi zorza nowej przyszłości w rolnictwie. Wszystko tam inaczej odbywa się i inaczej wygląda. Weźmy chociażby tamtejszą osadę włościąską, t. j. taką, której właściciel uprawia grunta własnoręcznie i nie najmuje siły roboczej postronnej. Wynosi ona, mniej więcej, do 160 akrów, t. j. około 5 włók na swojską miarę. Żniwiarko-wiązarka w ciągu dnia jest zdolną skosić zboże z 20 akrów i związać w snopy. A zatem fermer, skoro ma syna wyrostka do pomocy, w ciągu czterech dni może uporać się ze żniwami, pracując tylko ośm godzin dziennie. Robotą, która tyle troski przysparza naszemu rolnikowi, nie sprawia tam żadnego kłopotu. Kiedy zaś zboże spoczęło w kopcach, zjeżdża wtedy przedsiębiorca mechanik i jeżeli urodzaj jest bardzo dobry, będzie potrzebował trochę więcej nad dwa dni do wymłócenia całego plonu. Fermer jest tylko widzem. Najmudniejszą pracą jest orka. Plug uchodził za najbardziej zachowawczy sprzęt w gospodarstwie rolnem, postęp techniczny jakoś nie mógł z nim dać sobie rady. Ale też i dla niego wybiła godzina! Na wielkich fermach poczynają na wielką skalę zastosowywać plug parowy. Wóz parowy ciągnie za sobą sześć lemieszów i odrazu odwala spory zagon ziemi. Dla drobnej osady jest to narzędzie za kosztowne, chociaż z czasem pojawia się też na jej gruntach. Naturalnie, fermer nie sprawi sobie takiej drogiej maszyny, to byłoby istnem szaleństwem, na jakie pozwolić może sobie tylko ten i ów „postępowy“ obywatel w naszym kraju. Znajdzie się obrotny przedsiębiorca, który podobnie będzie z plugiem objeżdżał drobniejsze fermy, jak to dzisiaj dzieje się z młocarnią. Wtedy na upartego nawet dziewięć-włokowy, lecz poblogosławiony liczną rodziną fermer, zdoła obejść się bez parobków! Zaprawdę, dziwne dążności kiełkują na polach Dakoty! Jak niegdyś ubywała gospodyni jedna czynność domowa po drugiej, porwana przez rozszerzający się

wir społecznego podziału pracy, tak dzisiaj podobny proces odbywa się na fermie amerykańskiej. Mechanik wyzwolił gospodarza rolnego od młocki—jest on mieszczuchem i tylko podczas paru tygodni przebywa w polu, bo nie ośmielał się powiedzieć: na wsi; zamiast stodół i spichlerzy, wznoszą swoją cudacką postać elewatory; wreszcie może rolnikowi ubędzie orka i równie dostanie się w ręce kogoś z miasta! Przewrot to doniosły i daleko prowadzący! Ongi, w czasach średniowiecznych, wieś stanowiła podstawę ustroju społecznego, miasto było małego znaczenia, służyło za rezydencję dla władzy świeckiej i duchownej. Tutaj, na dalekim zachodzie, dzieje się przeciwnie, wieś bowiem rozplywa się w mieście. Bo te techniczne ulepszenia stwarzają pustkę na wsi; fermer, siedząc w ustroniu, dąży ku ogniskom, gdzie znajduje z rozrywkami towarzystwo i zwolna mieszczenieje duchem. Powtóre, skoro najważniejsze roboty sprawiają ludzie, przybywający z miasta na czas jakiś, wtedy starodawny rolnik, taki, który hoduje jedynie zboże i siedzi na fermie, staje się piętą kołem u woza. — To też ucieka zimą z fermy i muły oddaje na przetrzymanie innemu przedsiębiorcy. Czyż więc nie może nastać taka chwila, że na całym stepie nie zoczy my ani jednej chatki, i dopiero z wiosną zostaną tam rozłożone namioty i przyjdą tłuszcze z miasta pracować w polu i używać czystego powietrza? Już dzisiaj—tylko że nie dla powietrza—przybywają w ten sposób najemnicy, sprowadzani przez wielkie fermy. A folwarki łączne są prowadzone już dosłownie w taki sposób. Na przestrzeni wielu mil kwadratowych nie usłyszysz w ciągu całego roku głosu ludzkiego; dopiero w czerwcu zjawiają się robotnicy, zbrojni w kosiarki, automaty ładujące, prasy do wyciskania cegieł, i po paru tygodniach gwaru znowu na kobiercu trawy zapanowuje cisza z pustką.

\*

\*

\*

Rzucam okiem na stepy. Dość było dwóch dni, a już spostrzegamy widoczne zmiany w rozścielającym się przed nami krajobrazie. Uprzątnięto trupy ze ściernisk, zamiast nich sterczą sterty słomy. Gdziekolwiek spojrzemy, wszędzie na widnokregu dymią się młockarnie. Siedząc w oknie, naturalnie widzę ściernisko tylko z jednej strony, ale ilekroć powiodę okiem, naliczam jeden i drugi i piąty słup dymu. To młockarnie. Maszyna parowa przy młócccę przestała być rzadkością w naszej części świata, ale nie ma tam tak powszechnego zastosowania. Tutaj w Ameryce w całej pełni nastał wiek pary! Ba, nie tylko pary, lecz nawet elektryczności. Bo już oglądałem motory

elektryczne, zastosowywane do niektórych robót gospodarskich, np. do sieczkarni. Technika marzy nawet o zastąpieniu konia przez ten sam motor. Może więc ukażą się wozy elektryczne, zwożące zboże...

\*

\*

Pociąg zatrzymał się w gołym polu. Jedyne elewator stoi w tem miejscu, gdzieśmy się zatrzymali. Mnóstwo bryczek czeka na nas i wiezie ku dymiącej się w pobliżu młockarni. Na widnokregu czerwienieją budynki folwarczne, nad polem panuje wysmukły, niby chojak, elewator, i kłębami dymu zanieczyszcza wiejskie powietrze. Naszemu pochodowi przez pola towarzyszy grono młodych Amerykanek, prawdopodobnie ze znajdującego się w pobliżu miasteczka Hillsboro—na welocypedach. Jesteśmy wreszcie przy maszynie, która łuczy i wyrzuca z siebie kłęby pyłu. Wszędzie na widnokregu dymią się słupy, wychodzące z podobnych potworów. Biorę lornetkę do ręki i liczę. Część jedną widnokregu zasłonił obłok kurzu i dymu, unoszący się nad młockarnią, inną—gaik, zasadzony ręką ludzką. A jednak naliczyłem aż 13 słupów, niektóre w takiej bliskości, iż mogę dojrzeć kominy. Trzyście maszyny na przestrzeni, którą oko może objąć na płaszczyźnie! Obfitość taka stanowi charakterystyczny rys widoku.

Jesteśmy na gruntach jednej z sekcji fermy akcyjnej Dalrymple'a, cieszącej się dzisiaj sławą wszechświatową i wciąż stawianej za wzór posuniętego nowoczesnego rolnictwa przemysłowego. Posiada ona 70 tysięcy akrów ziemi, w tej liczbie 30 pod orką! Służy na niej istotna armia najemników, zorganizowana po wojskowemu; zamiast naszych włodarzy, mamy mechaników, wiedza zaś czysto agronomiczna najmniej tu potrzebna. Bo gospodarstwo też odznacza się niezmierną prostotą. Z roku na rok wiosną orzą te same pola, bez nawozu; maszyna rozrzuca jare ziarno, które pod działaniem długich dni, właściwych okolicom tej szerokości geograficznej, już w drugiej połowie sierpnia może być koszone; maszyna też sprząta zboże i młóci. Płodozmiany nieznanne, ani inne wynalazki tak zwanej postępowej gospodarki. Zresztą nie wiele oglądamy z rozpowiadanych cudów. Stoimy przed parową młockarnią, która pono ma być doskonałością techniki, bo żadna dla swego działania nie wymaga tak małej ilości sił roboczych. Czyste ziarno spada do wozów, które natychmiast odjeżdżają do pobliskiego elewatora i rzucają je tam do jego czeluści. Takich spichlerzy znajduje się kilka w majątkach Dalrymple'a i wszystkie stoją przy torze kolejnym.

Nie długo siedzimy na jednym miejscu. Bryczki nas wiozą o parę wiorst dalej, pokazać jeszcze inną młockarnię. Po co, doprawdy nie wiem, chyba, że Amerykanie chcą nas przekonać, że para zupełnie zapanowała na polach Dakoty. Grono pań towarzyszy nam na welocypedach, lecz później znika z oczu. Kilkanaście tych sprzętów stoi przy elewatorze. Welocyped, będący u nas tylko zabawką, w Ameryce stał się narzędziem praktycznego użytku: w Newarku widziałem listonoszów, rozwijających na nim korespondencyę.

\*

\*

\*

Jedziemy znów koleją. Słońce kryje się za widnokrzem. Jego tarcza schowała się już do połowy, i pozostała krawędzią oblewa ścierniska czerwawem światłem. Ale jeszcze ono nie zagaśło, a już w różnych punktach na ziemi poczynają buchać olbrzymie stosy. Płomień wybucha w jednym miejscu, przesmykami biegnie dalej, obejmuje tam nową stertę, aż wreszcie rozlegle podnosi się luna. To malcy rozpoczynają swoje igrzyska nocne na stepie pszennym! Wymłócona słoma, stercząca wałami dokola młockarni, zostaje przez nich podpalana. Popiół będzie jedyną mierzwą, którą człowiek odda stepowi w zamian za plony. A im mniejszy okrawek słońca czerwieni się nad widnokrzem, tem więcej dymi się takich ognisk. Tylko co przejechaliśmy przed jednym ze stosów. Niebo jest czerwone łunami pożarów, w bliskości na widnokrzem migocą niepewnym rzędem drobne ogniki. To wszędzie palą się sterty. Przed paru jeszcze tygodniami rozpościerał się, na dziesiątki mil wszcz i setki wzdłuż, zwarty łan pszeny; w ciągu paru dni żelazne automaty ścięły go i usłały ściernisko trupami bez liku, jeszcze później dymić się poczęły na stepie tysiące parowych młockarni, aż wreszcie nadeszła godzina pożarów! Gospodarstwo iście koczownicze.

\*

\*

\*

28 sierpnia. Hillsboro.

Drobna stacya, licząca kilkaset mieszkańców. Już zmierzeli dobry rozpostarli się nad ziemią, kiedyśmy w niej się znaleźli. Mieścina wystąpiła z przyjęciem, przypinając wstęgi, na których złożony jest sноп pszenicy ze statystycznym wykazem rocznych plonów na fermie Dalrymple'a. Naturalnie, że nawet w tej amerykańskiej



Kiernozie istnieje klub, który pośpieszył otworzyć dla nas swoje podwoje. Wśród nocy zaledwie mogę odnaleźć chodnik drewniany; stąпам po nim ostrożnie, bo zszedłszy, znalazłbym się w pośrodku kałuż, dolów i chwastów. Rzędem stoją drewniane budy. Któs pokazuje mi, gdzie klub się znajduje—drewniany domek, wyższy od innych, którego całe pierwsze piętro jest zajęte pod salę. Izba obszerna, z estradą, na której stoi fortepian; publiczność farmerska, mężowie z żonami, u których na kolanach tu i owdzie wrzeszczy małe bobo. Jak na taką osadę, klub to bardzo okazały, świadczący wymownie o wartości amerykańskiego życia publicznego. Tutaj-to odbywają się zebrania polityczne i posiedzenia łóż masonskich, tutaj właścianie-farmerzy zbierają się na zabawy, lub pogawędkę. A może któryś z tych ogorzałych, rubasznych farmerów zamysła o urządzeniu w porze zimowej popularnych wykładów uniwersyteckich! Oświata bowiem w Ameryce zstępuje ze swoich wyżyn mandaryńskich i, zniecierpliwiona, że do niej idą powoli, sama udaje się na spotkanie tłumów. Indyana i Wisconsin już dawniej, za nimi zaś Minnesota, pokrywają się siecią tak zwanych „farmerskich instytutów“, stanowiących jakby latający uniwersytet włóściański. W miasteczkach, jak Hillsboro, sąsiednie uniwersytety zakładają podczas zimy filie, wykłady są prowadzone w sposób popularny, ale systematyczny, farmerzy, wolni od robót, zjeżdżają z żonami i dziećmi, uczą się i bawią, słowem, używają przyjemnie a pożytecznie wczasów zimowych.

Zdaje się, iż jestem na tropie źródła tej uprzejmości, z jakiej korzystamy. Matadorzy przemysłu i władze, które nas podejmują, należą z przekonaniem do partji Mackinleya i przy naszym ogniu obracają swoją pieczeń. Farmer dalekiego zachodu szemrze przeciwko możnowładcom kolejowym, ale obu łączy wspólność interesów. W Dakocie i tych nowo powstających ogniskach kultury życie jakby uwzięło się dowieść, że renta ziemna jest nie owocem zapobiegliwości właściciela, ale plodem postępu społecznego. Każdy osadnik, który już usadowił się na tej ziemi, troszczy się jak najusilniej o to, ażeby potok ludzki, przybywający z daleka i rozlewający się w sąsiedztwie, pozostawił możliwie grubą warstwę po sobie. Im więcej bowiem przywędrowało kolonistów, tem snadniej ceny gruntów podnoszą się, i to, co wczoraj grosza nie było warte, dzisiaj jest cenione na złotówki. Rząd każdego nowego stanu wydaje poważne sumy na reklamy, które winny ściągnąć wychodźców. I my też jesteśmy pono przywiezieni po to, abyśmy w najdalszych zakątkach globu roztrąbili sławę lanów Dakoty i szansę *of moneymaking* na tamtejszej pszenicy. A ci, którzy nas wiozą, popisują się swoją zapobie-

gliwością o dobro publiczne przed wyborcami: „patrzcie, jak dbamy o was, wybierajcie nas jesienią do kongresu!“ Bezwarunkowo, jesteśmy maryonerkami, tańczącymi na arenie agitacji politycznej i sami o tem nie wiedząc, miewamy mowy ku większej korzyści republikańców i ich celnej polityki, oraz podnosimy zasługi miejscowych matadorów tego obozu. Gdzie publiczność była wrażliwszą i rozumiała rzucane półsłówka, tam niepodobna było tego dostrzedz. Ale w Hillsboz przyjmują nas włościanie, bądź co bądź, nawet w Ameryce wymagający, aby im kładziono mądrość łopatą do głowy. Nasi więc opiekuni amerykańscy wcale niedwuznacznie odsłaniają swoje karty i wypowiadają ufność, że fermerzy odpłacą im wdzięcznością za tyle dbałości o ich dobro.

\*

\*

\*

*30 sierpnia w wagonie kolejowym.*

Smutnie wygląda step pszenny, kiedy został zgolony! Zniknęło złociste morze falującej pszenicy, niema już trupów, sterty poszły z dymem. Prerya swobodna od dźwigania na sobie cywilizowanej szaty, upomina się o swoje odwieczne prawa i ściernisko poczyna trawą porastać. Horda najeźdźców, która przed 20-u laty zwała się do stepów i wygnała bawoły, uwija się szybko. A kto wie, jak długo zatrzyma się ona na tym popasie! Gospodaruje jak rzeźwioszek, zabiera gruntom soki, na których nagromadzenie pracowały stulecia; lekkomyślnie i bez zwrotu, rozprasza je po dalekim świecie. Uczeń agronomowie dakockiej stacyi doświadczałnej, mający na widoku interesy dalszych pokoleń, chciałiby tej hordzie nadać instynkta osiadłego trybu życia, odwieść od uprawy jednej tylko pszenicy — na tej zasadzie, że taka jednostajność zanadto wycieńcza grunta. Nie wiem, jaki skutek odniosą te podszepty, bo, jak na dzisiaj, farmer po dawnemu uprawia wyłącznie pszenicę, świadom tego, że póki żyw, gruntom nie zbraknie urodzajności. A pótem? — Na daleką przyszłość zapatruje się on według maksymy Ludwika XV. Przeworniejsi oglądają się, czy nie dojdzie ich wieść o urodzajniejszych terytoryach, gotowi wywędrować, podobnie jak to już nieraz uczynili. Osada jest dla nich tylko namiotem.

A jednak to plemię koczowników, tak energiczne w porównaniu z naszym rolnikiem, znalazło przecież panów nad sobą. Nasz niezarażony włościanin miota się w pajęczynie drobnomiejsczkowego lichwiarza-przekupnia, fermer amerykański — możnowładców kapitału. Te

elewatory, których paręset widzieliśmy, są oczkami sieci pajęczej; koleje któremi jeżdżemy, jako nici, biegną od jednego oczka do drugiego i służą do odpowiedniego celu. Przekupnie zboża, młynarze i kolejarze solidarnie powiązali się w tajne kartele i pospołu spiskują przeciwko fermerom. Elewatory łączą się wzajemnie, są spółki akcyjne posiadające z górą setkę takich uspołecznionych spichlerzy. Spółki te zmagają się z sobą i z kompaniami młynarskimi, wszystkie zaś z kolejami. Ci sami bowiem kapitaliści posiadają akcyje pozornie niezależnych od siebie towarzystw! Tym spiskom przysłuchuję się obecnie do przesytu. Towarzyszą nam różni potentaci: jakiś dostojnik drogi, po której jedziemy, jakiś możnowładca z branży młynarskiej, nie brakuje też przedstawicieli spółek elewatorskich. Ścisła zażyłość łączy ich wzajemnie. Kiedy rozsiądą się w wagonie obserwacyjnym, całemi godzinami słyszę, jak rozmowa się obraca około fermera i sposobów zapuszczenia ręki do jego kieszeni. A na czele tej zgrai plutokretów idą koleje. Każda osada, licząca więcej nad 200 głów ludności, jest w Dakocie stacją! Stan jest porznięty, niby szachownica, siecią równoległych torów; każda spółka kolejowa z góry zapobiega, ażeby inni kapitaliści nie uprzedzili ich i nie zajęli posterunku, i jeszcze nim potok ludzki rozleje się w pewnym kierunku od głównej linii, budują bocznice. Akcyonaryusze kolei, są też głównymi akcyonaryuszami spółek elewatorskich. Taką jest potęga, z którą zmierzyć się musi fermer: energiczny i ruchliwy, znajduje pajaków jeszcze zręczniejszych. Rzecz odbywa się grzecznie, z zachowaniem możliwych uprzejmości, pajak wysysa muchę, ale jednocześnie podsuwa jej różne słodycze. Kolej np. podniesie taksę o pół centa na przewozie buszla pszenicy, lecz przywiezie cudzoziemców, których będzie pokazywała fermerom, jak gdyby były to zwierzęta z menażeryi, i będzie tłumaczyła, że ci swojemi opowieściami o cudach dakockich sprowadzą potok nowy osadników, przybysze zaś przyczynią się do podwyższenia ceny gruntów już uprawionych. Czyż za taką troskliwość nie warto dorzucić miernego pół centa?... Zresztą pajaki odznaczają się niezwykłą inteligencją. Wiedzą, że drobnych muszek nie warto chwycić. Budują więc kolej przez prerye, z których olbrzymi pas dostają od rządu na rzecz swego przedsiębiorstwa, przewożą osadników z rzeczami i sprzętami po cenach kosztu, ustanawiają niskie ceny, póki fermer jest na dorobku. Ale kiedy pustkowiem zamieniło się już na zakątek kulturalny, wtedy poczynają śpiewać inną piosnkę rolnikowi.

Wracamy do Chicago pośpieszuie, odpoczęliśmy jedynie godzinkę w Fargo. Niedawno zgorzało ono do połowy, ale, zamiast zgłiszczy i nędzy, znaleźliśmy setki murarzy na rusztowaniach—Fargo niebawem smartwychwstanie murowane. Tonie ono w zieloności—istny park rzekłbyś! Było to rankiem, obecnie jest już pod wieczór, a my nie zatrzymaliśmy się nawet na jednej stacyi. Jedziemy po linii, która się ciągnie równolegle do poprzedniej drogi i należy do tego samego towarzystwa akcyjnego. Miejscami idzie aż trzy, cztery i nawet pięć takich równoległych torów. Przerzynamy okolicę, pełną jezior, a którą jużesmy poznali z innej krawędzi. Od stacyi Morris pola orne niemal ustały, trawa porosła pagórkowate blonia, już nieco żółtawą. Niekiedy długiemi szlakami idą złote kobierce,—to jakieś kwiecie tak ubrało łąki. Tylko gdzie niegdzie oko zoczy niewielkie półko: snopy leżą, a ściernisko już zarasta trawą i gdyby nie kopce, nie odróżnilibyśmy go od łąki. Fermi bieleją z pomiędzy gajów, tu i owdzie przy nich rozsiadły się stogi siana, niekiedy widać cegły z niego zrobione. Na kwiecistych kobiercach pasie się kilkanaście i kilkadziesiąt krów. Jesteśmy zatem wśród obszarów, które wyspecjalizowały się w produkcji nabiału, podobnie jak okolice rzeki Czerwonej—pszenicy. Osady mleczarskie i fermy, trudniące się opasem bydła na rzeź, usadowiły się przy sobie setkami; pomiędzy nimi podnoszą się małe kominy fabryk masła i sera, przerabiające mleko sąsiednich osad. Wogóle specjalizacya zagnieździła się w rolnictwie amerykańskim: potworzyły się obszary, produkujące jedynie nabiał, inne, które wysyłają na rynek tylko siano, jeszcze inne —bydło na rzeź albo pszenicę. Są okręgi owocowe, warzywne. Agronomowie europejscy wciąż doradzają kulturę wszechstronną, każą jednoczyć uprawę roli z hodowlą bydła i produkcją nabiału, obok dworu zakładać ogród owocowy. Za morzem rad takich nie dają, bo ichby nie słuchano. Rozwinięte środki komunikacyjne pozwalają na to, że w porzeczu rz. Czerwonej uprawiają jedynie pszenicę i jedzą na wsi mięso z bydła stepowego, że w innych terytoryach trudnią się tylko produkcją nabiału i w zamian kupują mąkę. Gruntu zdadnego pod łąkę pod nic innego tu nie używają na przestrzeni setek mil kwadratowych. Specjalizacya doszła nawet do tego, że istnieją fermy, zajmujące się jedynie hodowlą kurcząt, niczem innym. Gospodarstwo „rolne“ w zupełności utraciło swój naturalny charakter, w jakim przez tyle wieków kroczyło—żyje ono ze sprzedaży i produkuje na sprzedaż, prócz swego specjalnego produktu nie wytwarza w swoim łonie, lecz wszystko to kupuje. Nawet produkując pszenicę, spożywa mąkę kupowaną.

\*

\*

\*

Godzina jazdy, najwyżej dwie przedzielają nas od Mississipi. A im bliżej jesteśmy tej rzeki, tem powabniejsze widoki roztaczają się przed nami i przyroda wabi ku sobie pełnemi wdziękiem pejzazami. Znajdujemy się w okolicy naturalnych parków. „*Park Region*“ nazywa się to terytorjum, które darzy nas takimi krajobrazami. Powierzchnia gruntu poświadczona jest w tysiące wzgórz i tysiące kotlin, w których ukryły się liczne jeziora, prawidłowo okrągłej formy. Ciągną się one z przerwami po obu stronach toru kolejowego od paru godzin i będą nam towarzyszyły jeszcze długo, srebrząc się w zielonej oprawie łąk i gajów.

Pociąg wjeżdża na most, przerzucony po-nad tonią. To jezioro Minnetonka, niestety, swoją nazwą nic a nic nie mówiące cudzoziemcowi, lecz sławne w całej zamorskiej rzeczypospolitej. Zatrzymujemy się i wysiadamy, bo parowiec czeka na nas w przystani, ażeby pokazać nam uroki tutejszej przyrody. Po drodze dostajemy niewielkie mapki okolicy—reklama jednego z miejscowych hoteli, użyteczna dla nas i korzystna dla zakładu. Wyobraźmy sobie mnóstwo jezior mniejszych i większych, rozsianych w pobliżu, pomiędzy którymi swawolna przyroda wyżłobiła cieśniny, czego zaś ona nie zrobiła, tego dokonała sztuka ludzka. W ten sposób, z połączenia wielu zbiorników powstała ton Minnetonki. Jezioro więc posiada zaiste fantastyczne kształty, nawet wyobrażenia, najbardziej rozszalała, z trudnością nakreśliła-by cudaczniejsze kontury. Wyspy i wysepki sterczą z pośród wód, to znowu w łono jeziora wrzynają się półwyspy potwornej postaci, rzekłbyś, ktoś wziął potężne a pełne odnóg drzewo i według tego wzoru ukształtował te języki ziemi. To też przejażdżka po powierzchni obfituje w niespodzianki. Statek pruje ton przezroczystą, zda się zamkniętą zewsząd. Ale parę uderzeń koła i przed nami otwiera się cieśnina, i oko, ślizgające się po niej, spostrzega inne niezmierzone zwierciadło, mieniące się w promieniach zachodzącego słońca. Z jednej odnogi mkniemy do drugiej, z ramienia do ramienia. Brzegi jakby igrały z nami: zbliżają się tuż do siatki, parę chwil i już umknęły het daleko, wygięte w prawo i w lewo. A zachodzące słońce do tej fantastyczności dorzuca nową. Długie cienie pobiegły od pagórków i języków, również poszarpane i pokrzywione, i to, co było długie, staje się jeszcze dłuższem.

A o lepsze z siłami przyrody staje do walki sztuka ludzka. Amerykanin umie korzystać z powabów natury i w pogoni za grosi-wem nie zatracił poczucia jej piękna. Z pośród bujnej zieloności wyglądają wille i domki, rozrzucone wzdłuż brzegów podobnie fantastycznie, mieszają się z gąszczami, przegładają w toni, to znowu pochowały

się w osłonie leśnej pod drzewami i tylko ścieżka ku wodzie i ławka na brzegu zdradzają ich obecność. Akurat naprzeciwko nas rozsiadł się olbrzymi hotel, niesmacznie oryginalnej struktury, z dachem podobnie poszarpanym jak brzegi jeziora, a którego czteropiętrowe miejscami fronty, zdaje się, że są tuż przy ziemi, tak wysokość maleje wobec potwornej długości zrębu. Naturalnie o komforcie mówić nie potrzebujemy,—jest to rzecz nieodłączna od tego rodzaju zakładów. Takich hoteli, urządzonych według najnowszych wskazówek techniki, stoi około tuzina nad wodami Minnetonki. Jedne z nich usadowiły się na przesmykach, inne ośmieliły się nawet wleźć na drobne wysepki, lecz zawsze są podobnie sporych rozmiarów, po sto i nawet kilkadziesiąt numerów — naturalnie prócz salonów, czytelni, nawet sal dziecięcych. I państwo też nie zapomniało o swoich obowiązkach, odsadziło bowiem prywatnych *businessmenów* od nakładania haraczu na powaby przyrody. Różne półwyspy i wysepki zajęło ono pod parki publiczne, tem samem uczyniło je dostępnymi dla każdego. Wogóle jest to zasadą w Stanach Zjednoczonych, że rząd unarodawia zakątki, sławne z swej piękności. Między innymi dokonano w tym kierunku dzieła, które tylko tutaj, w Ameryce, jest możliwe. W kącie północno-zachodnim Wyomingu założono park narodowy, przestrzeni nie o wiele mniejszej od stanu Connecticut nad Atlantykiem. Pono glob ziemski nie wiele liczy podobnie uroczych kryjówek. W pośrodku dzikiej kotliny górskiej, rozlało swe wody jezioro Yellowstone. Nad niem piętrzą się góry, porznięte w cudackie baszty, twierdze i wieżycy i poprzedziane głębokimi wąwozami. Górskie potoki i wodospady, liczne gejzery, idące tarasami gęste lasy, słowem najrozmaitsze żywioły, złożyły się na podniesienie powabów tego parku, „*National park*“, jak z dumą mówi yankee, czujący, że nikt prócz niego nie zdobył się na ideę unarodowienia przyrody na tak wielką skalę. A w parku zakładano hotele, tory kolejowe do niego biegną i z każdym rokiem wznoszą się w liczbie, komfort się sadowi. Pedagogzy przebąkują o tem, aby dziatwa z całych Stanów Zjednoczonych zjeżdżała tam na lato, żyła w namiotach i studyowała przyrodę, ćwiczyła swoje mięśnie i urządziła olbrzymie sejmy.

Wracajmy jednak do skromnej naszej Minnetonki. Na wybrzeżu bieleją przystanie i odpoczywa bez liku czółen i yachtów. Minął już sezon i chłód daje się już dobrze we znaki. Gdyby nie to, inny sportstrzeżlibyśmy widok. W lipcu bywa tutaj gwarno, na brzegu tej i drugiej odnogi wznoszą się obozy amatorów rybołówstwa, nad wodami rozlega się muzyka i okrzyki wiosłarzy, nawet letni uniwersytet na jednej z wysepki prowadzi swoje wykłady.

1 września. Milwaukee.

Ostatni popas! Milwaukee leży na ziemi amerykańskiej, ale nie yankee je zamieszkał. Niemcy skandynawscy i Polacy złożyli się na ludność która przenosi z górą 200 tysięcy głów. Prócz handlowej, inne dzielnice kapią się w zieloności. Omyliłem się, bo jeszcze jeden wyjątek należy zrobić od tej zasady: „parafie“ polskie. Właśnie z karety widzę jedną jak na dłoni. Małe drewniane domki tułają się do siebie, jak gdyby obawiały się amerykańskiej samotności. Uderza mnie ich struktura, której przypatrzyłem się zresztą już w Buffalo. Do piętrowego budynku przytyka drugi, tej samej szerokości, lecz niższy, do tego zaś trzeci, jeszcze niższy. Rzekłbym, parę szczebli, wyjętych z olbrzymich schodów. Któs mi dał klucz do tej tajemnicy: każdy z tych stopni powstawał w innym czasie, w miarę tego, jak gospodarz porastał w pierze. Zdaje się tłómaczenie to dobre nie dla wszystkich przypadków, bo ot ktoś buduje dom odrazu w postaci schodów. Może późniejszy przybysze, zastawszy taką strukturę, nie dociekali powodów, lecz wręcz rzekli sobie, że takim już jest zwyczaj „nowego kraju“ i jęli naśladować, aby nie zdradzili się, iż są *greenerami*. A w otoczeniu tych drobnych domków, na tem większego olbrzymia wyrasta świątynia pańska i ta nieproporcjonalnością swoją nadaje obrazowi widok, nie licujący z duchem amerykańskim. Zwłaszcza rażą ciężkie, niezgrabne wieże. Ale nie lekceważmy tych wież. Nasz rodak amerykański posiada swoją ambycję i dba o to, aby go w „nowym kraju“ nie wzięto za byle kogo. Żrenicą tej ambycyi są właśnie takie wieże. Pochłaniają też one ogromne sumy. Owa świątynia, którą oglądałem, kosztuje — jakem później się dowiedział — z górą 80 tysięcy dolarów, z tej zaś kwoty około 30 poszło na wieżyce.

Kolonia w Milwaukee należy do najwplywowszych. W r. 1867 znajdowało się tutaj wszystkiego 30 rodzin, które nie zawahały się przystąpić do budowy parafii, oddając pod zastaw swoje majątki. Jadący w tej samej ze mną karecie Niemiec, miejscowy dziennikarz, udziela mi różnych szczegółów. Dowiaduję się, że obecnie znajduje się tutaj do 5000 rodzin polskich, żyjących własnymi parafiami. Opowiada on, iż nasi ziomkowie wogóle odgrywają w życiu politycznym miasta rolę bardzo znaczną. Znaleźć ich możemy na najwyższych posadach publicznych, nawet w gronie senatorów. Mają się dobrze, większość ojców posiada własne domki, pracują głównie przy budowie domów, kanałów, oraz zajmują się ładowaniem towarów w porcie. Dokoła miasta wielu z nich jest fermerami. Świa-

dectwo to człowieka postronnego więcej jest warte, niż przechwałki współziomków. Dodam, że w szkołkach parafialnych znajduje się 4000 dziatwy, że w tym roku założono wyższą szkołę, gdzie będą wykładali, prócz polskiego, języki: niemiecki i angielski, matematykę i fizykę, oraz stenografię, buchhalteryę i umiejętność pisania na *type writer'ach*. Nauczycielami będą zakonnicy. Muszę zaznaczyć, że personel nauczycielski jest za szczupły i mało przygotowany,—45 sióstr i 5 nauczycieli na 4000 dziatwy, to nieco za szczupło!

\*  
\*                      \*

Milwaukee posiada jeszcze świeżą pamięć o swoim początku. Nad jeziorem, tam gdzie rozpoczyna się najpiękniejsza dzielnica, stoi posąg pierwszego kolonisty, który osiadł w pustkowiu i dał początek miastu. Nieco więcej nad pół wieku przedziela nas od tej chwili. Mimowoli poczynamy rozmyślać nad historią miast amerykańskich i nauką, jaką z niej może czerpać obywatel. W ciągu paru dziesiątków lat drobne osady zamieniają się na ludne ogniska ruchu handlowego. Całe dzielnice powstają w lat kilka. To też krzywych, nieregularnych ulic nigdzie nie spotkasz, chyba wyjątkowo natrafisz na coś podobnego. Są one zawsze prościutkie, szerokie, spotykają się pod prostymi kątami. Człowiek z góry wyznacza miejsce na ulice i nawet oblicza odległość pomiędzy nimi i dopiero później je zabudowuje. Ma jeden tylko kłopot — z nadaniem nazwisk tym ulicom, rodzącym się jak grzyby po deszczu. Wszak trzeba ochrzcić jedną i drugą setkę tych arteryi ruchu; historia Stanów Zjednoczonych wyręcza Amerykanina w tym kłopotcie. Patryotyczni ojcowie każdego miasta powyciągali z podręczników wszystkich prezydentów i wice-prezydentów, nie zapomnieli nawet o wybitniejszych wojakach i ich nazwiskami ozdobili ulice. Nie znając jakiegoś miasta, z góry możemy zawsze wymienić nazwy paru ulic i nigdy nie omylimy się! Naturalnie ulice idą po sobie w tym porządku, w jakim następowali prezydenci. Ale tego materiału nie wystarczyło dla ochrzczenia wszystkich ulic w takich ogniskach, jak New-York, Filadelfia i inne wielkie miasta. Wynaleziono przecież na to radę, a zrobiono to w sposób, który zerwał z wszelką tradycją, a świadczy, że miasta amerykańskie nie powstawały zwolna w ciągu wieków, lecz że ulice wyszły jednego dnia całym batalionem z mózgu ludzkiego i zostały ochrzczone jeszcze przed swoim narodzeniem. Zwrócono się o pomoc do alfabetu i wzięto kolejne cyfry. W Chicago i w Nowym-Yorku takie dzielnice cią-



gną się na przestrzeni wielu mil kwadratowych. Patrząc na nie, odrazu odnajdujemy tam rękę ludzką. Rozumiemy, że te części miasta tworzyły się tak, iż woła ludzka od początku przewodniczyła ich porodowi! Razi to przybysza z naszej części świata. U nas wszystko wykluwało się powolnie i potrzebowało wieków, a każda epoka położyła swoje znamię na ulicy i zostawiła jakąś spuściznę, opowiadającą o dziejach miasta. My nie czujemy tego, bośmy przywykli, i dopiero za Atlantykiem uświadamiamy sobie tę różnicę. Zresztą uskarżać się na monotoność zamorską nie mamy powodu, jest bowiem bardzo wygodną — po dniu jednym i drugim orientujemy się już w nowym mieście. Ale co dziwniejsza, zabrano się do podobnego usystematyzowania nawet całych hrabstw. Wiosek w Ameryce niema, fermerzy mieszkają pojedynczemi osadami. Jak któregoś znaleźć, sprawa ta niejednokrotnie sprawia sporo kłopotów. Hrabstwo — *county* — Contra Costa (w Kalifornii) zdobyło się na wynalazek, który usuwa tę trudność. Wszystkie drogi w tym okręgu zostały wymierzone i ochrzczone nazwami, każda zaś mila podzielona na 20 równych części, „bloków“. Każdy blok posiada swoją cyfrę, parzystą po jednej, nieparzystą po drugiej stronie, dom wiejski jest zaopatrzony w cyfrę swojego bloku, jeśli zaś jest ich kilka, jeszcze w kolejną literę. Nie wdaję się w drobiazgi tego urzędowania i poprzestaję na wzmiance, że w kilkustronicowym notatniku może zostać umieszczony *Adresbuch* zamorskiego powiatu, pozwalający nawet obliczyć odległość jednej fermy od innych. I znowu schemat!

Te ulice, opatrzone nazwami cyfrowemi, i aleje literowe, te drogi z góry przeprowadzone, w określonej odległości od siebie, ta przestrzeń tak wielka, jak nasza gubernia, a przecież tak usystematyzowana, że adresy dają nam poznać przestrzeń pomiędzy dwoma pierwszemi lepszymi domostwami: wszystko to, na pozór tak mało-ważne i podrzędne, posiada jednak głębsze znaczenie i wywiera doniosłe wpływy. Taki schematyzm szczególnie działa na przybysza. Czuje on, że atmosfera jest inną, niż w „starym kraju“, gdzie wszystko ma swoją historję, żywiłowo tworzyło się i jakby woła, że samo z siebie się zrodziło i narzuciło swoją wolę człowiekowi, wybierając go jedynie na wypowiedacza swoich dążeń. Tutaj, po amerykańskiej stronie Atlantyku, jestestwem całym pojmujemy, że wszystko zostało zrobione. My zresztą tylko pojmujemy, ale rodowitemu Amerykaninowi to czucie wrasta w krew i kości. Doktryna, tłómacząca historję ludzką w sposób „materyalistyczny“, t. j. że materyalne warunki bytu w rozwoju dziejowym odegrały większą

rolę, niż świadoma działalność człowieka, nigdy-by chyba nie zrodziła się w mózgowiocy socyologa amerykańskiego. On przeciwnie wysunąłby „ideę“ na plan przedni! Statystom i publicystom zamorskim zupełnie zbywa na poczuciu historyczności, są oni pełni pogardy dla wszelkiej erudycyi bibliograficznej. Owa obojętność dla tradycyi i bezwzględna pogarda dla warunków historycznych, z jakich-to przymiotów w Europie czynią zarzut radykalistom, są jakby drugą naturą yankesów. My mówimy o prawach historycznych rozwoju, Amerykanin o nich nie myśli i wprost nawet nie umie myśleć. Czyż ulice miast jego nie mówią, że zostały zrobione przez człowieka? czyż całe hrabstwo nie świadczy o tem, że jest dziełem ręki ludzkiej? czyż w Minneapolisie nie pokazują przybyszom staruszka, w Milwaukee zaś posąg, pierwszych osadników? Umysł wyciąga stąd dalsze wnioski: jak zrobiliśmy ulice, podobnie możemy robić historję i ulepszać stosunki społeczne. Trzeba побыć dłużej w Ameryce, aby zrozumieć, jak oddziaływa taka maksyma, będąca płodem otoczenia. Bez przeszłości historycznej, wśród dowodów bez liku, że wola ludzka stwarza stosunki i że idea jest wszechwładzą, yankee w polityce innych aniżeli my używa argumentów.

\*

\*

\*

Zwiedzamy browar Pabsta, „największy w świecie“. Po drodze zawiązuję rozmowę z miejscowym Niemcem o stosunkach, jakie panują w Milwaukee. Narodów jest tutaj co niemiara, przedstawiciele jednych są zamożni, innych biedni, i zajmują stanowiska, które z natury swojej wywiązują wzajemny antagonizm. Niemiec przyznaje, że ekonomiczna sprzeczność interesów istnieje i nieraz rodzi wzajemne walki, ale stanowczo zaprzecza, ażeby właśnie rasowo-plemienne trwały w swojej europejskiej mocy. Między innemi opowiada mi fakt, że biblioteka miejska, stojąca bezpłatnie na oścież dla każdego, zaprowadziła u siebie dział cały, poświęcony jedynie sprawie narodowościowej. Co tylko w jakimś języku wychodzi a dotyczy narodowości, zostaje kupowane. Zarząd podobnie postępuje też w zakresie „sprawy społecznej“, jest nawet w tej mierze bardziej zapobiegliwym.—Chyba, że to najpraktyczniejszy sposób rozwiązywania takich kwestyi, bąknął pod koniec rozmowy.—Chyba!

\*

\*

\*

*W wagonie kolejowym.*

Milwaukee pozostało za nami. Jeszcze godzina, a staniemy z powrotem w Chicago. Myśl buja het daleko, tam nad łąkami Dakoty, ale zamiast rozkoszować się naturą stepu pszennego, usiłuje zbudować skielec statystyczny tamtejszych stosunków. Już nieraz nadmieniałem, że technika rolna na stepie pszennym święci nową epokę. Zaprawdę, wszystko tam wygląda inaczej, i to nie tylko na wielkich fermach, lecz również w pomniejszych majątkach. Stosunek wzajemny do siebie różnych części kapitału jest zgoła odmienny. Jako wzór, weźmy pewne gospodarstwo, posiadające około 50 włók, a zatem majątek średniej wielkości. Posiada on w swoim inwentarzu martwym siedm wiążących żniwiarek, 14 pługów dwuskibowych na kołach, młockarnię parową, kilka siewników. Jak na rozmiary folwarku, liczba narzędzi dość nieznaczna, co tłumaczy się wytworzością używanych sprzętów. Kapitał, który zakrzepnął w wyliczonym inwentarzu, przedstawia sumę do 10 tysięcy rubli. Drugie tyle poszło na wozy, uprzęż, drobniejsze sprzęty, żóraw studzienny. Tymczasem fundusze, uwięzione w budynkach, względnie stanowią kwotę bardzo nieznaczną; jest tam willa z drzewa i parę stajen skleconych z desek według wzorów tandety pociejowskiej. A wydajność maszyn odsuwa na plan dalszy mięśnie ludzkie i siłę zwierzęcą. Na 100 akrów gruntu, mniej więcej, przypada zaledwie para koni roboczych! Majątek więc, o którym tylko co wspominaliśmy, mimo swoich włók pięćdziesięciu, poprzestaje na 12-u koniach, inny, cztery razy większy, na 65. Co zaś do robotników, zwykle jeden, niekiedy dwóch, podczas zimy, zdołają wykonać wszystkie prace na folwarku 1000-morgowym. Wiosną liczba ta podnosi się do 5, niekiedy zaś 9, jeżeli majątek orze grunta w tej porze; wreszcie w okresie żniw dosięga swego maksimum, to znaczy tuzina głów. Cyfry te odrazu nam wskazują wielkość, oraz chwilę przyptywów i odpływów ludności w stepie Dakoty, które idą z ognisk miejskich wiosną i wracają 'ku jesieni.

Szczegóły to suche, wymowne przecież mimo swojej oschłości Maszyna wygnała ze wsi zarówno człowieka, jak bydło juczne. Jakiż przewrót wywołała-by ona, gdyby wkroczyła do naszej części świata i zawładnęła rolnictwem! Owce pożarły ongi włością angielskich, — ów stan, który był podstawą wielkości *old merry England*: wsie ludne zniknęły, aby dać miejsce szopie z paru owczarzami, rozbój na wiele lat zapanował wzdłuż dróg i szubienice pracowały skrzętnie, ażeby postawić tamę włóczgom, oderwanym od ziemi. Maszyna nowocze-

sna, która tam w Dakocie opanowuje ziemię dziewiczą bez tradycy historycznej, wśród rutyny włóściańskiej naszej Europy wywarła-by skutki doniosłe. Tak spokojna w Ameryce, byłaby w „starym kraju„ straszną burzycielką, siejącą nędzę i niezadowolenie, oraz podrywającą fundamenta stateczności społecznej.

\*

\*

\*

Myśl od stepu pszennego biegnie w kierunku sieci komunikacyjnej. Przyglądam się mapce obszarów, przerzniętych przez nurt rzeki Czerwonej. Linia czarna ciągnie się na niej, równoległe do linii, niekiedy pięć takich szlaków leży obok siebie. Środkiem idzie tor główny, niby pień olbrzymiego drzewa, z niego, jak gałęzie, wyrastają różnej długości bocznicę, nieco pochyłe przy początku, później równoległe. Ich długością można mierzyć kulturę pewnej okolicy. Im która jest krótszą, tem późniejszego bywa pochodzenia i przebiega przez terytorium mniej ludne. Niektóre z nich są jak owe ślepe zaułki w starej dzielnicy wielkiego miasta: skoro wejdiesz w nie, to musisz zawrócić, aby wydostać się z powrotem. Taka bocznicę kończy się zwykle w czystym polu, wybiegłszy niekiedy o kilkanaście kilometrów po-za ostatnią placówkę ludzką—szlak taki przeprowadzono w oczekiwaniu przyszłego potoku kolonistów. W preryi kolej wyprzedza człowieka i wyznacza kierunek osadnictwa, przywozi deski, odpowiednio przygotowane, z których wczorajszy przybysz złoży dom tak samo, jak dzieciak to robi z sześcianków; dostarcza mięsa i masła, oraz innych produktów. Istota ludzka osiedla się w pustkowiu, ale w pełnym odmiećcio wymiany. A linie równoległe, oddalone od siebie o kilkanaście kilometrów, są porznięte siecią innych, prostopadłych, do głównego toru. Drogi zwykle przestają posiadać większe znaczenie. Farmerzy siedzą wzdłuż kolei, cena gruntów szybko spada z odległością od toru. Pociąg zatrzymuje się w polu, na znak chustką, jak również na żądanie wysadza tam pasażerów. A zatem jeżeli ktoś kogoś odwiedza, jedzie wtedy koleją. Bliżsi sąsiedzi posiłkują się welocypedami. A nietylko rola dróg żelaznych, lecz też zamożność towarzystw kolejowych jest inną, niż w Europie. Kompania, której drogą wracamy, posiada 10 tysięcy kilometrów toru!

Któs przerywa mi przyglądanie się mapce Dakoty. To agent towarzystwa ekspresowego. Obchodzi on pasażerów, bierze od nich

kwity pakunkowe i w zamian wydaje czeki z blachy. Za małą opłatą zbywam cały kram odbierania bagażu, w parę godzin odeślą mi go do domu. Pospiesznie układam rzeczy, bo już migają uboższe wille Chicaga, rozproszone daleko od siebie wśród spalonej na słońcu trawy i okryte wstrętnym tumanem kurzu.

K. R. ŻYWIŃKI.

---

## *Na dzień Zaduszny.*

---

Dusza dziś ze mnie wychodzi płacząca  
I, pióra kąpiąc w mroków oceanie,  
Leci — wierzchołki lip skrzydłami trąca,  
Aż na cmentarnych dzwonicach przystanie.  
Dzwonom na serca ręce kładzie obie  
I słucha, w spiżu chcąc odnaleźć tętna  
Serc, które w proch się rozsypały w grobie.  
Bo czyliż dzwonów pieśń przewlekła, smętna,  
Bijąca w niebo kręgów dźwięczną falą,  
Metalu tylko pustym jest rozbrzękiem?  
Czy się w niej duchy umarłych nie żalą?  
Czy się w niej wyciem nie skarżą i jękiem  
Ci, których wszyscy żywi zapomnieli?  
I dusza moja, zadumana o tem,  
Na dzikich grobach klęka — cała w bieli —  
Na grobach, które porosły blekotem  
I pokrzywami; a zbutwiałe krzyże  
Chylą się, skrzypiąc na jesiennym wicherze,  
A wicher na nich gra, jakby na lirze.

Jest w suchych liściach szept modlitw, co cichsze  
 I żałośniejsze niż ludzkie pacierze,  
 I jest zaduszna jakaś antyfona  
 W szeleście żółkłych traw i drzew tych szmerze,  
 Co wyciągają wychudłe ramiona  
 Nad mogiłami pustemi — w mgłę siną,  
 I lzy wilgotne ściekają po próchnie  
 Omszonych krzyżów i po gładach płyną,  
 I cały cmentarz zda się, że wybuchnie  
 Łkaniem . . .

Skrzydłami powłóczęc po ziemi,  
 Powraca dusza moja, żalem zdjęta,  
 I płacze cicho nad grobami temi,  
 O których żadne serce nie pamięta.

---

## Z cyklu p. t. „Sny.”

Śnił mi się dziwny sen.

Śnił mi się dziwny sen. Po kwietnej łące  
 Szedłem przez jaskry i śnieżna stokrocie  
 I piłem wiosny oddechy pachnące,  
 A ptaki jakieś ogromne w przelocie  
 Cień białych skrzydeł kładły mi na głowę —  
 I szedłem z wolna po kwiecistej łące  
 Na życie nowe.

Śnił mi się dziwny sen. W każdym kielichu  
 Tych polnych kwiatów żywe serce drgało,  
 I kwiat mi każdy mówił coś po cichu;  
 Po rosie ku mnie szło przez łąkę całą  
 Szeptanie kwiatów dalekie, ehowe,  
 I coś mnie w każdym wołało kielichu  
 Na życie nowe.

Śnił mi się dziwny sen. Z oddali ku mnie  
 Kochanka dawna szła przez jasne kwiaty,  
 Podobna greckiej wysmukłej kolumnie,  
 I w rozpuszczonych fałdach białej szaty  
 Kwitnące niosła gałązki wierzbowe —  
 Chciałem ją wołać: „Chodź ku mnie, chodź ku mnie  
 Na życie nowe.“

\*

\*

\*

Prześnił się dziwny sen. Oto mię budzi  
 Deszcz, co w jesienną noc po rynnach dzwoni.  
 Gdzie łąka? kwiaty z sercem, jak u ludzi?  
 Kochanka dawnych lat?... Nie myślmj o niej!  
 Widzenia kwietnych snów, bywajecie zdrowe,  
 Nic mego serca z letargu nie zbudzi  
 Na życie nowe.

## Widziałem szkliste martwych wód obszary.

Widziałem szkliste martwych wód obszary,  
 Naokół taflą rozlane stalową,  
 I niebo miałem kamienne nad głową,  
 Wykute całe z jednej chmury szarej.

A z głębi tego wodnego cementarza  
 Wychodził księżyc, jak białe widziadło;  
 Westchnęły wody i niebo poblądło,  
 Bo księżyc w twarzy miał coś, co przeraża,

I stanął wielki, zimny, nieruchomy,  
 Wpatrzony w nurtów odmet zwierciadlany,  
 I trupie blaski kładł na skalne ściany,  
 I w ołowiane chmur czarnych załomy.



Bezbrzeżna pustka leżała wokoło,  
Bo prócz mnie z żywych nie było nikogo —  
I drżałem, zdjęty dziwną jakąś trwogą,  
A księżycowy blask mroził mi czoło;

Czułem na sobie te zimne promienie,  
Jak gdyby ręce ślizkie i kościane,  
Czułem, że jeśli w tej chwili nie wstanę,  
To mnie śmiertelne ogarnie strętwienie,

I że przyrosnę do skał martwą skałą,  
Miesięcznych blasków zakłęciem uśpiony;  
Chciałem wstać, krzyżeć, biedz w dalekie strony —  
Lecz mnie przykuwał księżyc — twarzą białą...

LUCYAN RYDEL.

---

# Wśród stepów i jarów.

---

## II.

### W m r o k u.

Dzieje ludzkości zaczynają się z pierwszym krokiem człowieka, z pierwszym podjęciem przezeń usiłowań ku zaspokojeniu potrzeb materyalnych, a w miarę jego umysłowego rozwoju i dążeń wyższych; lecz nim on uczuje konieczność utrwalenia swych uczuć lub wrażeń, zanim użyje odpowiednich do tego materyałów, kształtów i znaków, bezwiednie, bądź urządzeniami powszedniego bytu, bądź prostymi obrzędami, zwiastującami dopiero przedświt głębszej myśli, pozostawia przyszłym pokoleniom źródła, z których będą o rodzaju jego życia wnioskować. Najstarsze w dziejach narody, jak Indowie, Chińczycy, Egipcyanie lub meksykańscy Olmekowie <sup>1)</sup>, które zostawiły odwieczne pagody, piramidy z hieroglifami, kolumniaste świątynie, kamienne płyty z napisami najdziwaczniejszych kształtów, całe pałacowe budowle z niezrozumiałemi dotąd znakami — stawały jeszcze dawniejsze a prostsze od wymienionych pomniki; a gdy niewiele tak zwanych pierwotnych ludów zostawiło nam swoją, w ten lub inny sposób pisaną, historję, po większej części trzeba ją odgadywać z resztek dawnych zwyczajów, które się przechowały do czasów piśmiennictwa, z wierzeń zabobonnych, podań, pieśni, właściwości języka, a wreszcie z tych resztek, które przechowała ziemia.

---

<sup>1)</sup> H. Martin. „Hist. de France.” T. VIII, str. 8.

Z takich i tym podobnych źródeł, przy usilnej pracy, oświecanej co chwila pochodnią krytyki, może się uda z czasem naprzód pozbierać, a następnie złożyć skorupy urny dziejowej; lecz tylko łącząc tak rozmaite gałęzie wiedzy, jak ludoznawstwo, lingwistyka, archeologia, antropologia, paleontologia, etnografia i inne, badacze najdawniejszych dziejów ludzkości dojść mogą do celu, a przynajmniej bardziej się do niego zbliżyć <sup>1)</sup>.

O ile łatwo ułożyć teorię i program przy dzisiejszym stanie nauki, o tyle trudniej uczynić to, czego one wymagają: być znawcą wierzeń pogańskich i podań ludowych, lingwistą, starożytnikiem i antropologiem zarazem, przechodzi siły przeciętnej jednostki; co więcej, każda z gałęzi dziejoznawstwa wydała już tyle gałązek, że i one wymagają specjalizowania, a chociaż podział pracy znakomicie ułatwia odkrywanie źródeł i szybciej pomnaża zasób materiałów, jednak opanowanie tego zasobu bywa częstokroć tak trudne, że i przy tych, ułatwiających pracę warunkach, staje się ona mozolną, a rezultat jej wydaje się częstokroć jeszcze bardzo oddalonym.

Powyższe uwagi nastęrczają nam się w chwili, gdy rozpoczynamy naszą drugą z rzędu <sup>2)</sup> monografię o tem, co się wśród pól i stepu w dorzeczach Bohu i Dniepru, na czarnoziemnym „rozłohu”, przed oczy, niemal na każdym kroku, nasuwa; wprawdzie nadaremno szukalibyśmy tu czegoś w rodzaju starożytnych zwalisk lub innych znanego kształtu zabytków starego świata: nie gmachy z granitu i marmuru, nie kolumnady, nie papyrusek przechowane w piramidach olbrzymich, nie pergaminy prawią tu o zamierzchłej przeszłości, nie one dowodzą, że kraj ten był zamieszkały od wieków, choć nieraz jak pustka wyglądał a świecił ruina; świadczą o tem pomniki innego rodzaju i bardzo pierwotnej twórczości, wzniesione z najmniej kosztownego budulcu, bo z tego, który się na miejscu w postaci czarnej ziemi znajduje, a jednak tak dawne, jak te, co gdzieindziej z ciosów stawiano, od niejednych zaś ciosowych o wiele dawniejsze.

Spieszmy dodać, że chociaż te pomniki stanowią poniekąd wyrazistą cechę stron tutejszych, w istocie jednak charakterystyką wyłączną tego tylko kraju one nie są. Najstarsze ludy tego świata, o których przeszłości wie już nieco nauka, rozsiały je po całej Europie, w Azji zaznaczyły również niemi życiowe swoje boisko; co więcej, może udzieliły ich kształtu innym ludom, nawet Amerykę i Oceanię niegdyś zamieszkującym; bo człowiek, doszedłszy do pewnego stopnia

<sup>1)</sup> Topinard. „Eléments d'Antropologie générale”, p. 176 i następnne.

<sup>2)</sup> Patrz „Bibliotekę” za m. kwiecień 1894 r.

rozwoju i jednakowych warunków bytu, wszędzie potrzebował jednoczyć swe siły w większe lub mniejsze grupy i bronić się od napadu sąsiadów, wszędzie zaznaczał granice swych pastwisk, skoro zaczął życie pasterskie prowadzić, wreszcie wszędzie zbierał sobie podobnych, aby zmarłym ojcom lub bogom, których za swoich przodków uważał, czynić należne ofiary. Był to naturalny wynik potrzeby, zrodzony w każdej grupie społeczeństwa z osobna; a jeśli się gdzie nie urodził, jeżeli obyczaj przyszedł od obcych, to się łatwo przyjmował, łatwo przyswajał, gdy znalazł już grunt gotowy w usposobieniach, co wywołały jego potrzebę, a tylko nie umiały jeszcze rozkazać ręką, jak co wykonać należy.

Usypiska ziemne mają dla nas nieocenione znaczenie ze względu na swą zawartość, która służy za jedyny częstokroć dziejowy materiał dla najdawniejszych epok tutejszego zasiedlenia; również są one do pewnego stopnia probierzem tych opowieści, które już w historycznej dobie powstały. Nietylko dla poważnego badacza starożytności, lecz i dla przeciętnego miłośnika dziejów było-by pożądanem wiedzieć, w jakich warunkach pierwsze wzniesienie zostało usypane; skoro jednak postawienie nauki na tak wysokim szczeblu jest ideałem, o który najśmielsze umysły kusić się nawet nie mogą, przeto pragnąc jedynie możemy zbliżonego do prawdy określenia, jakim był stan ludzkości w chwili, gdy człowiek zaczął utrwalać swoje wyobrażenia i dążenia wznoszeniem pierwszych pomników, lub tego, co się w przyszłości stało wskazówką urządzeń jego pierwotnego bytu. Raptownie, bez uprzedniego przygotowania, pomysły takie przyjść mu nie mogły, lecz stały się wynikiem życia całego szeregu pokoleń, ich odwiecznej fizycznej i duchowej ewolucji; a gdy wspomnimy, że na kuli ziemskiej było już w pełni rozwoju życie organiczne, kiedy się człowiek pojawił, to przedewszystkiem musimy przypuścić, że walka o byt z innymi organizmami musiała wywołać poczucie samowiedzy, która stopniowo człowieka uduchowiała i wykształciła, lecz przedewszystkiem zmusiła go do użycia fizycznej siły i zręczności. Temi dwoma czynnikami posługiwał się on przedewszystkiem, a rozwijaniem ich tylko zajęty, nie miał czasu zajrzeć do głębi śpiącego ducha; dopiero gdy sobie byt jako tako zapewnił, gdy ujrzał się bezpieczniejszym, a nadewszystko gdy proces pokonywania niebezpieczeństw i trudy rozwinęły jego przedsiębiorczość, poczuł zbudzenie już innych, po-za obrębem fizycznego życia stojących, potrzeb, i chęć ich zaspokojenia. Cały ten przebieg tem jest ciekawszy, że się wszędzie na kuli ziemskiej w jednakowy sposób odbył. Uprzytomniając go sobie ogólnikowo, moglibyśmy być pewni, że i do przeszłości stron tutejszych zastosować go możemy, tem bardziej, iż nieco niżej wymienimy niektóre zdobycze archeologii, które ogólne prawidło w zastosowaniu do tych stron potwierdzają.

Dla oznaczenia okresu, w którym człowiek zaczął mieszkać w pewnej miejscowości, nauka posługuje się między innymi badaniem warstw ziemnych w połączeniu z wykopaliskami kości zwierzęcych i resztek roślinnych. Zdaje się więc, że nie będzie rzeczą zbyt trudną, jeśli dla jasności wątku przedstawimy w ogólnym zarysie przebieg rozwoju świata organicznego tak, jak go nam w rozmaitych warstwach ziemi pokazuje geologia, zastrzegając przytem, że przebieg ten natrafiał miejscami na przeszkody, które go w takich razach uczyniły nieco odmiennym. Wiele okresów minęło, wiele zmian nastąpiło kolejno na tworzącej się w ciągu wieków powłoce ochłodzonych krystalicznych formacji, nim życie organiczne mogło się zacząć rozwijać w takich warunkach, jakich wymagał przyszły fizyczny ustrój wyższych organizmów. Zwracając uwagę na ślady samego tylko zwierzęcego świata i tego, który pośrednie miejsce między rośliną a zwierzęciem zajmuje, mamy bezpośrednio na krystalicznych formacjach leżący pokład, zwany kambryjskim <sup>1)</sup> i widzimy, że ówczesne organiczne, na wodą pokrytej ziemi, życie, było niesłychanie ubogie, gdyż się ograniczało do samych jedynie polipów; nad nimi, w następnym pokładzie, sylurskim, znajdujemy już nieco wyższe gatunki od t. zw. zwierzokrzewów (zoofites) do doskonalszych mięczaków i skorupiaków, a dalej śledzimy obfite zapelnienie ówczesnych wód coraz to rozmaitszemi odmianami tych gatunków; w trzecim z kolei, dewońskim, pokładzie, przybywają ryby; a gdy nareszcie z pod wód wylaniają się lądy, zaczyna je stopniowo pokrywać bujna roślinność, ta właśnie, która dzisiejsze zagłębienia węgla kamiennego stanowić z czasem będzie. W tym czwartym peryodzie na pierwszych lądach mieszkają pierwsze gatunki, zajmujące miejsce pośrednie między rybami a łuską pokrytymi płazami, na nim też kończy się t. zw. epoka paleozotyczna <sup>2)</sup>, której wymienione cztery pokłady stanowią obecnie głębie, dochodzącą miejscami do nadzwyczajnych rozmiarów <sup>3)</sup>, a dającą nam słabe wyobrażenie o ciągu wieków, których potrzebowały do tak wysokiego napiętrzenia. Piątego pokładu faunę stanowią ziemnowodne olbrzymy; jest to przedświt nowej epoki, zapowiedź okresu następnego „trzeciorzędowym” zwanego, który się zapelnia gruboskórnemi olbrzymami, jak nosorożce, mamuty i inne trawożerne, a w końcu i mięsożerne zwierzęta. Wre walka między nowemi przybyszami a dawniejszym ichtiozaurem i kompanią; młodsze w porządku stworzenia, zdolniejsze do nowych warunków życia organizmy

<sup>1)</sup> Nadaillac. „Les premiers hommes.” T. I, p. 48.

<sup>2)</sup> tamże, str. 43.

<sup>3)</sup> l. c.

zwyciężają; długi czas innych nie znają panów, prócz silniejszych z pomiędzy siebie osobników lub obcych cięższych gatunków; bez przeszkód, które-by im stawiała rozumiejsza istota, rozpościerają się po kuli ziemskiej śród olbrzymiej a różnorodnej roślinności, tępią się wzajemnie, na miejsce wyginionych przybywają nowe, aż następuje, niedająca się dziś jeszcze dokładniej określić, chwila, kiedy w ostatnim, „czwartorzędowym” okresie, ukazuje się po raz pierwszy przyszedły pogromca dotychczasowych mieszkańców ziemi, przyszedły jej pan—człowiek... <sup>1)</sup>.

Stopniowe narastanie skorupy ziemi, chociaż wszędzie odbywało się w porządku wyżej przytoczonych okresów <sup>2)</sup>, nie wszędzie stało się jednakowem, gdy już lądy obeschły z pierwotnych wód. W ostatnich zwłaszcza peryodach zdają się pojawiać zupełnie odrębne dla niektórych miejscowości warunki, oddziaływające na gwałtowne zmiany, tak w świecie roślinnym, jak i zwierzęcym. Pod koniec okresu trzeciorzędowego, może skutkiem wulkanicznego podniesienia pewnych części globu, następuje dla Europy i większej części Azji, a może jednocześnie i dla północnej Ameryki,niżenie się stopnia ciepłika, skutkiem czego gromadzą się na olbrzymich przestrzeniach śniegi, zamieniają w niemniej wielkie obszary lodu i następuje t. zw. peryod lodowy, którym się zaznaczył początek okresu czwartorzędowego. Tu zachodzi pytanie, co się stało z organizmami przez czas trwania peryodu lodowego: jedni przypuszczają, że i przy zimnie życie się przechowało, pomimo tego przewrotu, i w samym jego łonie, a dowodzą skieletem, znalezionym przez Faudela w Egisheim, że nawet człowiek mógł się utrzymać w otoczeniu lodowców <sup>3)</sup>, że inne stworzenia miały czas wynieść się ku południowi i tem swe gatunki od zagłady zachować, że wreszcie w Azji mógł peryod lodowy zacząć się pierwiej niż w Europie, i że właśnie wtedy nastąpiły emigracye zwierząt przedpotopowych, a może i człowieka, do naszej części świata. Inni, a w ich liczbie takie

<sup>1)</sup> Wnioski, że w tym a nie w innym okresie pojawił się człowiek, czyni geologia w połączeniu z nauką o wykopaliskach; istnieje jednak pewna grupa uczonych, która, opierając się na domniemyanych narzędziach krzemiennych, znajdowanych w pokładzie okresu trzeciorzędowego, twierdzi, że człowiek ukazał się wcześniej. Na zjeździe paryskim 1867 r., a następnie w Brukseli w r 1872, p. Bourgeois przedstawił to, zdaniem jego, niezbite, dowody istnienia człowieka już przed okresem czwartorzędowym; mówiono tam nawet o pewnej znalezionej jakoby czaszce w pokładach Kalifornii trzeciorzędowego okresu, lecz owe okazy nie zostały uznane przez większość badających je komisyi za wyroby ręki ludzkiej i uległy podejrzeniu, że są naturalnymi odłupkami krzemienia, czaszki zaś owej nie pokazaano i cała ta sprawa pozostała w odwołkę. (Nadaillac. Uwarow „Archeologia Rossyi.” T. I, str. 31).

<sup>2)</sup> Uwarow. „Arch. Rossyi.” T. I, str. 52).

<sup>3)</sup> Nadaillac, str. 162.

naukowe powagi, jak Morlot, Escher, Colomb, Agassiz i prawie wszyscy geologowie angielscy <sup>1)</sup>, przypuszczają, że lodowych peryodów w jednej tylko Europie było więcej niż jeden, i że, naturalnie, po upływie każdego z nich życie organiczne wracało tu, acz w odmiennym stopniu i kształtach.

W istocie, tylko przerwami między peryodami lodów można sobie tłómaczyć ówczesne pojawienie się człowieka tam, gdzie te lody zalegały w okresie czwartorzędowym i gdzie go wraz z kośćmi nosorożca i mamuta późniejsze dyluwialne zatopiły i pogrzebały powodzie; gdyż tajanie lodowców powodowało ścieki wód, nanoszących dzisiejsze ilaste i gliniaste warstwy, zmieszane z wędrującymi wśród lodu eratycznymi skałami. Tylko powtórzonem po upływie wielu zapewne wieków posuwaniem się lodowców od północy na południe można sobie tłómaczyć to zjawisko, że miejscami natrafiamy na jeden pokład eratycznych kamieni pod czystą warstwą rodzajną, gdy drugi leży nad nią. Linia graniczna lodowców pierwszego peryodu leży bardziej na południe niż granica lodowców epoki następnej; w Azji mogła ona dojść do Himalaj <sup>2)</sup>, w Europie przechodzi bliżej punktu wyjścia lodowców, tak, że dla przestrzeni, między Bohem a Dnieprem leżących, przechodzi przez północną część gub. Kijowskiej <sup>3)</sup>, t. j. powyżej pasu czarnoziemiu, który, wedle badań geo-botanicznych Ruprechta, może być przez to samo uważany jako pokład starszej formacji, niż powierzchnia bardziej północnej, leśnej gleby.

## I.

Okresy lodowe stanowią obecnie punkt wyjścia dla dziejów kultury człowieka, gdyż najdawniejsze twory ręki ludzkiej znajdujemy w warstwach dyluwialnych. Obok kości zaginionych gatunków zwierząt mamy tu narzędzia z krzemienia, niezawodne świadki pierwotnego przemysłu, któremi człowiek przyrządzał sobie pożywienie z tychże przedpotowych zwierząt <sup>4)</sup>. Są one tak proste, jak prostem było życie pierwotnych ludzi, którzy wykwintu nie znali: czasu na to nie było, gdyż musiano co chwila walczyć z czworonożnymi sąsiadami, zręcznością lub siłą zdobywać pożywienie, ubiegać się o schronisko przed deszczem i zimnem. Jako jedynego środka ku zadośćuczynieniu potrzebom,

<sup>1)</sup> Nadaillac, str. 163, 169.

<sup>2)</sup> Uwarow. T. I, str. 70.

<sup>3)</sup> tamże, str. 65.

<sup>4)</sup> Kamiński. Referat na III zjeździe Arch. w Kijowie i inni.

nauczył się z początku człowiek używać tego tylko, co dlań natura w pewnej mierze sama przygotowała: znajduje jaskinię,—jeżeli jej dziki zwierz przed nim nie zajął, jeżeli w niej niema lodu a woda nie zalewa, więc w niej obiera mieszkanie; potrzeba mu się obronić od napastnika, a w dodatku użyć z niego mięso i szpik na pożywienie, skórę zaś na odzież — chwyta kamień i ciska nim w zwierza. Oto pierwszy pałac, pierwsza odporna i zaczepna broń naszych praocjów. Od tej chwili bez kamienia żyć już człowiek nie może i w istocie zespala się z nim na długi przeciąg czasu; lecz umysłowe zdolności pozwalają mu rozejrzeć się we właściwościach rozmaitych gatunków kamienia i wybrać te, które dla swych pierwotnych celów uważa jako najwłaściwsze, czyli takie, którym najłatwiej nadać ostre zakończenie, a zarazem możliwą dogodność w ujęciu za pomocą łupania, jako jedynego środka, na który się w początkach pierwotny fabrykant broni zdobywa. Wybiera więc różne rodzaje krzemienia kształtu stożkowego, którym świeżo po wyjęciu z ziemi, gdy są jeszcze wilgotne, nadaje zakończenie naksztalt migdała i otrzymuje t. zw. „nucleus”, a z jego okrzosków nóż i skrobaczkę. Nucleus ujęty za grubszy koniec służy jako ostry młot, którego rękojeścią jest władającego nim ręka; lecz po pewnym czasie udaje się człowiekowi przywiązać tę broń, za pomocą skóry lub łyka, do kawałka drzewa czy rogu, przez co otrzymuje prawdziwy młot. Musi go jeszcze przywiązywać, bo wiercić otwory nauczy się dopiero znacznie później <sup>1)</sup>. Zmieniając nieco kształt nucleusu lub wyszukawszy bardziej wydłużone naturalne odłamy krzemienia, otrzymuje człowiek pierwszy klin, który mu służy za dłóto i siekierę, jeśli go do rękojeści przymocuje, w czem dopomaga sobie wybijaniem wyźłobień w środkowej części klina. Cienko odbity, wszczepiony w drewno krzemienny klin, daje mu włócznię, a mniejsze okrzoski w fabryce nucleusów — ostrza do strzał, wyszczerbione zaś noże nasuwają myśl wynalazku piłki.

Do tak małej różnitości narzędzi dodaje człowiek jeszcze kościane szydło i igłę, których używa do przewlekania żył zwierzęcych przez skórę, mającą mu służyć za okrycie; z kości zarówno robi harpuny na ryby i uroznaica nią rodzaje ostrza do strzał. Jeleni róg nadaje mu się też w wielu razach, dostrzega w nim większą trwałość niż w drzewie, więc dla upiększenia ozdabia rogową broń kreskami, które się staną pierwocinami późniejszej rzeźby; kreskami też znaczy te kawały rogu, co będą może pierwowzorem lasek marszałkowskich i buław hetmańskich.

<sup>1)</sup> Uwarow. T. I, str. 367.



Taką bronią opatrzony, wychodzi na niebezpieczne łowy, których głównym celem jest mamut. Wróciwszy z nich, po uczcie, zagradza wejście do swej jaskini naturalnym odłamem kamienia, jako pierwszymi drzwiami, i zasypia w ciemnicy, którą oświetli dopiero wtedy, gdy pierwszy pożar starego drzewa od pioruna nauczy go, że oprócz słońca i gwiazd są inne źródła światła i, co dlań ważniejsza,—ciepła. Mięśnie pożywienie upiecze sobie wtedy, skoro przypadkowa iskra z krzemienia na suche próchno upadła, lub tarcie drewna o drewno w celu przepołowienia jednego z nich odkryją mu tajemnicę wydobycia takiego ognia, jaki piorun wznicił. Zresztą, może w inny sposób doszedł człowiek do ujęcia ognia, może poznawszy jego działanie udało mu się utrzymać powtórzony w jego oczach ogień od pioruna, zapalając jedno luczywo od drugiego; może już od tej chwili późniejszy myt Prometeusza miał swoje źródło, a strzegący ognia stali się najważniejszymi urzędnikami tego młodocianego społeczeństwa.

Wszystkie pierwotne rodzaje kamiennych narzędzi ulepsza człowiek z dniem każdym i będzie je doskonalił, póki nie odkryje własności metalu. Z czasem, lecz bardzo późno po pierwszym użyciu kamienia do swych potrzeb, dojdzie on do takiej wprawy, że, wybierając już nie sam krzemień, lecz o wiele twardsze, nie łatwo dające się łupać rodzaje, w inny sposób przyrządzi swą kamienną broń, wyrobi przesłizne siekiery z serpentynu, nefrytu, diorytu, przewierci w nich gładkie otwory, wyrówna brzegi, zaokrągli kąty, w końcu oszlifuje i będzie ostrzył również za pomocą innych, jeszcze twardszych, gatunków kamienia. To samo nastąpi z resztą rodzajów pierwotnej broni i narzędzi: dawne wzory zostaną udoskonalone, nowe przybędą. Człowiek nauczy się do tego stopnia obchodzić z kamieniem, że na skalistych ścianach jaskini ukażą się wyrte figury ludzi i zwierząt, gdy zaś duch ludzki uczuje też swoje potrzeby, będzie bogom stawiał ołtarze a umarłym pomniki z kamienia.

Stopniowa zmiana, ujawniająca się w wyrobach broni, daje się widzieć i w całym otoczeniu człowieka, w sposobie jego życia, w zajęciach, w miarę posuwania się okresu kamienia ku metalowi. Gdy w początkach żyje wśród niebezpieczeństw od zwierząt tak drapieżnych, jak wielki niedźwiedź, mylnie jaskiniowym zwany, lew jaskiniowy, lub wśród olbrzymich nosorożców, mamutów, wielkich gatunków jelenia, łośia, żubra i innych — pod koniec tego okresu znajdujemy już całkiem inny świat zwierzęcy. Niektóre dawne gatunki wyginęły, inne wyniosły się na północ lub południe, a natomiast gospodarzy już człowiek z oswojonym reniferem i z domowemi, do dziś dnia zachowanemi, gatunkami. Dawne mieszkanie w jaskini, urządzonej tak, jak ją natura stworzyła, zastąpił budowlami z drzewa, na palach wśród wody, lub, jak

dowodzą niektórzy, nad brzegami rzek i jezior <sup>1)</sup>; jeśli zaś mieszka jeszcze w jaskini, to albo ją sam sobie w glinie wykopał, albo naturalną urządził o tyle wygodnie, że ma w niej ławy, stoły, schody, korytarze, nawet piętra; poprawnie z kamienia porobione wierzeje, otwory dla światła i przewiewu <sup>2)</sup>. Prawdopodobnie tam, gdzie nie zrobił grotty i gdzie nie było jeziora, buduje już coś w rodzaju dzisiejszych chat z drzewa, ponieważ ma ciosane belki, zna użyteczność łoży i słomianego dachu <sup>3)</sup>; miejsce dawniejszych harpunów zastąpiły już siecie na ryby, są więc czółna i tratwy; wyłączna dawniej skóra na okrycie dzieli swe przeznaczenie z ręcznie tkaną odzieżą, a jako dodatek do mięsnego pożywienia zna człowiek chleb z mąki, którą sobie za pomocą żaren przysposobił z uprawianego zboża; życie więc jego stało się regularniejszym, z dzikiego łowcy—stał się pasterzem i rolnikiem.

Czy cała ta zmiana mogła nastąpić raptownie i czy się odbyła w samym łonie ówczesnej europejskiej ludności, lub czy została tu przyniesiona przez inne ludy, jest pytaniem, które jeszcze niedawno probowano rozwiązać dość arbitralnie. Niektórzy, a w ich liczbie Herbert i Virchow <sup>4)</sup> dowodzili, że okres kamienia miał tak zwany „hiatus”, peryod zupełnego zaginięcia człowieka w Europie, i że od czasów jaskiniowca do tych ludzi, którzy budowali nawodne mieszkania, upłynęło lat tysiące, wśród których w Europie żadnego postępu być nie mogło. Mniej więcej takiego zdania trzymał się w początkach i Mortillet, jednakże później zmienił je i przyznał, że jeśli *hiatus* ma miejsce, to nie w dziejach przeszłości, lecz w stanie nauki, która do niedawna jeszcze powiązać dwu krańców peryodu kamienia nie mogła. Inna grupa francuskich antropologów na zdanie Virchowa nie przystała od razu: Broca, Quatrefages, Hamy, dowodzili, że typ pierwotnego człowieka epoki „paleolitycznej”, gdyż tak nazwano okres kamienia łupanego, odnajduje się w okazach o wiele późniejszych epoki „neolitycznej”, t. j. tej, w której już zaczęto kamień szlifować, że rysunek sławnej czaszki neandertalskiej, należącej do najdawniejszej w Europie, „kanstadzkiej” rasy, powtarza się w pewnej mierze nawet w daleko posuniętej erze chrześcijańskiej, jak tego dowodzą czaszka pewnego biskupa we Francji z w. IV i Roberta Bruce z w. XIII w Szkocyi; że nakoniec do dziś jeszcze typ najdawniejszy przechował się częścią w Belgii, częścią w Württembergu i w górach Pirenejskich pomiędzy Baskami <sup>5)</sup>.

<sup>1)</sup> Prace I Arch. Zjazdu w Moskwie. T. I, str. 123.

<sup>2)</sup> Nadaillac. T. I, 235. Uwarow i inni.

<sup>3)</sup> Tamże, 238.

<sup>4)</sup> Nadaillac. T. I, str. 223.

<sup>5)</sup> Nadaillac. T. I, 218. Topinard, str. 406.

Po antropologicznych nastąpiły odkrycia dokonane w dziedzinie archeologii. Już Lartet w „Revue d'Anthropologie”<sup>1)</sup> dowodził, że w kulturze Europejczyka nie mogło być gwałtownego skoku; w tym też kierunku wiele zrobili badacze w Rosyi, gdzie się przekonano, że można dokładnie wysledzić, w jaki sposób krzemienna broń i narzędzia z łupanych zamieniały się stopniowo na coraz poprawniejsze; że tylko ulepszając ich kształty i sposób wyrabiania na miejscu, dojść zdołano do umiejętności szlifowania kamienia, skąd wniosek, że do dawniej określonych przez naukę dwu epok peryodu kamienia należy dodać trzecią, między niemi pośrednią a przejściową.

Wybitniejszą jej cechą, oprócz zmian w wyrobach z kamienia, stanowi rozwój garncarstwa. Już w początkach wieku kamienia miano pojęcie o wyrobach z gliny. Być może, iż zostawiwszy na glinie po deszczu ślady stóp swoich, zauważył człowiek, że one pod wpływem słońca stężały<sup>2)</sup>; następnie, próbując zastąpić kłopotliwą wytwórczość narzędzi kamiennych łatwiejszą, użył do tego gliny, lecz gdy celu nie dopiął, próbował zastąpić glinianemi przedmioty domowego użytku, zaczynając od własnej dłoni, którą czerpał wodę, kończąc na rogu i czaszkach zwierzęcych i ludzkich, używanych jako puławy. W Azji garncarstwo rozwinęło się wcześniej, gdyż znajdowane pod Irkuckiem czerepy są jednoczesne z epoką mamuta, który przecie zaginął jeszcze w dalekiej epoce paleolitycznej; w Europie przyszło do garncarstwa o wiele później. Z początku były to naturalnie liche, z nieczystej gliny, palcami lepiące a na słońcu suszone lub niedostatecznie wypalone naczynia; gdy przeto dla swej kruchości nie dały się z miejsca na miejsce przenosić, znajdowanie ich stanowi obecnie ważną wskazówkę zamieszkania w epoce przejściowej tych miejsc, w których je spotykamy. Garncarstwo powiększyło dobrobyt w życiu człowieka, gdyż dało mu możność wprowadzenia pewnej różnorodności w pożywieniu; to też wyrzynana deszczółka, której z czasem zaczęto używać zamiast palców do wyrabiania naczyń glinianych, stanowi jeden z największych wynalazków epoki przejściowej. Koło garncarskie jest jeszcze późniejsze. Szlifowanie kamienia nie postępowało tak prędko, jak garncarstwo; jednak początki jego widzimy w Europie już w peryodzie przejściowym. Przyznać należy, że pod tym względem zmiana, którą uważamy w przejściu do epoki neolitycznej, mogła-by być poczytaną za skok nienaturalnie raptowny, gdybyśmy ją przypisali samej tylko ówczesnej tubylczej europejskiej ludności. Już sam kształt krzemiennych łupa-

1) Uwarow. T. I, 252.

2) Uwarow, str. 253, 254 i nast.

nych narzędzi uległ, jak to mówiliśmy, ułatwiającym ich użytek zmianom; lecz tu spostrzegamy, że same rodzaje używanego kamienia urozmaicają się jak gdyby raptownie, co więcej, pomiędzy nimi spostrzegamy takie, jak jadedit, nefryt i chloromelanit, które przychodzą niezawodnie z Azji, bo w Europie nigdzie tych gatunków w naturze nie ma <sup>1)</sup>. Ta różnorodność kamienia w połączeniu ze znajdowaniami kuchennymi na koczowiskach odpadkami, te obozowiska całych plemion porzucane gdzieś między Uralem a środkową Europą, dowodzą, że na epokę przejściową przypadła jakaś wędrówka ludów azyatyckich do Europy. Zdaniem Uwarowa <sup>2)</sup>, azyatyckie gatunki kamienia zostały tu wprowadzone przez drugą z rzędu ludzką falę, która jednocześnie przyniosła z sobą sposoby wiercenia otworów i rzeźbę na miększych od nefrytu gatunkach, jak również pewne okrągłe, kształt miseczek mające, znaki, pokrywające całe ściany skał, we Francji „pierres à écuelles”, w Niemczech „Heidensteine”, a na Litwie „Olgierdowemi talerzami” przez lud nazywane <sup>3)</sup>. Archeologia nie doszła jeszcze, co one oznaczają, oraz czy ludy, które je zostawiły, mają jaki związek z temi, które następnie jeszcze inny a nowy rodzaj kamieniarstwa do Europy przyniosły, mianowicie „dolmeny”, „cromlehy”, „menhiry” i t. zw. „tumulusy” <sup>4)</sup>. Wszystkie te rodzaje budownictwa kamiennego, „megalitami” zwane, znajdujemy tak w Europie, jak i w Azji, a nawet w północnej Afryce. Dawniej w dolmenach, uważanych za pozostałości po Celtach, widziano ołtarze Druidów; nowsze badania dowiodły, że są one dawniejsze, że te różne rodzaje pomników przeważnie mają znaczenie grobowców i że nad wielu z nich wznoszono „usypiska z ziemi.” To ostatnie odkrycie przekonywa, że i myśl sypania pomników ziemnych przyniesioną być mogła w peryodzie neolitycznym z Azji do Europy. Od tej chwili zwyczaj ten rozpowszechnił się tam

<sup>1)</sup> Uwarow. T. I,

<sup>2)</sup> Tamże, str. 334.

<sup>3)</sup> „Wiek kamienia w Rosyi”, str. 371.

<sup>4)</sup> Wszystkie te nazwy zostały wymyślone dopiero w wieku bieżącym przez archeologa Lenoir. „Dolmen” pochodzi od celtyckiego „daul”—stół i „maen”—kamień; oznacza zaś wielką samorodną płytę, wspartą poziomo na trzech lub więcej prostopadłe wkopanych kamieniach. „Cromleh”, od wyrazu „Crom”—zgięcie i „lech”—kamień, oznacza krąg z pojedynczych kamieni, w którego centrum stawiano czasem jeszcze kamienie, które musiały być właściwymi grobowcami. Znajdujemy i koncentryczne „Cromlehy”, być może dla wykazania większej zasługi pogrzebanego stawiane. „Menhir” od wyrazu „maen”—kamień i „hir”—długi, oznacza prostopadłe wkopany pojedynczy kamienny słup. (Nadaillac T. I, str. 299—318). Tumulus, wyraz dawniejszy, od łacińskiego tumescere—wydymać, oznacza koniczną kupę kamieni, z nasypem ziemnym na niej lub bez.

gdzie nowo przybyłe ludy zaczęły się osiedlać; kurhan mniejszy lub większy, usypany nad grobowcowym kamieniem, zastąpił grobową jaskinię epoki paleolitycznej i przejściowej, przy nim też zaczęto odprawiać stypy <sup>1)</sup>, oraz inne pamiątkowe sprawować obrzędy. Z czasem, miejscami, samo tylko usypisko zastąpiło kamienny grobowiec i w ten sposób z samej ziemi powstały kurhany w miejscowościach, gdzie kamienia nie było, lub u tych ludów, których rozwój kulturalny wszedł w okres metalu i gdzie kamień przestał mieć znaczenie obrzędowe, przyczem usypiska zostały zastosowane i do innych potrzeb, ze sposobu życia wynikających; robiono z nich ofiarnicze miejsca, zbierano na nich całe rody lub gminy, używano jako ochronnych szańców i wałów, nadając kształty i rozmiary, odpowiadające celowi. Rozumie się samo przez się, że skoro człowiek uczuł potrzebę wyrażenia swych pojęć lub uczuć obrzędem i trwałym znakiem, skoro mógł zebrać tak znaczną liczbę sobie podobnych, że sypał przeszkody, które wstrzymywały napad nieprzyjaciela, to musiał już mieć wyższe, sferę fizycznych potrzeb przekraczające dążności, jak również musiał wejść w koło pewnego społeczeństwa, które stało się normą jego publicznego życia jeszcze w peryodzie szlifowanego kamienia.

Rzucony tu mglisty kalejdoskop pierwocin bytu ludzkości miał na celu dać nam wyobrażenie o tem, co się działo wszędzie, a zatem i tu, wśród stepów i jarów późniejszej Ukrainy. Że się nie mylimy, dowodzą tego paleontologiczne <sup>2)</sup> i archeologiczne poszukiwania, wykazują znajdujące się tu w znacznej ilości pomniki ziemne, do których dojdziemy z kolei, przywiódłszy wprzód niektóre dane, dowodzące zasiedlenia tych stron może jeszcze wówczas, kiedy nawet potrzeby wznoszenia i tych odwiecznych zabytków zamieszkujący tu ludzie nie uznawali.

Czy mieszkał tu już człowiek w epoce paleolitycznej, na pewno jeszcze twierdzić nie możemy; posiadalibyśmy wtedy tylko niezbite tego dowody, gdyby między Bohem a Dnieprem znaleziono gdzie kości nosorożca lub mamuta, leżące obok krzemiennych, łupanych narzędzi, w pewnych geologicznych warstwach, lub też gdybyśmy w której z tu-tejszych skalistych grot znaleźli takie kości ludzkie, których wymiary i otoczenie odpowiadały-by wskazówkom, jakie gdzieindziej służą już za niezbity dowód zamieszkania tych grot lub ich sąsiedztwa przez najstarszą ludzką rasę. Kości mamuta znajdują się tu wprawdzie dość

<sup>1)</sup> Niektórzy są zdania, że zwyczaj stypy, jako uczty pogrzebowej, istniał już w peryodzie paleolitycznym, czego dowodzą w ich oczach ślady pozostałe w grobowcowych jaskiniach.

<sup>2)</sup> Wykopaliska świata organicznego.

często: gliniaste dyluwialne pokłady pod Kijowem, w okolicach Trypola, Kaniowa i Trachtymirowa, w powiatach Winnickim, Hajsyńskim i wielu innych gub. Podolskiej i Wołyńskiej <sup>1)</sup>, dały nam już niejedną tego rodzaju zdobycz; łupane narzędzia krzemienne, znajdowane bądź pojedynczo, bądź w większej ilości <sup>2)</sup>, leżeć tu mogły w ziemi także od początków czwartorzędowego okresu; gdy jednakże dotychczas nie znaleziono tu nigdzie w dyluwialnym, ani żadnym innym pokładzie, w jednym i tem samym miejscu, kości mamuta obok narzędzi krzemiennych, to bezstronność każe się wystrzegać arbitralnego wyroku, ponieważ między znajdowanymi odbijanymi krzemieniami mogą być wyroby, bądź do przejściowej, bądź nawet do początków neolitycznej epoki należące. Przypuszczać jednak o wiele dawniejsze zasiedlenie stron tutejszych mamy wszelkie prawo, skoro przypomnimy odkrycia, uczynione, jedno w niedalekiem sąsiedztwie o kilkadziesiąt wiorst od Dniepru po lewej jego stronie, a drugie nad Dniestrem w nie większej od Bohu odległości. W r. 1873 we wsi Gońcach gub. Połtawskiej, niezbyt daleko od Kaniowa, wykopano nad brzegiem Udaju jamę, w której wierzchnia, bardzo cienka, warstwa roślinna kryła pod sobą piasek, pod nim na głębokości jednego metra leżał porowaty, żółty, naniesiony przez potoki wód pokład ilu, zawierający krzemienne łupane wyroby, spaloną kość, doskonale zachowane kości mamutów i niewielką liczbę pojedynczych eratycznych kamieni <sup>3)</sup>. Ponieważ cała ta warstwa została uznana za naniesioną w peryodzie polodowcowym, przeto narzędzia i kości znajdujące się w niej do tegoż okresu należą. Podczas badań na miejscu, zwrócono uwagę na to, czy wyroby ręki ludzkiej nie były tu przyniesione później, niż kości zwierzęce splawione tu przez wodę, lecz stwierdzono, że tak jedne, jak drugie, noszą cechy pochodzenia jednoczesnego i miejscowego, czego dowodziła mała przestrzeń czterech sążni kwadratowych, na której się znajdowały kości co najmniej sześciu mamutów, jak również to, że żadnych części skieletów mamutowych nie brakowało. Nareszcie kość palona była wskazówką decydującą, że tego wszystkiego woda przynieść tu nie mogła. Leżały one jak gdyby zgarnięte jedne na wierzch drugich a pomieszane z kośćmi i rogami innych zwierząt, te zaś, które z natury swej niegdyś zawierały większą ilość szpiku, były porozbijane lub rozszczepione. Wyrobów z krzemienia okazało się 47, mianowicie tam, gdzie leżały kości zwęglone. Między niemi były takie, które zostały w swoim czasie zepsute, zanim zdążono je wykończyć, sądząc zaś z ilości okrzosków krzemiennych oraz z obecno-

<sup>1)</sup> Uwarow T. I, str. 149.

<sup>2)</sup> Uwarow. T. II, str. 87—97.

<sup>3)</sup> Kamiński i Teofilaktow. Prace III Arch. Zj. w Kijowie str. 147 i 152.

ści nucleusów, można twierdzić na pewno, że je robiono tu, na tem samym miejscu, tem łatwiej, że kopalnia surowego materiału znajduje się w pobliskim pokładzie eratycznych kamieni najrozmaitszych gatunków. Z nich więc otrzymywano tutaj skrobaczki, noże i inne ostre narzędzia, przydatne zarówno do krajania mięsa mamutowego, jak i do oddzielania go od skóry zwierzęcia. Innego rodzaju narzędzi i broni pod Gońcami nie znaleziono, stąd wniosek, że musiano natrafić tu tylko na miejsce, gdzie ówczesni mieszkańcy brzegów Udaju zwykle zaspakajali głód po trudach myśliwstwa; prawdopodobnie jednak gdzieś niedaleko musiały znajdować się ich schroniska, gdyż tak obfite nagromadzenie odpadków jadła i przyrządów do jedzenia używanych przypomina duńskie t. zw. „Kioekkenmoedding”, zawsze naokoło mieszkań leżące, lecz innych cech charakteryzujących te północne kuchenne pozostałości, nadudajskie odkrycie nie nosi. Znaleziono tu wprawdzie, oprócz wyżej wzmiankowanych przyrządów, szydło i igłę, wyrobione z łupanej kości, którą następnie wygładzono, a takie, lecz poprawniej wykonane, przedmioty w Danii, zaliczają się do końca paleolitycznego okresu, do t. zw. peryodu północnego jelenia; lecz obozowisko pod Gońcami, wobec kości mamuta, oraz wykończenia narzędzi, musi być uważane za należące do epoki, która jest o wiele pierwotniejsza od tej, jaką się widzi w peryodzie jelenia <sup>1)</sup>).

Mniej więcej w tym czasie co pod Gońcami, zrobiono podobne odkrycie niedaleko stamtąd nad Sulą, gdzie miejsce łowów na mamuta tym razem nacechowała zużyta siekiera krzemienista obok kości tego zwierza; następnie w tych samych stronach otrzymano inne w tym rodzaju zdobycze, tak, że obecnie niema już wątpliwości, iż w pobliżu lewego brzegu Dniepru, kąt, utworzony przez rzeki Sulę, Uda i Orzycę, był zamieszkały w najdawniejszych początkach paleolitycznego tutejszego okresu.

W innej stronie, nad Dniestrem, w pobliżu Kamieńca, znaleźli robotnicy kości mamuta, które zostały oddane do zbiorów kijowskiego uniwersytetu, poczem ktoś ze studentów udał się na miejsce, gdzie, pomimo, że miejscowy gliniasty pokład był przez ten czas wciąż rozkopywany, udało mu się wydobyć jeden ząb mamuta i kilka długich jego kości, obok których leżały dwie, z krzemienia wyrobione za pomocą łupania, skrobaczki, co wszystko do epoki głęboko paleolitycznej odniesione być musi. Że okolice dzisiejszego Kamieńca należą do zamieszkiwanych od dawna, wskazują naturalne groty nad brzegami Smotrycza w pobliżu wsi Załucze, w których znajduje się bardzo wiele ludzkich

<sup>1)</sup> Uwarow. T. I, str. 109.

kości<sup>1)</sup>. Groty te, o ile nam wiadomo, nie są jeszcze dostatecznie zbada-  
 ne, wiemy jednak, że łączą się między sobą korytarzami i że im dalej  
 a głębiej idą, tem więcej w nich kości się napotyka. Przypominają one  
 w ten sposób najpierwotniejsze miejsca wiecznego spoczynku mie-  
 szkańców, zmarłych w epoce paleolitycznej, które już zbadano na Za-  
 chodzie Europy, jak np. grota pod Aurignac w Pireneach<sup>2)</sup>, z tą je-  
 dnak ważną różnicą, że groty nadsmotryckie służyły także za schro-  
 nienie i w epokach późniejszych, gdy pirenejska zachowała się w sta-  
 nie nietykalności od chwili złożenia w niej umarłych aż do naszych  
 czasów. Mając teraz te wszystkie odkrycia, widzimy, że tak na wschód,  
 jak i na zachód od przestrzeni, która się między Dnieprem a Bohem ro-  
 zlega, w bardzo niewielkiem od jej krańców oddaleniu istnieją niezbite  
 dowody osiadłości w okresie paleolitycznym. Niema więc nic niepra-  
 wdopodobnego, że z czasem i tu odkryją się także ślady, a wtedy już  
 nietylko przypuszczać, lecz na pewno twierdzić będziemy mieli prawo,  
 że i opisywane przez nas strony do równie dawno zamieszkanym nale-  
 żą. Tymczasem zaś przedstawić możemy dotykalne dowody co do epo-  
 ki następnej, bardzo do pierwotnej paleolitycznej zbliżonej, lecz już  
 przejściowej, t. j. takiej, w której człowiek nie zadawał sobie wyszu-  
 kanem a przez naturę wyznaczonem dłań schroniskiem, lecz nauczył  
 się urządzać je własnymi siłami, kopiąc sztuczne groty w pokładach  
 twardej gliny, pierwotne zaś krzemienne narzędzia zaczął ulepszać,  
 powiększył ilość ich rodzajów i doszedł do użytku naczyń glinianych.

Na czele tych dowodów stawiamy sztuczne groty, t. zw. pieczary  
 pod Kijowem<sup>3)</sup>: prawy brzeg Dniepru w środkowym jego biegu przed-  
 stawia szereg spadzistych wzgórz, które się wznoszą na sążni 40 nad  
 powierzchnią wody. Dolna warstwa tych wzgórz należy do t. zw.  
 trzeciorzędowej, eoceniczej formacyi, która składa się z błękitnawej  
 gliny, zawierającej u góry brunatny węgiel i bursztyn. Po nad tą war-  
 stwą leży słój dyluwialnej czerwonej gliny, następnie piasek, wyżej  
 jeszcze żółta glina, a na samym wierzchu czarnoziem. Wszystkie trzy  
 wymienione tu polodowcowe warstwy zawierają eratyczne kamienie  
 i kości mamuta. Żółta glina, której głębokość przechodzi miejscami  
 4 sążnie, jest nieprzepuszczalną i tak twardą, że wykopane w niej,  
 ostrołukiem u góry zakończone, korytarze, przedstawiają suche a za-  
 bezpieczone od zapadnięcia się stropu groty. Tę własność tutejszej  
 gliny zużytkowali, zdaniem archeologów, pierwotni mieszkańcy dnie-

<sup>1)</sup> Referat prof. Antonowicza.

<sup>2)</sup> Lartet. Uwarow, T. I, 188.

<sup>3)</sup> Antonowicz. Prace IV Arch. Zjazdu, str. 1—6.



prowych wybrzeży, aby w niej swoje schroniska urządzić; bo chociaż niektóre pieczary zostały w czasach późniejszych użyte jako mieszkania przez zakonników, którzy je rozszerzyli i wykopali obok nich nowe, dziś daleko ciągnące się, sławne pieczary kijowskiej Ławry, lecz u wielu wejścia zostały tak szczelnie zamknięte skutkiem późniejszego osunięcia się górnych zewnętrznych warstw, że natrafić na nie można tylko przypadkiem, gdy je ścieki wód odkryją—zakonnikom więc służyć nie mogły. Na przestrzeni 100 wiorst pod Kijowem prof. Antonowicz zbadał 45 takich sztucznych grot, a z nich nie więcej nad siedm zalicza do rzędu późniejszych, zakonniczych mieszkań. Na nieszczęście, prawie wszędzie natrafił on na dowody gospodarki ludzi, którzy uprzednio szukali mniemanych skarbów Mazepy, tak dalece, że najdawniejsze ślady mieszkania zostały zatarte; w końcu jednak profesor A. trafił na grotę nietkniętą. Pod monasterem Kiryłowskim, wśród grupy 15-tu sztucznych grot, które się w rozmaitych zagłębiały kierunkach, w jednej, 2½ arszynów wysokiej, 1½ szerokiej, a ciągnącej się około stu kroków, leżała u wejścia kupa kuchennych resztek, 1½ arszyna szerokości w średnicy przy ośmiu werszkach wysokości, a składająca się przeważnie z porozbijanych lub rozłupanych rzecznych muszli, kości zwierząt ssących i grzbietowych kręgow rybich. Kości konia i wołu nie były zwęglone, ani też nosiły skaz od narzędzi ostrych, lecz widocznie zostały potraskane uderzeniem kamienia. Między tem wszystkiem znajdowały się skorupy naczyń glinianych i narzędzia kamienne. Pierwsze były ulepione palcami, bez pomocy deski garncarskiej, z brunatnej lub czerwonej, nieoczyszczonej gliny, która zachowała w sobie znaczną domieszkę ziarenek kwarcu; wypalenie zaś ich było do tego stopnia niedokładne, że ogień oddziałał tylko na zewnętrzną stronę ścianek naczyń, gdy wewnętrzna pozostała wcale niewypaloną. Skorupy te żadnych upiększeń nie miały. Znaleziony w tej samej kupie krzemiennoy nucleus był kształtu nieforemno, a kawał czerwonoj rudy żelaznej, zaokrąglony z jednego końca, miał kształt tępej piramidki. Opodal, pod ścianą groty, leżał stos okrągławych kamieni eratycznych, tem dziwniejszych, że wszystkie były mocno przepalone i wskutek długotrwałego działania ognia zamieniły się w kruchą masę; wreszcie, jeszcze dalej, leżał na ziemi odłamek piłki krzemiennej, której wyźębienia były porobione dość starannie za pomocą drobnych a gęstych uderzeń o ostre brzegi krzemiennoy odłamu. Wszystkie szczegóły tego odkrycia dowodzą, że w grocie tej mieszkali ludzie, stojący na niesłychanie niskim stopniu rozwoju, których potrzeby i środki ich zaspokojenia nie wychodziły za obręb najpierwotniejszych; a jednak powinniśmy dodać i to, że z jednej strony brak kości mamuta, a z drugiej obecność narzędzia z czerwonej rudy żelaznej i naczyń gli-

nianych, są wskazówką, że byt tych ludzi stanął już na zwrocie od najpierwotniejszej paleolitycznej epoki ku przejściowej.

Do nieco późniejszego, lecz zawsze jeszcze paleolitycznego peryodu, można-by zaliczyć przedmiot, znaleziony w pow. Czelużyńskim <sup>1)</sup>; jest nim ręcznie obrobiony trójgraniasty krzemień, podobny do innych w tym rodzaju, znajdujących na Zachodzie Europy, a które archeologia zalicza do typów t. zw. „mousteriens”, czyli takich, które w paleolitycznej grocie koło Moustier, we Francyi, wraz z zębem mamuta się znajdowały, wskutek czego do klasyfikacyi Lubbocka weszły pod tą nazwą. Było-by to wskazówką równie dawnych w okolicach dzisiejszego Kijowa, jak też i więcej na południe, nad Taśminę, posuniętych siedzib, tem bardziej, iż zawartość kurhanu, w którego nasypie znajdował się ten przedmiot niewiadomego użytku, jest uboga, a zarazem dobitnie cechuje niski stan dobrobytu pogrzebanych tu ludzi, co już zachęcało-by nas do przypuszczeń, że w istocie mamy do czynienia z epoką paleolityczną, gdyby właśnie nie ta okoliczność, że się ten przedmiot w nasypie kurhanu, a nie gdzieindziej, znalazł; pewności bowiem żadnej nie mamy, przeciwnie, nawet wątpić musimy, czy ta epoka znała już nasypy ziemne nad zwłokami zmarłych. Niemniej jednak mógł się ten trójgraniasty kamień przechować tu w ziemi do początków epoki neolitycznej i w jakiś sposób wejść do liczby przedmiotów, towarzyszących zmarłemu do grobu, lub też kształt w obrobieniu i użytek tego krzemienia mógł dojść do tutejszych mieszkańców okresu kamienia szlifowanego, drogą tradycyi od przodków, którzy te same miejsca w takim razie kiedyś, w epoce kamienia łupanego, zamieszkiwali. Przypuszczenia o zamieszkanu okolic Smiły przez bardzo długi przeciąg czasu w wieku kamienia opieramy na innem odkryciu hr. Bobryńskiego <sup>2)</sup>: miasteczko to leży przy zbiegu Taśminy i Serebranki, skąd niedaleko rzeczka Irdynówka z wolna przepływa środkiem szerokiego bagna, którego brzegi, z jednej strony wzgórzyste, a z drugiej piaszczyste, niskie są i pokryte pysznym lasem sosnowym <sup>3)</sup>. Na wzgórzach wznosi się stary Winogradzki monaster, założony przed XVI w., w pobliżu zaś klasztoru są pieczary, tworzące labirynt korytarzy, które wspomniane archeolog zalicza do rzędu przedhistorycznych. Nieopodal od

<sup>1)</sup> Hr. Bobryński. „Kurhany i przypadkowe odkrycia w pobliżu miasteczka Smiły”, str. 41 i 44.

<sup>2)</sup> „Kurhany i t. d. w pobliżu Smiły”, str. 122—129.

<sup>3)</sup> Bagno to, Irdyn zwane, było prawdopodobnie ongi jednym ze splawnych ramion Dniepru, gdyż w niem znaleziono w pierwszej połowie wieku b. kotwiczę i drewniane części okrętu, a jak niesie podanie, także resztki, obite miedzią i nabijane miedzianymi gwoździemi, znaleziono tam dwukrotnie jeszcze dawniej.

pieczar natrafiono przypadkiem na ślady rękodzielnictwa narzędzi wieku kamienia: rozszerzając drogę u stóp Jurjewej góry, zauważono kawałki kości, gliniane skorupy, kamienie, kawałki krzemienia, i naturalnie zaczęto odpowiednie poszukiwania, które bezpośrednio pod czarnoziemem wykazały warstwę drobnych granitów, pomieszanych z resztkami naczyń, następnie węgiel drzewny, ślady zwęglonych stosów i kości zwierząt, z których wiele było podłużnie przeciętych, w sposób cechujący dobywanie z nich szpiku. Jeszcze niżej ukazały się krzemienne okrzoski i także narzędzia, których wydobywanie doprowadziło do sążniowej głębokości, przyczem, miejscami, trafiono na ślady jam ogniskowych, zawałonych kamieniami, pomiędzy którymi był ciekawy okaz oselki z upiększeniami. Krzemiennych okrzosków naliczono około trzech tysięcy. Wiele przedmiotów z granitu, a w tej liczbie niektóre znajdujące się w jamach ogniskowych, miały formę młotków, a niektóre były ostro zakończone, kształtu równoległobocznego. Przeciętna długość tych narzędzi wynosiła jedną piątą część metra; lecz były pomiędzy nimi znacznie dłuższe; kształtem przypominały młoty z krzemienia, znajdujące się w muzeum St Germain, które należą do najstarszej paleolitycznej, według klasyfikacji archeologów, t. zw. epoki „Le Cheléen”<sup>1)</sup>, i gdyby tutejsze nie były z granitu lecz z krzemienia, można-by je do tego okresu zaliczyć. Lecz względem materiału, z którego są wyrobione, nakazuje uważać je za późniejsze. Na tę obfitość narzędzi krzemiennych złożyły się: noże o jednym i dwu ostrzach dość starannego wykonania, poczynając od bardzo małych, których przeznaczenia trudno odgadnąć, do długich na  $\frac{3}{4}$  metra; najrozmaitszego kształtu skrobaczki: proste, okrągłe, łukowate; ostrza do strzał trójkątne, zwyczajne lub zaokrąglone od strony drzewca, długo zakończone, czworogramne, z ogonkami pojedynczemi i rozdwojonemi; wreszcie trzy trójgraniaste krzemienie, które mogą być uważane zarówno za strzały, jak i za *nucleusy*. Tych ostatnich znaleziono 110 okazów rozmaitej wielkości i koloru, a między nimi były takie, do których przystawały już odbite lecz jeszcze nie odjęte od nich noże. Należą one do ostatniej neolitycznej epoki, t. zw. „Robenhausen.” Kości zwierząt były końskie, krowie, baranie, świńskie, jelenie (*cervus elaphus*), sarnie oraz lisie; niektóre z nich zaostrzone, z dokładnie przewierconemi otworami, mogły służyć jako szydła lub igły. Większa część skorup glinianych musiała niegdyś składać naczynia, wprawdzie metrowej wysokości, lecz wykonania nader niepoprawnego: ścianki ich grube, glina z ziarnkami kwarcu, a ulepione bez użycia koła garncarskiego; wierzchy ich przedstawiały kształt grubych szyjek, upiększonych licznymi nieregularnymi wygnie-

<sup>1)</sup> Mortillet: „Musée Préhistorique.” Quaternaire VI.

ceniami linijek i punktów, na innych zaś częściach tych naczyń były bądź proste, bądź wężowate linie, wygniatane palcem lub paznociami, słowem takie, jakie się przy podobnego rodzaju odkryciach w Zachodniej Europie napotyka. Jedynym przedmiotem metalowym, który tam znaleziono, był kawałek cienkiego miedzianego drutu, leżący w najwyższej warstwie tego starożytnego zbioru.

Obecność wszystkich tych przedmiotów dowodzi, że natrafiono tu na rękodzielnię narzędzi, która przeszła różne stopnie rozwoju w epoce kamienia i dotrwała na miejscu do chwili, kiedy się pierwsze metale w przemyśle ukazywać zaczęły. Miedziany drut naprowadza przytem na myśl, czy od kamienia nie przeszli tu bezpośrednio do brązu; czy, nim zaczęto używać tej mieszaniny, nie było tu krótkotrwałej epoki miedzi, jak to już stwierdzono w wykopaliskach Troi i niektórych węgierskich? Oryginalny szczegół został zauważony przez hr. Bobryńskiego, gdy porównał wykonanie skrobaczek z wykonaniem strzał: pierwsze odznaczały się dokładnością, prawie elegancją wykończenia, drugie zaś, jakby umyślnie, wcale wykończone nie były. Widocznie rozchodziła się ich taka ilość przy ciągłych polowaniach na grubego zwierza, że wykończać czasu nie starczyło, a może i nie było warto. Szczegół ten był już zaznaczony przez archeologów gdzieindziej i jest wskazówką, jak niedokładne musiały być razy strzał w owych czasach, skąd możemy wnioskować, o ile koniecznem stawało się wynalezienie czegoś, coby zastąpiło ostrza krzemienne wobec rozwijających się potrzeb, a może i nowych warunków życia, niepokojonego napływami świeżych przybyszów do Europy.

Użyliśmy wszystkich danych, na które nas stać było, aby pokazać, że tutejsze strony były zamieszkałe przez długi okres kamienny w najrozmaitszych jego epokach <sup>1)</sup>; lecz wyobrazić sobie, jak wyglądałi najpierwotniejsi tutejsi mieszkańcy, czy w nich mamy widzieć isto-

<sup>1)</sup> Krakowska Akademia Umiejętności wydała mapę badań antropologicznych. Wskazówek paleolitycznej epoki u nas na niej nie widzimy, natomiast wiele miejsc, pookreślanych kolorami, oznaczających neolityczną i następną. Chociaż nie wszystkie odkrycia w tej mierze zaznaczone były na tej mapie należną im wzmianką, poczet ich przedstawia się dla stron tutejszych, jak następuje: Epoka Neolityczna: 1) Wykopaliska częścią w kurhanach bezpośrednio, częścią w urnach znalezione: Obuchów, Bezradyce, Kopaczów, Rulików, Wasylków, Poradów, Hełenów, Sniatynka, Sołtanówka, Motowidlówka, Słoboda (?), Chwastów, Drohinka, Koszczęjówka, Czerniawka, Łosiatyn, Stanisławka 2) Wykopaliska w samych urnach: Ryżanówka, Kobrynowa. Dla gub. Podolskiej—Sieniawa Nowa. Epoka brązu t. zw. Halstadzka: Zarzece, Jerczyki, Antonówka, Żydowce, Majdanówka, Kirylówka, Samorodek; nad Bohem zaś Strzyżawka i Popówka. Epoka przedhistoryczna nieokreślona: nad Bohem Jakuszyńce i Strzyżawka. Z tego wyliczenia wnioskujemy, że badania prof. Antonowicza i hr. Bobryńskiego nie weszły jeszcze do tej mapy.

tych tubyleców, należących do najstarszych europejskich ras, w rodzaju kanstadzkiej lub jej pokrewnych, czy też jako przybyszów ze wschodu—zdaje nam się—nikt nie potrafi. Kraniologiczne wskazówki odegrały-by tu doniosłą rolę, lecz po-za obrębem kości. znajdujących w kurhanach, takich, które-by dawały pewniki naukowe, nie posiadamy; tamte zaś do najdawniejszej paleolitycznej epoki nie należą, choć niemniej dają nam bogate wskazówki może do przejściowej, a niezawodnie do wczesnej neolitycznej. Pozostają więc tylko przypuszczenia. Jeżeli najpierwotniejsi tutejsi mieszkańcy mieli jakie rasowe pokrewieństwo z tą warstwą zachodniej europejskiej ludności, którą nauka dotąd za najstarszą uważa, to ich typ odpowiadał-by słynnej w antropologii czaszce, którą znaleziono w r. 1857 w Neanderthal koło Düsseldorfu, pod dwumetrową warstwą gliny. Miała ona nadzwyczaj rozwinięte i bardzo wydatne łuki brwiowe, bardzo grubą kość, rozmiar dowodzący bardzo słabego rozwinięcia mózgu, oraz wszystkie inne cechy czaszek najniższego ustroju, jaki u długogłowców spotkano. Zaliczoną została do tak zwanej rasy kanstadzkiej, której istnienie w epoce paleolitycznej przypuszczać zaczęto, gdy w r. 1701 pod Stuttgartem znaleziono ułamek nieznaney z kształtów do owego czasu innej czaszki. Quatrefages utrzymywał, jak to wzmiankowaliśmy, że typ ten przechował się długo w Europie, gdyż ukazywał się nawet w IV w. po Chr. i później <sup>1)</sup>. Czy podobnego rodzaju czaszki przyniósł atawizm i do tutejszych kurhanów, nie wiemy, i pod tym względem nauka nic tu jeszcze wnioskować nie może. Inny typ rasy, która w wiekach paleolitycznego okresu żyła też w Europie, znajdowano w rozmaitych miejscach. Słynnej rasy tak zwanej Cro-Magnon są cechy następujące: wzrost 1.80 metra wysoki, kości udowe uderzającej grubości, golenie splaszczone, czaszki bardzo wydłużone, czoło szerokie i wypukłe. Broca określa tę rasę w sposób następujący: przedstawia ona mieszaninę cech, z których jedne uważać należy jako wyższe, drugie zaś jako niższe w organizmie człowieka; objętość mózgu, rozwój kości czoła, piękny eliptyczny kształt tyłu głowy i cały rysunek jej bocznych stron są znamionami wyższości, które się napotyka u ras najbardziej cywilizowanych; za to szerokość twarzy, wydłużenie szczęk (prognatyzm) i ich olbrzymi rozwój, płaskość goleni i szczegóły ustroju muskulatury, każą się domyślać, że mamy przed sobą silną lecz bestyjalną rasę. Dodajmy tu, że w Cro-Magnon obok szkieletów ludzkich znaleziono kości nie tylko mamuta, lecz nawet lwa jaskiniowego. Otóż niektóre takie same cechy znajdujemy u szkieletów, odkrytych niedawno na sąsiednim z tutejszemi stronami Wołyniu;

<sup>1)</sup> Nadaillac. T. I, str. 149.

co więcej, z mniejszą wprawdzie siłą, lecz do pewnego stopnia podobne, zostały odgrzebane w bardzo starych kurhanach pow. Czehryńskiego, Zwinogrodzkiego, a po części i Skwirskiego. Wołyńskie zawdzięczamy poszukiwaniom pp. Glogera i Radziwińskiego w r. 1877 w pow. Ostrogskim, a ich charakterystykę podał prof. Kopernicki <sup>1)</sup>. Wzrost ich wynosi od 1.74 do 1.83 metra (czyli taki jak w Cro-Magnon), czaszki wyraźnie długogłowe, nawet jedna „przesadnie długogłowa”, golenie spłaszczone, dołki łokciowe przedziurawione, co się i we Francyi w jaskiniowych cementarzyskach w znacznej ilości spotyka, grubość ścian czaszki potężna, jak również cała budowa szkieletów, w ogólności zaś nie mają one najmniejszego powinowactwa rasowego z badaniami przez prof. Kopernickiego uprzednio, przedhistorycznymi czaszkami innych stron kraju, lecz owszem należą do szczepu zupełnie obcego tegoczesnej ludności Wołynia i słowiańskiej w ogólności, przeciwnie zaś istnieje w nich nietylko najściślejsze powinowactwo, lecz prawie tożsamość rasowa z pochodzącymi z cementarzystek południowo-niemieckich, które, dodajmy od siebie, noszą niektóre cechy powinowactwa z francuskimi.

Nie śmiemy przez to twierdzić, aby dotychczas za pierwotną wołyńską uważana rasa była ta sama, którą we Francyi uznają za najdawniejszą po kanstadzkiej; lecz jeśli widzimy z jednej strony powinowactwo pewnych odrębnych szczegółów ustroju kości, ten sam wzrost i budowę, a najbardziej długogłowość tu i tam mocno rozwiniętą, wreszcie żadnego podobieństwa do później tu zamieszkałego szczepu słowiańskiego, to mamy prawo przypuszczać, że typ znaleziony w okolicach Ostroga może być równie stary, jak rasa Cro-Magnon we Francyi, która, jak widzieliśmy, żyła w epoce głęboko paleolitycznej. Niepewność wzbudza tu sposób, w jaki wołyńskie szkielety pogrzebane zostały; znamionuje on w istocie epokę późniejszą, lecz nie przeszkadza przypuszczać, że ten sam typ istniał tam już pierwej obok mamuta, tylko że go w tem towarzystwie dotychczas nie znaleziono; skoro zaś przypuszczamy, że na sąsiednim Wołyniu taka rasa jest najstarszą, możemy przypuścić to samo i dla poblizkiej Wołyniowi Kijowszczyzny. W istocie, cechy długogłowości, spłaszczonych goleni, dołów łokciowych, spotykamy i tu; co więcej, silnie rozwinięty prognatyzm i wypukłość kości policzkowych przypominają najdawniejsze francusko-niemieckie typy. Czynimy to porównanie na podstawie ogólnych spostrzeżeń nad najstarszemi szkieletami, które się udało wydobyć w pow. Czehryńskim <sup>2)</sup>, jak również do pewnego stopnia spostrzeżeń nad

<sup>1)</sup> Zbiór wiadomości dla Antropologii krajowej. T. I, str. 48—53.

<sup>2)</sup> Hr. Bobryński, str. 131 i 132.

wykopaliskami, opisanemi przez prof. Antonowicza <sup>1)</sup>, śpiesząc z dodaniem, że typu pierwotnej rasy nie udało się tu nigdzie odnaleźć, lecz cechy jej przez atawizm przeszły do pokoleń, spoczywających wniektórych najdawniejszych kurhanach. Najbardziej jednak wydłużone, przesadnie długogłowe czaszki, znaleziono w wielkim kobrynowskim kurhanie, w najniższym jego piętrze <sup>2)</sup>. Cechy otoczenia szkieletów, samo ich położenie, wielkość czaszek, tak dalece przypominają Cro-Magnon, że i tu powstrzymuje nas od zaliczenia tego odkrycia do najdawniejszej tutejszej rasy tylko wzgląd, że kurhan kobrynowski epoki neolitycznej dowodzi, wtedy, kiedy mamy wszelkie prawo przypuszczać, że kraj ten miał swych mieszkańców jeszcze pierwiej.

O tej ludzkiej rasie, która, jak się dotąd zdaje, zamieszkiwała najdawniej wschodnio-europejską równinę, wchodzącą obecnie do składu Rosyjskiego Imperyum, uczeń Broca i Quatrefages'a odzywa się w ten sposób <sup>3)</sup>: „Drugi typ białych jest rudy. Właściwością jego są oczy zielone lub siwe, włosy ognisto-rude lub żółto-czerwonawe, a skutkiem przerodzenia się kasztanowo-popielate; skóra na twarzy często pokryta piegami. Dzieje rasy, do której typ ten należy, jeszcze nie są zbadane, lecz przypuszczam, że właśnie ona zamieszkiwała dzisiejszą Rosyję w czasach przedhistorycznych przed najściem narodów azyatyckich; obecnie przechowała się ta rasa w obu żyjących odłamach plemion fińskich. Większość dawnych kurhanów rosyjskich zawiera przedstawicieli tej rasy. O tym typie wzmiankują kroniki „Ham” (chińskie), jako o zamieszkałym przed erą chrześcijańską na Syberyi i w chińskim Turkiestanie.” Czy słowa powyższe, które się zdają tyczyć wschodniej tylko Rosyi europejskiej, mamy stosować i do tutejszych stron, czy uważać tubylców przed przyjściem ludów aryjskich za plemię po dzisiejszemu Fińskie, czy też widzieć w nich typ, odpowiadający staremu wołyńskiemu, a więc pokrewny rasom zachodnio-europejskim, jest rzeczą, której zbadanie do zdobyczy naukowej przyszłości należy.

Zebrawszy, o ileśmy umieli, nieobfity materiał, staraliśmy się przedstawić tylko wytyczne punkta prabytu tutejszych mieszkańców. Obecnie możemy już przejść do epoki, która nam swoje pomniki i pamiątki zostawiła w postaci nasypów ziemnych i w nich zawartych przedmiotów. Są niemi horodyszczca, wały i kurhany z bogatą zdobyczą wykopalisk, rozmaitych epok sięgających. Obfitość materiału, tyczącego się ostatnich, jest tak wielką, że wymaga, zdaniem naszym, osobnego

<sup>1)</sup> „Wykopaliska w kraju Drewlan”, str. 12.

<sup>2)</sup> Ossowski. Z. w. d. A. k. T. 12, str. 58—79.

<sup>3)</sup> Topinard. Elem. d'Ant., p. 234.

studjum, które dlatego odkładamy nieco na później, poprzestając obecnie na horodyszczach i wałach.

## II.

Skoro ta gałąź ludów aryjskich, którą dziś nazywamy słowiańską, zamieszkała zachodnią część wielkiej europejskiej równiny, urządziła swój ustrój społeczny na sposób patryarchalny, acz wcale do tego, jaki u ludów semickich widzimy, nie podobny. Słowianie rozsiedli się rodami; każdym rodem rządziło najstarsze pokolenie, pod przewodnictwem najstarszego w niem brata, po którego śmierci starszeństwo przechodziło na młodszego i tak dalej, póki nie wymarło pokolenie najstarsze<sup>1)</sup>). Od niego zarząd przechodził na następne, a związki krwi, łączące wszystkie dzieci i wnuki z najstarszem żyjącem pokoleniem, stanowiły w ten sposób spójnię dla całego rodu. Z czasem, w miarę rozrastania się jego, przybywały coraz to nowe rodziny, które w braku miejsca, na pierwotnem siedlisku zakładały opodal nowe wprawdzie dla przyszłych rodów siedziby, lecz prowadziły przytem nie całkiem odrębne od głównego ogniska rodu życie; we wszystkich bowiem ważniejszych wypadkach lub sprawach, tyczących się całego rodu, dla wszystkich obrzędów, przez cały ród wspólnie sprawowanych, wreszcie dla obrony od nieprzyjaciela, zbierały się w miejscach zamieszkania pokoleń najstarszych.

Naturalnie, powaga obrzędów, sądów i narad, cześć i bezpieczeństwo starszych, którzy zapewne ciąglą straż tych miejsc trzymali, wymagały z jednej strony takiej okazałości, na jaką się w owych pierwotnych czasach zdobyć można było, a z drugiej—takiego urzędnika, które-by odpowiadało możliwie dobrej obronie od zewnętrznych zaczepiek nieprzyjaciół, którymi w początkach bywały przeważnie, jak sądzić można z bizantyjskiej kroniki Maurycego, sąsiednie rody.

Takie jest prawdopodobnie pochodzenie wszelkiego rodzaju „horodów” i grodów w pierwotnem ich znaczeniu.

Gdy w czasach późniejszych przestały one służyć potrzebom okolicznych mieszkańców,—czy to skutkiem połączenia się rodów w większe uspołecznienia, wymagające obszerniejszych ognisk, czy gdy ludność, dokoła „horodu“ zamieszkała, bywała tępioną przez stepowych na jeźdźców, pozostały po nich opuszczone miejsca, które horodyszczami, grodziskami, zaczęto nazywać, dodając do nazwy pierwotnej, oznacza-

<sup>1)</sup> Zabielin. „Historja ruskiego życia.” T. I, str. 542 i nast.



jącej przedmiot niejako żywy, w działaniu, kłucówkę, cechującą miejsce opuszczone <sup>1)</sup>.

Zasługa pierwszych naukowych badań nad horodyszczami należy się rodakowi naszemu, Adamowi Czarnockiemu <sup>2)</sup>, mianującemu się Zoryanem Dołęgą Chodakowskim, który, w pierwszej ćwierci b. stulecia, zwiedzał horodyszcza w zachodniej Słowiańszczyźnie i w środkowej Rosyi, z zamiarem posuwania swych badań na południe ku tutejszym stronom. Niestety, prace jego, znalazłszy na razie stronną krytykę w osobie innego badacza starożytności, Kałajdowicza, musiały być zaniechane i zostały wydobyte z pod pleśni zapomnienia dopiero niedawnymi czasy po śmierci Chodakowskiego. Po ich powtórnem przejrzaniu pokazało się, że, na niewielkich stosunkowo obszarach, tu i owdzie zbadał on bardzo wiele horodyszcz i że, opierając się na tem, co widział, wywiódł uogólnioną dla wszystkich ziem słowiańskich teorię <sup>3)</sup>, która polegała na tem, że horodyszcza znajdują się wszędzie na słowiańskiej ziemi, aż do Elby wszcz, od Dźwiny Północnej do Balkanów i Adryatyku wzdłuż, i że ich tyle być mogło, ile mil kwadratowych było siedliskiem Słowian. Zdaniem jego, które przytaczamy dlatego, że dotychczas nikomu jeszcze nie udało się teorii Chodakowskiego obalić, (aczkolwiek pewne jej szczegóły zostały zmodyfikowane) horodyszcza są to pierwotne rodowe, dla ofiar bogom służące centra; wszędzie, gdzie ręka czasu ich jeszcze nie zniosła, lub nie zmieniła ich pierwotnego kształtu, są one podobne do siebie, niewielkie, okrągłemi otoczone walami, raczej okopami, sypanemi wyłącznie z czarnej ziemi; wejście mają tylko jedno od wschodu i są położone na wyniosłych miejscach zwykle wśród pięknej okolicy, nad wodą. Pośród wieńczącej horodyszcze płaszczyzny dają się często napotykać doły, zdaniem Chodakowskiego miejsca, gdzie gotowano strawę. Ugrupowane są one tak, że jedno od drugiego leży zaledwie o wiorst kilka, a naokoło każdego horodyszcza znajdują się „uroczyska” <sup>4)</sup>, czyli dziś już puste, dawne nieobronne osady pierwotnych rodzin i mniejszych rodów, rozciągnięte w razie potrzeby ku ześrodkowującemu je horodyszczu. Nader ciekawe jest spostrzeżenie Chodakowskiego, że te same nazwy uroczysk powtarzają się przy każdym pojedynczem horodyszczu; pochodzą one od wyrazów, oznaczających słowiańskie bóstwa, za-

<sup>1)</sup> Eustachy Tyszkiewicz. „Badania archeologiczne”, str. 35. Samokwasow. „Znaczenie horodyszcz.”

<sup>2)</sup> Keppen na I zjeździe arch. w Moskwie i inni; Samokwasow l. c.; Encyklopedia Orgelbranda.

<sup>3)</sup> Chodakowski: „Sprawozdanie z pierwszej wycieczki 13 lipca 1822 r.”

<sup>4)</sup> Nazwa, pochodząca od wyrazu uroczystość, wedle Tyszkiewicza: „Badania archeologiczne” 35.

bawy, uczyty, obrzędy, ciałopalenie, wróżby i t. p., cechując ówczesny sposób życia, a zarazem dając do pewnego stopnia możność sprawdzania opowieści późniejszych kronik o ówczesnych porządkach. Nakoniec założyciele najdawniejszych „horodów“, „horodców“, grodzisk, horodni i horodenek, które to nazwy wszystkie oznaczają jedno i to samo <sup>1)</sup>, kierowali się ogólnie przyjętym zwyczajem, tak co do wyboru miejsca, jak kształtu i sposobu ich urządzenia: oto treść postulatów Chodakowskiego w tej mierze.

Samą nazwę „horodu“, grodu lub grodna, wyprowadzają niektórzy <sup>2)</sup> od wyrazu „hora“, „góra“; inni <sup>3)</sup> dodają do niego wyraz „ród“ i połączywszy oba, widzą jeden „horod.“ Czy takie pochodzenie tej nazwy, czy też od wyrazu „grodzić“, „horodyt“ mamy ją wywodzić, jest zdaniem naszym rzeczą małej wagi.

Dokładnego a szczegółowego opisu horodyszczy, położonych w Kijowszczyźnie, nie zdarzyło nam się napotkać: prace Fundukleja, Grabowskiego i Pochilewicza nie są pod tym względem dostateczne. Jednakże zarówno u tych autorów, jak i w opisach horodyszczy białoruskich, przypominających w pewnej mierze spostrzeżenia Chodakowskiego, w innych częściach Słowiańszczyzny poczynione, charakterystyka najstarszych horodyszczy jest wszędzie tak dalece podobna, że ją w zupełności dla naszych stron przyjąć możemy, tem bardziej, że tu tejsze strony, jak i resztę Słowiańszczyzny, zamieszkiwała ludność tak blisko z sobą pokrewna.

Po-za obrębem tych pierwotnych horodyszczy, miejscowy lud daje tę samą nazwę, zastępując ją czasem wyrazem „zamkowiszczę“, i takim, które w późniejszych czasach bądź ze starych a małych (na obszerniejsze powiększone zostały, bądź już w okresie dziejowym założone, otrzymały od razu rozmiary, kształt i urządzenie, do nowych przeważnie wojennych potrzeb zastosowane. Różnica między jednymi a drugimi bije w oczy odrazu: pierwsze są zwykle położone nad wodą, przy spadzistym brzegu, a gdzie się dało w widłach dwu strug lub rzek; od strony, gdzie niema wody, mają koliste wały, których szeregi bywają ilościowo rozmaite; w poprzek wałów zawsze jedno tylko wejście prowadzi do środka, a na małej przestrzeni wśród okopów pomieści się zaledwo kilkudziesięciu ludzi, jeśli zaś przestrzeń ta bywa większą, to nigdy taką, aby mogła pomieścić poważniejszy podział wojska. Podań prawie żadnych o tem, czem one były—nie posiadamy, zaś w najstarszych dokumentach oraz w podaniu ludowem uważane są

<sup>1)</sup> Chodakowski l. c.

<sup>2)</sup> Tyszkiewicz l. c.

<sup>3)</sup> Zabieliń, str. 533.

jako miejsca, oddawna opuszczone, noszące ową końcówkę, która charakteryzuje wszelkiego rodzaju pustkowie, tak, jak i „kopiszcze“, „uroczyszcze“, równoznaczące z polskimi „kopisko“, „uroczysko.“ Nigdzie w nich śladu obmurowań lub ścian, jak również i studni. „Nadto gęste, mówi Tyszkiewicz <sup>1)</sup>, aby stanowiły osobne twierdze w strategicznem tego wyrazu znaczeniu, nadto jednostajne i pracowicie, z wyborem miejsca sypane, aby były chwilowemi szańcami, są zarazem zbyt niesymetryczne, aby były linią graniczną.“ Gdy późniejsze „zankowiska“, większe przestrzenia, okopane wprawdzie nie dosć symetrycznie, ale z pracą i staraniem, oblane wodą, ujętą groblami, zawierają ślady kłód, czaszki, żelastwo, — na dawnych horodyszczach niczego podobnego się nie znajduje; za to kamienne młoty, częstokroć rozbite, kształtu, który dzisiejsza archeologia za ofiarniczy uważa, oraz miejsca, bardziej żyzne od okalającej je reszty horodyszcza, świadczą o obrzędach, które tam sprawowano, przyczem krew bydła, dawnego w ofierze, użyźniała zlewisko. Oprócz uroczysk, widzimy często opodal horodyszcz kurhany, których zawartość wskazuje, że są pogańskimi cmentarzyskami. Przykład dawności nazwy „horodyszcze“, a zatem i dawności „horodów“, mamy w kronikarskiem świadectwie Nestora, gdy, opisując wyprawę problematycznego Kija na Greków, powiada, że, przyszedłszy nad Dunaj, ujrzał Kij miejscowość, która mu się podobała, i pobudował na niej w zrab mały „horodek“, chcąc tam zamieszkać wraz ze swym rodem; poblizcy mieszkańcy nie dali mu tego uczynić, musiał więc odejść i pozostało tylko miejsce, które do dziś (t. j. do dni Nestora), nazywają „horodyszcze Kijewiec.“

Ponieważ przeważnie najdawniejsza epoka w życiu Słowian zajmowała Chodakowskiego, przeto zwrócił on uwagę jedynie na najstarsze, okrągłe horodyszcza, i tylko do nich swoją zastosował teorię. Lecz Kijowszczyzna posiada równie znaczną ilość i większych, rozmaitych kształtów horodyszcz, z cechą już przeważnie obronnych miejsc, nie zaś tylko ognisk ludowego powszedniego życia. I one dowodzą też, jak dalece rody musiały się tu zwiększyć, rozrość w gminy, a następnie w plemiona, jak dalece musiały być niepokojone już nie samemi kłótniami wewnątrz Słowian, lecz napadami ościennych koczowników, a może dążących na Zachód coraz to nowych fal napływowego azjatyckiego pierwiastku, skoro mniejsze centra zaczęły tracić na znaczeniu, a na ich miejsce urządać zaczęto obszerniejsze i bardziej udoskonalone warownie nowego kształtu i rozmiarów. I takie warownie, jeśli nie nosiły na sobie murowanych zamków w późniejszych czasach,

<sup>1)</sup> l. c.

zwano „horodami“, i po nich dzisiejsze pustki horodyszczami nazywają. Zakładane w celu pomieszczenia kniazia z jego drużyną, albo starszyzny już nie rodowej, lecz plemiennej, narodowej <sup>1)</sup>, zaś na wypadek wojny dla przytułku rodzin i ich dobytku, musiały być urządzone w sposób do nowego celu odpowiedni; to też nie są otoczone okrągłymi okopami, jak dawne, lecz mają wały o liniach prostych, schodzących się pod kątami, czasem nawet bastiony po rogach z ziemi sypane, zaliczone jednak przez niektórych już do epoki, w której proch był w użyciu <sup>2)</sup>. Na powierzchni tych nowszych horodyszcz znajdujemy warstwy grubego piasku i części roślinnych, podobne do warstw, zalegających dworzyska i siedliska z czasów jeszcze późniejszych, a pod nimi kości, potłuczone garnki, bity kamień, cegły, węgiel, popioły i przedmioty domowego użytku, świadczące o długim i stałym ich zaludnieniu <sup>3)</sup>. Rzeczy cenniejszych, przedmiotów sztuki, jakie przedstawiają naprzykład kurhany, dotychczas w horodyszczach nie znajdowano i przyznać należy, że poszukiwania archeologiczne bez porównania mniej dały tu rezultatów od tych, które się w kurhanach bezustannie prowadzą.

Do ogólnej charakterystyki horodyszcz epoki późniejszej dodamy, że pozostałe po zakładanych już w czasach chrześcijańskich „horodach“ odróżnić łatwo od tych, które jeszcze po poganach zostały, po braku bliżej leżących kurhanów.

Przechodząc do szczegółów, dotyczących się wyłącznie tutejszych, między Bohem Dnieprem leżących horodyszcz, uważamy przedewszystkiem, że Roś, a szczególnie Rastawica, przedstawiają linię, od której na północ liczebną przewagę mają mniejsze, dawne, okrągłymi wałami opasane, na południe zaś spotykają się po większej części wielkie, obronne, już nieco forteczne urządzenia przypominające, horodyszcza. I nie dziw, gdyż na północ od Rastawicy tem gęściej musiały leżeć dawne horody, im składniej obszar leśny nadawał się do spokojnej kolonizacji, czyli takiej, która licowała z łagodnym, nie pożądającym dalekich zdobyczy, a dążącym do spokojnego, osiadłego życia usposobieniem Słowian. Między Rastawicą a Taśminą, gdzie się już zaczynały pola, gęsto tylko przegrodzone lasami, zakładano horody także zapewne tylko w lasach, a zatem musiało ich być mniej, niż na północ od Rastawicy; za to mogły być obszerniejsze, a zastosowane do gęściej zebranej wokół ludności. Szczery step na południu od Taśminy, jak również nad-

<sup>1)</sup> Patrz w *litop. Nestora*: Olga, Włodzimierz.

<sup>2)</sup> *Samokwasow*. „Znaczenie horodyszcz.”

<sup>3)</sup> *l. c.*

siniuskie stepowe równiny i pola, bardziej ku Bohowi wysunięte, zawsze zagrożane napadami stepowych najezdźców, mogły być zasiedlone w wyjątkowych tylko miejscowościach i tylko tam, gdzie od natury doskonale obronne miejsca nad jarami pozwalały na założenie siedzib.

Połączone prace Fundukleja <sup>1)</sup> i Grabowskiego <sup>2)</sup>, podały nam dość pobieżne wiadomości o horodyszczach gub. Kijowskiej: nie tylko że ich dzieła nie mogą wzmiankować o wszystkich tych miejscowościach, które dawniej nosiły miano „horodów”, a których sposób urzędzenia i nazwa nawet w podaniu ludowem musiała w wielu razach zatracić się, wobec tylokrotnych, doszczętnie niszczących kraj ten, napadów; lecz nadto, obaj nie mogli dokładnie podzielić i tych horodyszcz, które się jeszcze zachowały, na takie, które pozostały po owych pierwotnych charakterystycznych „horodach”, i na późniejsze obronne miejsca, dziś także po części horodyszczami, a po części zamkowiszczami zwane.

To samo stosujemy i do późniejszych autorów. Niemniej jednak wobec wyżej wzmiankowanego braku wyłącznej a szczegółowej pracy o horodyszczach w Kijowszczyźnie, musimy użyć tych źródeł, jakie posiadamy. Wszystkich, wraz z zamkowiszczami, naliczono w połowie wieku bieżącego 159 na gub. Kijowską, którą to liczbę sam autor, piszący o niej <sup>3)</sup>, uważa za zbyt małą. W sąsiednich powiatach gub. Podolskiej, wchodzących w zakres tutejszego czarnoziemiu, liczba ich, acz niedokładnie nam wiadoma, bezwarunkowo jest o wiele mniejszą.

Wyłączając powiat Czerkaski, w którym zaledwo kilka do dziś istniejących naliczono horodyszcz, wszystkie wschodnie powiaty, t. j. te, które bliżej Dniepru leżą, posiadają ich jeszcze najwięcej: w Czehryńskim liczą 14, w Kaniowskim 25, w Wasylkowskim 25, w Kijowskim tyleż, a w Radomyskim 16; mniej się horodyszcz liczy w Skwirskim i Lipowieckim, gdzie ich ma być po 12, reszta zaś najbardziej posuniętych ku zachodowi powiatów Kijowszczyzny, oraz lewo-brzeżne z nad Bohu podolskie mają ich zaledwie po kilka. Najbardziej znane są naturalnie te horodyszcz, które w czasach, stosunkowo niedawnych, zostały powiększone i ufortyfikowane, a tem samem straciły cechę pierwotnego „horodu.” Do rzędu bardziej ciekawych a najdawniejszych należą: np. w pow. Czehryńskim koło wsi Krymek to horodyszcz, w którym znaleziono pieniąż z czasów Marka Aureliusza; dalej, w tymże powiecie nad Taśminą, grupa owych dawnych „horodów” w okolicy leśnej, dowodząca

<sup>1)</sup> Przegląd mogil i t. d.

<sup>2)</sup> Ukraina daw. i teraz.  
Grabowski

bardzo gęstego niegdyś tu zaludnienia, co przypuścić tem łatwiej, że w tym-że powiecie przy wsiach: Zamietnicy, Ositnicze i Pasterskiem znajdują się groty, pieczarami zwane. W powiecie Kijowskim Wytańczów nad Dnieprem, o którym Konstantyn Porfirogeneta, opisujący wyprawy Nowogrodzian na Carogród, powiada, że służył jako punkt, w którym się wszystkie łodzie Nowogrodzian zbierały, aby stamtąd już zwartą siłą płynąć w dół po Dnieprze <sup>1)</sup>; w pow. Kaniowskim wieś Hulanniki, przy której znajdują się aż cztery dawnego typu horodyszcz <sup>2)</sup>, i kilka wsi w innych powiatach, gdzie na jedną po dwa takie horodyszcz wypada.

Nowsze, a rozmiarami swemi bardziej imponujące horodyszcz widzimy w pow. Wasylkowskim, we wsi Olszanicy, zajmujące przestrzeń około 65 morgów. Posiada ono dwie ziemne fortyfikacye, połączone wałem, wzdłuż którego ciągnie się rów 2½ sążni głęboki. Miało tu być miasto, należące do książąt Holszańskich, które zniszczyli Tatarzy. Czy było ono jednak kiedy „horodem“ w pierwotnem znaczeniu, na to dowodów nie mamy. Jeszcze większa przestrzeń, bo blisko 200 morgów, pod Łosiatynem, w tymże powiecie, z trzech stron otoczona rzeczką Rotoką i bagnami, a z czwartej wałem 340 sążni długim, jeśli nosi nazwę horodyszcz, to dlatego tylko, że tam wistocie musiał być niegdyś stary słowiański „horod“, widocznie z czasem powiększany i w końcu zamieniony na wielki obóz obronny, wśród którego znajduje się tak zwany „Sokołowy gród.“ Ta fortyfikacya, zajmująca tylko 2½ morga, między dwoma wałami leżąca, mogła być owem pierwotnem horodyszczem, które, ze względu na swe dogodne ku obronie otoczenie wodą i błotami, stanowiło punkt, gdzie się ludność podczas późniejszych tatarskich napadów musiała chronić, co zresztą gminne podanie potwierdza.

Niezbyt daleko stamtąd położone Trylisy posiadają też swe fortyfikacye, które jednak do znacznie późniejszej epoki należą. Taraszczańskiego powiatu horodyszcz leżą na miejscach, wokół których pozostałe miasta zostawiły po sobie tylko ślady; tak między Stawiszczami a Antonówką był Lubomir, pod Lisowiczami Samborg, może przez Jarosława po zdobyciu grodów Czerwieńskich zasiedlony jeńcami z tamejszego Sambora <sup>3)</sup>, słynny pogromem Tatarów Ochmatów z horodyszczem bardzo starem, Torczesk nad Torczycą, prawdopodobnie gniazdo Turków-stepowców; za to początek horodyszcz w Żywotowie ma sięgać czasów zaledwo tatarskiego najazdu, gdy należał do

<sup>1)</sup> Pochilewicz, str. 46.

<sup>2)</sup> l. c.

<sup>3)</sup> Grabowski.

dóbr stołowych Chana. Powiat Skwirski, w którym do dziś są wieś nad Rosią, „Horodyszczami“ zwane, z dodatkiem do tej nazwy przymiotnikowym, świadczącym o pierwotnem pochodzeniu założycieli, jak up. Kosowieckie, od pobliskiej wsi Kosówka, Pustowarowskie od Pustowarni i t. p., posiada między innymi ciekawą miejscowość „Hrubska“, w okolicach Chodorkowa <sup>1)</sup>, która jest horodyszczem po pierwotnym, zapewne małym, a później powiększonym, „horodzie“. W otaczającej to miejsce okolicy naliczono w dziewięciu grupach dziewięćset kurhanów, które są bezwarunkowym dowodem starożytności „Hrubska“, jako pogańskiego ogniska tej okolicy, gdyż wszystkie te kurhany należą do epoki, głęboko przedchrześcijańskiej. Hrubska składa się najpierw ze środkowego, dobrze zachowanego nasypu, otaczającego czworobok, o kątach zaokrąglonych, którego płaszczyzna wynosi wiorstę długości na 400 sążni szerokości, czyli, że zajmuje przestrzeń blisko 100 morgów, po której bieży dopływ Wilii, Tuskwa. Najlepiej zachowana część nasypu leży od wschodu, gdzie jego wysokość dochodzi do 2½ sążnia, przy szerokości 7-iu u podstawy. Zewnątrz nasypu ciągnie się szeroki rów, a od strony wewnętrznej do połowy wysokości nasypu towarzyszy mu taras; w tej-że części nasypu są trzy wjazdy. U wschodnio-południowego węgła płaszczyzny znajduje się obronne miejsce, „zaczyskiem“ zwane, stanowiące niegdyś jakby cytadelę całego horodyszcza <sup>2)</sup>, zajmujące przestrzeń 1,100 sążni kwadratowych, otoczone wałem dwusążniowej wysokości, z głębokim zewnętrznym rowem u podnoża. Jest to zapewne miejsce pierwotnego „horodu.“ Powierzchnia wewnętrznej jego płaszczyzny, o parę arszynów nad resztę horodyszcza podniesiona, ma wejście od wschodu, co odpowiada spostrzeżeniom Chodakowskiego. Opodal leży kilka uroczysk, z grupami kurhanów, jedno mniejsze horodyszcze w uroczysku „Rozkopane jezioro“, a dalej, w tym samym kierunku wieś Szezehlijówka, mieszcząca się całkowicie na wielkiem, okrągłym, z dobrze zachowanymi wałami, horodyszczu, które rozmiarem równa się Hrubsce. Na południe od ostatniego wznosi się długi, wysoki nasyp między wierzchołkami rzeczek „Zdwiży“ i „Dubowca“, który prawdopodobnie służył Hrubsce, jako ochronny wał w tych miejscach, gdzie środkowa fortyfikacja nie była osłonięta ani rzeką, ani błotami. W nasypie tym są trzy wjazdy, z których jeden zowią „Bramą środkową“, zewnątrz zaś nasypu leży uroczysko „Węgierska góra“ z kurhanami.

Dla nas miejscowość ta jest tak dalece ciekawa, że pod tym względem ustępuje chyba zbadanej w r. 1887 przez prof. Koper-

<sup>1)</sup> Antonowicz, str. 38 i 39.

<sup>2)</sup> l. c.

nickiego „Horodnicy” nad Dnieprem <sup>1)</sup>, gdy zaś ta ostatnia leży po za obrębem przestrzeni, której pomniki ziemne stanowią nasz przedmiot, przeto opisywać jej nie będziemy; dodamy tylko, że chociaż antropologiczne i archeologiczne odkrycia wykazały tam pozostałości, o wiele dawniejsze od tych, które znaleziono w pobliżu Hrubka, jednakże powinniśmy wiedzieć i to, że sam Hrubsk może być o wiele starszy od rozkopanych w pobliżu jego kurhanów, tem bardziej, że w niedalekiej stamtąd, radomyskiej okolicy, znajdowano groby, należące bezwarunkowo do epoki kamienia szlifowanego <sup>2)</sup>. Do rzędu horodyszcz może być zaliczona nader ciekawa miejscowość, na której w powiecie Czehryńskim wznosi się obecnie monaster, „motroneńskim” zwany <sup>3)</sup>. Pośród wałów, otaczających tak przestronne miejsce, że na niem obok monasteru mogło-by jeszcze wiele innych stanąć budowli, porasta dziś czarny las, tam, gdzie niegdyś była siedziba, o której istnieniu w dobie dziejowej nawet nie wiemy; gdy zaś Nestor, kronikarz, wcale o niej nie wspomina, musiała już za jego czasów, twierdzi Lipoman, być pustą, a lasem porośłą. Co dziwniejsza, że mimo znaczny obszar, świadczący o wielkości osady, nie miała ona wewnątrz studni, gdyż ta, dla wysokości położenia, mogła być tylko murowaną, pozostał-by więc jej ślad, którego niemasz. Jeśli więc brano tam wodę, to tylko z jaru, dochodzącego do motroneńskiego siedliska, a ponieważ ciągnie się on aż do Taśminy, przeto musiał w owych czasach być napełniony wodą, pochodzącą z tej rzeki, co, zdaniem cytowanego autora, cofało-by istnienie samego siedliska bodaj aż do czasów, kiedy morze Czarne było jeziorem.

Nie wchodząc w krytykę tego rodzaju domniemań, dodamy tu, że w motroneńskich okopach znaleziono dwie monety cesarza Justyniana, które świadczą, że to horodyszcz już w V w. po Chrystusie istniało. Drugie, sposobem całego urządzenia podobne do motroneńskiego, znajduje się niedaleko stamtąd w powiecie Czerkaskim, pod Pleskaczówką <sup>4)</sup>.

Jak widzimy, horodyszczta tutejsze przedstawiają rozległe pole do badań, a jeszcze rozleglejsze do przypuszczeń, które nie wiadomo, czy wszystkie zostaną z czasem zastąpione naukowemi pewnikami, tem bardziej, że zdarza się tu trafić i na wyjątkowe w tych stronach

<sup>1)</sup> Z. w. d. A. k. T. II, str. 19.

<sup>2)</sup> Lipoman. „Zastanowienie się nad mogiłami”, str. 7, 11, oraz Antonowicz. „Razkopki”, str. 49.

<sup>3)</sup> Tamże str. 14.

<sup>4)</sup> Pochilewicz, str. 656.



kształty tych prastarych siedzib. W powiecie Lityńskim naprzykład, wśród lasu, należącego do wsi Jakuszyniec, jest miejsce, zajmujące  $10\frac{1}{2}$  morgów, otoczone imponującej wysokości wałami, których długość razem wzięta  $3\frac{1}{2}$  wiorsty wynosi, bynajmniej niepodobne do żadnych nowożytnych okopów, ani miejscowych dawnych horodyszcz lecz przypominające grodziska czeskie <sup>1)</sup>.

Las stryżawiecki pod Winnicą otacza jeszcze jedno bardziej ciekawe miejsce, na którym aż cztery systemy wałów stanowią jedną obronną całość: pierwszy łukowaty wzdłuż małej rzeczki, półtora wiorsty długi, a 2 sążnie wysoki, ma przerwę wchodową; drugi tuż obok leżący przedstawia nie całą wiorstę długości, a  $1\frac{1}{2}$  sążnia wysokości i jest załamany w trzy kąty bez żadnego wejścia; trzeci zaś i czwarty stanowią jakby ochronne wały dla pierwszych dwóch nasypów. Na żadnym z nich niema śladów cegły lub drzewa budulcowego, a w pobliżu dwie grupy mogił, w których znaleziono dowody względnie niedawnego, jak też zarówno i bardzo dawnego grzebania, gdyż w jednej był rycerz z koniem i żelaznym ryszunkiem, a w drugiej skielet, twarzą do ziemi leżący, i dwie gałki z gliniastej farby brunatnej, a jedna z czerwonej <sup>2)</sup>, co jest wskazówką bardzo starego, dawno zarzuczonego, a niezmiernie szeroko rozpowszechnionego niegdyś, zwyczaju.

Studni nie napotykałyśmy nietylko w motroneńskim horodyszczu, lecz przeważnie i w innych. Jest to cecha wspólna najstarszych obronnych miejscowości, tak u nas, jak i na zachodzie Europy <sup>3)</sup>; znane we Francji obozowisko w Chassey śladu żadnej studni nie przedstawia, gdyż późniejsze cysterny były tam robione przez Rzymian. Zresztą są jeszcze inne cechy najdawniejszych europejskich siedlisk, świadczące, że cywilizacja najstarszych osadników, tak na Zachodzie, jak i u nas, była prawie jednaka; tak naprzykład, od Torunia do morza Bałtyckiego <sup>4)</sup> mamy cały szereg kolistego kształtu miejscowości, otoczonych wałami, o średnicy nie większej nad 180 metrów, zawierających przedmioty, które bezwarunkowo cechują epokę kamienia, a bardzo do naszych horodyszcz podobnych. Nie by w tem nie było dziwnego, bo i one mogły być zabytkiem jednoplemiennych z naszym ludów; ale we Francji, Anglii i Belgii powtarza się mniej

<sup>1)</sup> Neyman. Z. w. d. A. k. R. 1880, str. 41. Mogło-by to oznaczać, że ta miejscowość została ufortyfikowaną w XV w., t. j. w czasach, kiedy Ruś pod Korybutem dawała pomoc husytom w Czechach, gdzie się nauczyła ich sposobu sypania szanieców. (Przyp. autora.)

<sup>2)</sup> Neyman. Z. w. d. A. k. R. 1880, str. 40.

<sup>3)</sup> Nadaillac. T. I, str. 389, 392.

<sup>4)</sup> Tamże str. 400.

więcej to samo, o wiele wprawdzie rzadziej, gdyż ręka czasu i praktyczny, ku materializmowi zwrócony, kierunek gęstej ludności, zrobiły już swoje, niszcząc zabytki, które nie rolnikowi przynieść nie mogły, a przy wysokich cenach ziemi zajmowały drogo płatne miejsca. We Francji naliczono niedawnemi czasy 401 ziemnych okopów, które są tylko małą częścią dawnych pozostałości. Nawet w Ameryce spotykamy miejsca, otoczone wałami, które, na wzór tutejszych, nie zawierają żadnych śladów murowania i mają jedyne, zwrócone ku wschodowi, wejście <sup>1)</sup>).

Wszystko to nie dziwi nas wcale, gdyż wszelkie ludy, doszedłszy do jednakowego stopnia potrzeb, wyobrażeń, rodzaju urządzenia swego gospodarstwa, wreszcie przemysłu, używają jednakowych lub zbliżonych do siebie sposobów ku zadość uczynieniu życiowym wymaganiom, i jeśli przytoczyliśmy powyższe przykłady, to jedynie jako ciekawe, zdaniem naszym, zestawienie zdobyczy naukowych u nas i w krajach, po-za granicami naszego leżących. Co się tycze Europy, ponieważ ona w epoce kamienia szlifowanego została zasiedloną przez ludy aryjskie, przeto nie dziwnego, że wspólność ich pochodzenia z tutejszymi osadnikami wykazuje się i w sposobie urządzenia siedzib pierwotnych, mniej więcej tu i tam do siebie podobnych; lecz Ameryka wchodzi pod tym względem w zakres już nie jednorasowych, lecz ogólnie ludzkich zjawisk.

Wymieniać, tem bardziej opisywać rozmaite horodyszcza, tak licznie między Dnieprem a Bohem rozsiane, nie mamy ani chęci, ani możliwości; pragnęliśmy tu tylko dać czytelnikowi ogólną ich charakterystykę, która, zdaniem naszym, może wystarczyć za jeden z dowodów bardzo dawnego a stosunkowo gęstego zasiedlenia stron tutejszych. Twierdzić możemy bez przesady, że ilość nawet tych tylko horodyszczy, które się dotychczas tu przechowały, i liczba wsi, noszących tę charakterystyczną nazwę, już są dostateczne, aby sobie wystawić, czem mógł być ten kraj, gdyby przez tyle wieków nie grał roli przedmurza, o które wciąż biła ludzka fala, dążąca od Wschodu na Zachód, a którą chwilami, jak mógł, tak odpierał. Gdy przychodziła silniejsza, niosąca większe zniszczenie, gdy następowało „wyniatje” ludności, jak się obrazowo wyraża kronikarz, horodyszcza się wyludniały, a step jeszcze większą pustką zalegał; lecz fala wracała na Wschód, a za nią dążyła, w części nowa ludność, nowi osadnicy, w części także i dawniejsi, którym się udało ukryć za północny kraniec stepowych przestrzeni; zmienił się tylko charakter dawniejszych osad: pierwotne, skromne „horo-

<sup>1)</sup> Tamże t. II, str. 30.

dy“ tracily swoje znaczenie, stawały się niedostatecznymi dla obrony, patryarchalny sposób życia ustępował nowym porządkom; więc na ich miejscu mogły z czasem pozostać już tylko horodyszczca, ciekawe a smętne pomniki osiadłego, na owe czasy cywilizowanego, życia pradziadów dzisiejszego ludu tutejszego.

### III.

Z wałami spotkaliśmy się już przy horodyszczach; stanowiły one, jak widzieliśmy, składową część zarówno pierwotnych, jak i późniejszych centrów słowiańskiego osadnictwa, a tu dodamy: i zakładanych w tym kraju kolonii greckich. Lecz nie o takich wałach mamy mówić obecnie: przy pierwotnym sposobie obrony granic, skoro plemiona stepowe przeważnie, prawie wyłącznie, wojowały na koniu, skoro najeżdźca zżywał się ze swym wierzchowcem do tego stopnia, że tylko na nim czuł się pewny zwycięstwa i do niego tylko swe uzbrczenie stosował, ludy napadane, osiadłe a rolnicze, musiały swą obronę urządzać w ten sposób, aby z jednej strony stawiane najeżdźcom tamy wiodły przedewszystkiem bodaj chwilowo do możliwie łatwiejszego zszadzenia z konia nieprzyjaciela, z drugiej zaś, aby jedna i ta sama obrona mogła służyć dla największej przestrzeni ziemi, na której prowadzili rolne gospodarstwo, lub paśli stada.

W tym celu widzimy, nietylko u nas, lecz i daleko w krajach południowych, znacznej długości szańce w postaci ścian murowanych, lub sypanych z ziemi okopów. Szańce te wraz z towarzyszącymi im głębokimi rowami trudno było przebyć na koniu, jeśli się ich tu i owdzie z powierzchnią ziemi nie zrównało, co samo przez się wymagało zachodu, dla którego najeżdźca, zsiadłszy z konia, musiał zapewne rękami, lub co najwięcej włócznią wykonywać robotę, stanowiącą rzecz motyki lub łopaty, gdyż nie sądzimy, aby lekko uzbrojony kawalerzysta, któremu tylko łatwość ruchów dawała na wojnie przewagę, mógł tego rodzaju narzędzia z sobą na koń zabierać. W rozmaitych krajach widzimy dotąd przedhistoryczne resztki bądź samych tylko murowanych ścian, tam gdzie na kamieniu i kamieniarzach nie zbywało, lub też gdzie rodzaj powierzchni ziemi sypaniu wałów nie sprzyjał, bądź też mur w połączeniu z wałami, a wreszcie same tylko wały ze śladami częstokołów lub bez nich. Mur Sezostrysa, zbudowany między dzisiejszym Heliopolisem a Peluzą, służył Egipcjowi, jako ochrona od najeżdźców, koczujących wśród oaz piaszczystej Arabii. Wzniesiony w tem miejscu, gdzie sucha granica Azji na międzymorzu Suez stanowiła jedyną drogę dla jazdy, jeśli był murowany, to nie dziwnego, gdyż lotny

piasek powierzchni wcale się do sypania trwałego wału nie nadawał, Egipt zaś i znakomitych rzemieślników, i wysmienity materiał budowlany posiadał. Wielki mur, ciągnący się mil sześćset na północy Chin, zbudowany w r. 247 prz. Chr., a wstrzymujący czas jakiś Tatarów Mandżuryi, budowano dziesięć lat, używając do tego kilku milionów robotników; lecz zdumiewającą tam miejscami kamieniarską robotę zastąpiono gdzieindziej wałem, sypanym z ziemi <sup>1)</sup>, lub z narzucanych jedne na drugie kamieni. W II wieku ery chrześcijańskiej, w tem miejscu, gdzie się Dunaj, pod dawniejszem Axiopolis, dzisiejszą Sylistryą, zwraca ku północy, miał cesarz Trajan wznieść wał i doprowadzić go do Constantiany, niegdyś leżącej nieco wyżej, niż dzisiejsze Kustendže nad Czarnem morzem <sup>2)</sup>; przeznaczeniem jego było służyć przeciw Dakom, lecz następnie, gdy Rzymianie posunęli swe kolonie bardziej ku północy i oparli je o podnóże Karpat, okazał się zapewne zbyt słabym, skoro go przecięto drogą bitą jeszcze za czasów rzymskich. Niektórzy są zdania, że wały w Bessarabii, w Galicyi wschodniej i wielkimi przerwami obecnie poprzecinane w powiatach: Uszyckim, Kamienieckim i Proskurowskim gub. Podolskiej, są także „Trajanowe“ <sup>3)</sup>; inni jednak dowodzą, że istotna ich nazwa pierwotna jest inną, skoro, jak to zobaczymy, bynajmniej od imienia cesarza rzymskiego wywodzić jej nie należy.

System obrony rozległych krajów za pomocą wałów długo musiał być uznawany w ogólności za dobry, jeśli je spotykamy w miejscach, bronionych nie tylko od koczowników lub najeźdźców, lecz i tam, gdzie wojnę prowadzono obustronnie pieszo, przyczem jednak wały musiały być częstokołami <sup>4)</sup>. I tak w Wielkiej Brytanii widzimy dziś jeszcze resztki nasypów, przeznaczonych ku obronie granic całych prowincyi, a chociaż pochodzenie ich niewiadome, jednakże pewne wskazówki pozwalają przypuszczać, że sięgają one głębokiej przedziejowej starożytności, jak np. nasyp, zwany „Wandyke”, „Djabelska grobla” w New-Market, lub ten, który od Bristolu ciągnie się do rzeki Dee i prowincyę Wallis od reszty Anglii oddziela <sup>5)</sup>. Później, w czasach już historycznych, Rzymianie wykonywali w tej-że Anglii podobne roboty, lecz o wiele poprawniej i zachowując pravidła tej strategii, której na owe czasy byli mistrzami: Hadryan oddzielił murem posiadłości rzymskie od Kaledonii i wzmocnił go bastyonami na prze-

<sup>1)</sup> Barrow. „Gr. Dict. de Larousse“, t. II, 696.

<sup>2)</sup> Atlas Leroy, m. 60.

<sup>3)</sup> Zb. w. d. A. k. T. II. Str. 43 i 44.

<sup>4)</sup> Nadaillac. T. I. Str. 395.

<sup>5)</sup> Antonowicz. „O wałach” Str. 2.

strzeni 125 kilometrów; następnie Septimus Severus posunął Hadryanową robotę jeszcze bardziej ku północy na przestrzeni 45 kilometrów. System rzymskich granicznych szańców i murów przetrwał z pewnemi odniami i w Niemczech aż do Karola Wielkiego <sup>1)</sup>; do nas przyszedł on tylko w postaci wałów, prawdopodobnie także od Rzymian; Rurykowicze przyjęli go w spadku po ludach, pierwotnie zamieszkujących tutejsze stepowe przestrzenie; widzimy nawet książąt Suzdańskich, sypiących wały na wschodnich rubieżach swoich posiadłości. O długich, łukowatych wałach, które się od Dniepru, bądź w stronę Bohu, bądź ku północno-zachodowi ciągną, znawca tutejszego kraju, chorąży czehryński, Jan Lipoman, w r. 1832 tak pisze: „niektórzy sądzą je być Trajanowemi, lecz ich kierunkowe położenie dowodzi, że tak nie jest. Przy pomiarze dóbr białocerkiewskich, przestrzeń 20 mil geograficznych wzdłuż, a 7 do 10 w szerz trzymających, brano na plan wały, których jest kilka, a z nich szczególnie jeden przez pola, lasy i błota długo się ciągnie. Wały te i teraz dość wysokie, a fos ich dotąd czas nie porównał. Zaczynają się od Dniepru niedaleko ujścia Rosi, przechodzą Roś i idą z Bohusławskiego <sup>2)</sup> powiatu do Wasylkowskiego, przechodząc wyżej Bohusławia, koło Jeziornej, łukiem wyżej Białocerkwi, gdzie się znowu do Rosi zbliżają i przechodząc tę rzekę, mijają Aleksandryę <sup>3)</sup>; (w końcu) rozdziela ją się w różnych kierunkach, zdążając ku zachodo-północy. Inny wał, widoczny jeszcze urywkami, jest w pow. Lipowieckim koło miasteczka Monasterzysk” <sup>4)</sup>. Są one, zdaniem cytowanego autora, graniczne, a gdzie się przerywają, tam wskazówka, że sąsiedzi sypać ich nie dawali.

Fundulej i Michał Grabowski, piszący w 20 lat później, zbierali wiadomości o wałach, zarówno tych, które cytuje Lipoman, jak też o innych, rozrzuconych po ukraińskiej przestrzeni, przyczem jak jeden, tak drugi, przytaczają nazwy tych miejscowości, gdzie wówczas jeszcze nierozorane widać było. Staraliśmy się, idąc za ich wskazówkami, nakreślić na mapie, o ile się dało dokładnie, linie, które-by naznaczyły kierunek tych wałów, i otrzymaliśmy szeregi następujące. Najbliższej południowej granicy Kijowszczyzny, od Taśminy, a więc blisko Dniepru, widzimy na zachód, w stronę Wysy i Siniuchy, kierunek jednego, często podwójnego, o bardzo długich—jak obecnie—przerwach, który zapewne ciągnął się od dołu Taśminy pod Matwijówką i gdzieś w okolicach Aleksandrówki przecinał górną część Taśminy; dalej wi-

<sup>1)</sup> l. c.

<sup>2)</sup> Ówczesnego, t. j., gdy autor to pisał.

<sup>3)</sup> Park pod Białocerkwią.

<sup>4)</sup> „Zastanowienie się i t. d.” Str. 23.

dać go u Krymek—podwójnym, koło Kapustyna—potrójnym, a od Kalniblot—prawie już bez przerwy ciągnącym się pod Nowosielicą ku Talnemu; gdy następnie przetnie Tykicz Uhorski, zwraca się na południe w kierunku Siniuchy i tam się nazywa „Żmijowym”<sup>1)</sup>; potem przez Jatrań dostaje się do pow. Bałckiego i dochodzi do Bohu. Czy miał on jaką łączność z tym wałem, który o wiele dalej ciągnie się za Dniestrem—nie wiemy. Być może, iż łączył się z innym, bliżej Sobu, w okolicach Kalnika, obecnie biorącym początek, a który po-pod Daszów dochodzi prawie do Kitajgrodu, skąd zapewne szedł niegdyś ku Monasterzyskom. W takim razie był-by to ów wał w pow. Lipowieckim, o którym Lipoman (jak wyżej) wzmiankuje.

Kierunek drugiego z kolei, bardziej ku północy posuniętego, a wielokrotnie i na długich przestrzeniach przerywanego wału, mógł iść od Żabotyńca przez nader ciekawe pod względem śladów dziejowych okolice Smiły i Korsunia ku Olszanie<sup>2)</sup>; następnie przez Moryńce, Komarówkę, gdzie jest podwójnym, a skąd jako taki ciągnie się mimo Żurzyniec i Łysianki, zawsze z przerwami, ku granicy pow. Humańskiego, w którym do Uhorskiego Tykiczu dochodzić musiał.

Jeżeli wyżej supponowany daszowsko-monasterzyski wał nie miał związku z opisanym poprzednio „Żmijowym”, to mógł go mieć (co prawdopodobniejsza) z tym, o którym mowa obecnie.

Trzeciego, znacznie od poprzednich wyraźniejszego, a jeszcze bardziej ku północy posuniętego wału kierunek widzimy w dorzeczu Rosi. Jest to ów wielki, zwany „Trajanowym”, o którym pisze Lipoman. Znajdując jednak różnicę na niezunacznej przestrzeni między kierunkiem, dawanym mu przez Lipomana, a tym, który mu Grabowski i Funduklej przypisują, możemy sobie tę różnicę wytłumaczyć tem tylko, że, dla niewiadomych dziś przyczyn, wał wspomniany w okolicach Sawarek (wyżej Bohusławia), chwilowo dzielił się na dwa ramiona, które się nad Rosią pod Białocerkwią mogły łączyć. Stamtąd idzie on w kierunku zachodnio-północnym czas jakiś, a następnie zbliża się do Dniepru na północ od Kijowa<sup>3)</sup>; dawniej, nim wyszedł z dorzecza Rosi, spotykał się zapewne z innym wałem, idącym ku zachodowi, a którego dzisiejsze resztki widać na przestrzeni 25 wiorst.

Czwarta seryja wałów rozchodzi się gałęziami od Trypola nad Dnieprem i Obuchowa. Z tych najbardziej południowa ciągnie się do Łosiatyna i prawdopodobnie musiała niegdyś dochodzić do Rosi w po-

1) Grabowski. Funduklej, str. 16.

2) Choć go tu nie widzimy, gdyż może jest już zaorany.

3) Antonowicz. „Prace IV arch. zjazdu.” O wałach, str. 1.

bliżu Białejcerkwi; następna gałąź tej grupy jest drugim „Żmijowym“ wałem, który prawie bez przerwy przecina wszerz powiaty: Kijowski i Wasylkowski, mniej więcej od wsi Piwnie, leżącej w pobliżu stacyi dr. z. Kożanki. Opodal od niego, na północ, półkolem od wsi Barachty, przez Mytnicę ku Wasylkowi, ciągnie się 45 wiorst inny wał, Mytnickim zwany; stanowił on wprawdzie granicę obwodu Kijowskiego, wedle traktatu 1686 r., lecz był sypany jeszcze w XII w. za księcia Wasylka. Kierunek tego wału wskazuje, że ci, co go wznosili, mieli na celu oddzielenie łukowatym nasypem Kijowa z przyległościami od otwartej przestrzeni między Unawą z jednej strony, a dolną częścią Stuhny, lub samym nawet Dnieprem, z drugiej. W końcu, do tej samej grupy należy wał, którego kierunek widzimy prawie w prostej linii od Trypola, przez Wasylków, Byszów, aż do rzeki Zdwizy.

Wyżej przytoczone szczegóły o najdłuższych tutejszych wałach zaczerpnęliśmy u trzech cytowanych autorów; obecnie przytoczymy z kolei to, co nowsze badania prof. Antonowicza podają nam w tej mierze <sup>1)</sup>, gdyż przedewszystkiem są one dokładnem tłómaczeniem znaczenia tego rodzaju usypisk, a następnie dopełniają dotychczasowe wiadomości o kierunku wałów w najbardziej północnej, leśnej części Kijowszczyzny. Zaznaczywszy, że wały, znajdujące się na obszarze dawnego księstwa Kijowskiego, nie mogą być odszukane w dawnej ich całości i liczbie, autor zestawia swe wnioski z tego, co mu przyniosły nowsze topograficzne mapy, sprawozdania urzędów gminnych oraz jego własne badania.

Najbliższe od Kijowa wały są w związku z kierunkiem wód i przedstawiają szereg współśrodkowych, mniej więcej prawidłowych, półkoli. Najbardziej środkowe otacza dorzecze małej Wety, wpadającej do Dniepru, na południe od Kijowa; następne, zaczynając od Trypola, obiega dorzecze Stuhny i część średniego przepływu Irpeniu, dochodząc północnym krańcem do Dniepru między Kijowem a Wyszogrodem; trzecie półkole, zaczynając również od Trypola, posuwa się ku zachodowi i otacza całe dorzecze Irpeniu; czwarte, od pobliza ujścia Rosi ciągnie się wzdłuż niej do Białejcerkwi, skąd zawraca do połączenia z wyżej wzmiankowanym trzeciem półkolem u wierzchołku Irpeniu. W końcu wał piąty, którego tylko południowy koniec znany jest autorowi, ciągnie się od Taśminy do dorzecza Bohu, gdzie go widzimy idącym w kierunku Siniuchy i Kodymy; a zatem, dodajmy od siebie, ten ostatni u prof. Antonowicza szaniec, na który może złożyły się i dwa równoległe, blisko od siebie położone wały, do systemu obrony

<sup>1)</sup> „Prace IV arch. zjazdu w Kazaniu.” O wałach, 1—4.

samego tylko księstwa Kijowskiego nie wchodził. W miejscowościach nie oranych, leśnych, wysokość wałów sięga trzech sążni, szerokość zaś ich do siedmiu dochodzi; od zachodu, jako od strony zewnętrznej, owe współśrodkowe wały mają zawsze ślady dość głębokiego rowu u spodu. Znajdowane w wałach, monety Trajana, były, zdaniem autora, powodem, że niektórzy pisarze nazwali je „Trajanowemi”; niżej jednak zobaczymy odmienne przypuszczenia innego archeologa w tej mierze.

W ogólności wały tutejsze lud nazywa Żmijowemi, tłumacząc pochodzenie tej nazwy podaniem, stanowiącem wariant kronikarskiej opowieści: Ongi, nad Dnieprem, mieszkał żmij (smok), pobierający daninę od mieszkańców okolicy, składaną z dziatwy, którą, naturalnie, pożerał. Gdy przysła kolej na córkę panującego księcia, ojciec jej zapragnął uratować dziecię; wtedy stanął przed nim jakiś starzec z oznajmieniem, że syn jego, Kuźma, garbarz, ma taką siłę, iż zdolen jest rozerwać 12 skór wołowych, razem zebranych, potrafi więc pokonać i żmija. W istocie, bohaterski młodzieniec wychodzi z walki zwycięzcą i w nagrodę otrzymuje kraj, którego granice nazwano Żmijowemi wałami. Inny wariant przedstawia Kuźmę, uciekającego, na rozkaz Anioła, trzy dni przed żmijem; w końcu dobiega on do Kijowa, gdzie przy pomocy Borysa i Hleba zaprzęga żmija do pługa i wyoruje nim brzozy, od których skiby stają się wałami.

Nieco inaczej brzmi ta sama powieść w podaniu, przez p. E. Rulikowskiego <sup>1)</sup> spisaniem. Tu ów Kuźma występuje jako małego wzrostu kowal, chwytą obcęgami żmija, zaprzęga go do pługa i zmusza do orania; gdy doszli do Bohu, zmęczony żmij wypija całą rzekę, następnie dzieje się to samo z Dnieprem, aż u morza Czarnego potwór pada i ginie po wypiciu wody morskiej.

Jeśli porównamy te bajki z opowieścią kronikarza o Janie Ośmieszewcu, to w niej ujrzymy <sup>2)</sup> charakterystyczne rysy garbarza Kuźmy, próbę zaś jego siły opisaną w ten sam sposób, jak opowiada legenda; w kronice jednak rzecz ta nie nosi całkiem bajecznej cechy, ponieważ walka toczy się tu nie z jakimś żmijem, lecz z Pieczyngami. Nie poprzestając na tem porównaniu, przypomnijmy wraz z prof. Antonowiczem, że w kronikach są wzmianki niejednokrotne o wałach: tak, pod r. 1093 kniaziowie kijowscy, wyprawiwszy się na odsiecz Torzeńska, mijają Trypol i przechodzą jakiś „wał”; w r. 1151 Jerzy Dolhoruki pragnie zdobyć Białogród pod Kijowem, lecz musi odstąpić za „wał” u Bezjanicy w oczekiwaniu na pomoc księcia Halickiego, Kijo-

<sup>1)</sup> Zbiór wiad. d. A. kr. T. VI. Str 166.

<sup>2)</sup> Antonowicz, str. 3.



wianie zaś, podążający na odsiecz Białegogrodu, dochodzą do innego „wału” za Stuhną i zatrzymują się tam; w końcu pod rokiem 1169, książę Mściwiasław Izaławowicz, podczas wojny z krewnym, Włodzimierzem, zajmuje także „wał” pod Wyszogrodem. Z tego widzimy, jaką tu rolę odegrywały już istniejące wały we współczesnej kronikom taktyce wojennej; lecz kronikarz nie mówi, w jakim celu mianowicie były one sypiane. Za to z listu misyjonarza Brunona z Merseburga, do cesarza Henryka II w r. 1008 pisanego <sup>1)</sup>, widzimy, że najbliższej leżący wał od Kijowa został wzniesiony dla obrony od Pieczyngów na samej granicy księstwa Kijowskiego przez tego panującego, u którego Bruno gościł, a więc w końcu X lub na początku XI stulecia, co jednak nie jest dowodem, aby te wały, które są bardziej ku południowi posunięte, a szczególnie krańcowy, „Żmijowy”, nie były o wiele starsze.

Widzieliśmy, jak przypisują niektórym autorom, że to oni, na podstawie tu i owdzie znajdujących monet, nadali niektórym wałom nazwę „Trajanowych.” Lecz pomysłowy, uczony, acz nie zawsze przedmiotowo patrzący na kwestye, Zabielin, dowodzi, że sama nazwa jest odmienną, że ją zmieniono, przeinaczając jedną tylko literę, i że we właściwym swem brzmieniu sięga ona czasów o wiele dawniejszych, niż ta, na którą nowożytni ją przekształcili <sup>2)</sup>. Według niego, u ludu tutejszego nazywały się one nie „Trajanowe”, ale „Trojanowe wały”, ponieważ Ruś ma w swych podaniach mitycznego Trojana, jako uosobienie rodowego naczelnictwa w postaci, również mitycznej, bratniej trójcy, stanowiącej najdawniejsze pokolenie narodowych przywódców. Na poparcie tych wywodów, zdaniem jego, znajdujemy ustępy w pieśni „Słowo o pulku Igora”, w których dawne czasy zwa się „wiekami Trojana”, Ruś—„ziemią Trojana”, Igor jest „Trojanowym wnukiem”; są też w tej pieśni „tropy (ścieżki) Trojanowe”, a pierwszy, według niej, najazd Połowców przypada w siódmym „wieku Trojana”, czyli, według kronik, podczas panowania właśnie siódmego z kolei pokolenia Ruryka. Stąd, rzecz jasna, zdaniem Zabielina, że i t. zw. „Trajanowe” wały, ciągnące się od Dniepru do Dunaju, są roboty mitycznego Trojana, czyli najdawniejszego pokolenia wojowników i organizatorów starej ruskiej ziemi, bynajmniej zaś Trajanowemi nazywać się nie powinny.—Lecz w takim razie wały te były-by nie do tego stopnia stare, żeby o ich początku można było aż z legend wnioskować. Przypuszczenie Zabielina warte jest zastanowienia, ulegać jednak może krytyce zarówno za i przeciw, której naturalnie nie podnosimy, unikając polemiki w naszej monografii.

<sup>1)</sup> l. c.

<sup>2)</sup> Zabielin. „Hist. russkiego życia“, str. 510 i następn.

Archeologiczne badania nad wałami pozostawiają jeszcze bardzo wiele do życzenia, choć przypadkowo znajdowane w nich przedmioty dowodzą, jak cenny dziejowy materiał tu i owdzie w nich się zawiera. Nie spodziewamy się tu wprawdzie rzeczy takich, jak znalezione po prawej stronie Zbrucza, pod Michałkowcami nad Nieclawą, w tamtejszym „Trajanowym“ wale, złote przedmioty: korona, kubek, guzy, spiniki, łańcuchy i t. p. <sup>1)</sup>, nieciekawi jesteśmy zarówno i monet rzymskich które o przeszłości tej ziemi mało-by nam mówiły; o wiele ciekawszemi były-by przedmioty miejscowego wyrobu i użytku, gliniane, kamienne, z brązu, a nawet i takie, które-by nosiły cechy greckiego przemysłu, z których mogli-byśmy wnioskować, kiedy jaki wał mógł być sypany, czy stanowił sam w sobie pewną całość, czy też był tylko częścią obszerniejszej fortyfikacji. Pod Wczorajszem np. w oklicach Pawołoczy <sup>2)</sup> jest na wale 118 kurhanów, których zawartość może-by coś o starożytności samego wału powiedziała, wskazując, czy był on sypany, gdy tu wiedziano już o Rzymianach, czy też jeszcze dawniej; pod Czarnohorodką, przy t. zw. Plisieckim przewozie, gdzie jeden z wałów dostaje miano „Czarny”, znajdujemy w nim węgle, czerepy, cegłę późniejszej epoki horodyszcza, a jednak jest to część olbrzymiego wału, który się ciągnie 118<sup>1</sup>/<sub>2</sub> wiorsty <sup>3)</sup>, skąd mamy prawo wnioskować, że i na tutejszych granicznych wałach urządzano coś w rodzaju mieszkalnych bastyonów lub strażnic. Do zagadnień o wałach należy np. nazwa jednego z nich „Atamański”, każąca przypuszczać, że musiał być sypany w czasach, dokładnie nam znanych, a jednak jest on wiorst kilkadziesiąt długi, nie był więc szańcem, przez kozaków sypanym, gdyż te były znacznie krótsze.

Z tego, co się rzekło, widzimy, że zbadanie wałów i ich zawartości jest kartą, dotychczas mało zapisaną; tu potrąciliśmy tylko o najdłuższe, o te, które wydają się być najważniejszymi obronnemi liniami całej dawniejszej Kijowszczyzny, oraz ziem, jeszcze bardziej kresowych, o takie, które się ciągnęły przez całe dziesiątki mil; a jakże wiele wzmianek napotykamy o krótszych wałach, które chyba tylko granice rozdrobnionych książeńcych dzielnic, jeśli nie dawniejszych jeszcze włości sąsiednich sobie rodów, stanowić mogły. Wiele z tych mniejszych, pewnym systemem połączonych między sobą, wałów, pamięta i kolonie greckie. Za takie uważają niektórzy nader oryginalny szereg niewielkich wałów pod Trachtymirowem nad Dnieprem-

1) Z. w. d. A. k. T. II, str. 42.

2) Fundukley, str. 50.

3) Grabowski. „Ukr. daw. i teraz.”

Podobnie, jak Kijów miał swoje Żmijowe, które służyły dla obrony całej ziemi wraz ze stołecznym grodem, tak Trachtymirów miał swoje państwa, urządzone w ten sposób, że od strony stepu chroniły je wały, których ogólna długość 12-ie wiorst wynosiła, a przytykające z obu końcami do samego Dniepru, tak, że się między rzeką a wałami całe stada swobodnie paść mogły<sup>1)</sup>. Takich było i więcej, lecz wyliczać ich nie możemy; natomiast, wróciwszy do „Żmijowych” i „Trajanowych”, twierdzimy, że, naszym zdaniem, ważną było-by rzeczą módz dojść drogą badań archeologicznych, jaki prawdopodobnie przeciąg czasu upłynął od wzniesienia najbardziej ku południowi wysuniętego wału, t. j. idącego od Dniepru do Bohu, do usypania tego, który od ujścia Rosi ku wierzchowinom Unawy czy Irpeniu się ciągnie. Pierwszy bowiem mógł być zewnętrznym szańcem dla całej stepowej przestrzeni, przez ongi osiadłe a rolnicze ludy w tych stronach zamieszkaney, drugi zaś służył już tylko dla jej północnej połowy. Jeżeli zatem pierwszy jest dawniejszy od drugiego, to mogło-by znaczyć, że po upadku Scytów „Skolotów”, a następnie Gotów, wobec najścia Hunnów, lub nieco późniejszego—Awarów, osiadłe życie południa cofnęło się tylko na północ od Taśminy i Siniuchy i stąd promieniowało w górę ku bardziej leśnym okolicom, wśród których powstał Kijów; jeżeli zaś, na odwrót, wał nadrosiowy, „Trajanowym” zwany, jest starszy od „Żmijowego”, to cofnięcie się życia osiadłego przed falą azyatycką doszło-by o wiele dalej ku północy, niż linia Taśminy, ześrodkowanie jego nastąpiło-by już tylko na lewym brzegu Rosi, a dopiero później, po upadku Awarów, kolonizacja tych ziem rozpoczęła-by swój odpływowy powrót w dół ku południowi i, doszedłszy do Taśminy, zatrzymała-by się przed Chozarami i Pieczyngami. Tak, czy inaczej, istnienie obu wałów może dowodzić, w najdawniejszych czasach odbywał się tu już ten sam, to posuwający się naprzód, to wstecz się cofający, ruch kolonizacyjny, który widzimy i w późniejszych dziejowych okresach, kończąc na XVI i XVII stuleciach.

KSAWERY CHAMIEC.

<sup>1)</sup> Pochilewicz, str. 591.

---

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

*Pr. Ulanowski.* „Wieś polska pod względem prawnym od wieku XVI do XVIII.”  
Kraków. 1894, (str. 44).

Literatura nasza bogatą jest i zasobną w broszury, sprawie włościańskiej poświęcone, ale historii stanu włościańskiego w dawnej Polsce, w pełnem tego słowa znaczeniu, nie posiadamy ani jednej. Zdaje się nawet, że nie tak prędko ujrzymy dzieło, które-by na powyższe miano zasługiwało; niema bowiem ani źródeł zebranych, ani studyów przygotowawczych, torujących drogę i ułatwiających zadanie historykowi.

Z prac źródłowych, które rzuciły dużo światła na dzieje naszej rolniczej ludności, należy przedewszystkiem wymienić rozprawy księcia Tadeusza Lubomirskiego, p. t. „Rolnicza ludność” i „Jurisdykcyja patrymonialna w Polsce.” Zasłużony literaturze naszej badacz zastanawiał się jednak przeważnie nad stosunkiem prawnym ludności rolniczej do dworu oraz nad położeniem wszystkich klas rolnych, pozostawiając ni-kiły i prawie suchotniczy samorząd wioskowy na uboczu. Tymczasem badacze i historycy stanu włościańskiego w zachodniej Europie, a przedewszystkiem w Niemczech, zauważyli, że nawet w dobie rozwielmożnionego przytwierdzenia do gleby klas rolnych, wioska, jako organ samorządu lokalnego, nie straciła zupełnego znaczenia i, pomimo

kompletnej zależności od dworu, gromada wioskowa w sprawach gospodarskich, a nawet sądowych, dawała pewne oznaki samodzielnego życia.

Pr. Ulanowski przedstawił wieś polską właśnie w tej dobie, w której poddaństwo ludu włościańskiego, a wraz z niem i instytucja przytwierdzenia do gleby, rozwinęły się w pełni. Nadto autor zawiadamia, że komissya prawnicza Akademii Umiejętności, kilka lat temu, powierzyła mu obszerne wydawnictwo, poświęcone materyałom do historii włościan w dawnej Polsce. Publikacja powyższa, która obejmuje kilka tomów „Starodawnych prawa polskiego pomników”, w znacznej części jest już w arkuszach odbita, ale się ukaże dopiero, kiedy w całości będzie gotową. Studium zaś, wsi polskiej poświęcone, oparte jest głównie na księgach Kasińskich, które zostały już wydrukowanemi.

Obrazu ustroju prawnego wsi Kasina Wielka, w powiecie Limanowskim, dostarczają cztery tomy ksiąg gromadzkich, obejmujące epokę od początku XVI aż do schyłku XVIII stulecia. Najdawniejsza księga gromadzka Kasina rozpoczyna się z r. 1513. Dziedzicem wsi był wówczas Adam Niewiarowski, następca jego Przeclaw, w r. 1597 podarował ją Dominikanom krakowskim. Ze wsi więc świeckiej zamieniła się Kasina na wieś kościelną i ta okoliczność potęguje jeszcze interes, jaki przedstawia rozwój stosunków prawnych w tej miejscowości.

Na czele organizacyi wiejskiej Kasina stoi pan dziedziczny (heres), którego władza w stosunku do ludności miejscowej jest analogiczną do władzy królewskiej. Siedziba pana nazywa się dworem. W języku urzędowym pojęcie „pan” i „dwór”—są identyczne. Pan jest ustawodawcą i sędzią, opiekunem poddanych i dzierżycielem władzy administracyjnej, policyjnej i wykonawczej. Zastępcą bezpośrednim pana jest tak zwany faktor, czyli rządca, albo starosta. W czynnościach sądowych wyręcza się pan wójtem i ławicą, złożoną z siedmiu przysiężnych, czyli ławników. Na sądach pan jest bardzo często obecnym, czasami zastępuje go faktor. Gdy panem wsi jest klasztor, przeor lub mnich, przez przeora wysłany, wykonywa atrybucye ustawodawcze lub sądowe właściciela włości.

Poddani winni są panu bezwzględne posłuszeństwo. Kara na nieposłusznych bywała rozmaita, według stopnia przewinienia; najczęściej była pieniężną lub cielesną, ale mogła dojść aż do wyzucia poddanego z dziedzictwa. Pan wymagał od poddanych uszanowania. Nieuczczenie pana przy rugu pociągało winę 12 groszy. Opór wobec władzy dworskiej uchodził za szczególnie karygodny. Przeor Oczko wydał ustawę, mocą której, w razie podobnego przewinienia, przestęp-

ca miał być przez całą gromadę puszczoney na praszczęta, a gdyby nie posiadał dziedzictwa, miał być jako łotr ze wsi wyświecony.

Do pana należało ustanowienie urzędników gromadzkich, a więc wójta, przysiężnych i rugowników, czyli mówców. Gromada miała przytem prawo prezenty, ale pan kandydatów potwierdzał i zaprzysięgał. Prośby rozmaite poddanych napływały ustawicznie do dworu, a pan zwykle osobiście je rozpatrywał i załatwiał. Interwencya też dworu w sprawach gromadzkich objawiała się ustawicznie. Czy idzie o uregulowanie pretensyi poszczególnych poddanych do gromady, czy znowu o zaspokojenie wierzycieli poddanego, czy o kupno lub spuszczenie roli, zagrody lub zarębkę, czy też o testament, podział spadku, albo zabezpieczenie losu małoletnich i kontrolę nad opiekunem, zawsze prawie widzimy, że w bardziej zawikłanych sprawach pan wkracza odrazu, lub na skargę stron zmienia dekret urzędu, i jeżeli okaże się potrzeba, udziela wójtowi i ławicy surowej nagany. Ale najbardziej doniosłą i w skutku obfitą jest działalność pana na polu ustawodawstwa wiejskiego.

Rozporządzenia pańskie występują w księgach Kasińskich pod nazwą ustaw lub dekretów. Wydaje je sam pan z własnej inicjatywy, albo na przedstawienie swego zastępcy, czyli starosty, lub na prośbę urzędu, t. j. wójta i ławicy. Najczęściej ustawy pańskie z XVI stulecia są bardzo zwięzłe; z biegiem czasu stają się nietylko liczniejszemi, ale doskonala się pod względem redakcyi. Nieraz pan wydaje ich kilka równocześnie, zwykle podczas trwania wielkiego gajonego sądu. Promulgacya ustaw dworskich polegała niewątpliwie na odczytaniu ich treści na gromadzie, poczem pisarz wiejski wpisywał je do księgi. Ustawa obowiązywała, dopóki nie została zmienioną lub cofniętą. Gdy sprawa była większej wagi, pan prosił w dopisku, zamieszczonym przy końcu ustawy, wszystkich swoich następców, by utrzymywali w praktyce raz już uchwalone przepisy.

Treść ustaw odpowiadała zakresowi władzy pańskiej. Niektóre z nich miały zasadniczy charakter, zwłaszcza te, które się odnosiły do stanowiska poddanych wobec dworu, do pańszczyzny, do sprzedaży roli, do stosunków z wsiami ograniczonymi. Inne regulowały sądownictwo wiejskie, cywilne i kryminalne; inne znowu miały charakter przejściowy, były zarządzeniami natury policyjnej. Władza dworska kasińska była na polu ustawodawstwa bardzo czynną. Była w tym względzie za przykładem poprzednich dziedziców świeckich.

Przeclaw Niewiarowski, ostatni dziedzic świecki Kasiny, wydał dla swojej majątności trzy ustawy w r. 1586, a dwie w roku następnym. Wszystkie mają na celu korzyść pańską, a więc rozporządzają mniej więcej, że kmieć ma utrzymywać dostateczną ilość bydła ku pań-

skiej i własnej potrzebie, że żaden nie ma wychodzić do innego państwa, ani synów na służbę po-za Kasinę dawać i t. p. W roku 1623 ustawa wiejska Kasiny unormowała kompetencję sądu gajonego w sprawie sprzedawania ról; w roku 1626 dwór kasiński wydał aż cztery na raz dekrety, z nich jeden nakazuje gromadzie utrzymywać skrzynkę gromadzką, w której-by księgi sądowe były chowane pod trojakiem zamknięciem. Ostatnie ustawy dworskie dla Kasiny pochodzą od przeora Michała Barwińskiego i wydane zostały w r. 1767.

Jeżeli pan dziedziczny był w zasadzie jedynym ustawodawcą dla swojej majętności, to jednakowoż działalność w tym kierunku urzędu i gromady nie była całkowicie przytłumioną. Tak np., w r. 1605 uchwaliła gromada przy prawie, aby żaden nie śmiał przedawać miarą inszą, jedno wielicką, a kto by przestąpił winę, podpada karze panu kopę i powrozem w kłodzie plag 20. Innym razem w r. 1623 gromada wydaje dekret w sprawie opóźnienia się na robotę pańską i obostrza je k... d 30—90 plag. Wójt z ławicą stanowią także samodzielnie przepisy. Na podstawie np. takich ustaw urzędu, kara za zhańbienie osoby urzędowej wynosiła trzy grzywny.

Atrybucye pana nie doznawały jednak tym sposobem uszczerbku. Przy wydawaniu ustaw gromadzkich lub urzędowych, pan najczęściej bywał obecnym i tem samem władzą swoją utwierdzał wnioski, płynące z inicjatywy ludności wiejskiej. Dwór pilnie strzegł, ażeby gospodarz, trzymający dwie role, stosowną odrabiał pańszczyznę. Kontrola ułatwiona była przez samą gromadę, która nietylko była obowiązana do składania w tym względzie relacyi na rugu, ale nawet i bez tego obowiązku nie omieszkała-by donieść o każdym nadużyciu ze strony poddanych. Pańszczyzna była dla poddanych niezmiernie dotkliwym ciężarem, zwłaszcza, że począwszy od XVI wieku, ciągle wzrastała. Utrzymywano odrębne rejestra, w których było uwidocznione, do ilu dni roboczych w roku był każdy mieszkaniec wsi obowiązany. W roku 1767 pokazało się, że gromada kasińska za ostatnich kilka lat zalega z 6000 dni pańszczyźnianych.

Do wójta należało ściąganie podatków, za co nawet miał pewne ulgi w odrabianiu pańszczyzny. Jeżeli jaka rola lub zagroda przyłączona została do dworu, to dwór należne od niej podatki oddawał gromadzie, która odpowiedzialną była wobec pana za łączną sumę wszystkich czynszów i opłat. Najcięższym był dla poddanych podatek żołnierski. Z jego powodu niektórzy gospodarze opuszczali role, tracąc tem samem swoje dziedzictwo. Dwór zwykle wglądał w okoliczności, które przemawiały za zwolnieniem poddanych od wszystkich lub od połowy opłat i często uwzględniał zanoszone w tym kierunku prośby całej gromady lub niektórych kmieci.

Dwór kasiński wyrabiał na własną rękę gorzałkę i piwo, a ustawy pańskie zabraniały sprowadzania obcych trunków z karczem ograniczonych, jako też picia po-za Kasiną. Kary na przestępców były znaczne i to tak pieniężne, jak cielesne. Im dochód z propinacyi się powiększał, tem trudniej było dworowi zdobyć się na energiczne usuwanie i karanie pijaństwa.

Obok ustaw pańskich dla wsi, istniały uchwały gromadzkie, których powstanie przychodziło do skutku za inicjatywą gromady. Ogół poddanych jednej majętności stanowił gromadę w najszerszem tego słowa znaczeniu; gromada dzieliła się na dziesiątki, na których czele stali dziesiątnicy. O dziesiątkach i dziesiątnikach bardzo mało posiadamy wiadomości. Z ksiąg kasińskich wynika, że dziesiątnik przestrzegał porządku wśród ciaśniejszej grupy, przekazanej jego opiece, napominał przestępnych kmieci i czuwał, ażeby poddani samodzielnie ograniczonych ludzi u siebie nie nocowali.

Gromada obejmuje z jednej strony urząd, t. j. wójta i przysiężnych, z drugiej pospólstwo, t. j. resztę poddanych. Wójt i przysiężni stanowią gromadę, t. zw. starszą; prawdopodobnem jest, że do gromady starszej należeli także dziesiątnicy. W księgach kasińskich trafiają się często takie zwroty: „była gromada“, lub „było prawo i gromada.“ W sądach gromada była obowiązana uczestniczyć, a współudział w nich gromady wspomnianym jest niezmiernie często.

Prawa i obowiązki gromady, pojętej jako ogół poddanych (communitas), były bardzo znaczne. Wykonywała prawo prezenty w razie ustanawiania wójta i ławników przez pana dziedzicznego, miała udział w sądownictwie cywilnem i karnem, wybierała rugowników, wstawiała się do pana w rozmaitych sprawach, tak wspólnych, jak pojedynczych mieszkańców wsi, brała inicjatywę wobec dworu co do zarządzeń niezbędnych dla dobra powszechnego, ściągała podatki pańskie i za ich całość była odpowiedzialna, czuwała nad sprawiedliwą repartycją podatku żołnierskiego, miała obowiązek donosić panu lub jego staroście o nadużyciach, na niekorzyść dworu popełnianych przez chłopów, przestrzegała, ażeby roboty pańskie należycie przez poddanych były wykonywane.

Poddani nie byli więc pozbawieni pewnej samodzielności, i o ile każdy z nich z osobna nie wiele znaczył, to gromada, występując solidarnie, znajdowała zawsze posłuch u pana i nie mały wywierała wpływ na sprawy bieżące. Gromada czuwała, żeby kontrakt, łączący poddanych z panem, był obustronnie ściśle wykonywanym. Dla tego pan, który z powodu przewinienia poddanego chciał go pozbawić roli, zarębku lub zagrody, przekładał stan rzeczy gromadzie i łącznie z nią odsądzał winnego od dziedzictwa.



Wójt jest głównym dygnitarzem wiejskim, zwierzchnikiem gromady z ramienia pana, przewodniczącym urzędu, t. j. ławicy, złożonej z 7 przysiężnych, czyli ławników. Naznacza go pan, ale gromadzie przysługuje prawo przedstawienia 3 kandydatów. Wójt, raz naznaczony, zatrzymuje swój urząd, dopóki przez pana zwolnionym nie zostanie. Wójt, w stosunku do pana, jest zwykłym poddanym, tylko ma pewne ulgi w robociznach. Czynności wójta są sądowe i administracyjne. Sądu bez wójta zagaić nie można, a przypilnowanie, aby wyroki sądowe i pańskie były ściśle wykonywane, stanowiło główny obowiązek wójta. Jako organ egzekucyjny i reprezentant gromady, wójt ścigał podatki, za które gromada odpowiedzialną była wobec pana.

U boku wójta stali ławnicy przysiężni, mianowani i zaprzysiężani w podobny, co on, sposób. Najważniejszym ich zadaniem była jurysdykcya cywilna i karna, wykonywana na sądach wielkich gajonych i podsądkach. Prócz tego, mieli oni wspierać wójta we wszystkich czynnościach administracyjnych i policyjnych. Począwszy od r. 1602 odbywały się w Kasinie rugi regularnie i na każdym sądzie rugowym jeden z ławników wybieranym bywał przez gromadę na mówcę, plenipotentą albo rugownika. Ławnik, zaszczycony tym wyborem, występował z ławicy i oddawał rug, t. j. obowiązany był do wyjawienia wszystkich przestępstw, jakie zdarzyły się we wsi, od czasu odprawienia ostatniego sądu rugowego. Pisarzów stałych zazwyczaj gromada nie miała i najczęściej pan polecał prowadzić księgi gromadzkie jednemu ze swoich służebników. Za to jednak istnieli woźni, którzy asystowali wójtowi w czasie odprawiania sądów i spełniali jego polecenia. O kacie mowa jest dwukrotnie w księgach Kasina, lecz ponieważ potrzebowano go rzadko, zapewne go sprowadzano z pobliskiego miasteczka.

Poddani, należący do gromady, dzielili się na rozmaite kategorie, jako to: kmieci czyli rolników, zarębników, zagrodników, chałupników i komorników. Prócz tego, istnieli przymiarczanie, posiadający przymiarki, t. j. grunta, powstałe przez wykarczowanie lasu po-za pierwotną miarą, t. j. temi łanami, które przy lokacyi wsi zostały wyznaczone pierwszym kolonistom. Prawo dziedziczne, czyli naturalne, albo sukcesyjne do roli, albo zarębku, występowało bądź jako prawo bliższości, bądź jako prawo pierwokupu. Dziedzictwo z zasady szło na mężczyzn, a nie na białogłowy, bracia zatem wykluczali siostry.

Dwór nadawał grunta nie tylko prawem dziedzicznym, ale także wydzierżawiał je lub wynajmował, albo też nareszcie oddawał je w dożywocie. Tylko w pierwszym wypadku gospodarz był doskonałym, w każdym innym był jedynie gospodarzem doczesnym. Do niektórych ról i zagród były przywiązane pewne specjalne obowiązki; tak była ro-

ła młynarska, którą trzymał każdorazowy młynarz, zagroda bednarska dla obznajomionego z bednarstwem, i chałupa kowalska, której każdorazowy dzierżyciel oddawał dworowi 1000 goździ gontowych. Robocizny i powinności poddanych zależały od stanowiska, jakie zajmowali w gromadzie. Repartycja nie zawsze była sprawiedliwa, stąd utyskiwania, które pan najczęściej uwzględniał.

Utrata dziedzictwa następowała albo wskutek sprzedaży roli, lub zarębkę, po dopełnieniu przepisanych formalności prawnych, albo wskutek czynów karygodnych, które pociągały za sobą odebranie dziedzictwa przez pana. Niezgodne pożycie, pustoszenie budynków, zapuszczenie gospodarstwa, zdrada pana i gromady, niemożność wypłacenia grzywien sądowych, niezgłoszenie się w porę z prawem bliższości, to były najczęstsze wypadki, w których poddany narażał się na utratę ojcowizny.

Dwór wykonywał sądownictwo nad poddanymi. Było to nietylko prawo, ale i obowiązek dworu. Poddany bowiem nie miał po-za wsią żadnego sądu, do którego-by mógł się udać. Organizacya sądów wiejskich polegała na prawie niemieckiem magdeburskiem. W księgach sądowych wielu bardzo wsi ławnicy powołują się częstokroć na dzieło Groickiego, stąd można wnosić, że nie inaczej było i w Kasinie. Sądy były wielkie gajone, czyli doroczne, i podsądki, które znacznie częściej się odbywały. Sąd wielki mógł być także zagajonym z potrzeby (causa necessitatis), a sądy rugowe, albo walne rugowe, nie różniły się niczem od sądów gajonych, były to więc odmiennie nazwy tej samej instytucyi. Obok podsądków, zbierały się jeszcze tak zwane gromady, które prawdopodobnie były identyczne z podsądkami.

Na sądach, zwłaszcza wielkich, pan lub jego reprezentant, był często obecnym. Zagajenia sądu dokonywał wójt, a oprócz przysiężnych czyli ławników, uczestniczyła w sądach gromada; wymiar sprawiedliwości był jawnym, postępowanie ustnem. Istniał także sąd dworski w ścisłem tego słowa znaczeniu, który funkcyonował we dworze pańskim. Sąd ten załatwiał przedewszystkiem sprawy mniejszej wagi, o których pan albo jego starosta orzekali bez współdziałania wójta i ławicy. Pan miał prawo bezpośrednio wglądać w jurysdykcyę, wykonywaną przez sądy wielkie i podsądki, przyjmować zażalenia stron, zmieniać wyroki wójta i ławników, łagodzić naznaczone przez nich kary i nareszcie karać urząd, dopuszczający się niesprawiedliwego orzeczenia.

Jurysdykcyja karna nad poddanymi przedstawiała się w rozmaitych wsiach bardzo różnie. Przewodnieniemi myślami tej jurysdykcyi był z jednej strony wzgląd na korzyść ekonomiczną dworu, z drugiej staranie, aby się stało zadość wymaganiom sprawiedliwości. Prze-

stępstwa podzielić można na dwie kategorie. Pierwsze wynikały ze stosunku poddańczego i polegały na przekroczeniu obowiązków względem dworu, drugie obejmowały wypadki, w których mieszkańcy wsi nawzajem się krzywdzili. Z przestępstw pierwszego rodzaju najwybitniejszą była zdrada pana i całej wsi, za co winny pozbawiony bywał wraz z sukcesorami swego dziedzictwa. Samowolne opuszczenie gruntu pociągało również za sobą utratę ruchomego i nieruchomego majątku, gdy tymczasem sprzedaż roli, zarębku lub chałupy, dokonana bez wiedzy pana, karana była rozmaicie, lecz mniej surowo.

Sądy rugowe ściagały energicznie nie tylko przewinienia poddańców wobec dworu, ale także i te, których właścianie dopuszczali się jeden względem drugiego, lub które obrażały porządek domowy, przepisy religii i moralności. Postępowanie było inkwizycyjne. Rugownicy z jednej strony, gromada z drugiej, mieli obowiązek donoszenia o każdym przekroczeniu bądź dworowi, bądź na rugu, wójtowi i ławicy, a przemilczenie czegokolwiek karane było plagami. Najcięższym przestępstwem było zabójstwo, które pociągało za sobą karę śmierci przez ścięcie. W obu jednak wypadkach, w których księgi kasińskie wspominają o zabójstwie, kara za wstawieniem się gromady została złagodzona.

W istnienie czarów i czarownic wierzyła w Kasinie nie tylko gromada, ale i pan, t. j. klasztor Dominikański. Utrzymanie zaś moralności między właścianami leżało bardzo na sercu dworowi kasińskiemu. Pod tym względem gromada niezmiernie gorliwie wchodziła w intencje pańskie, a rugowi bez miłosierdzia donosili o licznych tego rodzaju przekroczeniach. Kary były bardzo surowe: od kilkunastu plag aż do wyświecenia ze wsi, a nawet spalenia na stosie. Lecz dwór okazywał zwykle więcej miłosierdzia, niż ławica, i zadawał się zastosowaniem, obok kary cielesnej, najróżnorodniej obmyślanych pokut kościelnych-publicznych.

Z wykonywanych w istocie kar najcięższą było wyświecenie, czyli wydalenie z gromady; po niej szło odsądzenie od dziedzictwa. Wyragowanie z roli dotyczyło albo samego winnego, albo, przy cięższych przestępstwach, także i jego potomstwo. Sądy wiejskie unikały zazwyczaj wymierzania kar, ograniczających wolność. Leżało to bowiem w interesie dworu, ażeby poddańcy, obowiązanych do robocizny pańskiej, odciągać jak najmniej od zajęcia przy roli. Za to kary czyli winy pieniężne stosowane były niezmiernie często, a raczej prawie zawsze; wysokość ich jest bardzo różna, od kilkunastu groszy do 100 grzywien. Normalnie „wina” idzie na rzecz dworu, później jednak natrafiamy na wyroki, w których kara pieniężna przeznaczoną zostaje na kościół lub przypada gromadzie. W ogólności holdowano teorii od-

straszenia i dla tego ustanawiano niezmiernie wysokie kary, które później dwór albo całkowicie darowywał, albo łagodził.

Wieś polska, osadzona na prawie niemieckiem, miała za zadanie czynić zadość wszystkim prawnym i ekonomicznym potrzebom zamieszkujących ją ludzi. Kasina również tak była urządzoną, że poddani mogli w jej obrębie zaspakajać całkowicie swe skromne wymagania. Z jednej strony wymienić tu należy kościół, cmentarz i szpital, z drugiej księgi prawne, skrzynkę gromadzką, więzienie i gąsior, a nareszcie karczmę, młyn, kramy, oraz rozmaitych rzemieślników, jak szewca, bednarza, kowala, a prócz tego, balwierza, czyli cyrulika, który spełniał czynności lekarza i chirurga gminnego. Kasina była państwkiem dla siebie. Gdyby nie stacye żołnierskie i hiberna, żaden z obywateli kasińskich nie uczuł-by nigdy, że po za wsią i dworem jest jeszcze coś większego, że jest państwo wielkie i potężne, ogarniające tysiące wsi i dworów.

Poddany kasiński uważał związek swój z dworem i gromadą za naturalny i konieczny, z państwem za dodatkowy ciężar, o którego niezbędności nie zdawał sobie sprawy. Spełniając powinności dworskie, odrabiając pańszczyznę, płacąc czynsz, chłop kasiński wiedział jednakże, że wzamian ma użytkowanie dziedziczne gruntu, ma prawo do opieki pańskiej, że w razie klęski elementarnej dozna ulgi w opłatach i zapomogi w inwentarzu, że instytucye gromadzkie dają mu pewien współdziałal w załatwianiu kwestyi miejscowych.

Na tem kończę sprawozdanie z interesującego i gruntownego studyum, odtwarzającego wieś polską w ubiegłych wiekach. Przypominieć winienem, że sz. autor podał nam tylko jeden typ ustroju wioskowego, ale za to typ najpowszechniejszy, a więc obejmujący największą liczbę ludności wiejskiej. Niezadługo ujrzymy prawdopodobnie obszerniejsze studyum, poprzedzające „Starodawne prawa polskiego pomniki“, z którego „wieś polska“ jest fragmentem tylko. Pozwolę sobie też szczegółowe uwagi odłożyć do czasu pojawienia się całego wydawnictwa, którem autor zdobędzie sobie niewątpliwie nową i niepoślednią dla naszej historyografii zasługę, Ograniczę się obecnie zaznaczeniem jedynie, że „wieś polska“ p-ra Ulanowskiego zwróciła uwagę na tę stronę życia rolniczej ludności, która w literaturze naszej najbardziej była zaniedbaną, a tem samem wypełniła niedostatki, dotkliwie uczuć się dające. Prócz tego zaś studyum powyższe jest zwia-  
stunem większego dzieła, połączonego z wydawnictwem cennych źródeł, na które z niecierpliwością oczekujemy.

General Prince Stecherbatow, de l'etat major. „Le Feld-Maréchal Prince Paskevitch, sa vie politique et militaire d'après des documents inédits.” Tom IV. 1831. Petersbourg 1893. (Str. 209).

Dzieła, poświęcone wybitnym postaciom militarnym lub politycznym, mimowolnie wzbudzają podejrzenie, że piszący uległ urokowi opisywanego bohatera i starał się podnieść jego zasługi po-nad miarę zakreśloną sprawiedliwością dziejową. Studium, poświęcone działalności politycznym i wojennym księcia feldmarszałka Paskiewicza, a zwłaszcza okresowi 1831 roku, obejmującemu kampanię polsko-ruską, nasuwało autorowi niezwykle trudności i dawało mu poważny materiał, ale wzbudzający rozliczne wątpliwości i niezdecydowane zagadnienia.

W literaturze russkiej nie od dzisiejszego dnia panował spór, komu głównie przypada sława złamania rewolucyjnej siły militarnej w r. 1831. Feldmarszałek Dybiez zmarł wprawdzie przed stanowczymi ciosami, pozostawiając następcy ciężkie zadanie do spełnienia; ale zwycięstwa pod Grochowem i Ostrołęką, jakkolwiek drogo okupione i niewyzyskane należycie, zniweczyły rdzeń armii polskiej, okryty Napoleońskim wawrzynem, przez co dalsza walka przypadła w udziale młodym i niedoświadczonym szeregom.

Po śmierci Dybieza pozostał szefem sztabu Toll, który podczas kampanii Napoleońskiej poczetniejsze niż książę Paskiewicz zajmował stanowisko. Toll wywierał na Dybieza wpływ przeważający, choć nie koniecznie korzystny; ks. Paskiewicz jednak, obejmując główną komendę nad armią operującą, nie chciał dawnego towarzysza bojów odsunąć od szefostwa sztabu, pomimo, że cesarz Mikołaj nie pragnął mu go bynajmniej narzucać. Toll, po objęciu naczelnego dowództwa przez ks. Paskiewicza, nie mógł się pogodzić z losem, który mu wyznaczył drugorzędne stanowisko, i w głębi duszy uważał się zawsze za strategika zdolniejszego od feldmarszałka.

Podczas szturmów Warszawy, gdy ks. Paskiewicz został kontuzjowany, Tollowi dostała się wprawdzie komenda nad armią, ale w chwili, gdy niezmierna energia obrońców, wyczerpana zapasami z przeważną siłą, miała się już ku końcowi. W każdym razie, księciu Paskiewiczowi przybył nowy współzawodnik przy podziale wawrzynów bojowych, i to nie współzawodnik martwy, jakim był Dybiez, ale czynny i zabiegliwy, a przedewszystkiem pragnący przekonać historię, że na niego głównie spada zasługa zdobycia Warszawy, a tem samem stłumienia rewolucji.

Toll pozyskał sobie zwolennika szczerego w późniejszym generale wojsk pruskich, Canitz-Dalvitzu, który naówczas znajdował się

w charakterze attaché militaire przy boku feldmarszałka. W wydanych później pamiętnikach Canitz przyznaje się do tego, iż rządowi swemu przesłał jak najpochlebniejsze sprawozdanie o Tollu, i że, jego zdaniem, Toll w drugim dniu szturmie Warszawy był ideałem wodza. Później sam Toll nie omieszkął przyczyniać się do publikacji, wynoszących jego czyny i plany, z ujmą dla talentu feldmarszałka. Poważni zaś historycy polsko-russkiej wojny, jak np. generał Puzyrewski, oceniali dodatnio zarówno zdolności, jak i zasługi Tolla oraz Dybicza.

Nie dziwnego zatem, że dzieło księcia Szczerbatowa mogło obudzić podejrzenie, czy nie będzie pracą „pro domo” opisywanego bohatera, ale tendencji tej nie zdradziło bynajmniej. Autor przedstawił bardzo ciekawą korespondencję cesarza Mikołaja z Dybiczem, z której pokazuje się, że, mimo całej wyrozumiałości i względności dla zabałkańskiego bohatera, cesarz nie mógł pojąć planów głównego wodza i ciągle mu wyrzucał brak stanowczości, który go pozbawił owoców dwóch zwycięstw, t. j. pod Grochowem i Ostrołęką.

Na niezadowolenie monarsze zasłużyli sobie przedewszystkiem dwaj generałowie: Toll i Neidhardt, to jest ci właśnie, których zasługi bojowe jak najgoręcej przedstawiał Dybicz. Cesarzowi Mikołajowi doniesiono pobocznie, iż Toll uderzył w twarz oficera polskiego, wziętego do niewoli, i monarcha, wypominając przemilczenie tego czynu Dybiczowi, piętnuje sprawcę jego z wysokiem oburzeniem. Gdy zaś Toll i Neidhardt prosili o uwolnienie ze zbyt ciężkich obowiązków szefa sztabu i generalnego kwatermistrza, oburzenie monarsze objawiło się w surowem napomnieniu i w uwadze, że nie są godni nosić russkiego mundur.

Przedstawiwszy dokładnie usposobienie monarchy względem głównych działaczy w armii operującej, autor przechodzi do działalności księcia Paskiewicza, którego monarcha przed bitwą Ostrołęką powołał z Georgii do Petersburga. Księżciu Szczerbatowowi, prócz dokumentów urzędowych, stało otworem archiwum domowe książąt Paskiewiczów i spożytkował też należycie korespondencję cesarza Mikołaja z księciem feldmarszałkiem. Opis czynności wojennych, jaki autor zamieścił w swem dziele, nie odznacza się ani wytrawnym sądem, ani zbytnią dokładnością. Po dziele generała Puzyrewskiego, wątpię, ażeby praca księcia Szczerbatowa mogła mieć dla historii wojennej poważniejszą wartość. Niema w niej wprawdzie wyraźnej tendencji do nadawania faktom sztucznego oświetlenia, biorącego często rozbrat z prawdą, ale jest czasem pobieżność w opowieści, dochodząca nawet do zaniedbania. Tak np., Sowińskiego, komenderującego Wołą, zwie autor nporczywie Sawińskim i robi go niepotrzebnie generałem, z cza-

sów napoleońskich, Chłapowski—zwany jest Chłaporowskim, Umiński, Ounińskim i t. p.

Książę Szczerbatow nie ograniczył się do przedstawienia czynności militarynych księcia Paskiewicza, ale ogarnął i jego życie polityczne w r. 1831. Pod tym względem nosi dzieło księcia Szczerbatowa charakter więcej kronikarski, niż historyczny, i główną jego zasługą pozostanie przytoczenie ważnych korespondencyi, które dużo światła rzucają na ówczesne położenie polityczne. Historykowi, mającemu utrudniony przystęp do bezpośrednich źródeł, dzieło księcia Szczerbatowa będzie pożytecznym materiałem. Znajdzie on w niem niejedną cenną szczegół dla dziejów XIX stulecia, którego-by daremnie szukał u pisarzy zachodnich. Sądu jednak historycznego stamtąd czerpać nikt nie będzie, gdyż się przedewszystkiem sam autor o to nie kusi, poprzestając na skromniejszej roli biernego sprawozdawcy, który przejmując ton i koloryt z dokumentów, ale się nad nimi nie zastanawia.

A. REMBOWSKI.

---

*Maryan Gawalewicz i Piotr Stachiewicz. „Królowa Niebios” — legendy o Matce Boskiej. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1895.*

Piękny podarunek kolędowy przygotowała przedsiębiorcza firma Gebethnera i Wolffa, wydając w dwoistej edycji legendy o Matce Boskiej, na które złożył się wdzięk pióra i ołówka. Pomysł to tem szczęśliwszy, że książka trafi niewątpliwie do wszystkich, dzięki treści, przemawiającej poezyą do serc wierzących, i formie, która przez artyzm szuka drogi do duszy nowoczesnej. Zdaje mi się nawet, że treść sama jużby tę drogę z łatwością znalazła, tak dalece nasza dusza nowożytna nie potrzebuje jeszcze kunsztownych bodźców do wywołania pewnych wrażeń.

Gdzieindziej książka tego nastroju miała-by niewątpliwie symptomatyczne znaczenie; przyczepiono-by jej etykietę literacką; wciągnięto-by w odnęt najrozmaitszych przełomów moralnych, zwrotów intelektualnych; dopatrywano-by się w niej odbicia jakiegoś „nowego“ stanu umysłowości. U nas nikomu to na myśl nie przyszło. Dusza nowożytna przyjęła „Królowę Niebios“, jak dawną z przed wieków władczynię, a jeżeli w rzeczach poezyi i sztuki może być mowa o postępie, to ta dusza dostrzedz go może nie w mniemanym ewolucyjnym powrocie pewnych uczuć i aspiracyi, ale chyba w formie, w jakiej się one u współczesnych poetów i artystów objawiają.

Wiadomo zresztą, jak powstała książka. Ani rysunków, ani tekstu nie wywołały żadne „prądy.“ Literat ujrzał przypadkiem cykl legend o Matce Boskiej w pracowni malarza, który brał poezję wszędzie, gdzie ją znalazł. Na pisarza „powiał odrazu jakby czar jakiś“, pod wpływem którego powstał projekt złączenia wspólnej pracy i „zebrania barw i woni z polnych kwiatów ludowego natelnienia, aby orzeźwić niemi serca, spragnione czystszych i idealniejszych wrażeń.“

Ten świeży powiew poezji ludowej ochronił odrazu obu współpracowników od wszelakich modnych archaizmów, od gonitwy za efektami sztucznej egzaltacyi. Gawalewicz nie pozuje na symbolistę, Stachiewicz nie ma pretensyi być *preraphaelitą*, żaden z nich nie wskrzesza zamarych stylów; jeden pisze, drugi rysuje, tak, jak im się *dzisiaj* odwieczne przedstawiają motywa.

Dzisiejszość atoli nie zawsze na jednakową u obu brzmi nutę i stąd chwilami pewien rozdźwięk między dziełem artysty a komentarzem poety, nasuwający czasem pytanie na usta widza i czytelnika, kto tu kogo ilustruje? Nie ulega wątpliwości, że malarza zarówno jak literata ten sam w podaniach ludowych uderzył rys, zaakcentowany przez Gawalewicza w przedmowie: wyidealizowanie kobiecości Matki Boskiej, skojarzenie „wszelkich cnót i wszelkich wdzięków“ w ideale, „do którego lud przyłgnął nie samą wiarą tylko, ale instynktem serca jak do dobrego bóstwa opiekuńczego.“ Ta kobiecość, jednak inaczej trochę wypada u Stachiewicza i u Gawalewicza i, choć nie wszędzie, to przecież tu i owdzie w odmiennych pod pędzlem i pod piórem występuje odcieniach. Nie mam zamiaru wdawać się w szczegółową krytykę rysunków i tekstu; ocenę dzieła Stachiewicza podał czytelnikom „Biblioteki“ kompetentniejszy ode mnie znawca, tekst zaś był już omawiany na tem miejscu z powodu odczytów Gawalewicza; idzie mi tylko o sformułowanie wrażenia, jakie obecnie dopełniające się wzajemnie słowo i ołówek wywierają.

„*Das Ewig-Weibliche zieht uns hinan*“ — pod tem hasłem starego Goethego zdawał się Stachiewicz rzucać na papier wizerunki Matki Boskiej, jak gdyby chciał niem usprawiedliwić współczesny typ swojej Madonny, jak gdyby przedstawić pragnął nowe tylko kształty, przyoblekające wieczność niewieściego pierwiastku. Ta wieczność w życiu przedewszystkiem ma swoje źródło, z życiem płynie i życiowe bierze z biegiem czasu formy; pod tym względem lud w swoich naiwnych klechdach spotyka się z filozofią weimarskiego poganina, i po ziemskich szczeblach prowadzi wieloną w Matce Chrystusowej kobietę aż do niebiańskiej apoteozy. W różnych momentach historii ideałów ta droga mogła się odbywać rozmaicie, z góry na dół, lub z dołu do góry; więc też z każdego szczebla tej drabiny, o ziemię i niebo opartej, ina-



czej przedstawia się postać dobrotliwej między ludźmi a Bogiem Orędowniczki. Dla Stachiewicza nie ma ona hieratycznej fizygnomii, jaką-by w niej widzieć chcieli zwolennicy tradycyi malarskiej; zmieniany i przekształcany w migracyach swoich przez stulecia typ subtylizował się, rafinował pod działaniem przestrzeni i czasu, i ma dziś w sobie cechę jakiegoś, jeżeli się tak wyrazić wolno, wydelikaczonego modernizmu. Wytwarza się stąd odskok między tłem legend a ich bohaterką, i Matka Boska w zagrodzie chłopa polskiego nie obecnością swoją dziwi,—bo w tem właśnie tkwi najpoetyczniejsza ludu fantazyja—ale rysami oblicza, które mają pewną rozpieszczoną wytworność, ale arystokratyczną niemal dystynkcyą w postaci, która-by onieśmielić musiała prostych z pod strzechy mieszkańców. Kobiecość Matki Boskiej Stachiewicza przemawia do dzisiejszego widza nerwową trochę ekspresyją,—co ją niewątpliwie oddala od typu, wymarzonego w ludowej wyobraźni, inaczej sobie zapewne uplastyczniającej „Najświętszą Paniękę.“ Ani Dziewica z kwiatów, ani Matka tuląca w stajence Boże niemowlę, ani młodzianka Marya, szukająca u naszego kmiecia spoczynku w ucieczce do Egiptu, ani oglądająca się na swoje Dzieciątko ruchem pełnym wdzięku Madonna przy rozwieszaniu pieluszek, ani wykwiutna Panięka, w wyszukanej pozie wijąca ślubne wieńce, ani Prządka niebiańska, ani nawet Matka Boska bolesna, ze swoim nowożytnym w twarzy tragiczmem, pozbawionym spokojnej głębi cierpienia, nie urzeczywistniają ideału ludowego, od którego, jak o tem świadczą legendy, bije zdrowie i promienieje pogoda.

Trzebaż z tego formułować zarzut Stachiewiczowi i mieć do niego pretensyę, że nie był, jak Uhde, niemieckim demokratą socyalnym w malarstwie, lub że nie poszedł śladem angielskiego *prerafaelizmu* Holmana Hunta, trafiającego często w poszukiwaniu symbolicznych pomysłów na koncept tylko, jak naprzykład, kiedy w swoim „Cieniu śmierci“ maluje Matkę Boską, wpatrzoną z przerażeniem w wydłużony na murze cień od ramion przeciągającego się po pracy stolarskiej Chrystusa, które-to odbicie, padając wprost na poprzeczną belkę ściany, daje obraz człowieka rozpiętego na krzyżu? Co do mnie, wolę myśl Stachiewicza, który również wizyę ukrzyżowania wywołał we mgłach nad głową Matki Boskiej; prostsze to, a może nawet mieści w sobie pewien symbolizm, charakteryzujący dzisiejsze malarstwo religijne, z głowy tylko snujące swoje nadziemskie widzenia.

Bądź co bądź, trudno artyście wytaczać proces o to, że jest indywidualnym; indywidualizm, cecha wieku, występuje dziś nawet w stosunku człowieka do bóstwa, wprowadzając osobisty liryzm i tragiczmem do modlitw, do skarg, do zaklęć, w których swojego *ja* po dawnemu unicestwić nie może, czy nie chce, naznaczając piętnem równie

osobistem kreacye ze sfer pozaświatowych. Nie krytykujemy więc Stachiewicza, że tak, nie inaczej, *widzi* te kreacye, że tak, a nie inaczej oddziaływała nań pierwsza do twórczości podnieta—natchnienie ludowe; jeden i ten sam impuls na różne drogi różne popycha dusze; wiara napaływała się niegdyś dla orzeźwienia świeżem „polnem kwieciami“ ludowej poezyi, o którym wspomina w przedmowie Gawalewicz; artyzm dystyluje dzisiaj z tych kwiatów skomplikowane a narkotyzujące essencye. Cenię Stachiewicza za to, że motywów religijnych nie użył ani do stworzenia nieszczerzej, podrobionej idylli, ani też do wywołania cudaczných halucynacyi.

Gawalewicz miał o tyle wdzięczniejsze zadanie, że stał bliżej źródła; tę zaś blizkość zawdzięcza samej naturze krynicy, z której czerpał. Artyście słowa, słowo było, jako materyał, dostarczone; a to wiele znaczy, z większemi bowiem łamać się musi trudnościami twórcy, tłómaczący słowo na język plastyki, aniżeli ten, komu potrącone słowem kojarzenie myśli rozwija się w poetycznych obrazach.

I jeszcze jedno ten podatny materyał dał Gawalewiczowi ułatwienie: możność wywoływania w czytelniku nastrojów sposobami, dobywanymi z głębin słowa. Sztuki plastyczne ze swemi realnemi kształtami mają to do siebie, że się niemi poniekąd odgraniczają od wszystkiego, co nieokreślone; słowo zaś ze swoją treścią ideową posiada własność czarodziejską zatrzymywania wszystkiego, co niepochwytnie, nadawania plastyki nawet nieskończoności. Najlepsze, zdaniem mojem, z rysunków Stachiewicza: „Wniebowzięcie”, „Na gwiazdzistej drodze“ i „Gromniczna“, działają na widza efektami nocy lub mglistości; kiedy legendy, opowiedziane przez Gawalewicza w słońcu, w pełnem świetle dnia, budzą bez tej pomocy ów *Stimmung*, w którym rozplývają się kontury w rzeczywiście.

Charakterystycznym w tym kierunku jest właśnie rys, że takim nastrojem najsilniej odznacza się pierwsza część książki, zatytułowana: „Na ziemi.“ Na ziemi istotnie jest Gawalewicz, ale że się tu najszczerzej pobratał z poezją ludową, więc od niej przejął prostotę i naiwność, które wierze skrzydeł dodawały do wzlotów w niebiańskie szlaki. Niema w tem nic sztucznego, bo wogóle niema sztuczności w organizacyi umysłowej Gawalewicza, jako pisarza. Owszem, zauważyć w niej można pewną skłonność do ubiegania się za prostotą, która często, w stosunku pisarza do czytelnika, przeradza się w dobroduszość. Nigdzie lepiej nie brzmi ta dobroduszość, jak w głosie do legend o „Królowej niebios”; stanowi ona w obrazach fantazyi ludowej oprawę tem cenniejszą, że artyzm ukrył doskonale jej cechy literackie.

Było-by korzystniej dla dzieła, gdyby ta artystyczna harmonia między bezimiennymi twórcami legend, a ich komentatorem zachowaną została i w dwóch następnych częściach książki. Nie wiem, dla czego, — czy że poecie trudno było utrzymać się ciągle w tym samym nastroju, czy też Gawalewicz sądził, że poezya, przeniesiona z ziemi do nieba (dalsze części książki noszą tytuły „W niebie” i „Z nieba“), potrzebuje koniecznie mowy bogów, dość, że „proza miarowa“ lub też „proza wierszowana” przeważa w dwóch trzecich książki. Jest to kunsztowne *mezzo-termine*, które, nie wiem, czy każdy oceni czytelnik, i kto wie, czy szczerza, swobodna forma wiersza rymowanego nie wywarła-by tu przyjemniejszego wrażenia. Gawalewiczowi chodziło zapewne o ściślejsze z ludowymi opowieściami pokrewieństwo. Ale najprzód poezya ludowa przed wierszem się nie cofa; a powtóre, w tym razie cel nie został osiągnięty, bo skojarzenie naiwności podań z formą, bądź co bądź, nienaturalną, okazało się w wielu razach trudnem. Opowiadanie, mające typograficzny wygląd prozy, a kryjące w środku każdego ustępu, niby zastawione sidła, spadek metryczny lub rym, sprawia to, że czytelnik, zamiast podążać za biegiem myśli, albo szukać w obrazach barw i plastyki, wypatruje, rychło go chwyci potrzask rymotwórcy i gubi po drodze najpiękniejszy wątek. Wreszcie, kunszt formy nie zawsze do właściwego przystosowany jest przedmiot. Są legendy, wdzięcznie wyglądające w wierszowanej formie; są takie, dla których najwłaściwszą była-by proza, poetyczna swoją naiwnością—proza z pierwszej części. Będzie naturalnie mnóstwo czytelników, którzy nie spostrzegą się nawet, co przeczytali—prozę, czy wiersz. O takich nie wiadomo nawet co powiedzieć: czy tem gorzej, czy tem lepiej dla nich. Tem lepiej, bo nie domyślając się niczego, swobodnie jednym tchem przeczytają bardzo ładną prozę; tem gorzej, bo pozbawią się przyjemności oceny arcyzmu, z jakim Gawalewicz zamknął w tej prozie utajone wiersze. W każdym razie, na podobieństwo Molierowskiego Pana Jourdana, *ils liront la poésie sans le savoir*.

Sukienka, w jaką wydawcy przyoblekli to dzieło skombinowanej twórczości rysownika i pisarza, godna jest i samego przedmiotu, i jego artystycznego obrobienia. Począwszy od okładki z wizerunkiem „Królowej niebios” na tle, usianem gwiazdami, doskonale fototypowe odbicie rysunków, wytworny papier, druk wykwintny, gustowne inicjały, pełne smaku u góry naczelných stron arabeskowe winiety,—wszystko składa się na prawdziwie europejską edycję.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Najnie spodziewanej, jak tylko być może, wybuchło w Berlinie przesilenie kanclerskie, i w chwili, kiedy to piszemy, hr. Caprivi bawi w Montreux, jako wypoczywający po trudach emeryt, zaś kanclerzem rzeszy jest ks. Hohenlohe, były namiestnik Alzacyi i Lotaryngii. Stało się niespodziewanie, pomimo, że gazety opozycyjne nieraz rozpisywały się o dymissyi Capriviego; albowiem ani ci, co pisali, ani ci, co czytali te rzeczy, nie wierzyli w możliwość dymissyi. Opozycya starała się stwarzać Capriviemu trudności, wyzyskując przeciwko niemu wszelkie choćby najdrobniejsze w rządzie nieporozumienia i rozdymając je do ostatnich granic. W ten sposób niedawno pogłębiała ona niechęć między Caprivim i Miquelem, ostatnio między Caprivim i Eulenburgiem. Jakkolwiek celem tych manewrów było nie co innego, jak obalenie kanclerza, jednakże nikt nie przypuszczał, że nastąpi ono już tak prędko. Bo kanclerz cieszył się wciąż jednakowem zaufaniem cesarza Wilhelma, który, jak należało przypuszczać, ocenia w nim zdolności niezwykle, takt wielki, nabytą wobec zagranicy powagę i duże zasługi, położone dla państwa w ciągu krótkiego czasu.

W ubiegłym miesiącu, z okazji przygotowującego się projektu nowych środków represyjnych przeciwko anarchistom, po dziennikach znowu dużo było mowy o zatargach Capriviego z kolegami. Początkowo prasa zachowawcza i narodowo-liberalna uderzała na kanclerza, który jakoby całkiem był przeciwny wzmocnieniu repressyi. Potem, kiedy się pokazało, że zasadniczo przeciwny nie jest, uderzono na nie-

go jako na twórcę i obrońcę „gorszego” projektu; projektem „lepszym” miał być wypracowany przez hr. Eulenburga, prezesa ministrów pruskich. Różniły się owe projekta w tem, że Caprivi zalecał poprostu wzmocnienie istniejących przepisów karnych, podczas gdy Eulenburg domagał się ogłoszenia osobnej ustawy wyjątkowej. Caprivi za pośrednictwem pism półurzędowych argumentował trafnie, że skoro pewnem jest, że parlament dzisiejszy wszelką ustawę wyjątkową odrzuci, więc on, kanclerz, mógłby projekt takowej wnosić jedynie w takim razie, gdyby był zdecydowany na rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów. Nowych wyborów jednak kanclerz sobie nie życzył, bo nie był wcale pewny, czy doprowadziły-by do celu. Obecnemu parlamentowi chciał przedstawić projekt obostrzeń w kodeksie, mając zasadę do spodziewania się, że taki projekt zostanie uchwalony, i sądząc nadto, że dla powściągnięcia agitacyi anarchicznych wystarczy.

Przez czas dość długi karmiły dzienniki publiczność sprzecznemi pogłoskami; aż nareszcie rozeszła się wieść, że cesarz Wilhelm ostatecznie zdecydował, oświadczając się za projektem Caprivięgo. Cesarz przyjechał do Berlina, złożył wizytę Caprivięmu, bawił u niego półtorej godziny. Kiedy nazajutrz cesarz odjeżdżał na polowanie, Berlin był pewny swoich informacji: Caprivi górą, Eulenburg upadł. Spodziewano się dymissyi tego ostatniego. Tymczasem cesarz wraca z polowania i Berlin dowiadyje się ze zdziwieniem, że dymissyę wziął wprawdzie Eulenburg, ale wziął ją także i Caprivi, oraz prawie jednocześnie, że mianowany został nowy kanclerz w osobie ks. Hohenlohego.

Skąd i dlaczego? Przyjaciele i przeciwny, Niemcy i zagranica, wszyscy stawiali sobie te pytania. Gorsze jest to, że dotychczas je sobie stawiają, gdyż nie znalazła się dotąd na nie wystarczająca odpowiedź. Według zwykłej logiki politycznej, Caprivi nie powinien był tracić urzędu, skoro nie było do tego powodów, które publiczności można-by wyjawić i które ona mogła-by zrozumieć. To też wrażenie dymissyi było fatalne zarówno w Niemczech, jak gdzieindziej. Nietylko zresztą opinia publiczna, ale i niektórzy książęta rzeszy dali wyraz swemu niezadowoleniu; posunęło się ono tak daleko, że pierwszym czynem nowego kanclerza, ks. Hohenlohego, musiało być odbycie podróży do Monachium i Darmsztadu, dla złożenia tam książętom poufnych wyjaśnień i uspokojenia ich.

Nie będziemy tutaj powtarzali różnych komentarzy do tego wypadku, jakie były czynione; nie będziemy też czynili na własną rękę innych nad ten jeden, że skoro dymissya nie była konieczną, nie powinna była nastąpić. To jednak wypada zanotować, że hr. Caprivi ustąpił wespół z oznak ogólnego uznania i szacunku, których nie szczędzili mu nietylko przyjaciele, ale i przeciwnicy, i cała wogóle opinia

publiczna europejska. Niemcy żałują w nim kanclerza światłego, łagodnego i pełnego taktu; zagranica—ministra, który łączył miłość pokoju z dobrami manierami. Zdawało się w swoim czasie przyjaciółom Bismarcka, że następca jego będzie wyglądał jak karzeł po olbrzymie. Tymczasem hr. Caprivi potrafił urosnąć do tego poziomu, na którym nie wstydzi się i nie obawia porównania z poprzednikiem ze względu na usługi oddane państwu w ciągu krótkiego czasu.

Dalszych politycznych następstw dokonanej zmiany przewidzieć niepodobna w tej chwili. Nominacye nowych ministrów na miejsca tych, którzy ustąpili wraz z Caprivim i Eulenburgiem, wypadły w duchu ultra-konserwatywnym, skąd wnioskuje ci i owi, że „kurs najnowszy”, bo tak go już ochrzczono, będzie zabarwiony reakcyjnie. Zdaje się wszakże niepodobnem, żeby cesarz Wilhelm zerwał z polityką handlową Caprivięgo, którą już uświęciły traktaty handlowe, pozawierane z wielu mocarstwami na długie lata. A ta właśnie polityka handlowa była głównym punktem niezgody między poprzednim kanclerzem i jego zachowawczymi przeciwnikami. Reakcyjność więc nowych ministrów, jeśli ma znaleźć dla siebie pole popisów, musi go poszukać w innych sferach. Czy i tam nie spotka się z zastrzeżeniami ze strony cesarza Wilhelma, nikt nie może ręczyć. Było wszakże tak raz, że zwycięski już, a bardzo zachowawczy projekt reformy szkolnej hr. Zedlitzza został w ostatniej chwili cofnięty na rozkaz cesarza. Toż samo, lub coś podobnego, mogło-by się powtórzyć, gdyby nowi ministrowie posunęli się w swoich planach ustawodawczych aż do zwrócenia przeciwko sobie wszystkich w państwie żywiołów liberalnych. Zresztą dotychczas nastąpiły jedynie nominacye ministrów pruskich. W dodatku Köller, acz wielki reakcjonista, przychodzi jako minister spraw wewnętrznych na miejsce Eulenburga, który także wcale się nie odznaczał liberalizmem. Wogóle tedy powiedzieć trzeba, że to, co się opowiada w prasie o wzmocnionej perspektywie reakcyi w Niemczech, robi wrażenie przesady. Widoki reakcyi urosły w stosunku do tego, jakie były, o tyle tylko, o ile wraz ze zdrowym rozsądkiem i spokojem hr. Caprivięgo usunięty został pierwiastek miarkujący, który potrafił czuwać nad strzeżeniem rządu od zapędów krańcowych. Nic jednakże nie upoważnia do mniemania, że nowy kanclerz będzie pod temi względami niższy od swego poprzednika. A jeśli nie będzie niższy, w takim razie wszystko się ograniczy do zmiany osób. Niemcom trudno jest się oswoić z myślą o nietrwałości posad ministerjalnych. Długie panowanie Wilhelma I przyzwyczaiło ich do innego systemu. Ale na to już niema rady; z tą cechą „nowego kursu” oswoić się w końcu będą musieli, pamiętając, że rozpoczął się on od obalenia i usunięcia z posady takiego, jak się zdawało, niewzruszonego kolosa, jakim był ks. Bismarck.

Wojna chińsko-japońska ma się ku schyłkowi. Pogromione Chiny straciły wszelką nadzieję ratunku, a zwycięskie wojska japońskie szybkim krokiem zdążają ku Pekinowi. Zdawało-by się, że w takich warunkach rząd chiński nie powinien-by mieć nic pilniejszego do zrobienia nad zawarcie pokoju. On jednak zwleka z propozycjami pokojowemi, które dotychczas nie zostały uczynione. Wobec popłochu, jaki padł na rząd i na ludność, zachodzi obawa przewrotów wewnętrznych; strapieni publicyści angielscy przewidują już upadek dynastji mandżurskiej i rozczłonkowanie Chin. Strach ma wielkie oczy, a Anglicy wiedzą, o co się boją, prowadząc wielki handel z Chinami i granicząc z niemi na znacznej przestrzeni. Choćby jednak te obawy nie sprawdziły się, teraz już dynastya obecna, po zawarciu pokoju, będzie musiała poważnie zastanowić się nad położeniem własnem i nad przyszłością państwa, które, pomimo swego ogromu, dało się podeptać malutkiej Japonii.

Europa przez miesiąc ubiegły nie zajmowała się sprawami międzynarodowemi, zajętą mając uwagę naprzód chorobą, potem zgonem Najjaśniejszego Cesarza Aleksandra III.

Po majówkach, spacerach, wizytach zamiejskich, trwających prawie pięć miesięcy, bardzo pięknie zakończyliśmy sezon wycieczek—uroczystością odsłonięcia pomnika Chopina w Żelazowej Woli. Pomimo pory spóźnionej (14 października) pogody niepewnej, jesiennej, wreszcie pomimo komunikacyi dla mieszczuchów niedogodnej i utrudzającej, zebrało się tam przeszło dwa tysiące osób, wyłącznie ze sfer inteligencyi. Droga, prowadząca od Rudy Guzowskiej do miejsca urodzenia mistrza na przestrzeni wiorst trzydziestu, ciągnąca się przez puste pola, smutna swą szarzyzną po sprzęcie ziemiopłodów—ożywiła się niezwykle i przybrała charakter odpustowy. Kilkadziesiąt bryczek i wozów różnej formy, z czerwonymi kartami Towarzystwa muzycznego, wiozące gości, chóry i orkiestrę z Warszawy, malowniczo rozciągnęły się sznurem parowiorstwowym i wywołały tłumy ciekawych. Obok furmanek toczyły się rowery, szli piechurzy, na innych drogach również gwarno i tłumno. Około godz. 11-ej podwórze i ogród p. Pawłowskiego zapełniły się liczną rzeszą kobiet i mężczyzn; wszyscy ze skupieniem oczekiwali rozpoczęcia programu.

Ażeby to oczekiwanie skrócić, na prędcie stworzono koncert nadprogramowy. Pod świerkiem, gdzie podobno Chopin lubił dumać, postawiono jakieś stare pianino, z którego, mimo głosu harfy rozstrojonej, popłynęły najpiękniejsze melodye mistrza, wydobyte przez p. Michałowskiego, Kleczyńskiego i Bałakirewa, dyrektora kapeli cesarskiej w Petersburgu, kompozytora i żarliwego miłośnika utworów Cho-

pinowskich. Liczne grono gości z odkrytymi głowami słuchało ze skupieniem muzyki i niejeden z obecnych może się starał odtworzyć w wyobraźni chwile, gdy ten, którego pamięć święcono, tworzył swoje pieśni nieśmiertelne i uderzał w struny instrumentu, zapewne również nie odznaczającego się harmonią i pełnią tonów. Około godz. 1-ej rozpoczęto właściwą uroczystość. Chóry Towarzystwa muzycznego i orkiestra wykonały kantatę Noskowskiego pod jego dyрекcją, ze słowami Niemojewskiego, do rzeki Utraty, przepływającej przez Żelazową Wolę. Następnie Noskowski, krótko, lecz gorąco, przemówił do obecnych, wyrażając cześć dla cieniów mistrza i chwałę dla geniusza. Późem odsłonięto pomnik, poświęcony przez ks. Siennickiego z Sochaczewa, u podnóża zaś złożono wieńce, nadesłane przez dyrektora Barabaszę i przywiezione przez przedstawicieli „Lutni” łódzkiej (pp. Danyszę i Sudrę). Prócz tego, piedestał usłano jeszcze innemi wieńcami. W dalszym ciągu, pod dyрекcją p. Maszyńskiego, „Lutnia” warszawska wykonała pieśni Chopina, między innemi prześlizne preludium „Marzenie” (op. 28, nr. 7, a-dur). Wreszcie pod batutą p. Münchheimera chóry wraz z orkiestrą zakończyły program polonezem a-major.

Pomnik ładnie, acz skromnie się przedstawia. W kształcie obeliska, wraz z podstawą do siedmiu łokci wysokości, jest z kutego żelaza, pokryty chemicznie grubą warstwą miedzi. U dołu od strony bramy wjazdowej umieszczono na nim podobiznę mistrza w formie medalionu, odlanego z brązu, według rzeźby p. Woydygi. Pod portretem wyryto napis: *F. Chopin, 28, II, 1810*. Pomnik stoi na głębokim podmurowaniu i szerokiej podstawie ze stopniami żelaznemi, otoczony zaś jest sztachetami żelaznemi, które przyozdabia pięć lir, kutych z żelaza. Dokoła urządzono gustowny kwietnik (zdaje się tylko na czas uroczystości). Cały postument stoi w miejscu ładnem, okolony wiankiem starych drzew liściowych, między domem p. Pawłowskiego a skromną, niską oficynką, w której urodził się Chopin. Całkowity koszt budowy i ustawienia pomnika pochłonął stosunkowo niewielką sumę 3,500 rs., dzięki ustępstwom wykonawców. Funduszu dostarczyły trzy koncerty i ofiara Paderewskiego. Wogóle zaś wielkie zasługi w tej mierze położyło Towarzystwo muzyczne, które, nie strudzone przez parę lat w zabiegach, zaczęte przez p. Bałakirewa popartych, doprowadziło w końcu dzieło do skutku. W samej zaś organizacyi uroczystości krzątali się gorliwie pp. Aleksander Rajchman i Maryan Gawalewicz. Wreszcie czynem obywatelskim odznaczył się zarząd kolei wiedeńskiej, który dla przewiezienia chórów, orkiestry i gości, ofiarował bezinteresownie pięć wagonów.

Wracałem z Żelazowej Woli, przejęty uroczystym nastrojem obchodu, w głębokim zamyśleniu o tym mistrzu, którego pieśni mają cu-



downą siłę oddziaływania na dusze, troskami znękanie, kojenia cierpień, odrywania od poziomych spraw życia codziennego, poruszania i wydobywania z ukrycia najszlachetniejszych pierwiastków intelektualnych. Ważyłem znaczenie kombinacji melodyi, złożonej przez geniusze, i jej rolę w życiu duchowym człowieka; starałem się w wyobraźni odtworzyć postać Chopina w cichej Żelazowej Woli, nad rzeką Utratą i pod świerkiem ulubionym; jego ducha, unoszącego się w przestworzu wraz z drganiem melodyi, które odżyły dn. 14 października i w dal popłynęły. I przypomniały mi się słowa Niemojewskiego, odśpiewane w kantacie... „Syn twój żyje u ludzi; on zamieszkał w ich sercach!..” Czy w wielu?.. Wróciwszy do Warszawy, prędko znalazłem smutną odpowiedź na to pytanie. Tu i owdzie uderzyła mię wesoła muzyka Straussowska i naraz przypomniałem, że to świat artystyczny obchodzi jubileusz tego „króla walców” i twórcy popularnych operetek. Biorę do ręki gazetę jedną, drugą, trzecią i czytam: *Strauss, Strauss, Strauss!*—niezliczone razy. Cała Europa złożyła mu hołdy, najwybitniejsze talenty, nie tylko muzyczne, lecz i literackie. Jednocześnie pisma zagraniczne, nawet wyłącznie poświęcone muzyce, dały o Chopinie parowierszową wzmiankę, która utonęła w powodzi drobnych wiadomości.

Operetka w życiu zyskała prawo obywatelstwa, uznanie i pierwszeństwo nad muzyką, grającą na duszy, nie na zmysłach i... nogach... Tem dziwniej wygląda to zjawisko, że Chopin we wszystkich szkołach muzycznych Europy zaliczony jest do pierwszorzędnych mistrzów, a dzieła jego na całym świecie cywilizowanym nieraz figurują z powodzeniem w programach koncertów. Godne są zaznaczenia na tem miejscu słowa *posła Prawdy*, wypowiedziane z powodu odsłonięcia pomnika: „Gdyby p. Bałakirew nie był przyjechał z Petersburga, cała ta uroczystość miała-by charakter święta Żelazowej Woli z udziałem Warszawy. Z za granicy nikt nie przybył, nie nadesłano kwiatów i adresów... Co to znaczy? To znaczy, że geniusz wobec świata otrzymuje znaczenie narodu, do którego należy; gdyby przeto Chopin był Niemcem lub Francuzem, inaczej wyglądałoby odsłonienie jego pomnika. Jako dziecię Żelazowej Woli, nie może on mierzyć się z Wiedeńczykiem.” Naszemu społeczeństwu, a przynajmniej jego garstce intelligentniejszej, trzeba, przynajmniej, że uczciło pamięć mistrza pięknie i uroczyście, o ile na to pozwoliły skromne środki. Po uroczystości odsłonięcia pomnika, dnia 17 z. m., t. j. w rocznicę śmierci wielkiego kompozytora, Towarzystwo muzyczne wystąpiło ze specjalnym koncertem Chopinowskim, na którym, między innymi, powtórzono program muzyczny z Żelazowej Woli, perlą zaś wieczoru była gra p. Bałakirewa. W dolinie Szwajcarskiej dano również parę koncertów, złożonych z utworów Chopina.

Zupełnie inny charakter nosiła uroczystość jubileuszowa dla uczczenia zasług i charakteru człowieka żyjącego, prof. Karola Jurkiewicza. Komuż nie znana z intelligencji, a najbardziej z szerokiego koła wychowawców uniwersytetu tutejszego, ta postać sympatyczna i zacna, zawsze chętna do usług dla dobra powszechnego? Przez pół wieku niósł swe siły, wiedzę i zdolności dla ogółu, najpierw jako profesor b. Szkoły Głównej, potem uniwersytetu warszawskiego. Obok tego, nie małe położył zasługi na polu piśmiennictwa z dziedziny przyrody, wreszcie przyswoił i spopularyzował wiele książek pożytecznych z obcej literatury. Nie poprzestając na pedagogice i pracy piśmienniczo-naukowej, chętnie służył filantropii i wszelkim instytucjom publicznym. Pomimo sędziwego wieku, pomimo ciężkiej i długiej choroby, przed kilku miesiącami przebytej, nie przestał być czynnym i ożywionym myślą niesienia pożytku ogólnego. Z szeregu wielu, przyjętych honorowo obowiązków, szczerze kieruje sprawami Towarzystwa ogrodniczego, jako jednostka, miłująca przyrodę, i jako człowiek, o szeroko rozwiniętym poczuciu społecznym. To też serdecznie uczczono go uroczystością jubileuszową, obsypano niezliczonymi słowami uznania i kwiatami.

W niesieniu tych hołdów prym dzierżyło Towarzystwo ogrodnicze; które także uczciło (30 października) stosownym obchodem dziesięciolecie swego istnienia. Instytucja ta sporo zrobiła dobrego, a stercnicy ożywieni są jak najszczerszemi chęciami i zapałem do pracy dla dobra publicznego. Przeglądając historję działalności Towarzystwa, znajdujemy w jego kronikach kilka faktów wybitnych. W r. 1885 urządziło ono ogólną wystawę ogrodnictwa na placu Ujazdowskim w Warszawie (był to pierwszy odpowiednio usystematyzowany wykaz stanu ogrodnictwa naszego). Głównie zaś ten organ skierował swe usiłowania na drogę zaznajamiania ogółu z postępami ogrodnictwa w teorii i praktyce. W tym celu odbywały się i odbywają w miesiącach zimowych popularne pogadanki. Większe atoli mają znaczenie te zabiegi, które wydały jakies widoczne rezultaty w życiu. Pod tym względem jest do zanotowania parę szczegółów. Dzięki inicjatywie i staraniom Towarzystwa, koleje żelazne wprowadziły wiele ułatwień i uproszczeń w przepisach przy przewozie produktów ogrodniczych, między innymi wprowadzono ważne udogodnienie: przewóz za frachtem pośpiesznym w stosunku ceny frachtu towarowego. Niektórzy przypisują także tej instytucji powstanie i wzrost przemysłu przetwórczego w zakresie owocowym i warzywnym, jakkolwiek ta gałąź gospodarkę znajduje się u nas jeszcze w bardzo pierwotnym stanie.

Na szali zasług Towarzystwa trzeba jeszcze położyć: wspieranie starych ogrodników, opracowanie ustawy kasy pomocy, a więc dążność do zabezpieczenia bytu pracowników z tej dziedziny, udzielanie zapomóg ludziom kształcącym się w ogrodnictwie, urządzenie w Łodzi pierwszej prowincjonalnej wystawy ogrodniczej. Wymieniając te szczegóły pożytecznej działalności, szczerze życzymy, aby w drugim dziesięcioleciu Towarzystwo stało się istotnie organem niezbędnym i najżywotniejszym dla ogrodnictwa w całym kraju, aby się przyczyniło do jego wzmocnienia i rozwoju, stało przewodnikiem, ogniskiem, ułatwiałcem naukę, stosunki handlowe i wyszukiwanie pracy dla fachowców. Takim pragnęlibyśmy widzieć Towarzystwo ogrodnicze w całej pełni i miejmy nadzieję, że ono naszych pragnień nie zawiedzie. Z działalności jego w obrębie miasta jeszcze zasługuje na uwagę troskliwość o rozwój plantacyi. Od chwili, gdy komitet z łona tej instytucyi rozwinął swoją pracę doradczą przy magistracie, przybyło Warszawie więcej zieleni, staranności w utrzymaniu i estetyki na skwerach. Bądź co bądź, jest to także jeden szczebel do uzdrowotnienia miasta.

Nad tą ostatnią kwestyą radzi i rozprawia sekcya techniczna przy warszawskim oddziale Towarzystwa popierania ruskiego przemysłu i handlu. Z nakreślonych tam planów przez kilku inżynierów przynajmniej mamy obraz, jak Warszawa wyglądać powinna. Na te jednak sprostowania i zadrzewiania ulic, na uporządkowanie placów, trzeba dużo funduszków, które wobec niezbędnych potrzeb bieżących nie prędko urosną.

Brak odpowiednich środków także stoi na przeszkodzie naszym rzemieślnikom w doprowadzeniu do skutku ich pięknych usiłowań. Dwa lata np. waży się sprawa założenia przytułku dla inwalidów z tej kategorii pracowników, i kiedy niedawno wyczytałem w programie porządku dziennego sekcyi rzemieślniczej, że ten przedmiot będzie roztrząsany, pośpieszyłem na posiedzenie co żywo, aby się dowiedzieć o losach tak koniecznej instytucyi, i oto usłyszałem zapewnienie, że przytułek będzie założony, że dotąd zebrano na ten cel 29,000 rs., ale niema jeszcze placu odpowiedniego. Wprawdzie magistrat ofiarował grunt na Pradze, ale delegacya nie przyjęła daru, natomiast prosiła o plac w pobliżu ogrodu Pomologicznego. W rezultacie tej wybredności cofnięto ofiarę poprzednią i dziś, oprócz sumy powyższej, nic niema. Dlaczego koniecznie chciano przytułek budować w pobliżu ogrodu Pomologicznego—nie mogę znaleźć na to odpowiedzi. Czyżby w tej okolicy miasta najwięcej było inwalidów i ich rodzin? Ciśnie się jeszcze

drugie pytanie, na które już łatwiej znaleźć odpowiedź: czy 29 tysięcy wystarczy na zakład projektowany? Nie trzeba być budowniczym, ażeby przyjść do stanowczego przekonania, że jest to fundament, z którym można marzyć tylko o wynajęciu lokalu, a nie o własnem schronieniu. Pozostaje więc jedyna droga: zbierać w dalszym ciągu środki pieniężne, ale to bodaj jest najtrudniejsza część zadania, bo proszę zobaczyć, jak wyglądają te skarbnice dobroczynne, z których ma powstać kapitał na cel tak ważny. Z 53 cechów warszawskich pośpieszyło z pomocą tylko *siedm* (piwowarzy, felczerzy, zegarmistrze, rękawicznicy, szewcy, krawcy i szklarze); inne — nawet nie raczyły odpowiedzieć na wezwanie. Na 350 odezw, rozesłanych przez delegację do rzemieślników zamożnych, otrzymano *trzy* odpowiedzi, czyli mniej niż jeden procent! Fundusz powyższy, wyciśnięty z ofiarności publicznej, nawet w połowie nie pochodzi od rzemieślników właściwych. Tak swoje interesa traktuje owa liczna warstwa pracowników, mieszcząca w sobie sporą gromadę ludzi zamożnych, którzy przy odrobinie dobrych chęci mogli-by bardzo łatwo sumę powyższą powiększyć o jedno zero.

Wobec tego i wielu innych faktów dziwić się nie można, że świeżo poruszona myśl kasy emerytalnej dla ogółu rzemieślników znalazła sporo pesymistów; bo i jakże inaczej być może, skoro ich niewiarę wznacniają niemiłosierne przykłady? Tak np. w cechu szewców istnieje kasa, do której każdy czeladnik jest obowiązany wносить po 15 kop. miesięcznie, za co otrzymuje zapomogę szpitalną i coś w rodzaju emerytury w razie gdy sił zabraknie. Zapomogę taką dziś już podobno pobiera 20-tu czeladników, a natomiast składki wnosi tylko dziesiąta część powołanych do tego obowiązku moralnego. Otóż jeżeli kiedykolwiek projekt ogólnej kasy emerytalnej przyjdzie istotnie do skutku, brak poczucia obowiązku moralnego musi zastąpić powinność prawną. Same projekta są piękne, a ich twórcy ożywieni najlepszymi chęciami, ale przydała-by się im szczypta energii dla pełnienia dobrych pomysłów w czyn, tem bardziej, że mają taką dobrą sposobność za pośrednictwem instytucji, która przecież po to jest stworzona, żeby zogniskowała ich interesa. Tymczasem na żadnej sekcji warszawskiego oddziału popierania ruskiego przemysłu i handlu nie widzimy tak szczupłej garstki członków, jak na rzemieślniczej, i nigdzie nie słyszeliśmy tyle, co tam, słów, rzuconych na wiatr bezowocnie.

Czyniąc to porównanie sekcji, wykluczamy zupełnie przemysłowo-handlową, gdyż od pewnego czasu istnieje prawie teoretycznie. I gdy po jednym, jedynem posiedzeniu w marcu nie dawała ona znaku życia aż do jesieni obecnej, byliśmy pewni, że ten letarg długotrwały

skończy się śmiercią. Ale oto 2-go listopada sekcyja owa miłą zrobiła nam niespodziankę. Zwołano posiedzenie pod przewodnictwem nowego prezydium. Z ożywienia zaś rozpraw i roztrząsania niezmiernie ważnych kwestyi chwili możemy wnosić, że ta cząstka ogniska spraw ekonomicznych w Królestwie Polskiem będzie już stale podsycana i że przez nią przechodzić będą sformułowane potrzeby ogółu. Gdy wszakże stosunki wzajemne tej sfery ludzi rozluźniły się przez długotrwałą obojętność, nie łatwą jest rzeczą zawiązać je na nowo, wzbudzić tę ciągłość porozumiewania się i zabiegów o naprawę lub rozwój warunków materialnych. P. Suligowski, powołany na jednego z członków steru, zadał pytanie: czy sekcyja jest potrzebna? — i bardzo trafną dał na to odpowiedź. Jest ona nietylko potrzebna, ale niezbędną, a sprawy z tej dziedziny przedstawiają ogrom tak wielki i potracają o tyle złożonych zjawisk życia, że nawet przy zwoływaniu zebrań tygodniowych nie można było-by ich nigdy wyczerpać, omówić i w czynie załatwić, gdyż z jednych wynikają wciąż drugie i toczą się tak nieskończenie, jak *perpetuum mobile* istnienia naszego. Przejrzyjmy tylko ten szereg spraw bieżących, które w ciągu roku obecnego wynikły, zbadajmy te czynniki, które mają zespolić reformy z życiem. Ile tam powikłań, ile zagadek trudnych do rozwiązania, ile pierwiastków życia materialnego, których niedokładne rozpoznanie może doprowadzić do ciężkich omyłek, wpływających dotkliwie na interesa ogółu. Dziś na zachodzie Europy uczeni ekonomiści, teoretycy i praktycy, prawodawcy, organizatorowie wszelkiah reform łamią głowy nad rozplątaniem tej sieci potrzeb i spraw powikłanych.

Jakkolwiek upadek lub zwyżka cen zależą od niezliczonych i trudnych do zbadania czynników, jednakże nie powinno to odstręczać od prób przeciwdziałania. To też na uznanie zasługuje działalność specjalnej komisyi w Warszawie, utworzonej dla rozpoznania przyczyn wysokich cen pieczywa i obmyślenia środków usunięcia tego zjawiska. Do komisyi rzeczzonej powołano między innymi p. T. Kowalskiego, który w sprawach ziemiańskich nieraz już wykazał swoją energię, zdolności i wszelkie cechy umysłu światłego. Miejmy więc nadzieję, że i w tej kwestyi przyniesie on dużo pożytku ogółowi. Z. P.

---

---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

— Dnia 8 października r. b. odbyło się w Krakowie posiedzenie wydziału filologicznego Akademii Umiejętności pod przewodnictwem prof. W. Łuszczkiewicza, na którym prof. dr J. Bystronź zdał sprawę z pracy dra G. Blatta p. t. „O pochodnej końcowej spółgłosce *j* w języku polskim i w niektórych innych językach słowiańskich. Końcowe *j* w stopniu wyższym przysłówków.” W rozprawie tej autor zajmuje się pochodzeniem *j* paragogenicznego w niektórych językach słowiańskich, przedewszystkiem w polskim. W pierwszej części autor zajmuje się genezą *j* ruchomego w stopniu wyższym przysłówków. Właściwość tę język polski dzieli z dolnołużyckim. W pierwszym ustępie autor wylicza formę komparatywów przysłówków bez *j* końcowego w zabytkach języka polskiego XIV i XV wieków; w drugim rozbiera poglądy dawniejsze o tem *j* ruchomem i za najprawdopodobniejsze uważa zdanie Małeckiego, podług którego *j* przybranki *ěje* (mibněje) przeniesione zostało do komparatywów z przybranką *je* (vyše). Stosownie do tego poglądu zdawało-by się, że po rodzaju zmiękczenia końcowej spółgłoski osnów przysłówkowych poznać można, gdzie *j* jest częstką etymologiczną, a gdzie zjawiskiem pochodnem. W formie: *rzadziej* byłoby ono częstką przybranki *ěje*, jak wskazuje zmiękczenie zębowego *d* na *dz*, w *przedziej* zaś byłoby *j* paragogeniczne, jak wnosić można z przemiany *d* na *dz* przed przybranką—*je*. Rozumowanie powyższe w pierwszej jego części (odnośnie do *rzadziej*) autor uważa za błędne, gdyż pochodne

zmiękczenie spółgłosek zębowych jest zjawiskiem nowszem. Z dzisiejszego zatem sposobu miękczenia żadnego wniosku wyciągnąć nie można o pochodzeniu *j* końcowego w komparatywach. W trzecim ustępie autor na podstawie poprzednich poszukiwań podaje ogólny pogląd na całą kwestyę o *j* ruchomem w komparatywach przysłówków. W zakończeniu zaznacza pewne kwestye niewyjaśnione, przedewszystkiem formy dyalektyczne polskie bez *j* (w gwarze zakopiańskiej).

— Prof. dr J. Tretiak odczytał rozprawę p. t. „Ignacy Krasicki jako prezydent trybunału. Przyczynek do biografii poety.” Autor mówi o lukach, które są dotychczas w biografii Krasickiego. Dały-by się one wypełnić, gdyby spadkobiercy poety nie trzymali papierów jego pod korcem. Jednym z okresów życia Krasickiego, zupełnie niewyjaśnionych, są czasy jego prezydentury trybunalskiej. Autor znalazł możność wyjaśnienia tej epoki za pomocą ośmiu listów poety z owych czasów, które wraz z innemi papierami przechowały się w Muzeum XX. Czarotoryskich w Krakowie.

— Prof. dr J. Baudouin de Courtenay złożył dzieło p. t. „Walentego Skorochoda Majewskiego gramatyka języka tureckiego, przygotowana do druku podług wydania litografowanego przez Damiana Rolicza Liedera.” Przytem prof. Baudouin de Courtenay zdał sprawę z pracy swojej, ogłoszonej drukiem p. t. „Einiges ueber Palatalisierung (Palatalisation) und Entpalatalisierung (Dispalatalisation).”

— Prof. dr Malinowski odczytał „Sprawozdanie ze studyów ludoznawczych Wiktora Luboradzkiego, ucznia filologii słowiańskiej, podjętych w Szczawnicach i w okolicy z polecenia Akademii Umiejętności.” W końcu sekretarz zdał sprawę z posiedzeń komisyi. Na posiedzeniu ściślejszem Wydział uchwalił rozprawy prof. dra G. Blatta i prof. dra J. Tretiaka odesłać do komitetu wydawniczego.

— Dnia 15 października odbyło się posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego pod przewodnictwem prof. W. Łuszczkiewicza. Sekretarz zdał sprawę z postępu wydawnictw wydziału. W druku znajdują się dwa tomy Rozpraw i dzieło prof. dra O. Balzera p. t. „Genealogia Piastów.” Dr Wiktor Czermak przeczytał rzecz p. t. „Stosunek Władysława IV do Kozaczyzny przed wybuchem buntu Chmielnickiego.” Po szczegółowym rozbiorze nielicznych ustępów źródłowych, znanych dawniej, i zestawieniu z treścią kilku ważnych relacji i aktów nuncyatury papieskiej z lat 1647—8, autor usiłuje wykazać, że właściwie nie mamy dotychczas w rękach żadnego niezbitego dowodu na to jakoby król w tajemnych swoich stosunkach z Kozakami miał na oku jakkolwiek cel inny, prócz pozyskania i przysposobienia sobie w nich podatnego narzędzia w razie wyprawy wojennej przeciwko Turcyi.

Są natomiast bardzo ważne względy, przemawiające za tem, że król nie posunął się ani na krok po-za to, co uczynił dla Kozaków r. 1646 za skrytej bytności ich przedstawicieli w Warszawie. Kozacy, zdaniem autora, nie zdobyli żadnych innych ustępstw ani przywilejów, prócz dwu, wydanych im przez króla na własną rękę, bez upoważnienia Stanów, w roku 1646, z których jeden pozwalał, podobno nie bezwarunkowo, na zbrojenie się, na przysposabianie czajek do wyprawy czarnomorskiej; drugi zawierał przyzwolenie na zwołanie wojska rejestrowego z 6 do 12 tysięcy. Przywileje te pozostawały prawie do samego końca r. 1647 w ukryciu u Barabasza, nieużyte i niewykonane, najpewniej dlatego, że ich wykonanie uczyniono zależnem od pewnych okoliczności, które nie zaszły. Te jedynie dokumenta, wykradzione zdradziecko Barabaszowi, posłużyły Chmielnickiemu, wbrew intencyom króla i kanclerza, do podburzania Zaporozców i postawienia się na czele zbuntowanych. Jeżeli więc może być mowa o jakimś wpływie Władysława IV na rozbudzenie buntu wśród Kozaczyzny, to tylko o wpływie pośrednim, ubocznym i mimowolnym, bo wynikłym głównie z nieprzewidzianego obrotu samowolnych jego zarządzeń, obliczonych wyłącznie na dobro i korzyść Rzeczypospolitej.

— *Paul Giraud*. „Opowiadania historyczne. Grecya. Życie domowe i publiczne Greków.” Przełożył J. L. Popławski. Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka. 1895. (8-ka, str. 387).

Praca ta stanowi drugi tom wydawnictwa „Opowiadań historycznych”, którego pierwszy (G. Maspero. „Egipt i Assyrya”) wyszedł w przekładzie polskim. W trzynastu rozdziałach autor podaje systematycznie ułożone wyjątki z dzieł znanych pisarzy, przedstawiające obraz różnych stron życia prywatnego i publicznego Greków. Giraud bierze odpowiednie ustępy z dzieł pisarzy starożytnych; jeżeli zaś nie znajduje w nich szczegółów potrzebnych, przytacza z pewnemi zmianami i skróceniami wyjątki z prac autorów nowoczesnych, albo też na podstawie prac źródłowych sam opisuje niektóre fakta. Rozdział czternasty zawiera treściwe wiadomości o ustroju politycznym monarchii perskiej, charakterze, obyczajach i sposobie wojowania Persów, którzy w ciągu kilku wieków walczyli z Grekami i utrzymywali z nimi liczne stosunki. Książka niniejsza zawiera tylko rozdziałów siedm i obejmuje wyłącznie życie Greków. Cała rzecz jest opowiedziana potoczyscie, zajmująco i barwnie.

— „Wisła.” Tom VIII. Lipiec, Sierpień, Wrzesień. Zawiera: Wesele litewskie z okolic Wielony, przez ks. Antoniego Juszkiewicza, w przekładzie z litewskiego Jana Karłowicza (Dokończenie). Opowia-



dania ludowe ze Starego Sącza, przez Seweryna Udzielę. (Ciąg dalszy)-  
 Król Lear u nas, przez Jana Karłowicza. Istoty mityczne Serbów lu-  
 życkich, przez Adolfa Černego w przekładzie z lużyckiego Bronisława  
 Grabowskiego. Obrzędy weselne w Szolajdach, w pow. Kutnowskim,  
 przez Leona Lissowskiego. (Ciąg dalszy). O chasydach i chasydyźmie,  
 przez B. W. Segela. (Ciąg dalszy). Kronika geograficzna za rok 1893,  
 przez Wacława Nałkowskiego. (Dokończenie). Poszukiwania: Leśnic-  
 two ludowe. Przyczynki Szczęsnego Jastrzębowskiego, E. Jeleńskiej  
 i B. W. K. III. Kula. Przyczynki Michała Witanowskiego. IX. Po-  
 glądy ludu na przyrodę. Przyczynek B. W. K. XI. Piłkalnie. Przy-  
 czynek B. W. K. XIV. Pisanki. Przyczynki Michała Witanowskiego.  
 XVIII. Sobótka. Przyczynki Michała Witanowskiego, B. W. K. i G.  
 J. Zielińskiego. XX. Szwedzi, Tatarzy i Turcy. Przyczynki E. Jeleń-  
 skiej i Michała Witanowskiego. Resztę książki wypełniają: Bibliogra-  
 fia, Krytyka i Wiadomości bieżące. Na czele znajdujemy rysunek H.  
 Piątkowskiego (Kobieta z Błozwi Górnej).

— *Edmund Jankowski*. „Kwiaty naszych ogrodów.” Opis i hodo-  
 wa kwiatów gruntowych wraz z zasadami tworzenia kobierców kwia-  
 towych, wzorami kłębów, przykładami rysowania ich i obsadzania.  
 Wydanie trzecie, znacznie dopelnione, z 410 figurami. Warszawa. Gu-  
 staw Sennewald. 1893 (str. 516).

W ostatnich latach kilkunastu ogrodnictwo kwiatowe poczyniło  
 ogromne postępy. Przybyło do ogrodów mnóstwo kwiatów, zupełnie  
 dawniej nieznanych, zwłaszcza środkowo-azyatyckich i afrykańskich.  
 Jednocześnie praca hodowców wydała niezliczone mnóstwo nowości,  
 uderzających przepychem niebywałym. Uwzględniając ten postęp, au-  
 tor odpowiednio rozszerzył swe dzieło, jak również wzbogacił dział  
 urządzania kobierców, gdyż i tutaj ujawniły się kierunki nowe i mate-  
 ryału roślinnego przybyło sporo. Wydanie jest nadzwyczaj staranne.

— *P. Braussier i A. Stenrath*. „Podręcznik dla palaczy kotło-  
 wych.” Przetłómaczył i uzupełnił dr Felicyan Łaszczyński. Warszawa.  
 Nakład Hipolita Wawelberga. 1894. (8-ka, str. 143, XV).

Książka ta należy do szeregu wydawnictw Biblioteki przemysło-  
 wej. Zawiera wykład jasny, przystępny, opatrzony rysunkami. Celem  
 jej jest zaznajomić pracowników tej dziedziny ze sposobami czuwania  
 nad kotłami parowymi, do czego niezbędne są wiadomości o ciepłe,  
 sposobie jego wytwarzania, o własnościach wody i pary, wreszcie  
 o urządzeniach, potrzebnych do otrzymania i wyzyskania pary, a więc  
 o kotłach, ich uzbrojeniu i paleniskach. Wszystko to podręcznik ni-  
 niejszy uwzględnia.

— Redakcyja „Wędrowca” podejmuje wydawnictwo Wielkiego Atlasu geograficznego, ze skorowidzem nazw, umożliwiającym szybkie odnalezienie każdej miejscowości.

— „Encyklopedyi rolniczej” wyszedł zeszyt 39-ty i zawiera: Hygienę zwierząt domowych (dokończenie). Iglaste drzewa.

— Zeszyt III wydawnictwa pod redakcyą Piotra Chmielowskiego i Grabowskiego, p. t. „Obraz literatury powszechnej w streszczeniach i przykładach”, wyszedł u T. Paprockiego i zawiera dalszy ciąg Świata klasycznego, mianowicie literaturę Hellenów.

— *Wiktor Hahn*. „Nieznany wiersz łaciński Szymona Szymonowicza *Ode Georgio Zamoscio, Episcopo Chelmensi.*” Lwów.

Wiersz ten napisany przez Szymonowicza w chwili objęcia biskupstwa chełmskiego przez Jerzego Jelitę Zamoyskiego, nie ukazał się nigdy osobno w druku, lecz tylko w dwóch mniejszych zbiorowych wydaniach Szymonowicza, mianowicie po raz pierwszy w wydaniu Jakóba Morsiusza (1619); oba jednak wydania wyszły z druku za granicą i z tego powodu nie rozpowszechniły się w Polsce.

— Wyszedł z druku Zeszyt 5-ty „Słownika apologetycznego wiary katolickiej”, prowadzonego pod redakcyą ks. Wł. Szcześniaka podług dra Jana Jaugeya.

— Firma Gebethnera i Wolffa rozpoczęła już wydawnictwo nowej edycyi dzieł Shakespeare’a. Dawny wielki format, biblioteczny raczej niż podręczny, zredukowany został do zwykłej dogodniejszej szesnastki. Ilość rycin jest wprawdzie mniejsza, bo wydawcy ograniczyli ją do rysunków tytułowych, przedstawiających po jednej scenie z dramatu lub komedyi; redukcya jednak rozmiarów wyszła na dobre ilustracyom, które w zmniejszeniu bardzo wdzięcznie się przedstawiają. Nowa edycya, na dobrym papierze, jasnym wyraźnym drukiem wydana, zaleca się taniością, dwanaście bowiem tomów kosztować ma sześć rubli. Dwa wypuszczone już w obieg tomy zawierają tragedye: „Król Jan”, „Król Ryszard II”, „Król Henryk IV”, „Król Henryk V” i „Król Henryk VII” z objaśnieniami J. I. Kraszewskiego.

— Franciszek Zabłocki” — pod tym tytułem skreślił M. Gawalewicz szkic biograficzno-krytyczny, w którym sylwetka autora „Sarmatyzmu” i „Fireyka w zalotach” plastycznie przedstawia się na barwnie podmalowanem tle ówczesnej umysłowości. Jest to dobry przyczynek do historii naszej literatury dramatycznej.

## Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej.”

— *Dr Seweryn Sterling.* „O suchotach czyli gruźlicy, jak się tej choroby wystrzegać.“ Wydanie drugie, poprawione. Warszawa, 1894 (str. 8).

— „Program ces.-król. szkoły politechnicznej we Lwowie na rok naukowy 1894/95.“ Lwów. Nakładem szkoły politechnicznej. 1894. (8-ka, str. 112).

— *Dr Szczęsny Kudelka.* „Burak cukrowy i jego uprawa.“ Wydanie trzecie, przejrzane i znacznie pomnożone. Warszawa, 1895. Sennewald (8-ka, str. 180).

— *Wł. M. Kozłowski.* „Życie rośliny“ (z 40 rysunkami). Warszawa, 1894 (8-ka, str. 114).

— *William A. Hovey.* „Odgadywanie myśli.“ Przetłumaczył z angielskiego Henryk Wernic. Warszawa. Paprocki, 1895 (8-ka, str. 255).

— *Zygmunt Przybylski.* „Komedye jednoaktowe dla teatrów amatorskich.“ Warszawa, 1894 u Gebethnera i Wolffa. Ten tomik II zawiera sztuki: „Bzy kwitną“, „Fotografia Jędrusia“, „Przyjaciel męża“, „Zjazd koleżeński“ i „Dzień w redakcyi.“

— *Knut Hanson.* „Redaktor Lyngé“, romans. Przetłumaczyła z oryginału R. Bernstein. Warszawa, 1895 u T. Paprockiego.

— *Józefa Ungra.* „Kalendarz Illustrowany na rok 1895.“

— *D. Bączkowski.* „Skowronek.“ Petersburg, 1894.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

**Józef Weysenhoff.**

# „NA LAGUNACH”

DZIEŁO

## STANISŁAWA BĘŁZY

opuściło świeżo prasę.

Dzieło to, objętości 21 arkuszy druku, ozdobione jest kilkudziesięcioma rycinami, przedstawiającemi wybitniejsze gmachy, dzieła sztuki i typy ludowe Wenecyi i wysp okolicznych.

**Cena rs. 2.**

Tegoż Autora:

**Holandya.** Wydanie 2. Z ryciną kolorowaną. Cena rs. 1 kop. 80.

(Treść: Droga do Holandyi. Amsterdam na wodzie i na lądzie. Najśmieszniejsze miasto na świecie. „Czar Peterhuis.“ Jedna olbrzymia łąka. Alkmaar. Na północnym cyplu. W Haarlem. Wczoraj morze dziś ogrody. Miasto uczonych. Paryż Holenderski. W galeryach obrazów. Delft i Rotterdam. W Utrechcie i w Arnheim).

**Odgłosy Szkocyi.** Z 9 ilustracyami. Cena rs. 1 kop. 50.

(Treść: Z Londynu do Edynburga. W stolicy Szkocyi. Widmo Maryi Stuart. Niedziela w Edynburgu. Kraje Burnsa i Waltera Scotta. Melrose. Morzem do St. Andrews. Więzienie Maryi Stuart. Głazgow. Jeziora Loch Lomond i Loch Katrine).

**Za Apeninami.** Wydanie 3. Cena rs. 1.

(Treść: Przez Wiedeń do Wenecyi. Na Lagunach. Z Wenecyi do Padwy. Florencya. Rzym. Co zostało z dumy? W Neapolu i na Wezuwiuszu. Pompeja).

**W Górach Olbrzymich.** Cena rs. 1.

(Treść: Hirschberg. Do Warmbrunn. Dalej w góry. Rübzahl w świetle poezyi ludowej. Nieco baśni i klechd. W dolinach i na szczytach. Pochód grzebieniem Gór Olbrzymich. Na najwyższym cyplu. „Skinął Bóg i stała się noc.“).

**Skład Główny w Warszawie u GEBETHNERA i WOLFFA.**

Dostać można **we wszystkich Księgarniach** w kraju i za granicą.

---

# IDEAŁY UMYŚŁU LUDZKIEGO

i ich przedmiotowe uzasadnienie.

---

Pomimo realistycznego nastroju naszego czasu, nikt nie może zaprzeczyć faktowi, że zarówno pojedynczy człowiek, jak i narody, jak wreszcie i ludzkość cała w swym życiowym rozwoju, kierują się pewnymi ideałami i dążą z większą lub mniejszą świadomością do ich urzeczywistnienia. Kwestyą sporną może być tylko: jakie jest istotne znaczenie tych ideałów i czy są one możliwe do urzeczywistnienia przy danych warunkach przedmiotowego bytu? Otóż rozbiorowi tych kwestyi zamierzamy poświęcić niniejszą rozprawę.

## 1. Ideał i utopia

Jednym z najdonioślejszych faktów rozwoju umysłowego człowieka jest niezadowolenie z rzeczywistości, z danych realnych warunków bytu. Człowiek nie zadawala się tem, co *jest*, lecz wytwarza sobie wyobrażenia o tem, co, według niego, być *powinno* i być *może*, co przy odpowiednem urzeczywistnieniu bardziej zaspakajało-by jego różnorodne potrzeby, pragnienia i dążności, aniżeli to, co jest. Takie wyobrażenie o tem, co być powinno, co przy swem urzeczywistnieniu odpowiadało-by bardziej podmiotowym pragnieniom człowieka, aniżeli dana przedmiotowa rzeczywistość, nazywamy *ideałem*.

Z tego się okazuje, że wszelka świadoma działalność umysłu ludzkiego, dążąc do urzeczywistnienia tego, co jeszcze nie istnieje i co przez swoje urzeczywistnienie ma człowieka bardziej zadowolić, aniżeli dana rzeczywistość, wynika z poprzedniego istnienia w umyśle ludzkim pewnych ideałów. O ile świadoma siebie samodzielność przyjmuje udział w dziejach tak pojedynczego człowieka, jak i całej ludzkości, o tyle dzieje te, w istocie swojej, nie są niczem innym, jeno rozwojem ideałów ludzkich i objawem niestrudzonej dążności do ich stopniowego urzeczywistnienia w życiu.

Urobienie ideałów, jako wydanie i ukształtowanie nowej treści za pomocą wyobraźni, fantazyi, nazywa się *twórczością*, w odróżnieniu zarówno od poznawczej czynności umysłu, dążącej do przejęcia się tem, co jest, jak i od czynności praktycznej, życiowej, mającej na celu zastosowanie ideałów do rzeczywistości i ich wcielenie wśród danych warunków bytu. Twórczość na wszystkich polach ludzkiej działalności, zarówno na polu nauki i sztuki, jak na polu techniki i przemysłu, zarówno w zakresie stosunków ekonomicznych i socyalnych, jak i w zakresie kierownictwa sprawami narodów i państw, jest zawsze wynikiem poprzedniego urobienia odnośnych ideałów, jako celów działania, o których osiągnięcie nam chodzi.

Ponieważ człowiek przy pomocy ideałów pragnie zaspokoić *rzeczywiste, realne* potrzeby swego dobrobytu, materyjalnego, społecznego i duchowego, i ponieważ nadto samo urzeczywistnienie ideałów dokonane być może jedynie na podstawie realnych warunków życia, przeto mowy być nie może o zupełnem oderwaniu ideałów od gruntu realnego, od tego, co człowiek zmuszony jest uznać za przedmiotową rzeczywistość. Przeciwnie, ideał rozwija się zawsze i wszędzie na tle danych stosunków życiowych i jest w istocie tylko przekształceniem rzeczywistości w myśli, według wymagań uczucia; więc wyobrażeniem przyszłej rzeczywistości, zdolnej człowieka bardziej zadowolić, aniżeli terażniejszą.

Wskutek tego, ideał nie zadawała człowieka sam przez się, jako ideał, t. j., jako wyobrażenie doskonałości, wytworzone przez umysł, a istniejące w nim tylko, lecz wywołuje zadowolenie jedynie w ścisłym związku z bytem realnym człowieka; jedynie, jako czynnik umysłowy, powodujący rzeczywiste przekształcenie danych warunków życia, według wymagań umysłu, więc jedynie, jako wyobrażenie pożądanej i dającej się osiągnąć przyszłości, mającej zaspokoić obecne potrzeby i pragnienia. Dlatego też nie tylko rozum krytycznych myślicieli, lecz i zdrowy rozsądek wszystkich ludzi potępia ideały, nie dające się urzeczywistnić, odmawia im nawet miana ideałów, nazywając je

*utopiami*, wytworami samowolnej fantazyi, pozbawionemi wszelkiej racji bytu.

Powyższe uwagi przekonywają nas, że zadowolenie, wywoływane przez ideały, polega bezpośrednio na wyczekiwanej *realizacji* ich treści, na ich spodziewanem *urzeczywistnieniu*. Bez tego czynnika realnego, ideał staje się mrzonką, niezdolną zająć poważnego umysłu. Najfantastyczniejsze płody twórczej wyobraźni człowieka mają charakter rozumny, racjonalny, mają sens, tylko wtedy, gdy za ich pośrednictwem, w ten lub ów sposób, wyraża się treść idealna, uznawana za dającą się zrealizować, za możliwą do *urzeczywistnienia* wśród danych warunków. Nie nadarmo domagamy się prawdopodobieństwa i od najbujniejszych wytworów poezyi i sztuki.

Ponieważ życie praktyczne realizuje ostatecznie ideały przez przystosowanie ich treści do rzeczywistości i przez możliwe przekształcenie danych warunków bytu stosownie do tej treści; przeto łatwo wydawać się może, że głównym czynnikiem twórczym w człowieku jest jego praktyczna działalność i osobista energia, będąca jej duszą. Na dowód, że tak jest, ludzie praktyczni, pracujący nad rozwojem dobrobytu ludzkości, z dumą podnoszą swe dzieła, widzialne i dotykalne wytwory energii osobistej, jako świadectwa owej pracy „produkcyjnej”, która, pozostając w zakresie realnego bytu, wytwarza postęp prawdziwy na wszystkich polach życia ludzkiego. Temu praktycznemu realizmowi przeciwstawiają zazwyczaj z pogardą „idealizm” poetów, filozofów, uczonych, marzycieli, żyjących przeważnie życiem ducha, zajmujących się rzeczami, pozbawionemi „praktycznej” doniosłości, nie dającymi się spożytkować wśród danych warunków bytu.

Zaznaczone powyżej źródła ideałów ludzkich i ich stosunek do życia wykazują, o ile są uzasadnione owe pochwały praktycznego realizmu i owo lekceważenie idealizmu. Łatwo bowiem spostrzedz, że życie praktyczne bez przewodnich ideałów przedstawiało-by chaos osobniczych dążeń i czynów, pozbawionych prawdziwej doniosłości tak dla osobnika, jak ogółu. Tylko ideały łączą szczegółowe czyny pojedynczego człowieka w szereg logiczny i moralny, zdolny zadowolić głębsze potrzeby jego umysłu i serca. Tylko ideały jednoczą ludzi ze sobą w jeden racjonalnie działający ustrój społeczny. Tylko one przyświecają ludzkości na drodze dziejów, jako jasno pojmowane cele postępu. Takie zaś ideały ogólne, humanitarne, dziejowe, nie są dziełem praktyków, myślących jedynie o zaspokojeniu bezpośrednio narzucających się potrzeb życiowych. Przeciwnie, są one wynikiem głębokiego poczucia ogólnej natury ludzkiej, przejęcia się pragnieniami, potrzebami, dążnościami, wypływającymi z jej istoty, a niedającymi się

zaspokoić ułudami życia zmysłowego. Są one wynikiem rozważnego zastanowienia się człowieka nad samym sobą i swoim przeznaczeniem w życiu, nad światem i Bogiem i ich stosunkiem do człowieka. Ta wewnętrzna praca ducha, nie zaś praktyczna, najsumienniejsza nawet, uwzględniająca jedynie bezpośrednio potrzeby człowieka, wytwarza ideały, wynoszące się po-nad dany szczyły zakres rzeczywistości, mające charakter ogólny, więc i oddziaływające na ogół.

W urobieniu i ukształtowaniu takich-to ideałów ogólnych, obejmujących potrzeby i dążności szerszych warstw społecznych, lub też całej ludzkości, objawia się dopiero prawdziwa twórczość umysłu ludzkiego. Na nich wzoruje się też cała działalność życiowa. Ich treści nowej, sięgającej daleko w przyszłość, zawdzięczamy wychwalane dzieła realistów, praktyków, którzy sami, jako realiści, praktycy, nie nowego nie tworzą, lecz wprowadzają tylko w życie pomysły idealistów, urzeczywistniają tylko to, co tamci odczuli, pomyśleli i w sposób ogólnie dostępny wyrazili. Realiści, praktycy, są tylko *przetwórcami* rzeczywistości. Niema powodu ich lekceważyć; przeciwnie, należy im się cześć, gdy zadania swoje spełniają sumiennie i umiejętnie. Ale prawdziwymi *twórcami* nowych, dziejowych czynników w rozwoju ludzkości są i byli zawsze *idealiści*. Oni-to torują dziejom nowe drogi, wytwarzają nowe cele działalności życiowej i, niby budowniczo wie przyszłości, kreślą plany jej budowy, wykonywane następnie w życiu przez praktyków, realistów.

Jako obraz wyczekiwanej lepszej przyszłości, ideał łączy się z natury swojej z wiarą, że może być urzeczywistnionym. Kto nie wierzy w tę możność swych ideałów, musi je sam uznać za utopie, których się wyrzec powinien, jeżeli wśród roztropnych ludzi nie chce uchodzić za niedojrzałego fantastę. Urabiając swe ideały zawsze na tle danej rzeczywistości, widząc w niej przyszłe ukształtowanie życia na podstawie czynników, działających w teraźniejszości, ludzkość wierzy niezachwianie w możność ziszczenia tych ideałów. Czy ta wiara jest uzasadnioną, czy się daje krytycznie usprawiedliwić, czy może przybrać formę wiedzy, to jest inna kwestya, o której później mówić mamy. Obecnie stwierdzamy tylko fakt psychoogiczny i dziejowy, że taż sama energia umysłu, która wydaje ideał prawdziwy, wyrosły organicznie z gruntu życiowego, dąży zarazem do jego urzeczywistnienia, uznając jego treść za możliwą do urzeczywistnienia.

Jak dla astronoma jest prawdą niewątpliwą, że wschód słońca nastąpi jutro o ściśle oznaczonej minucie; jak fizyk z danych przyczyn przewiduje w sposób niewątpliwy odpowiednie skutki; tak ludzkość z całą pewnością siebie wierzy w prawdę swych ideałów i w ich przyszłe urzeczywistnienie. Bez tej wiary nie dążyła-by wcale do ich



ureczywistnienia, nie pracowała-by w pocie czoła nad zbliżeniem się do nich, nie łamała-by sobie głowy nad środkami, wiodącemi do celu, a nadewszystko, nie dawała-by na każdym kroku dowodów niewyczerpanej energii i heroizmu w walce z przeszkodami, napotykanemi w tej dążności.

Pojedynczy człowiek może niekiedy, wskutek osobistych zawodów, stracić tę wiarę, wyrzec się ideałów. Nie brak nawet artystów, poetów, którzy, zamiast podniecać święty ogień, gorejący w sercach,—co jest ich obowiązkiem względem ludzkości,—gaszą go błotem cynizmu. Są to jednak tylko jednostki chorobliwe, zwyrodniałe, wykołejone, oplacające nadto zazwyczaj swoją sprzeczność ze zdrową naturą ducha ludzkiego wewnętrznym rozstrojem i powolną śmiercią, często nawet samobójstwem. Ludzkość zaś, jako całość, w powszechnym swym rozwoju, w zdrowych, normalnych swych dążnościach, nie wyrzekła się nigdy swych ideałów, wierzyła zawsze w ich ostateczne ureczywistnienie. Jeżeli zaś warunki tutecznego żywota okazywały się nie wystarczającemi w tym względzie, natenczas uciekała się do wiary w życie przyszłe, po-zagrobowe, i pocieszała się przekonaniem, że w niem ziszczyć się musi to wszystko, co według wymagań ideału być powinno, a tu na ziemi, wskutek nie ublaganej ograniczoności i niedoskonałości ludzkiego bytu, ureczywistnić się nie daje.

Bezwzględna negacya jest na tem polu ideałów, póki człowiek żyje życiem zdrowem, normalnem, równie niemożliwą, jak bezwzględne wątpienie w zakresie myślenia, poznania. Jak w samej czynności myślenia, więc i wątpienia, napotykamy dane, doprowadzające nas do pewnych prawd niewątpliwych, tak też człowiek samem życiem i działaniem swoim świadczy o pracujących w jego umyśle i sercu ideałach, on żyje nimi i działa jedynie w ich imieniu. Zaprzeczenie ideałów równa się tedy zaprzeczeniu życia, wstrzymuje gwałtownie tętno serca ludzkiego, pociąga za sobą śmierć. Dla tego-to nawet skrajny pesymizm, nazywający zasadnicze ideały umyślu ludzkiego illuzjami (Ed. Hartmann), nie może się jednak wyrzec wiary, że kiedyś nastąpi stan lepszy od dzisiejszego, że kiedyś ureczywistnionym będzie ideał, choć negacyjny, powrotu ludzkości do pierwotnej nirwany.

O ile piękną i wzniosłą jest ta wiara nawet niedowiarków w lepszą przyszłość ludzkości, w jej ideały, o tyle z drugiej strony nie ugięte są wymagania *krytyczne* umyślu ludzkiego. Wobec tych wymagań, usprawiedliwić się musi wszelka wiara, jeżeli nie ma zasługiwać na miano przesądu, zabobonu, guślarstwa. Usprawiedliwić się też musi przed temi wymaganiami krytycznemi wszelki ideał, jeżeli nie ma zasługiwać na miano utopii, mrzonki; jeżeli, zamiast być gwiazdą prze-

wodnią na drodze życia, nie ma się stać błędnym ognikiem, co ludząc oko, sprowadza na manowce.

Domagamy się słusznie w życiu codziennem, aby utopiści nie zakłócali spokoju społecznego, aby swemi mrzonkami i niedojrzałą lub przewrotną działalnością w ich kierunku nie tamowali organicznej pracy około prawdziwego dobrobytu ludzkości. Ale z drugiej strony nie zapominajmy, że i najwznioślejsze ideały ludzkości zasługiwały-by na miano niedojrzałych mrzonek i utopii, pociągały-by za sobą bezskuteczną utratę ogromnych zasobów energii, dającej się spożytkować w sposób właściwszy, na dobro ludzkości, gdyby się okazało, że owe ideały nie są możliwe do urzeczywistnienia przy danych warunkach ludzkiego bytu, że istota i prawa tego bytu niezem nie usprawiedliwiają wiary w realizację ideałów ludzkich, choćby w najodleglejszej przyszłości.

Nietylko jednostka, nietylko społeczeństwa, lecz i ludzkość cała zdać sobie winna sprawę z celów, do których dąży, i z tego, czy cele te mogą być osiągnięte wśród danych warunków przedmiotowego bytu, przy środkach, jakimi rozporządza. Filozofia, jako objaw krytycznej samowiedzy ludzkości, kwestyi tej nie może pominąć milczeniem. Od jej rozwiązania zależy jasny pogląd na zadania i dążności życiowe każdego wogóle osobnika. Przy jej pomocy dowiaduje się, czy ma się przejąć owemi ogólnie ludzkimi ideałami i poświęcać im swe siły, czy też są one uludnemi utopiami, dla których nie warto ograniczać w czemkolwiek pracy około własnego indywidualnego dobrobytu, wśród danych realnych warunków, bez względu na owe ogólnie ludzkie ideały, nie dające się nigdy i nigdzie urzeczywistnić.

W celu wyjaśnienia tej kwestyi w skromnych ramach niniejszej rozprawy zastanowimy się w dalszym ciągu nad głównemi typami ideałów ludzkich, a następnie nad tem, czy są one przedmiotowo uzasadnione, t. j., czy wiara w ich urzeczywistnialność daje się usprawiedliwić?

## 2. Główne typy ideałów.

Z natury ideałów i z ich związku z pozostałym ustrojem życia umysłowego wynika wielka różnorodność ich odmian. Każdy wiek, każdy naród, każdy osobnik ma swoje ideały. Rzecz jasna, że, wobec postawionej przez nas kwestyi, nie chodzi nam o charakterystykę całej tej mnogości indywidualnych, jednostkowych ideałów. Któż ją zresztą wyczerpie w sposób należyty, skoro jej dotąd nie wyczerpali ani poeci, obdarzający codziennie swych bohaterów nowemi pragnieniami, ani

dziejopisarze, wnikający skrzętnie w cele, do których dążą narody i ludzkość, oraz wydatne osobistości, stojące na ich czele? Naszem zadaniem może tu być jedynie: wykazać te zasadnicze typy ideałów, które wypływają z ogólnej natury umysłu ludzkiego i wskutek tego wchodzą w skład wszelkich ideałów szczegółowych, stanowiąc grunt, z którego one wyrastają, tło, na którym one się ujawniają, jako wyniki rozwoju i różniczkowania pierwotnych dążeń życia umysłowego. Nie jest to zadanie estetyczne, ani historyczne, lecz psychologiczne. To też określenie owych zasadniczych odmian ideałów, ich typów, przenosi nas na pole psychologii.

W objawach życiowych najprostszego jestestwa, a tem bardziej w rozwiniętem życiu umysłowym człowieka, rozróżnić musimy trzy zasadnicze, z natury rzeczy bezpośrednio wynikające czynniki, a mianowicie: 1) stronę *podmiotową* danego jestestwa, jego indywidualne, przyrodzone i nabyte właściwości, stanowiące jego istotę, 2) *przedmiotowe* otoczenie, oddziaływające na dane jestestwo i stanowiące arenę, na której żyje i działa, wreszcie 3), samo *działanie* jestestwa na otoczenie.

Te trzy czynniki, stanowiące, że tak powiem, elementa, pierwiastki każdego żywego jestestwa, reflektują się naturalnie i w odpowiednich objawach życia umysłowego. Czynniki podmiotowy wyraża się za pośrednictwem *uczucia*, które w swej istocie nie jest niczem innem, jeno przejęciem się umysłu własnymi swymi stanami, bez względu na przyczyny, wywołujące i zmieniające te stany. Otoczenie *przedmiotowe* natomiast przyjmuje charakter psychiczny, dostępny dla umysłu, w formie *myślenia*, które ma zawsze za treść swoją pewien przedmiot, jako przyczynę, oddziaływającą na stany podmiotowe, i w ogólnym swym rozwoju doprowadza umysł do poglądu na świat zewnętrzny, jako środowisko, w którym człowiek żyje i działa. Nakoniec, *działanie* człowieka ma swe źródło psychiczne w samodzielnej osobistej energii, którą zazwyczaj nazywamy *wolą*.

*Uczucie, myślenie i wola*, są to trzy zasadnicze typy objawów psychicznych, uznane przez psychologię; są one zarazem i podstawą do wytworzenia głównych typów ideałów. Każda bowiem z tych, tak zwanych, władz umysłu rozwija się normalnie w kierunku pewnych celów, których osiągnięcie stanowi wewnętrzną potrzebę człowieka. Uświadamiając sobie te potrzeby i wyobrażając sobie cele, które osiągnąć należy, aby je zaspokoić, umysł ludzki wytwarza z głębi swego jestestwa odpowiednie ideały i dąży do ich możliwie pełnego urzeczywistnienia. Jasny pogląd na treść tych ideałów wymaga tedy nieco bliższej charakterystyki owych władz zasadniczych.

*Uczucie* jest *dośrodkową* czynnością umysłu. Głównymi jego formami są: przyjemność i nieprzyjemność, zadowolenie i niezadowolenie z własnych swoich stanów, stosownie do zaspokojenia lub niezaspokojenia swych potrzeb, pragnień i dążności. Przy pomocy uczucia, człowiek dochodzi bezpośrednio do świadomości najgłębszej swojej treści, wypływającej z jego istoty, z natury jego ustroju umysłowego. Każda przyjemność lub nieprzyjemność, każde zadowolenie lub niezadowolenie zaznacza istnienie w osobniku pewnych zasadniczych czynników, przyrodzonych lub nabytych, wchodzących bezpośrednio w skład jego jestestwa. Można tedy bez przesady powiedzieć, że w uczuciach wyraża się właściwa istota człowieka, to, czem on jest sam w sobie. Każdy osobnik jest i chce być tem, co mu sprawia przyjemność, co podnieca i ożywia jego podmiotową działalność, a nie jest i nie chce być tem, co mu sprawia przykrość, co w nim wstręt obudza.

Zgodnie z tym zasadniczym charakterem uczucia, jest ono bezpośrednim dowodem samoistności podmiotu, osobnika. Wynikając z reakcyi podmiotu względem świata przedmiotowego, wyraża ono wewnętrzną niezawisłość osobistości od stosunków zewnętrznych. Jest ono objawem samodzielnego poglądu podmiotu na przedmiotowość, wynikiem bezpośredniej oceny tego, co jest, z punktu widzenia podmiotowych potrzeb, pragnień i dążności; ze stanowiska tego, co, według osobnika być *powinno*, a więc ze stanowiska *ideału*, odpowiadającego bardziej pragnieniom człowieka, aniżeli dana rzeczywistość. Ten pogląd podmiotowy nazywamy *estetycznym*, bo mając na celu zadowolenie uczucia, doprowadza do samodzielnego przekształcenia rzeczywistości przy pomocy środków, mających charakter estetyczny, a więc przy pomocy poezyi, sztuki, wogóle arcyzmu.

Zupełnie odmienny charakter ma *myślenie*. Jest ono z natury swej *przedmiotowe*; treścią jego nie jest sam podmiot, lecz zawsze pewien przedmiot, przeciwstawiany podmiotowi. Nawet, gdy człowiek myśli o samym sobie, i wtedy nie przejawia się bezpośrednio samym sobą, jak w uczuciu, lecz ma siebie tylko za *przedmiot* swej myśli, więc odrywa się myślą od siebie, a zastanawiając się nad sobą, dalekim jest od utożsamienia tej swojej myśli o sobie z samym sobą, lecz przeciwstawia jej, jako objawowi abstrakcyjnemu, resztę swego bytu, a w szczególności swą wewnętrzną istotę, wyrażającą się za pośrednictwem uczuć w jego stanach podmiotowych. Czem i jak się człowiek *czuje*, to jest przedmiotem jego myśli o sobie i zastanowienia się nad sobą.

Na tej faktycznej różnicy pomiędzy myślą naszą o sobie, a samą istotą naszą, polega przeświadczenie, że świadomość siebie i samowie-

dza, nie jest wyłącznym objawem życia umysłowego, lecz tylko jednym ze stanów umysłu, wśród innych stanów, a przytem stanem, wznawianym ciągle na nowo wśród pewnych warunków. Dla tego też życie umysłowe różni się od innych objawów świata nie tem, że jest stale świadomem siebie, że się ciągle łączy z myślą o sobie, lecz wyłącznie tem, że zawiera w sobie zdolność dojścia do świadomości przy działaniu pewnych warunków, do których należy przedewszystkiem uczuciowe przejęcie się własnymi stanami. Samo przez się myślenie jest czynnością *odśrodkową*, za pomocą której umysł usiłuje wniknąć w treść przedmiotową, przyswoić ją sobie i zrozumieć. Przy pomocy myśli umysł występuje, o ile to jest możliwem, ze siebie w świat przedmiotowy, w celu *poznania* jego treści.

Powyższe cechy znamienne myślenia wykazują, że jest ono objawem zależności podmiotu i jego działania od bytu przedmiotowego, od tego, co jest, od rzeczywistości, którą umysł przy pomocy myślenia pragnie przejąć i pojąć, jeśli można w tej treści i formie, w jakiej istnieje sama w sobie, niezależnie od umysłu. Stąd wynika dla myśli konieczność ścisłego zastosowania się do danej treści rzeczywistego bytu, wyzwolenia się wedle możności od swego podmiotowego poglądu na świat, od swych osobistych potrzeb i pragnień. Im treść świata przez umysł ujętą zostaje bardziej przedmiotowo, im mniej się miesza z treścią podmiotową, tem myślenie zbliża się bardziej do swego celu, więc i do swego ideału, t. j. do poznania *prawdy*, którą umysł uznaje ostatecznie tylko w tem, co ma być przedmiotowy, od niego niezależny. Pogląd *naukowy* na świat, w odróżnieniu od estetycznego, uwydatnia dobitnie tę zależność myśli od świata przedmiotowego.

*Wola*, czyli energia osobista, jest wyrazem zjednoczonego w sobie umysłu, jego podmiotowych i przedmiotowych czynników, uczucia i myślenia. Objawem jego zasadniczym jest działanie, czyn, polegający na urzeczywistnieniu podmiotowych celów w bycie przedmiotowym. Uczucie jest głównym bodźcem wewnętrznym, pobudzającym i podtrzymującym energię osobistą; myślenie zaś swą treścią przedmiotową, swym poglądem na świat i stosunki ludzkie, stanowi niezbędny środek pomocniczy przy urzeczywistnieniu podmiotowych dążeń i celów. Samodzielność i wolność woli polega na tem, że umysł ludzki nie jest zmuszony działać bezpośrednio, w kierunku narzucających mu się chwilowych popędów, niby przy pomocy prostych fizyologicznych odruchów, lecz posiada zdolność roztrząsania celów swego działania i poddania chwilowych popędów ogólnym wymaganiom swej rozumnej istoty. Wskutek tego, samodzielna wola, jako ześrodkowanie zasadniczych czynników życia umysłowego danego osobnika, w normalnych warunkach, nie ulega niewolniczo swym motywom, lecz energią swoją

wpływa na rozwój samych tych motywów, wzmacnia jedne, a osłabia drugie, i w ten sposób kieruje przebiegiem działania i przy jego pomocy urzeczywistnia ostatecznie tylko takie cele, które stały się wyrazem zjednoczonej w sobie osobistości. Osobistość zaś czuje i wie, że cele woli są jej celami, że bez jej samodzielnego udziału nie zostały-by nigdy urzeczywistnione, i dlatego czuje się też w zupełności odpowiedzialną za treść i sposób ich urzeczywistnienia, wogóle za swe działania i jego skutki.

Teorya deterministyczna, zaprzeczająca wolności woli, w imię abstrakcyjnej idei konieczności, nie a nie zmienić nie może w zaznaczonym faktycznym stanie rzeczy. Jeżeli zaś poczucie wolności i odpowiedzialności każdego normalnie rozwijającego się osobnika nazywa złudzeniem; to zarzut uludnego objaśnienia faktów dotyczy właśnie determinizmu, który zapomina, że nawet w świecie fizycznym nie spostrzegamy *konieczności*, lecz widzimy wyłącznie tylko *stałość* w przebiegu zjawisk. Stałość zaś i konieczność, to dwie zupełnie różne rzeczy; stałość godzi się jak najzupełniej z wolnością. Istota rozumna, jako rozumna, nie ma powodu zmieniać co chwila swych postanowień, aby swym chaotycznym nierozumem dać dowód deterministom, że jest wolną, lecz w sposób stały, jednostajny, objawia swą wolę i urzeczywistnia swe cele, chociaż jej żadna konieczność do tego nie zmusza. Na jakiej tedy zasadzie można zaprzeczać faktycznemu poczuciu wolności w imię wymarzonej *konieczności*, o której nic zresztą nie wiemy? Nie zastanawiamy się jednak dłużej nad tą kwestyą, gdyż nie mamy powodu przechodzić obecnie z pola czysto empirycznej psychologii na pole metafizyki.

Wola w swym normalnym rozwoju przewycięża pierwotną przeciwność podmiotu i przedmiotu, uczucia i myślenia, przyjmując często formę wyłączających się nawzajem sprzeczności. Dążąc do przedmiotowego urzeczywistnienia podmiotowych wymagań i celów, przekształca ona rzeczywistość, o ile to jest dla niej możliwem, według idei *dobra* danego osobnika. Idealem woli, osobistej energii każdego człowieka, jest wytworzenie możliwie doskonałego *dobrobytu* na tle danych niedoskonałych warunków.

Ponieważ jednak z drugiej strony prawdziwe dobro osobnika zależy od jego prawidłowego związku z otoczeniem, które przyjmuje dla niego formę przyrody zmysłowej, ustroju społecznego i istoty wszech bytu, t. j. Boga; przeto dobro to urzeczywistnionem być może tylko na podstawie odpowiedniego ustosunkowania bytu i działania jednostki do tych czynników otoczenia. W czynnikach tych przedstawia się oso-

bnikowi wyższy, nad nim stojący, porządek rzeczy, z którym się w swem działaniu liczyć musi. Przekonywując się jednak bez trudności, wskutek doświadczenia życiowego, że ten wyższy porządek rzeczy ma swoją wartość wewnętrzną i stanowi całość, do której osobnik, jako część składowa, należy, każdy człowiek uznaje swą zależność od tego porządku rzeczy i poczuwa się do obowiązku spełnienia w nim pewnych zadań ogólnych, odpowiadających funkcjom pojedynczego organu w organicznym ustroju całości. Działanie zaś jednostki, jako części składowej, zgodne z wyższym porządkiem rzeczy, jako całością, stanowi istotę *moralności*. Stąd działalność woli ludzkiej, urzeczywistniająca te lub owe cele podmiotowe w świecie przedmiotowym, przybiera zawsze charakter *moralny* i podlega bezpośrednio moralnej ocenie.

Powyższa, choć pobieżna, charakterystyka zasadniczych objawów życia umysłowego, daje nam jednak jasne pojęcie o głównych celach ludzkiej działalności, więc zbliża nas zarazem do określenia jej typowych ideałów. Już teraz powiedzieć możemy, że ideały te, stosownie do trzech zasadniczych władz umysłu, dają się podzielić na trzy odrębne grupy: na ideały *estetyczne*, *poznawcze*, czyli  *naukowe*, i *praktyczne*, czyli *moralne*. Przypatrzymy się każdej z tych grup nieco bliżej.

Za punkt wyjścia przy określeniu ideałów umysłu ludzkiego przyjęliśmy na wstępie fakt niezadowolenia człowieka z danych warunków bytu. Pomimo to jednak, nie należy sądzić, aby to uczucie ujemne samo przez się wystarczało do pobudzenia twórczości umysłu w kierunku zmiany niezadawalającego położenia na lepsze. Świadczą o tem rozliczne stany zniechęcenia, zwątpienia, apatii, wogóle tak często zdarzający się nastrój pesymistyczny, w którym osobnik zadawała się bierną skargą na niedoskonałość, lub nawet przewrotność, faktycznie istniejącą, a jednak przy tem wszystkiem zdobyć się nie może na działanie w celu przekształcenia tego, co jest, na to, co być powinno. A taki nastrój pesymistyczny istnieje nietylko w tak zwanem położeniu bez wyjścia, w którym wszelka myśl o zmianie na lepsze przedstawia się umysłowi jako utopia nie do urzeczywistnienia, przeciwnie, występuje on często i wtedy, gdy osobnik posiada środki do polepszenia swego bytu, ale z nich nie korzysta, jak to zwykle mówią, dla braku *energii*, a jak my-byśmy powiedzieli, dla braku *idealu*. Bo energii zazwyczaj w takich stanach nie brak; objawia się ona często bardzo silnie w wybuchach nieukontentowania z danego położenia i w bezcelowem szamotaniu się z tem, czego w istocie zmienić nie można; ale brak skupienia rozstrzeliwującej się energii w pewnym jasno określonym celu; brak przewodniej myśli, która-by przyświecała działaniu energii i ją do ce-

lu doprowadziła; jednym słowem, brak właśnie nie energii, lecz kierownictwa energią, a więc brak w istocie *idealu*.

Widzimy tedy, że samo uczucie przeczące niezadowolenia nie wywołuje jeszcze działania twórczego. Potrzeba do tego nadto pewnego dodatniego, pozytywnego uczucia, zdolnego wzniesić człowieka po-nad wszelkie przygnębianie i zachęcić do skupienia swych umysłowych i fizycznych zasobów około przekształcenia niezadawalającej rzeczywistości na zadawalającą. Otóż tem uczuciem o treści dodatniej, pozytywnej w prawdziwym tego słowa znaczeniu, o treści twórczej, jest uczucie *harmonii*, wewnętrznej zgody różnorodnych, lub nawet rozstrojonych i sprzecznych, czynników jednostkowego bytu; uczucie jedności w mnogości, organicznej łączności osobnika, odosobnionego, jak sam wyraz wskazuje, od pozostałego bytu, z tymże bytem, do którego, jako cząstka składowa należy, a zatem z przyrodą, z ustrojem społecznym, z istotą wszechbytu, z Bogiem. Tylko takie pozytywne uczucie harmonii oderwanej jednostki z pozostałym bytem i świadomość wewnętrznego zadowolenia, szczęścia, jakie z tem uczuciem się łączy, pokrzepia na nowo energię umysłu, odżywia ją i zachęca do twórczego działania.

Uczucie harmonii w ogólnej swej istocie działa w każdym normalnym osobniku, jako bezpośrednia siła życiowa. Wynika ono sposobem naturalnym z harmonijnego ustroju ludzkiego bytu, ze wzajemnego uzupełnienia jego funkcji życiowych. Naturalna, wewnętrzna harmonia, czyli zgoda człowieka z samym sobą, zgoda jego zmysłowej i umysłowej organizacyi, rozbudza w nim świadomą potrzebę dojścia do zgody i z pozostałym światem, z całym swem otoczeniem.

To zasadnicze uczucie harmonii przedstawia się faktycznie w wielkiej liczbie konkretnych odmian, stosownie do czynników, wchodzących w jego skład. Ale we wszystkich odmianach wynosi ono ducha po-nad przygnębiające spory chwili, dodaje mu otuchy, odsłania przed zmęczanem okiem nowe rozległe widnokreśli, napelnia go świeżą, ruchliwą energią w pracy około lepszej przyszłości.

Najgłębsze i najpotężniejsze uczucia serca ludzkiego: nadzieja, miłość i wiara, są w gruncie rzeczy tylko szczegółowymi odmianami uczucia harmonii i zadowolenia, jakie ono wywołuje. W *nadziei* jednoczy człowiek harmonijnie niepewną, tajemniczą przyszłość z własnym swoim jestestwem i przeczuwa spełnienie swego prawdziwego przeznaczenia życiowego. Dzięki bezpośrednim więzom uczucia, *miłość* godzi człowieka z całym pozostałym światem, a szczególnie z podobnymi do niego istotami, dążącymi do wspólnych z nim celów. *Wiara*, nareszcie, jako uczucie, wznosi go w sfery nadziemskie, niebiańskie, i godzi go silniej i głębiej, niż wszelkie wywody rozumowe, z istotą wszechbytu, z owym



najwyższym porządkiem istnienia, od którego człowiek na każdym kroku czuje swoją zależność.

Doznawszy raz, skutek jakichkolwiek podniet, tego uczucia wewnętrznej zgody, harmonii, a w normalnym stanie kultury umysłowej już dziecko wzrasta i rozwija się przy bezpośrednim udziale tego uczucia i zaznaczonych jego odmian,—człowiek znajduje w niem tyle błogości i szczęścia, że ciągle na nowo za niem tęskni, że staje się ono nieodzowną potrzebą jego ducha. Nie jest to żaden przesadny sentymentalizm, ani niewieścia miękkość uczucia, lecz jest to objaw faktyczny, jeden z najpotężniejszych czynników życia umysłowego.

Do zgodności i harmonii dąży nie tylko człowiek sentymentalny, o nastroju niewieścim, uczuciowym. I zimny przedmiotowy myśliciel, uczony, choćby najskrajniejszy pozytywista, przytłumiający wszelkie głębsze poruszenia serca, uczuwa w swoim zakresie potrzebę zgody, harmonii; ścisła logika wymaga od niego wyłączenia wszelkich sprzeczności (prawo logiczne wyłączenia sprzeczności), a więc dążności do zgody, harmonii, przynajmniej w zakresie własnych myśli. A bez względu na przekonania moralne, jakim hołduje, zawsze i on w swem sumieniu poczuwać się będzie do spełnienia zasadniczego wymagania, czyli prawa wszelkiej moralności, polegającego na zgodności, harmonii czynu z własnem lepszem przekonaniem. Podobnie i surowy mąż stanu, w którego mniemaniu żelazna energia jest najwyższym ideałem, a wszelkie poruszenia humanitarnego uczucia karygodną słabością, wyrzec się nie może na swoim polu zgody i harmonii, lecz odczuwa również głęboko jej potrzebę. Tylko przy pomocy dążności do zgody i harmonii, działającej w masach, wytwarza on armie, posłuszne jego skinieniom; tylko z własnego poczucia zgody i harmonii z ustrojem społecznym, któremu przewodniczy, czerpie on wiarę w siebie i energię do swych czynów.

W samej rzeczy, wyznać należy, że tak dla myśliciela, jak dla męża praktycznego, zgoda, harmonia, jest tylko *środkiem* pomocniczym do osiągnięcia celów postronnych; choć nie trudno było-by wykazać, że i ich cele,—prawda przedmiotowa i dobrobyt społeczny,—są również wyrazem harmonijnego zjednoczenia odpowiednich składowych czynników. Ale obok myślicieli, uczonych oraz praktyków wszelkiego rodzaju, są i tacy, dla których zgoda i harmonia nie jest tylko *środkiem*, lecz głównym *celem* działania, i to nie tylko w tym lub owym szczegółowym zakresie, lecz we wszelkiej działalności człowieka, w bycie ludzkim wogóle. Są to umysły, dla których harmonijne wyrównanie sprzeczności, kontrastów, równowaga, jedność, synteza, stały się nieodzownymi potrzebami serca; umysły, które zaspokojeniu tych potrzeb poświęcają wszystkie zasoby swego ducha, całą swoją działalność życiową.

Zaszczepienie tej potrzeby harmonii i dążności ku niej w swe otoczenie, wykazanie, że od osiągnięcia tego celu zależy szczęście prawdziwe narodów, ludzkości, oto główne ich zadanie. Utworami swemi pragną udowodnić w sposób poglądowy możność osiągnięcia tego celu i wskazać środki jego urzeczywistnienia w życiu.

Umysły te noszą miano *poetów, artystów*; przyczem mamy prawo mówić jedynie o *prawdziwych* poetach i artystach, przodujących narodem na drodze ku przyszłości, czyniących zadość słusznym wymaganiom ideału, a nie o pisarzach i sztukmistrzach zwyrodniałych, szukających jedynie rozgłosu w samowolnem odstępstwie od wymagań kultury umysłowej, kalających kapłańską suknię ideału zamięłowaniem złego i zepsucia we wszystkich jego formach.

Poeci, artyści, są przedstawicielami owego *estetycznego* poglądu na świat, o którym mówiliśmy wyżej. Ogólnie ludzki ideał harmonii znajduje w ich utworach najpełniejsze urzeczywistnienie. Utwory ich bowiem harmonizują najistotniejsze czynniki ludzkiego bytu, będące zarazem przyczyną najsrozszych walk i sprzeczności, a mianowicie, takie czynniki, jak: świat wewnętrzny i zewnętrzny, duch i materya, treść idealna i forma zmysłowa. Ponieważ zaś harmonijne wyrównanie i zespolenie tych właśnie czynników stanowi,—jak to szczegółowo wykazuje estetyka,—istotę *piękna*, przeto możemy powiedzieć, że ostatecznym, najwyższym ideałem estetycznego na świat poglądu jest *piękno*, jako organiczna harmonia ducha i materyi, ideału i rzeczywistości, treści i formy.

Ale nietylko poeci i artyści mają ideały; bez nich i uczone badacz, myśliciel, żyć i działać nie mogą umysłowo. Powiedzieliśmy już wyżej, że ideałem nauki, myśli, jest *prawda* przedmiotowa. Jakaż geneza tego ideału w umyśle ludzkim?

Źródłem dążności poznawczych umysłu ludzkiego nie jest bynajmniej jedynie potrzeba życiowa, jak to w nas chcą wmówić utylitaryści. Odgrywa ona niewątpliwie ważną w tym względzie rolę, jako bodziec, pobudzający do myślenia najlenniejszy nawet umysł; ale nauki i jej ideałów sama potrzeba życiowa nigdy-by na świat nie wydała. Najgłówniejszą rolę odgrywa tu przyrodzona umysłowi ludzkiemu ciekawość, czyli chęć bliższego poznania rzeczy, zwracającej na siebie uwagę, i rozwiązania wszelkich zagadek, narzucających się przy takim poznaniu rzeczy. W skład tej przyrodzonej ciekawości wchodzi jako czynniki zasadnicze: z jednej strony poczucie niewiadomości i wątplenie, jako czynnik ujemny, negacyjny, a z drugiej pragnienie przyswojenia sobie myślą rozpatrywanej rzeczy, wogóle jasnego i niewątpliwego poglądu na świat rzeczywisty, jako czynnik dodatni, pozytywny.

Pierwiastkowo, na niższych stopniach rozwoju umysłowego, człowiek zadawała się w zakresie poznania świata tak zwanym *naïwnym realizmem*, uznającym za prawdę rzeczywistą wszystko, co mu się bezpośrednio prawdą wydaje. Przekonywając się jednak wskutek codziennych doświadczeń życiowych o uludności i omylności swych wyobrażeń i pojęć o rzeczach, staje się ostrożniejszym w swych sądach, a gdy i ta instynktowa ostrożność nie uwalnia go od wielu nowych błędów, traci coraz bardziej bezpośrednie zaufanie do swych zdolności poznawczych i spogląda nawet w końcu z pewnem niedowierzaniem na ich świadectwo. Fakt niezgody, dysharmonii pomiędzy bezpośrednio narzucającemi się pojęciami o rzeczach, a istotną rzeczywistością, zostaje uznany jako nie podlegający wątpliwości i zmienia zasadniczo stosunek umysłu do przedmiotów poznania. Wątpienie wdziera się w myśl i staje się jednym z czynników jej dalszego rozwoju. Ideał *krytycznego* poznania rzeczy, w odróżnieniu od dogmatycznych, nieudowodnionych należycie twierdzeń, łączy się jak najściślej z tym czynnikiem wątpienia.

Wątpienie jednak, jako wynik niezgody myśli pomiędzy sobą, jako objaw dysharmonii w czynnościach umysłu, łączy się zawsze z uczuciem niezadowolenia, wewnętrznego rozstroju, umysłowej niemocy. To ujemne uczucie wywołuje znowu naturalną reakcyę ze strony dodatnich, pozytywnych czynników umysłu. Czynniki te wyrażają się na tem polu coraz wyższym rozwojem przyrodzonej ciekawości, przybie-  
rającej wskutek kultury umysłowej charakter głębokiej *miłości prawdy*.

Wszelkie przekonanie o prawdzie tego lub owego poglądu, choćby jak najbardziej błędnego ze stanowiska przedmiotowej krytyki, powoduje w danym osobniku uczucie błogie zadowolenia, bo jest objawem wewnętrznej zgody składowych czynników umysłu i usuwa dręczący go niepokój. Któż nie doznawał tego błgiego uczucia wewnętrznego zadowolenia wskutek przyswojenia sobie prawdy w tym lub owym zakresie wiedzy? Rozwiązanie zagadki, nad którem suszyliśmy sobie głowę, może służyć za najlepszy przykład. Stąd-to już na najniższych stopniach rozwoju umysłowego działa dążność do usunięcia wszelkich sprzeczności myślowych, o ile one dochodzą do świadomości danego osobnika, a więc i dążność do zgody pomiędzy myślami, jako źródła wewnętrznego zadowolenia. A że zgodność myśli pomiędzy sobą, a mianowicie myśli o danym nowym przedmiocie, z naszymi ogólnemi pojęciami o przedmiotowej rzeczywistości, stanowi istotę naszego pojęcia *prawdy*, przeto ową dążność do harmonizowania naszych pojęć o rzeczach, w celu osiągnięcia zadowolenia z ich wewnętrznej zgody, słusznie nazwaliśmy *miłością prawdy*.

Z powyższego wynika, że ideałem naszych dążeń poznawczych jest *prawda*, jako możliwie pełna zgoda wszystkich czynników poznania, usuwająca z jednej strony wszelkie podmiotowe wątpliwości, a obdarzająca z drugiej strony umysł poglądem na świat zgodnym, wedle możności, jak najściślej z przedmiotową rzeczywistością.

Nakoniec powiemy słów kilka o ideałach moralnych, wynikających z samodzielnej działalności woli, a uzupełniających ideały estetyczne i poznawcze.

Zaznaczyliśmy już wyżej, że każdy człowiek od pierwszych chwil świadomego życia czuje się częścią większej całości, członkiem szerszego ustroju, zależnym od pewnego, nad nim stojącego, porządku. Ten wyższy porządek narzuca mu się już w stanie natury, wskutek jego stosunku do przyrody. Zmiana dnia i nocy, pór roku, prawidłowy przebieg funkcji organicznych, pociągający za sobą pewną prawidłowość w zaspakajaniu ich potrzeb, i tym podobne objawy, wpajają w niego przeświadczenie o istnieniu porządku rzeczy, którego on dowolnie zmieniać nie może, przeciwnie, do którego się w swem działaniu zastosować musi. Nadto wrasta człowiek w stanie kultury bezpośrednio w porządek społeczny (rodzina, społeczeństwo, ustrój państwowy, kościół), z którym się jednoczy wraz z rozwojem swych stosunków życiowych i w którego zakresie spełnia pewne funkcje. Nareszcie narzuca mu się nie mniej doraźnie poczucie zależności od wyższych praw życia umysłowego, których on również dowolnie zmieniać nie może. Prawa te domagają się od niego zgody wewnętrznej z samym sobą, w myślach, uczuciach i czynach; logicznej prawidłowości w rozwoju swych poglądów, jeżeli chce poznać świat, jakim jest istotnie; spełnienia pewnych obowiązków moralnych, niezależnie od zewnętrznej kontroli społeczeństwa, jeżeli nie chce utracić szacunku dla samego siebie, nadwerżyć swej godności osobistej, minąć się ze swem prawdziwym przeznaczeniem i t. d.

Cały ten wyższy porządek umysłowy, duchowy, w odróżnieniu od fizycznego i społecznego, jednoczy się wskutek rozwoju życiowego ludzkości w idei Boga, którego rozum uznanym być musi za ostateczne źródło wszelkich rozumnych praw i wymagań naszej organizacji umysłowej. W normalnych stosunkach każdy pojedynczy osobnik odczuwa swą zależność i od tego duchowego porządku, jako od jednego z niezbędnych czynników swego życia umysłowego. Wylamanie się osobnika z pod tego porządku duchowego jest objawem nie mniej anormalnym i groźnym dla dobrobytu ludzkości, jak jego wylamanie się z pod porządku społecznego i fizycznego.

Poczucie przynależności do większej całości i zgody z nią jest źródłem zadowolenia dla każdego osobnika i podnosi go wewnętrznie,

nadaje mu we własnych oczach większą wartość, zaszczenia w nim przeświadczenie o zadaniach i celach życia, godnych natężenia osobistej energii, pracy i nawet ofiarności. Świadomość ograniczoności i cząstkowości jest tak silną w każdym rozwiniętym umysłowo osobniku, że nie może on znaleźć zupełnego zadowolenia w swym byciu urywkowym, fragmentarnym. Łączność z szerszym ogółem jest dla niego nie tylko fizyczną potrzebą, w imię interesu, jak dowodzą przedstawiciele egoistycznych i utylitarnych teorii społecznych, lecz zarazem potrzebą umysłową, moralną, która domaga się usilnie zaspokojenia i wbrew dążnościom osobniczym. Stąd-to właśnie pochodzi owo uczucie wewnętrzne, w swej istocie bezinteresownego, zadowolenia, jakiego osobnik doznaje wskutek swej łączności i zgody z szerszą całością. Im ta całość jest wyższą i głębiej pojętą, tem i owo uczucie zadowolenia staje się wznioślejszem i głębszem.

Przeciwnie, wszelka sprzeczność pomiędzy osobnikiem a szerszemi kręgami istnienia, do których, jako cząstka, należy, wszelka niezgoda z wyższym porządkiem rzeczy, pociąga za sobą wewnętrzne niezadowolenie, zniża poczucie osobistej godności, przygnębia, podkopuje zaufanie do samego siebie oraz wiarę w cel i przeznaczenie swego istnienia. Osobnik utracą wtedy coraz bardziej poczucie swej wartości; życie wydaje mu się bezcelowem, więc je lekceważy i, pomimo stosunkowo korzystnych nawet warunków bytu, wzmagą się w nim niezadowolenie z samego siebie i ze świata tak silnie, że wywołuje często czyny rozpaczliwe, jak zbrodnie wszelkiego rodzaju lub samobójstwo. Anarchizm współczesny jest smutnym, ale najbardziej charakterystycznym objawem takiego rozprężenia normalnej łączności i zgody osobnika z wyższym porządkiem rzeczy, zarówno z najprostszymi prawami przyrody, jak z ustrojem społecznym, jak wreszcie z wymaganiami bytu umysłowego człowieka, z prawami estetyki, logiki i etyki.

Uwagi powyższe dają nam możność wyjaśnić jeden z najgłośniejszych objawów życia umysłowego człowieka, dotyczący wewnętrznych podstaw jego działalności moralnej. Mamy tu na myśli objaw, zwany *sumieniem*, czyli *poczuciem moralnem*. Stosownie do zaznaczonego stosunku osobnika do ogółu, w skład sumienia wchodzi trzy następujące czynniki psychiczne:

1) Świadomość przynależności do pewnej ogólniejszej całości, wraz z poczuciem zależności od wyższego porządku rzeczy, noszonego w tej całości;

2) Zadowolenie wewnętrzne, wynikające z działania, zgodnego z wymaganiami tego wyższego porządku i w jego duchu, o ile wymagania te dochodzą do świadomości osobnika;

3) Niezadowolenie wewnętrzne, wynikające z naruszenia związku i zgody osobnika z całością, do której należy, i z wyższym porządkiem, od którego zależy.

Otóż tak pojęte sumienie, czyli poczucie moralne, jest głównem źródłem ideałów moralnych, czyli etycznych, ludzkości. Dzięki stopniowemu rozwojowi i kulturze tego czynnika umysłowego, rozwijają się w człowieku coraz pełniejsze i wznioslejsze ideały moralne, mające na oku bądź dobrobyt zmysłowy, materialny, człowieka, jako cząstki ustroju przyrody, bądź dobrobyt społeczny, oparty na kooperacji ludzi przy spełnianiu wspólnych zadań i celów, bądź nareszcie dobrobyt duchowy, wynikający z łączności i zgody osobnika z zasadą wszechbytu, z Bogiem. Dążność do urzeczywistnienia tych ideałów wypełnia działalność praktyczną człowieka w życiu, dla tego można je nazwać nie tylko moralnemi, lecz wogóle praktycznemi i życiowemi ideałami.

### 3. Przedmiotowe uzasadnienie ideałów umysłu ludzkiego. Prawo celowości.

Mamy tedy trzy zasadnicze ideały, wypływające wprost z organizacji umysłu, z jego przyrodzonych czynności, a mianowicie: ideał uczuciowy, estetyczny, harmonii, *piękna*; ideał myślowy, logiczny, poznawczy, *prawdy* przedmiotowej, i ideał praktyczny, życiowy, moralny *dobra*, materialnego, społecznego i duchowego.

Wiadomo, że przedstawiciele realistycznych i naturalistycznych kierunków myśli oddawna, a w nowszych czasach najsilniej, występowali przeciwko tym ideałom i dowodzili, że nie mają one żadnego istotnego znaczenia, lecz są tylko wymysłami idealistów. Nie wdając się w polemikę z tą negacją ideałów, co-by nas odprowadziło zbyt daleko od naszego pozytywnego zadania, powiemy tu tylko, że owa negacja nie jest niczem innem, jeno walką doktrynerów przeciwko *faktom*. Faktyczne istnienie poezji i sztuki dowodzi, że narody i ludzkość nie kontentowały się nigdy tem, co jest, rzeczywistością, lecz wytwarzały zawsze pogląd estetyczny na świat i stosunki ludzkie, dążąc do ich przekształcenia, według podmiotowych wymagań ustroju harmonijnego i możliwie pełnego piękna. Następnie, nauka i filozofia, jako faktycznego rozwoju umysłu ludzkiego, wykazują, że ideał *prawdy* przedmiotowej, o ile można krytycznie uzasadnionej, działa w ludzkości od dawien dawna i dotąd skupia około siebie samodzielniejsze umysły badawcze wszystkich narodów. Nareszcie, któż może zaprzeczyć istnieniu w ludzkości ideału *dobra* we wskazanych powyżej formach? Ustrój ekonomiczny (rolnictwo, przemysł i handel) świadczy o szero-

kim rozwoju niestrudzonej pracy około dobrobytu materialnego. Dobrobyt społeczny, jako ideał ludzkości, znajduje swój faktyczny wyraz w dążności do możliwie racjonalnego ustroju stosunków społecznych (rodzina, społeczeństwo, państwo). Że zaś dbałość i o dobro duchowe nie jest czezą mrzonką, lecz faktem życiowym, dowodzi tego istnienie religii i ustroju religijnego, kościoła, u wszystkich narodów, wznoszących się na stanowisko kultury umysłowej. Czem że są i mogą być wobec tych potężnych czynników rozwoju ludzkości negacye doktrynerów?

A jednak, wspomnieliśmy już wyżej o nieubłaganych wymaganiach krytyki. Faktom zaprzeczać nie możemy, ale możemy je oceniać; więc też i odnośnie do faktycznych ideałów umysłu ludzkiego możemy, a ze stanowiska nauki krytycznej musimy, postawić sobie pytanie: czy nie są to czasem mrzenki ułudne, podniecające wprawdzie działalność człowieka, lecz nie mające żadnych widoków urzeczywistnienia wśród danych warunków przedmiotowego bytu? W samej rzeczy, cóż-by nam pomogła tęsknota za harmonią i zgodą, za pięknem, prawdą i dobrem, gdyby zaspokojenie tej tęsknoty ostatecznie było niemożliwym? Jeżeli tedy wspomniane ideały nie mają w naszych własnych oczach uchodzić za nie do urzeczywistnienia utopie, a w najlepszym razie za bałamutne bawidełka fantazyi, nie zasługujące na to, abyśmy dla nich wysilali do ostatka naszą energię i poświęcali im całą pracę naszego żywota; natenczas musimy wykazać, że są do urzeczywistnienia, że posiadamy niezachwianą rękojmię, iż prędzej czy później staną się prawdą i przez to usprawiedliwią ofiary, jakie dla nich ponosimy.

Takie udowodnienie możności ziszczenia ideałów umysłu ludzkiego nazywamy ich *przedmiotowem uzasadnieniem* i mamy przytem na myśli rozbiór przedmiotowej rzeczywistości z punktu widzenia jej zgodności lub sprzeczności z naszymi ideałami. Rękojmi bowiem możności urzeczywistnienia ideałów nie możemy szukać w nas samych, w naszych podmiotowych dążnościach i dobrych chęciach; bo człowiek nie jest panem i prawodawcą świata, lecz pyłkiem, zależnym od niego. Tylko treść i prawa samego świata mogą nas objaśnić, czy wśród danych warunków przedmiotowego bytu możemy się spodziewać urzeczywistnienia ideałów piękna, prawdy i dobra, lub nie. Jakim tedy świat być musi, abyśmy mogli w nim urzeczywistnić nasze ideały i czy takim jest? oto nasze pytanie.

Różni myśliciele w różny sposób zabierali się do rozbioru tej kwestyi i dochodzili wskutek tego do różnych wyników. Kant np., jak wiadomo, dowodził, że możność urzeczywistnienia ideałów rozumu praktycznego, więc moralności, zależy od idei wolności woli, nieśmier-

telności duszy i Boga. Wolność woli jest koniecznym warunkiem odpowiedzialności człowieka za swe czyny, więc podstawą wszelkiej wogóle moralnej oceny działań ludzkich. Nieśmiertelność duszy jest niezbędną, według Kanta, dla tego, że ona jedynie daje możność wyrównania niesprawiedliwości doczesnego życia, zgodnie z wymaganiami moralnymi. Nareszcie musi istnieć sprawiedliwy sędzia i wszechmocny wykonawca wyroków sprawiedliwości, gdyż w przeciwnym razie nie mielibyśmy rękojmi, że nasze ideały moralne będą w istocie prędy czy później urzeczywistnione. Chociaż idee te, według Kanta, nie mogą być teoretycznie udowodnione, to jednak mają one stanowić przynajmniej przedmiot wiary, gdyż inaczej sprzeciwiali-byśmy się bezpośrednio, nieodzownym wymaganiom poczucia moralnego.

Nie ulega wątpliwości, że zaznaczone idee Kanta w istocie warunkują ostateczne urzeczywistnienie naszych ideałów, i to nie tylko moralnych, lecz zarazem i estetycznych, i poznawczych. Ale idee te nie mają u Kanta charakteru przedmiotowego, lecz są tylko wymagalnikami rozumu praktycznego, a zatem w istocie swej czynnikami podmiotowymi, nie zawierającymi w sobie większej rękojmi prawdy, aniżeli samo bezpośrednio poczucie estetyczne, logiczne i moralne umysłu. Tymczasem chodzi o to właśnie, czy nasze ideały znajdują swe potwierdzenie *przedmiotowe*, t. j., czy, niezależnie od tych ideałów, sam wszechbyt, badany ze stanowiska empirycznego, wykazuje treść, zgodną z temi ideałami, zawierającą w sobie dane do ich faktycznego urzeczywistnienia. Bez takiego przedmiotowego uzasadnienia ideałów umysłu, będą one zawsze narażone na zarzut, że są jedynie utopiami, niedającymi się nigdy i nigdzie urzeczywistnić, wygórowanymi wymaganiami idealistów, nie mającymi siły obowiązującej dla tych, którzy się rachują z danymi warunkami przedmiotowego bytu.

Nie wdając się w dalszą krytykę Kanta lub poglądów licznych myślicieli, którzy po chwilę obecną badali stosunek ideałów umysłu ludzkiego do rzeczywistości, postaram się tu w ogólnych zarysach wykazać, że spór o przedmiotowe uzasadnienie tych ideałów sprowadza się w gruncie rzeczy do krytycznego rozbioru zasadniczej kwestyi wszelkiego na świat poglądu, dającej się rozwiązać bez pomocy transcendentalnej dyalektyki, na podstawie niewątpliwych danych wewnętrznego i zewnętrznego doświadczenia, a mianowicie, kwestyi o prawie *celowości* świata. Ideały umysłu są to najwyższe, ostateczne cele jego działalności. Świadczą one o tem, że w umyśle naszym działa prawo celowości, które zmusza nas do wytknięcia naszym dążnościom odpowiednich celów. Ideały określają właśnie te cele. Gdyby się zatem dało udowodnić, że prawo celowości nie jest jedynie prawem podmiotowym naszego umysłu, nie istnieje i nie działa w nim tylko,



lecz jest wynikiem i objawem wszeźwiatowym, więc przedmiotowym prawem samego bytu; natenczas przekonali-byśmy się, że cele, wypływające z naszej umysłowej organizacyi, nie są właściwie wcale naszymi osobniczymi celami, lecz są celami bytu przedmiotowego, jego zasadniczej istoty, która, wcieliwszy treść swoją w naszą umysłową organizację, zaszczerpiła w niej zarazem i ową dążność celową, określoną bliżej przez ideały piękna, prawdy i dobra. Wtedy też już-by i wątpić nie podobna było o możliwości ziszczenia tych ideałów. Bo skoro są one celami, wynikającymi z przedmiotowego prawa celowości, to urzeczywistniają się zarazem wskutek działania tegoż prawa przedmiotowego. Mają one wtedy rękomię możności urzeczywistnienia w samym bycie przedmiotowym, w jego istocie i prawach. Tak tedy widzimy, że przedmiotowe uzasadnienie ideałów umysłu polega na wykazaniu prawa celowości w ustroju świata.

Przy rozbiorze celowości rozróżniamy przedewszystkiem szczegółowe określenie ostatecznych celów świata od wykazania w świecie prawa celowości wogóle. Mamy na oku nie pierwsze, lecz tylko drugie z tych zadań. Zaniedbanie tego rozróżnienia doprowadziło nieraz zarówno obrońców, jak i przeciwników celowości, do pomieszania pojęć i do licznych nieporozumień, których unikniemy wskutek ścisłego określenia kwestyi.

Celem nazywamy myśl, którą zamierzamy urzeczywistnić przy doborze odpowiednich środków. Myśl zaś, jako myśl, dostępną jest jedynie podmiotowo dla samego myślącego jestestwa. Ja wiem tylko o swoich myślach; obcej myśli natomiast bezpośrednio przeniknąć nie mogę, podobnie jak moja myśl nie jest bezpośrednio dostępną dla obcej świadomości. Stąd okazuje się jasno, że obce cele, jako myśli cudzej świadomości, nie mogą być nigdy przedmiotem naszej bezpośrednioj wiedzy. Jeżeli, pomimo to, przewidujemy nawzajem nasze cele i możemy je nawet często dokładnie określić, dzieje się jedynie przy pomocy pewnych przedmiotowych danych, umożliwiających odtworzenie obcej myśli w naszej świadomości. Takie odtworzenie zależy od dwóch zasadniczych warunków: 1) od podobieństwa czyli analogii obcych myśli z naszymi myślami i 2) od wyrażenia obcych myśli za pośrednictwem zrozumiałej dla nas kombinacyi pewnych czynników przedmiotowych.

Na spełnieniu tych warunków polega istota wszelkiej mowy, jako środka wyrażania i udzielania sobie nawzajem naszych myśli. Ludzie rozumieją się nawzajem jedynie dlatego, że ich życie umysłowe obejmuje wiele podobnych czyli analogicznych objawów i że objawy te łączą się z pewnemi zmysłowemi znakami, wywołującemi w danym umyśle objawy, podobne do tych, jakie posiada umysł obcy, wyrażający

swą treść przy pomocy tych znaków. Dlatego też wynikają pomiędzy ludźmi zawsze nieporozumienia, gdy różne warunki ich rozwoju umysłowego zmniejszają liczbę ich objawów analogicznych, albo, gdy objawy te nie wyrażają swej treści za pomocą jasno zrozumiałych znaków.

Zaznaczone warunki wnikięcia w treść obcej myśli wyjaśniają doraźnie, jakie nieprzebyte trudności napotykać musi umysł ludzki, gdy usiłuje zrozumieć najwyższe cele wszechbytu. Kwestya określenia tych celów łączy się bezpośrednio z poglądem na jego treść wewnętrzną, utajoną, na myśl, żyjącą i działającą w nim. A to jest zadanie bardzo skomplikowane, a nawet bezpośrednio nierozwiązalne.

Przecież już odnośnie do zwykłych przedmiotów naszej wiedzy łatwiej opisać zewnętrzny wygląd badanego jestestwa i nawet przedstawić jego układ anatomiczny, aniżeli wnikać w jego życie wewnętrzne i określić dokładnie czynniki, wprawiające w ruch jego uczucia, myśli i dążności. Coż dopiero, gdy chodzi o *psychologię wszechświata!*

Nawet gdybyśmy bez dalszych przedmiotowych dowodów przyjęli istnienie rozumnej i wszechmocnej istoty bytu, t. j. Boga, wyznać musimy, zgodnie z warunkami wnikięcia w obcą myśl, że o myślach i celach Boga wiedzieć cokolwiek możemy jedynie, jeżeli te myśli i cele objawiają się w sposób dla nas dostępny i zrozumiały, a więc tylko wtedy, gdy na świat i dzieje ludzkie patrzeć będziemy, jako na objawienie treści wewnętrznej ducha bożego. A przytem może być mowa tylko o celach Boga w zakresie naszego bytu, a nie o jego celach bezwzględnych, najwyższych.

Ale i wtedy, gdybyśmy zdołali na podstawie rozbioru empirycznych danych wykazać, że wszechświat, jako harmonijny ustrój, posiada wszelkie cechy ciała, ożywionego duchem, myślą, na podobieństwo ciała ludzkiego; że wewnętrzna rozumna treść świata wyraża się równie jasno w jego objawach, jak treść naszego umysłu w ruchach naszego ciała, w mimice oblicza, w spojrzeniu, w głosie, w wyrazach i w tym podobnych środkach zewnętrznego przejawienia treści wewnętrznej (zob. moją „Syntezę dwóch światów”, str. 41 i nast.); nawet i wtedy dokładne określenie ostatecznych celów wszechbytu byłoby zadaniem, przewyższającym środki ludzkiego poznania, dla dwóch głównie przyczyn: 1) dla braku ścisłej analogii pomiędzy naszymi ludzkimi myślami i celami, a myślami i celami wszechbytu, i 2) z powodu niemożności ścisłego połączenia pewnej treści myślowej z pewnymi przedmiotowo danymi objawami świata, jako określonymi wyrazami tej treści.

Zaznaczyliśmy wyraźnie trudności, jakie umysł ludzki napotyka, gdy pragnie szczegółowo poznać cele wszechbytu, aby tem swobodniej, nie narażając się na zarzut stronności, rozebrać kwestyę ocelowości

w świecie wogóle. Mogę wyznać, że nie mam dostatecznych danych, aby określić ostateczne cele, do których zmierza up. ten lub ów mąż stanu, kierujący w obecnej chwili nawa potężnego państwa; ale, pomimo to, mogę twierdzić, że z jego dotychczasowych działań wynika w sposób niewątpliwy, iż wogóle działa celowo, że zatem i w kwestiach bieżącej polityki nie jest pozbawiony rozumnych celów. Bliższy pogląd na te cele będzie zawsze tylko hipotetyczny, bo w tajniki obcej duszy, nie wyrażającej ostatecznie swych myśli, wnikać nie mogę; ale, pomimo to, uznać muszę nie za hipotezę tylko, lecz za prawdę niewątpliwą, iż ów mąż stanu ma na oku pewne cele i zmierza w sposób rozumny do ich urzeczywistnienia. Nawet czyny na pozór bezcelowe, niezrozumiałe dla mnie, nie zdołają podkopać mego zaufania w ogólną rozumną celowość jego działania.

W takim zupełnie stosunku znajduje się umysł ludzki do celów wszechbytu. Określić te cele szczegółowo, oznaczyć ich kres ostateczny, to jest rzeczą niemożliwą, wobec faktu, że cele te dopiero się urzeczywistniają, że ruch chwili bieżącej dalekim jeszcze jest od owej kryształizacji, przedstawiającej działanie celowe jako rzecz dokonaną. Gdy patrzę na rozwój nieznaney mi rośliny, nie mogę przewidzieć, jaki będzie miała kwiat i owoc. Mogę nawet napotkać wiele faktów, na pozór bezcelowych, niezrozumiałych, dziwacznych, których wyjaśnić nie zdołam, nie wiedząc, do czego to wszystko ostatecznie zmierza. Ale inaczej rzecz się przedstawia, gdy pytam: czy roślina wogóle się rozwija, czy przedstawi mi pewien z góry w niej leżący typ swego gatunku? więc i gdy pytam: czy sprawy świata wogóle rozwijają się prawidłowo, czy istnieje w nim wogóle celowość rozumna? Otóż dla twierdzącej odpowiedzi na to pytanie, bez wszelkich zastrzeżeń i wątpliwości, nie brak nam danych empirycznych na każdym kroku.

Najoczywistszym dowodem działania prawa celowości w świecie przedmiotowym jest każdy żywy organizm. W nim objawia się celowość w sposób niejako dotykalny przez takie ustosunkowanie części i całości, że każda część, wskutek swej zależności od całości, spełnia pewne czynności, czyli funkcyje na korzyść całości, t. j. znajduje w dobrobycie całości cel swego działania, a całość, odwrotnie, wskutek swej zależności od części, spełnia pewne funkcyje na korzyść tych części, t. j. znajduje cel swego działania w dobrobycie części. Tak tedy zależność dobrobytu części i całości w każdym ustroju organicznym od ich działania na wzajemną korzyść jest przedmiotowym objawem rozumnej celowości przyrody przy wydaniu organizmu. Nie trudno bowiem zrozumieć, że zaznaczone ustosunkowanie składników ustroju organicznego celowością swoją przewyższa najbogatszy zasób treści umysłowej, jaki napotykamy w samym tym ustroju jako całości, a tem

bardziej w którymkolwiek z jego składników. To znaczy, celowości, narzucającej się nam, jako fakt empiryczny w każdym ustroju organicznym, nie możemy uważać za wynik jego własnego działania, ani działania jego składników. Logika faktów zniewala nas do uznania, że już przy wytworzeniu najprostszych typów ustroju organicznego działać musiały w świecie przyczyny celowe, zdolne w taki sposób ustosunkować czynniki nieorganicznej materji, że z nich wytworzyły się owe ustroje, budzące swą celowością podziw najgenialszych umysłów wśród ludzi.

Są wprawdzie umysły, które sądzą, że wprowadzając w rachubę miliony lat rozwoju, ułatwiają sobie wyjaśnienie kwestji zasadniczych. Jak gdyby nauka mogła badać odległą przeszłość, jeżeli w niej nie panowała też sama logika, co w chwili obecnej. Zresztą, z ziarna pszenicy, znalezione go przy mumiach egipskich, i dziś, po tysiącach lat, nie wyrasta nic innego, jeno pszenica; czyż można tedy sądzić, że z zasiewu nierozumu i bezcelowości kiedykolwiek, choćby po upływie milionów lat, rozwinął się kwiat rozumu i owoc celowego działania? Czy to nie było-by cudem, daleko większym, aniżeli są wszelkie cuda, o jakich donoszą zabobony najmniej rozwiniętych umysłowo ludów?

Wiadomo powszechnie, i żadnej co do tego wątpliwości być nie może, że najsprytniejszy mechanizm, wymyślony przez człowieka, pod względem celowego ustosunkowania swych składowych czynników wytrzymać nie może porównania z najprostszym organizmem. Mechanizm jest wytworem martwym, niezdolnym ani przeciwdziałać siłom zewnętrznym, przynoszącym mu szkodę, ani zużytkować sił korzystnych dla swego istnienia i działania; dlatego też bez zewnętrznej pomocy zużywa się w krótkim czasie. Organizm, przeciwnie, posiada sam w sobie zasadnicze warunki swego istnienia, życia, rozwoju, przeciwdziała szkodliwościom zewnętrznym i wewnętrznym, zużytkowuje korzystne czynniki swego otoczenia i zabezpiecza w ten sposób sam przez się własny byt i działanie. Nadto organizm odnawia się i rozmnaża, zawiera tedy w sobie warunki udoskonalenia swego typu w nieskończonej mnogości szczegółowych osobników, podczas gdy mechanizm uderza naszą myśl swą bezwzględną jałowością, pozostaje na wieki bezpłodnym.

Gdybyśmy jednak, pomimo to, w bezładnej pustyni znaleźli mechanizm, świadczący o celowości w swym układzie, czybyśmy wpadli na myśl, że jest on wytworem jakichś wirów piaskowych, panujących w tej pustyni? Z pewnością, że nie; przeciwnie, na podstawie analogii znalezione go mechanizmu ze znanemi nam wytworami myśli ludzkiej, byli-byśmy przekonani, że nie mógł on powstać w tej pustyni sam przez się, że musi być dziełem istoty celowo działającej, człowieka.

A gdy na równie martwej niwie przyrody nieorganicznej napotykamy organizm, przewyższający ustrojem celowym stokrotnie najgenialniej pomyślany mechanizm, czyż mamy prawo dowodzić, że powstał on sam przez się z owych martwych, bezpłodnych czynników nieorganicznych, bez wszelkiego udziału myśli celowej? Czyż podobne zdanie nie byłoby objawem grubej nielogiczności, zamykającej umyślnie oczy przed analogią, jaka się nam faktycznie narzuca, pomiędzy mechanizmem i organizmem? Czy umysł, prawidłowo myślący, a wolny od powziętych z góry przesądów i od doktrynerskich uprzedzeń, wobec faktycznej celowości ustroju organicznego, nie musi wyznać, że jest on wytworem rozumu, przewyższającego genialnością o tyle rozum ludzki, o ile wewnętrzna celowość organizmu przewyższa celowość najdoskonalszego mechanizmu?

Takie też było zdanie od wieków wszystkich zdrowo myślących umyśłów, zastanawiających się bez uprzedzeń nad istotą organizmu. Dopiero później, pod wpływem postronnych tendencji, a w szczególności tendencji wyrugowania myśli z wszechświata i otoczenia jej aureolą wyłącznie dumnego ze swej „nauki” człowieka, powstały wymuszone, fantazyjne doktryny, usiłujące wyprowadzić celowość w ustroju organicznym z działania czynników, pozbawionych rozumu i celowości. Materyalizm i materyalistyczny naturalizm, przyjmujący w nowszych czasach, szczególnie u nas, często nazwę pozytywizmu, są wyrazami takich doktryn.

Teorya rozwoju Darwina uchodzi również w oczach wielu za dowód, że życie organiczne może być wyjaśnionem na podstawie czynników mechanicznych, niezależnie od działania jakichkolwiek celów. Walka o byt, dobór naturalny, dziedziczność, a przedewszystkiem przystosowanie się jestestwa do zewnętrznych warunków bytu, mają być właśnie takimi czynnikami, które wytwarzają coraz bogatsze, więc i doskonalsze ustroje organiczne, bez wszelkiego w tym względzie udziału celowości. Przy bliższym atoli rozbiorze tego poglądu okazuje się, że na jego dnie leży *petitio principii*. Bo czyż owe czynniki rozwoju w teorii Darwina nie są po prostu tylko *środkami* do urzeczywistnienia *celów* powszechnego życia świata? Przecież to sam fakt rozwoju, pomimo różnorodnych przejść i możliwych zbieżności, więc i pomimo tak zwanego regresywnego rozwoju, w przeciwstawieniu do progresywnego, w ogólnym swym pochodzie wykazuje w sposób niewątpliwy stopniowe udoskonalenie form życiowych, więc i wydatnie objawów życia, mających coraz większą i pełniejszą wartość wewnętrzną, o treści coraz bogatszej i donioślejszej. A czyż to nie świadczy wymownie o rozumnej celowości całego tego ruchu życiowego? Czyż zresztą pojęcia rozwoju, postępu, oraz główny czynnik wszelkiej teorii

ewolucji, pojęcie przystosowania żywego jestestwa do zewnętrznych warunków bytu, nie są pojęciami teleologicznymi?

Niechże nam zresztą wszyscy przyrodnicy świata, razem wzięci powiedzą, w jaki sposób *bardziej celowo* miał-by być urzeczywistnionym *cel* życia wszechświatowego, jeżeli dany faktyczny rozwój jestestw żyjących nie ma być objawem takiego właśnie celu? Gdyby najgenialniejszy przyrodnik powziął zamiar objawienia na ziemi pełni życia, czyżby mógł wymyślić odpowiedniejsze do tego środki, aniżeli to przyroda uczyniła? Jakaż wobec tego możemy mieć zasadę zaprzeczać celowości w rozwoju życiowym przyrody?

Nasi przeciwnicy celowości wymyślili wprawdzie jeszcze jeden nowy argument, zbijający celowość w świecie. Argument ten nie zasługiwał-by na uwagę, gdyby nie był naszym, a przytem bardzo oryginalnym. Otóż powiedziano: celowość, rozum jest procesem psychicznym, związanym jak najściślej z organem fizyologicznym mózgu, a że we wszechświecie nie ma śladu mózgu, więc i rozumu, i celowości w nim być nie może. Przytem wygłoszono ten zarzut przeciwko celowości ze stanowiska determinizmu, t. j. teorii, opierającej się na abstrakcyjnej idei prawa konieczności, panującego jakoby we wszechświecie. Jaka dowolność charakteryzuje tę ideę konieczności, wobec prostego faktu stałości w przebiegu zjawisk, o tem wspomnieliśmy już wyżej, mówiąc o woli. Co się zaś tycze przytoczonego argumentu, potrzeba tylko nieco logiczności w myśleniu, aby się przekonać, że sam się zbija, że własną bronią zadaje sobie cios śmiertelny. Więc dobrze, nie ma mózgu w świecie, więc niema w nim i celowości, jako objawu, zależnego od działania mózgu. Ale czemuż jest idea konieczności i prawa, a nawet cała mechanika, mająca zastąpić teleologię, celowość świata? Czyż to nie są również produkta rozumu, myśli, zależne, w duchu powyższego argumentu, od czynności mózgu? A więc czyż-byśmy nie mieli prawa na tej samej zasadzie powiedzieć: w świecie rzeczywistym nie może istnieć żadna mechanika, żadne prawo, żadna prawidłowość matematyczna, bo to wszystko są produkta myśli, zależnej od działania mózgu, a w świecie mózgu niema? Tak nasi sofiści rugują myśl, rozum, ze wszechświata, zapominając o tem, że przez to wystawiają najgorsze świadectwo własnemu rozumowi!

Wracając do teorii Darwina, mogli-byśmy bez trudu z dzieł samego Darwina i większości najznakomitszych współczesnych przyrodników wykazać, że wyniki ich sumiennych badań nie zaprzeczają bynajmniej rozumnej celowości świata, lecz, przeciwnie, stwierdzają ją na każdym kroku. Zamiast wielu cytat na poparcie tego zdania, przytaczamy tu słowa najznakomitszego naszego przyrodnika współczesnego, profesora H. Hoyera, który w świeżo wydanej pracy p. t. „Mózg

i myśl", 1894, zabiera głos i w tej kwestyi. Na str. 68 mówi Hoyer: „W jajku i zarodku znajduje się jakby przygotowana cała przyszła forma dojrzałego organizmu, czyli właściwie zebrane są warunki wytworzenia różnych organów, mających wykonywać w przyszłości najistotniejsze czynności żywotne. W zarodku znajdujemy przygotowane różne narządy, które dopiero przy dalszym rozwoju stają się czynnymi (zaczątki zębów, gruczołów mlecznych i t. p.). *Celowość więc istnieje faktycznie i niezależnie od myśli ludzkiej...*” „Teorya pochodzenia gatunków wraz z teorią doboru naturalnego wyjaśniły wprawdzie do pewnego stopnia stosunek formy ustroju do jego czynności i zjawisk życiowych, zastępując tym sposobem dawne poglądy teleologiczne; lecz nie wykazały wcale, od jakich warunków fizycznych zależy skupianie się cząstek materii w identy i determinanty, w jaki sposób ostatecznie wpływają na procesy formacyjne komórek i całego organizmu; słowem, cały fizyczny mechanizm procesu życiowego pozostał tak ciemnym, jak dawniej. Stworzenie tego mechanizmu możemy jedynie przypisać działaniu władzy, *przewidującej przyszłość i kierującej biegiem ruchów zarówno w atomie, jak i całym ogromie wszechświata.*”

Do powyższych dowodów, wykazujących działanie prawa celowości w świecie przedmiotowym, dodamy w końcu jeszcze jeden, a mianowicie fakt oczywisty, że zarówno zwierzęta, jak i człowiek, przyczyniają się do zachowania i rozwoju swego bytu za pomocą celowej działalności, przewidującej przyszłość, dbającej w chwili terażniejszej o zaspokojenie przyszłych potrzeb życiowych. Nadto celowa działalność człowieka, w imię zaznaczonych wyżej idealów, występuje na jaw jak najwyraźniej w całym jego rozwoju historycznym, w dziejach jego kultury. Nikt zaś zaprzeczyć nie może, że kultura i cywilizacja oddziałują zarówno na naturę człowieka, na jego fizyczną i umysłową organizację, jak i na samą przyrodę kuli ziemskiej. Wspomnimy tylko o uprawie gruntu, kulturze roślin, oswojeniu zwierząt dzikich, o rozwoju poczucia ludzkiej godności i t. p. A ponieważ cała kultura i cywilizacja stanowią jeden z objawów przyrody, t. j. są wynikiem działających w niej sił; przeto mamy tu przed sobą fakt, wykazujący wpływ przyrody na samą siebie, jej przemianę i wyższy kulturowy i cywilizacyjny rozwój za pośrednictwem celowej działalności jej własnych szczegółowych wytworów, t. j. za pośrednictwem celowej działalności człowieka na samego siebie i przyrodę zewnętrzną. Czy to nie jest dowodem, że przyroda dobiera i na tem polu najwłaściwsze środki dla wytworzenia coraz wyższych i pełniejszych objawów życia, nie wyłączając takich objawów, jak sztuka, nauka, religia?

To wszystko świadczy w sposób oczywisty o istnieniu w przedmiotowym bycie, a nietylko wyłącznie w człowieku, powszechnego

*prawa celowości.* Nasza własna rozumowa celowość, z przyświecającymi naszemu działaniu ideałami piękna, prawdy i dobra, jest sama tylko jednym z objawów tego powszechnego prawa. Dzięki temu prawu wszechbytu, świadczącemu o jego rozumie, możemy bez wszelkiej wątpliwości ufać naszym własnym dążnościom celowym, wypływającym z natury naszego ustroju umysłowego. To nie są tylko nasze, podmiotowe cele i ideały, to są cele i ideały, wcielone w nas wskutek działania powszechnego prawa celowości. Jeżeli zaś w świecie przedmiotowym urzeczywistniają się faktycznie cele jego, a mianowicie, cel wytworzenia coraz pełniejszych i doskonalszych form życia, jak o tem świadczy doświadczenie; to rzecz naturalna, że i owe cele samej istoty wszechbytu, które dochodzą do naszej świadomości przy pomocy ideałów naszego umyśłu, muszą być prędzej czy później urzeczywistnione, podobnie, jak z sił żywotnych zarodka, wśród odpowiednich warunków, musi się rozwinąć żywe jestestwo. W jaki szczegółowy sposób to się uskuteczni, to jest kwestya, której a priori rozwiązać nie możemy. Przecież i przyrodnik nie może a priori określić dróg przyszłego rozwoju po raz pierwszy badanego zarodka. Ale on, pomimo to, nie wątpi, że zarodek się rozwinie i uwydatni ostatecznie pełnię sił żywotnych swego typu. Podobnież i my, wraz z całą rozwijającą się jeszcze ludzkością, możemy być pewni, że z biegiem czasu osiągniemy owej dojrzałości życia umysłowego, do której dążymy, uprzytomniając sobie ostateczne cele naszego duchowego rozwoju, ideały piękna, prawdy i dobra.

Przekonywamy się tedy, że doświadczenie i rozum obdarzają nas wszelkimi danymi, niezbędnymi do spełnienia naszych zadań i obowiązków życiowych w coraz szerszych zakresach powszechnego bytu, a przez to usprawiedliwiają wysiłki naszej energii w kierunku owych ideałów oraz wiarę ludzkości w ich urzeczywiszczalność. Wobec zaś tych danych, wyłamać się może z pod praw i wymagań ogólnie ludzkiego poczucia estetycznego, logicznego i moralnego, już nie rozum, choćby najkrytyczniejszy, lecz jedynie *zła wola!*

HENRYK STRUVE.



---

# Zatargi ostarostów pogranicznych.

1618—1654.

Szkic historyczny, skreślony na podstawie russkich źródeł historycznych. <sup>1)</sup>

---

Mamy kilka współczesnych dokumentów, cechujących ówczesne stosunki i przygotowania do wojny. Jak wiemy, zbieranie mniej lub więcej pewnych wiadomości o stanie kraju nieprzyjacielskiego, zwłaszcza o jego gotowości wojennej, należało do stałych obowiązków wojewodów pogranicznych. Bardzo pouczającymi pod tym względem są dokumenta, niedawno ogłoszone w druku, a ściągające się właśnie do tej burzliwej chwili. (Akta moskowskawe gosudarstwa, izd. N. A. Popowym, Petersb. 1890, t. I, str. 156, 187, 252, 339, 343, 345). Widzimy z nich, jak usilne i konsekwentne były przygotowania do rozprawy w r. 1633, jak skrzętnie zasięgano wiadomości, aby się mózdz dobrze orientować w sytuacji. Już w roku 1619, nazajutrz po rozejmie, książ Iwan Chowański, wojewoda wiaziemski, ma poruczone poufnie, aby wybrał w Wiaźmie z pomiędzy strzelców, Kozaków i chłopów rolnych, ludzi tęgieh i rozumnych na szpiegów do miast litewskich; niech złożą nasamprzód przysięgę na wierność, potem otrzymają wynagrodzenie, stosownie do ogólnej wartości osoby. Szpiegdy mają być wysłani niezwło-

---

<sup>1)</sup> Dokończenie. Patrz zeszyt listopadowy.

cznie, aby się na Litwie o wszystkim dowiadywali, co się tyczy króla, królewicza, senatorów, o zjeździe rycerstwa, jego ilości i przeciw komu się zjeżdża, o postanowieniach sejmu i o tem, czy będzie wojna z sultanem, carem krymskim i królem szwedzkim i gdzie wojska stoją. Usilnie polecić szpiegom, aby się wszelkimi sposobami wywiadywali, czy niema jakich złych zamiarów na moskiewskie państwo, czy nie zbierają czerkasów zaporoskich (kozaków), czy nie będą ich zbierać, a jeśli będą, to gdzie i w jakim celu? Wojewodowie mają często posyłać szpiegów do miast pogranicznych i o wszystkich udzielonych im wiadomościach donosić jak najczęściej carowi Michałowi i donosić także tym miastom, gdzie tego zajdzie potrzeba. Zarazem mają przykazane, aby się w Wiaźmie zachowywać bardzo ostrożnie i wszelkim sposobem zasięgać wieści o Polakach, Litwinach i russkich zdrajcach; przestrzegać surowo, aby do Wiaźmy nie wkradali się Litwini i chłopci ruscy, wysłani przez Litwinów i przez russkich łotrów i zdrajców, wogóle zaś aby ruscy na Litwę wcale nie jeździli — oprócz tych szpiegów, o jakich była mowa.

Tak brzmiała ogólnikowa instrukcja. Że poskutkowała, dowodzą dalsze dokumenta, pochodzące z szeregu lat, poprzedzających wyprawę pod Smoleńsk.

I tak w r. 1623 przybył do Siewska wychodźca z Polski, włościanin Iwan Turanosow, i oświadczył: wzięli mnie do niewoli Litwini w r. 1612, przy zdobyciu Putywła, trzymali niewolą w Warszawie, a z Warszawy wyszedłem w ostatni tydzień zapustny. Jeszcze za mojej bytności w Warszawie, zaczęli się zjeżdżać na sejm. Szedłem z Warszawy do Siewska przez miasta: Brańsk, Bielsk, Słonim, Mohylów, Bychów, Czeczersk, skąd w Wielki Czwartek wyszedłem do Staroduba. W Czeczersku słyszałem od Litwinów, że sejm został zerwany i t. d.

W tymże samym roku wyprawia siewski wojewoda, G. Górichwostow, do Nowogródka-Siewierskiego dwóch mieszkańców miasteczka, ale ci żadnych pewnych wiadomości przynieść nie zdołali, chociaż się u krewnych swoich pilnie o sejm warszawski i Kozaków wywiadywali.

Za to obfitszym jest plon, zebrany przez wojewodę Siemiona Wołyńskiego w r. 1629. Znać już tutaj zbliżanie się wojny, przeważają w opowieści szczegóły żołnierskie, jako wyraźniejsza zapowiedź blizkich utarczek, skoro obie strony już się gotują. I znowu słyszymy o tym samym p. Uhliku, *kapitanie* w Sierpiejsku, (co ma zapewne znaczyć: naczelniku załogi), osobistości wydatnej, śmiałym i twardym żołnierzu, kiedy go na tej wysuniętej placówce Aleksander Gąsiewski umieścił. Nie dyplomata, zahartowany w wojennych zapasach, p. Uhlik, szarpie listownie, nie przebiera w wyrażeniach, a tymczasem donoszą o nim potajemnie do Mosalska:

„Oczekują wkrótce w Sierpiejsku p. Uhlika, który przedtem był tam kapitanem; mówią, że zgodził w Smoleńsku oddział żołnierzy, ponieważ przechodzili na Twoją stronę, Hosudarze, chłopi ze wsi jego Swikowej, w powiecie Sierpiejskim. Włóścianie ci przyprowadzili do Mosalska dwóch zdrajców z żonami i dziećmi. I on (Uhlik) widzi, że i pozostali chłopi uciekną od niego, dlatego też pustoszy Twoje, Hosudarze, włości, i swoje, i spustoszywszy, chce iść do Smoleńska, w razie zaś, gdyby Uhlik ze Smoleńska przyszedł, nie będę mógł, Hosudarze, obronić twoich wsi i siół, gdyż mam z żołnierzy pieszych, dworzan i dzieci bojarskich, strzelców i kozaków 220, konnych zaś, dworzan i dzieci bojarskich, niema nawet 30; strzelcy i Kozacy piesi z pomocą nie zdążą, w mieście ludzi niema, a bez nich nie można miasta obronić. A Twoje, Hosudar, sioła i wsie Mosalskiego powiatu oddalone są od granicy i nie można odgadnąć, na które miejsca Uhlik napadnie i gdzie ludzi postawić do obrony. Jeżeli zaś przybędą Twoi, Hosudarze, ludzie na pomoc, i jeżeli Uhlik, napadłszy, weźmie w niewolę ludzi Twoich, lub zrabuje sioła i wsie, to będzie można odebrać to wszystko od niego, gdy pójdzie do Smoleńska, dokąd musi iść lasem, którego obejść nie może. W Sierpiejsku nie spodziewają się, aby długo bawił, gdyż, zrabowawszy, chce uciekać do Smoleńska.”

Z Ukrainy nadchodzą także wieści, jakoby Rzeczpospolita gotowała się do wojny, aby nie być zaskoczoną z chwilą upłynięcia rozejmu. Wysłany za granicę Iwaszko Nestierow powrócił do Rylska (w 1631 r.). Był w miastach Nieżynie, Pawołoczy i innych, był obecnym kiedy król przysłał hetmanowi kozackiemu do Kaniowa klejnoty, t. j. sztandar, buławę i bębny, z poleceniem werbowania ludzi do wojska kozackiego. Krążyły ogólnie pogłoski, że będzie niezadługo wojna na Siewierszczyźnie, że pójdą pod Putywl i Ryłsk. Nestierow musiał czempędzej wyjeżdżać, aby nie być schwytanym.

Nadchodzi wreszcie także i na tej drodze wiadomość o śmierci Zygmunta. Miszka Trofimow opowiada: „Słyszałem w Sierpiejsku, na warcie od Kozaków, że stary król Zygmunt umarł, i że senatorowie polscy i litewscy chcą osadzić na tronie młodszego syna (jak go nazywają nie wiem). Władysława zaś nie chcą; „mieszkaj sobie (mówią) w Smoleńsku, a ile miast moskiewskich dodasz, to będzie twojem!” Smucą się bardzo Litwini, że się kończą wyznaczone lata, a u nich ludzi mało. Litwini podbierali wszystkim, którzy posiadali w powiatach Smoleńskim, Dorohobuskim i Sierpiejskim, samopaly, i obawiają się nadejścia wojsk Hosudarskich.”

Z Wielkich Łuk informują: „W całym państwie litewskim szlachta i wielu innych ludzi mówi, aby, nie wpuszcwszy do swego kraju moskiewskich ludzi, posłać wojska litewskie i polskie na państwo mo-

skiewskie, a czy rzeczywiście ludzie litewscy przyjdą na wojnę po trawie (t. j. z wiosną) i na jakie miasta napadną — niema wiadomości. Żołnierze litewscy nie zbierają się obecnie jeszcze nigdzie, Kozacy zaporoscy siedzą także po domach, na wiosnę mają się zbierać wszystkie polskie i litewskie wojska, z Kozakami zaporoskimi w Smoleńsku i gotować się do wojny z Moskwą. Prócz tego chodzą między nimi pogłoski, że Hosudarowi naszemu przyszło na pomoc wojsko niemieckie (t. j. najemnicy ze Szwecyi) i że w miastach pogranicznych spodziewają się wojny. A do Połocka przybył wojewoda połocki, Janusz Kiszka, i książę Krzysztof Drucki-Sokoliński, z 100 Tatarami i 30 dworzanami (po co przyszli—nie wiadomo) i szlachta połocka zbiera się wszystka w Połocku. Wojewoda smoleński, Aleksander Gąsiewski, bawi obecnie w Warszawie. W Smoleńsku niema teraz posiłkowych żołnierzy, przybędą oni razem z Gąsiewskim."

Na ten Smoleńsk zwróconą jest główna uwaga. „W tym roku (t. j. 1632) król wicz przysyłał dwa razy do pogranicznych litewskich grodów komisarzy swoich dla wybadania, które miasta są fortecami, ak zaludnione i czy warto bić się o nie."

„W Smoleńsku (donosi jakiś kupiec Lechow) niema jeszcze dotąd wojsk posiłkowych, zwożą tylko zapasy i leją muryne zasłony z miedzi, przetopionej z dzwonów. Mieszkający w Smoleńsku litewscy i ruscy czynszownicy, w obawie przed oblężeniem, chcieli opuścić Smoleńsk, rozjechać się do innych miast, wielu ich wyszło, ale niektórych pojmano i zwolniono za poręczeniem, że nie będą uciekać ze Smoleńska." A w innym miejscu:

„Przyjechali do Smoleńska panowie królewskiego dworu, dozorey, i piszą w księgi, i doglądają, ile w Smoleńsku żołnierzy, obywateli konnych i pieszych hajduków, i Niemców, i we wszystkich siewierskich grodach, które Gąsiewski trzyma, w piętnastu, a pieniądze biorą, i zboże, i sukno u króla z kasy, ilu ich jest tych ludzi, którzy biorą pieniądze. Byli w Białej, pojechali do Dorohobuża, z nimi 50 ludzi. Był w Smoleńsku sejmik ze wszystkich piętnastu grodów siewierskich i z tego sejmiku posłali pana Uhlika na Litwę z listami, do Wilna i na Podlasie, i na Wołyń, na Żmujdź, a w listach było napisanem: ci co byli przedtem w wojsku rotmistrzami i chorążymi, aby zebrali żołnierzy ośm tysięcy i na wiosnę stawili się do Smoleńska. Mówią, że z tymi ludźmi będzie poseł litewski, pan Sapielba, kanclerz (zapewne syn kanclerza). Teraz król wicz Władysław wysłał do Ciebie, Hosudar, do Moskwy, posła cesarskiego, prosić o wieczny pokój, lub choćby o rozejm na trzy lata—kłóćą się z królem szwedzkim. Do Smoleńska przysłał król wicz listy do Aleksandra Gąsiewskiego, aby siedział w Smoleńsku, bardzo był ostrożnym i Smoleńska nie zatracił..."

Smoleńsk miał słabą załogę, ale się mógł bronić. Według doniesień, Gąsiewski i podwojewodzy kn. Sokoliński rozporządzali z początku tylko 500 Kozakami, 900 hajdukami i Niemcami 300 z Rammem; doliczywszy do tego ludzi z posadu, siła obronna wynosiła 1,490 ludzi, póki ich więcej nie sprowadził wojewoda.

Nie można wprawdzie twierdzić, aby patriarcha Filaret był przyczyną wojny, która wybuchła, nie; już przy zawieraniu rozejmu w 1618 widoczną jest intencja wrócenia do ataku z zwiększonymi siłami, boć do tego tylko rozejm miał posłużyć. Dlatego tylko nie przyszło do zawarcia wiecznego pokoju. Że Filaret, przy wielkiej władzy i wpływie, jakie na Kremlu posiadał, parł do wojny, wynikało z ogólnego położenia: że wspomnienie ośmioletniej niewoli nastrajało go jak najbardziej wrogo—jest chyba całkiem naturalnem. Bez względu jednak, jakim-by było jego osobiste usposobienie, było aż nadto przyczyn do nowej wojny, a mianowicie: uporne odwoływanie się królewicza do praw swoich do tronu, Smoleńszczyzna i Siewierszczyzna, wreszcie współzawodnictwo, ciągle zajętzone, pomimo aktów na papierze i przysięg komisarskich. Że starostowie pograniczni kaleczyli w listach swoich, umyślnie, czy nieumyślnie, przyjęte formy dyplomatyczne, miało to posłużyć za usprawiedliwienie zerwania umowy, albo też Rzplta miała być tak przypartą do muru ciągłemi prowokacyami, iżby musiała złamać pierwszą ugodę. Jak wiadomo, według starego zwyczaju, i to litewskiego, korespondencye z Moskwą prowadzone były w języku białoruskim. Jużeśmy mówili o sposobie, w jaki starostowie, czy też wogóle urzędnicy, tytułowali królewicza, a odmawiali jednocześnie tytułu carskiego Michałowi Fiodorowiczowi. O to, według ówczesnych wyobrażeń, można było się sprzeczać, bo każda strona miała wiele za i przeciw do powiedzenia. Ale gorzej się działo, kiedy niektórzy obraźliwie się wyrażali o sąsiednim monarsze.

Otóż zdaje się, iż przed wybuchem wojny przyszło na nowo do bardzo zjadliwych docinków na pograniczu, gdyż bojarowie posłali ponownie do Warszawy odpisy dwóch dawnych listów: p. Uhlika i Staszewskiego, posłali je wraz ze spisem dawniejszych uchybień, a co za tem idzie, z ponownem żądaniem, aby zostali ukarani (Sobr. gosud. hram. i dogow., t. III, str. 342). Podobno odwołanie się do pp. senatorów nie sprawiło znowu wrażenia i skutku nie odniosło, co było do przewidzenia, gdyż oba państwa znajdowały się wtedy już w przededniu wojny, więc ani chwila była po temu, aby dawać zadosyćczynienie, ani też na zamku warszawskim nie łudzono się co do możliwości zażegnania niebezpieczeństwa.

We trzy miesiące, Sierpiejsk (zajęty przez kn. Gagaryna), Dorohobuż, Biała, Rosław, Siebież, Krasne, Newel, Poczep, Trubczewsk, Starodub, Nowogródek Siewierski, zdobyte zostały bez rozlewu krwi, bo nieduże załogi cofnęły się przed wielkimi wojskami carskimi i nawet za granicą litewską podjazdy kozackie zaczęły palić osady i wsie. Zajętym był już cały Czernihowski powiat, kiedy Michał Szein i Artemij Izmailow w 32,802 ludzi pociągnęli pod Smoleńsk. Piętnastego października (1632) dotarł do Szeina goniec wojewody smoleńskiego, Gąsiewskiego, Grzegorz Szczurowicz, z ostremi wymówkami za złamanie rozejmu na dwa lata przed upływem terminu. Odpowiedź Szeina musiała wypaść zgodnie z tem, cośmy już tylokrotnie przytoczyli: rozejm został złamany przez Polaków, a grody oddane zostały jedynie na czas rozejmu; na co znowu nasz wojewoda odpisał wzywając przed Sąd Boży tych, co ugodę naruszyli, przez co prawdopodobnie rozumiał nietylko Michała Fiodorowicza, ale i Filareta.

Dwunastego października (1632) zajęty był Sierpiejsk, gdzie, jak wiemy, naczelnikiem załogi był p. Uhlik; ósmnastego tegoż miesiąca—Dorohobuż, przez pułkowników Roswermanna, Leslie, Mattisona, Sauversona i Suchotina, poczem Szein poszedł pod Smoleńsk. Biała poddała się kn. Siemionowi Wasylewiczowi Prozorowskiemu; podobny los spotkał inne miasta pograniczne. Połock wydali prawosławni mieszczanie. Szein i Izmailow oblegli Smoleńsk. Na szczęście, jak wiemy, już się gotowała odsiecz, pomimo odbywającej się naówczas elekcyi Władysława IV, i udało się jednocześnie podkupić Tatarów, tak, że na wieść o ich zagonach, wielu ze szlachty, służącej pod Szeinem, opuściło obóz.

Wiemy, co się później stało. W końcu sierpnia 1633 r. nadciągnął Władysław IV, a Szein musiał się poddać w lutym 1634 r. Wojsko nieprzyjacielskie przeciągało przed królem, oddało chorągwie, armaty, z wyjątkiem dwunastu, które król w drodze łaski pozwolił Szeinowi zabrać.

Nie doczekał tego patriarchy Filaret. W chwili, kiedy wojsko Władysława IV otaczało Szeina, ojciec cara Michała umierał w Moskwie.

Wyprawa turecka, od mołdawskiej granicy, główne może dzieło Filareta, spóźniła się, więc nie dała tych korzyści, na jakie liczono. Wprawdzie wojska sultana posunęły się pod Kamieniec, gdzie osaczyły hetmana Koniecpolskiego, ale skoro Szein został pobitym, Turcyja weszła w układy pokojowe i tym sposobem Rzplta, wzięta we dwa ognie, utrzymała się przy zdobyczach, zawarła na dwie strony, wprawdzie niepewny, ale korzystny pokój.

Szein został straconym w Moskwie razem z Izmaïłowem, a syn Szeina, Iwan, także był jeniec w Polsce, zmarł w drodze na Sybir. Prawda, że i na Litwie odzywały się głosy przeciwko Szeinowi, albowiem, w czasie swej niewoli, kiedy siedział u Lwa Sapiehy w Różanie pod Słonimem, przysiągł był nie wojować więcej przeciw Rzeczypospolitej. Na Artemin Izmaïłowie ciążyły, oprócz tego, może zupełnie nieuzasadnione, podejrzenia o zdradę, gdyż przyjeżdżali do niego do obozu, znani nam skądinąd adherenci Zygmunta w Smoleńszczyźnie, Juszko Potemkin i Iwaszko Meszczerynow, aby go pozyskać.

Gdyby nie mrozy, głód i wiadomości o Turkach od granicy wołoskiej, Władysław byłby się może pokusił o stolicę. Tak jednak stanął—już nie rozejm—ale stały pokój nad rzeczką Polanówką (w marcu 1634 r.) zapewniający Polsce całe sporne pogranicze. Natomiast Władysław zrzekł się praw swoich i tytułu carskiego, a nawet, dla uchylenia wszelkich wątpliwości, obustronne tytuły zostały uregulowane.

Co prawda, nad rzeczką Polanówką odżyły wszystkie kłótnie o przysięgę, złożoną przed dwudziestu czterema laty; zawiązał się także prawnopolityczny spór o tytuł, używany przez Cara „Wszej Rusi”, bo komisarze polscy słusznie czynili uwagę, że Ruś znajduje się nie tylko w moskiewskim, ale i w polskim państwie: wypadło-by tedy w traktacie pokojowym napisać i tytułować „carem swej Rusi”, aby nie przyznawać poniekąd praw czy pretensji do ruskich województw Rzpltej. Tego postawie moskiewscy stanowczo odmówili, „gdyż wasza Małoruś, należąca do Litwy i Polski, nie nadaje się do tytułu J. Carskiego Wielicestwa „Wszej Rusi” i przyłączać tej waszej Rusi do Wszej Rusi niema potrzeby” <sup>1)</sup>.

Zdarzyła się przed rozpoczęciem układów mała, że się tak wyrazimy, dyplomatyczna awantura, bo wysłany w styczniu (1634) w sprawie ugody do Moskwy pisarz ziemski dorohobuski, Woronicz Mikołaj, wypisał tytuł carski przy imieniu Michała Fiodorowicza, czem wyraźnie stanął w sprzeczności z dotychczasową metodą, przyjętą przez dwór warszawski, odmawiającą tytułu aż do chwili zrzeczenia się go przez obecnego króla. O to potem Woronicz miał w Polsce kłopot i niesławę wielką, że się dał zwieść „hardym affektacyom i strachom”, a to tem więcej, iż przy samych układach komisarze carscy niezwłocznie powołali się na dokument, podany przez pana pisarza dorohobuskiego. W r. 1635, podczas sejmu, zerwała się burza nad głową nieszczęśliwego szlachcica, chcieli go sądzić; ale że miał swoich

<sup>1)</sup> Dlatego zapewne spotykamy później wyrażenie „Wszeci Roskiej” zamiast „Wszej Rusi.”

protektorów (jak pisze Albr. St. Radziwiłł w pamiętnikach swoich), więc już nic przeciwko niemu nie tentowali.

Były przy zawieraniu pokoju znowu próby z polskiej strony, aby doprowadzić do ligi przeciw Turcyi i Tatarom. Liga była tem potrzebniejszą w obecnej chwili, iż na wiosnę 1635 roku spodziewaną była powtórna wyprawa turecka, bo pokój z Turcyą nie był jeszcze wtedy zawartym, kiedy się kończyły traktaty nad Polanówką. Dla nas, co znamy zakulisowe dzieje tych wypraw, jest rzeczą zrozumiałą, dla czego dyplomaci carscy w żadne kombinacye przeciw Półksiężycowi wdawać się nie chcieli. Nie przystali nawet, aby wolno było poddanym carskim żenić się, spokrewniać, wysługiwać majątki i darowizny, kupować je, otrzymywać za żonami i nabywać rozmaitemi sposobami, w granicach Litwy czy też Korony; ledwo panowie wytargowali, aby chociaż złodzieje, uciekający na drugą stronę, byli wydawani. Polacy żądali jeszcze, aby na traktat, przyznający Rzpltej wszystkie zdobycze Zygmunta III z lat 1610—12, przysięgł także patriarchy moskiewski; ale moskiewscy nie chcieli przystać, „bo świątobliwy patriarchy rządzi kościołem Bożym, a do państwowych i politycznych i wogóle świeckich spraw się nie miesza”, co zresztą w części tylko prawdą było, bo w kwestyach większej wagi powaga patriarchy braną była w rachubę, nie mówiąc już o stanowisku wyjątkowem, jakim się świeżo zmarły Filaret cieszył. Polskim dyplomatom nie chodziło naturalnie o nie innego, jak tylko, aby jak najsilniej obwarować zawarty pokój, posiadac jakakolwiek rękojmię, iż nie zostanie złamanym w ten sam sposób, jak to się stało teraz właśnie. Że zaś mowa i o tem była, aby i bojarowie, t. j. rada carska, zaprzysięgli dokument pokojowy, przeto komisarze drugiej strony odparli propozycyę słowy: „wszyscyśmy *chotopy* Wielkiego Gosudara i w Jego Carskiej mocy zostajemy, postanawiać czegośkolwiek bez jego woli nie mamy prawa.” Nie mogło także być mowy o zaprzysiężeniu traktatu przez wojewodów pogranicznych, choć tego wielka była potrzeba, i to z tych samych powodów, jakieśmy wyżej przytoczyli.

Wogóle traktat doszedł z trudnością, po licznych zwłokach, sprowadzonych zwykłą metodą, t. j. stawianiem najróżnorodniejszych pretensyi i kwestyi. Na tem właśnie polegała zręczność carskich dyptomatów, aby zabawiać przeciwnika umowami, a tymczasem przygotowywać się na nowo. Z Moskwy otrzymali komisarze instrukcyę: „Wiadomem jest carowi z pewnych źródeł, że sułtan turecki ciągnie na Polskę, a w Polsce przed sułtanem bojażń wielka i król pociągnął do siebie na Litwę. Gdyby car był wiedział o tem weześniej, byłby zabronił (wam) ustępstwa tylu grodów. Główni posłowie, bojarzyn i okolniczy, (t. j. Szeremetiew i Lwow) niech mówią hardo, a reszta



niech ich uspokaja i gniew pokrywa grzecznością i rozmową, aby traktatu nie zerwać i nie okryć się wstydem." A zatem nasamprzód upominali się o te armaty, pozostawione Szeinowi przez króla. Jeden z komisarzy, obok biskupa Zadzika, hetman litewski, Krzysztof Radziwiłł, zmuszonym był odpowiedzieć, choć wiedział, że tylko o zwłokę idzie: „mówiliście nam o dwunastu armatach, których nie zabrał Szein, zdradzając jakoby swego monarchę; nie powinniście ani mówić, ani pisać takich rzeczy, gdyż amunicję zabrał nasz monarcha zbrojną ręką, a nie wskutek czyjejkolwiek zdrady, a te dwanaście armat, które Szeinowi zwrócono, on mi po przyjaźni darował, nie z przymusu; armaty te są u mnie, nie u króla, zwracać ich nie przystoi, gdyż Szein mi je podarował."

Potem znowu Fiedor Szeremetjew żądał, aby w akcie pokoju zastrzeżonem było: wiara prawosławna w odstąpionych przez Moskwę grodach nie będzie naruszana, co miało znaczyć, iż unia nie będzie wprowadzana. Pominąwszy niebezpieczeństwo zastrzeżenia, mogącego być następnie otwartą furtką do ogłoszenia pokoju za zerwany, panowie polscy i litewscy mówili o niem z oburzeniem. „O jakim-że to tyranstwie słyszeliście u nas? Każdy pilnuje swego, a nie myśli o budowie cudzego domu, u nas nie zabrania się nikomu wyznawać własnej religii. Obiecujemy to pod przysięgą, a w traktacie pisać takie rzeczy jest wstyd, wstyd dla króla i dla nas, jakobyśmy byli burzycielami wiar?!..."

Potem znowu, przysłany ze stolicy wzór aktu pokojowego rozpoczął się od wyrzutów, jakoby Polacy zerwali rozejm i t. d. Naturalnie nowe oburzenie ze strony interesowanej, dyskusyje. „My wam nie wyrzucamy i wy tego nie czyńcie!"—wołali nasi delegaci.

Pomoc Turcyi okazała się zawodną. Polscy komisarze łagodzili położenie, boć od strony Porty właściwie także nigdy nie można było być bezpiecznym, należało więc choć od tej strony zabezpieczyć sobie spokój. Dlatego, kiedy już przyszło do spisywania aktu pokoju nad Polanówką, królewscy komisarze wnieśli osobliwe żądanie: Dokonano tak wielkiego i sławnego dzieła, jakiego poprzedni monarchowie dokonać nie zdołali, na tem więc miejscu, gdzie to wielkie i sławne dzieło stanęło, t. j. gdzie stały namioty (komisarzy), na wieczną rzecz pamiętkę należy usypać dwa wielkie kopce, postawić na nich dwa kamienne słupy, jeden po stronie moskiewskiej, drugi po królewskiej, i na słupach napisać nazwiska monarchów, rok i miesiąc, jakim sposobem i za jakim pośrednictwem doprowadzoną została do skutku tak wielka praca. Ale F. Szeremetjew i jego towarzysze na to nie przystali, mówiąc: „w państwie moskiewskim tego w zwyczaju nie było i niema potrzeby robić takie rzeczy. Wszystko się to stało za wolą Bożą i to za

wolą Wielkich Hosudarów zapisanem będzie w księgach poselskich. Niestateczna to myśl kopce sypać i słupy stawiać, nie potrzeba tego, gdyż dobra rzecz stała się za wolą Bożą, a nie dla pagórków i słupów bezdusznych."

Zdaje się, iż komisarze ukrywali przed swoimi adwersarzami śmierć patriarchy Filareta, gdyż ten ostatni cytowanym jest, według przyjętego wtedy zwyczaju, jako współpanujący, kiedy wiemy, że umarł d. 10 października 1633, t. j. blisko na rok przed zawarciem umowy.

Zawarty pod naciskiem klęsk wojennych, Polanowski pokój, nad którym się tu dłużej zatrzymywać nie chcemy, nie miał zatem innego znaczenia, niż poprzedni Dywiliński rozejm—stanowił jedynie przerwę w walce o pogranicze, miał za zadanie przygotować w przyszłości powtórny próbę odwetu, mógł być tak samo zerwanym, pod jakimkolwiek upatrzonym pozorem, jak rozejm lub inna jaka ugoda. Tak go też pojmować należy. Jeśli w Polsce ludzono się co do trwałości *wiecznego* pokoju, to już zaraz po nim następująca Missya dyplomatyczna K. L. Sapielhy i Aleksandra Piaszczyńskiego, którąśmy na innem miejscu opowiedzieli, musiała ostatecznie rozczarować. Poprowadzenie nowej granicy, według paktów zawartych z Moskwą jeszcze przez Kazimierza Jagiellończyka, było wielkiem powodzeniem. Że tej starej granicy starostowie pograniczni we własnym interesie bronili, pokaże się z dalszego przebiegu stosunków. Odtąd jednak Władysław IV nie szczędzi sposobów, prób, uprzejmości, aby dojść do przyjaznego *modus vivendi* z tym sąsiadem; myśli natomiast o rozprawie z Turcyą, układa się z nią, to znów chce na nią rzucić Kozaków, czem osłabi obu wrogów, jednego zewnętrznego drugiego wewnętrznego, bo Kozaczyzna zaczyna się ruszać, rośnie i zagraża Rzpltej.

\*

\*

\*

Powiedzieliśmy już wyżej, jak należy zapatrywać się na pokój Polanowski. W r. 1636 car Michał tłómaczył się, przez posła Bukołowa, w Konstantynopolu, jako dlatego zawarł pokój, że pomoc od sułtana się opóźniała, a od hana była wielka wojna, żeby się więc sułtan za ten pokój nie gniewał. A powodów do zerwania pokoju mogło się znaleźć aż nadto, boć nietylko Moskwa, ale i Polska miała swoje pretensye. Od czasu, gdy Kozacy napadami swemi na czajkach z Zaporozża zaczęli dokuczać Turcyi, Rzplta postanowiła wziąć ich w rzyż, aby odjąć Polksiężycowi powód do napadów. Czy te wyprawy Kozaków inspirowane były z za spornej granicy — nie jest dowiedzionem, lubo poszlaki były.

Coraz też tłumniej Kozacy obu brzegów Dniepru (nie mówiąc o sporadycznych emigracjach chłopstwa) zaczynają chronić się za granicę. Jeśli przeto Władysław IV pragnie spokoju, zgody, radby złągodzić sąsiedzkie rozdrażnienie, to nietylko dlatego, że ma na oku Turcyę, której sojusz z carstwem grozi kataklizmem, ale i dlatego, że Kozacy zaczynają szukać oparcia i opieki u sąsiada. Wszyscy widzą niebezpieczeństwo, chcą kolonizacyą i szerzeniem unii przekształcić kozaczyzną, ująć ją w karby. Wielu panów polskich otrzymało jeszcze od Zygmunta III, po zajęciu granic, w województwach Czernihowskiem i Kijowskiem ogromne obszary—starostwa. Dzielono ziemię, według zasług, między rycerstwo, z zastrzeżeniem kwarty (t. j. właściwie  $\frac{1}{5}$ ) na utrzymanie wojska.

Ta wielka kolonizacya i zmiany na kresach musiały wypaść z korzyścią dla sąsiada, obrócić się przeciw Lachom, skoro o miedzę zbiegowie zapewnioną mieli bezkarność i ciche zachęty. Jakoż zobaczymy powstającą niebawem z tego powodu wielką kwestyę, której rozmiary przerosną z czasem rozmiary zwykłego domowego kłopotu, wyjdą na wielką burzę, która ostatecznie otworzy wrota krwawej wojnie od strony Smoleńska. Kiedy zaczną rość ten kłopot, rość zarazem będzie zaczepna postawa sąsiada, zawsze upozorowana, odżyją znowu spory o listy, a nawet powstaną pretensye o książki drukowane, tem natarczywsze, im bardziej barometr polityczny Polski wskazuje burzę, przegrywkę odwetu z r. 1634. W końcu zaczepki o obelgi i urazy brzmią jak surma wojenna, jak prowokacya, czem w gruncie też są.

O tyle więc pogład, wyrażony przez niektórych historyków, jakoby Polska od r. 1635 ochłonęła z obaw, niezupełnie wiernie maluje położenie. Nastąpiła wprawdzie po Polanówce, po rozejmie ze Szwecyą i Turcyą, epoka dobrobytu, gromadzenia bogactw na wielkim a żyznym obszarze pogranicznym, rozprzestrzeniania się, robienia wielkich fortun; ale od strony Ukrainy i państwa moskiewskiego czuć od czasu do czasu przebłyski tych gromów, co się gromadzą, widać uderzenia fali, bijącej o brzeg smoleński. W Siewierszczyźnie i Smoleńszczyźnie siedzieli więc, jak przedtem, starostowie—tak jak w ziemi Izorskiej Szwedzi. Ze Szwecyą także zatargi o tytuły, o to, że nie pisze się *Karlus*, ale *Karolus*, nie *Iwan*, ale *Joann*, jak tego żądał Gustaw Adolf, a powtarza królowa Krystyna.

Jakoż wkrótce po uroczystem potwierdzeniu Polanowskiego pokoju, w Warszawie i Moskwie odzywają się na nowo te same żale i skargi, które dały jakoby powód do ostatniej wojny. Ponieważ nietylko ludzie z Korony ale i z Litwy po części, a zwłaszcza wojewodowie i starostowie, białoruskiego języka nie znali i tego pisma nie byli zwyczajni, dlatego król Władysław nakazał komisarzom swoim nad Pola-

nówką, aby z bojarami J. Cars. Wieliczestwa, dla porozumienia się co do spraw pogranicznych, ułożyli krótkie tytuły obu Gospodarów, w których-by nikt nie potrzebował się mylić, bo tym sposobem była nadzieja uniknięcia ciągłych zatargów. Na swój krótki tytuł zgodził się Władysław i pozwolił się mianować: *królem polskim, w. księciem litewskim, smoleńskim, czernihowskim i innych, oraz szwedzkim dziedzicznym królem i innych*. Tytuł zaś Carski miał brzmieć w skróceniu: *Wielki Gospodar, Car i wielki kniaz Michał Fiodorowicz, Wszech Rossiej Samodzierża i innych wielu Gospodarstw Gospodar i Władca*, albo też miano dodawać tytuły gospodarstw: *włodzimierskiego, moskiewskiego i innych*. Tytuły: smoleńskiego i czernihowskiego wróciły do Litwy, gdyż „J. Król. Mość osiągnął to, czego jego poprzednicy przez długie wojny osiągnąć nie mogli.” W istocie Polacy i Litwini nie umieli (oprócz królewskiej kancelaryi) wypisywać wszystkich szerokich tytułów carskich, długich i skomplikowanych, jakich nawet bojarowie nigdy nie mogli na pamięć się nauczyć, gdyż na zjazdach poselskich, a nawet na audyencyach na Kremlu, z arkusza je odczytywali. Był wprawdzie zaraz wydany surowy rozkaz królewski względem tytułów, ale pomimo tego wiecznie były jakieś przeoczenia. Na nie nie przydała się w rzach podobnych argumentacya, jakoby dodając tytułów królowi, nie powiększa się jeszcze ani sławy, ani czei jego, tak, jak skracając tytuły J. Carskiego Wieliczestwa, nie można mu sławy i czei ujmować — w Moskwie upierano się przy każdej drobnostce. Zdarzyło się np., że i zagraniczni wojewodowie, t. j. moskiewscy, komunikując się z wojewodami królewskimi, również pisali tytuły króla nie według traktatów, a nawet później listy te pokazywano, ale tego przecież król za obrazę sobie nie poczytywał, uważając, jak mówiono, za dostateczne, gdy w *hramotach* carskich (t. j. od samego Cara) tytuł prawidłowo został wykazany. Inne pomyłki położyć trzeba na karb niesubordynacyi, czy też brawury, z jaką sprawy traktowano.

Rozpoczęło się od swarów o poprowadzenie granicy: Polska upomniwała się o Hadziacz do województwa Czernihowskiego, a Moskwa znowu żądała Trubecka od Siewierszczyzny. Zażalenia sąsiedzkie były nieuchronne, tam, gdzie granica nie była od wieku ustalona, więc stąd rozboje, bójki o używalność lasów, połów ryb i t. d. Wydobyto wszystkie stare nadania z obu stron, powoływano świadków; ale to, co jedna strona przedstawiła, druga naturalnie zbijała. Tym więc sporom o linię graniczną, a zapewne i staraniom o ligę przeciw Tatarom, zawdzięczamy ożywione stosunki między obu stolicami, poselstwa, gońców, żeby przecie ten Polanowski traktat jako tako wykonać.

Zaraz w lipcu 1635 roku, t. j. po powrocie Lwowa i Projestjewa, (patrz *Missya dyplomatyczna*. Szkice historyczne, t. I), wysłany był

do Warszawy posłannik, Juryj Telepniew, z Dymitrem Żerebiłowem, aby poskarżyć się na sędziów, wydelegowanych na granicę, i na Litwinów, którzy osiedli na ziemiach koło Brjańska, ale tej sprawy nie ukończono, gdyż w rok później przybywają do Moskwy polscy posłannicy: Janusz Oborski i Jan Kunowski, a choć się naradzali z bojarami: kn. Iwanem Golicynem, kn. Andrzejem Chiłkowem, Stefanem Projestjewem i t. d., lubo potem wyznaczeni byli do wytyczenia kopców specjalni moskiewscy delegaci: do Wiaźmy, Pskowa, Wielkich Łuk, Brjańska i Putywa; jednakowoż koniec tej sprawy nieustannie się odwleka (Dworcowyże rozrjady) str. 447). Dlatego spotykamy znowu na początku 1637 r. w stolicy carskiej posłanników: Janusza Oborskiego i kn. Samuela Druckiego-Sokolińskiego. Idzie im o wyzwolenie reszty jeńców, o rozgraniczenie, a może i o uzyskanie wydawania zbiegów, zwłaszcza Kozaków, czego traktatami nie zawarowano. Co jednak na nowo mąciło stosunki (choć one nie były dobrymi), to nowe nieprawidłowości w listach od władz pogranicznych. Kilka z tych listów pokazywali, z nienkrytą radością, bojarowie pp. posłom i odpisy z nich podali, wywlekając na nowo żądanie, aby J. Król. Mość winowajców ukarał, dla przykładu i na postrach innym. O tem poselstwo do Warszawy miało jednocześnie wnieść skargi. Wobec tych okoliczności, bardzo jest wątpliwem, czy przedstawione przez posłów dezyderata odniosły jaki skutek. (Akty zapad. Rossii, t. V, str. 27—31).

W ślad za nimi ukazują się nad Wisłą, na wiosnę 1637, kniaź Siemion Iwanowicz Charia-Szachowski z djakiem Gregorym Iwanowiczem Nieczajewem, z nowemi listami starostów pogranicznych w rękę, i to nie byle jakich, jak wprzód, ale bardzo znanych w Koronie osobistości, nietylko z żalami na niezachowanie czy skracanie tytułu carskiego, ale, co gorsza, na nieprzyzwoite żarty z monarchy. Wisiała przytem jeszcze kwestya zwrotu jeńców i nieustanne układy o rozgraniczenie. Pokazało się tedy, że, choć już sprawa z tytułem carskim była pogrzebaną, za to wypłynęły na nowo listowne urazy czy obelgi. Najwięcej skarg posypało się na Marcina Kalinowskiego i Łukasza Żółkiewskiego. Pierwszy z nich był wojewodą czernihowskim, a drugi brackawskim. Kalinowski pierwszym wojewodą za Dnieprem (późniejszy hetman koronny), zaś Łukasz Żółkiewski posiadał Perejasławskie starostwo za Dnieprem, gdzie fundował konwent OO. Jezuitów. Był on bratem Adama Żółkiewskiego, oboźnego koronnego, a krewnym słynnego hetmana. Wzięty pod Cecorą do niewoli, został później wykupionym. Zresztą wtedy, kiedy Szachowski odprawiał poselstwo, Łukasz Żółkiewski już nie żył, umarł bowiem na rok przedtem. Otóż, jeden z nich, pisząc w jakiejś sprawie list za pogranicze, zatytułował

zamiast „Wszech Rossiej samodzierżca” — *Wszech Rossiej dzierzawca*, a drugi napisał: *Michał Filarctowicz*, zamiast Michał Fiodorowicz <sup>1)</sup>. Nie możemy sądzić, czy wina była umyślną, czy przypadkową; ale, bądź co bądź, zakrawało to na żarty, złośliwą swawolę, jaką snąc wkładano w stosunki na kresach. Jak wiadomo, ojciec cara Michała, Fiedor Nikitycz Romanow, po przymusowem postrzyżeniu go na mnicha, jeszcze przez Borysa Godunowa, przyjąć musiał imię duchowne, nazwał się Filarctem i pod tem imieniem znany jest w dziejach, pod niem internowany był w Malborgu i został potem patriarchą. Nie zdaje się więc, aby lekceważenie okazane — zresztą w obu wyrażeniach — było przypadkowem. Co do Żółkiewskiego, śmierć jego rozwiązywała trudność, bo nie było kogo sądzić, ale Kalinowski żył, był najbliższym sąsiadem, i — jak widzimy — dokuczliwym. Ale i na tem nie kończyła się pretensya. Było jeszcze dwóch przestępców.

Do tego niejaki Pęski z Nowogródka (zapewne pisarz grodowy, bo starostą Nowogródka-Siewierskiego był Aleks. Piaszczyński), wypisał w podobnej okoliczności w tytule carskim, zamiast „siewiernyja strany powielitela” (pana północnych stron) — *sybirnyja strany powielitelu*. Inkryminowanym był również p. pisarz dorohobuski, o podobne — nieznanne nam bliżej — wykroczenie, a podstarości wieliski, p. Papłoński, miał napisać w liście zamiast: Michał Fiodorowicz — *Fiodor Michajłowicz*. Pisarzem ziemskim w Dorohobużu był — jak wiemy — p. Mikołaj Woroniecz.

Pomimo więc nader uprzejmego przyjęcia Szachowskiego i Nieczajewa w Warszawie, (bo wital ich za miastem kn. Jeremi Wiśniowiecki, a król w sali tronowej pozdrowił z należytemi względami) tak zwany *rozwovor* z pp. senatorami był już burzliwym, bo dyskusya zahaczała się nieustannie o te listy, których przedstawienie było może głównym celem missyi Szachowskiego. Później może wyświeci się lepiej prawdziwe znaczenie tak natężonych, upartych pretensyi, kiedy się pokaże, jak sąsiednie mocarstwo udziela protekcyi coraz liczniejszym zbiegom z nad Dniepru. Taki jest przynajmniej nasz własny domysł. Póki uciekają chłopi z Siewierszczyzny za granicę, jeszcze pół biedy; ale kiedy nie tylko Kozacy, lecz i chłopi całemi masami wynoszą się, wymordowawszy i spaliwszy Lachów, wtedy sprawa już się staje ważną i groźną. To też podnoszą się głosy senatorów, domagające się, aby zagrodzono drogę tym zbiegom. W Warszawie probują jednocześnie rozproszyć skrupuły bojarów. Niewdzięcznego

<sup>1)</sup> Jeden z Potockich był także wtedy pomawianym o podobne uchybienie, a również i Adam Kisiel, kasztelan kijowski.

zadania podjęli się ks. Andrzej Szoldrski, biskup poznański, ks. Piotr Gębicki, podkanclerzy koronny i inni. (Akty zapadnoji Rossii, t. V, str. 27—31).

Co do starostów, senatorowie wymawiali się przed Szachowskim, że są to ludzie rzemiosła wojennego, a nie dyplomatycznego, pisać po białorusku nie umieją, tytuły zaś carskie są długie i spamiętać ich trudno.

*Szachowski:* Czemuż to z naszej strony nie dzieje się nic podobnego? Kto kiedy ujmował tytułów królewskich? Prawda, po zawarciu wiecznego pokoju, rozesłane były do wszystkich naszych wojewodów listy, jak ma być pisanym tytuł królewski i dołączonym był rozkaz, aby pisano według tego wzoru, pod surową odpowiedzialnością. A u was co się dzieje? Marcin Kalinowski z towarzyszaniami w tytule carskim wypisał w liście, zamiast Samodzierzca — *Dzierżawca Wsiej Rossiej!* Jasna rzecz, zrobił to naumyślnie! gdyż nie tylko Kalinowski, ale każdy może to zrozumieć. A zatem J. Królewska Mość powinien-by ukarać ich za to bez litości i tem swą duszę monarszą oczyścić od grzechu...

*Panowie:* Marcin Kalinowski i Łukasz Żółkiewski pisali imię carskie nie z lekceważeniem, lecz za to oni na sejmie, wobec całej Rzpltej, otrzymali naganeę, zostali nazwani prostakami, nieukami, i to jest dla nich wielką karą i hańbą! Karać zaś za to ludzi takich nie można, gdyż uczynili to, nasamprzód, w prostocie ducha, a potem sam Bóg nie karze odrazu, jest miłosiernym. Nasz monarcha jest panem chrześcijańskim, pobożnym, miłosiernym, sprawiedliwym i kary natychmiastowej nie chce. Prócz tego, J. Król. Mość wolnego szlachcica, stosownie do naszego odwiecznego wolnego prawa, karać nie może bez rady Rzpltej. To zaś, co się dzieje w Moskiewskim państwie, batem siec, jest rzeczą niemożliwą i nigdy u nas się nie zdarzyło. Zaniechajmy tej sprawy, nadal nic podobnego się nie zdarzy, a mówmy o przeprowadzeniu granic...

*Szachowski:* Chcecie zaniechać tak wielkiej, głównej materyi, a przystępować do drugiej; ależ sprawa granic, wobec pierwszej, jest rzeczą ostatnią, gdyż najważniejsza rzecz bronić czci carskiej! Jeśli kogoś z was nazwą niestosownie, czy nie będziecie się bronić? i co mu za to zrobicie?

*Panowie.* Gdyby to zrobił umyślnie, to jakże nie bronić?

*Szachowski.* Wy, Panowie Rada, za swoją niesławę gotowi się ujmować, a imię naszego Wielkiego Hosudara piszą ze złośliwemi docinkami, zowią go raz Michałem Filaretowiczem, to znów Fiodorem Michajłowiczem, i wy mówicie, że ich karać nie wypada. Jakaż więc waza prawda?

*Panowie.* Nie należy karać, bo zrobili z pomyłki, nie ze złości, ale na przyszłość będą karani..

Z początku senatorowie nie chcieli nawet przedstawić tych pretensyi królowi, potem dopiero przyjęli je na piśmie. Widzieliśmy już, jak w Warszawie życzono sobie skończyć raz z temi kłopotami, pomimo trudności w ich zażegnaniu. Postanowiono tedy odpowiednią konstytucyą ustanowić prawo. Co do jeńców, o jakich się upominali, król nakazał wezwać jeszcze raz do zwrotu, bo byli ludzie wzięci jeszcze za Zygmunta, ale pod warunkiem, aby Moskwa swoich zwróciła, czemu nie ufano. Doręczyli także ze swej strony spis krzywd, wyrządzonych Litwinom, zwłaszcza przez rozbójnicze napady. Prócz tego bojarowie upominali się zawsze jeszcze o zwrot dyplomu elekcyi Władysława na Cara, zaginionego w niewiadomy sposób, albowiem powstała fałszywa pogłoska, jakoby Kazimierz Sapieha znalazł dokument w papierach po ojcu swoim, Lwie Sapieże. Dokument się naturalnie nie znalazł, bo już w roku 1631 nadaremnie go szukano, zatem nie pozostało nic innego, prócz zapewnienia jeszcze raz, iż skoro-by się znalazł, odeślą go niezwłocznie, gdyż po zawarciu wiecznego pokoju nie miał już żadnej wartości.

Wogóle pp. senatorowie z dziwnym spokojem i zimną krwią odpowiadają i odpowiadać będą konsekwentnie na zaczepki, bo wiedzą, iż chodzi o wyprowadzenie Rzpltej z równowagi — wywołanie ostrego zatargu.

Odpowiedź nie mogła wypaść inaczej, jak poprzednio; ponieważ omyłki w tytułach powstały nie ze złej woli, ale z nieświadomości, przeto Car powinien-by mimowolne omyłki, na prośbę J. Król. Mości, darować; winy te J. Król. Mość na siebie przyjmuje. Ponieważ stanęła umowa o carskim tytule, przeto senatorowie rozkażą tytuły J. Cars. Wiel. wydrukować po polsku, rozesłać do wszystkich miast pogranicznych, skutkiem czego żadnych już błędów nie będzie. Jeśli zaś zdarzy się jaki błąd po dniu 1 grudnia r. b., to winowajca karany będzie bez litości. Na sejmie król umówi się z senatorami i posłami powiatowymi, jaką karę naznaczyć na tego, kto nadal popełniać będzie omyłki. Co postanowi sejm, zostanie zapisanem do ksiąg konstytucyi i ta będzie rozesłaną do grodów pogranicznych.

Podczas układów o poprowadzenie granic Czernihowszczyzny i Putywła, nowe spory, z przytoczeniem dat historycznych, kronikarzy, latopisów i t. d. Jeden z senatorów odezwał się, że wielki kn. Michał czernihowski, wywodzący ród swój od Olgierda i holdownik Litwy, zmarł w Moskwie, w więzieniu.

Moskiewscy:



— Nieprawda, Michał Czernihowski zamęczonym został u ordy Zresztą kronikarzom wierzyć nie można, piszą, jak który chce, kronikarz z kronikarzem się nie zgadza, to nie pisma ojców świętych...

Cóż dopiero mówić o propozycjach t. zw. *dywersyi* t. j. ligi przeciw samym Tatarom, do czego król dążył, biorąc Turcyę na siebie. Przyjacielskich stosunków nie dało się ułożyć.

Odprawiając posłów, senatorowie powtórzyli chęci pozostania w zgodzie: Wielki nasz Monarcha z waszym Wielkim Hosudarem chce trwać w mocnej miłości braterskiej, jak należy być z prawdziwym, naturalnym, monarszym przyjacielem. Jemu i jego dzieciom nasz król życzy wszelkiego dobra, i tak z nim, jak z Jego potomstwem, chce braterstwa i połączenia, aby Ich poddani żyli w pokoju, aby pogańskie i bisurmańskie narody, widząc zgodę i miłość, bały się i nie śmiały napadać chrześcian. My, panowie senatorowie i urzędnicy, za Wielkiego Monarchę naszego i za całą Rzpltą, pod przysięgą obiecujemy, iż król nasz, my i cała Rzplta, całą duszą i z starannością wszelką myśleć będziemy o tem, aby pomiędzy naszymi monarchami pomnażała się przyjaźń i miłość bez umniejszenia, bo niezgody i nieprzyjaźni ze strony królewskiej nie będzie. Podobnież i Was posłów J. Cars. Wiel. prosimy, donieście to waszemu Monarsze, bojarom i ludziom dumnym, braciom naszym, aby Waszego Monarchę skłaniali do tego, aby z Bratem swym, Monarchą naszym, pozostawał niezmiennie w przyjaźni, braterstwie i miłości.

Władysław IV robił nawet poświęcenie, byleby zachować prawidłowe stosunki; poselstwo wyjechało na pozór pogodnie, ale zostawiło senatorom list, w którym w ostrych i wyniosłych słowach domagało się o pełne tytuły dla swego Hospodara, a niedopisywanie ich przy imieniu J. Król. Mości (Akty odnos. k istor. zapadnoj Rossii, t. V str. 27—31). Panowie z Królewskiej Rady nie mogli pisma zostawić bez odpowiedzi, posłali więc za nimi list, bardzo wyczerpujący, niejako reasumujący sporne interesa i dlatego z kilku względów bardzo ciekawy, tak, że go tutaj w obszernym wyciągu zamieścimy: „Wykładaliśmy wam już szeroko, iż J. Król. Mość rozkazał nadawać nowe tytuły J. Cars. Wiel., a stało się to przez omyłkę, że Pęski z Nowogródka Siewierskiego napisał miasto „siewiernyja strany powielitiela” (władzcy północnych stron) *sibirnyja strany*. Tu się pomylił o literę, napisawszy zamiast *w* — *b*, co się często djakom waszym przytrafia, a omyłki takie przez ludzi rozumnych bywają uważane za nic. Że zaś imię J. Cars. Mości, zamiast Michała, napisano *Fiodor Michajłowicz*, rozkazano ukarać dorohobuskiego pisarza <sup>1)</sup>, a Papłńskiego za taką omyłkę, z wielkiego podstarostwa złożyć.

<sup>1)</sup> grodzkiego.

Po wyjeździe waszym z Warszawy, przedrukowawszy tytuły J. Carskiej Mości z traktatów, porozsyłaliśmy je po miastach ukraińskich wraz z surowym rozkazem, aby nikt się nie ważył pisać inaczej, jak według druków, a nadto obiecaliśmy wam, iż na najbliższym sejmie omówionem będzie, jak ma być za to karany każdy, kto się w tytułach pomyli. Was to przecie nie zadowoliło, napisaliście hardo iż w sprawach pogranicznych *nie godzi się* w krótkim tytule zwać J. Król. Mość „i innych *Hospodarstw Hospodarem...*”

Sami przecie wiecie, iż w ostatecznych traktatach tytuł J. Król. Mości brzmi: *Najjaśniejszy Władysław IV, z Bożej łaski, król polski i wielki książę litewski, ruski, pruski, żniujdzki, mazowiecki, kijowski, wotyński, podolski, smoleński, podlaski, czernichowski, połocki, witebski, mściławski, inflancki, estoński etc., a szwedzki, gocki, wundalski dziedziczny król, książę finlandzki etc.* Otóż, w krótkim tytule napisano jednym słowem: *i innych Hospodarstw Hospodar*. A wy w tem Panu naszemu, Bożemu Pomazańcowi, chwały ujmujecie, nie sromacie się pisać o nim „nie godzi się.”

Napisaliście jeszcze, iż przez takie pomyłki pokój jest naruszonym, jakoby wojną nam grożąc, jeno wasze groźby nie straszne. I jeśli pogardzicie łaską króla naszego i pobłażliwością, i znów wszechcześnie zapasy, Bóg was sprawiedliwy ukarze za pychę waszą, jak pokarał przodków waszych i was niedawno! Przodkowie wasi łamali przysięgę i potracili wiele grodów, w których liczbie są i stołeczne niegdys. Ze strony króla doznaliście byli pobłażliwości wiele, gdyż on odstąpił dla pokoju chrześcijańskiego nietylko od wielu grodów, które z prawa należały do jego przodków według układów, ale zrzekł się swego prawa do tronu moskiewskiego i wiele tytułów waszemu Hospodarowi przyznał, i sam go według traktatów tytułuje. A wam to wszystko niemilem się zdaje, wynajdujecie przyczyny niezgody i niepokoju, a spokojem przez Boga darowanym jakby pogardzacie. Pamiętajcie tylko, iż Bóg karze i kruszy hardych, a w prawdzie niestających, a pokornych i sprawiedliwych łaską swą wspiera. Nie grozimy wam i chcemy dochować przysięgi naszej, ale gdyby z waszej strony naruszoną ona być miała, sądzimy, iżby to już ostatnie musiało być zerwanie pomiędzy nami przymierza <sup>1)</sup>, pokoju, braterskiej miłości.”

W dalszym ciągu senatorowie nawołują przeciwników do zgody, a o bieżących sprawach robią następujące energiczne uwagi:

<sup>1)</sup> We współczesnych aktach napotyka się czasem rusycyzm (peremirje) zwłaszcza w pismach do Moskwy. Ma znaczenie: pokoju, rozejmu, zgody—a nie *przymierza*, w zwykłym rozumieniu.

— Co się tycze spraw granicznych, o których piszecie, jakożeście już pierw pisali i mówili, winę z siebie zdejmując a nas oskarżając, to i w tem grzeszycie. Gdyż daliśmy wam już sprawiedliwą i słuszną odpowiedź i z kosmografii (? map) wykazali, iż *sturożyły* z waszej strony królewskich starożyłów okłamują, a sędziowie graniczni urywają królewskie ziemie. Jasno i wyraźnie widzimy, iż wzorem przodków chcecie znowu złamać przysięgę. Za dawnych gospodarów zajmowaliście ziemie królewskie, oderwaliście Newel, Krasne, Siebież, Opoczkę, Zawołoczce od Połocka, a Wieliz, Uświat, Ozieryszcze od Witebska i grody tam pobudowali, za co ukarał was Bóg i wygasł ród waszych gospodarów. Odlóżcie zatem na stronę grzeszne przykłady przeszłości, a postępujcie według sprawiedliwości, nie pragnąc cudzego, a małej omyłki za złamanie pokoju nie uważajcie. Gdyż wy, jeśli się kto na literę pomyli, uważacie to za złamanie pokoju.

My nie postępujemy tak, i w wielu miejscach sędziowie graniczni ustąpili wiele ziem J. Cars. Mości. Mieli oni na dowód swej słuszności *hramotę* Iwana Wasylewicza, w której opisana jest granica wieliska, a przecie, pomimo tego dowodu, wiele ziem, rzek i jezior J. Cars. Mości ustąpili. A wam i to nawet nienawistnem się zdaje, a mowy nasze za nieprawdę poczytywać chcecie. A jakże my mamy dawać wiarę waszym starożyłom? Chłop tak powiada i tak granicę prowadzi, jak mu sędziowie graniczni pokażą. Jakże mamy wierzyć waszym księgom, gdy wy starej hramoty i pieczęci Hospodara waszego (Groźnego) przyznać nie chcecie? Bóg będzie mścicielem waszej nieprawdy i uporu.

Co piszecie, iż p. Gąsiewski pozabierał latopisy moskiewskie podczas zaburzenia w Moskwie, jest również nieprawdą. Brał on księgi, po zdradzie moskiewskiej, gdy się ze zdrajcami na szable rozprawiał, a czynił to jawnie, nie ukradkiem, mógł był wszystkie księgi moskiewskie zabrać i wywieźć, a nikt-by mu tego wzbronić nie mógł.

Gdy przybyli posłowie, dla podpisania traktatów <sup>1)</sup>, pan Aleksander, z rozkazu króla, księgi wrócił, czego dziś żałujemy, należało bowiem je zachować dla obrony przeciw nieprawdzie na granicach, aby was można było karcieć waszemi własnymi księgami.

Napisałiście jeszcze, iż wielcy książęta litewscy zawładnęli byli Putywlem i Czernihowem za udzielnych książąt, podczas wieczystego pokoju. Tego przecie nie możecie niczem dowieść, gdyż i wasi, i nasi kronikarze i latopisy świadczą, iż w. ks. litewscy szablą odzyskali je od Tatarów, a nie od Moskwy, po zawojowaniu bowiem ziem moskiew-

<sup>1)</sup> w r. 1635. Patrz „Misya dyplomatyczna“ t. I moich „Szkiców historycznych.“ Petersburg, 1894.

skich zajęli wszystko Tatarowie i dań z całej ziemi moskiewskiej brali i po daninę do w. książąt litewskich przysłali. Już sam car tatarski na Litwę z ordami ciągnął, gdy na spotkanie jego wyruszył w. książę (litewski) na czele wojsk swoich pod Kojdanów i na głowę Tatarów poraził.

Wówczas, przed wielu laty, odebrano Tatarom Czernihów, Starodub, Karaczew, Putywl i wiele innych miast. A sami przyznajecie, iż gród Romno zbudował książę Samuel Korecki, wówczas gdy Czernihów należał do J. Król. Mości, a król J. Mość nie posiadał Czernihowa, ale odzyskał prawowitą własność Rzpltej. A na swej prawowitej, starodawnej ziemi, wolno było królowi ludzi i slobody osadzać.

Ale kiedy według swego rozumienia macie słusność i, co mówicie i piszecie, za święte poczytujecie, to dlaczegoż ty, panie Grzegorz Nieczajew! należąc sam do poselstwa i wiedząc, iż w Romnie, Hadziazcu i innych miejscowościach <sup>1)</sup>, które wy Ziemią Putywlską zowiecie, grody i zamki pobudowano z dawna, tegoś wówczas nie mówił i nie przepisał ich na moskiewską stronę? Wówczas nie podpisywali-by posłowie z wami wieczystego pokoju i rozjechali-by się każdy w swoją stronę, a Bóg-by rozsądził sprawiedliwym sądem swoim, do kogo należeć winny nie tylko te grody i ziemie, o które dziś trwa spór, ale i inne księstwa, zamki i włości. Bo jeśli podczas ostatnich układów, gdy szło jedynie o Trubczewsk, Poczep i Krasne, posłowie J. Król. Mości ustąpić ich nie chcieli i przez to rozerwane były układy i już niektórzy posłowie poodjeżdżali byli do swoich taborów, aliści zawróciliście ich z drogi, dla dokonania układów! Dla Romna więc i innych osad i włości, których się dziś bezwstydnie domagacie, gotowy już pokój byłby rozerwanym i Bóg-by sprawy wasze rozsądzał. Lecz wy, panie Nieczajew, z towarzyszami, nieście o owych miastach i włościach nie mówili i nie przypomnieliście o rozgraniczeniu Putywla z Kijowem i Czernihowem, a przez to omamieni zostali posłowie J. Król. Mości. Gdyż kasztelan kamieniecki <sup>2)</sup>, a dzisiejszy kijowski, chociaż na tej Ukrainie bywał, ale kiedy o granicy Putywla z Kijowem i Czernihowem przemilczeli, on, nie znając granic, nie sądził, aby miała pójść granica między księstwem Kijowskim a Czernihowskim. Tylko mówiono o rozgraniczeniu Putywla z Nowogródkiem Siewierskim, a on był starostą nowogrodzkim, więc dopilnował, aby z Nowogródkiem zapisane były horodyszcza starożytne. Albowiem, wy, posłowie J. Cars. Wieliczestwa, przyszyliście do Nowogródka Trubczewsk, Po-

<sup>1)</sup> Romno było starostwem Kazanowskich, a Hadziazcz dostali Koniecpolscy.

<sup>2)</sup> Aleksander Piaszczyński.

czep, małe miasteczka, które rozgraniczać potrzeba, o takich wielkich księstwach, jak Czernihów i Kijów, przemilczeliście i o ich rozgraniczeniu nie wzmiankowali.

A przecie o tak wielkiej nieprawdzie i chytrości z waszej popełnionych strony, ani nam mówić dajecie, ani sami słuchać chcecie i jakby za obrazę swoich posłów poczytujecie. Zatem słowa, któreście nam w ostatnim liście napisali, na was samych zwracamy i powiadamy, iż należy się każdemu człowiekowi wstydzic i w tak niesprawiedliwej sprawie poprawić się. Ze strony J. Król. Mości, sędziowie graniczni wiele ziem ustąpili od Dorohobuża, Wieliża i Białej, czem okazali swą pobłażliwość i skłonność ku dobru. Wy przecie sędziów J. Kr. Mci obwiniecie, iż przez nich dzieje się zwłoka w rozgraniczeniach, a swoich winnych usprawiedliwicie, czego wam-by się czynić nie należało, a należało za naszym przykładem zachowywać przyjaźń i braterstwo między naszymi wielkimi Hospodarami, a pomiędzy ich Gospodarstwami pokój i przymierze, a tylko takim życzeniom Bóg będzie błogosławił..."

Najnowszym wyrazem pokojowej polityki Władysława IV, a zarazem koniecznością podyktowaną przez doświadczenie, było uchwalenie na sejmie konstytucyi, dla powściągnięcia awanturnicznych śmiałości, krzyżujących plany królewskie. Rplta była-by chętnie uzyskała pomoc wojenną, choćby tylko przeciw Tatarom, Turcyę była-by już sama wzięła na swój karb. W lutym na sejmie 1637 r. wyszła głośna konstytucya p. t. „Zatrzymanie pokoju z Moskwą”, nakładająca kary na takowych, którzyby dalej pisali tytuły carskie, zmniejszając je, albo odmieniając, a mianowicie *poenam perduellionis*, t. j. że ich śmierć czekała i zabranie majątku (Póln. sobr. zakonow, t. I, № 40 i 104). Listów do wojewodów moskiewskich i innych im podobnych żaden prywatny nie ma pisać. Wprawdzie później, t. j. w r. 1661, zniesiono tę konstytucyę, w czasie wojny, zakazano drukarzom ją przedrukowywać, tak w Koronie jak Litwie, sub *poena colli*.

Już w sierpniu tegoż roku mogli przedstawić w Moskwie, Janusz Oborski i Samuel Sokoliński, egzemplarz drukowanej uchwały sejmu, zwłaszcza, że ją jednocześnie do grodów posłano, na czem chwilowo nieporozumienia się zatrzymały.

Co więcej, jako dalsza próba zbliżenia się, Władysław IV zawiadamiał przez posłanników cara Michała o przyszeniu małżeństwie swoim z arcyksiężniczką Cecylią Renatą, siostrą cesarza niemieckiego. Na audyencyi posłowie byli tłumaczami królewskich myśli, kiedy oświadczyli:

„Na tak sławny i radosny dzień racz W. Cars. Wieliczestwo wysłać swych posłów i pokazać tem całemu światu, że radością J. Kr. Mości, Brata swego, prawdziwie się cieszysz i radujesz! Gdy W. Cars. Wieliczestwo raczysz to uczynić, nietylko wzmocnisz serce J. Kr. Mei w braterstwie i miłość ku sobie, lecz i poddane Ci narody ucieszą się nadzieją zgody i miłości, a zatem, daj Boże, niewzruszonego pokoju. Król zaś będzie umiał okazać przed całym światem swą niezachwianą miłość braterską i silną, wieczną przyjaźń...”

Odpowiedź carska była pełna uprzejmości, nawet dowiadywali się kiedy ślub; ale skoro usłyszeli, że 6 września, oświadczyli, nie bez racyi, bojarowie: czas jest za krótki, poseł nie zdąży do Warszawy, ale na to posłowie mieli już przygotowaną grzeczną replikę, że król dzień ślubu umyślnie odłoży... Ostatecznie rezolucya brzmiała:

— „Car dziwi się, żeście posłowie przyjechali tak późno; teraz J. Cars. Wieliczestwo nie ma czasu posłać posła do J. Król. Mości, gdyż nadchodzi jesień, droga będzie zła, błota i gruda, i poseł żadną miarą nie zdąży, choćby król i zechciał wstrzymać się z dniem. Jednak, na znak przyjaźni i miłości, car wyśle do króla swego posła z życzeniami, kiedy się ustali droga zimowa.“

W samej rzeczy byli w Warszawie, jak zwykle podczas sejmu (w zimie 1638), w czasie, kiedy ścięto herszta kozackiego, Pawluka, znany nam już Stefan Projestjew z djakiem Leontjewem, a nawet przywieźli bogate podarunki dla nowożeńców, między innemi nalewkę złotą, wysadzaną kamieniami, która jest dotąd w zbiorach cesarskich w Wiedniu. Były i skórki sobolowe, i żywe sobole, i złoty czepiec, sadzony kamieniami, dla królowej. Początek był przeto wielce obiecującym.

„Gdy król rozkaże być u siebie na posłuchaniu, a o królowej powiedzą, że i ona jest z królem, odpowiedzieć, że gotowi są iść na posłuchanie, ale dodać: gdy posłowie bywają u W. Hosudara, to caryca tam nie bywa, i u poprzednich W. monarchów nie było to we zwyczaju.” Jeśli wezwą do królowej, iść, złożyć podarunki, rękę ucałować, a jeśli królowa pocznie mówić mowę, to odpowiedzieć i mówić tak, aby była cześć dla Hosudara, o jego potędze i ku rozszerzeniu granic państwa.

„Jeżeli król poprosi do siebie na obiad, to dworzanom i ludziom poselskim surowo rozkazać, aby siedzieli u stołu przyzwoicie i czujnie, nie upijali się i nie odzywali się grubo, a podrzędniejszych ludzi wcale nie brać do zamku, aby nie było pijaństwa, ani burd, kazać im siedzieć w domu, hulaków i pijaków wogóle na zamek nie brać.” Była to zwykła instrukcyja ogólna.

Wprawdzie Projestjew i Leontjew przybyli wieszować, lecz obok tego mieli polecenie poruszyć na nowo żądania surowego ukarania ludzi przekonanych o pomyłki w listach.

„Mówić o tem z panami Rady i wszelkimi sposobami nakłaniać ich, mówić często i długo. Gdy zaś panowie powiedzą, iż pisarza z Dorohobuża ukarano za wykroczenie, a dzierzawcę Papłońskiego zrzucano z urzędu, odpowiedzieć: wstyd nam i słuchać, że za tak wielkie winy nałożono tak małą karę. Karę takową należy naznaczać za ubliżenie zwykłym ludziom, ale nie Monarsze.” — Co więcej, mieli się starać i, dla skuteczniejszego załatwienia interesu, prosić o pozwolenie stawienia się na sejmie, ogłosić tam imiona ludzi, którzy pisali imię hosudarskie nie według wzoru, tak, aby senatorowie i cała Rzplta zastanowiła się nad tem i na tych ludziach, według winy, wykonała karę śmierci, innych zaś surowo ukarała, inaczej, t. j. jeśli nie będą ukarani śmiercią, jakąż-by mogła być zgoda między monarchami? „A co do sprawy rozgraniczenia, powiedzieć, że się przeciąga, mimo umowy poselskiej, zbyt długo, a to przez upór sędziów delimitacyjnych: i na granicę putywską przysłano, jako sędziego granicznego, biskupa kijowskiego, który w tej rzeczy sam jest interesowanym i robi co mu się podoba, udziera się niesłusznie o ziemie carskie, aby dogodzić życzeniom ludzi kijowskich i putywskich, którzy na tych ziemiach osiedli. Wspomnieć także, że wielu jeńców nie wypuszczono. Poskarżyć się, że posłowie królewscy (zapewne Oborski i Sokoliński), wracając z Moskwy, przyjmowali w Dorohobużu ludzi carskich, uwięzli z sobą z Moskwy majstra drukarskiego, Nikitę Nestierowa, którego im przystaw carski dopiero odebrał.” (Nestierow prawdopodobnie sam się wynosił i dla bezpieczeństwa wmieszał się do legacji).

Co do tych kupców, o których przy układach nad Polanówką było tyle rozpraw, przyjsć miało znowu do dyskusyi. Stosownie do ułożonych za missyi Piaseczyńskiego i Sapielhy (w r. 1635) punktów, dozwo-  
lonem było kupcom z Korony i Litwy handlować w miastach granicznych, ale wolnego wjazdu do Moskwy nie chcieli pozwolić, aż nareszcie stanęło, aby tylko przy poselstwach jeździli, tak, jak i kupcom moskiewskim wolno było udawać się do Wilna, Warszawy i Krakowa tylko przy posłach. Pomimo tego zdarzało się, iż kupcy, nie oglądając się na traktaty, dojeżdżali cichaczem z kontrabandą do miejscowości bliższych carskiej stolicy, naturalnie bocznemi, leśnemi drogami, a nawet przywozili gorzałkę i tytoń, których przywóz do miasta bezwarunkowo był zakazany, jako stanowiący dochód monarchy. Do tego, podczas ostatniego poselstwa, kupcy litewscy, po wyjeździe Oborskiego i Sokolińskiego, zostali trochę dłużej, niby dla skończenia interesów, i, jak się wykryło, sprzedawali potajemnie zakazany towar. Tytoń im odebrano i w ich obecności spalono, ich zaś wygnano. A kupców litewskich, co samowolnie przyjeżdżali do powiatu Oskolskiego z towarami wojewoda oskolski, Puszczyń, zrabował, za co Hosudar kazał go śmiercią

ukarać, a syna jego i 25 ludzi, wmieszanych w tę sprawę, polecił batożyć wobec kupców litewskich, którym zrabowane rzeczy zwrócono. Dlatego też tłumaczyli posłowie:

— „Wielki Hosudar nasz, dla zwykłych litewskich ludzi, poddanych dusz, karczmarzy, nie oszczędza wojewody i wielu innych, a J. Król Mość i Wy Panowie! za wielką i najgłówniejszą rzecz, za tytuł Wielkiego Monarchy, nie kazaliście na nikim wykonać wyroku śmierci! Do Tweru przyjeżdżało dwóch kupców litewskich, jeden z Wilna, drugi ze Smoleńska z gorzałką i tytoniem: z Tweru zwrócono ich, a dla bezpieczeństwa dodano im przystawa, lecz oni, oddalwszy się od Tweru pięć wiorst, przystawa odegnali i samowolnie skierowali się do Jarosławia, ale i z Jarosławia wyprawiono ich także. Wtedy zaczęli jeździć po wsiach. Za takowe szachrajstwa wsadzeni byli w Jarosławiu do wieży, potem ich wypuszczono, a beczki z gorzałką zostały rozbite, tytoń spalony.”

Czy tak rzeczywiście było, wielkie jest pytanie, bo kupcami w Rzpltej posługiwano się dla zbierania wiadomości—zatem każdy sposób był dobry, aby się ich pozbyć. Ale, że z kontrabandą były zwykłe na granicach kłopoty, to jest pewnem. Osobliwie kupcy litewscy z Dorohobuża byli pilnie śledzeni za granicą, łapano ich, męczono i odsyłano, aby się nie wywiadywali. Może nawet—jeśli wieźli tytoń i gorzałkę, to tylko dla upozorowania tajnych, bocznych dróg, jakimi się przemykali ku Wiaźmie, kurzece Oce, do Kozaków. Chociaż np. raz schwytanych było 6 Polaków, kiedy pod Niżny-Nowogród sześć wozów tytoniu przeszwarzcowywali. Złapani i odesłani pod strażą do Moskwy, zabili straż i znikli bez wieści...

Nawet o Tatarach miała być mowa.

„Han krymski, Bahadyr-Girej, wysłał brata swego, Nuraddyna, wojować moskiewskie pogranicza. Nuraddyn w liście swoim powiedział, że wojuje, gdyż dońscy Kozacy Azow zdobyli, a w jego wojsku mieli znajdować się Kozacy zaporoscy. Car nie wierzy „hramocie” krymskiej, aby J. Król. Mość puścił Kozaków carowi krymskiemu do pomocy.

„A jeśliby panowie powiedzieli, że król karze za to Kozaków, ale oni, uciekając przed karą, przechodzą na carską stronę, należało odpowiedzieć:

— „W traktacie pokojowym o tem mowy niema, aby zbiegów wydawano, a czego w traktacie niema, o tem mówić nie przystoi...”

W powyższej dyalektyce najlepiej odzwierciedla się charakter negocjacji. Kozacy oddawna już broili, buntowali się—nawet choćby nie przypisać winy starostom, wojewodom, lub szzerzeniu się unii, żywioł kozacki, w miarę jak wzrastał w siłę, rozradzał się, poczuwał się



do życia samodzielnego, do czego mogły tylko płynąć tajne zachęty z za pogranicza, bo tego sytuacja polityczna wymagała, o czym zresztą wiedziano w Rzpltej. Czy rzeczywiście w koronie — pomimo, że się wypierali—patrzyli przez szpary, a nawet z wyrachowaną radością, na kozackie inkursye razem z tatarskimi, trudno przesądzać, ale jest to prawdopodobnem. Ale jedynym sposobem powściągnięcia swawoli były srogie kary na tych stepowców. Cóż, kiedy uciekając za kresy, mogli być zupełnie bezpieczni. Zobaczymy, jaki później Rzpltej urósł z tego kłopot, jak nawołują sąsiada do współdziałania — ale ten wymawia się systematycznie brakiem odnośnego zastrzeżenia w akcie Polanowskim.

„Jeżeli zapytają, czy J. Cars. Wieliczesstwo komunikuje się z Papieżem rzymskim?—odpowiedzieć: J. C. Wieliczesstwo z Papieżem stosunków nie miał i znosić się nie będzie, gdyż kraj rzymski od moskiewskiego daleko, między nimi leży wiele ziem i niema o co się komunikować.”

Jeśli się dobrze domyślamy, musiały wówczas być przedsiębrane kroki dyplomatyczne z Rzymu, aby cara Michała namówić do ligi przeciwko Turcyi. Stąd poszła powyższa informacja, bo legat papieski rezydował w Warszawie. Przy tej sposobności, dwór carski polecił jeszcze Projestjewowi, aby, będąc w Warszawie, obstałował portrety zmarłego w Gostyninie cara Wasyla Szujskiego, znanego także w Polsce patriarchy Filareta, oraz królewskiej pary: Władysława i Cecylii Renaty. Zdaje się nawet, że jeden z tych portretów, a mianowicie Filareta, dochował się do dziś dnia, o czym będziemy mieli jeszcze okazję mówić na innem miejscu.

Przyjęcie Projestjewa i Leontjewa było uroczyste, zupełnie ściśle według wymagań ceremoniału. Przybysze oddali upominki, tylko kiedy król Władysław kazał je położyć obok siebie na posadzce, zaprotestowali, mówiąc, że przyjacielskich podarunków na ziemi kłaść się nie godzi, trzeba je przyjąć godnie—na co monarcha rozkazał otoczeniu, aby je przyjęli.

Wyszedłszy od króla, posłowie przedstawiali się królowej, potem byli zaproszeni na włoską komedję. Ale i tutaj nie obyło się bez reklamacyi, bo zgodzili się wprawdzie uczestniczyć w „potiesze” (komedyi), ale pod warunkiem, aby żadnych innych posłów nie było, gdyż obawiali się, że ich niżej posadzą. Ponieważ w r. 1635 był już podobny przypadek i posłowie byli na komedyi, gdzie był poseł florencki i legat papieski, Visconti, przeto widocznie wtedy dano im miejsca podrzędniejsze i dlatego obecnie poczynili zastrzeżenia. Wprawdzie obcego posła żadnego, oprócz nich, w Warszawie teraz nie było, jednakowoż, kiedy przyjechali, z przydanym im przystawem, na zamek, dowiedzieli

się, że będzie legat papieski, a że ten ostatni zabierał zawsze miejsce honorowe, więc się zaczęli cofać. Chociaż im tłumaczono, iż legat nie jest właściwie posłem, bo mieszka stale w Warszawie dla spraw duchownych, nie zaś dla poselskich, a na wszystkich dworach siada po prawej ręce monarchy, i wy posłowie powinniście go uczczyć; oni odrzekli: jeśli tylko legat papieski ma siedzieć, wobec nas, po prawej ręce króla, my nie jedziemy na *potiechę*... Nie pozostało nic innego, tylko dać znać o sporze marszałkowi nadwornemu, poczem oznajmili posłom, że urządzono rzecz w ten sposób: po prawej ręce królowej będzie siedział brat królewski, ks. biskup wrocławski, Karol Ferdynand Waza, po lewej—siostra królewska, Katarzyna; dla was zaś, posłów, przygotowaniem jest miejsce po prawej stronie od królowej Katarzyny. Siedzieli tedy między Katarzyną a królową, legat papieski z drugiej strony Katarzyny, potem król. Wprawdzie bojarowie ustąpili kroku, ale donosili następnie: siedzieli o pół sąnia od krzesła królewicza (biskupa) i królowej i narówno z ich krzesłami...

Nie tak już gładko poszło z nieporozumieniami o urazy, spowodowane przez starostów w Smoleńszczyźnie, czy Siewierszczyźnie, bo Nowogródek Siewierski, t. j. cały powiat, jako niegdyś należący do Smoleńska, wrócił był, t. j. został napowrót włączonym, do województwa Smoleńskiego. Odpowiedź, jaką dostali posłowie, znamiennie bardzo stanowisko, z jakiego obie strony się zapatrywały. „Panowie, ci, co zawinili w listach do wojewodów carskich, przez ujęcie tytułu, otrzymali już nagane. Co zaś do pisarzy grodowych, zapadło postanowienie: jeśli to szlachcie, wsadzić go na pół roku do więzienia, jeśli prosty człowiek, batem go karać. A co do sprawy rozgraniczeń—słuszność jest po stronie polskiej. A co do jeńców, wielu jeńców polskich znajduje się dotąd w państwie moskiewskim; a co do tych kupców, wina nie leży po stronie polskiej, bo sami wojewodowie nadgraniczni wasi biorą od litewskich kupców kubany i podarunki, wydają paszporty, a za to w dalszych grodach paszportów tych nie uznają i do więzienia kupców wtrącają.

Co do Zaporozców: Nuraddyn skłamał, Zaporozców w wojsku tatarskiem nigdy nie było.

Nie będzie zbytecznem nadmienić przy sposobności, iż Car Michał zbierał opinie i zdania swoich bojarów.

— „Jakie miasta litewskie, wsie i siola stały na carskiej ziemi putywlskiej, myśl moja nie spamięta—odpowiada kn. Iwan Golieyn.— O tak wielkiej sprawie, z powodu mojej głupoty, sądzić nie mogę. A co piszą o czei carskiej, to nam, chołopom Hosudara, sądzić nie wolno. Sojusz polski na Krymców nam niepotrzebny, mnie się zdaje, choćby dlatego, iż ludzie nasi z Polakami wojennie służyć razem nie mogą,

z powodu różnicy w szyku bojowym. Jeśli przyślą Czerkasów (Kozaków), będą między nimi Polacy, przez rok jeden pobędą z nimi na słuźbie, a na drugi rok nie zostanie u nas ani połowy naszych najlepszych ludzi...”

Poselstwo wróciło, poczem Car zdecydował się wysłać gońca z propozycją, aby sporne ziemie wymierzyć i rozdzielić po połowie. Nie rozwiązywało to, co prawda, zatargu o zbiegów z Ukrainy, wynoszących się coraz liczniej za granicę, z powodu nowej organizacji, t. zw. chłopienia, jakie Rzplta zaprowadzała. Dla pohamowania wzrostu i siły kozaczyzny, oraz ze względu na ekonomiczne potrzeby wielkich właścicieli, Rzplta wzięła się do przerabiania wolnych Kozaków na *chłopów* (z wyjątkiem rejestrowych), w czym prywatny interes wielkich panów nadnieprzańskich schodził się z potrzebą polityczną. Mnóstwo więc Kozaków stawało się niewolnikami, nieograniczoną własnością posiadaczy, a co najdotkliwsze, mieli płacić daniny. Najwięcej zapewne interesowanym był Jeremi Wiśniowiecki. *Chłopi*, t. j. ludzie przywiązani do gleby, według ówczesnych urządzeń i wyobrażeń, mogli być ścigani i poszukiwani, jak każdy dobytek. Z tych danin, jakie wtedy powstały, płynęły ogromne dochody królewiat ukraińskich. Rozumie się, urządzenie obszarów przez starostów, wkładanie jarzma pańszczyzny, nie obyło się bez gwałtownego oporu, kryminalów, rzezi, mordów, podpałań.

Nieraz Kozacy wyrznęli rodzinę podstarościęgo, krwawo pomścili swoją niewolę i — uciekali. Stąd powstał straszny bunt Ostrouma i Guni, stłumiony krwawo przez Stanisława Koniecpolskiego i Jeremiego Wiśniowieckiego. W jednym miejscu wyludniały się całe okolice, w drugim mordowano się nawzajem. Pawluk wyrzynał napływową ludność — Lachów.

Zdaniem senatorów, kwestya zbiegów była jedyną i to wielką obrazą; wobec niej niknęły kancelaryjne nieformalności, o które tyle było hałasu. Nic tak nie drażniło, jak kiedy zbiegowie znajdowali przytułek za granicą, i to pomimo strasznych gwałtów, jakich się dopuszczali. Zdawało-by się nawet, jakoby różnorodne prefensye, o jakich była mowa, podnoszone były tak namiętnie, aby z góry zaszachować, czy zamaskować nieprawidłowości sąsiedzkie, polegające na niesłychanem, jak na owe czasy, udzielaniu schronienia ludziom bezwłasnowolnym. Do tego Kozacy, skoro raz uciekli, mogli nawoływać innych z Czernihowszczyzny, z za Dniepru. Ale na odnośne skargi jakąż była odpowiedź?

— „Wiadomo wam samym, w traktacie nie napisano, aby zbiegów wydawać, a ile Czerkasów na stronę moskiewską poprzehodziło, o tem z miast wieści nie było. Wiadomo wszystkim, iż nietylko do

miast carskich chronili się Czerkasy, ale i w inne miejsca. („Jeśli tego panowie poruszać nie będą, nie dotykać tej kwestyi” — powiedziano bojarom w instrukcyi).

\*

\*

\*

Kiedy w lutym 1640 r. przybyli do Moskwy posłowie królewscy, Stachórski i Rajceki, sprawa kozacka przybrała już na Ukrainie rozmiary zatrważające. Nie innym był cel ich przybycia, jak tylko aby uzyskać, przeprowadzić formalny układ, wobec wznagającego się ruchu ludowego między kozaczną. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, posłem naszym był Jan Stachórski, ten sam, co oblegał Baturyn w r. 1625, chociaż był jeszcze drugi Stachórski, Maciej, jego krewny.

Nie obyło się tym razem bez sprzeczek o tytoń i wódkę, sprzedawane potajemnie (z zasobów, jakie ludzie poselscy dla siebie samych przewozić mogli), lubo tak Stachórski, jak Rajceki, zanieśli formalną deklarację, iż piszący nieformalnie tytuły będą surowo, bez litości, karani. Nie o to im jednak chodziło. Podali bowiem obszernie, a jak mówią ruskie źródła, zawile pismo, w sprawie zbiegów:

„Zgromieni przez wojska królewskie, Kozacy (więcej niż dwadzieścia tysięcy), uciekli z różnych miejsc i miast i wielu ludzi za sobą wprowadzili w niewolę; sprzedawali ich w kilku miejscowościach, jak np. dwóch synów i dwie córki pana Dłuskiego, i wiele innych osób posprzedawali, albo oddali putywlskiemu wojewodzie, Nikiforowi Pleszczewowi. Ludzi tych szukano u niego, lecz ich wydać nie chciał i teraz trzyma ich w Moskwie. Ci zaś zdrajcy, Kozacy, osiedli w wielu slobodach J. Cars. Wieliczestwa, w stepie, pod Liwnami, Jabłonowem, Mceńskiem, Oskotem, Wałujkami, Woroneżem, Michajłowem, Dziedziłowem, Hrymiaczem, Rylskiem, Kurskiem, Putywlem, Siewskiem, i t. d. Do króla doszły wieści, jako przewodcy tej szajki, Jacko Ostranica i Andruszka Hunia, z wielu innymi, siedzą w Azowie: wszyscy ci zdrajcy zbiegli do Moskwy, z żonami i dziećmi, a J. Carska Mość przyjmuje ich łaskawie, posyła na służbę, tymczasem należało-by, aby, według Sądu Bożego i rozkazu J. Król. Mości, już i pale były zgniły, na które mieli być wbici. W traktacie pokojowym powiedziano: kto jest wrogiem J. Król. Mości, zarówno jest wrogiem i Cara, a poddani zdrajcy gorszymi są od każdego wroga. Niechajże więc J. Cars. Wieliczestwo wszystkich tych 20 tysięcy Kozaków, z przywódcami, Jackiem Ostranicą i Andruszką Hunią, wyda koniecznie, aby J. Król. Mość nie potrzebował się skarżyć przed całym światem i wszystkimi monarchami.”

Porywanie więźniów, jako zdobyczy wojennej, kobiet, dzieci, należało zawsze jeszcze do taktyki wojennej drugiej strony, zwłaszcza Kozaków. W roku 1634, podczas wojny, w Borźnie pochwyconą była Teodora Wiszłowa, żona polskiego kapitana smoleńskiego, w Romnie znowu jakaś szlachcianka, Sianożęcka; obiedwie odesłane zostały do Putywła, poczem je wymieniono, wprawdzie z biedą, na moskiewskich więźniów. (Akty mosk. gosud. N. A. Popow, t. I, str. 626).

Coraz trudniej było o spokojną wymianę dezyderatów, gdyż Michał Fiodorowicz odpowiedział Władysławowi IV w liście, iż nie jest zadowolonym z dotychczasowego rozstrzygnięcia pretensyi o starostów i pisarzy: „Wy, Bracie Nasz, nie ukaraliście tych ludzi i, nie badając ich, uwolniliście od kary, na tej jakoby zasadzie, iż pisma russkiego nie znają.” A o Zaporozcach czyli Czerkasach oświadczył: „przyszło ich niewielu, nie 20 tysięcy, przytem w traktacie pokojowym niema mowy o wydawaniu zbiegów, a czego niema w traktacie, o tem mowy być nie może...”

---

Nie wiemy, ale zdaje nam się, że chyba nie przypadkowo do zatargów wchodzi sprawa dwóch Samozwańców, o jakich znowu jest mowa, kiedy w r. 1643 zjeżdżają do Krakowa, za królem, kn. Aleksiej Lwow (znany nam z r. 1635), Andrzej Puszkina i djak Wołoszeninow. Dwóch poddajacych, Akmedinow i Koniuchow, uciekło było z Moskwy, aby za granicą odgrywać rolę pretendentów. Zaczęli tedy wyrastać najrozmaitsi „carowicze”, już nietylko moskiewscy, ale nawet i tureccy. (Dopólnienia k aktom istor. Petersb. 1857, t. VI, str. 420—23). Z dwóch samozwańców jeden miał przebywać w Polsce od r. 1639, a drugi nawet daleko dawniej. Jednego z nich miał trzymać na swoim dworze podskarbi koronny, Daniłowicz, drugi jakoby ukrywał się w Brześciu Litewskim u OO. Jezuitów. Na tych OO. Jezuitów zrobił doniesienie do stolicy carskiej ihumen brzeski, Afanazy, a o drugim dowiedział się goniec moskiewski, w r. 1639, od tłumacza przy polskich sprawach, Mikłasa Georgi (Węgrzyna) w Warszawie. Zdaje się, iż był to jeden i ten sam, dwa razy zdradzony, Jan Faustyn Dymitrowicz Łuba. Czy rzeczywiście Daniłowicz nosił się z jakimi zamiarami—niewiadomo, ale, w każdym razie, król Władysław okazał najlepsze chęci, pozwolił wyjaśnić zagadkowe zjawiska, skutkiem czego denuncyacya ihumena okazała się głupim oszczerstwem, a denuncyant poszedł do więzienia. Pomimo swarów o listy, których przedstawili „folianty”, stanęła nareszcie, po dziesięciu latach, umowa o wymianę spornych ziem. Hądziacz i Sarskie oddano Polsce, w zamian za Trubczewsk z powiatem i włościami.

W tym samym interesie udawał się do Moskwy, w listopadzie 1644 r., Gabryel Stempkowski, kasztelan braclawski, przywiózł nawet Łubę, dla oczywistego przekonania, iż niema podstępu. Poseł trafił na ostatnie chwile cara Michała Fiodorowicza.

Pomimo zmiany tronu, polityka cara Aleksieja Michajłowicza pozostała tą samą. Przypadek chciał, że w liście królewskim, pisanym jeszcze do nieboszczyka cara, przyrzekającym ściagać wszelkich ludzi, jacy-by w Polsce zjawili się z podobnemi urojonemi pretensjami do tronu moskiewskiego, kancelarya popelniła kilka omyłek. Na liście, zaopatrzonym pieczęcią królewską, położonym był napis: *Gwarancya dla J. Carskiego Wielicztwa od J. Król. Mości*. Przy pilnem rozpatrywaniu listu okazały się następujące niedokładności: W tytule, gdzie, jak zwykle, stać miało „panu Pskowskiemu”, wypisano—*carowi Pskowskiemu*, gdzie miało być po białorusku *Samodzierzcu*—stało z polska, *Samodzierzcy*, a zamiast Jugorskomu, napisano *Jgorskomu*. Zaraz tedy rekryminacye:

— „Nowa sprawa od J. Król. Mości dzieje się, pomimo wiecznego pokoju, niewiadomo jakim obyczajem, jakby dla naruszenia bratniej przyjaźni i miłości. Samodzierzca u nas jest jeden, drugiego niema, więc pisać *Samodzierzcy* niestosownie! Tego tylko było potrzeba.”

Chcieli bojarowie, aby posłowie zostawili zobowiązanie, jako ten, co list pisał, karany będzie bez litości, na co kasztelan mógł tylko obiecać donieść o wszystkim królowi; król będzie zmartwionym i każe ukarać tych ludzi. Kiedy bojarowie skarżyli się na pograniczne rozboje i obelgi, poseł znowu oświadczył, iż i za to poniosą karę przestępcy. Wtedy bojarowie spytali: jeśliby takiego przewinienia dopuścił się szlachcic, albo inny zacny, lub senator, czy także będzie karany? Poseł odrzekł: należy ukarać!... Bojarowie:

— „Sam ty, wielki poseł, Hawrył! kiedyś jechał od duńskiego królewicza, Waldemara (przebywającego wtedy w Moskwie), powiedziałeś, przy przystawach, niegodziwe rzeczy, a zwłaszcza: że wy nie skończyli i szable wasze nie stępiły się do sieczenia moskiewskich ludzi!... Nie wypada i wstyd tak się odzywać pełnomocnym posłom, a szable wasze naszym ludziom nie straszne!...” Poseł nie zapierał się, mówił to w gniewie, dlatego, że strzelcy moskiewscy pobili dwóch Litwinów, sam widział ich pokrwawionych, śledztwa żadnego nie zrobiono, przytem mówił, podpiwszy sobie, od wina to poszło...

Kiedy Stempkowski poruszył na nowo projekt sojuszu przeciw Tatarom, w myśl króla, marzącego o wojnie z Turcyą, odpowiedzi nawet nie dostał. Skorzystał jednak z chwili przedstawienia się nowemu carowi, aby wnieść propozycyę ustanowienia stałego rezydenta polskiego w stolicy, pod pozorem pilnowania spraw kupieckich, a w gruncie rze-

czy dla pielęgnowania pokoju, czy też śledzenia polityki. Tego także nie udało się uzyskać na jednej i tej samej zasadzie, jakoby w akcie Polanowskim mowy o rezydentach nie było. Pozór ustanowienia agenta był tem więcej uzasadnionym, iż przed wyjazdem Stempkowskiego zdarzyła się awantura, dająca nam próbkę, na co ludzie ze świty poselskiej, pod zasłoną protekcyi, odważyć się mogli. Cały zagraniczny handel w Moskwie skupiał się w rękę angielskich i holenderskich kupców: jeździli morzem i często do Anglii i Hollandyi, opłacali się djakom na Kremlu, wyzyskiwali kraj. Jakiś rozbójnik, Jakim Daniłowicz, napadł był wtedy ze swoją szajką, na drodze między Moskwą i Niżnym-Nowogrodem, na pięciu ludzi kupieckich, wiozących futra hollenderskiego kupca, zabił ich, zrabował, a futra ukrył u chłopca we wsi Mołoczynie. Jeden z dworzan Stempkowskiego, Samujło, zwąchał się z rozbójnikami, pojechał z Moskwy po futra, aby je wywieźć na Litwę, połowę zaś zysku miał im zwrócić. Samujło wziął był paszport na drogę do Wiaźmy, skierował się do Mołoczyna, ale powracając, na jednej z rogatek stołecznych schwytanym był razem z lotrami. Stempkowski miał teraz zapłacić Hollendrowi za ukradzione rzeczy, a Samujłę śmiercią ukarać; ale ani tego, ani tamtego nie zrobił.

Układy o pomoc przeciw Tatarom nie doprowadziły do żadnego rezultatu—wreszcie i Władysław, wobec silnej porażki, jaką wtedy Turcyja poniosła od Wenecyan, na Kandyi, nietylko nie nastawał, ale się zaczął nawet cofać, skoro zjechali do Warszawy: Wasyli Iwanowicz Streszniew i Stefan Matwiejewicz Projestjew (w styczniu 1646 r.). Chodziło o to, aby powinszować królowi nowego małżeństwa, z Maryą Ludwiką Gonzagą, żądać potwierdzenia pokoju Polanowskiego dla nowego cara i oznajmić wstąpienie jego na tron. Dziesiątego marca posłowie przedstawiali się królowi, chociaż ten, będąc chorym na podagrę, leżał na łóżku, obłożony poduszkami. Zaraz posłowie protestowali, dlaczego król, kiedy zapytywał (według zwyczaju) o zdrowie cara, nie wstał, lub podnieść się nie kazał. Wtedy Władysław kazał im się zbliżyć i powiedział:

— „Pamiętając wieczne zawarcie i swoje królewskie potwierdzenie z ojcem Wielkiego Waszego Hosudara, carem Michalem Fiodorowiczem, życzę Bratu mojemu, carowi Aleksiejewowi Michajłowiczowi, długiego zdrowia i szczęśliwego żywota. Czci waszego monarchy przestrzegam jam zawsze obowiązany, więcej jeszcze od własnej czci, ale wstać czy podnieść się żadnym sposobem nie mogę, dlatego, żem bardzo chory, rękami i nogami nie władam i nietylko wstać, ale i podźwignąć się nijak nie mogę. Bóg widzi, że się to dzieje nie z obłudy, jeśli zaś z obłudy, to niech mi Bóg odejmie ręce i nogi. Możecie wy, wielcy posłowie, sami przekonać się, jak jestem chory...” Posłowie

musieli się tem zadowolnić, chociaż w Moskwie tak twardo przestrzegano ceremoniału, nawet w podobnych razach, że kiedy car Fiedor Aleksiejewicz był chorym i nie mógł utrzymać się na nogach, dwóch bojarów dźwigało go, aby mógł powstać przy powitaniu imienia królewskiego.

Złożyli uszanowanie także i królowej, ale podczas narady z senatorami wydobyli nowy list, zawierający nowe jakieś wykroczenie. Jeden z sędziów granicznych, p. Abramowicz, przysłał do Moskwy list, gdzie pomiędzy tytułami stało najwyraźniej *s etom* (oraz), czego na próżno było szukać w urzędowym formularzu. Niezwłocznie wzięli pochop, aby ponowić dawniejsze żądania względem takich winowajców, t. j. kary śmierci w ważniejszych razach, a w małych surowego skarcenia, bez wszelakich tłumaczeń. Zgadziali się tym razem na sojusz przeciw Tatarom, lubo w tych warunkach gotowość rzeczona mogła się wydać podejrzaną, a nawet zdrażliwą.

Odpowiedź senatorska zamykała się w następujących słowach:

— „Z całego serca radzi jesteśmy i prosimy Wszechmocnego Boga, aby obu Hosudarów przez zgodę monarszej ręki nad Bisurmanami wywyższył. Co się tyczy omyłek w tytule, oświadczamy, zgodnie z prawdą, ze szczerego serca, że one dzieją się bez chytrności, dlatego, że pisarze piszą, nie znając moskiewskiej mowy. Wszechmogący Bóg widzi, iż omyłki dzieją się bez chytrności. Pomimo tego, król nakazał wezwać winnych na sejm, a sami wiecie, że ani królowi, ani nam, nie tylko szlacheica, ale i prostego człowieka (?), bez sejmu karać nie wolno.”

Posłowie uczynili uwagę, iż król winien był już dawno tak postąpić. Zaraz wydobyli list królewski, przesłany przez Stempkowskiego, z wiadomą omyłką Samodzierzcy—zamiast Samodzierzcu.

*Panowie:* „My wam oświadczamy, po polsku Samodzierzcy i Samodzierzcu jest jedno i to samo, dlatego beżeceści żadnej dla Cara niema i omyłki też.”

*Posłowie:* „Jak wam, Panowie Rady, nie wstyd tak mówić? Nie tylko osądzić, ale i zrozumieć to można, co prosty człowiek łatwo rozsądzi. Napisać czy powiedzieć: *Samodzierzcu* będzie dla jednej osoby, a jeśli się napisze *Samodzierzcy*, to będzie do wielu osób. We wszystkich państwach Carstwa Rossiejskiego Samodzierzca jeden, drugiego niema i nie będzie. Nie godzi się odkładać takich rzeczy do sejmu, dlatego, że ludziom, którzy piszą tytuł wbrew poselskiej umowie, należy godność i majątek zabrać, śmiercią ukarać z rozkazu króla i konstytucyi sejmowej.”

*Panowie:* Przysięgamy na Boga, że w polskim języku Samodzierzcy i Samodzierzcu jest jedno i to samo, a jeśli po rusku (białorusku) tak nie jest, to my nadal mocno tego przestrzegać będziemy.



Niechby na przyszłość Król do Cara w listach swoich pisał po polsku także i z pogranicznych miast, przy obsyłkach, niechby listy pisane były po polsku, to tym sposobem nadal omyłek nie będzie."

Zwrócili także uwagę, że Car, względem którego popełnione były uchybienia, już umarł.

*Postowie:* „Oddawna jest w zwyczaju, że listy brólewskie do Cara piszą się w języku białoruskim, i dlatego teraz, wbrew dawnym zwyczajom, po polsku pisać nie można, a u pogranicznych wojewodów naszych tłumaczy zresztą niema."

Streszniew i Projestjew przywieźli potwierdzenie pokoju Polanowskiego, dla nowego cara, ale zresztą nic nie załatwili, bo w lecie 1646 r. widzimy w Moskwie pełnomocnego królewskiego posła, kasztelana kijowskiego, Adama z Brusłowa Swientoldycza Kisiele, prawosławnego. Kisiel bronił w r. 1633 Czernihowszczyzny od najścia carskich wojsk, wtargnął nawet na nieprzyjacielską ziemię, pałac i niszcząc, razem z Łukaszem Żółkiewskim i Jeremim Wiśniowieckim. Pojednawcza missya kasztelana miała na celu spisanie ligi, o jaką tak już dawno traktowano, miała złagodzić zatargi o tytuły, wyrobić zamknięcie granicy dla zbiegów ukraińskich. Kisiel wdał się w rozprawę, co do omyłek popełnionych, tłumaczył, iż jeśli była w liście omyłka, to takiego listu nie należało-by na przyszłość przyjmować, zwracać go, przez co piszący narażonym będzie na wielki wstyd, na co otrzymał odpowiedź:

— „Ty Pan senator i człowiek rozumny, a napisałeś to, czego i prostemu człowiekowi wstyd pomyśleć i od Boga straszno. Wasz, Panów Senatorów, obowiązek strzedz wiecznego układu, a wy cześć monarszą za nic macie, winnych bez kary i skazania chcecie uwalniać. Jeśli się nie przyjmie listu i nazad go odeśle, to jak będzie można poszukiwać winowajcy i czem mu potem winy dowieść?"

*Kisiel.* Ja to mówiłem i pisałem, nie sam od siebie, ale z rozkazu króla i Rzpltej. Król i cała Rzplta rozmyślali, jakby te omyłki w tytułach skasować, dlatego, że w Moskiewskim państwie liczą sobie to za wielkie przestępstwo, a u nas, w Polsce, do króla nawet pełnego tytułu nie piszą, mądry człowiek postępuje dobrze, a głupi głupio. Uradzili tedy, aby nie przyjmowano u was „hramot", a jak zobaczą, że nie przyjmują i żadnego z nich skutku niema, to będą przymuszeni nauczyć się i pisać porządnie."

*Bojarowie:* „Dziwno nam, że oni przez tyle lat nie mogą się nauczyć pisać. Sami wy, Panowie Rady, ludzi swoich głupcami nazywacie, dlatego, że się nie mogą nauczyć. Poganie, bisurmany, i ci nawet carski tytuł piszą poprawnie, i z niemieckich państw nigdy żadnej pomyłki nie bywa."

*Kisiel:* „Jeśli J. Cars. Wielicestwu ten sposób się nie podoba, to można inaczej zrobić.”

*Bojarowie:* „Karać śmiercią za omyłki w tytule.”

Ale Polska miała swoją własną, i to ważniejszą kwestyę — zbiegów.

— Przez nich u nas kraj pustoszy się; cóż to będzie za bratnia przyjaźń (mówił Kisiel), kiedy zbiegłych rolnych chłopów u was przyjmują. Teraz olszańskie chłopcy zabiły podstarościego i uciekły na stronę Cara. Czyż to nie może nas gniewać?”

*Bojarowie:* „Stolnika carskiego, zacnego człowieka, Iwana Wołkowa, ludzie własni zabili, uciekli na stronę królewską. Pisano o nich, aby byli wydani, ale ich nie oddali. Przeszło także na stronę króla wielu Czerkasów (Kozaków), ale ich nazad nie odesłali i słyhać nawet o tem nie było.”

*Kisiel:* „Czerkasy, ludzie wolni, gdzie chcą, mieszkają, a chłopcy rolni to przecie niewolnicy...”

Bojarowie wrócili znowu do dawnej piosunki; przypomnieli, że w akcie Polanowskim o zbiegach niema wzmianki.

*Kisiel:* „Co wprzód było, o to ja nie pytam, ale teraz należało-by ustanowić i utwierdzić, aby zbiegów nie przyjmować, a jeśli będą przyjmowani, to będzie to przeciwnem Bogu, bratniej miłości i pokojowi. Teraz u Koniecpolskiego i Wiśniowieckiego i innych, zbiegło na carską stronę około 1000 ludzi, a u nas z trzech tysięcy około piętnastu... Czy będzie dobrze, jeśli my naszych chłopów u was będziemy zabierać i zabijać? Jeśli chcecie naszych chłopów do siebie brać, znaczy to, że nie chcecie nas z sobą w przyjaźni widzieć. Posłowie powiatowi mówili królowi, że od nich zaczęli chłopcy zbiegać, i prosili, aby im król rozkazał w pierwszym punkcie instrukcyi o tem napisać...”

*Bojarowie:* Czego w wiecznym pokoju nie napisano, tego na nowo poruszać nie należy; ze strony J. Cars. Wielicestwa, z Brjańskiej i Komaryckiej włości i z Wielkich Łuk, chłopcy rolni w znacznej liczbie zbiegli i teraz ciągle uciekają na królewską stronę. W roku bieżącym zbiegł na stronę króla chłop Artiuszka, należący do mieszańca Brjańska, Kołyczowa, i wróciwszy nazad z za granicy, pana swego widłami zakłął. Z carskiego ukazu mordercę odesłano do mściśławskiego wojewody dla ukarania, a na carską stronę jego nie wzięto. Ty, wielki poseł, prawdziwej chrześcijańskiej wiary i jej obrońca, a te chłopcy rolne także prawdziwej wiary, żyją oni u was między ludźmi różnych wiar, i jeśli nazad oddać, znaczy oddać do katolika albo lutra na prześladowanie. Czy to chrześcijańska rzecz? Biedny chłop, będąc w takiej niewoli, wiarę swoją opuści.”

*Kisiel:* „Co chłopcy wiedzą? U nich o wiarę żadnej dbałości niema, uciekają oni dlatego, że nie chcą panu swemu nawet małej daniny płacić. Ucieknie chłop do dalszego miejsca, to to jeszcze pana nie gniewa, dlatego, że go nie zobaczy, ale jeżeli ucieknie i zostanie gdzie na pograniczu, to patrząc tak na swego chłopca gniewać musi. Takby ułożyć trzeba, ażeby w pogranicznych miastach, chłopów zbiegów nie trzymać, a jeśli pogoń zastanie zbiega na granicy, to żeby mogła go schwytać.”

Cóż kiedy nie wskórać nie można było. Kisiel niczego nie dokażał, a nawet przy pertraktacyach o sojusz przeciw Tatarom przekonał się, że więcej było pozorów dobrych chęci, niż rzeczy. Przeglądała ochota wysunięcia na przód Rzpltej, a trzymania się samemu w nierównie wygodniejszej, obserwacyjnej postawie...

\*

\*

\*

Jednakowoż między A. Kisielem a bojarami, z ku. Trubeckim na czele, stanęła piśmienna umowa, aby winowajcy pozwani byli przed sąd sejmowy, sążeni i ukarani, a kto nadal mylić się będzie w tytułach, będzie karany. Najciekawszem w tem wszystkim jest okoliczność, że między oskarżonymi, i to już oddawna, znajdował się sam poseł, Adam Kisiel! W grudniu tegoż roku pisał on do Moskwy, iż J. Król. Mość rozesał uniwersały, aby tytuły carskie pisane były według układu, bez zmian i błędów, pod grozą kary, stosownie do wielkości przestępstwa.

Już wtedy na Ukrainie przygotowywał się bunt Chmielnickiego, o czem na Kremlu musieli być bardzo dobrze poinformowani. W grudniu 1647 r., Bohdan Chmielnicki stanął na czele Kozaków, a w maju 1648, t. j. w chwili, kiedy umierał Władysław IV, pobił hetmanów, przy czem hetman Potocki i Marcin Kalinowski dostali się do niewoli.

W maju 1648 umarł król Władysław. Odtąd ciągnie się już wojna z kozaczyzną, krwawa i przynosząca porażki, przerywana traktatami, niezmiernie osłabiająca Rzpltą.

Dlatego też poselstwo Gawryły i Stefana Puszkina, w styczniu 1650, ma postawę wyzywającą: żądają zwrotu Smoleńska, wskazując księgi drukowane z ustępami obraźliwymi. Nie było szczęśliwszem poselstwo Stanisława Witowskiego w 1651 r.; nawet i tutaj, w korespondencyach, wymienianych, jak zwykle, między dworcem poselskim a Kremlm, odszukali błędy w tytułach. Jan Kazimierz pisał później przez Michała Obuchowicza, że zwołał walny, sześciotygodniowy sejm, dla osądzenia sprawy, i prosił o przysłanie posłów.

Zaraz po wstąpieniu swoim na tron, Jan Kazimierz obowiązany był notyfikować swój wybór sąsiedniemu dworowi i wybrał w tym celu: Dobiesława Cieklińskiego, kasztelana czechowskiego, Piotra Wiażewicza, podkomorzego mścisławskiego, i Piotra Galimskiego, stolnika orszańskiego. Niestety, Jan Kazimierz odziedziczył po bracie swym cały ten ciężar niezadowolonych pretensyi i zatargów, i on-to miał go likwidować. Ciekliński i Wiażewicz spotkali się z temi samemi, co poprzednio, nieporozumieniami: „złoczyńcy ujmują tytułów Carowi, a wy sprawiedliwości z nimi zrobić nie chcecie, owszem z nami nieprawdą idziecie...”

Posłannicy uspakajali i zapytali: „radziśmy wiedzieć, wczem jest bezczeszczonym Car?”

Bojarowie przynieśli przygotowaną skrzynkę, na dwa zamki zamkniętą, pełną listów bezczesnych, ale dawniejszych, datujących się z przed „rozwogoru“ Kisiela. Tych posłowie nie przyjęli. Pokazali tedy świeże, już po missyi Kisiela pisane, przez Jmci Pana wojewodę ruskiego (Jeremiego Wiśniowieckiego), gdzie było opuszczonych kilka tytułów, a między innemi napisano, że, Jeremi Korybut ksiązę Wiśniowiecki i t. d., Waszemu Carskiemu Wielicestwu przyjaźń swoją ofiaruje.” Tamże zaraz nazwali go poddanym J. Król. Mości, a J. Cars. Wielicestwo jest bratem królewskim. Produkowali potem list od p. chorążego koronnego i p. Gałczewskiego i od innych kilkunastu, na co dano repliki, ale oni żądali, aby byli sądzeni i karani.

Na następnym „rozwogorze” jeszcze gorzej: dumny djak, Michajło Wołoszeninow, wystąpił: „J. Cars. Wielicestwo jest bezczeszczonym nie tylko przez poddanych króla, ale i przez samego króla, ponieważ w pięciu miejscach opuszczono tytuły Cara, jak i Błogiej Pamięci Ojca Jego.” Dotyczyło to missyi Stempkowskiego z przed pięciu lat.

Dlatego, jak twierdzili, *conjunctio armorum* stanąć nie może, bo te pomyłki są bardzo ważne rzeczy. (Przełg. bibl.-arheolog. № 11. Warszawa, 1881).

Spodziewano się już wtedy Bohdana Chmielnickiego w Moskwie.

\*

\*

\*

Na tym sejmie w r. 1651/2 odbył się sąd i skazanie ludzi, winnych omyłek, i to podczas bytności carskich delegatów, zesłanych umyślnie: Atanazego Pronciszewa i djaka Ałmaza Iwanowa. Winni nie stawali się; jeden z nich, Łukasz Żółkiewski, dawno już był umarł. Marcin Kalinowski, Adam Kisiel, przysłali obrońców prawników, aby się uniewinnić, dlatego też zostali zwolnieni z zarzutu, gdyż popełnili

*delicta* przed konstytucją z r. 1637. Co do listów, gdzie nie było podpisów, obrońcy dowodzili: jasna rzecz, że listy pisane były tylko w imieniu oskarżonych, bez nich, bo gdyby były pisane przy nich, byłyby podpisane. Tam, gdzie były podpisy, obrońcy dowodzili, iż nie wiadomo, co to za charakter pisma, czy je sami obwinieni podpisali; a choć nawet sami podpisali, to i tak nie oni są winni, ale ich pisarze. Z tych obwinionych wielu już pomarło, niektórzy zostali zabici. W końcu prokuratorowie (obroncy) upraszali króla i Rzpłtą, aby nie karali winowajców. Moskiewskim posłom oznajmiono tedy królewską decyzję: ci, co pisali nieprawidłowe listy przed ustanowieniem konstytucji sejmowej, nie są winni, a piszącym po ogłoszeniu ustawy kazano się przysiądz, iż zrobili omyłki bez złej woli. Ci, co już pomarli, znajdują się już przed sądem Bożym, zresztą na umarłych sądu niema; tych więc tylko, co nie zjawili się sami na sejmie, ani prokuratorów nie przysłali, nakazał Jan Kazimierz ogłosić banitami, t. j. wygnaćcami, bez opieki i praw.

Posłannicy oświadczyli: „my tego dekretu nie przyjmujemy, dlatego, że wydany wbrew wiecznemu pokojowi i poselskiej umowie. Dla Cara naszego nie jest zadosyćczynieniem, jeśli lichych i niedoświadczonych ludzi robicie banitami, a znacznych, większych ludzi, ukrywacie i od kary śmierci zwalniate. Według umów poselskich, należało ukarać wszystkich obwinionych śmiercią, przy nas, na teraźniejszym sejmie. Jeśli król, żalując znacznych ludzi, śmiercią karać ich nie będzie, to niech im przynajmniej zabierze majątki, a za to niech każe J. Cars. Wielicestwu oddać miasta, odstąpione w r. 1643...”

— „Jeśli wy dekretu nie przyjmujecie—odparli senatorowie—to my z wami o tem mówić więcej nie będziemy. Z czem was J. Król. Mość odprawi do Cara, z tem i pojedziecie, a z dekretem wysłani będą nasi posłowie.”

Nawet w urzędowym liście Jana Kazimierza, w którym oznajmował o wstąpieniu swem na tron, znaleźli zwrot do zakwestyonowania, jak o tem świadczy list cara Aleksieja do królowej szwedzkiej, Krystyny, który niżej podajemy.

Pronciszew i Iwanow w złożonej na Kremlu relacji skarżyli się na kręctwo pieniaczy na sejmie, mówiących „rzeczy, jakich nawet słuchać nie wypadło” i że z czterystu winnych złożoną została wina jedynie na dwunastu, a o tych niewiadomo nawet gdzie są i czy żyją.

Położenie było znówu bardzo niekorzystnem dla Polski, bo na Ukrainie toczyła się wojna z B. Chmielnickim, chociaż pod Beresteczkiem (w czerwcu 1651 r.) pobitym został na głowę, a wkrótce potem umarł w Pawłowczy jeden z oskarżonych o zniewagę—Jeremi Wiśniowiecki.

Dekret zawieźli rzeczywiście, w czerwcu 1652: Albrecht Pęcławski i Krzysztof Uniechowski, ale na to tylko, aby się ścierać nieustannie w zakłętym kole zarzutów i tłumaczeń. Bojarowie mieli teraz do wytknięcia, dlaczego obwinieni nie stawali sami na sądzie, tylko przez t. zw. prokuratorów. Posłowie stwierdzili, iż na mocy praw starodawnych tak się dzieje oddawna, więc i teraz w podobny sposób się postępuje.

*Bojarowie:* „To prawo uczyniono u was, w waszem państwie, dla ludzi zwykłej kondycyi, że do prokuratorów należy odpowiadać; ale do czci carskiej się to nie stosuje. Jeśliby ktokolwiek przeciw J. Król. Mości co złego uczynił, to czy może, zamiast winowajcy, odpowiadać prokurator? Zdaje się, że nie może.”

*Posłannicy.* Chociażby kto i samego króla czem zbezczescił, według praw naszych, nie wolno królowi, bez sejmu Rzpltej, winowajcy karać. Niewolno także zabronić prokuratorowi odpowiadać zamiast winowajcy.

Prawna dyskusya i, bądź co bądź, uzasadniony wywód panów, nie trafiły do przekonania. Aleksiej Michajłowicz nakazał: dekretu nie przyjmować, jako napisanego niezgodnie z umową zawartą z Adamem Kisiem, a nawet, jak się wyraził, niezgodnie z wiadomą konstytucją.

W czasie, kiedy na Ukrainie Stefan Czarniecki bił się znowu z Kozakami, wyprawieni byli do Korony pełnomocni posłowie: bojaryn kn. Repnin-Oboleński, kn. Fiodor Fiod. Wołkoński i djak Almaz Iwanow. Posłowie zastali Jana Kazimierza we Lwowie, dokąd się udał, aby być bliżej wojska, i żądali teraz, coraz natarczywiej, aby król nad winnymi umniejszania tytułów carskich kazał w ich obecności sprawiedliwość uczynić, i to niezwłocznie. Na poparcie swych żądań przedstawili nawoływania Chmielnickiego do cara o pomoc. Rzeczywiście Bohdan Chmielnicki, za pośrednictwem djaka Fomina, miał wejść teraz w układy i poddać się Aleksiejowi Michajłowiczowi. Co do tytułów, przytaczali jako przykład szacha perskiego, który winnego opuszczenia tytułu przysłał carowi na ukaranie śmiercią. Z polskiej strony znalazła się dosadna odpowiedź, która powinna była zamknąć usta bojarom. Jan Kazimierz oświadczył, iż przysłał winowajców do cara na ukaranie śmiercią, ale tylko w tym razie, jeśli car Aleksiej przysłał królowi najprzód głowę swego patriarchy za to, że w województwach, odstąpionych pokojem Polanowskim, a więc Czernihowskiem i Smoleńskiem—mianuje popów, błogosławiące listy rozsyła, czem pokój narusza. Na to posłowie żądali, z rozkazu carskiego, zniesienia unii, w zamian za co car gotów był zaniechać żądań co do pomyłek. Zrodziły się więc nowe, a jałowe dyskusye, bo co do pomyłek, popełnionych już po poselstwie Proniszewa, senatorowie orzekli, iż król

chce zobaczyć, jak car rozporządzi z własnymi poddanymi, winnymi omyłek w królewskim tytule, winnymi puszczenia Kozaków przez okręg Brjański na wojnę ua Ukrainie, wreszcie z patriarchą, przekraczającym swoje prawa przez wyświęcanie popów na Litwie...

Zaraz po poddaniu się Chmielnickiego, dwa wojska carskie wkroczyły: jedno do Smoleńszczyzny, drugie na Ukrainę zadnieprzańską. Jednocześnie prawie wysłani zostali: do Paryża, Sztokholmu, Wiednia, posłowie z objaśnieniem powodów, dla jakich wojna Polsce wydaną została, wieźli nawet księgi, drukowane w Koronie, dla pokazania, razem z wywodem długoletnich obraz.

List, jaki wtedy car Aleksiej napisał do królowej szwedzkiej Krystyny, jest o tyle zajmującym dokumentem, że w nim zebrane są najważniejsze zarzuty, razem z ich uzasadnieniem.

„Z naszej strony pokój (Polanowski) był święcie dochowanym, gdy tymczasem ze strony J. Król. Mości zaczęły się dziać niesprawiedliwości i złamanie umowy. Tytuł Ojca naszego i Nasz w hramotach królewskich wymienianym był z omyłką, a w bramotach i listach wojewodów, kasztelanów i starostów jego, z wielką omyłką, a niekiedy z nieuszanosowaniem i obrazą. Liczba podobnych listów wynosi 400 arkuszy. Ojca Naszego nazywano Michałem Filaretowiczem, albo Fiedorem Michajłowiczem, zamiast Samodzierzcą, pisano Dzierżawcą, tytuł „Wszech Rossiej Samodzierzcy” opuszczano, tytułów wiele poujmowano. Nas znowu zwano Aleksandrem Michajłowiczem, a królowi dodawano nasze tytuły, oraz zwano go „Carem i wielu Gospodarstw Hospodarem i Władzcą”, przez co przekraczano umowę.” List wylicza szczegółowo wszystkie poselstwa od r. 1636, oświetlone stosownie, i to aż do wstąpienia na tron Jana Kazimierza.

„Za Władysława nie było kary na winowajców, sprawa odkładaną była od sejmu do sejmu, przez wiele lat. A za Jana Kazimierza jeszcze się gorzej dziać zaczęło. Z rozkazu J. Król. Mości i Panów Rad, zostały wydrukowane po polsku i po łacinie różne księgi, w których na Nas, na Ojca i Dziada naszego, napisano różne wymysły i bluźnierstwa, gdy artykuł pokoju opiewa, że Gospodarowie mają być przez wszystkich nazywani według aktu pokoju. Brat znowu J. Król. Mości, Władysław, nazwanym tam jest „Carem Wszech Rusi.” Podobnie i w hramocie, przez którą J. Król. Mość, zawiadamiał nas o swoim wybraniu na tron, napisano o Jego Bracie dumnie i bezbożnie, iż J. Król. Mość był słońcem całego chrześcijaństwa i, oświeciwszy świat cały, przeniósł się do wiecznej chwały, do niebieskiego mieszkania!

Tak napisano o człowieku, kiedy jedno tylko jest słońce, które ludzi oświeca—Jezus Chrystus!” (Dopólnienja k aktam istor. sobr. i izd. arch. komis. t. VI, Petersb 1857, str. 428).

Jeszcze w roku 1657, poseł do Rzeczypospolitej weneckiej, Czernodanow, skarżył się przed Dożą na zniewagi i ubliżenia w listach i księgach drukowanych. Było to już w pełnym toku wojny.

ADAM DAROWSKI.



---

# KRONIKA GALICYJSKA.

---

Jeszcze jedną kronikę galicyjską chcę poświęcić wystawie lwowskiej, a raczej stosunkom Galicyi, na podstawie materiału, jakiego ta wystawa dostarczyła. Zamierzam tym razem omówić usiłowania podejmowane celem rozwoju przemysłu przez naukę fachową.

W kraju rolniczym, o ludności szybko przyrastającej, a dziś już stosunkowo wcale gęstej, w kraju, w którym własność mniejsza bardzo jest już rozdrobnioną, pomimo, że stosunki klimatyczne nie sprzyjają uprawie ogrodowej, koniecznym jest rozwój przemysłu, który-by dał utrzymanie ludności nie znajdującej dostatecznego zajęcia przy roli, inaczej bowiem ludność ta zmuszoną jest szukać zarobku poza granicami kraju, zmuszoną jest do wychodztwa. Jeśli kraj jaki znajduje się w tem położeniu, co Galicya, to jest, złączony jest w jeden związek państwowy z krajami rozwiniętymi wysoko pod względem przemysłowym, które nadsyłają mu swoje wyroby, i nie może za pomocą samoistnej polityki cłowej, taryfowo-kolejowej i podatkowej dźwigać swego własnego przemysłu, natenczas, jako główny środek rozwoju przemysłu przedstawia się dla takiego kraju wykształcenie przemysłowe, opierające się na rozszerzeniu i wydoskonaleniu wykształcenia elementarnego, a budujące na tym fundamencie cały system szkół fachowych rozmaitego stopnia i kierunku. Przytem praca około wykształcenia przemysłowego, o ile odnosi się do tych gałęzi produkcji które zachowały w kraju rodzime wzory, oryginalne cechy w kształcie

i rysunku, musi starannie dbać o to, aby nauka szkolna tych cech odrębnych nie zatarła, lecz owszem ugruntowała te tradycje, albowiem owe oryginalne cechy wyrobów przemysłowych czynią je bardziej poszukiwanymi i umozębniają im zwycięstwo w konkurencji z częstkowymi wyrobami produkcji wielkoświatowej.

Historja usiłowań na polu wykształcenia przemysłowego w Galicyi rozpoczyna się na dobre od czasu poprzedniej wystawy krajowej r. 1877, a zatem obejmuje niedługi stosunkowo czas lat siedemnastu. Wprawdzie już przed tym czasem, bo od r. 1865, istniała we Lwowie, założona przez miasto, szkoła przemysłowa, do której dołączono następnie kurs handlowy; a jeszcze wcześniej, z mocy zapisu kupca lwowskiego, Marka Bernsteina, z r. 1846, założoną została we Lwowie szkoła wieczorna dla młodzieży rzemieślniczej żydowskiej; jednakże oba te zakłady, nawet w obrębie miasta, w którym powstały, bardzo nieznaczny wpływ wywierały, wyczerpując swe siły na udzielanie uczniom swoim brakującego im wykształcenia elementarnego. Za dalsze oznaki budzącego się w naszym społeczeństwie przekonania o potrzebie wykształcenia przemysłowego, jako środka rozwoju przemysłu w kraju, należy uważać powstanie muzeum przemysłowego w Krakowie, którego twórcą był ś. p. Adryan Baraniecki, następnie coraz częstsze podnoszenie tej sprawy w pismach krajowych, a w końcu wnioski o założenie szkół fachowych garncarstwa, garbarstwa i t. p., stawiane na sejmach w r. 1875 i 1876.

Dopiero jednakże wystawa krajowa r. 1877 przedstawiła liczne okazy przemysłu domowego, mianowicie z zakresu tkactwa płóciennego i wełnianego, wyrobów drewnianych i glinianych, zebrane z różnych okolic, zwłaszcza środkowej i wschodniej części kraju. Zebranie tych okazów wymagało wiele trudów, korespondencji i podróży, a główna zasługa inicjatywy i nakładu przypadła tu hr. Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu, czcigodnemu twórcy muzeum przyrodniczego i etnograficznego, którego byt obecnie zapewniony jest przez połączenie z ordynacją, przezeń założoną. Nietylko szersza publiczność, lecz nawet wielu z tych, którzy bliżej interesują się rozwojem ekonomicznym, ze zdziwieniem przekonali się na wystawie r. 1877, jak różnorodne zajęcia przemysłowe utrzymały się po dziś dzień jeszcze, mimo niszczącej je konkurencji fabrycznej, wśród naszej ludności wiejskiej i małomiejskiej, jak wielce charakterystyczne oryginalne cechy przechowały się nieraz w wyrobach tego przemysłu domowego pod względem formy i rysunku, i ile zdolności przemysłowych, w szczególności w kierunku artystycznym, tkwi nawpółuśpionych w naszej ludności. Ludzie głębiej i dalej patrzący na rzeczy uznali, że w tych zajęciach przemysłowych jest podstawa do rozwoju niejednej gałęzi przemysłu krajowego i że

oryginalność form, rysunku i układu barw, którą pewne rodzaje wyrobów przemysłu domowego zachowały, zwiększa ich wartość i znakomicie zbyt ich może ułatwić. Postanowiono tedy rozpocząć akcyę w kierunku popierania rozwoju przemysłu domowego i rękodzielnictwa, i na mocy uchwały sejmowej z 28 sierpnia r. 1877 utworzył wydział krajowy przy swoim boku tymczasowy komitet doradczy, mający czuwać nad sprawami krajowego przemysłu i rękodzielnictwa. Komitet ten po dwóch latach przeobraził się w kuratoryę dla spraw przemysłu domowego i drobnego, na której miejsce wstąpiła później istniejąca po dziś dzień komissa krajowa dla spraw przemysłowych.

Jeszcze na dwa lata przed wystawą r. 1877 rozpoczął wydział krajowy, przy pomocy utworzonego na krótki czas przedtem biura statystycznego, zbierać wiadomości o istniejących w kraju zajęciach przemysłowych ludności wiejskiej i małomiejskiej. Uzupełnienie i uporządkowanie tego materiału w taki sposób, żeby wynikł z niego pogląd na całość zajęć przemysłowych tej ludności i na rozsiedlenie tych zajęć po kraju, bądź jako ubocznych zajęć ludności rolniczej, bądź jako zajęć głównych w pewnych wybitniejszych miejscach produkcji, stało się teraz pierwszym zadaniem wydziału krajowego i wspomnianych poprzednio ciał doradczych. Wynik tych badań, który wykazał stosunki istniejące po największej części jeszcze po dziś dzień, przedstawił się w głównych zarysach w sposób następujący:

Nasz lud wiejski zwykł był do niedawna wszelkie swoje potrzeby zaopatrywać, o ile tylko można, pracą własną i członków rodziny, a to tak pod względem odzieży i obuwia, jak pod względem sprzętów drewnianych i glinianych i wogóle całego urządzenia mieszkania i gospodarstwa. Kupowano z reguły tylko sól i żelazo, starając się użytek tego ostatniego zastąpić, o ile się tylko da, drzewem. Wśród tych wszędzie napotykanych zajęć przemysłowych ludu wiejskiego, w porach wolnych od pracy przy gospodarstwie rolniczym, zajęć, które z biegiem czasu w jednych okolicach bardziej, w innych okolicach mniej zanikać poczynają, wobec łatwości nabycia i taniości kupnych wyrobów, występują w różnych miejscowościach, a nawet w całych okolicach kraju, pewne zajęcia jako silniej rozwinięte, ze znaczniejszą liczbą stałych producentów, z bardziej wyrobioną i oryginalnymi cechami odznaczającą się techniką, z rozmiarami produkcji przekraczającymi własne potrzeby domowe, a zatem z odbytem na zewnątrz, bądź na okolicznych targach i jarmarkach, bądź w dalsze strony. Takiemi gniazdami przemysłu domowego są:

dla tkactwa płóciennego, przemysłu najbardziej rozpowszechnionego wśród ludności wiejskiej wszystkich okolic kraju, na zachodnim krańcu Galicyi okolice Andrychowa, Gilowic, Rychwałdu, gdzie wyra-

biają drelichy, ręczniki, obrusy, płótna żaglowe; następnie okolice Wilamowic, gdzie wyrabiają kapy i obrusy adamaszkowe, tkaniny bawełniane; dalej ku wschodowi okolice Krosna, Korczyny, Dębowca, Jasła i Błażowej, znane oddawna z wyrobów płóciennych wszelkiego rodzaju; wreszcie na dalszym wschodzie okolice Glinian, Brodów i Tarnopola, a na południowym wschodzie pod górąmi—okolice Kossowa;

dla tkactwa wełnianego na zachodzie: Łańcut, Leżajsk i Rakszawa, które oddawna słyną z wyrobu grubego sukna na burki, koce i t. p.; na wschodzie okolic Załoziec, Zbaraża, Tok, Okna dla szewctwa, które, tak samo jak tkactwo płócienne, jest nadzwyczaj rozpowszechnionym przemysłem domowym, łączonym bądź z uprawą roli, bądź z rzemiosłami wykonywanymi jedynie w lecie, jak np. mularstwo—przedewszystkiem Uhnów i Kulików, a następnie jeszcze kilkadziesiąt innych miejscowości w różnych stronach kraju;

dla wyrobów z drzewa, stolarskich i bednarskich, okolice leśne, mianowicie: Żywiec, Zakopane, Nowy Sącz, Jasło, Jaworów, Kamionka Strumiłowa, Kołomyja, Kossów;

dla wyrobów garncarskich: Alwernia pod Chrzanowem, Brzostek Kołaczyce, Glińsko pod Żółkwią, Kołomyja i Kossów i wiele innych miejscowości mniej wybitnych;

dla wyrobów metalowych: na zachodzie Świątniki koło Wieliczki, głównie zajmujące się wyrobem kłódek, Sułkowiec w Wadowickim, głównie wyrabiające gwoździe, a w końcu w powiecie Kossowskim miejscowości zamieszkałe przez Huculów, wyrabiających różne przedmioty i ozdoby z mosiądzu.

Na podstawie zebranych informacji o istniejących gałęziach przemysłu domowego, rozpoczęła się praca nad podźwignieniem tego przemysłu przez warsztaty naukowe, zakładane w siedzibach tego przemysłu. Zadaniem tych warsztatów jest obznajomić ludność z ulepszonymi narzędziami i sposobami produkcji, wskazać jej źródła nabycia i sposoby przygotowania materiału surowego i dać producentom, obok wiadomości zawodowych, nadto niezbędne wiadomości ogólne (rachunki, prowadzenie ksiąg, korespondencja). W początkach rozwój warsztatów naukowych był bardzo powolny. Trzeba było kształcić dopiero fachowe siły nauczycielskie; miejscowe koła, mianowicie gminy, nie rozumiejąc należycie doniosłości podjętej sprawy, nie były skłonne do ofiar, rząd nie śpieszył z pomocą, owszem, upatrywał w tej akcji wkraczanie w jego atrybucje i nie chciał się porozumiewać z kuratorją; w końcu fundusze, jakimi wydział krajowy rozporządzał, były bardzo szczupłe. Z biegiem czasu jednak pod temi wszystkimi względami rzeczy zmieniły się na lepsze. Komissya dla spraw przemysłowych, w toku pracy

swojej wypróbowałszy różne urządzenia warsztatów szkolnych i nabywszy rozlicznych doświadczeń pod względem biegu nauki i sposobów nauczania, mogła postępować coraz śmielej na drodze, którą uznała za najodpowiedniejszą, a równocześnie przybywały coraz liczniejsze siły nauczycielskie, wykształcone, przy pomocy chętnie udzielanych znaczniejszych stypendyów z funduszu krajowego, w części za granicą, a w części już w kraju samym, w istniejących szkołach i warsztatach naukowych. Powodzenie prac, na tem polu podejmowanych, skłoniło sejm, mimo niepomyślnego stanu finansów krajowych w owym czasie, do coraz znaczniejszych wydatków na cele warsztatów dla nauki przemysłowej, a w końcu i państwo, które w innych krajach austriackich utrzymuje lub subwencyjonuje wielką ilość zakładów tego rodzaju, zaczęło też czynić wydatki na rozwój przemysłu domowego w Galicyi.

Obecnie mamy dwadzieścia ośm zakładów dla nauki przemysłowej w zakresie przemysłu domowego, utrzymywanych kosztem kraju, powiatów i gmin, a zostających pod zarządem krajowej komisji dla spraw przemysłowych z ramienia wydziału krajowego, zawiadującej temi zakładami, a obok tego dwie szkoły państwowe dla tego samego kierunku nauki przemysłowej. Są to zakłady następujące: 3 szkoły koszykarskie: w Czerwonej Woli pod Jarosławiem, w Jasle i w Dżurowie; 3 szkoły kołodziejstwa: w Grybowie, Grzymałowie i w Kamionce Strumiłowej; 1 warsztat dla wyrobów drewnianych w Kołomyi; dwa warsztaty stolarskie w Żywcu i Stanisławowie,—razem dziewięć zakładów dla nauki wyrobów z drzewa i łożyny, obok których jest jeszcze państwowa szkoła dla przemysłu drzewnego w Zakopanem. Dla nauki wyrobów garncarskich istnieją cztery zakłady: krajowa szkoła garncarska w Kołomyi, warsztaty w Porębie w powiecie Chrzanowskim i w Toustem koło Grzymałowa na Podolu, tudzież stacya doświadczalna ceramiczna krajowa we Lwowie, która zajmuje się badaniem gliny, celem wskazania, czy i do jakich wyrobów ona się nadaje, badaniem rozmaitych sposobów przyrządzania polewy i udzielaniem wskazówek w tej mierze szkołom i garncarzom, wreszcie kształci nauczycieli dla szkół i warsztatów garncarskich. Dla nauki szewctwa są dwa zakłady: warsztaty wzorowe w Ulmowie w pow. Sokalskim i w Witkowie pow. Kamioneckim. Dla nauki tkactwa jest ośm zakładów: szkoła tkacka w Krośnie i warsztaty w Błażowej, Korczynie, Łańcucie, Rychwałdzie, Wilamowicach, Glinianach i Kossowie. Jest dalej szkoła sukiennicza w Rakszawie, krajowy warsztat powroźniczy w Radymnie i trzy szkoły wyrobu koronek: w Zakopanem, w Muszynie i w Kańczudze. Dla wyrobów metalowych istnieje tylko jeden zakład, państwowa szkoła ślusarstwa w Świątnikach pod Krakowem, słynących oddawna z wyrobu klódek. Ogół wydatków na wymienione tu zakłady szkolne wynosił w r. 1894

127,773 złr., z czego 51,853 złr. wypada na skarb państwa, 50,996 złr. na fundusz krajowy, 3,410 złr. na subwencye rad powiatowych. Od gmin i z innych źródeł miejscowych uzyskano 3,574 złr., nie licząc wartości lokalów, opału i t. p. dostarczonych w naturze, sprzedaż zaś wyrobów przyniosła 17,940 złr. Ta ostatnia rubryka dochodu trafiała się u 13 zakładów; najwyższe kwoty wykazały: szkoła koronkarska w Zakopanem (3,000 złr.), szkoły kołodziejskie w Kamionce|Strumiłowej i w Grzymałowie (2,940 i 2,000 złr.), oraz szkoła koszykarska w Czerwonej Woli (1,900 złr.). Szkoły tkackie (8) pracują na rachunek towarzystw tkackich miejscowych, które dostarczają im materiału, to samo warsztaty powroźniczy i sukienniczy.

Wszystkie te zakłady szkolne wystąpiły na wystawie krajowej r. 1894 z wyrobami, które zjednały powszechne uznanie dla zdolności uczniów, dla sposobu i kierunku nauki i dla osiągniętych w stosunkowo krótkim czasie rezultatów. Można śmiało powiedzieć, że pawilon wydziału krajowego, w którym pomieszczone były wyroby tych zakładów, należał do najświetniejszych działów wystawy i zwiedzany był przez bardzo liczną publiczność. Nie można wątpić, że ten poważny rezultat będzie zachętą dla komisji przemysłowej w dalszej pracy około dźwigniania przemysłu domowego i skłoni sejm do dalszych ofiar na te cele przy udziale finansowym tak rządu, jak i czynników miejscowych. Liczba 30 zakładów dla nauki przemysłowej w zakresie przemysłu domowego, to stanowczo za mało na kraj tak rozległy, jak Galicya. To też toczą się ciągle rokowania o założenie dalszych szkół lub warsztatów szkolnych w różnych okolicach kraju.

Podanie sposobności do nabycia nauki i biegłości zawodowej nie wystarcza wszakże dla trwałego ugruntowania przemysłu domowego i ochronienia go od upadku. Na to potrzeba jeszcze dwóch dalszych warunków: najpierw, aby ci, którzy naukę praktyczną odbyli, mogli po wyjściu ze szkoły prowadzić produkcję samoistnie w ten sposób, jak się jej nauczyli w szkole, a następnie, aby mieli sposobność sprzedaży swych wyrobów po odpowiednich cenach. Co się tycze warunku pierwszego, to konieczną jest rzeczą, aby każdy wychodzący ze szkoły znalazł się w posiadaniu ulepszonych przyrządów, któremi przyuczył się produkować, a bez których albo nie pracował-by wcale, albo powrócił-by do dawnego nieodpowiedniego sposobu produkcji. W tym celu koniecznem jest zniewalać uczniów, by z zarobku swego odkładali pewne kwoty na nabycie przyrządów, ewentualnie ofiarować im te przyrządy, jako nagrody za pilność, a w celu korzystania z przyrządów, które mogą być używane wspólnie przez większą ilość pracowników, zawiązywać stowarzyszenia produkcyjne lub maszynowe, w celu zaś

nabycia materyalów, zawiązywać stowarzyszenia surowcowe. W tej mierze skuteczną przestrogą była dawniejsza rządowa szkoła koszykarska w Krakowie, w której nauczyciel, zdolny Niemiec, uczył robić koszyki wykwintne, przy pomocy materyalów, sprowadzanych z za granicy, których uczniowie nie byli w możności sobie sprowadzić. Skutkiem tego ci, którzy opuścili szkołę, przestawali wykonywać roboty, jakich się nauczyli. W okolicach, gdzie obecnie istnieją szkoły i warsztaty szkolne, podobne wypadki się nie zdarzają, gdyż kierunek nauki zastosowany jest do miejscowych warunków, a następnie wszelkie czynią się usiłowania, aby to, co nauka praktyczna zaszczerpiła, trwale się utrzymało. Pocięszającą jest przytem rzeczą, że istnienie warsztatu szkolnego wywiera powoli wpływ i na sposób produkeji u tych, którzy w tym warsztacie nie pobierali nauki, a to przez naśladowanie tego, co widzieli u uczniów. Niemniej jest pocięszającym, że udaje się wytwarzać stowarzyszenia zawodowe z byłych uczniów warsztatu szkolnego. Usiłowania te mają powodzenie trwałe tam, gdzie się znajdzie człowiek zący i wykształcony, który obejmie kierownictwo stowarzyszenia, zdobywszy sobie zaufanie uczestników. Takim między innymi stał się X. Leon Pastor, obecnie poseł do rady państwa, dla powroźników z Radymna, których wydobył z lichwy i wprowadził na drogę racjonalnej produkeji, prowadzonej przy pomocy wspólnych urzędzeń.

Kwestya odbytu dla wyrobów przemysłu domowego wielkie sprawiała trudności i nie można powiedzieć, żeby dziś należało je uważać za pokonane. Przemysł fabryczny może dziś dostarczyć wyrobów swoich kupcom w każdej żądanej ilości, w miarę potrzeby, i to z reguły na kredyt krótszy lub dłuższy; natomiast przemysł domowy — tak jak dotąd się rozwija u nas, gdzie z wyjątkiem tkactwa i powroźnictwa niema organu pośredniczącego pomiędzy producentem a kupcem, w postaci bądź stowarzyszeń producentów, bądź przedsiębiorców, którzy-by zamawiali wyroby u producentów, dając im materyal do przerobienia, a płacąc za robotę — nie może wyrabiać większych zapasów, z których mógłby dostarczyć w każdym czasie żądanej ilości, a tem mniej jeszcze dawać wyroby swoje kupcom na kredyt. Oryginalne cechy niektórych wyrobów naszego przemysłu domowego, mianowicie kilimków wełnianych, zbliżających się tak bardzo do poszukiwanych dywanów wschodnich, skłaniały obcych handlarzy do nabycia większych partyi tego towaru, celem rozprzedaży za granicą; jednakże te korzystne transakcyje nie mogły przyjść do skutku, ponieważ nie można było dostarczyć w krótkim czasie ilości takiej, przy jakiej dopiero interes był korzystnym dla handlarza. Próby oddawania wyrobów przemysłu domowego w komis kupcom miejscowym w większych miastach nie dają dotąd zbyt pomysłnych rezultatów, za to lepiej wiedzie się sprzedaż

w osobnych bazarach wyrobów krajowych we Lwowie, Krakowie i Stanisławowie, z których największy lwowski jest przedsiębiorstwem galicyjskiego akcyjnego towarzystwa handlowego. Najkorzystniejszym było-by, gdyby producenci wszędzie pozawiazywali stowarzyszenia, które mogły-by przyjmować większe zamówienia i udzielać członkom swoim zaliczki na oddane do sprzedaży wyroby. Stowarzyszeniom było-by łatwiej utrzymywać stosunki bądź wprost z większymi odbiorcami (np. jak stowarzyszenie powroźnicze w Radymnie z koleją państwową), bądź z bazarami lub sklepami.

Obok prac nad zachowaniem i podniesieniem przemysłu domowego, będącego w znacznej części ubocznem, przeważnie zimowem, zatrudnieniem ludności rolniczej, staje jako drugi szereg zadań podniesienie rzemiosł. Rzemiosła w Galicyi znalazły się w bardzo przykrem położeniu, nie tylko wobec konkurencyi fabrycznej innych krajów austriackich i zagranicy, lecz także wobec konkurencyi rzemieślniczej produkcji zakrajowej, mianowicie wiedeńskiej, która prowadzoną jest przez przedsiębiorców zasobniejszych w kapitały, w wielkich zakładach, pobierających surowiec z bliska i z pierwszej ręki, posługujących się lepszymi narzędziami, motorami gazowymi lub innymi, a wreszcie bardziej wykształconym robotnikiem. Tego robotnika, t. j. czeladnika i ucznia, wykształcić, wskazać mu najlepsze narzędzia i najodpowiedniejsze sposoby produkcji oraz wzory stylowe, oto pierwsze zadanie, jakie było do spełnienia. Z chlubą można tu wskazać, że zadanie to podjęto u nas najpierw skromne stowarzyszenie nauczycielskie, towarzystwo pedagogiczne, zawiązane w r. 1868, które od r. 1880 poczęło zakładać w miastach prowincjonalnych tak zwane „szkoły przemysłowe uzupełniające”, noszące tę nazwę dlatego, ponieważ zadaniem ich jest uzupełnić wykształcenie elementarne w kierunku najbardziej potrzebnym dla rzemieślników. Początkowo rozwój tych szkół był bardzo powolnym, mimo ofiarności nauczycieli, którzy uczyli nieraz całkiem bez wynagrodzenia, gdyż skromne fundusze towarzystwa starczyły zaledwie na opędzenie niezbędnych wydatków na środki naukowe. Powoli agitacya, podjęta za szkołami uzupełniającymi, zaczęła wpływać na gminy wiejskie, które okazywały się coraz skłonniejszymi do ofiar; następnie instytucye finansowe, jak kasy oszczędności i towarzystwa zaliczkowe, zaczęły wspierać te szkoły rocznymi datkami, a sejm zaczął przeznaczać coraz obfitsze subwencye; wreszcie państwo, poczynszy od r. 1887, udziela też zasiłków tym szkołom. Obecnie mamy w kraju szkół przemysłowych uzupełniających 31, a założenie dalszych pięciu szkół jest w toku. Daleko nam jeszcze do takiego stanu rzeczy, jaki pod tym względem jest w zachodnich krajach państwa austriackiego, gdzie państwo nierównie wcześniej zaczęło wspierać



ten dział szkolnictwa i gdzie istnieje szkół przemysłowych uzupełniających 359, do których uczęszcza przeszło 50,000 młodzieży rzemieślniczej; jednakże początek jest zrobiony, owoce tej nauki są już widoczne, a przyszłość, t. j. podniesienie poziomu umysłowego ludności rzemieślniczej, aby mogła podolać trudniejszym warunkom konkurencji, zależy od dalszej wytrwałej pracy.

Koszt owych 31 szkół przemysłowych uzupełniających wynosił w roku 1893 cokolwiek po-nad 52,000 złr., w przecięciu zatem 1,681 złr. na szkołę. Z owej sumy ogólnej dają gminy, kraj i państwo mniej więcej po 14,000 złr., rady powiatowe 2,900 złr., reszta przypada na instytucje finansowe i inne fundusze. Organizacja tych szkół jest prawie wszędzie jednakowa. Obejmują one zazwyczaj klasę przygotowawczą, w której uczą czytać i pisać, zatem klasa ta jest kursem przygotowawczym dla analfabetów, którym nie było danem uczęszczać do szkoły ludowej, a takich, niestety, dość jeszcze między młodzieżą rzemieślniczą. Z klasy przygotowawczej przechodzą uczniowie do właściwej szkoły uzupełniającej, która składa się z dwóch lub trzech oddziałów. Uczą tutaj religii, języków, stylistyki, rachunkowości, geografii i historii, fizyki, rysunków i kaligrafii, stosując rozmiar i kierunek nauki do potrzeb uczniów ze szczególnem uwzględnieniem ich zawodów. W r. 1893 liczyły szkoły przemysłowe uzupełniające ogółem 4,517 uczniów, z których uczęszczało tak regularnie, że można było ich klasyfikować, 3,294, czyli 73%. 3,733 uczniów było w wieku do lat 18, 784 miało więcej niż 18. Liczba nauczycieli, udzielających nauki, wynosiła 266. Nauka w szkołach przemysłowych uzupełniających jest wszędzie wieczorną, ponieważ uczęszczają do nich uczniowie i czeladnicy, zajęci pracą zawodową w rzemiośle. Tak samo się rzeczy mają też w szkole przemysłowej i handlowej, utrzymywanej od r. 1880 przez miasto Lwów kosztem około 8000 złr. rocznie, która to szkoła, jakkolwiek obok oddziału, ogólnie kształcącego, posiada kursa specjalne poszczególnych grup zawodowych z programem, nierównie więcej rozwiniętym pod względem wiedzy fachowej, ma jednakże zawsze wszelkie cechy szkoły przemysłowej uzupełniającej.

Największe trudności w należytem powodzeniu szkół przemysłowych uzupełniających tkwią we wszystkich 27 większych miastach, w których istnieją te szkoły (Kraków ma ich 5), w stosunkach zawodowych. Majstrowie nie dość dbają o to, aby znajdującą się u nich młodzież rzemieślnicza uczęszczała do owych szkół, nie widzą w tem korzyści dla siebie, owszem, widzą uszczerbek w pracy warsztatowej. Nieraz nawet przeszkadzają majstrowie w uczęszczaniu do szkoły. Część tedy młodzieży, dla której owe szkoły są przeznaczone, wcale do nich nie uczęszcza, część dalsza uczęszcza bardzo nieregularnie. Ci,

którzy przychodzą do szkoły, są nieraz po całodziennej pracy niezdolni do uwagi i nauki. Nie da się wszakże zaprzeczyć, że w tej mierze są już zmiany na lepsze; stanowcza poprawa będzie jednakże mogła nastąpić przy energicznem przeprowadzeniu przymusu uczęszczania do szkoły przemysłowej uzupełniającej, w myśl przepisu ustawy przemysłowej z r. 1885, który zobowiązuje przemysłowca, aby pozostawił swoim pomocnikom, w wieku do lat 18, czas, potrzebny do uczęszczania do istniejących w miejscu szkół przemysłowych niedzielnych i wieczornych.

Do najważniejszych przedmiotów uzupełniającej nauki przemysłowej należą rysunki, potrzebne każdemu rzemieślnikowi. Wiadomo, jak dalece nauka rysunków pielęgnowaną jest w Europie zachodniej w szkołach elementarnych, w niższych szkołach przemysłowych i w osobnych szkołach rysunków; jak wielkie usługi oddała tam rozwojowi przemysłu, co stwierdzono niejednokrotnie, porównywając okazy, przedstawiane na następujących po sobie wystawach światowych. W naszym kraju potrzebę nauki rysunków w wyższych klasach szkół ludowych, a jeszcze bardziej w uzupełniających szkołach przemysłowych, uznawano już oddawna, jednakże na zawadzie stawał brak nauczycieli, uzdolnionych do udzielania tej nauki. Obecnie rząd, przy pomocy zasiłków z funduszu krajowego, stara się zaradzić temu brakowi, wysyłając wybranych w tym celu nauczycieli szkół ludowych na pięcioletni kurs nauki rysunków do państwowych szkół przemysłowych we Lwowie i w Krakowie. Nauczyciele ci nabywają tam nie tylko wprawy w rysunkach, lecz zaznajamiają się także z tokiem i metodą udzielania tej nauki w szkołach przemysłowych. Na tej drodze szkoły przemysłowe uzupełniające zyskują cały szereg sił nauczycielskich do najważniejszego przedmiotu fachowego, a jeśli rada szkolna krajowa przeprowadzi równocześnie swój plan, aby wyższe klasy szkół ludowych w większych miastach miały kierunek przemysłowy z wybitnem uwzględnieniem nauki rysunków i innych przedmiotów potrzebnych przyszłemu przemysłowcowi, natenczas ogólny poziom wykształcenia przemysłowego, dziś niestety, jeszcze bardzo niski, znakomicie się podniesie.

Najwyższy stopień wykształcenia przemysłowego w Galicyi reprezentują, pominiawszy politechnikę lwowską, która wychodzi poza ramy rozpatrywanych tutaj stosunków rękodzielniczych, państwowe szkoły przemysłowe we Lwowie i w Krakowie. Pierwsza z tych szkół, założona w r. 1891, obejmuje, po pierwsze: szkołę dla przemysłu budowlanego, z oddziałem dla mularzy, cieśli i kamieniarzy, drugim oddziałem dla ślusarzy budowlanych i trzecim oddziałem dla stolarzy budowlanych, tudzież przyłączonemi do szkoły osobnemi oddziałami dla

przemysłu drzewnego (stolarstwa meblowego, snycerstwa i tokarstwa) i dla ślusarstwa artystycznego; dalej: szkołę dla przemysłu artystycznego, t. j. haftów, koronek, rysunków i modelowania; następnie: szkołę przemysłową uzupełniającą z trzema oddziałami o niższym stopniu nauki dla przemysłu budowlanego, dla przemysłu metalowego i dla przemysłu artystycznego; wreszcie: sale publiczne rysunku i modelowania, dostępne dla wszystkich, chcących korzystać z tej nauki. Szkoła dla przemysłu budowlanego, z przyłączonemi do niej oddziałami, liczyła w ostatnim roku szkolnym 37 uczniów; szkoła dla przemysłu artystycznego—134 uczniów; szkoła przemysłowa uzupełniająca—105 uczniów; w publicznych salach rysunków i modelowania pracowało 111 uczniów.

Te cyfry wykazują, że frekwencja głównego oddziału szkoły jest jeszcze bardzo mała, co należy przypisać po części krótkiemu istnieniu szkoły, a po części temu, że u nas zbyt mało, niestety, dotąd jest takich, którzy, nie myśląc o najwyższem wykształceniu technicznem, jakie daje politechnika, mogli-by i chcieli poświęcić fachowemu wykształceniu więcej czasu, niż go potrzeba dla nauki w wieczornej i niedzielnej szkole przemysłowej uzupełniającej. Synowie rodziców cokolwiek zamożniejszych idą na politechnikę, inni przeważnie do szkoły przemysłowej uzupełniającej, pośrednie zaś stopnie nauki małą mają frekwencję, pomimo, że właśnie potrzeba nam bardzo ludzi z tym stopniem wykształcenia i że tacy, jako przedsiębiorcy lub kierownicy warsztatów, mieli-by nieraz daleko lepsze powodzenie, niż ukończeni technicy.

Lepiej stoją rzeczy pod tym względem w wyższej szkole przemysłowej w Krakowie, która, wstąpiwszy w r. 1885 na miejsce dawniejszego instytutu techniczno-przemysłowego, istniejącego od r. 1879, a właściwie na miejsce jeszcze dawniejszej techniki krakowskiej, zastała grunt bardziej przygotowany dla rozwoju swej działalności. Szkoła ta obejmuje wyższą szkołę przemysłową z wydziałami budownictwa, mechaniki i chemii, które liczą razem 167 uczniów, oddział malarstwa dekoracyjnego 24 uczniów, specjalny kurs dla malarzy dekoracyjnych 4 uczniów, oddział dla maszynistów 40 uczniów, wreszcie szkołę przemysłową uzupełniającą, która ma 130 uczniów.

Fundusz krajowy łoży nie tylko na szkoły przemysłowe obu kategorii niższych, t. j. szkoły i warsztaty dla przemysłu domowego, tudzież szkoły przemysłowo-upełniające. Nadto udziela się z niego stypendyów i zasiłków dla biednych uczniów tych szkół, a następnie dla młodzieży, pragnącej kształcić się w zawodzie przemysłowym w kierunkach, dla których niema szkół lub sposobności praktycznej nauki w kraju. Prócz tego, istnieje fundusz przemysłowy, utworzony przez sejm z sum, przez szereg lat na to przeznaczonych, z którego

wydział krajowy udziela na wnioszek komissyi przemysłowej pożyczek i zasiłków przedsiębiorstwom przemysłowym. Fundusz ten, istniejący od r. 1888, wynosił w r. 1893 ogółem 431,117 złr., rozpożyczonych podówczas pomiędzy 77 przedsiębiorstw. Uznając, że fundusz ten zbyt jest szczupłym, aby mógł skutecznie dopomagać do rozbudzenia przemysłu w kraju, sejm w roku bieżącym uchwalił powiększyć ten fundusz o 200,000 złr. i w tym celu przez ośm lat przeznaczać po 25,000 złr. rocznie z funduszków krajowych.

Wszystkie tutaj i w poprzednich kronikach moich tegorocznych opisane prace około ekonomicznego podniesienia kraju doznały znacznej zachęty i zyskały cenne wskazówki przez wystawę krajową r. 1894. Dając obraz, choć niezupełny, lecz zawsze lepszy, niż każda inna informacja, stosunków ekonomicznych kraju, wskazała ona, jakie owoce przyniosły dotychczasowe usiłowania i zachęciła przez to do dalszej pracy; wykazała jednak obok tego, ile nam jeszcze brakuje, ile gałęzi produkcji leży u nas odłogiem, mimo, że wielka siła pracy pozostaje nieużytkowaną, a w ilu innych rezultaty są jeszcze bardzo niedostateczne, a tem samem stała się bodźcem do rozszerzenia usiłowań około podniesienia bytu ekonomicznego także i na te, nietknięte dotąd lub mało uprawiane, działy. Chcąc obraz stanu rzeczy, jaki dała wystawa, utrwalić, a przez rozpatrzenie szczegółowe a bezstronne jej wyników dać podstawę do dalszych prac na polu ekonomicznem, umyśliło grono ludzi, zajmujących się sprawami ekonomicznymi, wydać zbiorowe dzieło, będące sprawozdaniem o wystawie na tle stosunków ekonomicznych kraju. Dzieło to, które wyjdzie w czterech wielkich tomach, ozdobionych ilustracyami i kartami statystycznymi, będzie najobszerniejszym zbiorem wiadomości o stosunkach ekonomicznych Galicyi, i z tego już względu we wszelkiej dalszej pracy na polu publicznem będzie nieoszacowaną pomocą.

U.

---

# W JEDNEJ IZBIE.

---

Babina była drobna i niska, mocno przygarbiona wiekiem, miała czoło w cieniutkie poorane brózdki i twarz żółtą, a tak zmarszczkami ściągniętą, że kiedy czasem chciała się uśmiechnąć, niewiadomo było, czy jej się zbiera na płacz, czy na radość.

Z pod kraciastej, wypłowiałej chusty, latem jak zimą nasuniętej na głowę, wyzierały jej oczy małe wśród mocno zaczerwienionych powiek i łyskały jakimś sinem światełkiem. Nie dowidzała stara Muszyńska; katarakta zaciągała jej oko prawe—zato lewem coś nie coś rozpoznawała... ot naprzykład, kupę kamieni przy drodze, krzak nad rowem, większą kałużę błotną, od której odbijała światłość dnia.

Nie potrzebowała co prawda tak bardzo dowidzać Muszyńska.

Od siedmdziesięciu lat, które na jednym miejscu przeżyła, mało się rzeczy odmieniło. Drogi bite, ścieżki wydeptane wzdłuż łąki i lasu, żółty gościniec do Krępanej Woli i do Olszowej, nie zmieniły kierunku. Tak samo w kościele dzwoniło na Anioł Pański, jak dawniej, tak samo bębenek odzywał się w karczmie na chłopskie wesela. Umiała więc sobie poradzić i wszędzie trafić babina. W kamienicy, zrobionej z dawnego browaru, w której od tylu lat mieszkała, znała próg każdy i cegłę każdą, i schodki, malowane niegdyś na jesion, wydeptane na kantach, prowadzące z sieni do jej mieszkania, i piwniczkę na lewo, z której dolatywał pomruk zamkniętego w niej wieprzaka, i bruk podwórza, przerosły trawą. Wiedziała po żółtym lub sinym dymie

kominów, u którego z sąsiadów palono: czy u rymarza, czy u ochroniarki. Po kwoktaniu kur stolarzowej zgadywała prawie, ile jaj zniósły, a gwar dziecięcy w ochronie i świergot wróbli w sąsiedniej, na pół uschłej topoli, opowiadały jej dzieje codzien te same, a zawsze nowe, ulubionego zakątka.

Muszyńska była gracyalistką, bo jej mąż przez lat dwadzieścia kowalował przy dworze. Syn jej, próżniak i ladaco, który dawniej przy blacharzu w mieście na życie zarabiał, włóczył się niewiedzieć gdzie po świecie i do matki nie zaglądał nigdy. Muszyńska o synie nie mówiła zgoła i nie lubiła, by go wspomniano. Czas swój zresztą umiała zapłacić. To do chłopaków w ochronie zaglądała czasami, to kury na podwórzu karmiła, to klóciła się z sąsiadami.

Na łaskawem dożywociu nieźle babinie się działo... tylko wedle tych oczu, co je Pan Jezus zasłonił, tak, że musiała głowę zadzierać i od tego jasnego słonka plecami stanąć, aby rozpoznać, co ludzkie, a co nie ludzkie stworzenie! Jeszcze w mieszkaniu, wśród czterech ścian, obrazkami obwieszonych aż do sufitu, pomiędzy komodą, ceglami podpartą, a półką z łyżnikiem, skrzynią, piecem i łózkami, pomimo firanek, kuso przy oknie opuszczonych nad ziemią, i szyb zbitych w oknie, grubym pasem kitu sklejonych, przez które wpadało do izby zamglone tylko, zarudziałe światło, Muszyńska poruszała się swobodnie. Pociągnie ręką około siebie, ledwo dotknie palcami, a zaraz wie, co które pończocha, a które różaniec święty. Ale na dworze bywało gorzej, zwłaszcza, gdy zszarzało. Natknie się Muszyńska na coś wysokiego, żółtego i wnet zacznie gadać: „Wielmożny administratorze!..“ bo to administrator chadzał w takim krótkim, żółtym spencerku, i chce pocałować tę rękę, że to przez nią wszelkie dobrodziejstwo płynie... a wtem dopiero spostrzega, że to wysoki, żółty pies z pałacu, co go Baranem ludzie zowią, że to ma jakiś Baron być. Więc się zawraca Muszyńska, lamentując głośno; bo gdybyć to był wielmożny administrator, to-by wyprosiła coś nie coś dla siebie.

— Eel.. wstydzila-by się Muszyńska! albo to jej czego brak?— przemówi z przeciwka Trynkowska, żona stolarza.— Ani to męża, ani kłopotów, tylko z łaski dziedziców spokojny chleb, po co to Muszyńskiej takie wydziwasy?..

— Dziedziców, nie dziedziców... Zdało-by się... zdało—odmruknie babina.

— Pewnie węgla jeszcze za mało, choć u was gorączka okna rozsadał a wielmożna dziedziczka i watówkę galantą sprawiła, i ochroniarka wam osobno wszystko ugotuje i na wrzątku poda... Wy tam nie dmuchacie na zimne.

Muszyńska, że to sama lubi gadać, a z Trynkowską wyjęzyczyć się nie umie, przekrzywi tylko głowę na prawo, popatrzy w majstrową nieco bojaźliwie i dalej szłapie starymi nogami do innego sąsiada.

\*

\*

\*

Drugą gracyalistką była Stępniewska, zamieszkiwała z Muszyńską w jednym pokoju, a że Stępniewska, o lat kilka młodsza, zdrowszą była i rzeźwiejszą, że miała wzrok doskonały, przytem jaką taką ogładę i wychowanie, jej-to powierzono porządek domowy i opiekę nad towarzyszką. Stąd powstawały zwykle nieporozumienia i zatargi. Babciny tak się kłóciły, że trzeba było wdania się aż ochroniarki, aby te wojny zażegnać, lub groźby, że się proboszcz dowie o wszystkim. Wtedy obie wpadały w dąsy i długie milczenie, czasem aż kilka dni trwające.

Stępniewska miała synów dorosłych po świecie. Jeden majstrem ślusarskim aż w Piotrkowie praktykował, a drugi, jak nieboszczyk ojciec, garbarzem był. Córka, która, za jakiegoś urzędnika w Libawie wyszedłszy, dwa razy daleką podróż przedsiębrała, het od Bałtyku, namawiała Stępniewską, aby z nią jechała, że to sama za mężem zasobną była i miała z czego wdowę utrzymać. Ale Stępniewska bronila się od pokusy. „Co mi tam—inówiła,—ja tu przywykła i ludzie tutaj mnie znają...”—Najwięcej, jeśli od córki przyjęła prezent jaki, jakąś chustę kolorową, albo kapelusz...

Najczęściej spotykano Stępniewską, odświętnie wystrojoną, gdy w wielkie uroczystości szła do kościoła.

Jej ruchome małe oczki, osadzone głęboko przy wydatnym nosie, rozpoznawały każdego z daleka i wnet zaczynały latać niespokojnie; usta ściągały się, jak woreczek, a wtedy wystawała naprzód koścista broda, którą pokrywał meszek starości.

Było zapytać:

— Jak się ma pani Stępniewska?

A zaraz staruszka w głębokim do ziemi ukłonie odpowiadała z namaszczeniem:

— Zdrowy chleb jasnego dziedzica!

Jednak ponieważ kościół był trochę daleko, od pewnego już czasu nie chodziła na mszę, jak dawniej. Nogi jej puchły i zgoła nie opuszczała mieszkania. Nakładła co prawda kapelusz z piórami, który jej córka dała, i tak siedziała w pokoju.

Jak już z kamienicy wszyscy w stronę wsi odeszli i stolarz z rodziną, i ochroniarka, i karbowy, który w tyle domu mieszkała, tylko

mały Franek, syn Zdunikowej, z biczyskiem po podwórzu za kurami latał, Stępniewska, że umiała czytać z drukowanej książki, siadała na kufierku w oknie i wołała na towarzyszkę:

— Nie leń się pani, już czas mszę świętą odprawić.

Muszyńska odpowiadała:

— Pani, co ma dobre oczy, widzi przecie, że już idę.—I siadłszy na zydelku, podług Stępniewskiej, zsuwała z głowy kraciastą chustę, aby lepiej słyszeć, składała ręce z wielką pobożnością i mocno biła się w piersi.

Ale Stępniewska, mimo wolnego czytania, kończyła zawsze przed księdzem. Więc Muszyńska jej mówiła:

— A niechno pani spojrzy na drogę, może wracają?

Droga widna do samego kościoła, środkiem wsi idąca, prosta, jak strzełił, jeszcze nie ożywała się żadnym ruchem. Znakiem to było, że ksiądz dnia tego miał dłuższe kazanie.

Więc Stępniewska z koleji, tak jak stało drukowane w książce, zaczynała psalmy pokutne.

Żadna modlitwa tyle nie wzruszała Muszyńskiej, co psalmy. Widziała w nich, ot, poprostu, ciągle alluzje do swego sierociego stanu. Takie ustępy, jak „Pracowałem w płaczu moim”, albo: „Zestarzałem się między wszystkimi nieprzyjaciółmi moimi”, „Znędziałem i skurczyłem się aż do szczytu”, poruszały w piersiach Muszyńskiej wielkie westchnienia, a jak się dochodziło w czytaniu do wyrazów: „Opuściła mnie siła moja, a jasności oczu moich i tej nie masz przy mnie”, babcina, łkając głośno, zwracała się na lewo w stronę pieca, gdzie wisiała w lakierowanych złotych ramach rycina męki Pańskiej. Po twarzy, posiekanej w zmarszczki płynęły jej łzy i wyciągała przed siebie zwiędłe ręce, siecią sinawych żył nabiegłe. Kończyło się nabożeństwo litanją do Wszystkich Świętych i jeszcze babiny głośno tłukły się w chude i zawiędłe piersi, kiedy się na *Te Deum* odzywały dzwony kościelne i lud wylegał na drogę.

Od tej chwili w dwie staruszki wstępowało życie nowe.

Muszyńska pociągała prędko nosem, wycierała oczy dolnym rąbkiem chustki i, wspierając się o meble i ściany, wychodziła na schody. Stępniewska naciągała szal, nakształt dyftyku, i z kapeluszem na głowie, wycierała także na ganek.

\*

\*

\*

Było to właśnie w niedzielę, po nabożeństwie. Na bruku przed karczmą trajkotały mazurskie bryki, wypchane babami i dziećmi, lub



kocz którego z dzierżawców, a Muszyńska pytała, kto jedzie. Stado gęsi, rozpędzone przez nadjeżdżających, gęgało wrzaskliwie po dwóch stronach drogi. Wracający pieszo do odleglejszych wiosek mijali spieszenie mieszkanie staruszek. Dziewczęta, w jaskrawych spodniach, z polnem kwieciem, zaplecionem we włosy, krępe i proste, jak świeżo ociosane oselki, z trzewikami w jednej ręce, książką w drugiej, dreptały w pyłe. Za nimi wolniej, powłóczyłym krokiem, szli gospodarze w długich, niebieskich sukmanach, o polu i swej chudobie rozprawiający; i het aż od kościoła, na tle biało-zielonem młodych nadwiślańskich topoli, kobiety strojne jedna za drugą szły wyciągniętym długim różańcem, którego dziesiątki przetykała gdzieniegdzie ciemniejsza, chuda kapota.

Pochwyconych urywków ludzkiej rozmowy słuchały gracyalistki z wielkiem zajęciem. Dowiadywały się tak od razu o wszystkim, co przez tydzień zaszło, nietylko we wsi, ale i w parafii całej. Bo z lewego boku od drogi dochodziły także odbite od ściany karczmy, przed którą kupy ludu stawały, nawoływania i głośniejsze żarty.

Z kolei i sąsiedzi wracali.

Karbowego, który się pierwszy na podwórku zjawił, babki zapytały:

— A dużo było ludzi w kościele?

— Było tego—odrzekł chłop.—Był sam dziedzic, w ławce siedział, i dziedzicka ze swym chłopakiem i guwernantem, i pan Antoniewicz z Olszówki, i wielmożny adwokat z Pętlicy, i z chłopów było sporo... Tylko... że te bestye, to jak robactwo na dworze okola murów lega się, a do środka ani wględnie... to już jegomość groził łajdactwu... Gdzie-ita! smałą papierosy na cmentarzu i śmieją się.

Wracali i Trynkowscy do domu.

— Ot,—mówiła stolarzowa do męża—Maciej Jagura spalił się temu dwa roki, a jak to w sadło obrasta. Kapota lepsza od twojej, a żonie kupił na jarmarku spodnicę aż w dwie falbany.

A na to tłómaczył mąż:

— To już tak wedle assekuracyi... jeden w pożarze stratny, a inшы to zyskowy, i co komu do tego!

— Co tam zawracasz, Józef,—odpowiedziała majstrowa—musi to być nie lada jaka rzecz, kiedy się ludziska dziwiają.

Muszyńska, do której dolatywał podniesiony głos stolarzowej, pochyliła się do Stępuiewskiej, szturchnąwszy ją łokciem w bok.

— Słyszysz pani,—rzekła,—jak to się sąsiadka znowu z mężem kłóci?

Wtem Jędrak, chłopak rudy, który przy stajni służył, a kouno na pocztę latał co drugi dzień, ukazał się na podwórzu. Czerwony był

i zdyszany, żółte piegi występowały mu silniej na twarzy, a oczy niebieskie, szklane, patrzyły w Stępniewską.

— Przyszła beczka dla pani,—zawołał.

— Jaka beczka?—zapytała staruszka.

Ludzie, co drogą szli, zatrzymali się ciekawie.

— A no—nie wiem. Na poczcie pan pocztmajster mówili, że to dla pani, i żeby pani sobie prędzej zabierali...

Teraz wszystkie oczy zwracały się ku Stępniewskiej.

— Skąd-by... ja się niczego nie spodziewałam w tym czasie... tłómaczyła babina.

— Cóż pani po beczce,—mówiła Muszyńska,—musi to być pomyłka...

— Albo Jędrak coś stumanił, jak ten niedoletni,—dorzuciła Trynkowska.

A Jędrak poczerwieniał jeszcze więcej, wybałuszył oczy na Trynkowską i grzmotnął się pięścią w piersi.

— Jak Boga kocham, prawdę mówię.

— A no, musi być,—zauważono.

Po chwili rzekła Muszyńska:

— A może co w tej beczce jest?

— No, to pewnik, że jest... bo-by próżnej nikt nie przysyłał...—decydowało kilka głosów.

— Ale!—potakiwano do koła.

Teraz radzono, co począć. Na szczęście zjawiła się ochroniarka, która staruszkom w kłopotcie zawsze pomagała.

— Panusiu kochana, panusiu litościwa—mówiła Stępniewska,—Jędrak o jakiejś mi tam beczce rozpowiada, jako to ona ma być dla mnie, a jak mi to ją odebrać sierocie?

Dopiero, gdy wieść gruchnęła po całej kamienicy, a Staśka, córka karbowego, obecna całej rozmowie, co duch poleciała opowiedzieć wszystko ojcu, aż przed nią kury frunęły przez płoty, gdy ochroniarka wytłómaczyła, że pan administrator ma pewno „powiastkę“ do podpisu i że przy najpierwszej okazji beczkę odbiorą z miasteczka; uspokoili się języki, a tylko już umysły pracowały nad tem, skąd ona beczka przychodzi i co zawiera.

Muszyńska, choć nie wiedziała dokładnie co w beczce jest, już zazdrościła Stępniewskiej.

— Co-by to miało być?...—mówiła do ochroniarki.—Ano, tylko prezent od córki. Dosyć się ich nadostawała, pani moja, oj, oj... Czwanili się ona niemi często, aby miue pognębić!.. Kapelus z piórami to go i w pokoju nosi, a chustę aż po pięcinach wlecze...

— Przecież i pani chustę przed zimą dostała—przypominała ochroniarka—a ciepłą, a szeroką, że się z głową owinąć można.

— Ee... od dziedziczki... Co-by dziedzice robili, gdyby nie dawali biednym ludziom, i tak to, co dają, nie zawsze je najlepsze... a jej, na ten przykład, i dziedzice dają, i córka daje...

Ciekawość babinek nie mogła być zaspokojoną tak prędko. W niedzielę nie było zwyczaju posyłać na pocztę, a w poniedziałek była galówka i pocztę wcześniej zamykano.

Dopiero w trzy dni potem zapowiadzaną przesyłkę oddano Stępniewskiej. Rzeczywiście, przychodziła od jej córki, z Libawy. Beczka zawierała ryby.

Gdy fornał, wracający wozem z poczty, zatrzymał się przed mieszkaniem i wobec zbiegowiska ciekawych baryłkę z drabin wyciągnął, przetoczył kantem, podważył przez schody i w komórecie umieścił, już po zapachu Muszyńska wiedziała, co w beczce było.

— A toć przecie morskiej ryby na cały rok!

— A no... niech to pani otworzy,—mówiła do Stępniewskiej,—że pachnie ładnie, to ładnie... zawszeć popatrzeć nie zawadzi wedle wartości.

Ale Stępniewska, wobec tylu ciekawych, właśnie pokazywać nie chciała.

— Ii... po co otwierać?... otworzy się, jak będzie post, a pani-by i tak nie dopatrzyła...

— Dopatrzyła-bym, pani moja, ja widzę wszystko... tylko mnie tak ludzie szkalują!

Cała jednak zgraja dzieciaków, zbiegłych na widowisko, Muszyńska i kumoszki odeszły z niczem. Stępniewska komórkę zamknęła na kłódkę i klucz wzięła do kieszeni.

— Chowaj ją sobie pani zdrowa, chowaj... z panią pies się nie obliże... wiadome to rzeczy, nie potrzebuję ci laski niczyjej...—gderwała stara, niekontenta.

Wzmianka o psie była Stępniewskiej bardzo nie do smaku. Oczy jej zaczęły latać, jak dwie jaskółki. Ściągnięty woreczek jej ust rozsznurował się odrazu i odparła z wielką godnością:

— Gdybyś pani była chciała mieć co lizać z psem, trzeba ci było syna w ucziwości chować, a skąd może jaki blacharz matce przysmaków nasylać, gdy go od majstra do majstra przepędzają dla złej roboty.

— Co pani o tem gadać!—odparła urażona Muszyńska.—Rybsko pani ni od rymarzy nijakich, ani blacharzy pochodzi, i nie z pieniędzy córki, rzecz pewna... tylko za kradzione jej męża!

— Jakie kradzione, jakie kradzione?—wołała oburzona Stępniewska.

— Nie udawaj pani, że nie wiesz; samaś chciała za zięcia tego franta przemycnika.

— Przemycnika, oho!—głupia mowa pani!—skąd pani wie, że przemycnik? może z nieboszczykiem mężem pani traktował?

Stępniewskiej z wielkiego wzruszenia aż głowa się trzęsła na karku.

— Cicho tam, cicho... — mieszała się nagle ochroniarka,—bo za wezwę jegomością i znowu wstyd będzie.

— Ja tego pani nie daruję—dopowiadała jeszcze Stępniewska—nie, nie, mój zięć nie od łajdaków, jak pani syn; urzędnikiem jest w porcie i córka moja z nim szczęśliwa. Nauczę ja panią tak od złodziejów wymyślać...

— Stara sknera, skąpa, kutwa—odpowiadała Muszyńska, zwracając przez schody na prawo, aby pójść się Trynkowskim poskarżyć.

Obie staruszki wyniosły tym razem z kłótni głęboki do siebie żal. Obie umyślnie podrażniły jedna w drugiej uczucia najskrytsze i najboleśniejsze. Że Antek o rodzonej matce nigdy nie pomyślał, to było dla niej bardzo dotkliwem; lecz niemniej boleśnie dotykało Stępniewską, że o jej zachwalonym zięciu rozmaicie między ludźmi mówiono.

Stolarzowa tymczasem pocieszała Muszyńską w swój sposób.

— Przysłała,—mówiła,—kapelusz, przysłała i rybę. Widać bogata za mężem, skoro ją stać na takie łakomstwa... niech to pani nie gniewa. Przyjdzie post, może co się z tej ryby i pani dostanie.

— Ii...—powątpiewała Muszyńska.—Alboż ona co mi kiedy daje? Że to jej wzrok służy, a mnie go pan Jezus odebrał, to niecień z tego korzysta, pani moja... tak jest, prawdę mówię, niecień korzysta.

— A to jak?—spytała majstrowa.

— Który co większy kawał, to go, het, precz z żeleźniaka ku sobie garnie, a jest jaka w krupniku okrasa, to ją wszystką łyżką wyłowi.

— Abo to i prawda—nie dowierzała Trynkowska.—Brzydko pani Muszyńska robi, że tak ludzi omentluje. Stępniewska to was jak rodzona w dzień i noc dogląda; czy chorej, czy zdrowej, to wam jednako usłuży, i pokój zamiecie, i porządki wasze ustawi, czysto, fort, jak gdzie należy.

Teraz Muszyńskiej takie dowody nie przekonywały. Codzienn, gdy nikt nawet jej nie słyszał, pomrukiwała pod nosem o skąpstwie swej towarzyszki. Nie mówiła już Stępniewskiej dobry dzień, ani dobranoc; zagadnięta, udawała, że nie słyszy—nawet w pokoju przesiadywała rzadziej, niż przedtem, a ściągala tylko do domu na obiad, lub na kolację. Gdy ochroniarka z saganu wydawała im kartofie, babiny od-

wracały się tyłem do siebie i jadły z osobna w milczeniu. Nawet kot Stępniewskiej nie śmiał się zbliżyć do Muszyńskiej, bo go wnet odpychała od siebie, że to już pewno wraz ze swoją panią ten morski specjal smakuje...

W rzeczy samej Stępniewska nie czekała postu, aby do beczi zajrzeć. Kusila ją wielce ta ryba.

— Pakowna bo jest, niema co—mówiła w duchu,—taka płaciuszka, a tak gładko leży. . pięć razy tyle jej wlażło, co-by zmieścił innej. —I dodawała w duchu: poczciwa córka, uczciwie sobie z matką postąpiła.

Pod wieczór, jak już nikogo około okien nie było, a towarzyszkę sen morzył, wysuwała się Stępniewska do sieni, otwierała ostrożnie komórkę, podważała wieko beczi i po kilka naraz ryb zabierała do fartucha.

Było ich tam moc okrutna. Lecz trudna rada, trzeba było je wszystkie zjeść. Ryba morska, to ryba morska, to nie karaś żadeny, ani szczupak, ani okoń... taka ryba ma smak osobliwszy... a przytem tak cenny towar—myślała—i z tak daleka.

Trwało tak parę tygodni, aż naraz Stępniewska ciężko zachorowała.

Felczer skonstatował zapalne żołądkowe cierpienie i nader poważną gorączkę.

Leżała teraz Stępniewska, z twarzą dziwnie wychudzoną, wysoko podparta na wielkich białych poduszkach. Stękała i uskarżała się co chwila. Nos jej wydłużony, śpiczasty, zakłęsał jakąś siną plamą między oczami, usta miała otwarte, a wzrokiem wyblakłym wodziła wokoło siebie obojętnie i leniwie. Nad chorą, z pomiędzy obrazków wiszących na ścianie, zegar, o cyferblacie złotym, malowanym w różę, cykał swem starem wahadłem, jakby liczył życia dobiegającego do kresu może już ostatnie chwile.

Do wchodzącej ochroniarki rzekła chora urywanym głosem:

— Oj, oj!.. źle zemną, panusiu... pono prędko będzie koniec... niech tam proszą jegomościa, aby ze Świętym Sakramentem przyjechał.

W tej chwili i karbowy zajrzał do izby.

— Co tam—mówił—pani nie będzie. Wielmożny administrator tak powiada, że tu u nas to ludzie z rzadka umierają, a już grawyalistki to nigdy.

Ale w południe nadjechał zawezwany doktor i potwierdził najgorsze obawy. Przepisawszy lekarstwo, po które Jędrzek rudy oklep

na szkapie co tchu do miasta poleciał, odjechał, nie robiąc wcale nadziei, i wystraszona ochroniarka zaraz po księdza posłała.

Muszyńskiej nie było w domu od samego rana. Teraz, że Pan Bóg słonko dał, a takie ciepłe, że aż zamróz z kości wychodziła sama, a na polu, na ziemi, tak błyszczało wszystko, że jakoś i jej oczom łatwiej było rozpoznawać to, czego szukały, babina dzień cały dreptała po drogach. Leczące powietrzem białe długie nici, które się od rannych szronów srebrzyły rosą po rolach, a które południem osuszały i podnosił wiatr, snuły się po ścierni, owijały się o przydrożne drzewa i krzaki. „Babom to lato”—mówili ludziska—„babom to radość”—i prawda—jakoś rzeźwiej wyglądała Muszyńska, a od przędzy tych srebrnych pajęczyn aż się bielila chustka starowiny.

Ksiądz właśnie od chorej wychodził, kiedy starą spotkał. Wracała aż z lasu z fartuchem, pełnym suchego chrustu i wlokąc za sobą długą gałąź, jeszcze zieloną. Było tam ledwo na podpałkę, ale Muszyńska nie gardziła niczem, każde drzewo bywa łakome, zwłaszcza z jesieni.

Stękała nieco zasapana Muszyńska, gdy prawą nogą wstępowała na schody, a lewą pociągała za sobą na stopień, szukając przytem ręką podpory. Wtem natknęła się na księdza i zapytała:

— Tam kto? bo niedowidzę. I przekrzywiła głowę, mrugając swem zdrowem okiem.

Poznała proboszcza po głosie.

— Oj, to jegomość kochaneczek, to nasz Ojczulek dobrodziej, oj, oj, nasz miłosierny!—i z pośpiechu opuściwszy wiązki z fartucha, dalej ręce proboszcza całować.

— Cóż tam, matko?—zapytał ksiądz.—Jakże wam idzie?

Nagle Muszyńska zapłakała, jak na komendę.

— Żle, źle, mój ojeze najlitościwszy, same mam smutki, same utrapienia.

— No, no... co znowu? może waszego syna majster wydalili z warsztatu.

— Iii... co mi po nim!.. a niech sobie biduje Antek, kiedy mu z tem dobrze.

— Więc cóż?—dodawał odwagi jegomość.

Muszyńska oglądała się dookoła, brała księdza za sutannę i chciała wieść we framugę sieni.

— Ojczulku miłosierny, a nas nikt tu nie podsłucha?

— Nie, nie, powiadajcie śmiało.

— Bo to widzi ojczulek, ludzie są źli i spiknęli się wszyscy na mnie, sierotę, ale już najgorzej ta.—Muszyńska pokazała palcem na drzwi mieszkania.—Co to ja zawsze mam z nią zgryzot i umartwienia!

to sknera, to kutwa, a kłótniwa cały Boży dzień! święty żywot, co z taką wycierpił Bo to widzi ojczulek, przyszła dla niej ryba, oto taka płaszciotka, co to po niej święty chodził Piotr, coby w morzu nie potonął, to od tego czasu, od tych stopek świętych, zrobiła się ze wszystkich ryb najlepsza i taką ma w sobie—mówią ludzie—pulchność i smakowitość, że to ha! to żre ją od dwóch niedziel i nikomu popatrzeć nie da, a mojej żebranie to nawymyśla i Antka mego szkaluje...

Nagle, spostrzegła się, że jej fartuch zelżał i że się musiała z drzewiny ogubić, więc poczęła się oglądać wokoło z wielkiem rozżaleniem.

— Ot—mówiła—ogubiłam się ze wszystkiego, zbieraj, nie zbieraj, pracuj, nie pracuj, znajdzie kto teraz i skorzysta.

Ale proboszcz przybrał ton surowy i rzekł:

— Mówilem wam to już nieraz, matko! kłóćcie się ze Stępniewską, a może niezadługo i wam przyjdzie zdać rachunek z tych waszych kłótni.

Muszyńska słuchała nieco zmieszana.

— Niedługo będziecie się cieszyli waszą towarzyszką. Już wam pewno nie da ona powodów do sporów.

Muszyńska spytała:

— Czy to jej dziś niby... gorzej?

— Nadziei już niema—rzekł ksiądz—spowiadałem ją dopiero na śmierć.

W Muszyńską nagle jakby piorun uderzył. Osłabła na starych nogach i musiała sięść na schodach.

— Na śmierć, jegomość, na śmierć?

Po odjeździe księdza, starowina, mocno poruszona, długo z siedzenia wstać nie mogła... Kury z podwórza, które zazwyczaj karmiła, podchodziły ku siedzącej, wskakiwały na schody i przechyliwszy czubate lepki, spoglądały ukośnie, wyczekując żeru. Ale Muszyńska kur nie widziała. Chusta opadła jej z głowy na ramiona, a z jej drobnej twarzy wyzierały teraz zaczerwienione, chore oczy, które jakiś strach roztwierał. Ocknęła się wreszcie z zadumy, odegnęła drób wielkim ruchem i, naprężywszy kościsty tułów, powstała.

Szła teraz śpiesznie, utykając i płacząc nogami; ręce jej drżały.

W izbie ochroniarka dała jej niemy znak, aby się cicho sprawowała. Muszyńska znaku nie spostrzegła, tylko, szurgając nogami, szła wprost do chorej.

Oparła ciężko rękę na kołdrach i, pochylając się nad leżącą, gwałtownie za ramię ciągnęła:

— Pani, kochana moja, pani serdeczna... oj, Jezusie Nazareński!.. toć pani na śmierć przyszło...

Chora stękała głęboko.

Ochroniarka chciała odsunąć Muszyńską.

— Dajcie jej, matko, spokój... nie dakuczajcie—mówiła,—któż widział..

Stara odparła z urazą:

— Abo ja kiedy jej dokuczalam, abo my nie były zawsze jak rodzone! oj, oj... Panusi nie było w tej kamienicy i stolarza tu nie było, my już mieszkaly ze sobą... już dwadzieścia siedm lat mieszkamy ze sobą, dwadzieścia siedm, prawdę mówię, od głodowych czasów, panusiu.

I znowu szarpnęła za ramię Stępniewską.

— No! powiedz pani, czy nie tak?

— Odejdźcie, matko!—powtórzyła ochroniarka.

Lecz palce starej wpiły się, jak kleszcze, w pościel Stępniewskiej.

— Niech sobie panusia sama odchodzi, ja tu usłużę... ja wszystko zrobię... oj, ojl.. a toć my się dobrze znamy, a jedna drugą zawsze wyrozumie.—I odwróciwszy się do ochroniarki, jakby jej opowiadała rzecz nową, ciągnęła piskliwym głosem:

— My jadaly razem, my paciorek święty odmawiały razem i gospodarke prowadziły razem, a toć ona była wdowa i ja takż wdowa, ona sierota i ja sierota na tej łasce jasnych dziedziców.

Nie prędko udało się ochroniarce wstrzymać wymowę Muszyńskiej. U sąsiadów opowiadała takż swe żale. Mówiła teraz o tej przeszłości, o której wspominała tak rzadko, i w nowej boleści życia odnajdowała echo swych cierpień dawnych.

— Panie Jezusie miłosierny,—jęczała głośno,—a cóż my teraz zrobimy jedna bez drugiej... jak jej przyszło na umieranie!.. a toć była, jak rodzona moja, a ja jej; alboż nie trzymałam ja do chrztu jej Walentka, co to się na garbarza wykierował, i tej Józefki, co jej tę rybę przysłała, ja, matka chrzestna? Alboż im za własne zarobione nie kupiłam dwa medaliki, z takim pięknym baraneczkiem; siedm złotych kosztowały, pani moja, a jakże? siedm złotych, jak kukielka za grosz... toć nasze dzieci wspólne były, i dom wspólny, i familia. Bo też ja, co prawda, inszej i nie miałam...

Tu ciężko wzdychała Muszyńska.

— Kowal umarł i Antek do terminu poszedł, a jam ci sama pozostała nieboga! oj, pozostałam ja bez nich, jak ten skowronek bez głoby, jak ten wróbleczek bez dachu... chłopak mój poszedł był w blacharze, ani się dowiadywał kiedy o matkę, niecnota! myślałam nieraz, zleciał mi pewno z dachu, że to w sobie taki ruchliwy jest, nogi pewniuteńko połamał, a może co gorszego mu się przytrafiło... gdzietam!



on frygał zdrowy po świetcie, tylko, że już komplet o matce nie pamiętał... To mi jakoś około serca ścisnęło .. A no! była pani Stępniewska i jej dzieciśka, co mnie pocieszali w kalectwie.

— A teraz... teraz! z kim to ja paciorek zmówię, z kim starość moją podzielę i komu biedy wyśpiewam? Skoro pani Stępniewskiej przyszło na śmierć, to i mnie niech śmierć zabierze!..—i rozszołchywała się babina długim, piskliwym lamentem.

. . . . .

Ze Stępniewską było coraz gorzej. Pilnowały jej sąsiadki na przemian, a już najwięcej krzątała się Muszyńska w pokoju. Stawała zgarbiona nad łóżkiem, pochylała się nad chorą, aż ją własną chustą przykrywała i wlepiła w nią swoje zdrowe oko.

Raz w nocy Stępniewskiej słabiej się zrobiło. Głuchym, przyciszonym głosem zaczęła coś gadać.

Muszyńskiej, która z żalości wielkiej od dwóch dni nie spała, wydało się nagle, że jej towarzyszka umiera. Zsunęła się z pościeli co prędzej i, drżąc cała, przystąpiła do chorej.

Stępniewska mówiła:

— Pani Muszyńska, a zmówcie też za mnie kiedy święte pacieryze...

— Zmówię, oj, kochana pani moja!..

— I różaniec święty!—dorzuciła Stępniewska.

— A za kogóż-byłm go odmówiła, jeśli nie za panią? co dzień na tych świętych ziarnuszkach modlić się za panią będę...

Nastało milczenie, które przerywało cykanie zegara i ciche popłakiwanie Muszyńskiej.

Znowu z poduszek dał się słyszeć głos:

— Mój koniuszek już nie daleki, pani moja serdeczna, ledwo, że się duch we mnie kleboce.

A Muszyńska w największem rozrzewnieniu odpowiedziała:

— Ze mną także nie osobiłwie, pani droga, i mnie już maluczko żyć na tej ziemi.

Po chwili, Muszyńska, jakby uderzona myślą nową: Pani Stępniewsko,—rzekła,—toć pani teraz będziesz na niebieskiej gracyi...

A chora jękuła:

— Boże miłosierdzia! zmiłuj się nade mną!

— Pani moja!—ciągnęła stara—człek do trumny nic nie zabierze... śmierć, to śmierć i pokarmu nijakiego jej nie potrzeba... Mnie pani zostaw swoją morską rybę...

. . . . .

W dwa dni potem, wzdłuż drogi prostej, oświetlonej topolą, wzdłuż tej wsi, na którą z okien tak długo Stępniewska patrzyła, jechał karawan, na którym spoczywała trumna sosnowa. Za karawanem szło sporo ludzi. Otulona wielką swą chustą, Muszyńska, dreptała z nimi. W podwórkach wiejskich, na widok pogrzebu, ludzie przystawali w robocie, przechodnie uchylali czapek, lub się z orszakiem łączyli, a z płotów dzieci wpatrywały się ciekawie w tę trumnę, bejcowaną pod jesion, ozdobioną w arabeski i narożniki różnych kolorów, które Trynkowski, miejscowy stolarz, malował. I w miarę, jak ku otwartym polom zdążali, w stronę cmentarza, pod zachód, w ten dzień pogodnej jesieni, trumnę owiewały wonie ziębl przeoranych i oplątywały się wokoło niej wielkie nici białe, długa, powiewna przędza babiego lata, może także tej zmarłej na radość.

Osamotniona Muszyńska, odtąd nie mając z kim ani cieszyć się, ani kłócić, siadywała sama na kufunku, pociągała wkoło siebie wyżółkłą dłońią i z pomiędzy gałganów i strzępów różnyh wydobywała różaniec, aby odmówić pacierz za zmarłych.

Wtedy jej ręce wyciągały się zawsze w stronę opróżnionego łóżka Stępniewskiej, po zmarszczkach znękaney twarzy płynęły łzy, zatapiając w jej lewem oku ostatni odbłysek światła. Noc czarna, noc wieczna ogarniała ją do reszty!

MICHAŁ RADZIWIŁŁ.

---

# Kierunek historyczny w ekonomice niemieckiej.

---

(Die Entstehung der Volkswirtschaft. Sechs Vorträge von Dr Karl Bücher. Tübingen 1893. Verlag der H. Laupp'schen Buchhandlung.)

Od lat wielu już posiadamy w Niemczech tak zwaną szkołę historyczną gospodarstwa społecznego. Od lat kilku panuje ona niepodzielnie. Pomimo to, prac ekonomicznych, prawdziwie historycznych, mamy bardzo a bardzo nie wiele, a i te wyszły z pod pióra ludzi, nie wspólnego z ową szkołą niemających. Mało znane, gdyż trudno dostępne, prace Rodbertusa w kierunku historycznym: „Zur Geschichte der agrarischen Entwicklung Roms” <sup>1)</sup> i „Zur Geschichte der Tributsteuern seit Augustus” <sup>2)</sup>, są prawdziwymi perłami literatury ekonomicznej. Jeżeli wymienimy jeszcze znakomitego badacza stosunków agrarnych, Fr. Knappa <sup>3)</sup>, oraz Adolfa Wagnera, to wyczerpiemy już pono tych, którzy nie z nazwy tylko są historykami ekonomistami i którzy zaznaczyli działalność swoją większemi dziełami;—pozostaje

---

<sup>1)</sup> „Jahrbücher für Nationaekonomie u. Statistik v. Bruno Hildebrand, t. II, 1864.

<sup>2)</sup> Tamże t. t. IV, V. VIII, 1865, 1867.

<sup>3)</sup> „Die Bauernbefreiung u. der Ursprung der Landarbeiter in den älteren Theilen Preussens.“ Lipsk, 1887 i „Die Landarbeiter in Knechtschaft und Freiheit,“ 1891.

już tylko niewielka liczba monografi ich uczniów. Pomimo tej szczupłej liczby przedstawicieli, ośmielamy się twierdzić, że do tego prawdziwie historycznego kierunku należy przyszłość najbliższa w nauce ekonomii, i dlatego pragniemy zaznajomić czytelników polskich z dziełem Karola Büchera, profesora ekonomii w Lipsku, który zajął już wybitne stanowisko w nauce światłą monografią „Bevölkerung von Frankfurt a. Main im XIV u XV Jahrhundert” <sup>1)</sup>, a w roku ubiegłym wydał książkę pod tytułem „Die Entstehung der Volkswirtschaft” <sup>2)</sup>, obejmującą szereg odczytów, nadających się doskonale do zaznajomienia z metodą nowej szkoły.

Czemże różni się ona od panującej? Oto tem przedewszystkiem, że jest historyczną. Szkoła Roschera oparła się bezpośrednio o szkołę historyczno-prawniczą Savigny’ego i, jak ta, wpadła w błędy, wprost zabójcze dla historyka, z których najważniejszy polega na tem, że pojęcia, powzięte z obserwacyi stosunków współczesnych, przenosi niekrytycznie na epoki dawniejsze, zamykając tem samem drogę do zrozumienia tych czasów.

Słusznie więc powiada Bücher: „Nie można oszczędzić szkole historycznej zarzutu, że, zamiast zagłębić się w dawniejsze okresy ekonomiczne, stosowała do nich dowolnie zwykłe kategorie, wyprowadzone z nowożytnego gospodarstwa, albo też pojęcia, poczerpnięte z gospodarstwa zamiennego, dopóki tak, czy owak, dały się zaaplikować do wszystkich bez różnicy epok... Dlatego materiał historyczno-ekonomiczny, nagromadzony w wielkiej masie, pozostał martwym skarbem, oczekującym dopiero naukowego spożytkowania.”

Tak jest w rzeczy samej. Roscher, Brentano, Schmoller i ich uczniowie, zdobyli olbrzymi materiał; są to zbieracze skrzętni, co stanowi wielką ich zasługę, lecz teorie, wytworzone przez nich, na zasadzie tego materiału, pozostały czczemi ogólnikami.—Co, proszę, poczyniemy z ową Roscherowską tryadą rozwoju, rozkwitu i zaniku ekonomicznego w pewnych epokach gospodarczych, stosowaną w dodatku niekiedy tak bezzasadnie (np. w teorii podatków)? Nic, absolutnie nic. Takie przeprowadzenie analogii pomiędzy okresami rozwoju gospodarstwa społecznego, a okresami bytu politycznego państw musi pozostać jałowym, bardziej jałowym od owej teorii o „organizmie” społecznym, której jest parafrazą.

Dlaczego tak się stało, dlaczego badania szkoły historycznej wydały tak małe wyniki teoretyczne? Sądzimy, że jedną z najważniej-

<sup>1)</sup> H. Laupp. Tübingen.

<sup>2)</sup> H. Laupp. Tübingen.

szych przyczyn wskazuje Bücher, kiedy zarzuca szkole historycznej, że porzuciła drogę ścisłej analizy. Teraźniejsze stosunki ekonomiczne możemy zrozumieć, jedynie badając ich źródła, stosunki okresów minionych, te zaś możemy wyjaśnić, jedynie analizując je tak ściśle, jak szkoła klasyczna w ekonomii analizowała współczesne. Tymczasem szkoła historyczna przyjęła kierunek wybitnie empiryczny, a badania teoretyczne zostały zupełnie przez nią pominięte. Nie posunęła dlatego ani o krok teorii, postawionej przez swoich poprzedników. Tam nawet, gdzie ta domagała się gwałtem krytyki, właśnie historycznej, we wszystkim, co sięgało się do poglądu na minione okresy, krytyki nie przeprowadzano ściśle. Jeżeli Turgot, Smith lub Ricardo, ci racjonalści *par excellence*, odbudowują sobie dowolnie pierwotne społeczeństwo, jeżeli mówią o stosunkach wymiennych pierwotnych ludzi, jak gdyby mieli przed sobą dwóch mieszczan paryskich lub londyńskich, nikogo to nie gorszy. Ale jeżeli dziś, kiedy nagromadzono całe biblioteki dzieł etnologicznych, te same ogólniki znajdujemy w dziełach historyków, jest to krzyżującym dowodem ich płytkości.

Próbę skreślenia w wielkich zarysach rozwoju stosunków ekonomicznych w zachodniej Europie podaje nam Bücher w pierwszym odczycie, zatytułowanym „powstawanie gospodarstwa narodowego.“

Badając przeszłość ekonomiczną społeczeństw, musimy podzielić ją na pewne okresy, a miernik zastosowany tutaj charakteryzuje z góry stanowisko badacza.

Dotąd mieliśmy dwa takie podziały. Fryderyk List rozróżniał okresy: myśliwstwa, pasterstwa, rolnictwa, dalej okres rolniczo-przemysłowy i rolniczo-przemysłowo-handlowy. Hildebrand proponował podział na gospodarstwo naturalne, pieniężne, kredytowe. Bücher odrzuca obydwie, gdyż, jak twierdzi, nietylko zatrzymują się u powierzchni badanych zjawisk, ale, co gorsza, „opierają się na przypuszczeniu, że po wsze czasy, jak daleko sięga historia, z wyjątkiem tylko „stanu pierwotnego“ (*Urzustand*), istniało gospodarstwo społeczne, oparte na zamianie, różniły się tylko formy wytwarzania i zamiany w różnych okresach.“ Temu właśnie przeczy stanowczo autor, powołując się na materiały historyczny i etnograficzny, i dochodzi do wniosku, „że gospodarstwo narodowe jest wytworem tysiącletniego rozwoju, że jest nie starszem od nowożytnego państwa, że przed powstaniem jego ludzkość gospodarowała przez długie okresy czasu bez zamiany, albo przy takich formach zamiany wytworów i usług, których nie można nazwać narodo-gospodarczemi.

Żeby więc zrozumieć przebieg rozwoju, trzeba za miarę podziału wziąć objaw, „który wprowadza nas w istotę zjawisk gospodarstwa zamiennego, ale też wyjaśnia organizacyjny czynnik dawnych okre-

sów gospodarczych." Takim miernikiem, zdaniem autora, jest długość drogi, jaką przebiegają wytwory od producenta do konsumenta. Przykładając taki miernik, dzieli on rozwój ekonomiczny środkowej i zachodniej Europy na trzy okresy.

1) Okres zamkniętego gospodarstwa domowego (czysta produkcja na własne potrzeby, gospodarstwo niezamienne), w którym wytwory idą na użytek tego gospodarstwa, co je wytworzyło.

2) Okres gospodarstwa miejskiego (wytwarzanie na obstałunek (*Kundenproduktion*), albo okres bezpośredniej zamiany, w którym wytwory przechodzą bezpośrednio z wytwarzającego do spożywającego gospodarstwa.

3) Okres gospodarstwa narodowego (wytwarzanie towarów, okres obiegu dóbr), w którym wytwory zwykle muszą przebiegać cały szereg gospodarstw, zanim zostaną zużytkowane."

Naturalnie przejście od jednego okresu do drugiego, nie bywa nigdy wyraźnie określone. Częstość odnajdujemy szczątki pierwocin w zupełnie nowym okresie. Jednakże typy takie dają się ująć i autor każdy z okresów charakteryzuje w sposób następujący:

Pierwszy okres trwa od początków cywilizacji aż do dziesiątego (mniej więcej) wieku naszej ery. Cechą charakterystyczną tego okresu jest, jak już wspomniano, że cały obieg gospodarstwa od produkcji do konsumpcji odbywa się w zamkniętym kole domu (rodziny, plemienia), każdy dom ma z góry określony zakres swej produkcji przez konsumpcję uczestników domu. Każdy wytwór dokonywa swego istnienia, począwszy od wytworzenia materiału surowego, kończąc na formie przydatnej do bezpośredniego użytku, w temże gospodarstwie, i przechodząc bezpośrednio w fazę konsumpcji. Wytwarzanie dóbr i konsumpcja przechodzą jedno w drugą, tworzą proces nieprzerwany, nierozróżniczkowany; tak samo też nie można tu oddzielić gospodarstwa zarobkującego i użytkującego. Dorobek każdy wytwarzającej wspólnie grupy utożsamia się z pokryciem jej potrzeb, jej konsumpcją."

Typy takiego gospodarstwa mogą być dosyć rozliczne. Może to być zarówno szczepek myśliwski Indyan, rodzina patryarchalna pasterska, jako też gospodarstwo greckie lub rzymskie, ufundowane na niewolnictwie, lub wreszcie gospodarstwo feudalne, oparte na pracy pańszczyźnianej. Pomimo wszystkie różnice tych typów, wspomniane cechy są im wspólne.

W pierwotnej formie, gdzie gospodarczą jednostkę stanowi ród, o zamianie mowy zgoła być nie może.

Podział pracy może istnieć, o ile na to pozwala różnorodność osób co do wieku, płci, siły fizycznej. W każdym razie, jak wykazały badania nad ludami pierwotnymi, stosunki pomiędzy członkami takich

grup rodowych są bardzo ściśle, wyłamać się ze wspólnoty rodu nie może nikt. Pojedynczy człowiek zginął-by niechybnie. Po-za rodem—wróg i śmierć.

W miarę wzrastania produktyjności i różniczkowania w rodzie, wielka grupa rozpada się na mniejsze. Atoli nie odrazu nic łącząca zostaje przerwana doszczętnie; jeżeli bowiem zmniejszona rodzina może zadość uczynić niektórym swoim potrzebom, to jednakże dla innych, wymagających zrzeszonej pracy, celów, pozostaje w sile organizacja gminna. W wielu razach powstają wspólnoty czasowe dla dokonania pewnych prac. Ślady tego widzimy jeszcze dziś, szczególniej wśród chłopów słowiańskich (artel rossyjska, czeta i drużyna bułgarska, ma-ba serbska). Jednakże zakres prac, dokonywanych w ten sposób, pozostaje niewielki i nie zmienia typu jednodomowego gospodarstwa.

Rozkład wspólnoty, oparty na związku krwi, doprowadza do innej jeszcze konsekwencji—do niewolnictwa. Typ gospodarstwa, opartego na niewolnictwie, mamy w drobnych państwach greckich i w Rzymie. Grecki „ojkos” i rzymska „familia” przedstawiają zupełnie zamknięte, wystarczające sobie gospodarstwa. Jeżeli dawniejsze społeczeństwo składało się z grup rodowych, to w ustroju rzymskim jednostką prawną staje się grupa ludzi, stanowiących domostwo, którego przedstawicielem i władcą jest „paterfamilias.” W jego rękach spoczywa „patria potestas”, władza małżonka i ojca, a zarazem władza posiadacza niewolników. Po-za tą władzą znika wszelki byt indywidualny. Państwo reguluje w zasadzie tylko stosunki pomiędzy tymi reprezentantami, a zatem stosunki pomiędzy gospodarstwami, a nie stosunki pomiędzy jednostkami ludzkimi. Tą autonomią „domu”, posiadającego niewolników, tłómaczy się cały ustrój państwa rzymskiego. Dlatego właśnie, że „dom” jest gospodarstwem, wystarczającym sobie, nie może tam być stanów produkcyjnych—kmięci, rzemieślników. Są tylko wielcy i mali posiadacze, bogaci i biedni. Bogaci wydziedziczają biednych, to leży w porządku rzeczy.

Pomagają w tem „wypadki”, np. wojny, pomory i t. d. Wydziedziczeni stają się proletaryuszami, nieprodukcyjnymi z konieczności, gdyż praca ich nie znajdzie pokupu,—najem nie istnieje. Produkcyę wykonywają niewolnicy, i to całą produkcyę. „*Omnia domi nascuntur*”—wszystko wykonywa się w domu, nic się nie kupuje. Stąd owe olbrzymie latyfundia, zaopatrzone w niezliczony tłum niewolników.

Podział pracy tej rzeszy niewolniczej doprowadzono do olbrzymich rozmiarów. Najpierw rozpada się ona na a) „*familia rusticana*”—niewolników wiejskich, którzy wykonywają prace produkcyjne; pod kierunkiem zarządcy i dozorców, znajdujemy tam robotników rolniczych, pastuchów, służbę domową i kuchenną, prządki i tkaczy, kraw-

ców, farbiarzy, cieśli, stolarzy, kowali i t. d.—i na b) „*familia urbana*” — niewolników, przeznaczonych do służby bezpośredniej około osoby pana i pani; spotykamy tam kucharzy, piekarzy, piwnicznych, szatnych, kasyera, buchhaltera, dozorcę sreber, pokojowców, tancerki i tancerzy, śpiewaków i muzyków, lekarzy-specjalistów niemal dla każdego członka ciała, nawet specjalistę do obcinania paznokci; znajdujemy też niewolników, jako bibliotekarzy i kopistów, filozofów, poetów i artystów przybocznych. Jeżeli pan jest dostawcą państwowym, ma urzędników niewolników, jeżeli zarządza prowincją, to samo. Jeżeli udaje się w podróż, towarzyszy mu tłum straży i posłańców. Jeżeli chce pozyskać wpływ polityczny, cała falanga gladyatorów lub aktorów-niewolników zabawia gawieź stołeczną. „Jest to niesłychane marnotrawstwo sił ludzkich, ale ostatecznie za pomocą takiego tysiąco-ramiennego organizmu zamkniętego gospodarstwa domowego, udoskonalonego specjalnym systematem hodowli i wychowania, osobiste siły władcy zostają spotęgowane tysiąckrotnie, i to przyczyniło się do umożliwienia panowania garści arystokratów nad połową świata.”

Tak samo, jak patrycyusz, gospodaruje państwo. W Atenach, zarówno jak w Rzymie, niżsi urzędnicy są niewolnikami. Niewolnicy budują gmachy publiczne, drogi, kanały, pracują w kamieniołomach i kopalniach, niewolnicy są katami i dozorcami, i posługaczami w świątyniach; każdemu dowódcy w kampanii towarzyszy orszak niewolników państwowych. Środki do utrzymania tej rzeszy płyną z posiadłości państwowych i danin prowincyi.

Te same zasady gospodarcze znajdujemy następnie u ludów romańskich i germańskich na początku wieków średnich. Tu również, jak tam, postęp ekonomiczny doprowadza do przekształcenia gruntownego pierwotnego gospodarstwa domowego. Gospodarstwo pańszczyźniane w ogólnych zarysach jest pokrewnie gospodarstwu niewolniczemu, z jedną wszakże różnicą zasadniczą: „W Rzymie wielka własność ziemską pochłania małą i zastępuje rękę chłopą ręką niewolnika, którego później przekształca w „kolonistę.” Postęp ekonomiczny, jakim odznacza się wielkie gospodarstwo „ojkosu”, musiał być okupiony zupełnem sproletaryzowaniem wolnych kmieci. W ustroju poddańczo-pańszczyźnianym średnich wieków drobny wolny posiadacz staje się rzeczowo zależnym, lecz nie zostaje wyparty ze swojej siedziby, nie zostaje pozbawiony własności; zachowuje on pewną osobistą i gospodarczą samodzielność i zarazem bierze udział w obfitszem nagromadzeniu dóbr, jakie w systemie zamkniętego gospodarstwa domowego umożliwia gospodarstwo na wielką skalę (*Grossbetrieb*).“ Pochodzi to z owej zasady opieki, właściwej szczepom germańskim, wskutek której chłop drobny, nie mogąc utrzymać się samodzielnie na swojej sie-



dzibie, oddaje się w opiekę możniejszemu sąsiadowi. Naturalnie, że w interesie tego możnego sąsiada leżało doprowadzić go do tego, co też robił, w środkach nie przebieając.

Typ gospodarstwa pańszczyźnianego przedstawia wieś, której punkt centralny stanowi dwór. Ziemia należy po części bezpośrednio do dworu (*Salland*), po części pozostaje w rękach chłopów pańszczyźnianych. Grunta, do dworu należące, uprawiają po części ci właśnie chłopci (robocizna), po części parobcy, pozbawieni ziemi. Prócz robocizny, na poddanych ciąży daniny, składane przeważnie w naturze, po części w produktach rolniczych, po części w wyrobach rękodzielniczych.

Mamy tedy przed sobą znowu pewien organizm gospodarczy, wystarczający sam sobie, różniący się od gospodarstwa starożytnego niewolniczego tem, że pozostawia pewną autonomię niewolnikom, stanowiącym jego część integralną.

W każdym razie, stosunki ekonomiczne ludzi, stanowiących ten organizm, nie są bynajmniej oparte na zamianie wytworów. „W tem gospodarstwie nie może być mowy o cenie, o płacy roboczej, dzierżawie, zysku od kapitału, a zatem niema tu przedsiębiorcy, ani najmity.“ Wszystkie daniny są opłacane w produktach, które mogą być użyte, ale nie kapitalizowane. Stosunki pomiędzy gospodarstwami mogą być nader skomplikowane. Już sam system lenniczy, gdzie królowi hołdują magnaci, tym rycerstwo, a rycerstwu chłopstwo, gdzie zatem produkt, jako danina, przechodzi z rąk do rąk, gdzie na pewnych gruntach mogą ciążyć najrozmaitsze serwituty, pociąga za sobą wieloliczne stosunki zależności. W każdym razie brak tu zasadniczej cechy gospodarstwa zamiennego, brak „specyjalnego stosunku każdej usługi do usługi, otrzymanej w zamian, i swobodnego rozporządzania sobą każdego gospodarstwa, przy wzajemnym ich stosunku do siebie.”

Z czasem wytwarza się zamiana przedmiotów, zbywających po nad potrzeby, ale tylko takich. Zwiastuje to dalszy rozwój w tym kierunku, lecz nie narusza typu gospodarstwa zamkniętego, którego cała produkcya określa się, bądź co bądź, potrzebami własnych członków. „Nie wiele wart gospodarz, który kupuje to, czego może dostarczyć własne gospodarstwo”, powiada Pliniusz starszy. Pogląd taki jest powszechnym w świecie rzymskim. Podobnie w wieku XI jeszcze we Francyi kupowano tylko w razach wyjątkowych <sup>1)</sup>. Najlepszym tego

<sup>1)</sup> W Polsce stan taki trwał zapewne dłużej. Charakterystykiem np. jest zdanie następujące Mikołaja Reja z Nagłowic: „Także i piwo, mając swój browar, by też dobrze połowić do karczmy dał, a połowić sobie zostawił, tedy za onę połowić weźmie pieniądze swoje.“ Żywot poczciwego człowieka. Rozdział XVI. A zatem główną przyczyną prowadzenia browaru, była „ona połowica“ na własne potrzeby.

dowodem są ociężałe formy handlu starożytnego. Najstarsze rzymskie prawo przepisuje, aby każde kupno było zawarte wobec pięciu obywateli rzymskich, jako świadków. Ważenie odbywało się przy udziale specjalnego urzędnika, i nabywca, z uroczystą przemową i przy „nakładaniu rąk”, brał w posiadanie przedmiot. Pokrewne zwyczaje zna prawo handlowe niemieckie wieków średnich. Oczywiście takie ociężałe formy aktu sprzedaży świadczą, że nie był on codziennym. Drugiego dowodu dostarcza lingwistyka, wykazując, że język grecki i łaciński nie posiadały wyrazów specjalnych dla czynszu, dochodu, płacy robotniczej, podobnie, jak nie miały wyrazów dla przedsiębiorstwa, zawodu.

„Obfite pozornie używanie pieniędzy w odległych epokach historycznych nie powinno mącić naszego pojęcia o tym stopniu gospodarstwa.“ Pieniądze bowiem są nie tylko środkiem zamiany, ale również miernikiem wartości i środkiem nagromadzenia skarbów. Że odgrywały one rzeczywiście pierwszą rolę, o tem świadczy fakt, iż w licznych dokumentach średniowiecznych ceny określano po części w pieniądzach, po części w koniach, bydłe, winie, zbożu, i dozwolano płacić wyrobami i produktami, zamiast pieniędzy. Przytem, po-za zamianą, istnieją jeszcze wypłaty, jako podatki, kary, kontrybucye, które wogóle również pobierano w naturze, lecz często było zapewne dogodniej pobierać je w pieniądzach. O podrzędnej roli pieniędzy świadczy też łatwość, z jaką przetapiano je na przedmioty zbytku. Również charakterystycznym jest, że niewolno było dawać przez długi czas srebra lub miedzi, zamiast złota, jeżeli złoto np. było wyznaczone w kontrybucyi.

„Do wewnętrznego układu pojedynczego gospodarstwa nie wtargnęła zatem jeszcze wartość zamienna decydująco; znało ono tylko produkcję na własną potrzebę i, gdzie ta nie wystarczała, zjawia się dar, jałmużna, a w razie potrzeby—rabunek. Dlatego-to gościnność, legitymowane żebractwo, połączenie życia koczowniczego i najstarszej żeglugi z rabunkiem, nadzwyczajne rozpowszechnienie kradzieży bydła, u surowych ludów rolniczych są zwykłemi objawami, towarzyszącemi zamkniętemu gospodarstwu domowemu.”

W takim systemie gospodarstwa mogą też pojawiać się pożyczki, ale „są one przeważnie bezprocentowe i służą celom konsumcyjnym. Kredyt produkcyjny nie daje się połączyć z tą formą gospodarstwa. O ile zaś pojawia się kredyt pieniężny na procent, staje się on czemś nienaturalnem i pociąga za sobą ruinę.” To też zakaz procentu przez prawo kanoniczne tłumaczy się nie tylko moralno-teologicznemi, ale również ekonomicznemi względami.

Powoli gospodarstwo domowe przekształca się w „gospodarstwo bezpośredniej zamiany.” Autor nazywa je gospodarstwem miejskiem,

ponieważ typowo występuje w stosunkach ekonomicznych miast średniowiecznych. Okres ten charakteryzuje uzależnienie jednego gospodarstwa od drugiego: Gospodarstwo, oparte na uprawie roli, przestaje zadawać wszystkie swoje potrzeby, musi więc wchodzić w stosunki z innymi, tracąc częściowo swoją niezawisłość. Jest to wynik postępu, który zmusza gospodarstwo indywidualne do rozwijania się specjalnie w jednym kierunku, wskazanym przez warunki przyrodzone lub społeczne, co pociąga za sobą zanik innych gałęzi jego wytwórczości. Zamiana tych produktów wyspecjalizowanych gospodarstw odbywa się na rynku miejskim.

Początkowo miasto jest przede wszystkim twierdzą, do której chronią się mieszkańcy okoliczni w razie potrzeby <sup>1)</sup>. To prawo ochronny nakłada obowiązki (wznoszenie i utrzymanie murów i t. d.). Mieszkańcy miasta co do swoich zajęć początkowo nie różnią się od wieśniaków, tak samo, jak oni, trudniąc się rolnictwem. Różnica polega na tem, że mieszczanie są jakby stałą załogą, pełniącą służbę w czasie pokoju, stąd płyną pewne prerogatywy. Powoli jednakże w miastach naturalną zupełnie drogą zaczyna się rozwijać przeważnie rzemiosło, co sprowadza rozwój zamiany pomiędzy gospodarstwami miejskimi i wiejskimi i związek militarno-ochronny przekształca się w ekonomiczno-gospodarczy.

Własna korzyść nakazywała władcom terytoryalnym otaczać miasto szczególniejszą opieką, zapewnić bezpieczeństwo przybywającym na targ; z tych swobód i opieki najwięcej korzystali mieszczanie i powoli wytwarza się zasada: „miejskie powietrze czyni wolnym.“ Z jednej strony zapewnia to miastu przypływ coraz świeżych energicznych elementów, z drugiej powoduje rozdział prawny pomiędzy ludnością wiejską i miejską, który w końcu musi doprowadzić do przewagi miasta nad wsią.

Miasto stawało się ogniskiem gospodarczym pewnego terytoryum. Widać to nawet z rozłożenia geograficznego miast: zwykle są one położone tak, że wieśniacy okręgu 4—5 milowego mogą przybyć do miasta i wrócić w jedną dobę. O ile więc przedtem dwór wiejski z przyległościami stanowił jedność, o tyle teraz staje się nią terytoryum miasta z przynależnemi wsiami. Wszystkie usiłowania skierowane są do zapewnienia miastu rynku zbytu i dowozu z takiego okręgu. Całe prawo targowe średnich wieków dąży do urzeczywistnienia dwóch zasad: wszystko powinno być nabywane z pierwszej ręki; wszystko, co mia-

<sup>1)</sup> Mowa tu o miastach świata germańskiego. Pochodzenie miast starożytnych było inne.

sto może wytworzyć, powinno być w niem wytworzone. Pierwsza zasada wypływa właśnie z owej bezpośredniej zamiany wytworów, druga jest dążeniem do wyzyskania sił terytoryalnych. Stąd np. przepisy, że przekupnie mogą nabywać produkta wiejskie dopiero wtedy, kiedy bezpośredni nabywcy zrobili swoje zakupy <sup>1)</sup>; że produkta powinny być wystawione przez pewien czas na sprzedaż, zanim zostaną wywiezione. Stąd ograniczenie, nakładane na obcych kupców, że wolno im sprzedawać tylko towary nie wyrabiane na miejscu, i wogóle nieufność, z jaką patrzano na nich. Obszar dowozu i wywozu miasta jest ten sam: produkuje ono dla swojego okręgu wiejskiego i z niego się żywi. „Mieszczanin i wieśniak byli wzajem dla siebie kundmanami: co jeden wytworzył, spożywał drugi, przyczem znaczna część tej wymiany odbywała się bez pieniędzy, albo też pieniędzmi wypłacano jedynie przewyżkę wartości.”

Ten system bezpośredniej zamiany właściwie wyklucza zupełnie kupca w nowożytnym znaczeniu. Dlatego aż do końca wieków średnich w Europie należy rozróżniać ściśle przekupniów od kupców. Pierwsi byli niezbędni w każdym mieście, o ile bowiem bogaty mieszczanin zakupował swoje zapasy na cały tydzień od wieśniaka, przybyłego na targ, o tyle biedny, który wówczas jak i dziś, żył z dnia na dzień, musiał uciekać się do pośrednictwa owego przekupnia, który targował „groszowym towarem.” Natomiast kupiec prawdziwy handlował tylko towarem, przywożonym z daleka: towarami kolonialnymi, rybami morskimi, suszonymi lub marynowanymi (których w poście zapewne spożywano dużo), futrami, lepszym sukniem, winem i t. d. Kupiec taki wędrował z jarmarku na jarmark i nie wiele tylko miast, prócz pertowych, posiadało w swoich murach takich stałych kupców <sup>2)</sup>.

Pomimo jednakże tego podziału pracy pomiędzy miastem i wsią, pomiędzy rzemieślnikiem i rolnikiem, mieszczanin długo jeszcze upra-

<sup>1)</sup> Podobne przepisy przechowały się do czasów ostatnich w naszych miasteczkach.

<sup>2)</sup> Że w Polsce handel kupiecki był mało rozwinięty, o tem świadczy fakt, iż nie było nawet właściwych kupeców zbożowych. W daleko późniejszym już czasie bowiem wytwórca musiał sam dostawić zboże aż do Gdańska. Tak np., jeszcze w roku 1685 pan Jan Chryzostom z Gosławie Pasek, kiedy go święty Antoni „z obłożnej choróbki (a przypadła mi ta choróbka z przepicia) łaskawie dźwignąć raczył“, osobiście jedzie ze skutkami do Gdańska i sprzedaje panu Wilhelmowi Braunowi. Nawet flisów zabiera swoich i własnymi „leguminy“ ich żywi. „Pamiętnik“, r. 1685. Nie też dziwnego, że Rej, kiedy wskazuje, jakimi sposobami „człowiek poczciwy“ podeprzeć może swoje gospodarstwo, nie mówi o handlu na wielką skalę, lecz o kramarstwie na rynku krakowskim, którem „chudzina“ się żywi. „Żywot poczciwego człowieka.“ Rozdział XVII.

wia własny kawał gruntu, a wieśniak długo jeszcze jest własnym swoim cieślą, stolarzem, bednarzem. „Cały obszar zjawisk ekonomicznych, w porównaniu z zamkniętym gospodarstwem domowym, jest bogatszy i różnorodniejszy; gospodarstwa oddzielne obejmują mniejszą liczbę ludzi; są one mniej niezależne od siebie; biorą wzajemnie na siebie pewne funkcje; wartość zamienna przenika już teraz decydująco ich byt. Ale zawsze jeszcze wspólnota produkcyjna odpowiada wspólnocie konsumpcyjnej: nawet obcy pomocnicy rzemieślnika lub służba kupca są członkami jego gospodarstwa, podlegają jego władzy dyscyplinarnej. On jest ich panem, oni jego „czeladzią.”

Niema też jeszcze przedsiębiorstwa we właściwym znaczeniu. Rzemiosło jest przyjmowaniem roboty na obstalunek, opiera się ono na pracy, nie na kapitale. Kapitał, o ile wogóle pojawia się, jest kapitałem handlowym. Kredyt jest bardzo ograniczony i przyjmuje zwykle formę pożyczki na fant, co się odbywa w oryginalny nieraz sposób. Np. dłużnik, niejednokrotnie możny pan feudalny, musiał stawić się u wierzyciela i przebywać u niego, dopóki się nie wykupi (niemieckie „*Einlegen*”), stawał się więc we własnej osobie fantem. Natomiast wiele „stosunków” otrzymuje charakter rzeczowy i wchodzi w poczet towarów: sprzedawano lub dzierżawiono władzę zwierzchniczą i sądową, godności kościelne, prawa na polowanie, dziesięciny, nawet zbawienie duszy.

Dwie kategorie nowożytne pojawiają się teraz po raz pierwszy: płaca robocza i renta gruntowa. Ale pierwsza przyjmuje zazwyczaj formę odmienną od dzisiejszej, gdyż czeladnika z majstrem wiązą daleko ściślejsze stosunki. Otrzymuje on całkowity „wikt“ i płacę w gotówce bardzo nie wielką, jest członkiem rodziny. Renta i procent nie dadzą się tu oddzielić wyraźnie. Najbardziej charakterystyczną operacją jest kupno rent dożywotnich. Nabywający oddaje część swej własności, żeby zapewnić sobie dochód roczny, a więc operacja kredytowa, ukryta w formie sprzedaży.

Punkt ciężkości życia ekonomicznego przeniósł się teraz ze wsi do miasta, ale dążenie miasta do supremacji nad wsią rozmaite wydało rezultaty w różnych krajach. Tylko we Włoszech, gdzie wytworzyła się formalna tyrania miasta, dosięgło ono celu. To też tam z czasem kapitał miejski wyssał i sproletaryzował na wieki chłopą. W Niemczech natomiast i we Francji miasto nie zdołało podbić chłopą pod swoje panowanie, pozostał on poddanym szlachty wiejskiej, która wiodła walkę zaciętą z miastem aż do końca tego okresu. Miasto zdołało się tu wyswobodzić z pod władzy tej szlachty feudalnej, lecz nie potrafiło jej złamać, nie mogło zasady gospodarczej, na której było oparte, podnieść do godności idei państwowej, jak to miało miej-

sce w poprzednim okresie, gdzie państwo było wiecznem odbiciem pojedynczego gospodarstwa „ojkosu” lub „familii”.

Powstanie „gospodarstwa narodowego” jest przede wszystkim owocem centralizacji politycznej. Terytorjum gospodarstwa stanowi teraz cały obszar państwa: każdy kraj, każda grupa ludności musi brać na siebie zadanie, które z natury swojej najlepiej spełniać może. Jest to przynajmniej ideałem absolutyzmu XVI do XVII wieku w kierunku gospodarczym. Usiłowanie to widzimy wyraźnie we wszystkich urządzeniach, które przywykliśmy oznaczać mianem merkantylizmu <sup>1)</sup>. Usiłowania te zostały uwieńczone skutkiem tylko dlatego, że szły w tym samym kierunku, co siły społeczne. Handel, popierany kredytem, rozwija się coraz potężniej; miejsce dawnych drobnych jarmarków zajmują wielkie jarmarki doroczne w pewnych punktach centralnych; zamiast dawnych banków zamiennych powstają nowożytnie banki kredytowe. Czerpie z nich nie tylko kupiec, lecz także nakładca, wypierający powoli rzemieślnika. Jednocześnie też następuje olbrzymi rozwój sposobów komunikacji i transportu. Słowem, powstają wszędzie „nowe organizacje, obliczone na zaspokojenie potrzeb gospodarczych licznych kół ludności: narodowy przemysł, narodowy rynek, narodowe środki komunikacji; a wszędzie przebija się kapitalistyczna zasada przedsiębiorstwa i handlu.”

Nowe siły ekonomiczne musiały ścierać się dotkliwie z dawnymi instytucjami, co doprowadziło do wielkich wstrząśnień politycznych i społecznych w końcu przeszłego i początku bieżącego wieku. Z walk tych wyszedł zwycięsko, jako zasada polityczna, liberalizm, który jednakże co do wpływu na rozwój gospodarstwa społecznego prowadził dalej jedynie dzieło, rozpoczęte przez swojego poprzednika—absolutyzm. Dążenie do zupełnej autonomii gospodarstw oddzielnych, które zwycięski liberalizm wypisał na swoim sztandarze, przez co niejednokrotnie musiał wystąpić, jako wróg idei państwowej, nie przeszkodziło jednakże, jak sądzi autor, rozwojowi państwa w kierunku, rozpoczętym przez wiek XVI. Przeciwnie, autor widzi w dzisiejszem państwie powrót do idei merkantylizmu, czego dowodem ma być wznowienie systemu protekcyjnego, dążenie do upaństwowienia środków komunikacji i bankierstwa i t. p. Skłania to autora do wniosku: „błędem jest wnioskować z ułameń komunikacyjnych, jakie nastąpiły w okresie liberalizmu, że okres gospodarstwa narodowego chyli się ku końcowi i ustępuje miejsca okresowi gospodarstwa wszechświatowego.”

<sup>1)</sup> Merkantylizm nie był nigdy, jak sądzono zwykle, martwym dogmatem szkoły ekonomicznej, lecz żywą praktyką mężów stanu.

Wobec niebywałego uzależnienia ekonomicznego jednego narodu od drugiego, wobec systemu podziału pracy między narodami, wobec wspólności i antagonizmów raczej klasowych, niż narodowych, wobec wytwarzania się przedsiębiorstw międzynarodowych, ześrodkowujących w swoich rękach niekiedy całe gałęzie przemysłu niezależnie od granic politycznych, wniosek ten wydaje się, bądź co bądź, wątpliwym

\*

\*

\*

Streściliśmy tu obszerniej pierwszy z odczytów, stanowiących książkę Büchera, gdyż jest on najbardziej ogólnym i dlatego najlepiej nadaje się do zrozumienia kierunku, reprezentowanego przez autora. Jednakże i pozostałe są wybitnym wyrazem tych samych poglądów historycznych.

W drugim rozdziale, a raczej odczycie „Rozwój historyczny przedsiębiorstw przemysłowych”, autor wykazuje, jak, stosownie do ogólnych typów, postawionych przez niego, rozwijały się techniczne i społeczne formy przedsiębiorstwa. Polemizując z niekrytycznym poglądem, według którego rzemiosło jest „normalną” formą przedsiębiorstwa, wykazuje, jak, stosownie do ogólnego rozwoju ekonomicznego, produkcja przemysłowa przybierała stopniowo formy; 1) Pracy domowej (*Hausfleiss*), która dominuje zarówno w klasycznej starożytności, w gospodarstwie niowolniczym „ojkosu”, jak w gminach Indów, u których zachowały się pewne formy wspólnot gospodarczych; 2) Pracy za opłatą (*Lohnwerk*), przez jaką nazwę rozumie autor system, przy którym rzemieślnik wędrowny, nieposiadający nic, oprócz dosyć pierwotnych narzędzi, był zatrudniony w domu pracodawcy dla wykonania pewnej pracy. System ten, stosowany, jak wykazuje autor, sporadycznie jeszcze w naszych czasach, był niezmiernie rozpowszechniony w wiekach średnich. Był on skutkiem wyzwalania się wybitniejszych jednostek z pod ucisku pańszczyźnianego, dając im możliwość istnienia na własną rękę bez ziemi, lub jakichkolwiek zasobów. Dopiero w XV wieku cechy rozpoczynają walkę skuteczną z tym ludem wędrownym, który był ich rodzicem, 3) Rzemiosło cechuje się przede wszystkim „produkcją dla kundmanów.” Rzemieślnik pracuje we własnym warsztacie, nad własnym materiałem i dla pewnego ściśle określonego koła spożywców. Ta klasa rzemieślników może istnieć tylko tam, gdzie rozwija się skutecznie gmina miejska; z niej-to powstaje potężne mieszczaństwo zachodu; kraje zaś słowiańskie, w których organizacja miejska nie rozwinęła się należycie, nie posiadają też swojej, rodzimej klasy rzemieślniczej. W miarę, jak z organiza-

cyi miejskiej wykluwa się ustrój państwowy w nowożytnym znaczeniu, rzemiosło przechodzi do systemu, 4) manufaktury, systemu „nakładowego”, (*Verlagssystem*), który polega na tem, że jeden przedsiębiorca, nakładea, obstalowywa wyroby całego szeregu rzemieślników, bądź samodzielnych, bądź takich, którym dostarcza swoich materiałów, albo materiałów i narzędzi. Ostatniem ogniwem tego łańcucha jest 5) system fabryczny, przy którym rzemieślnik manufaktury staje się robotnikiem, zatrudnionym w fabryce przedsiębiorcy, a zarazem też staje się figurą podrzędną wobec udoskonalonego narzędzia-machiny.

Przejście od jednego z tych systematów do drugiego, zależność tej ewolucyi od ogólnych prądów ekonomicznych, zarówno jak wpływ na położenie społeczne wytwórców każdego systemu, są wykazane z wielką umiejętnością i ilustrowane licznymi przykładami. Przytaczamy to streszczenie słowami autora: „Stanowisko robotnika domowego wobec pana, posiadacza ziemi, w okresie klasycznym, ma pewne pokrewieństwo ze stanowiskiem robotnika fabrycznego wobec nowożytnego przedsiębiorcy, i w podobnym stosunku, jak rzemieślnik-najmitya wędrowny do gospodarza posesora, pozostaje robotnik manufaktury do przedsiębiorcy-nakładey. W pośrodku tych szeregów, wznoszącego się i opadającego, stoi rzemiosło, jako kamień węgielny i podstawowy. Od pracy domowej aż do rzemiosła odbywa się powolne oderwanie się robotnika od ziemi i tworzenie się kapitału; od rzemiosła aż do fabryki —powolne oddzielanie kapitału od pracy i ujarzmienie robotnika przez kapitał. Na poziomie pracy domowej niema jeszcze kapitału, są tylko dobra użytkowe, w rozmaitym stopniu wykończenia. Wszystko należy do „domu”: materiał surowy, narzędzie, produkt, częstokroć nawet osoba robotnika. Przy rzemiośle najemnem, tylko narzędzie jest kapitałem, pozostającym w ręku robotnika; materiały surowe i pomocnicze są zapasami domu, niezdatnemi jeszcze do użytku; warsztat należy albo do domu, dla którego przeznaczony jest gotowy produkt, albo do rzemieślnika. W rzemiośle narzędzia, warsztat i materiał są kapitałem w ręku robotnika; on też staje się właścicielem produktu, lecz zbywa go zawsze bezpośredniemu konsumentowi. W systemie nakładowym produkt również staje się kapitałem, ale kapitałem nie robotnika, lecz zupełnie nowej osoby, występującej teraz na widownię—przedsiębiorcy-kupca; robotnikowi pozostają wszystkie środki wytwarzania, albo też traci je stopniowo, najpierw kapitał-materiał, następnie kapitał-narzędzie. W ten sposób ostatecznie wszystkie części składowe kapitału zbiegają się w ręku przedsiębiorcy-fabrykanta, który na tej podstawie organizuje całą przemysłową produkcję. W jego ręku nawet udział robotnika staje się częścią kapitału obrotowego.



Ten udział robotnika w wytworze przy pracy domowej stanowi współzycie wytworu, przy rzemiośle najemnem—żywność oraz płaca od sztuki, albo na czas obliczana, która zawiera już odszkodowanie za zużycie narzędzi; w rzemiośle udziałem robotnika jest cały wytwór. Przy systemie nakładowym nakładca pobiera część wartości tego wytworu, jako zysk od swego kapitału obrotowego; przy systemie fabrycznym, wszystkie dające się skapitalizować elementy produkcji stają się punktami krystalizacyjnymi dla zysków kapitału, i robotnikowi pozostaje tylko umówiona płaca robocza.<sup>1)</sup>

Godnem uwagi jest, że żaden z tych systematów nie zginął zupełnie; każdy zastosował się do warunków i zachował się w odpowiedniej sferze <sup>1)</sup>, tylko, że jeden z nich góruje i nakłada swe piętno całemu ustrojowi społecznemu.

W trzecim odczycie „Podział pracy i tworzenie się klas społecznych,“ autor usiłuje dać dokładną analizę zjawisk, objętych nazwą „podział pracy.“ Pojęcie to od Adama Smitha stało się ogólnikiem, przeżywanym przez wszystkich ekonomistów, ale bynajmniej dotąd nie zostało należycie opracowane. Adam Smith nie rozróżniał sam dostatecznie społecznego podziału pracy i podziału przy jednym procesie wytwórczym, gdzie jeszcze należy rozróżniać podział w jednej pracowni i podział na „fachy“ (np. przy fabrykacji tkanin: przedzenie, tkanie, farbowanie, apretura, stają się zupełnie odrębnymi gałęziami przemysłu), jednakże każda z tych kategorii ma swoje znaczenie techniczne i społeczne i nastrocza wiele kwestyi nader ciekawych. Jedną z nich jest kwestya degeneracyi robotnika przez podział pracy, robiący człowieka dodatkiem do maszyneryi. Ze względu na fatalne skutki, bijące w oczy każdego znawcę bytu robotnika fabrycznego, ta kwestya została dosyć obszernie opracowaną. Niemniej ciekawą jest kwestya podziału na stany społeczne i dziedziczność nabytych cech. Pisząc o tej kwestyi, Schmolser doszedł do wniosku, że wskutek podziału pracy

<sup>1)</sup> Dla naszych np. stosunków przemysłowych, gdzie zjawia się nagle wielkie przedsiębiorstwo fabryczne, duszące w zarodku drobny przemysł w niektórych gałęziach, charakterystycznym jest, że zachował się jednakże tak wybitnie system „nakładowy“, praktykowany obszernie w przemyśle tkackim okręgu Łódzkiego. Olbrzymia liczba tkaczów ręcznych pracuje tam dla „nakładców“, zwykle kupców żydowskich, mianujących się fabrykantami, lecz posiadających tylko składy. Kupiec taki nabywa przędzę w fabrykach, oddaje ją kobietom, trudniącym się nawijaniem na „szpulki“, następnie wręcza ją tkaczowi, który dostarcza tkaniny; ta w dalszym ciągu zostaje oddana farbierzowi lub drukarzowi i apreterowi. System ten pozwala na niestychany wyzysk robotników, nawpół samodzielnych, a jednak bardziej zależnych od przedsiębiorcy, niż zwykły najemita, i daje niepomierne zyski przedsiębiorcom, co mu zapewnia długi jeszcze byt.

w społeczeństwie, wytworzyły się dziedziczne klasy, tak że „różnica stanowiska społecznego (*Rang*) i posiadania zaszczytów i dochodów jest tylko wtórnym skutkiem społecznej dyferencyacji.” Według tej tezy zatem, syn rzemieślnika dziedziczy cechy, które uspasabiają go do rzemiosła, syn pastorskiej rodziny, już przez urodzenie, nadaje się szczególnie na dusz pasterza. Całą jałowość tych wywodów, opartych na jakichś mistycznych „biologicznych prawach społecznych“, Bücher wyszydza niemiłosiernie.

Czwarty odczyt daje zajmujący szkic historii rozwoju prasy periodycznej w zależności od rozwoju ekonomicznego i politycznego. Piąty zawiera streszczenie monografii „o ludności Frankfurtu” i wykazuje na ludność jednego miasta to, co wogóle było powiedziane o przekształceniach ekonomicznych. Podobnie odczyt szósty: „znaczenie kulturalne wędrowek wewnętrznych i życia miejskiego”, wykazuje głębokie znaczenie owych prądów, które ludność pewnego kraju rzucają do miast, albo nagromadzają ją w pewnych częściach kraju. Ruch ten jest z jednej strony ilustracją do historii rozwoju, z drugiej strony jest też doniosłym czynnikiem, na który za mało dotąd zwrócono uwagi. Musimy zrzec się streszczenia tej doniosłej pracy, gdyż musielibyśmy przytaczać tu bogaty materiał statystyczny, przez co przekroczylibyśmy rozmiary i tak już zbyt obszerne może szkicu.

Zaznaczamy jeszcze, że książka Büchera jest pisana językiem pięknym i przystępnym i odznacza się jasnością wykładu. Co to znaczy, ten tylko ocenić może, kto „przysiadłszy fałd, brnie na gwałt“ przez chińszczyznę współczesnej ekonomii politycznej niemieckiej, kto napróżno mozolił się nad przeniknięciem mądrości „historyczno-fizjologiczno-etycznej” metody (konia z rzędem, kto rozumie, jaki w tej nazwie sens), żeby przekonać się, że metoda ta odznacza się tem, iż nie ma metody; kto napróżno usiłował wyczytać jakiś jasny pogląd socjalistów z katedry, otrzymując za odpowiedź na jakiegokolwiek pytanie, kwękające „mniej więcej“, „niby“, „prawdopodobnie” i t. d. Pokazuje się tu znowu, że autor, który wie dokładnie, co chce powiedzieć, znajdzie sposób wyłożenia tego, nawet pisząc po niemiecku.

---

# Z cyklu „ITALIA.”

---

## W SYKSTYNIĘ. <sup>1)</sup>

---

### I.

#### Sybilla pisze.

Przez mroki i przez ciszę  
Kart bożych szelest słyszę:  
Sybilla księgę pisze.

Nad wiecznej brzeg otchłani  
Schylona groźna pani,  
Prorocka luna na niej.

Twarz mądra i surowa,  
W zawiciu wschodniem głowa,  
Na ustach pieczęć słowa.

Skroń perlą zimne poty,  
W źrenicy grot ma złoty,  
Przeszywa wieków loty.

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt Sierpniowy „Biblioteki.”

Na ludzkie pokolenia,  
Na radość i cierpienia,  
Jej lice się nie zmienia.

Czy bluźni kto, czy klęka,  
Czy rozkosz mu, czy męka,  
Nie zadrży jej ta ręka.

Widziały ją tak wieki,  
Jak pątnik dziś daleki,  
Co przeszedł morza, rzeki.

Zmierzch stropem się kolysze,  
Piersz zgrozą starą dysze,  
Sybilla księgę pisze.

. . . . .

Dech wezbrany żywota,  
Po przepaściach się miota,  
Szuka kędy mu wrota.

Wyprze, wyprze je siłą,  
Pójdzie, gdzie go nie było,  
Czy straszno mu, czy miło.

Rzuci się przez błękity,  
Na nagie padnie szczyty,  
Wstyd wszelki mu odkryty.

Rzuci się przez otchłanie,  
Tknięta nim glina wstanie,  
Zakipi pożądanie.

Na jedną stworzy chwilę  
W drgającym — słońce — pyle,  
I Boga — w ziemnej bryle.

Na drugą zasię chwilę  
Utai się w mogile,  
Da wytchnąć własnej sile.

Ukaże sine lico  
Poczęcia błyskawicą,  
Aż ciała grom zeń chwycą.

A zaś ukaże lico  
Grobową tajemnicą,  
Odwróci się na nico.

A człowiek nie odgadnie,  
Że jedna moc nim władnie,  
Tu w błyskach, i tam na dnie.

I w dwojgo jego ramię  
Wieczystą jedność złamię,  
I czasu weźmie znamię.

I bytu mu istota  
Raz będzie — jutrznia złota,  
Do ranka wszechżywota,

To znów mu, przez cmentarze,  
Jak widmo się ukaże,  
Co ludy palcem maże.

I wzleci w wiecznym pędzie  
Na jasnych zórz krawędzie,  
I życiem to zwać będzie.

I spadnie w wiecznym pędzie,  
Na czarnej posian grzędzie,  
I śmiercią to zwać będzie.

A będzie mu zakryty  
Ruch wieczny, nad czas wzbity,  
Przez zmierzchy i przez świty.

Nie pozna, iż jest jedno,  
Czy gwiazdy mżą, czy bledną,  
W ogniste mknąc bezedno.

Wszechświatów wskroś ogromem  
Przerzuci się atomem,  
A ziemię nazwie domem.

Promiona swe pogrzenie,  
I uzna gliną siebie,  
Co słońcem był na niebie.

Duch jego, a nie boży,  
Dwoistość wszelką stworzy,  
Rozetnie noc od zorzy.

I złamie pierścień złoty  
Ześlubin wszechistoty,  
I stworzy jęk tęsknoty.

I serca jedno drżenie  
Rozchwieje na dwa cienie,  
Na roskosz i cierpienie.

I czegoś nie chciał, Królu,  
Jad wmiesza w plastry ulu,  
I stwórcą będzie bólu.

Aż w wielkim swym powrocie,  
Przez polne gdzieś stokrocie,  
O niebios sniąc namiocie,

Jedności swej zaprzeczy,  
Z wszechduchem wszelkiej rzeczy,  
Pył słońca — syn człowieczy.

. . . . .  
Zmierchł stropem się kołysze,  
Sinieją mroczne nisze,  
Sybilla księgą pisze.

---

## II.

## Stworzenie człowieka.

## C h ó r I.

Rozpyliły się tve słońca  
W pierścienisty ruch bez końca,  
Z wiewem twej szaty,  
Wirują światy,  
W pęd ciśnięte bez mety,  
Kipią i wrą planety,  
Rój płomieni skrzydlaty  
Nieogarnione kręgi zatacza po niebie...  
— Ach, zakryły mi ciebie  
Te milionowe słońca, słońca, słońca!

## G ł o s.

... Wejdzie w radę sam z sobą i w duchu swym rzecze:  
— Uczynmy ciało człowiecze.  
I dłonią, pełną zaczynu  
Światów pędzących po niebie,  
Dotknie się, glino, ciebie.  
I spłoniesz w błysku piorunowej zorzy.  
I wstaniesz, rabie boży,  
I wstaniesz, boży synu.

## C h ó r II.

Po kogo sięga, Panie, ręka twej wszechmocy?  
Ręka tworząca,  
Mroczna jeszcze od cieniów wiekuistej nocy,  
Co łódź czarną, z dnia brzegów zepchniętą, kolebie  
Na chaosu oceanie,  
Złota od kręgów płomienistych słońca,

Któreś zatoczył po niebie,  
 Trzęsące iskry światów w przepaści bezdroża,  
 Jeszcze pianami kipiąca  
 Od kielznanego srebrną uzdą morza,  
 Sina porożem miesiąca...  
 Ręka Twa, Panie,  
 Natchniona dziełem i od dzieła wrząca,  
 Które swojego mistrza godne tylko jedno,  
 W którym sam mistrz się zamknął i jego potęga...  
 Po kogo sięga  
 W nizin bezedno?  
 Kogo chcesz podnieść z prochu w przeczyste bławaty  
 Twoich błękitów?  
 Czyje oczy chcesz porwać do podgwiezdných szczytów?  
 Czyją myśl chwycić w otchłań, którą pędzą światy,  
 I jaki akord skrzydlaty  
 Harmonii twojej chce się w kształt ten wcielić,  
 By pieśń stworzenia od Stwórcy oddzielić?

#### C h ó r I.

Pod namiotem wszechświata  
 Chmura Serafów lata,  
 Zaczynia proch i krew...  
 Jak groźny pęd ich lotu,  
 Jak ściany drżą namiotu,  
 Jaki szum! Jaki wiew!  
 Głuchy, daleki,  
     Słyszać raz młotu,  
     I jeszcze raz...  
 To zaczęły bić wieki,  
 To zrodzon światów lew,  
 To zrodzon Czas!

#### G ł o s.

... Grom Pański Ziemi zwiastował Dziewicy,  
 I z Ducha świętego poczęła.



## C h ó r I.

Jaki krzyżowy ogień błyskawicy!  
Jaka piorunowość dzieła!

## Ś p i e w S e r a f ó w.

Zdrowaś ty, Ziemi, pełna łask,  
Z tobą jest Pan!  
Z róż ci jutrzennych wije brzask  
Weselny wian.  
Z róż ci miesięcznych przędzie noc  
Płaszcz srebrem tkan...  
Zdrowaś ty, Ziemi, z tobą moc,  
Z tobą jest Pan!

## C h ó r II.

Pod błyskami drżącemi  
Słychać cichy szept ziemi...

## G ł o s.

... Rzekła: Otom ja twoja służebnica, Panie,  
A niechaj mi się według twego słowa stanie.

## Ś p i e w S e r a f ó w.

Błogosławionaś ty nad gwiazd  
Promienny rój!  
I błogosławion, pełen gniazd,  
Jest żywot twój!  
Błogosławiony owoc ten  
U bożych stóp,  
Co prześni z tobą życia sen,  
I życia grób!

## C h ó r I.

Jaki ucisk! Jaka trwoga!  
Czas podnosi rękę kata...

## C h ó r II.

Głina w dotknięciu Boga  
Splonie, lub będzie arcydziełem świata.

## G ł o s.

... A ciałem stało się Słowo.

## C h ó r.

Duch... Duch uderzył w ziemię iskrą piorunową!

## Ś p i e w S e r a f ó w.

Poczet jest żywot, poczet jest ból  
Śmierci i win.  
Dźwiga się z prochu stworzenia król,  
I ziemi syn.  
Dźwiga się oracz, na siew i znój  
Bezplodnych pól...  
Poczet jest żywot, i grzech, i bój,  
Poczet jest ból!

.....

## J e h o w a.

Wstań, glino. Oto dech mój tchnę w twą bryłę ciemną  
Dech będzie ze mną,  
Choć go w ciemnicach swoich piers twoja zagrzebie,  
Ty — gdy godzina uderzy —  
Wrócisz do swej macierzy.  
Bij, chwilo! Powstań prochu! To czas stwarza ciebie.

.....

## C h ó r.

Dźwiga się... Dźwiga z ziemi,  
Z oczyma zamknionemi,

Do ręki Boga palec  
Wyciąga — patrz! — zuchwalec,  
I głowę w słońce pysznym wznosi gestem!

A d a m.

... Jestem! ...

G ł o s.

Splonęła błyskawica,  
I wskroś zamkniętych powiek  
Strzela gromem źrenica...  
To człowiek!

MARYA KONOPNICKA.

---

# Z lat dziecinnych J. Słowackiego.

(1814—1817).

---

Skoro Euzeblusz Słowacki spoczął w Wilnie na cmentarzu, na Rossie, wróciła pani Słowacka z Julkiem do Krzemieńca i zamieszkała w domu rodziców swoich, Januszewskich.

Dom ten, zwykły biały „dworek starego szlachcica”, otoczony sadem, w którym po-nad wierzchołki drzew owocowych wystrzelały dwie stare lipy, rzucające cień na całą pasiekę ulów <sup>1)</sup>, stał nad drogą, nad potokiem, na niewielkim wzgórzu, nieopodal kościoła i cmentarza franciszkańskiego, „pomiędzy Czerczą i Bazylianami.” Od ulicy od-dzielał go mały, trawą porośły dziedziniec, a „skrzyp Orfeuszowy“ uchylanego kołowrota zwiastował gospodarstwu, że ktoś idzie do nich w odwiedziny, czy z interesem. W oknach dworku, opatrzonych okiennicami, które także— jak ów kołowrót—„skrzypiały na zawi-  
sach”, stały kwiaty, najczęściej narcyzy, ulubione kwiaty pani Słowackiej, które zawsze sama podlewała co rano <sup>2)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Potrzebował-hym, aby mię pszczoły twojej, mamo, pasieki, pokąsały. Li-sty I, 125.

<sup>2)</sup> Zob. „Złota Czaszka.” Akt II, scena I. Strażnikowa. „A cóż panienka?” Magda. „Zaraz przyjdzie, Nie śpi już.” Strażnikowa. „Nie śpi już?” Magda. „Podle-  
wała na oknie narcyzy, jak weszłam do pokoju.”

Z tyłu domu znajdowały się zabudowania dworskie, wszystko niewielkie, na małą skalę: piekarnia, obora dla jednej krowy, stajnia dla pary koni i buda dla czarnej suki, Znajdy, zawsze szczekającej, ile razy zaskrzypiał kołowrót, etc. W piekarni sypiały dziewczki dworskie, cztery czerstwe *mołodyce* ukraińskie, „w koszulach, jak srebro białych, przewiązane pasem krajkowym, w łubkach złotych, natkniętych astralniami i lewkonią.” Jednej z nich było na imię Magda, drugiej Kaclna...

Chcąc mieć dokładne pojęcie, jakie było życie w tym dworku państwa Januszewskich, życie, wśród którego miał teraz wzrastać przyszły autor *Anhellego*, należy odczytać uważnie dwa jego utwory: fragment z dramatu *Złoty Czaszka* i ogłoszoną dopiero po śmierci poety przedmowę do *Króla Duchy*.

W *Złotej Czaszce*—jak to trafnie zauważył p. Małeckie—miał być spożytkowany artystycznie krzemieniec i te wszystkie reminiscencye poety, które się wiązały z jego krzemieniecką przeszłością. „Ani wątpię (powiada tenże autor), że ten pan Milewicz, ten Gwardyan z Zakrystyanem, ten Strażnik z całą swoją rodziną, nawet ten Skopek i Jankiel, byli to wszystko sami dobrzy niegdyś znajomi autora. Wszakże nawet ów tylko po imieniu tam wspomniany organista franciszkański, *Fok*, musiał sobie tego imienia pożyczyć od człowieka, który żył rzeczywiście i był... Słowackiego metrem muzyki (w Wilnie). I tak się rzecz miała zapewne ze wszystkimi, nietylko charakterami, działającymi w tej sztuce, ale i miejscami, rzeczami, zwyczajami, do niej wprowadzonymi...” Jednym słowem, był Słowacki tym razem „podobny do malarza, który, komponując jakiś karton historyczny, przedstawiający sceny z dawno ubiegłych wieków, umieszcza na nim same twarze znajome, same portrety rodziny swojej, przyjaciół, znajomych...” Rzeczywiście, jeśli się wczytamy uważnie w ten utwór, (w którym Słowacki dowiódł, jakim potrafi być realistą, skoro nim chce być) to wystarczy mieć tylko niejaką znajomość rodziny poety, ażeby każdego z jej członków poznać odrazu, choć kryją się czasem pod zmyślonimi imionami i nazwiskami. Przekonamy się wówczas, że malując postacie pana Strażnika Krzemienieckiego i jego żony, wyobrażał ich sobie Słowacki podobnych, jak dwie krople wody, do rodziców matki swojej, Januszewskich; że córka ich, panna Agnieszka, kochająca się w pocię, Stanisławie, a nie chcąc wyjść za pana Milowicza „studukatowego szlachcica”, to nikt inny, tylko matka poety, panna Salomea, którą bardzo być może, iż rodzice wydać chcieli za bogatego pana Seweryna Milowicza, właściciela Dymitrówki (do dziś dnia będącej jeszcze w posiadaniu Milowiczów), a która wolała wyjść za „golego, jak bizunus” poetę, Euzebiusza Słowackiego. Kiedy Kleofas opowiada o panie Agnieszce, jak

Ojcu jasny trzyma pas,  
 A on się w tęczę obwija,  
 Poważnie się kręcąc w koło;  
 Potem ją całuje w czoło  
 I w złotym pasie wychodzi  
 Pod lipy...

to można być pewnym, że na podobne sceny patrzył także własnymi oczyma i Słowacki, kiedy matka jego, mieszkając u rodziców, trzymała pas ubierającemu się ojcu, który, chodząc w dzień powszedni w zwykłej szlacheckiej lisiurce, na święto zawsze stroił się w kontusz... <sup>1)</sup>. Kiedy tenże Kleofas opowiada swoim kolegom, że co dnia o godzinie piątej rano chodzi na ulicy koło dworku pana Strażnika, czatując, jak panna Agnieszka będzie otwierała okno, to scena ta pewno powtarzała się nieraz, kiedy tłumacz *Henryjady* starał się o pannę Januszewską, która takie same, jak Beatrice Kleofasa, miała oczy,

Morską napętnione falą,  
 Zielone, gwiazdowe, przezyste,  
 Jak błyskawice ogniste <sup>2)</sup>.

Albowiem było zwyczajem matki Juliusza, zwyczajem, datującym jeszcze z czasów niezawodnie, kiedy była panną, że, rano wstawszy, przedewszystkiem otwierała okno swego pokoju i, mówiąc pacierz, „brała w usta nieco powietrza i słońca”, czekając, aż „dzwonnik Franciszkański zadzwoni na Anioł Pański.”

W jednym z fragmentów prozą, znalezionych po śmierci poety w jego tece, a pełnych autobiograficznych szczegółów, znajduje się jeden między innymi, w którym Słowacki mówi o pewnej „biednej wdowie”, mieszkającej w ustronnym domku w Krzemieńcu, i myśląc o swojej matce, kładzie jej w usta taki raz monolog: „Cóż to? Już słońce? Jest to godzina, w której zwykłam okno moje otwierać, a znajomi tego miasteczka, wiedząc o tem, przechodzą umyślnie uliczką i zatrzymują się na ranną pogawędkę... Najmilsza to w dniu smętnym godzina!.. Ha! mój profesor Idyński <sup>3)</sup>. jak zwykle, poważnym krokiem stąpa

<sup>1)</sup> „...Śmiało-był wyszedł w dziadziowej lisiurce, którą niegdyś, jak syn marnotrawny, dziaduniowi zerwałem” Listy, I, 88.

<sup>2)</sup> W jednym z listów do matki pisze Słowacki do niej: „Jak jedna z tych Madonn Hiszpańskich, oczy ty masz wielkie, zielone, a ciemne, pełne słońca...”

<sup>3)</sup> W rzeczywistości Uldyński, profesor historii powszechnej w liceum Krzemieniokiem.

po źle brukowanej ulicy i macha rękami, perorując do siebie samego...“ Pisząc to, przypominał sobie tylko Słowacki rzeczy, dawniej widziane. Wszak sam powiedział, że „nie tworzy prawie nic, lecz przypomina...“ Tego profesora Idyńskiego (Uldyńskiego), idącego po źle brukowanej ulicy i perorującego do siebie samego, a potem rozmawiającego w oknie z panią Słowacką, musiał Juliusz widywać niejednokrotnie...

Ów kamień pod murem na załamaniu ulicy, na którym Kleofas siadywał „z wielką zawsze (jak powiada), konfuzyą *et incertitudine*”, ów kamień nie był również wymysłem Słowackiego: istniał rzeczywiście; a tym Kleofasem, który na nim siadywał często, był sam poeta. Dowód na to znajduje się w jednym z listów jego do matki, pisany z Florencyi: „Przychodzą mi na myśl te kamienie przed domem babuni, na które ja często patrzyłem w dni słotne, widząc, jak krople wody dachowej wyjadają w nich żłobki i dziury. Żłobki te jeszcze dziś widzę przed sobą: moje dzieciinne oczy wmyślały się w nie głęboko, a różne wtenczas anielskie myśli przelatywały przez umysł słotny, zachmurzony”<sup>2)</sup>.

Scena druga w akcie pierwszym *Złotej Czaszki* dzieje się „w piekarni w domu Strażnikowstwa”, to zaś, co się w niej dzieje, także w najściślejszym pozostaje związku z osobistemi wspomnieniami poety. Scena zaczyna się od tego, że pan Strażnik prosi żonę, ażeby zwołała dziewczki na kolendę, poczem zapytuje ją, czy rozdała im wstążki? „Dałam każdej po wstążce i po tynie (odpowiada pani Strażnikowa), kontente. Ambrożemu nie dałam nic gotówką, bo-by się upił, ale kupiłam dla niego czapkę z barankiem...” W chwilę później schodzą się do piekarni dziewczęta, pan Strażnik każe im poprawić kagańca, żony prosi, aby zawałała córkę, i zaczyna się śpiewanie kolend:

Chrystus pan się narodził,  
Świat się cały odmłodził  
Et mentes;

Nad sianem, nad żłobeczkiem  
Aniołek z Aniołeczkiem  
Ridentes.

Przyleciały wróbelki  
Do Panny Zbawicielki,  
Cantantes;

Przyleciały łańcuchy  
Zabędzi, srebrne puchy  
Mutantes.

Puchu wzięła troszeczkę,  
 Zrobiła poduszczkę  
 Dzieciątku;

Potem je położyła  
 I sianem je nakryła  
 W złobiątku...

Patryarchalny zwyczaj śpiewania kolend, ze służbą pospołu, był w domu państwa Januszewskich przyjęty oddawna. W listach swoich do matki wspomina o tem Słowacki niejednokrotnie. „O, gdybym raz jeszcze mógł (czytaamy w jednym liście z Genewy) usłyszeć dziadunia mego, śpiewającego prostą kolendę w dzień Bożego Narodzenia, razem ze służącymi domu. Zdaje mi się, że-bym do dziecinnnej wiary przeszłości mojej powrócił...” Innym razem znów, z Florencyi, po wili, na którą był zaproszony do Hermana Potockiego, pisał do matki, że myślał ciągle o wili, którą jadł, dzieckiem będąc, u prefekta Jarkowskiego: „potem przyszła mi na myśl wielka babuni piekarnia, czeladź, śpiewająca kolendy etc.” Sceny te nigdy nie wychodziły mu z pamięci i przez całe życie rozmarzało go zawsze wspomnienie tych nocy Bożego Narodzenia, spędzonych w Krzemieńcu, w domu dziadostwa, kiedy to, podczas zamieci śnieżnej i wichru na dworze,

Jasna kolenda w przyémionej piekarni  
 Płakała, w rytmy ubrana najlichsze,

kiedy z nią „usypiali ludzie gospodarni...”

Z nadejściem Wielkiejnocy panował zawsze w piekarni pani Januszewskiej ogromny rozgardyasz: pieczono ciasta. Słowacki, będąc dzieckiem, zawsze był przy tem obecny, czemu zawdzięczamy, że wszystko, co w scenie pierwszej aktu drugiego *Złotej Czaszki* mówi pani Strażnikowa do dziewcząt, taką jest nacechowane prawdą: „Magdo, Kachno, wstawajcie! W kadzi niema wody. Ambroży, leniuch, (parobek w domu Januszewskich) zmyję mu głowę! Magdo, Kachno, a dać kurom jeść... Magdo, spiochno ty, idź mi obudź panienkę. Zrobię jeden mazurek szafranowy i z cykaty wylepię na nin cyfrę Gnusi... Do piekarni, do piekarni! mieśc ciasto! Gnusia, weź z po-za zwierciadła receptę na marcypanowe ciasto i przynieś...” Wszystko to brzmi tak naturalnie, że wątpić niepodobna, iż Słowacki nieraz sam na własne uszy podobne słowa słyszał z ust babki swojej.



W taki sposób odbiło się w *Złotej Czaszce* to życie rodzinne, na które Słowacki przez parę lat z rzędu patrzył oczyma dziecka, życie, całe skoncentrowane w tym dworku niewielkim „pomiędzy Czerczą a Bazylianami”, który „piękność chował dawnych, szczerych rysów”, a który, mając w środku „jasną cnotę gospodarza”, chętnie otwierał progi swoje dla żebrzącej nędzy (Skopek), nigdy nie odmawiając nędzarzom jałmużny, przynajmniej w formie... białego obwarzanka, a zawsze był gościnnie dla znajomych i krewnych.

We wspomnianej już przedmowie do *Króla-Ducha* opisuje Słowacki niemniej plastycznie ten „dworzec swojego dziadka“, ze szczególnym pietyzmem kresząc na jego tle postać swej matki, jako wdowy, która, zostawszy po śmierci męża z sześciolatnym synem, „ciążarem i jedyną pociechą matki-wdowy”, nie wstydząc się pracy, „niższej nad stan, w jakim się urodziła”, osiadła w Krzemieńcu i, jak przystało na szlachetną i „staropolskich cnót” kobietę, zaprowadziła małe, lecz „pełne obfitości ziemskiej” gospodarstwo, które jej dawało środki do utrzymania... Stąd poszło, że w ogrodzie przed domem, nieopodal pasieki, widziałeś często... kocioł na ognisku, w którym się smażyły śliwkowe powidła; że dalej nieco, pod starą gruszą, stał *alembik*, w którym się filtrowała nalewka z pestek wiśniowych; że w piekarni zawsze krzątało się i miało co do czynienia kilka dziewczek dworskich, „w koszulach, przewiązanych krajką, w złotych łubkach, z kwiatami na głowie”; że jedne przędły, drugie żęły w polu; że Magda musiała wypędzać krowę na paszę, a potem ją doić w oborze; że Kachna dawała jeść kurom i czarnej Znajdzie; że Ambroży nie miał nigdy czasu się upić, tak był zajęty noszeniem wody, rąbaniem drzewa etc.; i że wreszcie, jakby dla dania przykładu służbie, sama gospodyni nie próżnowała także, zajęta od rana do wieczora. Często w takim-że samym, jak dziewczki, ubiorze, w białej pikowej spodnicy, w chustce brunatnej, merynosowej, na szyi, z głową odkrytą, nie wstydziła się sierpa, gdy praca przynagliła, ani szczydziła rąk własnych, gdy jakie lżejsze ciasto zagnieść było potrzeba. Zresztą — powiada o niej Słowacki — humoru zawsze wesołego, przez panów wioski lubiona i szanowana, przez chłopstwo nazywana panią kapitanową, była głośną na okolicę z lekarskich ziółek i „dobroczynej chęci”, oraz z błogosławieństwa Bożego, które jej widocznie w życiu nie opuszczało... <sup>1)</sup>

Wszyscy ją nie tylko szanowali, ale i kochali, zarówno chłopci okoliczni, jak i przedstawiciele najwyższej arystokracji, tacy, jak

<sup>1)</sup> „Warta“ N 429, z d. 17 września 1882 r. (Z autografów poety).

Ożarowscy, Krasiecy, Lubomirscy, Sapiehowie, Brzostowscy, Sanguszkowie, pani Manuczyna i w. i. Kto tylko przybył do Krzemieńca, uważał sobie za zaszczyt (teraz i później, kiedy już była panią Becu) widzieć ją u siebie, albo być u niej <sup>1)</sup>. Miała w sobie coś, co jej jednało serca wszystkich. To też, odkąd wróciła do Krzemieńca, w domku „pomiędzy Czerczą a Bazylianami” na brak odwiedzających nie mogli się państwo Januszewscy uskarżać. Oprócz profesorów liceum i ich żon, z którymi ją, jako wdowę po Euzebiuszu Słowackim, ściśle tem samem łączyły stosunki, bywał u niej cały Krzemieniec, a niejednokrotnie i wiele osób z okolicy, z Podola, z Pobereża, z Wołynia. Ażeby o tych stosunkach towarzyskich matki Słowackiego niejakić powziąć wyobrażenie, dość przeczytać listy poety do niej. Kogo on tam nie wspomina! A pisze o wszystkich tak, jak się pisze o dobrych znajomych, o przyjaciółach domu!.. Grocholscy, Kościelscy, Ilkiewiczowie, Sobańscy, Brzozowscy (rodzice Zenona Brzozowskiego z Sokółówki), Karol Sienkiewicz, Karol Kaczkowski, jakaś pani Lubańska, co „pieszo z sercem skruszonym” poszła z Krzemieńca do Częstochowy, Michalscy z Wierzchowski, Beauprowie, jakaś pani Heryngowa, jakaś pani Pułaska, jakaś „Ciocia Frania”: wszystko to, sądząc z tonu listów Juliusza, byli pani Słowackiej dobrzy i mili znajomi, a nie było zdaje się pomiędzy nimi takich, co-by dla „pani Salomei” nie byli usposobieni życzliwie.

Wobec tego, nie można się dziwić zupełnie jednakić jej, że, zapytany raz, która z dam znajomych wydaje mu się najpiękniejszą, odpowiedział bez chwili namysłu, że... jego mama <sup>2)</sup>. Imponowało mu widocznie jej zachowanie się w świecie, jej umiejętność obcowania z ludźmi i jednania sobie ich sympaty.

Taką była atmosfera, wśród której, rozpieszczany przez matkę, wzrastał teraz przyszły autor *Anhellego*: rozpieszczany, albowiem pani Słowacka, widząc w swym Benjaminku zbiór wszelkich przymiotów i zalet, podziwiając przedwczesną jego, istotnie zdumiewającą, dojrzałość umysłową, miała zamknięte oczy na liczne wady w malcu, nad którym ubolewała tylko, że jest dzieckiem tak delikatnem i wątłem. Jakoż obawy jej, choć przesadzone może, były uzasadnionemi o tyle, że mały „Heli” rzeczywiście na długowiecznego nie wyglądał nigdy, zwłaszcza w tych czasach.

<sup>1)</sup> Z prywatnego listu pani Teofili z Szymańskich Tomaszowiczowej do pani Seweryny Beauprć.

<sup>2)</sup> Listy, I, 149.

Ludzie nieraz „on umrze” mówili przed matką:  
 Wówczas matka patrzyła długo w dziecka oczy  
 I przeczyła z uśmiechem; lecz w smutku godzinie,  
 Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,  
 Lękała się nieszczęścia i, myśląc o synie,  
 Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga.  
 Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,  
 Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Tymczasem nazywano go powszechnie małym *Heli* (stąd przeważał się może sam później *Anhellin*). „Matka sama go tak przez spieszczenie nazywała, i u ludzi, którzy go od dzieciństwa znali, zostało mu dotąd to nazwisko. Sędziowie (profesorowie liceum), nawet żydzi, nazywali go: pan Heli. On też lubił to imię...”<sup>1)</sup>

Niewiadomo tylko, czy brzmiało ono dlań równie miłe, kiedy w pewnych godzinach dnia imieniem tem wzywany był do...lekcji, których, początkowo przynajmniej, po śmierci ojca, udzielała mu, zdaje się, matka, prowadząc z nim w dalszym ciągu naukę czytania na *Bajkach* Krasickiego<sup>2)</sup>, z czem szła równocześnie w parze nauka pisania. Później zaczął brać także lekcye rysunków (prawdopodobnie od swego wuja, Teofila Januszewskiego). Z lekcji tych miłe na całe życie pozostały mu wspomnienia: najlepszy dowód, że jeszcze w Genewie, kiedy uczył rysować małą Matyldkę, siostrzeniczkę Eglantyny Patteg, przypominał sobie „metodę krzemieniecką”, t. j. tę, którą jego rysować w Krzemieńcu uczono, i trzymając się jej wiernie, zaczynał najprzód od nauki kreślenia prostych linii, po których przechodziła kolej na stawianie kółek etc.<sup>3)</sup>. „Staram się różnymi talentami umebłować głowę mojej żony (żonę nazywa tu Słowacki 6-letnią Matyldkę) i uczę ją rysować: już stawia kółka na papierze, *używam bowiem metody Krzemienieckiej*. Co do innych nauk, opowiadam jej o stworzeniu świata i już doszedłem aż do potopu; widzicie więc, że wkrótce całą historję powszechną przejdziemy.” Ustęp ten, choć odnosi się do innej epoki w życiu poety, rzuca przecież niejako światło i na jego własne nauki początkowe: i jemu prawdopodobnie, tak, jak on później Matyldce, „mebłowano głowę” w ten sposób, że naukę historii powszechniej i polskiej—najelementarniejszej naturalnie—poprzedzał wykład historii Świątej i katechizmu, i że, jak on Matyldce, tak

<sup>1)</sup> Warta, N. 441 z r. 1882.

<sup>2)</sup> Listy, I, 186.

<sup>3)</sup> Listy, I, 153.

jemu wykładała przedmioty te jego matka. Być bardzo może, że ona również udzielała mu pierwsza lekcyi gry na fortepianie... Cokolwiekby, jedyną osobą, od której przyszedł autor *Króla Ladawy* uczył się języka francuskiego, była pani Salomea: od niej nauczył się mówić, czytać i pisać po francusku <sup>1)</sup>. A nie ulega prawie wątpliwości, że pierwsze początki tego modnego—wtedy szczególnie—języka odebrał mały „Heli“ już w tym okresie czasu, w Krzemieńcu. Bo nie należy zapominać, że była to epoka, kiedy umiejętność płynnego wyrażania myśli swych w mowie Kornela i Rasyna stanowiła nieodzowny warunek dobrego wychowania, i kiedy do znajomości francuszczyzny największą przywiązywano wagę, większą częstokroć, aniżeli do gruntownej znajomości języka ojczystego. Pani Słowacka zaś, sama wychowana w zasadach, jakie od czasów zwłaszcza pobytu Kondeusza na Wołyniu powszechnie tu były przyjęte, przedewszystkiem kłaść musiała nacisk na to, ażeby jedynie jej, któremu starała się dać o ile możności jak najbardziej „pańsko-eleganckie wychowanie”, biegle mówić po francusku. W tym celu nie omieszkiała od dziecka już oswajać go z tym językiem, dziecko bowiem, jak wiadomo, łatwiej i lepiej przyswaja sobie obce języki aniżeli człowiek w dojrzałym wieku. Życzeniu jej stało się zadość: mały Julek bardzo wczesnie zaczął już, jak rodowity Francuz, mówić po francusku <sup>2)</sup>.

Ze względu jednakże na delikatne zdrowie dziecka, nie obarczano go zbyt lekcyami, lecz pozwalano się bawić, ile chciał, byle zabawa ta nie miała nań ujemnego wpływu. I tak np., wielki kładziono nacisk na to, z kim się mały Heli wdawał: jeżeli mu nie broniono, ażeby wybiegał sobie na górę Zamkową, która, macierzanką i drobnemi kwiatami, jakby kobiercem zasłana, wielką przedstawiała rękojmię bezpieczeństwa dla malca, to z drugiej strony nie małych dokładano starań, ażeby, idąc tam na zabawę, miał odpowiednie dla siebie towarzystwo, aby się nie wdawał zanadto z żydowskimi dziećmi

<sup>1)</sup> Listy, I, 157. „...przypomniało mi się, że niegdyś w dzieciństwie, kiedyś mię, mamę, do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: „poznasz Wallasa życie.” Samo imię Wallas uderzyło magnetycznie na moją imaginacyę. Wystawilem sobie coś podobnego do burzy, która wali lasy. Nie mogę zdać (sobie) sprawy z tego wrażenia, a'e czuję je dotąd.

<sup>2)</sup> Zdaniem J. Prusinowskiego (Tyg. illustr. 1861, III, 40), pobierał Słowacki początkowe nauki w Krzemieńcu, w gimnazyum wołyńskiem. Nie wydaje mi się to możliwom, zważywszy, że w r. 1817, kiedy opuścił Krzemieniec, miał lat niespełna 8 dopiero. W tym wieku nie przyjęto-by go jeszcze do szkoły, jakkolwiek-by był rozwinięty. Antoni Malczewski, kiedy wstępował w r. 1803 do tegoż zakładu naukowego (jeszcze będącego wtedy zwykłą szkołą powiatową), liczył już sobie lat 10. A nie był dzieckiem tak wątłym fizycznie, jak Słowacki.

z „Mogilek”, bo-by to niekorzystnie wpłynąć mogło na jego maniere, czego sobie pani Słowacka nie życzyła bynajmniej. Wychowując Julka we względnym dostatku, chowała go, jak małego lorda, szczególnie dbając o wytworne „pańsko-eleganckie” ułożenie. Obracając się sama nietylko w sferach profesorskich i drobno-szlacheckich, ale i w najarystokratyczniejszych, w przestawianiu z temi ostatniemi najwięcej zdaje się miała upodobania; stąd pragnienie jej, ażeby mały Heli mógł z czasem także w sferach tych czuć się swobodnym, nie rażąc swojem małomiasteczkowem zachowaniem się. Dystygowana z natury, przez całe prostocie swej i pozornej swobodzie w obcowaniu z ludźmi, do form towarzyskich ogromną zawsze przywiązywała wagę, uważała, że od mężczyzny zarówno, jak i od kobiety, przedewszystkiem wymagać należy, ażeby byli dobrze wychowanymi, i zasady te wpoila w swego jedynaka, który znów ze swej strony okazał się do przyjęcia ich nader skłonnym.

Swoją drogą, nie przeszkadzało mu to zupełnie oddawać się *con amore* zabawie, (która jednak musiała zawsze być w dobrym tonie), werwy bowiem i animuszu było w tem dziecku bardzo dużo. Dopiero później, kiedy się umysłowo z zadziwiającą szybkością rozwijać zaczął, brała w nim przeważnie górę melancholia i pewien odcień smutku w usposobieniu. Teraz, w Krzemieńcu, nie zanosilo się jeszcze na nic podobnego: patrząc na tego, zawsze starannie i z pewną elegancją ubranego, paniczka, nikt-by nie przypuszczał, że motylem, który się z tej pięknie ułożonej poczwarki wylęgnie, będzie kiedy wielki poeta-marzący. Prędzej spodziewać-by się po nim było można, że wyjdzie na... oficera od ułanów, do wojska bowiem i do wszystkiego, co stało w związku z mundurem, z szablą i strzelbą, czuł pociąg nieprzeparty. Będąc małym dzieckiem, lubił się bawić żołnierzami z ołowiu; teraz, kiedy podrośł trochę, przedewszystkiem lubił się bawić w wojsko, w żołnierzy. Z rówieśnikami swymi ciągle „szykował pułki”, staczał walne bitwy.

Z nadejściem lata wyjeżdżała zawsze pani Słowacka z Julkiem na wieś, na Podole, do Wierchówki, do znajomych swoich, Michalskich, z którymi nawet weszła z czasem w pokrewieństwo, albowiem brat jej, Jan Januszewski, ożenił się z panną Michalską. Chwile, spędzone w Wierchówce, nad brzegiem tamtejszych stawów, w tamtejszym ogrodzie, przy boku czarującej „Julki“ Michalskiej, która swoją urodą i wdziękiem zawsze „czarowała” młodego Juliusza, należały do najprzyjemniejszych chwil w życiu autora *Beniowskiego*. Wszystko to, co w poemacie tym jest z Podola: owe zboża, które się pannę Maurycemu kłaniają całym łanem; ów staw wielki, w którym „widać było twarz jaskrawą słońca i białe łabędzie Anielki”; owa gro-

bla „z młyńską u końca zastawą”, a za nią „Kościół Panny Zbawicielki,

Z trzema wieżami baniastemi w złocie  
I chat okienka, niby oczy kocie;

owa grota, w której Matka Boska złota

Z wieńcami różnych lamp na jasnej skroni  
Jako Dyana o poranku biała,  
Na staw z różanej tęczy wyzierała;

owa wioska czarowna, pełna ruczajów, pełna łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna konwalia, wioska, pełna sosen, kalin, jodeł,

Gdzie róża polna błyszczy się samotna,  
A brzoza jasnych jest kochanką źródeł <sup>1)</sup>;

owe wieczory, kiedy to „z kwiatów wychodziły wonie melancholiczne, ciemniał las dębowy”; owe jary, skąd Beniowski rzucał okiem na dom swej kochanki; owe wianki drzew ogrodowych, stojące nad stawem, nieopodal wielkiego, starego domu „z płomienistemi okny”; ów gaik mały, który Starosta od imienia córki swej nazwał Anielinkami; owe „błękitne pola, gdzie tak smutno duszy”; owe wielkie stepy, gdzie „przy słońcu nieżywem, wszystkich krzyżów mogilne podnóże wydaje się krwią i płomieniem”; owe morza burzanów, gdzie mogiły głosem wołają straszliwym, gdzie, jak w Waclawie, kwiat dla Boga kwitnie i usycha,

Gdzie dwa kurhany na błękitnem niebie  
Przez całe stepy patrzą się na siebie:

wszystko to widywał poeta w tych czasach, kiedy, dzieckiem będąc, (a później młodzieńcem) spędzał wakacje w Wierchówce u Michalskich. Ów „mały gaik” np., który Starosta w *Beniowskiim* od imienia córki swej nazwał *Anielinkami*, to gaik, w którym Słowacki za bytności swojej w Wierchówce najbardziej przesiadywać lubił, w którym się bawił, będąc dzieckiem, w którym czytał Byrona i Milтона, jako

---

<sup>1)</sup> A zaś przyczyna temu jest istotna,  
Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szczydeł,  
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,  
Jasny i chmurny, jako księżyc w chmurach. (*Beniowski, pieśń I*),

młodzieniec, a który od imienia córki państwa Michalskich, Julii, nazywał się Julinkami. W listach poety do matki ze wzmiankami o Julinkach spotkać się można bardzo często. Był nawet czas, że marzył o kupieniu u Michalskich tego folwarku, z zamiarem, ażeby zamieszkać w nim, „jak Kochanowski w Czarnolesie...“ Tymczasem, kiedy, jako dziecko kilkoletnie, przyjeżdżał tu z matką, pachniały mu w ogrodzie państwa Michalskich „gwoździki i smołki i wyzierały z pod trawy fiołki“; w Julinkach zaś „poziomki oczkami z rubinów

Patrzyły i brzoź lekkie się wierzeholki  
Kłaniały, lejąc nad nim łyzy bursztynow.

Wieczorami, kiedy w stawie kumkały żaby, a w ogrodzie rozlegał się koncert słowików, któremu od strony wsi wtórowało żalodne ujadanie psów, jeśli mu się zdarzyło pójść na spacer, samotnie lub w towarzystwie, z matką lub z wujem swoim, Janem Januszewskim, zakochanym w Julce Michalskiej, wsłuchiwał się,

Jak brzozy o czemś tajemnem szeptały,  
Jak się las cały, by czarem, uciszał  
I pod księżycem stał spokojny, biały...

a że, jako przyszły autor *Beniowskiego*, z natury był ciekawy i pewno lubił słuchać opowiadań starych ludzi o dawnych czasach, więc tutaj niezawodnie dowiedział się po raz pierwszy o Wernyhorze, o Sawie, o księdzu Marku, o Pułaskim, których czyny bohaterskie miał z czasem wyśpiewać w *Beniowskim*, a o których tradycya żyje w tych stronach aż po dziś dzień pomiędzy ludem. Cokolwiekby, tutaj zaczął poznawać kraj, tutaj oddychał poezją wsi polskiej, tutaj miał sposobność zbliżenia się po raz pierwszy do ludu, tutaj słuchał jego dumek i szumek, tutaj zaczął się uczyć jego języka, który z czasem przyswoił sobie tak dalece, że mówił po rusku, jak rodowity Ukraińiec, tutaj oddychał atmosferą owego wdzięku, „co młodość odludną wabił na dawnych opłotki cmentarzy“, tutaj poił wzrok widokami „na płachty lasów, pól o błękitnieniem dalekiem oczy smętniących“, tutaj nauczył się z czasem tańczyć kozaka <sup>1)</sup>, tutaj słuchał pieśni lirników, grających na teorbach, tutaj chronił się przed skwarem słonecznym do stepowych futurów (które tak ważną grają rolę w *Beniowskim*) i tutaj wreszcie

<sup>1)</sup> Listy, I, 108, 114.

„nieraz widział te rzewne pogrzeby, stepem idące i niwą”, których śpiew płaczliwy, jęczący wśród stepu, jeszcze mu brzmiał w uszach po upływie trzydziestu lat blisko... Jeszcze wtedy, skoro zamknął oczy, widział oczyma swej duszy, stęsknionej za tem dzieciństwem sielskiem, anielskiem, jak czarno ubrany diak „cały pogrzeb stepem wiódł na cmentarz“, jak chłopstwo, idące za trumną, złożoną na noszach, zawodziło jakieś smętne *requiem*, jak „jasną girlandą chorągwie cerkiewne szły, burząc wiatrem“, jak „świece nieśli krzywo chłopięta...“<sup>1)</sup>.

Skoro o *Beniowskim* już mowa, to znajduje się w części jego poematycznej ustęp pewien, jeden z najpiękniejszych bezsprzecznie, na którego powstanie także w niemałym stopniu złożyły się wrażenia, odebrane przez poetę w dzieciństwie, w epoce właśnie, kiedy mieszkał w Krzemieńcu. Mam tu na myśli ową scenę, w której pastuszkowie w poleskiej puszczy, odprawiając swą wigilię nocną, ujrzeni nagle nad jedną z wierzb „panie dwie w błękit ubrane”, całe w jasności promiennej, nie ziemskiej, wśród dziwnego blasku gwiazd, wśród odurzającego zapachu konwalii, dwie panie, które, kiedy z ukazaniem się ich uciekło wszystko w mgnienu oka, podały sobie ręce, mówiąc: „Avel..“

A obie były tak pełne tęsknoty,  
 Jak strumień i las; a miały postawę  
 Lekką, jak gdyby mogły iść w poloty,  
 Lecz oswojone były i łaskawe:  
 Jedna twarz miała czarną, druga bledszą.  
 Pastuszkom zdało się, że we śnie patrzyą.

Były to dwie „Siostry” z cudownych obrazów: Matka Boska Częstochowska, Królowa Polska, i Matka Boska Poczajowska...

Do tej ostatniej modlił się Słowacki nieraz, będąc dzieckiem. Z Krzemieńca do Poczajowa jest niecałe dwie mile; to też, kiedy się odbywał słynny na całą okolicę odpust w Poczajowie, pani Salomea nieraz pewno jeździła tam ze swoim jedynakiem, pokazując mu stopkę Najświętszej Panny, w kamieniu wydeptaną, a zawsze pełną wody święconej, którą ludność miejscowa czerpie we fłaszeczki i, nosząc je potem zawieszzone na szyi, wierzy, że to ochrania od chorób i złych przypadków...<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Zob. *Beniowski*, część II.

<sup>2)</sup> O Poczajowie zob. J. U. Niemcewicz „*Podróże historyczne*“, str. 203.



Słowacki musiał fłaszeczki takiej nie nosić nigdy, a przynajmniej w sierpniu 1817 roku, kiedy do Krzemieńca przyjechał z Wilna profesor August Becu <sup>1)</sup>, z zamiarem ożenienia się z panią Słowacką: faktu tego bowiem, w następstwach dla Juliusza bardzo doniosłego, żadną miarą dobrym przypadkiem w życiu poety nazwać niepodobna. Czemu? Przyszłość okaże.

Tymczasem nie widziano powodu odprawiać pana Becu z niczem: przeciwnie, uważano, że pani Słowacka, zostając panią Becu, lepszego wyboru nie może prawie uczynić. Albowiem wszystko (na pozór) przemawiało za profesorem Becu. Już same pobudki, dla których ożenić się pragnął, bardzo korzystne rzuciły na niego światło. Owdowiawszy niedawno, po śmierci żony, która mu zostawiła dwie córki, Hersylię i Aleksandrę, dziewczynki kilkoletnie, obie niezwykle odznaczające się pięknnością, znalazł się w tem nieszczęśliwem położeniu, że, jako człowiek, przedewszystkiem zajęty służbą publiczną, nie był w możności sam zajmować się dostatecznie ich wychowaniem. Zakłopotany tem, zwrócił się do przyjaciół swoich po radę, co czynić? a kiedy mu poradzili, ażeby dał córkom swoim za opiekunkę panią Słowacką, która po sobie, nietylko jako kobieta światowa, ale i jako wzorowa matka, jak najlepsze zostawiła w Wilnie wspomnienie, zdecydował się, nie tracąc czasu, prosić ją o rękę, i w tym celu, skoro się ukończyły wykłady w uniwersytecie, podążył do Krzemieńca. Przybywszy tu, oświadczył zaraz na samym wstępie, co go w te strony sprowadza; a że z panią Słowacką znał się dobrze z czasów jeszcze, kiedy żył jej małżonek, więc poszło mu z oświadczeniami o tyle łatwiej. Matka Juliusza nie miała osobiście nic przeciwko powtórnemu wyjściu za mąż (co jej zresztą przepowiedział już Euzebiusz Słowacki w swym testamencie); chodziło tylko o to, jak się na sprawę tę zapatrywać będą starzy państwo Januszewscy. Ale i oni byli zdania, że córka ich uczyni właściwie, decydując się na poślubienie profesora Becu. Najprzód (rozumowali), wychodząc za niego, znajdowała opiekuna i towarzysza, co było jej bardzo potrzebnem, zważywszy, że oni, rodzice, byli starzy, tak, iż w razie ich śmierci, została-by sama, bez opieki, bez towarzystwa; a mieszkać u obcych, choćby nawet u którego z braci, gdyby się ci pożenili z czasem, mogło-by zarówno jej, jak i im nie bardzo być na rękę. Powtóre, jeżeli chodziło o Julka, z powodu którego najwięcej robiła sobie jak w danym razie skrupułów, to przyznać musiała, że przenosząc się z nim do Wilna, lepsze mogła mu dać

---

<sup>1)</sup> Z pamiętnika Juliusza Słowackiego, Rozdział II. „Przegląd polski“ 1879, lipiec, str. 32.

tam wychowanie, aniżeli w Krzemieńcu <sup>1)</sup>. Jednem słowem, wszystko składało się w ten sposób, że przyjazd profesora Becu, choć nagły i niespodziewany, pod każdym względem uważany być musiał, jako szczęśliwe zrządzenie Opatrzności.

Postawy okazałej, z twarzą rumianą, trędowną nieco, „zdradzającą pewne nawyki”, w obejściu gładki, manier wyszukanych, z usposobienia światowiec i dworak; nieporównany *causeur*, dowcipny, ujmujący i nie banalny, myśli swe—najczęściej nie głębokie, ale zawsze efektowne—umiejący przybierać w skończoną formę toczonych frazesów; płynnie mówiący po polsku, po rosyjsku, po francusku, po niemiecku i po angielsku; znany w całym kraju ze swej broszury o ospie, której szczepienie pierwszy wprowadził na Litwie; znakomitą cieszący się sławą, jako jeden z najdawniejszych profesorów wszechnicy wileńskiej, wykładający patologię, higienę i medycynę sądową; popularny w Wilnie, jako prezes Towarzystwa medycznego wileńskiego; szczerze poważany przez obu Śniadeckich, których przyjaźnią się szczycił; dużą mający praktykę, jako lekarz chirurg; mający stosunki z najświetniejszymi domami Wilna i Litwy; a nakoniec zamożny i nie-małe mający dochody ze swej praktyki lekarskiej: był prof. Becu niezaprzeczenie doskonałą *partyką*, której odrzucać nie miała pani Słowacka najmniejszego powodu. Jakoż nie odrzuciła jej.

Jakim był doktor Becu w gruncie rzeczy, nie wiedziała, nie mogła przewidzieć... Nie przypuszczała, że pod temi wykwiłtnemi pozorami kryła się marna dusza, pospolity charakter, a raczej brak charakteru, co jeszcze za jedyną można uważać okoliczność łagodzącą, skoro nam przyjdzie z czasem wydawać sąd o postępowaniu doktora Becu. Czy był on rzeczywiście takim, jakim go nam przedstawili Lelwel i Mickiewicz? Nie, taki wyrok byłby może za ostry, choć przyznać trzeba, że jest w nim więcej słuszności, aniżeli się to wydaje niektórym obrońcom profesora Becu... <sup>2)</sup> Nazwać go „człowiekiem uczciwym” w całym tego słowa znaczeniu — mojem zdaniem — niepodobna. Albowiem nie był to *gentleman*, a przynajmniej nie był nim „w każdym calu...” Jako profesor nie odznaczał się zbytnią sumiennością, szczególniejsz będac skłonnym do opuszczania wykładów, w których się trzymał ściśle metody Hufelanda, po za nią nie sięgając, ile że nie miał po prostu czasu na rozszerzanie widnokregu swoich wiadomości. Nie miał czasu, albowiem lubił się przedewszystkiem bawić, używać, obracać się

<sup>1)</sup> Z pamiętnika J. Słowackiego. „Przegląd polski” 1879, lipiec, str. 32; „Gazeta Codzienna” 1860, Nr 225.

<sup>2)</sup> Włodzimierz Spasowicz. „Dzieje lit. pol.” (wyd. trzecie), str. 337.

w wielkim świecie, nadskakiwać damom i wysoko postawionym osobistościom, nie zwracając uwagi na ich narodowość. Wszystko mu było jedno, czem kto był, Polakiem, Francuzem czy Niemcem, byle coś znał, byle wysoki piastował urząd, byle był hrabią lub księciem, generałem lub senatorem, żydem czy katolikiem. On sam był zdaje się protestantem, a przynajmniej pochodził z rodziny protestanckiej, francuskiej, która za Ludwika XIV przeniosła się na Pomorze, a później do Polski. Dziad jego otrzymał indygenat na sejmie 1775 r. Po naukach odbytych w Grodnie i Wilnie, gdzie w r. 1793 otrzymał stopień doktora medycyny, wysłany został kosztem Akademii do Szkocyi, skąd powróciwszy, habilitował się na profesora. W roku 1817, właśnie kiedy się ożenił z panią Słowacką, został mianowany członkiem komitetu szkolnego. We dwa lata później ofiarowano mu zaszczytny urząd wizytatora szkół <sup>1)</sup>. Mimo to wszystko, przywiązanie jego do ziemi, na której się urodził i na której działał mu się tak dobrze, nie było silne, a raczej było prawie żadne. Jako Polak, było to zero, a dla takiego zera, ażeby się stać minusem, *il n'y a qu'un pas*. Znajdując upodobanie w częstych wyjazdach za granicę, pod pretekstem leczenia się w Karlsbadzie i Egrze, przejął się nawskróś atmosferą europejską, która mu imponowała, a z którą ówczesna atmosfera rodzima nie mogła pod wieloma względami iść w porównanie, stał się w końcu zupełnym kosmopolitą, choćby dlatego tylko, że życie za granicą wydawało mu się przyjemniejszym, wygodniejszym, bardziej odpowiadającym jego usposobieniu epikurejczyka-sybaryty. Albowiem sybarytą był doktor Becu przedewszystkiem. Mając do wyboru proszone śniadanie lub lekcję, powiada o nim w swych pamiętnikach Karol Kaczkowski, nigdy pierwszego nie odrzucił. Dlatego starał się być ze studentami na przyjacielskiej stopie — nawet ich zapraszał do siebie — ażeby, ujęci tem, bez szemrania znosili jego „lenistwo”, ażeby własną pracą wynagradzali sobie jego „zastój w nauce.” Dzięki sybarytyzmowi temu, który go — zdaniem Karola Kaczkowskiego — cechował przedewszystkiem, nie utrzymywał też dr Becu bliższych stosunków ze swymi kolegami profesorami. Jedynie ze Śniadeckimi starał się być jak najlepiej, dlatego niezawodnie, że jeden z nich, Jan, był rektorem uniwersytetu, a drugi, jako autor *Teorii jestestw organicznych*, znakomitością europejską. Zresztą wolał obracać się w świecie arystokratycznym lub urzędniczym, gdzie wszystkiego było podostatkiem, gdzie spodziewał się przy doskonałym śniadaniu lub obiedzie pić doskonałe wina, palić wyborowe cygara, Że, będąc raz na takiej pochyłości, mógł po niej stoczyć się bardzo nisko, było prawie nieuniknionem...

<sup>1)</sup> Wł. Mickiewicz. „Żywot Adama M.” I, 148.

Niestety, nie mogła czegoś podobnego przewidzieć pani Słowacka; to też, w najlepszej wierze, iż robi stosowny wybór, zgodziła się na propozycję doktora Becu i, kiedy się oświadczył o nią, dała mu odpowiedź przychylną. Zgodziła się także na to, że ślub odbędzie się niezwłocznie, nie poprzedzony tradycyjnymi konkurami, na te bowiem naręczony nie miał czasu, śpiesząc się do swoich córek, które wtedy przebywały w Dąbrowni, pozbawione ojcowskiej opieki... Na trzy dni przed ślubem oświadczyła pani Salomea zamiar swój wyjścia za mąż Julkowi, który, dowiedziawszy się, że z tem zameżciem idzie w parze przeniesienie się na stały pobyt do Wilna, bardzo się na samą myśl o tem ucieszył. Nareszcie, w połowie sierpnia mniej więcej, odbył się w kościele licealnym ślub pani Słowackiej z doktorem Becu, ślub cichy, w asystencji najbliższych i małej liczby przyjaciół. Ośmioletni Julek był także w czasie tej ceremonii obecnym, a widząc matkę swą, że płacze, rozplakał się również... W końcu sierpnia wyjechali państwo Becu do Wilna. W życiu przyszłego autora *Ballady* zaczęła się nowa epoka <sup>1)</sup>.

FERDYNAND HÖSICK.

---

<sup>1)</sup> Zob. Pamiętnik J. Słowackiego.

---

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

*Bernhardi.* „Die Anfänge der neuen Aera.” Tagebuchblätter aus der Zeit der Stellvertretung und Regentschaft des Prinzen von Preussen. Lipsk. 1894, (str. 349.

Wśród istnej powodzi pamiętników, poświęconych politycznym dziejom dziewiętnastego stulecia, zwrócił już od dość dawna na siebie uwagę historyków dziennik pamiętniczy Bernhardiego. „Początki nowej ery”, które się ukazały w bieżącym roku, stanowią bowiem część trzecią pamiętnika; dwie zaś ukazały się dawniej i zawierały dużo cennych szczegółów do historii wyswobodzenia włościan w cesarstwie ruskim.

„Początki nowej ery” pisał Bernhardi po powrocie z Rosyi do Niemiec, to jest w dobie, gdy pozyskał sobie już rozgłośne imię, jako pisarz ekonomista i jako historyk niemieckich wojen wyswobodzenia. Sława autorska ułatwiła i utorowała Bernhardiemu przystęp do sfer panujących, zarówno jak i rządzących. Nie tylko książę regent, syn jego Fryderyk, książę Ernest Koburski i wielu innych książąt krwi, ale prawie wszyscy ministrowie i mężowie stanu pruscy oraz niemieccy i cały świat uczony Niemiec, pozostawali w stosunkach pewnej zażyłości z Bernhardim. Zwłaszcza wybitne postaci wojenne, nie wyłączając Moltkego, szukały rade znajomości z nim, ceniąc przytem jego wytrawne i trzeźwe zdanie w sprawach reorganizacyi armii pruskiej. Wreszcie dziennik Bernhardiego zaleca się czytającemu swą bezpre-

tensjonalnością i prostotą. Autor wspomina chętnie swe poglądy, które u współczesnych zyskały uznanie, lub swe broszury militarne, które mu zjednały rozgłos; ale z tem wszystkiem zachowuje pewne umiarkowanie w opisywaniu swych wpływów oraz znaczenia, tak, że ową skromną dozę chępliwości przebaczyć mu łatwo, ze względu choćby na sporą wiązkę rzeczywiście ciekawych szczegółów, za które mu przysły historyk dziewiętnastego stulecia będzie szczerze wdzięcznym.

Ze względu, że pamiętnik Bernhardiego przedstawia istotnie początki nowej ery, która dotąd przez historyków nie została ujętą w pełny i skończony obraz, pozwolę sobie przytoczyć ważniejsze z niego szczegóły, w tem przekonaniu, że, odnosząc się do niedawno zmarłych postaci historycznych lub jeszcze żyjących, jak np. księcia Bismarcka, zainteresują nietylko specjalnych badaczy dziejów.

Pamiętnik Bernhardiego obejmuje ostatnie miesiące roku 1857, to jest czas, w którym Fryderyk Wilhelm IV, król pruski, już ulegał cierpieniom umysłowym, a ksiązę Wilhelm, późniejszy cesarz niemiecki, zastępował go w rządach tymczasowo. Niewątpliwie dla Bernhardiego choroba królewska była jednym z najważniejszych faktów; dla tego też zaraz na początku pamiętnika poświęca mu swą uwagę. Stan króla, pisze Bernhardi, na początku samym roku 1858, jest wysoce tragicznym, albowiem w momentach przytomności posiada całą świadomość swego położenia i mówi o niem, co go niesłychanie drażni. Zazwyczaj wpada w obojętność, a fizycznie wygląda wcale niezłe. Lekarze nie wierzą w możność uzdrowienia go, lecz, mimo to, nie chcą zdobyć się na zaprzysiężoną opinię rzeczoznawców. Z tego powodu namiestnictwo księcia Wilhelma musiało być przedłużonem (znowu na rok), a jakkolwiek nie dogadzało ono jego pragnieniom, to przyznać trzeba, że na razie regencya nie była-by go uczyniła niezawisłym, albowiem zawsze jeszcze istniała możliwość objęcia napowrót władzy przez króla.

Partya junkrów zapobiega usilnie abdykacyi królewskiej, ale zarazem nie pragnie objęcia rządów przez chorego monarchę. Temu stronnictwu stan chwiejny najlepiej dogadza, gdyż w ten sposób ksiązę-namiestnik ma najbardziej skrupowaną wolę; gdyby zaś król objął rządy, niezdolność jego wyszła-by na jaw i przyspieszyła-by prawdopodobnie abdykację. Ksiązę Wilhelm przywiązuje dużo wagi do tego, aby namiestnicwo było mu powierzaniem tylko na czas pewien i aby, po upływie określonego terminu, znowu kwestya poczytalności monarszej była brana pod uwagę. Ksiązę Wilhelm zdecydowany jest jeszcze przez rok pełnić cierpliwie urząd namiestnika. Ponieważ jednak król może prawdopodobnie żyć długo, przeto po roku ma zamiar

doprowadzić sprawę do trwalszego rozwiązania, nie dopuszczając jednak izb do mieszania się w powyższą kwestyą.

Bernhardi poznał swego czasu, w obozie pod Turas, Haynana; następnie zaś spotkał się z nim, po jego osławionych czynach we Włoszech i w Węgrzech, w Homburgu, dokąd spoczywający na laurach Feldzeugmajster austriacki przybył dla uciech hazardu. Szczegóły, które Bernhardi podał w pamiętniku, nie dopomogą bynajmniej do zrehabilitowania tego cynicznego i najemnego siepacza z 1849 r. Haynau nosił się wprawdzie, jak sam zapewniał, z tem głębokiem przeświadczeniem, że przyjdzie mu odegrać ważną rolę w historii, ale, z tem wszystkim, główne dowództwo w Węgrzech zawdzięczał tylko tej okoliczności, że nasamprzód trzeba było być narzędziem bezwzględnej karni, a do tej wstrętnej posługi nie można było znaleźć odpowiedniej osobistości. Haynau tymczasem był człowiekiem bez skrupułów i, oświadczając się rządowi w Wiedniu z gotowością spełnienia zadania, zastrzegł sobie warunki, dowodzące, że zbytnią skromnością nie grzeszył wcale. W nagrodę bowiem za uspokojenie cmentarne Węgier zapragnął, ni mniej, ni więcej, jak feldmarszałkowskiej buławy i pieniędzy w bagatelnej sumce 2 milionów guldenów! Na razie przyrzeczono mu w Wiedniu wszystko, czego tylko zażądał; gdy jednak naszafował się dostatecznie ulaskawieniami „vom Strange zu Pulver und Blei”, zauważono, że trudno w tak skalane ręce powierzać buławę i jedynie wynagrodzenie pieniężne postawiono na porządku dziennym. Cesarz Franciszek Józef zgodził się na sumę dwóch milionów guldenów, tylko postanowił rozdzielić ją na pięć udziałów. Radetzki, Windischgrätz, Jellacic i Haynau otrzymali po 400,000 guldenów, a piąty udział przypadł w połowie Waldenowi i Schlickowi. Haynau oburzył się na niesprawiedliwość, jaka go spotkała, i choć pieniądze przyjął, zemścił się na rządzie w ten sposób, że, powróciwszy do Węgier, wypuścił na wolność wszystkich przestępców stanu, których przedtem miał zamiar ulaskawić na swój sposób, t. j. za pomocą „Pulver und Blei.”

Po tem zboczeniu w stronę austriackiego feldzeugmajstra o dwuznacznych wawrzynach i sławie, powraca Bernhardi do spraw niemieckich i opowiada o tem, że Aleksander Humboldt, zaraz po wstąpieniu na tron Fryderyka Wilhelma IV, wyrzekł: „w zmarłym Panu posiadaliśmy króla, który nie miał żadnej fantazyi, jakby to więc było, gdybyśmy teraz mieli monarchę, który-by wyłącznie posiadał fantazyę?” Humboldt oceniał jednak należycie wysokie przymioty Fryderyka Wilhelma III i przypominał fakt znamienny, gdy w r. 1807, po zawarciu pokoju, wystąpił w Królewcu na scenie teatralnej aktor z krzyżem legii honorowej na piersi, którego wymagała jego rola; oficerowie

pruscy, zoczywszy krzyż, podnieśli taką wrzawę, że aktor uważał za stosowne cofnąć się ze sceny; Napoleon zaś, dowiedziawszy się o powyższym zdarzeniu, zażądał wydania oficerów, aby ich postawić przed sądem wojennym i rozstrzelać.

Położenie króla nie było do pozazdroszczenia; Napoleon bowiem do żądania dołączył groźbę, że w razie odmowy, rozkaże marszałkowi Davoustowi zająć Królewiec i wymazać Prusy z rzędu królestw. Król, w tak kłopotliwym położeniu, zażądał piśmiennej opinii swych ministrów i prawie wszyscy oświadczyli się za wydaniem oficerów, tylko jeden Schön napisał krótko a węzłowato, „gdy cześć zginie, wtedy i korona nie wiele będzie warta.” Odczytawszy powyższą sentencję, król długo rozmyślał, lecz w końcu zdecydował się nie wydać oficerów. Napoleon nie zdobył się na wykonanie groźby, a król pruski, gdy mu później chciano Schöna przedstawić, jako niebezpiecznego nowatora, powtarzał: „zawsze to uczciwy człowiek.”

Bernhardiemu opowiadał Vincke, jak w 1848 r. musiał księciu Wilhelmowi pruskiemu do ucieczki z Berlina dopomagać. Vincke doprowadził księcia potajemnie do mieszkania Schleinitza i tam, odstąpiwszy mu swe ubranie, a przedewszystkiem buty bez ostróg, pożegnał go, radząc w ostatniej chwili, aby się udał do Anglii, a nie do Rossyi, jak tego sobie życzył król pruski. Księżę Wilhelm zgodził się na zmianę w podróży i Vincke zawiadomił o niej Fryderyka Wilhelma IV.

W roku 1858 otrzymał Bernhardi zaproszenie od księcia Koburg-Gotha, w którego domu miał sposobność zapoznać się z wieloma wybitnymi i wpływowymi osobistościami, a między innymi z Usedomem. Właśnie Usedom opowiadał mu, że księżę Koburski był wówczas na przedstawieniu teatralnem w Paryżu, gdy Orsini cisnął bomby pod powóz Napoleona III. Dowiedziawszy się o zamachu, księżę podążył na spotkanie cesarza i zastał go drżącego, w stanie panicznego przestachu; Eugenia za to zachowała przytomność umysłu i, wstrząsając ramieniem swego małżonka, ostrzegała go niezbyt dlań pochlebnymi słowy: „mais montrez donc que vous n'avez pas peur.”

Spełnianie namiestnicze władzy królewskiej przez księcia Wilhelma nie wpływało dodatnio na politykę zagraniczną Prus. Bernhardi świadczy, że nawet W. Księżę Badeński był niezadowolony z chwiejności rządu pruskiego, wobec której niewiadomo było, czy nań liczyć można w danej chwili. Wielki księżę posunąć się miał nawet do groźby, że jeżeli księżę Wilhelm nie pochwyci steru rządów w ręce i nie będzie rządził podług własnego programu, nie pozostanie mu nic innego, jak wobec niebezpieczeństw, grożących mu przedewszystkiem od Francyi, połączyć się z Austryą. Nic dziwnego jednak, że



książę Wilhelm czuł się godnością namiestniczą skępowanym. Żona jego skarżyła się, że jak tylko stawi opór żądaniom którego z ministrów, zaraz usłyszy prawie stereotypowe wyrażenie: „Taką jest dobrze mi znana intencja króla; w tym a tym dniu roku zeszłego król mi to najwyraźniej zalecił, jeżeli zaś nie wolno mi wykonać intencji królewskiej, nie pozostaje mi nic innego, jak prosić o dymisję. „Ponieważ zaś książę Wilhelm miał skrupuł z tytułu władzy namiestniczej uwalniać ministrów, przeto decydował się ustępować i tym sposobem ministrowie wymuszali na nim wszystko. Książę Wilhelm przypominał w wielu razach swego ojca. Żył on szczerze zamilowaniem do wojskowości i miał wstręt stanowczy do genialnych ludzi; do jego usposobienia przemawiały więcej proste i otwarte natury.

Jakkolwiek książę Wilhelm przejęty był nieufnością do rządów konstytucyjnych, jednakże względem konstytucji pruskiej okazywał się lojalnym. Gdy na radzie ministrów podniesiono kwestję: w jaki sposób należy ukarać urzędników, którzy, będąc do izby poselskiej wybranymi, ośmielili się przeciw projektom rządowym głosować, oświadczył książę stanowczo, że, podług konstytucji, nikt za swe mowy i vota w izbie nie jest odpowiedzialnym, a więc i o karaniu jakimkolwiek nie można myśleć. Nadto oświadczył książę, iż wiadomo mu, że do poprzednich wyborów do izb zakradły się liczne nadużycia, których on przy nowych wyborach cierpieć nie myśli, bowiem pragnie, aby się odbyły w duchu przepisów konstytucji.

Od księcia Ernesta Koburskiego dowiedział się Bernhardi, że konkordat z Austryą nie był dziełem cesarza, ani ministrów, lecz wyłącznie arcyksiężnej Zofii. Na dwa lata przed jego przyjęciem był już zupełnie opracowany i skończony. Książę nie tylko znał jego treść, lecz nawet posiadał go w odpisie, a gdy razu pewnego wyraził Bachowi wątpliwość, czy podobny konkordat będzie mógł być kiedykolwiek wykonanym, otrzymał od ministra austriackiego zapewnienie, że dopóki tenże będzie u władzy, nie dopuści do wprowadzenia go w życie. W końcu jednakże udało się arcyksiężnej Zofii przekonać Bacha. W jaki sposób, o tem książę nie wiedział, ale napomykał niby nawiasowo, że Bach był parweniusem i w dodatku ubogim.

Bardzo wyraziście i umiejętnie charakteryzował książę Koburski Napoleona III, za którego znawcę, i to wyborczego, uchodził. Za typową właściwość Napoleona III uważał książę brak wszelkiej fantazyi. Na wszystko zapatrywał się cesarz nadzwyczaj trzeźwo, a więc i na wszelkie niebezpieczeństwo, dla tego też nie imponowało mu ono wcale. Wydawał on się takim, że gdyby mu dano do ręki tlejący granat i oświadczone, że za 58 sekund wybuchnie, byłby w stanie 56 sekund

uważnie się mu przypatrywać i dopiero w ostatniej chwili odrzucić go od siebie.

Zdaniem księcia, Napoleon III nie miał w sobie nic a nic genialnego, owszem, można było przyjść do zupełnie przeciwnego poglądu, albowiem pojmował wszystko bardzo powolnie. Sam nawet był przeświadczony o tem, i gdy mu przedstawiano jaką sprawę, żądał: „*Expliquez-moi cela bien, parlez lentement, je sui très lent.*” Wiadomem też było powszechnie, że gdy chciano mu jakąś sprawę uczynić zrozumiałą, należało przygotować wykład jasny, przystępny i logiczny. Argumentacja musiała się rozwijać niejako krok za krokiem i niewolno było opuszczać lub przeskakiwać w niej żadnych wniosków. Gdy cesarz rozumiał sprawę, odbiło się to natychmiast na jego twarzy, która przybierała szczególny i charakterystyczny wyraz; gdy zaś w argumentacji stracił wątek, wzrok jego poczynął się błąkać, uwaga rozpraszać i do kwestyi przedstawionej zniechęcał się łatwo.

Z tą flegmą, z brakiem fantazyi oraz namiętności, zdawał się Napoleon III być zabezpieczonym od wszelkich niespodzianek, które grożą nawet panującym. Tymczasem i on miał swą piętę Achillesową. Wiedząc, że w dynastycznym gronie jest parweniusem, Napoleon III podejrzewał książąt krwi, że go chcą jako takiego traktować i bardzo łatwo obrażał się na nich za niesłusznie przypisywane im w tym kierunku zamiary. Jak tylko który z dynastów starożytnego domu obchodził się z nim, jak z równym sobie, pozyskiwał sobie szybko jego względy i był w stanie skłonić go do ustępstw. Najtrudniej wszakże było pochwycić ton właściwy, w którym przebijać musiała naturalna swoboda i brak wszelkiego krępowania się. Zbyt wielką poufalość uważał Napoleon za brak szacunku, a ceremonialną sztywność jeszcze za nieznośniejsze lekceważenie. Najłżejsze zboczenie w którymkolwiek kierunku obudzało w cesarzu podejrzenie i nieufność; wyobrażał też sobie zaraz, że go mają za intruza i obcego w bratniej drużynie europejskich dynastów.

Książę Koburski też z niepokojem przypatrywał się zdala pierwszemu spotkaniu się brata swego, księcia Alberta, z Napoleonem III. Od spotkania powyższego zależało niewątpliwie zawarcie przymierza Francyi z Anglią. Gdyby bowiem Napoleonowi zachowanie się księcia-mażonka angielskiego wydawało się podejrzanem, przymierze nie doszłoby do skutku, a podejrzenie mógł wzbudzić książę Albert lada nie znaczącą drobnostką. Książę Koburski nie chciał przestrzegać swego brata o tych właściwościach usposobienia cesarskiego, w tem słusznym przekonaniu, że, wiedząc o nich, będzie się czuł skrępowanym. Spotkanie odbyło się też pomyślnie; książę Albert uchwycił ton właściwy i przymierze przyszło z łatwością do skutku.

Bernhardi opowiedział pewnego razu księciu Koburskiemu ciekawy szczegół, jaki swego czasu jego ojczymowi zakomunikował marszałek Oudinot. W r. 1809, miał, podług twierdzenia marszałka, arcyksiążę Karol, zaraz po nieszczęsnych bitwach w Bawaryi, starać się u Napoleona o koronę czeską dla siebie, która-by w takim razie do związku reńskiego wcieloną została. Bernhardiemu wydał się fakt podobny niemożliwym, dla tego spytał księcia, czy mu co nie wiadomo w powyższej kwestyi. W odpowiedzi Ernest Koburski zapewnił go, że nietylko szczegół powyższy jest prawdziwym, lecz że nadto arcyksiążę Jan zażądał w tejże samej chwili dla siebie królestwa węgierskiego i dlatego nie przybył bratu swemu z pomocą pod Wagram.

Prócz tego, książę Koburski uskarżał się, że wiele pomyślnych sytnacyi politycznych zmarnował Fryderyk Wilhelm IV bezpowrotnie, mogąc je łatwo wyzyskać dla dobra Prus i Niemiec. Tak np., w roku 1854 pracowano nad tem usilnie, aby Prusy skłonić do wspólnej z Austryą demonstracyi wojennej przeciw Rossyi. Sam książę Koburski jeździł od dworu do dworu, aby kombinacyę polityczną, ułożoną z góry, doprowadzić do skutku. Plan szczegółowy opracowany był w sposób następujący: cztery korpusy austriackie miały być skoncentrowane w Galicyi, a dowodzić niemi miał sam cesarz Franciszek Józef; na północy miały być zgromadzone cztery korpusy pruskie, pod dowództwem księcia Wilhelma (późniejszego cesarza), a środkową pozycyę (przypuszczalnie Szląsk) miały zająć dwa korpusy związkowe niemieckie pod dowództwem księcia Koburskiego. Griesheim opracował plan operacyjny dla wojska pruskiego, a całością działania miał kierować feldzeugmajster Hess.

Nagroda, przeznaczona Prusom za udział w wojennej demonstracyi, przedstawiała się wcale pokaźnie. Anglia pozostawiła zadanie zwerbowania Prus i określenia nagrody rządowi francuskiemu, a książę Koburski pojechał do Berlina, aby monarchę skłonić do przystąpienia do związku. Nasamprzód prawo sukcesyjne duńskie miało zostać przeistoczonem gwoli Prusom, czyli, w ten sposób, aby księstwa Szlezwig-Holsztyńskie mogły być zupełnie do Niemiec wcielonemi. Gdy jednakże książę Koburski przedstawił plan królowi, ten wpadł w widoczne zakłopotanie, zwłaszcza, że nie było królowej, której się zazwyczaj radził we wszystkich ważniejszych sprawach. Książę nie omieszkał zawiadomić poufnie Fryderyka Wilhelma IV, że, jeżeli zażąda wcielenia księstw do Prus, nadejście z Paryża i Londynu niewątpliwie odpowiedź przychylna, a księcia Augustenburskiego będzie można łatwo wynagrodzić domenami.

Fryderyk Wilhelm IV długo chodził po pokoju, widocznie zaniepokojony; nareszcie, stanąwszy przed księciem, oświadczył swą zgodę

na przystąpienie Prus do związku, ale zażądał, tytułem wynagrodzenia, nie tylko księstw Szlezwicko-Holsztyńskich, lecz i Hanoweru. Widocznie było, że król rozumiał, że nie wolno mu bez ważnych powodów odrzucać tak korzystnego dla Prus związku, postanowił więc zażądać rzeczy niemożliwych, aby tym sposobem zerwanie przypisać drugiej stronie. Istotnie, na zażądanie Hanoweru nie miał książę nic do odpowiedzenia i nawet o tem: zajściu nie przesłał wiadomości ani do Londynu, ani do Paryża.

W październiku 1858 r. zdecydował się nareszcie książę pruski przyjąć regencyę. Dawny parlament miał być jeszcze na krótki czas zwołanym, ażeby uznać regencyę i załatwić się z ważniejszymi sprawami pieniężnymi. Książę Wilhelm pragnął, aby królowi pozostawiono całą listę cywilną, dodając regentowi na koszt reprezentacyi pół lub cały milion talarów. Najważniejszą sprawą jednak było pozyskanie zgody królewskiej na regencyę. Panem chwilowym położenia był prezes ministrów, Manteuffel, i ten dawał księciu Wilhelmowi do zrozumienia, że sprawę regencyi po jego myśli załatwi, lecz należało się domyślać, że zarazem pragnął, aby książę nie zapominał, że tylko przez niego da się ta rzecz załatwić.

O Willisenie, słynnym teoretyku wojskowym, ale bardzo lichym dowódcy w boju, podaje Bernhardt ciekawy szczegół. Gdy w r. 1854 zanosilo się między innemi i na wojnę Prus z Rosyją, Willisen, zapomniawszy o swej niefortunnej kampanii duńskiej, wypracował dla pruskiego rządu memoryał, w którym ofiarowuje swe usługi i doświadczenie, naturalnie w charakterze przyszłego głównie-dowodzącego armią operującą Prus. Widocznie przeceniał swe zdolności strategiczne, a tem bardziej swe usługi, oddane rządowi.

Bernhardt zarzucał swego czasu Napoleonowi III, iż przedwcześnie zawarł pokój z Rosyją i nie chciał dłużej prowadzić wojny, czego się Anglia gorąco domagała. W końcu jednak roku 1858, jeden z jego znajomych przekonał go, że nie miał słuszności. Napoleon III bowiem namówił Anglię do wojny, której się z początku lord Aberdeen obawiał. Nawet Palmerston, gdy oblężenie Sewastopola przewlekalo się nad miarę, chciał zawrzeć pokój przed rozstrzygnięciem stanowczem wyprawy, lecz na to cesarz zgodzić się nie chciał, a nawet nie mógł, bez narażenia się na poważne niebezpieczeństwo. Armia francuska, powróciwszy z nieudanej wyprawy, mogła-by za upokorzenie swe zemścić się na cesarzu, a Samver opowiadał, iż slyszal, jak cesarzowa Eugenia, dowiedziawszy się o zamiarze Palmerstona, z niepokojem oświadczyła: „Cent mille hommes de retour, mais ils nous egorgeront!”

Gdy już przesilenie minęło, czyli gdy Sewastopol został zdobyty, nabrali Anglicy na dobre ochoty do dalszej walki; Napoleon III był jednak traktatami tak skrępowany, że dla niego dalsza walka nie przedstawiała żadnej korzyści. Odmówił więc udziału w niej, co nie bardzo było po myśli Anglików; w każdym razie, nie mogli nic zarzucić Napoleonowi, bo trzymał się ściśle traktatów i wykonał wszystko, do czego się zobowiązał. Najświeższym projektem cesarza Francuzów w końcu 1858 r. było przyłączenie Holsztynu, jako dotąd „pays ingouvernable”, do Prus. Prusacy od początku zapatrywali się na powyższy projekt z nieufnością i podejrzewali, że za jedną zmianą karty europejskiej muszą pójść i inne. Już wówczas mniemano, że za Holsztyn zażąda Napoleon lewego brzegu Renu; świadomszy położenia utrzymywali wszakże, że Napoleon w zasadzie myśli i pragnie uszanować traktaty z 1814 r.; jedynie tylko traktaty z 1815 r. uważa za niesprawiedliwe i pragnie poddać je rewizji, przez co Francja odzyskała-by Sabaudyę, wynagradzając Sycylię za jej utratę Parmą i Modeną.

W końcu 1858 roku wyjechał Bernhardt do Francji, skąd powrócił dopiero w kwietniu 1859 r., to jest, w dobie nadciągającej wojny austriacko-francuskiej. Austria przeznaczala potajemnie około pół miliona guldenów na zakupienie prasy południowo-niemieckiej, w celu tak zwanego przygotowywania opinii. Opinia bowiem miała się oświadczyć, naturalnie według życzeń Austrii, za połączeniem się wojsk związkowych z austriackimi, co-by w następstwie przeniosło główny teatr wojny nad brzegi Renu. W razie powodzenia powyższego planu, Austria mogła się cieszyć nadzieją, że nawet w razie przegrania kampanii, ocali Lombardię, wynagradzając zwycięzców lewym brzegiem Renu. Missye jednak arcyksięcia Albrechta do Berlina speszły na niczem. Oświadczone mu grzecznie i sucho, że Prusy pozostawiają Austrię bez żadnej pomocy, a jeżeli związek niemiecki zdecyduje większością głosów pomoc dla Austrii, to i wówczas Prusy od niego się najzupełniej odłączą. Wtedy-to po raz pierwszy, junkier Bismarck Schönhausen, dotychczasowy zwolennik przymierza z Austrią i zwalczania rewolucyi, gdzie tylko się ona zjawi, przyszedł do przekonania, że Austrii idzie przedewszystkiem o upokorzenie Prus i że przymierze z tem mocarstwem nie jest możliwe.

Że zaś Austria myślała na seryo o wypowiedzeniu Francji wojny w imieniu związku niemieckiego i o przeniesieniu głównego teatru wojennego nad Ren, dowodzi tego fakt, że na dowództwo armią niemiecką zachowała sobie najzdolniejszego generała, Hessa, powierzając dowództwo armii we Włoszech, w ręce nieudolnego Gyulaya. Prócz tego, do armii niemieckiej miał osobiście przybyć cesarz Franciszek

Józef, jako widoma głowa związku niemieckiego, a w razie pomyslniej kampanii, przeistoczenie go w cesarza niemieckiego nie przedstawiało-by zbyt wielkich trudności.

Myśl poparcia polityki austriackiej przez Prusy podjął znowu książę Koburski, na podstawie przyznania Prusom znaczniejszych i jasno określonych korzyści. Książę Ernest wyrzekał nawet, że książę-regent pruski posiada na równi ze swym ojcem mało inicjatywy, i dla drobnostek przepuszcza najpomysłniejszą chwilę. Dla Prus była to rzeczywiście doba różnych pokus, zwłaszcza, gdy Królowa Wiktorya, dowiedziawszy się o przymierzu Francji z Rosyą, gorąco pragnęła wypowiedzieć wojnę swemu niedawnemu sprzymierzeńcowi. Książę regent pozostał jednak nieporuszonym, a wkrótce potem uskarżał się Moltke Bernhardiemu na nieudolność operacji armii austriackiej, która prawdopodobnie nie długo może czekać na klęskę.

Moltke, jako szef sztabu generalnego, musiał się zastanawiać nad przypuszczalnym udziałem armii pruskiej w wojnie przeciw Francji. Wówczas Moltke był zdania, że wtargnięcie armii prusko-niemieckiej od granicy belgijskiej do Francji i marsz pośpieszny do Paryża nie ma żadnego racjonalnego uzasadnienia. Paryża bowiem, wobec ówczesnego systemu fortyfikacji, nie można ani zdobyć szturmem, ani obledz, ani zamknąć należyście, ani ogłodzić. W podobnym położeniu trzeba sobie zakreslić tak zwany przez Clausewitza—ograniczony cel wojenny, to jest, uzyskawszy przewagę w polu, objąć w posiadanie pewne realne korzyści, a następnie pozostawić Francji troskę o odzyskanie utraconej równowagi i o odebranie zdobyczy. Przedewszystkiem więc, zdaniem Moltkego, trzeba wygrać w otwartym polu bitwę, a następnie pozostawić Paryż i wewnątrz kraju samym sobie. Są to bowiem wulkany, które niech się same wypalą, a dla Prus dostatecznym będzie oblężenie Metz i skłonienie Austrii, aby to samo uczyniła ze Strasburgiem. Gdy ten ograniczony cel zostanie osiągniętym, niech Francya kusi się o wyparcie sprzymierzonych z pozycyi; gdy się zaś jej to nie uda, pokój zapewni Prusom trwałe posiadanie zdobyczy.

Bernhardi wyraził Moltkemu odmienny pogląd na prowadzenie kampanii, a to ze względu na szczególne okoliczności, wśród jakich znajdowała się wówczas Francya. Zdaniem Bernhardiego, marsz armii nieprzyjacielskiej pod Paryż nie był pozbawiony poważnych motywów. Ukazanie się zwycięskiej armii pod murami stolicy mogło łatwo wywołać poważne w niej rozruchy i zapewnić Prusom liczne bezpośrednio i pośrednio korzyści. Bernhardi był jednak tego samego zdania, co Moltke, że przedewszystkiem trzeba odnieść walne zwycięstwo w polu; później zaś przedsięwziąć kroki energiczne, zawisło

od demoralizacji wojsk zwyciężonych. W każdym razie, należało pokusić się i o zdobycie Thionville, aby zyskać trwałą podstawę nad Mozela i tym sposobem dążyć do dwóch celów wojennych, a nie do jednego.

Moltke był również zdania, że należy bezwzględnie wypowiedzieć wojnę Francji, nie wymagając żadnych ustępstw od Austrii, gdyż w interesie Prus leżało zwyciężenie Napoleona III. Lepszego na razie mniemania w Prusach nie mogli oczekiwać Austriacy, choćby je nawet zamawiali sobie z góry. Prócz tego, zarzucił Moltke myśl wtargnięcia przez Belgię pod Paryż, a to ze względu, iż Paryż nie jest do zdobycia; zdaniem jego, należało wkroczyć do Lotaryngii i przede wszystkim zdobyć Metz.

Bernhardi zgadzał się w zasadzie na wywody Moltkego, lecz powrócił do swej pierwotnej myśli, że jednakże, w razie odniesienia walknego zwycięstwa, nie można bez krzywdy dla zwycięzcy zaniedbać poscigu nieprzyjaciela wewnątrz kraju. Gdyby, w razie wygranej, armia pruska ograniczyła się do zdobywania fortec granicznych, wówczas pozostawiła-by nieprzyjacielowi wszystkie środki do odrodzenia swej armii i do powetowania strat. Należy więc przede wszystkim ścigać zwycięzonego wroga wewnątrz kraju, aby coraz bardziej demoralizować jego armię, odcinając mu wszelkie źródła zasobów i zagarniając jak najwięcej terytoriów w swe posiadanie.

Zgodził się nareszcie Moltke na to, że, w razie odniesionego zwycięstwa, trzeba przede wszystkim ścigać nieprzyjaciela; dodał jednak, że, podług jego zdania, Napoleon III, w razie przegranej bitwy, nie schroni się do Paryża, lecz cofnie nad Loarę. Bernhardi oświadczył, że nie może podzielać tego zdania. Król francuski, pochodzący z dawnej i utrwalonej dynastji, mógł-by się niewątpliwie zdobyć na podobny manewr strategiczny, lecz Napoleon III nie może opuścić Paryża, tak samo jak i Napoleon I; w razie więc przegranej bitwy, można być pewnym, że pod Paryżem będzie z swą armią oczekiwał zwycięskiego nieprzyjaciela.

W przededniu prawie zwycięstw francuskich we Włoszech, zdecydowało się ministerjum pruskie do zmobilizowania sześciu korpusów. Jeszcze nie zdołano ani jednego z nich wysłać nad Ren, gdy już nadeszła wieść o zawarciu pokoju w Villafranca, co księciu regentowi zepsuło humor na dość długi przeciąg czasu. Rozkaz mobilizacji bowiem uważał Napoleon III za cios, wymierzony przeciw Francji, a wiedząc, że nie będzie go mógł należycie odeprzeć, wołał przerwać dzieło wyswobodzenia Włoch, a natomiast przygotować się na najazd od strony Renu. Po zawarciu pokoju z Austrią, Prusy nie były w stanie zdecydować się na walkę z Francją; pozostawiono więc rozra-

chunek z Napoleonem w zawieszeniu, a tymczasem przygotowywano się na jego zemstę, gdyż wiadano o tem dobrze, że, dzięki mobilizacyi, nietylko się uważa za skrzywdzonego przez Prusy, ale że i gardzi tym krajem dość otwarcie.

Z pewnem zdziwieniem jednak rząd pruski znajdował Napoleona III coraz bardziej uprzedzającym, a nawet ubiegającym się o przymierze z Prusami. Przedtem Napoleon III starał się wszelkimi siłami odosobnić Prusy, i istotnie w dobie od 1859—60 roku udał mu się zamiar wyśmienicie. Europa nie mogła się zdobyć na koalicję przeciw Francyi, a każde z mocarstw, pojedynczo wzięte, nie uważało za stosowne wyzywać potęgi militarnej Napoleona. Korzystając też z odosobnienia, w jakim się znajdowały Prusy, Napoleon ujawnił śmiało główny cel swej polityki, polegający na wezwaniu lewego brzegu Renu do Francyi. Nie zamierzał jednak Napoleon osiągnąć owocu swych zabiegów za pośrednictwem wojny. Miał on nadzieję, że Prusy, powasnione na dobre z Austryą i Niemcami, staną się nareszcie o tyle rozsądnymi, że przystaną dobrowolnie na odstąpienie lewego brzegu Renu w zamian za odszkodowania wewnątrz Niemiec. Nawet Bismarck-Schönhausen, Usedom i wielu innych, byli przychylni powyższej polityce, z nienawiści do Austrii i ze względu, że ich zdaniem, Prusy powinny się trzymać przymierzy z wielkimi mocarstwami europejskimi oraz szukać powiększenia swych granic w głębi Niemiec.

W celu nakłonienia księcia-regenta do powyższej polityki postanowiono doprowadzić do skutku zjazd osobisty jego z Napoleonem III. Zbliżenie się i zapoznanie osobiste miało księcia-regenta przekonać stanowczo o tem, że Napoleon III nie marzy, jak jego genialny stryj, o panowaniu nad światem, ani nawet o zbyttem rozszerzeniu granic Francyi. Tylko granicę Renu uważał cesarz Francuzów za naturalny kres dla Francyi, ale i tego bynajmniej nie pragnął nabywać kosztem krwi, lecz środkami, zupełnie pokojowymi. Bismarck wiedział jednak o tem bardzo dobrze, że księżę-regent żadnym sposobem nie da się do podobnych układów nakłonić i, dopóki mu pozostawioną będzie swoboda, na ustąpienie lewego brzegu Renu zgodzić się nie ze chce. Trzeba go więc było do powyższej polityki zmusić przez odosobnienie Prus i pozostawienie jedyne go przymierza z Francją na widoku, jako pomyslnego i korzystnego rozwiązania kwestyi. Nikt się nie obawiał tego, aby Napoleonowi III udało się olśnić frazesami księcia-regenta, jak to miało miejsce z Franciszkiem Józefem w Villafranca; ale spotkanie się osobiste księcia-regenta z cesarzem Francuzów odstręczało od Prus Anglię i Niemcy, a więc czyniło odosobnienie Prus zupełnem, czego właśnie chciała Rossya, Francya i Bismarck-Schönhausen.



Do rozpoczynającego się sporu parlamentarnego oraz do przebiegu sprawy reformy wojskowej w Prusach „Dziennik pamiętniczy” Bernhardiego zawiera dużo szczegółów pomniejszej wartości. Pokazuje się ostatecznie, że książę-regent nie był pozbawiony zmysłu poszanowania dla reprezentacji państwowej, ale z tem wszystkim zdecydowany był nieustannie odsyłać ją do domu, gdyby jej na myśl przyszło upierać się przy zasadzie dwuletniej służby wojskowej, którą książę-regent uważał za niewystarczającą, a tem samem i za rozstrajającą armię pruską.

Do odtworzenia życia umysłowego i społecznego Niemiec ówczesnej doby pamiętniki Bernhardiego przyczynią się również nie mało. Jak się pokazuje, Bernhardt żył blisko z całym prawie światem profesorskim, a szczególne stosunki życzliwości łączyły go z Häusserem, Roepellem, Syblem, Gneistem i wieloma innymi znakomitościami naukowymi. Spotykając się często z późniejszą cesarzową Augustą, oraz cesarzową Fryderykową, Bernhardt naszkicował bezpretensjonalnie a interesująco umysłowe przymioty obu tych wysoko położonych dam. Z wielu względów zatem „Dziennik pamiętniczy” Bernhardiego budzi ciekawość czytelnika i, jako drugorzędne źródło historyczne, zachowa dla przyszłego historyka XIX stulecia pewną wartość.

---

*Kraushar.* „Kartki historyczne i literackie.” Kraków. 1894. (Str. 188. Wydanie drugie, poprawione).

Na wstępie do „Kartek historycznych” spotykamy drobniejszą rozprawkę, p. t. Poselstwo Jakóba Śmiarowskiego do Bohdana Chmielnickiego pod oblężony Zamość w r. 1648, do której autor czerpał treść ze źródeł rękopiśmiennych. Wszyscy prawie dziejopisowie ówczesnej epoki, jak twierdzi autor, przyjmują za fakt niesporny, że pierwsze słowo pojednania wyrzeczonym zostało do Chmielnickiego przez Jana Kazimierza, już po dokonanej elekcji, w charakterze króla polskiego, i że spełnienie tej misyi powierzono, według jednych, dwom wysłańcom królewskim: Jakóbowi Śmiarowskiemu i Stanisławowi Ołdakowskiemu; według innych, misyi tej miał dokonać jeden tylko sekretarz królewski, Jakób Śmiarowski, którego nazwisko rozmaicie w różnych źródłach się przedstawia. Jak pod względem brzmienia nazwiska, tak i pod względem czasu spełnienia przezeń misyi poselskiej, panuje w źródłach nierozwikłany zamęt.

Autorowi udało się odszukać, w Bibliotece uniwersyteckiej i ordynatów hr. Krasieńskich, dwa manuskrypta, które, uzupełniając się wzajemnie, rzucają na dany fakt nieco jaśniejsze światło. W obu tych dokumentach Śmiarowski tytułowany jest posłem króla JMości, choć z treści ich wynika, że Kozacy, po odczytaniu listu J. Kazimierza „bacząc pieczęć królestwa szwedzkiego i podpis nie króla polskiego”, mówili, że ten poseł na zdradę do nas przyszedł. Widocznym więc jest, że w chwili, gdy Śmiarowski wyruszał pod Zamość do Chmielnickiego, rezultat elekcji, ani jeszcze znanym, ani ogłoszonym nie był. Niewątpliwy a bliski rezultat stał się powodem, że Śmiarowski wobec kozactwa przedstawił się jako poseł nowo-obranego króla, a gdy list wzbudził podejrzenia, odważnie się bronił, dowodząc, że trudno, aby zaraz po elekcji króla pieczęć była zrobioną.

Śmiarowski przed poselstwem swoim padł ofiarą rebellii kozackiej; pomimo że dawniej pozostawał w zażyłości z Chmielnickim, zrabowano doszczętnie jego chudobę, zamordowano żonę i dzieci, a jednego z synów, jedyne go z ocalonych, zaprzędano ordzie. Oto co pokrzywdzony szlachcic w sekretnej rozmowie powiada Chmielnickiemu. „Proszę, jako dawnego przyjaciela i zachowanego ze mną sąsiada, aby ten Krzywonos nie był przy audyencji mojej, bo żał mam nieutulony, gdyż mię ten zdrajca w Połonnym zdarł z ubóstwa mego i na czterdzieści tysięcy chudoby mojej pobrał, a co większa, małżonkę moją i dzieci pozabijał, syna mi ośmioletniego ordzie zaprzędał, a nie dopuszczaj mi nań patrzeć i bym tu na sztuki miał być rozsiekany, szablę moją w uim utopię.“

Wdzięcznie tę mowę Śmiarowskiego Chmielnicki przyjął i, do rady Krzywonosy nie dopuszczając, oświadczył mu na solennej audyencji, „że wiernie chce Królowi JMości, Panu Memu Miłościwemu, Rzpltej służyć i na rozkazanie JK Mości zaraz wojsku ku Ukrainie wracać.“ W godzin kilka, gdy rada kozacka dostrzegła podpis króla szwedzkiego, powstał hałas i podejrzenie, „że ten poseł do nas na zdradę przyszedł; miałem w tej radzie podsłucha mego, który, gdy mi o wszystkim dał znać, bardzom się zafrasował“; poszedł jednak szlachcic odważnie do rady i deklarował się złożyć przysięgę, że wszystko, cokolwiek przywiózł, uczynił to z woli króla. Wsparł go sam Chmielnicki, utrzymując, że ten jest zwyczaj królów i monarchów świata, nie pisania przestrzegać, które nic iuszego, tylko sam credens jest, ale mowa ustna posła każdego jest rzecz sama. Po zażegnaniu nieprzewidzianego kłopotu, Chmielnicki ufetował posła obiadem, na którym pił za zdrowie królewskie, a toastowi temu wtórowały armaty. Wkrótce potem Chmielnicki opuścił Zamość.

Okazując wielki szacunek dla Jana Kazimierza i dla jego posła, Chmielnicki zaznaczył wyraźnie, że gdyby królewicz Kazimierz królem nie był, którego on chce być sługą, a krew swą za dostojęństwo onego wylać, tedy szedł-by prosto ku Krakowowi, i wzięwszy koronę, temu-by ją dał, komu by rozumiał. Teraz poddaństwo, wyznawając we wszystkim, ucicha, a powracając do Zaporozża, na komisarzy spokojem chce czekać, a idąc do Zaporozża, żadnych zbrodni nie czynić. Jednocześnie z wyjazdem Śmiarowskiego z Łabuniek, wysłany został przez Chmielnickiego Mokrski z listem do J. Kazimierza, króla szwedzkiego, w którym wyraża gotowość służenia orężem przeciw wszystkim, którzy-by go od przyjęcia korony odstręczyć chcieli.

W grudniu 1648 r. przybył Śmiarowski z powtórnem poselstwem do Chmielnickiego i, sprawiając je, zabawił dłużej. Następnie wojewoda Kisiel mianował go stałym swoim rezydentem przy Chmielnickim w Czelrynie. Lecz Kozacy, mając Śmiarowskiego w podejrzeniu, że się tajemnymi listy znosi z wojewodą, aresztowali najprzód posła, a następnie siokierą zamordowali wraz z całą służbą poselską.

Druga kartka historyczna poświęconą została przez autora dramatowi rodzinnemu, który się rozegrał pod koniec XVIII wieku w Lubelskiem, pomiędzy rodzinami Suchodolskich i Trzińskich. Jedna z tych rodzin miała jedynaczkę, druga pretendenta o jej rękę. Z konieczności dramatycznej musiały nastąpić tajemne śluby w połączeniu z nieczką, następnie napady, zajazdy, procesy i, dzięki wdaniu się obywatelstwa miejscowego, zakończyło się wszystko zgodnem załatwieniem sporu.

Trzecie miejsce poświęcił autor Piotrowi Węzykowi Widawskiemu, satyrykowi XVI wieku, i szkic jego działalności ma stanowić mniej znaną kartkę z dziejów literatury. O utworach Widawskiego podawali historycy literatury polskiej bałamutne wiadomości, tymczasem w Bibliotece ordynacyi hr. Zamoyskich udało się autorowi odszukać przyczynkę biograficzną i literacką, opartą na treści rzadkiego egzemplarza utworu Widawskiego.

Pokazało się, że Widawski był obrany posłem na sejm lubelski w r. 1569 i że miał zajęcie z wojewodą Zborowskim, które skłoniło szlachtę do ujęcia się za nim, przeciwko gwałtowności wojewody. W roku zaś 1588 był znowu Widawski poborcą powiatu Szadkowskiego, lecz wyżej, jak się zdaje, kariery swej publicznej nie posunął.

Autor zalicza Widawskiego do pisarzy XVI wieku, pomimo, że jego „Exorbitancye” wyszły już w zaraniu XVII stulecia, t. j. w roku 1603, a to z tej zasady, że nie data wydania książki stanowi o zaliczeniu pisarza do pewnej epoki, lecz czas jego twórczości. Z przedstawionej przez autora treści satyrycznej „Exorbitancyi” Widawskiego

pokazuje się, że równać jego utworu z Satyrami Opalińskiego nie można. Przeważnie spotykamy u Widawskiego narzekania na zbytek, psujące się obyczaje i t. p., czasami wszakże trafia się i uwaga publicznej doniosłości. Tak np., narzekając na wadliwy stan sądownictwa, przewłokę w prowadzeniu spraw, pieniactwo nieopatrzne i formalistykę, widzi Widawski reformę w sowitszem obieraniu deputatów z każdego województwa, tak, aby jedne sprawy mogły być sądzonemi odrazu w Piotrkowie lub Lublinie, nie zatrzymując sprawiedliwości ludziom. Radzi także wzmocnić obronę granic od Tatarów. Bo jeśli Turkowi nie hołdujem, a czemu-byśmy jego sługom mieli? Dowodząc, że lepiej-by było, aby cudzoziemcy do nas przyjeżdżali, aniżeli żebyśmy ustawicznie do nich jeździć mieli, przytacza ciekawe przysłowie, które do Polaków wówczas stosowano: „Wrocław, co przywieziesz, to ostaw; Gdańsk, koniec państw.”

Ostatni artykuł, zatytułowany: „Sylwetki literackie z niedawnej przeszłości“, pominię, jako zabłąkane chyba do powyższego tomiku. Choć i autor w tytule naczelnym zamieścił „Kartki historyczne i literackie“, sądziłem jednak, że znajdować się w nim powinny tylko przyczynki do historii politycznej lub do historii literatury polskiej. Ostatni artykuł wszakże jest raczej przyczynkiem do historyjek, niż do historii, a i „dramat rodzinny“ zyskuje jedynie pewien pozór historyczny tym sposobem, że miał miejsce w końcu XVIII stulecia. Rzewność i prostota samego wydarzenia nie wystarcza nawet do wytworzenia dramatu, a cóż dopiero do napisania studyum historycznego; trudno przytem swarom czysto prywatnym i sentymentalnym przygodom nadawać charakter historii politycznej.

W dwóch pozostałych studjach autor obdarzył nas niewątpliwie cennemi choć drobnemi przyczynkami do historii politycznej oraz do historii literatury polskiej. Widnieje z tych dwóch kartek historycznych nieustająca pracowitość autora i jego szczere rozmiłowanie się w naszej przeszłości, które na uznanie zasługują.

A. REMBOWSKI.

---

*Dr Felix Bachfahl*, privatdocent an der Univ. Kiel. „Die Organisation der Gesamtstaatsverwaltung Schlesiens vor dem dreissigjährigen Kriege“ Leipzig, 1894. XII - 482 str. (Staats- und socialwissenschaftliche Forschungen, herausgegeben von prof. Gustav Lehmann. Band XIII. Heft I). Erstes Buch. Erstes Kapitel.

Książka w nagłówku wymieniona stanowi w pierwszej swej części jedno jeszcze, a ostatnie w chwili obecnej, ogniwo, w łańcuchu monografii i opracowań, mających na celu wyświetlić początki społeczne-

go ustroju w dawnej Polsce i jej organizacyi państwowej. Zauważywszy z biegiem studyów, że się na Szląsku przez długie czasy, aż do epok ostatnich niemal, mnóstwo i to przeważających pierwiastków słowiańskich zachowało, przystępuje autor we wstępnych rozdziałach swej pracy, z możliwem pominięciem redukcji historycznej, do skreslenia tła ogólnego urządzeń społeczno-państwowych na przestrzeni ziem słowiańskich, a przedewszystkiem tych, co się niegdyś na monarchię Piastowską złożyły, i wyznaczając tym sposobem Szląskowi rolę w owej epoce tylko równorzędną z innymi prowincjami Polski, stawia pod postacią głównego zrębu swych twierdzeń nową hipotezę pierwotnego ustroju społeczeństwa i państwa polskiego w wiekach średnich, która z jego stanowiska ma w sposób gruntowny wytłómaczyć późniejszy rozwój urządzeń wewnętrznych Szląska i uzasadnić fakt, iż się te przez długie wieki następującym potem wpływom niemieckim, z zasady swej prastarej odrębności plemiennej, na wielu punktach przeciwstawiały. Biorąc za punkt wyjścia tło ogólnosłowiańskie, dotyka autor tych przedewszystkiem objawów wewnętrznego życia historycznego, jakie się na gruncie czeskim i polskim wykazać dadzą, a postępuje tu metodą chronologiczną, przechodząc od najdawniejszych do coraz późniejszych źródeł i ich zabytków, nie traktując przedmiotu w sposób odosobniony, w czem różni się stanowczo od dawniejszej, zarówno jak i późniejszej, a znanej sobie dokładnie, literatury polskiej.

Przyjmując za fakt wiadomość z Bawarskiego Geografa, że się dzierżawy Słowian zachodnich w jego epoce na liczne okręgi, *civitates*, rozpadały, pyta, jaką była nazwa tych ostatnich u Słowian ówczesnych i dochodzi do wniosku, iż była nią *ζωπαρία* Konstantyna Porfirogenety, *župa* w brzmieniu słowiańskim, odpowiadająca w sposób przybliżony pojęciu niemieckiego *Burgu* w znaczeniu *regio*, lub *districtus*, a oznaczająca pewien okręg o charakterze socjalno-politycznym, na związku rodowym spoczywający, który się u Słowian zachodnich aż do XVI st., jako okręg podatkowo-sądowy dla pewnej liczby wiosek słowiańskich, zachował. Przypuszcza dalej autor z powodu częstego napotykania terminu *župa* (pochod. *župania*) u Słowian, że miała ona obszerniejsze jeszcze znaczenie i że rozumieć przez nią także należy ludność w županii (Supanii) zamieszkałą, w znaczeniu społeczności, gminy. U Słowian Wendyjskich stał *župan* na czele takiej županii jeszcze w wieku XVI, a uważa to autor za urządzenie prasłowiańskie, utożsamiając je z *civitates* Geografa Bawarskiego. Będąc pewnym okręgiem autonomicznym, była zarazem župania taka zjednoczeniem kilku poddziałów swoich, rozpadała się bowiem na *opola* (vicinium, Gegenote), a te znowu na wsie pojedyncze, które mieszkańcy w rodowym ugrupowaniu zaludniali. Przez te rody, będące podstawą społecznego ustro-

ju Słowian w wiekach średnich, rozumie autor wspólnoty rodzinne (Familiengenossenschaft) w znaczeniu russkiej *prarodziny* i wspólności domowej (*mír*). Patryarcha takiej rodziny był w Rosyji *choziain*, lub *bol-szak*; u innych Słowian: starosta, hospodar, kmet' (Czechy). Wieś, przez takie rodziny zamieszкана, pozbawioną była jednak stanowiska jednostki prawno-publicznej, gdyż najniższym tego rodzaju stopniem było w organizacyi ówczesnej opole, czyli związek wsi kilku. Zadanie i stanowisko opola, jako takiej jednostki prawno-publicznej, określa autor wedle teoryi Ryszarda Roepella, nie wnosząc na tym punkcie do dzieła swojego żadnych oryginalnych spostrzeżeń lub danych. Utożsamia je tylko z czeską *osadą* (osada, vicinatus) i ruską *wierw'*, która, podobnie jak opole, ze wsi, z siół (*sicło*) się składała. Wychodząc jednak po-za twierdzenie Roepella, iż opole jest tylko dalszym, organicznym rozwojem łączności rodowej, zestawia je autor wraz ze wspomnianymi, a jednoznacznie według siebie, instytucjami na Rusi i w Czechach, z niemiecką *Sippe*, łacińskim *gens*, greckim *φρήτρα* i południowo-słowiańskim *bractwo*, które w liczbie mnogiej składało się na *plemię*, lub inne, temu podobne, a analogiczne instytucye aryjskich ludów. Scharakteryzowawszy w ten sposób opole, stawia autor przypuszczenie, iż powstało ono u Słowian w znaczeniu socjalno-politycznej organizacyi państwowej, nie jako naturalne rozszerzenie i rozwój patryarchalnej łączności rodowej, lecz wskutek tego, że poprzedzający patryarchalizm, a właściwy ludom aryjskim, matryarchalny pierwiastkowo związek rodzinny, osłabł z biegiem czasu w swej istocie, skutkiem tworzenia się w jego łonie rodzin patryarchalnych; że zatem wspólność tych ostatnich, łączących się we wspomniane instytucye opolne, polegała na dawnych reminiscencyach wspólności patryarchalnej. Wszystkim tego rodzaju instytucyom, a więc i opolu, twierdzi autor, pozostały pewne, z tejże genezy wypływające, cechy i obowiązki, jak: wspólność zamieszkania, zemsta krwawa, egzogamia, wspólność w płaceniu *wehrgeld'u*, obowiązek wzajemnego wspomagania się, wzajemne prawo bliższości w kupnie (*jus propinquitatis*), a w końcu wspólna własność lasu, łąk, młynów, świątyń i ementarza,—wszystkie, jednym słowem, rysy charakteryzujące rzymski *gens*.

Podstawą tedy ogólną słowiańskiej społeczności była rodowa wspólnota; jednostka o tyle tylko wobec niej uważaną być mogła za członka wyższego społecznego szczebla, o ile należała do rodu odnośnego rodzaju. Jest to wogóle ten sam obraz, jaki autor, idąc za uczonym Syblem, widzi w pierwotnej organizacyi niemieckiej, gdyż i tu ponad rodem (*Geschlecht*), właścicielem wsi (*Dorfflur*) i częścią składową wojska (*Heerschur*), wytwarza się *Sippschaft* (*Sippe*, analog. opola), (*vicus*) z których znowu tworzą się setnictwa (*Hunderttschaft*), części skła-

dowe starogermańskiej gminy (*Gau*), nad którą stoi plemię (*Volksstamm, civitas*). Widzi przeto autor u Słowian zachodnich, w ich najdawniejszem uspołecznieniu, toż samo ugrupowanie, jakie nietylko u Aryów pierwotnych, ale już nawet po ich rozczłonkowaniu w całej istniało Europie, (*Gens, aryjska phratric, plemia, Stamm*). *Gens* odpowiada opolu i jego analogiom; *phratric*—żupanii, a jako utworzone w ten właśnie sposób słowiańskie plemiona, występują wedle autora Słężanie, Opolanie i in. w dziele Geografa Bawarskiego. Odpowiednio do przedstawionej tu genezy uspołecznienia, powstawała też i organizacja rządowa u Słowian. Prokop i Konstantyn Porphyrogeneta, w zestawieniu traktowani <sup>1)</sup>, stwierdzają fakt, że Słowianie rządzeni byli nie przez jednego męża, lecz przez licznych żupanów, będących w związku ze starym, rodowo-plemiennym ustrojem.

Żupanía, wraz ze stojącym na jej czele żupanem, była jednostką i częścią składową plemienia, oddzieloną, jak to co do Szląska, na podstawie *Liber fundationis Claustri de Heinrichow*, wykazać można, od drugiej podobnej części przesiekami leśnymi (*preseca*). Autor przypuszcza za Kraussem („*Recht und Sitte der Südslaven*”), że w siedzibie żupana, punkcie głównym Żupanii, powstawał już w najdawniejszych czasach *gród* (Hrad, Burg), t. j. miejsce obronne społeczności gminnej, zaludniającej Żupanię. Co do atrybucyi żupana, to te określić się nie dadzą; był on jednak zapewne przedstawicielem najwyższej idei patryarchalnej względem ludności, jemu podległej, a więc odpowiadał przynajmniej co do rozmiarów władzy, nie co do jej przejawów, germańskiemu *princeps*. Była tedy Słowiańszczyzna raczej związkiem licznych państewek, niż państwem jednolitem, w chwili, gdy w szacie odrębności na arenę dziejową wystąpiła. Dopiero pod wpływem wyższego poczucia wspólności plemiennej, a nadewszystko potrzeby obrony od dalszych, obcoplemiennych sąsiadów, i wynikającego stąd skupienia, wytwarza się idea centralizacyi, wcielona w sposób konsekwentny i ściśle na pomienionej podstawie rozwoju socyalno-politycznego oparty, w wyższą, a następnie najwyższą nad żupanami władzę, jaką naprzód chwilowo Samon, frankoński kupiec, na zachodzie, potem Swiatopług, a w końcu już na stałe posiadał Mieszko i Chrobry. Ten nowopowstały książę (*knez*) jest najwyższym i wszechpotężnym, na podstawie logicznej genezy swej władzy, władcą państwa i poddanych swoich (starosta i *choziain* całego kraju), którzy wobec niego są niczem. Jest to zjawisko współczesne z przyjęciem chrześcijaństwa i wejściem tak zorga-

<sup>1)</sup> Prokop. De bello gothico, III, 14. Const. Porph. Vol. III. De administrando Imperio. Bekker. Corpus SS. hist. Byzant. T. 2. έκστρε βδρϋ...

nizowanej Słowiańszczyzny w bliższe stosunki z Zachodem, który też niebawem powyższy stan rzeczy z wolną wpływem swoim modyfikować poczyna. W tem nowem państwie wyróżnia przedewszystkiem autor, już na gruncie ściśle historycznym, mianowicie kroniki Galla, dwie klasy społeczne: *militēs nobiles* (szlachta) i *militēs gregarij* (włodyki), co i na Szląsk na podstawie źródeł XII i XIII wieku rozciąga, zajmując się dalej pochodzeniem klas pomienionych z odrzuceniem teorii najazdu i heraldycznych wywodów prof. Piekosińskiego, któremu zarzuca, iż badań nad charakterem i zakresem władzy najdawniejszych książąt autochtonicznych nie podjął. Autor widzi w żupanach przodków szlachty późniejszej, a przypuszczając, że podczas walk wewnętrznych, spowodowanych wytwarzaniem się władzy książęcej w Słowiańszczyźnie zachodniej, a więc i w Polsce, wiele rodów żupańskich musiało wyginać, nadmienia, że jednak pewna ich liczba, pogodziwszy się z losem, zyskała sobie w ten sposób u księcia stanowisko klasy najwyższej poddanego mu społeczeństwa. Idąc za teorią Dudika („Mährens allgemeine Geschichte”), twierdzi, że w Czechach i na Morawach da się całkowicie stwierdzić ten fakt, iż stan panów (*páni*) powstał z rodów żupańskich, co znowu dla Słowiańszczyzny nadelbiańskiej wykazuje prof. Knothe („Die verschiedenen Klassen der Slavischen Höriger”), dowodząc, że klasa ta na podstawie pierwiastku urodzenia w kastę się zamieniła z czasem. Stosunki te prastare w samem jeszcze niemal zaraniu przyoblekły się na Zachodzie Słowiańskim w moc prawną, pod obcą pressją; w Polsce weszły na tory dalszego samoistnego rozwoju, nim umysłowy poziom epoki pozwolił na wytworzenie się trwalszych źródeł historycznych. Jednakowoż był i tu żupan w pierwotnem swem znaczeniu protoplastą rycerstwa wraz ze swym obowiązkiem służby wojennej, odprawianej konno, co dla Słowiańszczyzny wendyjskiej wykazuje prof. Knothe (l. c). Właściwością tak powstałej szlachty rycerskiej była, wyróżniająca ją od innych warstw społecznych, własność ziemska, która jednak nie była czysto prywatną, lecz raczej rodową, polegającą na rodowej wspólności, na którą prawo spadkowe i prawo bliższości wskazuje. Richthofen: „Ueber die singulären Erbrechte an schlesischen Rittergütern”). Nadto cechą zewnętrzną szlachty, wyróżniającą ją od warstw innych, były godła (herby) i zawołania. Pytania, jak wielką być mogła liczba szlachty za pierwszych Piastów, autor nie rozstrzyga, odrzucając jednak rachunek prawdopodobieństwa z teorii prof. Piekosińskiego. Czy prócz wolności od podatków, cisnących wyłącznie ludność rolną, posiadała jeszcze szlachta inne jakie prawno-publiczne uprzywilejowania, wątpi autor, przypuszczając, że, wobec rozległej władzy księcia, trudno nawet mówić w czasach najdawniejszych (XI st.) o osobistej wolności szlachty. Drugą



z kolei klasą społeczeństwa ówczesnego byli *militēs mediī* (*mediocres*), stanowiący część zwiększającą książęcą drużynę, jej część liczebnie główną, znajdującą się pod dowództwem szlachty, idącej na czele wojska, z którą kneź wewnątrz naprzód, a potem coraz szersze czynił podboje. Zgadza się na tym punkcie autor z prof. Piekosińskim, wyprawdzając jednak włódyków tych od najprzedniejszej po żupanach w dawnym społeczeństwie słowiańskim klasy witeziów, co do których społecznego charakteru i atrybucyi opiera się całkowicie na wywodach prof. Knothego (l. c.), utożsamiając wendyjskich jego witeziów z polskimi włódykami. Co do najniższej klasy Gallusowych *rustici*, *laboriosi*, to, streszczając wyniki badań profesorów Piekosińskiego i Wojciechowskiego (Chrobacza), przyjmuje je autor w całości, dzieląc ludność wiejską Polski Piastowskiej na dwie główne kategorie: wieśniaków opolowych (*Opolebauern*) i naroczników (*Burgdienstboten*), którym dziesiętnicy i setnicy przewodzą. Do kategorii pierwszej zalicza napotykanych w źródłach *rustici*, *adscripti*, *adscripticii*, *possessores*, *haeredes*, *haeredes censuarii* i późniejszych *kmethones* (kniecie), którzy wszyscy, pierwotnie żupanowi podlegając, mieli tylko łazęgowskie posiadłości (*lassitscher Besitz*), a później jarzmu władzy książęcej uległszy, stali się do danin i prestacyi, przez prawo polskie (*jus polonicum*) określonych, obowiązani. Ludzi tych, których, pomimo że właściwymi niewolnikami nie byli, mógł książę sprzedawać lub darowywać, zestawia autor z najniższą klasą Słowian Wendyjskich Knothego, t. zw. *smerdami*. Stanowisko naroczników, do których wszelkie kategorie szlaskich służebników grodowych, jak stelmachów, łagiewników, cieśli, szewców, piekarzy i t. p. rzemieślników, przez Stenzla badanych, słusznie zabiera, określa autor, ściśle się wyników badań prof. Piekosińskiego trzymając, lecz utożsamiając najwyższego ich zwierzchnika, t. zw. *pstresto*, z kasztelanem. Byli to, wedle autora, zorganizowani niewolnicy, pod którymi, jako najniższa klasa ówczesnego społeczeństwa, stali jeszcze właściwi jeńcy, książęcy i prywatni, z łupów wojennych pochodzący. Wszystkie te najniższe kategorie klas społecznych zrównały się potem zwolna w wieku VIII pod wpływem kolonizacyi niemieckiej, kiedy też dawny żupan w kasztelana właściwego się zamienił.

Dalsze urządzenie dworu i centralnego zarządu Piastowskiej monarchii oparło się na wzorach niemieckich. Pfalzugrafiowi odpowiada wojewoda; Truchsess (*dapifer*), to stolnik; der Schenk (*vincerna*), cześnik; Marschall, marszałek (*marsalcus*); Kämmerer (komornik). Co zaś administracyę polską owych czasów cechuje, to to, że wydziały finansów, wojska i sądów, były, podobnie jak frankońskie, połączone.

Autor przechodzi dalej do specjalnego już przedmiotu swej pracy, my zaś, ograniczając się do krótkiego zestawienia tych wyników jego badań, które szczególniejszy interes dla polskiego czytelnika mieć mogą, nadmienimy, że, aczkolwiek pewna powierzchowność i ogólnikowość w traktowaniu przedmiotu na poważny zarzut dla pracy powyższej się składają, a kompilacyjny sposób opracowania epok, już ściślej historycznych, pozbawiony, ze względu na Polskę, głębszego wniknięcia w źródła i naturę główniejszych ich zabytków, wiele wartości przedstawionej przez nas części wspomnianego dzieła ujmuje, sama jednak, względnie dokładna, znajomość literatury naszej, obcej dla autora językiem, a nadewszystko oryginalność samego punktu wyjścia i bystrość w wielu rozwijających się zeń spostrzeżeniach, zasługują w zupełności na szczerze uznanie i prawdziwie naukową ocenę zagadnień, przez autora poruszonych, możliwą oczywiście tylko w przyszłych, a obszerniejszych i specjalnych, pracach historyków naszych, na odpowiednej niwie pracujących.

J. K. KOCHANOWSKI.

---

„Sprawozdania z piśmiennictwa polskiego w dziedzinie nauk fizyczno-matematycznych.” Rok 1892.

Jest to odbitka z tomu V „Prac fizyczno-matematycznych”, wydawanych przez pp. S. Dicksteina, W. Gosiewskiego, oraz Edw. i Wł. Natansonów. Każdy tom rocznika zawiera dokładne sprawozdania ze wszystkich dzieł, rozpraw, a nawet artykułów ważniejszych, zamieszczonych w różnych czasopismach, z całego zakresu nauk fizyczno-matematycznych. Sprawozdania za rok 1892 obejmują 69 prac, z których na matematykę przypada 21, na mechanikę 3, na astronomię, fizykę i chemię teoretyczną 32, na historię wiedzy 10; a wreszcie 3 prace zapisano pod tytułem „Varia.” Zaledwie dodawać potrzeba, że „sprawozdania” te są niezbędne dla każdego, co się naukami ścisłymi zajmuje, a wydawcom „Prac fizyczno-matematycznych” należy się istotne uznanie za staranny zbiór mozolnych często referatów. Byłoby rzeczą pożądaną, by według tego wzoru ogłaszane były sprawozdania i z innych działów wiedzy, dawały-by bowiem dokładny obraz umysłowego u nas ruchu.

---

„Dzieła i rozprawy matematyczno-fizyczne,” wydawane przez A. Czajewicza, z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym, imienia Józefa Mianowskiego. I. *Arytmetyka*, wykład szczegółowy, napisał Maryan A. Baraniecki, profesor uniwersytetu krakowskiego. Wydanie drugie, znacznie zmienione. Warszawa, 1894, (str. LXIV i 408). *Geometria elementarna*. Napisał J. Badowski. Warszawa, 1894, (str. LVIII i 338).

Tytuł zbiorowy „Dzieła i rozprawy matematyczne,” oraz numera I i II na książkach zamieszczone mogły-by nasuwać domysł, że mamy do czynienia z nowem zgoła wydawnictwem; jest to wszakże jedynie ciąg dalszy znanej dobrze „Biblioteki fizyczno-matematycznej”, której pomysłem i przeprowadzeniem piśmiennictwu naszemu naukowemu przysłużył się p. Baraniecki. Gdy zaś opuścił on Warszawę, by zająć katedrę matematyki na wszechnicy Jagiellońskiej, zmudny kierunek tak rozległego wydawnictwa przeszedł w ręce p. Czajewicza, który obecnie, dla pewnych względów ubocznych, dawny tytuł zbiorowy—nowym zastąpił, co wszakże tylko zakres zamierzonego zbioru książek rozszerza, lecz charakteru jego bynajmniej nie zmienia.

Podręczniki naukowe, do wykładów zwłaszcza elementarnych, są na pozór rzeczą zbyt powszednią, by uwagę ogółu zwracać mogły; u nas wszakże niezbędne te książki ukazują się obecnie tak rzadko, że żadnej z nich obojętnie pomijać nie można. Jest to też sąd częsty, ale bardzo błędny, że napisanie dobrego podręcznika jest rzeczą łatwą i że daje się on wprost ulepić z dwu lub trzech podręczników niemieckich albo francuskich. Dobre wszakże podręczniki nie nadržają się zbyt często i w bogatych nawet piśmiennictwach naukowych, sam bowiem rozwój nauki sprowadza nadmierną obfitość materiału, który trudno wtłoczyć w ramy niewielkiej książki, a co większa, nasuwa i pewne wątpliwości, których wszakże w wykładzie początkowym unikać trzeba. Ponieważ nadto wykład mieć musi na uwadze i umysł uczniów czy też czytelników, dla których jest przeznaczony, winien być należycie zrozumiałym i dostępnym i z tego względu jest raczej sztuką, aniżeli umiejętnością, a jako sztuka, wymaga dostatecznej wprawy. Dlatego też podręcznik napisany być może jedynie przez nauczyciela, który wykład danego przedmiotu przez lat kilka przynajmniej prowadził. Warunkom, od autorów wymaganym, książki, które mamy przed sobą, dobrze odpowiadają, napisane bowiem zostały przez wytrawnych i z nauką współczesną należycie obeznanych nauczycieli.

*Arytmetyka* profesora Baranieckiego w drugim już zresztą ukazuje się wydaniu, a szybkie rozprzedanie wydania pierwszego może służyć za dowód wartości książki. Zmiany, jakie autor w wydaniu nowem wprowadził, dotyczą okoliczności podrzędnych jedynie, charakter ogólny książki, polegający na ścisłości rozumowania i na dokładności

w wypowiedzeniu zasad dowiedzionych, pozostał niezmienionym. Gdy wszakże mowa o tych cechach książki, które zaletę jej stanowią, niepodobna uwolnić jej od zarzutu, że w zabiegliwości swej o dokładność wysłowienia autor przekroczył granice możliwe. Zarzut ten usprawiedliwi dostatecznie zapewne ustęp, obejmujący objaśnienie reguły łańcuchowej (str. 339).

„W zadaniach takich mamy znaleźć wartość pewnej wielkości, odpowiadającą danej wartości drugiej wielkości, gdy drugie dane wartości tychże wielkości nie przedstawiają pary odpowiadających sobie wartości, lecz są dwiema oddzielnymi ich wartościami, odpowiadającymi dwu danym wartościom innej wielkości, lub też dwu danym wartościom oddzielnym dwu różnych wielkości; w tym ostatnim razie mamy jeszcze dane, albo parę odpowiadających sobie wartości tych dwu ostatnich wielkości, albo też dwie ich oddzielne wartości, odpowiadające dwu danym wartościom pewnej innej jeszcze wielkości, lub też dwu danym wartościom oddzielnym dwu innych jeszcze wielkości; w tym ostatnim razie i t. d.; ostatecznie zaś, albo dane dwie wartości pewnych dwu wielkości sobie odpowiadają (jak w ostatnim zadaniu), albo też odpowiadają dwu danym wartościom pewnej tej samej wielkości (jak w zadaniu przedostatnim).”

Samo przepisanie tego okresu zamęt w umyśle sprowadza; cóż dopiero, jeżeli nauczyciel zażąda, by go uczeń z pamięci wyrecytował. Przyznaję chętnie, że jest to ustęp, najbardziej w książce rażący, ale w mniejszym stopniu podobną przesadę w ścisłości wysłowienia napotykaemy na wielu kartach książki. Czuje to zresztą i autor sam, gdy zarówno w przedmowie, jak i w przypisku na str. 341, użala się, że „przykry jest w języku polskim zbieg zakończeń wyrazów: wielkość, wartość, ilość... długość, szerokość, wysokość, grubość. Takiego, przykrego zbiegu niema w innych językach... Dlatego trzeba rezygnować z troski o staranność pod względem fonetycznym przy budowie zdań, mając na widoku rzecz główną, t. j. dokładność w oddawaniu myśli; lepsze to dla rzeczy samej, niż powierzchowne i nieścisłe określenia i wyjaśnienia, choćby najdźwięczniej wypowiedziane.” Ubolewania te wszakże żadną miarą współczucia w nas wzbudzić nie mogą, książki bowiem matematyczne polskie umiały z konieczną ścisłością łączyć i wytworność wyrażenia. Choć-byśmy zresztą przytoczony tu ustęp przełożyli na język niemiecki i francuski i zamiast „wielkości i wartości”, mieli wyrazy: „*grandeur* i *valeur*”, albo „*Grösse* i *Werth*”, pozostał-by on niemniej dziwnym, wadliwość jego bowiem bynajmniej nie na przykrym zbiegu końcówek polega, ale wypływa ztąd, że w przesadnym usiłowaniu o dokładność wysłowienia traci on zupełnie jasność i przejrzystość.

Zakres arytmetyki różni pisarze niejednakowo rozumieją, — książka p. Baranieckiego obejmuje wykład arytmetyki w znaczeniu czysto szkolnem, jako naukę o czterech działaniach na liczbach całkowitych, wielorakich, ułamkowych i dziesiętnych, a dalej o proporcjach i regułach. Nie znajdujemy więc tu już nauki o podnoszeniu do potęg i wyciąganiu pierwiastków, w systematyce bowiem szkolnej rzecz ta zwykle się do algebry zalicza. Zgodnie też z zamierzonym przez siebie planem główny nacisk kładzie autor na dokładne wyjaśnienie zasadniczych działań arytmetycznych, nauce o proporcjach i regułach poświęca tylko 80 ostatnich stron. Pod względem ścisłości — rozumowania są bez zarzutu, grzeszą wszakże pewną rozwlekłością, a liczne odsyłacze czytanie książki utrudniają. Wyrażenie „ułamek liczby” wydaje się sprawozdawcy terminem zbyt technicznym, a nawet niejasnym; gdy idzie o trzy czwarte dwudziestu, oznacza to poprostu część danej liczby. Niemożliwość stosunku dwu liczb niejednorodnych, jak 50 łokci do 3 sekund, uzasadnia autor tem, że takich dwu liczb dzielić przez siebie nie można; niemożliwość ta wypływa wszakże stąd, że takich liczb wcale porównywać między sobą nie można, — jest logiczną raczej, aniżeli arytmetyczną.

Uważając słusznie, że w kursie arytmetyki, służącym do wykształcenia ogólnego, idzie głównie o obudzenie zamilowania do systematycznego i gruntownego myślenia, zbyt mało zwraca autor uwagi na ułatwienia rachunkowe, które się snadnie nastroczą; tak np.: nauczyciel winien niewątpliwie uczniowi powiedzieć, że przy dzieleniu przez liczbę jednocyfrową iloraz daje się wypisać wprost, bez notowania długiego często szeregu iloczynów i reszt częściowych. Wprawiając się przy nauce arytmetyki do myślenia ścisłego, może przecież nabrać przytem uczeń i wprawy do rachunku, tak niezbędnej w wielu zawodach życia praktycznego. Działania natomiast skrócone, czyli przybliżone, wyłożone są w książce szczegółowo, a w wydaniu drugim przytoczył nawet autor wzięty z „arytmetyki handlowej” ułatwiony sposób rozwiązywania zadań reguły złożonej za pomocą łańcucha. Nie możemy pominąć wzmianki, że rzecz o miarach obrobiona jest starannie, gdzie też znajdujemy obszernie wiadomości o miarach, używanych w Polsce w różnych epokach.

Streszczając wreszcie uwagi powyższe o książce prof. Baranieckiego, powiemy, że zaletą jej jest dbałość o ścisłość i dokładność rozumowania i wysłowienia, wadą wszakże jest zbyt duża rozwlekłość jednego i drugiego.

*Geometria* napisana jest przez autora, widocznie w niej zamiłowanego i z rozległą literaturą tego przedmiotu wybornie obznajomionego. Duch nowoczesnej krytyki naukowej przedarł się i do starej geometrii greckiej, wykazał możność uogólnienia jej poglądów, potrzebę ściślejszego utwierdzenia jej pojęć zasadniczych i udoskonalenia samego sposobu jej nauczania. Wymagania te utrudniły znacznie napisanie podręcznika geomeryi, a w obfitym ich zbiorze każdy obok właściwych sobie zalet nie jest od pewnych niedostatków wolnym. P. Badowski obrał za wzór słynny podręcznik włoski Faifofera, który w ciągu lat kilku znaczny zyskał rozgłos.

Książka składa się z 14 rozdziałów, z których pierwszy obejmuje pojęcia zasadnicze, dziesięć następnych poświęconych jest planimetrii, a trzy ostatnie stereometrii. Planimetria rozpoczyna się wykładem zasadniczych własności trójkąta, poczem następuje rzecz o liniach równoległych, które autor określa, jako „proste, leżące na jednej płaszczyźnie i niemające żadnego punktu wspólnego.” Rozdział czwarty mówi o wielokątach, piąty zaś o kole, o kątach w kole, o wielokątach wpisanych i opisanych. Rozdział szósty obejmuje rzecz o wielokątach równoważnych, które określano dawniej, jako wielokąty, mające jednakową powierzchnię przy różnej postaci; w duchu pojęć nowych, uzasadnionych przez Duhamela, nazywa autor wielokąty równoważnymi, „jeżeli można je podzielić na jednakową liczbę części odpowiednio równych”, to jest, nawzajem do siebie przystających. Różnica dwu tych określeń, jak widzimy, na tem polega, że pierwsze ma charakter bardziej rachunkowy, drugie zaś jest ściśle geometryczne. W rozdziale siódmym znajdujemy starannie i ściśle wyłożoną naukę o proporcjach, oraz oparte na tych zasadach mierzenie kątów i powierzchni wielokątów; w podręcznikach dawniejszych geometrii nauka o proporcjach była zwykle pomijana, jako znana uczniom z arytmetyki, chociaż tam, traktowana zwykle na liczbach, nie zawsze jest należycie uzasadniona. Z rozdziałem tym wiąże się bezpośrednio następny, który traktuje o odcinkach proporcjonalnych, czyli, jak dawniej mówiono, po prostu o liniach proporcjonalnych. Tu z własności linii proporcjonalnych w trójkącie prostokątnym wypływa twierdzenie Pytagorasa: „W trójkącie prostokątnym kwadrat wartości liczebnej przeciwprostokątnej względem pewnej jednostki równa się sumie kwadratów wartości liczebnych przyprostokątnych względem tej samej jednostki.” Przytaczamy tu wysłowienie autora, by wskazać drobiazgową ścisłość, z jaką się wyraża, a zarazem, by wyjaśnić, dlaczego na dokładne wyjaśnienie zasady proporcjonalności kładzie on nacisk tak silny. Po takim dopiero dowiedzeniu i wypowiedzeniu twierdzenia powyższego następuje wypływające stąd zwykle sformułowanie tego twier-

dzenia, że kwadrat przeciwprostokątnej jest równoważny sumie kwadratów przyprostokątnych, oraz Euklidesowy jego dowód, „niezależny od pojęcia o mierzeniu.” Trzy dalsze rozdziały mówią o podobieństwie wielokątów, o podziale okręgu na części równe i o wielokątach foremnych, wreszcie o mierzeniu okręgu i powierzchni koła, a planimetria kończy się sposobem rektyfikacji okręgu koła, podanym przez Kochańskiego w r. 1685. Stereometria ujęta jest w trzy tylko rozdziały: o położeniu wzajemnem prostych i płaszczyzn, o wielościanach i o powierzchniach i ciałach obrotowych.

Nacisk główny kładzie autor na ścisłość określeń i na ugruntowanie pojęć zasadniczych. Gdzie określenie nastęrczać może wątpliwość, autor unika go zupełnie; tak np., nie określa wcale linii prostej, ani płaszczyzny, podając, jako „pewniki”, że istnieją linie, zwane prostymi, i powierzchnie, zwane płaszczyznami, posiadające pewne, wymienione dalej własności. Kąta również nie określa autor i mówi tylko: Dwa promienie  $OA$ ,  $OB$ , leżące na danej płaszczyźnie i wychodzące z jednego i tegoż samego punktu  $O$ , dzielą tę płaszczyznę na dwie części; przyjmąwszy pod uwagę jedną tylko z tych części, mówimy, że promienie  $OA$ ,  $OB$ , tworzą kąt.” Opowiadanie takie nie wydaje się wszakże dosyć jasnym, uczeń pojmować ztąd może kąt, jako pewną, oznaczoną część płaszczyzny, a pojęcia tego nie rozjaśni i dalsza uwaga, że „można uważać kąt, którego ramiona są  $OA$ ,  $OB$ , jako utworzony wskutek tego, że promień ruchomy, obracając się na płaszczyźnie około wierzchołka  $O$ , przeszedł z położenia  $OA$  w położenie  $OB$ , lub też w przeciwnym kierunku.” Zapewne linia prosta może się jeszcze bez określenia obejść, trudno wszakże przystać na pomijanie określenia kąta, chociaż autor we wstępie historycznym zarzuca podręcznikom dawnym, że określają kąt, jako wielkość zboczenia w kierunkach dwu prostych z jednego punktu wychodzących, czyli innemi słowy, wielkość nachylenia dwu prostych. Prawda, że określenie to pozostawia pewne trudności, a kąt jest właśnie tem mniejszy, im nachylenie jednej linii prostej względem drugiej jest większe. Tej ostatniej wszakże niezgodności uniknąć można przez użycie wyrazu „odchylenie” zamiast nachylenie, a określenie to, choć niedostateczne, łatwiej da uczniowi pojęcie o kącie, aniżeli zupełne unikanie określenia.

Trudności takie, jak nadmieniliśmy już na początku, są nieodłączne od rozwoju nauki, ale i nauczanie ma swoje wymagania, dla umysłów bowiem młodocianych subtelności podobne są niedostępne i sam początek nauki im utrudniają. Nie mają to być zresztą zgola zarzuty przeciw książce p. Badowskiego; jest to niewątpliwie podręcznik, bardzo pożądany dla nauczycieli, a niemniej pożyteczny dla ucz-

niów starszych, którzy pragnęli-by zdobyć gruntowniejszą znajomość geometryi; dla uczniów wszakże klas niższych, gdzie się nauka geometryi rozpoczyna, książka wydaje się zbyt trudną.

Znaczną nadto wartość nadaje książce bardzo obfity i staranny zbiór ćwiczeń, obejmujących pytania, zagadnienia i twierdzenia do dowiedzenia, a gęsto w całej książce rozrzuconych. Są one należycie ustosunkowane, a przy trudniejszych podane są wskazówki, ułatwiające ich rozwiązanie. Pożyteczny będzie też dla nauczyciela ustęp metodologiczny o analizie i syntezie geometrycznej (str. 103).

Zaletę książki stanowi i język, utrzymany na wzorach dawniejszych książek matematycznych polskich, a wyrazów, świeżo kutych, nie napotykamy w niej zgoła. Jedną wszakże nastrocza się uwaga z powodu przyjętych przez autora terminów „promień” i „odcinek”, z których pierwszy oznacza każdą z dwu części, na jakie linia prosta przez dany na niej punkt jest podzielona, drugi zaś część linii prostej, przez dwa punkty ograniczonej.

Na wyróżnianie tych pojęć uwagi dawniej nie zwracano, a na ich oznaczenie wyrazy są niewątpliwie potrzebne, ale terminy, przez autora przyjęte, mają już w języku polskim dawno ustalone znaczenie odmienne, jako promień koła i odcinek koła. W języku niemieckim wspomniane części linii prostej nazywają się „Strahl” i „Strecke”, gdy nazwy promienia okręgu i odcinka koła są zupełnie różne—„Halbmesser” i „Segment.” Oznaczanie dwu różnych pojęć jednym i tymże samym wyrazem jest kardynalnym błędem terminologii naukowej, który na nieszczęście zbyt często nastrocza się w naszym słownictwie naukowym. Autor wprowadzając w całej książce o odcinku koła nie wspomina, ale tem jeszcze nie ruguje z języka dawno ustalonego znaczenia wyrazu „odcinek.”

Na niewiele zresztą już tylko pozwolimy sobie tu uwag językowych.

Wysłowienie twierdzenia „kąć środkowy ma też samą miarę, co kąć zawarty między jego ramionami”, nie wydaje się należytem, miara bowiem oznacza właściwie toż samo, co jednostka, która jest przecież inna dla kątów i łuków; jeżeli więc autor chciał streścić tylko wyżej przez siebie podane, a nieco przydługie wysłowienie tego twierdzenia, winien to być inaczej wypowiedzieć.

Przekład szóstego postulatatu Euklidesa (str. XII) „Dwie proste nie zawierają przestrzeni”, jest niejasny, idzie tu bowiem o to, że nie zamykają, czyli nie ograniczają przestrzeni.

Może-by lepiej było używać w geometryi wyrazu „bryła”, pozostawiając „ciało” fizyce; „ciało geometryczne” przyjęliśmy pod wpływem języków obcych, skoro wszakże mamy dwa wyrazy, należy ich



użyć dla nazwania dwu różnych pojęć bryły geometrycznej i ciała fizycznego.

Pan Badowski, podobnie zresztą, jak i pan Baraniecki, używa stale słowa „wyliczać”, w znaczeniu „obliczać.” Nie umiem wprowadzić rozstrzygnięć, czy to drugie słowo jest właściwsze, ale „wyliczanie” prowadzi do dwuznaczności, oznacza bowiem także po prostu i wymienianie; tak np. dwuznacznem być może zdanie „Heron wylicza powierzchnie figur płaskich.”

Przy wysłownieniu twierdzeń takich, jak np. „Kwadrat z boku przeciwległego kątowni rozwartemu równa się sumie kwadratów dwu boków pozostałych więcej podwójny iloczyn i t. d.”, może-by lepiej było mówić „więcej podwójnym ich iloczynem”, albo też „sumie zwiększonej podwójnym iloczynem.”

Nadmienić też wypada, że podobnie jest w „Bibliotece fizyczno-matematycznej”, tak i w obecnem wydawnictwie, napotykamy nigdzie bodaj nieużywaną, a nieprzyjemnie rażącą pisownię „liniami prostymi.”

Dodamy wreszcie, że zwyczajem, przyjętym w tej „Bibliotece,” zarówno arytmetyka p. Baranieckiego, jak i geometrya p. Badowskiego poprzedzone są dosyć obszernymi wstępami historycznymi, dającymi obraz rozwoju jednej i drugiej z tych nauk. Dla ucznia, z całością nauki nieobeznanego, dzieje jej nie są zapewne dostępne, mogą być wszakże bardzo pożądane dla nauczyciela, który wiadomościami historycznymi ożywiać zechce i uzupełniać wykład nauki. W jednej i drugiej książce starannie są nadto przedstawione dzieje tych nauk w Polsce, wraz z dokładną bibliografią książek polskich z zakresu arytmetyki i geometrii elementarnej.

S. K.

---

„Do jutra.” Powieść współczesna Maryana Gawalewicza. Nakład Gobethnera i Wolffa. Warszawa. 1895 r.

Powieści Gawalewicza, to, rzecz można, szczyble drabiny, po których, raz na nią wstąpiwszy, autor pewnym krokiem pnie się wyżej. Uwagi tej nie czynię w tonie krytyka-pedagoga, który z wyżyn stanowiska swego oceniał-by *łaskawie* postępy, czynione przez pisarza-ucznia, *łaskawiej* jeszcze zachęcając go do dalszej pracy; obfita i niemłoda już działalność Gawalewicza na polu literackiem sama przez się uniemożliwiła-by mi użycie onego tonu. Ów postępek widzę zwłaszcza

w najnowszej jego powieści, która mi się najlepszą w porównaniu z poprzedniczkami swemi wydaje, dobrą zaś, bardzo dobrą, w oderwaniu od nich.

Nosi tytuł „Od jutra”, a komentarz: „współczesna, z papierów familijnych spisana.” Utwór to nawskroś symboliczny, na czem wprawdzie ucierpiało nieco założenie akcji, z punktu widzenia rzeczy powszedniego uderzającej niecodzienną wyjątkowością, co jednak doprowadziło autora do świetnego pomysłem zakończenia. Nie dotykając tu symbolizmu samego, co to niejedną, mówiąc nawiasem, dobrą w założeniu książkę „naciągnął” i na bezdroża wywiódł, zwracam się wprost ku powieści, której się, na chlubę jej, szczęśliwie niebezpieczeństwa tego uniknąć udało.

Fabula jej w całokształcie nie wymyślna, na pierwszy rzut oka powszednia nawet, tem cenniejsze subtelne jej epizody i szczegóły, tak udatnie z szarego tła przewodnią myśl wysnuwające, zgoła nie szarą.

Pani Władysława Słowińska, właścicielka Dziadowej, która jej po matce w posagu przypadła, owdowiawszy młodo, znużona pretensjami rodziny, roszezonemi niesprawiedliwie do majątku jej, sprzedaje go symulacyjnie bliżkiemu sąsiadowi, Chocholewiczowi, i wyjeżdża z synem jedynakiem, Mieczysławem, w celu kształcenia go, za granicę. Używa lat kilka. Chocholewicza uważano powszechnie za rzeczywistego właściciela Dziadowej, gdy oto po nagłej jego śmierci majątek ten ponownie objęła Słowińska i, ku zdziwieniu okolicy, jęła w nim gospodarować, „jak gdyby nigdy nie jej z niego nie rugowało”, zajmując się przytem przez czas jakiś wychowaniem pozostałych po Chocholewiczu dwóch synów jego, Mikołaja i Pawła. I znowu minęło lat sporo. Po śmierci Słowińskiej, objął Dziadowę Mieczysław, ożenił się i dorosłych dochował się już dzieci, gdy oto Chocholewicze wystąpili z pretensjami do majątku, i przy pomocy niesumiennych kruczków wyprocesowali go dla siebie. Trzeba się tedy było poddać pozorami sprawiedliwości osłoniętej krzywdzie, i na starość z liczną rodziną, złożoną z żony, dwóch synów, Władysława i Kazimierza, dwóch córek, Maryi i Wandy, i dalekiej kuzynki, wychowawcy, kochanej, jak dziecko rodzone, Romany, osiąść na bruku, pod zarzutem, na dobitkę, że się tyle lat nieprawie cudzem dobrem żyło.

Takiem jest przygotowanie do powieści, z której początkiem spotykamy Słowińskich, już osiadłych w Warszawie, wydających resztki zasobów pieniężnych na prowadzoną w ostatniej instancyi sprawę, a bliżkich, wobec wątpliwej bardzo wygranej, ostatecznej nędzy. W pierwszej zaraz, subtelnej pomysłem, scenie, przedstawia autor bohatera powieści, pana Mieczysława, rozdającego po niedzielnej nabożeństwie u Św. Krzyża miedziane trojaki dziadom, wzamian za modli-

twę „do Przemienienia Pańskiego...” i zarysowawszy ją tak z miejsca wyraźnie, doprowadza następnie figurę tę do przepięknego typu, symbolu, szlachcica, naprzekór najcięższym dopustom losu, pełnego wiary w sprawiedliwość Bożą na ziemi i ufności w jutro. Wyzuty z mienia, od lat paru rzucony na bruk miejski, nie traci nadziei odzyskania fałszem wydartej mu Dziadowej, z pogodą nawet względną ducha, wobec aż nadto zrozumiałego pesymizmu swoich, po każdym nowym dniu spędzonym na tułactwie, odsyła nie wierzących „do jutra”, które niechybnie zbawienie ma przynieść ze sobą.

I wpływają one „jutra” jedne za drugimi, zasoby wyczerpały się do cna i już nie o procesie, ale wprost o kawałku chleba myśleć wypadło. Marynia, pierwiastek trzeźwy, praktyczny, przedstawiająca w rodzinie tej rozbitków, podsuwa ojcu ostrożnie myśl sprzedaży mebli cennych, zawałających niepotrzebnie ciasne, na trzeciem piętrze przy ulicy Bednarskiej, mieszkanko, resztek niedawnej zamożności, a świadków jej z pokolenia w pokolenie. Dziewczyna ciężkiego podjęła się zadania, ale nędzą za pasem i głód niezmożonego dostarczyły jej argumentu; to też zwycięża, a opis zwycięstwa jej pierwszem jest zaraz zwycięstwem autora. Już te kilka stronie, pomimo banalnej, zdlawało-by się, treści, chwytają czytelnika i przejmują tak, że z całym zaufaniem i sympatyą dalsze jej przerzucać będzie karty. Dyalog ojca z córką charakteryzuje te dwie postacie, jak żywe, pysznie kontrastem usposobień uplastyczniające się wzajemnie, a zakończenie epizodu, jako istota i efekt literacki, mało rzec: nic nie pozostawia do życzenia. P. Mieczysław oswaja się z wolną z bolesną koniecznością pozbycia się części do serca przyrosłych gratów i nocą, by nie zwrócić uwagi swoich, cichaczem wysuwa się do salonu, przegład czynić mebli, przeznaczonych na ofiarę niecierplivej nędzy, a może — żegnać się z nimi tylko:

„Ręka mu drżała, płomień świecy chwiał się i migotał, rozrzucając błyski po brązowych okuciach, mahoniowych fornierach, oszkłonych serwantkach, pełnych gracików i pamiątek...”

„Stał, drżąc coraz mocniej na całym ciele, aż mu w oczach wszystko dwoić się, zlewać, mgłą zachodzić zaczęło.

„Taka żalność, taki ból ścisnął mu serce, że w starych piersiach grać zaczęło, jak w organach, od cichego szlochania.

— Mój Boże, mój Boże! — szeptał zgłuszonym głosem, pełnym skargi jakiejś i smutku, a ja myślałem, że oczy zamknę kiedyś wśród tego wszystkiego!..

„Usta sobie dłonią zasłaniał, aby nie zbudzić żony lub dzieci, i płakał.”

Jakże ten ustęp w efekcie prosty, w wyrażeniu szczery, a jaki mimo to silny!

Gawalewicz jednak nie dopuszcza do ostatecznego upadku Słowińskich—i słusznie. Cierpieć im każe, męczyć się, ale nie ginąć. Wszakżeć powieść jego, to jeden hymn na cześć, powiedział-bym, „dogmatu.” Przed opuszczeniem Dziadowej, Marynia, tak jak narzeczoną była Zdzisława Zabłotowskiego, jedynaka zamożnych bardzo sąsiadów, pary zwyczajnych sobie egoistów, którzy, jakkolwiek zrazu zachęcali syna do związku z dziewczyną, i urodziwą, i pełną zalet, i względnie zamożną, to przecie po przegranych procesie wszelkich zabronili mu z bankrutami stosunków. Bierna, podlegająca łatwo wpływom obcym, natura Zdzisława, poddała się woli rodziców, a zwłaszcza matki, spazmatyczki, chodzącej w mitenkach, udatnie skreślonego typu *d'une grande dame manquée*, trafiającego się po wsiach; ale miłość do Maryni tkwiła w nim zawsze, wzmagana jeszcze wyrzutem małodusznego porzucenia w nieszczęściu dziewczyny, której, choć w tajemnicy jeszcze, oświadczył się już przed katastrofą, dawno mając jej wzajemność. U Słowińskich nikt, wobec śmiertelnie obrażonej Maryni, nazwiska nawet Zdzisława wymieniać nie śmiał; chłopak jednak nie spuszczał ich z oka, i oto, dowiedziawszy się z ogłoszeń po dziennikach o zamiarze sprzedaży mebli, podsusza kupca, który niby to je kupuje, zostawia je wszakże do czasu na składzie. Ten pan Krogulec, agent Zdzisława, to także jedna z lepszych figur powieści. Gdy się pieniądze, wzięte za meble, wyczerpią z kolei, Krogulec znowu zjawi się najniespodziewaniej, i tak, z dobrego serca, podsunie p. Mieczysławowi projekt założenia bazaru wiejskiego, a nawet, pewny powodzenia tego przedsięwzięcia, pożyczczy na nie znaczną sumę z kieszeni Zdzisława. Bo Słowińscy jęli się, naturalnym biegiem rzeczy, oglądać za pracę, która-by im byt zapewnić mogła, i rozpoczęli, każde na swoją rękę, z wyjątkiem dogorywającego, zgryźliwego, zgorzkniałego suchotnika, Kazimierza, i zabitej arystokratki „wiejskiej”, Wandy, ciężką Kalwaryę pogoni za posadami i zarobkiem.

Fazie tej poświęcone ustępy powieści, jak i krętaninie całej rodziny około zakładającego się bazaru, mimo, że rozmiarami bodaj czy połowy nie zajmują książki, prawdą rysunku i techniętem weń uczuciem tak umiał autor podnieść, iż zajmują niby najwymyślniejsza bajka i świadczą o talencie i wysokiem wyrobieniu pióra, które je kreśliło. Przytem ilustrują dalej przewodnią myśl utworu, którego zgoła nie jest celem zwyczajna w podobnych położeniach niezaradność szlachecka.

Ale kulminacyjnego punktu literackich zalet powieści nie tu nam jeszcze szukać, lecz w Dziadowej, w towarzystwie rozbijających się wstrętnie po cudzem mieniu Michała i Pawła Chocholewiczów. Skąd zaczerpnął autor wzoru tych postaci (jako ludzi—nie symbolów), ani się domyślam; czy je kiedy miał przed oczyma, nie wiem, a nawet wat-

pię; ale, że prawdziwe i szczere, jak złoto, to bije w oczy, a plastycznością ustępuje chyba lokajczykowi, Frankowi, którego, jako typ, do wyboru zaliczam. Chocholewicze żyją w Dziadowej, niby dzikie zwierzęta, przejmując okolicę grozą wszelakiego zgorzenia; opis gospodarki tej dwóch zawadyaków i opilców skreślony został ze zdrowym realizmem i siłą. Sceny ataku gorączki opilczej, jakiej ulega Mikołaj, pozazdrościć tylko twórcy jej można. A przytem wszystko tu najskrupulatniej wymotywowane, logiczne, przyczynowo związane, a pełne fantazyi twórczej i myśli głębszej. Jaka ona potężna w brutalności swej, ta nienawiść, która się w końcu w nieznanających hamulca Chocholewiczach wyradza ku sobie wzajemnie. Jeden drugiemu zawadzał z konieczności, to też silniejszy, apoplektycznej budowy, Paweł, już zdawał się pozbywać Mikołaja, rozpoiwszy go do utraty zmysłów i zdrowia; gdy oto odnalezione przez tego ostatniego, w dawien z dawna zapomnianej skrytce, papiery starego Chocholewicza, niezbiecie stwierdzające prawa Słowińskich do Dziadowej, osłaniają go przed nienawiścią brata straszną dla niego groźbą wydania ich sądowi. I nowe między nimi o papiery te rozpoczynają się swary i kłótnie, aż je wreszcie przecina Franek, sprytny a zepsuty lokajczyk. Pobity przez Pawła niemiłosiernie, a co gorzej, niesprawiedliwie, mści się, wykradając je Mikołajowi i oddając proboszczowi miejscowemu, skąd się za pośrednictwem Zdzisława, a bardzo to pomysłowy szczegół, dostają do rąk Maryni, pierwszy niejako stanowiąc pomost do możliwego w przyszłości przejednania dumnej dziewczyny, w dalszym ciągu ułatwionego przekonaniem się jej o niesionej potajemnie przez Zdzisława pomocy.

Z chwilą odzyskania przez Słowińskich cennych dokumentów, które niechybnie szalę sprawiedliwości na ich stronę przeważają, powieść się kończy. Gawalewicz ogranicza się już tylko do kilku epizodycznych dopowiedzeń. Zanim jednak nakreśli jeszcze śliczną scenę, przedstawiającą p. Mieczysława, w proroczym niemal natchnieniu, żegnającego dzieci na dobranoc słowami „do jutra”, o którym nigdy nie zwątpił,—każe umierać Kazimierzowi, niewiarą bowiem w nic zamknął sobie, niby ów lud biblijny, powrót do Dziadowej.

Nie starczy mi miejsca na wskazanie wszystkich a licznych dodatnich stron i ustępów książki,—jak owa np. scena p. Mieczysława z Marynią, w której ojciec ogłędnie a ostrożnie wyjawia córce tajemnicę podstawionego przez Zdzisława kupca na meble i rzeczywiście źródło pożyczki na założenie bazaru; sądzą jednak, iż zalecił ją dostatecznie uwadze czytelnika. Z usterkami jej daleko szybciej przyjdzie mi się załatwić,—drugorzędne one tylko, a przeważnie w drobniactwach jeno tkwiące. I tak: w galeryi występujących w powieści figur, zawsze żywych a wypukłych, słabym mi się wydaje Zdzisław, zamglo-

ny jakiś, niewyraźny; w szczegółowym zaś opisie wycackanego urządzenia apartamentu młodego człowieka, zgola nie odpowiadającego nastrojowi duszy, poważnie cierpiącej, zdaje mi się autor tracić ścisły obiektywizm na rzecz może upodobań własnych. Nie wydaje mi się również szczęśliwym motyw, jakiego użył dla wytłumaczenia nagłe budzącej się energii w zniechęconym do życia chłopaku. Gawalewicz utrzymuje, iż pchnął Zdzisława do czynu widok przez okno pracującej w bazarze Maryni, pomija zaś, albo nie rozwija dostatecznie, pobudki naturalniejszej i głębszej znacznie, a mianowicie odzyskanej prawie nadziei połączenia się z ukochaną. W doskonale naszkicowanej Romanie, ruchliwością, niespożytem zadowoleniem ze wszystkiego, co ją otacza, i naiwną aż swobodą umysłu, tak różnej od Maryni, niemile razi owa litania zdrobniałych wyrazów i określeń, któremi ją autor obsypuje przy każdym spotkaniu się z nią. Romana nie ma nosa, ale „nosek”, nie ma twarzy, ale „buzię”, nie ma rąk, ale „rączki”, nie ma nóg, ale nóżki”—czy to nie za „milusińskie?”

No i żeby wyrzędzić się do syta, czegoż się mam jąć jeszcze—chyba owych fujarek „wierzbowych“, jakie w oknie bazaru wiejskiego Słowińskich spotykamy na sprzedaż; bo kto wie, czy nie łatwiej było sprzedawać np. bańki mydlane. Fujarka „wierzbowa”, to nie zdawkowy artykuł handlu, wytworem jest jedynie wczesnej wiosny, pory, w której obfitość soków w drzewie umożliwia też „wykręcanie” jej. Bez wilgoci zamiera, pęka i przestaje być fujarką; jakże tu ją więc aż do Warszawy dostawić. To też w bazarze spotykał zapewne autor zwyczajne, dziurkowane, *vulgo* „wypalane” fujarki jarmarczne i odpustowe.

Sąd mój streszczam w przekonaniu, że powieść „Do jutra”, nosząca na okładce datę 1895 r., niejedną na rok ten przypadającą słabizną literacką okupi.

W. KARCEWSKI.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Ubiegły rok zaznaczył się ważnemi zdarzeniami. Najdonioslejszem z nich był niezawodnie niespodziewany zgon Cesarza Aleksandra III, którego zejście z widowni świata sprawiło wielkie wrażenie na Europie. Był ten rok pokojowym, ale nie we wszystkich częściach świata. W Azji Japonia z Chinami rozpoczęła i dotąd wiodzie wojnę. W Europie—Francuzi uchwalili kredyty na wojnę, którą rozpoczęła w roku przyszłym z królową Madagaskaru. W polityce wewnętrznej każde z większych i wiele z mniejszych państw notują na kartach kronik wypadki godne pamięci. We Francyi zamordowany został przez anarchistę, nazwiskiem Caserio, prezydent republiki, Sadi Carnot, po którym urząd prezydenta objął Casimir-Perier. W Niemczech upadł drugi kanclerz rzeszy, hr. Caprivi, po którym nastąpił ks. Hohenlohe, były namiestnik Alzacy i Lotaryngii. W Anglii rząd liberalny włączył do programu swego walkę z izbą lordów i odjęcie tejże bezwzględnej prawa  *veto* . We Włoszech wrócił do władzy Crispi i rozpoczął pracę około poprawy państwa, której poprzednicy jego poddać nie mogli. W Belgii uchwalił parlament reformę wyborczą, na znacznie szerszych, niż dotąd było, podstawach. W Węgrzech uchwalone zostały wielce liberalne ustawy o ślubach cywilnych i o równouprawnieniu wyznań, co się odbyło wśród bardzo gorących agitacji. W Serbii zawieszona została konstytucya i wrócił do kraju były król Milan, który stał się doradcą swego syna, króla Aleksandra. W Bul-

gary upadł wszechwładny od rewolucyi filipolskiej Stambułow. Na drugiej półkuli, w Stanach-Zjednoczonych Ameryki północnej, wybory do kongresu dały większość republikanom, co wpłynie na zmianę polityki handlowej Unii.

Te reformy, te zmiany ministrów i kanclerzy, te uchwały parlamentów i wyniki wyborów pochłaniały całkowicie uwagę społeczeństw: w polityce zagranicznej panował pokój—orężny i dyplomatyczny. Był to dla państw i ludów rok pracy na zdobytych stanowiskach. Jedni rozszerzali wolności obywatelskie, inni porządkowali finanse, jeszcze inni trudzili się nad wykorzenieniem żywiołów anarchicznych. Rosya i Niemcy, w dbałości o rozwój ekonomiczny obu państw, zawarły traktat handlowy, który też był najważniejszym zdarzeniem ubiegłego roku na polu polityki celnej. Wszystko to odbywało się na tle ustalonych wielkich ram życia politycznego w Europie, które stanowią: militarizm, przymierze potrójne i związek rosyjsko-francuski. Od miesiąca zaczęto pisać w prasie państw zachodnich o możliwości zmian w ugrupowaniu mocarstw. Mianowicie, jakoby nastąpiło lub przygotowywało się zbliżenie między Anglią i Rosyją, które pociągnie za sobą dalsze zbliżenia i oddalenia. Możliwe to jest, ale to już będzie historia lat przyszłych, albo, co najmniej, roku przyszłego, daj Boże, szczęśliwego.

Kronikę zdarzeń bieżących za miesiąc upłyniony trzeba rozpocząć od wypadku, jaki się zdarzył przy otwarciu sessyi parlamentu niemieckiego w nowym gmachu. Gmach ten, jak wiadomo, wzniesiony został zaraz za bramą brandenburgską, przy Thiergartenie, według planów budowniczego Wallota, i uchodzi w kołach artystycznych za znakomite dzieło sztuki. Inne wszakże było zdanie cesarza Wilhelma: uważa on nowy parlament za utwór złego smaku. Okazał to Wallotowi, wykreślając go z listy kandydatów do wielkiego złotego medalu; tegoż Wallota nazwisko nie zostało jakoby zapisane na kartach urzędowych dokumentów o powstaniu gmachu, które w dniu otwarcia wmurowano na wieczną pamiątkę rzeczy; a już to jest bezwarunkowo prawdą, że cesarz polecił nie umieszczać na frontonie gmachu napisu, zaprojektowanego przez architekta: „ludowi niemieckiemu.“

Wszystkie te szczegóły były już wiadome deputowanym i nie robiły na nich przyjemnego wrażenia. Ale do reszty popsuło im uroczystość skandaliczne niepowstanie z miejsc Liebknechta i kilku jego kolegów, kiedy przewodniczący wykrzyknął „hoch” na cześć cesarza. Rozchodzili się po pierwszym posiedzeniu w nowym gmachu, jak po nieudanej zabawie, bez humoru, niby ludzie, którzy wynoszą złe przecucie na przeszłość.



Złe przeczucie o tyle się sprawdza, że owo pierwsze posiedzenie już pociągnęło za sobą bardzo poważne następstwa. Mianowicie prokuratora wystąpiła z żądaniem wydania w ręce sądu deputowanych, którzy nie powstałi z miejsc, pod zarzutem obrazy majestatu. Wniosek ten przez opinię publiczną niemiecką przyjęty został bardzo krytycznie; nawet tak półurzędowe pisma, jak *Kölnische Ztg.*, nie wahały się wypowiedzieć zdania, że był prawnie nieuzasadniony. Konstytucya rzeszy zwalnia deputowanego od odpowiedzialności za głosowanie jego w parlamencie i za wszelkie jego „*Aeusserungen*“, do których należą oklaski, sykania i inne znaki niezadowolenia lub radości. To też komissya, którą parlament wybrał dla zbadania wniosku o ekstradycyi, oświadczyła się przeciwko niemu. Kiedy potem zaczęły się rozprawy w pełnej izbie, ta poszła za komissyą i odrzuciła wniosek rządowy większością przeszło stu sześćdziesięciu głosów przeciwko pięćdziesięciu. Tym sposobem rząd doznał porażki w sprawie, której albo nie trzeba było wcale wszczynać, albo w której należało zwyciężyć. Dzienniki niemieckie nie chcą jednak pogodzić się z myślą, że nowy kanclerz, ks. Hohenlohe, mógł aż tak się pomylić, żeby się naprawdę spodziewał zezwolenia na proces; wolą one wierzyć, że kanclerz z góry był pewny porażki i umyślnie szukał zatargu z parlamentem, o którego rozwiązaniu myśli. To wydaje im się mniejszym błędem.

Nie wdając się w porównywanie błędów nowego kanclerza, możemy przecież zanotować, że rządy jego rozpoczęły się od wystąpień, któremi nie zaimponował bynajmniej współobywatelom, ani jako mówca, ani jako polityk. Co się tycze wzmiankowanego wyżej zdarzenia, po okrzyku *hoch* w parlamencie, to tenże parlament, odrzuciwszy wniosek oddania pod sąd posłów, winnych niepowstania z miejsc, sam się zajmie obostrzeniem regulaminu izby w taki sposób, żeby podobne objawy nieuszczepienia dla korony na przyszłość powtarzać się nie mogły.

W Austrii reforma wyborcza posuwa się naprzód, ale rzeczywiscie zółwim krokiem. Podczas sessyi bieżącej, kluby skoalizowane wysadziły komissyę specjalną; lecz choć jest komissya, nie znikają trudności. Oppozycya, widząc powolność działań rządu i popierających go stronnictw, zaczęła posądzać pierwszy i drugie o utajoną chęć pogrzebienia sprawy całkowicie. Pod tym względem atoli uspokoił wątpiących minister finansów Plener, który podczas rozpraw oświadczył, że cesarz sprzyja myśli reformy wyborczej, a rząd ma niezłomną wolę dokonania jej. Kiedy to nastąpi, minister nie może wskazać dokładnie, za to tylko ręczy, że przyszłe wybory do parlamentu w r. 1897 odbędą się już podług przepisów nowego prawa. Niecierpliwym, którzy chcieli-by mieć reformę natychmiast, ów termin roku 1897 wyda się nadto odległym, spodziewają się bowiem, że gdyby reforma została

uchwaloną teraz, nastąpiło-by zaraz po niej rozwiązanie parlamentu i wcześniejsze wybory na nowych zasadach. Lecz ani rząd, ani dzisiejsza większość, zdaje się, nie życzą sobie sztucznego skracania żywota obecnego parlamentu i w tem też należy upatrywać jeden z powodów, dla którego nie śpieszą się gorączkowo. Mają słusność, z tego przedewszystkiem względu, że gorączkowa robota w rzeczy tak ważnej, jak reforma wyborcza, była-by nie na miejscu; mogą ją mieć w tem także, iż chcą dzisiejsze stosunki polityczne utrzymać najdłużej, jak na to prawo i polityka pozwoli.

Węgry przeszły znowu jeden z tych paroksyzmów politycznego przesilenia, które peryodycznie co jakiś czas wstrząsają tym krajem. Tym razem, liberalna opinia publiczna uspokoiła się z powodu nie tak prędkiego, jak pragnęła, podpisania przez cesarza nowych ustaw kościelno-politycznych. Znowu tedy były wielkie agitacye, znowu jeżdżenie pana Weckerlego do Wiednia celem wywarcia nacisku na Franciszka Józefa, znowu przesilenie gabinetowe w powietrzu, naładowanem, niby elektrycznością, groźnemi hasłami i okrzykami. Cesarz Franciszek Józef podpisał w końcu owe ustawy, a wtedy znowu nastąpił paroksyzm radości, illuminacye, pochody z pochodniami, depesze z podziękowaniem, których podobno poszło do Wiednia kilkadziesiąt tysięcy. Jest to niezawodnie dużo. Jednakże nawet tak wielkie dochody w telegrafie nie uratują gabinetu Weckerlego, który osiągnął zwycięstwo pyrrusowe. Powiadają, że p. Weckerle pierwotnie zapewniał cesarza, iż, zezwalając na wniesienie projektów kościelno-politycznych, zachowuje zupełną swobodę co do ich ostatecznej sankcyi, teraz zaś twierdził, że cesarz tak się zaangażował, iż podpisu na uchwalonych projektach odmówić nie może. Mogło to być; zastrzedz jednak należy, że mało jest prawdopodobnem, żeby Franciszek Józef nie rozumiał, iż zezwolenie na projekt obowiązuje go moralnie do ostatecznej sankcyi, gdy projekt został przez izby uchwalony. Weckerle upadnie nie z powodu tego nieporozumienia, lecz, że wogóle cesarz nie obdarza go wielkiem zaufaniem i że parlament i kraj przekonały się o tem z okazji sankcyi ustaw kościelno-politycznych. Minister, którego wpływowi korona nie jest powolną, nie ma warunków do przewodniczenia rządowi kraju. Niektórzy zapowiadają nietylko upadek gabinetu Weckerlego, ale rozbitcie się samej większości liberalnej, od kilkunastu lat rządzącej Węgrami. To już są przeczucia raczej, niż uzasadnione wnioski.

W Anglii coraz wyraźniej zarysowuje się przyszła kampania przeciwko przywilejom izby lordów. Lord Rosebery w jednej z ostatnich swoich mów politycznych taki plan jej nakreślił, że rząd przedstawi naprzód parlamentowi wniosek, wyłuszczający zasady ogólne

pożądaney reformy, a gdy izba gmin takowy uchwali, wtedy rząd, opierając się na tem formalnem upoważnieniu, wystąpi z konkretnemi wnioskami zmian dzisiejszego ustroju konstytucyjnego Anglii. Jakie będą te wnioski konkretne, dotychczas niewiadomo. I to już jest przecie ważne, że oznaczona została droga, po której rząd pójdzie do ataku, pod hasłem zniesienia przywileju *velu* izby lordów.

Francya oplakuje zgon dwóch wybitnych swoich obywateli, Ferdynanda Lessepsa, twórcy kanału Suezkiego, i p. Burdeau, prezesa izby deputowanych. Po-za temi stratami opinia publiczna rzeczypo- spolitej zajęta jest kwestyą przyszłorocznej wyprawy na Madagaskar, którą uchwalił parlament, dając rządowi pieniądze, na ten cel potrzebne, ale bardziej jeszcze, niż ową odległą wyprawą—kwestyą szpiegostwa wojennego, pod wrażeniem zdrady, jakiej się dopuścił jeden z kapitanów armii, Dreyfus, oskarżony o sprzedanie obcym rządóm tajnych dokumentów wojskowych.

Miesiąc ubiegły zaznaczył się zwykłym ożywieniem sezonowem, głównie na gruncie praktycznym. Ale tym razem ożywienie to ujawniło pewne cechy, świadczące, że nie polega ono jedynie na płodności projektów i powodzi słów, hojnie wylewanych na wszelkiego rodzaju posiedzeniach różnych instytucyi. Owe ogniska sporów, wniosków pomysłów, informacji i t. d., dla publicysty są nieprzebraną skarbnicą z której można czerpać obficie kwintessencją naszego życia ekonomiczno-społecznego. W rzeczywistości jednak jest inaczej. Nasi podglądacze spraw życiowych wolą gonić za czemś ulotniejszym, za zjawiskami zewnętrznymi, które niczego nie uczą i przedstawiają rozległe pola jałowe, zdatne tylko do zapasów i wyścigów reporterskich. Te zaś ogniska, o których wspomniałem, palą się dla swej własnej gromadki i tylko od czasu do czasu przez pióro obojętnego, zundzonego sprawozdawcy dają ogółowi parę promyków, bardzo osłabionych przez wielokrotne załamania się w fantazyi i nieuwadze dostawców sprawozdań. Nie lubią oni tych sal, w których przecież można rzetelnie i dokładnie sprawdzić, tudzież ocenić tętno naszej pracy i jej owoców, przynajmniej w działach głównych. Obojętne lub dorywcze traktowanie tych spraw przez znaczną większość prasy naszej daje się poniekąd wytłómaczyć brakiem w tym odłamie ruchu ważnego czynnika—sensacyi. Wyrobiło się bowiem przekonanie, że tylko taki sos może doskonale spełniać rolę pepsyny, że polana nim najohydniejsza rzecz, wydobyta nawet ze spraw, ściśle domowych, z buduaru, z najzaciszniejszej alkowy, łatwo da się strawić przez czytelnika. Więc publicysta, który nie może znaleźć dla siebie materiału w tej piance, nie tylko

mdłej, ale i brudnej, woli bezpośrednio docierać do źródeł i z nich czerpać to, co głęboko pod ową pianką spoczywa na dnie i jest przez większość uważane za rzecz, nie mającą wielkiej wartości.

Z tych sal wychodzą czasem ciekawe i ważne uchwały, związane z potrzebami ogółu lub pewnej jego grupy. Stamtąd niedawno zrobiono wylom, acz niewielki, w murach, otaczających nowy rynek, mianowicie rolnicy uczynili pierwsze kroki zawiązania stałych stosunków handlowych z intendenturą wojskową. Bądź co bądź, wewnątrz kraju ów masowy spożywca pochłania dużo produktów rolnych, które dotychczas zdobywa drogami pośrednictwa spekulantów, i to nawet ze stron odległych. Na wniosek intendentury, ziemianie postanowili skorzystać ze sposobności i w tym celu wybrali przedstawicieli swoich interesów, którzy mają stanowić łącznik pomiędzy wytwórcami i konsumentami. Chodzi teraz tylko o umiejętnie wzięcie się do rzeczy, t. j. o stałe dostarczanie na czas żądanej ilości produktów, nie za pomocą owych skupowaczy wędrownych, do których nasi ziemianie przyzwyczaili się, lecz przy pośrednictwie własnej organizacyi, która może sprawić to, że pozornie niższe ceny przyniosą większy dochód, niżeli owe tranzakcje na zboże, jeszcze rosnące.

Dotąd wszakże takie panują u nas stosunki, że nie zawsze wiemy, gdzie co nabyć można. Jakiś np. agent firmy zagranicznej telegrafuje do przedstawicieli przemysłu lub handlu w Warszawie: Dostarczcie nam wagon serów, masła, tyle a tyle marynat owocowych, grzybów, ryb świeżych. Obarczony takim komisem rad-by w jak najlepszem świetle przedstawić naszą różnorodną wytwórczość wobec zagranicy; biega więc, zapytuje, pisze listy na wszystkie strony. Z odpowiedzią ustną łatwiej, o tyle, że się ją natychmiast otrzymuje, ale zawsze: „Nie wiem“, „prawdopodobnie“, „może.“ Z piśmienną gorzej; na sto listów przychodzi jedna odpowiedź, np. taka: „mogę dostarczyć  $\frac{1}{10}$  żądanej ilości, ale za cenę pięć razy wyższą.“ Zakłopotany i zawstydzony przedstawiciel śle za granicę wymijającą odpowiedź. W pół roku potem dowiaduje się, że w jakimś zakątku kraju ktoś wytwarza dany produkt w znacznej ilości i zbywa go za bezcen drobnym spekulantom, że tu i owdzie są świetne warunki dla rozwoju produkcji; trzeba tylko obwieścić światu o tem. Jest to zjawisko, u nas stałe. Wiemy przewybornie, gdzie śpiewaczka X w Europie lub Ameryce w danej chwili zachwycą słuchaczy; notujemy najdokładniej, ile jej dochodu przyniósł koncert w Buffalo, albo Kalifornii; wiemy, co powiedział Gladstone swemu kamerdynerowi, co robią i myślą Japończycy; ale nie wiemy, co i gdzie w kraju rośnie, gdzie się plantują nasiona ro-

ślin okopowych, aptecznych, warzywnych, czy istnieją stajnie rozplodowe, czy mają one towar do zbycia, czy jest uprawiana wierzba koszykarska, czy istnieje i w jakich rozmiarach gospodarstwo rybne i t. d.? I oto jedna z przyczyn niepowodzenia w gospodarstwie; robimy wszystko na oślep; jedni z nas czytają anegdotki ze świata i kiwają głowami, rozmyślając nad tem, jakby to dobrze było dowiedzieć się, gdzie można nabyć dany towar; drudzy, zagłębiając się w politykę dalekiego wschodu, od czasu do czasu przerywają tok myśli o armii japońskiej i porcie Artura lub Wei-Hai-Wei wykrzyknikiem: „jakby to dobrze było znaleźć w gazecie wiadomość, gdzie można sprzedać żrebaki, nasiona, sery!”

Może chociaż w części lukę ową wyrówna p. M. Dobrski, który podjął się bardzo pięknego i ciężkiego zadania: opracowania przewodnika po gospodarstwach krajowych. Jest to przedsięwzięcie, wymagające starań zbiorowych, więc też słusznie projektodawca zaczął od kwestyonariusza, który zawiera mnóstwo rubryk, dotyczących wszystkich stron gospodarstwa, jego kultury i warunków. Dopiero po zebraniu tą drogą materiału, można będzie przystąpić do dzieła. Oczywiście, będą uwzględnione tylko gospodarstwa wzorowe, z których powodzenia mogli-by inni korzystać. Po-za tem znajdujemy w kwestyonariuszu parę pytań, które dowodzą, że przewodnik, obok wskazówek co do sposobu uprawy, będzie jednocześnie zawierał pewne informacje, pożądane dla nabywców danych produktów. Jedna tylko strona tego wydawnictwa jest dotychczas dla nas zupełnie nieznaną. W jakiej ono będzie formie? Jeżeli jako książka, ogłoszona raz tylko, to po roku, najwyżej po dwóch, trzech latach, straci swą wartość. Rolnictwo bowiem czyni ciągle postępy, które najszybciej przyjmują właśnie gospodarstwa wzorowe, objęte przez ów podręcznik. Nadto—różnorodna produkcya w tej dziedzinie wielce jest zmienną; ta lub inna gałąź zanika, a natomiast powstaje inna. Może więc nieraz zdarzyć się taki wypadek, że ktoś, idąc za wskazówkami książki, uda się do majątku N. dla kupna rasowego inwentarza, nasion przemysłowych i t. d., i naraz dowie się na miejscu, że już od roku zwinięto tam ową gałąź gospodarki. Naraziwszy się więc na koszt i stratę czasu, interesant przeklnie podręcznik i nigdy już do niego nie zajrzy. Otóż, jeżeli przewodnik ma przynieść istotny pożytek ogółowi, powinien być wydawany przynajmniej raz na rok. Najtrudniejsze są pierwsze kroki. Dalej, gdy się już drogę utoruje, gdy zyska pewnego rodzaju współpracowników we właścicielach gospodarstw wzorowych, zadanie na przyszłość będzie znacznie ułatwione. W przeciwnym razie, sama logika każe nam przypuszczać, że przewodnik, o charakterze doryw-

czym, będzie miał znaczenie dorywcze, t. j. nie odpowie wcale swemu zadaniu.

W obecnym sezonie wydawniczym spostrzegamy nadzwyczaj dodatnie zjawisko: Podczas, gdyśmy się już zżyli z tą myślą, że dzieła poważne i kosztowne nie mają u nas powodzenia, gdy księgarze-wydawcy unikają tego rodzaju przedmiotów, jak ognia, — ukazało się parę dzieł fachowych, świadczących nietylko o odwadze i energii autorów, tudzież ich wydawców, ale i o zrozumieniu potrzeb istotnych. Jednym z nich jest „Nauka mularstwa”, opracowana przez inżyniera, Jakóba Heilperna. Już sama strona zewnętrzna daje wiele do myślenia. Książka, dużego formatu, wydrukowana na wytwornym papierze, liczy 527 stron, 825 starannie wykonanych drzeworytów w tekście i jedną tablicę chromolitografowaną; przytem stanowi dopiero tom pierwszy, obejmujący wiadomości z nauk zasadniczych, a co najważniejsza — jest wydana przez zgromadzenie mularzy warszawskich. Inne cechy dotychczas nie zdobyły się u nas na tak wspaniałe dzieło, pomimo, że przedstawiają one gałęzie pracy, wymagające naprawy przez rzetelną naukę. Na właściwym miejscu czytelnicy znajdą szczegółową notatkę, dającą pojęcie o układzie i treści tego wydawnictwa. Obecnie podkreślamy tylko sam fakt, jako zjawisko, wiele pocieszające. Wydawnictwa tego rodzaju muszą pociągać za sobą koszt znaczny, a więc i same książki nie mogą być tanie. Ale pomyślny, co znaczy kilka rubli wobec pożytku? Tego rodzaju podręcznik daje pracownikowi fachowemu kamień węgielny bytu, gruntowną naukę, którą uzupełnić może swoje uzdolnienia praktyczne, usunąć fuszerkę z rzemiosła i podnieść wartość swej pracy dla dobra własnego i innych.

W ostatnich czasach fakta aż nadto wymownie nam dowiodły, że fuszerka w budownictwie, a pośrednio w mularstwie, szerzy się u nas gwałtownie, nietylko ze stratą materialną, ale z niebezpieczeństwem dla życia ogółu. Mamy świeżo w pamięci wypadki zawałania się ścian domów, wznoszonych w Warszawie, ale chyba nigdzie klęska ta nie doszła do tak potwornych rozmiarów, jak w Łodzi. W ciągu jednego tylko miesiąca kronika miejscowa zanotowała cztery czy pięć wypadków zawałania się ściany, a już „rysowania się” trudno zliczyć. Jeden dom był nawet zamieszkały. Gdy więc schody runęły, musiano łokatorów ratować za pomocą lin i drabin. Ostatnie dwulecie, słynne z ruchu budowlanego, dało temu ognisku przemysłowemu około trzydziestu takich domów, wybudowanych pośpiesznie; a więc co najmniej kilkanaście tysięcy osób jest zagrożonych utratą życia i mienia, i jeżeli w takich schronieniach ludzie mieszkają spokojnie, to chyba w tem prze-

świadczeniu, że u nas niema trzęsienia ziemi. Zapominają wszakże o jednym tylko, że wielki ruch kołowy osłabia, acz powoli, cienkie i li-che mury, że w mieście fabrycznem istnieje mnóstwo kotłów parowych, których wybuch jest zawsze możliwy, a stąd wstrząśnienia mogą roz-walić ściany tych wielkich, na prędcie wyrastających, kamienic. Zresztą trzeba uwierzyć w zdanie fachowców, którzy stanowczo twierdzą, że istnienie tego rodzaju domów nie może być długotrwałem. Niejeden, nieznający zakulisowych stron tej szczególnej działalności przedsię-biorców, ze zdziwieniem zapyta: Jakiż cel mają właściciele w budo-waniu domów w taki sposób, który dla nich samych jest ryzykownym? Właśnie to ryzyko przynosi im znaczne zyski, dzięki szczeremu wyzna-waniu przysłowia francuskiego. Budują oni bowiem na spekulację, t. j. na sprzedaż. Skoro więc tylko kamienica da się skończyć szczęśliwie, t. j. bez zawalenia się ściany, natychmiast znajduje nabywcę, a co tam później, chociażby nazajutrz, z nią się stanie, to już pierwotnego właściciela nie obchodzi. Dzieje się więc tutaj to samo, co na jarmarkach przy sprzedaży i kupnie koni. Właściciel ukrywa starannie wszelkie wady i sprzedaje łatwowiernemu szkapę, która może paść mu na dro-dze. Kamienica o niemożliwie cienkich ścianach, z lichej cegły i wapna najgorszego, o słabych wiązaniach, wylatana, wygładzona, nęci oko kapitalisty, który chciałby się stać „obywatelem miasta”, tem bardziej, że, wobec niesłychanej drożyzny lokalów łódzkich, tytuł ten nie tylko moralne, ale i materyalne przynosi zadowolenie. Dodajmy, że, według licznych skarg, domy te mają mieszkania przeważnie wilgotne, ponure, zimne, nieposiadające najniezbędniejszych wygód. Otóż, wobec coraz głośniejszego alarmu, zaczynają również cechowi fachowcy głos podno-sić, gdyż kleczeniem tych kolosów trzypiętrowych zajmują się partacze, niemający pojęcia o rzeczy, bezpieczni jednak wobec prawa. Mają bo-wiem zawsze w obronie płaszcz firmy i plany, opracowane przez „ar-chitektów.” Ale okres ich powodzenia prawdopodobnie ma się już ku końcowi; świeże bowiem wypadki tak dalece poruszyły opinię publi-czną, że jej czujność stanie się poniekąd kontrolą działalności speku-lantów. Fachowcy, posiadający naukę, oburzają się na te karygodne nadużycia i żądają, aby wszelkie roboty powierzano tylko patentowa-nym. Zapominają atoli o jednym: że nie zawsze nauka idzie w parze z uczciwością. Przedsiębiorca np., budujący dom na sprzedaż, poszu-kuje przedewszystkiem takich, którzy mogą mu z najmniejszej ilości najlichszego materyału wznieść kamienicę. Patent jest tu rzeczą pod-rzędną, a uczciwość nawet zbytęcną, a więc na tę stronę trzeba zwrócić baczną i pociągać do odpowiedzialności nie tylko „majstrów”, lecz i przedsiębiorców.

Biorąc naukę w szerszym znaczeniu, musimy przyjść do przekonania, że jest ona u nas oparta jedynie na uczciwości i, że tak powiem, pewnego rodzaju ascetyźmie. Kto ślubował uprawiać niwę naukową, musi się wyrzec najbliższych przyjemności w życiu, nie mieć żadnych namiętności i nałogów. W taki sposób, w pracy o chłodzie i głodzie, powstają u nas poważne dzieła „uczciwe”, t. j. takie, które nie są obliczone na efekt, a więc najmniej są przetykane kalejdoskopowymi deseniami owoców cudzej myśli, uznanej za swoją. Warunki trudne; tem trudniejsze, że nawet filantropia, wszechstronna u nas koicielka trosk, najskromniej obdarza tę dziedzinę, skąd można-by wnosić, że społeczeństwo nasze najmniej odczuwa potrzeb w zakresie nauki, gdyby nie ta „pocieszająca” w tym razie okoliczność, że jałmużna w większych sumach płynie ze szkatuły bardzo małej garstki ludzi, częstokroć niewtajemniczonych w istotne potrzeby społeczne.

Prawda, że mamy jeszcze znaczną liczbę ofiarodawców uboższych, ogarniających szersze widnokręgi; ale ich pomoc w tym razie była-by kroplą, odpowiedniejszą dla nędzy wyjątkowej. Za granicą uprawę rozległych dziedzin nauki zaliczono do obowiązków społecznych, to też na badanie i przystosowywanie do życia wszelkich zdobyczy wiedzy istnieją kosztowne pracownie z arsenałem niezbędnych środków pomocniczych, a wysłanie uczonego gdzieś na szczyt Himalajów lub gór Skałistych jest tak łatwe, jak u nas delegowanie reportera na jarmark skaryszowski. Nie dziw zatem, że wieść o wysłaniu za granicę lekarza kosztem jednego z pism specjalnych, dla zbadania surowicy krwi, sprawiło u nas w sferach ukształconych wielkie wrażenie. Jest to fakt niezwykły i oby był ziarnem rozrodczem! Nie moją, jako niespecjalisty, jest rzeczą, rozpatrywać nowy środek leczniczy; zajmują się nim gorliwie lekarze, a najgorliwiej—reporterzy. Zaznaczam więc tylko doniosły fakt odkrycia, które już wydaje pomyślne rezultaty. Dyfteryt, owa złośliwa choroba, jako stała kłęska, pochłania wogóle więcej ofiar niż cholera, szerząca zniszczenie dwa, trzy lata. Na raz świat cały dowiaduje się, że wynaleziono cudowny środek usuwania tej choroby, nawet przy gwałtownem jej działaniu. Sceptycy zaczynają na to głowami kiwać i wołać: „A Koch i suchoty?” Pamiętają również specjaliści o tym ciężkim zawodzie milionów, więc dlatego zamknęli się obecnie w swych pracowniach i starannie trzymają drzwi zaryglowane przed profanami, których ciekawość nie ma granic.

W ciągu ostatnich kilku tygodni śmierć porwała światu cywilizowanemu paru działaczy z pola nauki i sztuki.



Francya straciła znakomitego historyka, Wiktora Duruy'a. Ur. w Paryżu 11 września 1811 r., pochodził z rodziny robotniczej. Od lat młodzieńczych okazywał już zamiłowanie do historyi, po ukończeniu zaś nauk r. 1833, otrzymał nominację na profesora historyi w kolegium w Reims, skąd po kilku miesiącach zawezwano go na takie samo stanowisko do kolegium Henryka IV w Paryżu. Jednocześnie zaczął wydawać swoje dzieła klasyczne, których napisał bardzo dużo. Jedno z nich, „Historję Grecyi starożytnej”, nagrodziła akademia. Następnie, do wielkiej „Historyi powszechniej” weszła część dzieł poprzednio wydanych. Historję Francyi opracowywał kilkakrotnie. Poza tem napisał „Geografię polityczną rzeszypospolitej rzymskiej i cesarstwa rzymskiego”, „Geografię historyczną wieków średnich.” Wreszcie do ostatnich prac jego należą: „Historja Rzymian”, wydana r. 1885 i „Historja Greków” (r. 1887). Oprócz płodnej i wielce pożytecznej działalności na polu nauki, Duruy pełnił obowiązki publiczne, ważne i zaszczytne. W r. 1863 Napoleon III porучzył mu ster ministeryum oświaty. Na tem stanowisku był wielce pożytecznym. Przedewszystkiem zajął się żarliwie kwestją wykształcenia elementarnego, poruszył i przeprowadził częściowo w czynie sprawę nauki bezpłatnej i przymusowej w szkołach ludowych. Bezpłatność przyjęto z uznaniem; ale przymus znalazł mnóstwo zacieklejch przeciwników, którzy sprawili to, że w organie urzędowym ogłoszono dekret, odwołujący ten projekt. Wogóle w systemie nauk szkolnych Duruy wprowadził liczne ulepszenia. Nadto, pierwszy urządził odczyty publiczne z zakresu historyi, fizyki i literatury, zarówno w Paryżu, jak i w miastach prowincjonalnych. Zadania tego podjęli się profesorowie, uczeni i wykonywali je z ogromnem powodzeniem. Nie koniec na tem: Duruy, mając na myśli wyższe wykształcenie kobiet, urządził także odczyty wyłącznie dla młodych dziewcząt, ale tutaj stanął na przeszkodzie opór pewnych grup społeczeństwa. Po r. 1870 pisarz ten porzucił zupełnie pole działań polityczno-społecznych i oddał się wyłącznie studjom historycznym. Oprócz wielkiej sławy na polu naukowym, zdobywał w różnych formach zaszczyty, między innemi fotel w Akademii „nieśmiertelnych.”

W Peterhofie zakończył życie Antoni Rubinstein, znany w całym świecie cywilizowanym wirtuoz i kompozytor, świadectwem zaś uznania był przed pięciu laty jubileusz 50-letniej działalności jego, uroczyste obchodzony przez ów świat. Twórczym był Rubinstein jako pisarz i wykonawca, a ta twórczość w obu kierunkach rozwijała się pod wpływem romantyzmu, któremu wielki artysta pozostał wiernym do śmierci. Dramatyczność cechowała grę jego i kompozycyę, nastrojając interpretacyę i utwory od drobnostek począwszy, aż do dzieł wielkich, w których do potężnej dochodziła siły. Ostatnim jej wyrazem były

poemata symfoniczne; przechodząc z orkiestry przez zaklętą linię kin-kietów, dramatyczność ta słabła na scenie, jak gdyby dramat, który artysta w sobie nosił, w jego tylko duszy mógł się odgrywać i w subiektywnych jedynie akcentach na zewnątrz się wydostawać. Mniejszym też od symfonii i od repertuaru muzyki pokojowej cieszyły się powodzeniem tak zwane „operę religijne” Rubinsteina, mimo że, zwyczajem wszystkich artystów i poetów, do nich twórca największą przywiązywał wagę. Ur. r. 1830 w Wechwotyńcach, w pobliżu Jass, w wieku dziecięcym ujawnił niepospolite zdolności do muzyki, dzięki którym dostał się na studia do Paryża, gdzie się kształcił pod kierunkiem Liszta. Roku 1858 osiadł w Petersburgu i tam r. 1862 założył Towarzystwo muzyczne, którego był dyrektorem do r. 1867. Nadto, stał na czele miejscowego konserwatorium muzycznego. Stworzył kilka oper, prócz tego mnóstwo oratoryów, symfonii i mniejszych utworów.

W Łowiczu 18 listopada zmarł, prawie już zapomniany od lat kilku, Jan Konopacki, artysta malarz. Jego obrazki tudzież ilustracje, umieszczane w „Kłosach” i „Tygodniku Ilustrowanym”, miały powodzenie. Choroba nieuleczalna wytrąciła mu z ręki pędzel i ołówek, skazała na śmierć powolną i zapomnienie. Ur. w Łowiczu r. 1853, kształcił się pod kierunkiem prof. Gersona i w warszawskiej szkole rysunkowej. Następnie po krótkich studiach w Akademii petersburskiej, r. 1879 wyjechał do Paryża i tam przez lat parę pracował. Przed dwoma laty kierownicy „salonu” w Warszawie, chcąc ogółowi przypomnieć skazanego na bezczynność artystę, urządzili wystawę prac jego. To był ostatni występ publiczny nieboszczyka. Z. P.

---

---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

— „Revue des questions historiques.” Zeszyt z października 1894. Paris. „Un manuscrit du Vatican sur le Tzar Dimitri de Moscou” par le R. P. Pierling S. J.

Między rękopisami, zakupionemi niedawno przez Leona XIII od książąt Borghesów, znalazł się także manuskrypt, zawierający całą serię listów, wysłanych przez kuryę rzymską do legata papieskiego w Polsce, K. Rangoniego, od czerwca 1605 aż prawie do końca lipca 1609 roku, a zatem w czasie, kiedy się zjawiał pierwszy Samozwaniec. Redagował listy sekretarz papieski, Marzio Malacrida, wysyłany już poprzednio do Szwecyi i Polski, a podpisywali je kardynałowie Valenti i Borghese, obrany wkrótce papieżem i znany pod imieniem Pawła V.

Pracując obecnie nad postacią bizantyjskiego kardynała, Bessariona, z końca wieku XV, i szperając w archiwum watykańskim, O. Pierling—znany już z pracy historycznej „Rome et Demetrius”, oraz kilku innych, odszukał rękopis, który znanym był wprawdzie wydawcy II tomu „Historica Russiae Monumenta”, Al. Turgenjewowi, ale tylko z pojedynczych wyciągów, gdyż niektóre ważne części rękopisu, rzucające światło na intencje kuryi, zostały, ze szkodą historycznej prawdy, pominięte.

Jak wiadomo, papież Paweł V Borghese, bardzo się zainteresował Dymitrem, polecił go popierać, raz, że mu chodziło o ligę Moskwy przeciw Turcyi, a powtóre, iż miał nadzieję złączyć oba kościoły — wschodni z zachodnim.

Rękopis watykański potwierdza najzupełniej poglądy, wyrażone przeze mnie w II tomie „Szkiców historycznych”, gdzie mowa jest o Samozwańcach.

Bratanek nuncjusza Rangoniego wybrał się też do Moskwy, gdzie go Samozwaniec I przyjął i zapewne ponowił przyrzeczenia, dane Zygmuntowi III, w Krakowie.

O. Pierling wyraża przy tej sposobności wątpliwość, czy Samozwaniec był lub nie był synem Iwana Groźnego? Zdaje mi się, iż czas było-by ustalić przekonanie, iż Dymitr był fałszywym Dymitrein.

Zbyt wiele ważnych okoliczności przemawia za fałszywem jego pochodzeniem. Zdaje się być również pewnem, iż wysunięty został do odegrania swojej roli przez część bojarów, wśród krwawych udzielek o tron. Później dopiero znalazł poparcie Zygmunta III i Rzymu. Pierwotnie widać miał odegrać tylko rolę w wojnie domowej, i tylko dzięki Rzpltej wyrósł na postać, z którą nawet Papież wszedł w pertraktacje.

a. d.

— „Nuova Antologia.” 1 Novembre 1894. Roma. I nostri confini: Dagli Slavi ai Valdesi, przez Katarzynę Pigorini-Beri.

Jak wiadomo, pod panowaniem włoskiem znajduje się oddawna pewna liczba Słowian. W r. 1870 liczono ich do 5,000. Z tych część, oderwana zupełnie od macierzy, tworząca niejako wyspę, powstała skutkiem emigracyi z Istrii i Dalmacyi i osiedlenia się w południowych Włoszech, koło Foggii, w miejscowościach Acquaviva Colleccece, San Felice Slavo i Monte Mitro. Pisał o nich znany badacz J. Baudouin de Courtenay. (Slovanski Sbornik, 1884. Leden).

Daleko większe znaczenie mają Słowianie, zamieszkujący granicę Włoch i Austrii, w dolinach rzek Isonzo i Natisone, skrawek słowiańskiej ludności Istrii, odpadły za granicę włoską. Zajmują oni wąwóz Alp, prowadzący do Italii. Pani Pigorini-Beri przedsięwzięła podróż piechotą, aby zwiedzić wsie, zamieszkane przez górali słowiańskich, zwłaszcza San Pietro. Pracowici, silnie zbudowani, mówiący narzeczem serbsko-chorwackiem, zmieszancem z włoszczyzną, wędrują ci górale z towarami do Austrii, sięgają Warszawy, a nawet Moskwy i Tyflisu. Ci, co zostają w domu, zajmują się rolnictwem. Wogóle słyną z łagodnych obyczajów. Obok wsi zamożnych napotkać można brudne i niechlujne osady. Od dawien dawna należeli do Rzpltej Weneckiej, do t. zw. Friulu.

Włoską słowiańszczyzną zajmowali się Włosi już niejednokrotnie, że tylko wspomnę: *Slavia Italiana* di Carlo Podrecca; *La vita degli Sloveni* Francesco Musoni; *Canti della Valle di Dimboritza* di Elena Vacaresco; *Ascoli Saggi ed appunti*. Politecnico. Milano. Marzo 1867.

— „Revue d'histoire diplomatique.” 7-me année № 4. Paris. „Jean Sobieski et sa politique de 1674 à 1683”, par le Comte Jean du Hamel de Breuil.

Zainteresowany ważnym udziałem, jaki wziął Ludwik XIV w polityce Rzpltej, za czasów Michała Korybuta i J. Sobieskiego, ze względu na Niemcy, t. j. Austryę, hr. Du Hamel de Breuil, skreślił na podstawie najnowszych źródeł, odnoszących się do panowania Jana III, dzieje tego wpływu francuskiego od chwili wstąpienia na tron zwycięzcy pod Wiedniem, aż do pamiętnego roku tureckiego pogromu. Jak wiemy, pensye i subsydyja pieniężne odgrywały tu główną rolę.

*ad.*—

— Nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie wyszły:

Sprawozdania Komissyi Językowej (tom V z trzema tablicami), zawierające: Mieczysława Łukowicza „Deklinacya i konjugacya w dziele M. Reja „Apocalypsis”; W. Grzegorzewicza: „O języku ludowym w powiecie Przasnyskim”; W. Matlakowskiego: „Słownik wyrazów ludowych, zebranych w Czerskiem i na Kujawach”; W. Grzegorzewicza: „O mowie ludowej we wsi Łukoweu w pow. Garwolińskim”; Romualda Koppensa T. J.: „O sposobach oznaczania spółgłosek miękkich w psalterzu Floryańskim”; Z. Paulischa: „O pisowni i języku kazań świętokrzyskich”; Rafała Lubicza: „Głosy polskie, zawarte w rękopisie z kazaniem łacińskiem z połowy XV w.”; Bronisława Dembowskiego: „Słownik gwary podhalskiej”; Jana Bystronia: „Żywoć św. Aleksęgo wyznawcy i żywoć św. Eustachiusza męczęnnika.” Druk krakowski z r. 1529.

Sprawozdanie Komissyi Fyzyograficznej (tom 28), zawierające, oprócz wstępu sprawozdawczego, Materyały do fyzyografii krajowej, zebrane przez sekcyę: meteorologiczną, botaniczną i zoologiczną.

Rozprawy Wydziału filologicznego (serya II, tom V) a mianowicie: Leona Sternbacha: „Photii Patriarchae Opusculum Paraeneticum”; tegoż „Analecta Photiana; Gnomologium Parisinum ineditum”; Adama Mioduńskiego: „Incerti auctoris Exhortatio de poenitentia. Opecodicy Parisini № 550”; J. Bandonin'a de Courtenay: „Próba teoryi alternacyi fonetycznych. Część I ogólna.” G. Blatha: „Gwara ludowa we wsi Pysznica w powiecie Niskim.

Tom XV zbioru „Pisarzów dziejów polskich” zawierający „Analecta rzymskie.”

„Nicolai Hussoviani Carmina” przygotowane przez Jana Pelczara i stanowiące część Zbioru najstarszych poetów polsko-łacińskich aż do Jana Kochanowskiego (tom 4-ty).

— Zważywszy na wielką ilość „białych kruków”, drukowanych i rękopiśmiennych, kryjących się dotychczas przed oczami szerszego koła badaczy w zbiorach bibliotek rozmaitych, jeden z miłośników naszej literatury, p. Józef Zakrzewski, przeznaczył pewien fundusz na wydawanie „Pamiętników piśmiennictwa polskiego”, do których materiały ma być czerpany z bogatej w rękopisy i dawne druki polskie Cesarskiej Biblioteki publicznej w Petersburgu. Pierwszy taki tomik, wydany przez p. Jana Łosia, dzięki pozwoleniu, udzielonemu przez dyrektora p. A. F. Byczkowa, nosi tytuł: „Historya barzo smieszna z francuskiego języka przełożona młodzianom i pannom przystojnej miłości hołdującym, gwoli zacnej jednej damie w koronie Polskiej za sam hold i powinny honor oddana Roku 1665.”

— Do literatury kolędowej wniosła już swój doroczny przyczynek zapobiegliwa firma Gebethnera i Wolffa. Następujące książki zastosowane są do różnych pór młodocianego wieku: Jadwigi Warnki i Ludwika Jaholokowskiej: „W ogródku dziecięcym”; Stefana Gębarskiego „Chatka pod lasem”; Braci Grimm w przekładzie C. Niewiadomskiej „Baśnie dla dzieci i młodzieży”; Władysława Umińskiego „Podróż bez pieniędzy”; Edwarda Nałęcza „Z bliska i z daleka”; Anieli Sulickiej „Dobra wróżka”; Teresy Jadwigi „Dziedzice Otoka.”

— *Teodor Wierzbowski* prof. Uniwersytetu warszawskiego. „Simonis Starovolscii, Cantoris Tarnoviensis et Canonici Cracoviensis († 1656) Eleuchus Operum tum typis impressorum, tum manuscriptorum.” Warszawa, 1894.

— Członek Komissyi sztuki krakowskiej Akademii Umiejętności, p. Mathias Bersohn, wydał był w 1890 r. w Krakowie krótki zbiór wiadomości o studentach Polakach na Uniwersytecie Bolońskim w XVI i XVII wieku, oparty na faktach, do których autorowi posłużyły przeważnie nazwiska i herby młodzieży polskiej, zdobiące klatkę schodową głównego wejścia i krużganek gmachu uniwersyteckiego w Bolonii. Obecnie, dzięki odnalezieniu w bibliotece ordynacyi hr. Zamoyskich w Warszawie części jednej z zaginionych ksiąg zgromadzenia wzmiankowanych studentów, p. t. „Album Polonorum per civitatem Bononiensem iterfacientium abanno 1600 ad annum 1661”, mógł p. Bersohn uzupełnić w części drugiej swoje dziełko, podając, oprócz dalszych swoich wywodów, wierzytelny i dosłowny odpis odnalezionej księgi.

— *Jakób Heilpern*. „Nauka malarstwa.” (Wydawnictwo zgromadzenia malarzy w Warszawie). Tom I. Część pierwsza. Wiadomości

z nauk zasadniczych. Z 825 drzeworytami w tekście i jedną tablicą chromolitograficzną. Warszawa, 1894. (Str. 527).

Wobec prawie zupełnego braku szkół odpowiednich w kraju i trudności korzystania z zakładów specjalnych za granicą, zgromadzenie mularzy w Warszawie, z inicjatywy starszego, ś. p. Bolesława Brodzkiego, postanowiło wydać dzieło, obejmujące wykład nauki mularstwa, zastosowany do potrzeb młodzieży, tudzież jej kierowników. Dla urzeczywistnienia zaś tej myśli wyznaczyło r. 1886 z grona członków swoich komitet, który ogłosił konkurs na dzieło niniejsze. Wykład jest prowadzony w sposób przystępny dla ludzi o średnim wykształceniu, t. j. posiadających wiadomości początkowe z nauk matematycznych i przyrodniczych w zakresie programu szkół średnich. Najważniejsze twierdzenia z tych nauk: z matematyki niższej i geometrii, zawarte są w pierwszych pięciu rozdziałach działu I-go; w VI i VII tegoż działu wyłożone są początki nauki o rzutach tudzież mechaniki i statystyki budowli. Rozdział VIII streszcza najważniejsze wiadomości z chemii o tyle, o ile to jest potrzebne dla należytego zrozumienia wykładu własności materiałów mularskich; wreszcie w rozdziale IX zestawione są najniezbędniejsze tablice matematyczne, tudzież niektóre tablice miar, wag i obciążeń. Układ wiadomości w dziale I-ym przystosowany jest nie do wymagań pedagogicznych, lecz przeważnie do potrzeb praktycznych. W tym celu podane są twierdzenia i wzory, których na podstawie niższej matematyki dowieść nie można. Z tego również powodu twierdzenia i wzory do obliczania powierzchni figur płaskich, tudzież powierzchni i objętości brył, są wyłączone z wykładu geometrii, a zestawione w rozdziale osobnym, w którym nadto podano wzory dla konstrukcyi ważniejszych (sklepień, rampy i t. d.). Nie chcąc nadmiernie zwiększać objętości dzieła, autor podaje wiele twierdzeń i wzorów bez dowodu; pominął dowodzenia wszystkich twierdzeń, które czytelnik skąd inąd znać powinien, tudzież wszelkie dowodzenia twierdzeń i wzorów łatwiejszych, które każdy czytelnik samodzielnie wysnuć zdoła. Wreszcie, z konieczności, pominięte są dowodzenia, wymagające znajomości matematyki wyższej. W rozdziale VII działu I, obejmującym wiadomości z mechaniki i statystyki budowli, autor pominął obliczenia właściwych konstrukcyi mularskich: murów zwykłych, oporowych z uwzględnieniem parcia ziemi, sklepień, kominów fabrycznych murowanych i t. d., gdyż wiadomości te, zgodnie z programem, mają być podane w dziale III. Opis przyrządów, służących do czerpania wody z dołów fundamentowych i do podnoszenia materiałów budowlanych, podany będzie również w powyższym dziale. W końcu dzieła sporo jest tablic, miar, ciężaru własnego materiałów budowlanych i obciążenie niektórych konstruk-

cyi, współczynniki wytrzymałości, tablice wytrzymałości belek żelaznych, drewnianych i kolumn, lin, łańcuchów i t. d. Słownictwo techniczne w ostatnich latach oczyszczono w znacznej mierze z obcych naleciałości. Autor jednak nie uważał za właściwe posługiwać się tą nowością, zbyt trudną, zdaniem jego, do zastosowania. To też wolął zachować „konstrukcyę”, aniżeli zastosować jeden z licznych wyrazów, w tem znaczeniu zaleconych (*budowa, wątek, ustrój, zestrój, zespół, zeskład, złożę*), z których żaden dotychczas nie jest powszechnie przyjęty i żaden, zdaniem autora, nie jest odpowiedny. Wyraz obcy „fuga” p. H. zastąpił przez wyraz dawny „spoina” (słownik Żebrowskiego). Wogóle obok każdej nazwy swojskiej autor podaje obce. Praca ta, poważna i rzetelna, przyniesie pożytek istotny i wielce wzbogaci naszą ubogą literaturę fachową.

— *Franciszek Molicki*. „Najnowsze bartnictwo, czyli zakładanie i prowadzenie pasiek sposobem najlepszym, najpraktyczniejszym, najtańszym, najłatwiejszym, najprostszym, najprędszym, jak najmniej wymagającym pracy, czasu, nakładu pieniężnego, a zapewniającym szybkie rozpowszechnienie pszczelnictwa i możliwie największe dochody z pasiek; dla uczniów, uczennic i dla wszystkich pszczelarzy i pszczelarek”, z 255 rysunkami w tekście. Warszawa, 1895. (8-ka, str. 424).

Autor opisuje obszernie przyrodę pszczoły, historię i ocenę wszystkich dokonanych dotąd wynalazków w zakresie bartnictwa, budowę najlepszych i najtańszych ulów, rozmaitych przyrządów, tudzież sztuczną hodowlę pszczół. Kładąc największy nacisk na stronę praktyczną, nadał każdemu działowi swej pracy całość odrębną.

— *W. Preyer*. „Rozwój umysłowy dziecka od pierwszego dnia życia. Wskazówki do czynienia obserwacji dla rodziców i wychowawców.” Przekład z niemieckiego dra M. Flauma. Warszawa. Paprocki i S-ka. 1898. (8-ka, str. 199).

Autor daje szczegółowy wykład o zmysłach noworodków, o ich uczuciu, wzruszeniach i temperamencie, pierwszych spostrzeżeniach i wyobrażeniach; kreśli początek woli, pierwszą naukę dziecka; podaje obraz nauki mowy i tworzenia wyższych pojęć, rozwój samowiedzy, warunki rozwoju duszy. Część druga obejmuje wskazówki do prowadzenia dziennika spostrzeżeń nad umysłowym rozwojem dzieci od urodzenia, mianowicie: prawidła ogólne, przepisy szczegółowe, naukę widzenia, słyszenia, zmysł dotyku, temperatury, smaku, powonienia, uczucie głodu, sytości, znużenie, sen, radość, ból, przykrość, niezadowolienie, bojaźń, przestraszenie, zdumienie, fantazyę, marzenia sennie, pierwsze suggestye, pożądlivość, odruchy, hamowanie odruchów, panowa-



nie nad sobą, ssanie, pierwsze naśladownictwo, grę twarzy, całowanie, miny rozmaitego rodzaju, pierwsze ruchy chwytne, położenie i ruchy głowy, ruchy tułowia, rąk i nóg, dotykanie, czolganie się i suwanie po podłodze, nauka widzenia, stania, chodzenia, biegania, jedzenie i picie, pamięć, poznawanie matki i t. d. Wszystkie powyższe działy stanowią rubryki schematu dla ułatwienia obserwacji nad dzieckiem.

— *Dr Eugeniusz Rehfisch*. „Samobójstwo.” Studium krytyczne. Z oryginału niemieckiego przełożył Wiktor D. Warszawa. Paprocki, 1895. (8-ka, str. 103).

Autor podaje ogólne przyczyny tej klęski, podciąga ją przeważnie pod kategorię chorób umysłowych. Z przyczyn między innymi wymienia przesyt życia, dziedziczność, alkoholizm i t. d. Idąc za innymi autorami, rozróżnia dwa rodzaje: chroniczny i ostry. Dziełko niniejsze jest uzupełnieniem poszukiwań innych autorów, którzy badania swe doprowadzili do r. 1878. Rehfisch zajął się zebraniem danych najświeższych i na ich mocy przyszedł do przekonania, że samobójstwo minęło już swój punkt kulminacyjny. Pod względem siły szerzenia się samobójstwa, dzieli państwa europejskie na trzy grupy: do pierwszej zalicza państwa, w których samobójstwa zmniejszyły się stanowczo. Należą tutaj: Prusy, Saksonia, Królestwo Wirtemberskie, Szwajcarya i Rossya. Do drugiej kraje, w których ta klęska chociaż się nie zmniejszyła, jednak podlega małym zmianom, utrzymuje się prawie na stałej wysokości. Należy tu przeważna część mocarstw europejskich: Austria, Norwegia, Dania, ks. Badeńskie, Heskie, Włochy, Anglia i Irlandya. Trzecią kategorię stanowią państwa, w których mania samobójcza ustawicznie wzrasta, mianowicie: Francya, Belgia, Szwecya i Bawarya. Autor nie podaje nowych środków zaradczych (których zresztą w całej rozciągłości znaleźć nie można), zaleca zaś: uszlachetnianie dziełami mistrzów i naukami przyrodniczymi i staranne wychowanie w domu rodzicielskim. „Gdyby kładziono większy nacisk na nauki przyrodnicze — powiada w końcu — gdyby starano się wytłómaczyć jasno uczniom prawa o utrzymaniu materji i siły, następnie o nieskończoności wszechświata, umysł kształcił-by się lepiej niż dotychczas, a młodzi ludzie, wstępując w życie, pojęli-by, że spełnianie obowiązków jest najwyzszem dobrem.”

## Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej.”

— *Feliks Jeziorański*. „Poglądowa metoda nauki czytania, prowadzonej jednocześnie z nauką pisania i początkowych rachunków.“ Warszawa, 1895 (8-ka, str. 259).

Podręcznik ten zawiera elementarz, zadania odpowiednie i krótkie wypisy z autorów polskich. Osobna tablica kartonowa pod nazwą „Liczebnica“, zawiera abecadło i cyfry do 10-ciu, z rysunkami odpowiednemi.

— *Dr A. Sempołowski*. „Wyniki prac i doświadczeń, wykonanych od r. 1893 do 1894 przez stałą doświadczałną w Sobieszynie.“ Warszawa, 1894 (8-ka, str. 71).

— *Kajetan Kraszewski*. „Z dziejów możnej rodziny“,—kartka historyczno-obyczajowa. Kraków, 1894.

— *L. Wallace*. „Ben-Hur“ opowiadanie z dni Messyaszowych. Wydanie nowe. (Dwa tomy). Kraków, 1894.

— *Józef Bliźniński*. „Chwast“ komedia w 3 aktach, wydana staraniem „Kuryera Warszawskiego.“ Warszawa 1894, u S. Lewentala.

— *Archibald Geike*. „Geografia fizyczna“ w przekładzie Józefa Morozowicza—nowa edycja. (Wydawnictwo popularne Gebethnera i Wolffa).

— *Wiktor Gomulicki*. „Jeden z nowych.“ Nowelle, studia, obrazki. Warszawa—Wilno—Petersburg, 1894.

— *Epigon*. „Superarbitr“, obrazek społeczny w scenach. Warszawa, 1895.

— *Kamil Flammarion*. „Niebo“ w przekładzie Dr M. Stefanowskiej. Warszawa, 1895. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— *Elizeusz Reclus*. „Zjawiska ziemskie“ w przekładzie Dr M. Stefanowskiej. Warszawa, 1895. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— *Robert S. Ball*. „Mechanika doświadczalna“ w tłumaczeniu S. Kramsztyka. (Biblioteka Przemysłowa). Warszawa, 1895. Nakład H. Wawelberga.

— *A. Okolski*. „Wpływ Tomasza Carlyle'a na rozwój społeczeństwa angielskiego pod względem socjalno-politycznym w XIX wieku.“ Lwów 1894. (Odbitka z „Przeglądu prawa i administracji“).

— „Encyklopedyi Rolniczej“ wyszedł zeszyt XI.

— Z dwóch edycji dzieł Shakespeare'a, prowadzonych jednocześnie, wydawnictwo Gebethnera i Wolffa posunęło się o dwa nowe tomy (3-ci i 4-ty), zawierające: „Króla Henryka VI“ część III, „Króla Ryszarda III“, „Króla Henryka VIII“, „Hamleta“ i „Króla Leara“; księgarnia zaś polska we Lwowie zeszytem 12, który zawiera objaśnienia, zakończyła tom I „Arcydzieł.“

— W Wiedniu nakładem Franciszka Bundy zaczęto wydawać „Dzieje powszechne ilustrowane“ opracowane przystępnie „na podstawie najnowszych badań i dzieł historycznych“ przez prof. Czesława Pieniążka, Dra H. Sawczyńskiego i p. Alfreda

Szczepańskiego. W dwóch wypuszczonych dotąd zeszytach ilustracye są piękne; co do tekstu, traktowanego rzeczywiście bardzo przystępnie, spotkaliśmy się z dość osobliwym poglądem, jakoby człowiek pierwotny rozpoczął od rolnictwa, a następnie *zstępował na coraz niższe stopnie: pasterstwa, myśliwstwa i rybołówstwa*. Czyż istotnie ta odwrotność pochodzenia pierwotnej ludzkości jest wynikiem „najnowszych badań“?

— Na wzór paryskich kieszonkowych edycyi i z podobnemi w tekście ilustracyami wydała firma Gebethnera i Wolffa „Dusze w odlocie“ M. Gawalewicza.

— U Kazimierza Grendyszyńskiego wyszedł w Petersburgu w małym wydaniu Wybór poezyi“ Teodila Lenartowicza z portretem autora.

# „NA LAGUNACH”

DZIEŁO

## STANISŁAWA BĘŁZY

opuściło świeżo prasę.

Dzieło to, objętości 21 arkuszy druku, ozdobione jest kilkudziesięcioma rycinami, przedstawiającymi wybitniejsze gmachy, dzieła sztuki i typy ludowe Wenecyi i wysp okolicznych.

**Cena rs. 2.**

Tegoż Autora:

**Holandya.** Wydanie 2. Z ryciną kolorowaną. Cena rs. 1 kop. 80.

(Treść: Droga do Holandyi. Amsterdam na wodzie i na lądzie. Najśmieszniejsze miasto na świecie. „Czar Peterhuis.“ Jedna olbrzymia łuka. Alkmaar. Na północnym cyplu. W Haarlem. Wczoraj morze dziś ogrody. Miasto uczonych. Paryż Holenderski. W galeryach obrazów. Delft i Rotterdam. W Utrechcie i w Arnheim).

**Odgłosy Szkocyi.** Z 9 ilustracyami. Cena rs. 1 kop. 50.

(Treść: Z Londynu do Edynburga. W stolicy Szkocyi. Widmo Maryi Stuart. Niedziela w Edynburgu. Kraje Burnsa i Waltera Scotta. Melrose. Morzem do St. Andrews. Więzienie Maryi Stuart. Glazgow. Jeziora Loch Lomand i Loch Katrine).

**Za Apeninami.** Wydanie 3. Cena rs. 1.

(Treść: Przez Wiedeń do Wenecyi. Na Lagunach. Z Wenecyi do Padwy. Florencyja. Rzym. Co zostało z dumy? W Neapolu i na Wezuwiuszu. Pompeja).

**W Górach Olbrzymich.** Cena rs. 1.

(Treść: Hirschberg. Do Warmbrunn. Dalej w góry. Rübzahl w świetle poezyi ludowej. Nieco baśni i klechd. W dolinach i na szczytach. Pochód grzebieniem Gór Olbrzymich. Na najwyższym cyplu. „Skinął Bóg i stała się noc.“).

**Skład Główny w Warszawie u GEBETHNERA i WOLFFA.**

Dostać można we wszystkich Księgarniach w kraju i za granicą.

# SPIS RZECZY

## ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z ROKU 1894.

Manifest Najwyższy . . . . .	<i>Str.</i> 205
------------------------------	--------------------

### *Filozofia.*

Idealy umysłu ludzkiego i ich przedmiotowe uzasadnienie, przez Dra H. Struvego . . . . .	417
--	-----

### *Historya.*

Zatargi o starostów pogranicznych 1618—1654, przez Adama Darowskiego . . . . .	207 i 445
--	-----------

### *Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.*

Kierunek historyczny w ekonomice niemieckiej, przez I. M. . . . .	511
---	-----

### *Etnografia i szkice podróźnicze.*

W stepie pszennym, przez K. R. Żywickiego . . . . .	112 i 314
Wśród stepów i jarów. II. W mroku, przez Ksawerego Chamca . . . . .	342

## II

### *Literatura.*

	<i>Str.</i>
Rodzina Połanieckich, powieść, przez Henryka Sienkiewicza. . . . .	1 i 229
W jednej izbie, nowella, przez M. Radziwiłła . . . . .	497
Na dzień zaduszny (poezye), przez Lucyana Rydla . . . . .	338
Z cyklu „Italia” (poezye). W Sykstynie. „Sybilla pisze.” — „Stworzenie człowieka”, przez Maryę Konopnicką . . . . .	527

### *Studia i szkice literackie i artystyczne.*

Poetka neo-chryścjanizmu w Anglii Marya Corelli, przez E. Naganowskiego . . . . .	44
Na ostrzu pióra. I. Pracownia, przez Maryę Konopnicką . . . . .	141
Lata dziecinne Słowackiego, przez F. Hösicka . . . . .	536

### *Nauki przyrodnicze.*

Światło i życie, przez J. Nusbauma . . . . .	95
Stulecie chemii, przez Dra M. Flauma . . . . .	260

### *Materyały i notatki.*

Sprawa Tarły, przez Szymona Askenazego . . . . .	154
--	-----

### *Krytyka.*

Tatistcheff. „Aleksandre et Napoléon d'après leur correspondance inédite 1801—1812.” — Kraushar. „Zatarg JMci Pana Łukasza Konopki z miastem Toruniem.” Kartka archiwalna (1742—1756), tenże „Kartki historyczne i literackie.” — Prof. Ulanowski. „Wieś polska pod względem prawnym od wieku XVI do XVIII.” — Général prince Stcherbatow do l'état-major. „Le Feld-Maréchal Prince Paskevitch, sa vie politique et militaire d'après des documents inédits.” — Bernhardt. „Die Anfänge der neuen Aera.” Tagebuchblätter am der Zeit der Stellvertretung und Regenschaft des Prinzen von Preussen”, przez A. Rembowskiego . . . . .	167, 384 i 553
Dr Feliks Rachfahl, privatdocent an der Univ. Kiel. „Die organisation der gesamtstaatsverwaltung Schlesiens vor dem dreissigjährigen kriege”, przez J. K. Kochanowskiego . . . . .	568

- „Sprawozdania z piśmiennictwa polskiego w dziedzinie nauk fizyko-matematycznych. — „Dzieła i rozprawy matematyczno-fizyczne“, wydane przez A. Czajewicza, z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym, imienia Józefa Mianowskiego, — przez S. Kramsztyka . . . . . 577
- Michał Wołowski. „Z dogmatem“, powieść. — Marya Mikuszyc. „Przemysłowcy“, powieść. — Maryan Gawalewicz. „Od jutra“, powieść, przez W. Karczewskiego . . . . . 183 i 581
- Maryan Gawalewicz i Piotr Stachiewicz. „Królowa Niebios“, przez W. Bogusławskiego . . . . . 395

### *Kronika zagraniczna.*

- Galicyjska*, przez U. Ruch na wystawie lwowskiej w ciągu września. — Dział gospodarstwa leśnego. — Statystyka lasów i produkcyja drzewa w Galicyi. — Przemysł drzewny. — Okazy górnictwa i hutnictwa. — Produkcyja żelaza, węgla, soli i nafty. — Postęp w produkcyi przemysłowej w Galicyi. — Gorzelnie, browary, młyny i cukrownie. — Przemysł fabryczny . . . . . 75
- Paryska*. Nowa praca historyczna Lucyana Percy p. t. „Romans wielkiego króla Ludwika XIV i Maryi Mancini.“ — Jusseranda „Historya literacka ludu angielskiego od pierwszych początków do czasów Odrodzenia.“ — Leconte de Lisle. — Dekadentyzm w literaturze i książka Henryka Puvre „Melcagr z Gadary.“ — Zdobycze archeologiczne Naville'a. — Wspomnienia Fryderyka Pechta o Ryszardzie Wagnerze. — Paweł Bourget za Oceanem. — Konstantego Chmielińskiego: „Dwadzieścia dni na brzegach gaskońskich, od Żyrondy do Pirenejów . . . . . 290
- Galicyjska*. Usiłowania podejmowane celem rozwoju przemysłu przez naukę fachową w plastycznym zestawieniu na wystawie lwowskiej. — Historia wykształcenia przemysłowego w Galicyi od czasu poprzedniej wystawy w 1877 r. — Ogniska przemysłu domowego dla tkactwa płóciennego i wełnianego, dla wyrobów z drzewa, garncarskich i metalowych. — Zakłady dla nauki przemysłowej. — Kwestya odbytu dla wyrobów przemysłu domowego. — „Szkoły przemysłowe uzupełniające.“ — Państwowe szkoły przemysłowe. — Projektowane dzieło zbiorowe, które ma być sprawozdaniem o wystawie na tle stosunków ekonomicznych kraju . . . . . 485

<i>Październik.</i>	Wojna japońsko-chińska.— Sesya delegacyi austro-węgierskich. — Wybory do parlamentu w Belgii. — Reforma wyborcza w Przedlitawii. — „Kłeska urodzaju“ i kłeska myszy polnych. — Referat p. Chelchowskiego o przeciwdziałaniu szkodnikom. — Bankructwo firmy bankierskiej „de la Farre.“ — Krytyka kanalizacji przez obywateli m. Warszawy. — Oświetlenie elektryczne w naszym mieście. — Kąpiele ludowe. — Wygaśnięcie cholery. — Wypadki na kolejach. — Wagony III klasy przy pociągach pośpiesznych. — Zmarli: Herman Helmholtz. — Jan Karol Kowalewski. . . . .	188
<i>Listopad.</i>	Przesilenie kanclerskie w Berlinie. — Dymisya hr. Caprivi i nominacya ks. Hohenlohe. — Pogrom Chin przez Japonię. — Uroczystość odsłonięcia pomnika Chopina w Żelazowej Woli. — Jubileusz Straussa. — Uroczystość dla uczczenia zasług prof. Karola Jurkiewicza. — Dziesięciolecie istnienia Towarzystwa Ogrodniczego. — Projekt przytułku dla inwalidów rzemiosła i kasa emerytalna dla ogółu rzemieślników. — Ocknienie się sekeyi przemysłowo-handlowej. — Specyalna komisya utworzona w Warszawie w celu rozpoznania przyczyn wysokich cen pieczywa i obmyślenia środków usunięcia tego zjawiska. . . . .	400
<i>Grudzień.</i>	Zgon Najjaśniejszego Pana Cesarza Aleksandra III. — Rzut oka na ubiegłe w kończącym się roku wypadki. — Nowy gmach parlamentu niemieckiego i skandal na pierwszym posiedzeniu. — Reforma wyborcza w Austrii. — Kampania przeciw łzbie lordów w Anglii. — Śmierć Lussepsa i Burdeau. — Dorywcze traktowanie spraw życiowych przez reporterów dziennikarskich. — Zawiązanie stałych stosunków handlowych między ziemianami a intendenturą wojskową. — Chroniczna u nas nieświadomość gdzie czego nabyć można. — Projektowany przez M. Dobrskiego przewodnik po gospodarstwach krajowych. — Dzieła fachowe w obecnym sezonie wydawniczym. — „Nauka mularstwa“ inżyniera J. Heilperna. — Fuszerka w budownictwie. — Wysłanie zagranicę lekarza kosztem jednego z pism specyalnych dla zbadania surowicy krwi. — Zmarli: Wiktor Duruy w Paryżu, Antoni Rubinstein w Peterhofie i Jan Konopacki w Łowiczu. . . . .	587

## Wiadomości bibliograficzne.

Październik . . . . .	199
Listopad . . . . .	410
Grudzień . . . . .	599

